



DRZEWO
BABEL

Rohinton Mistry

DELIKATNA RÓWNOWAGA





foto © E. Mistry

Rohinton Mistry

Urodził się w 1952 roku w Bombaju. W 1975 roku zamieszkał w Kanadzie. Wydał kilka zbiorów opowiadań oraz trzy powieści, które zapewniły mu międzynarodowe uznanie: *Such A Long Journey* (1991) – zekranizowana w 1998 roku, *Delikatna równowaga* (1995) i *Sprawy rodzinne* (2002, wyd. pol. 2006). Za twórczość beletrystyczną otrzymał wiele prestiżowych nagród z całego świata. *Delikatna równowaga* otrzymała Giller Prize, Commonwealth Writers Prize za Najlepszą Książkę, Los Angeles Times Prize for Fiction a także Nagrodę im. Winifred Holtby przyznaną przez Królewskie Towarzystwo Literackie. Zakwalifikowała się do finału Nagrody Bookera, International IMPAC Dublin Literary Award oraz Irish Times International Fiction Prize. BBC umieściło ją na liście „100 książek, które musisz przeczytać przed śmiercią”, a Oprah Winfrey poleca ją w swoim Klubie Książki.

Delikatna równowaga

Spis treści

Okładka

O Autorze

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Motto

Dedykacja

PROLOG: 1975

1 MIASTO NAD MORZEM

2 ABY MARZENIA WZESZŁY

3 W WIOSCE NAD RZEKĄ

4 DROBNE PRZESZKODY

5 GÓRY

6 DZIEŃ W CYRKU, NOC W SLUMSACH

7 MOBILNOŚĆ

8 UPIĘKSZANIE

9 NA CO JEST PRAWO

10 ŻEGLUJĄC POD JEDNĄ BANDERĄ

11 CHMURY NAD ŚWIETLANĄ PRZYSZŁOŚCIĄ

12 ZNAK PRZEZNACZENIA

13 ŚLUB, ROBAKI I SANNJASIN

14 POWRÓT SAMOTNOŚCI

15 PLANOWANIE RODZINY

16 KOŁO SIĘ DOMYKA

1984: EPILOG

OD TŁUMACZA

Rohinton Mistry

Delikatna równowaga

przełożył Krzysztof Umiński

tytuł oryginału
A Fine Balance

koncepcja graficzna
Michał Batory

zdjęcie Autora
F. Mistry

zdjęcie na czwartej stronie okładki
Basia Stępień

redakcja i korekta
Bożna Piotrowska

konsultacja indologiczna
Elżbieta Walter

opracowanie przypisów
Elżbieta Walter, Krzysztof Umiński

przygotowanie wersji elektronicznej
Katarzyna Marzec

© 1995, by Rohinton Mistry
© 2014 for the Polish edition by Drzewo Babel
All rights reserved



DRZEWO BABEL
UL. LITEWSKA 10/11 • 00-581 WARSZAWA
listy@drzewobabel.pl
www.drzewobabel.pl

ISBN 978-83-64488-36-8



Plik ePub przygotowała firma eLib.pl
al. Szucha 8, 00-582 Warszawa
e-mail: kontakt@elib.pl
www.eLib.pl

•••

Ishvar porzucił kuferek, który pakował
na werandzie, i wszedł do pokoju.

Usiadł na łóżku i objął Manecka.

– Wiesz, twarz człowieka ma ograniczoną
powierzchnię. Moja matka mawiała,
że jak się wypełni twarz śmiechem,
to nie ma na niej miejsca na płacz.

– Śliczne powiedzonko – odparł Maneck gorzko.

– W tej chwili twarze pani Diny,
Oma i moja są zajęte. Martwimy się o pracę,
pieniądze, o to, gdzie dziś będziemy spać.

Ale to nie znaczy, że nie jest nam smutno.

Być może nie widać tego na twarzy,
ale to siedzi tu. – Położył sobie dłoń na sercu.

•••

DLA FRENY

Ty, która trzymasz tę książkę w białej dłoni, ty, który zanurzasz się w miękki fotel, powiadając sobie: „Może mnie to rozerwie”. Odczytawszy dzieje tajemnych niedoli ojca Goriot, zjecie ze smakiem obiad, składając swą nieczułość na karb autora, pomawiając go o przesadę, o poezję. Ach, wiedźcie: dramat ten nie jest ani wymysłem, ani romansem. All is true^[1].

Honoré de Balzac, Ojciec Goriot

^[1] Przekład Tadeusza Żeleńskiego (Boya).

PROLOG: 1975

Spęczniały od podróży ekspres poranny zwolnił biegu, po czym raptownie szarpnął do przodu, jakby zamierzał na powrót przyśpieszyć. Podstępna zmiana tempa narobiła zamętu wśród pasażerów. Zawieszona u wejścia wybrzuszona ludzka masa nabrzmiała groźnie niczym rozdęta do granic bańka mydlana.

W wagonie Maneck Kohlah, trzymający się uchwytu nad głową i podpierany bezpiecznie przez stłoczoną wokół ciżbę, poczuł, jak czyjś łokieć wytrąca mu z ręki podręczniki. Chudym młodzieńcem z sąsiedniego siedzenia rzuciło prosto w ramiona mężczyzny siedzącego naprzeciwko. Podręczniki Manecka wylądowały na jego grzbiecie.

– Au! – wykrzyknął młodzieniec, gdy jeden z tomów rąbnął go w plecy.

Wśród śmiechu chłopak i jego stryj wyplątali się ze swoich objęć. Ishvar Darji, ze zdeformowanym lewym policzkiem, pomógł bratankowi podnieść się i wrócić na miejsce.

– Wszystko w porządku, Om?

– Jasne, poza dziurą w plecach – odpowiedział Omprakash Darji, podnosząc dwie książki obłożone brązowym papierem. Zważył je w szczupłych dłoniach i rozejrzał się wokół, szukając tego, kto je upuścił.

Maneck zgłosił się po swoją własność. Wzdrygnął się na myśl o tym, jak ciężkie podręczniki grzmocą w ten kruchy kręgosłup. Przypomniało mu się, jak wiele lat wcześniej zabił kamieniem wróbla i jak później zrobiło mu się od tego niedobrze.

Pospieszył z gorączkowymi przeprosinami.

– Bardzo mi przykro, książki mi się wysliznęły...

– Nie przejmuj się – uspokajał Ishvar. – To nie twoja wina.

A zwracając się do bratanka, dodał:

– Całe szczęście, że nie było na odwrót, no nie? Jakbym ja zwałił się na ciebie, tobym ci kości pogruchotał.

Zaśmiali się znowu, a skruszony Maneck razem z nimi.

Ishvar Darji nie był tęgim mężczyzną. Ich żarciki odnosiły się nie tyle do tuszy, co do kontrastu z kościstymi członkami Omprakasha. Raz jeden, raz drugi rzucał jakiś dowcip na ten temat. Kiedy zasiadali do wieczornego posiłku, Ishvar zawsze nakładał większą porcję na emaliowany talerz bratanka, a w przydrożnej

dhabie^[2] czekał, aż Omprakash oddali się po wodę lub do latryny, a następnie szybko przekładał część swojego jedzenia na jego liść.

Na protesty Omprakasha Ishvar mówił:

– A co będzie, kiedy wrócimy do wioski? Pomyślą, że w mieście morzyłem mojego bratanka głodem i sam zjadłem wszystko. Jedz, jedz! Muszę cię podtuczyć, tylko tak ocalę honor!

– Spokojna głowa – odgryzał się Omprakash. – Jeśli twój honor waży choć połowę tego co ty, to i tak wystarczy aż nadto.

Mimo to sylwetka Omprakasha na przekór zabiegom stryja nadal odznaczała się zapalczaną wątlnością. Także ich zasoby wyglądały chudo i mizernie, a triumfalny powrót do wioski wciąż pozostawał odległym marzeniem.

Jadący na południe ekspres zwolnił ponownie. Szczękające wagony zatrzymały się z pneumatycznym sykiem. Pociąg stał między stacjami. Hamulce sapały jeszcze kilka chwil, wypuszczając powietrze, potem zamarły.

Omprakash wyjrzał przez okno, żeby ustalić, gdzie stanęli. Za płotem odgradzającym tory, wzdłuż rowu, którym płynęły ścieki, stały byle jak sklecone budy. Dzieci grały w coś przy użyciu patyków i kamieni. Pomiedzy nimi podskakiwał podniecony szczeniak, próbujący włączyć się do gry. Opodal mężczyzna z nagim torsem doił krowę. Mogli być wszędzie.

W stronę pociągu popłynęła gryząca woń dymu z ognia podsycanego wysuszonym krowim łajnem. Zaraz przed nimi, przy przejeździe kolejowym, zebrał się tłum. Kilku mężczyzn wyskoczyło z wagonu i ruszyło wzdłuż torów.

– Obyśmy zdążyli na czas – powiedział Omprakash. – Jak ktoś tam dotrze przed nami, to ciemna mogiła.

•

Maneck Kohlah zapytał, jak daleko jadą. Ishvar wymienił stację.

– O, to tak jak ja – powiedział Maneck, skubiąc palcami skąpy wąsik.

Ishvar podniósł wzrok ku gęstwinie nadgarstków pnącej się w stronę sufitu, z nadzieją, że wypatrzy wśród nich cyferblat.

– Przepraszam, która jest? – spytał kogoś przez ramię. Zagadnięty mężczyzna z gracją podciągnął mankiet i odsłonił zegarek: za kwadrans dziewiąta.

– No dalej, brachu, rusz się! – zawołał Omprakash, uderzając dłonią w siedzenie między swoimi udami.

– Nie taki posłuszny jak woły u nas w wiosce, co? – powiedział jego stryj, a Maneck się roześmiał. – Serio! – dodał. Odkąd pamiętał ich wioska nigdy nie przegrała w wyścigu wolich zaprzęgów, które odbywały się przy okazji różnych świąt.

– Wystarczy działka opium i pociąg będzie śmigał jak te woły – poradził

Omprakash.

Przez zatłoczony wagon przeciskał się sprzedawca grzebieni, pstrykając plastikowymi zębami sporego grzebienia. Podróżni utyskiwali i złorzeczyli, rozłoszczeni, że zakłóca im się spokój.

– Hej, ty! – przywołał go Omprakash.

– Opaska na włosy, plastikowa, nie do złamania, spinka do włosów, plastikowa, w kształcie kwiatu, w kształcie motyla, grzebień kolorowy, nie do złamania. – Sprzedawca grzebieni recytował monotennie bez większego zapału, niepewny, czy ma przed sobą prawdziwego klienta, czy tylko znudzonego podróżą żartownisia. – Grzebienie, duże, małe, różowe, pomarańczowe, brązowe, zielone, żółte, niebieskie. Grzebienie nie do złamania.

Omprakash na próbę przeczesał włosy kilkoma egzemplarzami, ostatecznie wybrał czerwony w rozmiarze kieszonkowym. Zanurzył rękę w spodniach i wyłuskał monetę. Sprzedawca, znosząc nieprzyjemne łokcie i ramiona, odliczył resztę. Rękawem koszuli otarł olejek do włosów z odrzuconych grzebieni i schował je z powrotem do przewieszanej przez ramię torby. Na wierzchu zostawił tylko jeden duży, z dwoma rzędami zębów, którymi miękko pstrykał przeciskając się dalej przez wagon.

– Co się stało z twoim złotym grzebieniem? – zapytał Ishvar.

– Pękł na pół.

– Jak?

– Miałem go w tylnej kieszeni i na nim usiadłem.

– To nie jest dobre miejsce dla grzebienia. Grzebienia używa się do głowy, a nie do siedzenia, Om.

Zawsze mówił na bratanka Om, a Omprakashem nazywał go tylko w gniewie.

– Gdyby to było twoje siedzenie, grzebień roztrzaskałby się na setki kawałków – odciął się bratanek, a Ishvar parsknął śmiechem. Tylko przeorany blizną lewy policzek trwał pewnie niczym keja, wokół której falowały zmarszczki jego uśmiechów.

Żartobliwie połaskotał Omprakasha pod brodą. Ich zachowanie zwykle nie wskazywało na dzielącą ich różnicę wieku – jeden miał czterdzieści sześć lat, drugi siedemnaście.

– Uśmiechnij się, Om. Jak się tak złościsz i krzywisz, to mina nie pasuje do tej fryzury na bohatera. – Mrugnął do Manecka, żeby włączyć go do zabawy. – Z takim czubem będziesz miał powodzenie u dziewczyn. Ale spokojna głowa, Om. Wybiorę dla ciebie miłą żonę. Dużą i silną kobietę, i żeby miała ciała za dwie.

Omprakash wyszczerzył zęby i nowym grzebieniem fantazyjnie zaczesał sobie grzywę. Nic nie wskazywało, że pociąg niebawem ruszy. Mężczyźni, którzy wcześniej wyprawili się na zewnątrz, wrócili z nowiną, że przy torach niedaleko

przejazdu po raz kolejny znaleziono czyjeś zwłoki. Maneck przysunął się do drzwi, by posłuchać. Szybki i przyjemny sposób na zejście, pomyślał. Byle tylko pociąg uderzył człowieka równo.

– Może to ma coś wspólnego ze stanem wyjątkowym – dodał ktoś.

– A co tu niby jest wyjątkowego?

– Dziś rano pani premier przemawiała w radiu. Coś że kraj jest zagrożony od środka.

– Brzmi jak następna rządowa szopka.

– Dlaczego wszyscy się uparli, żeby umierać na torach? – utyskiwał ktoś inny. – Żadnego poważania dla takich jak my. Morderstwa, samobójstwa, zbrodnie naksalickich terrorystów^[3], śmiertelne zejście na komendzie – a skutek taki, że pociągi się spóźniają. A może by tak trucizna, wysoki budynek albo nóż?

Wreszcie wyczekiwany z dawna pomruk przetoczył się przez wagony, a po długim, stalowym kręgosłupie pociągu przebiegł dreszcz. Na twarzach pasażerów zajaśniała ulga. Kiedy skład z wolna mijał przejazd kolejowy, wszyscy wyciągnęli szyje, by zobaczyć przyczynę opóźnienia. Trzech umundurowanych policjantów stało nad pośpiesznie przykrytymi zwłokami oczekującymi na podróż do kostnicy. Niektórzy pasażerowie dotknęli czoła lub złożyli dłonie i wyszeptali „Ram, Ram”^[4].

•

Maneck Kohlah wysiadł z pociągu za stryjem i bratankiem i razem opuścili peron.

– Przepraszam – powiedział, wyciągając z kieszeni jakiś list – jestem tu nowy, czy wiecie może jak dojść pod ten adres?

– Pytasz niewłaściwych ludzi – odparł Ishvar, nie patrząc na kartkę. – My też tutaj od niedawna.

Za to Omprakash zerknął na list.

– Patrz, przecież to to samo imię!

Ishvar wydobyl z kieszeni sfatygowany świstek i porównał. Bratanek miał rację, proszę bardzo: Dina Dalal, a potem adres.

Omprakash spojrzal na Manecka z nagłą wrogością.

– Po co idziesz do Diny Dalal? Jesteś krawcem?

– Ja, krawcem? Nie, to przyjaciółka mojej matki.

Ishvar klepnął bratanka po ramieniu.

– Widzisz, panikujesz i tyle. Chodź, poszukajmy tego domu.

Maneck nie rozumiał, o co chodzi. Dopiero gdy wyszli ze stacji, Ishvar wyjaśnił.

– Rzecz w tym, że Om i ja jesteśmy krawcami. Dina Dalal ma pracę dla dwóch krawców. Idziemy się zgłosić.

– I myśleliście, że biegnę, żeby ukraść wam pracę – uśmiechnął się Maneck. – Spokojnie, jestem tylko studentem. Dina Dalal i moja matka chodziły razem do szkoły. Pozwoliła mi zatrzymać się u siebie na parę miesięcy, to wszystko.

Spytali panwałę^[5] o drogę i podążyli wskazaną ulicą. Omprakash nadal był trochę nieufny.

– Jeśli zatrzymujesz się u niej na kilka miesięcy, to gdzie twój kufer i wszystkie kłopoty? Masz tylko dwie książki?

– Dzisiaj się tylko przedstawię. W przyszłym miesiącu przeniosę rzeczy z akademika.

Minęli żebraka spoczywającego w półleżącej pozycji na niedużej drewnianej platformie na kółkach, które utrzymywały ją cztery cale nad ziemią. Żebrak nie miał ani jednego palca u dłoni, a jego nogi zostały amputowane tuż przy poślankach.

– O babu, ek pajsas da-re! – zaśpiewał, potrząsając blaszaną puszką trzymaną między zabandażowanymi dłońmi. – O babu! Haj babu! Are babu, ek pajsas da-re^[6]!

– To jeden z najgorszych przypadków, jakie widziałem, odkąd przyjechalismy do miasta – powiedział Ishvar, a dwaj pozostali przytaknęli. Omprakash przystanął i wrzucił monetę do puszeki.

Przeszli przez jezdnię i jeszcze raz spytali o drogę.

– Od dwóch miesięcy mieszkam w tym mieście – powiedział Maneck – ale jest takie wielkie, że wszystko się człowiekowi miesza. Rozpoznaję tylko niektóre największe ulice. Małe przecznice wyglądają tak samo.

– My tu siedzimy sześć miesięcy i ciągle mamy z tym problem. Na początku byliśmy całkiem zagubieni. Za pierwszym razem nie udało się nam nawet wsiąść do pociągu i przepuściliśmy ze dwa czy trzy, zanim nauczyliśmy się rozpychać.

Maneck odparł, że nienawidzi tego miasta i nie może się doczekać, aż w przyszłym roku po skończeniu college'u wróci do swojego domu w górach.

– My też przyjechalismy tylko na krótko – powiedział Ishvar. – Zarobimy trochę pieniędzy i wrócimy do naszej wioski. Na co komu takie wielkie miasto? Hałas i tłum, mieszkać nie ma gdzie, wody mało, wszędzie śmieci. Potworność.

– Nasza wioska jest daleko stąd – wyjaśnił Omprakash. – Żeby do niej dotrzeć, trzeba jechać cały dzień pociągiem, od rana do nocy.

– I dotrzemy do niej, a jak! – dorzucił Ishvar. – Nie ma to jak rodzinne strony.

– Mój dom jest na północy – powiedział Maneck. – Trzeba jechać dzień i noc i potem jeszcze jeden dzień. Z okien naszego domu widać zaśnieżone szczyty górskie.

– Koło naszej wioski płynie rzeka – rzekł Ishvar. – Człowiek widzi jej lśnienie i słyszy jej śpiew. Piękne miejsce.

Przez chwilę szli w milczeniu, zajęci myślami o domu. Omprakash przerwał ciszę, wskazując na stoisko z sorbetem arburowym.

– To byłoby coś w sam raz na taki upał.

Sprzedawca mieszał chochlą w balii, pobrzękując kawałkami lodu unoszącymi się w morzu ciemnej czerwieni.

– Napijmy się – powiedział Maneck. – Wygląda pysznie.

– My nie – odpowiedział szybko Ishvar. – Rano jedliśmy duże śniadanie. – Omprakash starł z twarzy wyraz tęsknoty.

– No dobra – przystał Maneck bez przekonania, zamawiając jedną dużą szklanę. Przyjrzał się uważnie krawcom, którzy stali z odwróconymi oczami, nie patrząc na kuszącą balię ani na jego zmrożoną szklanę. Mieli zmęczone twarze, ubogą odzież, znoszone sandały.

Wypił połowę.

– Już nie mogę. Chcecie?

Pokręcili głowami.

– Inaczej się wyleje.

– Dobra, brachu, skoro masz wylać... – odrzekł Omprakash i wziął sorbet. Wypił kilka łyków, resztę podał stryjowi.

Ishvar opróżnił szklanę i zwrócił sprzedawcy.

– Pyszne było – oznajmił z promiennym uśmiechem zadowolenia. – To naprawdę miłe, że się z nami podzieliłeś, bardzo nam smakowało, dziękujemy.

Bratanek posłał mu strofujące spojrzenie, by tamten opamiętał się nieco.

Tyle wdzięczności za jeden mały sorbet, pomyślał Maneck. Obaj sprawiali wrażenie złaknionych zwykłej życzliwości.

•

Do drzwi werandy była przymocowana mosiężna tabliczka: *Państwo Rustomowie K. Dalal*, na której litery wzbogacała wieloletnia warstwa patyny. Posłyszawszy dzwonek, Dina Dalal otworzyła drzwi i przyjęła wymiętoszony skrawek papieru, na którym rozpoznała własne pismo.

– Jesteście krawcami?

– Han-dzi^[Z] – powiedział Ishvar, żywo potakując głową.

Na jej zaproszenie wszyscy trzej weszli na werandę i stali tam zakłopotani.

Weranda, która niegdyś była otwartą galerią, została przekształcona w dodatkowy pokój za czasów dzieciństwa zmarłego męża Diny Dalal – w zamyśle jego rodziców dodatkowa izdebka miała służyć jako pokój dziecienny. Portyk zamurowano i wyposażono w osłonięte żelazną kratą okienko.

– Ale ja potrzebuję tylko dwóch krawców – powiedziała Dina Dalal.

– Przepraszam, nie jestem krawcem. Nazywam się Maneck Kohlah. – Maneck

wysunął się naprzód zza pleców Ishvara i Omprakasha.

– Ach, to ty jesteś Maneck! Witaj! Przepraszam, nie miałam jak cię rozpoznać. Całe lata nie widziałam twojej mamy, a ciebie to w ogóle nigdy.

Pozostawiła krawców na werandzie i wprowadziła go do środka, do frontowego pokoju.

– Zaczekaj tu parę minut, a ja tymczasem zajmę się tymi dwoma, dobrze?

– Pewnie.

Maneck zlustrował obskurny wystrój: sfatygowaną kanapę, dwa fotele ze złachanymi siedzeniami, odrapany stolik na trzech nogach, stół kuchenny przykryty spękana, wyblakłą ceratą. To niemożliwe, żeby ona tu mieszkała – uznał. – Pewnie to rodzinny interes, pokoje do wynajęcia. Ściany prosiły się, by je odmalować. Patrzył na poplamiony, spłowiały tynk i tak jak przyglądając się chmurom na niebie, wyobrażał sobie zwierzęta i krajobrazy: psy podające sobie łapę, pikującego jastrzębia, mężczyznę z laską wspinającego się na górę.

Na werandzie Dina Dalal przyglądała czarne włosy, wciąż niedotknięte siwizną, i zajęła się krawcami. W wieku czterdziestu dwóch lat czoło miała nadal gładkie, a szesnaście lat życia na własny rachunek nie odcisnęło piętna na jej urodzie, która dawno temu sprawiała, że znajomi jej brata wychodzili ze skóry, by jej zaimponować.

Spytała o ich imiona i doświadczenie krawieckie. Twierdzili, że o damskiej odzieży wiedzą wszystko.

– Potrafimy nawet sami wziąć miarę prosto od klientki i uszyć taki fason, jaki się pani spodoba – oznajmił pewnym tonem Ishvar. Mówił za obu, podczas gdy Omprakash potakiwał.

– Nie będzie żadnych klientek do mierzenia – wyjaśniła Dina. – Będziecie szyc na podstawie papierowych wykrojów. W każdym tygodniu musicie zrobić dwa tuziny, trzy tuziny, ile sobie zażyczy firma, wszystko w jednym fasonie.

– To dziecinnie proste – powiedział Ishvar. – Nie ma sprawy.

– A ty? – zwróciła się do Omprakasha, który przysłuchiwał się z pogardliwą miną. – Nie powiedziałeś ani słowa.

– Mój bratanek odzywa się tylko, żeby zaprotestować – wytłumaczył Ishvar. – Jego milczenie to dobry znak.

Podobała jej się twarz Ishvara, twarz z gatunku tych, które sprawiają, że człowiek czuje się swobodnie i ma chęć pogadać. Ale był też ten typ z zaciśniętymi ustami, który płoszył słowa. Jego podbródek był za mały w porównaniu z resztą twarzy, choć kiedy się uśmiechał, całość zdawała się proporcjonalna.

Przedstawiła warunki zatrudnienia: mają przynieść własne maszyny, a pracować będą na akord.

– Im więcej sukienek uszyjecie, tym więcej zarobicie – powiedziała, a Ishvar

zgodził się, że to uczciwe. Stawki będą ustalane w zależności od trudności wykroju. Początek pracy o ósmej rano, koniec o szóstej po południu – mniej nie wchodzi w grę, ale jak najbardziej mogą pracować dłużej. I nie wolno w pracy żuć betelu ani palić.

– Betelu nie żujemy – powiedział Ishvar. – Ale czasem lubimy sobie zapalić biri^[8].

– Będziecie musieli palić na zewnątrz.

Na takie warunki można było przystać.

– Jaki jest adres pani sklepu? – spytał Ishvar. – Gdzie mamy przynieść maszyny do szycia?

– Tutaj. Jak przyjdziecie w przyszłym tygodniu, to pokażę wam, gdzie je wstawić w pokoju od podwórka.

– Okej-dzi, dziękujemy, na pewno przyjdziemy w poniedziałek.

Wychodząc, zamachali do Manecka.

– Do zobaczenia niebawem.

– Pewnie – odrzekł Maneck, odpowiadając gestem na pozdrowienie. Widząc nieme zapytanie Diny Dalal, wyjaśnił, jak spotkali się w pociągu.

– Musisz bardzo uważać, z kim rozmawiasz – powiedziała. – Nigdy nie wiadomo, na jakich cwaniaczków trafisz. To nie twoja górską wioska.

– Wydawali się bardzo mili.

– Hmm, tak – odparła, zachowując swój osąd dla siebie. Potem jeszcze raz przeprosiła za to, że wzięła go za krawca. – Nie mogłam się porządnie przyjrzeć – stałeś za nimi, a ja mam słaby wzrok.

Jaka ja głupia, pomyślała. Wziąć takiego ślicznego chłopaczka za jakiegoś krawca na pałakowatych nogach. A do tego jaki krzepki. To na pewno zdrowe jedzenie, woda i to słynne górskie powietrze, co to ludzie mówią.

Przyjrzała mu się uważniej, przechylając na bok głowę.

– Minęło ponad dwadzieścia lat, ale rozpoznaję twoją mamę w twojej twarzy. Wiesz, że Aban i ja chodziłyśmy razem do szkoły?

– Tak – odpowiedział, speszony pod przenikliwym wejrzeniem. – Mama napisała mi w liście. Prosiła też, żeby przekazać, że wprowadzę się od przyszłego miesiąca, a ona wyśle pani czek za wynajem.

– Tak, tak, dobrze – odparła, zbywając jego troskę o szczegóły i ponownie zanurzając się w przeszłości. – Za szkolnych czasów były z nas prawdziwe potworki. Była jeszcze trzecia dziewczyna, Zenobia. Jak się dobrałyśmy we trójkę, zaczynały się kłopoty przez wielkie „K”, tak mówili nauczyciele. – Wspomnienie ściągnęło na jej twarz tęskny uśmiech. – Mniejsza z tym, chodź, pokażę ci mój dom i twój pokój.

– To pani tu mieszka?

– A gdzie niby?

Prowadząc go przez zapuszczone mieszkanko, spytała, co studiuje.

– Chłodnictwo i klimatyzację.

– No to mam nadzieję, że coś zrobisz z tym upałem, żeby w domu dało się oddychać.

Uśmiechnął się blado, przygnębiony lokum, które zamieszkiwała. Niewiele tu lepiej niż w akademiku – pomyślał. A mimo to wyczekiwał przeprowadzki. Każde miejsce by się nadało, po tym, co się tam wydarzyło. Wzdrygnął się i spróbował myśleć o czymś innym.

– To będzie twój pokój.

– Bardzo przyjemny. Dziękuję, pani Dalal.

W rogu była szafa, na jej szczycie leżała zdefasonowana walizka. Obok szafy stało biurczko. Tu także, podobnie jak we frontowym pokoju, sufit był ciemny i złuszczony, a na spłowiałych ścianach tu i ówdzie brakowało kawałków tynku. Gdzieś niedawno zagipsowane surowe łaty przykuwały wzrok jak świeżo zagojone rany. Dwa jednoosobowe łóżka pod ścianami tworzyły kąt prosty. Maneck zastanawiał się, czy będzie spała w tym samym pokoju.

– Jedno łóżko przestawię dla siebie do drugiego pokoju.

Zerknął w głąb przez uchylone drzwi i zobaczył pokój jeszcze ciasniejszy i bardziej zaniedbany, w którym tłoczyły się szafa (na niej również leżała walizka), rachityczny stolik, dwa krzesła i trzy podrzewiałe kufry ułożone jeden na drugim na kobyłkach.

– Zabieram pani jej pokój – wymamrotał Maneck. Wnętrze działało na niego coraz bardziej przygnębiająco.

– Nie gadaj głupstw – jej głos brzmiał dziarsko. – Szukałam sublokatora i mam wielkie szczęście, że trafił mi się miły parsyjski^[9] chłopiec, syn mojej koleżanki ze szkoły.

– To bardzo miłe z pani strony, pani Dalal.

– I jeszcze jedno. Mów mi „ciociu Dino”.

Maneck kiwnął głową.

– Możesz się sprowadzać, kiedy chcesz. Jeśli w akademiku ci źle, ten pokój jest gotowy. Nie musimy czekać do jakiejś specjalnej daty w przyszłym miesiącu.

– Nie, nie trzeba, ale dziękuję, pani...

– Uważaj!

– Chciałem powiedzieć: ciociu Dino.

Uśmiechnęli się.

•

Kiedy Maneck wyszedł, zaczęła krzątać się po pokoju, nagle rozgorączkowana,

jak gdyby lada chwila wyruszała w długą podróż. Nie musi już iść do brata i błagać o pieniądze na czynsz za przyszły miesiąc. Odetchnęła głęboko. Raz jeszcze udało się jej zachować kruchą niezależność.

Nazajutrz miała przynieść do domu pierwszą partię szycia z Au Revoir Exports.

[2] *Dhaba* – przydrożna jadłodajnia lub restauracja.

[3] Naksalici – zbiorowe określenie obejmujące różne maoistowskie ugrupowania polityczne działające w Indiach od przełomu lat 60. i 70. XX wieku. Nazwa pochodzi od miejscowości Naksalbari w Bengalu Zachodnim, w której Komunistyczna Partia Indii wywołała w 1967 roku powstanie chłopskie. Dziś naksalici działają przede wszystkim na lesistych terenach stanów Orisa, Andhra Pradeś, Chattisgarh i Dźharkhand.

[4] Ram, Ram – wezwanie do hinduskiego boga Ramy.

[5] *Panwala* – sprzedawca betelu; pan – betel, popularna w Indiach używka o działaniu orzeźwiającym, podawana po posiłku. W jej skład wchodzi liście betelu (krzewu z rodziny pieprzowatych), nasienie areki, mleko wapienne, goździki i inne przyprawy. Barwi wargi na czerwono, a zęby z czasem na czarno.

[6] O babu... – „Panie, daj mi jedną pajsę”; pajs – jedna setna rupii. Żebrak prawdopodobnie śpiewa popularną piosenkę z filmu *Vachan* (1955, reż. Raj Rishi).

[7] *Han* – tak; *dźi* – sufiks wyrażający szacunek, dodaje się go najczęściej do imion lub nazwisk; tu jest dodatkowym wyrazem grzeczności wobec rozmówcy.

[8] *Biri* – tanie papierosy z nieobrobionego tytoniu, cygaretki, zwykle palone przez biedaków i ludzi ze wsi.

[9] Parsowie – nazwą tą określa się członków grupy etniczno-religijnej w Indiach, będących wyznawcami zaratusztrianizmu (zoroastryzmu). Są to potomkowie emigrantów perskich, którzy po podboju Persji przez Arabów nie przeszli na islam i na skutek prześladowań religijnych pomiędzy VII a XII wiekiem przenieśli się do Indii. Mieszkają głównie w Bombaju oraz w stanach Gudźarat i Maharasztra.

1 MIASTO NAD MORZEM

Dina Dalal nieczęsto pozwalała sobie na to, by z żalem bądź goryczą patrzeć wstecz na swoje życie lub też zastanawiać się, dlaczego sprawy potoczyły się tak, jak się potoczyły, okradając ją ze świetlanej przyszłości, jaką jej wrózano za czasów szkolnych, kiedy nazywała się jeszcze Dina Shroff. Jeśli zaś zdarzyło się jej zatopić w jednym z tych rzadkich nastrojów, szybko wypływała z niego na powierzchnię. Po lichu powtarzać w kółko tę samą historię – pytała samą siebie – skoro i tak zawsze kończy się tak samo; nieważne, który korytarz wybrała, zawsze na koniec trafiała do tej samej komnaty.

Ojciec Diny był medykiem, prowadzącym skromny gabinet, lekarzem rodzinnym, który przestrzegał przysięgi Hipokratesa z nieco większą gorliwością niż inni przedstawiciele jego fachu. We wczesnych latach kariery doktora Shroffa poświęcenie, z jakim oddawał się pracy, zostało przez rówieśników, rodzinę i starszych kolegów zdiagnozowane jako typowy dla młodych zapal i wigor.

– Cóż za powiew świeżości w tym młodzieńczym entuzjazmie – uśmiechali się, kiwając mądrze głowami, pewni, że czas i rodzinne obowiązki przygaszą idealistyczne płomienie zdrową dawką cynizmu.

Ale małżeństwo, narodziny syna, a w jedenaście lat później córki, nie zmieniły ani na jotę nastawienia doktora Shroffa. Z biegiem czasu brak równowagi między jego żarliwą chęcią niesienia ulgi cierpiącym a pragnieniem zapewnienia sobie godziwego zarobku jedynie się pogłębił.

– Cóż za rozczarowanie! – biadali krewni i znajomi, potrząsając głowami. – Takieśmy z nim wiązali nadzieje, a ten dalej haruje jak koncypient, jak jakiś fanatyk, i za nic nie chce zakosztować życia. Biedna pani Shroff. Żadnych wakacji, żadnych przyjęć – żadnych w życiu radości.

W wieku lat pięćdziesięciu jeden, kiedy większość lekarzy zaczęłaby rozważać takie rozwiązania jak praca na pół etatu, zatrudnienie niedrogiego, młodego pomocnika czy wręcz sprzedaż gabinetu i przejście na wczesną emeryturę, doktor Shroff nie miał ani środków na koncie, ani skłonności do podobnych fanaberii. Zamiast tego zgłosił się na ochotnika, by poprowadzić ekspedycję absolwentów medycyny wyruszającą do dystryktów położonych w głębi kraju. Cholera i dur brzuszny, nie niepokojone przez naukę i technikę, zbierały tam swoje rutynowe żniwo wśród mieszkańców wiosek – doktor Shroff miał powstrzymać śmiertcionośne sierpy albo przynajmniej je przytępić.

Tymczasem pani Shroff podjęła kampanię, mającą za cel wyperswadowanie małżonkowi wyprawy, która jej zdaniem zmierzała w kleszcze pewnej śmierci. Próbowła pokierować Diną, by wpłynęła na ojca. Bądź co bądź dwunastoletnia córka była oczkiem w głowie tatusia. Pani Shroff zdawała sobie sprawę, że jej syn Nusswan na nic się tu nie przyda. Zwerbowanie go pogrzebałoby wszelkie nadzieje na to, że mąż zmieni decyzję.

Punkt zwrotny w relacjach ojca z synem miał miejsce siedem lat wcześniej, w szesnaste urodziny Nusswana. Wujków i ciotce zaproszono na kolację, na której ktoś powiedział:

– I co, Nusswanie? Niedługo pójdziesz na studia medyczne, żeby zostać lekarzem jak ojciec.

– Nie chcę być lekarzem – odparł Nusswan. – Zajmę się interesami. Import-eksport.

Część wujków i ciotek pokiwała z aprobatą głowami. Inni wzdrygnęli się z udawanym przerażeniem, zwracając się do doktora Shroffa:

– Czy to prawda? Nie będzie spółki ojciec i syn?

– Naturalnie – odpowiedział. – Moim dzieciom wolno robić, co im się spodoba.

Ale pięcioletnia Dina dostrzegła ból na twarzy ojca, zanim zdążył go ukryć. Podbiegła do niego i wspięła mu się na kolana.

– Tatusiu, jak ja będę duża, to zostanę lekarzem tak jak ty.

Wszyscy zaśmiali się i przyklasnęli. Sprytna dziewczynka, orzekli, wie, jak dostać to, na czym jej zależy. Później szeptali między sobą, że syn najwyraźniej nie jest ulepiony z tej samej twardej gliny co ojciec – żadnej ambicji, daleko nie zajdzie.

W następnych latach Dina powtarzała swoje życzenie i w dalszym ciągu postrzegała ojca jako kogoś w rodzaju boga, który obdarowuje ludzi dobrym zdrowiem, zwalcza choroby, a niekiedy potrafi na jakiś czas pokrzyżować plany śmierci. Doktor Shroff był zachwycony swoim bystrym dzieckiem. Na wywiadówkach w szkole klasztornej^[10] dyrektorka i nauczyciele nie mogli się jej nachwalić. Jeśli zechce, to daleko zajdzie. Doktor Shroff był o tym przekonany.

Również pani Shroff była przekonana, że to właśnie córkę należy zaprząć do kampanii skierowanej przeciw głupim filantropijnym planom pracy w odległych, zapomnianych przez Boga wioskach. Ale Dina odmówiła współpracy; nie pochwaliała użycia podstępnych środków w celu zatrzymania ukochanego ojca w domu.

Wówczas pani Shroff uciekła się do innych metod. Nie wspominała o pieniądzach, jego własnym bezpieczeństwie ani rodzinie, gdyż wiedziała, że argumenty te nie zdadzą się na nic. Zamiast tego odwołała się do dobra jego pacjentów i orzekła, że doktor Shroff ich porzuca – starych, słabych i bezsilnych.

– Co poczną, jeśli wyjedziesz tak daleko? Ufają ci i polegają na tobie. Jak możesz być taki okrutny? Nie masz pojęcia, ile dla nich znaczysz.

– Nie w tym rzecz – odparł doktor Shroff.

Znajome były mu wszystkie pokrętne argumenty, do jakich żona, powodowana miłością, skłonna była uciec się. Cierpliwie wyjaśnił, że w mieście są nieprzebrane zastępy lekarzy, którzy poradzą sobie ze wszystkimi dolegliwościami i bólami. Pocieszył ją, że chodzi jedynie o tymczasowe stanowisko, przy czym całował ją i przytulał znacznie więcej, niż miał w zwyczaju.

– Obiecuję, że niedługo wrócę – uspokajał. – Zanim zdążysz przywyknąć do mojej nieobecności.

Ale doktorowi Shroffowi nie było dane dotrzymać obietnicy. Po trzech tygodniach kampanii medycznej nie żył już, nie wskutek cholery czy duru brzuszego, a z powodu ukąszenia kobry, które dosięgło go z dala od życiodajnej surowicy.

Pani Shroff przyjęła tę wieść ze spokojem. Znajomi tłumaczyli to tym, że jako żona lekarza była bardziej oswojona ze śmiercią niż inni ludzie. W końcu doktor Shroff nieraz musiał się z nią dzielić smutnymi wiadomościami na temat swych pacjentów, była więc przygotowana na to, co nieuniknione.

Kiedy dziarsko zabrała się do przygotowań pogrzebowych i doglądała wszystkiego z niezrównaną skutecznością, zastanawiano się, czy w jej zachowaniu nie ma czegoś odrobinę nienormalnego. Wysupływała z torebki fundusze na pokrycie rozmaitych wydatków, a w przerwach przyjmowała kondolencje, pocieszała pogrążonych w żalu krewnych, pilnowała lampki olejnej u wezłowia doktora Shroffa, prała i prasowała swoje białe sari i upewniała się, że w domu nie zabraknie kadzidła i drewna sandałowego. Osobiście wydała kucharce dyspozycje w sprawie specjalnego wegetariańskiego posiłku na następny dzień.

Minęły cztery dni uroczystości pogrzebowych, a Dina wciąż płakała. Pani Shroff, zajęta podliczaniem kosztów za salę modlitw w wieżach milczenia^[11], rzuciła mimochodem:

– No już, córko, bądźże rozsądna, tacie by się to nie podobało.

Dina ze wszystkich sił starała się opanować. Wypisując czek, pani Shroff ciągnęła dalej obojętnym tonem.

– Mogłaś go powstrzymać, gdybyś zechciała. Ciebie by posłuchał.

Szloch Diny wybuchły z nową siłą. Był w nich nie tylko żal po ojcu, ale również gniew na matkę, wręcz nienawiść. Miało minąć kilka miesięcy, zanim pojęła, że w tamtych słowach nie było złośliwości ani oskarżenia, a jedynie proste stwierdzenie tego, co matka postrzegała jako fakt.

Minęło sześć miesięcy od śmierci doktora Shroffa, kiedy pani Shroff, dotąd

filar, na którym każdy mógł się wesprzeć, zaczęła stopniowo słabnąć. Wycofywała się z codziennego życia i coraz mniej uwagi poświęcała prowadzeniu domu oraz sobie samej.

Dla Nusswana, który liczył lat dwadzieścia trzy i był pochłonięty planowaniem swojej przyszłości, nie robiło to dużej różnicy. Ale dwunastoletniej Dynie brakowało obecności rodzica w ciągu następnych paru lat. Tęskniła straszliwie za ojcem, a zobojętnienie matki znacznie pogorszyło sytuację.

•

W chwili śmierci ojca Nusswan Shroff od dwóch lat prowadził własny interes. Nadal był kawalerem, mieszkał w rodzinnym domu i oszczędzał pieniądze, rozglądając się jednocześnie za odpowiednim mieszkaniem i odpowiednią małżonką. Kiedy ojciec odszedł, a matka zamknęła się w sobie, uznał, że poszukiwanie mieszkania jest zbędne, natomiast małżonki – pilne.

Objął tedy rolę głowy rodziny i opiekuna prawnego Diny. Wszyscy krewni zgodzili się, że tak być powinno. Chwalili jego wspaniałomyślność i przyznawali, że mylnie ocenili jego możliwości. Przejął także kontrolę nad rodzinnymi finansami, obiecując, że matce i siostrze niczego nie zabraknie; miał łożyć na nie z własnych zarobków. Ale już gdy wypowiadał te słowa, wiedział, że to nie będzie konieczne. Wystarczyły pieniądze ze sprzedaży gabinetu doktora Shroffa.

Pierwsza decyzja, którą Nusswan podjął jako głowa rodziny, dotyczyła ograniczenia wydatków na pomoce domowe. Kucharka, która przychodziła na pół dnia i przyrządzała dwa główne posiłki, została; Lily, służącą mieszkającą w domu na stałe, zwolniono.

– Nie możemy dalej pozwalać sobie na takie luksusy – oznajmił. – Nie stać mnie na pensje.

Pani Shroff wyraziła pewne wątpliwości.

– Kto się zajmie sprzątaniami? Moje ręce i nogi nie są już tak sprawne jak dawniej.

– Nie przejmuj się, mammo, podzielimy się obowiązkami. Ty możesz wykonywać lżejsze prace, na przykład odkurzać meble. Każdy będzie zmywać po sobie filiżanki i spodeczki. A Dina jest młoda i pełna energii. Dobrze jej zrobi, jak się nauczy prowadzić dom.

– Ano może masz rację – odpowiedziała pani Shroff, nie całkiem przekonana o konieczności oszczędzania.

Dina wiedziała jednak, że chodzi o coś jeszcze. Tydzień wcześniej, kiedy dobrze po północy przechodziła obok kuchni w drodze do ubikacji, zobaczyła swojego brata i ayah^[12]: Lily siedziała na skraju kuchennego stołu ze stopami opartymi o jego krawędź; Nusswan z piżamą opuszczoną do kostek stał między jej nogami,

obejmując i przyciskając do siebie jej biodra. Dina popatrzyła z sennym zaciekawieniem na jego nagie pośladki, a potem, nie skorzystawszy z toalety, z zaczerwienionymi policzkami ukradkiem wróciła do łóżka. Widocznie zabawiła jednak o chwilę zbyt długo, ponieważ Nusswan ją zobaczył.

Na ten temat nie padło ani jedno słowo. Lily odeszła (ze skromną odprawą, o której nie wiedziała pani Shroff), a na odchodnym oświadczyła ze łzami w oczach, że już nigdy nie znajdzie drugiej tak miłej rodziny. Dina żałowała jej, ale i nią gardziła.

Później w gospodarstwie domowym zapanowały nowe porządki. Wszyscy podjęli uczciwe starania. Eksperyment z samowystarczalnością wydawał się dobrą zabawą.

– To trochę jak wyjazd na biwak – powiedziała pani Shroff.

– I to jest bardzo dobre podejście – przytaknął Nusswan.

Z biegiem dni Dinie przybywało obowiązków. Na znak współpracy Nusswan przed wyjściem do biura nadal zmywał swoją filiżankę, spodek i talerz po śniadaniu. Poza tym nie robił nic.

Pewnego ranka, przełknąwszy ostatni łyk herbaty, powiedział:

– Bardzo już późno. Dino, pozmywaj, proszę, moje naczynia.

– Nie jestem twoją służącą! Sam sobie zmywaj swoje brudne talerze! – chlusnęły z niej tygodnie tłumionej urazy. – Powiedziałeś, że każdy będzie sprzątał po sobie, a teraz zostawiasz mi wszystkie swoje śmierdzące bety!

– Proszę, proszę, jaka tygryszka – droczył się rozbawiony Nusswan.

– Nie wolno tak mówić do starszego brata – skarciła ją łagodnie pani Shroff. – Pamiętaj, musimy się dzielić, i to po równo.

– On oszukuje! Sam nic nie robi! Wszystko na mojej głowie!

Nusswan uściskał matkę – do widzenia, mamó – i po przyjacielsku klepnął Dinę w ramię na zgodę. Odsunęła się od niego.

– Tygryszka dalej się złości – powiedział i wyszedł do biura.

Pani Shroff starała się ułagodzić Dinę, obiecując, że później przedyskutuje sprawę z Nusswanem i może przekona go, by nająć dochodzącą ayah, ale jej determinacja stopniała w ciągu paru godzin. Wszystko zostało po staremu. Z upływem kolejnych tygodni pani Shroff zamiast przywrócić sprawiedliwość pod swoim dachem, sama zaczęła się zmieniać w jedną z prac domowych na wiecznie wydłużającej się liście obowiązków swojej córki.

Teraz pani Shroff trzeba było mówić, co ma robić. Kiedy postawiono przed nią posiłek, zjadała go, choć niewiele z tego było pożytku, gdyż ciągle traciła na wadze. Należało przypominać jej o kąpieli i zmianie ubrań. Zęby myła, jeżeli pastę do zębów wyciśnięto z tubki i podano jej na szczoteczce. Najbardziej nieprzyjemnym z zadań Diny było pomaganie matce w myciu włosów – wypadaly

pękami na podłogę, a kolejne szły ich śladem, kiedy ją czesała.

Raz w miesiącu pani Shroff udawała się do świątyni ognia na modlitwy za męża. Mówiła, że czuje wielką ulgę, gdy słyszy kojący głos starego dastura^[13] Framjiego wznoszącego błagania za duszę jej męża. W obawie, że matka gdzieś się zabłąka, Dina opuszczała szkołę, by jej towarzyszyć.

Przed rozpoczęciem ceremonii dastur Framji z obłudną sympatią ścisnął dłoń pani Shroff, a Dinę długo przytulał w sposób zarezerwowany dla dziewczynek i młodych kobiet. Sława obłąpiacza i podszcypywacza przyniosła mu przydomek dastura Dab-Ćhaba^[14], a ponadto wrogość kolegów, którzy patrzyli krzywo nie tyle na jego postęпки, co na brak subtelności w jego poczynaniach, na to, że nawet nie próbował udawać, że jego uściski wyrażają ojcowską czy kapłańską troskę. Obawiali się, że pewnego dnia posunie się zbyt daleko, obślini którąś ze swoich ofiar lub zrobi coś gorszego i przyniesie hańbę świątyni ognia.

Dina z odrazą poddawała się takim zabiegom, a on kładł jej dłoń na głowie, dotykał jej szyi, głaskał po plecach i garnął ją do siebie. Miał bardzo krótką brodę, szorstki zarost podobny do włókien kokosowych, który drapał jej policzki i czoło. Puszczal ją dokładnie w chwili, gdy zebrała w sobie dość odwagi, by wyrwać się z jego objęć.

Po powrocie ze świątyni ognia Dina przez resztę dnia starała się skłonić matkę do mówienia, prosiła o radę w kwestii prac domowych lub przepisów, a gdy to zawodziło, wypytywała o tatę i czasy, gdy wiedli życie nowożeńców. Rozmarzone milczenie matki pozostawiało Dinę w poczuciu bezsilności. Wkrótce nad troską o matkę górę wziął młodzieńczy instynkt – w swoim czasie na pewno i ona dostanie własną porcję bólu i zgryzoty, nie trzeba przedwcześnie obarczać się tym jarzmem.

Pani Shroff wydawała z siebie monosylaby i westchnienia, i wlepiła oczy w twarz Diny, oczekując odpowiedzi. Jeśli chodzi o ścieranie kurzów, ograniczała się do przetarcia ramki, w którą oprawiona była fotografia jej męża wykonana z okazji zakończenia studiów. Większość czasu spędzała wyglądając przez okno.

Nusswan wolał widzieć w rozkładzie matki przystojącą wdowę ascezę, w ramach której strząsała z siebie nędzną życiową powłokę, by oddać się sprawom duchowym. Skupił się na wychowaniu Diny. Myśl o ogromnej odpowiedzialności ciążyącej na jego barkach trapiła go bez ustanku.

Ojca postrzegał zawsze jako zwolennika surowej dyscypliny; podziwiał go, a nawet trochę się go bał. Uznał, że aby wejść w rolę ojca, sam powinien budzić w innych taki sam lęk i regularnie modlił się o odwagę i pomoc w tym zadaniu. Krewnym – wujkom i ciotkom – zwierzył się, że buntownicze usposobienie Diny i jej upór doprowadzają go do szaleństwa i jedynie pomoc Wszchemogącego daje mu siłę, by trwać w swoim obowiązku.

Jego szczerość ich wzruszyła. Przyrzekli także modlić się za niego.

– Nie przejmuj się, Nusswanie, wszystko będzie dobrze. Zapalimy lampkę w świątyni ognia.

Pokrzepiony ich wsparciem Nusswan zaczął raz w tygodniu zabierać Dinę do świątyni ognia. Tam wpychał jej w dłoń pałeczkę drewna sandałowego i cierpkim szeptem napominał:

– A teraz módl się jak należy, prosz Boga, żebyś była dobrą dziewczynką, prosz Go, by cię nauczył posłuszeństwa.

Kiedy Dina składała pokłony przed świętym ogniem, Nusswan przechadzał się wzdłuż zewnętrznej ściany obwieszanej wizerunkami dasturów i innych wysokich kapłanów. Sunął od jednego obrazka do drugiego, gładził dłonią kwietne girlandy, dotykał ram, składał pocałunki na szybach. Na koniec stawał przed bardzo wysokim obrazem Zaratusztry, do którego przyklejał się ustami na całą minutę. Później czerpał garść popiołu z naczynia stojącego przy wejściu do pomieszczenia, w którym płonął święty ogień, rozsmarowywał szczyptę na czole, mazał gardło następną porcją, a potem rozpiąwszy dwa górne guziki od koszuli, wcierał resztę w klatkę piersiową.

Jakby to był talk, pomyślała Dina, która z pochyloną głową obserwowała go kątem oka, ze wszystkich sił starając się pohamować śmiech. Nie unosiła głowy, póki nie dokończył swoich błazeństw.

– Modliłaś się jak należy? – pytał, kiedy wychodzili na zewnątrz.

Potakiwała.

– Dobrze. Teraz wszystkie złe myśli opuszczą twoją głowę, a w sercu poczujesz ciszę i spokój.

•

W czasie wakacji Dinie nie wolno było odwiedzać przyjaciółek.

– Nie ma takiej potrzeby – orzekł Nusswan. – Widzisz je codziennie w szkole.

Koleżanki mogły przyjść do niej z wizytą, jeśli on wcześniej wydał na to pozwolenie, ale średnia to była zabawa, ponieważ zawsze krążył gdzieś w pobliżu.

Raz podsłuchał, jak w sąsiednim pokoju razem ze swoją przyjaciółką Zenobią natrząsała się z jego zębów. Utwierdziło go to tylko w przekonaniu, że małe diablance potrzebują nadzoru. Zenobia orzekła, że wygląda jak koń.

– Aha, jak koń z tanią sztuczną szczęką – dorzuciła Dina.

– Słoń nie powstydzilby się takich kłów – Zenobia, podbijała stawkę.

Kiedy wszedł do pokoju, pokładały się ze śmiechu. Przeszył każdą wściekłym spojrzeniem, potem w złowróbnym milczeniu wolno się obrócił i wyszedł, pozostawiając za sobą ciszę i przygnębienie. To działa, zauważył z zaskoczeniem

i triumfem. Strach działa.

Nusswan zawsze był czuły na punkcie swoich krzywych zębów i jako nastolatek próbował je naprostować. Dina, która miała wtedy ledwie sześć czy siedem lat, droczyła się z nim bez litości. Kuracja ortodontyczna była jednak zbyt bolesna, toteż zarzucił ją, i odtąd skarżył się, że chociaż ma lekarza za ojca, to, o dziwo, o jego przypadłość nie zatroszczono się w dzieciństwie. Jako dowód stronniczości wskazywał idealne uzębienie Diny.

Widząc, że go to gnębi, matka tłumaczyła mu:

– To wszystko moja wina, synu, nie wiedziałam, że dzieciom trzeba codziennie masować zęby, delikatnie uciskać je do środka. Stara piastunka Diny nauczyła mnie tej sztuczki, ale dla ciebie było już za późno.

Nusswan nigdy nie dał się przekonać. Teraz, kiedy jej przyjaciółka wyszła, Dinie przyszło zapłacić. Kazał powtórzyć jej, co mówiły. Odważnie spełniła polecenie.

– Zawsze gadałaś, co ci ślina przyniosła na twój niewyparzony język. Ale już nie jesteś dzieckiem. Ktoś musi nauczyć cię szacunku. Przypuszczam, że to mój obowiązek – westchnął i zniemacka uderzył ją w twarz, a potem jeszcze raz i jeszcze. Przestał, kiedy z rozciętej dolnej wargi połała się krew.

– Świnia! – wyszlochała. – Chcesz mnie oszpecić, żebym wyglądała tak jak ty!

Na te słowa Nusswan chwycił linijkę i zaczął okładać Dinę gdzie popadło, podczas gdy ona biegała w kółko, starając się uciec przed ciosami.

Tym razem pani Shroff zorientowała się, że coś jest nie tak.

– Dlaczego płaczesz, córko?

– To przez tego głupiego Drakulę! Uderzył mnie, aż mi krew poszła!

– Ćśśś, moje biedne dziecko – przytuliła Dinę, po czym wróciła na swoje siedzisko przy oknie.

Dwa dni po sprzeczce Nusswan przyniósł Dinie na zgodę kilka różnobarwnych wstążek.

– Będą ślicznie wyglądać w twoich warkoczach – powiedział.

Sięgnęła po szkolną torbę, wyjęła nożyczki używane na plastyce i pocięła wstążki na drobne kawałeczki.

– Spójrz mammo! – zawołał Nusswan nieomal ze łzami w oczach. – Spójrz na swoją mściwą córkę. Wydaję na nią ciężko zarobione pieniądze i proszę, jak mi się odwdzięcza.

Linijka stała się ulubionym instrumentem Nusswana w batalii o dyscyplinę. Najczęściej Dinie obrywało się za jego ubrania. Kiedy już je uprała, wyprasowała i złożyła, miała je układać u niego w szafie na osobnych stertach: koszule białe, koszule kolorowe, spodnie białe, spodnie kolorowe. Czasami z rozmysłem lokowała prążkowaną koszulę w białym gronie albo umieszczała parę spodni

w pepitkę wśród spodni białych. Pomimo razów nigdy nie traciła okazji, żeby mu dopiec.

– Skandalicznie się zachowuje. Chyba sam Szatan skrył się w jej sercu – skarżył się udreńczonym tonem Nusswan do krewnych, którzy pytali o nowiny. – Może powinienem wysłać ją po prostu do szkoły z internatem.

– Nie, nie, to drastyczny krok, nie rób tego – błagali. – Szkoła z internatem doprowadziła do upadku niejedną parsyjską dziewczynę. Bądź dobrej myśli, Bóg odplaci ci za twoją cierpliwość i oddanie. A i Dina sama ci podziękuje, kiedy dorośnie i zrozumie, że to dla jej własnego dobra.

Odchodząc, szeptali między sobą, że ten człowiek to istny święty i każda dziewczyna powinna dostąpić szczęśliwego losu, jakim było posiadanie takiego brata jak Nusswan.

Pokrzepiony ich zachętami Nusswan nie dawał za wygraną. Kupował wszystkie ubrania Diny i decydował, co jest odpowiednim strojem dla młodej dziewczyny. Nabytki były zwykle niedopasowane, ponieważ Dina nie miała prawa towarzyszyć mu w zakupach.

– Nie życzę sobie męczących sporów w obecności subiekta – powiedział. – Zawsze mi przynosisz wstyd.

Kiedy potrzebowała nowego mundurka, towarzyszył jej do szkoły w dniu, w którym przychodzili krawcy, aby nadzorować przymiarki. Wypytywał krawców o stawki i tkaniny, próbując wyliczyć łapówki zgarniane przez dyrektorę. Dina bała się jak ognia dorocznej ceremonii i snuła myśli o tym, jakie to nowe upokorzenia spadną na nią w obecności innych uczennic.

Wszystkie jej koleżanki z klasy nosiły teraz krótkie włosy i Dina błagała, by i jej dozwolony był ten przywilej.

– Jeśli dasz mi ściąć włosy, to będę codziennie myć jadalnię zamiast co drugi dzień – próbowała się targować. – Albo mogę co wieczór pastować ci buty.

– Nie – odparł Nusswan. – Czternaście lat to za wczesny wiek na wymyślne fryzury. W warkoczach ci do twarzy, a poza tym nie stać mnie na fryzjera.

Ale szybko dodał pastowanie butów do listy jej obowiązków.

W tydzień po ostatniej rozmowie na ten temat z pomocą Zenobii obcięła w szkolnej toalecie warkocz. Zenobia miała ambicję, by zostać fryzjerką i nie posiadała się ze szczęścia, że dobry los zsyła w jej ręce głowę przyjaciółki.

– Obetnijmy całe to siano! – zawołała. – Chodź, ciachniemy naprawdę krótko.

– Zwariowałaś? – spytała Dina. – Nusswan skoczy aż na księżyc.

Ostatecznie stanęło na paziu. Zenobia przystrzygła włosy plus minus na cal powyżej ramion. Końce były wprawdzie nieco wystrzępione, ale dziewczynki i tak wpadły w zachwyty.

Dina wzdragała się przed wyrzuceniem uciętych warkoczy do kosza na śmieci.

Spakowała je do szkolnej torby i pognęła do domu. Z dumą paradowała po mieszkaniu obok kolejnych luster i podziwiała odbicie swojej głowy pod różnym kątem. Później weszła do pokoju matki i czekała – na zachwyt, zdumienie, jakąkolwiek reakcję. Ale pani Shroff nie zauważyła nic.

– Podoba ci się moja nowa fryzura, mamusiu? – spytała wreszcie Dina.

Przez moment pani Shroff wlepiła w nią puste wejrzenie.

– Bardzo ładna, córko, bardzo ładna.

Tego wieczoru Nusswan wrócił do domu późno. Przywitał się z matką i powiedział, że miał mnóstwo pracy w firmie. Potem spostrzegł Dinę. Wciągnął głęboko powietrze i przyłożył dłoń do czoła. Był wycieńczony i marzył o jakimś wyjściu, które pozwoliłoby uniknąć kolejnego starcia. Ale jej bezczelność, jej zuchwałość nie mogły ujść bezkarnie – jak miałby potem spojrzeć na swoje odbicie w lustrze?

– Dino, podejdź tutaj, proszę. Wyjaśnij, dlaczego mnie nie posłuchałaś.

Podrapała się w szyję w miejscu, gdzie ścinki włosów drażniły jej skórę.

– W czym cię nie posłuchałam?

Spoliczkował ją.

– Nie odpowiadaj pytaniem na pytanie.

– Powiedziałaś, że nie stać cię na fryzjera. To nic cię nie kosztowało, sama się ostrzygłam.

Znowu wymierzył jej policzek.

– Nie pyskuj, ostrzegam.

Wyjął linijkę i uderzył ją płazem w dłoń, a potem – ponieważ wykroczenie oceniał jako wyjątkowo poważne – kantem po knykcjach.

– Nie będziesz robić z siebie ladacznicy.

– Widziałeś swoje włosy w lustrze? Wyglądasz jak klaun – Dina nie dała się zastraszyć.

Fryzura Nusswana była w jego mniemaniu wyrazem nobliwej elegancji. Cesał się z przedziałką na środku głowy, a porządek po jego obu stronach zaprowadzał starannie nakładając tłustą pomadę. Docinek siostry rozbudził furję w wyznawcy dyscypliny. Smagając ją linijką po łydkach i ramionach, zapędził ją do łazienki, gdzie zaczął zrywać z niej ubranie.

– Ani słowa więcej! Ani słowa! Dziś przeholowałaś! Obmyj się najpierw, bezecna kreaturo! Spłucz te kłaki, zanim je rozniesiesz po domu i ściągniesz nam na kark nieszczęście!

– Nie martw się, twoja twarz odstraszy każde nieszczęście.

Stała teraz naga na kafelkach, ale on nie wychodził.

– Potrzebuję ciepłej wody – powiedziała.

Cofnął się o krok, zaczerpnął z wiadra kubek zimnej wody i chlusnął na nią.

Drząc, wbiła w niego niepokorny wzrok, jej sutki twardniały. Uszczypnął ją mocno w jeden z nich, odskoczyła.

– No popatrz, piersi ci zaczynają rosnać i już myślisz, że jesteś kobietą. Powinienem je natychmiast odrąbać, razem z twoim kąśliwym językiem.

Przyglądał jej się dziwnie i zaczęła się bać. Pojęła, że jej ostre riposty rozjuszają go, że miało to jakiś związek z tym, jak gapił się na kępkę włosów świeżo wyrosłą w miejscu, gdzie spotykały się jej nogi. Bezpieczniej będzie udać uległość, ugasić jego gniew. Obróciła się tyłem i zakrywszy twarz dłońmi rozplakała się.

Usatysfakcjonowany Nusswan wyszedł z łazienki. W oczy rzuciła mu się jej szkolna torba leżąca na łóżku. Otworzył ją, by przeprowadzić rutynową rewizję i na samym wierzchu odkrył warkocze. Zaciskając zęby, ujął jeden z nich między kciuk i palec wskazujący. Potem w miejsce grymasu złości na jego ustach pojawił się uśmiech.

Kiedy Dina wyszła z łazienki, przyniósł rolkę czarnej taśmy izolacyjnej i przytwierdził jej warkocze do włosów.

– Będiesz je tak nosić – oznajmił. – Każdego dnia, nawet do szkoły, póki ci włosy nie odrosną.

Żałowała, że nie wrzuciła nieszczęsnych warkoczy do szkolnej ubikacji. Miała wrażenie, że na jej głowie dyndały zdechłe szczury.

Nazajutrz rano potajemnie zabrała ze sobą rolkę taśmy do szkoły. Przed wejściem do klasy zdarła warkocze. Zabieg był bolesny, czarna taśma trzymała mocno. Kiedy lekcje dobiegły końca, z pomocą Zenobii przymocowała je z powrotem. Tym sposobem w dni powszednie uchylała się od kary wymierzonej przez Nusswana.

Jednak w kilka dni później, w następstwie Podziału^[15] i odejścia Brytyjczyków w mieście wybuchły zamieszki i Dina musiała siedzieć w domu z Nusswanem. Godzina policyjna obowiązywała wszędzie, dniem i nocą. Wszystkie urzędy, firmy, uczelnie i szkoły zostały zamknięte i nie było chwili wytchnienia od znienawidzonych warkoczy. Pozwalał jej odpinać je wyłącznie na czas kąpieli, a zaraz po niej doglądał ponownej instalacji.

Uwięziony w mieszkaniu Nusswan biadał nad nieszczęściem kraju i pomstował w nieskończoność.

– Każdy dzień spędzony w domu to dzień straconych pieniędzy. Te przekłete dzikusy bez kultury nie zasługują na niepodległość. Jak już muszą się zarzynać na śmierć, to mogliby pójść gdzieś indziej i zająć się tym po cichu. Na przykład u siebie w wioskach. Ale nie, oni rozrabiają w naszym pięknym nadmorskim mieście.

Kiedy godzinę policyjną odwołano, Dina popędziła do szkoły, szczęśliwa jak ptak wypuszczony z klatki, spragniona swojej ośmiogodzinnej bez-Nusswanowej

wolności. On również z ulgą wrócił do biura. W pierwszy wieczór po tym, jak w mieście zapanowała normalność, przyszedł do domu w doskonałym nastroju.

– Godzina policyjna się skończyła i twoja kara też. Możemy już wyrzucić warkocze – oznajmił, a potem dodał wielkodusznie:

– Właściwie dobrze ci z krótkimi włosami.

Otworzył teczkę i wyjął z niej nową opaskę.

– Możesz ją nosić zamiast taśmy – zażartował.

– Sam sobie ją noś – odparła i nie przyjęła prezentu.

•

Trzy lata po śmierci ojca Nusswan ożenił się. W parę tygodni później jego matka na dobre wycofała się z życia. Posłuszny odzew na instrukcje – wstań, wypij herbatę, umyj ręce, weź lekarstwo – zmienił się teraz w mur niezrozumienia.

Zadanie opieki nad nią przerosło możliwości Diny. Gdy dłużej nie można było ignorować zapachu dochodzącego z pokoju pani Shroff, Nusswan nieśmiało poruszył sprawę w rozmowie z żoną. Nie ośmielił się wprost poprosić jej o pomoc, ale liczył, że być może z dobroci serca sama zgłosi się na ochotnika.

– Ruby, kochanie. Z mamą jest coraz gorzej. Potrzebuje wiele uwagi, przez cały czas.

– Umieść ją w domu opieki – poradziła mu Ruby. – Tam będzie jej lepiej.

Przytaknął potulnie i zrobił coś mniej kosztownego, a bardziej ludzkiego niż posłanie matki do magazynu starców – jak niewątpliwie nazwaliby to jacyś niezyczliwi krewni – zgodził pielęgniarkę na pełen etat.

Jej misja nie potrwała długo; pani Shroff zmarła tego samego roku, a ludzie pojęli wreszcie, że żony lekarzy nie są bardziej odporne na zgryzoty niż inni śmiertelnicy. Zmarła w ten sam dzień kalendarza szahenszahi^[16] co jej mąż. Modlitwy za nich odprawiono jednocześnie, w tej samej świątyni ognia; prowadził je dastur Framji. Tymczasem Dina nauczyła się, jak unikać pułapki jego nadmiernie przyjaznych objęć. Kiedy podchodził, wyciągała uprzejmie dłonie i robiła krok wstecz, a potem jeszcze jeden i jeszcze jeden, a on, jako że nie w smak mu było ściganie jej wokół sali modlitw pomiędzy potężnymi kadzielnicami wypełnionymi płonącym drewnem sandałowym, mógł jedynie uśmiechać się głupawo i zrezygnować z pogoni.

Gdy dobiegł końca pierwszy miesiąc uroczystości modlitewnych w intencji pani Shroff, Nusswan zdecydował, że nie ma sensu, by Dina podchodziła do matury. Wyniki na jej ostatnim świadectwie były fatalne. Nie przepuszczono by jej z klasy do klasy, gdyby nie to, że dyrektorka, wierna pamięci doktora Shroffa, wolała widzieć w tych stopniach tymczasowe odstępstwo od normy.

– To bardzo zacne ze strony panny Lamb, że ci udzieliła promocji – powiedział

Nusswan – ale nie zmienia to faktu, że masz beznadziejne stopnie. Nie będę przez kolejny rok marnować pieniędzy na chesne.

– Kazesz mi bez przerwy zmywać i szorować, nie mam nawet godziny dziennie na naukę! Czego się spodziewasz?

– Nie tłumacz się. Co to ma do nauki, że taka silna i zdrowa dziewczyna jak ty pomoże troszkę w domu? Czy ty w ogóle wiesz, jak ci się dobrze powodzi? W tym mieście tysiące biednych dzieci pucują buty na dworcach albo zbierają makulaturę, butelki i plastik, a do tego wieczorami chodzą do szkoły. I ty się skarżysz? Brak ci zapału do nauki, ot co. Koniec, już dosyć się nakształciłaś.

Dina nie zamierzała poddać się bez walki. Żywiła też nadzieję, że żona Nusswana stanie po jej stronie. Ale Ruby wołała nie włączać się do sprzeczki, więc nazajutrz, kiedy posłano ją na targ z listą zakupów, Dina popędziła do domu swojego dziadka.

Dziadek mieszkał z jednym z jej wujków, w pokoju, który pachniał zjełczalym balsamem. Wstrzymała oddech i uściskała go, a następnie w potoku słów wylała swoje żale.

– Dziadku, proszę! Błagam, powiedz mu, żeby przestał mnie tak traktować!

Dziadek postawił już pierwsze kroki na drodze ku demencji starczej, toteż chwilę zajęło mu zorientowanie się, kim właściwie jest Dina, a jeszcze dłużej – zrozumienie, o co jej chodzi. Nie założył sztucznej szczęki, trudno więc było go zrozumieć.

– Podać ci zęby, dziadziu? – zaproponowała Dina.

– Nie, nie, nie – uniósł ręce i zamachał nimi w powietrzu. – Żadnych zębów. Wszystkie wykoślawione, tylko sprawiają mi ból. Nicpoń i sukinsyn z tego durnego dentysty. Mój cieśla skleciłby lepsze zęby.

Powtórzyła wszystko powoli, aż wreszcie pojął, w czym rzecz.

– Matureę? Że kto, ty? Oczywiście, że musisz zrobić matureę. Oczywiście. Oczywiście. Musisz zdać matureę. A potem do college'u. Tak, naturalnie, że mu powiem, żeby cię posłał. Bezczelny łajdak, już ja mu nagadam, temu Nauzerowi, nie, Nevilowi – tak, Nusswanowi, właśnie. Zmuszę go.

Przez służącego posłał Nusswanowi wiadomość, by ten czym prędzej go odwiedził. Nusswan nie mógł odmówić. Bardzo dbał o opinię rodziny. Zwlekał przez kilka dni, tłumacząc się nadmiarem pracy w biurze, aż wreszcie poszedł, a w charakterze sojusznika zabrał Ruby, którą poinstruował, by wszelkimi sposobami wkupiła się w łaski starszego pana.

Od czasu odwiedzin Diny, dziur w dziadkowej pamięci przybyło: z rozmowy z nią nie przypominał sobie nic. Tym razem miał sztuczną szczękę, lecz niewiele do powiedzenia. Sporo czasu zajęło im, nim podpowiedziami i wspominkami tchnęli nieco życia w jego pamięć i już zdawało się, że ich rozpoznaje. Tyle że,

całkowicie ignorując Ruby, uznał, że Nusswan i Dina są mężem i żoną i mimo apeli i zaklęć Diny nieugięcie trwał w tym przekonaniu.

Ruby usiadła na sofie i wzięła starszego pana za rękę. zaproponowała, że wymasuje mu stopy i nie czekając na zgodę pochwyciła lewą i zaczęła ją ugniatać. Paznokcie były pożółkłe, od dawna wymagające obcięcia.

Rozwścieczony dziadek wyrwał stopę z jej uchwytu.

– Kja karta he? Ćalo, dżao!^[17]

Ruby rozdziawiła usta zaskoczona, że ktoś zwraca się do niej w hindi. Dziadek obrócił się do Nusswana.

– Nie dociera do niej? W jakim języku mówi twoja ayah? Powiedz jej, żeby wstała z mojej sofie i zaczekała w kuchni.

Ruby podniosła się rozdrażniona i podeszła do drzwi.

– Wstrętny staruch! – syknęła. – Tylko dlatego, że mam odrobinę ciemniejszą skórę!

Nusswan pożegnał się cierpko i podążył za żoną, a w drzwiach jeszcze stanął, obrócił się i rzucił triumfujące spojrzenie Dinie, która próbowała wyjaśnić nieporozumienie. Została z dziadkiem w nadziei, że ten odnajdzie w sobie jakieś ukryte siły i pośpieszy jej na ratunek. Godzinę później ona także dała za wygraną, pocałowała go w czoło i wyszła.

Wówczas ostatni raz widziała go żywego. Miesiąc później zmarł we śnie. Na pogrzebie Dina zastanawiała się, ile jeszcze zdążyły urosnąć mu paznokcie u stóp schowane pod białym prześcieradłem, które zakrywało wszystko oprócz twarzy zmarłego.

•

Od czterech lat Nusswan sumiennie odkładał pieniądze na wesele Diny. Uzbierała się całkiem pokaźna sumka, a on planował w najbliższej przyszłości wydać ją za męża. Pewny był, że znalezienie dobrego męża nie nastreczy mu kłopotów – jak z dumą sam przyznawał, Dina wyrosła na piękną młodą kobietę i zasługiwała wyłącznie na to, co najlepsze. Ślub miał się odbyć z wszelkimi szykanami, jak przystoi siostrze dobrze prosperującego biznesmena, a ludzie mieli wspominać wesele przez długi, długi czas.

Kiedy skończyła osiemnaście lat, zaczął zapraszać do domu obiecujących kawalerów. W Dinie wszyscy oni bez wyjątku budzili odrazę. Byli znajomymi jej brata i we wszystkim, co mówili i robili, przypominali jej Nusswana.

Nusswan był przekonany, że prędzej czy później któryś przypadnie jej do gustu. Nie mógł już dłużej ograniczać jej wyjść – Dina wyrosła z kontroli właściwej dla wieku dojrzewania. Dopóki wykonywała prace domowe i robiła codzienne zakupy zgodnie z listą Ruby, dopóty w domu przeważał względny

spokój. Jeżeli dochodziło do sprzeczek, to rozgrywały się one obecnie między Ruby a Diną, jak gdyby Nusswan scedował tę funkcję na żonę.

Na targu Dina przejmowała czasem inicjatywę i zastępowała kalafior kapustą lub – poczuwszy nagłą chęć na ćiku^[18] – kupowała je w miejsce pomarańczy. Ruby niezwłocznie oskarżała ją o sabotowanie skrupulatnie zaplanowanych posiłków.

– Podła, nikczemna kobieto! Zepsułaś kolację mojego męża – oskarżenie i werdykt wygłaszała mechanicznie i rzeczowo; wszystko to należało do jej roli przykładowej żony.

Ale nie było tak, by wyłącznie sprzeczały się i wadziły. Dwie kobiety coraz częściej pracowały razem w zgodzie. Wśród przedmiotów, które Ruby sprowadziła ze sobą do domu po zawarciu małżeństwa, znajdowała się mała maszyna do szycia na korbkę. Pokazała Dinie, jak się nią posługiwać i nauczyła ją szyc prosty rzeczy w rodzaju poszewek na poduszki, prześcieradeł i zasłon.

Kiedy Ruby urodziła pierwsze dziecko, syna imieniem Xerxes, Dina pomagała się nim zajmować. Szyła dziecięce ubranka i dziergała na drutach maleńkie czapeczki i sweterki. Na pierwsze urodziny bratanka zrobiła dla niego parę bucików. Tamtego szczęśliwego poranka spowiy Xerxesa w girlandy z lilii i róż, a na czole wymalowały mu duże czerwone tło^[19].

– Anioleczek – orzekła Dina, śmiejąc się z rozkoszą.

– A jakie słodkie buciki mu zrobiłaś! – zachwyciła się Ruby i uściskała ją mocno.

Ale był to jeden z nielicznych dni, które minęły bez najmniejszego sporu. Po wykonaniu swoich obowiązków Dina wolała spędzać jak najwięcej czasu poza domem. Jej fundusze na wypad do miasta ograniczały się do tego, co zdołała uskładać z koszyczkowego. Sumienie miała czyste; postrzegała to jako częściowe wynagrodzenie za swoją harówkę, zaledwie ułamek tego, co jej się należało.

Ruby zażądała rozliczenia co do ostatniej pajsy.

– Chcę zobaczyć rachunki i paragony. Za każdą rzecz – uderzyła pięścią w kuchenny stół, aż zagrzechotała pokrywka od garnka.

– A od kiedy to handlarze ryb i przekupki, co sprzedają warzywa, dają rachunki? – odparowała Dina i cisnęła w nią paragonami ze sklepu oraz drobnymi, które odłożyła jako resztę, przeprowadziwszy machlojki przy nieudokumentowanych wydatkach. Opuściła kuchnię, podczas gdy na podłodze jej bratowa zbierała i liczyła monety.

•

Oszczędności starczało na bilety autobusowe. Dina chodziła do parków, błąkała się po muzeach i targowiskach, odwiedzała kina (ale tylko z zewnątrz,

żeby popatrzeć na plakaty) i nieśmiało zapuszczała się do bibliotek publicznych. Widząc pochylone nad książkami głowy poczuła się intruzem: tutaj każdy wydawał się tak uczony, a ona nie miała nawet matury.

Wrażenie to ustąpiło, kiedy odkryła, że lektury w dłoniach tych pełnych powagi osobników wahały się od niewymawialnych pozycji w rodzaju *Areopagitiki* Johna Milтона po „The Illustrated Weekly of India”. Z czasem ogromne stare czytelnie o wysokich stropach, skrzypiących podłogach i ciemnych boazeriach stały się jej ulubionym schronieniem. Dostojne wentylatory zwieszające się z sufitu na długich tyczkach poruszały powietrze z krzepiącym *fusz-fusz*, a głębokie skórzane fotele, stęchłe wonie i szelest przewracanych kartek tworzyły kojący nastrój. Najlepsze było to, że ludzie porozumiewali się szeptem. Krzyk Dina słyszała tylko jeden raz, kiedy odźwierny urągał żebrakowi, który próbował wśliznąć się do środka. Godziny mijały, a ona wertowała stare encyklopedie, przeglądała książki o sztuce i z zaciekawieniem otwierała zakurzone podręczniki medycyny, by na koniec wizyty na kilka minut usiąść w ciemnym kącie starego budynku, gdzie, jeśli ktoś chciał, czas zatrzymywał się w miejscu.

Bardziej nowoczesne biblioteki posiadały pokoje muzyczne. Były w nich także jarzeniówki, stoliki kryte laminatem, klimatyzacja i ściany pomalowane w pastelowe kolory; zawsze panował w nich tłok. Dina wydawały się zimne i nieprzytulne i chodziła tam, tylko kiedy chciała posłuchać płyt. O muzyce wiedziała bardzo niewiele – parę nazwisk jak Brahms, Mozart, Schumann i Bach, które wpadły jej w ucho w dzieciństwie, kiedy ojciec włączał radio lub nastawiał płytę, brał ją na kolana i mówił: „Słucha sobie człowiek i zapomina o problemach świata, prawda?”, a Dina potakiwała z powagą.

W bibliotece wybierała płyty na chybił trafił i starała się zapamiętywać nazwy tych, które się jej spodobały, aby móc je puścić sobie innego dnia. Nie było to proste, ponieważ symfonie, koncerty i sonaty różniły się jedynie numerami, które poprzedzały litery w stylu Op., K. i BWV, a Dina nie wiedziała, co one znaczą. Gdy miała szczęście, natrafiała na utwór o nazwie, która mocno zapadała jej w pamięć. A kiedy znajoma muzyka wypełniała jej głowę, przeszłość na krótką chwilę była zdobyta i Dina czuła, jak przenika ją bolesna ekstaza spełnienia, jak gdyby odzyskała utraconą kończynę.

Pragnęła tych intensywnych muzycznych przeżyć, a jednocześnie napawały ją strachem. Po idealnym błogostanie pokoju muzycznego następowała zawsze niesprecyzowana złość, kiedy Dina wracała do życia z Nusswanem i Ruby. Najostrzejsze starcia zawsze miały miejsce w te dni, gdy wcześniej odwiedziła kolekcję płyt.

Czasopisma i gazety nie nastroczały takich komplikacji. Czytając dzienniki, odkryła istnienie kilku instytucji kulturalnych organizujących w mieście koncerty

i recitale. Wiele występów – zwykle tych z udziałem miejscowych amatorów lub mało znanych obcokrajowców – było darmowych. Zaczęła wydawać swoje drobniaki na autobus, by jeździć na te koncerty i przekonała się, że stanowią one przyjemną odmianę od biblioteki. Także i artyści niewątpliwie byli jej wdzięczni za obecność na tych skąpo uczęszczanych wieczorkach.

Błąkała się na peryferiach tłumu zgromadzonego we foyer, czując się jak intruz. Wszyscy zdawali się tak wiele wiedzieć o muzyce i artystach występujących tego wieczoru – widać to było po wytwornym sposobie, w jaki trzymali programy i wskazywali na zawarte wewnątrz treści. Z utęsknieniem czekała, aż drzwi się otworzą i stłumione światła sali skryją jej niedostatki.

Muzyka w sali recitalowej nie była w stanie poruszyć jej tak, jak podczas samotnych godzin w bibliotece. Tutaj czas dzielił się równo między muzykę a komedię ludzką. Po kilku recitalach Dina zaczęła rozpoznawać na widowni stałych bywalców.

Należał do nich staruszek, który na każdym koncercie zasypiał dokładnie w cztery minuty po rozpoczęciu pierwszego utworu. Spóźnialscy uprzejmiem omijali jego rząd, by nie trącać go w kolana. Po siedmiu minutach okulary zaczynały zsuwać mu się z nosa. Po jedenastu (jeśli utwór był dość długi i nie obudziły go oklaski) sztuczne szczęki wysuwały mu się z ust. Dina przypominał dziadka.

Dwie pięćdziesięcioparoletnie siostry, wysokie i szczupłe, z ostrymi podbródkami, zawsze siadały w pierwszym rzędzie i często klaskały w nieodpowiednim momencie, bezsensownie zakłócając drzemkę staruszka. Dina nie za bardzo rozumiała, o co chodzi z tymi całymi sonatami i częściami, ale zorientowała się, że występ nie kończy się tylko dlatego, że muzyka zamilkła. Brała przykład z jegomością z kozią bródką i w drucianych okularach, który nosił beret, wyglądał na eksperta i zawsze wiedział, kiedy klaskać.

Był też dżentelmen w średnim wieku, który na każdy koncert wkładał ten sam brązowy garnitur i który przyjaźnił się ze wszystkimi. Uwijał się jak obłąkany po foyer, witał przybyłych, a jego głowa podskakiwała gwałtownie, kiedy zapewniał ich, że będzie to znakomity wieczór. Jego krawaty były przedmiotem nieustających domysłów. W niektóre wieczory zwieszały się nisko, niepodzielnie panując na jego torsie i łopocząc w okolicach krocza. Innymi razy ledwie sięgały przepony. Rozmiar węzłów wahał się: od mikroskopijnych po tęgie samosy^[20]. Ich właściciel nie tyle chodził od jednego do drugiego widza, co sunął tanecznym krokiem, bacząc, by jego uwagi były krótkie, ponieważ, jak wyjaśniał ochoczo, do podniesienia kurtyny zostało tylko kilka minut, a tyle osób zostało jeszcze do przywitania.

Dina zauważyła w holu młodego mężczyznę, który podobnie jak ona

z zainteresowaniem obserwował z boku towarzyskie obyczaje radosnego tłumu koncertowych współbywalców. Dina zwykle przybywała wcześniej, gdyż pragnęła czym prędzej wyrwać się z domu. Była już na miejscu, kiedy on nadpływał do wejścia na rowerze, zeskakiwał zgrabnie i wprowadzał go przez bramę. Pilnujący jej odzwierny zezwalał mu na to w zamian za napiwek. Mężczyzna przypinał rower przy bocznej ścianie budynku, zawsze pamiętając, by zabrać teczkę z tylnego bagażnika. Ściągał klamerki z nogawek i wsuwał je do teczki, a następnie kierował się do ulubionego narożnika holu, by studiować program i publiczność.

Pewnego razu ich oczy spotkały się i oboje poznali, że są cichymi sprzymierzeńcami. Zabawny człowieczek w brązowym garniturze nie podszedł do Diny, natomiast tamtego uwzględnił w swojej powitalnej rundzie.

– Witaj, Rustomie! Jak się masz? – zaryczał i w ten sposób Dina poznała imię młodego mężczyzny.

– Świetnie, dziękuję – odparł Rustom, patrząc nad ramieniem odzianym w brązowy garnitur na Dinę, która przyglądała im się z rozbawieniem.

– Co myślisz o dzisiejszym pianście? Czy potrafi uzyskać głębię, jakiej wymaga część wolna? Czy myślisz, że largo... och, wybacz proszę, wrócę za chwileczkę, tylko przywitam się z panem Medhorą, który tam stoi.

I już go nie było. Rustom uśmiechnął się do Diny i potrząsnął głową z udawaną rozpaczą.

Zabrzmiał dzwonek i drzwi audytorium otworzyły się. Dwie wysokie siostry popędziły w stronę pierwszego rzędu zsynchronizowanymi, skocznymi krokami, rozłożyły obite rdzawoczerwoną tapicerką fotele i osunęły się na nie triumfalnie, wymieniając promienne spojrzenia: znowu udało im się odnieść zwycięstwo w ich sekretnej grze w krzeselka do wynajęcia. Dina zajęła to miejsce co zwykle, w środkowym rzędzie, plus minus w połowie sali.

Kiedy pomieszczenie zaczęło się zapęłniać, Rustom podszedł do niej.

– Przepraszam, czy wolne?

Skinęła głową. Usiadł.

– Ten pan Toddywalla to niezły okaz, prawda?

– Tak się nazywa? Tak, jest bardzo śmieszny.

– Nawet jeśli recital jest taki sobie, to można na nim polegać, że nudno nie będzie.

Światła przygasły i wśród rozproszonych oklasków dwaj wykonawcy wyszli na scenę.

– A tak swoją drogą, to jestem Rustom Dalal – powiedział, nachylając się i wyciągając dłoń, gdy tymczasem flet przyjął srebrzyste A fortepianu i w rewanżu odpowiedział własnym, złocistym.

– Dina Shroff – wyszeptała, nie przyjmując jego dłoni, ponieważ w ciemnościach nie zorientowała się od razu, że ją wyciągnął. Gdy to spostrzegła, było za późno; dłoń zaczęła się cofać.

Podczas antraktu Rustom spytał, czy napije się kawy albo czegoś zimnego.

– Nie, dziękuję.

Przyglądali się widzom siedzącym w rzędach i tym, którzy udawali się do toalety lub po napoje. On założył nogę na nogę.

– Często widuję panią na tych koncertach.

– Tak, bardzo to lubię.

– Gra pani sama na czymś? Na fortepianie albo...

– Nie.

– Ma pani takie piękne palce. Myślałem, że gra pani na fortepianie.

– Nie – powtórzyła. Policzki paliły ją trochę, popatrzyła w dół na swoje palce. – Nie mam pojęcia o muzyce. Lubię słuchać i tyle.

– Tak jest chyba najlepiej.

Nie była pewna, o co mu chodzi, ale przytaknęła.

– A pan? Gra pan?

– Kiedy byłem mały, moi rodzice, jak wszyscy dobrzy parsyjscy rodzice, kazali mi uczyć się gry na skrzypcach – zaśmiał się.

– Teraz pan nie gra?

– Zdarzy się czasem. Kiedy mam ochotę potortuować się trochę, wyjmuję je z futerału, żeby sobie pojęczały i pozgrzytały.

Uśmiechnęła się.

– Przynajmniej rodzice muszą być szczęśliwi, kiedy słyszą, jak pan gra.

– Nie żyją. Mieszkam sam.

Uśmiech pierzchnął z jej twarzy i już miała powiedzieć, że jej przykro, kiedy on szybko dorzucił:

– Tylko sąsiedzi cierpią, kiedy gram – i zaśmiali się znowu.

Od tego wieczoru zawsze siadali razem, a w następnym tygodniu Dina przyjęła zaproszenie na mangolę podczas antraktu. Stali w holu, popijając ze schłodzonych butelek i patrząc, jak paciorki wilgoci ozdabiają szkło, gdy podszedł do nich pan Toddywalla.

– I jak tam, Rustomie, co powiesz o pierwszej połowie? Moim zdaniem ledwo ledwo. Ten flecista powinien porobić trochę ćwiczeń oddechowych, zanim znowu pomyśli o recitalu.

Zabawił wystarczająco długo, by zostać przedstawionym Dinie, zresztą przede wszystkim w tym celu do nich podszedł. Potem pokicał ku kolejnym ofiarom.

Po koncercie pchając rower Rustom odprowadził ją na przystanek. Rozchodząca się publiczność obserwowała ich.

– Nie boi się pan jeździć w takich korkach? – spytała Dina, aby przerwać milczenie

Pokręcił głową.

– Od lat jeżdżę. To moja druga natura.

Zaczekał, aż nadjedzie jej autobus, a potem pedałowal za czerwonym piętusem, dopóki ich drogi się nie rozeszły. Nie widział, jak Dina przygląda mu się z górnej platformy. Śledziła jego malejącą sylwetkę, czasem gubiąc ją, by potem odnaleźć gdzieś w świetle latarni, jechała razem z nim, aż zmienił się w punkcik i już tylko wyobraźnia podpowiadała jej, że to Rustom.

Po kilku tygodniach bywalcy koncertów zaczęli postrzegać ich jako parę. Każdy ich ruch obserwowano z troską i zaciekawieniem. Rustoma i Dinę bawiło to zainteresowanie, lecz woleli nie zwracać na nie uwagi, tak jak na błazeństwa pana Toddywalli.

Pewnego razu po przybyciu Rustom zaczął rozglądać się, żeby odszukać Dinę wśród tłumu. Jedna z pierwszorzędowych sióstr natychmiast wzięła go za łokieć.

– Niech się pan nie obawia, ona tu jest – wyszeptała wstydliwie. – Poszła tylko do toalety.

Wcześniej tego dnia padał ulewny deszcz i przemoczona do suchej nitki Dina próbowała doprowadzić się w toalecie do porządku, lecz jej maleńka chusteczka nie umiała sprostać zadaniu. Ręcznik na wieszaku nie wyglądał zachęcająco. Zrobiła, co mogła, i wyszła na zewnątrz z włosami wciąż ociekającymi wodą.

– Co się stało? – zapytał Rustom.

– Wiatr odwrócił mi parasol na drugą stronę. Nie dość szybko go znowu rozłożyłam.

Podsunał jej swoją dużą chustkę. Waga propozycji nie umknęła zgromadzonym wokół obserwatorom: przyjmie czy nie przyjmie?

– Nie, dziękuję – powiedziała, przeczesując palcami mokre włosy. – Zaraz wyschną.

Koncertowicze wstrzymali oddech.

– Nie bój się, jest czysta – uśmiechnął się. – Zróbmy tak: ty pójdiesz się osuszyć, a ja kupię dla nas dwie gorące kawy.

Kiedy w dalszym ciągu się wahała, zagroził, że zdejmie koszulę i wytrze jej głowę w holu. Śmiejąc się, przyjęła chustkę i powróciła do damskiej ubikacji. Stali bywalcy odetchnęli z ulgą.

W łazience Dina wytarła włosy chustką. Ładny zapach, pomyślała. Nie perfumy, a czysty, ludzki zapach. Taki sam jak ten, który czuła czasem siedząc obok niego. Przyłożyła ją do nosa i głęboko wciągnęła powietrze, potem zawstydzona złożyła ją.

Kiedy koncert dobiegł końca, nadal kropił lekki deszcz. Poszli na przystanek.

Mżawka szemrała w koronach drzew, jak gdyby liście skwierczały. Dinę przeszedł dreszcz.

– Zimno ci?

– Trochę.

– Mam nadzieję, że się nie nabawisz gorączki po tym przemoknięciu. A może włożysz mój płaszcz, a ja wezmę twój parasol?

– Co ty pleciesz, przecież jest zepsuty. Zresztą nie możesz jechać na rowerze z parasolem.

– A pewnie, że mogę. Jak trzeba, to mogę na nim jechać, stojąc na głowie.

Rustom nalegał. Pod wiatrą dokonali zamiany. Kiedy pomagał jej włożyć pelerynę, jego dłoń otarła się o jej ramię. Jego palce zdawały się ciepłe na jej zimnej skórze. Rękawy były trochę przydługie, ale poza tym leżała całkiem nieźle. Do tego przyjemnie nagrzana przez jego ciało – zauważyła, gdy płaszcz powoli wyciągał z niej chłód.

Stali blisko siebie, patrząc jak cienkie igielki deszczu przeszywają światło latarni. Po raz pierwszy wzięli się za ręce i wydawało się, że nie ma nic bardziej naturalnego pod słońcem. Trudno było się rozstać, kiedy przyjechał autobus.

Odtąd Rustom używał roweru tylko na trasie do pracy i z pracy. Wieczorami przybywał autobusem, żeby mogli jechać razem i żeby później mógł odprowadzić ją do domu.

Dina czuła się szczęśliwsza, kiedy nie miał roweru. Uważała, że powinien z niego całkiem zrezygnować, w miejskim ruchu ulicznym poruszanie się nim było zbyt niebezpieczne.

•

– Wychodzę za mąż – obwieściła Dina przy kolacji.

– A! – rozpromienił się jej brat – Dobrze, świetnie. Który to, Solly czy Porus? – Byli to dwaj dżentelmeni, których przedstawił jej ostatnio.

Dina pokręciła głową.

– W takim razie albo Dara, albo Firdosh – powiedziała Ruby ze znaczącym uśmiechem. – Obaj za tobą szaleją.

– Nazywa się Rustom Dalal.

Nusswan był zaskoczony. Nie było to imię jednego z licznych kandydatów, których sprowadzał dla Diny w ciągu ostatnich trzech lat. Być może poznała go na jednym z tych spędów rodzinnych, których tak nie znosił.

– A gdzie my go spotkaliśmy?

– Nie spotkaliśmy. Ja spotkałam.

Nusswanowi nie spodobała się ta odpowiedź. Był urażony, że Dina odrzuca wszystkie jego wysiłki, wszystkie jego wybory na rzecz kogoś kompletnie obcego.

– I chcesz ot tak poślubić tego faceta? A co wiesz o nim i jego rodzinie? Co on wie o tobie i twojej rodzinie?

– Wszystko – odparła Dina tonem, który wzbudził w nim niepokój. – Spotykam się z Rustomem od półtora roku.

– Ach, rozumiem, dobrze strzeżona tajemnica – rzucił z teatralnym sarkazmem.

– A czymże się zajmuje pan Dalal, ten twój tajemniczy Rustom?

– Jest farmaceutą.

– Phi! Farmaceutą! Pigularzem cholernym! Dlaczego nie nazwać tego po imieniu? Przecież właśnie tym się zajmuje, stoi cały dzień za ladą i proszki miesza.

– Przypomniał sobie, że na razie nie ma sensu się wściekać. – To jak, kiedy poznamy tego twojego milionera?

– Po co? Żebyś mógł go osobiście obrażać?

– Nie mam powodu go obrażać, ale moim obowiązkiem jest go poznać, a potem udzielić ci odpowiedniej porady. Ostateczna decyzja należy do ciebie.

W umówiony dzień Rustom zjawił się z pudełkiem łakoci dla Nusswana i Ruby, które złożył w ręce małego Xerxesa, mającego teraz prawie trzy lata. Dine przyniósł nowy parasol. Zrozumiała aluzję i uśmiechnęła się. On puścił do niej oko, kiedy inni nie patrzyli.

– Fantastyczny! – zachwyciła się, otwierając go. – Cudowny, jak pagoda.

Materiał był w kolorze morskim, szkielec z nierdzewnej stali, a na jego końcu sterczał groźny szpikulec.

– Niebezpieczna broń – zażartował Nusswan. – Uważaj, w kogo go wymierzasz.

Napili się herbaty, do której podano kanapki z serem i ciasteczka maślane przygotowane przez Ruby i Dinę. Czas upłynął bez żadnych zgrzytów. Ale później, kiedy gość wyszedł, Nusswan powiedział, że nie wie, co jego siostra ma w głowie – mózg czy trociny.

– Wybrać człowieka bez urody, bez pieniędzy, bez perspektyw. Niektórzy narzeczeni przynoszą pierścionek z diamentem. Inni złoty zegarek czy przynajmniej małą broszkę. A ten twój typek co przynosi? Parasol, cholera jasna! I pomyśleć tylko, że zmarnowałem tyle czasu i energii, przedstawiając ci prawnikom, księgowym, komisarzom policji i inżynierom. Wszyscy z porządnych rodzin. Jak ja spojrzę ludziom w oczy, kiedy się rozejdzie, że moja siostra wyszła za głupiego pigularza bez ambicji? Nie oczekuj, że będę się radować ani że przyjdę na ślub. Dla mnie będzie to dzień głębokiej, ciężkiej żałoby. To smutne – żalił się – że chcąc mnie zranić, rujnujesz własne życie. Zapamiętaj sobie moje słowa, twoja przewrotność się jeszcze zemści na tobie. Nic nie mogę zrobić, żeby cię powstrzymać, masz dwadzieścia jeden lat, już nie jesteś małą dziewczynką, którą trzeba się opiekować. Jeśli uparłaś się, żeby własne życie wyrzucić do

rynsztoka, to mogę tylko bezradnie się temu przyglądać.

Dina spodziewała się tego. Słowa spływały po niej i z bulgotem znikwały w zapomnieniu, jej samej nie dotykając. Tak jak deszcz – przypomniała sobie – który skapywał po ślicznym płaszczu Rustoma w tamtą piękną noc. Zastanowiła się za to znowu, tak jak już wiele razy, gdzie też jej brat nauczył się jazgotać z takim kunsztem. Ani ich matka, ani ojciec nie przejawiali ku temu większego talentu.

Po kilku dniach Nusswan uspokoił się trochę. Skoro Dina wychodzi za mąż i odchodzi na zawsze, lepiej by odbyło się to przyjaźnie, bez scen. Po cichu cieszył się, że Rustom Dalal nie jest grubszą zwierzyną. Byłoby nie do zniesienia, gdyby jego znajomi zostali odtrąceni na rzecz kogoś wyżej postawionego.

Uczestniczył w planach weselnych z większym entuzjazmem i szczodrością, niż Dina przewidywała. Chciał zarezerwować salę na przyjęcie i zapłacić za wszystko z pieniędzy, które dla niej odkładał.

– Ślub po zachodzie słońca, a potem kolacja. Pokażemy im, jak to się robi – wszyscy będą ci zazdrościć. Czterooosobowy zespół, girlandy z kwiatów, światła. Stać mnie na około trzystu gości. Ale bez trunków – za drogie i za duże ryzyko. Policja prohibicyjna jest wszędzie, człowiek da w łapę jednemu, to się zaraz dziesięciu zgłasza po swoją działkę.

Tej nocy w łóżku Ruby, która była w ciąży z ich drugim dzieckiem, dała wyraz swojemu zaniepokojeniu rozrzutnością Nusswana.

– To Rustom i Dina powinni wyłożyć pieniądze, jeżeli chcą się pobrać. To nie należy do twoich obowiązków, tym bardziej, że nie pozwoliła ci wybrać dla niej męża. Ona nigdy nie docenia niczego, co dla niej robisz.

Rustom i Dina mieli jednak prostsze upodobania. Ślub odbył się rano. Na prośbę Diny uroczystość była skromna i odbyła się w tej samej świątyni ognia, gdzie odprawiano modły za jej rodziców w rocznicę ich śmierci. Stary i przygarbiony dastur Framji przyglądał się jej, stojąc w cieniu, niezadowolony, że nie poproszono go o odprawienie rytuału ślubnego. Czas czynił go coraz wolniejszym i ciała młodych kobiet rzadko padały łupem jego uścisków, ongiś tak zręcznych. Ale przydomek dastura Dab-Ćhaba na dobre przylgnął do niego nawet w jesieni jego żywota, gdy tymczasem wszystko inne obumierało.

– Hańba – skarżył się koledze. – I to po tylu latach moich związków z rodziną Shroff. Ze śmiercią przychodzą do mnie – jak trzeba odprawić sarosz-nu-patru, afargan, bądź, faroksy^[21]. Ale przy radosnych okazjach, przy błogosławieństwie ślubnym nie jestem mile widziany. Wstyd.

Wieczorem w domu Shroffów odbyło się przyjęcie. Nusswan uparł się przy chociaż takich, skromnych obchodach i wynajął kucharzy i kelnerów. Gości było czterdzieścioro ósmioro, z czego szóstkę stanowili przyjaciele Rustoma, plus jego

ciocia Shirin i wuj Darab. Reszta pochodziła z otoczenia Nusswana – wliczali się do niej także członkowie szerszej rodziny, których nie można było pominąć, nie narażając się na krytykę ze strony krewnych – szeptaną, kąśliwą krytykę, na którą był tak bardzo czuły.

Salon, jadalnię, gabinet Nusswana i cztery sypialnie przemeblowano tak, by goście mogli przemieszczać się swobodnie. Stoły zastawiono jedzeniem i napojami. Mały Xerxes i jego przyjaciele ganiłi z pokoju do pokoju w przygodowo-odkrywczym amoku, śmiejąc się i krzycząc. Podnieceniem napełniała ich nieoczekiwana wolność, jaką cieszyli się teraz w domu, w którym podczas poprzednich wizyt czuli się jak w więzieniu, pod ponurym nadzorem niezwykle surowego taty Xerxesa. Co do Nusswana, to jęczał w środku za każdym razem, gdy któryś z nich wpadał na niego, lecz mimo to uśmiechał się i poklepywał przebiegające dziecko.

Zebrani oklaskami powitali cztery butelki szkockiej whisky, które postawił na stole.

– Wlejemy trochę życia w to przyjęcie i w młodą parę – mówili mężczyźni jeden do drugiego, wśród chichotów, kiwania głową i szeptów o sprawach nie przeznaczonych dla kobiecych uszu.

– Dobra, szwagrze – powiedział Nusswan, brzękając dwiema pustymi szklankami przed Rustomem. – Ty jesteś ekspertem, przygotuj wszystkim miksturę z Johnny Walkera.

– Jasne – odparł Rustom pogodnie i wziął szklanki.

– Żartuję, żartuję – powiedział Nusswan, trzymając mocno butelkę. – Przecież pan młody nie będzie pracował na własnym weselu!

Była to jego jedyna farmaceutyczna zaczepka tego wieczoru.

W godzinę po podaniu szkockiej Ruby udała się do kuchni. Nadeszła pora, by serwować kolację. Stół jadalniany przesunięto wcześniej pod ścianę i zastawiono daniami bufetowymi. Kelnerzy wkroczyli do pokoju z gorącymi, ciężkimi półmiskami, wołając: „Z drogi! Z drogi, proszę!”. Wszyscy z uszanowaniem rozstąpili się przed jadłem.

Kuchenne wonie, które przez cały wieczór przenikały dom zapowiedzią smakowitości, drażniąc nozdrza i drocząc się z podniebieniami, nagle obezwładniły zgromadzonych. W pokoju zapadła cisza. Ktoś zachichotał głośno, mówiąc, że dla parsów jedzenie jest najważniejsze, a rozmowa plasuje się na drugim miejscu. Na to ktoś inny poprawił go: nie, nie, rozmowa na trzecim, a o drugiej rzeczy wspominać nie można w obecności niewiast i dzieci. Ci, którzy stali najbliżej, nagrodzili wyświechtany dowcip soczystym śmiechem.

Ruby klasnęła w dłonie.

– W porządku, moi drodzy! Kolacja podana! Bardzo proszę, częstujcie się.

Śmiało, jedzenia jest w bród!

Krażyła pomiędzy gośćmi, jak przystało na szanującą obyczaje gospodynię.

– Wybacz, proszę, te potrawy nie są ciebie godne – powtarzała każdemu z ubolewaniem.

– Co ty opowiadasz, Ruby, wszystko wygląda cudownie – odpowiadali. Nakładając jedzenie, korzystali z okazji, by dopytać się o jej ciążę i termin porodu.

Nusswan lustrował przesuwające się przed nim talerze i dobrotliwie ganiał gości, którzy nałożyli sobie zbyt mało.

– Co to ma być, Mino, chyba żartujesz. Nawet mój domowy wróbelek by się tym nie najadł – i dorzucał więcej birjani^[22] na talerz Mino.

– Czekaj, Hosa, czekaj, jeszcze jeden kebab, są przepyszne, wierz mi, no, jeszcze jeden, proszę cię, bądź kolegą – i zręcznym pacnięciem posyłał dwa kawałki na niezdecydowany talerz. – Przyjdiesz po dokładkę, umowa stoi?

Kiedy wszyscy się obsłużyli, Dina zobaczyła na werandzie wujostwo Rustoma, ciocię Shirin i wuja Daraba, siedzących nieco na uboczu. Podeszła do nich.

– Proszę, niech wujostwo jedzą do syta. Nałożyli sobie wujostwo dosyć?

– Nawet więcej niż dosyć, nawet więcej. Prawdziwe delicje, moje dziecko. – Ciocia Shirin skinęła na Dinę, żeby przysunęła się bliżej, a potem jeszcze raz, aż jej ucho znalazło się przy ustach staruszki. – Jeśli kiedyś będziesz czegoś potrzebować – pamiętaj, czegokolwiek – zawsze możesz przyjść do mnie i Daraba.

Wuj Darab potaknął; miał świetny słuch.

– Co by się nie działo. Jesteśmy jak rodzice dla Rustoma. A ty jesteś dla nas jak córka.

– Dziękuję – odpowiedziała Dina, rozumiejąc, że to coś więcej niż zwyczajowa mowa powitalna wygłaszana przez drugą stronę.

Przysiadła się do nich. Nusswan stojący obok stołu z jedzeniem, pokazał jej na migi talerzem i widelcem, żeby nałożyła też coś dla siebie. Tak, później, odmigła Dina i pozostała przy cioci Shirin i wuju Darabie, którzy jedli, wpatrzeni w nią wzrokiem pełnym uwielbienia.

•

W domu wciąż było kilkoro gości, gdy Nusswan dał znak pracownikom firmy gastronomicznej, by zaczęli sprzątać. Maruderzy pojęli aluzję, podziękowali i pożegnali się.

Na odchodne ktoś złapał Rustoma za klapę i z chichotem, zionąc whisky, szeptał, że nowożeńcy mają szczęście, że żadne z nich nie ma teściowej.

– Oj nieładnie, nieładnie! Nikt nie będzie się dopytywać, czy instrument zagrał

pierwszej nocy, farciarzu jeden! Nikt ci nie będzie sprawdzał pościeli! – Dźgnął Rustoma palcem w brzuch. – Upiekło ci się!

– Dobranoc wszystkim – żegnali gości Nusswan i Ruby. – Dobranoc, dobranoc. Dziękujemy, że przyszliście.

– To był uroczy wieczór – powiedział Rustom, kiedy wyszedł ostatni gość. – Dziękujemy wam obojgu.

– Naprawdę uroczy, bardzo wam dziękujemy – dodała Dina.

– Ależ proszę, proszę bardzo – odrzekł Nusswan, a Ruby przytaknęła. – To był nasz obowiązek.

Z początku Dina i Rustom przystali na propozycję Nusswana, by noc spędzić na miejscu. Później zdali sobie sprawę, że po przyjęciu pokoje należy doprowadzić do porządku. Wygodniej było od razu jechać do mieszkania Rustoma.

– O nic się nie martwcie – uspokajał ich Nusswan. – Ci faceci posprzątają, za to im się płaci. Wy róbcie swoje.

Uściskał każde z nich. Dla Diny był to drugi raz tego dnia. Pierwszy miał miejsce rano, po tym, jak dastur-dzi skończył recytować błogosławieństwo ślubne; był to także raz pierwszy od siedmiu lat.

Coś ją ścisnęło za gardło. Przełknęła ślinę, a Nusswan szybko przetarł oczy palcami.

– Życzę wam dużo szczęścia – powiedział.

Dina przyniosła spakowaną walizkę z rzeczami na noc. Reszta jej dobytku miała zostać dostarczona później. Nusswan zamierzał oddać jej część mebli, które należały do rodziców. Sprowadził nowożeńców po brukowanym podjeździe do taksówki i zamachał na pożegnanie.

– Wszystkiego najlepszego! Niech Bóg wam błogosławi! – zawołał, a Dina z zaskoczeniem spostrzegła, że zadrzał mu głos.

•

Następnego ranka obudzili się późno. Rustom wziął tygodniowy urlop, chociaż nie stać ich było na podróż poślubną.

Dina parzyła herbatę w ponurej kuchni, a on przyglądał jej się niespokojnie. Kuchnia była najbardziej obskurnym pomieszczeniem w całym mieszkaniu, z sufitem i tynkiem szerniałym od dymu. Matka Rustoma przez całe życie gotowała na kuchni opalanej węglem. Jej krótka znajomość z naftą nie trwała długo – skończyło się na rozlanym płynie, płomieniach i poparzonych udach; węgiel jest posłuszniejszy – zakonkludowała.

Rustom zamierzał odmalować kuchnię przed ślubem, podobnie jak pozostałe pomieszczenia, ale zabrakło mu pieniędzy. Zaczął przeproszać za opłakany stan

mieszkania.

– Nie jesteś przyzwyczajona do takich warunków. Spójrz tylko na te potworne ściany.

– Nie szkodzi, to nic takiego – odparła pogodnie. – Pomalujemy je później.

Może to jej obecność w mieszkaniu, rzecz niespotykana w porze śniadania, sprawiła, że ją zauważać nowe niedostatki wokół siebie.

– Po śmierci rodziców pozbyłem się różnych rzeczy. Wydawało mi się, że to rupieciarnia. Zamierzałem żyć jak sadhu^[23], wystaw sobie, ze skrzypcami za jedyne go towarzysza. Zamiast łoża nabitego gwoździami, rzępolenie kocich flaków, żeby się umartwiać.

– Czy struny naprawdę wyrabia się z kocich jelit?

– Kiedyś tak było, za dawnych czasów. A za jeszcze dawniejszych skrzypkowie musieli sami wybierać się na łowy, by upolować swoje struny. Wtedy nie było sklepów muzycznych jak L.M. Furtado czy Godin i Spółka. We wszystkich wielkich konserwatoriach Europy uczono muzyki, a ponadto sprawiania zwierząt.

– Mógłbyś nie wygadywać głupstw tak wcześnie rano – ofuknęła go, ale jego absurdalny dowcip był tym, co lubiła w nim najbardziej.

– Tak czy owak, znalazłem moją piękną anielicę i epoka sadhu dobiegła końca. Kocie flaki mogą odpocząć.

– Lubię jak grasz. Powinieneś więcej ćwiczyć.

– Żarty sobie stroisz? Gram gorzej niż ten facet w zeszłym tygodniu w Patkar Hall. Brzmiał, jakby miał pozatykane efki.

– Fuj, jakie znowu cewki?

Roześmiał się, widząc jej minę.

– Efy, otwory rezonansowe. Chcesz zobaczyć moje otwory? – Ściągnął z szafy futerał na skrzypce. – Widzisz, jaki kształt mają te wycięcia w płycie wierzchniej?

– Wyglądają zupełnie, jakby ktoś napisał „f” bez odrywania pióra – przejechała palcem po krzywiznach, dotknęła delikatnie strun. – Zagraj coś, skoro już otworzyłeś futerał.

Rustom zatrzasnął futerał i, wspinając się nieco na palce, wsunął go na szafę.

– Zagraj, zagraj, zagraj. To samo powtarzali mi rodzice – wziął jej dłoń i przycisnął do ust. – Szkoda, że nie zostawiłem przynajmniej ich łoża małżeńskiego. – Później zapytał nieśmiało: – Było ci wygodnie w nocy?

– O tak – zaczerwieniła się na świeże wspomnienie wąskiego, jednoosobowego łóżka, w którym tulili się do siebie.

Po śniadaniu złożonym z omletu i grzanki z masłem, otworzył drzwi wejściowe i powiedział, że ma dla niej niespodziankę.

– Wczoraj w nocy było za późno, żeby ci pokazać.

– A co to takiego?

– Musisz wyjść na zewnątrz.

Zobaczyła pobłyskującą w słońcu nową mosiężną tabliczkę, na której wygrawerowany był napis „Państwo Rustomowie K. Dalal”. Jej radość nappełniła go szczęściem.

– Przedwczoraj ją przykręciłem.

– Śliczna.

– Zmienić tabliczkę to żadna sztuka – zachichotał. – Znacznie trudniej zmienić nazwisko na rachunku za czynsz.

– Jak to?

– Rachunki za czynsz wystawia się na nazwisko mojego ojca, chociaż on nie żyje od dziewięciu lat. Kamienicznik liczy, że stracę cierpliwość i zaproponuję mu pieniądze, żeby mieszkanie przepisać na mnie. Ciągłe robi do tego aluzje.

– I co, zapłacisz mu?

– Ani mi się śni. On nic nie może zrobić, chroni nas ustawa o najmie. Nie ma znaczenia, na kogo wystawia się rachunek. Ty też masz prawo tu mieszkać, jako moja żona. Nawet gdybym jutro umarł.

– Rustom! Nie mów takich rzeczy!

Zaśmiał się.

– Kiedy poborca czynszu przychodzi z rachunkiem na nazwisko ojca, czasem mam ochotę mu powiedzieć, żeby poszedł do nieba, pod nowy adres najemcy.

Dina oparła głowę na jego ramieniu.

– Dla mnie niebo jest tu, w tym mieszkaniu.

Rustom przyciągnął ją bliżej i przytulił.

– Dla mnie też.

Potem przetarł tabliczkę rękawem. Kiedy ją podziwiali, pod ich drzwi podjechały dwa wózki ręczne załadowane dobytkiem z domostwa Shroffów.

Z początku Rustom zgodził niedużą furgonetkę, ponieważ Dina poprosiła Nusswana, by pozwolił jej zabrać wielką szafę taty, tę, którą ozdobiło promieniste słońce i kwiaty wyrzeźbione w drewnie różanym. Za ten jeden mebel gotowa jest zrzec się wszystkiego innego, powiedziała. Nusswan obiecał to przemyśleć, ale ostatecznie odmówił. Powiedział, że szafa zniszczyłaby się, gdyby przepychać ją przez wąskie drzwi mieszkania Rustoma, a zadrapania byłyby rysą na pamięci ojca, no i poza tym rozmiarami nie pasowałyby do małych pokojów.

Zamiast tego oddał jej inną szafę, mniejszą i skromniejszą, małe biurko i bliźniacze łóżka. Wraz z nimi przybyła też spora skrzynka z przyborami kuchennymi skompletowanymi przez Ruby, która uprzednio wywiedziała się dyskretnie, czy kuchnia Rustoma jest należycie wyposażona. Na dobry początek podarowała im różne garnki, patelnie, kuchenkę, trochę sztucców, deskę i wałek.

Dwa ręczne wózki zostały rozładowane, a podwójne łóżka złożone. Jeden z tragarzy zaproponował, że odkupi stare, jednoosobowe. Rustom odstąpił mu je za trzydzieści rupii, a od drugiego mężczyzny dostał dziesięć za materac.

– Wiem, o czym myślisz, ale tu nie ma miejsca na dodatkowe łóżko – powiedział, kiedy Dina patrzyła, jak je zabierają i zastanawiała się, jak blisko siebie będą spać teraz, kiedy mieli dwa łóżka.

Ale gdy obudzili się następnego ranka, jedno z nich wyglądało, jak gdyby nikt w nim nie spał. Pokrzepiona, spędziła dzień na urządzaniu swojego nowego domu według własnych upodobań. Po pierwsze wypowiedziała umowę z Seva Sadan^[24], tym samym kładąc kres wieczornym dostawom posiłków dla Rustoma. Jeśli chodzi o obiady, postanowiła, że gdy w przyszłym tygodniu wróci do pracy, sama będzie pakować mu jakiś prowiant.

– Koniec z żywieniem się na mieście albo niedojadaniem. Kto to słyszał? – oznajmiła, gramoląc się na krzesło, by zbadać najwyższą półkę w kuchni. Odkryła na niej kilka mosiężnych i miedzianych naczyń, czajnik i zestaw noży kuchennych.

– Wszystko do wyrzucenia – orzekł Rustom. – Planowałem sprzedać je na złom. Jutro to zrobię, słowo.

– Nie gadaj głupstw, to są porządne, solidne, stare rzeczy. Można je naprawić i połatać. Dzisiaj takich nie dostaniesz.

Następnym razem, kiedy pod ich oknami wydzierał się druciarz, przywołała go, żeby zalutował dziurawe naczynia i założył klamrę na pęknięte ucho od czajnika. Obserwowała go, by upewnić się, że wykonuje swoją pracę rzetelnie. Każdy naprawiony garnek zanosila do łazienki i sprawdzała pod wodą.

Ulicą przechodził ostrzyciel noży z kołem przewieszonym przez ramię. Druciarz przestał stukać, a Dina klasnęła dwukrotnie, by ściągnąć na siebie uwagę tamtego.

Wkrótce matowe klingi rozbłysły ostrymi krawędziami. Dina delectowała się energią i uwagą oraz łomotem i waleniem, które zaangażowano w schludne przygotowanie jej gospodarstwa na dekady szczęśliwego pożycia z Rustodem. Życie trzeba urabiać jak wszystko inne, pomyślała. Trzeba je formować, kuć i polerować, by wydobyć z niego jak najwięcej.

Ostrzyciel noży odwrócił twarz od wirującego koła i tryskających z niego iskier. Jak sztuczne ognie na Diwali^[25] – pomyślała, a uderzenia młotka druciarza radośnie dzwoniły w jej uszach.

•

Pierwszą rocznicę ślubu Dina i Rustom uczcili wyjściem do kina i na kolację. Obejrzel *Submarine Command* z Williamem Holdenem, który grał komandora

amerykańskiej marynarki wojennej w Korei. Trzymali się za ręce podczas seansu, a potem poszli na birjani z kurczęcia w Wayside Inn.

Rok później Dina miała ochotę obejrzeć coś mniej ponurego, więc wybrali najnowsza premierę – *Wyższe sfery* z Bingiem Crosbym. Dina kupiła na tę okazję nową sukienkę, niebieską, z sutą falbaną, która ożywała przy każdym jej ruchu.

– Nie jestem pewien, czy powinnaś ją wkładać – powiedział Rustom, zachodząc ją z tyłu i głaszcząc po biodrach.

– Dlaczego? – uśmiechnęła się, kołysząc zaczepnie biodrami.

– Faceci na ulicach oszaleją. Lepiej weź swój spiczasty parasol do obrony.

– A ty nie będziesz mnie bronił? Nie odeprzesz ich?

– Zgoda, w takim razie ja poniosę twój dzirynt. Albo lepiej zabiorę skrzypce – moje rzępolenie wystraszy ich bardziej.

Film podobał im się ogromnie. Przez cały wieczór niebieska sukienka była przedmiotem ich prywatnych żartów, kiedy wyobrażali sobie zawistne kobiety i pożądlivych mężczyzn nie mogących się doczekać, aż dostaną ją w swoje ręce. Na kolację poszli do Monginich; tamtejsze desery uchodziły za wyśmienite.

Z okazji trzeciej rocznicy postanowili zaprosić Nusswana i Ruby z dziećmi (była ich już dwójka) na kolację. Od czasu wesela panowały między nimi serdeczne stosunki. Dinę i Rustoma zawsze zapraszano na urodziny chłopców oraz na Nawrodź i Khordad Sal^[26]. Dina, czasem z Rustomem, a czasem sama, zaczęła zaglądać, żeby podrzucić łakocie dla bratanków albo po prostu się przywitać. Urazy wygasły całkowicie, tak że trudno było przypomnieć je sobie wyraźnie. Aż człowieka kusilo, żeby uznać, że wszystko, co zaszło, zostało wyolbrzymione przez wyobraźnię.

Kameralne przyjęcie z okazji rocznicy przebiegło w jak najzyczliwszej atmosferze. Dina nie mogła pozwolić sobie na nowy strój, toteż ubrała się w zeszłoroczną niebieską sukienkę. Ruby podziwiała ją i wychwalała potrawy przygotowane przez Dinę. Powiedziała, że pulao-dal^[27] był naprawdę pyszny. Dina odparła z wdziękiem, że wiele nauczyła się od swojej bratowej.

– Ale ciągle mi do ciebie daleko – dodała.

Dla obu chłopców, którzy liczyli zaledwie sześć lat i trzy, Dina ugotowała osobno, bez przypraw. Xerxes i Zarir uparli się jednak, by dano im jeść to samo, co dorosłym. Ruby pozwoliła im skosztować i chcieli więcej, chociaż paliło ich w buziach.

– Nic nie szkodzi – zaśmiała się Dina. – Lody ugaszą ten ogień.

– A mogę je dostać już teraz? – zapytali malcy chórem.

– Wujek Rustom musi dopiero po nie pójść – powiedziała Dina. – Nie mamy zamrażalnika i nie ma gdzie ich trzymać. Na razie weźcie to – podniosła kryształki cukru z tacy ofiarnej z girlandami i kokosami i wrzuciła każdemu do

buzi.

Później, kiedy Dina z pomocą Ruby zbierała ze stołu, Rustom oświadczył, że nadeszła pora, by pójść po Kwalify Family Pack.

– Gdyby nie mieli truskawkowych, to co wziąć – czekoladowe czy waniliowe?

– Czekoladowe – powiedział Xerxes.

– Lanilowe! – zawołał Zarir i wszyscy się roześmiali.

– Lanilowe – przedrzeźniał go Rustom. – Ty to zawsze musisz być inny, co?

– Zastanawiam się, po kim to ma – zażartował Nusswan. – Na pewno nie po swoim ojcu.

Wszyscy zaśmiali się znowu, a on podchwycił okazję.

– A co z wami, Rustom? Chyba pora zakładać rodzinę. Trzy lata to wystarczająco długie wakacje.

Rustom uśmiechnął się tylko, nie chcąc wdawać się w dyskusję. Otworzył drzwi do wyjścia. Nusswan poderwał się z miejsca.

– Iść z tobą?

– Nie, nie. Odpoczywaj, jesteś gościem. Poza tym jak pójdziemy pieszo, to nam za długo zejdzie. Sam na rowerze obrócę w dziesięć minut.

Dina rozłożyła talerzyki i łyżeczki do lodów i nastawiła czajnik.

– Akurat jak wróci, herbata będzie w sam raz gotowa.

Piętnaście minut później nadal czekali.

– Gdzie on się podziewa? Herbata za bardzo naciągnie. Może wypijecie swoją?

– Nie, zaczekamy na Rustoma – odpowiedziała Ruby.

– Musi być wielka kolejka w lodziarni albo co – zastanawiał się Nusswan.

Dina zagotowała drugi czajnik, żeby rozcieńczyć napar. Wsunęła imbryk z powrotem pod kapturek.

– Czterdzieści pięć minut go nie ma.

– Może w pierwszej lodziarni już nie mieli – uspokajał Nusswan. – Truskawkowe są bardzo popularne, zawsze ich brakuje. Może pojechał gdzieś indziej, gdzieś dalej.

– Nie zrobiłby tego, wie, że bym się martwiła.

– Może złapał gumę.

– Nawet z przebitym kołem wracałby tylko dwadzieścia minut.

Wyszła na werandę, by sprawdzić, czy dojrzy go z daleka, jak pedałuje. Przypomniały jej się noce, gdy rozstawali się po recitalu i ona, jadąc na górnej platformie autobusu, próbowała jak najdłużej nie tracić z oczu znikającego roweru.

Wspomnienie przywołało uśmiech, ale ten zniknął zaraz pod wpływem obecnego niepokoju.

– Chyba pójde i zobaczę, o co chodzi.

– Nie, ja pójdę – zaofiarował się Nusswan.

– Nie wiesz, gdzie jest lodziarnia, ani którą drogą Rustom by jechał. Możecie się rozminąć.

W końcu stanęło na tym, że pójda oboje.

– To na pewno jakieś głupstwo – powtarzał bez przerwy Nusswan, widząc jej napięcie. Potakiwała i przyśpieszała. Musiał się wysilić, by dotrzymać jej kroku.

Było po dziewiątej i na ulicach panował spokój. W zaułku, na którego końcu stała lodziarnia, garstka ludzi zgromadziła się przy chodniku. Podszedłszy bliżej, Nusswan i Dina spostrzegli także policję.

– Ciekawe, co to za zbiegowisko – powiedział Nusswan, próbując ukryć niepokój.

Dina pierwsza zobaczyła rower.

– To Rustoma.

Jej głos był głosem obcego człowieka, zabrzmiał nieznamo w jej własnych uszach.

– Jesteś pewna?

Wiedział, że tak. Rower był poharatany, ale siodełko ocalało. Nusswan przepchnął się przez tłum w stronę policjantów. Uszy Diny wypełniła rozrukana burza. Słowa docierały do niej słabiutko, jakby z bardzo daleka.

– Kierowca ciężarówki, psia jego mać! – zaklął podinspektor. – Stuknął człowieka i zwał. Coś mi się widzi, że biedaczyna nie ma szans. Głowę mu całkiem rozwalilo. Ale karetka i tak zabrała go do szpitala.

Bezpański pies chleptał z różowej kałuży obok roweru. Mieli truskawkowe, pomyślała Dina w odrętwieniu. Jeden z policjantów kopnął piaskowego kundla. Ten zaskowyczał, odbiegł, ale zaraz wrócił. Kiedy policjant kopnął go znowu, krzyknęła.

– Niech pan przestanie! Co on panu szkodzi! Niech sobie poje!

Spłoszony stróż prawa odparł: „Tak, proszę pani” i cofnął się. Pies siorbał łapczywie, popiskując z przyjemności, lecz nie spuszczał czujnego oka z buta policjanta.

Nusswan zdobył nazwę szpitala. Podinspektor spisał jego adres i poprosił Dinę, która wpatrywała się w powyginany rower, żeby podała mu swój. Rower zostanie tymczasem zatrzymany w charakterze dowodu – na wypadek, gdyby udało się odszukać kierowcę ciężarówki, wyjaśnił uprzejmie. Zaofiarował się, że podwiezie ich do szpitala.

– Dziękuję – odrzekł Nusswan. – Ale w domu będą się zastanawiać, co się stało.

– To nie kłopot, pošę posterunkowego, żeby powiedział, że był wypadek i jesteście państwo w szpitalu – powiedział podinspektor. – Potem będą mogli państwo wszystko wytłumaczyć.

•

Dzięki pomocy podinspektora formalności załatwiono w szpitalu w ekspresowym tempie. Nusswan i Dina szybko wyszli.

– Weźmy taksówkę – powiedział Nusswan.

– Nie, chcę iść piechotą.

Kiedy docierali do domu, po jej twarzy płynęły cicho strumienie łez. Nusswan objął ją i pogłaskał po głowie.

– Moja biedna siostra – wyszeptał. – Moja biedna siostrzyczka. Tak bym chciał móc ci go wrócić. Płacz sobie, płacz, ile tylko zechcesz.

Sam chlipał trochę, kiedy szeptem relacjonował Ruby całe zdarzenie.

– O Boże! – zaszlochała Ruby. – Takie nieszczęście! Co za bezsens! Cały świat Diny runął w ciągu paru minut! Jak to możliwe? Jak On może zezwalać na takie rzeczy?

Opanowała się i poszła zbudzić dzieci, gdy tymczasem Dina przebierała się z niebieskiej sukienki.

– Możemy teraz dostać lody truskawkowe? – sennie spytali Xerxes i Zarir.

– Wujek Rustom źle się czuje, idziemy do domu – szepnęła Ruby, która uznała, że wyjaśnień lepiej udzielać stopniowo.

Dina wyszła ze swojego pokoju, Nusswan podszedł do niej.

– Idziesz z nami, nie możesz zostać tu sama.

– Oczywiście, koniecznie – dodała Ruby, ściskając jej rękę.

Dina kiwnęła głową. Poszła do kuchni i zaczęła pakować resztki pulao-dal. Ruby wpatrywała się w nią trochę z ciekawością, a trochę z lękiem.

– Pomóc ci? – spytała.

Dina pokręciła głową.

– Nie ma sensu marnować jedzenia. Po drodze damy je żebrakowi na rogu.

Później, za każdym razem, gdy relacjonował komuś tamte wydarzenia, Nusswan wspominał, że godna postawa jego siostry w tamtą okrutną noc wywarła na nim wielkie wrażenie.

– Żadnego wycia, żadnego bicia się w piersi i rwania włosów, jak można by się spodziewać po kobiecie, która przeżyła taki wstrząs, taką stratę.

Ale pamiętał też godną postawę ich matki w podobnej sytuacji oraz rozkład, który nastąpił później. Żywił nadzieję, że los Diny nie potoczy się według tego samego wzorca.

Dina spakowała do walizki białe sari oraz inne rzeczy potrzebne w ciągu najbliższych kilku dni. Była to ta sama walizka, którą przyniosła tutaj trzy lata wcześniej, w noc po swoim ślubie.

•

Po pogrzebie i czterech dniach modlitw Dina szykowała się, by wracać do domu.

– Po co ten pośpiech? – pytał Nusswan. – Zostań jeszcze.

– Pewnie – wtórowała mu Ruby. – Tu jesteś z rodziną. Co tam będziesz robić sama?

Dina uległa łatwo, nie czuła się gotowa do powrotu. Najtrudniejsze były godziny przed świtem. Spała z ręką przerzuconą przez poduszkę. Czasem delikatnie trącała ją łokciem – to jej sygnał dla Rustoma, że chce, by ją objął. Nie czując ludzkiego ciężaru budziła się wśród pustki i w ciemnościach poprzedzających brzask raz jeszcze odkrywała swą stratę. Czasem wykrzykiwała jego imię, a Ruby i Nusswan, jeśli ją posłyszeli, przychodzili do sypialni, przytulali ją mocno, głaskali po głowie.

– Nie będziesz dla nas żadnym ciężarem – nalegał Nusswan. – Mało tego, dotrzymasz Ruby towarzystwa.

Więc Dina została. Wieść, że tymczasowo zamieszkuje u brata, obiegła krewniaków, którzy tłumnie przybywali z kondolencjami. Gdy uporano się z oficjalnym celem wizyty, rozmowa nabierała charakteru miłego spotkania towarzyskiego, a Nusswan i Ruby bawili się znakomicie.

– W tej sytuacji to najlepsze dla Diny rozwiązanie – uznali zgodnie.

Ciocia Shirin i wuj Darab uczestniczyli w czterodniowych modlitwach w wieżach milczenia, ale po tygodniu przyszli znowu. Posiedzieli trochę, wypili po szklaneczce syropu cytrynowego.

– Dla nas to tak, jakbyśmy stracili syna. Ale pamiętaj, wciąż jesteś naszą córką. Gdybyś potrzebowała czegokolwiek, przyjdź do nas. Pamiętaj, możesz przyjść do nas ze wszystkim – zapewnili.

Ruby posłyszała te słowa i zachnęła się.

– To bardzo miłe z państwa strony. Ale my się nią zajmiemy, Nusswan i ja.

– Tak, oczywiście, chwała Bogu! – łagodzili starzy małżonkowie, zaskoczeni ostrym tonem jej głosu. – Oby obdarzył was oboje długim i zdrowym życiem. To wielkie szczęście dla Diny, że was ma.

Wkrótce potem wyszli, licząc w duchu, że udało im się ugłaskać Ruby.

Minął miesiąc. Dina powróciła do swojej starej rutyny i zajęła dawne miejsce w gospodarstwie domowym. Służąca dostała wymówienie. Dinie to nie wadziło, miała dzięki temu czym wypełnić długie, puste dni. Xerxes i Zarir nie posiadali się oczywiście z radości, że ciocia Dina z nimi mieszka. Xerxes był w drugiej klasie, a Zarir właśnie zaczął chodzić do przedszkola. Zaofiarowała się, że będzie ich odprowadzać; żaden kłopot, zważywszy, że szkoła leżała na trasie porannych wypraw na bazar.

W niedzielne popołudnia Nusswan urządzał partie kart. Przez kilka godzin

trójka dorosłych grała w remika, dzieci zaś się przyglądały. Czasem Dina pozwalała Xerxesowi lub Zarirowi trzymać swoje karty. O siódmej kobiety zabierały się do kolacji, a Nusswan budował z synami domki z kart lub po raz drugi przeglądał niedzielną gazetę.

Raz w tygodniu Dina chodziła do swego pustego mieszkania, żeby je odkurzyć i posprzątać. Ścisłe trzymała się takiego porządku prac domowych jak za życia Rustoma. Po pracy zaparzała sobie herbatę. Siadała z filiżanką w zaciszu obskurnej kuchni i wspominała, czasem popłakiwała cichutko, a herbata zwykle stygła. Często wylewała ją po wypiciu pół filiżanki.

Przez kilka tygodni przestrzegała tych sekretnych porządków żałobnych, i część jej uwierzyła, że wszystko ma się po staremu, że mieszkanie jest zamieszkałe, a rozłąka tymczasowa. Zdawało jej się, że nie ma w tym nic szkodliwego, a fantazje te bardzo dodawały jej otuchy.

Wreszcie, pewnego wieczoru, kiedy zapadał zmierzch, a samochody zaczęły zapalać reflektory, przyłapała się na tym, że wypatruje z werandy Rustoma zbliżającego się na rowerze. Dreszcz przebiegł jej po plecach. Flirty z szaleństwem to jedno, lecz gdy szaleństwo zaczynało odpowiadać na zaloty, nadeszła pora, by położyć temu kres.

Porzuciła rytuał cotygodniowego sprzątania. Jeśli już trzeba było odwiedzić mieszkanie, wołała nie iść tam sama i zabierała z sobą małych bratanków. Xerxes i Zarir uwielbiali eksplorować tę niezamieszkaną przestrzeń. Znajome pokoje nagle wydawały się dalekie i tajemnicze, wypełnione meblami, lecz zarazem niepojęcie puste. Muzealny bezruch intrygował chłopców. Krzyczeli i hasali po mieszkaniu, żeby przekonać się, czy zdołają przepędzić pustkę.

Pewnego popołudnia, kiedy Dina wpadła po parę rzeczy, znalazła list od kamienicznika. Dzieci zaczęły przygotowywać bieg przełajowy według trasy wyznaczonej przez Xerxesa.

– Wystartujemy z werandy, stamtąd pobiegniemy do kuchni, potem do ubikacji, a potem z powrotem, przez wszystkie pokoje. Zrozumiałeś, Zarir?

– Aha – potwierdził malec.

– Do biegu, gotowi, start! – zawołała Dina.

Otworzyła okna we frontowym pokoju i przeczytała list. Stwierdzano w nim, że lokal nie jest obecnie zamieszkiwany, toteż niniejszym wzywa się, by w terminie trzydziestu dni z mieszkania usunięto wszelkie ruchomości i zwrócono klucze.

Kiedy wieczorem pokazała list bratu, Nusswan wpadł w furję.

– Co za bezduszny szubrawiec z tego kamienicznika! Nawet trzy miesiące nie minęły, odkąd odszedł biedny Rustom, a ten wąż już jest gotów do skoku. Jeszcze czego. Musisz zachować to mieszkanie.

– Tak. Myślę, żeby tam wrócić w przyszłym tygodniu – zgodziła się Dina.

– Nie o to mi chodzi. Zostań tu rok, dwa, ile zechcesz. Ale nie zrzekaj się swojego prawa. Zapamiętaj moje słowa: niedługo w tym mieście dach nad głową będzie nie do zdobycia. Takie stare mieszkanie jak twoje to będzie żyła złota.

– Racja – powiedziała Ruby. – Słyszałam, że syn ciotki Putli musiał wyłożyć dwadzieścia tysięcy rupii na pagri^[28], żeby w ogóle przejść przez próg. A na czynsz pięćset miesięcznie. Jego mieszkanie jest jeszcze mniejsze od twojego.

– To prawda – odparła Dina. – Ale mój czynsz...

– O to się nie martw, ja zapłacę – uspokajał Nusswan. – A mój prawnik odpowie na ten list.

Myślał o przyszłości. Prędzej czy później Dina znów wyjdzie za mąż. Byłoby rzeczą wielce niefortunną, gdyby na tym etapie przeszkodą miał się okazać brak mieszkania. Stanowczo nie życzył sobie, żeby małżonkowie zamieszkali razem z nim. Oznaczałoby to murowane tarcia i konflikty.

•

W pierwszą rocznicę śmierci Rustoma Nusswan wziął wolne przedpołudnie w pracy. Dzień wcześniej napisał usprawiedliwienia dla Xerxesa i Zarira, informując dyrekcję szkoły i przedszkola, że chłopcy „będą nieobecni z powodu uczestnictwa w prowadzonych w świątyni ognia modlitwach za ich zmarłego wuja”. Dina z wdzięcznością przyjęła obecność całej rodziny.

– Aż ciężko uwierzyć – westchnął Nusswan, kiedy wrócili do domu. – Już cały rok przeleciał. Jak ten czas płynie.

Kilka dni później oficjalnie ogłosił kres żałoby, zapraszając na herbatę kilku przyjaciół.

Wśród nich znaleźli się także Porus i Solly, dwaj spośród wielu obiecujących kawalerów, których przed paru laty wytrwale podsuwał Dinie. Obaj byli wolni i wciąż, zdaniem Nusswana, dosyć obiecujący, jeśli zechciało się przymknąć oko na takie drobne niedostatki jak zaczątki brzuszka czy siwiejące włosy.

Dumny ze swojej subtelności, zwrócił się do Diny, kiedy byli we dwoje.

– Nie wiem, czy wiesz, ale zarówno Porus, jak i Solly bardzo chętnie wzięliby cię za żonę. Kancelaria Porusa prosperuje znakomicie, a Solly jest teraz partnerem w firmie zajmującej się księgowością. Nie zawadzałoby im wcale, że jesteś wdową.

– To bardzo miłe z ich strony.

Nie spodobał mu się ten sarkazm. Przypomniał mu dawną Dinę – upartą, bezczelną, zbuntowaną siostrę, o której sądził, że uległa przemianie i stała się lepszą osobą. Przełknął jednak ślinę i spokojnie ciągnął dalej:

– Musisz wiedzieć, Dino, że bardzo mi zaimponowałaś. Nikt nie może ci zarzucić płochości w okresie żałoby. Przez cały rok zachowywałaś się bez

zarzutu, jak każe dobry obyczaj.

– To nie była kwestia obyczaju. I nie było w tym nic trudnego.

– Wiem, wiem – powiedział pośpiesznie, żałując doboru słów. – Chodziło mi o to, że podziwiam twoją godną postawę. Ale rzecz w tym, że ciągle jesteś bardzo młoda. Miał już ponad rok i musisz pomyśleć o swojej przyszłości.

– Nie martw się, rozumiem twoją troskę.

– Świetnie, to byłoby wszystko. Chodź, pora zagrać w karty. Ruby! – zawołał w kierunku kuchni. – Czas na remika!

Teraz sprawy pójdą naprzód, Nusswan był pewien.

W ciągu następnych paru tygodni dalej zapraszał stary garnitur kawalerów.

– Pozwól, Dino. Chciałbym cię przedstawić... – zaczynał, a później, symulując przebłysk pamięci, wykrzykiwał: – Zaraz, zaraz! Co ja wygaduję?! Gdzie ja mam głowę? Przecież już znasz Temtona. W takim razie niech to będzie ponowne zapoznanie.

Spektakl odgrywano w sposób, który sugerował, że oto wznawia się niezwykle ważną znajomość, że roznieca się ponownie płomień namiętności. Dinę irytowało to niepomernie, ale nalewała herbatę i podawała kanapki, starając się pohamować grymas niezadowolenia na twarzy. Po wyjściu gości Nusswan powracał do swych topornych aluzji, wychwalając urodę jednego, sławiąc karierę drugiego, wskazując na majątek, który miał przypaść w spadku trzeciemu.

Gdy po czterech miesiącach ugaszczania kawalerów Dina wciąż nie dawała oznak współpracy, Nusswan stracił cierpliwość.

– Byłem taktowny, byłem uprzejmy, byłem rozsądny. Czekasz na syna jakiegoś radzy? A którego, jeśli łaska? Co ci przedstawiam jakiegoś gościa, to odwracasz twarz i przechodzisz na drugi koniec pokoju. Czego ty chcesz?

– Niczego.

– Jak można nie chcieć niczego? Całe twoje życie będzie niczym. Bądźże rozsądna.

– Wiem, że to robisz dla mojego dobra, ale ja zwyczajnie nie jestem zainteresowana.

Ta odpowiedź znów przypomniała Nusswanowi o dawnej Dinie, niewdzięcznej młodszej siostrze. Podejrzewał ją, że spogląda z góry na jego przyjaciół, a przecież wszystko to były takie dobre chłopcy. Mniejsza z tym, nie wyprowadzi go z równowagi.

– W porządku. Tak jak mówiłem, jestem rozsądnym człowiekiem. Jeśli nie podobają ci się ci mężczyźni, nikt nie będzie cię zmuszał. Sama kogoś znajdź. Możemy też wynająć swatkę. Słyszałem, że pani Ginwalla ma do tych spraw dobrą rękę. Daj znać, co ci bardziej odpowiada.

– Nie chcę tak szybko wychodzić za mąż.

– Szybko? To ma być szybko? Masz dwadzieścia sześć lat. Na co liczysz? Na cudowny powrót Rustoma? Uważaj, bo zwariujesz jak ciocia Bapsy, tyle że ona przynajmniej miała wymówkę, bo ciała jej męża nigdy nie odnaleziono po wybuchu w dokach.

– Jak można mówić takie okropieństwa! – Dina obróciła się z odrazą i wyszła z pokoju.

Była bardzo młoda, kiedy to się wydarzyło, lecz wyraźnie pamiętała tamten dzień podczas wojny, gdy dwa brytyjskie statki z amunicją wyleciały w powietrze po zadokowaniu, zabijając tysiące ofiar na terenie portu. Detonacje jeszcze trwały, gdy miasto zaczęły obiegać pogłoski o nazistowskich szpiegach. Władze oświadczyły, że ciała wielu zaginionych uległy całkowitemu rozpadowi wskutek morderczych eksplozji, ale ciocia Bapsy nie zaakceptowała tej teorii. Czuła, że jej mąż żyje i błąka się gdzieś dotknięty amnezją, a odszukanie go jest jedynie kwestią czasu. Innymi razy zgadzała się, że być może jakiś bezwzględny sadhu zahipnotyzował go lub dorzucił mu czegoś do jedzenia i uprowadził w niewolę. Tak czy inaczej ufała, że jej mąż się znajdzie. To, że od katastrofy upłynęło siedemnaście lat, nie zachwiało jej wiarą. Czas spędzała pogrążona w pogawędkach z jego fotografią, która stała w srebrnych ramkach u jej wezłowania i na użytek której relacjonowała szczegółowo nowiny i plotki z każdego dnia.

– To twoje przygnębiające postępowanie przypomina mi ciocię Bapsy – powiedział Nusswan, podążając za Diną do drugiego pokoju. – Jakie masz dla siebie wytłumaczenie? Byłaś na pogrzebie, widziałaś zwłoki, słyszałaś modlitwy. Już ponad rok, jak Rustom zmarł i został strawiony.

Ledwie wypowiedział te słowa, uniósł oczy ku niebu, prosząc, aby wybaczone mu to drobne uchybienie.

– Czy zdajesz sobie sprawę, jak dobrze ci się powodzi w naszej społeczności? U nieoświeconych wdowy wyrzuca się jak śmieci. Dawniej, gdybyś była hinduską, musiałabyś zostać potulną sati^[29] i rzucić się na pogrzebny stos męża, żeby się upiec razem z nim.

– Zawsze mogę pójść do wież milczenia i dać się pożreć sępom, jeśli cię to uszczęśliwi.

– Bezwstydną kobieto! Co za usta bezbożne! Co za bluźnierstwo! Idzie mi o to tylko, żebyś doceniła swoją sytuację. Możesz żyć pełnią życia, wyjść znowu za mąż, mieć dzieci. A może wolisz wiecznie żyć na mojej łasce?

Dina nie odpowiedziała, ale nazajutrz, kiedy Nusswan był w pracy, zaczęła z powrotem przenosić swój dobytek do mieszkania Rustoma.

Ruby próbowała ją powstrzymać i krążyła za nią od pokoju do pokoju.

– Przecież wiesz, jaki popędliwy jest twój brat. Nie myśli naprawdę tego

wszystkiego, co mówi.

– Ani nie mówi wszystkiego, co naprawdę myśli – odparła Dina i pakowała się dalej.

Wieczorem Ruby poinformowała Nusswana.

– Phi! – prychnął wystarczająco głośno, by Dina usłyszała. – Niech idzie, jeśli taka jej wola. Z przyjemnością zobaczę, jak jej się uda życie na własny rachunek.

Po kolacji, kiedy nadal siedzieli przy stole, odchrząknął.

– Moim obowiązkiem jako głowy rodziny jest powiedzieć ci, że nie pochwalam tego, co robisz. Popelniasz wielki błąd i będziesz tego żałować. Tam, na zewnątrz, świat jest brutalny, ale nie zamierzam błagać cię, żebyś została. Zachowuj się rozsądnie, a będziesz tu mile widziana.

– Dziękuję za przemówienie – skwitowała Dina.

– No tak, żartuj sobie ze mnie. Całe życie to robisz, więc trudno, żeby się to teraz zmieniło. Pamiętaj, nikt cię nie wyrzuca, to twoja decyzja. Żaden z naszych krewnych nie może mnie winić. Zrobiłem co w mojej mocy, by ci pomagać. I będę to robić nadal.

Wkrótce to, że ciocia Dina odchodzi, dotarło do dzieci. Najpierw były oszołomione, potem wpadły w złość. Xerxes schował jej torebkę.

– Nie możesz iść, ciociu! Nie możesz! – krzyczał.

Kiedy zagroziła, że pójdzie bez torebki, Zarir przyniósł ją z ukrycia, zalewając się łzami.

– Możecie mnie odwiedzać – próbowała ich uspokoić, przytulając ich i ocierając im oczy. – W soboty i niedziele. I może w wakacje. Będzie świetna zabawa.

Ta wizja podekscytowała ich, ale i tak woleli, żeby została z nimi na zawsze.

•

Rankiem w dzień po powrocie do swojego mieszkania Dina wybrała się odwiedzić wuja Daraba i ciocię Shirin.

– Darabie! Patrz, kto tu jest! – wykrzyknęła z przejęciem ciocia Shirin. – Kochana Dina! Wejdz, dziecko, wejdz!

Wuj Darab wychynął z głębi mieszkania, ciągle jeszcze w piżamie, i uściskał Dinę, mówiąc, że czekali na jej odwiedzinę od dawna.

– Przepraszam za swój wygląd – powiedział, zasiadając naprzeciw niej i uśmiechając się od ucha do ucha.

Jak zawsze Dina była wzruszona ich radością na jej widok. Czowała, jak ich miłość spływa na nią niczym coś dotykającego. Przypomniała sobie kąpiel w mleku, którą w dzieciństwie matka urządziła jej na urodziny: kubek wypełniony do połowy ciepłym mlekiem i płatki róży na powierzchni, cienkie,

białe strumyki spływające po jasnobrązowej skórze jej twarzy, szyi i piersi.

– Najciężej w tym wszystkim zostawić maluchów – westchnęła. – Bardzo się do nich przywiązałam.

– Tak to jest z dziećmi – odrzekła ciocia Shirin. – Ale wiesz, Rustom opowiadał nam, jak paskudnie twój brat cię traktował w latach przed ślubem.

– On nie jest złym człowiekiem – zaproponowała słabo Dina. – Tyle że ma własne zapatrywania na różne sprawy.

– Oczywiście – przytaknęła ciocia Shirin, świadoma ciężaru rodzinnej lojalności. – Tak czy inaczej możesz zostać z nami. Jesteśmy szczęśliwi, że przyszłaś.

– Ojej – westchnęła Dina, woląc zawczasu zażegnać nieporozumienia. – Właściwie to postanowiłam, że wracam do mieszkania Rustoma. Przyszłam zapytać tylko, czy mogliby państwo znaleźć mi jakąś pracę.

Na te słowa wuj Darab zaczął ruszać ustami, z mozołem usiłując przełknąć rozczarowanie, które nagle je wypełniło. Cichy bulgot droczył się z ciszą, a ciocia Shirin rozpaczliwie skubała rąbek podomki.

– Pracę... – bąkała słabym głosem, niezdolna, by zebrać myśli. – Tak, drogie dziecko... pracę, musisz pracować, jasne. Jaką pracę, Darabie? Jak myślisz, gdzie mogłaby pracować?

Dina czekała na jego odpowiedź w pełnym skruchy milczeniu, ale on nadal nie mógł z siebie głosu dobyć.

– Idź się przebrać – ofuknęła go ciocia Shirin. – Już prawie południe, a ten dalej paraduje w ubraniu do spania.

Podniósł się potulnie i skierował w głąb mieszkania. Ciocia Shirin porzuciła rąbek podomki, potarła dłońmi twarz i wyprostowała się. Nim wuj Darab powrócił, zmieniwszy piżamę w niebieskie pasy na spodnie w kolorze khaki i koszulę w stylu safari, miała już gotowy wstępny plan dla Diny.

– Powiedz mi, moje dziecko, czy umiesz szyć?

– Trochę. Ruby nauczyła mnie obsługiwać maszynę do szycia.

– Dobrze. W takim razie znajdzie się praca dla ciebie. Mam dodatkowego singera, możesz go wziąć. Jest dość stary, ale działa przyzwoicie.

Przez wiele lat ciocia Shirin szyła dla kilku rodzin i zasilała w ten sposób pensję, którą jej mąż otrzymywał w Stanowych Zakładach Komunikacji. Wykonywała proste rzeczy, jak piżamy, szlafroki, śpioszki, prześcieradła, poszewki na poduszki, obrusy.

– Będiesz moją współpracowniczką – oznajmiła. – Pracy jest dużo, więcej niż sama mogę teraz przerobić przy moich słabych, starych oczach. Zaczniemy od jutra.

Dina podniosła torebkę i uściskała ciocię Shirin i wuja Daraba. Odprowadzili ją pod drzwi, ale hałas na ulicy wywabił ich na balkon. Ulicą płynął potężny pochód

protestacyjny.

– Kolejna durna morca^[30] w sprawie języka – złorzeczył wuj Darab, dostrzegłszy transparent. – Ci głupcy chcą podzielić stan według granic językowych.

– Każdy chce coś zmieniać – dorzuciła ciocia Shirin. – Dlaczego ludzie nie nauczą się cieszyć tym, co jest? Tak czy owak, wracajmy do środka. Dina nie może teraz wyjść. Cały ruch stanął.

Wydawała się rada z takiego obrotu sprawy. Przez dodatkowe dwie godziny cieszyła się towarzystwem Diny, aż na ulice wrócił porządek.

Przez następnych kilka dni ciocia Shirin oprowadzała Dinę i przedstawiała klientom. Za każdym razem Dina czekała u boku cioci Shirin, spięta, z nieśmiałym uśmiechem, próbując zorientować się w potoku imion i dyspozycji krawieckich. Dzień po dniu ciocia Shirin przekazywała jej większość nowych zleceń.

Pod koniec tygodnia Dina wreszcie zaprotestowała.

– Nie mogę tyle wziąć, nie mogę pozbawić cioci zarobku.

– Moje drogie dziecko, niczego mnie nie pozbawiasz. Emerytura Daraba nam wystarcza. I tak miałam rzucić szycie, coraz bardziej mnie męczy. Proszę, nie zapomnij tego nowego wykroju.

Wraz z zamówieniami cioci Shirin przekazywała Dinie dodatkowe dane o klientach, informacje, które miały jej ułatwić kontakty z nimi.

– Rodzina Munshi jest najlepsza – zawsze szybko płacą. Parekhowie też, ale lubią się targować. Ale musisz być twarda, mów, że to ja ustaliłam stawki. Kto tam jeszcze? A tak, pan Savukshaw. Ten to lubi zajrzeć do butelki. Pod koniec miesiąca jego biedna żoneczka nie ma już prawie żadnych pieniędzy. Pamiętaj, żeby wziąć zaliczkę.

Przypadek państwa Surtee był dosyć wyjątkowy. Za każdym razem, kiedy się pokłócili, pani Surtee nie gotowała mężowi kolacji. Zamiast tego wyciągała z szafy wszystkie pary jego szarawarów, podpałała je, a popiół i zwęglone strzępy kładła na półmisku i stawiała przed mężem, kiedy wrócił z pracy.

– Skutek jest taki – powiedziała ciocia Shirin – że możesz więcej zarobić. Co dwa, trzy miesiące, gdy już się pogodzą, pani Surtee zamówi u ciebie dużą partię szarawarów. Ale musisz zachowywać się, jak gdyby nigdy nic, inaczej weźmie sobie kogoś innego.

Kolekcja portretów rodzinnych powiększała się, w miarę jak ciocia Shirin kreśliła obrazy państwa Davarów i Kotwałów, Mehta i Pavri, Vatcha i Seervai, i dodawała je do portfolio.

– Masz pewnie po uszy tych szczegółów – powiedziała. – Jeszcze jedna sprawa, najważniejsza: nigdy nie mierz wewnętrznej długości nogawki u panów. Poproś

o egzemplarz wzorcowy, a jeśli to niemożliwe, zadbaj, żeby ktoś był obecny przy pomiarach, żona, matka albo siostra. W przeciwnym razie, jeden ruch, drugi ruch, i zanim się obejrzyysz włożą ci do ręki coś, czego nie chcesz. Wierz mi, miałam paskudną przygodę, kiedy byłam młoda i niewinna.

Tę ostatnią radę Dina pamiętała szczególnie dobrze, kiedy ciocia Shirin prowadziła ją na spotkanie z Fredoonem, mieszkającym samotnie kawalerem. Ciocia Shirin przestrzegła ją, by nigdy nie przychodziła sama do jego mieszkania.

– Wprawdzie to dżentelmen w każdym calu, ale ludzkie języki są złośliwe. Nagadają, że coś tu jest na rzeczy i zniszczą ci reputację.

Dina nie dbała o ludzkie języki i nie uważała Fredoona za zagrożenie, choć gotowa była czmychnąć, gdyby nagabnął ją w sprawie pomiaru wewnętrznej długości nogawki. Cioci Shirin na pokrzepienie powiedziała, że zawsze towarzyszy jej zaprzyjaźniona osoba. Nie wyjaśniła natomiast, że tą osobą jest Fredoon, który wkrótce istotnie został jej przyjacielem. Zamawiał u niej głównie sukieneczki, krótkie spodenki i fartuszki; aby wesprzeć Dinę, obdarowywał ubrankami dzieci krewnych i znajomych na urodziny, zamiast kopert wypchanych rupiami.

Ich przyjaźń zacieśniała się. Dina często towarzyszyła mu do sklepu tekstylnego, by pomóc w wyborze tkaniny na prezenty. Po zakupach siadali przy herbacie i ciastkach u Bastaniego. Czasem Fredoon zapraszał ją do siebie na kolację i po drodze kupowali smażone kotlety baranie albo windalu^[31]. Stale zachęcał ją, by spróbowała uszyć sukienkę według nowego wykroju, by była stanowcza w kontaktach z klientami, by żądała wyższych stawek.

W ciągu następnych kilku miesięcy Dina nabrała wiary w swoje możliwości. Szycie przychodziło jej łatwo dzięki nauce u bratowej, a kiedy trafiało się coś skomplikowanego, zasięgała rady cioci Shirin. Jej odwiedziny sprawiały starym małżonkom przyjemność tak ogromną, że przychodziła regularnie, udając, że nie może uporać się z tym czy owym: kołnierzykiem z falbanką, reglanowym rękawem, plisowaniem.

Codziennie po szyciu zostawały skrawki materiału. Ciocia Shirin doradziła jej, aby je gromadziła.

– Nie marnuj niczego. Pamiętaj: wszystko ma swoje zastosowanie. Te ścinki mogą się bardzo przydać – i na dowód tych słów skleciła naprędce nieforemną podpaskę.

– Świetny pomysł – powiedziała Dina.

Jej budżet stale wymagał zasilenia. Wkładki z tkaniny nie były równie chłonne jak podpaski, które miała w zwyczaju kupować, ale za to mogła je częściej zmieniać, ponieważ nic nie kosztowały. Mimo to, gdy je nosiła, wkładała też w ramach dodatkowego zabezpieczenia bardzo ciemną spódnicę.

Praca sprawiała, że w małym mieszkaniu godziny płynęły szybko. Gdy oczy i palce Diny zajęte były szyciem, hałasy z sąsiednich mieszkań zaczynały docierać do jej świadomości ze wzmożoną siłą. Zbierała te dźwięki, sortowała je, odtwarzała je i kreowała obraz życia swoich sąsiadów, tak jak pobraną od klienta miarę przekształcała w ubrania.

Polityka Rustoma względem sąsiadów polegała na unikaniu ich w miarę możliwości. Wystarczy zwykle sahib-dži-salam^[32] – mawiał. – W przeciwnym razie kończy się na plotkach i wścibstwie, które wymyka się spod kontroli.

Ale zmywanie naczyń, dzwonienie do drzwi, targowanie się z domokrażcami, hałasy towarzyszące praniu, plask odzieży, z której wyklepywano mydliny, kłótnie rodzinne, utarczki ze służbą – wszystko to zdawało się podobne do plotek. Gdyby sąsiedzi zadali sobie trud słuchania, pomyślała, odgłosy z jej mieszkania przekazałyby ich uszom opowieść o jej życiu. Całkowita prywatność nie istnieje, życie jest nieustającym recitalem w sali koncertowej pełnej zauroczonych słuchaczy.

Czasem korciło ją, by jak kiedyś umilić sobie czas darmowymi koncertami, lecz nie chciała do tego wracać. Miała się na baczności przed wszystkim, co wyglądało na chwywanie się dawnych dni. Droga do niezależności nie mogła prowadzić przez przeszłość.

Niebawem, kiedy Dina oswoiła się z pracami krawieckimi, ciocia Shirin nauczyła ją dziergać swetry.

– Nie ma większego popytu na wełnianą odzież – powiedziała – ale niektórzy ludzie zamawiają je dla szyku albo na wyjazd na wakacje w góry.

Kiedy przeszły do bardziej skomplikowanych ściągów, ciocia Shirin podarowała jej druty oraz całą kolekcję książek z wzorami.

Na koniec nauczyła Dinę haftować, przy czym ostrzegła ją:

– Haftowane serwetki i obrusy mają wzięcie i nieźle się na nich zarabia. Ale dla oczu to wielkie obciążenie. Nie rób tego zbyt często, bo inaczej po czterdziestce odczujesz skutki.

Tak więc, kiedy trzy lata później ciocia Shirin zmarła, a w kilka miesięcy potem jej śladem podążył wuj Darab, Dina była spokojna, że sobie poradzi. Czuła się też bardzo samotna, jak gdyby po raz drugi straciła rodziców.

•

Wbrew przekonaniu Nusswana, że nikt nie będzie obwiniać go o odejście Diny, krewni wkrótce podzielili się na dwa obozy. Kilkoro ogłosiło neutralność i czuło się komfortowo po obu stronach barykady, lecz co najmniej połowa zaciekle brała stronę Diny. Aby pokazać, że aprobują jej niezależnego ducha, wysuwali szereg pomysłów na dochodowe przedsięwzięcia.

- Ciasteczka maślane. W tym są prawdziwe pieniądze.
- A może byś ruszyła z przedszkolem? Każda matka wolałaby ciebie do dzieci zamiast ayah.
- Zaczynj robić dobry sorbet różany, a nie pożałujesz. Ludzie będą kupować galonami.

Dina wysłuchiwała wszystkiego z wdzięcznością, pochylając z zaciekawieniem głowę, gdy tamci wykładali swoje pomysły. Stała się ekspertką w niezobowiązującym potakiwaniu. Kiedy w szyciu był mały ruch, przyjmowała od krewnych zlecenia na ciastka, bhakra, wasanu i kumas^[33].

Później jej przyjaciółka Zenobia w przypływie inspiracji wpadła na pomysł domowego strzyżenia dzieci. Zenobia spełniła swoje szkolne marzenie: była obecnie główną fryzjerką w salonie urody Wenus. Wieczorem, po zamknięciu zakładu, udzieliła Dinie lekcji na peruce przyklejonej do gipsowej czaszki. Grzebień raz za razem grzął wśród skołtunionych kosmyków taniego wiechcia.

- Nie przejmuj się – uspokoiła Dinę. – Z prawdziwymi włosami jest dużo łatwiej.

Z nadprogramowych artykułów znalezionych w salonie zebrała zestaw, na który złożyły się nożyczki, maszynka do strzyżenia, szczotka, grzebień, talk i puszek do pudru. Następnie razem opracowały listę krewnych i znajomych, których dzieci kwalifikowałyby się do roli królików doświadczalnych. Xerxesa i Zarira pominięto; wprawdzie Nusswan chętnie skorzystałby z okazji, by zaoszczędzić na fryzjerze, lecz Dina czuła się teraz nieswojo w jego domu.

- Weź się za te bachory i ciachaj jednego po drugim, aż obsłużysz całe to tałatajstwo – zagrzewała ją do boju Zenobia. – To tylko kwestia wprawy.

Śledziła jej postępy i niebawem oświadczyła, że szkolenie dobiegło końca. Wówczas Dina zaczęła chodzić od drzwi do drzwi.

Jednak po kilku dniach przedsięwzięcie zakończyło się bez ani jednej nowej fryzury. Zarówno Dina, jak i Zenobia zapomniały, że dla większości ludzi ścinki włosów w domu wróżą nieszczęście. Dina zrelacjonowała przyjaciółce swe niepowodzenia, jak to myśl o włosach spadających na podłogę jeżyła włosy na głowie niedoszłych klientów.

- Jak pani może? Cośmy pani wyrządzili, że chce pani ściągnąć nieszczęście pod nasz dach?

Niektórzy byli gotowi poświęcić głowy swoich dzieci.

- Oczywiście pod warunkiem, że zrobi to pani na zewnątrz – zastrzegali.

Dina odmawiała. Pewnych granic nie zamierzała przekraczać. Była domową fryzjerką dziecięcą, a nie ulicznym golibrodą.

Po tym epizodzie nie zawiesiła nożyczek na kołku. Dzieci znajomych nadal korzystały z jej umiejętności. Niektóre, mając w pamięci jej pierwsze próby, kryły

się na wieść o przybyciu cioci Diny. Dopiero kiedy nabrała wprawy, ich strach zelżał.

Przez cały ten czas zdarzały się okresy chudsze, gdy nie starczało na czynsz czy rachunek za prąd. Ciocia Shirin i wuj Darab, kiedy jeszcze żyli, nieraz ratowali ją czterdziestoma czy pięćdziesięcioma rupiami pożyczki. Teraz został jej tylko Nusswan.

– Oczywiście, to mój obowiązek – oświadczał obłudnie. – Jesteś pewna, że sześćdziesiąt wystarczy?

– Tak, dziękuję. Oddam ci w przyszłym miesiącu.

– Nie ma pośpiechu. I jak, znalazłaś już sobie ukochanego?

– Nie – odpowiadała, zastanawiając się, czy jej brat ma jakieś podejrzenia związane z Fredoonem. Czyżby ktoś zobaczył ich razem i doniósł Nusswanowi?

W ciągu dwóch lat, które upłynęły od śmierci cioci Shirin, kawaler ten awansował z przyjaciela na kochanka. Choć Dinie nadal z trudem przychodziły myśli o małżeństwie, to lubiła jego towarzystwo, ponieważ Fredoon był w pełni zadowolony z przebywania w jej obecności, a przy tym nie czuł przymusu, by prowadzić inteligentne rozmowy lub uczestniczyć w zajęciach towarzyskich, jakim zwykle oddają się pary. Oboje byli równie szczęśliwi, gdy siedzieli u niego w mieszkaniu, jak i podczas przechadzki po miejskim ogrodzie.

Kiedy jednak zapuszczali się do prywatnego ogrodu intymności, ich związek stawał się burzliwy. Do pewnych rzeczy Dina nie mogła się zmusić. Łóżko – każde łóżko – stanowiło świętość zarezerwowaną wyłącznie dla małżonków. Korzystali zatem z krzesła. Pewnego dnia przekładała nogę, aby dosięść Fredoona, gdy ruch ten znienacka wskrzesił obraz Rustoma przerzucającego nogę nad siodełkiem swego roweru. Teraz krzesło, tak jak łóżko, zostało wykluczone.

– O Boże! – westchnął Fredoon, po czym włożył spodnie i zaparzył herbatę.

Kilka dni później namówił ją na pozycję stojącą i Dina nie zgłaszała obiekcji. Zaczął wówczas szlifować procedurę. Wyszukał dla Diny niską podpórkę, na której mogła stawać, dzięki czemu na czas swych uścisków byli do siebie bardziej zbliżeni wzrostem. Następnie kupił taboret, dokonał na Dinie kilku pomiarów, po czym skrócił nogi stołka o dokładnie dwa i ćwierć cala, aby mogła na nim wygodnie oprzeć nogę. Czasami unosiła lewą, czasami prawą. Ustawił te akcesoria pod ścianą, a z sufitu zwiesił poduszki, tak aby znajdowały się na odpowiedniej wysokości dla podparcia głowy, pleców i bioder.

– Czy wygodnie? – spytał czule, a ona przytaknęła.

Ale najwyższej łóżkowej satysfakcji zaznawali jedynie w przybliżeniu. To, co powinno było stanowić sporadyczną przyprawę dla ożywienia regularnego jadłospisu, przekształciło się w danie główne, toteż apetyt często bywał

wprawiony w pomieszanie lub pozostawał niezaspokojony.

W przeciwległej ścianie sypialni Fredoona znajdowało się małe okno. Za oknem stała latarnia. Pewnego razu, gdy między zmierzchem a nastaniem ciemności pograżeni byli w swym wertykalnym akcie miłosnym, zaczął padać deszcz. Przez okno wpłynął wilgotny zapach ogrodu. Spod półprzymkniętych powiek Dina zobaczyła mżawkę, unoszącą się niczym mgielka wokół światła ulicznej lampy. Od czasu do czasu ręka, łokieć lub ramię zabłąkiwały się poza granicę poduszek, na nagą ścianę i jej cement rozkosznie chłodził ich rozgrzane ciała.

– Mmm – zamruczała Dina, chłonąc przyjemność wszystkimi zmysłami. Fredoon był zadowolony. Deszcz przybrał na sile. Dina widziała, jak igłami przeszywa powietrze rozświetlone przez latarnię.

Wpatrywała się w nie przez chwilę, później zeszywniała.

– Przestań, proszę – wyszeptała, ale on poruszał się nadal.

– Przestań, mówię! Proszę cię, Fredoon, przestań!

– Dlaczego? – błagał. – Dlaczego? Co jest teraz nie tak?

Wzdrygnęła się.

– Ten deszcz...

– Deszcz? Zamknę okno, jeśli chcesz.

Potrząsnęła głową.

– Przepraszam, coś mi przypomniało Rustoma.

Ujął jej twarz w dłonie, ale odepchnęła je. Wypłynęła z jego objęć we wspomnienie tamtej dawnej nocy: miała na sobie ciepły płaszcz przeciwdeszczowy Rustoma; jej parasol zepsuł się podczas burzy. Po koncercie, na przystanku autobusowym, po raz pierwszy wzięli się za ręce, a ich dłonie były wilgotne od delikatnie siąpiącego dżdżu.

Wspomnienie o czystości tamtej chwili Dina zestawiała z terażniejszością. Wypaczony nadmiarem akcesoriów akt, któremu oddawała się z Fredoonem w tym pokoju, wydał jej się czymś ohydny i napełnił ją wstydem oraz poczuciem winy. Przeszedł ją dreszcz.

Fredoona w milczeniu podał Dinie biustonosz i majtki. Wycofała się pod obłożoną poduszkami ścianę i ubierała się, odwrócona od niego tyłem. Fredoon włożył spodnie i zaparzył herbatę.

Później usiłował ją rozweselić.

– We wszystkich przeklętych filmach hinduskich deszcz zbliża bohatera i bohaterkę – zrzedził. – Ale dla mnie będzie odtąd życiowym przekleństwem. – Uśmiechnęła się, to go zachęciło. – Pal sześc, rozmontuję to i zaprojektuję coś nowego do naszych igraszek.

Fredoona ciągle próbował, lecz mimo jego twórczych starań i sekretnego

posiłkowania się poradcami seksualnymi, przeszłość nie dała się całkowicie pogrzebać. Była ona, jak odkrył, przewrotna, gotowa wślizgnąć się w terażniejszość pod lada pretekstem, zdolna ominąć najpotężniejsze zapory.

Mimo to nie skarżył się i Dina lubiła go za to. Twardo postanowiła, że utrzyma go w tajemnicy przed Nusswanem najdłużej jak to możliwe.

– Żadnego chłopaka jak na razie? – pytał Nusswan, odliczając pieniądze z portfela. – Pamiętaj, masz już trzydzieści lat. Jak przekwitniesz, będzie za późno na dzieci. Ciągłe mogę znaleźć ci porządnego męża. Na co ci ta niewolnicza harówka?

Chowała sześćdziesiąt rupii do portmonetki i pozwalała mu się wygadać. To odsetki, które nalicza od swojej pożyczki – myślała filozoficznie – nieco wygórowane, ale w jedynej walucie, na którą było ją stać i którą on zgodziłby się przyjąć.

•

Skrzypce przez pięć lat leżały nietknięte na szafie. Podczas przypadających dwa razy do roku porządków, kiedy to obwiązywała głowę kawałkiem białego płótna i za pomocą szczotki osadzonej na długim kiju omiatała ściany oraz sufity, Dina przecierała górę szafy, nie przesuwając czarnego futerału.

Przez sześć kolejnych lat podtrzymywała anty-skrzypcową strategię, niemal ignorując ich istnienie. Nadeszła dwunasta rocznica śmierci Rustoma. Uznała, że to pora, by sprzedać instrument. Lepiej, żeby ktoś na nim grał, wydobywał zeń muzykę, niżby miał zbierać kurz. Wspięła się na krzesło i ściągnęła futerał. Zardzewiałe zatrzaski zazgrzytały pod naciskiem jej palców; potem uniosła wieko i wykrzyknęła cicho.

Płyta wierzchnia zapadła się całkowicie w okolicy otworów rezonansowych. Cztery struny dyndały luźno między strunnikiem a kołkami, a pilśniowa wyściółka futerału była w strzępach, przeżuta na wiór przez bandę insektów-maruderów. Skrawki wełny w kolorze burgunda przyłgnęły do jej dłoni. Ścisnęło ją w żołądku. Drżącymi rękami wyjęła smyczek z przegródki w klapie futerału. Końskie włosie zwisało z jednego końca jak cienki długi kucyk; na swoim miejscu pozostał zaledwie tuzin nienaruszonych nitek. Ułożyła wszystko z powrotem i postanowiła zanieść do sklepu L.M. Furtado i Spółka.

Po drodze musiała schronić się w bibliotece, kiedy ulicę na krótko opanowali rozszalali demonstranci, wybijający szyby w sklepach i wykrzykujący hasła przeciw Indusom z południa, którzy masowo napływali do miasta i kradli im pracę. Demonstranci zrobili swoje i odeszli, a wtedy nadjechały policyjne jeepy. Dina odczekała jeszcze kilka minut, po czym opuściła bibliotekę.

W sklepie L.M. Furtado i Spółka pan Mascarenhas doglądał sprzątan

odłamków szyby wystawowej. Jej okruchy pobłyskiwały pomiędzy dwiema gitarami, bandzo, bongosami i partyturami najnowszych piosenek Cliffa Richarda. Gdy Dina weszła do sklepu ze skrzypcami, pan Mascarenhas powrócił za ladę.

– Przykra sprawa – powiedziała, wskazując na okno.

– Takie są dzisiaj koszty prowadzenia interesów – odparł i otworzył futerał, który przed nim położyła. Na widok zawartości, zasepił się. – A to jak się stało? – Nie rozpoznał Diny; minęły wieki odkąd Rustom przedstawił mu ją, gdy kiedyś wpadli po strunę E. – Nikt na nich nie gra?

– Nie, od kilku lat nikt.

Pan Mascarenhas podrapał się w prawe ucho, skrzywił srogo twarz wokół grubych, czarnych oprawek okularów.

– W skrzypcach, jeśli się na nich długo nie gra, należy poluzować struny, smyczek nie powinien być naciągnięty – powiedział surowo. – My, ludzie, popuszczamy pasa, kiedy wrócimy do domu i odpoczywamy, czyż nie?

Dina przytaknęła zawstydzona.

– Da się je naprawić?

– Wszystko się da naprawić. Pytanie, jak będą brzmiały po naprawie.

– A jak będą brzmiały?

– Okropnie. Jak rozzłoszczone kocury. Ale futerał można wyłożyć nowym filcem. To dobry, twardy futerał.

Sprzedła go panu Mascarenhasowi za pięćdziesiąt rupii, a razem z nim zostawiła resztki skrzypiec. Powiedział, że może jakiś nowicjusz kupić naprawiony instrument po obniżonej cenie.

– Uczniowie tak czy owak rzeżą i rzepołą, więc ton nie robi różnicy. Jeśli uda mi się sprzedać, dorzucę pięćdziesiąt.

Pokrzepiła ją myśl, że może nabędzie je jakiś młody entuzjasta. Rustomowi spodobałoby się, że jego skrzypce nadal zadają cierpienia rodowi ludzkiemu.

•

Od czasu do czasu poczucie winy, które odczuwała w związku ze skrzypcami, powracało, by niepokoić Dinę. Głupia jestem, myślała. Tak je porzucić na szafie na dwanaście lat, zostawić na pastwę zniszczenia. Mogła je przynajmniej ofiarować Xerxesowi i Zarirowi, zachęcić ich, by się uczyli grać.

Pewnego ranka ktoś zjawił się w mieszkaniu i oznajmił, że ma przesyłkę dla pani Dalal.

– To ja – powiedziała.

Młody człowiek, ubrany w modne obcisłe spodnie i jaskrawożółtą koszulę, w której trzy górne guziki były niezapięte, wrócił do furgonetki, aby przynieść

towar. Dina zastanawiała się, czy to skrzypce. Minęło sześć miesięcy, odkąd zniosła je do L.M. Furtado i Spółka. Być może pan Mascarenhas odesłał je, ponieważ ich stan wykluczał łaskę odkupienia.

Młody człowiek ponownie pojawił się w drzwiach, wlokąc zdezelowany rower Rustoma.

– Z komendy policji – wyjaśnił.

Zanim zdążył uzyskać od niej pokwitowanie odbioru, jej dłoń ześliznęła się po futrynie i Dina lekko osunęła się na podłogę. Zemdlała.

– Ma-dzi!^[34] – chłopca na posyłki ogarnęła panika. – Mam wołać karetkę? Żle się pani czuje?

Wachlował ją gorączkowo pokwitowaniem odbioru, wymachując nim pod różnymi kątami w okolicach jej twarzy, z nadzieją, że któryś z podmuchów odniesie skutek i tchnie na powrót powietrze w jej nozdrza.

Poruszyła się, zaczął wachlować mocniej. Zachęcony poprawą, ujął ją za nadgarstek, jak do mierzenia tętna. Nie wiedział dokładnie, co począć z przegubem, ale kilkakroć widział ten gest w filmach, gdzie głównym bohaterem był lekarz, a heroiną jego biuściasta pielęgniarka.

Dina poruszyła się ponownie i chłopiec na posyłki wypuścił jej przegub, zadowolony ze swego pierwszego sukcesu medycznego.

– Ma-dzi! Co się stało? Mam kogoś zawołać?

Pokręciła głową.

– To ten upał... już dobrze.

Powykręcana rama i kierownica znów znalazły się w zasięgu jej wzroku. Przez chwilę głowiła się, dlaczego policja miałaby malować rower na kolor brązowoczerwony; kiedyś był czarny.

Później zamroczenie ustąpiło i odzyskała ostrość widzenia.

– Całkiem zardzewiały – powiedziała.

– Całkiem – przytaknął chłopiec na posyłki, a potem odczytał etykietkę z numerem sprawy i datą. – Nic dziwnego. Dwanaście lat leżał w dowodowym, a tam nie ma okien i cieknie sufit. Od dwunastu lat monsunów to i ludzkie kości by zardzewiały.

Roztrzęsiona naskoczyła na młodzieńca.

– To tak się obchodzicie z ważnymi dowodami?! A gdyby złapali przestępcę, to jakby to wykazali w sądzie, skoro dowód został zniszczony?!

– Zgadzam się z panią, ale cały budynek przecieka. Pracownicy mokną tak samo jak dowody. I ważne akta też, aż atrament się rozmazuje. Tylko główny szef ma sucho w biurze. – Jego wyjaśnienia nie dodały jej zanadto otuchy, więc próbował dalej. – Wie pani, raz mieliśmy w przechowalni worek pszenicy. Ktoś zamordował właściciela, żeby go ukraść. Na jucie były plamy krwi. Ale zanim

sprawa trafiła do sądu, szczury przegryzły wór i zżarły większość pszenicy. Sędzia umorzył sprawę z braku dowodów. – Zaśmiał się niepewnie, kończąc anegdotę, z nadzieją, że Dina uzna ją za zabawną.

– Uważasz, że to temat do żartów? – spytała Dina ze złością. – Bandyta hula sobie na wolności. Gdzie tu sprawiedliwość?

– To okropne! Okropne! – zgodził się, podsuwając jej bloczek do podpisu. Potem podziękował i wyszedł.

Obejrzała swój egzemplarz pokwitowania. Stwierdził, że sprawę zamknięto, a własność zwrócono najbliższej żyjącej rodzinie.

Dina nie była osobą przesadną. Ale powrót roweru w połączeniu z losem skrzypiec przerósł jej siły. Uznała, że to dla niej znak. Dokończyła ostatecznie zamówienie Fredoona, sukienkę balową dla siostrzenicy, dostarczyła ją i powiedziała, że nie będzie już mogła widywać się z nim, ponieważ rzuca krawiectwo i wychodzi za męża.

•

Odtąd Dina nie spotkała się więcej z Fredoonem. Aby nie wpadać na niego przypadkiem, zrezygnowała także z innych klientów mieszkających w tym budynku. Pozostałe zlecenia wystarczyły jej na utrzymanie.

Tak przeszło pięć pełnych lat. A później stało się to, co wieszczyła ciocia Shirin. W wieku czterdziestu dwóch lat Dina zaczęła mieć kłopoty ze wzrokiem. W ciągu dwunastu miesięcy musiała dwukrotnie zmieniać okulary na grubsze soczewki.

– Niech pani przestanie nadwierać wzrok lub pogodzi się ze ślepotą – poradził lekarz.

Był to drobny, żyłasty człowieczek, który badając widzenie peryferyjne, śmiesznie kiwał palcami po całym pokoju. Dinie kojarzyło się to z dziećmi bawiącymi się w motylki.

Jego brutalna szczerść wzburzyła ją jednak i nieco wystraszyła. Nie wiedziała, co pocnie, jeśli dalsze życie stanie się niemożliwe.

Los, wierny własnemu harmonogramowi, sprowadził rozwiązanie.

Jej przyjaciółka Zenobia opowiedziała jej o kierownicze do spraw eksportu w dużej firmie tekstylnej.

– Pani Gupta jest moją regularną klientką. Wyświadczyłam jej niejedną przysługę, na pewno znajdzie dla ciebie jakąś łatwą pracę.

Pewnego popołudnia w tym samym tygodniu, w salonie urody Wenus, pośród odoru perhydrołu i innych upiększających chemikaliów Dina czekała na spotkanie z panią Gupta, która umościła się pod suszarką do włosów.

– Jeszcze parę minut – szepnęła jej Zenobia. – Robię jej taki tapir, że będzie w szampańskim humorze.

Z krzesła w poczekalni Dina obserwowała, jak Zenobia niczym architekt czy wręcz rzeźbiarz zabiera się do włosów kierowniczkę do spraw eksportu i wznosi z nich pomnik. Wraz z postępem prac konstrukcyjnych Dina coraz częściej zerkała z ukosa w lustro, wyobrażając sobie tę strzelistą budowlę na własnej głowie.

Wkrótce rusztowanie z wałków i klamerek zostało ostrożnie rozebrane i fryzura była gotowa. Dwie kobiety przeszły do poczekalni. Pani Gupta promieniała.

– Wygląda pięknie. – Dina czuła, że powinna to powiedzieć, kiedy prezentacje dobiegły końca.

– Och, dziękuję – odparła kierowniczkę do spraw eksportu. – Ale gratulacje należą się Zenobii. To ona ma talent, ja tylko dostarczam surowiec.

Roześmiały się, a Zenobia upierała się, że nie ma w tym jej zasługi.

– To kwestia układu twarzy, spójrz na te kości policzkowe, popatrz, jak pani Gupta elegancko trzyma głowę – stąd taki efekt.

– Przestań, przestań, bo się czerwienię! – piszczala pani Gupta.

Deliberując nad magią importowanych szamponów i sprejów do włosów, Zenobia skierowała rozmowę ku zagadnieniom branży odzieżowej, a uczyniła to z takim samym kunsztem, z jakim skręcała zwoje i spirale włosów. Pani Gupta nie wzbraniała się zanadto przed opowiadaniem o swoich dokonaniach w Au Revoir Express.

– W ciągu tylko jednego roku podwoiłam obroty – powiedziała. – Prestiżowe marki z całego świata dopytują się o moje kreacje.

Jej firma – przez cały czas posługiwała się zaimkiem dzierżawczym – zaczęła dostarczać damską odzież do butików w Ameryce i Europie. Szycie odbywało się na miejscu według wytycznych z zagranicy. Zamówienia powierzano niewielkimi partiami zewnętrznym wykonawcom.

– Tak mi się bardziej opłaca. To lepsze niż jedna duża fabryka, która może stanąć, bo jest strajk. Kto by chciał mieć do czynienia ze zbirami ze związków zawodowych, jeśli można tego uniknąć? Zwłaszcza teraz, kiedy w kraju takie wzburzenie. I jeszcze ci przywódcy jak ten Jay Prakash Narayan^[35], co to namawia do nieposłuszeństwa obywatelskiego. Biedy tylko napytuje i tyle. Wydaje mu się, że jest drugim Mahatmą Gandhim.

Pani Gupta zgodziła się z sugestią Zenobii, że Dina doskonale nada się do pracy.

– Tak, może pani bez kłopotu nająć krawców i ich nadzorować. Nie musi się pani sama nadwierać.

– Ale ja nigdy nie robiłam żadnych skomplikowanych zleceń ani ubrań według najnowszej mody – wyznała Dina, a Zenobia spojrzała na nią karcąco. – Tylko

proste ubrania. Sukienki dla dzieci, mundurki szkolne, piżamy.

– To też jest proste – zapewniła ją pani Gupta. – Wystarczy podążać za wykrojem jak za własnym nosem.

– Właśnie tak – dorzuciła Zenobia, poirytowana wahaniem Diny. – I nie trzeba żadnej inwestycji, dwaj krawcy łatwo zmieszczą się u ciebie w drugim pokoju.

– A co z kamienicznikiem? – spytała Dina. – Może mi ściągnąć na głowę spore kłopoty, jeśli otworzę w domu warsztat.

– Nic nie musi wiedzieć – odparła Zenobia. – Siedź cicho i tyle, nie mów sąsiadom ani nikomu.

Krawcy będą musieli przynieść własne maszyny do szycia, ponieważ, zdaniem pani Gupty, tak było przyjęte. Lepiej płacić od sztuki, bo w ten sposób zachęca się ich do pracy, tymczasem dniówka to gotowy przepis na marnowanie czasu.

– Niech pani zawsze pamięta o jednym – podkreśliła. – To pani jest szefem i pani ustanawia zasady. Niech pani nigdy nie traci panowania nad sobą. Krawcy to dziwny ludek – pracują małymi igielkami, ale paradują z podniesionymi głowami, jakby nosili wielkie mieczyska.

Tak Dina dała się przekonać i wyruszyła na poszukiwania dwóch krawców, przeczesując gąszcz zaułków w plugawych trzewiach miasta. Dzień za dniem wchodziła do rozsypujących się budynków i sklepików, z których każdy stał niepewnie, jak domek z wysmotruchanych kart. Krawców widziała wielu – przycupniętych na ciasnych poddaszach, przykucniętych w kholi^[36], które wyglądały jak podziemne nory, zgarbionych w cuchnących przegrodach lub siedzących ze skrzyżowanymi nogami na rogach ulic – a wszyscy zajęci byli najrozmaitszymi zadaniami, od szycia pokrowców na materace po stroje weselne.

Ci, którzy mieli ochotę się do niej przyłączyć, nie sprawiali wrażenia, jakby byli zdolni podjąć zamówieniom na eksport. Obejrzała ich próbki: krzywe kołnierzyki, nierówne obszywki, niedopasowane rękawy. Ci z kolei, którzy zdawali się posiadać odpowiednie kwalifikacje, chcieli, by dostarczać im zlecenia. Pani Gupta postawiła jednak wyraźny warunek: szycie miało się odbywać pod nadzorem podwykonawcy. Wyjątki nie wchodziły w rachubę, nawet dla przyjaciółki Zenobii, ponieważ wykroje Au Revoir Exports były ściśle tajne.

Najlepsze, co Dina mogła zrobić, to wypisywać swój adres na kwadratowych skrawkach papieru i zostawiać je w pracowniach, gdzie jakość usług była przyzwoita.

– Jeśli znają państwo kogoś, kto pracuje tak dobrze jak państwo i potrzebuje zajęcia, proszę go do mnie przysłać. Wielu właścicieli wyrzucało karteczkę, gdy tylko wyszła. Inni zwijali ją w cienki rożek, aby najpierw podłubać nią w uchu.

Tymczasem Zenobia miała następną sugestię dla Diny: niech przyjmie lokatora. W tym celu wystarczy jedynie zapewnić parę podstawowych sprzętów, jak łóżko,

szafka, wanna; jeśli chodzi o posiłki, to wystarczy ugotować nieco więcej tego, co sama je.

– Chodzi ci o płatnego gościa? – spytała Dina. – W życiu. To kłopot przez wielkie „K”. Pamiętam tamtą historię z Firozsha Baag. Ależ się ci biedni ludzie namęczyli.

– Nie panikuj. Nie wpuszczymy ci do mieszkania żadnych kanciarzy ani szajbusów. Pomyśl o komornym co miesiąc – gwarantowany dochód.

– Nie, moja droga, nie chcę ryzykować. Wiele się nasłuchałam o napastowaniu starych ludzi i samotnych kobiet.

Lecz gdy jej chude oszczędności nadal się kurczyły, ustąpiła. Zenobia zapewniła, że w grę wchodzi jedynie osoba wiarygodna, najlepiej ktoś, kto w mieście jest tymczasowo i kto ma dom, do którego może wrócić.

– Ty szukaj krawców – powiedziała. – Ja znajdę lokatora.

Tak więc Dina w dalszym ciągu zostawiała swoje nazwisko i adres w pracowniach krawieckich. Wyprawiała się coraz dalej od domu – jeździła pociągiem na północne przedmieścia, w zakątki miasta, których nigdy nie odwiedziła przez całe swoje czterdziestodwuletnie życie. Często zdarzało jej się utknąć w korku, kiedy ruch uliczny blokował pochód lub demonstracja antyrządowa. Czasem gdy siedziała na górnej platformie autobusu, miała dobry widok na rozkrzyczany tłum. Transparenty i hasła oskarżały panią premier o złe rządy i korupcję i wzywały ją do ustąpienia zgodnie z wyrokiem sądu, który uznał ją winną oszustwa wyborczego.

A nawet gdyby ustąpiła, to czy przyniosłoby to jakąś poprawę? – zastanawiała się Dina.

Pewnego wieczora, kiedy powolny lokalny pociąg oczekiwał na zmianę sygnalizacji, zobaczyła ponad płotem ogradzającym tory miejsce, gdzie czarna rynsztokowa maź wypływała z podziemnej rury kanalizacyjnej. Mężczyźni ciągnęli z wysiłkiem znikającą w ziemi linę. Ich ręce były ubabrane po łokcie, czarna maź skapywała im z dłoni i z liny. W slumsach za ich plecami, kopcąc dymem żarzyły się kuchenne paleniska. Robotnicy usiłowali odetkać przepełniony ściek.

Potem spod ziemi wychynął chłopiec uczepony końca liny. Pokryty był śliską rynsztokową mazią i gdy wstał, lśnił i migotał w słońcu przeraźliwym pięknem. Szttywne od błota włosy sterczały mu na głowie jak korona z czarnych płomieni. Za nim dym ze slumsów unosił się w niebo, dopełniając piekielnego pejzażu.

Dina wlepiła weń oczy, zahipnotyzowana jego wyglądem, zasłaniając nos od smrodu, dopóki pociąg nie ruszył. Wizja podziemnego świata nawiedzała ją przez resztę wieczoru i następne dni.

Długie, przygnębiające podróże i obskurne widoki wykańczały Dinę. Wyraźnie

traciła ducha. Zenobia widziała to w jej oczach.

– Co to za smętna mina? – spytała, szczypiąc ją lekko w policzek.

– Mam dość tej udreki. Dłużej nie wytrzymam.

– Nie możesz się teraz poddać. Nowi ludzie zgłaszają się do mnie w sprawie pokoju. Jeden z nich to Maneck Kohlah – syn Aban. Pamiętasz ją? Chodziła z nami do szkoły. Napisała mi, że Maneck nie znosi akademika i bardzo mu zależy, żeby się przenieść. Chcę mieć tylko pewność, że wybierzemy dobrego lokatora.

– Te wszystkie pociągi to tylko strata pieniędzy – skarżyła się Dina, nie słuchając jej. Czekała na aprobatę przyjaciółki dla pomysłu rezygnacji z wycieńczających psychicznie podróży.

– Ale pomyśl tylko, jakie będziesz mieć łatwe życie, gdy już znajdziesz tych krawców. Chyba, że chcesz zrezygnować z niezależności i zamieszkać z Nusswanem?

– Nawet tak nie żartuj.

Ta perspektywa skłoniła ją, by dalej zostawiać swój adres w kolejnych pracowniach. Czowała się jak zagubione dzieci w bajce, której tytuł wyleciał jej z pamięci: zostawiały za sobą ślad z okruszków chleba w nadziei na ratunek, ale ptaki pożerały chleb. A czy ona znajdzie ocalenie? – zastanawiała się. Czy jej papierowy szlak rozniesie wiatr, czarna maź z rynsztoka, wygłodniała armia zbieraczy papieru, grasujących po ulicach z workami?

Zmęczona i zniechęcona weszła w zaułek, którego środkiem płynął strumień brudnej wody. Na powierzchni podskakiwały obierki warzyw, niedopałki i skorupki jaj. Nieco głębiej zaułek zwężał się i niemal całkiem przechodził w rynsztok. Dzieci puszczały w ścieku papierowe łódeczki i goniły za nimi, gdy unosił je ospały prąd. Górą przerzucono deski, które tworzyły pomosty prowadzące do sklepów i domów. Kiedy jakaś łódeczka przepłynęła pod deską i wynurzała się bezpiecznie po drugiej stronie, dzieci klaskały z uciechy.

Zza jakichś drzwi Dina posłyszała znajomy grzechot i pomruk maszyny do szycia. To ostatni krawiec na dziś – postanowiła, ostrożnie idąc po desce – potem pojedzie prosto do domu.

W pół drogi jej stopa zapadła się w przegniłe drewno. Krótki okrzyk wyrwał jej się z ust; utrzymała równowagę, ale straciła but. Dzieci runęły naprzód, wrzeszcząc, macając pod ciemną powierzchnią, rywalizując o to, kto go wyłowi.

Dotarła do drzwi krawca i przyjęła swój ociekający but. Podnieconego chłopczyka, który go znalazł, nagrodziła dwudziestopięciopajsovą monetą. Dźwięk maszyny do szycia ustał; jej operator, zwabiony zgiełkiem, stanął w progu.

– Co wy znowu wyrabiacie, nicponie?! – wydarł się na dzieci.

– One mi pomogły – powiedziała Dina. – Szłam do pańskiej pracowni i spadł mi but.

– Aha – chrząknął nieco zbity z pantafelku. – Rzecz w tym, że zawsze coś zmałstrują. – Rozpoznałszy potencjalną klientkę, całkiem zmienił ton. – Proszę, proszę wejść.

Pytanie o krawców rozczarowało go. Zbył je obojętnym „Dobrze, zobaczę”. Bawił się centymetrem, kiedy zapisywała swoje nazwisko i adres.

Potem twarz pojaśniała mu znienacka.

– Rzecz w tym, że dobrze pani trafiła. Mam dla pani dwóch cudownych krawców. Jutro ich przyślę.

– Naprawdę? – spytała, nie dowierzając tej nagłej odmianie.

– Tak, tak, dwóch pięknych krawców albo nie nazywam się Nawaz. Rzecz w tym, że nie mają własnej pracowni, więc wychodzą do pracy na miasto. Ale wiele potrafią. Będzie z nich pani bardzo zadowolona.

– Dobrze, jutro chcę się z nimi spotkać.

Odeszła bez większych oczekiwań. W ciągu minionych kilku tygodni zdarzyło się parę gołosłownych zapewnień.

Po dotarciu do domu umyła stopy i wyszorowała buty. Znow zrobiło jej się niedobrze na myśl o zaułku, gdzie dzieci bawiły się papierowymi łądeczkami. Nie wiązała żadnych nadziei ani z obietnicą krawca, ani z zapewnieniami Zenobii, że lokator jest tuż tuż, że syn ich szkolnej przyjaciółki, Maneck Kohlah, zajrzy lada dzień, żeby obejrzeć pokój.

Tak więc kiedy następnego ranka rozległ się dzwonek do drzwi, Dina powitała odmianę losu z otwartymi ramionami. Na jej progu stał lokator, a obok niego owoc wczorajszych poszukiwań: dwóch krawców imieniem Ishvar i Omprakash Darji.

Jak powiedziałyby Zenobia, całe tałatajstwo zjawilo się w jej mieszkaniu jednocześnie.

[10] Chodzi o tzw. convent school. Szkoły te, pozakładane w Indiach przez katolickich misjonarzy głównie w XVIII i XIX wieku, miały za cel kształcenie w duchu chrześcijańskim, lecz z biegiem czasu uległy zeświecczeniu. Odznaczały się wysokim poziomem nauczania (słynęły zwłaszcza z nauki języka angielskiego) i przyciągały dzieci najlepiej sytuowanych rodzin.

[11] Wieże milczenia – wieże, na których parsowie składają zwłoki, aż ptaki drapieżne zostawiają z nich szkielet.

[12] *Ayah* – służąca, niańka.

[13] *Dastur* – parsyjski kapłan; w wypadku nazwisk parsów sufiks honoratywności *-dźi* (-ji) występuje często na stałe.

[14] *Dab-Ċhab* – dosł. uszczypnąć-przycisnąć; Podszczypywacz-Obłapywacz.

[15] Podział – chodzi o podział Indii brytyjskich w 1947 roku na Indie i Pakistan; towarzyszyły mu ogromne migracje ludności (ok. 10–12 milionów) i zamieszki na wielką skalę, w których zginęło kilkaset tysięcy ludzi.

[16] *Szahenszahi* – jeden z trzech kalendarzy używanych przez wyznawców zaratusztrianizmu, a więc także parsów; dwa pozostałe to fasli i kadmi.

[17] *Kja karta...* – Co wyrabiasz? Precz!

[18] *Ċiku* – łac. *sapodilla*, pigwica właściwa, sączyniec właściwy – bardzo słodki owoc wielkości brzoskwini, o skórce barwy ziemniaka.

[19] *Tilo, tilak* – pionowa kreska lub kropka na czole robione na znak błogosławieństwa.

[20] *Samosa* – smażony na głębokim oleju trójkątny pierożek nadziewany przyprawionymi na ostro warzywami, czasem także mięsem lub twarogiem.

[21] Nazwy modlitw i ceremonii parsyjskich.

[22] *Birjani* – potrawa z ryżu i mięsa, najczęściej jagnięciny. Na południu Indii występuje także w wersji wegetariańskiej.

[23] *Sadhu* – hinduski asceta, świętobliwy mąż.

[24] *Seva Sadan*: parsyjska firma zajmująca się doręczaniem posiłków.

[25] *Diwali* – dosł. „rząd światła”, hinduskie święto obchodzone na przełomie października i listopada w noc nowiu. Domy są wtedy obwieszane zapalonymi światłami symbolizującymi zwycięstwo dobra nad złem. Jest to nawiązanie do zwycięstwa nieustraszonego króla Ramy, bohatera epepei Ramajana, nad władcą demonów Rawaną. Światła mają też być wskazówką dla bogini dobrobytu i pomyślności Lakszmi, która przybywa wtedy do domów ludzi.

[26] *Nawrodź* – parsyjski nowy rok. *Khordad Sal* – obchodzona z wielkim przepychem rocznica urodzin założyciela zaratusztrianizmu, Zaratusztry; z tej okazji odbywają się całodzienne modlitwy, a także spotkania towarzyskie połączone z wykwintną ucztą.

[27] *Pulao-dal* – ryż basmati z soczewicą.

[28] System *pagri* (dosł. turban) – nielegalna praktyka stosowana w Bombaju, na mocy której właściciel lokalu otrzymywał pokaźną opłatę za każdym razem, kiedy mieszkanie zmieniało lokatora.

[29] *Sati* – dosł. wierna, oddana (żona); kobieta, która po śmierci męża spaliła się na stosie pogrzebowym męża.

[30] *Morća* – dosł. front, ruch.

[31] *Windalu (vindaloo)* – popularne w Indiach, bardzo ostre curry z mięsa, pierwotnie z wieprzowiny, wywodzące się z Goa.

[32] *Sahib-dźi-salam* – *sahib* „pan, władca”; *salam* – „pokój, zostań w pokoju”, pozdrowienie używane przez muzułmanów; tu w znaczeniu uprzejmej formy powitania: „dzień dobry, szanowny panie”.

[33] *Bhakra, wasanu, kumas* – popularne słodyczne parsyjskie.

[34] *Ma-dźi* – dosł. „szanowna matko”, również grzeczna forma zwracania się do kobiet starszych od rozmówcy; tu w znaczeniu: proszę pani.

[35] Jay Prakash (Jayaprakash) Narayan, znany powszechnie jako J.P. Narayan – polityk indyjski, przywódca opozycji wobec rządów Indiry Gandhi w latach 70. XX wieku, wzywający do pokojowej „totalnej rewolucji” w Indiach.

[36] *Kholi* – pokój, pomieszczenie.

2 ABY MARZENIA WZESZŁY

Biuro Au Revoir Exports wyglądało i pachniało jak magazyn. Na podłodze piętrzyły się bele materiału owiniętego w jutę, a powietrze przesyciła ostra, chemiczna woń nowej tkaniny. Na zakurzonej podłodze wały się strzępy przezroczystej folii, papieru, szpagatu i opakowań. Dina dostrzegła kierowniczkę przy biurku skrytym za metalowym regałem.

– Witam! Przyjaciółka Zenobii... pani Dalal! Jak się pani ma?! – zawołała pani Gupta.

Uścisnęły sobie dłonie. Dina oznajmiła, że znalazła dwóch wykwalifikowanych krawców i jest gotowa zacząć współpracę.

– Cudownie, doskonale! – rzekła pani Gupta, lecz jasne było, że jej wyśmienity humor nie jest wyłącznie odpowiedzią na tę wiadomość. Prawdziwa przyczyna wkrótce wyszła na jaw: tego popołudnia była umówiona na kolejną wizytę w salonie urody Wenus. Niesforne loki, które w minionym tygodniu wyrwały się z niewoli, miały zostać poskromione i sprowadzone z powrotem na dobrą drogę.

Już samo to wystarczyłoby, by wprawić panią Gupta w dobry nastrój, ale pomyślnych wieści było więcej: z jej życia zniknęły także pomniejsze źródła irytacji – poprzedniego dnia pani premier ogłosiła stan wyjątkowy i większa część opozycji parlamentarnej, a także tysiące związkowców, studentów i pracowników społecznych trafiły do więzienia.

– Czy to nie świetne nowiny? – tryskała humorem.

Dina potaknęła bez przekonania.

– Myślałam, że sąd uznał ją winną oszustw wyborczych.

– Nic z tych rzeczy! – oburzyła się pani Gupta. – To wszystko bzdury, będzie apelacja. Ta cała zgraja wichrzycieli, co ją fałszywie oskarżała, siedzi w więzieniu. Koniec ze strajkami, marszami i głupim zakłócaniem porządku.

– Och, to dobrze – wybąkała nerwowo Dina.

Kierowniczka otworzyła zeszyt z zamówieniami i wybrała wykrój do pierwszego zlecenia.

– Trzydzieści sześć takich sukienek. To będzie dla pani test. Test staranności, precyzji i sumienności w realizowaniu jednego wzorca. Jeśli ci dwaj krawcy się sprawdzą, będę pani przydzielać większe zlecenia. Dużo większe – obiecała. – Tak jak mówiłam, wolę mieć do czynienia z prywatnymi podwykonawcami. Obiboki ze związków zawodowych chcą mniej pracować i więcej zarabiać.

Lenistwo – oto plaga tego kraju. I jeszcze niektórzy durni przywódcy ich podjudzają, apelują do policji i żołnierzy, żeby nie słuchali bezprawnych rozkazów. To ja się pytam: jak prawo może być bezprawne? Żalotne brednie. Dobrze im zrobi, jak posiedzą w więzieniu.

– Tak, dobrze im zrobi – powtórzyła jak echo Dina, zapatrzona w szablon sukienki. Wolałaby, żeby kierowniczka ograniczyła się do pracy zamiast paplać o polityce. – Proszę spojrzeć, pani Gupta, obrąbek we wzorcowej sukience ma trzy cale szerokości, a na papierowym wykroju tylko dwa.

Rozbieżność była zbyt trywialna, aby zaprzątnąć uwagę pani Gupty. Skinęła tylko głową i wzruszyła ramionami, aż zsunęło jej się sari. Dłoń wystrzeliła, żeby je przytrzymać.

– Chwała Bogu, że pani premier podejmuje zdecydowane kroki, jak to powiedziała w radiu. Mamy szczęście, że w tych niebezpiecznych czasach trafił nam się ktoś silny – machnięciem ręki zbyła dalsze zapytania. – Ufam pani, pani Dalal, proszę po prostu trzymać się mojego wykroju. A tak swoją drogą, widziała pani nowe plakaty? Wszędzie je rozwieszają.

Dina nie widziała. Zależało jej, by zmierzyć materiał przeznaczony na trzydzieści sześć sukienek, na wypadek, gdyby było go zbyt mało. Po namyśle zrezygnowała, kierowniczka mogłaby się poczuć urażona.

– „Dziś trzeba nam dyscypliny” – to hasło pani premier na plakatach. Myślę, że ma całkowitą rację. – Pani Gupta nachyliła się bliżej. – Nie od rzeczy byłoby przykleić parę tych plakatów przy wejściu do Au Revoir – zwierzyła się cicho. – Pani spojrzysz na tych dwóch wałkoni w rogu. Pogawędkę sobie ucieli, zamiast mi wykładać towar.

Dina cmoknęła współczująco i pokręciła głową.

– Jak się umówimy? Na za tydzień?

– Proszę bardzo. I powodzenia życzę. Proszę pamiętać, z tymi krawcami to musi pani twardo albo pani wejść na głowę.

Dina zaczęła zbierać zwoje płótna, ale pani Gupta powstrzymała ją. Kierownicze palce pstryknęły dwakroć na mężczyznę, który załadował tekstylia do windy.

– Pozdrowię od pani Zenobii, jak ją zobaczę dziś po południu. Niech mi pani też życzy powodzenia – zachichotała pani Gupta. – Moje biedne włosy znowu idą pod nóż.

– Oczywiście, powodzenia.

Dina zaniósła bele płótna do domu i wygospodarowała miejsce dla dwóch krawców w tylnym pokoju. Lokator miał się wprowadzić dopiero w przyszłym miesiącu, będzie miała zatem czas, aby przyzwyczaić się do pierwszej zmiany. Obejrzała uważnie papierowe wykroje i plik metek: Chantal Boutique, Nowy

Jork. Rozgorączkowana, postanowiła wziąć się do wycinania wykrojów, żeby były gotowe na poniedziałek. Myślała o stanie wyjątkowym. Jeśli będą zamieszki, krawcy mogą nie dojechać. Nie wiedziała nawet, gdzie mieszkają. Niedotrzymanie terminu próbnego zlecenia wywołałoby fatalne wrażenie.

•

W poniedziałek Ishvar i Omprakash Darji przybyli taksówką punktualnie o ósmej rano, razem ze swoimi maszynami do szycia.

– Wzięliśmy na raty – powiedział Ishvar, z dumą poklepując singery. – Za trzy lata, jak spłacimy wszystko, będą nasze.

Widocznie całe ich pieniądze poszły na pierwszą ratę, ponieważ taksówkarzowi musiała zapłacić Dina.

– Proszę to odjąć od tego, co zarobimy w tym tygodniu – rzekł Ishvar.

Maszyny wstawiono do tylnego pokoju. Krawcy zamontowali paski klinowe, wyregulowali naprężenie, włożyli szpulki do bębneków i przepuścili pod igłą skrawki płótna, żeby przetestować ścięgi. Po kwadransie byli gotowi, by szyć.

I szyli. Jak anioły, pomyślała Dina. Pedaly singerów śmigały, koła zamachowe turkotały, igły tańczyły po tkaninie w schludnych, wąziutkich szeregach, a zwoje materiału rozsnuwały się i zmieniały w rękawy, kołnierzyki, przody, tyły, plisy i gotowe spódnice.

Jestem tu, by ich pilnować, musiała napominać sama siebie bez przerwy, nie mogąc włączać się do pracy. Krążyła wokół, badając ukończone egzemplarze, pokrzepiając, radząc. Przyglądała się krawcom, jak ze zmarszczonym czołem pochylali się nad maszynami. Zaintrygowały ją ich długie na cal paznokcie u małych palców, którymi podwijali szwy i robili zaszewki. Okaleczony policzek Ishvara wyglądał groteskowo, uznała. Skąd mu się to wzięło? Nie wyglądał na takiego, co wdaje się w nożowe bójki. Nieprzyjemne wrażenie łagodził jego uśmiech i zabawny, skąpy wąsik. Przeniosła wzrok na milczącego Omprakasha. Koścista sylwetka, ostra i kanciasta, wyglądała jak przedłużenie maszyny do szycia. Delikatny jak rżnięte szkło kryształowe, pomyślała w przyływie troski. Tylko te jego tłuste włosy – oby nie zostawił śladów na tkaninie.

Pora lunchu nadeszła i minęła, a oni wciąż pracowali. Przerwali jedynie, by poprosić o szklanek wody.

– Dziękujemy – powiedział Ishvar, opróżniając ją do dna. – Bardzo smaczna i chłodna.

– Nie jadacie obiadu o tej porze?

Potrząsnął żywo głową, jakby sugestia była absurdalna.

– Wystarczy jeden posiłek wieczorem. Jeść częściej to strata czasu i jedzenia. – Urwał na chwilę. – Dinabai^[37], co to jest ten stan wyjątkowy, co to się teraz

mówi?

– Rządowe przepychanki, zabawy polityków. Zwykłych ludzi jak my to nie dotyczy.

– To samo mówiłem – mruknął Omprakash. – Stryj się niepokoił.

Zasiedli z powrotem do singerów i Dina pomyślała, że pomysł z płaceniem im od sztuki był znakomitym rozwiązaniem. Wypłukała szklanekę i odstawiła ją na bok. Odtąd będzie należeć do krawców.

Późnym popołudniem Ishvar zaczął zdradzać oznaki jakiejś dolegliwości. Zauważyła, że siedzi zgarbiony ze ściśniętymi nogami, jak gdyby chwycił go skurcz żołądka, stopy raz po raz ześlizgiwały mu się z pedału.

– Co się dzieje? – spytała.

– Nic, nic – uśmiechnął się z zakłopotaniem.

Z odsieczą przyszedł mu bratanek:

– Musi się załatwić – powiedział unosząc mały palec.

– Dlaczego wcześniej nie mówiłeś?

– Wstydziłem się – odrzekł nieśmiało Ishvar.

Wskazała mu ubikację. Drzwi zamknęły się i posłyszała jak strumień uderza o miskę klozetu, to wartki, to słabnący, jakby przepełniony pęcherz nie mógł się zdecydować.

Gdy Ishvar wrócił, podniósł się Omprakash.

– Spluczka nie działa – zawołała za nim Dina. – Polej wodą z wiadra.

Zapach w ubikacji drażnił jej nozdrza. Tak długo jestem sama, że stałam się przewrażliwiona, pomyślała. Inne jedzenie, inne zwyczaje – nic dziwnego, że ich mocz pozostawia dziwną woń.

•

Stos ukończonych sukienek rósł, a jedynym obowiązkiem Diny było otwieranie rano drzwi. Ishvar mówił coś na powitanie lub uśmiechał się do niej, ale wychudzona sylwetka Omprakasha przemykała obok w milczeniu. Przycupnął na tym swoim taborecie jak mała nadęta sowa, pomyślała.

Trzy tuziny sukienek były gotowe przed terminem. Pani Gupta była zachwycona. Wydała zgodę na kolejne zamówienie, tym razem na sześć tuzinów. Zapłatę za pierwszą serię Dina schowała bezpiecznie w portmonetce. Prawie za nic, pomyślała z lekkim ukłuciem winy. O ileż łatwiej niż w tamtych trudnych, pogmatwanych czasach, kiedy jej palce i oczy były bez końca zajęte szyciem i haftowaniem.

Krawcy z ulgą powitali wieść, że zostali zaakceptowani przez firmę eksportową.

– Jeśli przyjęli pierwszą partię, to z resztą pójdzie jak z płatka – Ishvar nagle

nabrał pewności siebie.

– Tak – odparła Dina, odliczając pieniądze. – Ale zawsze będą sprawdzać jakość, więc nie możemy pozwolić sobie na fuszerkę. No i musimy dostarczać towar na czas.

– Han-dzi, proszę się nie martwić – rzekł Ishvar. – Zawsze robota pierwsza klasa i na czas.

Dina ośmieliła się pomyśleć, że dni jej harówki i kłopotów dobiegają końca.

•

Krawcy zaczęli urządzać sobie regularne przerwy na lunch. Dina doszła do wniosku, że jednodaniowy porządek dnia proklamowany przez Ishvara w poprzednim tygodniu był podyktowany nie tyle ascetyzmem lub surową etyką pracy, co stanem ich finansów. Ucieszyła się, że jej przedsiębiorstwo ma dodatni wpływ na ich odżywianie.

– Jestem głodny, chodźmy – oznajmił Omprakash punktualnie o pierwszej. Odsunęli na bok sukienki, odłożyli do szuflady swoje hołubione ząbkowane nożyce, i wyszli.

Jadali w Vishram Vegetarian Hotel na rogu^[38]. W Vishramie nie było tajemnic – wszystko odbywało się na widoku: jeden mężczyzna siekał warzywa, drugi smażył je na dużej patelni o czerniałym dnie, chłopiec zmywał naczynia. W ciasnym wnętrzu stał tylko jeden stolik, więc Ishvar i Omprakash nie czekali na miejsce, lecz zjadali na stojąco w tłumie na zewnątrz. Później pośpiesznie wracali do pracy, mijając po drodze beznogiego żebraka, który jeździł w przód i w tył na swojej platformie przy piskliwym wtórze zardzewiałych kółek.

Niebawem Dina zorientowała się, że szycie nie odbywa się już w poprzednim, zawrotnym tempie. Częstsze stały się pauzy, w trakcie których stojąc przed drzwiami wejściowymi, ćmili biri. Typowe, pomyślała, dostali trochę pieniędzy i już się tak nie starają.

Przypomniała sobie radę Zenobii i pani Gupty, aby była twardą szefową. Tonem, jak jej się wydawało stanowczym, zwróciła uwagę na opóźnienia w pracy.

– Nie, nie, proszę się nie martwić – odparł Ishvar. – Wszystko będzie skończone punktualnie. Ale jeśli pani chce, możemy palić w trakcie szycia, żeby zaoszczędzić na czasie.

Dina nie znosiła zapachu dymu z papierosów. Ponadto zabłąkana iskra mogła wypalić dziurę w tkaninie.

– W ogóle nie powinniście palić – powiedziała. – Ani na zewnątrz, ani w środku. Rak zeżre wam płuca.

– Mniejsza o raka, wcześniej to miasto i drożyzna pożra nas żywcem. To na

pewno.

– Patrzcie no! Wreszcie się odezwał!

Ishvar roześmiał się.

– Mówiłem, że się odzywa tylko, jak się nie zgadza.

– Po co martwić się o pieniądze? – powiedziała. – Pracujcie ciężko, to dużo zarobicie.

– Nie przy pani stawkach – mruknął Omprakash pod nosem.

– Co takiego?

– Nic, nic – wtrącił się pośpiesznie Ishvar. – Mówił do mnie. Głowa go boli.

Zaproponowała mu aspro na ból głowy. Omprakash odmówił, ale od tej pory jego głos dawał się słyszeć coraz częściej.

– Daleko pani jeździ po zlecenia? – zapytał.

– Nie – odpowiedziała Dina. – Około godziny stąd. – Była zadowolona, że młodszy krawiec się zadomawia, że stara się być miły.

– Gdyby potrzebowała pani pomocy przy zanoszeniu sukienek, proszę nam powiedzieć.

Jak to sympatycznie z jego strony, pomyślała.

– A jak się nazywa firma, do której pani jeździ?

Uszczęśliwiona, że marudne milczenie dobiegło końca, omal nie wyrwała się z nazwą, ale w ostatniej chwili udała, że nie usłyszała. Powtórzył pytanie.

– Po co zawracać sobie głowę nazwą? – odpowiedziała. – Mnie interesuje tylko praca.

– I bardzo słusznie – przytaknął Ishvar. – Nas tak samo.

Bratanek skrzywił się. Po chwili spróbował ponownie: Jest tylko jedna firma czy kilka różnych? Czy Dina dostaje prowizję, czy ustaloną cenę za realizację całego zamówienia?

Ishvar był zażenowany.

– Mniej gadania, Omprakash, a więcej szycia.

Dina zatęskniła za milczącym bratankiem. Pojęła, o co mu chodzi i od tego dnia pilnowała, by materiał z Au Revoir Exports nie nosił żadnych znamion swego pochodzenia. Zrywała metki i etykiety z opakowań, jeżeli widniała na nich zdradziecka nazwa. Rachunki zamykała w szafie. Jej optymizm w relacjach z krawcami był raz po raz wystawiany na ciężką próbę. Wiedziała, że droga stała się wyboista.

•

Ishvar i Omprakash Darji mieszkali daleko, zdani na łaskę kolei. Dina martwiła się, gdy nie przybywali o czasie, przekonana, że porzucili ją na rzecz lepiej płatnego zajęcia. Nie mogła zdradzić się przed nimi ze swoimi obawami, toteż

kiedy docierali na miejsce, ulgę skrywała pod ostentacyjnie okazywanym niezadowoleniem.

Na dzień przed terminem zjawili się dopiero o dziesiątej.

– Zdarzył się wypadek. Pociąg był opóźniony – wyjaśnił Ishvar. – Znowu jakiś biedaczyna na torach.

– Za często to się zdarza – dorzucił Omprakash.

Z każdym słowem zionął im z ust nieprzyjemny zapach głodu. Nie interesowały ją ich wymówki. Im szybciej zasiądą do maszyn, tym lepiej.

W obawie, że jej milczenie zostanie błędnie zinterpretowane jako słabość, dodała sucho:

– Rząd twierdzi, że podczas stanu wyjątkowego kolej działa punktualnie. To dziwne, że wasze pociągi wciąż się spóźniają.

– Gdyby rząd dotrzymywał swoich obietnic, bogowie zstąpiliby na ziemię i zawiesili politykom girlandy na szyjach – powiedział Ishvar, śmiejąc się i dobrotliwie kiwając głową na boki, żeby ją ugłaskać.

Jego uwaga rozbawiła Dinę. Uśmiechnęła się, a Ishvar poczuł ulgę. W jego przekonaniu narażanie się na utratę stałego dochodu byłoby szaleństwem – on i Omprakash mieli wielkie szczęście, że pracują dla Diny Dalal.

Wyciągnęli swoje drewniane taborety, założyli nowe szpulki i zabrali się za szycie, podczas gdy za oknem niebo szykowało się do deszczu. Szare chmury zasnuły mrokiem tylny pokój. Omprakash napomknął, że czterdziestowatowa żarówka daje zbyt mało światła.

– Jeśli przekroczę miesięczny limit, odetną mi prąd. Wtedy będziemy siedzieć w zupełnych ciemnościach.

Ishvar zaproponował, by singery przesunąć do frontowego pokoju, widniejszego.

– Wykluczone. Maszyny będzie widać z ulicy i właściciel się przyczepi. Nie wolno urządzić w domu fabryki, nawet gdyby to miały być tylko dwie maszyny do szycia. Już i tak mnie prześladowuje z innych powodów.

To przemówiło do krawców. Oni także wiedzieli to i owo o właścicielach i prześladowaniach. Przez cały ranek pracowali równo, w brzuchach im burczało, a ich myśli biegły ku przerwie w środku dnia. Nie jedli nic, odkąd wstali.

– Ja dziś biorę podwójną herbatę – powiedział Omprakash. – I maślaną bułeczkę do maczania.

– Patrz, jak szyjesz – odrzekł Ishvar. – Bo zamiast podwójnej herbaty skończysz z podwójnymi palcami.

Obaj co i rusz zerkali na zegar. Gdy nadeszła godzina wybawienia, ich stopy zsunęły się z pedałów i wyciągnęły ku sandałom.

– Nie idźcie teraz – powiedziała Dina. – To pilne zlecenie, a dziś przyszlście

później. Kierowniczką będzie bardzo zła, jeśli sukienki nie dotrą na czas.

Martwiła się o termin – a co jeżeli i jutro się spóźnią? Bądź stanowcza, bądź surowa – napomniała samą siebie.

Ishvar zawahał się: jego bratankowi to się nie spodoba. Podniósł na niego oczy i faktycznie, jego wzrok napotkał wściekle spojrzenie Omprakasha.

– Chodźmy – mruknął Omprakash, nie patrząc na Dinę. – Jestem głodny.

– Twój bratanek jest zawsze głodny – zwróciła się do Ishvara. – Może ma robaki?

– Nie, nie. Z Omem wszystko dobrze.

Dina nie była przekonana. Już w ciągu pierwszego tygodnia zrodziły się w jej głowie podejrzenia. Omprakash nie tylko był wychudzony i ciągle skarżył się na ból głowy i głód. Oprócz tego Dina nieraz przyuważała, jak drapał się w pośladki. Był to, w jej mniemaniu, dowód rozstrzygający.

– Powinieneś go zabrać do lekarza. Jest taki chudy, że mógłby robić za chodzącą reklamę zapalek Wimco.

– Ależ nic mu nie jest. A zresztą kogo stać na lekarza?

– Pracujcie ciężko, a pieniądze wam nie zabraknie. Skończcie szybko to zlecenie – prosiła. – Im prędzej je doręczę, tym prędzej dostaniecie swoje pieniądze.

– Pięć minut na herbatę nie zrobi żadnej różnicy – odwarknął Omprakash.

– Te twoje pięć minut zawsze trwa trzydzieści pięć. Posłuchajcie, później ja wam zrobię herbatę. Specjalną herbatę de luxe, a nie tę zbyt długo parzoną gorzką trucizną, którą się raczycie na rogu. Ale najpierw skończcie pracę. W ten sposób każdy będzie zadowolony – wy, ja i kierowniczką.

– Zgoda – ustąpił Ishvar. Zrzucił z nóg sandały i powrócił na miejsce. Odlany z żelaza pedał, nagrzewany cały ranek przez jego stopy, nie zdążył jeszcze ostygnąć.

Dwa singery wznowiły bieg. Ponad stukotem igieł do uszu stryja docierały gniewne szepty Omprakasha.

– Zawsze pozwalasz jej nami pomiatać. Co się z tobą dzieje? Od tej pory to ja będę z nią rozmawiać.

Ishvar skinął pojednawczo głową. Wstyd mu było kłócić się z Omem lub karcieć go w zasięgu słuchu Diny.

O drugiej po południu, gdy hałas maszyn zaczął przyprawiać ją o pulsujący ból skroni, Dina postanowiła dostarczyć to, co zostało ukończone. Była zła na siebie. Błagania i przekupywanie herbatą – to niegodne surowej przełożonej. Potrzeba jej więcej wprawy, doszła do wniosku, musi nauczyć się rozkazywać.

Spod warsztatu wydobyła płachtę przezroczystego plastiku i brązowy papier, w które zapakowane były zwoje płótna przysłane z Au Revoir. Pomna nauk cioci

Shirin, nie marnowała niczego. Skrawków tkanin szybko przybywało. Starczy ich na podpaski dla całego żeńskiego klasztoru – pomyślała. Większe ścinki zbierała na osobnej stercie. Nie była na razie pewna, do czego jej posłużą. Może na kapę.

Spakowała gotowe sukienki i naszykowała portmonetkę. Dzień przed terminem – pani Gupta będzie pod wrażeniem.

Następnie, przypomniawszy sobie dociekliwość Omprakasha, zamknęła od zewnątrz drzwi na kłódkę, na wypadek, gdyby postanowił ją śledzić.

•

Ze ścierpniętymi pośladkami i zapuchniętymi oczami krawcy udali się do frontowego pokoju. Po tylu godzinach siedzenia na twardych taboretach stara sofa mimo połamanych sprężyn zdała się im słodkim luksusem, a rozkosz była tym większa, że skradziona. Sztwna postawa właściwa ich profesji stopniała, odkleiła się od kości i wsiąkła w poduszki. Oparli nagie stopy na stoliku, wyjęli paczkę biri marki Ganesh i zapalili, chciwie zaciągając się dymem. Kawalek opakowania posłużył im za popielniczkę.

Omprakash podrapał się w głowę i obejrzał żniwo łupieżu pod paznokciami. Długimi na cal paznokciami małych palców oczyścił pozostałe, strącając oleiste złoza na podłogę. Za nic nie przyznałby, że się nudzi – w końcu trwonić czas to przechytryć Dinę Dalal. Jeśli zdawało jej się, że może nimi powozić jak parą tępych wołów zaprzęzonych do pług, była w błędzie. On wciąż ma swoją męską dumę, pomyślał z goryczą, nawet jeśli stryj czasami jakby tego nie dostrzegał.

Ishvar pozwolił bratankowi przeleniuchować godzinę. Kamień głodu ciążył im w pustych żołądkach. Patrzył z rozbawieniem, jak Omprakash wierci się i mości wśród poduszek, zdeterminowany, by w pełni rozkoszować się sofą Diny Dalal. Ishvar w zamyśleniu przesunął palce po policzku, który trzymał pół jego uśmiechu w więzieniu zastygłego ciała.

Śmiali się, ziewali i przeciągali, palili dla zabicia czasu – tymczasowi królowie zdezelowanej sofy, władcy maleńkiego mieszkania – gdy w ich zakazany wypoczynek wdarło się walenie do drzwi.

– Wiem, że tam pani jest! – krzyczał gość. – Nie nabiorę się na kłódkę w drzwiach!

Krawcy zmartwieli. Łomot nie ustawał.

– To, że się płaci czynsz, jeszcze nic nie znaczy. Wiemy, co się dzieje za tymi drzwiami. Wyląduje pani na ulicy razem ze swoim nielegalnym warsztatem!

Krawcy pojęli, że miało to jakiś związek z właścicielem. Ale o co chodziło z kłódką? Tłuczenie w drzwi ustało.

– Szybko, na podłogę – szepnął Ishvar, na wypadek, gdyby stukacz postanowił zajrzeć przez okno.

Coś wpadło przez otwór na listy, potem zapadła cisza. Odczekali kilka chwil, zanim ośmielili się podejść do drzwi. Na podłodze leżała duża koperta zaadresowana do pani Rustomowej Dalal. Ishvar przekręcił zasuwkę. Drzwi ustąpiły na cal i uderzyły w zewnętrzny skobel, potwierdzając obecność kłódki.

– Zamknęła nas – pinił się Omprakash. – Co ta kobieta sobie myśli?

– Nie martw się, na pewno miała jakiś powód.

– Otwórzmy list.

Ishvar wyrwał mu go z ręki i odłożył na bok. Próbowali umościć się wygodnie na poduszkach i zapalić po jednym biri, ale wizyta intruza zwarzyła im humory. Zalety sfatygowanej kanapy obróciły się w twardą grudę niezadowolenia. Czepiające się ich ubrań nitki przypominały o pracy, która czekała w tylnym pokoju. Na tarczy zegara widniało złowrogie ostrzeżenie: wkrótce ona wróci. Wkrótce nastąpi kres ich występków.

– Ona nas oszukuje – narzekał Omprakash. – Powinniśmy obsługiwać bezpośrednio firmę eksportową. Po co ona po środku?

Oszczędne, uważne ruchy jego warg zamieniały się w słowa. Z kącika ust zwisał mu niepewnie dymiący biri.

Ishvar uśmiechnął się pobłaźliwie. Zuchwałość przyklepionego do wargi biri, zabójczego jak dziecięca pukawka, wymierzona była w Dinę Dalal.

– Niedługo wróci. Masz minę, jakbyś zjadł limonkę. – Dalej ciągnął poważniejszym tonem. – Ona jest pośredniczką, bo nie mamy pracowni. Pozwala nam szyć tutaj, znosi ubrania, przyjmuje zamówienia z firmy. A do tego przy szyciu na sztuki jesteśmy bardziej niezależni.

– Daj spokój. Traktuje nas jak niewolników, a ty mówisz o niezależności. Bogaci się na naszym pocie, a sama nie robi ani jednego ściegu. Popatrz na jej dom. Elektryczność, woda, wszystko. A co my mamy? Śmierdzącą budę w slumsach. Nigdy nie uzbieramy tyle, żeby wrócić do wioski.

– Już się poddajesz? W ten sposób nie wygrasz w życiu. Bij się i walcz, Om, nawet jeśli życie daje ci popalić.

Trzymał biri między małym palcem i serdecznym, a unosząc go do ust zwijał dłoń w pięść.

– Poczekaj tylko, już ja się dowiem, dokąd ona chodzi – powiedział Omprakash, butnie potrząsając głową.

– Ładnie ci loczek podskakuje, jak tak robisz.

– Poczekaj tylko. Zdobędę adres tej firmy.

– Jak? Myślisz, że ci powie?

Omprakash poszedł do tylnego pokoju i wrócił z parą dużych, ostro zakończonych nożyc. Ścisnął je oburącz i teatralnym sztychem przeszył powietrze.

– Wystarczy przyłożyć jej to do gardła, a wszystko wyśpiewa.

Stryj palnął go w głowę.

– Co by twój ojciec powiedział, gdyby cię słyszał? Głupie słowa spływają ci z ust jak ściegi spod twojej igły. I tak nieodpowiedzialne jak niedbałe jest twoje szycie.

Omprakash potulnie odłożył nożyce.

– Któregoś dnia wytnę ją z pośrednictwa. Pójdę za nią do tej firmy.

– Nie wiedziałem, że umiesz przechodzić przez zamknięte drzwi jak Wielki Goghia Pasha. A może nazywasz się Omprakash Pasha? – Przerwał, by się zaciągnąć, wypuścił dym przez nozdrza i uśmiechnął się do łypiącego nań spode łba Omprakasha. – Posłuchaj mnie, bratanku, tak ten świat jest urządzony. Jedni ludzie są po środku, inni na krawędzi. Trzeba cierpliwości, aby marzenia wzeszły i wydały owoc.

– Cierpliwość to się przydaje, jak się chce zapuścić brodę. No i ile ona nam płaci? Nie będzie nas stać nawet na ghi^[39] i drewno na nasz żałobny stos. – Poskrobał się z furią w czuprynę. – I dlaczego zawsze mówisz do niej tym głupim tonem, jakbyś był jakimś nieukiem ze wsi?

– A nie jestem? – spytał Ishvar. – Ludzie lubią czuć się ważniejsi. Jeżeli mój ton pomaga pani Dinie poczuć się lepiej, co w tym złego? – Z rozkoszą smakował końcówkę swojego biri. – Cierpliwości, Om. Niektórych rzeczy nie da się zmienić. Człowiek musi się po prostu z nimi pogodzić.

– Chciałbyś i tak, i tak? Najpierw mówisz, żeby walczyć i się nie poddawać. Teraz: żeby po prostu przyjąć to, co jest. Kiwasz się na boki jak garnek bez dupy.

– Twoja babcia Roopa tak mówiła – zaśmiał się Ishvar.

– Zdecyduj się, wybierz coś.

– A jak mam to zrobić? Jestem tylko człowiekiem – odparł, śmiejąc się znowu. W pół drogi śmiech przeszedł w kaszel, który wstrząsał nim bez litości. Ishvar podszedł do okna, odsunął zasłonkę i splunął. Gdyby stał wystarczająco blisko, by obejrzeć plwocinę, dostrzegłby w niej jak zwykle plamkę krwi.

Kiedy cofał się od okna, pod dom podjechała taksówka.

– Szybko, wróciła – szepnął chrapliwie.

Zaczęli usuwać ślady swej niesubordynacji: poprawili poduszki, odstawili stół na miejsce, zapalki i pety schowali do kieszeni. Z biri w ustach Omprakasha poleciała iskierka, jakby szydząc z płomiennego gniewu, którym zionął wcześniej. Strzepnął ją z obicia. Biegając do tylnego pokoju, zaciągnęli się po raz ostatni, zdusili niedopałki i wyrzucili je przez okno na podwórze.

•

Dina zapłaciła za taksówkę i wsunęła dłoń do torebki w poszukiwaniu kółka z kluczami. Zaśniedziała mosiężna kłódka wisiała na skoblu, ponura i ocieżała.

Przekręciła klucz z poczuciem winy. W głębi serca nie była klawiszem.

Omprakash wyciągnął ramiona i uwolnił ją od pakunku.

– Słyszałem, jak pani przyjechała.

– Jest dużo więcej – wskazała na stosy tkaniny piętrzące się za drzwiami.

Obrzucił je spojrzeniem, rozglądając się za nazwą firmy lub adresem.

Gdy wszystko wniesiono do środka, Ishvar podał jej kopertę.

– Ktoś tu był i walił w drzwi. Krzyczał, że kłódka go nie oszuka. Zostawił to dla pani.

– Na pewno poborca czynszu – odłożyła list na bok, nie patrząc nań. – Widział was?

– Nie, ukryliśmy się.

– To dobrze. – Odeszła, by odłożyć portmonetkę i zmienić buty na kapcie.

– Czy wychodząc zamknęła nas pani? – spytał Ishvar.

– A nie wiedzieliście? Tak, musiałam.

– A czemu to? – zachnął się Omprakash. – Myśli pani, że jesteśmy jakimiś złodziejami? Że zabierzemy pani dobytek i uciekniemy?

– Nie gadaj głupstw. A co to za wielki dobytek, o który mam się martwić? Chodzi mi o właściciela kamienicy. Mógłby tu wtargnąć pod moją nieobecność i wyrzucić was na ulicę. Jak jest kłódka, to się nie odważy. Złamać kłódkę to złamać prawo.

– Święte słowa – rzekł Ishvar. Pilno mu było obejrzeć wykroje nowych sukienek. Bratanek łypał spode łba, gdy zdejmowali ze stołu jadalnego obrus, aby zrobić miejsce na papierowe szablony.

– Ile tym razem od sukienki? – przerwał Omprakash, przesuwając między palcami nową popelinę.

Zignorowała go. Ishvar oglądał poszczególne części wykroju. Jak dziecko bawiące się układanką, pogrążył się w ich szczegółach. Omprakash spróbował ponownie.

– Bardzo trudny szablon. Proszę spojrzeć na te kliny, które trzeba wszyć, żeby rozkloszować spódnice. Tym razem będziemy musieli policzyć więcej, to na pewno.

– Przestań wybrzydzać – ofuknęła go. – I pozwól pracować starszym. Jeśli nie możesz mnie uszanować, to uszanuj przynajmniej swojego stryja.

Ishvar przyłożył fragmenty wykroju do wzorcowej sukienki.

– Rękaw, tak. I tył, ze szwem po środku, tak, to proste – mówił sam do siebie.

Bratanek zgromił go wzrokiem.

– Otóż to, łatwizna – powiedziała Dina. – Prostsze niż te, które dzisiaj skończyliście. A dobra nowina jest taka, że nadal płacą po pięć rupii za sztukę.

– Za pięć rupii nie ma mowy – odparł Omprakash. – Mówiła pani, że

przyniesie drogie sukienki. Te nie są warte naszego czasu.

– Biorę to, co dają mi w firmie. Inaczej skreślą nas z listy.

– Uszyjemy je – rzekł Ishvar. – Grzech wybrzydzać na stawki.

– To w takim razie ty szyj, ja za pięć rupii nie mam zamiaru – oznajmił Omprakash, ale Ishvar skinął Dinie głową, by się nie przejmowała.

Poszła do kuchni, żeby zaparzyć obiecaną herbatę. Tarcia między krawcami były jej na rękę. Stryj pohamuje buntownicze zapędy bratanka. Popatrzyła spod zmrużonych powiek na filiżanki i spodki, na ich różane krawędzie. Różowe czy czerwone? Różowe dla krawców, postanowiła, potem odstawi się je z wydzieloną szklanką na wodę. Czerwona dla mnie.

Czekając, aż zagotuje się woda, sprawdziła siatkę, osłaniającą okno z wybitą szybą, i znalazła w niej szparę. Znowu te utrapione koty – zirytowała się. Wkradają się do środka, polują na jedzenie albo kryją się przed deszczem. Kto wie, jakie robactwo przynoszą ze sobą z rynsztoków.

Naprawiła szkodę, okręcając rożki wokół gwoźdźca. Czajnik obwieścił swoją gotowość potężnym strumieniem pary. Odczekała, aż woda podgotuje się chwilę. Z zadowoleniem patrzyła na gęstniejącą mgielkę i wsłuchiwała się w miarowy bulgot wody, iluzję gwaru rozmów, przyjaźni, kipiącego życia.

Niechętnie przykręciła płomień i biały obłok rozmył się w nieregularne smużki. Napełniła trzy filiżanki i zaniósła dwie z różowym brzeżkiem do pokoju.

– Ach – westchnął Ishvar, przyjmując z wdzięcznością herbatę. Omprakash szył dalej, nie podnosząc oczu, ciągle nadaśany. Postawiła filiżankę obok niego.

– Nie chcę – mruknął. Dina bez słowa wróciła do kuchni po swoją filiżankę.

– Pyszna – oświadczył Ishvar, kiedy wróciła. Siorbał głośno, starając się w ten sposób skusić bratanka. – Dużo lepsza niż w Vishram Vegetarian Hotel.

– Na pewno gotuje się u nich cały dzień – powiedziała Dina. – Od tego traci smak. Na zmęczenie nie ma jak świeżo zaparzona herbata.

– Święte słowa – wypił kolejny łyk i znów pomrukiwał zapraszająco. Omprakash sięgnął po swoją filiżankę. Pozostała dwójka udawała, że nie widzi. Łapczywie wychłptał herbatę, ale nadaśany grymas nie zniknął z jego twarzy.

Do końca dnia pozostały dwie godziny szycia. Omprakash wypełnił je krzywymi ściegami i narzekaniem. Ishvar był wdzięczny zegarowi, gdy ten wskazał szóstą. Zachowywanie pokoju między bratankiem a panią Diną stawało się coraz trudniejsze.

•

Ranek zamaszystymi krokami zmierzał w stronę południa, kiedy poborca czynszu Ibrahim noga za nogą stapał chodnikiem, szykując się, by złożyć wizytę Dinie Dalal i zażądać odpowiedzi na list, który doręczył poprzedniego dnia.

Nobliwie przyodziany w rdzawobrazowy fez i czarne śerwani^[40] uśmiechał się do napotykanych po drodze lokatorów i witał ich słowami „Salam!” i „Jak się pan ma?”. Natura obdarzyła go odruchowym uśmiechem, który pojawiał się na jego twarzy, gdy tylko otwierał usta, aby przemówić. Ta pełna pogody wargowa przypadłość przeszkadzała w sytuacjach wymagających bardziej surowego wyrazu twarzy – na przykład lekkiego zmarszczenia brwi na okoliczność zaległego czynszu.

Ibrahim był starszym mężczyzną, lecz wyglądał na więcej lat, niż liczył w rzeczywistości. W lewej ręce, wciąż obolałej od wczorajszego dobijania się do drzwi, niośł plastikową teczkę zamykaną na dwie szerokie gumy. Zawierała ona rachunki za czynsz, pokwitowania, zlecenia napraw, dokumentację w sprawie sporów i rozpraw sądowych dotyczących sześciu budynków, którymi zarządzał. Niektóre z tych sporów sięgały czasów, gdy był dziewiętnastoletnim młodzieńcem i rozpoczynał pracę dla ojca obecnego właściciela. Inne miały jeszcze dłuższą historię. Ibrahim odziedziczył je po swoim poprzedniku.

Wszystko było tak pieczołowicie udokumentowane, że Ibrahim miał czasami poczucie, iż dźwiga ze sobą budynki. Teczka, którą prawie pół wieku wcześniej przekazał mu ustępujący poborca, nie była plastikowa – sklecono ją z dwóch drewnianych deseczek połączonych paskiem z marokinu. Zachowała zapach poprzedniego właściciela. Opasywała ją wyświechtana bawełniana taśma, która zabezpieczała zawartość. Ciemne, spękane deseczki spaczyły się, a kiedy je ze skrzypem otwierano, wydzielały zatechłą woń tytoniu.

Ibrahimowi, wówczas człowiekowi młodemu i ambitnemu, wstyd było pokazywać się z takim reliktem. Choć w środku znajdowały się wyłącznie szacowne pokwitowania za czynsz, wiedział, że ludzie ocenią teczkę po jej wierzchu, przypominającym ohydne obwoluty, w których podejrzani bazarowi dźjotiszi^[41] i wróżbici przechowywali swoje guślarskie wykresy i szalbiercze diagramy. Myśl, że mógłby zostać błędnie poczytany za jednego z tych szarlatanów, napawała go wstydem. Zaczęły go nurtować poważne wątpliwości co do zawodu, który wymagał odeń noszenia szemranej teczki – czuł się wystrychnięty na dudka, jak gdyby handlarz na targowisku zachachmęcił coś przy odważnikach i nieuczciwie ustawił szalki wagi.

Tak było do czasu, gdy pewnego szczęśliwego dnia pękł marokinowy grzbiet teczki. Ibrahim zaprezentował szczątki w biurze kamienicznika. Kancelista zlustrował je, potwierdził naturalne przyczyny zgonu i wypełnił stosowne zamówienie. Ibrahimowi wydano kawałek sznurka, by radził sobie przy jego pomocy w czasie, kiedy papiery wędrowały z biurka na biurko.

Po dwóch tygodniach przybyła nowa teczka. Wykonana z tektury obciągniętej płótnem introligatorskim w nobliwym kolorze umbry, wyglądała elegancko

i nowocześnie. Ibrahim był zachwycony. Przyszłość w zawodzie poborcy jęła mu się jawić w tęczy barwach.

Z nową teczką pod pachą mógł wysoko nosić głowę, a podczas swoich obchodów paradować dostojnym krokiem adwokata. Nowa teczka, dużo misterniejsza od poprzedniej, była szczerze wyposażona w przegródki i kieszonki, co pozwalało na metodyczne segregowanie raportów, skarg i korespondencji. Dobrze się więc złożyło, ponieważ w tym właśnie czasie Ibrahimowi przybyło obowiązków, zarówno w pracy, jak i w domu.

Ibrahim, syn rodziców w podeszłym wieku, został mężem, a potem ojcem. Również fach poborcy zaczął obrastać nowymi zajęciami. Przydzielono mu stanowisko szpiega na usługach kamienicznika, szantażysty, dostarczyciela pogroźek i wielofunkcyjnego prześladowcy lokatorów. Do jego obowiązków należało demaskowanie w sześciu podległych mu budynkach ukrytych brudów, takich jak pokątne romanse. Pracodawca nauczył go, jak przekuwać zdradę małżeńską w podwyżkę czynszu – winne strony nigdy nie ważyły się oponować ani wspominać ustawy o najmie. Kiedy sytuacja tego wymagała, Ibrahim wcielał się w rolę zaklinacza i błagalnika – działało się tak wtedy, gdy kamienicznik posunął się o krok za daleko i groził mu praworządny odwet. Łzy poborcy miały wówczas skłonić najemcę do odwrotu i wzbudzić w nim litość dla biednego, zaszczutego właściciela, męczennika gospodarki mieszkaniowej, który nigdy nie chciał wyrządzić nikomu żadnej krzywdy.

Kieszonki i przegródki były konieczne do sortowania różnych ról w repertuarze Ibrahima. Na tym etapie kariery poborca zauważył, że odruch słodkiego uśmiechu coraz bardziej mu przeszkadza. Jak się przekonał, przekazywanie pogroźek i złowieszczych napomnień z miłym uśmiechem nie przynosiło pożądanego efektów. Gdybyż tylko udało się przekształcić go w groźny uśmieszek – byłoby doskonale. Ale kluczowe mięśnie odmawiały współpracy. Nie mniejszych trudności nastroczały okazje, kiedy musiał wyrazić ubolewanie z powodu opóźnienia w naprawie lub złożyć kondolencje z powodu śmierci w rodzinie najemcy. Niebawem brzemień szczerzonych zębów przyniosło mu niezasłużoną reputację człowieka bezwzględnego, prymitywnego, niekompetentnego, opóźnionego w rozwoju, a nawet demonicznego.

I tak z uśmiechem kroczył swoją nieszczęsną ścieżką, poprzez trzy bukramowe teuczki, wszystkie w kolorze umbry, tak jak pierwsza, gdy tymczasem jego własna skóra postarzała się o dwadzieścia cztery lata. Były to dwadzieścia cztery lata znoju i ubóstwa, w trakcie których młodość przeminęła, a świetliste ambicje jego złotego wieku pokryły się plamami goryczy. Zrozpaczony i przybity niewzruszoną świadomością, że nie ma już dlań żadnych perspektyw, patrzył na swoją żonę, dwóch synów i dwie córki, którzy wciąż wierzyli w niego, wzmagając

tym jego cierpienie. Zapytywał sam siebie, czym zasłużył sobie na życie tak jałowe, tak wyzute z nadziei? A może takie uczucia są udziałem wszystkich ludzi? Czyżby Pana Wszechświata nie zaprzętało równe ustawienie szal? Czyżby nie istniała żadna sprawiedliwa miara?

Zdawało się, że częste odwiedziny w meczecie utraciły sens. Przestał regularnie pojawiać się na copiątkowych modlitwach. Życiowych wskazówek zaczął szukać w praktykach, którymi niegdyś gardził jako domeną ignorantów.

Bazarowi astrologi i wróżbici dostarczali mu najwyższego pocieszenia. Podsuwali remedia na kłopoty finansowe i rady w kwestii polepszenia przyszłości, w zastraszającym tempie odchodzącej w przeszłość. W prognozach, które ogłaszali z przekonaniem, odkrywał kojący lek.

Nie ograniczał się bynajmniej do chiromantów i astrologów. W poszukiwaniu mocniejszych medykamentów zwrócił się do mniej konwencjonalnych posłańców: ciągnących karty gołębi, papug czytających grafy, mediumicznych krów i węży interpretujących diagramy. Wiecznie trapił się, że ktoś znajomy zobaczy go podczas jednej z tych podejrzanych wypraw, toteż z najwyższą niechęcią postanowił zrezygnować ze swego charakterystycznego fezu. Było to jak zostawienie serdecznego przyjaciela. Raz tylko zdarzyło mu się wcześniej porzucić ten nieodłączny element codziennej garderoby. Miało to miejsce w 1947 roku, w okresie Podziału, kiedy rzezie religijne na świeżo wytyczonym pograniczu spowodowały wszędzie wybuch zamieszek i noszenie fezu w hinduskiej dzielnicy wiązało się z konsekwencjami równie zabójczymi, jak posiadanie napletka na muzułmańskim osiedlu. W niektórych rejonach najrozsądniej było chodzić z odkrytą głową, bowiem błędny wybór między fezem, białym pierożkiem, a turbanem mógł grozić jej utratą.

Na szczęście sesje ptasich przepowiedni umożliwiały zachowanie względnej anonimowości. Przykucał niepostrzeżenie na rogu ulicy razem z opiekunem zwierzęcia, zadawał pytanie, a gołąb lub papuga wyskakiwały z klatki, aby go oświecić.

Sesja z krową była natomiast sporym widowiskiem, które przyciągało znaczne tłumy. Przyobleczona w barwny, brokatowy czaprak krowa, z nanizanymi na sznurek srebrnymi dzwoneczkami na szyi, wkraczała w krąg widzów w asyście mężczyzny z bębniem. Jegomość ten miał na sobie jaskrawą koszulę i turban, lecz w zestawieniu z bogato wystrojoną krową wypadał dosyć blade. Krowa spacerowała w koło – raz, dwa, trzy razy – w zależności od tego, ile czasu mężczyzna potrzebował, by wyrecytować jej curriculum vitae, ze szczególnym uwzględnieniem przepowiedni i prorocत्व, które się jak dotąd wypełniły. Mężczyzna miał ogłuszająco wrzaskliwy głos, oczy przekrwione, gesty obłąkane i całe to szaleństwo stanowiło doskonały kontrapunkt dla spokojnego

zachowania krowy. Po krótkim przedstawieniu życiorysu zwierzęcia do akcji wkraczał bęben, który dotąd w ciszy zwisał z ramienia zapowiadacza. Był on przeznaczony nie do uderzania, lecz do pocierania. Mężczyzna w dalszym ciągu oprowadzał krowę w koło i pocierał membranę pałeczką, wydobywając z niej straszliwe beczenie, jęczenie, wycie. Dźwięk ten miał moc budzenia umarłych i ogłuszania żywych. Był niesamowity; stanowił wezwanie dla duchów i sił nie z tego świata, wezwanie, by zstąpiły udzielić swej obecności i asysty podczas bydłowej wieszczby.

Dźwięki bębna milkły i mężczyzna wykrzykiwał pytanie klienta do ucha krowy, wystarczająco głośno, by posłyszeli je wszyscy zgromadzeni wokół gapie. Krowa odpowiadała skinieniem lub potrząśnięciem misternie przybranego łba, pobrzękując srebrnymi dzwoneczkami zawieszonymi na szyi. Zachwycony tłum wiwatował z podziwem. Znowu rozległy się dźwięki bębna i następowało zbieranie datków.

Pewnego dnia pytanie Ibrahima wywrzeszczane w miękkie, brązowe, bezbronne krowie ucho nie wywołało żadnego odzewu. Mężczyzna powtórzył je jeszcze głośniej. Tym razem krowa zareagowała. Nie wiadomo, czy chodziło o irytujące dźwięki bębna, które znosiła latami, czy może o chamskie porykiwania aplikowane jej dzień za dniem prosto do ucha, dość że zmasakrowała swego stróża cynobrowym porożem.

Przez chwilę widzom zdawało się, że oglądają po prostu nieco bardziej żywiołową reakcję niż na ogół. Później krowa obaliła mężczyznę na ziemię i go stratowała. Wtedy pojęli, że to nie część wróżebnej procedury, tym bardziej, że chlusnęła krew.

Z okrzykami: Szalona krowa! Szalona krowa!, tłum rozproszył się. A ona, rozprawiwszy się ze swym dręczycielem, stała spokojnie, mrugając łagodnymi oczami o długich rzęsach i przeganiając ogonem muchy pragnące dobrać się do jej wymion.

Osobliwa śmierć opiekuna krowy przekonała Ibrahima, że ta metoda zasięgania boskiej porady przestała być wiarygodna. Jakiś czas później na tym samym rogu pojawił się nowy tandem złożony z krowy i pocieracza bębna, ale Ibrahim unikał tych występów. Istniały inne, bezpieczniejsze sposoby zabiegania o nadnaturalne wsparcie.

Wciąż miał świeżo w pamięci zdarzenie z szaloną krową, gdy stał się świadkiem kolejnej śmierci. Tym razem zginął opiekun ciągnącego losy węża, którego przewodom jadowym już dawno należało się wydojenie. Ibrahim zawsze wzdrygał się na myśl o tamtej scenie: kobra mogła ukąsić właśnie jego, ponieważ przykucnął nieopodal, by śledzić jej wróżbiarskie ruchy.

Wstrząśnięty dwiema katastrofami poborca wziął rozbrat z wszelką fauną

trudniącą się przepowiadaniem losu. Jak człowiek, który budzi się z sennego koszmaru, przywdział na nowo porzucony fez i zabrał się do odzyskiwania swej dawnej osobowości. Ileż pieniędzy przeznaczonych na potrzeby rodziny pochłonął jego bluźnierczy nałóg, uprzytomnił sobie, gdy siedział nad morzem, a unoszący się przy końcu długiej grobli meczet kąpał się w promieniach zachodzącego słońca. Wlepił wzrok w powrotną falę, odsłaniającą podwodne tajemnice, i przeszedł go dreszcz. Jego własne mroczne tajemnice znów wypłynęły na powierzchnię ze swoich mętnych głębin zagubienia i rozpacz. Próbował je odsunąć, zepchnąć w dół, utopić, lecz wyslizgiwały się niczym węgorze i znów podpływały, by go nawiedzać. Jeden był tylko sposób, by je pokonać – skruszony powrócił do meczetu, gotów przyjąć wszystko, co przeznaczy mu los.

Los przeznaczył mu między innymi plastikową teczkę. Upłynęły dwadzieścia cztery lata bukramu, w biurze kamienicznika nastął wiek plastiku. Ibrahimowi było to już obojętne. Zrozumiał, że godności nie nabywa się za sprawą rynsztunku i akcesoriów; że zjawia się ona niepytana, że rodzi ją ludzka zdolność przetrwania. Gdyby w biurze wręczono mu koszyk kulisa, by taszczył dokumenty na głowie, pogodziłby się z tym bez szemrania.

Niemniej plastikowa teczka miała jedną zaletę – chroniła przed monsunem. Teraz rzadko zdarzało się, aby musiał na nowo przepisywać dokumenty, na których tusz postanowił puścić się z deszczem w szalone tany. Było to błogosławieństwem, bo zaczęły mu już drzeć ręce. Co więcej, wystarczyło raz przejechać mokrą ścierką, a wszystkie plamy od kichnięć i tabaki, brązowe i w kolorze zielonego groszku, znikwały bez śladu i nie wprawiały go w zakłopotanie podczas posiedzeń z kamienicznikiem.

W domu także dokonały się zmiany, które przyjął z pokorą. Bądź co bądź cóż innego mógł począć? Starsza córka zmarła na gruźlicę, za nią podążyła żona. Później jego synowie zniknęli w półświatku i wracali od czasu do czasu, żeby go obrażać. Druga córka odeszła, by zająć się prostytutką, właśnie w chwili, gdy zaczął sądzić, że to ona odkupi wszystkie straty. Jego życie, myślał Ibrahim, przypominało scenariusz kiepskiego filmu w hindi, tyle że bez szczęśliwego zakończenia.

Dlaczego nadal pracuje, rozmyślał, czemu wciąż wyrusza na obchód sześciu budynków i zbiera czynsz? Dlaczego nie skoczy z dachu któregoś z nich? Dlaczego nie rozpali ogniska z rachunków i banknotów i nie rzuci się w płomień w ubraniu nasączonym naftą? Jak to możliwe, że jego serce nadal bije, zamiast pęknąć, a jego zdrowie psychiczne pozostaje bez szwanku, zamiast rozpaść się w stos odłamków niczym upuszczone lustro? Czy wszystko to jest wykonane z twardego, syntetycznego tworzywa, tak jak niezniszczalna plastikowa teczka? I dlaczego czas, ten wielki wandal, dopuszcza się takiego zaniedbania?

Ale i plastik miał wyznaczone swoje lata i dni. Łamał się, darł i pękał jak introligatorskie płótno, odkrył Ibrahim. Jak skóra i kości, spostrzegł z ulgą. Wystarczyło zachować cierpliwość. I tak oto jego obecna teczka była trzecią plastikową w ciągu dwudziestu jeden lat.

Od czasu do czasu oglądał ją uważnie i wówczas widział w jej sfatygowanych okładkach bruzdy przecinające mu czoło. W środku plastikowe ścianki zaczynały się rozpadać, a schludne przegródki zdawały się gotowe do buntu; w przegródkach jego ciała bunt już zdążył wybuchnąć. Kto wygra ten żalony wyścig ciała z plastikiem, zastanawiał się w chwili, gdy dotarł do mieszkania, otarł tabakę z nozdrzy i palców, i zadzwonił do drzwi.

Dostrzegłszy przez wizjer jego rdzawobrazowy fez, Dina uciszyła krawców.

– Ani mru-mru póki on tu jest – wyszeptała.

– Jak się pani miewa? – zapytał poborca, obnażając silnie poplamione zęby i dwie szpary w słodkim, niewinnym uśmiechu podstarzałego anioła.

Nie odpowiedziała na jego powitanie.

– Słucham pana. Jeszcze nie pora na czynsz.

Przełożył teczkę do drugiej ręki.

– Nie, siostrze, jeszcze nie pora. Przyszedłem po pani odpowiedź na list od właściciela.

– Ach tak. Proszę zaczekać chwilę.

Zamknęła drzwi i poszła rozejrzeć się za nieotwartą kopertą.

– Gdzie ja ją położyłam? – szepnęła do krawców.

We trójkę przeszukiwali zagracony blat. Dina przyłapała się na tym, że obserwuje Omprakasha – jak zaciskają się jego palce, jak przesuwają się jego dłonie. Kościstość i kanciastość chłopaka już jej nie raziała. Odkrywała w nim niecodzienne ptasie piękno.

Ishvar odnalazł kopertę pod stertą materiału. Rozdarła ją i przeczytała – najpierw szybko, potem wolniej, by przebić się przez prawniczy żargon. Zasadniczy sens listu wkrótce stał się jasny: prowadzenie pracowni na terenie lokalu mieszkalnego było zabronione; Dina ma niezwłocznie zawiesić działalność gospodarczą lub zostanie eksmitowana.

Z płonącymi policzkami podbiegła do drzwi.

– Co to za bzdury? Powiedz swojemu kamienicznikowi, że jego groźby na nic się zdadzą!

Ibrahim westchnął, wrzucił ramionami i rzekł podniesionym głosem:

– Udzielono pani ostrzeżenia, pani Dalal! Tu nie będzie się tolerować łamania regulaminu! Następnym razem nie dostanie pani miłego listu tylko nakaz opuszczenia lokalu! Niech sobie pani nie myśli...

Dina zatrzęsnęła drzwi. Poborca natychmiast przestał krzyczeć. Poczul ulgę, że

oszczędzono mu wygłaszania pełnego przemówienia. Dysząc, otarł czoło i odszedł.

Dina z przerażeniem przeczytała ponownie list. Ledwie trzy tygodnie z krawcami i już kłopoty z właścicielem. Zastanawiała się, czy pokazać go Nusswanowi, zasięgnąć jego rady. Nie, postanowiła, on tylko pogorszy całą sprawę. Lepiej zignorować list i dyskretnie robić swoje.

Nie miała teraz wyboru – musiała wtajemniczyć krawców i uzmysłowić im, jak niezmiernie istotną sprawą jest utrzymanie szycia w sekrecie. Przedyskutowała to z Ishvarem.

Uzgodnili fikcyjne wytłumaczenie na wypadek, gdyby dwaj mężczyźni, wchodząc do mieszkania lub wychodząc z niego, natknęli się na poborcę czynszu. Mieli powiedzieć mu, że przychodzą do niej, by gotować i sprzątać.

•

Omprakash był urażony.

– Jestem krawcem, a nie pieprzonym służącym, który jej zamiata i myje podłogę.

– Nie bądź dzieckiem, Om. To tylko bajeczka, żeby uniknąć kłopotów z właścicielem.

– Kto ma uniknąć kłopotów? Ona. Co mnie to obchodzi? Nawet nam nie płaci uczciwej stawki. Jeśli jutro zginiemy, znajdzie sobie nowych krawców.

– Pomyśl, nim coś powiesz! Jak ją wywalą z mieszkania, to nie będziemy mieli gdzie pracować. Co cię ugryzło? To nasza pierwsza porządna praca, odkąd przyjechaliśmy do miasta.

– I mam się z tego cieszyć? Dzięki tej pracy wszystko się nam ułoży?

– Ale to dopiero trzy tygodnie. Cierpliwości, Om. To miasto jeszcze spełni twoje marzenia.

– Mam dosyć tego miasta. Odkąd tu przyjechaliśmy tylko same nieszczęścia. Żałuję, że nie zginąłem w naszej wiosce. Żałuję, że nie spłonąłem na śmierć jak reszta mojej rodziny.

Twarz Ishvara zachmurzyła się, ból bratanka wprowadził w drżenie jego okaleczony policzek. Objął go ramieniem.

– Będzie lepiej, Om – przekonywał. – Wierz mi, będzie lepiej. A niedługo wrócimy do naszej wioski.

[37] *Bai* – pani; sufiks dodawany do imienia kobiet na znak szacunku.

[38] W Indiach wyraz „hotel” oznacza zarówno hotel, jak i jadalnię lub restaurację.

[39] *Ghi* – masło klarowane.

[40] *Śerwani* – długi, wytworny, sięgający poniżej kolan strój męski przypominający płaszcz, dawniej noszony przez indyjskich arystokratów, głównie muzułmanów.

[41] *Dźjotiszi* – astrolog.

3 W WIOSCE NAD RZEKĄ

W swojej wiosce krawcy byli niegdyś szewcami, a ich rodzina należała do kasty ćamarów^[42] skupiającej garbarzy i rymarzy. Ale dawno temu, na długo przed narodzinami Omprakasha, kiedy jego ojciec Narayan i stryj Ishvar mieli lat dziesięć i dwanaście, ojciec chłopców posłał ich, by terminowali u krawca.

Przyjaciele ich ojca bali się o jego rodzinę.

– Dukhi Mochi zwariował – lamentowali. – Z pełną świadomością ściąga zagładę na swój dom.

W wiosce zapanowała powszechna konsternacja: oto ktoś ośmielił się zerwać ponadczasowy łańcuch kasty; siłą rzeczy kara musiała nadejść rychło.

Decyzja Dukhiego Mochiego, by jego synowie uczyli się na krawców, była rzeczywiście odważna, zważywszy, że sam przeżył najlepsze lata swego życia posłusznie przestrzegając tradycji systemu kastowego. Wzorem swoich przodków od dzieciństwa akceptował fach, który mocą przeznaczenia narzucała mu aktualna inkarnacja.

Dukhi Mochi miał pięć lat, kiedy u boku ojca zaczął poznawać profesję ćamara. Miejscowa społeczność muzułmańska była bardzo nieliczna, toteż w pobliżu nie było rzeźni, z której ćamarowie mogliby brać skóry. Musieli czekać, aż w wiosce jakaś krowa albo bawół umrą śmiercią naturalną. Wówczas wzywano ich, by zabrali padłe zwierzę. Czasem padlinę dawano im za darmo, czasem musieli płacić, w zależności od tego, ile bezpłatnej pracy w ciągu trwającego roku udało się wycisnąć z ćamarów właścicielowi zwierzęcia, przedstawicielowi wyższej kasty.

Ćamarowie sprawiali padlinę, zjadali mięso i wyprawiali skórę, którą przerabiali następnie na sandały, biczę, uprzęże i buklaki. Dukhi nauczył się doceniać to, jak martwe zwierzęta zapewniały jego rodzinie byt, a w miarę jak opanowywał arkana swojego fachu, jego skóra niepostrzeżenie, lecz nieubłaganie jęła przechodzić wonią, która stanowiła część zapachu jego ojca, garbarskim odorem, który nie ustępował nawet po myciu i szorowaniu we wszechocyszczającej rzece.

Dukhi nie miał pojęcia, że pory jego skóry nasiąkły oparami do dnia, kiedy matka, ściskając go w ramionach, zmarszczyła nos i rzekła z mieszaniną dumy i żalu w głosie: „Stajesz się dorosłym, mój synu, wyczuwam tę zmianę”.

Odtąd przez pewien czas ciągle unosił przedramię do nosa, by sprawdzić, czy

woń nadal się go trzyma. Zastanawiał się, czy zapach zniknąłby, gdyby zdjąć mu skórę. A może sięgał głębiej? Ukłął się, żeby powąchać swoją krew, ale test nie przyniósł rozstrzygnięcia, gdyż małeńki rubin na koniuszku jego palca nie wystarczał jako próbka. A co z mięśniami i kośćmi? Czy w nich także czaił się smród? Nie to, by chciał się go pozbyć; był szczęśliwy, że pachnie tak jak ojciec.

Oprócz nauki garbarstwa i rymarstwa, Dukhi dowiedział się, co znaczy być niedotykalnym w wioskowej społeczności. Ta część kształcenia nie wymagała specjalnych lekcji. Etos systemu kastowego oblaził wszystko, niczym brud zabitych zwierząt, który podczas pracy lgnął do Dukhiego i jego ojca. Gdyby to nie wystarczyło, to rozmowy dorosłych, uwagi wymieniane przez matkę i ojca uzupełniały luki w jego wiedzy o świecie.

Wioska leżała nad rzeką i ćamarom wolno było zamieszkiwać w odcinku położonym poniżej osiedli braminów i właścicieli ziemskich. Wiezorami ojciec Dukhiego siadywał z innymi ćamarami pod drzewem w ich części osady. Palili i rozmawiali o dniu, który dobiegał końca i następnym, który miał wstać nazajutrz. Wokół ich pogaduszek trzepotał ptasi krzyk. Z drugiego brzegu dym znad kuchennych palenisk słał zgłodniałe sygnały, a ociążałą rzeką spływały odpady wyższych kast.

Dukhi przyglądał się temu z dala, czekając, aż ojciec wróci do domu. W miarę jak zapadał zmierzch, kontury mężczyzn traciły ostrość. Wkrótce Dukhi widział już tylko płonące koniuszki ich biri, migające w mroku jak świetliki, kiedy poruszali dłońmi. Potem rozżarzone punkciki gasły jeden po drugim i mężczyźni rozchodzili się.

Przy posiłku ojciec Dukhiego powtarzał żonie wszystko, czego dowiedział się tego dnia.

– Krowa Pandita choruje. Chce ją sprzedać, zanim zdechnie.

– Kto ją dostanie, jeśli zdechnie? Teraz twoja kolej?

– Nie, teraz pora na Bholę. Ale tam, gdzie pracował, oskarżyli go o kradzież. Nawet jeśli Pandit da mu padlinę, będzie potrzebował mojej pomocy. Dziś odrąbali mu palce u lewej ręki.

– Bhola ma szczęście – powiedziała matka Dukhiego. – W zeszłym roku Chhaganowi obcięli rękę w nadgarstku. Z tego samego powodu.

Ojciec Dukhiego wziął łyk wody i obracał ją w ustach przed przełknięciem. Otarł usta wierzchem dłoni.

– Dosu oberwał baty za to, że podszedł zbyt blisko studni. Ten to się nigdy nie nauczy.

Przez chwilę jadł w milczeniu, nasłuchując żab kumkających wśród wilgotnej nocy, potem znów zwrócił się do żony.

– Nic nie jesz? – zapytał.

– Dzisiaj wypada mój post.

W jej prywatnym szyfrze oznaczało to, że jedzenia jest za mało.

Ojciec Dukhiego skinął i włożył kolejny kęs do ust.

– Widziałaś ostatnio żonę Buddhu?

Potrząsnęła głową.

– Nie, już od wielu dni.

– I jeszcze długo jej nie zobaczysz. Na pewno chowa się u siebie w chacie.

Powiedziała, że nie pójdzie w pole z synem zamindara^[43], więc ogolili jej głowę i prowadzali nagą po placu.

Tak oto co wieczór Dukhi słuchał, jak jego ojciec przedstawia nieupiększoną relację z wydarzeń w wiosce. Jako dziecko po mistrzowsku opanował pełen katalog rzeczywistych i wyobrażonych zbrodni, jakie popełnić może członek niskiej kasty, a przypisane im kary wyrły się w jego pamięci. Do czasu gdy wkroczył w wiek nastoletni, zdążył posiąść całą wiedzę, która miała być mu potrzebna, by dostrzegać niewidzialną, nieprzekraczalną granicę kasty i przetrwać w wiosce, tak jak przetrwali jego przodkowie, mając za stałych towarzyszy upokorzenie i cierpliwą wytrwałość w ciężkiej doli.

•

Wkrótce po tym, jak Dukhi Mochi skończył osiemnaście lat, rodzice ożenili go z czternastoletnią dziewczynką z kasty ćamarów imieniem Roopa. Podczas pierwszych sześciu lat ich małżeństwa powiła trzy córki. Żadna nie przeżyła dłużej niż kilka miesięcy.

Potem urodził im się syn. Obie rodziny uradowały się ogromnie. Chłopcu dano na imię Ishvar, a Roopa opiekowała się nim ze szczególną gorliwością i oddaniem, które, jak wiedziała, były zarezerwowane dla męskiego potomstwa. Dbала, by zawsze miał pod dostatkiem jedzenia. To, że sama chodziła głodna, było oczywistością – często nie dojadła, by nakarmić Dukhiego. Ale dla dziecka nie cofała się nawet przed kradzieżą i nie znała matki, która nie podjęłaby tego ryzyka dla swojego syna.

Kiedy skończyło jej się mleko, Roopa zaczęła składać nocne wizyty krowom rozmaitych właścicieli ziemskich. Dukhi i dziecko spali, kiedy gdzieś między północą a pierwszym pianiem koguta wykradała się z chaty z małym mosiężnym handi^[44]. Pewnym krokiem szła pośród ciemności ścieżką, której nauczyła się na pamięć za dnia, ponieważ lampa byłaby zbyt niebezpieczna. Ciemności omiatały jej policzki niczym pajęczyna. Czasem pajęczyny były prawdziwe.

Zabierała tylko odrobinę mleka od każdej krowy, by właściciel nie zauważył spadku w udoju. Dukhi widział rankiem mleko i rozumiał. Jeśli nocą budził się, kiedy wychodziła, nie mówił nic, tylko leżał i drżał, dopóki nie wróciła. Często

zastanawiał się, czy powinien zaproponować, że pójdzie zamiast niej.

Wkrótce Ishvarowi wyrznęły się zęby mleczne i Roopa zaczęła co tydzień odwiedzać gotowe do zbiorów sady. Przed zerwaniem sprawdzała po omacku, czy owoc jest dojrzały. Również tu ograniczała się i zrywała po parę sztuk z jednego drzewa, by ich nieobecność przeszła niezauważona. Otaczający ją mrok rozbrzmiewał jej oddechem oraz odgłosami drobnych stworzeń czmychających spod jej nóg.

Pewnej nocy, kiedy napełniała worek pomarańczami, pośród drzew nagle ktoś uniósł latarnię. Na niewielkiej polance stało bambusowe łóżko wyplatane sznurkiem, a na nim siedział mężczyzna i przyglądał się jej. Przepadłam, pomyślała, upuszczając worek i gotując się do biegu.

– Nie bój się – rzekł mężczyzna. Jego głos brzmiał miękko. W ręce ścisnął ciężką pałkę. – Możesz sobie wziąć trochę. Co mi do tego?

Obróciła się, dysząc ze strachu, zastanawiając się, czy mu ufać.

– Śmiało, weź sobie kilka – powtórzył z uśmiechem. – Właściciel najął mnie do pilnowania sadu. Ale mnie tam wszystko jedno. Sukinsyn jest bogaty.

Roopa nerwowo podniosła worek i znów wzięła się do zbierania. Pomarańcza wysliznęła się spomiędzy jej drżących palców, gdy próbowała wrzucić ją do środka. Zerknęła przez ramię. Tamten toczył za nią pożądlivym spojrzeniem. Poczula się nieswojo.

– Jestem ci wdzięczna – powiedziała.

– Masz szczęście, że to ja tu jestem, a nie jakiś drań. Proszę, bierz, ile chcesz.

Zanucił coś fałszywie. Zabrzmiało to jak mieszanina jęków i westchnień. Przestał nucić i spróbował zagwizdać tę samą melodię, równie fałszywie. Ziewnął i ucichł, ale w dalszym ciągu się w nią wpatrywał.

Roopa uznała, że ma dość owoców. Nadeszła pora, by podziękować i odejść. Mężczyzna odczytał jej ruchy.

– Wystarczy, że raz krzyknę i przybiegną tutaj.

– Co?

Zobaczyła, że uśmiech nagle zniknął z jego twarzy.

– Wystarczy, że raz krzyknę, a właściciel i jego synowie zaraz tu będą. Rozebraliby cię i wychłostali za kradzież.

Roopa zadrżała. Uśmiech powrócił na jego twarz.

– Nie bój się, nie będę krzyżeć. – Zawiązała worek, a on ciągnął dalej. – Po chłście prawdopodobnie znieważyliby cię i splamili twoją cześć. Po kolei robiliby nieprzyzwoite rzeczy z twoim ślicznym, miękkim ciałem.

Roopa złączyła dłonie na znak podziękowania i pożegnania.

– Nie idź jeszcze, weź, ile chcesz – powiedział.

– Dziękuję, już mam dość.

– Na pewno? Mogę ci dać więcej, jeśli chcesz, to nie kłopot.

Odłożył pałkę i podniósł się z łóżka.

– Dziękuję, tyle wystarczy.

– Naprawdę? Ale chwila, przecież nie możesz pójść ot tak sobie – powiedział ze śmiechem. – Nie dałaś mi nic w zamian.

Podszedł do niej. Cofnęła się i zaśmiała wymuszenie.

– Ja nic nie mam. Dlatego tu przyszedłam nocą. To dla mojego dziecka.

– Przecież masz coś. – Wyciągnął rękę i ścisnął jej lewą pierś. Odtrąciła go. – Wystarczy, że raz krzyknę – ostrzegł i wsunął dłoń pod jej bluzkę. Wzdrygnęła się pod dotykiem, ale tym razem nie zrobiła nic.

Podprowadził ją skuloną do łóżka i szarpnięciem rozpiął trzy górne guziki jej bluzki. Skrzyżowała ręce przed sobą. Ściągnął je w dół i zatopił usta w jej piersiach, śmiejąc się cicho, podczas gdy ona próbowała się wyrwać.

– Dałem ci tyle pomarańczy, a ty nie pozwalasz mi nawet spróbować swoich mango?

– Proszę, puść mnie.

– Jak tylko nakarmię cię moim bakłazanem. Rozbieraj się.

– Błagam, puść mnie.

– Wystarczy, że raz krzyknę.

Chlipała cicho, kiedy zdejmowała ubranie i kładła się, jak jej polecił. Chlipała dalej, gdy podrygiwał na niej i dyszał. Słyszała, jak lekki wietrzyk szeleści liśćmi drzew, które stały wokół jak bezużyteczni wartownicy. Zawył gdzieś pies, inne zawtórowały mu chórem. Olej kokosowy we włosach mężczyzny pozostawił jej smugi na twarzy i szyi, roztarł się na jej klatce piersiowej. Jego woń gryzła ją w nozdrza.

Po kilkunastu minutach zgramolił się z niej. Roopa pochwyciła ubranie i worek pomarańczy i naga puściła się biegiem przez gaj pomarańczowy. Gdy była pewna, że jej nie goni, stanęła i ubrała się.

Dukhi udawał, że śpi, kiedy weszła do chaty. Tej nocy kilkakrotnie słyszał jej zdławione szlochy, a po zapachu poznał, co ją spotkało. Czuł gwałtowną chęć, by podejść do niej, odezwać się, pocieszyć. Ale nie wiedział, jakich słów użyć, i bał się dowiedzieć zbyt dużo. Popłakiwał więc po cichu i we łzach wyrzucał z siebie wstyd, gniew, upokorzenie. Tej nocy pragnął umrzeć.

Rano Roopa zachowywała się, jak gdyby nic się nie stało. Dukhi nie powiedział więc nic i zjedli pomarańcze.

•

Dwa lata po tym, jak na świat przyszedł Ishvar, Roopie i Dukhiemu urodził się następny syn. Nadano mu imię Narayan. Na klatce piersiowej miał

ciemnoczerwone znamię, a starsza sąsiadka, która asystowała Roopie przy porodzie, powiedziała, że widziała już wcześniej coś takiego.

– To znak, że ma dzielne i szczodre serce. Będiesz dumna z tego chłopca.

Wieść o drugim synu wzbudziła zawiść w domach mieszkańców z wyższych kast, w których małżeństwa zawarto w tym samym mniej więcej czasie, gdy pobrali się Dukhi i Roopa, lecz gdzie kobiety nadal były bezdzietne lub czekały na męskie potomstwo. Trudno, by te żony nie żywiły wrogich uczuć – narodziny córek często ściągaly na nie razy z ręki mężów i ich rodzin. Czasem rozkazywano im, by dyskretnie pozbyły się noworodka. Nie miały wyboru – musiały udusić niemowlę powijkami, otruć je lub zagłodzić na śmierć.

– Do czego to podobne? – lamentowały. – Dwóch synów w domu niedotykalnych, a u nas ani jednego. Czemu to tak?

Cóż takiego ćamar może przekazać swoim synom, że bogowie tak go nagradzają? Stało się coś złego, złamano prawa Manu^[45]. Niewątpliwie ktoś z wioski dopuścił się czynu obrażającego bogów i potrzebne są jakieś specjalne obrzędy, by ułagodzić ich gniew i napełnić puste naczynia męskim owocem.

Tymczasem jedna z bezdzietnych żon miała bardziej przyziemną teorię na temat ich nienarodzonych synów. Niewykluczone, twierdziła, że ci dwaj chłopcy wcale nie są synami Dukhiego. Może ten ćamar wyprawił się gdzieś daleko od domu i uprowadził bramińskie noworodki – to by wszystko wyjaśniało.

Kiedy pogłoski zaczęły się szerzyć, Dukhi zadrżał o bezpieczeństwo rodziny. W ramach ostrożności ze wszystkich sił starał się zachowywać przymilnie. Za każdym razem gdy widział na drodze osoby z wyższych kast, korzył się służalczo, ale w odpowiedniej odległości, by nie oskarżono go, że bruka tamtych swoim cieniem. Zgolił wąsy, choć wcześniej ich długość i kształt odpowiadały kastowym wymogom: ich końcówki pokornie zwisały w dół w odróżnieniu od dumnych, pnących się ku niebu wąsisk członków wyższych kast. Siebie i dzieci przyodziewał w najbardziej plugawe łachmany, jakie udało mu się znaleźć w swym szczupłym dobytku. Aby uniknąć zarzutów o rozsiewanie brudu, zakazał Roopie zbliżania się do wioskowej studni; wodę do picia nosiła im jej przyjaciółka Padma. Wszystko jedno, jakie zadanie mu zlecono, Dukhi wykonywał je bez szemrania, nie myśląc o zapłacie i nie śmiąc oczu zwrócić ku szlachetnie urodzonej twarzy, wlepiał je bezpiecznie we własne stopy. Wiedział, że z najdrobniejszego rozdrażnienia, jakie w kimś wzbudzi, mogą buchnąć płomienie, które pochłoną jego rodzinę.

Całe szczęście, że kiedy poruszano problem jałowych łon, większość przedstawicieli wyższych kast chętnie uderzała w filozoficzne tony i na tym się kończyło. Za oczywistość uważali, że świat przechodzi przez kalijugę^[46], Wiek Ciemności, a żony bez synów nie były jedyną aberracją kosmicznego porządku.

– Wspomnijcie niedawną suszę – powiadali. – Nadeszła, chociaż odprawiliśmy wszystkie odpowiednie pudże^[47]. Kiedy spadają deszcze, woda leje się dzikimi strumieniami. Przypomnijcie sobie powódzie i chaty, które zmyło. A pamiętacie dwugłowe cielę w sąsiednim dystrykcie?

Nikt w wiosce nie widział dwugłowego cielęcia, bowiem odległość była znaczna i nie dało się obrócić w obie strony tak, by przed zapadnięciem zmroku znaleźć się z powrotem pod bezpiecznym dachem własnej chaty. Wszyscy jednak słyszeli o narodzinach monstrum.

– Tak, tak – przyznawali. – Panditowie^[48] mają całkowitą rację. Przyczyną naszych kłopotów jest kalijuga.

Jako remedium panditowie doradzali wzmożoną czujność w przestrzeganiu zasad dharmy^[49]. Wszystko ma wyznaczone miejsce na tym świecie i dopóki każdy trzyma się własnej pozycji, mogą być spokojni, że przetrwają i bez szwanku przejdą przez Mrok Kalijugi. Lecz gdyby doszło do wykroczeń – gdyby skalano panujący ład – wówczas nie sposób przewidzieć, jakie nieszczęścia mogłyby spaść na wszechświat.

Gdy zgodzono się w tej materii, w wiosce gwałtownie wzrosła liczba chłost wymierzanych niedotykalnym. Thakurowie^[50] i panditowie starali się doprowadzić świat do ładu za pomocą bicia. Zbrodnie bywały rozmaite i świadczyły o wyobraźni: jakiś bhangi^[51] miał czelność zezwolić swym nieczystym oczom, by spotkały się z oczami bramina; pewien ćamar szedł po niewłaściwej stronie drogi świątynnej i tym samym zbrukał ją; inny zabłąkał się w okolicy miejsca, w którym odprawiano pudżę i dopuścił, by jego niegodne uszy pochwyciły ukradkiem święte słoki^[52]; dziewczynka z kasty bhangi po zakończeniu pracy na podwórku thakurów nie dość starannie zatarła ślady swoich stóp odcisnięte w pyłe – jej tłumaczenie, że miotła była do szczytu zużyta uznano za niedopuszczalne.

Skóra Dukhiego także ucierpiała nieco w zmaganiach o wyrwanie wszechświata z uścisków Ciemności. Wezwano go, by doglądał wypasu stadka kóz. Tego dnia ich właściciel wybierał się poza wioskę.

– Uważaj na nie – powiedział mu. – Zwłaszcza na tego kozła ze złamanym rogiem i długą brodą. To prawdziwy szatan.

Za pracę obiecano mu szklankę koziego mleka.

Dukhiemu ranek upłynął na pilnowaniu stada i wyobrażaniu sobie, jaką przyjemność sprawi mleko Ishvarowi i Narayanowi. Lecz gdy dzień mijał i nastał popołudniowy skwar, zasnął. Poszukujące paszy zwierzęta zabłąkały się na teren sąsiada. Kiedy wieczorem wrócił właściciel kóz, Dukhi zamiast szklanki mleka dostał baty.

Cena była niska, myślał sobie, jeśli zważyć, jakie konsekwencje mogły go spotkać, gdyby gospodarzowi przyszła taka zachcianka. Tamtej nocy Roopa wymknęła się z chaty, by ukraść masło i przyłożyć je do wybroczyn na plecach i ramionach jej męża.

Masło Roopa kradła bez najmniejszego wahania. Tak naprawdę nie uważała tego nawet za kradzież. Bądź co bądź czyż sam bóg Kryszna nie oddawał się stale temu zajęciu, przed wiekami, za swoich młodych lat w Mathurze^[53]?

•

Kiedy jego synowie osiągnęli odpowiedni wiek, Dukhi zaczął ich uczyć fachu, do którego byli przykuci od urodzenia. Ishvar miał siedem lat, kiedy zaprowadzono go po raz pierwszy do martwego zwierzęcia. Narayan też chciał iść, ale Dukhi orzekł, że nie przyszedł jeszcze czas na niego, że jest na razie za mały. Przyrzekł chłopcu, że będzie mu wolno pomóc przy takich zadaniach, jak zaszalenie skóry, usuwanie tępych nożem włosów i strzępów zgniłego mięsa i zbieranie owoców amalaki^[54] do garbowania skóry. To pocieszyło Narayana.

Dukhi i Ishvar przybyli w towarzystwie kilku innych ćamarów do gospodarstwa Thakura Premjiego, skąd zaprowadzono ich na pole, gdzie leżał bawół. Czapla przysiadła na ciemnym pagórku jego ścierwa i wydziobywała insekty ze skóry. Kiedy mężczyźni podeszli, odleciała. Nad zwierzęciem bzycały roje much.

– Nie żyje? – spytał Dukhi.

– Oczywiście, że nie żyje – odparł Thakur. – Zdaje ci się, że stać nas na rozdawanie żywego bydła?

Kręcąc głową i pomrukując coś na temat głupoty niedotykalnych, odszedł, zostawiając ich, by zajęli się pracą.

Dukhi i jego towarzysze podstawili wózek od strony zadu zwierzęcia. Z platformy wózka opuszczono pod kątem drewnianą deskę; jej drugi koniec dotykał bawołu. Pochwycili go za nogi i cal po calu zaczęli windować w górę, polewając drewno, by cielsko stawiało nieco mniejszy opór.

– Hej! – zawołał jeden z nich. – On żyje, oddycha!

– Nie tak głośno, Chhotu, bo nie pozwolą nam go zabrać – powiedział Dukhi. – Zresztą i tak już prawie zdechł, najwyżej parę godzin mu zostało.

Na nowo podjęli pracę, pocąc się i stękając, a Chhotu kłął Thakura pod nosem.

– Zakłamany sukinsyn, przez niego musimy się tak urobić. Łatwiej byłoby zarznąć zwierzę tutaj, zedrzeć skórę i poćwiartować je na kawałki.

– Racja – przyznał Dukhi. – Ale przecież szlachetnie urodzony pan zasraniec nie może do tego dopuścić. Skalalibyśmy jego czystą ziemię.

– Szlachetnie urodzony to jest tylko jego mały, mięsożerny land^[55] – odparł

Chhotu. – Co noc karmi go w szlachetnie urodzonej ćut^[56] swojej żony.

Mężczyźni zarechotali i ponowili wysiłki.

– Ktoś mówił, że widuje go raz w tygodniu w miasteczku. Wcina kurczaki, baraninę, wołowinę, czego dusza zapagnie – dorzucił jeden.

– Oni wszyscy tacy – powiedział Dukhi. – Wegetarianie na pokaz, a po kryjomu to mięchem się obżerają. Dawaj, popychaj!

Ishvar przysłuchiwał się z uwagą rozmowie mężczyzn i wspierał ich małymi rączkami, a oni zachęcali go.

– Teraz nam się uda! Pchaj, Ishvar, pchaj! Mocniej!

Wtem, wśród żartów, przekleństw i zaczepek, bawół odzyskał przytomność i ostatni raz zarzucił łbem, po czym skonał. Dorośli krzyknęli ze zdziwieniem i odskoczyli, by uniknąć uderzenia rogów. Ale koniuszek jednego z rogów zahaczył o lewy policzek Ishvara i ogłuszył go. Chłopiec stracił przytomność.

Dukhi chwycił go w ramiona i ruszył pędem w stronę chaty. Jego nogi połykały dystans łapczywymi kęsami. Cień ich złączonych sylwetek, skarłały w słońcu południa, wiernie trzymał się jego pięt. Pot ciekł mu z czoła, skrapiając twarz dziecka. Ishvar poruszył się, wysunął język i oblizwał z ust ojcowską sól. Dukhi odetchnął, pokrzepiony znakiem życia.

– Hai Bhagwan^[57]! – zakrzyknęła Roopa na widok zakrwawionego syna. – Co zrobiłeś mojemu synowi, ojcze Ishvara! Po co było go brać ze sobą! Taki mały chłopiec! Nie mogłeś poczekać, aż będzie starszy?

– Ma siedem lat – odrzekł Dukhi cicho. – Mój ojciec zabrał mnie, jak miałem pięć.

– To ma być powód? A jakbyś, mając pięć lat, został ranny i zginął, to też byś zabrał swojego syna do pracy?

– Gdybym zginął, mając pięć lat, nie miałbym syna – powiedział Dukhi jeszcze ciszej.

Wyszedł na zewnątrz, by nazbierać gojących rany liści, i posiekał je bardzo drobno, prawie na maź. Potem wrócił do pracy.

Roopa przemyśla ranę i obłożyła ją ciemnozieloną maścią. To uczyniwszy, uspokoiła się, a jej wściekłość na Dukhiego zelżała. Przywiązała do ramion synka ochronne amulety, gdyż wywnioskowała, że to zły urok rzucony przez bramniki był przyczyną krzywdy Ishvara.

Bezdzietne kobiety także poczuły się pokrzepione: świat wracał do ładu; niedotykalny chłopiec nie miał już ładnej buzi, był oszpecony – czyli tak, jak trzeba.

Dukhi wrócił do domu wieczorem i zasiadł w kącie na podłodze, gdzie jadał posiłki. Ishvar i Narayan wtulili się w niego, wdychając z przyjemnością zapach dymu z biri, który trzymał się jego oddechu i na chwilę rozpraszał zaduch skór,

taniny i zwierzęcych wnętrzności. Roopa wałkowała świeżo zagniecione ciasto. Woń pieczonych ćapati^[58] sprawiła, że poczuli się głodni.

Po kilku dniach jątrzenia rana zaczęła się goić i wkrótce zniknęły powody do obaw. Jednak na skutek urazu część twarzy Ishvara zastygła nieruchomo. Dukhi starał się to zbagatelizować.

- Bóg chciał, aby mój syn płakał o połowę mniej niż inni śmiertelnicy. Wolał pominąć fakt, że Ishvar również uśmiechał się połową twarzy.

•

W roku, w którym Ishvar skończył dziesięć lat, a Narayan osiem, spadły obfite deszcze. Dukhi biedował podczas monsunowych miesięcy, zebrząc o wiązki słomy do załatania przeciekającej strzechy. Pola podniosły się po suszy i bydło rosło zdrowe. Dukhi na próżno czekał, aż zwierzęta zdechną i udostępnią swoje skóry.

Znakomita pogoda trwała, zwiastując zamindarom obfite plony, lecz dla bezrolnych niedotykalnych był to ponury okres. Praca dla nich miała się znaleźć z nadejściem żniw, ale do tego czasu byli zdani na jałmużnę lub harówkę, którą właściciele ziemscy rzucali im wedle własnego uznania jak okruchy ze stołu.

Po kilku beczynnych dniach Dukhi był wdzięczny, kiedy Thakur Premji posłał po niego. Zaprowadzono go za dom, gdzie leżał wór suszonych czerwonych papryczek chili przeznaczonych do zmielenia na proszek.

- Uporasz się z tym do zachodu słońca? – spytał Thakur Premji. – A może powinienem wezwać jeszcze kogoś?

Dukhi nie miał ochoty dzielić z nikim mizernego wynagrodzenia, jakie by ono nie było.

- Proszę się nie martwić, Thakur-dzi. Wszystko będzie gotowe, zanim słońce zniknie.

Wypełnił masywny kamienny móżdziej papryczkami i wybrał sobie jeden z trzech długich, ciężkich tłuczków, które leżały obok. Z wigorem przystąpił do ucierania, co i rusz uśmiechając się do Thakura, który przystanął na chwilę obok, żeby się poprzyglądać.

Gdy odszedł, Dukhi zwolnił. Szybki rytm dało się zachować jedynie, gdy przy móżdzierzu pracowały trzy osoby, na przemian uderzające tłuczkami. Kiedy nadeszła pora obiadu, miał już za sobą pół worka i przerwał, by się posilić. Rozejrzał się, czy nikt nie patrzy, sięgnął do móżdzierza i posypał swój ćapati szczyptą rozartego chili. Zdążył w ostatniej chwili, bo Thakur właśnie przysłał parobka z bańką wody.

Nadeszło późne popołudnie i worek był już prawie pusty, kiedy zdarzył się wypadek. Tłuczek spadał i odbijał się przez cały dzień, gdy ni stąd, ni zowąd

moździerz rozpadł się na dwoje i obie połówki przewróciły się na ziemię. Jedna z nich wylądowała na lewej stopie Dukhiego i zmiażdżyła ją.

Żona Thakura wyglądała przez kuchenne okno.

– Mężu mój! Chodź prędko! – rozdarła się. – Ten osioł ćamar zniszczył nasz moździerz!

Jej wrzaski przebudziły Thakura Premjiego, który drzemał pod markizą obok drzwi frontowych, kołysząc w ramionach śpiącego wnuka. Oddał dzieciątko służącemu i pobiegł na tyły domu. Dukhi siedział na ziemi i usiłował opatrzeć krwawiącą stopę skrawkiem płótna, który zwykle nosił zawinięty wokół głowy jak niski turban.

– Co żeś uczynił, bezrozumne zwierzę! Czy na to cię najmowałem?

Dukhi podniósł wzrok.

– Proszę mi wybaczyć, Thakur-dzi, to nie moja wina. Kamień musiał być pęknięty.

– Kłamca! – gospodarz uniósł groźnie laskę. – Najpierw niszczysz moździerz, a teraz na dokładkę mnie okłamujesz! Jeśli nic nie zrobiłeś, to jak pękł? Duża misa z twardego kamienia! Czy to szkło, żeby się miało kruszyć ot tak samo z siebie?

– Klnę się na głowy moich dzieci – błagał Dukhi. – Ja tylko rozcierałem chili, tak jak przez cały dzień. Proszę spojrzeć, Thakur-dzi, worek jest prawie pusty...

– Wstawaj! Natychmiast wynoś się z mojej ziemi! Nie chcę cię więcej widzieć!

– Ale Thakur-dzi, moja praca...

Thakur uderzył Dukhiego laską przez plecy.

– Wstawaj, powiedziałem! Wynocha!

Dukhi podniósł się i, utykając, cofnął poza zasięg kija.

– Thakur-dzi, proszę się zlitować, tyle dni nie było pracy, ja nie...

Thakur zamachnął się wściekle.

– Słuchaj, ty psie śmierzący! Zniszczyłeś moją własność, a ja puszczam cię wolno! Gdybym nie był takim litościwym głupcem, oddałbym cię za tę zbrodnię w ręce policji. A teraz precz! – nadal wymachiwał laską.

Dukhi próbował się uchylić, ale zraniona stopa utrudniała szybkie ruchy i kilka ciosów dosięgło go, zanim wysliznął się za bramę. Pokuśtykał do domu, wyklinając Thakura i jego potomstwo.

•

– Zostaw mnie – syknął w odpowiedzi na bojaźliwe pytania Roopy. Gdy nie ustępowała, czepiając się jego ubrania i błagając, by pozwolił jej obejrzeć zranioną stopę, uderzył ją. Zły i upokorzony, przez cały wieczór w milczeniu siedział w chacie. Ishvar i Narayan byli wystraszeni; nigdy wcześniej nie widzieli ojca w takim stanie.

Później pozwolił Roopie przemyć i opatrzyć ranę, ale nadal nie chciał mówić.

– Ulży ci, jak mi powiesz – rzekła mu żona.

Po upływie dwóch dni opowiedział jej, a gorycz kipiała z niego jak śmierdzący wysięk ze zranionej stopy. Nie przejął się, gdy oberwał za kozy, które poszły w szkodę. Zasnął, to była jego wina. Ale tym razem nic nie zawinił. Pracował ciężko cały dzień, a mimo to zbito go i okradziono z zapłaty.

– A na dodatek mam rozwaloną nogę – powiedział. – Chętnie zabiłbym tego parszywego Thakura. Złodziej z niego. Wszyscy oni tacy. Traktują nas jak zwierzęta. Zawsze tak było, od niepamiętnych czasów.

– Ćśśś – uspokajała Roopa. – Chłopcy nie powinni tego słuchać. To był po prostu pech, że mózdzierz pękł.

– Pluję w ich szlachetnie urodzone gęby. Od dziś nie potrzebuję ich żalonych robót.

Kiedy rana się zagoiła, Dukhi odwrócił się od wioski. Wyruszył o świcie. Łapiąc okazję na wozach zaprzężonych w woły i ciężarówkach, dotarł do miasteczka przed południem. Wybrał skrzyżowanie, opodal którego nie było żadnych innych szewców. Rozłożył wokół siebie półkolistie kopyto, szydło, młotek, gwoździe i skórzane łątki, zasiadł na chodniku i czekał na obuwie do naprawienia.

Obok niego defilowały trzewiki, mokasyny i pantofle o różnych kształtach i kolorach, które intrygowały go i niepokoiły. Czy podoła naprawie, jeśli któryś z nich postanowi się zatrzymać? Wszystko to wydawało się bardziej złożone od prostych sandałów, do jakich nawykł.

Po krótkim czasie ktoś przystanął przed Dukhim, strząsnął sandał z prawej nogi i dużym paluchem wskazał na zerwane poprzeczne paski.

– Ile za naprawę?

Dukhi podniósł i obrócił sandał.

– Dwie any^[59].

– Dwie any? Oszalałeś? To już równie dobrze mogę sobie kupić nową parę, zamiast płacić dwie any takiemu szewczynie jak ty.

– Are, sahibie, kto wam da nowe sandały za dwie any?

Potargowali się nieco i stanęło na jednej anie. Dukhi poskrobał podeszwę, by odsłonić rozcięcia z resztkami szwów. Brud oblaził szerokimi, płaskimi płatami. Dukhi uznał, że nie ma różnicy między miejskim i wiejskim brudem – wyglądały i pachniały tak samo.

Wsunął rzemyki w rozcięcie i zabezpieczył rządkiem nowych szwów. Przed przymierzeniem sandała mężczyzna szarpnął parokroć za naprawiony pasek. Przeszedł się parę kroków na próbę, pokręcił palcami u stóp, chrząknięciem wyraził aprobatę i zapłacił.

Sześć godzin i pięciu klientów później nadeszła pora, by ruszać w powrotną

drogę. Za zarobione pieniądze Dukhi dokonał kilku sprawunków – nieco mąki, trzy cebule, cztery kartofle, dwie zielone papryczki chili – a potem zaczął iść gościńcem wiodącym w stronę domu. Ruch był mniejszy niż rano. Długo maszerował, nim złapał okazję. Gdy dotarł do wioski, noc już zapadła, a Roopa i chłopcy czekali na niego z niepokojem.

•

Dukhi spędził kilka dni na rogu ulicy. Raz, siedząc na chodniku, zobaczył, jak długimi krokami sady ku niemu jego przyjaciel Ashraf.

– Nie wiedziałem, że naprawiasz buty w mojej dzielnicy – powiedział Ashraf zdziwiony.

Był jedynym muzułmańskim krawcem w miasteczku. Miał tyle lat co Dukhi i to do niego Dukhi przychodził przy rzadkich okazjach, gdy mógł kupić coś Roopie albo dzieciom – krawiec-hindus nie szył dla niedotykalnych.

Posłyszawszy o niedolach Dukhiego w wiosce, Ashraf zapytał:

– Chciałbyś spróbować czegoś innego? Gdzieś, gdzie może lepiej płacą?

– Gdzie?

– Chodź ze mną.

Zebrał swoje narzędzia i pośpieszył z Ashrafem. Przeszli na drugą stronę miasteczka, przez tory kolejowe, do składu drewna. Tam Dukhi poznał wuja Ashrafa, który kierował warsztatem.

Odtąd na Dukhiego zawsze czekała praca w składzie: czasem ładował i rozładowywał ciężarówki, innym razem dostarczał przesyłki. Chodził wyprostowany wśród innych mężczyzn, podnosił i dźwigał ciężary – praca ta odpowiadała mu znacznie bardziej niż kucanie cały dzień na chodniku i prowadzenie rozmów ze stopami obcych przechodniów. Do tego woń świeżego drewna stanowiła miłą odmianę od smrodu brudnego obuwia.

Pewnego ranka, gdy Dukhi zmierzał do składu drewna, na drodze panował spory ruch. Ciągnięty przez wołu wózek, na którym jechał, tonął w tumanach kurzu. Co i rusz musiał zjeżdżać na pobocze, a raz, kiedy mijał ich autobus, omal nie wylądował w rowie.

– Co tu się dzieje? – spytał Dukhi woźnicę. – Dokąd oni wszyscy jadą?

Tamten wzruszył ramionami i skupił się na wyprowadzaniu wołu na drogę. Jego kijek nie przyniósł efektu, więc dwaj mężczyźni zeskoczyli z wozu, by pomóc zwierzęciu.

Gdy wjeżdżali do miasteczka, Dukhi spostrzegł, że ulice są przystrojone flagami i plakatami. Posłyszał, że z wizytą przyjechało paru przywódców Indyjskiego Kongresu Narodowego. Zaszedł do Ashrafa, by mu o tym powiedzieć, i postanowili przyłączyć się do tłumów.

Przywódcy rozpoczęli swoje przemowy. Mówili, że przyjechali, aby głosić naukę Mahatmy o walce wyzwolenczej, walce o sprawiedliwość.

– Zbyt długo już jesteśmy niewolnikami we własnym kraju. Nadszedł czas, by stanąć do walki o wolność. Do tej walki nie potrzeba nam karabinów ani mieczy. Nie potrzeba nam ostrych słów ani nienawiści. Prawda i ahinsa^[60] pozwolą nam przekonać Brytyjczyków, że to pora, aby odeszli.

Tłum odpowiedział owacją, a mówca ciągnął:

– Zgodzicie się ze mną, że aby zrzucić jarzmo niewolnictwa, musimy być silni. Nikt nie może temu zaprzeczyć. A tylko człowiek prawdziwie silny może posługiwać się potęgą prawdy i ahinsy. Lecz jak mamy stać się silni, gdy pośród nas pleni się choroba? Najpierw musimy pozbyć się choroby, która toczy ciało naszej ojczyzny. Spytacie może: „Jaka to choroba?”. Tą chorobą, bracia i siostry, jest idea niedotykalności, która niszczy nas od stuleci i odbiera godność ludziom, którzy są nam braćmi. Tę chorobę trzeba wykorzenić z naszego społeczeństwa, z naszych serc i z naszych umysłów. Nikt nie jest niedotykalny, bowiem wszyscy jesteśmy dziećmi jednego Boga. Przypomnijcie sobie, co mówi Gandhi-dźi: niedotykalność zatruwa hinduizm tak jak kropla arszeniku zatruwa mleko.

Następnie inni mówcy przemawiali do tłumu na temat spraw związanych z walką niepodległościową. Opowiadali o tych, którzy z honorem odsiadywali wyroki za nieposłuszeństwo obywatelskie, za odmowę przestrzegania niesprawiedliwych praw. Dukhi i Ashraf zostali do samego końca, kiedy to przywódcy zwrócili się do tłumu, by poprzysiągł usunąć wszelkie uprzedzenia kastowe ze swoich myśli, czynów i słów.

– Niesiemy tę naukę do całego narodu i wszędzie prosimy ludzi, by jednoczyli się w walce przeciw podłemu systemowi bigoterii i zła.

Tłum złożył przysięgę, którą im nakazał Mahatma, z entuzjazmem powtarzając jej słowa. Wiec dobiegł końca.

– Zastanawiam się – rzekł Dukhi do Ashrafa – czy zamindarowie w naszych wioskach oklaskivaliby mowę o usuwaniu systemu kastowego.

– Klaskaliby, a potem robili po staremu – odparł Ashraf. – Szatan skradł ich poczucie sprawiedliwości: nic nie widzą i nic nie czują. Za to ty powinienes porzucić wioskę i sprowadzić tu swoją rodzinę.

– A gdzie byśmy mieszkali? Tam przynajmniej mamy chatę. Poza tym moja rodzina mieszka tam od zawsze. Jak mogę zostawić tę ziemię? Niedobrze jest odchodzić daleko od rodzinnej wioski. Człowiek zapomina, kim jest.

– Racja – zgodził się Ashraf. – Ale chociaż przyślij tu na krótko swoich synów. Niech nauczą się fachu.

– W wiosce nie pozwolą im go wykonywać.

Jego pesymizm niecierpliwił Ashrafa.

– Świat się zmieni. Słyszałeś, co mówili tamci faceci na wiecu. Przyślij mi swoich synów, nauczę ich szyć u siebie w zakładzie.

Oczy Dukhiego rozbłysły przez chwilę, gdy wyobrażał sobie obiecującą przyszłość.

– Nie – odrzekł. – Lepiej zostać tam, gdzie nasze miejsce.

•

Nadeszły żniwa i Dukhi przestał jeździć do składu drewna. Osłabło w nim postanowienie, by trzymać się z dala od właścicieli ziemskich, bowiem droga do miasteczka była daleka, a transport zawodny. Przed świtem wyruszał na pola, by zbierać zboże, a do rodziny wracał po zmierzchu, z obolałym grzbietem i mnóstwem nowin z okolicznych wiosek, za którymi się stęsknił w ciągu ostatnich miesięcy.

Były to wieści tego samego rodzaju jak te, których wysłuchiwał wieczór w wieczór będąc dzieckiem; zmieniły się tylko imiona. Sita szła po stronie ulicy przeznaczonej dla wyższych kast – ukamienowano ją za to, choć nie na śmierć; wymierzanie kary wstrzymano po pierwszej krwi. Gambhir miał mniej szczęścia; wlano mu do uszu roztopiony ołów, ponieważ znalazł się w zasięgu głosu od świątyni w czasie, gdy odprawiano modły. Dayaram zerwał umowę nakazującą mu orać pole jednego z właścicieli ziemskich, za co zmuszono go, by jadł ekskrementy tamtego na wioskowym rynku. Dhiraj usiłował z góry ustalić z Panditem Ghanshyamem zapłatę za porąbanie drzewa, zamiast zadowolić się kilkoma szczapami, na jakie mógł liczyć na koniec dnia. Pandit się zdenerwował, oskarżył Dhiraję, że otruił mu krowy, i doprowadził do powieszenia go.

Dukhi tyrał w polu, praca przy skórach trafiała się rzadko, a tymczasem jego synowie nie mieli zajęcia. Roopa wyszukiwała im robotę, posyłając ich na poszukiwanie drewna opałowego. Czasami trafiały im się placki krowiego łajna, o które nikt się w porę nie zatroszczył, lecz zdarzało się to nieczęsto, ponieważ właściciele krów gorliwie zbierali ten cenny towar. Roopa nie używała łajna na opał, wolała rozsmarować je równo przy wejściu do chaty. Gdy po wyschnięciu stawało się twarde i gładkie, przez pewien czas mogła cieszyć się progiem mocnym jak terakota, jak podwórka przed domami właścicieli bydła.

Mimo swoich zadań chłopcy mieli wiele wolnych godzin, by uganiać się nad rzeką albo ścigać dzikie króliki. Wiedzieli dokładnie, na co pozwala i czego zabrania im ich kasta. Instynkt i podsłuchane rozmowy starszych wytyczyły w ich świadomości granice równie wyraźne jak kamienne mury. Mimo to matka obawiała się, że wpadną w tarapaty. Nie mogła się doczekać, aż mężczyźni skończą młócić i wiązać zboże, a chłopcy znów zasiądą do pracy pod jej okiem, przesiewając plewy w poszukiwaniu zbląkanego ziarna.

Czasem bracia spędzali ranek koło wiejskiej szkoły. Słuchali, jak dzieci z wyższych kast recytują abecadło i śpiewają piosenki o kolorach, liczbach i monsunie. Jazgotliwe głosy wylatywały za okno jak stadka wróbli. Później, schowani wśród drzew nad rzeką, próbowali powtarzać z pamięci to, co śpiewały dzieci w szkole.

Jeśli ciekawość ściągnęła Ishvara i Narayana zbyt blisko i zostali wypatrzeni przez nauczyciela, ten natychmiast odpedzał ich:

– Bezwstydne małe osły! Wynocha stąd albo porachuję wam kości!

Ale Ishvar i Narayan mieli sporą wprawę w szpiegowaniu szkolnych zajęć. Potrafili podkraść się dość blisko, by słyszeć skrzypienie kredy na tabliczkach.

Kreda i tabliczki fascynowały ich. Pragnęli trzymać w dłoniach białe patyczki, kreślić białe zawijaski jak inne dzieci, rysować obrazki chat, krów, kóz i kwiatów. To było jak czary, człowiek sprawiał, że przedmioty pojawiały się znikąd.

Pewnego ranka, kiedy Ishvar i Narayan ukryli się za kępą krzaków, uczniów wyprowadzono na dziedziniec przed szkołą, by ćwiczyli taniec na święto z okazji dożynek. Niebo było bezchmurne, a z położonych w oddali pól dobiegały strzępy pieśni. Melodie robotników niosły w sobie rozdzierający ból ich umęczonych pleców i skóry skwierczącej na słońcu. Ishvar i Narayan nasłuchiwali głosu ojca, ale nie byli w stanie rozróżnić pojedynczych nici splatających się w chór.

Dzieci wzięły się za ręce i uformowały dwa koncentryczne koła, obracające się w przeciwnych kierunkach; stopy miały bose. Zabawy było z tego mnóstwo, ponieważ niektóre dzieci zakreślały zbyt późno, co powodowało ogólny zamęt i płątaninę.

Ishvar i Narayan przyglądali się przez chwilę, po czym nagle zdali sobie sprawę, że szkoła stoi pusta. Okrążyli podwórko na czworakach, aż znaleźli się za budynkiem i weszli do środka przez okno.

W jednym rogu stały w schludnych szeregach buty uczniów; w drugim, koło tablicy – ich śniadaniówki. Zapach jedzenia mieszał się z zapachem kredowego pyłu. Chłopcy podeszli do szafki, w której przechowywano tabliczki i kredę. Wzięli po jednej i zasiedli na podłodze ze skrzyżowanymi nogami, opierając tabliczki na udach, jak to nieraz widzieli w wykonaniu dzieci. Nie wiedzieli jednak za bardzo, co począć dalej. Narayan czekał, aż starszy brat zacznie.

Ishvar był nieco zdenerwowany, bał się, co może się zdarzyć, jego kreda zawisała nad tabliczką. Ostrożnie opuścił ją i nakreślił linię, a potem następną i jeszcze jedną. Uśmiechnął się promiennie do Narayana – tak łatwo było wykonać własny znak!

Teraz przyszła kolej na Narayana – drżącymi z emocji palcami narysował krótką, białą kreskę i zaprezentował ją z dumą. Nabrawszy animuszu, porzucili linie proste i zaczęli wypełniać tabliczki pętlami, łukami oraz bazgrołami

dowolnych kształtów i rozmiarów, przerywając jedynie po to, by podziwiać je i zachwycać się swobodą, z jaką mogli tworzyć, potem wymazywać ruchem dłoni, a następnie znowu tworzyć, wedle upodobania. Kredowy pył na palcach także ich rozbawił – można nim było kreślić na czole śmieszne, grube kreski, zupełnie jak znaki kastowe braminów.

Podeszli znowu do szafki, by obejrzeć pozostałe skarby. Rozwijali plansze z abecadłem, otwierali książki z obrazkami. Pograżeni w zakazanym świecie nie zauważyli, że taniec na dziedzińcu ustał i nie posłyszeli nauczyciela, który podkraść się do nich od tyłu. Chwytał ich za uszy i wywlekał na zewnątrz.

– A, ćamarskie łajdaki! Tacy odważni się zrobiliście? Macie czelność wchodzić do szkoły?

Wykręcił im uszy, aż zaczęli skowyczeć z bólu i płakać. Uczniowie bojaźliwie zbili się w gromadkę.

– Tego was rodzice uczą? Kalać narzędzia nauki i wiedzy? Odpowiadać! Tego was uczą?

Puścił ich uszy, by wymierzyć piekące ciosy w głowę, potem znów złapał za nie.

– Nie, proszę pana – odpowiedział Ishvar, szlochając.

– To coście tu robili?

– Chcieliśmy tylko popatrzeć...

– Popatrzeć się zachciało! No to teraz wam pokażę! Pokażę wam moją rękę!

Trzymając Narayana, wymierzył Ishvarowi sześć szybkich policzków, jeden za drugim, potem tyle samo razy uderzył jego brata.

– Co macie na czołach, bezwstydne kreatury? Takie bluźnierstwo!

Spoliczkował ich znowu, aż rozbolała go ręka.

– Przynieś różgę z szafy – rozkazał jednej z dziewczynek. – A wy dwaj: ściągać spodnie. Niedotykalni! Już ja was nauczę zabaw z rzeczami, których wam nie wolno dotykać.

Podano mu trzcinkę. Nauczyciel polecił czterem starszym uczniom, by rozciągnęli intruzów na podłodze, twarzą do ziemi, trzymając ich za ręce i nogi. Rozpoczął chłostę, wymierzając ciosy to jednemu, to drugiemu. Patrzące z boku dzieci wzdrygały się za każdym razem, gdy różga spadała na nagie pośladki. Jeden chłopczyk zaczął płakać.

Każdy otrzymał po tuzin uderzeń.

– To będzie dla was nauczka – powiedział nauczyciel, dysząc. – A teraz wynocha i więcej nie pokazujcie tu swoich nieczystych twarzy.

Ishvar i Narayan popędzili przed siebie, komicznie potykając się i płacząc we wlokących się po ziemi spodniach. Dzieci zachichotały, wdzięczne za ulgę, której im ten widok dostarczył.

•

Dopiero wieczorem Dukhi dowiedział się o karze wymierzonej jego synom. Ponurym głosem powiedział Roopie, by wstrzymała się z pieczeniem ćapati.

– Dlaczego? – spytała tknięta obawą. – Nie jesteś głodny po całym dniu w polu? Dokąd idziesz?

– Do Pandita Lallurama. On musi coś z tym zrobić.

– Zostaw to na razie – prosiła. – Nie przeszkadzaj tak ważnemu człowiekowi w porze kolacji.

Ale Dukhi zmył z rąk całodzienny kurz i poszedł.

Pandit Lalluram nie był pierwszym lepszym braminem, lecz braminem z kasty *ćitpawan*^[61] – potomkiem najczystszych spośród czystych, powierników Świętej Wiedzy. Nie był ani naczelnikiem wioski, ani urzędnikiem rządowym, lecz równi mu urodzeniem mówili, że budzi w nich bezwzględny szacunek z uwagi na swój wiek, poczucie sprawiedliwości i Świętą Wiedzę zaspuntowaną w dużej, błyszczącej czaszce.

Przedstawiano mu do osądu najróżniejsze spory – o ziemię, wodę i zwierzęta. W jego jurysdykcji leżały także kłótnie rodzinne dotyczące nieposłuszných synowych, upartych żon i chutliwych mężów. Wyśmienite jego kompetencje sprawiały, iż zawsze każdy odchodził zadowolony: ofiara uzyskiwała złudzenie sprawiedliwości, sprawca mógł dalej robić swoje, a Pandit Lalluram w podzięce za swój trud dostawał tkaniny, zboże, owoce i słodczyce od obu stron.

Uczony Pandit służył także z działań na rzecz harmonii między religiami. Na przykład podczas cyklicznych protestów przeciw muzułmanom i ubojowi krów Pandit Lalluram tłumaczył swoim braciom w wierze, że hindus nie powinien potępiać krowożerców. Wyjaśniał, że na muzułmaninie, za sprawą jego wyznania, spoczywa brzemię czterech żon, toteż nieszczęśnik musi jeść mięso, by rozgrzać krew i obsłużyć cztery małżonki – mięsożercą jest zatem z konieczności, nie z zamiłowania do krowiego mięsa lub woli nękania hindusów. Należy mu tedy współczuć i pozostawić go w spokoju, by czynił zadość wymaganiom swej religii.

Nieposzlakowany dorobek Pandita Lallurama przysporzył mu licznych orędowników. Był tak uczciwy i szlachetny – powiadano – że nawet niedotykalny otrzymywał odeń sprawiedliwość. Wprawdzie żaden niedotykalny nie mógł udokumentować tego twierdzenia świadectwem zaczerpniętym z własnej pamięci, lecz nie miało to znaczenia. Ludziom, jak się zdaje, majaczyło wspomnienie o tym, jak pewien właściciel ziemski zatłukł na śmierć bhangiego, który zbyt późno – grubo po wschodzie słońca – zjawił się u niego w domu, by wywieźć ekskrementy domowników. Pandit Lalluram orzekł – a może był to jego ojciec lub dziadek; tak czy owak ktoś orzekł – że wykroczenie było poważne, lecz nie dość poważne, by

wydać wyrok śmierci, i że właściciel ziemski ma w charakterze zadośćuczynienia zapewnić jedzenie, schronienie i przydziewek żonie oraz dzieciom zabitego przez następnych sześć lat. Sześć lat albo sześć miesięcy. A może sześć tygodni?

Ufny w sprawiedliwość człowieka o tak legendarnej reputacji, Dukhi zasiadł u stóp Pandita Lallurama i opowiedział mu o pobiciu Ishvara i Narayana. Uczony mąż właśnie skończył kolację, spoczywał w fotelu i kilka razy beknął donośnie podczas opowieści swego gościa. Dukhi przerywał grzecznie za każdym czknięciem, gdy tymczasem Pandit Lalluram mruczał „Hai Ram” w podzięcie za przewód pokarmowy obdarzony tak witalnymi mocami trawiennymi.

– Tak bardzo pobił moich synów. Gdybyście tylko widzieli ich spuchnięte twarze, Pandit-dzi – powiedział Dukhi. – A z tyłu wyglądają, jakby wściekły tygrys podrapał ich pazurami.

– Biedne dzieci – odparł współczująco Pandit Lalluram. Wstał i podszedł do półki. – Masz, wetrzyj im tę maść w plecy. Ukoi pałacy ból.

Dukhi skłonił głowę.

– Dziękuję, Pandit-dzi, to wielka uprzejmość z waszej strony. – Zsunął z głowy kawałek materiału i zawiązał węń płaskie puzderko. – Pandit-dzi, jakiś czas temu Thakur Premji zbił mnie mocno, choć nie zawiniłem. Ale nie przyszedłem do was. Nie chciałem was trudzić.

Pandit Lalluram uniósł brwi i potarł duży paluch u nogi. Kiwając głową, ugniatał pot i brud w czarne kuleczki, które turlały się spomiędzy jego palców.

– Wtedy cierpiałem w milczeniu – ciągnął Dukhi. – Ale ze sprawą moich dzieci przyszedłem do was. Nie powinny cierpieć niesprawiedliwych razów.

Nadal milcząc, Pandit Lalluram obwąchał dłoń, która skończyła masować paluch u stopy. Uniósł się na jednym pośladku i puścił wiatr. Dukhi odchylił się, by umożliwić swobodny przelot, zastanawiając się, jaka kara może czekać na przestępcę, który stanie na drodze bramińskich gazów.

– To tylko dzieci – przekonywał. – Nie robiły nic złego – przerwał w oczekiwaniu na odpowiedź. – Nie robiły nic złego, Pandit-dzi – powtórzył, chcąc, by uczony mąż chociaż mu przytaknął. – Nauczyciel powinien zostać ukarany za to, co zrobił.

Pandit Lalluram westchnął ciężko i głęboko. Przechylił się na bok i wydmuchał gęstą strugę śluzu z nosa. Pod jej ciężarem z suchej ziemi wzbił się mały obłoczek kurzu. Bramin potarł nos i westchnął ponownie.

– Dukhi Mochi, jesteś dobrym, pracowitym człowiekiem. Znam cię od dawna. Zawsze starasz się przestrzegać obowiązków przypisanych twojej kście, czyż nie?

Dukhi potaknął.

– I słusznie – pochwalił Pandit Lalluram. – Tędy bowiem wiedzie droga do

szczęścia. W przeciwnym razie wszechświat ogarnąłby chaos. Wiesz, że w społeczeństwie istnieją cztery warny^[62]: bramini^[63], kszatrijowie^[64], wajsjowie^[65] i śudrowie^[66]. Każdy z nas należy do jednej z tych czterech warn, a one nie mogą mieszać się ze sobą. Zgadza się?

Dukhi znowu potaknął, skrywając zniecierpliwienie. Nie przyszedł tu wysłuchiwać kazań o systemie kastowym.

– A zatem tak jak ty, rymarz, musisz przestrzegać swojej dharmy względem rodziny i społeczeństwa, tak nauczyciel winien przestrzegać swojej. Chyba temu nie przeczysz, Dukhi?

Dukhi potrząsnął głową.

– Ukaranie twoich synów za ich występki należało do obowiązków nauczyciela. Nie miał wyboru. Rozumiesz?

– Tak, Pandit-dzi, czasem kara jest konieczna. Ale żeby takie straszne lanie?

– Ich wykroczenie również...

– Ale to są tylko dzieci i są ciekawe jak wszystkie...

Na wtręt rozmówcy Pandit Lalluram uniósł oczy w górę i skierował ku niebu palec wskazujący prawej dłoni, by uciszyć Dukhiego.

– Jak mam ci to wyjaśnić? Brak ci wiedzy, która pozwoliłaby ci pojąć znaczenie tych spraw. – Nutę cierpiętniczego spolegliwości zastąpiło teraz coś bardziej szorstkiego. – Twoje dzieci weszły do klasy. Skalały to pomieszczenie. Dotknęły pomocy naukowych. Sprofanowały tabliczki i kredę, których dotykać będą dzieci z wyższych kast. Masz szczęście, że w tamtej szafce nie było żadnej świętej księgi jak *Bhagawadgita*^[67], że nie było tam świętych tekstów. Wówczas kara byłaby bardziej ostateczna.

Dukhi był spokojny, kiedy na pożegnanie dotykał sandałów Pandita Lallurama.

– Wszystko rozumiem, Pandit-dzi. Dziękuję, że mi wyjaśniliście. Mam wielkie szczęście, że wy, bramin *ćitpawan*, marnujecie swój cenny czas na takiego nieuczzonego *ćamara* jak ja.

Pandit Lalluram w zamyśleniu uniósł dłoń na pożegnanie. W jego głowie zakiełkowała drobna wątpliwość: pochlebiano mu czy go obrażano? Teraz jednak kolejne żywiołowe czknięcie z pomrukiem wytoczyło się na powierzchnię, usuwając wątpliwość i kojąc zarówno umysł, jak i brzuch.

Po drodze do domu Dukhi napotkał przyjaciół, którzy palili biri pod drzewem nad rzeką.

– Hej, Dukhi, co cię zagnało do tamtej części wioski o tak późnej porze?

– Poszedłem do bramina *ćitpawan* – odpowiedział Dukhi i zrelacjonował szczegółowo swoją wizytę. – Prędzej powinni na niego mówić bramin *guhawan*^[68].

Uśmiali się serdecznie, a Chhotu przyznał, że Bramin Gównojad to w rzeczy samej trafniejszy przydomek.

– Tylko skąd on ma apetyt, jeśli z każdym posiłkiem pakuje w siebie funt ghi i dwa funty słodczy?

– Dał mi tę maść dla dzieci – powiedział Dukhi.

Puścili puszkę w koło, oglądając uważnie i obwąchując zawartość.

– Mnie to wygląda na pastę do butów – rzekł Chhotu. – Pewnie co rano smaruje tym głowę, dlatego czaszka mu świeci jak słońce.

– Are bhajja^[69], pomyliłeś głowę z dziurą w dupie. To tam nakłada to smarowidło i stamtąd świeci słońce, jak twierdzą jego kastowi bracia. Dlatego te wszystkie gównojady liżą mu tyłek, żeby się tam wśliznąć.

– Mam dla nich radę, kilka uczonych wersetów – powiedział Dayaram i, naśladując egzaltowaną intonację pudźariego^[70] czytającego święte pisma, wyrecytował w udawanym sanskrycie:

– Goluma Ekdama Tadźidewum! Ćuptum Makkama Dźhaptum!

Na te aluzje do sodomii i kopulacji mężczyźni ryknęli śmiechem. Dukhi cisnął puszkę do rzeki i, pozostawiając swym przyjaciołom spekulacje na temat tego, co dokładnie – jeżeli w ogóle coś – kryły zwały tłuszczu na brzuchu Pandita Lallurama, podążył do domu.

Oświadczył Roopie, że nazajutrz rano rusza do miasta.

– Namysliłem się. Porozmawiam z krawcem Ashrafem.

Nie zapytała dlaczego. Jej głowę zaprzętał plan kolejnego nocnego szturm na czyjąś maselnicę, tym razem na użytek pośladek Ishvara i Narayana.

•

Ashraf nie chciał żadnej zapłaty za przyjęcie do terminu synów Dukhiego.

– Przydadzą mi się, pomogą – powiedział. – No a ile może zjeść takich dwóch malców? Podzielimy się tym, co gotujemy dla siebie. Tak będzie dobrze, co? Są jakieś ograniczenia, jeśli chodzi o jedzenie?

– Nie, nic – odrzekł Dukhi.

Dwa tygodnie później wrócił do zakładu krawieckiego z Ishvarem i Narayanem.

– Ashraf jest dla mnie jak brat – wyjaśnił dzieciom. – Macie na niego zawsze mówić ćaća^[71] Ashraf.

Krawiec rozpromienił się z radości, zaszczycony mianem stryja, a Dukhi ciągnął:

– Zostaniecie przez pewien czas z ćaćą Ashrafem i będziecie się od niego uczyć. Słuchajcie uważnie wszystkiego, co wam powie i szanujcie go tak, jak szanujecie mnie.

Już wcześniej przygotował chłopców na rozstanie. Teraz chodziło jedynie o oficjalne ogłoszenie.

– Tak, bapa^[72] – odpowiedzieli chórem.

– Ćaća Ashraf zrobi z was krawców takich jak on. Odtąd nie jesteście już szewcami. Jeśli ktoś was spyta o imię, nie mówcie Ishvar Mochi czy Narayan Mochi. Odtąd nazywacie się Ishvar Darji i Narayan Darji.

Później klepnął każdego w plecy i szturchnął leciutko, jakby tym pchnięciem chciał przekazać ich pod opiekę drugiego mężczyzny. Opuścili miejsce przy boku ojca i podeszli do krawca, który wyciągnął ręce na ich powitanie.

Dukhi patrzył na palce Ashrafa, na ich ciepły uścisk na ramionach dzieci. Ashraf był dobrym i łagodnym człowiekiem i Dukhi wiedział, że jego synowie będą pod dobrą opieką. A mimo to lodowaty ból począł rozpełzać się po jego sercu.

W drodze powrotnej wyczerpany osunął się na wózek ciągnięty przez wołu i prawie nie czuł, jak koła podskakują na koleinach i wybojach, obijając mu kości. Jednocześnie odczuwał dzikie przyływy energii sprawiające, że chciał zerwać się z wózka i biec. Wiedział, że zrobił najlepiej jak mógł dla swoich synów i jakiś ciężar ustąpił. Dlaczego zatem nie czuł tej lekkości? Jakież to brzmie tak go przytłaczało?

Późnym popołudniem zeskoczył z wózka przy drodze wiodącej do wioski. Roopa siedziała beczynnym w chacie, gapiąc się na wejście, kiedy jego cień pojawił się w drzwiach. Powiedział jej, że wszystko załatwione.

Rzuciła mu oskarżycielskie spojrzenie. Był sprawcą pustki w jej życiu, której nic nie mogło wypełnić.

– Ilekroć pomyślę o moich synach – oddalonych o wiele mil, mieszkających z obcym człowiekiem, a do tego muzułmaninem – ból podchodzi mi do gardła i czuję, że się uduszę – powiedziała mężowi, na co on odparł gorzko, że przynajmniej jego muzułmański przyjaciel traktował go lepiej niż bracia hindusi.

•

Pracownia Krawiecka Muzaffar mieściła się na ulicy małych rodzinnych zakładów rzemieślniczych. Był tam sklep żelazny i skład z węglem, byli banija^[73] i młynarz, a wszystkie sklepy stały w jednym ciągu, identyczne pod względem rozmiaru i kształtu, różniące się jedynie odgłosami i zapachami dochodzącymi z wewnątrz. Pracownia Krawiecka Muzaffar jako jedyna posiadała szylt.

Warsztat Ashrafa był ciasny, podobnie jak przestrzeń mieszkalna na piętrze: jeden pokój i kuchnia. Rok wcześniej krawiec ożenił się i miał teraz miesięczną córkę. Jego żona Mumtaz z mniejszym niż on zadowoleniem przyjęła dodatkowe gęby, które z nimi zamieszkały. Postanowiono, że dwaj uczniowie będą spać

w pracowni.

Nagła zmiana w ich życiu wprawiła Ishvara i Narayana w oniemienie. Domy, światło elektryczne, płynąca z kranu woda – wszystko było tak inne niż we wsi, tak zdumiewające. Pierwszego dnia zasiedli jak urzeczeni na kamiennych schodach przed pracownią i patrzyli na ulicę, widząc w niej świat przerażającego chaosu. Stopniowo z tego chaosu wyłoniła się rzeka ruchu ulicznego, a w jej nurcie strugi ręcznych wózków, rowerów, wózków ciągniętych przez woły, autobusów, od czasu do czasu ciężarówek. Pojęli charakter dzikiej rzeki. Poczuli ulgę, że to nie jest wyłącznie szaleństwo i zgiełk; że wszystko ma swój własny porządek.

Obserwowali ludzi przychodzących do baniji po sól, przyprawy, kokosy, fasolę, świece i olej. Widzieli, jak do młynarza zanoszą ziarno na zmielenie na mąkę. W miarę jak młynarz pracował, biel powoli pokrywała mu ręce, czasami także twarz i rzęsy. Wraz z upływem godzin ręce i twarz węglarza barwiły się na czarno; jego gońcy przez cały dzień uwijali się tam i z powrotem z kosztami węgla. Ishvar i Narayan uwielbiali patrzeć, jak ich sąsiedzi myją się wieczorami i spod dziennych barw wynurzają się w kolorze brązu.

Na dwa dni Ashraf pozostawił ich samopas, aż ciekawość samorzutnie pchnęła ich ku pracowni krawieckiej. W centrum ich zainteresowania były oczywiście maszyny do szycia. By ich zadowolić, pozwolił, by na zmianę naciskali pedały, gdy on tymczasem przesuwiał pod igłą skrawki materiału. Bracia byli zachwyceni, że potrafią wprawić maszynę w ruch. Było to równie inspirujące jak rysowanie kredą własnego znaku na tabliczce.

Teraz mogli przejść do mniej podniecających zajęć, takich jak nawlekanie nici czy ręczne szycie. Byli skorzy do nauki i swoją lotnością zaimponowali Ashrafowi. Kiedy w Pracowni Krawieckiej Muzaffar zjawił się następny klient, postanowił powierzyć Ishvarowi zapisywanie wymiarów.

Mężczyzna przyniósł ze sobą pasiasty materiał na koszulę. Ashraf otworzył księgę zamówień na nowej stronie, zanotował imię klienta, po czym rozwinął centymetr krawiecki teatralnym gestem, za którym chłopcy wręcz szaleli. Ku rozbawieniu Ashrafa już zaczęli wprawiać się w nim na osobności.

– Kołnierzyk: czternaście i pół cala – dyktował. – Klatka piersiowa: trzydzieści dwa. – Zerknął na Ishvara, który z wysuniętym językiem w poważnym skupieniu pochylał się nad księgą. – Rękawy. Długie czy krótkie? – ciągnął Ashraf, zwracając się do klienta.

– Długie trzeba dać – powiedział mężczyzna. – Założę ją na ślub przyjaciela.

Gdy formalności dobiegły końca, klient wyszedł, otrzymawszy zapewnienie, że koszula będzie gotowa na ślub w przyszłym tygodniu.

– A teraz przyjrzyjmy się wymiarom – powiedział Ashraf.

Ishvar wręczył mu księgę, uśmiechając się z dumą. Kartkę pokrywały czarne bazgroły i zawijasy.

– Ach, hm, no tak – Ashraf powściągnął konsternację i poklepał chłopca po plecach. – Tak, bardzo dobrze.

Szybko nagryzmolił to, co udało mu się zapamiętać z podanych liczb.

Po kolacji zaczął uczyć ich alfabetu i cyfr. Mumtaz nie była zadowolona.

– Teraz będziesz się z nimi bawić w szkołę? I co dalej? Żon im też poszukasz, jak dorosną?

Nazajutrz skończył koszulę dla weselnika. Mężczyzna przyszedł pod koniec tygodnia i przymierzył ją. Ashraf utrafił ze wszystkim oprócz długości: koszula zwieszała się ku kolanom, niżej, niż było to pożądane. Mężczyzna z powątpiewaniem przejrzał się w lustrze, obrócił się w prawo i w lewo.

– Doskonale, idealnie – podziwiał Ashraf. – Ten północny styl pathani^[Z4] stał się ostatnio bardzo modny.

Mężczyzna wyszedł, wciąż nie do końca przekonany, a cała trójka wybuchła śmiechem.

W miesiąc po tym, jak chłopcy rozpoczęli terminowanie, Ashrafa obudziło w nocy cichutkie popłakiwanie. Uniósł się na łóżku, ale dźwięk ustał. Położył się i zaczął przysypiać.

Kilka minut później ten sam odgłos ponownie jął szturchać jego sen.

– Co się dzieje? – spytała Mumtaz. – Czemu się ciągle budzisz?

– Jakiś hałas. Mała płakała?

– Nie, ale zaraz zaczniesz, jak będziesz tak się rzucać.

Miękki szloch odezwał się znowu.

– To z dołu – wstał z łóżka i zapalił lampę.

– No i po co tam idziesz? Jesteś ich ojcem?

Jeszcze na schodach do pracowni słyszał jej gderanie. Wszedł i uniósł lampę. W jej świetle zobaczył błyszczące od łez policzki Narayana. Przyklęknął na podłodze obok niego i delikatnie nim potrząsnął.

– Co się stało, Narayan? – zapytał, chociaż znał odpowiedź; spodziewał się, że prędzej czy później zatęsknią za domem. – Usłyszałem, jak płaczesz. Boli cię coś?

Chłopiec potrząsnął głową. Ashraf objął go.

– Kiedy twojego ojca tu nie ma, ja go zastępuję. A ćaci^[Z5] Mumtaz jest jak wasza matka, tak czy nie? Możesz nam powiedzieć wszystko.

Na to Narayan rozszlochał się na dobre. Teraz Ishvar też się obudził i przecierał oczy, osłaniając je od światła.

– Wiesz, czemu twój brat płacze? – zapytał Ashraf.

Ishvar poważnie skinął głową.

– Co noc myśli o domu. Ja też o tym myślę, ale nie płacę.

– Dzielny z ciebie chłopiec.

– Ja też nie chcę płakać – odezwał się Narayan. – Ale kiedy robi się ciemno i wszyscy śpią, przypominam sobie ojca i mamę – pociągnął nosem i otarł oczy. – Widzę naszą chatę i robi mi się bardzo smutno, a potem zbiera mi się od tego na płacz.

Ashraf wziął go na kolana i powiedział, że nie ma nic złego w tym, że myśli o rodzicach.

– Ale nie smuć się. Bapa przyjedzie za kilka tygodni i zabierze was w odwiedziny do domu. A kiedy już się nauczycie wszystkiego o szyciu, otworzycie własną pracownię i będziecie zarabiać dużo pieniędzy. Wiesz, jacy dumni będą wasi rodzice?

Powiedział chłopcom, że zawsze, kiedy jest im smutno, mogą przyjść do niego i opowiadać mu o swojej wiosce, rzece, polach, o swoich przyjaciółach. Wspólna rozmowa przemieni smutek w szczęście, zapewnił ich. Położył się koło nich i leżał tak, aż zasnęli. Potem po cichu wdrapał się na górę, przykręciwszy knot w lampie.

Mumtaz siedziała w ciemnościach i czekała na niego.

– Wszystko z nimi dobrze? – zapytała niespokojnie.

Potaknął, pokrzepiony jej troską.

– Czuli się samotni, to wszystko.

– Może od jutra powinniśmy pozwolić im spać na górze.

Jej propozycja wzruszyła go, oczy zaszklily mu się miłością.

– To dzielni chłopcy. Nauczą się spać sami. Muszą być twardzi, dla własnego dobra – powiedział.

•

Wkrótce po wiosce Dukhiego rozeszła się wiadomość, że jego dzieci uczą się fachu innego niż rymarka. Za dawnych czasów wystąpienie z kasty karano śmiercią. Dukhiemu darowano życie, ale stało się ono bardzo ciężkie. Przeszto przekazywać mu padłe zwierzęta i aby znaleźć zajęcie musiał pokonywać długie dystanse. Czasami inni ćamarowie po kryjomu dawali mu skórę; gdyby to wyszło na jaw, znaleźliby się w tarapatkach. Przedmioty, które wyrabiał z nielegalnej skóry, trzeba było sprzedawać w oddalonych miejscach, gdzie nie słyszano o nim i jego synach.

– Ile to cierpienia ściągnąłeś na nasze głowy – narzekała Roopa prawie codziennie. – Nie ma pracy, nie ma jedzenia, nie ma synów. Za jakie zbrodnie spotyka mnie ta kara? Moje życie stało się wiecznym mrokiem.

Lecz w miarę jak zbliżał się dzień wizyty, mrok rzedniał. Marzyła i snuła plany, a pragnienie, by naszykować dla chłopców jakiś smakołyk, koilo ból. Skoro zaś nie było jej stać na zakup owego smakołyku, to – postanowiła twardo – należało

zdobyć go w inny sposób, w ciemności.

Po raz pierwszy od narodzin dzieci Dukhi okazał, że wie o jej nocnych wyprawach i kiedy Roopa wstawiała ukradkiem po północy, odezwał się:

– Posłuchaj mnie, matko Narayana. Myślę, że nie powinnaś iść.

Roopa podskoczyła.

– Aleś mnie nastraszył! Myślałam, że śpisz!

– To głupota tak się narażać.

– Nigdy wcześniej tak nie mówiłeś.

– Wtedy to było co innego. Przecież chłopcy nie umrą z głodu, jeśli nie dostaną masła, brzoskwini czy odrobiny dżaggeri^[76].

Roopa poszła i tak, obiecując sobie, że to ostatni raz. Bądź co bądź jej dzieci spędziły poza domem trzy miesiące, musiała podarować im coś specjalnego.

W ten od dawna wyczekiwany dzień Dukhi wyruszył o świcie i przyprowadził synów do domu na tydzień. Przez całą drogę chłopcy siedzieli tuż koło ojca i nie mogli przestać go dotykać; opierali się o niego każdy ze swojej strony, Narayan trzymał go za kolano, a Ishvar ścisnął jego ramię. Mówili bez przerwy, a kiedy dotarli do domu późnym popołudniem, jeszcze raz powtórzyli wszystko matce.

– Ta maszyna jest niesamowita! – zachwycił się Ishvar. – A duże koło...

– Robi się stopą o tak-tak-tak – wyjaśnił Narayan, trzepotem dłoni naśladując pedał. – A igła skacze w górę i w dół i to jest takie fajne...

– A ja to umiem robić bardzo szybko, ale ćaća Ashraf robi to bardzo, bardzo szybko.

– I małą igłę też lubię i ona tak lekko wchodzi w ubrania i wychodzi i jest bardzo ostra i raz się ukłułem w kciuka.

Matka natychmiast zażądała, by pokazać jej ukłuty kciuk. Przekonawszy się, że uszkodzenia nie są trwałe, pozwoliła, by historia płynęła dalej. Kiedy nadeszła pora kolacji, chłopcy byli wyczerpani i zaczęli przysypiać nad jedzeniem. Roopa otarła im dłonie i usta, potem Dukhi zaprowadził obu na ich maty.

Przez dłuższą chwilę przypatrywali się, jak śpią, potem rozwinęli własne maty.

– Dobrze i zdrowo wyglądają – powiedziała Roopa. – Spójrz na ich policzki.

– Mam nadzieję, że to nie jest jakaś niezdrowa opuchlina – odparł Dukhi. – Tak jak dzieciom w czasie głodu robią się wzdęte brzuchy.

– Co to za bzdury? Matczyny instynkt od razu by mi powiedział, gdyby moje dzieci były niezdrowe.

Roopa rozumiała jednak, że męża boli, iż u obcego człowieka ich dzieci rosą zdrowsze niż we własnym domu; dzieliła z nim ten sam wstyd. Do snu położyli się z mieszanymi uczuciami radości i smutku.

Nazajutrz rano stan rozemocjonowania nie opuszczał członków rodziny. Chłopcy przywieźli z Pracowni Muzaffar centymetr krawiecki, czystą kartkę

i ołówek, i chcieli pomierzyć swoich rodziców. Ashraf nauczył ich kodu służącego do zapisywania ciągle powtarzających się słów, takich jak szyja, talia, klatka piersiowa czy rękaw.

Chłopcy nie sięgali dość wysoko, toteż przy okazji niektórych pomiarów para klientów musiała schylać się lub siadać na podłodze: najpierw matka, potem ojciec. Kiedy zapisywali dane Dukhiego, Roopa zawołała znajomych z okolicznych chat, żeby popatrzyli. Ishvar zawstydził się i uśmiechnął nieśmiało, ale Narayan, rad z okazywanej mu uwagi, teatralnym gestem rozwinął centymetr i przydał swoim ruchom zamaszystości.

Kiedy skończyli, wszyscy zaklaskali z zachwytem. Wieczorem Dukhi pożyczył zapisany skrawek papieru, by pokazać go przyjaciółom pod drzewem nad rzeką. Nosił go ze sobą wszędzie przez resztę tygodnia.

Nadeszła pora, by chłopcy wracali do Pracowni Muzaffar. Myśli rodziców znowu zwróciły się z lękiem ku nieobecności, która wisiała nad ich życiem, unoszą się w ich chacie. Ishvar poprosił ojca o kartkę z wymiarami.

– A mógłbym ją zachować? – spytał Dukhi. Chłopcy rozważyli prośbę ojca, następnie pogrzebali tu i tam w poszukiwaniu kawałka papieru i skopiowali cyfry, a oryginał mu zostawili.

•

Do kolejnych odwiedzin upłynęły trzy miesiące. Tym razem chłopcy przywieźli matce i ojcu prezenty. Ishvar i Narayan zamierzali nabrać rodziców, że po podarki wybrali się do dużego miejskiego domu towarowego, jak bogaci mieszkańcy miasta.

– Co to jest? – spytała skrepowana Roopa. – Skąd mieliście pieniądze?

– Mamo, nie kupiliśmy ich! Sami je zrobiliśmy! – wykrzyknął Narayan, zapominając o psikusie. Rozemocjonowany Ishvar opowiedział, jak ćaća Ashraf pomógł im wybrać i dopasować skrawki materiału pozostałe po zamówieniach klientów. Koszulka dla ojca nie nastreczyła kłopotów; ścinków białej popeliny było mnóstwo. Ćoli^[ZZ] dla matki wymagało nieco więcej zachodu. Przód bluzki tworzyła tkanina drukowana w czerwone i żółte kwiaty. Tył był jednolicie czerwony, rękawy zaś sklecono z próbek w kolorze cynobrowym.

Roopa włożyła ćoli i zalała się łzami. Ishvar i Narayan z niepokojem spojrzeli na ojca, który powiedział, że matka płacze, ponieważ jest szczęśliwa.

– Tak, jestem szczęśliwa! – potwierdziła wśród szlochów. Uklękła przed nimi i przytuliła ich po kolei, a potem obu naraz. Dostrzegła, że Dukhi patrzy na nich i poprowadziła chłopców do niego. – Ojca też uściskajcie – powiedziała. – To bardzo wyjątkowy dzień.

Wyszła z chaty na poszukiwanie sąsiadek.

– Padma! Savitri! Chodźcie popatrzeć! Amba i Pyari, wy też chodźcie! Zobaczcie, co też ci moi synowie przynieśli!

Dukhi uśmiechnął się szeroko do chłopców.

– Dzisiaj nie będzie kolacji. Przez to nowe ćoli matka straciła głowę. Cały dzień będzie się nim chwalić. – Poklepał się po brzuchu i po bokach. – Pasuje dużo lepiej niż stara. I materiał też jest ładniejszy.

– Zobacz, bapa, jest też kieszonka – powiedział Narayan.

Roopa i Dukhi nosili nową odzież przez cały tydzień. Później, gdy chłopcy wrócili do miasta, Roopa zdjęła swoje ćoli i poprosiła Dukhiego o koszulkę.

– Dlaczego? – spytał.

– Żeby uprać.

Ale kiedy ubranie wyschło, odmówiła wydania go z powrotem.

– A jeśli ją podrzesz albo coś?

Złożyła obie sztuki, zapakowała w jutę i przewiązała zawiniątko sznurkiem, po czym zawiesiła pod stropem chaty, bezpieczne od wody powodziowej i gryzoni.

•

Lata terminowania Ishvara i Narayana upłynęły w trzymiesięcznych okresach osładzanych co nieco tygodniowymi interwałami, kiedy odwiedzali swoją wioskę. Mieli teraz lat osiemnaście i szesnaście, ich nauki dobiegały końca i wkrótce po przejściu monsunu mieli opuścić Pracownię Krawiecką Muzaffar. Rodzina Ashrafa rozrosła się – miał teraz cztery córki: najmłodsza miała trzy lata, najstarsza osiem. Mumtaz żywo interesowała się planami terminatorów. Im prędzej się ziszczą, myślała, tym więcej będzie miejsca dla jej własnych dzieci, choć z biegiem czasu polubiła dwóch młodzieńców, cichych i zawsze skorych do pomocy.

Narayan wolał osiąść w wiosce i szyć dla własnych ziomków. Ishvar skłaniał się ku temu, by zostać w mieście lub przenieść się do innego i zostać pomocnikiem u kogoś w zakładzie.

– W wiosce nie da się wiele zarobić – mówił. – Wszyscy są tak ubodzy. W większym miejscu są większe możliwości.

Tymczasem z chwilą, gdy Podział kraju stał się faktem, zamieszki, które wybuchały sporadycznie, odkąd zaczęto mówić o niepodległości, jęły obejmować coraz to nowe tereny.

– Może lepiej, żebyście na razie zostali tutaj – powiedział Ashraf, a Mumtaz łypnęła na niego spode łba. – W naszym mieście diabeł nie skutecznie swoich sztuk. Znacie wszystkich sąsiadów, mieszkacie tu od lat. A nawet jeśli u was w wiosce panuje spokój, to i tak nie jest to dobra pora, by otwierać interes.

Ishvar i Narayan posłali rodzicom wiadomość przez przejezdnego, że

pozostaną u ćaci Ashrafa, dopóki złe czasy nie dobiegną końca. Roopa popadła w przygnębienie; od tyłu lat z dala od siebie, a teraz powrót synów znowu się opóźniał – kiedy bogowie zlitują się i położą kres jej karze?

Dukhi również był zawiedziony, ale zaakceptował tę decyzję jako najlepszą. Dookoła działały się niepokojące rzeczy. W ich dystrykcie zjawili się obcy ludzie należący do hinduistycznej organizacji, której członkowie nosili białe koszule i spodnie w kolorze khaki i wprawiali się w maszerowaniu niczym żołnierze. Przynieśli wieści o muzułmanach napadających na hindusów w wielu punktach kraju.

– Musimy być gotowi do obrony – mówili. – A także by się zemścić. Jeśli przeleją krew naszych hinduskich braci, ten kraj spłynie muzułmańską krwią.

W wiosce Dukhiego muzułmanie byli zbyt nieliczni, by zagrażać komukolwiek, lecz w przestroгах obcych mężczyzn właściciele ziemscy zwietrzyli okazję i dokładali wszelkich starań, by podburzyć ludzi przeciw urojonemu zagrożeniu czającemu się pośród nich.

– Lepiej przegnać mahometańskie niebezpieczeństwo, zanim spłoniemy żywcem w naszych chatach. Od stuleci najeżdżają nas, burzą nasze świątynie, kradną nasze bogactwa.

Mężczyźni w białych koszulach i spodniach w kolorze khaki przez kilka dni nie ustawali w wysiłkach, ale u większości mieszkańców nie znaleźli posłuchu. Na ludziach z niższych kasta ich retoryka nie wywarła wrażenia. Zawsze żyli w pokoju ze swoimi muzułmańskimi sąsiadami, a ponadto zbytnio wycieńczyły ich zabiegi, by związać koniec z końcem.

Próby wywłaszczenia wioskowych muzułmanów spaliły na panewce. Mężczyźni z organizacji hinduistycznej rzucili na odchodnym złowieszcze pogroźki o wyrównaniu rachunków ze zdrajcami, w tym z naczelnym zdrajcą, Mohandasem Karamchandem Gandhim, i ruszyli dalej. Miejsca liczniej zamieszkane, ze sklepami i innymi punktami usługowymi, stwarzały im większe szanse na powodzenie i pozwalały skryć się pod płaszczem miejskiej anonimowości. Tam mistyfikacja i pogłoska mogły trafić na żyzny grunt.

Wieczorem nad rzeką Dukhi i przyjaciele dyskutowali nad rozwojem wypadków. Liczne relacje o wydarzeniach w odległych miastach i wioskach wprawiały ich w pomieszenie.

– Zamindarowie zawsze traktowali nas jak zwierzęta.

– Gorzej niż zwierzęta.

– A jeśli to prawda? Jeśli mahometańska horda spadnie na naszą wioskę, tak jak mówiły białe koszule?

– Nigdy wcześniej nam nie przeszkadzali. Czemu mieliby to robić teraz? Mamy ich skrzywdzić tylko dlatego, że jacyś obcy przychodzą tu i wygadują swoje

bajeczki?

– Tak, to dziwne, że nagle wszyscy staliśmy się braćmi hindusami.

– To muzułmanie bardziej zachowywali się jak nasi bracia niż ci sukinyńscy bramini i thakurowie.

Ale opowieści wciąż przybywało: ktoś oberwał nożem na bazarze w miasteczku, jakiś sadhu został zatłuczony na śmierć na dworcu autobusowym, gdzie zrównano z ziemią całą osadę. Napięcie ogarnęło cały dystrykt. Wszystkie te wieści były wiarygodne, bowiem do złudzenia przypominały nowiny, o których czytało się w gazetach w ciągu ostatnich paru dni: podpalenia i zamieszki w większych miasteczkach i miastach; wszechobecny zamęt i masakry, ogromne i straszliwe fale przesiedleńców, które popłynęły przez nową granicę w obie strony.

•

Mordy rozpoczęły się w biedniejszej części miasta, potem jęły się szerzyć. Następnego dnia bazar świecił pustkami. Nie można było kupić owoców ani warzyw, mleczarze zniknęli, a z jedynej piekarni w miasteczku, należącej do muzułmanina, zostały już tylko zgliszcza.

– O chleb trudniej niż o złoto – powiedział Ashraf. – Co za obłęd. Ci ludzie żyli razem od pokoleń, razem śmiali się i płakali. A teraz szlachtują się nawzajem.

Tego dnia nie pracował wcale, tylko godzinami wpatrywał się przez otwarte drzwi w opustoszałą ulicę, jak gdyby czekał na pojawienie się czegoś potwornego.

– Stryju Ashrafie, kolacja gotowa – powiedział Narayan w odpowiedzi na znak dany mu przez Mumtaz. Jej mąż nie jadł przez cały dzień. Miała nadzieję, że teraz przyłączy się do nich.

– Muszę ci coś powiedzieć – rzekł Ashraf do Mumtaz. – I wam też – dodał, zwracając się do Ishvara i Narayana.

– Chodź, jedzenie gotowe, potem możemy pomówić – odpowiedziała. – Dziś jest tylko dal i ćapati, ale musisz zjeść chociaż trochę. – Zdjęła garnek z kuchenki.

– Nie jestem głodny. Zjedz z małymi – rzekł Ashraf, zapędzając czwórkę dzieci do jedzenia. Dziewczynki ociągały się, czując niepokój rodziców. – Chłopcy, wy też siadajcie.

– To ja się męcę i gotuję, a szanowny pan nabab nawet nie tknie jedzenia – utyskiwała Mumtaz.

Ashrafa był w takim nastroju, że w tym zwykłym gderaniu posłyszał wrogie nuty. Wrzasnął na nią, co robił nieczęsto.

– Co mam zrobić, skoro nie jestem głodny?! Przywiązać sobie talerz na brzuchu?! Powiedziałybyś raz coś do rzeczy!

Dwie najmłodsze córki zaczęły płakać. Któraś potraçała łokciem szklanę

z wodą.

– Teraz pewnie jesteś zadowolony – powiedziała Mumtaz z przekąsem, wycierając wodę. – Chciałbyś mnie nastraszyć tymi swoimi wrzaskami. Tylko maluchy się tego boją, proszę ciebie.

Ashraf przytulił dwójkę chlipiących dzieci.

– Dobrze, już dobrze, nie płaczcie. Popatrzcie, zjemy wszyscy razem.

Nakarmił je ze swojego talerza i sam zjadał kawałek za każdym razem, kiedy pokazały na jego usta. Wkrótce wynikła z tego nowa zabawa i dziewczynki poweselały.

Kolacja szybko dobiegła końca. Mumtaz wzięła garnek i chochlę, by umyć je pod kranem na podwórku. Ashraf powstrzymał ją.

– Chciałem coś powiedzieć przed kolacją, zanim zaczęłaś krzyczeć.

– Słucham cię teraz.

– Chodzi o to... o to, co się teraz dzieje wszędzie.

– Co takiego?

– Mam opowiadać przy dzieciach? – szepnął ze złością. – Czemu się zachowujesz jak głupia? Prędzej czy później kłopoty przyjdą i tu. Bez względu na to, co się stanie, stosunki między muzułmanami a hindusami nigdy nie będą takie jak kiedyś.

Zauważył, że Ishvar i Narayan słuchają go z żalem i pośpiesznie dodał:

– Nie mówię o nas, chłopcy. My zawsze będziemy jak jedna rodzina, nawet z dala od siebie.

– Przecież nie musimy być z dala od siebie, stryjkę Ashrafie – powiedział Narayan. – Ishvar i ja nie zamierzamy jeszcze odchodzić.

– Tak, wiem, ale my musimy wyjechać, ćaci Mumtaz, dzieci i ja.

– Mój biedny pagal nawab-sahib^[78], do reszty zwariował – powiedziała Mumtaz. – Wyjeżdżać mu się zachciało. Z czwórka małych dzieci? A dokąd chcesz pójść?

– Tam, gdzie wszyscy inni. Na drugą stronę granicy. Co chcesz zrobić? Siedzieć tu i czekać, aż nienawiść i obłęd zjawią się z mieczami, pałkami i naftą? Jutro rano idę na stację i kupuję dla nas bilety na pociąg.

Mumtaz upierała się, że reaguje jak bezrozumny starzec. On jednak nie pozwolił jej nawet na chwilę poddawać się złudzeniom. Będzie się spierać całą noc, oświadczył twardo, ale nie zamierza udawać, że wszystko jest w porządku.

– Zrobię, co w mojej mocy, żeby ocalić moją rodzinę. Jak możesz być tak ślepa? Zaciągnę cię na dworzec za włosy, jeśli będę musiał.

Słyszając tę groźbę, dzieci rozplakały się znowu.

Otarła im łzy swoją dupatą^[79] i przestała się opierać. Nie była bynajmniej ślepa na zagrożenie – jego woń czuło się z daleka, mąż miał rację. Tyle że trudno było

ściągnąć opaskę z oczu z obawy przed tym, co się zobaczy.

– Jeśli mamy szybko wyjechać, to niewiele mamy czasu zabrać – powiedziała. – Ubrania, kuchenka, parę garnków. Wezmę się do pakowania.

– Tak, naszykuj wszystko, żeby jutro było gotowe – rzekł Ashraf. – Resztę zamknijemy w pracowni. Inszallah^[80], pewnego dnia wrócimy i zgłosimy się po te rzeczy.

Skinął na dzieci, że pora spać.

– Chodźcie, dziś musimy się położyć wcześniej. Jutro wyruszamy w długą podróż.

Narayan nie był w stanie słuchać ani obserwować, jak się w pośpiechu szykują do drogi. Wątpił, by jego słowa mogły cokolwiek zmienić. Udał, że schodzi do pracowni, wymknął się przez zaplecze do sąsiada i opowiedział mu o planowanej ucieczce.

– On to mówi poważnie? – spytał właściciel sklepu żelaznego. – Kiedy rozmawialiśmy dziś rano, przyznał, że na naszym osiedlu nie ma się czego obawiać.

– Zmienił zdanie.

– Zaczekaj, zaraz do niego przyjdę.

Zebrał węglarza, baniję i młynarza i zapukał do drzwi Ashrafa.

– Wybacz, że niepokoiimy cię tak późną porą. Czy możemy wejść?

– Oczywiście. Zjecie coś? Napijecie się?

– Nie, dziękujemy. Przyszliśmy, ponieważ usłyszeliśmy wieści, które przejęły nas wielkim smutkiem.

– Co się stało? – zaniepokoił się Ashraf, zastanawiając się, czy w czyjejs rodzinie ktoś nie padł ofiarą zamieszek. – Czy mogę wam jakoś pomóc?

– Tak, możesz. Możesz powiedzieć nam, że to nieprawda.

– Że co jest nieprawdą?

– Że chcesz nas opuścić, że chcesz opuścić miejsce, gdzie się urodziłeś i gdzie urodziły się twoje dzieci. Oto przyczyna naszego smutku.

– Dobrzy z was ludzie, bardzo dobrzy. – Oczy Ashrafa zwilgotniały. – Ale ja naprawdę nie mam wyboru.

– Usiądź z nami i namyślmy się na spokojnie – powiedział właściciel sklepu żelaznego, obejmując Ashrafa. – Zgadza się, sytuacja jest zła, ale szaleństwem byłoby próbować ucieczki.

Inni przytaknęli zgodnie. Węglarz położył Ashrafowi rękę na kolanie.

– Przez nową granicę codziennie jadą pociągi, a w środku wiozą same zwłoki. Mój dostawca przyjechał wczoraj z północy, widział to na własne oczy. Zatrzymują pociągi na stacji i wyrzynają wszystkich. Po obu stronach granicy.

– To co mam robić?

Rozpacz w jego głosie ponownie ściągnęła na jego ramię dłoń właściciela sklepu żelaznego.

– Zostań tutaj. Jesteś wśród przyjaciół. Nie pozwolimy, by ktoś skrzywdził twoją rodzinę. Widzisz jakieś kłopoty w naszej dzielnicy? Zawsze żyliśmy tutaj w zgodzie.

– A co będzie, jak przyjdą ci podżegacze z zewnątrz?

– Twoja pracownia to jedyny muzułmański sklep na ulicy. Myślisz, że w tyłu chłopa nie damy rady obronić jednego sklepu? – Uściskali go, przyrzekając, że nie ma się czego obawiać. – Dzień czy noc, kiedy tylko zechcesz, jeśli coś cię zaniepokoi, przyjdź do nas do domu z żoną i dziećmi.

Gdy sąsiedzi odeszli, Narayan wpadł na pomysł.

– Ej, a ten szyld na zewnątrz? Ten z napisem Pracownia Krawiecka Muzaffar? Moglibyśmy na jego miejscu powiesić jakiś inny.

– Dlaczego? – spytał Ashraf.

Narayan zawahał się.

– Jakiś nowy...

Wtedy Ashraf zrozumiał.

– Tak, z nową nazwą. Hinduską. Bardzo dobry pomysł.

– Zróbmy to od razu – powiedział Ishvar. – Skoczę po nową deskę do pana wuja, do składu drewna. Mogę wziąć rower?

– Pewnie. Ale uważaj, nie jedź przez muzułmańską okolicę.

Godzinę później Ishvar wrócił z pustymi rękami. Nie dojechał do celu.

– Pali się wiele domów i sklepów. Jechałem dalej powolutku. Potem zobaczyłem jakichś ludzi z siekierami. Rąbali człowieka. Wystraszyłem się i zawróciłem.

Ashraf usiadł bezsilnie.

– Mądrze zrobiłeś. Co teraz zrobimy? – Był zbyt przerażony, by myśleć.

– A po co nam nowa deska? – powiedział Narayan. – Możemy obrócić starą. Potrzebujemy tylko trochę farby.

Zaszedł ponownie do domu obok. Właściciel sklepu żelaznego dał mu napoczętą puszkę niebieskiej farby.

– Dobry pomysł – powiedział. – Jaką nazwę wymalujecie?

– Może Zakład Krawiecki Krysna? – rzucił bez namysłu Narayan.

– Niebieski nada się doskonale – wskazał na horyzont, na którym dym i czerwona luna wypełniały niebo. – Słyszałem, że to skład drewna. Ale nie mówcie nic Ashrafowi.

Zdażyła już zapaść noc, kiedy skończyli malować napis i na nowo zamontować szyld.

– Ta farba wygląda dziwnie świeżo na starej desce.

– Przetnę ją garścią popiołu – powiedział Ishvar. – Jutro rano, jak wyschnie.

– Jeśli sami nie zostaniemy obrócenii w popiół we śnie – westchnął cicho Ashraf. Poczucie bezpieczeństwa, jakie na trochę dały mu zapewnienia sąsiadów, zaczynało się kruszyć.

Gdy leżał w łóżku, każdy dźwięk pośród ciemności był niebezpieczeństwem nadciągającym, by zagrozić jego rodzinie – dopóki nie uprzytomnił sobie, że to nic strasznego. Na nowo uczył się znajomych odgłosów, przy których zasypiał przez całe życie. Łomot łóżka węglarza, który lubił spać pod gołym niebem, na podwórku od zaplecza (co noc trzepał posłanie, żeby wytrząsnąć pluskwy). Trzask zamykanych na noc drzwi u sklepikarza, spaczonych i zacinających się, wymagających silnej ręki. Brzdęk czyjegoś wiadra – Ashraf nigdy nie sprawdził, do kogo należało i co z nim robiono o tak późnej porze.

Jakoś po północy zerwał się na równe nogi, zszedł po schodach do pracowni i zdjął trzy oprawne w ramki cytaty z Koranu, które wisiały na ścianie za stołem krojczym. Ishvar i Narayan poruszyli się rozbudzeni jego szperaniem po ciemku i zapalili światło.

– Nic się nie stało, śpijcie – szepnął. – Nagle przypomniało mi się o tych ramkach.

Farba na ścianie była ciemniejsza w miejscu, gdzie chwilę temu wisiały. Ashraf daremnie próbował zatrzeć różnicę przy pomocy mokrej szmatki.

– Mamy coś, co może stryj powiesić zamiast tego – powiedział Narayan. Wyciągnął spod stołu kufer i odszukał w nim trzy obrazki usztywnione tekturą podklejką, wyposażone w małe, plecione pętelki do wieszania. – Rama z Sitą, Kryszna i Lakszmi^[81].

– O tak, koniecznie – powiedział Ashraf. – A jutro spali się te gazety i czasopisma w urdu.

•

O ósmej trzydzieści Ashraf jak zwykle otworzył pracownię. Zdjął kłódkę z opuszczanej stalowej kraty od strony ulicy, ale jej nie rozsunał. Wewnętrzne drewniane drzwi pozostawił uchylone. Tak jak poprzedniego dnia ulica była opustoszała.

Około dziesiątej syn węglarza zawołał przez kraty.

– Ojciec pyta, czy potrzebujecie czegoś z targu, gdyby był otwarty. Powiedział, że lepiej, żebyście tam sami nie szli.

– Niech cię Bóg błogosławi, synu – odpowiedziała Mumtaz. – Tak, trochę mleka dla dzieci, jeśli można. I jakieś warzywa, wszystko jedno jakie, trochę kartofli czy cebuli, cokolwiek znajdziesz.

Po kwadransie chłopiec powrócił z pustymi rękoma; targowisko było ogołocone. Nieco później węglarz przysłał dzbanek mleka od swojej krowy. Tego

dnia Mumtaz podczas przygotowywania posiłków była zdana na kurczące się domowe zapasy mąki i soczewicy. Na długo przed zmierzchem Ashraf zamknął kratę na kłódkę i zasunął skobel w drzwiach.

Przy kolacji najmłodsze dzieci zażyczyły sobie, by Ashraf karmił je tak jak poprzedniego dnia.

– Aha, spodobała wam się zabawa – uśmiechnął się.

Po posiłku Ishvar i Narayan wstali, by wracać na dół, żeby rodzina mogła przygotować się do snu.

– Zostańcie – powiedział Ashraf. – Jeszcze wcześniej. Jak nie ma klientów, to godziny płyną wolniej – takie to diabelskie sztuczki.

– Od jutra powinno się poprawić – rzekł Ishvar. – Mówi się, że wkrótce żołnierze przejmą kontrolę.

– Inszallah – odparł Ashraf, przypatrując się, jak najmłodsza córka bawi się szmacianą lalką, którą dla niej uszył. Najstarsza czytała podręcznik szkolny. Dwie pozostałe bawiły się szmatkami w krawcowe. Ashraf dał znak Ishvarowi i Narayanowi, by się im przyjrzeni.

– Robiliście tak samo, kiedy byliście tu nowi – powiedział. – I uwielbialiście jednym machnięciem rozwijać centymetr, tak żeby strzelał. – Roześmiali się na to wspomnienie, a potem znów zapadło milczenie.

Ciszę przerwało tłuczenie w drzwi pracowni. Ashraf poderwał się, ale Ishvar go przytrzymał.

– Ja wyjrzę – powiedział.

Z okna na piętrze zobaczył na chodniku grupę dwudziestu czy trzydziestu mężczyzn. Dostrzegli go i zaczęli krzyczeć:

– Otwórz drzwi! Chcemy z tobą pomówić!

– Pewnie, już schodzę! – odkrzyknął im. – Posłuchajcie – wyszeptał do rodziny Ashrafa – wszyscy przejdźcie górnym przejściem do domu obok, tylko bardzo cicho. Narayan i ja zejdziemy do tamtych.

– Boże mój! – jęknęła Mumtaz stłumionym głosem. – Trzeba nam było iść, kiedy mieliśmy okazję. Miałaś rację, mój mężu, a ja cię nazwałam głupcem. To ja jestem głupia, ja, która...

– Zamknij się i chodź, szybko! – uciał Ashraf. Jedna z dziewczynek zaczęła pochlipywać. Mumtaz wzięła ją na ręce i uciszyła. Ashraf poprowadził ich, gdy tymczasem Ishvar i Narayan zeszli do pracowni. Słychać było wściekły łomot – twarde przedmioty uderzały przez kratę w drewniane drzwi.

– Cierpliwości! – zawołał Ishvar. – Najpierw muszę otworzyć zamki!

Kiedy pomiędzy kratami ukazały się sylwetki dwóch chłopców, tłum zamilkł. Większość zebranych miała jakąś prymitywną broń, pałkę lub włócznię; inni byli uzbrojeni w miecze. Kilku mężczyzn miało na sobie szafranowe koszule

i dzierżyło trójzęby.

Na ich widok Ishvar zadrżał. Przez krótką chwilę ogarnęła go pokusa, by powiedzieć im prawdę i ustąpić z drogi. Zawstydzony tą myślą, otworzył kratę i rozsunał ją nieco.

– Namaskar^[82], bracia.

– Kim jesteś? – zapytał mężczyzna na przedzie.

– Mój ojciec prowadzi zakład Krysna. To jest mój brat.

– A wasz ojciec gdzie jest?

– Pojechał w rodzinne strony. Ktoś z krewnych zachorował.

Nastąpiła narada, potem odezwał się przywódca.

– Poinformowano nas, że to muzułmańska firma.

– Co takiego?! – wykrzyknęli Ishvar i Narayan unisono. – To miejsce od dwudziestu lat należy do naszego ojca!

Z tyłu tłumu dobiegły głosy niezadowolenia.

– Nie ma co tyle gadać! Spalić tę chałupę! Wiemy, że to muzułmański zakład! Spalmy go! A tych, co kłamią, żeby go chronić, też spalmy!

– Czy to możliwe, że tu pracują muzułmanie? – spytał przywódca.

– Za mały ruch, żeby kogokolwiek zatrudniać – odpowiedział Ishvar. – Ledwie starczy pracy dla brata i dla mnie.

Mężczyźni podeszli bliżej, usiłując zajrzeć do środka. Oddychali ciężko, czuł zapach ich potu.

– Proszę, rozejrzyjcie się – powiedział, ustępując z drogi. – Nie mamy nic do ukrycia.

Mężczyźni rozejrzeli się szybko, obejmując wzrokiem hinduskie bóstwa na ścianie za stołem krojczym. Jeden z tych w szafranowych koszulach wystąpił naprzód.

– Posłuchaj mnie, mądralo. Jeśli kłamiesz, to własnoręcznie nadzieję cię na wszystkie trzy szpikulce mojego trójzęba.

– Po co miałbym kłamać? – odpowiedział Ishvar. – Jestem taki jak wy. Myślicie, że chcę umierać, żeby ocalić muzułmanina?

Przed pracownią ponownie odbyła się narada.

– Wyjdźcie na chodnik i zdejmijcie szarawary – rozkazał przywódca. – Obaj.

– Co?

– No już, szybko! Bo jeszcze chwila i już nigdy nie będziecie potrzebowali szarawarów.

Tłum ogarnęła niecierpliwość. Stukano drzewcami włóczni o ziemię i krzykiem domagano się, by spalić dom. Ishvar i Narayan posłusznie opuścili spodnie.

– Za ciemno, nie widać – zawołał przywódca. – Dajcie mi tu latarnię.

Z tyłu podano mu lampę. Pochylił się nisko i zbliżył światło do ich obnażonych

genitaliów; to, co zobaczył, usatysfakcjonowało go. Inni stłoczyli się wokół, żeby także popatrzeć. Powszechnie zgodzono się, że napletki są nietknięte.

Właściciel sklepu żelaznego otworzył okno na piętrze.

– Co tu się dzieje?! – zawołał. – Czemu męczycie hinduskich chłopców?! Skończyli wam się muzułmanie?!

– A ty kto?! – odkrzyknęli.

– Kim jestem? Jestem waszym ojcem i dziadkiem! A co! A przy okazji właścicielem tego sklepu żelaznego! Wystarczy jedno moje słowo, a cała ulica się tu zbierze i przerobi was na siekane kotlety! Nie macie gdzie łązić?

Przywódca uznał, że nie warto podejmować wyzwania. Jego podkomendni zaczęli się zbierać do odejścia, miotając obelgi dla zachowania twarzy. Potem jęli klócić się między sobą o zmarnowaną noc i błędną informację, przez którą wyszli na głupców.

•

– Pięknie to zagraliście! – rzekł właściciel sklepu żelaznego i czule poklepał Ishvara i Narayana po plecach. – Widziałem wszystko z góry. Gdyby tylko pojawiła się groźba, że coś wam zrobią, zawołałbym wszystkich na pomoc. Ale pomyślałem, że lepiej, jeśli obejdzie się bez starcia, jeśli ich przekonacie i odejdą w spokoju.

Potoczył wzrokiem dokoła, by upewnić się, czy wszyscy mu uwierzyli.

Mumtaz padła na kolana przed dwoma terminatorami. Dupatta ześliznęła jej się z szyi i okryła ich stopy.

– Stryjenko, proszę, niech stryjenka tak nie robi – powiedział Ishvar, cofając się.

– Na zawsze i na wieki, moje życie, moje dzieci, życie mojego męża, mój dom – wszystko wam zawdzięczam! – Złapała ich kurczowo i szlochała. – Za coś takiego nie da się odplacić!

– Proszę, niech stryjenka wstanie – błagał Ishvar, trzymając ją za przeguby i próbując podnieść.

– Od teraz ten dom jest waszym domem, tak długo, jak zechcecie zaszczycać nas swoją obecnością!

Ishvarowi wreszcie udało się wyplątać kostki z uścisku jej rąk.

– Ćaci, jesteś dla nas jak matka. Przez siedem lat dzieliliśmy z tobą dom i jedzenie.

– Inszallah zostanieie i będziecie jadać z nami przez następnych siedemdziesiąt – chlapiąc, owinęła sobie szyję dupattą i uniosła jej rąbek, by osuszyć oczy.

Ishvar i Narayan wrócili na dół. Kiedy dzieci zasnęły, Ashraf też zszedł. Chłopcy jeszcze nie rozłożyli swoich mat do spania. Cała trójka siedziała przez

kilka minut w milczeniu. Później odezwał się Ashraf.

– Wiecie, kiedy zaczął się ten łomot, pomyślałem, że koniec z nami.

– Ja też się wystraszyłem – powiedział Narayan.

Kolejna chwila milczenia potrwała dłużej. Ashraf odchrząknął.

– Zszedłem tutaj, by powiedzieć tylko jedną rzecz. – Po policzkach płynęły mu łzy; przerwał, by je obetrzeć. – Dzień, kiedy spotkałem waszego ojca... Dzień, kiedy powiedziałem Dukhiemu, by przysłał mi swoich dwóch synów do terminu krawieckiego... W tym dniu spotkało mnie największe szczęście.

Przytulił ich, ucałował trzykrotnie w policzki i wrócił na górę.

•

Ashraf nie chciał nawet słyszeć o tym, że bracia mieliby wrócić do wioski, a Mumtaz go poparła.

– Zostańcie jako moi płatni asystenci – zaproponował, choć wiedział, że go na to nie stać.

Roopa sprzeciwiła się. Tłumaczyła Dukhiemu, że już najwyższy czas, by zwrócono jej synów.

– Posłałeś ich do terminu. Nauczyli się fachu, więc dlaczego jeszcze żyją z obcymi? Co to ma być, ich własni rodzice nie żyją czy jak?

Nikt jednak nie mógł przewidzieć, jak powiedzie się w wiosce dwóm ćamarom przemienionym w krawców. Prawda, nowe czasy pełne były nadziei, zanosilo się na zmiany, a optymizm, który pojawił się wraz z niepodległością, lśnił jasnym blaskiem. Ashraf poczuł się na tyle bezpiecznie, że obrócił nawet szyld Zakład Krawiecki Krysna, by na nowo wystawić na widok napis Pracownia Muzaffar.

Mimo to trudno było orzec, czy setki lat tradycji dadzą się tak łatwo unieważnić. Ustalili zatem, że Ishvar zostanie jako asystent Ashrafa, Narayan zaś wróci, by zbadać grunt. To urządziło wszystkie strony: Pracownię Krawiecką Muzaffar i tak ledwie stać było na jednego pomocnika; Dukhi zyskiwał wsparcie w postaci pieniędzy przysyłanych z miasta, a Roopie zwracano jej młodszego syna.

Zdjęła zawiniątko, które od siedmiu lat zwisało spod sufitu. Węzły na sznurku skurczyły się i nie dawały się rozplątać. Roopa przecięła sznur, odwinęła zabezpieczającą warstwę juty, a potem uprała koszulkę i ćoli. Nadeszła pora, by włożyć je znowu, powiedziała Dukhiemu, by uczcić powrót syna.

– Trochę na mnie wisi – powiedział Dukhi.

– Na mnie też – odrzekła Roopa. – Widać tkanina się rozciągnęła.

Spodobało mu się to wyjaśnienie. Łatwiej było je przyjąć, niż dumać nad chudymi latami, które skurczyły ich oboje.

•

Wioskowa społeczność ćamarów po cichu chlubiła się Narayanem. Stopniowo znajdowali w sobie odwagę, by zostać jego klientami, choć Narayan nie zarabiał na tym zbyt wiele, bowiem rzadko było ich stać na obstalowanie czegoś nowego. Nosili odzież wyrzuconą przez przedstawicieli wyższych kast. Narayan głównie zajmował się przeróbkami i reperacją. Używał starej maszyny do szycia na korbkę, zdobytej dla niego przez Ashrafa. Jej możliwości ograniczały się do ściegu prostego, ale to wystarczyło do zleceń, które wykonywał.

Ruch w interesie wzmógł się, kiedy po sąsiednich wioskach rozeszła się nowina o człowieku, który zrobił rzecz nie do pomyślenia: porzucił skórę dla płótna. Przybywali zarówno po to, by zobaczyć dzielnego ćamara-krawca, tę wewnętrzną sprzeczność pojęć, jak i by oddać ubrania do reperacji. Dla wielu z nich wizyta okazywała się lekkim rozczarowaniem. W chacie nie było nic nadzwyczajnego, po prostu młody mężczyzna z centymetrem krawieckim przewieszonym przez szyję i ołówkiem za uchem.

Zgodnie z tym, czego nauczył go Ashraf, Narayan prowadził ewidencję zleceń i transakcji, notował imiona, daty i należności. Roopa obwołała się kierowniczką przedsiębiorstwa i z ważną miną stała obok, kiedy brał miarę i zapisywał cyfry w zeszycie. Przy pomocy obieraczki temperowała mu ołówki. Nie potrafiła odczytać rejestru, ale przechowywała w głowie skrzętny rachunek. Kiedy ktoś, kto nie uregulował jeszcze płatności za poprzednią usługę, zjawiał się z nowym zleceniem, stawała za plecami klienta i pocierała palcem o kciuk, by przypomnieć o tym synowi.

Pewnego ranka, w około sześć miesięcy po powrocie Narayana, w okolicy chaty zapuścił się pewien bhangi. Roopa była na zewnątrz. Grzała wodę nad ogniem i radośnie wsłuchiwała się w stłumiony stukot maszyny do szycia, kiedy zobaczyła zbliżającego się ostrożnie delikwenta.

– A ty co tu robisz, co? – wrzasnęła, aż zamarł w miejscu.

– Szukam krawca Narayana – powiedział mężczyzna, nieśmiało ściskając jakieś łachmany.

– Co?! – Prawie ją замуrowało na taką zuchwałość. – Jeszcze czego! Krawiec-srawiec! Wykąpię twoją parszywą skórę w tym wrzątku! Mój syn nie szyje dla takich jak ty!

– Mamo, co ty?! – krzyknął Narayan, wypadając z chaty, gdy tymczasem mężczyzna wziął nogi za pas. – Zaczekaj! Zaczekaj! – wołał za uciekinierem. Bhangi przyśpieszył, przerażony, że czeka go odwet.

– Wracaj, bhai, nic się nie stało!

– Innym razem! – odkrzyknął tamten. – Może jutro.

– Zgoda, będę na ciebie czekał – odpowiedział Narayan. – Proszę, przyjdź

koniecznie.

Wrócił do chaty, potrząsając głową i nie zwracając uwagi na matkę, która łypała na niego wściekle.

– Przestań tak kręcić głową! – fuknęła z urazą. – Co to za bzdury? Jakie „przyjdź jutro”? Nie będziemy się zadawać z ludźmi z niskiej kasty! Jak w ogóle możesz myśleć o mierzeniu kogoś, kto wywozi ludziom gówno z domów!

Narayan milczał. Pracował przez kilka minut, po czym wyszedł na zewnątrz, gdzie płonął ogień, a matka wciąż obracała w garnku swój wściekły gniew.

– Myślę, że się mylisz, mamó – powiedział tak cicho, że jego głos niemal ginął pośród trzasku ognia. – Myślę, że powinienem szyc dla każdego, kto przychodzi, wszystko jedno, bramin czy bhangi.

– Tak? Naprawdę? Poczekaj no aż ojciec wróci do domu, zobaczymy, co on na to powie. Bramin – tak, bhangi – nie!

Wieczorem Roopa opowiedziała Dukhiemu o bulwersujących zapatrywaniach ich syna, a on zwrócił się do Narayana:

– Myślę, że matka ma rację.

Narayan zdjął rękę z korbki i zatrzymał koło zamachowe.

– Dlaczego posłałeś mnie, żebym się uczył krawiectwa?

– Głupie pytanie. Żebyś miał lepsze życie. A z jakiego innego powodu?

– Zgadza się. Bo ci z wyższych kast źle nas traktują. A teraz wy zachowujecie się dokładnie tak jak oni. Jeśli tak ma być, to ja wracam do miasta. Nie mogę tak dłużej żyć.

Na to ultimatum Roopa wpadła w osłupienie, które przerodziło się we wstrząs, gdy Dukhi obrócił się ku niej i powiedział:

– Uważam, że ma rację.

– Ojciec Ishvara, zdecyduj się wreszcie! Najpierw mówisz, że ja mam rację, potem, że on ma rację! Kiwasz się na boki jak garnek bez dupy! Takie są skutki posyłania go do miasta! Zapomina o naszych wiejskich porządkach! Tylko kłopoty z tego będą!

Gotując się i kipiąc, wyszła z chaty i przywołała Ambę, Pyari, Padmę i Savitri, aby przyszły wysłuchać, jakież to szaleństwa wyczyniają się w jej nieszczęsnym domostwie.

– Toba, toba^[83]! – lamentowała Savitri. – Biedna Roopa, aż się trzęsie z nerwów.

– Ech te dzieci, hai Ram – westchnęła Pyari, wyrzucając ręce w górę. – Tak łatwo zapominają o uczuciach matki.

– Co robić – powiedziała Amba. – Kiedy są mali, karmimy je mlekiem z naszych piersi, ale nie możemy nakarmić ich rozsądkiem.

– Cierpliwości – uspokajała Padma. – Wszystko będzie dobrze.

Pokrzepiona ich współczuciem, Roopa uspokoiła się nieco. Myśl, że miałyby po raz drugi stracić syna, kazała jej przemyśleć sprawę. Wybaczyła mu jego szaleńcze plany i zgodziła się przemykać na nie oko w ramach kompromisu: ona zachowa prawo decyzji, kto wchodzi do jej chaty, a niektórzy klienci będą obsługiwani na dworze.

•

Dwa lata później Narayan miał dość pieniędzy, żeby wybudować własną chatę koło chaty rodziców. Roopa szlochała, że ich porzuca.

– Ciągłe to samo. Znów łamie serce swojej matce – skarżyła się. – Jak mam się opiekować nim i jego interesami? Czemu musi się wyprowadzać?

– Ale mam, to tylko trzydzieści stóp stąd – bronił się Narayan. – Zawsze możesz przyjść naostrzyć mi ołówki i będziesz miłym gościem.

– Ostrzyć ołówki, powiada! Jakby to było wszystko, co dla niego robię!

Koniec końców przywykła jednak do tego pomysłu i szczyła się nim, a w rozmowach z przyjaciółkami nazywała drugą chatę fabryką swojego syna. On zaś kupił duży warsztat, wieszak na ubrania i nową maszynę na pedał, która szła i ściegiem prostym, i zygzakowatym.

Przy okazji tego ostatniego nabytku udał się po radę do ćaci Ashrafa. Małe miasteczko rozrosło się od czasu jego wyjazdu i Pracownia Krawiecka Muzaffar prosperowała. Ishvar wynajmował pokój opodal warsztatu. Ashraf awansował go z asystenta na partnera. Bracia uzgodnili, że ich ojciec nie musi już pracować, że we dwóch zapewnią rodzicom utrzymanie.

– Dobrzy z was chłopcy – wzruszył się Dukhi, kiedy Narayan obwieścił mu ich decyzję. – Doprawdy, Bóg nam błogosławi.

Roopa przyniosła koszulkę i ćoli uszyte lata wcześniej przez ich dzieci, dziś wypłwiała.

– Pamiętasz je?

– Nie wiedziałem, że jeszcze je macie.

– Tacy byliście mali tamtego dnia, kiedy je nam przynieśliście – powiedziała i zaczęła płakać. – Ale nawet wtedy w głębi serca wiedziałam, że wszystko się dobrze skończy.

Poszła, by ogłosić pomyślną nowinę przyjaciółkom, które wyściskały ją, drocząc się, że wkrótce będzie bogata i przestanie się z nimi zadawać.

– Ale jedno jest pewne – oznajmiła Padma. – Zbliża się pora ślubu.

– Musisz zacząć się rozglądać za dwiema odpowiednimi synowymi – poradziła Savitri.

– Nie powinnaś tego dłużej odkładać – dodała Pyari.

– Nic się nie martw, ze wszystkim ci pomożemy – powiedziała Amba.

Radosne wieści obiegły społeczność ćamarów i wydostały się poza nią. Wśród wyższych kast w dalszym ciągu utrzymywały się uraza i gniew wywołane osiągnięciami ćamara. W szczególności jeden człowiek, Thakur Dharamsi – który zawsze sprawował nadzór nad wyborami w dystrykcie, a następnie przekazywał głosy wybranej przez siebie partii – regularnie szydził z krawca.

– Czeka na ciebie zdechła krowa – poinformował Narayana przez służącego. Narayan przekazał wiadomość innym ćamarom, którzy ucieszyli się z padliny. Innym razem, kiedy koza utopiła się w ścieku na terenie posiadłości Thakura Dharamsiego, ten posłał po Narayana, by usunął zator. Narayan w odpowiedzi uprzejmie poinformował, że jest wdzięczny za propozycję, ale już się tym nie zajmuje.

Wioskowi ćamarowie postrzegali go teraz jako swojego rzecznika, swego nieoficjalnego przywódcę. Dukhi nie obnosił się z sukcesem syna, zachowywał skromność i czasem tylko folgował dumie, kiedy siadał z przyjaciółmi, by zapalić pod drzewem nad rzeką. Jego syn powoli zaczynał przewyższać zamożnością wielu mieszkańców z wyższych kast. Wziął w dzierżawę ziemię, na której stały dwie chaty, i na ich miejsce postawił prawdziwy dom, jeden z zaledwie siedmiu w całej wiosce. Był wystarczająco duży, by pomieścić rodziców i warsztat krawiecki. A wkrótce, myślała z rozczuleniem Roopa, także żonę i dzieci.

Dukhi i ona woleliby, aby starszy syn ożenił się jako pierwszy, lecz gdy zaofiarowali się, że znajdą mu żonę, Ishvar dał jasno do zrozumienia, że nie jest zainteresowany. Roopa tymczasem nauczyła się, że starania mające za cel skłonienie jej synów do czegoś, czego robić nie chcą, są daremnym trudem.

– Nauczył się wielkomijskich zwyczajów. Zapomina o naszej starej tradycji – sarknęła i porzuciła temat, kierując swą uwagę na Narayana.

Zasięgnęli języka i polecono im odpowiednią dziewczynę z sąsiedniej wioski. Wyznaczono dzień oględzin, w który rodzina chłopca miała odwiedzić rodzinę dziewczyny. Roopa zadbała, by Ambę, Pyari, Padmę i Savitri uwzględniono w planach wizyty; powiedziała, że są jak rodzina. Ishvar postanowił nie jechać, ale załatwił leylanda na dwadzieścia siedem miejsc, żeby przetransportować ekipę do spraw lustracji panny młodej.

Mały, odrapany autobus przybył do wioski o dziewiątej rano i zatrzymał się w tumanach kurzu. Szansa na przejażdżkę autobusem ściągnęła ochotników pragnących wziąć udział w pomyślnym wydarzeniu. Było ich znacznie więcej, niż mógł pomieścić skromny wehikuł.

– Narayan jest dla mnie jak syn – mówił jeden. – To mój obowiązek. Jak mógłbym zawieść go w najważniejszej chwili?

– Nie będę mógł chodzić z uniesioną głową, jeśli mnie nie weźmiecie – zaklinał drugi, nie przyjmując odmownej odpowiedzi. – Proszę, nie zostawiajcie mnie.

– Uczestniczyłem we wszystkich oględzinach panny młodej w naszej kaście – przechwalał się trzeci. – Przyda wam się moje doświadczenie.

Wielu uznało za pewnik, że jada – wgramolili się do środka, nie pytając o zdanie Dukhiego ani Roopy. Gdy godzinę później można było rozpocząć wycieczkę, w środku tłoczyło się trzydzieści osiem osób, a tuzin następnych siedział na dachu ze skrzyżowanymi nogami. Kierowca, który widział niejednego paskudny wypadek spowodowany przez gałęzie nisko zwieszające się nad wiejskimi drogami, odmówił odjazdu.

– Złazić z dachu! Na dół! Wszyscy na dół! – wrzasnął na tych, którzy zasiedli błogo w pozycji lotosu. Dwunastka z dachu została, a autobus statecznie potelepał się przed siebie.

Dwie i pół godziny później dotarli do celu. Rodzice dziewczyny, tak jak i cała wioska, byli pod wrażeniem autobusu i rozmiarów delegacji. Trzydziestu ośmiu gości stanęło niepewnie. Nie mogli wszyscy pomieścić się w chałupie. Po dramatycznych deliberacjach Dukhi wyselekcjonował siedmioosobową grupę, w której znaleźli się jego najlepsi przyjaciele, Chhotu i Dayaram. Padma i Savitri także się załapały, ale Amba i Pyari musiały poczekać na zewnątrz wśród trzydziściorga jeden pechowców i obserwować rozwój wypadków przez otwarte drzwi.

Wewnątrz grono najbliższych piło herbatę z gospodarzami i opisywało podróż.

– Piękne widoki widzieliśmy po drodze – zwrócił się Dukhi do ojca dziewczyny.

– Raz, zupełnie zniecka, coś huknęło i stanęliśmy – powiedział Chhotu. – Trochę się zeszło, zanim autobus ruszył. Martwiliśmy się, że się spóźnimy.

Krok po kroku rodzice porównywali genealogie i historie obu rodzin, gdy tymczasem Roopa skromnie relacjonowała sukcesy Narayana matce dziewczyny.

– Ma mnóstwo klientów. Każdy chce tylko ubrania od Narayana. Jakby w całym kraju nie było innego krawca. Mój biedny syn pracuje od rana do nocy, ciągle szyje, szyje i szyje. Ale jego nowa, droga maszyna jest bardzo dobra. A jakie cuda spod niej wychodzą.

Później nadeszła chwila oględzin panny młodej.

– Chodź no tu, córko – zawołała swobodnie matka. – Przynieś coś słodkiego dla naszych gości.

Szesnastoletnia Radha wkroczyła z tacą laddu^[84]. Rozmowy zamilkły. Wszyscy patrzyli, jak obchodzi izbę ze skromnie opuszczoną głową i odwróconymi oczami. Zgromadzeni na zewnątrz zaczęli szeptać i rozpychać się, aby coś dojrzeć.

Kiedy stanęła przed nim, Narayan nie spuszczał wzroku z laddu. Bał się unieść oczy – jej rodzina wyczekiwała na reakcję. Taca nieomal skończyła rundę wokół izby. Jeśli nie popatrzy teraz, druga szansa się nie nadarzy, dziewczyna nie wróci,

to pewne, i będzie musiał podjąć decyzję w ciemno. Spójrzże, no spójrz! – przekonywał sam siebie – i spojrzał. Zdołał zobaczyć jej profil, kiedy pochylała się ku swojej matce.

– Nie, córko – powiedziała matka. – Dla mnie nie.

Po tych słowach Radha zniknęła.

Nadeszła pora powrotu do domu. Podczas podróży ci, którzy nie zdołali nic zobaczyć ani usłyszeć z zewnątrz, otrzymali pełne sprawozdanie. Teraz wszyscy zostali zaznajomieni z faktami i byli gotowi do udziału w ostatecznych dyskusjach po powrocie do wioski. Opinie wysłuchiowano według starszeństwa.

– Dziewczyna ma dobre rozmiary, kolor też dobry.

– Wyglądają na uczciwą i ciężko pracującą rodzinę.

– Może przed ostateczną decyzją należałoby porównać horoskopy?

– Żadnych horoskopów! Na co komu horoskopy? To bramińskie bzdury, u nas się tego nie robi.

Ciągnęło się to przez jakiś czas, a Narayan słuchał w milczeniu. Na koniec wyraził aprobatę, co, choć nie było niezbędne, przyczyniło się wydatnie do wzmocnienia konsensusu, przynosząc ulgę rodzicom, a jemu – poklask zgromadzonych.

Teraz rozpoczęły się rokowania. Z niektórych tradycyjnych wydatków zrezygnowano pod wpływem nacisków Narayana; nie chciał, by rodzina Radhy popadła w wiekuiste zadłużenie u lichwiarza. Zgodził się przyjąć od nich jedynie sześć mosiężnych naczyń: trzy o dnie okrągłym i trzy płaskodenne.

Roopa wpadła we wściekłość.

– Co ty w ogóle wiesz o takich skomplikowanych sprawach jak posag? Żeniłeś się wcześniej?

Dukhi również był zatroskany.

– Należy się znacznie więcej niż sześć naczyń. To nasze prawo.

– Od kiedy to u nas żąda się posagu? – spytał cicho Narayan.

– Wyższe kasty tak robią, to my też możemy.

Ale Narayan postawił na swoim, a Ishvar go wsparł.

– Uczą się wielkomiejskich zwyczajów – sarknęła ich matka, gdy jej zabiegi znów spełzły na niczym. – Zapominają o naszych wiejskich zwyczajach.

W ostatniej chwili pojawiła się przeszkoda. Na dwa dni przed weselem pod presją Thakura Dharamsiego wioskowi grajkowie zrezygnowali ze świadczenia swoich usług. Byli zbyt wystraszeni, by chociaż spotkać się z rodziną i przedyskutować problem. Ishvar wystarał się więc o zastępców z miasta. Narayanowi nie wadziły koszty przewozu muzyków i ich instrumentów. Uważał, że to niewysoka cena za dopieczenie właścicielom ziemskim.

Nowi grajkowie nie znali niektórych miejscowych pieśni weselnych. Starszyzna

wśród gości była mocno zaniepokojona – obce hymny i śpiewy mogły źle wróżyć małżeństwu.

– A zwłaszcza w staraniach o potomstwo – utyskiwała stara kobieta, która, zanim złożyła ją niemoc, zajmowała się asystowaniem przy porodach. – Łono nie staje się płodne ot tak, samo z siebie, bez prawidłowej procedury.

– Racja – przytaknęła inna. – Na własne oczy to widziałam. Jeśli pieśni nie odśpiewa się, jak trzeba, nic tylko strapienia dla męża i żony.

Konferowały w zatroskanych grupkach, spierając się i próbując znaleźć antidotum na czające się za rogiem nieszczęście. Z dezaprobatą popatrywały na tych, którzy bawili się wesoło przy obcej muzyce i tańcach.

Obchody weselne trwały trzy dni, a w tym czasie rodziny ćamarów z wioski jadły najlepsze posiłki w życiu. Ashrafa i jego rodzinę umieszczono w domu Narayana i tam ich goszczono. Niektórzy nie byli szczęśliwi z tego powodu. Zaczęło się szemranie o niosącej zły omen obecności muzułmanów, lecz protesty były nieliczne i stłumione. Z nadejściem trzeciej nocy, ku uldze starszyny, grajkowie podchwycili już wiele miejscowych piosenek.

•

Radsze i Narayanowi urodził się syn; nazwali go Omprakash. Ludzie przybyli, by śpiewać i radować się z nimi przy tej szczęśliwej okazji. Dumny dziadek osobiście zaniósł słodycze do każdego domu w wiosce.

Później w tym samym tygodniu Chhotu, przyjaciel Dukhiego, przyszedł z żoną, żeby zobaczyć niemowlę. Wziął Dukhiego i Narayana na stronę i szepnął:

– Wyższe kasty wywaliły słodycze do śmieci.

Nie wątpili w jego słowa; był dobrze poinformowany, bowiem zajmował się wynoszeniem śmieci z wielu bogatych domów. Wieść sprawiła im ból, ale Narayan zbył ją śmiechem.

– Więcej dla tych, którzy znaleźli paczki.

Nowi goście wciąż nadpływali i zdumiewali się – wszak chodziło o dziecko ćamarów – zdrowym wyglądem noworodka; dziwili się też, że cały czas się uśmiecha.

– Nawet jak jest głodny, to nie ma żadnego kwilenia i miauczenia. – Radha polubiła przechwałki. – Robi tylko takie cichutkie *kurr-kurr*, a jak dam mu pierś, to zaraz przestaje.

Po Omprakashu urodziły się trzy córki. Dwie przeżyły. Na imię miały Leela i Rekha. Słodyczy tym razem nie rozdawano.

Narayan zaczął uczyć syna czytać i pisać; lekcje prowadził szyjąc. Mężczyzna siedział za maszyną do szycia, dziecko – z kredą i tabliczką w dłoni. Gdy Omprakash skończył pięć lat, potrafił także w wielkim stylu przyszywać guziki,

naśladując przy tym fantazyjne ruchy ojca liżącego nić i wsuwającego ją w ucho igielne albo też zwinny gest, z jakim tamten wbijał igłę w materiał.

– Całe dni spędza przyklejony do swojego bapy – gderała radośnie Radha, mierząc wzrokiem syna i wielbiącego go ojca.

Jej teściowa zlustrowała scenę, delektując się nią.

– Odpowiedzialność za córki spoczywa na matce, ale synowie są dla ojca – orzekła Roopa, jakby właśnie spłynęła na nią nowa, olśniewająca prawda i tak właśnie jej słowa potraktowała Radha, potakując z powagą.

W tygodniu, który nastąpił po piątych urodzinach Omprakasha, Narayan zabrał go do garbarni, gdzie ćamarowie uwijali się przy pracy. Odkąd wrócił do wioski, nadal regularnie przyłączał się do nich, pomagając przy tym etapie odzierania ze skóry, wyprawiania, garbowania czy barwienia, który akurat był w toku. Teraz z dumą pokazywał synowi, jak to się robi.

Ale Omprakash się cofnął. Narayanowi nie spodobało się to zachowanie. Nalegał, by chłopiec ubrudził sobie rękę.

– Ble! Śmierdzi! – zapiszczał Omprakash.

– Wiem, że śmierdzi, ale i tak to zrób.

Chwycił dłonie chłopca i wepchnął do garbarskiej kadzi, zanurzając je po łokcie. Wstydził się za syna przed innymi ćamarami.

– Nie chcę! Chcę do domu! Bapa, proszę, zabierz mnie do domu!

– Możesz sobie płakać. I tak się nauczysz tej pracy – powiedział Narayan ponuro.

Omprakash szlochał i zawodził, rzucił się w napadzie gniewu, wyrwał rękę.

– Rób tak dalej, a wrzucę cię tam całego – zagroził ojciec, raz po raz zanurzając mu dłonie w kadzi.

Inni przekonywali Narayana, by dał spokój – może dziecko ma jakiś atak, tłumaczyli, wrzeszczy tak histerycznie.

– To jego pierwszy dzień – mówili. – Za tydzień lepiej się sprawi.

Ale Narayan trwał przy swoim i dopiero po godzinie dał dziecku spokój.

Kiedy dotarli do domu, Omprakash płakał nadal. Na ganku Radha nacierała swojej teściowej głowę olejkiem kokosowym. Biegnąc, by go pocieszyć, przewróciły butelkę. Roopa chciała przytulić wnuka, ale on cofnął się na widok cienkich, siwych strąków, które zwieszały się z jej czoła, tłuste i sztywne. Nigdy przedtem babka nie wyglądała tak przerażająco.

– Co mu jest? Coś ty zrobił mojemu biednemu śmieszкови, mojemu maluszkowi?

Narayan wyjaśnił, jak spędzili poranek. Słyszając to, Dukhi zaczął się śmiać, ale Radha była wściekła.

– Dlaczego pastwisz się nad malcem? Nie ma potrzeby, żeby mój Om zajmował

się taką brudną pracą!

– Brudną pracą? Brudną? Ty to mówisz, córka ćamara?

Jego gniew wprawił ją w osłupienie. Pierwszy raz zdarzyło się, żeby Narayan na nią krzyknął.

– Ale dlaczego on...

– Jak ma docenić to, co ma, jeśli nie pozna tego, co robili jego przodkowie? Raz w tygodniu będzie ze mną chodzić, czy mu się to podoba, czy nie!

Radha spojrzała błagalnie na teścia i zabrała się za wycieranie rozlanego olejku. Dukhi skinieniem głowy dał jej znak, że widzi. Później, gdy zostali z Narayanem we dwóch, rzekł:

– Synu, zgadzam się z tobą. Ale bez względu na to, co sobie myślimy, raz w tygodniu to tylko zabawa. Dla niego to nigdy nie będzie tym, czym było dla nas. I Bogu dzięki.

Przez resztę dnia Omprakash był bardzo markotny. Siedział w kuchni, tulił się do matki. Radha co chwila poklepywała go po główce, nie przestając jednocześnie pracować.

– Nie odstępuję mnie ani na chwilę – nie bez satysfakcji poskarżyła się teściowej. – Muszę jeszcze posiekać szpinak i zrobić ćapati. Bóg wie, kiedy skończę.

Roopa zmarszczyła czoło.

– Kiedy synowie są nieszczęśliwi, przypominają sobie o matkach.

Wieczorem, kiedy ojciec wypoczywał na werandzie z zamkniętymi oczami, Omprakash wychynął na zewnątrz i zaczął mu masować stopy tak, jak widział, że robi to matka. Narayan drgnął i otworzył oczy. Spojrzał w dół, zobaczył syna i uśmiechnął się. Wyciągnął ku niemu rękę.

Omprakash skoczył mu w ramiona i objął go za szyję. Przez kilka minut trwali przytuleni, nie wymawiając ani jednego słowa. Później Narayan otworzył dłoń małego i obwąchał jego palce, a potem podsunął dziecku swoją dłoń do powąchania.

– Widzisz? Obaj nosimy ten sam zapach. To uczciwy zapach.

Chłopiec kiwnął głową.

– Bapa, pomasować ci jeszcze stopy?

– Zgoda.

Patrzył z rozczuleniem, jak jego syn uciska mu piętę, pociera łuk stopy, ugniata podeszwę i masuje każdy palec z osobna, naśladując metodyczne ruchy Radhy. Roopa i Radha stały ukryte w drzwiach i uśmiechały się do siebie.

Cotygodniowe lekcje garbarstwa potrwały przez kolejne trzy lata. Omprakash nauczył się piklować skóry w roztworze soli. Zbierał owoce amalaki, by robić roztwór tanin. Poznał sztukę przygotowywania barwników i farbowania skóry.

Ze wszystkich czynności ta była najpaskudniejsza; zbierało mu się od niej na wymioty.

Męka się skończyła, kiedy miał osiem lat. Posłano go do stryja Ishvara, aby w Pracowni Krawieckiej Muzaffar zaznajomił się z szerszym wachlarzem umiejętności krawieckich. Ponadto szkoła w miasteczku przyjmowała teraz każdego, bez względu na kastę, w szkole wiejskiej zaś wciąż obowiązywały ograniczenia.

•

Radha i Narayan nie odczuwali aż takiej rozpaczki jak ongiś Roopa i Dukhi, kiedy ich synowie opuścili dom, by terminować u ćaci Ashrafa. Nowa droga i połączenie autobusowe skurczyły dystans między wioską i miasteczkiem. Mogli spodziewać się częstych wizyt Omprakasha; poza tym mieli w domu dwie córki.

Mimo to Radha i tak miała poczucie, że zostaje niesprawiedliwie pozbawiona obecności syna. Popularna piosenka o ptaku, który był nieodłącznym towarzyszem śpiewaka, lecz z niewyjaśnionego powodu postanowił odlecieć, stała się odtąd jej ulubioną. Podbiegała do nowego radioodbiornika marki Murphy, podkreślała głośność i uciszała wszystkich, gdy tylko rozlegał się znajomy refren. Kiedy syn był w domu, piosenka nie obchodziła ją nic a nic.

Siostry Omprakasha nie lubiły jego odwiedzin. Nikt nie zwracał uwagi na Leelę i Rekhe, jeśli ich brat był w domu. Zaczynało się to, gdy tylko przekroczył próg.

– Patrzcie na mojego synka! Jak wychudł! – skarżyła się Radha. – Czy stryj cię nie karmi?

– Wygląda chudo, bo podrośł – wyjaśniał Narayan.

Ale Radha używała tej wymówki, by zasypywać syna specjami w rodzaju śmietanki, suszonych owoców i słodczy i pękała z zadowolenia, kiedy jadł. Od czasu do czasu jej palce opadały na jego talerz niczym ptak drapieżny, zagarniały jakiś kęs i czule unosiły do ust Omprakasha. Żaden posiłek nie był kompletny, jeśli nie nakarmiła go własnymi rękami.

Roopa także napawała się widokiem posilającego się, przeżuującego wnuka. Siedziała jak arbiter, sięgając, by zetrzeć okruch z kącika jego ust, dokładając mu na talerz, podsuwając szklanekę lassi^[85]. Na jej pomarszczonej twarzy pojawiał się uśmiech, a ostre światło jej pamięci omiatało z migotem nocie ciemne choć oko wykol, przed wielu laty, kiedy zakradała się na terytorium wroga po przysmaki dla Ishvara i Narayana.

Siostry Omprakasha były niemymi widzami posiłkowego rytuału. Przyglądały mu się zazdrośnie, ale wiedziały, że nie warto protestować czy upominać się o nieco uwagi. W rzadkich chwilach, gdy nikogo nie było w pobliżu, Omprakash

dzielił się z nimi frykasami. Częściej jednak, gdy zapadła noc, obie dziewczynki popłakiwały cichutko w swoich łóżkach.

•

O zmierzchu Narayan siedział na ganku, trzymając na kolanach wiekowe stopy swego ojca, i masował popękane, znużone podeszwy. Omprakash miał teraz czternaście lat i oczekiwano, że nazajutrz zjawi się z tygodniową wizytą.

– Ach! – westchnął Dukhi z rozkoszą, po czym spytał Narayana, czy zajrzał do nowonarodzonego cielęcia.

Nie otrzymał odpowiedzi. Powtórzył pytanie, trącając Narayana paluchem w klatkę piersiową.

– Synu, słuchasz mnie?

– Tak, bapa, zamyśliłem się tylko.

Podjął na nowo masaż, gapiąc się w zmierzch. Jego palce pracowały ze wzmożonym wigorem, by zrekompensować ojcu milczenie.

– Co się dzieje, co cię trapi?

– Tak sobie myślałem... myślałem o tym, że nic się nie zmienia. Lata lecą i nic się nie zmienia.

Dukhi westchnął ponownie, lecz tym razem nie z rozkoszą.

– Jak możesz tak mówić? Tyle rzeczy się zmieniło. Twoje życie, moje życie. Twój zawód, ze skóry na płótno. Popatrz na swój dom, popatrz na...

– Tak, te rzeczy owszem. Ale co z ważniejszymi sprawami? Rząd wprowadza nowe prawa, mówi, że koniec z niedotykalnością, a wszystko zostaje po staremu. Sukinsyny z wyższych kast nadal traktują nas jak zwierzęta.

– Te sprawy potrzebują czasu.

– Od uzyskania niepodległości minęło ponad dwadzieścia lat. Ile jeszcze trzeba czekać? Chcę móc się napić z wioskowej studni, modlić się w świątyni, chodzić, gdzie mi się podoba.

Dukhi zdjął stopę z kolan Narayana. Przypominał sobie własne wyzwanie rzucone systemowi kastowemu, kiedy posłał swych małych synów do Ashrafa. Słowa Narayana napęłniły go dumą, ale także strachem.

– Synu, niebezpiecznie jest chcieć takich rzeczy. Zmieniłeś się z ćamara w krawca. Niech cię to zadowoli.

Narayan potrząsnął głową.

– To było twoje zwycięstwo.

Zaczął ponownie masować stopy ojcu. Wokół nich gęstniał zmierzch. W domu uszczęśliwiona Radha czyniła przygotowania na przyjazd syna. Niebawem wniosła na ganek lampę. W mgnieniu oka zleciała się do niej chmara muszek. Później brązowa ćma zjawiała się na swą schadzkę ze światłem. Dukhi patrzył, jak

bije kruchymi skrzydełkami, starając się pokonać szklany klosz.

•

Tego tygodnia odbywały się wybory parlamentarne i dystrykt przeżywał obłęzenie polityków, propagandziarzy i pochlebców. Jak zwykle mieszanina partii politycznych i wykonywane przez nie przedwyborcze łamańce zapewniły wiosce kawał zdrowej rozrywki.

Niektórzy gderali, że człowiek nie może się porządnie nacieszyć tym wszystkim, bo gorące powietrze pali w płucach – rząd powinien był poczekać do pory deszczowej. Narayan i Dukhi wybrali się na wiece z przyjaciółmi i zabrali ze sobą Omprakasha, żeby przyjrzał się zabawie. Roopa i Radha krzywo patrzyły na ten czas wykradziony z krótkiej wizyty chłopca.

Mówcy obficie szafowali obietnicami wszelkich kształtów i rozmiarów: obietnicami nowych szkół, czystej wody i opieki zdrowotnej; obietnicami ziemi dla bezrolnych chłopów dzięki redystrybucji i bardziej rygorystycznemu egzekwowaniu postanowień reformy rolnej; obietnicami potężnych praw mających karać wszelką dyskryminację i prześladowanie kast zacofanych przez wyższe; obietnicami zniesienia pańszczyzny, pracy nieletnich, sati, posagów, małżeństw dziecięcych.

– Prawa naszego kraju muszą się często dublować – powiedział Dukhi. – Zawsze w trakcie wyborów mówią o uchwaleniu tych samych praw co dwadzieścia lat wcześniej. Ktoś powinien im przypomnieć, że dobrze by było, gdyby ich przestrzegali.

– Dla polityków prawa są płynne jak woda – powiedział Narayan. – I tak jak woda na koniec lądują w ścieku.

W dniu wyborów uprawnieni do głosowania mieszkańcy wioski ustawili się w kolejce przed komisją wyborczą. Jak zwykle nadzór nad procesem głosowania objął Thakur Dharamsi. Jego system, przy wsparciu innych właścicieli ziemskich, przez lata działał bez zarzutu.

Komisarzowi do spraw wyborów wręczono podarki, a potem odprowadzono go na biesiadne przyjemności. Drzwi otworzono i głosujący wyspali się do środka.

– Przygotować kciuki! – zawołał strażnik nadzorujący kolejkę.

Głosujący usłuchali. Siedzący za biurkiem urzędnik odkorkował buteleczkę i mazał każdy wyciągnięty palec czarnym, niezmywalnym atramentem, by uniemożliwić oszustwa.

– Teraz przykładajcie palce tutaj – powiedział urzędnik.

Pozostawiali na spisie odciski kciuków, by potwierdzić, że zagłosowali, po czym odchodzili.

Następnie ludzie na usługach obszarników wypełnili puste karty do głosowania. Komisarz do spraw wyborów wrócił w porze zamknięcia lokalu, by nadzorować przewóz urn do punktu zliczania głosów oraz by zaświadczyć, że głosowanie przebiegło uczciwie i demokratycznie.

Czasami temperatura wzrastała, kiedy rywalizujący obszarnicy dystryktu nie potrafili dogadać się między sobą i popierali różnych kandydatów. Wówczas do walki stawały ich bandy. Naturalnie do wyboru swojego kandydata doprowadzał ten, któremu udało się wziąć szturmem największą liczbę punktów wyborczych i wypchać głosami jak najwięcej urn.

Tego roku jednak obyło się bez bójek i bitew z użyciem broni palnej. W sumie był to okropny dzień i Omprakash w przygnębieniu wracał do domu w towarzystwie ojca i dziadka. Nazajutrz miał wracać do Pracowni Krawieckiej Muzaffar. Tydzień upłynął stanowczo za szybko.

Usiedli na łóżku przed domem, ciesząc się wieczornym powietrzem, Omprakash poszedł, by przynieść im wodę. Drzewa rozbrzmiewały gorączkowym ptasim śpiewem.

– Na następnych wyborach sam wypełnię kartkę do głosowania – oświadczył Narayan.

– Nie pozwolą ci – odparł Dukhi. – I po co sobie zawracać głowę? Myślisz, że to coś zmieni? Twój gest będzie wiadrem wylanym w studnię głębszą niż stulecia. Nikt nie usłyszy, ani nie zobaczy plusku wody.

– To nic, mam do tego prawo. I przyrzekam ci, że przy najbliższych wyborach skorzystam z niego.

– Ostatnimi czasy coś za dużo rozmyślasz o prawach. Porzuć ten niebezpieczny zwyczaj. – Dukhi przerwał, by rozbić kolumnę czerwonych mrówek maszerujących w stronę nogi łóżka. Rozpierzchły się na wszystkie strony. – Załóżmy, że sam postawisz znaczek. Myślisz, że nie mogą otworzyć urny i zniszczyć głosów, które im nie pasują?

– Nie mogą. Komisarz do spraw wyborów musi się rozliczyć z każdego papierka.

– Daj sobie z tym spokój. To strata czasu – a czas to życie.

– Życie bez godności jest bezwartościowe.

Czerwone mrówki przegrupowały się, choć było zbyt ciemno, by Dukhi to zauważył. Roopa wyniosła lampę na tonący w zmięczeniu ganek i momentalnie zapełniła go cieniami. Zapach dymu z palonego drewna osiadł na jej ubraniach. Zatrzymała się na chwilę pośród ciszy, wpatrując się w twarz męża.

•

– Rząd nie ma za nic pomysłu – uskarżali się ludzie na wybory do

parlamentu stanowego. – Wcale a wcale. Zły miesiąc wybrali. Ziemia wysuszona na wiór, powietrze płonie, kto ma czas myśleć o głosowaniu? Dwa lata temu zrobili ten sam błąd.

Narayan nie zapomniał obietnicy złożonej ojcu przed dwoma laty. Tego ranka samotnie wybrał się, by oddać głos. Frekwencja była mizerna. Kolejka obdartusów krążyła pod drzwiami szkoły, w której zaimprovizowano lokal wyborczy. W środku zapach kredy i nieświeżego jedzenia przypominał mu dzień, kiedy był małym chłopcem, kiedy on i Ishvar otrzymali lanie od nauczyciela za dotykane tabliczek i książek dzieci z wyższej kasty.

Przełknął strach i poprosił o kartę do głosowania.

– Nie, nie trzeba – wyjaśnił mężczyzna siedzący za stołem. – Wystarczy, że odciśniesz kciuk, my się zajmiemy resztą.

– Odcisk kciuka? Podpiszę się pełnym imieniem. Jak dacie mi mój papier do głosowania.

– Właśnie, dajcie nam papier – poparło Narayana dwóch mężczyzn, którzy stali za nim w ogonku. – My też chcemy postawić nasze znaki.

– Nie możemy, nie dostaliśmy dyspozycji.

– Nie potrzebujecie dyspozycji. Mamy do tego prawo jako wyborcy.

Członkowie komisji poszeptali między sobą.

– W porządku – odpowiedzieli, a jeden z nich wyszedł z lokalu wyborczego.

Powrócił niebawem w otoczeniu około dziesięciu mężczyzn. Towarzyszył im Thakur Dharamsi, ten sam, który szesnaście lat wcześniej zakazał muzykom grać na weselu Narayana.

– Co się dzieje? O co chodzi? – spytał głośno, stojąc na progu.

Przez drzwi wskazali mu Narayana.

– Ach tak – mruknął Thakur Dharamsi. – Powinienem był się domyślić. A dwaj pozostali to kto?

Jego przyboczny nie znał ich imion.

– Mniejsza z tym – rzekł Thakur Dharamsi. Wraz ze swoją świtą wszedł do środka, w izbie zrobiło się bardzo tłoczno. Otarł czoło i podsunął Narayanowi wilgotną dłoń pod nos. – W taki upalny dzień zmuszasz mnie, żebym wychodził z domu i się pocił. Próbujesz mnie upokorzyć? Nie masz nic do uszycia? Albo krowy, żeby ją otruć i obdrzeć ze skóry?

– Odejdziemy, gdy tylko oddamy głosy – odpowiedział Narayan. – To nasze prawo.

Thakur Dharamsi zaśmiał się, a jego świta zawtórowała mu z aprobatą. Przestali, kiedy i on przestał.

– Dosyć żartów. Odciśnijcie kciuki i wynoście się stąd.

– Najpierw zagłosujemy.

Tym razem nie roześmiał się tylko uniósł dłoń, jak gdyby na pożegnanie, i wyszedł z pomieszczenia. Mężczyźni pochwycili Narayana i dwóch pozostałych. Siłą przycisnęli im palce do podkładki nasączonej atramentem i dokończyli rejestrację. Thakur Dharamsi szepnął swemu przybocznemu, by całą trójkę zaprowadzić do jego gospodarstwa.

•

Zawiśli za kostki nadzy z gałęzi banianu. Przez cały dzień chłostano ich z przerwami. Przytomność opuszczała ich i powracała, ich krzyki słabły. Małe wnuczeta Thakura Dharamsiego zamknięto w domu.

– Odrabiajcie lekcje – powiedział im. – Poczytajcie sobie książki albo wyjmijcie zabawki. Pobawcie się tą ładną nową kolejką, którą wam kupiłem.

– Ale dziś jest wolny dzień – prosili. – Chcemy się bawić na dworze.

– Nie dzisiaj. Tam na zewnątrz są źli ludzie.

Odgonił ich od okien wychodzących na tył domu.

Na odległym polu jego ludzie oddawali mocz na trzy zwisające nad ziemią twarze. Wysuszone, półprzytomne usta wdzięczne za wilgoć w omdleniu zlizywały skapujące krople ze słabowitym zapachem. Thakur Dharamsi przestrzegł swoich najemników, że na razie wieść nie powinna się rozejść, zwłaszcza nie do osady w dole rzeki. Mogłoby się to przyczynić do zerwania wyborów i zmusić komisję wyborczą do unieważnienia głosowania, co oznaczałoby zmarnowanie pracy wielu tygodni.

Wieczorem, kiedy urny zostały wywiezione, trójce mężczyzn przyłożono do genitaliów rozpalone węgle, następnie włożono im je do ust. Ich wrzaski rozlegały się w całej wiosce, póki żar nie wytopił im języków i warg. Milczące, nieruchome ciała zdjęto z drzewa. Kiedy zaczęli się poruszać, liny z kostek zawiązano im wokół szyi i trzej mężczyźni zostali powieszani. Ich ciała wystawiono na widok publiczny na wiejskim rynku.

Zbirów Thakura Dharamsiego, wolnych już od obowiązków wyborczych, poszczuto na niższe kasty.

– Chcę, by niedotykalni dostali nauczkę – powiedział do swoich ludzi, rozdzielając między nich alkohol przed następnym zadaniem. – Chcę, by to się odbyło jak za dawnych czasów, kiedy w naszym społeczeństwie panowały szacunek, dyscyplina i porządek. I miejcie oko na dom tego krawca-ćamara, dopilnujcie, by nikt się nie wymknął.

Bandyci ruszyli w stronę osiedla niedotykalnych. Po drodze bili na ulicy przypadkowych przechodniów, obdarli z ubrań kilka kobiet, inne zgwałcili, spalili parę chat. Wieść o pogromie rozeszła się szybko. Ludzie kryli się, czekając aż burza przeminie.

– Dobrze – powiedział Thakur Dharamsi, gdy zapadła noc i doniesiono mu o sukcesach jego ludzi. – Sądzę, że zapamiętają to na długo. – Rozkazał, by ciała dwóch bezimiennych osobników porzucono na brzegu rzeki, żeby ich krewni mogli je odzyskać. – Mam miękkie serce dla tych dwóch rodzin, kimkolwiek są – powiedział. – Dostyc wycierpieli. Niech wolno im będzie opłakać i spalić synów na pogrzebowym stosie.

Dla nich kara była dostateczna, lecz nie dla rodziny Narayana.

– On nie zasługuje na porządny stos pogrzebowy – rzekł Thakur Dharamsi. – A ojciec zawinił ciężiej niż syn. W swojej bucie wystąpił przeciw wszystkiemu, co stanowi dla nas świętość.

Dukhi ośmielił się obrócić wniwecz dzieło stuleci: szewców zmienił w krawców, zakłócając ponadczasową równowagę społeczną. Przekraczanie granicy kasty należy karać z najwyższą surowością, orzekł Thakur.

– Złapcie ich wszystkich: rodziców, żonę, dzieci – rozkazał swoim ludziom. – Dopilnujcie, by nikt nie uciekł.

Kiedy zbiry włamywały się do domu Narayana, Amba, Pyari i Savitri krzyczały z ganku, by zostawić ich przyjaciół w spokoju.

– Czemu ich prześladowacie? Nie zrobili nic złego!

Rodziny kobiet odciągnęły je, zatrwożone o ich bezpieczeństwo. Sąsiedzi nie wazyli się nawet wyrzeć na zewnątrz i ze wstydem i lękiem kulili się w swoich chatach, modląc się, by noc minęła szybko, nie pochłaniając więcej niewinnych istnień. Chhotu i Dayaram próbowali wymknąć się po pomoc do komisarza policji regionu, ale dopadnięto ich i zadźgano.

Dukhiego, Roorę, Radhę i córki związane i zawleczono do głównej izby.

– Brakuje dwóch – powiedział Thakur Dharamsi. – Syna i wnuka. – Ktoś poszedł zasięgnąć języka i poinformował go, że poszukiwani mieszkają w mieście. – Mniejsza z tym, ta piątka wystarczy.

Wniesiono okaleczone zwłoki i ułożono przed jeńcami. W pokoju było ciemno. Thakur Dharamsi posłał po lampę, by rodzina mogła popatrzeć.

Światło rozdarło łaskawy płaszcz ciemności. Twarz nagiego trupa była wypaloną i krwawą plamą. Jedyne czerwone znamię na klatce piersiowej pozwoliło im rozpoznać Narayana.

Z gardła Radhy wydarł się przeciągły skowyt, lecz wkrótce odgłosy żalu zmieszały się z dźwiękami agonii: dom podpalono. Pierwsze płomienie liznęły ciała pojmanych. Suche podmuchy wiatru, wściekle podsycające ogień, okazały jedyną isierkę miłosierdzia tej nocy. Ogień prędko ogarnął całą szóstkę.

•

Kiedy wieść o zbrodni dotarła do miasteczka, do Ishvara i Omprakasha,

popioły już ostygły, a zwęglone kości pogruchotano i wrzucono do rzeki. Ćaci Mumtaz tuliła do siebie Omprakasha, gdy Ashraf poszedł z Ishvarem na posterunek policji, by złożyć zeznania.

Podinspektorowi dolegał ból ucha, toteż co chwila dłubał w nim małym palcem. Trudno mu było się skupić.

– Jak imię? Przeliteruj jeszcze raz. Powoli.

Aby wkupić się w łaski przedstawiciela władzy, Ashraf polecił mu domowe panaceum, choć w środku kipiał gniewem i miał ochotę strzelić faceta w pysk, żeby zaczął uważać.

– Ciepła oliwa przyniesie panu ulgę – powiedział. – Moja matka mi to podawała.

– Naprawdę? Ile? Dwie krople? Trzy?

Następnie policjanci z wielką niechęcią wybrali się na miejsce tragedii, by zweryfikować zeznania. W swoim raporcie podali, że nie znaleziono nic, co mogłoby posłużyć za podstawę do oskarżeń o podpalenie i morderstwo.

Podinspektor rozgniewał się na Ishvara.

– Co to za łajdactwa? Składasz kłamliwe zeznania? Parszywi niedotykalni, nic tylko kłopoty z wami! Wynoś się stąd, zanim cię oskarżę o zakłócanie porządku publicznego.

Ishvar był zbyt wstrząśnięty, by zaprotestować. Spojrzał na Ashrafa, który próbował interweniować. Podinspektor przerwał mu nieuprzejmie:

– To nie dotyczy twojej grupy. My się nie wtrącamy, kiedy wy, muzułmanie, obgadujecie swoje sprawy z waszymi mułłami, tak czy nie?

Przez następne dwa dni zdruzgotany swoją bezsilnością Ashraf nie otwierał pracowni. Oboje z Mumtaz nie ośmielali się pocieszać Omprakasha i Ishvara – jakich słów użyć wobec takiej straty, wobec tak niepomiernej niesprawiedliwości? Jedyne, co mogli zrobić, to płakać razem z nimi. Trzeciego dnia Ishvar poprosił go, by otworzył pracownię, i zaczęli znowu szyc.

•

– Zbiorę małą armię ćamarów, uzbroję ich i pomaszerujemy na domy właścicieli ziemskich – odgrażał się Omprakash, a jego maszyna do szycia wirowała w zawrotnym tempie. – Zrobimy tak jak naksalici. – Z głową pochyloną nad szyciem opisywał Ishvarowi i ćaci Ashrafowi strategie stosowane podczas chłopskich powstań na północnym wschodzie kraju. – Na koniec obetniemy im głowy, nabijemy na tyczki i wystawimy na rynku. Już nigdy nie odważą się prześladować naszych ludzi.

Ishvar pozwolił mu snuć myśli o zemście. W pierwszym odruchu zareagował tak samo; jak mógł winić bratanka? Ręce łatwo było zająć szyciem, lecz

udręczony umysł nie chciał wyzwolić się z gorączki.

– Powiedz no mi, Om, skąd tyle o tym wiesz?

– Czytałem w gazetach. A zresztą, tak na zdrowy rozum, to widać to jak na dłoni. W każdej rodzinie z niskiej kasty jest ktoś, kogo skrzywdzili zamindarowie. Chętnie się zemszczą, to na pewno. Zmasakrujemy thakurów i ich zbirów. I tych diabelskich policjantów.

– A potem co? – spytał łagodnie Ishvar, kiedy uznał, że nadeszła pora, by myśli jego bratanka odwróciły się od śmierci ku życiu. – Wezmą cię do sądu i powieszają.

– Wszystko mi jedno. I tak bym nie żył, gdybym mieszkał z rodzicami, zamiast siedzieć bezpiecznie w tej pracowni.

– Om, moje dziecko – powiedział Ashraf. – Nie do nas należy troska o zemstę. Mordercy zostaną ukarani. Inszallah, na tym świecie lub w następnym. Może już zostali, kto wie?

– Racja, ćaća-dzi, kto wie? – powtórzył sarkastycznie Omprakash i poszedł do łóżka.

Po tamtej potwornej nocy sprzed sześciu miesięcy Ishvar za namową Ashrafa zrezygnował z lokum, które wynajmowali. Wszystkie córki wyszły za mąż i wyprowadziły się, toteż, twierdził Ashraf, w domu było wiele miejsca. Podzielił pokój nad pracownią – połowę przeznaczył dla siebie i Mumtaz, drugą dla Ishvara i jego bratanka.

Usłyszeli, jak Omprakash krząta się na górze, przygotowując się do snu. Mumtaz modliła się w izbie od podwórza.

– Niech sobie gada o zemście, póki to wszystko kończy się na gadaniu – powiedział Ishvar. – Ale co jeśli wróci do wioski i zrobi coś głupiego?

Godzinami gnębili się i zamartwiali przyszłością chłopca, później weszli na górę, by udać się na spoczynek. Ashraf wszedł z Ishvarem za przepierzenie, za którym spał Omprakash i przez chwilę stali razem, przypatrując mu się.

– Biedny dzieciak – szepnął Ashraf. – Tyle się nacierpiał. Jak mu pomóc?

Odpowiedź nadeszła w swoim czasie za sprawą podupadającej kondycji Pracowni Krawieckiej Muzaffar.

•

Od rzezi upłynął rok, kiedy w miasteczku otworzono sklep konfekcyjny. Wkrótce lista klientów Ashrafa zaczęła się kurczyć.

Ishvar pocieszał, że to tymczasowa strata.

– Duży nowy sklep, a w nim sterty koszul, w których można przebierać – to przyciąga klientów. Ale zdrajcy wrócą, kiedy nowinki utracą blask i okaże się, że ubrania źle leżą.

Ashraf nie podzielał jego optymizmu.

– Te niskie ceny nas wykończą. Produkują ubrania na setki w dużych fabrykach, w miastach. Jak mamy z nimi rywalizować?

Niebawem dwaj krawcy i czeladnik mogli mówić o szczęściu, jeśli przepracowali bodaj jeden dzień w tygodniu.

– Dziwne – zastanawiał się Ashraf. – Coś, czego nigdy nawet nie widziałem, rujnuje interes, który prowadzę od czterdziestu lat.

– Przecież widział stryj sklep konfekcyjny.

– Mam na myśli fabryki w miastach. Jak duże są? Do kogo należą? Ile tam płacą? Nie wiem nic poza tym, że nas puszczają z torbami. Może sam na starość będę musiał tam pójść i pracować dla nich.

– Nigdy – odrzekł Ishvar. – Ale może ja powinienem.

– Nikt nigdzie nie jedzie! – Pięść Ashrafa rąbnęła w warsztat. – Podzielimy się tym, co mamy tutaj. To był tylko żart. Naprawdę sądzisz, że mógłbym odprawić moje własne dzieci?

– Proszę się nie denerwować, ćaća-dzi, wiem, że stryj nie miał tego na myśli.

Jednak klienci nadal odpływali do sklepu konfekcyjnego i wkrótce to, co było żartem, stało się przedmiotem poważnych rozważań.

– Jak tak dalej pójdzie, to będziemy tu siedzieć we trzech od rana do wieczora i łapać muchy – powiedział Ashraf. – Dla mnie to bez znaczenia. Ja swoje życie przeżyłem, posmakowałem jego owoców, i tych słodkich, i tych gorzkich. Szkoda mi Oma – zniżył głos. – Może najlepiej dla niego byłoby, gdyby popróbował gdzieś indziej.

– Jeśli on odejdzie, ja muszę iść z nim – powiedział Ishvar. – Ciągle jeszcze jest za młody i zbyt wiele durnych pomysłów kołacze mu się po głowie.

– To nie jego wina, diabeł go judzi. Oczywiście, że musisz być przy nim, teraz jesteś jego ojcem. Moglibyście wyjechać na krótko, to nie musi być na stałe. Rok czy dwa. Pracujcie ciężko, zaróbcie pieniądze i wracajcie.

– Racja. Mówią, że w mieście można się szybko dorobić, tyle tam pracy i możliwości.

– Otóż to. A za te pieniądze możecie tu coś otworzyć po powrocie. Stoisko z betelem, kram z owocami, stragan z zabawkami. A może nawet będziecie sprzedawać konfekcjonowane ubrania, kto wie.

Obaj zaśmiali się na tę myśl, ale uzgodnili, że parę lat poza miasteczkiem najlepiej przysłuży się Omprakashowi.

– Jest tylko jedna przeszkoda – powiedział Ishvar. – Nie znam nikogo w mieście. Jak zacząć?

– Wszystko się ułoży. Mam tam bardzo dobrego znajomego, który pomoże wam znaleźć pracę. Na imię ma Nawaz. Też jest krawcem, ma tam własną pracownię.

Zasiedzieli się do późna, snując plany i wyobrażając sobie nową przyszłość w mieście nad morzem, w mieście pełnym wysokich budynków, cudownych szerokich ulic, pięknych ogrodów oraz milionów ludzi pracujących w pocie czoła i gromadzących majątek.

– Patrzcie tylko, rozochociłem się, jakbym sam wyjeżdżał z wami – żartował Ashraf. – I gdybym był młodszy, to też bym tak zrobił. Samotnie tu się robi. Marzyłem sobie, że ty i Om zostaniecie ze mną do końca moich dni.

– Ale tak będzie – powiedział Ishvar. – Om i ja niedługo wrócimy. Przecież taki jest plan, prawda?

•

Ashraf napisał do swego znajomego, prosząc, by ugościł Ishvara i Omprakasha po przyjeździe i by pomógł im zadomowić się w mieście. Ishvar wypłacił na pocztę swoje oszczędności i nabył bilety na pociąg.

W wieczór przed odjazdem Ashraf podarował im swoje ukochane nożyce krawieckie. Ishvar protestował, że to zbyt wiele.

– Stryjku, od ponad trzydziestu lat nasza rodzina zaznała już od ciebie tyle dobra.

– Cała wieczność wypełniona dobrymi uczynkami nie starczyłaby na odplacenie za to, co ty i Narayan uczyniliście dla mojej rodziny – powiedział Ashraf, przelękając ślinę. – Dalej, spakujcie nożyce do kufra, sprawcie przyjemność starcowi. – Przetarł oczy, ale znowu zaszyły wilgocią. – Pamiętajcie, gdyby coś nie wyszło, zawsze jesteście tu mile widziani.

Ishvar ujął jego dłoń w swoje ręce i położył ją na piersi.

– Może stryj odwiedzi miasto, zanim my wrócimy.

– Inaszallah, zawsze chciałem choć raz wybrać się na hadż^[86], zanim umrę. A wszystkie wielkie statki odpływają z miasta, więc kto wie?

Nazajutrz Mumtaz wstała wcześniej rano, by zaparzyć im herbatę i przygotować prowiant na drogę. Ashraf siedział w milczeniu, kiedy jedli; ta chwila go przerosła. Odezwał się jedynie raz, by zapytać:

– Macie adres Nawaza w kieszeni? Nie zgubicie?

Opróżnili filiżanki, Omprakash zebrał je, by pozmywać.

– Niech stoją – powstrzymała go zapłakana Mumtaz. – Pozmywam później.

Nadeszła pora, by ruszać. Uściskali Ashrafa i Mumtaz, trzykrotnie ucałowali ich w policzki.

– Ech te moje stare oczodoły. Do niczego są – westchnął Ashraf. – Ciągłe z nich cieknie, to choroba.

– A myśmy się zarazili od stryja – powiedział Ishvar, kiedy obaj z Omprakashem ocierali oczy.

Słońce jeszcze nie wstało, gdy podnieśli kufer i maty do spania, i pomaszerowali w stronę torów kolejowych.

•

Była noc, kiedy krawcy dotarli do miasta. Pociąg z jękiem i łoskotem wtoczył się na stację, z głośników zaryczała bełkotliwa zapowiedź. Pasażerowie rozlali się w morzu oczekujących przyjaciół i rodzin. Rozlegały się wrzaski na widok rozpoznanej twarzy, płynęły łzy szczęścia. Peron zmienił się w chaotyczne ludzkie kłębowisko. Kulisi przypuszczali agresywne szturmy celem zaoferowania swoich muskularnych usług.

Ishvar i Omprakash stali bez ruchu na skraju tego chaosu. Poczucie przygody, które z oporami rozkwitło podczas podróży, uwiędło.

– Hai Ram – odezwał się Ishvar, pragnąc widoku znajomej twarzy. – Ale tłum.

– Chodźmy – powiedział Omprakash. Chwycił kufer i napał gwałtownie na barierę z ciał i bagaży, jak gdyby ufał, że gdy ją pokonają, wszystko będzie dobrze – że ziemia obiecana leży za tą ostatnią przeszkodą.

Przekopali się przez peron i wynurzyli w olbrzymiej hali dworcowej o sufitach wysokich jak nieboskłon i nieprawdopodobnych kolumnach sięgających w górę niczym drzewa. Kręcili się po niej w oszołomieniu, dopytując i prosząc o pomoc. Ludzie wyrzucali z siebie pośpieszne odpowiedzi na ich pytania lub pokazywali kierunek, a oni kiwali z wdzięcznością głowami, lecz niczego się nie dowiedzieli. Godzinę zajęło im odkrycie, że by dotrzeć do znajomego Ashrafa, muszą wsiąść w lokalny pociąg. Przejazd potrwał dwadzieścia minut.

Zapytali kogoś o drogę, wskazał im właściwy kierunek. Pracownia połączona z mieszkaniem znajdowała się o dziesięć minut piechotą od stacji. Chodniki były zasłane śpiącymi. Mdłe, żółtawe światło latarni spadało jak farbowany deszcz na ciała owinięte w łachmany. Omprakashem wstrząsnął dreszcz.

– Wyglądają jak trupy – szepnął. Wbił w nich wzrok, szukając śladów życia – unoszącej się piersi, drżącego palca, drgającej powieki. Ale światło latarni było tak nikłe, że nie dało się w nim dostrzec drobnych ruchów.

W miarę jak zbliżali się do domu znajomego stryjka Ashrafa, ich lęki jeły ustępować uldze. Koszmar podróży miał wkrótce dobiec końca. Żeby dostać się do pracowni, przeszli po desce przerzuconej nad otwartym ściekiem. Stopa Omprakasha omal nie zapadła się w punkcie, gdzie drewno nadgniło. Ishvar chwycił go za łokieć. Zapukali do drzwi.

– Salam alejkum^[87] – powitali Nawaza, wpatrując się w niego z wyrazem twarzy, z jakim przystoi patrzeć na dobrodzieja.

Nawaz ledwie odwzajemnił pozdrowienie. Udawał, że nic nie wie o ich przyjeździe. Zaprzeczał wiele razy, by w końcu przyznać, że dostał list od Ashrafa

i niechętnie zgodzić się, by kilka nocy przespali pod płóciennym daszkiem od strony kuchennego okna, dopóki nie znajdą mieszkania.

– Robię to tylko ze względu na Ashrafa – podkreślił. – Rzecz w tym, że moja rodzina ledwo się tu mieści.

– Dziękujemy, Nawaz-bhai – powiedział Ishvar. – To tylko na parę dni, dziękujemy.

Poczuli zapach jada, ale gospodarz nie zaprosił ich na kolację. Znaleźli kran przed budynkiem, umyli ręce i twarze, napili się, czerpiąc wodę złożonymi dłońmi. Światło z domu wylewało się przez kuchenne okno. Zasiedli pod nim i, nasłuchując odgłosów z okolicznych domów, zjedli do końca ćapati, które spakowała dla nich ćaci Mumtaz.

Ziemia pod daszkiem była zasłana liśćmi, obierkami z ziemniaków, pestkami z niezidentyfikowanych owoców i ościami; leżały tam też dwie rybie głowy o pustych oczodołach.

– Jak będziemy tu spać? – powiedział Omprakash. – Strasznie tu brudno.

Rozejrzał się i obok tylnych drzwi domu Nawaza wypatrzył miotłę opartą o rynnę. Pożyczył ją sobie, zmiotł na bok śmieci, gdy tymczasem Ishvar przyniósł kilka kubków wody i spryskał ziemię, zanim przejechali po niej drugi raz miotłą.

Hałas ściągnął Nawaza, który przyszedł zbadać, co się dzieje.

– Co, nie dość dobre dla was to miejsce? Nikt wam nie każe tu zostawać.

– Nie, nie, jest świetne – odpowiedział Ishvar. – Tylko trochę sprzątaliśmy.

– To należy do mnie – wskazał miotłę.

– Tak, my...

– Rzecz w tym, że musicie się zapytać, zanim coś weźmiecie – warknął i wszedł do środka.

Poczekali, aż ziemia pod daszkiem przeschnie, po czym rozwinęli swoje maty i koce. Z sąsiednich budynków dochodził gwar. Ryczały radioodbiorniki. Mężczyzna darł się na kobietę i bił ją, przestawał na chwilę, kiedy wołała o pomoc, potem zaczynał na nowo. Jakiś pijak miotał przekleństwa, naśmiewano się z niego gromko. Pomruk ruchu ulicznego nie ustawał. Omprakasha zaciekawiała migotliwa poświata w jednym z okien. Podniósł się i zajrzał do środka. Gestem przywołał Ishvara, by podszedł i popatrzył.

– Durdarśan^[88]! – szepnął z podnieceniem. Po minucie czy dwóch ktoś z mieszkania zobaczył, jak wgapiają się w telewizor i kazał im się wynosić.

Wrócili na swoje posłania. Spało im się źle. Raz obudził ich skowyt, który brzmiał, jak gdyby gdzieś zarzynano zwierzę.

•

Z domu nie dobiegło zaproszenie na poranną herbatę, co Omprakash uznał za

bardzo obraźliwe.

– W mieście panują inne zwyczaje – powiedział Ishvar.

Umyli się, napili wody i czekali na zewnątrz, aż Nawaz otworzy pracownię. Zobaczył ich na schodach, jak wyciągają szyje, próbując zajrzeć do środka.

– Tak? O co chodzi?

– Przepraszam, że zawracamy głowę, ale czy wie pan, że też jesteśmy krawcami? – spytał Ishvar. – Czy możemy szyć u pana? U pana w pracowni? Ćaća Ashraf powiedział nam...

– Rzecz w tym, że jest za mało pracy – odparł Nawaz, jednocześnie wycofując się do środka. – Będziecie musieli poszukać roboty gdzie indziej.

Na schodach przed domem Ishvar i Omprakash zastanawiali się na głos, czy to cała pomoc, jaką otrzymają od Nawaza. On jednak wrócił po minucie, przyniósł im kawałek papieru i ołówek, i podyktował nazwy pracowni krawieckich oraz instrukcje, jak tam dotrzeć. Podziękowali mu za radę.

– A tak swoją drogą – zagadnął Ishvar – ostatniej nocy słyszeliśmy jakieś straszne krzyki. Wie pan, co się stało?

– To ci bezdomni. Jeden typ zajął miejsce innego. No to wzięli cegłę i rozwalili mu głowę. To zwierzęta, ot co. – Powrócił do pracy, a krawcy ruszyli w miasto.

Zatrzymali się na herbatę przy straganie na rogu ulicy, a następnie spędzili upiorny dzień, na próżno usiłując odnaleźć podane adresy. Czasem brakowało tabliczek z nazwami ulic lub zasłaniały je plakaty wyborcze albo reklamowe. Musieli często przystawać, by pytać sklepikarzy i domokrażców o drogę.

Próbowali przestrzegać nakazu widniejącego na kilku afiszach: „Piesi! Idźcie chodnikiem!”, ale było to trudne z powodu handlarzy, którzy rozstawili tam swoje stoiska. Szli więc razem z innymi jezdnią, przerażeni samochodami i autobusami, dziwując się tłumowi, który zwinnie przebijał się przez ruch uliczny, z niezawodnym instynktem usuwając się z drogi, kiedy sytuacja tego wymagała.

– Kwestia wprawy – orzekł Om z miną starego wygi.

– Wprawy w czym? W zabijaniu czy dawaniu się zabić? Nie strugaj mądrali, bo coś cię przejedzie.

Ale jedyny wypadek, jaki im było dane zobaczyć tego dnia, wydarzył się z udziałem ręcznego wózka: lina zabezpieczająca stertę pudeł trzasnęła i towar wyładował na ziemi. Pomogli tragarzowi ponownie załadować wózek.

– Co w nich jest? – zapytał Om, zaintrygowany grzechotaniem.

– Kości – odparł mężczyzna.

– Kości krów? Byków?

– Kości ludzi, takich jak ty czy ja. Na eksport. To wielki biznes.

Odczuli ulgę, kiedy wózek odjechał.

– Gdybym wiedział, co jest w środku, nigdy bym się nie zatrzymał, żeby pomóc

– powiedział Ishvar.

Nadszedł wieczór. Lista adresów została wyczerpana, ale nie było ani pracy, ani nadziei. Próbowali wrócić do pracowni Nawaza. Choć rano pokonali tę samą trasę, teraz nic nie wydawało się znajome. A może wszystko wyglądało tak samo. Tak czy owak byli zbici z tropu. Gęstniejące ciemności pogorszyły sprawę. Afisze nad kinami, których chcieli użyć w charakterze drogowskazów, powiodły ich na manowce – nagle zrobiło się ich tak wiele. Za plakatem *Bobby’ego* należało skrócić w prawo czy w lewo? Czy to była uliczka z plakatem, na którym Amitabh Bachchan^[89] stał pod gradem kul, kopiąc w twarz wywijającego karabinem maszynowym oprycha? Czy ta, na której posyłał bohaterski uśmiech skromnemu, wiejskiemu dziewczęciu?

Wreszcie, wygłodniali i zmęczeni, odnaleźli ulicę Nawaza i naradzali się, czy kupić coś do jedzenia przed powrotem pod markizę.

– Lepiej nie – zdecydował Ishvar. – Nawaz i jego bibi^[90] będą urażeni, jeśli oczekiwali, że zjemy z nimi dzisiaj. Może wczoraj wieczorem byli po prostu nieprzygotowani.

Kiedy mijali pracownię, ich gospodarz siedział za maszyną do szycia. Pomachali do niego, ale widocznie nie zauważył. Poszli na zaplecze.

– Jestem wykończony – powiedział Omprakash, rozwinął matę i opadł na nią.

Leżąc na plecach, słuchali, jak żona Nawaza uwija się w kuchni. Z kranu płynęła woda, brzęczały szklanki, coś dzwoniło. Usłyszeli wołanie „Miriam!”. Kobieta wyszła z kuchni, ale jej słowa były zbyt ciche, by mogli je posłyszeć. Później od frontu doszedł ich znowu donośny, opryskliwy głos Nawaza:

– Już ci mówiłem, że to niepotrzebne.

– Ale to tylko odrobina herbaty – powiedziała Miriam. Teraz mąż i żona byli oboje w kuchni.

– Haramzadi^[91]! Nie kłóć się ze mną! Powiedziałem „nie”! – Usłyszeli ostry dźwięk wymierzonego policzka, Omprakash podskoczył, z ust Miriam wyrwał się krzyk.

– Niech idą do restauracji! Rzecz w tym, że jak ich będziesz rozpieszczać, to nigdy sobie nie pójda!

Pośród szlochów Miriam na zewnątrz dolatywały jedynie strzępy tego, co mówiła: „Ale dlaczego...”, a potem „...rodzina Ashrafa...”.

– Nie moja – warknął Nawaz.

Krawcy podnieśli się i powędrowali do straganu, przy którym rano przystanęli na herbatę. Pochłonawszy talerz puri-bhadźi^[92], Omprakash powiedział:

– Zastanawiam się tylko, jak to możliwe, że ćaća Ashraf przyjaźni się z kimś tak okropnym.

– Nie wszyscy ludzie są tacy sami, a poza tym lata w mieście musiały odmienić Nawaza. Miejsca zmieniają ludzi. Na lepsze lub na gorsze.

– Może i tak. Ale ćaća Ashraf wstydziłby się, gdyby go teraz słyszał. Szkoda, że nie mamy innego miejsca, żeby się zatrzymać.

– Cierpliwości, Om. To pierwszy dzień. Wkrótce coś znajdziemy.

Ale w ciągu czterech tygodni poszukiwań udało im się przepracować ledwie trzy dni w zakładzie o nazwie Krawiectwo Zaawansowane. Właściciel, mężczyzna imieniem Jeevan, najał ich, żeby wyrobić się na wyznaczony termin. Zlecenie było bardzo proste: dhoti^[93] i koszule, po sto sztuk.

– Na co komu tyle? – zdumiał się Omprakash.

Jeevan ściągnął wargi, trącił je palcem, jak gdyby sprawdzał struny przed strojeniem. Czynił tak zawsze, kiedy miał wygłosić coś, co uważał za istotny komunikat.

– Nie powtarzajcie nikomu: te ubrania są na łapówki.

Zamówił je ktoś startujący w wyborach uzupełniających, wyjaśnił. Kandydat zamierzał rozdać je różnym ważnym osobistościom w swoim okręgu wyborczym.

W Krawiectwie Zaawansowanym mógł się pomieścić tylko jeden krawiec, ale Jeevan miał na zapleczu budulec, dzięki któremu pomieszczenie szybko przekształcono w warsztat dla trzech. Cztery stopy nad ziemią ułożył poziomo deski podtrzymywane na przytwierdzonych do ściany wspornikach, tak że utworzyły prowizoryczną antresolę. Deski były podparte od spodu bambusowymi tyczkami. Następnie wynajął dwie maszyny do szycia, wtaszczył je na górę, a za nimi posłał Ishvara i Omprakasha.

Zasiedli ostrożnie na swoich stołkach.

– Nie bójcie się – uspokajał Jeevan, trącając wargi. – Nic wam się nie stanie, robiłem tak już wiele razy. Spójrzcie, ja pracuję pod wami. Jeśli się zawali, to mnie też zgniecie.

Konstrukcja była chwiejna i trzęsła się mocno, kiedy maszyny pracowały. Przejeżdżające ulicą pojazdy sprawiały, że Ishvar i Omprakash podskakiwali na swoich stołkach. Ich nożyce pobrzękiwały, jeśli gdzieś w budynku trzasnęły drzwi. Ale wkrótce krawcy przywykli do swojej niestabilnej egzystencji.

Po trzech dniach pracy po dwadzieścia godzin dziennie wrócili na stały grunt i brak wibracji wydał im się czymś dziwnym. Podziękowali Jeevanowi, pomogli mu rozmontować stryszek i wycieńczeni wrócili pod markizę Nawaza.

– A teraz pora odpocząć – powiedział Omprakash. – Chcę przespać cały dzień.

Nawaz przychodził kilkakrotnie, by dać wyraz swej dezaprobie, kiedy leżeli, odzyskując siły. Stawał ostentacyjnie w drzwiach od zaplecza, oblekał twarz w wyraz niesmaku lub burczał do Miriam o leniwych nierobach.

– Rzecz w tym, że praca przychodzi tylko do tych, którzy tego naprawdę chcą

– pouczał. – Ci dwaj są do niczego.

Ishvar i Omprakash zbyt byli zmęczeni, aby się obrażać, nie mówiąc o mocniejszych uczuciach. Po dniu spędzonym na regeneracji czekał ich powrót do rutyny: rano wypytywanie o drogę, szukanie pracy aż do wieczora.

– Bóg jeden wie, ile jeszcze będziemy znosić tych nierobów – popłynęła skarga z kuchennego okna. Nawaz nie zadawał sobie trudu ściszenia głosu. – Mówiłem, żebyś odmówiła Ashrafowi, ale gdzie byś tam słuchała.

– Przecież wcale nam nie zawadzają – szepnęła Miriam. – Oni tylko...

– Uważaj, bo mi obetniesz paluch, to ten, który boli!

Ishvar i Omprakash wymienili pytające spojrzenia, a tymczasem Nawaz kontynuował tyradę.

– Rzecz w tym, że gdybym chciał jakichś lokatorów pod markizą na zapleczu, to bym wynajął to lokum za dobre pieniądze. Wiesz, jakie to niebezpieczne, tak ich długo trzymać? Wystarczy, że zgłoszą roszczenia do tego miejsca i lądujemy w sądzie na... auuu! Haramzadi, mówiłem, żebyś uważała! Jak będziesz tak chlastać, to zrobisz ze mnie kalekę!

Krawcy podnieśli się zdumieni.

– Muszę zobaczyć, co tam się dzieje – szepnął Omprakash.

Wspiął się na palcach i zajrzał przez kuchenne okno. Nawaz siedział na krześle ze stopami opartymi na niewysokim stołku. Miriam klęczała przed nim z żyletką i wycinała mu kawałki zrogowaciałej skóry z nagniotków.

Omprakash odsunął się od okna i opisał widok stryjowi. Zaśmiewali się z niego przez dłuższy czas.

– Zastanawiam się tylko, skąd ten ćutija^[94] ma odciski, skoro cały dzień siedzi za maszyną do szycia – powiedział Omprakash.

– Może dużo chodzi we śnie – odrzekł Ishvar.

•

Pewnego ranka, mniej więcej cztery miesiące po przyjeździe, kiedy krawcy spytali Nawaza o radę, ten zaczął na nich wrzeszczeć.

– Co dzień zawracacie mi głowę, kiedy pracuję. To bardzo duże miasto. Zdaje się wam, że znam imiona wszystkich tutejszych krawców? Idźcie i poszukajcie sami, a jak nie możecie znaleźć roboty u krawca, to spróbujcie czegoś innego. Targajcie bagaże na dworcu. Ruszcie głową, noście ryż i zboże dla klientów, co kupują w sklepach na kartki. Zróbcie coś, cokolwiek.

Omprakash spostrzegł, że wybuch wytrącił stryja z równowagi, więc pośpieszył z ripostą:

– Nie mielibyśmy nic przeciwko temu. Ale byłaby to obraza dla ćaci Ashrafa, który uczył nas przez tyle lat i przekazał nam swoje umiejętności.

Nawaz zmieszał się bardzo, słysząc to imię.

– Rzecz w tym, że jestem teraz bardzo zajęty – wymamrotał. – Idźcie, proszę.

Na ulicy Ishvar poklepał bratanka po plecach.

– Sabaś^[95], Om. Nieźle mu przygadałeś. Pierwsza klasa!

– Rzecz w tym – przedrzeźniał Omprakash – rzecz w tym, że ze mnie pierwsza klasa gość.

Roześmiali się i opili swoje zwycięstwo pełnymi do połowy szklaneczkami herbaty na rogu ulicy. Obchody nie potrwały jednak długo, przygaszone realiami ich kurczących się oszczędności. W akcie desperacji Ishvar na dwa tygodnie zgodził się do pracy w warsztacie szewskim, który specjalizował się w szyciu butów na miarę. Jego zadanie polegało na przygotowywaniu skóry na zelówki i obcasy. Aby nadać skórze twardość niezbędną do spełniania tych funkcji, stosowało się garbowanie roślinne. Ishvar znał ten proces z czasów spędzonych na wsi.

Pracę utrzymywali w tajemnicy, bowiem Ishvar wstydził się jej bardzo. Od jego rąk bił silny odór, więc krawiec trzymał się z dala od Nawaza.

Minął kolejny miesiąc, szósty, który spędzali w mieście, a ich perspektywy jawiły się równie ponuro jak zawsze, kiedy pewnego wieczora Nawaz otworzył drzwi od zaplecza i zawołał:

– Wejdźcie, wejdźcie. Napijcie się ze mną herbaty. Miriam! Trzy herbaty!

Podeszli i wsunęli głowy przez drzwi. Zastanawiali się, czy na pewno dobrze usłyszeli.

– Nie stójcie tak, wejdźcie, usiądźcie – powiedział wesoło. – Rzecz w tym, że przyszły dobre wieści. Mam dla was pracę.

– Och, dziękujemy panu! – zawołał Ishvar w przyływie bezgranicznej wdzięczności. – To wspaniała wiadomość! Nie pożałuje pan, będziemy pięknie szyli dla pańskich klientów...

– Nie u mnie – Nawaz opryskliwie uciał radosne uniesienie. – U kogoś innego. – Spróbował znów być miły. Uśmiechnął się i ciągnął: – Wierzcie mi, spodoba wam się ta praca. Zaraz wam więcej powiem. Miriam! Trzy herbaty, powiedziałem! Gdzie ty się podziewasz?

Weszła z trzema szklankami. Ishvar i Omprakash wstali, składając dłonie:

– Salam, bibi. – Nieraz słyszeli wcześniej jej łagodny, aksamitny głos, ale pierwszy raz stanęli z nią twarzą w twarz, choć – mówiąc ściśle – nie do końca, bowiem jej oblicze skrywała czarna burka. W dwóch osłoniętych koronkami wycięciach jarzyły się jej oczy.

– A, dobrze, herbata wreszcie gotowa – powiedział Nawaz. Wskazał miejsce, na którym chciał, by stanęły szklanki, po czym odprawił ją szorstkim machnięciem ręki.

Pociągawszy kilka łyków, wrócił do interesów.

– Dziś po południu, kiedy was nie było, przyszła tu pewna bogata dama, parsyjka. But jej wpadł do ścieku – zachichotał złośliwie. – Rzec w tym, że ona ma wielką firmą eksportową i szuka dwóch dobrych krawców. Nazywa się Dina Dalal i zostawiła dla was swój adres – wyciągnął kartkę z kieszeni koszuli.

– Mówiła, o jakie szycie chodzi?

– Najwyższa jakość, najświeższe fasony. Ale nic trudnego: powiedziała, że zapewniają papierowe wykroje – przyglądał im się niespokojnie. – Pójdziecie, prawda?

– Tak, oczywiście – powiedział Ishvar.

– Dobrze, dobrze. Rzec w tym, że mówiła, że rozdaje te papierki w wielu zakładach, więc wielu krawców się zgłosi. – Na odwrocie kartki zanotował wskazówki dojazdu i nazwę stacji kolejowej, na której należało wysiąść. – Tylko nie zgubcie tego po drodze. Idźcie spać wcześniej i wcześniej wstańcie rano. Ładni, świeżutcy, przytomni, żebyście zdobyli pracę u tej pani.

•

Jak matka popędzająca swoje pociechy w pierwszy dzień szkoły, Nawaz otworzył o brzasku drzwi od zaplecza i obudził ich, potrząsając za ramiona i podsuwając niechętnym powiekom swój szeroki uśmiech.

– Nie powinniście się spóźnić. Jak się umyjecie i przeczyścicie gardła, zajrzyjcie proszę na herbatkę. Miriam! Dwie herbaty dla moich przyjaciół! – Gdy pili, pomrukami udzielał im zachęt, rad i ostrzeżeń. – Rzec w tym, że musicie zrobić dobre wrażenie na tej pani. Ale to nie może brzmieć jak przechwałki. Uprzejmie odpowiadajcie na wszystkie pytania i nigdy jej nie przerywajcie. Nie drapcie się w głowę ani nigdzie indziej – takie eleganckie kobiety jak ona nie znoszą tego. Mówcie pewnie, ale nie podnoście głosu. I weźcie ze sobą grzebyk. Zanim zadzwonicie do drzwi, upewnijcie się, że wyglądacie schludnie i porządnie. Potargane włosy robią bardzo złe wrażenie.

Słuchali skwapliwie, a Omprakash zanotował w pamięci, żeby kupić nowy kieszonkowy grzebyk; stary złamał mu się tydzień wcześniej. Dopili herbatę i Nawaz pośpiesznie wyprawił ich w drogę.

– Khuda hafiz^[96], i wracajcie szybko. Wracajcie zwycięscy.

•

Wrócili po piętnastej i potulnie wyjaśnili zaniepokojonemu Nawazowi, że choć na miejsce dotarli o czasie, to mieli kłopot z odnalezieniem stacji, z której odjeżdżał powrotny pociąg.

– Ale przecież to musiała być ta sama stacja, na której wysiedliście rano.

– Wiem – uśmiechnął się z zakłopotaniem Ishvar. – Nie mam pojęcia, co się stało. To tak daleko, nigdy wcześniej tam nie byliśmy i...

– Mniejsza o to – rzekł wielkodusznie Nawaz. – Nowy cel zawsze zdaje się bardziej odległy niż jest w rzeczywistości.

– Wszystkie ulice wyglądają tak samo. Nawet jak zapytać ludzi, to tłumaczą tak, że człowiek się gubi. Nawet ten miły student, którego spotkaliśmy w pociągu, miał taki sam kłopot.

– Rzecz w tym, że musicie uważać, z kim rozmawiacie. To nie wasza wioska. Miły chłopaczek może was okraść, poderżnąć gardło, zostawić w rynsztoku.

– Tak, ale on był bardzo sympatyczny, nawet podzielił się z nami sorbetem arbuzowym i...

– Dostaliście tę pracę?

– O tak, zaczynamy w poniedziałek.

– To cudownie. Gratuluję! Wejdźcie do środka, usiądźcie, musicie być zmęczeni. Miriam! Trzy herbaty!

– Jest pan zanadto szczodry – powiedział Omprakash. – Zupełnie jak ćaća Ashraf.

Nawaz nie spostrzegł sarkazmu.

– Och, pomaganie przyjaciółom Ashrafa to mój obowiązek. A teraz, kiedy już macie pracę, muszę wam znaleźć mieszkanie.

– Nie ma pośpiechu, Nawaz-bhai – powiedział Ishvar, lekko zaniepokojony. – Bardzo nam się tutaj podoba. Pański daszek jest piękny i bardzo nam pod nim wygodnie.

– Zostawcie to mnie. Rzecz w tym, że w tym mieście znalezienie domu jest prawie niemożliwe. Jak tylko coś się zwalnia, trzeba łapać okazję. Dopijcie herbatę i idziemy.

•

– Ostatni przystanek! – zawołał konduktor, dzwoniąc kasownikiem o chromowaną poręcz. Autobus zatoczył pętlę wokół posepnych rud, zajęczał wchodząc w zakręt i stanął.

– To jest ta nowa kolonia – wyjaśnił Nawaz, wskazując przestrzeń, gdzie trwał proces anektowania pobliskiego pola przez slumsy. – Znajdźmy faceta, który zawiaduje tym przybytkiem.

Weszli pomiędzy dwa rzędy bud i Nawaz spytał o Navalkara. Kobieta wskazała kierunek. Znaleźli go w budzie, która pełniła funkcję jego biura.

– Tak – powiedział Navalkar. – Mamy kilka miejsc do wynajęcia.

Kiedy mówił, z wystudiowaną przesadą strzygł zwieszającymi się nad ustami wiechciami wąsów.

– Chodźcie, pokażę wam.

Cofnęli się między dwoma rzędami bud.

– Jak chcecie, to ten dom na rogu jest wolny – powiedział Navalkar. – Chodźcie, zobaczcie w środku.

Kiedy otwierał drzwi od budy, przez dziurę w tylnej ścianie smyrgnął bezpański pies. Klepisko pod stopami częściowo pokrywały deski.

– Jak chcecie, to możecie położyć więcej desek na ziemi – zasugerował Navalkar.

Ściany były zlepkiem sklejki i blachy, na dachu leżała stara blacha falista, w przerdzewiałych miejscach uszczelniona folią.

– Kran jest na zewnątrz, w środkowej alejce. Bardzo wygodnie. Nie będziecie musieli chodzić po wodę jak w tych podrzędnych koloniach. To ładne miejsce – zakreślił ręką krąg obejmujący pobliskie pole. – Niedawno zasiedlone, nie ma tłumów. Czysz sto rupii. Płatne z góry.

Nawaz zbadał ściany palcami jak lekarz opukujący klatkę piersiową, potem tupnął w deskę podłogową, która zachybotała się pod jego butem. Miną wyraził aprobatę.

– Solidna konstrukcja – szepnął krawcom.

Navalkar pokiwał głową na boki.

– Mamy jeszcze lepsze chaty. Chcecie zobaczyć?

– Spójrzeć nie zawadzi – powiedział Nawaz.

Navalkar poprowadził ich ścieżką biegnącą na tyłach blaszano-plastikowych dźhopadpatti^[97] do skupiska ośmiu chat z cegły. Ich dachy również pokrywała zardzewiała blacha falista.

– Te są po dwieście pięćdziesiąt miesięcznie. Ale w tej cenie macie prawdziwą podłogę i światło elektryczne. – Wskazał na tyczki, które doprowadzały do chat prąd kradziony z zasilania latarni.

Wewnątrz Nawaz zlustrował nagie cegły i podrapał jedną paznokciem kciuka.

– Naprawdę wysoka jakość – chwalił. – Wiecie, co myślę? Na pierwszy miesiąc weźcie tańszy dom. A potem, jak wam dobrze pójdzie w pracy i będzie was stać, przenieście się do tego.

Navalkar w dalszym ciągu kiwał głową. Milczenie krawców speszyło Nawaza.

– O co chodzi, nie podoba wam się?

– Nie, nie, bardzo ładne domy. Tylko z pieniędzmi jest kłopot.

– Każdy ma kłopoty z pieniędzmi – zachnął się Navalkar. – Chyba że jest politykiem albo handluje na czarno.

– Chodzi o te sto rupii zaliczki. W tym szkopuł – powiedział Ishvar, kiedy umilkł wymuszony śmiech.

– Nie macie nawet stu rupii? – spytał Nawaz z niedowierzaniem.

– No bo ta pani od firmy krawieckiej powiedziała, że musimy przynieść własne maszyny i mamy akurat tyle, żeby wpłacić kaucję za wypożyczenie. Przez ostatnie miesiące nie mieliśmy pracy, wydawaliśmy pieniądze i...

– Do niczego jesteście! – prychnął Nawaz, widząc, jak plan pozbycia się ich pada w gruzy. – Tak marnować pieniądze!

– Gdybyśmy mogli zostać u pana odrobinę dłużej – prosił Ishvar – moglibyśmy uskładać dość...

– Wydaje ci się, że ten dom będzie na was czekać? – warknął Nawaz, a Navalkar jak na komendę potrząsnął głową.

Zdesperowany Nawaz zwrócił się ku niemu.

– Szanowny panie Navalkar, czy mógłby pan zrobić wyjątek? Dziś dwadzieścia pięć rupii, wyłożę z własnej kieszeni. Resztę zapłacą krawcy, po dwadzieścia pięć tygodniowo.

Navalkar wyduł wargi, przygryzając wąsy dolnymi siekaczami. Palcami zaczesał do tyłu wilgotne włosy.

– Robię to wyłącznie dla pana. Bo panu ufam.

Nawaz odliczył pieniądze, zanim ktokolwiek zdążyłby zmienić zdanie. Wrócili do pierwszej budy. Tam Navalkar założył kłódkę na drzwi ze sklejki i wręczył Ishvarowi klucz.

– Teraz to wasz dom. Niech wam się dobrze mieszka.

Przeszli przez pole po spękanej ziemi i stanęli na przystanku autobusowym. Krawcy wyglądali na stroskanych.

– Jeszcze raz gratuluję wam i winszuję – powiedział Nawaz. – W ciągu jednego dnia znaleźliście pracę i nowy dom.

– Tylko dzięki pana pomocy – powiedział Ishvar. – Navalkar to właściciel?

Nawaz zaśmiał się.

– Navalkar jest drobnym kanciarzem, który pracuje dla dużego kanciarza. Dla władcy slumsów, co nazywa się Thokray. Kontroluje wszystko w tej okolicy – alkohol pędzony na wsi, haszysz, bhang. A kiedy wybuchają zamieszki, to on decyduje, kto spłonie, a kto będzie żył.

Widząc obawę na twarzy Ishvara, dorzucił:

– Nie musicie mieć z nim do czynienia. Wystarczy, że będziecie regularnie płacić czynsz i wszystko będzie dobrze.

– Ale w takim razie do kogo należy ta ziemia?

– Do nikogo. To tereny miejskie. Ci faceci dają w łapę władzom miejskim, policji, inspektorowi z wydziału wodociągów, szefowi urzędu do spraw elektryczności. I wynajmują takim ludziom jak wy. Nikomu nie dzieje się krzywda. Pusta ziemia leży bezużytecznie – co w tym złego, jeśli bezdomni sobie tu pomieszkają?

•

Ostatniego wieczoru uczucie ulgi zdopingowało Nawaza do większej hojności.

– Proszę, zjedzcie ze mną – zaprosił ich do środka. – Choć raz zróbcie mi ten zaszczyt, zanim odejdziecie. Miriam! Kolacja dla nas trzech!

Dopytywał, czy dobrze im się mieszkało pod daszkiem.

– Jeśli wolicie, możecie spać w środku. Rzecz w tym, że miałem was tam i tak umieścić, kiedy przyjechaliście. Ale pomyślałem sobie: w domu jest tak ciasno i tłoczno, lepiej im będzie na zewnątrz, na świeżym powietrzu.

– O tak, tak, dużo lepiej – powiedział Ishvar. – Musimy panu podziękować za pana dobroć przez tych sześć miesięcy.

– Naprawdę aż tyle się zeszło? Ależ ten czas zleciał.

Miriam podała do stołu i wyszła. Jej twarz skrywała burka, ale Ishvar i Omprakash i tak dostrzegli w jej oczach wstyd za hipokryzję męża.

[42] *Ćamar* – nazwy kast w znaczeniu społeczności zapisano w tekście małą literą, natomiast jako przydomek kastowy (w znaczeniu nazwiska) – wielką.

[43] *Zamindar* – właściciel ziemski.

[44] *Handi* – dzbanuszek.

[45] Prawa Manu – autorytatywny tekst hinduizmu, system praw zawarty w traktacie *Manusmryti*, którego autorem jest mityczny praojciec ludzkości Manu Swajambhuwa; zawiera otrzymane od boga prawdy i reguły mające obowiązywać w społeczeństwie indyjskim.

[46] *Kalijuga* – juga to najmniejsza jednostka cykli (kalpa), przez które zgodnie z tradycją hinduizmu przez całą wieczność przechodzi wszechświat. Cztery wieki – złoty, srebrny, miedziany i żelazny – tworzą wielką jugę. W każdym wieku w miarę upływu czasu stopniowo zmniejsza się pobożność, cnotliwość, moralność, siła, długość życia i szczęście istot żyjących. Kalijuga – wiek żelazny, w którym obecnie żyjemy, jest okresem upadku moralnego.

[47] *Pudża* – obrzęd religijny hindusów, odprawiany przy wielu różnych okazjach, polegający na adoracji wyobrażenia boga i składaniu ofiar.

[48] *Pandit* – uczony.

[49] *Dharma* – sprawiedliwość, moralność, zacność; jedno z ważniejszych pojęć w kulturze indyjskiej, prawo moralne normujące właściwe postępowanie i sposób wywiązywania się z obowiązku wobec siebie i wobec innych.

[50] *Thakur* – dosł. bóstwo, bóg; pan, tu: tytuł nadawany właścicielom ziemskim.

[51] *Bhangi* – sprzątacze, zmiatacze; członek społeczności niedotykalnych.

[52] *Śloka* – strofa.

[53] Mathura – miasto w indyjskim stanie Uttar Pradeś; miejsce narodzin boga Krysny i ośrodek jego kultu.

[54] *Amalaki* – mały owoc używany w ajurwedzie, tradycyjnej medycynie indyjskiej, zawiera duże ilości witamin, zwłaszcza C, minerałów i przeciwutleniaczy.

[55] *Land* – wulgarne określenie penisa.

[56] *Ćut* – wulgarne określenie waginy.

[57] *Bhagwan* (w sanskrycie: *Bhagawan*) – bóg, tu: na boga!

[58] *Ćapati* – podplomyki, cienkie placki z mąki razowej.

[59] *Ana* – indyjska moneta o wartości 1/16 rupii, stosowana do 1957 roku, kiedy w Indiach wprowadzono dziesiętny system walutowy.

[60] *Ahinsa* – niestosowanie przemocy, niekrzywdzenie.

[61] *Ćitpawan* – inaczej *konkanastha*, kasta braminów zamieszkujących głównie Maharasztrę; wyróżniają się jasną karnacją i jasnobrązowym kolorem oczu.

[62] *Warna* – dosł. kolor; później klasa, stan społeczny.

[63] Bramini – cieszący się poważaniem członkowie najwyższego stanu w Indiach – kapłańskiego; ich obowiązkiem było także studiowanie i nauczanie.

[64] Kszatrijowie – członkowie drugiego co do znaczenia stanu; rycerze, wojownicy, klasa rządząca; z ich grona wywodził się najczęściej król.

[65] Wajśjowie – trzeci w hierarchii stan, obejmujący kupców i chłopów.

[66] Śudrowie – stan najniższy, zajmujący bardzo niską pozycję społeczną i religijną w społeczeństwie, jego członkami byli służący, robotnicy najemni, drobni rzemieślnicy.

[67] *Bhagawadgita* – poemat religijno-filozoficzny włączony do VI księgi eposu *Mahabharata*.

[68] *Gu-khawan* – guoznacza odchody, ekskrementy; *khawan* pochodzi od czasownika *khana* – jeść.

[69] *Are bhaija* – Hej, bracie.

[70] *Pudźari* – kapłan.

[71] *Ćaća* – stryjek.

[72] *Bapa* – ojciec, tata.

[73] *Banija* – sklepikarz, handlarz.

[74] *Pathani* – przymiotnik od *Pathan* – Pasztun, członek plemienia zamieszkującego góry na pograniczu Pakistanu i Afganistanu.

[75] *Ćači* – stryjenka.

[76] *Dźaggeri* – nierafinowany, mocno zagęszczony (aż do postaci stałej) sok z trzciny cukrowej i daktyli, używany do wyrobu słodyczy lub słodzenia potraw.

[77] *Ćoli* – bluzeczka noszona pod sari.

[78] *Pagal* – szalony, wariat. *Nawab* – tytuł książąt muzułmańskich w Indiach; tu w znaczeniu: mój szalony pan i władca, czyli mąż.

[79] *Dupatta* – długi cienki szal noszony przez kobiety.

[80] *Inszallah* (arab.) – jeśli Bóg zechce, z Bożą pomocą.

[81] Rama – wcielenie hinduskiego boga Wisznu, bohater sanskryckiej epopei *Ramajana*; Sita – małżonka Ramy, ideał wiernej i cnotliwej żony; Krysna – wcielenie Wisznu, popularny bóg hinduizmu; Lakszmi – hinduska bogini szczęścia i dobrobytu, małżonka Wisznu.

[82] *Namaskar* – hinduskie powitanie.

[83] *Toba, toba* – okrzyk: „O Boże!”, „Na Boga!”.

[84] *Laddu* – indyjskie słodycze w kształcie kulek.

[85] *Lassi* – napój orzeźwiający z jogurtu, wody i przypraw, czasem na słodko z owocami.

[86] *Hadż* – pielgrzymka do Mekki, którą pobożny muzułmanin powinien odbyć przynajmniej raz w życiu. Jest to jeden z pięciu filarów islamu, czyli podstawowych obowiązków religijnych muzułmanina. Pozostałe z nich to: wyznawanie wiary, modlitwa rytualna, jałmużna i post.

[87] *Salam alejkum* – muzułmańskie powitanie.

[88] *Durdarśan* – telewizja, telewizor.

[89] Amitabh Bachchan (ur. 1942) – jeden z największych gwiazdorów Bollywoodu, popularnego nurtu kina indyjskiego; także producent i prezenter telewizyjny.

[90] *Bibi* – kobieta, żona.

[91] *Haramzadi* – bękart, znajda (r. ż.); wstrętna, nikczemna, podła kobieta.

[92] *Puri-bhadźi* – placki pszenne smażone w głębokim oleju.

[93] *Dhoti* – dolna część ubrania męskiego w Indiach; prostokątny, najczęściej biały, kawałek materiału, który mężczyzna owija sobie wokół bioder, a luźny koniec przeciąga pomiędzy nogami i zakłada z tyłu za pas.

[94] *Ćutija* – od *ćut* (wulgarnego określenia waginy); głupek, kretyn.

[95] *Sabaś* – brawo!

[96] *Khuda hafiz* – muzułmańskie „do widzenia”.

[97] *Dźhopadpatti* – slumsy, budy.

4 DROBNE PRZESZKODY

Lustro, brzytwa, pędzel do golenia, plastikowy kubek, lota^[98] – Ishvar ułożył przedmioty na odwróconym tekturowym pudle w narożniku budy. Kuferek i posłania zajęły większość pozostałej przestrzeni. Ubrania zawiesili na pokrytych rdzą gwoździach sterczących ze sklejkowych ścian.

– Wszystko się ładnie układa. Mamy pracę, mamy dom i niedługo znajdziemy ci żonę.

Om się nie uśmiechnął.

– To miejsce jest okropne – powiedział.

– Chcesz wrócić pod daszek do Nawaza?

– Nie. Chcę wrócić do ćaci Ashrafa i jego pracowni.

– Biedny ćaca Ashraf, opuszczony przez swoich klientów – Ishvar wziął miedziany garnuszek i ruszył w stronę drzwi.

– Ja przyniosę wodę – zaofiarował się Om.

Poszedł do kranu na końcu alejki. Siwowłosa kobieta patrzyła, jak bezskutecznie majstruje przy kurku, żeby puścić strumień. Kopnął w rurę i postukał w końcówkę, wytrząsając z niej parę kropel.

– Nie wiesz, że woda jest tylko rano?! – zawołała kobieta.

Om obrócił się, żeby zobaczyć, kto mówi. Była bardzo niska i stała w słabo oświetlonych drzwiach.

– Wodę puszczają tylko rano – powtórzyła.

– Nikt mi nie powiedział.

– A co ty, dziecko jesteś, że wszystko ci trzeba mówić? – ofuknęła go, wychodząc ze swojego baraku. Teraz zauważył, że nie jest niska, tylko mocno zgarbiona. – Własnego rozumu nie masz?

Omprakash zastanawiał się, w jaki sposób najlepiej zademonstrować swoją inteligencję: ripostując czy odchodząc.

– Chodź – powiedziała i cofnęła się do środka. Om zajrzał przez drzwi, a ona znowu odezwała się, spośród ciemności: – Chcesz czekać przy kranie aż do świtu?

Podniosła pokrywkę pękatego glinianego dzbana i przelała dwie szklanki do miedzianego garnuszka.

– Pamiętaj, musisz zaczerpnąć wcześniej rano. Jak wstaniesz późno, to będziesz chodzić spragniony. Woda nie czeka na nikogo, jak słońce i księżyc.

•

Rankiem, kiedy krawcy wyszli z domu z mydłem i szczotkami do zębów, przed kranem zdążył uformować się już długi ogonek. Z sąsiedniej budy wychynał uśmiechnięty mężczyzna i zagroził im drogę. Był nagi od pasa w górę, a włosy zwieszały mu się do ramion.

– Namaskar – powitał ich. – Nie możecie tak iść.

– Dlaczego?

– Jeśli staniecie przy kranie i będziecie myć zęby, mydlić się, szorować i opłukiwać, to doprowadzicie do wielkiej bójkii. Ludzie chcą napełnić naczynia, zanim woda się skończy.

– Ale co robić? – spytał Ishvar. – Nie mamy wiadra.

– Nie macie? To tylko drobna przeszkoda. – Sąsiad zniknął w chacie i powrócił z ocynkowanym wiadrem. – Możecie go używać, póki sobie nie sprawicie własnego.

– A ty?

– Mam drugie. Jedno mi wystarczy. – Zebrał włosy w kitkę, szarpnął za nie i rozpuścił ponownie. – Dobra, czego jeszcze potrzebujecie? Jakiejś puszkii czy co, żeby się załatwiać?

– Mamy lotę – powiedział Ishvar. – Ale gdzie tu się chodzi?

– Pokażę wam, to niedaleko.

Zaczerpnęli wody, odstawili ciężkie wiadro do baraku, a następnie, wzięwszy lotę, pomaszerowali w stronę torów kolejowych leżących za polem. Woda wychłapywała się z loty, kiedy z mozołem gramolili się przez zwały gruzu i potłuczonego szkła. Między kopcami ciurkał cuchnący, szarawo żółty strumień, a jego gnuśny nurt unosił dryfujące odpady.

– Na prawo – powiedział mężczyzna z długimi włosami. – Lewa strona jest zarezerwowana dla pań.

Podążyli za nim, szczęśliwi, że trafił im się przewodnik; głupio byłoby się pomylić. Z lewej dobiegły ich głosy kobiet, matek poganiających dzieci, by się załatwiały, a razem z nimi smród. Kawałek dalej mężczyźni kucali na szynach lub nad pobliskim rowem, koło kolczastych krzaków i pokrzyw, z plecami zwróconymi ku torom. Rów stanowił przedłużenie przydrożnego ścieku, do którego mieszkańcy osiedla wyrzucali swoje śmieci.

Trójka przybyłych minęła przykucniętych mężczyzn i znalazła odpowiednie miejsce dla siebie.

– Stalowe szyny są bardzo przydatne – powiedział ich sąsiad. – Stanowią podwyższenie. Człowiek jest wyżej nad ziemią i jak gównu się nawarstwia, to mu się nie ociera o cztery litery.

– Znasz wszystkie sztuczki, nie ma co – powiedział Om, kiedy rozpinali spodnie i zajmowali pozycje na torach.

– Człowiek się szybko uczy – wskazał na mężczyzn w krzakach. – Za to kucanie tam może być niebezpieczne. Tam się kręą jadowite stonogi. Wolę nie wystawiać czułych miejsc na ich żer. A poza tym, jak człowiek straci równowagę, to się kończy na dupie naszpikowanej kolcami.

– Mówisz z doświadczenia? – spytał Om, śmiejąc się i balansując na szynie.

– Tak, z doświadczenia innych. Ostrożnie z lotą – przestrzegł. – Jak rozlejecie wodę, to będziecie wracać z zafajdanymi tyłkami.

Ishvar wolałby, żeby tamten uciszył się na chwilę. Facecje nie pomagały mu w spełnieniu zadania, zwłaszcza że jego wnętrze boleśnie reagowały na wspólną toaletę. Minęły dziesiątki lat, odkąd jako dziecko chodził załatwiać się na dworze. Z ojcem, w porannym półmroku, przypominał sobie. Kiedy ptaki były głośne, a wieś cicha. Później mycie w rzece. Ale lata spędzone z ćacą Ashrafem nauczyły go wielkomiejskich zwyczajów, sprawiły, że zapomniał o zwyczajach wioskowych.

– Jest tylko jeden problem z kucaniem na torach – powiedział długowłose sąsiad. – Trzeba zmykać, kiedy nadjeżdża pociąg, nieważne czy się skończyło, czy nie. Kolej nie szanuje naszych sandas^[99] pod gołym niebem.

– Teraz nam to mówisz? – Ishvar wyciągnął szyję, rozglądając się w obie strony.

– Spokojnie, spokojnie. Przez co najmniej dziesięć minut nie ma teraz żadnego pociągu. Poza tym zawsze zdążysz uskoczyć, jak usłyszysz rumor.

– Bardzo dobra rada, pod warunkiem, że człowiek nie jest głuchy – stwierdził cierpko Ishvar. – A jak masz na imię?

– Rajaram.

– Mamy wielkie szczęście, że trafił nam się taki guru – powiedział Om.

– Tak, jestem waszym Gównianym Guru – zarechotał tamten.

Ishvara to nie ubawiło, ale Om parsknął śmiechem.

– Powiedz mi, o wielki Gówniany Guru-dzi, czy powinniśmy kupić rozkład jazdy pociągów, skoro mamy co rano kucać na torach?

– Nie będzie to potrzebne, mój posłuszny uczniu. Za parę dni twoje flaki poznają godziny przejazdów lepiej niż zawiadowca stacji.

Hałas pociągu rozległ się dopiero, kiedy skończyli, obmyli się i zapięli spodnie. Ishvar postanowił, że następnego ranka wymknie się, zanim Rajaram wstanie. Nie miał ochoty kucać obok tego filozofa defekacji.

Kobiety i mężczyźni rozsiani wzdłuż torów porzucili szyny i czekali, aż lokomocyjny przerywnik dobiegnie końca; ci w krzakach nie ruszyli się z miejsca. Rajaram wskazał na wagon z wolna przepływający przed nimi.

– Patrzcie na tych sukinsynów! – krzyknął. – Gapią się, jak ludzie srają, jakby sami nie mieli wnętrzości. Jakby klocek wypadający z dupy był występem cyrkowym.

Wykonał serię obraźliwych gestów w stronę pasażerów, na co część z nich odwróciła głowy. Jeden dla odmiany splunął ze swojego okna, ale przychylny wiatr zawrócił plwocinę do pociągu.

– Szkoda, że nie mogę się wypiąć, wycelować i wystrzelić im w mordy jak rakieta – powiedział Rajaram. – Niech żrą, jeśli tak ich to interesuje – W drodze powrotnej do baraków potrząsał głową. – Takie bezwstydne zachowania doprowadzają mnie do pasji.

– Mój dziadek miał przyjaciela, Dayarama – powiedział Om. – Kiedyś zmuszono go, żeby jadł gówno właściciela ziemskiego, bo spóźnił się, kiedy miał przyjść zaorać mu pole.

Rajaram wylał sobie ostatnie krople z puszki na rękę i zaczesał do tyłu włosy.

– A ten Dayaram zyskał potem jakąś magiczną moc?

– Nie, a bo co?

– Słyszałem kiedyś o kaście czarowników. Jedzą ludzkie gówno. Czerpią z niego czarne moce.

– Naprawdę? – spytał Om. – No to moglibyśmy rozkręcić interes: nazbiera się balasów na torach, popakuje i dalej sprzedawać tej kaście. Gotowe obiady, przekąski do herbaty, gorące i parujące.

Rajaram i Om zaśmiali się, ale Ishvar zniesmaczony wysforował się naprzód, udając, że nie słyszał.

Om wrócił do kranu, by znów napełnić wiadro. Kolejka znacznie się wydłużyła. O parę miejsc przed sobą dostrzegł dziewczynę z dużym mosiężnym garnkiem opartym na biodrze. Kiedy uniosła ramiona, by postawić go na głowie, jego oczy powędrowały do wypukłości w jej bluzce. Przeszła obok, niesiony ciężar delikatnie podkreślał kształt jej bioder. Woda przelała się przez brzegi garnka i chlusnęła, skapując na jej czoło. Połyskliwe krople zawisły na jej włosach i rzęsach. Jak poranna rosa, pomyślał Om. Ech, cudowna była. Przez resztę dnia wzbierały w jego sercu tęsknota i szczęście.

Kiedy wyczerpała się woda w kranie, osiedle zdążyło już ukończyć poranne ablucje, pozostawiając za sobą ziemię znaczoną strumykami mydlin i piany. Z biegiem dnia słońce i ziemia połknęły je w całości. Zapach z przytorowej latryny utrzymywał się dłużej. Kapryśna bryza przez wiele godzin pędziła zaduch do baraków, aż wreszcie zmieniła kierunek.

•

Późnym wieczorem, kiedy krawcy wrócili z rekonesansu w okolicach slumsów,

Rajaram przyrządził posiłek na prymusie przed drzwiami swojej chaty.

– Jedliście już? – zapytał.

– Na stacji.

– To mogło trochę kosztować. Wyróbcie sobie jak najszybciej kartki na żywność i sami gotujcie.

– Nie mamy nawet kuchenki.

– To tylko drobna przeszkoda. Możecie pożyczyć moją.

Opowiedział im o kobiecie z ich slumsu, która handlowała warzywami i owocami na pobliskich osiedlach mieszkaniowych.

– Jak na koniec dnia coś jej zostaje w koszyku, parę pomidorów, groszek czy bakłażan, to sprzedaje je tanio. Powinniście zawsze u niej kupować, tak jak ja.

– Dobry pomysł – powiedział Ishvar.

– Tylko jednej rzeczy wam nie sprzedaje: bananów.

Om wyszczerzył zęby, spodziewając się jędrnej puenty, ale puenty nie było. Mieszkający w kolonii małpiarz miał stały układ z handlarką. Przejrzałe lub obite banany trafiały do jego dwóch głównych aktorek.

– Za to biedny pies musi sam się wystarać o jedzenie – powiedział Rajaram.

– Jaki pies?

– Pies małpiarza. Też występuje w tym numerze, małpy na nim jeżdżą. Przesiaduje w śmietniku, szuka jedzenia. Małpiarza nie stać, żeby ich wszystkich żywić. – Prymus pyknął dwukrotnie; Rajaram podpompował go i zamieszał w garnku. – Niektórzy mówią, że małpiarz wyczynia paskudne, nienaturalne rzeczy z małpami. Ja tam w to nie wierzę. A nawet jeśli, to co? Każdy potrzebuje pocieszenia, nie? Małpa, prostytutka, czy własna ręka – jaka to różnica? Nie każdy ma żonę.

Pomacał skwierczące warzywa, żeby sprawdzić, czy są gotowe, po czym zgasił maszynkę i nałożył porcję dla krawców na plastikowy talerz.

– Nie, naprawdę, jedliśmy na stacji.

– Nie obrażajcie mnie, zjedzcie choć odrobinę.

Przyjęli poczęstunek. Przechodzący obok mężczyzna z fisharmonią^[100] przewieszoną przez szyję podsłuchał ich rozmowę.

– Ładnie pachnie – powiedział. – Odlóżcie i dla mnie trochę.

– No pewnie, siadaj – ale tamten wycisnął z fisharmonii jeden akord, pomachał do nich i poszedł dalej.

– Znacie go? Mieszka w drugim rzędzie – Rajaram zamieszał w garnku i nałożył sobie. – Zaczyna pracę wieczorem. Mówi, że ludzie są hojniejsi, jeżeli śpiewa, kiedy jedzą lub wypoczywają. Dołożyć wam?

Tym razem odmówili kategorycznie. Rajaram dokończył to, co zostało.

– Dla mnie to sama radość, że wynajmujecie ten dom. Po mojej drugiej stronie –

powiedział, zniżając głos do szeptu – mieszka beznadziejny facet. Ciągłe pijany. Ma żonę i piątkę, szóstkę dzieci. Jak nie przyniosą dość z żebraniny, to ich bije.

Popatrzyli na barak, gdzie w tej chwili panowała cisza. Dzieci nie było widać.

– Odsypia, żeby mieć siłę jutro się awanturować. A ona pewnie jest na mieście z małymi.

Przez resztę wieczoru krawcy siedzieli, opowiadając o swojej wiosce, o Pracowni Krawieckiej Muzaffar i o pracy, którą mieli zacząć w poniedziałek u Diny Dalal. Rajaram kiwał głową nad znajomą historią.

– Tak, tysiące ludzi przybywają do miasta, bo źle im się wiedzie w rodzinnych stronach. Ja przyjechałem z tego samego powodu.

– Ale my nie mamy zamiaru długo zostawać.

– Jak każdy – odparł Rajaram. – Kto chce tak żyć? – Jego dłoń zakreśliła znużone półkole, obejmując plugawe zbiorowisko rud, wertepy na polu i wielkie slumsy po drugiej stronie drogi, przyodziane w smrodliwą koronę przemysłowych wyziewów i dymu z kuchennych palenisk. – Ale czasem nie ma wyboru. Czasem miasto chwyta człowieka, zatapia w nim szpony i nie wypuszcza.

– Z nami tak nie będzie, co to, to nie. Przyjechaliśmy, żeby trochę zarobić i szybko wracać – powiedział Om.

Ishvar nie chciał dyskutować o ich planach, bojąc się, że opadną ich wątpliwości.

– Czym się zajmujesz? – zapytał, zmieniając temat.

– Jestem fryzjerem. Ale rzuciłem to jakiś czas temu. Zbrzydły mi narzekania klientów. Za krótkie, za długie, czub za mały, baki za wąskie, to, tamto, siamto. Każdy brzydal chce wyglądać jak aktor filmowy. Więc powiedziałem: dosyć tego. Od tego czasu wykonywałem wiele różnych zawodów. Teraz jestem zbieraczem włosów.

– To dobrze – powiedział Ishvar niepewnie. – A co robi taki zbieracz włosów?

– Zbiera włosy.

– Są z tego pieniądze?

– Och, to ogromny biznes. Za granicą jest wielki popyt na włosy.

– I co z nimi robią? – zapytał sceptycznie Om.

– Wiele różnych rzeczy. Przede wszystkim je noszą. Czasem malują na inne kolory – na czerwono, żółto, brązowo, niebiesko. Zagraniczne kobiety bardzo lubią nosić cudze włosy. Mężczyźni też, zwłaszcza łąsi. W innych krajach ludzie boją się łąsienia. Są tak bogaci, że stać ich na to, żeby bać się najróżniejszych głupstw.

– No a jak zbierasz te włosy? – spytał Om. – Kradniesz je ludziom z głowy? – W jego głosie zabrzmiała drwina.

Rajaram zaśmiał się dobrotliwie.

– Chodzę do ulicznych fryzjerów. Oddają mi je w zamian za paczkę żyletek, mydło albo grzebień. W salonach fryzjerskich dostaję włosy za darmo, jeśli sam zamiotę podłogę. Chodźcie do mnie, to pokażę wam moje zbiory.

Rajaram zapalił lampę, by rozproszyć wczesny mrok wewnątrz baraku. Płomień zamigotał, znieruchomiał i rozkwitł na pomarańczowo, oświetlając jutowe worki i plastikowe torby spiętrzone pod ścianą prawie do sufitu.

– Worki są od ulicznych fryzjerów – tłumaczył i otworzył jeden przed ich zaciekawionymi oczami. – Widzicie: krótkie włosy.

Cofnęli się na widok nieapetycznej zawartości, a on zanurzył dłoń w worku, by zaprezentować im tłustą kępę.

– Poniżej dwóch, trzech cali. Eksporter płaci za nie dwadzieścia cztery rupie za kilo. Nadają się tylko do wyrobu chemikaliów i leków, tak mi powiedział. Ale zajrzyjcie do plastikowych toreb.

Rozwiązał sznurek i zaczerpnął garść długich kosmyków.

– Od fryzjera damskiego. Piękne, co? To jest kosztowny towar. Trzeba bardzo dużo szczęścia, żeby znaleźć coś takiego. Za osiem do dwunastu cali płacą dwieście rupii za kilo. Powyżej dwunastu – sześćset rupii. – Obracając w palcach własne włosy, wyciągnął je przed sobą jak skrzypce.

– Więc dlatego sam zapuszczasz.

– Wiadomo. Plony zesłane przez Boga napelnią mi brzuch jadem.

Om wziął pasma włosów do ręki i pogładził je. W przeciwieństwie do góry krótkich ścinków nie budziły w nim odrazy.

– Przyjemne w dotyku. Miękkie i gładkie.

– Powiem wam, że jak znajduję takie włosy – podjął Rajaram – to zawsze mam ochotę spotkać tę kobietę. Nocą leżę, nie śpię i dumam o niej. Jak wygląda? Dlaczego ścięto te włosy? Bo taka moda? Za karę? A może zmarł jej mąż? Włosy ostrzyżono, ale tkwi w nich historia czyjegoś życia.

– Te musiały należeć do bogatej kobiety – powiedział Om.

– A dlaczego tak uważasz? – spytał Rajaram tonem mentora odpytującego nowicjusza.

– Ze względu na zapach. Pachną drogim balsamem. Uboga kobieta używałaby zwykłego olejku kokosowego.

– Doskonale – Rajaram z aprobatą poklepał Oma po ramieniu. – Po ich włosach poznacie ich. Zdrowie i choroba, młodość i starość, bogactwo i ubóstwo: wszystko to ujawnia się we włosach.

– Religia i kasta też – dorzucił Om.

– Otóż to. Masz zadatki na zbieracza włosów. Daj znać, jeśli znudzi ci się krawiectwo.

– Ale czy będę mógł głaskać włosy, które są wciąż przytwierdzone do kobiety? Wszystkie włosy? Od stóp do głów i między nogami?

– Cwany z niego szubrawiec, co nie? – mrugnął Rajaram do Ishvara, który przymierzał się, by zdzielić bratanka. – Ale ja jestem profesjonalistą w każdym calu. Przyznam, że czasem, gdy widzę kobietę z długimi włosami, mam ochotę zapuścić w nie palce, owinać je sobie wokół nadgarstka. Ale muszę panować nad sobą. Póki nie zetnie ich fryzjer, mogę jedynie marzyć.

– Gdybyś zobaczył naszą nową szefową, to miałbyś o czym marzyć – powiedział Om. – Dina Dalal ma piękne włosy. Pewnie przez cały dzień nie ma nic innego do roboty, niż je myć, nacierać olejkami, szczotkować i dbać, by wyglądały idealnie. – Błaznując, przyłożył sobie ścięte kosmyki do głowy. – Jak wyglądam?

– Zamierzałem znaleźć ci żonę – zażartował stryj. – Jeśli wolisz, możemy rozejrzeć się za mężem.

Rajaram ze śmiechem zabrał Omowi pukiel włosów i ostrożnie odłożył je z powrotem do plastikowej torby.

– Tak sobie myślę – rzekł Ishvar – że zbieraczowi włosów lepiej by się wiodło w takim mieście jak Ryzikeś, nieprawda? Albo w mieście świątyni, na przykład w Hardwarze. Tam, gdzie ludzie gołą sobie głowy, a włosy ofiarowują Bogu.

– Masz rację – przyznał Rajaram. – Ale tu natrafiamy na dużą przeszkodę. Mój znajomy, też zbieracz włosów, pojechał na południe, do Tirupati, żeby rozeznac się, jak sprawa wygląda w tamtejszych świątyniach. Wiecie, co odkrył? Dzień w dzień około dwudziestu tysięcy osób przybywa, by ofiarować swoje włosy. Sześciuset fryzjerów pracuje na trzy zmiany.

– Musi się z tego zbierać niezły pagórek?

– Pagórek? Góra jak w Himalajach. Ale taki pośrednik jak ja nie ma szans. Po tym, jak włosy zostają złożone w ofierze, wielce świątobliwy bramiński kapłan zamyka je w wielce świątobliwym magazynie. I co trzy miesiące organizują aukcję, a firmy eksportowe kupują bezpośrednio od nich.

– Nie musisz mówić nam o braminach i kapłanach – powiedział Ishvar. – W naszej wiosce chciwość wyższych kast jest dobrze znana.

– Wszędzie jest tak samo – zgodził się Rajaram. – Jeszcze nie spotkałem takiego, który by mnie potraktował jak równego sobie. Jak bliźniego – o nic więcej nie proszę.

– Od dziś możemy oddawać ci nasze włosy – oświadczył wspaniałomyślnie Om.

– Dziękuję. Jeśli chcecie, mogę was strzyc za darmo, pod warunkiem, że nie będziecie wybrzydzać – odstawił worki z włosami i wyciągnął grzebień i nożyce, gotów od razu brać się do strzyżenia.

– Czekaj – powiedział Om. – Najpierw powinienem zapuścić, żeby mi urosły takie długie jak tobie. Wtedy więcej na nich zarobisz.

– Nie ma mowy – wtrącił się Ishvar. – Żadnych wariactw. Dinie Dalal nie spodoba się krawiec z długimi włosami.

– Jedno jest pewne – rzekł Rajaram. – Podaż i popyt na włosy nie mają końca. To zawsze będzie duży biznes. – Kiedy z powrotem wyszli na zewnątrz, w wieczorne powietrze, dorzucił: – A czasem wynikają z tego duże kłopoty.

– Jakie kłopoty?

– Myślałem akurat o włosach z brody Proroka. Pamiętacie, jak kilka lat temu broda zniknęła z meczetu Hazrat-Bal w Kaszmirze?

– Ja pamiętam, ale Om był wtedy dzieckiem, nie zna tej historii.

– Opowiedzcie, opowiedzcie. Co się stało?

– No właśnie to – odrzekł Ishvar. – Pewnego dnia święte włosy zniknęły i wybuchły spore zamieszki. Wszyscy mówili, że rząd powinien ustąpić, że politycy na pewno maczali w tym palce. Wiesz, żeby namącić, bo Kaszmiczycy domagali się niepodległości.

– No i po dwóch tygodniach burd i godziny policyjnej – wtrącił Rajaram – rządowa ekipa śledcza ogłosiła, że znalazła święte włosy. Ale ludzie nie byli zadowoleni: a co jeśli rząd sobie z nas kpi? A co jeśli zamiast świętych włosów podstawiają jakieś pierwsze lepsze? No to rząd zebrał zespół bardzo uczonych mułłów i powierzył im zbadanie włosów. Dopiero kiedy orzekli, że to dobre włosy, na ulice Śrinagaru powrócił spokój.

Na zewnątrz dym z kuchennych palenisk przejął panowanie nad powietrzem. Z ciemności dobiegł czyjś wrzask:

– Shanti! Pośpiesz się z tym drewnem!

Odpowiedziała dziewczyna. Om popatrzył: to była ona, ta od mosiężnego garnka. Shanti, powtórzył w myśli, tracąc zainteresowanie opowieścią zbieracza włosów.

Rajaram podparł kamieniem drzwi do swojego baraku, by wiatr nie otworzył ich na oścież, a następnie zabrał krawców na zwiedzanie okolicy. Pokazał im skrót do stacji kolejowej wiodący przez wyłom w ogrodzeniu biegnącym wzdłuż torów.

– Musicie iść tym rowem, aż zobaczycie duże reklamy masła Amul i chleba Modern. W ten sposób zaoszczędzicie co najmniej dziesięć minut w drodze do pracy.

Przestrzegł ich także przed slumsem przylegającym do ich pola.

– Większość ludzi stamtąd jest przyzwoita, ale niektóre zaułki są bardzo niebezpieczne. Jeśli tam wejdziecie, to jest duże prawdopodobieństwo, że was zamordują albo obrabują.

W bezpiecznej części slumsu przedstawił ich zaprzyjaźnionemu właścicielowi stoiska z herbatą, u którego można było brać na kredyt i płacić na koniec miesiąca.

Późnym wieczorem, kiedy siedzieli przed barakiem i palili, posłyszeli fisharmonistę. Wrócił z pracy i grał dla przyjemności. W ponurym otoczeniu piskliwe tony jego instrumentu miały bogactwo złocistego fletu.

– Meri dosti mera pjar^[101] – śpiewał, a pieśń o miłości i przyjaźni niosła ulgę od ostrego dymu z żarzących się palenisk.

•

Kierownika Działu Kartek Żywnościowych nie zastali przy jego biurku. Gонец powiedział, że szef jest w trakcie przerwy medytacyjnej.

– Przyjdźcie w poniedziałek.

– Ale w poniedziałek zaczynamy nową pracę – zaprotestował Ishvar. – Ile trwa przerwa medytacyjna?

Gонец wzruszył ramionami.

– Godzinę, dwie, trzy. Zależy, jakie ciężary spoczywają na jego głowie. Sahib mówi, że gdyby nie ta przerwa, na koniec tygodnia byłby wariatem.

Krawcy postanowili zaczekać w kolejce.

Dla kierownika musiał być to względnie lekki tydzień, bowiem powrócił po trzydziestu minutach. Wyglądał na odpowiednio zregenerowanego i wydał krawcom wnioski o przydział kartek na żywność. Powiedział, że na chodniku przed budynkiem znajdują eksperci, którzy za drobną opłatą wypełnią za nich formularz.

– Nie trzeba, umiemy pisać.

– Doprawdy? – spytał kierownik, czując, że się go obraża. Szczycił się, że jednym rzutem oka potrafi ocenić petentów przepływających koło jego biurka każdego dnia – miejsce pochodzenia, status finansowy, wykształcenie, kastę. Twarz mu stężała, jej mięśnie napięły się na przekór świeżo ukończonej medytacji. Piśmienność krawców stanowiła obelgę dla jego wszechwiedzy. – Wypełnijcie i przynieście z powrotem – nadąsanym trzepotaniem palców odprawił ich.

Wyszli z wnioskiem na korytarz i zaczęli go wypełniać, używając parapetu okiennego jako podkładki. Była to chropowata powierzchnia i długopis kilkakrotnie przebił kartkę. Próbowali reanimować dziobaty arkusz, wygładzając guzki paznokciami. Następnie dołączyli do kolejki, by znów spotkać się ze swym interlokutorem.

Kierownik przebiegł wzrokiem formularz i uśmiechnął się. Był to uśmiech wyższości: może i nauczyli się pisać, ale o schludności nie mieli bladego pojęcia.

Odczytał ich odpowiedzi, po czym z triumfem zatrzymał się przy rubryce z adresem.

– Co to za brednie? – postukał o kartkę palcem pośliskim od nikotyny.

– Tutaj mieszkamy – powiedział Ishvar. Wpisał tam nazwę ulicy, która od północy dochodziła do ich rzędu baraków. Rubrykę przewidzianą na nazwę budynku oraz numer mieszkania i ulicy pozostawił pustą.

– A gdzie dokładnie znajduje się wasz dom?

Podali dodatkowe informacje: najbliższe skrzyżowanie, nazwy ulic na wschód i zachód od slumsu, stacji kolejowej, okolicznych kin, dużego szpitala, popularnego sklepu ze słodyczami, targu rybnego.

– Dostyc, starczy – uciał kierownik, zatykając sobie uszy. – Nie muszę wysłuchiwać tych bzdur. – Wyciągnął miejską książkę adresową, przerzucił parę stron i przyjrzał się mapie. – Tak jak przypuszczałem. Wasz dom leży w dźhopadpatti, zgadza się?

– To tylko tymczasowe lokum.

– Dźhopadpatti to nie adres. Prawo powiada, że kartki na żywność mogą być wydawane jedynie ludziom z prawdziwym adresem.

– Nasz dom jest prawdziwy – przekonywał Ishvar. – Może pan przyjść i go zobaczyć.

– To, że go zobaczę, nie ma znaczenia. Liczy się prawo. A w oczach prawa wasza buda się nie liczy. – Podniósł plik formularzy i poszeleścił nimi, żeby wyrównać brzegi, a następnie cisnął je z powrotem do narożnika biurka, gdzie wylądowały w nieładzie, wzbijając kłęb kurzu. – Ale jest inny sposób na uzyskanie kartek na żywność, jeśli was to interesuje.

– Tak, prosimy bardzo. Zrobimy, co trzeba.

– Jeśli zgodzicie się, żebym was zapisał na wazektomię, wasz wniosek zostanie zatwierdzony od ręki.

– Wazektomię?

– Chodzi o akcję Planowanie Rodziny. Operacja nasbandi^[102].

– Och, ale ja już to miałem robione – skłamał Ishvar.

– Pokaż mi swój CPR.

– CPR?

– Certyfikat Planowania Rodziny.

– Kiedy nie mam – a po chwili namysłu, dodał: – Tam, skąd pochodzimy, był pożar w domu. Wszystko spłonęło.

– To żaden kłopot. Wyślę was do lekarza, który w ramach specjalnej przysługi zrobi drugi raz zabieg i wystawi ci nowy certyfikat.

– Tę samą operację dwa razy? A to nie jest szkodliwe?

– Wiele osób operuje się dwa razy. Więcej korzyści. Dwa radia tranzystorowe.

– Na co mi dwa radia? – uśmiechnął się Ishvar. – Mam słuchać dwóch stacji naraz, każdej jednym uchem?

– Słuchaj, jeśli boisz się drobnej, niegroźnej operacji, to pošlij młodego. Potrzebuję jednego zaświadczenia o sterylizacji i to wszystko.

– Ale on ma tylko siedemnaście lat! Musi się ożenić i mieć dzieci, zanim mu odłączą rurkę!

– Wasz wybór.

Ishvar wypadł z biura, a Om pognął za nim, by ułagodzić stryja, którego ta wstrząsająca, wprost świętokradcza propozycja doprowadziła do furii. Nikt jednak tego nie zauważył, ponieważ na korytarzu roiło się od ludzi podobnych Ishvarowi, zbłąkanych, stąpających niepewnie, próbujących odnaleźć się w gąszczu rozmaitych urzędów. Oczekiwali wokół, w różnych stadiach rozpacz. Jedni zalewali się łzami, drudzy śmiali się histerycznie z absurdów biurokracji, kilku innych stało twarzą do ściany, mamrocząc coś ponuro do samych siebie.

– Nasbandi, powiada! – piekł się Ishvar. – Wstydu nie ma ten sukinsyn! Młodemu chłopcu nasbandi! A żeby tak ktoś jemu przeciął rurkę, jak będzie medytował, szubrawcowi parszywemu! – Popędził korytarzem, schodami w dół i wypadł głównym wyjściem z budynku.

Drobny człowieczek o wyglądzie kancelisty, widząc poruszenie Ishvara, podniósł się z ustawionego na chodniku krzeselka, by ich powitać. Miał okulary i białą koszulę; na rozpostartej przed nim macie leżały przybory do pisania.

– Ma pan kłopot. Czy mogę pomóc?

– A niby jak miałby mi pan pomóc? – bąknął Ishvar opryskliwie.

Mężczyzna dotknął jego łokcia, aby tamten stanął i posłuchał.

– Jestem ułatwiczem. Moja praca, mój fach polega na tym, że pomagam ludziom w kontaktach z urzędami. – Ciekło mu z nosa i wygłaszając autoprezentację, pociągnął nim kilka razy.

– Pracuje pan dla rządu? – spytał Ishvar nieufnie, wskazując na budynek, z którego wyszli przed chwilą.

– Nigdy w życiu. Pracuję dla pana i dla siebie. Pomagam zdobyć to, czego zdobycie utrudniają urzędnicy. Stąd mój tytuł: ułatwicz. Akty urodzenia, akty zgonu, akty ślubne, wszelkie upoważnienia i zezwolenia – mogę załatwić wszystko. Panowie tylko wybierają, jakie dane tam mają być, a ja dopilnuję, żeby to wydali. – Zdjął okulary i uśmiechnął się najzyczliwszym ze swoich uśmiechów, po czym utracił go na rzecz sześciu gwałtownych kichnięć. Krawcy odskoczyli, by uniknąć opryskania.

– Chcemy tylko kartki na żywność, panie ułatwiczu. A tamten facet chciał w zamian naszą męskość! Co to w ogóle za wybór między żywnością a męskością!

- A, chciał CPR.
- Dokładnie, tak na to mówił.
- Widzą panowie, odkąd wprowadzono stan wyjątkowy, w tym departamencie mają nowe rozporządzenie: każdy urzędnik ma zachęcać ludzi do sterylizacji. Jeśli nie wyrobi normy, to nie dostanie awansu. Co ma robić, biedaczyna? On też jest w pułapce.
- Ale dla nas to niesprawiedliwe!
- I dlatego ja tu jestem. Wystarczy, że podacie imiona, jakie chcecie mieć na kartkach na żywność, maksymalnie sześć, i adres, jaki sobie życycie. Kosztuje to jedyne dwieście rupii. Sto teraz, sto kiedy dostaniecie bon.
- Ale my nie mamy tyle pieniędzy.
- Ułatwiacz powiedział, że mogą przyjść, kiedy będą mieli, on nadal tu będzie.
- Dopóki istnieje rząd, dopóty zawsze będę mieć pracę. – Wydmuchał nos i powrócił na swoje miejsce przy chodniku.

•

Krawcy postanowili skorzystać ze skrótu Rajarama i potruczali przez peron w stronę zwirowego pustkowia, przez które biegły tory. Patrzyli, jak pociąg opuszcza stację, by rozpląnąć się w wieczornym mroku.

– Im bliżej do stajni, tym szybciej galopuje zmęczony koń – powiedział Ishvar, a Om przytaknął.

Pierwszy dzień u Diny Dalal dobiegł końca. Niesieni przez zmierzającą do domu cizbę, wycieńczeni po dziesięciu godzinach szycia, dzielili wraz z tłumem tę świętą godzinę, porę, gdy znużenie przechodzi w nadzieję. Wkrótce zapadnie noc; pożyczą kuchenkę od Rajarama, ugotują coś, zjedzą. Będą snuć plany, a marzenia o przyszłości splecą się w przychylnie wzory, aż nadejdzie czas, by nazajutrz wsiąść w poranny pociąg.

Końcówka peronu opadała stromo i łączyła się w jedno ze zwirem wzdłuż torowiska. Tu znajdowała się wyrwa w niekończącym się ogrodzeniu z kutego żelaza, newralgiczny punkt, gdzie zakończony grotem pręt uległ korozji za sprawą żywiolów i wygiął się przy niewielkiej pomocy rąk ludzkich.

Pęcznijąca zgraja mężczyzn i kobiet płynęła ciurkiem przez dziurę w ogrodzeniu, z dala od wyjścia, przy którym stał kontroler biletów. Inni, ze zrećnością, którą wzmagał brak biletu, pędzili dalej wzdłuż torów, deptając bosymi lub mizernie obutymi stopami po ostrym żwirze i żużlu. Biegli między szynami, sadząc długimi susami z jednego wysłużonego drewnianego podkładu na drugi, a w bezpiecznej odległości od stacji przeskakiwali płot.

Om miał wprawdzie bilet, ale korciło go, by dołączyć do ich heroicznego zrywu ku wolności. Czuł, że i on mógłby wzbić się w górę, gdyby był sam. Później

spojrzał z ukosa na stryja, który był kimś więcej niż stryjem, i którego nie mógł nigdy porzucić. Pręty ogrodzenia stały wśród zmierzchu niczym rdzewiejąca broń widmowej armii. Gapowicze zdali się starożytnymi wojownikami przełamującymi szeregi nieprzyjaciela, szybującymi nad szpikulcami, jak gdyby mieli nigdy nie powrócić na ziemię.

Nagle z półmroku wynurzyła się garstka znużonych policjantów i otoczyła szukający dziury tłum. Kilku posterunkowych puściło się bez większego zaangażowania w pościg za nadpłotowymi skoczkami w oddali. Tylko jeden z nich tryskał energią – inspektor, który wymachując laseczką wykrzykiwał polecenia i wyrazy zachęty.

– Złapcie ich wszystkich! Ruchy, ruchy, ruchy! Żeby nikt mi się nie wymknął! Zawracać na peron, bando kanciarzy! Hej, ty! – wycelował laseczkę. – Przestań się ociągać! Już my was oduczymy jeździć na gapę!

Czynione przez krawców próby poinformowania kogoś – mniejsza o to kogo – że tak naprawdę mają bilety, utonęły pośród ogólnego zgiełku i zamieszania.

– Hawaldar^[103], prosimy pana, my tylko chcieliśmy pójść skrótem – zwrócili się błagalnie do najbliższego mundurowego, ale popędzono ich razem z resztą. Kontroler biletów pogroził z dezaprobatą palcem, kiedy kolumna jeńców minęła go, człapiąc.

Na zewnątrz więźniów załadowano na policyjną ciężarówkę. Kilku ostatnich upchnięto przy pomocy kłapy.

– Ciemna mogiła – odezwał się ktoś. – Słyszałem, że podczas stanu wyjątkowego za brak biletu trafia się na tydzień pod klucz.

Przez godzinę siedzieli na pace i pocili się, podczas gdy inspektor załatwiał coś w kasie biletowej. Później ciężarówka ruszyła drogą dochodzącą do stacji, a za nią podążył jeep inspektora. Po dziesięciu minutach jazdy zatrzymali się na pustym polu, gdzie utworzono kłapę.

– Wyłazić! Wszyscy na zewnątrz! Raz, raz, raz! – uderzając laseczką o oponę ciężarówki wołał inspektor, który wyznawał widocznie zasadę, że wszystko, co potrójne, jest doskonałe. – Mężczyźni tutaj, kobiety tu! – Ustawił obie grupy w szyk złożony z sześcioosobowych rzędów.

– Uwaga, wszyscy! Złapcie się za uszy! No już, łapcie! Łapu, łapu, łap! Na co czekacie? Teraz zrobicie pięćdziesiąt baithak^[104]. Gotowi! Start! Raz! Dwa! Trzy!

Kluczył między rzędami, nadzorując zginanie kolan i licząc, obracając się zniecka, by przydybać pozorantów. Jeśli złapał kogoś na oszukiwaniu, na niepełnym przysiadzie lub oderwaniu rąk od uszu, wymierzał mu cios laseczką.

– ... czterdzieści osiem, czterdzieści dziewięć, pięćdziesiąt! I gotowe! A jak jeszcze raz złapią was bez biletu, to tak wam dogodzę, że przypomną wam się wasze babcie! Możecie iść do domu! Jazda! Na co czekacie? Jazda, jazda, jazda!

Tłum rozproszył się błyskawicznie, strojąc sobie żarty z kary i inspektora.

– Durny Rajaram – oburzył się Om. – Od tej pory nie uwierzę w ani jedno jego słowo. Załatwcie sobie kartki żywnościowe, powiada, to łatwizna. Idźcie skrótem, zaoszczędzicie na czasie.

– E, nic się nie stało – powiedział Ishvar pogodnie, choć tam, na stacji, był mocno wystraszony. – Popatrz, policjanci zaoszczędzili nam drogi. Jesteśmy prawie u siebie.

Przecięli drogę i szli dalej, ku slumsom. Ich oczom ukazał się znajomy szyld, lecz widniała na nim inna ilustracja.

– Co się stało? – zdziwił się Om. – Gdzie się podziały chleb Modern i masło Amul?

Reklamy zastąpiono wizerunkiem pani premier, która oświadczała: „Żelazna wola i ciężka praca są naszą ostoją!”. Był to typowy portret twarzy, która mnożyła się na plakatach w całym mieście. Policzki pani premier namalowano w krzykliwym różu afiszy filmowych. Inne elementy twarzy odznaczały się poważniejszymi mankamentami. Jej oczy świadczyły o dotkliwym świadcze trapiącym ministerialne ciało i błagającym o podrapanie. Jeśli chodzi o łaskawy uśmiech, tu także ambicje artysty poniosły fiasko – po ustach portretowanej pełzało coś pomiędzy szyderczym grymasem a cierpką srogością instruktorki musztry. Znajome pasmo siwych włosów nad jej czołem, dominujące pośród czerni, rozplaskało się po całym ciemieniu niczym odchody ogromnego ptaka.

– Popatrz, Om. Ma taką samą skwaśniałą minę jak ty, kiedy się złościsz.

Om podjął żart i zrobił taki sam grymas, potem się roześmiał. Powlekli się w stronę osiedla. Górzące nad otoczeniem oblicze słało lodowatą przestrożę pociągom dudniącym z jednej strony oraz autobusom i samochodom sunącym ociężałe wśród kłębow spalin po drugiej stronie.

Zbieracz włosów pojawił się, kiedy zdejmowali kłódkę z drzwi swojej rudery.

– Tak się spóźnić, niegrzeczne dzieciaki – wyrzekął.

– Ale...

– Mniejsza z tym, to tylko drobna przeszkoda. Jedzenie zaraz się podgrzeje. Zdjąłem je z kuchenki, żeby się warzywa suche nie zrobiły. – Zniknął u siebie w chacie, po czym wrócił z patelnią i trzema talerzami. – Bhadźi i ćapati. I moja specjalna masala wada z mangowym ćatni, żeby uczcić wasz pierwszy dzień w pracy^[105].

– Bardzo się dla nas natrudziłeś – powiedział Ishvar.

– E tam, drobiazg.

Rajaram podgrzewał jedzenie przez minutę, następnie rozłożył wszystko schludnie na talerzach. Spora porcja została na patelni.

– Za dużo ugotowałeś – zauważył Ishvar.

– Miałem dziś małą nadwyżkę pieniędzy, więc kupiłem więcej warzyw. Dla nich – wskazał łokciem na sąsiedni barak. – Maluchy tego pijaka zawsze chodzą głodne.

Podczas posiłku krawcy opowiedzieli o policyjnej akcji przeciw pasażerom na gapę. Podarowana kolacja złągodziła oskarżycielski ton, jakim zamierzał się posłużyć Om; zamiast tego opowiedział o ich perypetiach w konwencji podróżniczej przygody.

Rajaram teatralnie uderzył się dłonią w czoło.

– Jaki ja głupi! Na śmierć zapomniałem, żeby was ostrzec. Widzicie, ostatni nalot był wiele miesięcy temu. – Pacnął się powtórnie w czoło. – Niektórzy całe życie jeżdżą i ani razu nie kupują biletu. A was dwóch złapali pierwszego dnia. Do tego z biletami – zachichotał.

Ishvar i Om zawtórowali mu, doceniając żart.

– Pech i tyle. Widać jakieś nowe porządki w związku ze stanem wyjątkowym.

– Ale to był jeden wielki cyrk. Dlaczego inspektor wypuścił wszystkich, jeżeli naprawdę zaczynają mocniej dociskać?

Rajaram zastanowił się nad tym, żując, potem przyniósł po szklance wody dla każdego.

– Może nie mieli wyjścia. Z tego, co słyszę, zakłady karne są pełne wrogów pani premier: związkowców, dziennikarzy, nauczycieli, studentów. Może zabrakło miejsca w więzieniach.

Kiedy głowili się nad incydem z policją, od strony punktu nabierania wody dobiegły radosne okrzyki. W kranie zaczęło bulgotać! I to tak późno! Ludzie ze wstrzymanym oddechem wpatrywali się w jego wylot. Kapnęło kilka kropli. Potem pociekł niewielki strumień. Nabrawszy rozpędu, chlusnął z pełną mocą, a oni powitali go aplauzem jak zwycięskiego konia na wyścigach. Cud! Mieszkańcy baraków klaskali i wykrzykiwali w podnieceniu.

– Już raz tak było – powiedział Rajaram. – Pewnie ktoś się pomylił w wodociągach i otworzył nie ten zawór.

– Powinni częściej robić takie błędy.

Kobiety podbiegły do kranu, by w pełni wykorzystać opatrnościową strugę. Maluchy w ich objęciach popiskiwały z rozkoszy, gdy chłodna woda spływała im na lepką skórę. Obok starsze dzieci podskakiwały wesoło i raz po raz puszczały się w płasy, oczekując niecierpliwie na szczodre polewanie zamiast skąpych racji wydzielanych w kubkach o świcie.

– Może też powinniśmy nabrać? – powiedział Om. – Zaoszczędzimy czasu rano.

– Nie – odparł Rajaram. – Niech się maluchy nacieszą. Kto wie, kiedy znowu trafi im się taka gratka.

Święto potrwało niespełna godzinę; kran zamarł równie nagle, jak wcześniej ożył. Dzieci namydłone w oczekiwaniu na kąpiel trzeba było wytrzeć i rozczarowane odesłać do łóżka.

•

W ciągu następnych dwóch tygodni władca slumsów postawił na polu pięćdziesiąt następnych lichych bud, a Navalkar wynajął je w ciągu jednego dnia, podwajając liczbę mieszkańców. Smród dochodzący z rowu zawisł na stałe nad barakami, gęstszy niż dym. Nic nie odróżniało małej kolonii od wielkiego slumsu po drugiej stronie drogi; została wchłonięta przez inferno. Gorączka przy kranie z wodą przybrała rozmiary zamieszek. Każdego ranka przerzucano się oskarżeniami o wciskanie się poza kolejną, dochodziło do przepychanek i bójek, przewracano garnki, matki krzyczały, dzieci zawodziły.

Nadeszła pora monsunu. Pierwszej deszczowej nocy krawców obudziła woda ściekająca z sufitu na ich posłanie. Usiedli ściśnięci obok siebie w jedynym suchym rogu baraku. Deszcz lał się obok nich równym strumieniem i stopniowo ukołysał ich do snu. Potem stracił na sile. Strumień lejącej się do środka wody przeszedł w denerwującą kapaninę. Om zaczął liczyć w głowie każdą spadającą kroplę. Doszedł do setki, tysiąca, dziesięciu tysięcy. Liczył, dodawał, sumował, jak gdyby miał nadzieję, że osuszy je, osiągnąwszy odpowiednio wysoką liczbę.

Skończyło się tym, że spali bardzo krótko. Rankiem Rajaram wspiął się na dach, by zbadać stan blachy. Pomógł im rozciągnąć kawał folii, nie dość szeroki, na nieszczelnym dachu.

W tym samym tygodniu Ishvar, pokrzepiony zapłatą od Diny Dalal, zaczął planować niewielki wypad w celu kupienia dużej foliowej płachty i paru innych przedmiotów.

– I co ty na to, Om? Teraz możemy sobie wygodnie urządzić nasz domek, co?

Jego uwaga napotkała posępne milczenie. Przystanęli przy ulicznym straganie, gdzie sprzedawano plastikowe miski, pudełka i wszelkiego rodzaju przybory kuchenne.

– No to w jakim kolorze kupimy talerze i szklanki?

– Wszystko jedno.

– A ręcznik? Może ten żółty w kwiaty?

– Wszystko jedno.

– Chciałbyś nowe sandały?

Odpowiedziało mu kolejne „wszystko jedno” i Ishvar w końcu stracił cierpliwość.

– Co się z tobą ostatnio dzieje? U pani Diny ciągle się wyklócasz i robisz błędy. Szycie cię nie obchodzi. O co nie zapytam, to mówisz mi, że wszystko jedno.

Wysił się trochę, Om, postaraj się.

Ishvar skrócił ekspedycję zakupową i ruszyli w drogę powrotną z dwoma czerwonymi wiadrami z plastiku, prymusem, pięcioma litrami nafty i paczką jaśminowych agarbatti^[106].

Przed sobą posłyszeli znajome dhuk-dhuka, dhuk-dhuka bębenka należącego do małpiarza. Kiedy grający kręcił nadgarstkiem, przytwierdzone sznurkiem grzechotki uderzały o membranę. Małpiarz nie zamierzał ściągać gapiów, a po prostu prowadził swoich podopiecznych do domu. Jedna z brązowych małpek załapała się na przejazdzkę na jego ramieniu, druga wlokła się obok apatycznie. Wychudzony pies podążał w pewnej odległości za nimi, węsząc i wylizując gazetę, w którą kiedyś zawinięto jakieś jedzenie.

– Tikka! – zawołał małpiarz i zagwizdał, a kundel dokłusował do nich.

Małpy zaczęły droczyć się z Tikką, ciągnęły go za uszy, szarpały za ogon, szczypały w penisa. Znosił swoje dręczycielki z pełnym godności spokojem. Wybawienie dla niego nadeszło, gdy uwagę małp ściągnęły plastikowe czerwone wiadra huśtające się w dłoniach Oma. Postanowiły zbadać je i wskoczyły do środka.

– Lajla! Madźnun^[107]! Przestańcie! – skarcił je właściciel, szarpiąc za postronki. Małpy wystawiły głowy z wiader.

– Nic nie szkodzi – powiedział Om, któremu ich figle sprawiły przyjemność. – Niech sobie popsocą. Pewnie cały dzień ciężko pracowały.

Krawcy, małpiarz i jego zwierzęta pomaszerowali razem w stronę kolonii baraków, krocząc w rytm hipnotycznego dhuk-dhuka bębenka. Lajla i Madźnun niebawem znudziły się wiadrami i zaczęły gramolić się na Oma, to siadając mu na ramionach lub na głowie, to zawisając na jego rękach, to czepiając się nóg. Om chichotał przez całą drogę do domu, a Ishvar uśmiechał się z przyjemnością.

Dobry humor Oma ulotnił się, kiedy rozstali się z małpami. Znowu popadł w zasepienie i z obrzydzeniem spoglądał w kierunku Rajarama, który sortował przed swoim barakiem włosy. Małe czarne kopczyki wyglądały jak kolekcja zapuszczonych ludzkich głów.

Na widok ich dwójki objuczonej zakupami Rajaram pośpieszył z komplementem:

– Miło widzieć, że wkroczyliście na drogę wiodącą do dobrobytu.

– Jeśli zdaje ci się, że to droga do dobrobytu, to potrzebujesz okularów – warknął Om. Wszedł do środka i rozwinął posłanie.

– Co go ugryzło? – spytał dotknięty Rajaram.

– Chyba jest zmęczony. Ale wiesz co? Dzisiaj musisz zjeść z nami. Żeby uczcić naszą nową kuchenkę.

– Jak mógłbym odmówić takim dobrym przyjaciołom?

Razem przygotowali jedzenie i zawołali Oma, kiedy było gotowe. W połowie posiłku Rajaram spytał, czy może pożyczyć dziesięć rupii. Prośba spadła na Ishvara zniechęca. Zakładał, że zbieraczowi włosów nieźle powodzi się we własnej branży, zważywszy na jego entuzjastyczne opowieści, którymi karmił ich od dwóch tygodni.

Widocznie wahanie odbiło się na jego twarzy, ponieważ Rajaram dorzucił:

– Oddam ci z parę dni. Jest mały przestój w interesach. Ale nadchodzi nowa damska moda. Teraz wszystkie zaczną ścinać warkocze i ich długie chotela^[108] spadną mi prosto do koszyka.

– Przestań gadać o włosach – zachnął się Om. – Brzuch mnie od tego boli.

Po kolacji, zamiast usiąść i zapalić z nimi, powiedział, że boli go głowa i poszedł się położyć.

Stryj wszedł do środka godzinę później i przez minutę stał, wpatrując się w ciemność Oma. Biedny dzieciak, jakie brzemień koszmarnych wspomnień musi nosić w tej głowie. Pochylił się nad nim i zauważył, że ma otwarte oczy.

– Om? Przestała cię boleć?

Tamten jęknął i odparł, że nie.

– Cierpliwości, Om, przejdzie. – A na pocieszenie, dorzucił: – Nasze gwiazdy wreszcie ułożyły się korzystnie. Wszystko idzie jak trzeba, co?

– Jak możesz w kółko powtarzać te bzdury? Żyjemy w paskudnej, śmierdzącej ruderze. Pracę mamy okropną, a ta cała Dina-bai pilnuje nas jak sęp, prześladuje i mówi nam, kiedy mamy jeść, a kiedy bekać.

Ishvar westchnął: bratanek był w jednym ze swych nieposkromionych czarnych nastrojów. Zapalił dwa pręciki kadzidła jaśminowego.

– Teraz nasz dom będzie ładnie pachnieć. Śpij dobrze, rano po bólu nie zostanie ślad.

Późną nocą, kiedy ucichła melodia fisharmonisty i zamilkło szczekanie Tikki, to hałasy z baraku zbieracza włosów nie pozwalały Omowi usnąć. Ktoś przyszedł w gości. Jakaś kobieta chichotała, Rajaram śmiał się. Wkrótce zaczął ciężko dyszeć. Odgłosy dobiegające zza sklejkowych ścian dręczyły Oma. Wyobraził ich sobie nagich, wśród upiornych worków z włosami, powyginanych w erotycznych pozach z plakatów filmowych. Pomyślał o Shanti przy kranie z wodą, jej cudownych, lśniących włosach, o obcisłości jej bluzki, kiedy stawiała sobie duży mosiężny garnek na głowie, o rzeczach, które mógłby robić z nią w krzakach koło torów. Popatrzył na stryja; spał głęboko. Podniósł się z posłania, wyszedł na dwór i zaczął się masturbować. Kobieta z sąsiedniej chaty właśnie wychodziła. Schował się wśród cieni, póki nie znikła.

Zasnął po północy, po to tylko, by obudzić się na dźwięk przeszywających wrzasków. Tym razem Ishvar także został wyrwany ze snu.

– Hai Ram! Co to może być?

Na zewnątrz natknęli się na Rajarama, który uśmiechał się z zadowoleniem. Om łypnął na niego z mieszaniną zazdrości i odrazy. Ludzie wynurzali się ze wszystkich sąsiednich baraków. Rozeszła się wiadomość, że to kobieta w połogu i wszyscy wrócili spać. Po pewnym czasie wrzaski ustały.

Rankiem usłyszeli, że przed świtem urodziła się dziewczynka.

– Chodźmy złożyć im życzenia – powiedział Ishvar.

– Idź, jeśli masz ochotę – odparł Om ponuro.

– Nie smuć się – Ishvar zmierzwił mu włosy. – Znajdziemy ci żonę, obiecuję.

– Sam sobie znajdź, jak masz ochotę. Ja nie potrzebuję – odsunął się poza zasięg ręki stryja i złapał grzebień leżący na pudle, żeby poprawić fryzurę.

– Wracam za dwie minuty – powiedział Ishvar. – A potem do pracy.

Om zasiadł w drzwiach, obracając w palcach wsunięty wczoraj do kieszeni kawałek atlasu, podniesiony spośród skrawków materiału zaśmiecających podłogę u Diny Dalal. Działał kojąco, tak płynny między jego palcami – dlaczego życie nie mogło być równie miękkie i gładkie? Gładził się nim po policzku, obserwując, jak dzieci pijaka biegają w koło, jak wylegają się na ziemi pośród kurzu, czekając, aż matka zabierze je na żebry. Jedno z nich znalazło kamień o osobliwym kształcie i pokazało rodzeństwu. Później zaczęły przeganiać wronę, która dobierała się do jakiegoś zgnilego ochłapu. Niestrudzony ptak ani myślał odlatywać; odskakiwał, zataczał kółka i ku uciesze dzieciarni powracał do rozkładającego się okrawka. Jak one mogą być tak szczęśliwe? – zastanawiał się Om. – Brudne, nagie, niedożywione, z ranami na twarzy, wysypką na skórze. Z czego miałby się śmiać ktoś w ich położeniu?

Wsunął kawałek atlasu z powrotem do kieszeni i powędrował do baraku małpiarza. Lajla iskała Madznuna. Przysiadł, żeby popatrzeć. Minutę później małpy wskoczyły mu na ramiona i delikatnymi palcami zaczęły przeczesywać mu włosy.

Widząc, że Om nie ma nic przeciw temu, małpiarz uśmiechnął się i nie przepędził ich.

– Mnie też tak robią – powiedział. – To znaczy, że cię lubią. Najlepszy sposób na czystą głowę.

Lajla znalazła coś we włosach Oma i podniosła w górę, żeby obejrzeć. Madznun wyrwał jej znalezisko z łap i wepchnął sobie do pyszczka.

•

W wypożyczalni po drodze do Diny Dalal Om wybrał sobie czarnego herculesa. Miał on nad tylnym kołem imponujący bagażnik ze sprężyną, a na kierownicy duży, błyszczący dzwonek.

– Ale na co ci rower? – dopytywał natarczywie Ishvar. Bratanek uśmiechał się chytrze, podczas gdy właściciel przy pomocy klucza nastawnego regulował wysokość siodełka.

– Mija miesiąc, jak u niej pracujemy – powiedział Om. – To wystarczająco długo. Mam plan. – Świeżo napompowane opony obroniły się pod kontrolnym naciskiem jego palców. Wyprowadził rower na główną ulicę. – Dziś przypada dzień, kiedy jeździ do firmy eksportowej, zgadza się? A ja pojedę na rowerze za jej taksówką. – Lekko przerzucił nogę przez siodełko i podjechał do przodu.

– Ostrożnie – powiedział Ishvar. – To nie nasza wiejska droga, trzeba uważać na samochody. – Idąc przy krawężniku, przyspieszył kroku, by nadażyć. – Plan jest dobry, Om, ale zapominasz o jednym: o kłódce na drzwiach. W jaki sposób wyjdiesz?

– Poczekaj, to zobaczysz.

Tryskając optymizmem, jechał u boku stryja. Błotniki pobrzekiwały, hamulce łapały słabo, za to dzwonek działał bez zarzutu. Tring-tring, tring-tring – trącał go kciukiem – tring-tring. Nie lękając się niczego dał nurka w ruch uliczny na swoim rozdzwonionym rowerze, na kołach, które miały ponieść ich ku lepszej przyszłości.

Kiedy wrócił do krawężnika, Ishvar odetchnął z ulgą. Plan był absurdalny, ale starszy krawiec cieszył się, że jego bratanek dobrze się bawi. Patrzył na niego, jak manewruje kierownicą i kręci w tył pedałami, aby nie wysforować się za bardzo naprzód. Na siodełku Om uprawiał skomplikowany taniec, taniec typu „zachować równowagę przy żółwym tempie”. Wkrótce, miał nadzieję Ishvar, porzuci zwariowane pomysły i z równą łatwością podejmie żmudny taniec w stylu „szycie dla szefowej”.

Ponaglony przez Oma Ishvar wspiał się na bagażnik. Usiadł bokiem, z wyciągniętymi nogami, ze stopami o kilka cali nad ziemią, z sandałami od czasu do czasu ocierającymi się o jezdnię. Odpłynęli w dal. Optymizm Oma znajdował upust w kaskadach tring-tring tryskających z dzwonka. Przez chwilę świat był doskonały.

Niebawem krawcy dotarli na róg ulicy, gdzie żebrak jeździł w kółko na swojej platformie. Zatrzymali się, by rzucić mu monetę. Wylądowała z brzękiem w pustej puszcze.

Ukryli rower w bezpiecznej odległości od domu Diny Dalal, na zasnutej pajęczynami klatce schodowej, cuchnącej moczem i kiepskim bimbrem. Przypięli go do nieużywanej rury od gazu, po czym wyszli na zewnątrz, ścierając niewidzialne nici, które lepily im się do twarzy i rąk. Duchy pajęczyn dokuczały im jeszcze przez pewien czas. Ich palce raz po raz powracały do czół i szyi, by usunąć włókna, których tam nie było.

Palce Diny śmigały jak płochliwe motyle, składając sukienki, które należało dostarczyć do Au Revoir Express. Sprawdziła papierowe wykroje, by upewnić się, że nic nie pominięto. Pani Gupta wielokrotnie wspominała o nich z wielką powagą.

– Niech ich pani strzeże jak oka w głowie – powtarzała. – Jeśli wpadną w niepowołane ręce, moja firma splajtuje.

Dina uważała, że to pewna przesada. Niemniej, kiedy przekładała staniki, rękawy i kołnierzyki z brązowego papieru, nie mogła opędzić się od uczucia, że stawką są jej własny tułów, ramiona i szyja. Ostatnimi czasy wyczuwała u pani Gupty wyniosłość, jak gdyby kierowniczka dopiero odkryła, że stoją na różnych szczeblach drabiny społecznej. Już nie wstawiała zza biurka, aby ją powitać lub odprowadzić do drzwi i nie proponowała herbaty ani fanty.

Jej palce nerwowo powróciły do złożonej odzieży. Wybrała jedną sztukę na chybił trafił, zlustrowała szwy i rąbki. Czy ta partia przejdzie pomyślnie inspekcję pani Gupty? Ile sztuk odpadnie? Anielscy krawcy zmienili się w upadłe anioły; w ich rękodziele pleniło się niechlujstwo.

Ze swojego kąta Om przyglądał się, jak Dina kończy cotygodniowy spektakl niezadowolenia. Po cichu zbierał się na odwagę; nadchodziła chwila działania.

Teraz.

Dina zatrzasnęła torebkę.

Om ukłął się nożyczkami w lewy palec wskazujący.

Ból, ostrzejszy, niż przypuszczał, poderwał go. Spodziewał się, że dolegliwość wyczekiwana będzie mniej intensywna, podobnie jak wyczekiwana przyjemność. Krew trysnęła jasnoczerwonymi łukami na żółty woal.

– Masz ci los! – krzyknęła Dina. – Coś ty zrobił! – Złapała skrawek materiału z podłogi i przycisnęła do skaleczenia. – Podnieś rękę do góry, podnieś, bo będzie więcej krwawić.

– Hai Ram! – zawołał Ishvar, zabierając poplamioną tkaninę spod stopki singera. Właśnie myślał sobie, że jego bratanek robi postępy, a tymczasem on wyskoczył z czymś takim. Ta obsesja odnalezienia firmy eksportowej nie wychodziła mu na dobre.

– Szybko, namocz sukienkę w wiadrze – powiedziała Dina. Wyjęła z apteczki nalewkę benzoesową i polała nią obficie ranę. Skaleczenie nie było tak poważne, jak uznała początkowo, widząc krew. Aby sobie ulżyć, dała folgę wymówkom.

– Ty roztrzepany chłopaku! Coś ty wyczyniał! O czym ty rozmyślasz? Jak ktoś jest takim chudzielcem, to nie może sobie pozwolić, by tracić tyle krwi. Ale ty zawsze taki zły jesteś, taki niecierpliwy, czego byś nie robił.

Om, wciąż oszołomiony dziełem swoich nożyc, zdobył się tylko na letnie łypnięcie spode łba. Podobał mu się ostry zapach złocistobrazowego płynu, który obmywał mu palec. Kiedy krwawienie prawie ustało, Dina przyłożyła wacik i ciasno obwiązała skaleczenie.

– Przez ten twój palec jestem spóźniona. Teraz kierowniczką się zdenerwuje.

Nie wspomniała o kosztach poplamionej krwią tkaniny. Zanim zacznie dyskutować o odkupywaniu, lepiej zobaczyć, czy wolał da się uratować. Podniosła pęk sukienek, podeszła do drzwi i wzięła do ręki kłódkę.

– Bardzo mnie boli – powiedział Om. – Chcę iść do lekarza.

Teraz Ishvar zrozumiał: kontakt nożyc z palcem stanowił część głupiego planu jego bratanka.

– Do lekarza? Z tym? Nie bądź dzieckiem – odpowiedziała. – Poleż trochę z ręką w górze i ci przejdzie.

Om wykrzywił twarz w karykaturę cierpienia.

– A jeśli zrobię, jak pani radzi i palec mi zgnije i odpadnie? Będzie na panią, to na pewno.

Dina podejrzewała, że przedstawienie ma na celu wymiganie się od popołudniowej pracy, ale w jej głowie zakiełkowało ziarnko niepokoju.

– Wiele mnie to obchodzi. Idź, jeśli chcesz – powiedziała szorstko.

Wykańczał ją stres spowodowany użeraniem się z tymi dwoma, z ich niedbalstwem w pracy i spóźnieniami. Prędzej czy później pani Gupta nie da jej zleceń, to pewne. Pozostawało jedno pytanie: co ją opuści wcześniej – krawcy czy zdrowie. Wyobraziła sobie dwa ciekące kurki: na jednym widniał napis Pieniądże, na drugim Zdrowie. Z obu kapąło jednocześnie.

Całe szczęście, że nazajutrz sprowadzi się Maneck Kohlah. Przynajmniej jego pokój i posiłki były stuprocentową gwarancją dochodu.

•

Trzymając w górze skaleczony palec, Om przypatrywał się z oddali, dopóki Dina nie wsiadła do taksówki. Wówczas, czując w nozdrzach woń sukcesu, pognął do schowka.

Odpiął rower i wyprowadził go spod schodów, lecz taksówka zdążyła tymczasem zniknąć. Pędem skręcił w boczną ulicę – i oto była, stała na czerwonym świetle.

Dogonił ją, zachowując dystans dwóch samochodów. Utrzymanie jej w polu widzenia było równie ważne jak pozostanie niezauważonym. Przyśpieszał i zwalniał, przyczajał się za autobusami, zmieniał pasy niczym demon. Auta protestowały klaksonami. Ludzie krzyczeli na niego i wykonywali wrogie gesty. Nie zwracał na nich uwagi: taksówka i rower wymagały odeń pełnej koncentracji.

Był tak pewny, że wytropi swój cel i trząsł się cały. Było to osobliwe drzenie, w którym podniecenie łowcy mieszało się z przerażeniem ściganej zwierzyny.

Boczna ulica przeszła w główną. Tu ruch był gęstszy, nieobliczalny, wybuchowy, gorszy od wszystkiego, z czym dotąd miał do czynienia. Po kilku minutach dyszał z frustracji. Taksówka umknęła mu i odnalazła się na powrót z pół tuzina razy, przy czym ciągle odskakiwała dalej. Zadania nie ułatwiały mu dziesiątki identycznych żółto-czarnych fiatów z masywnymi licznikami sterczącymi z lewej strony.

Om był zbity z tropu. Zaczął wpadać w panikę. Krótka, wczesnoporanna przejażdżka na trasie od stacji kolejowej nie przygotowała go na histerię ruchu ulicznego okolic południa. Było to jak przyglądanie się dzikim zwierzętom ospale wylegającym się w klatkach zoo, a następnie spotkanie ich w dżungli. Ostatecznym, rozpaczliwym rzutem na taśmę, wcisnął się między dwa samochody i został strącony z roweru. Ludzie na chodniku krzyknęli.

- Hai Bhagwan! Już po chłopaczynie!
- Zmiażdżyło go na śmierć!
- Ostrożnie, może mieć połamane kości!
- Łapać szofera! Nie puszczajcie go! Lejemy szubrawca!

Omowi zrobiło się głupio, że bez powodu wzbudził tyle troski, więc podniósł się, ciągnąc za sobą rower. Miał obtarty łokieć i stłuczone kolano, ale poza tym nie doznał szwanku.

Teraz przyszła kolej na szofera. Śmiało wynurzył się z auta, w którym dotąd się chował.

– Co ty tam masz, oczy czy szklane kulki? – wydarł się. – Nie widzisz, gdzie jedziesz? Wandal niszczący cudze mienie!

- Zjawił się policjant i z najwyższą skrupulatnością zbadał stan pasażerów.
- Czy nikomu nic się nie stało, sahibie?

Om przypatrywał się temu w lekkim oszołomieniu. Czy sprawców wypadków posyła się do więzienia? Palec znów zaczął mu krwawić i pulsować boleśnie.

Wtulony w tylne siedzenie mężczyzna w komplecie safari koloru ochry dobył portfela. Wręczył jakieś pieniądze policjantowi, następnie gestem przyzwał szofera do okienka. Szofer wcisnął coś Omowi do ręki.

– A teraz zmykaj! I uważaj bardziej, bo jeszcze kogoś zabijesz! Bóg dał ci oczy, to ich używaj!

Om spojrzął w dół. W drżących rękach trzymał pięćdziesiąt rupii.

– Rusz się, pagal-ka-baćca^[109]! – wrzasnął policjant. – Zabieraj rower, bo blokujesz przejazd!

Pożegnał odjeżdżający samochód swoim najelegantszym salutem dla bardzo ważnych osobistości.

Om podprowadził rower do krawężnika. Kierownica była skrzycona, a błotniki klekotały z większą swadą niż wcześniej. Otrzeptał spodnie z kurzu, zlustrował czarne smugi smaru na mankietach.

– Ile ci dał? – zapytał ktoś na chodniku.

– Pięćdziesiąt rupii.

– Za wcześnie wstałeś – powiedział tamten, potrząsając głową z dezaprobatą. – Nigdy nie podnoś się tak szybko. Zawsze poleż trochę, pojęcz sobie, postękaj. Krzycz o lekarza, karetkę, drzyj się, wrzeszcz, co chcesz. W takich wypadkach można wyciągnąć co najmniej dwieście rupii. – Mówił jak zawodowiec; wykrecony łokieć zwiślał mu u boku niczym świadectwo kompetencji.

Om schował pieniądze do kieszeni. Unieruchomił przednie koło między kolanami i szarpał kierownicą, póki jej nie naprostował. Potem poprowadził rower w dół przecznicy, zostawiając tłumowi dalsze roztrząsanie swojego wypadku.

Nie miał po co wracać do mieszkania. Na drzwiach wisieć będzie kłódka, ciężka i ciemna, jak zgubiona przez byka moszna. Nie chciał też oddawać roweru z wyprzedzeniem – z góry zapłacił za cały dzień. Żałował, że rankiem nie posłuchał stryja. Ale plan wydawał się tak doskonały, kiedy wyobrażał sobie pasmo wydarzeń skrzące się sukcesami jak kierownica roweru wyślacana promieniami słońca. Wyobrażnia to zgubna rzecz.

Dotarł do miejsca, gdzie ruch uliczny był mniej niebezpieczny, dosiadł roweru i pomknął ulicą wiodącą w stronę morza. Nie był już zwierzyną ani tropicielem, teraz mógł napawać się jazdą. W ucho wpadł mu dźwięczny dzwonek stojącego przed szkołą sprzedawcy waty cukrowej. Przystanął i zajrzał do gabloty zawieszanej na szyi handlarza. Przez najmniej zabrudzoną szybkę ukazał mu się rozmyty widok wełnistych kulek w kolorze różowym, żółtym i niebieskim.

– Po ile?

– Dwadzieścia pięć pajs za sztukę. Albo loteria za pięćdziesiąt pajs – można wygrać od jednej do dziesięciu kulek.

Om zapłacił i zanurzył rękę w loteryjnej torbie z brązowego papieru. Wyciągnął żeton, na którym nagryzmołono dwójkę.

– Jakie kolory?

– Jedną różową, jedną żółtą.

Sprzedawca z płaskim uchylił okrągłe wieko i sięgnął do środka.

– Nie tę, tę obok – zaordynował Om.

Słodki puch szybko topniał mu ustach. Załapałem się na większą różową, to na pewno, pomyślał zadowolony z siebie, oddzielając banknot dziesięciurupiowy od szeleszczącego pliku piątek. Mężczyzna otarł palce o pas przewieszony przez szyję i przyjął należność. Om schował resztę do kieszeni i ruszył dalej w stronę

morza.

Na plaży zatrzymał się, żeby odczytać imię wyryte na cokole wysokiego posągu z czarnego kamienia. Tabliczka informowała, że to Strażnik Demokracji. Om uczył się o nim na lekcjach historii, kiedy przerabiali rozdział poświęcony walce o niepodległość. Fotografia z podręcznika była ładniejsza niż pomnik – stwierdził. Oparłszy rower o cokół, wypoczywał w cieniu posągu. Ściany cokołu były obklejone afiszami wychwalającymi zalety stanu wyjątkowego. Na pierwszy plan wybijało się obowiązkowo oblicze pani premier. Drobnym drukiem wyjaśniano, dlaczego podstawowe prawa zostały tymczasowo zawieszane.

Przyglądał się dwóm mężczyznom wytłaczającym sok z trzciny cukrowej. Ich wózek stał na piasku. Jeden wkładał lodygi trzciny między koła zębate, jego kompan kręcił korbą. Drugi mężczyzna pracował bez koszuli; mięśnie napinały mu się, a skóra lśniła od potu, gdy z mozołem wprawiał w ruch maszynę. Jego praca jest cięższa, pomyślał Om. Miał nadzieję, że się wymieniają, w przeciwnym razie spółka nie byłaby uczciwa.

Na widok spienionego, złocistego napoju ślina napłynęła mu do ust. Miał pieniądze w kieszeni, jednak zawahał się. Niedawno słyszał na bazarze opowieści, jak to maszyna do wyciskania soku razem z trzcina zmełła gekona. Wypadek – mówili – stworzonko pewnie przyciało się wśród bebechów maszyny, oblizując słodkie ośki i zębaki, ale wielu klientów się zatrulo.

Jaszczurki w płynie zalewały potokiem myśli Oma na zmianę ze szklankami złocistego soku. Koniec końców jaszczurki zwyciężyły, dławiąc całkowicie chęć, by się napić. Zamiast tego kupił kawałek trzciny cukrowej, obranej i pokrojonej na tuzin plastrów. Chrupał je z zadowoleniem, jeden po drugim, wysysając sok. Pogryzione łupiny wypluwał u stóp pomnika, tworząc schludny stosik. Szczęki zmęczyły mu się niebawem, ale ból ten był równie przyjemny jak cukrowa słodycz.

Wiórkowate resztki ściągnęły uwagę ciekawskiej mewy. Przy następnym splunięciu Om wycelował w ptaka. Mewa zrobiła unik i podlubała w przeżutych odpadkach, rozrzucając elegancką górkę, po czym odwróciła się ze wzgardą.

Om rzucił jej ostatni, nieprzeżuty kawałek. Mewa odzyskała zainteresowanie. Zbadala go gruntownie, nie dowierzając, że jej dziób nie jest w stanie podołać trzcinie cukrowej.

Obdarta dziewczynka odpędziła mewę i zagarnęła nagrodę. Zniosła ją do stoiska i obmyła w wodzie, w której sprzedawcy płukali brudne szklanki. Przypatrując się, jak ogryza trzcinę, Om poczuł się senny. Żałował, że nie może tu przyjść z tą cudowną, lśniącą włosą dziewczyną. Shanti. Kupiłby bhel-puri^[110] i trzcinę cukrową dla nich obojga. Siedzieliby na piasku i patrzyli na fale. Potem zaszłoby słońce i nadeszła bryza, wtuliliby się w siebie. Siedzieliby objęci,

a potem... To na pewno.

Marząc, zapadł w sen. Gdy się obudził, słońce wciąż było ostre i świeciło mu w oczy. Do oddania roweru miał jeszcze półtorej godziny, ale i tak postanowił go zwrócić.

•

Jeżeli promienna beztroska, z jaką jego bratanek zasiadł do swojego singera, była jakimkolwiek wyznacznikiem, to Om musiał osiągnąć swój cel, Ishvar był pewien.

Dina, która wróciła dobrych kilka godzin wcześniej, zaczęła go łajać.

– Marnowanie czasu i nic więcej. Wybrałaś się na zwiedzanie całego miasta? Gdzie masz tego swojego doktora – na południowych krańcach Lanki?

– Tak, Hanuman^[111] zaniósł mnie tam po niebie – odparł, zastanawiając się, czy Dina zauważyła go na rowerze.

– Wyostrza mu się dowcip.

– Aż za bardzo – powiedział Ishvar. – Jeśli nie będzie uważać, to znowu się skaleczy.

– A co z tym palcem, co to miał zgnić? – spytała Dina. – Odpadł już?

– Jest lepiej. Lekarz go obejrzał.

– Dobrze. W takim razie do roboty. Rusz stopą, jest wiele nowych sukienek.

– Han-dzi, już się robi.

– O matko, to już koniec grymasów? Nie wiem, co ci ten lekarz przepisał, ale działa. Powinieneś codziennie rano brać jedną dawkę.

Nieoczekiwanie ostatnia godzina dnia pracy, zwykle najtrudniejsza, upłynęła wśród żartów i śmiechu. Dlaczego tak nie może być codziennie? – pomyślała z żalem Dina. Zanim wyszli, skorzystała z ich dobrego nastroju, by przenieść część mebli z jej pokoju do pokoju krawieckiego.

– Przemeblowuje pani całe mieszkanie?

– Tylko ten pokój. Muszę go naszykować dla gościa.

– Prawda, dla tego studenta – przypomniał sobie Om. Zwinęli materac leżący na łóżku, przenieśli ramę i deski, później z powrotem ułożyli materac. Singery, stołki i warsztat upchnięto ciaśniej, żeby uzyskać więcej miejsca. – Kiedy się wprowadza?

– Jutro wieczorem.

Kiedy wyszli, zasiadła sama w pokoju krawieckim, przyglądając się, jak kłaczki i włókna dryfują w elektrycznym świetle. Natarczywie cukierkowa tekstylna słodycz mocno wykrochmalonej tkaniny z fabryki Au Revoir mieszała się z krawiecką wonią potu i tytoniu. Dina lubiła, gdy ich gwarliwa obecność wypełniała pokój. Ale ten sam zapach działał przygnębiająco w samotne

wieczory, kiedy bele materiału wydzielały gryzące wyziewy, od których powietrze tężało, zasnute myślami o obskurnych fabrykach, gruźliczych robotnikach, ponurych żywotach. O tej porze pustka jej własnego życia zdawała się najbardziej dotkliwa.

•

– No i co, jak się nazywa ta firma? – spytał Ishvar.

– Nie wiem.

– A masz adres?

– Nie mam.

– To czego tak się cieszysz? Chytry plan się nie powiódł.

– Cierpliwości, cierpliwości – przedrzeźniał stryja. – Coś zyskałem.

Mignął mu przed nosem pieniędzmi i opowiedział swoje popołudniowe przygody.

Ishvar parsknął śmiechem.

– Tylko tobie przytrafiają się takie historie.

Żaden z nich nie wydawał się rozczarowany – być może dzięki pieniądzom, być może za sprawą ulgi, jaką przyniosło niepowodzenie: odnalezienie firmy eksportowej wiązałoby się z trudnymi wyborami.

Kiedy dotarli do domu, tuż obok osiedla baraków stała zaparkowana mobilna Klinika Planowania Rodziny. Znaczna większość slumsowej społeczności obchodziła ją szerokim łukiem. Personel rozdawał darmowe prezerwatywy, wręczał ulotki na temat metod kontrolowania narodzin i informował, jakie nagrody, pieniężne i inne, czekają na chętnych.

– Może powinienem się zoperować – powiedział Om. – Dają radio marki Bush. No i można by wyrobić kartki na jedzenie.

Ishvar zdzielił go.

– Nawet mi o tym nie żartuj!

– Dlaczego? I tak nigdy się nie ożenię. Równie dobrze mogę dostać radio.

– Ożenisz się, jak ja ci powiem. Bez dyskusji. I co to za wielki szum o jakieś radyjko?

– Wszyscy dziś takie mają. – Wyobrażał sobie, jak siedzi z Shanti na plaży w zapadającym zmierzchu, a radio wygrywa dla nich serenady.

– Jak wszyscy skoczą do studni, to też skoczysz? Co za chłopak! Uczy się wielkomiejskich zwyczajów, zapomina o naszych dobrych, prostych zwyczajach z małego miasteczka.

– To sam się zoperuj, jak mi nie pozwalasz.

– Wstydzilibyś się. Mam oddać męskość za głupie radio?

– Nie, brachu, to nie o męskość im chodzi. Lekarz przecina taką małą rurkę

w środku, a ty nawet nic nie czujesz.

– Nikt nie będzie mi machał nożem przy jajach. Chcesz radio? To pracuj ciężko dla pani Diny, zarób trochę pieniędzy.

Rajaram podszedł do nich, pokazując kondomy, które pobrał z kliniki. Wydawali po cztery sztuki na głowę i dopytywał, czy mogliby odebrać swój przydział i dać mu, jeżeli sami nie potrzebują.

– Kto wie, kiedy znowu tu przyjadą – powiedział.

– A co, często ruchasz? – spytał Om ze śmiechem, ale też z nutką zazdrości w głosie. – Znowu nie dasz nam dzisiaj pospać przez całą noc?

– Wstydu nie masz – oburzył się Ishvar i zamachnął się na Oma, gdy ten wymykał się, żeby odwiedzić małpy.

•

Dina ponownie przeczytała list od pani Kohlah, który przyszedł razem z pierwszym czekiem za najem pokoju, do zrealizowania po przeprowadzce Manecka. Na trzech stronach zawarto instrukcje poświęcone dbaniu o dobre samopoczucie syna Aban Kohlah. Znalazły się tam wskazówki dotyczące śniadania: sadzone jajka należy smażyć w dużej ilości masła, ponieważ chłopiec nie lubi wysuszonych kawałków z brzegu, które przywierają do patelni; jajecznica winna być lekka i puszysta, na ostatnim etapie dodać mleko. „Maneck dorastał w naszym zdrowym, górskim powietrzu – informował dalej list – więc ma duży apetyt. Ale proszę, nie dawaj mu więcej niż dwa jajka, nawet jeżeli poprosi. Musi nauczyć się dbać o zrównoważoną dietę”.

Na temat studiów Aban Kohlah pisała: „Maneck jest dobrym, pracowitym chłopcem, ale czasem się rozprasza, więc przypominaj mu, proszę, żeby codziennie powtarzał lekcje”. Maneck miał też szczególne upodobania w kwestii garderoby: ubrania powinny być wykrochmalone i wyprasowane; porządny dhobi^[112] był nieodzowny dla jego dobrego nastroju. Dina może śmiało zwracać się do niego „Mac”, bo wszyscy w rodzinie tak go wołają.

Dina prychnęła i odłożyła list. Jajka w głębokim maśle, jeszcze czego! I na dokładkę dobry dhobi! Jakież bzdury ludzie potrafią wmawiać własnym dzieciom. Kiedy chłopak odwiedził ją w zeszłym miesiącu, w niczym nie przypominał osoby opisanej w liście swojej matki. Ale tak jest zawsze – prawie nigdy nie zdarza się, by ludzie widzieli swoje dzieci takimi, jakimi są w rzeczywistości.

By przygotować pokój na jego przybycie, Dina wyniosła zeń swoje ubrania, buty i bibeloty, dla których wygospodarowała przestrzeń pośród przyborów krawieckich. Miejsce dla jej kolekcji ścinków oraz domowej roboty podpasek znalazło się w kufrze stojącym na koziolkach. Większe skrawki tkaniny, z których

niedawno zaczęła zszywać kape, powędrowały do dolnej szuflady szafy. Parasol w kształcie pagody pozostał tam, gdzie był, zahaczony o szczyt szafy lokatora; nie będzie mu zawadzał.

Jej dawna sypialnia była pusta, gotowa na przyjęcie Manecka Kohlah. Jej nowa sypialnia była koszmar. Pewnie będę tam leżeć bezsennie, próbując złapać oddech, otoczona belami materiału, pomyślała. Ale umieszczenie lokatora razem z maszynami do szycia nie wchodziło w rachubę. Natychmiast czmychnąłby z powrotem do akademika.

Z kłębu skrawków pod łóżkiem wybrała parę kawałków tkaniny i zasiadła, by doszyć kolejne fragmenty do kapy. Jej uwaga skupiła się na pracy, rozpraszając niepokój o jutro. Śmieszne, pomyślała, jak może w ogóle myśleć o tym, by rywalizować z Aban Kohlah i luksusami jej domu na północy. Odda Maneckowi sypialnię i na tym koniec ustępstw.

[98] Lota – miedziany garnuszek na wodę.

[99] *Sandas* – defekacja, wypróżnienie.

[100] Mowa o przenośnym modelu fisharmonii, spotykanym w Indiach od XIX wieku.

[101] *Meri dosti, mera pjar* (*Moja przyjaźń, moja miłość*) – popularna piosenka z filmu hindi *Dostiz* 1964 roku.

[102] *Nasbandi* – wazektomia, dosł. zamknięcie (*bandi*) nasieniowodu (*nas*).

[103] *Hawaldar* – podoficer w indyjskiej armii lub policji, na ogół w stopniu sierżanta.

[104] *Baithak* – przysiad.

[105] *Bhadzi* – warzywa w cieście z mąki grochowej smażone w głębokim oleju. *Masala wada* – smażone kotleciki z ciecierzycy z dodatkiem cebuli i ostrej papryczki chili.

[106] *Agarbatti* – trociczki, kadzidelka.

[107] Lajla i Madżnun (Laila i Majno) – para kochanków z perskiego poematu.

[108] *Chotela* – warkocz.

[109] *Pagal-ka-baćća* – dosł. syn szaleńca.

[110] *Bhel puri* – popularna bombajska przekąska z prażonego ryżu, warzyw i przypraw w pikantnym i cierpkim sosie z tamaryndowca.

[111] Hanuman – dowódca małp, w eposie *Ramajanasojusznik* Ramy w walce z demonem Rawaną, władcą królestwa na wyspie Lanka utożsamianą z Cejlonem (obecnie Sri Lanka).

[\[112\]](#) *Dhobi* – pracz lub praczka.

5 GÓRY

Kiedy Maneck Kohlah skończył przenosić swoje bagaże z akademika do mieszkania Diny, cały ociekał potem. Ma ładne, mocne ręce, pomyślała, patrząc, jak bezszelestnie wnosi walizkę i kartony i ostrożnie stawia je na ziemi.

– Strasznie parno – powiedział, ocierając czoło. – Wykąpię się, pani Dalal.

– Wieczorem, o tej porze? Chyba żartujesz. Nie ma wody. Musisz poczekać do rana. I co tu znowu robi ta pani Dalal?

– Przepraszam: ciociu Dino.

Jaki przystojny chłopiec, pomyślała, i robią mu się dołeczki, kiedy się uśmiecha. Ale uważała, że powinien pozbyć się tych paru włosków nad górną wargą, które usilnie starały się być wąsami.

– Mam na ciebie mówić Mac?

– Nienawidzę tego imienia.

Rozpakował się, zmienił koszulę. Siedli do kolacji. Raz uniósł wzrok znad talerza, ich spojrzenia spotkały się, on uśmiechnął się smutno. Jadł mało; spytała, czy mu smakuje.

– Och tak, bardzo. Dziękuję, ciociu.

– Gdyby Nusswan – mój brat – zobaczył twój talerz, powiedziałby, że nawet jego domowy wróbelek by się tym nie najadł.

– Za gorąco, żeby zjeść więcej – wymamrotał przepaszająco.

– Tak, wyobrażam sobie, że w porównaniu z twoim górskim powietrzem to istny ukrop. – Uznała, że trzeba go ośmielić. – A jak tam w college’u?

– Dziękuję, dobrze.

– Ale w akademiku ci się nie podobało?

– Nie, to bardzo rozchukane miejsce. Nie da się tam uczyć.

Zapadła cisza na kolejnych kilka kęsów. Następna próba rozmowy wyszła od niego.

– A ci dwaj krawcy, których spotkałem w zeszłym miesiącu, to nadal pracują u cioci?

– Tak – powiedziała. – Przyjdą rano.

– O, to fajnie. Miło będzie ich znowu zobaczyć.

– Ach tak?

Nie posłyszał ostrej nuty i przytakiwał grzecznie, gdy tymczasem ona zaczęła sprzątać ze stołu.

– Pomogę – zaofiarował się, odsuwając krzesło.

– Nie, nie trzeba.

Zalała naczynia w kuchni przed porannym zmywaniem, Maneck patrzył. Mieszkanie przygnębiało go, tak jak wtedy, gdy przyszedł obejrzyć pokój. Odejdę stąd za rok, pomyślał. I dzięki Bogu. Ale dla cioci Diny to dom. Na każdym kroku widać było ślady jej walki, by nie poddać się nędzy, by schludnością i porządkiem nadrobić obskurność, która idzie w parze z biedą. Dostrzegał tę biedę w siatce na wybitej szybie, na poczerniałej ścianie i na suficie kuchni, w obłazującym tynku, w cerach na kołnierzyku i rękawach jej bluzki.

– Jeśli jesteś zmęczony, idź spać, nie czekaj na mnie.

Potraktował te słowa jako uprzejmą odprawę i wycofał się do swojego pokoju – jej pokoju, pomyślał z poczuciem winy – i usiadł, nasłuchując dźwięków z głębi mieszkania, próbując odgadnąć, co robi Dina.

Zanim sama położyła się do łóżka, Dina pamiętała o odkręceniu kuchennego kranu, by chłupot pierwszego strumienia obudził ją rano. Przez dłuższą chwilę leżała, nie śpiąc, rozmyślając o swoim lokatorze. Pierwsze wrażenie było dobre. W ogóle nie wydawał się grymaśny, był uprzejmy, dobrze wychowany i bardzo cichy. Ale może jest po prostu zmęczony, a jutro się rozgada.

Maneck spał źle. Wiatr raz po raz trząskając gdzieś oknem, ale on wzdragał się wstać i iść na zwiady, bojąc się, że w ciemności potknie się i zakłóci spokój pani Dalal. Przewracał się z boku na bok, nawiedzany wspomnieniem akademika. Wreszcie uciekłem, pomyślał. Ale o wiele lepiej byłoby pojechać od razu do domu...

Obudził się wcześniej; także na niego odkręcony kurek zadziałał jak budzik. Po umyciu zębów wrócił do siebie i w samej bieliźnie, zaczął robić pompki, nieświadomy, że Dina, która skończyła krzątać się w kuchni, obserwuje go przez uchylone drzwi.

Podziwiała, jak podkopy jego tricepsów pęcznieją, a potem rozpływają się, w miarę jak ciało opada i unosi się w górę. Miała rację wczoraj wieczorem – pomyślała – ładne, silne ramiona. I jakie ciało. Potem pokraśniała z zakłopotania – chodziłam z Aban do szkoły... mógłby być moim synem. Odwróciła się od drzwi.

– Dzień dobry, ciociu.

Zerknęła ostrożnie i z ulgą zobaczyła, że ma na sobie ubranie.

– Dzień dobry, Maneck. Dobrze spałeś?

– Tak, dziękuję.

Pokazała mu łazienkę i wyjaśniła, jak działa podgrzewacz do wody, po czym wyszła. Zamknął drzwi, by się rozebrać. Pomieszczenie było ciasne i obce, poruszał się ostrożnie. Gorąca woda gwałtownie parowała w wiadrze. Zbadał ją

koniuszkami palców, następnie zanurzył rękę po nadgarstek, napawając się ciepłem. Uprzytomnił sobie, że to tylko zimny i wilgotny monsunowy dzień sprawia, iż chmura pary zdaje się tak gęsta i groźna, choć naprawdę nie była gorętsza od sennej mgielki, która w tej samej chwili otulała góry koło jego domu.

Wystarczyło mu zamknąć oczy, by ją ujrzeć: o tej porze wirowałaby fantazyjnie, zataczając kręgi wokół pokrytych śniegiem szczytów. Tuż po brzasku, zanim słońce staje się dostatecznie silne, by zerwać woalkę, przypadał najlepszy moment, by obserwować jej powolny taniec. Stałby teraz w oknie, patrząc na pomarańczoworóżowy świt, i wyobrażałby sobie, że mgielka łaskocze góry za uchem, bierze je pod brodę lub dzierga dla nich czapkę.

Wkrótce posłyszaliby znajome odgłosy z dołu: to ojciec otwiera sklep i wychodzi na zewnątrz, by zamieść ganek. Najpierw wita się z psami, które spędziły noc na ganku. Bezpańskie czworonogi nigdy nie nastreczały kłopotów. Tatko miał z nimi umowę: mogły tam spać i żywić się resztkami, pod warunkiem, że rankiem odejdą. I zawsze z pierwszym promieniem słońca podnosiły się posłusznie, choć z ociąganiem, obwąchawszy wcześniej jego kostki. W kuchni mama dorzucała błyszczącego czarnego węgla pod kocioł, parzyła w imbryku herbatę, kroїła chleb i doglądała pieca.

Była to godzina, kiedy patelnia syczała i pykała, a zapach smaonych jajek wydobywał się na werandę i wspinał na piętro. Apetyczny emisariusz zanosił bezgłośnie meldunki Maneckowi i jego ojcu. Wtedy Maneck porzucał panoramę z ruchomą mgielką i pędził na śniadanie. Zanim usiadł na swoim miejscu, ściszał rodziców i cichutko mówił im dzień dobry. Ojciec miał specjalny, duży kubek, z którego pociągał wielkie łyki herbaty, jeszcze zanim usiadł. Pierwszy kubek zawsze wypijał na stojąco, kręcąc się po kuchni i spoglądając przez okno na wczesnoporanną dolinę. Kiedy Maneck był przeziębiony lub miał egzaminy w szkole, wolno mu było napić się z ojcowskiego kubka, naczynia tak przepastnego, że myślał, iż nigdy go nie skończy, nigdy nie wypije do dna – choć przecież musiał wytrwać w picciu, jeśli miał zatriumfować i odsłonić gwiazdzisty wzór na dnie, który mienił się wśród ostatnich łyčzków, pojawiając się i znikając, kiedy Maneck chlupał płynem o ścianki...

Strząsając wodę z mokrego przedramienia, Maneck usiłował zakręcić cieknący kran (uszkodzona uszczelka) i gapił się nieobecny wzrokiem na wir pary otaczający aureolą wiadro z gorącą wodą. Stęskniona za domem wyobraźnia ściągnęła mu przed oczy góry unoszące się wśród mgły, przechodzące z nimbusów w nicość. Westchnął, stanął na progu wydzielającym przestrzeń do kąpieli i zawiesił ubrania na pustym gwoździu koło swojego ręcznika. Trzeci gwóźdź okupował biustonosz, a za nim coś jeszcze – coś na kształt bezpalczastej rękawiczki wydzierganej z mocnej, szorstkiej przędzy. Zaciekawiony zdjął ją, by

obejrzeć dokładnie. Rękawica kąpielowa, uznał, zszedł z progu i wziął do ręki kubek, żeby połać się wodą z wiadra.

Wtedy zobaczył robaki. *Phylum Annelida*, jak pamiętał z lekcji biologii. Wypełzały z otworu odpływowego potężną gromadą, włókniste i ciemnoczerwone, i, połyskując na szarej, kamiennej posadzce, sunęły naprzód hipnotycznym ślizgiem. Maneck zamarł na chwilę, po czym uskoczył na bezpieczny próg.

•

Kilka tygodni wcześniej, kiedy Dina po raz pierwszy posłyszała, że znaleziony przez Zenobię lokator jest synem ich dawnej koleżanki szkolnej, jej pamięć nie była w stanie przebić się przez lata, by wydobyć z przeszłości twarz, o której była mowa.

– Miała pieprzyk na brodzie – przypomniała jej Zenobia – i trochę haczykowaty nos. Chociaż moim zdaniem całkiem jej z tym było do twarzy.

Dina potrząsnęła głową. Wciąż nie pamiętała.

– Masz zdjęcie klasowe z... Zaraz, zaraz – Zenobia zaczęła liczyć na palcach. – 1946, 47, 48, 49 – zgadza się, 1949 rok.

– Nusswan w życiu nie dałby mi pieniędzy na zdjęcie. Zapomniałaś, jaki się zrobił po śmierci tatusia?

– Tak, pamiętam. Co za łajza. Zmuszał cię, żebyś nosiła te idiotyczne długie mundurki i te ohydne, ciężkie buciorzy. Biedactwo. Jeszcze teraz krew mnie zalewa.

– I przez niego straciłam kontakt ze wszystkimi poza tobą.

– Wiem, wiem. Nie pozwalał ci zostawać na kółku teatralnym ani na balecie, ani w ogóle.

Cały wieczór z przyjemnością snuły wspomnienia, śmiejąc się z szaleństw i tragedii własnej przeszłości. Bardzo często w ich śmiechu pobrzmiwało troszkę smutku – przecież wspominały swą młodość. Przypomniały sobie ulubionych nauczycieli i Miss Lamb, dyrektorkę, na którą mówiło się Lambretta, ponieważ zawsze śmigała tam i z powrotem po korytarzach. Wyliczyły, ile lat miały w szóstej klasie, kiedy zaczęły się uczyć francuskiego i nauczycielka francuskiego, którą przezwwały Mademoiselle Bouledogue, znęcała się nad nimi trzy razy w tygodniu. Wszyscy uznali, że przydomek ten stanowi przykład okrucieństwa uczennic, lecz nadano jej go nie tylko z uwagi na masywne zuchwy, ale też z racji wojowniczości, jaką odznaczał się jej stosunek do czasowników nieregularnych i koniugacji.

Kiedy Zenobia wyszła, Dina odmierzyła pół kubka ryżu, wybrała kamyki spomiędzy ziarenek i zagotowała wodę. Ostatnia kropla dziennego światła

wyczerpała się i trzeba było włączyć lampę w kuchni. Przez otwarte okno usłyszała, jak jakaś matka woła dziecko bawiące się na dworze. Później do środka wdarł się zapach smażonej cebuli. Nadeszła pora przyrządzania posiłków.

Ryż się gotował, a Dina rozmyślała, jak przyjemnie powspominać czasem szkolne lata – to o wiele lepsze od pogrążania się w uporczywych rozmyślaniach, jakie snuła ostatnimi czasy o Nusswanie i Ruby, o domu ich ojca, o swoich bratankach, Xerxesie i Zarirze, dziś dorosłych mężczyznach, jednym dwudziestodwuletnim, drugim dziewiętnastoletnim, których rzadko zdarzało jej się widzieć częściej niż raz do roku.

Po kolacji zasiadła w oknie, patrząc jak sprzedawca balonów kusi przechodzące dzieci. Gdzieś radio zadudniło sygnałem dźwiękowym audycji *Wybór ludu*. Ósma, pomyślała Dina, gdy głos Vijaya Correi zapowiedział pierwszą piosenkę. Przez mniej więcej godzinę pracowała nad swoją narzutą na łóżko. Zanim położyła się do łóżka, namydliła ubrania i zostawiła je w wiadrze, gotowe do porannego prania.

Następnego wieczoru Zenobia znów ją odwiedziła po drodze do domu z salonu urody Wenus. Wyjęła z torebki dużą kopertę.

– Śmiało, otwórz – powiedziała.

– Och, zdjęcie klasowe! – wykrzyknęła Dina z zachwytem.

– Popatrz tylko na nas wszystkie – rzekła tęsknie Zenobia. – Musiałyśmy mieć koło piętnastu lat. – Wskazała na dziewczynę w drugim rzędzie.

– Tak, teraz sobie przypominam. Aban Sodawalla. Chociaż na tym zdjęciu nie widać pieprzyka.

– A jak jej dziewczyny dokuczały z tego powodu... Pamiętasz ten wredny wierszyk, który ktoś ułożył? „Aban Sodawalla jest szkaradą, myje buzię lemoniadą”.

– „A na brodzie pieprzyk ma, szpilką wydłub go raz dwa” – dokończyła Dina.

– Ale wtedy byliśmy głupie, żeby klepać takie bzdury.

– No. A jak skończyłyśmy szesnaście lat, to wszystkie chciałyśmy mieć taki sam pieprzyk. To dopiero było głupie, jak go sobie próbowałyśmy domalować.

Dina ponownie wpatrzyła się w fotografię.

– Najlepiej pamiętam ją z czwartej klasy. Osiem albo dziewięć lat. Ciągłe trzymałyśmy się razem. Zawsze była świetna na skakance, zgadza się?

– Właśnie – Zenobia była zadowolona, że wreszcie pojawiło się solidne skojarzenie. – Nauczyciele mówili na nas kłopoty przez wielkie „K”, pamiętasz?

Podjęły dalej szlak nostalgii od miejsca, w którym go porzuciły dzień wcześniej: gry, w które grały na krótkich i długich przerwach, zabawa przy wzajemnym zaplataniu sobie warkoczyków, porównywanie wstążek, wymienianie się spinkami do włosów. I to, jak zaczęły im rosnać piersi, a one garbiły się, by

poniejszyć zawstydzające wypukłości albo, by je ukryć, wkładały swetry nawet w najgorszy skwar. I to, jak dyskutowały o swoich pierwszych miesiączkach i chodziły niezdarnie, przyzwyczajając się do podpasek. I przekomarzanie się na temat rzekomych wielbicieli i pocałunków, i fantazje o spacerach przy świetle księżycy w romantycznych ogrodach.

Dina i Zenobia nade wszystko nie mogły się nadziwić, jak przez te lata przerażającej niewinności każda dziewczyna wiedziała w zasadzie wszystko o życiu pozostałych.

– A potem twój ojciec umarł – powiedziała Zenobia – i twój brat nie pozwalał ci mieć żadnych przyjaciółek. Ale powiem ci, że tak dużo nie straciłaś. Po maturze większości z nas urwał się kontakt z resztą bandy.

Po ukończeniu szkoły średniej część z ich koleżanek, tych z biedniejszych rodzin, musiała iść do pracy; niektóre poszły do college’u, innym zaś zabroniono, ponieważ college mógł wywrzeć szkodliwy wpływ na życie przyszłych żon i matek; siedziały w domu i pomagały w kuchni. Jeśli w rodzinie nie było młodszych sióstr, które przejęłyby bluzkę i fartuch od szkolnego mundurka, cięło się go na szmatki do przecierania kuchenki i przenoszenia gorących naczyń. Kiedy zdarzyło im się spotkać, dawne koleżanki były w swoich rozmowach oględne lub wręcz skryte. Ich codzienne zajęcia spowijał nastrój zakłopotania, jak gdyby we wspólnym spisku zdradziły swoją młodość i dzieciństwo. Większość z nich nie miała bladego pojęcia o życiu pozostałych.

– Tylko z tobą mam ciągle kontakt, z tobą i z Aban Sodawallą, oczywiście – powiedziała Zenobia, po czym podjęła opowieść o ich szkolnej koleżance.

Wkrótce po maturze przyjaciele rodziny przedstawili Aban niejakiemu Farokhowi Kohlah, który miał biznes daleko na północy, w górskim kurorcie, i który przebywał w mieście z wizytą. Rodzina Sodawalla zaaprobowała go natychmiast. Młody parsyjski dżentelmen jak się patrzy – orzekł pan Sodawalla. – Co za wzrost, co za postawa. Oto skutki zdrowego górskiego życia. Pani Sodawalla była pod ogromnym wrażeniem cery młodego dżentelmena. Nie biała jak u jakiegoś europejskiego widma – chwaliła się przyjaciółkom – tylko jasna i złocista.

Mając na uwadze następczące się możliwości, następnego roku rodzina Sodawalla wybrała się na taktyczne wakacje opodal górskiego kurortu. W odpowiednim czasie taktyka przyniosła pożądane rezultaty. Aban zakochała się w Farokhu Kohlah i pięknie okolicznej przyrody. Później wyszła za niego za mąż i zamieszkała w górach.

– Nadal pisze do mnie raz do roku, bez pudła – powiedziała Zenobia. – Stąd wiedziałam, że szuka pokoju dla syna.

– A to się złożyło bardzo szczęśliwie dla mnie – dorzuciła Dina. – Dzięki za

wszystko, co dla mnie zrobiłaś.

– Nie ma o czym mówić. Ale Bóg jeden wie, jak Aban udało się przeżyć te wszystkie lata w jakiejś górskiej dziurze. Tym bardziej, że urodziła się i dorastała w naszym ślicznym mieście. Szczerze mówiąc, ja bym zwariowała.

– Jeśli mają własny interes, to muszą być bogaci – powiedziała Dina.

Zenobia była sceptyczna.

– Ile może człowiek dzisiaj zarobić na sklepiku w górskiej miejscinie?

•

A jednak swego czasu rodzina Manecka była nadzwyczaj zamożna. Pola pełne zbóż, sady uginające się od jabłek i brzoskwiń, lukratywny kontrakt na dostawy dla nadgranicznych garnizonów – wszystko to weszło w skład majątku odziedziczonego przez Farokha Kohlah, on zaś dbał o spuściznę i pomnażał swój stan posiadania z myślą o żonie, którą miał kiedyś poślubić, i synu, który miał przyjść na świat.

Lecz na długo przed tymi gorąco wyczekiwanyymi narodzinami, nastąpił znacznie bardziej krwawy poród, w wyniku którego z jednego narodu zrodziły się dwie nacje. Cudzoziemiec pociągnął na mapie magiczną kreskę i nazwał ją nową granicą; granica zmieniła się w rzekę krwi. A sady, pola, fabryki i inne źródła dochodów – wszystkie po złej stronie kreski – zniknęły za dotknięciem różdżki bladego czarodzieja.

Dziesięć lat później, kiedy urodził się Maneck, schwytyany w pułapkę historii Farokh Kohlah nadal odbywał regularne podróże do stołecznych sądów spowitych splotami rządowego planu rekompensacyjnego, podczas gdy akta wędrowały z biurka na biurko, a dyplomaci z jednego kraju do drugiego. Pomiedzy podróżami pomagał żonie w prowadzeniu ich staroświeckiego sklepu wielobranżowego w miasteczku. Z rozległej fortuny tylko sklep przetrwał kartograficzne przemiany, ponieważ znalazł się po właściwej stronie owej magicznej kreski.

Sklep przez lata podupadał. Stanowił nie tyle przedsięwzięcie zarobkowe, co hobby czy klub towarzyski. Prawdziwe zyski pochodziły z innych, utraconych źródeł. Teraz należało nań chuchać, dmuchać i wyciskać zeń, ile się dało.

Okazało się, że Aban Kohlah ma wrodzony dryg do kierowania sklepem.

– Poradzę sobie z tym bez trudu – powiedziała mężowi. – Ty masz ważniejsze rzeczy na głowie.

Kołyskę wstawiono za ladę, by nie rozdzielać matki i dziecka. Aban robiła zamówienia, prowadziła rachunki, układała towary na półkach, obsługiwała klientów, a w wolnych chwilach napawała się wspaniałym widokiem doliny, jaki rozciągał się z zaplecza sklepu. Życie w górach odpowiadało jej doskonale.

Farokh Kohlah martwił się z początku, że jego żona będzie tęsknić za miastem i krewnymi. Czuł obawę, że gdy przeminie pierwszy zachwyty miejscową egzotyką, zaczną się narzekania. Troski te okazały się bezpodstawne. Z biegiem czasu miłość Aban do nowego domu jedynie wzrastała.

Niebawem Maneck wyrósł z kołyski i raczkował wokół lady, a następnie łąził chwiejnymi kroczkami pośród półek. Czujność pani Kohlah była teraz wytężona do ostatnich granic. Bała się, że chłopczyk ściągnie sobie coś na głowę. Kiedy jednak musiała odwrócić się do niego plecami, pałeczkę zawsze przejmowali klienci, którzy angażowali uwagę małego Manecka, igrając z nim i zabawiając go przy użyciu monet, breloczków oraz jaskrawych szali i chust.

– Dzień dobry panu! Ting-ting! A kuku!

Jeszcze przed piątymi urodzinami Maneck zaczął z dumą asystować rodzicom w sklepie. Stawał za ladą, zza której ledwo sterczały jego czarne włosy, i czekał na życzenia klienta.

– Ja wiem gdzie! Ja podam! – wykrzykiwał i pędził po żądany towar pod rozczulonymi spojrzeniami pani Kohlah i kupującego.

Rok później zaczął chodzić do szkoły, ale nadal pomagał w sklepie wieczorami. Opracował własny system dla stałych klientów i przechowywał ich codzienne sprawunki – trzy jajka, bochenek chleba, paczuszkę masła, herbatniki – przygotowane na skraju lady w porze, o której zazwyczaj przychodzili.

– Patrzcie no państwo na tego mojego syna – mówił z dumą pan Kohlah. – Ledwie sześć lat, a jaka inicjatywa, jaki zmysł organizacyjny.

Z rozkoszą obserwował Manecka, który witał klientów, ucinał sobie z nimi pogawędki i opowiadał o agresywnym stadzie hulmanów widzianym ze szkolnego autobusu lub włączał się do dyskusji na temat wyschniętego wodospadu. Maneck urodził się i dorastał w miasteczku, toteż w naturalny sposób przejął swobodny styl bycia jego mieszkańców, co niezmiernie cieszyło pana Kohlah, który rad był, że jego syn tak świetnie dogaduje się ze wszystkimi.

Czasami o zmierzchu, pośród sklepowego zgiełku, pan Kohlah w otoczeniu żony, syna i klientów, którzy byli zarazem przyjaciółmi i sąsiadami, niemal zapominał o utraconym majątku. Tak, myślał podówczas, tak, życie nadal jest dobre.

Kohlahowie sprzedawali gazety, parę odmian herbaty, cukier, chleb i masło, a także świece i pikle, latarki i żarówki, koce i herbatniki, miotły i czekoladki, szaliki i parasole; ponadto mieli zabawki, laski, mydło, sznurki i wiele innych towarów. Nie istniał żaden wielki system doboru asortymentu – zamawiano podstawowe warzywa, niezbędne artykuły gospodarstwa domowego, parę produktów luksusowych.

Dzięki swobodnemu podejściu do kupiectwa ich sklep cieszył się ogromną

popularnością wśród okolicznych mieszkańców i ludzi z sąsiednich osiedli. Jeśli, dajmy na to, kogoś nie było stać na całą paczkę herbatników, pani Kohlah nie miała nic przeciw temu, by ją otworzyć i sprzedać połówkę; ufała, że znajdzie się też nabywca na drugą połowę. Jeżeli jakiegoś artykułu nie było na półce, pan Kohlah chętnie zamawiał go, pod warunkiem, że klientowi nie zależało szczególnie na tempie dostawy. Zresztą nawet jeśli termin był bardzo ważny, niewiele można było wskórać, ponieważ dostawy zależały od dróg, drogi od pogody, a pogoda, jak powszechnie wiedziano, od Tego Na Górze. Poranne gazety z reguły przybywały pod wieczór, kiedy stali klienci gromadzili się na ganku, by palić papierosy lub sączyć herbatę i w miarę lektury omawiać nowiny, głośno odczytując nagłówki na użytek pana Kohlah, jeżeli ten akurat krzątał się nieśpiesznie po sklepie.

Mimo szerokiego asortymentu towarów, w ostatecznym rozrachunku sklep zawdzięczał swą stabilność sekretnej recepturze na bezalkoholowy napój przekazywanej w rodzinie Kohlah od czterech pokoleń. W piwnicy znajdowała się mała fabryczka, gdzie napój warzono, gazowano i butelkowano. Pomocnik mył i przygotowywał puste butelki oraz pakował skrzynki przeznaczone na dostawy. By utrzymać recepturę w tajemnicy, pan Kohlah osobiście zajmował się warzeniem; świadectwem tego była przepaska na jego oku, zasłaniająca dziurę wybitą w następstwie eksplozji wadliwej butelki, która wystrzeliła wskutek nasycenia płynu dwutlenkiem węgla.

Gdy nastąpił wypadek, pan Kohlah udał się na górę do żony, zasłaniając chusteczką pokierszowaną twarz. Od ślubu minął zaledwie rok, był to ich pierwszy trudny moment. Czy żona zacznie szlochać i zawodzić? Zemdleje? Zachowa spokój? W równym stopniu interesował się jej reakcją, co martwił o swoje oko.

Aban Kohlah była w siódmym miesiącu ciąży i panowała nad sobą.

– Może chcesz najpierw kieliszek brandy? – spytała.

Odpowiedział, że tak. Sama też wypła łyżeczek, po czym zawiozła go na dół, do szpitala w dolinie. Lekarz powiedział panu Kohlah, że ma szczęście, że żyje – okulary osłabiły moc szklanego pocisku, który dzięki temu nie sięgnął mózgu. Ale oka nie dało się uratować.

– Jedno oko mi wystarczy, by nacieszyć wzrok wydarzeniami, których wypatruję – uśmiechnął się, gładząc zaokrąglony brzuch małżonki. – Brzydota świata natomiast – dodał – będzie go odtąd trapić tylko połowicznie.

Nie zgodził się na wstawienie szklanego oka po zagojeniu się oczodołu. Przepaska na oko stała się odtąd nieodłącznym elementem jego codziennej garderoby. Wkładał ją do pracy w sklepie i przy towarzyskich okazjach. Za to podczas wieczornych spacerów po lesie porastającym górskie zbocza przepaska

spoczywała w kieszeni, on zaś po raz enty podziwiał piękno okolicy, pogryzając marchewkę.

Utrata oka pozwoliła mu folgować zamiłowaniu do marchewek. Dotychczas było ono trzymane w ryzach przez panią Kohlah, która twierdziła, że marchewki są dobre, ale wszelkie manie zasługują na potępienie. Teraz jednak musiała zezwolić, by jego namiętność rozkwitła z pełną mocą: sok marchewkowy, surówka z marchwi, carrot-ma-gose^[113], marchewki w kieszeniach jako towarzyszeki przechadzek.

– Potrzebuję marchewek – upierał się pan Kohlah. – Moje oko musi być w lepszej kondycji niż kiedykolwiek, teraz spełnia podwójną porcję obowiązków.

Ich synek rósł szybko i rychło poznał ojcowskie dziwactwo. Kiedy karcono go za jakiś występki, podkradał z kuchni marchewkę i niósł ją ojcu jako fajkę pokoju, narażając się na drugą naganę ze strony matki.

Po wypadku pan Kohlah zachowywał w piwnicy wzmożoną ostrożność. Nikomu nie pozwalał wchodzić do pomieszczenia, kiedy stare, wysłużone maszyny z sykiem i łoskotem napełniały butelki bąbelkami Kohlah Coli, a kasę brzękiem jakże potrzebnej gotówki.

Przyjaciele, obawiając się o jego bezpieczeństwo, okazywali swoją troskę w formie żartów.

– Ostrożnie, Farokhu, pod ziemią czyha wiele niebezpieczeństw. Dwutlenek węgla jest dwa razy groźniejszy niż zwykły gaz kopalniany. – On jednak śmiał się razem z nimi i nie zważał na te przytyki.

Porzuciwszy subtelność, przyjaciele zasugerowali, że powinien poważnie rozważyć wymianę leciwego sprzętu, zastanowić się nad unowocześnieniem i powiększeniem przedsiębiorstwa.

– Pomyśl racjonalnie, Farokhu – perswadowali mu – Kohlah Cola jest tak dobra, że zasługuje na to, by znali ją ludzie w całym kraju, a nie tylko w naszym zakątku.

Ale modernizacja i ekspansja były pojęciami obcymi, niezrozumiałymi dla kogoś, kto nie zamierzał nawet reklamować swojego towaru. Kohlah Cola (znana pod nazwą kaycee) słynęła w promieniu wielu mil we wszystkich osadach przycupniętych na zboczach gór. Ustna fama wystarczyła jego przodkom, mówił pan Kohlah, i jemu też wystarczy.

Od czasu do czasu z fanfarami zjawiali się rywale, głośno zachwalający konkurencyjne marki, lecz szybko bankrutowali, niezdolni, by współzawodniczyć z produktem rodziny Kohlah. Nic nie mogło równać się z kaycee – twierdzili wierni klienci – jej doskonały smak był równie wyjątkowy jak górskie powietrze. Napój i sklep prosperowały.

Kiedy Maneck poszedł do szkoły, przedsięwzięcia rodzinne stały pewnie na

nogach. Pan Kohlah pilnie strzegł receptury, która pozwoliła im ocalić podstawy egzystencji, i czekał na dzień, gdy przekaże ją Maneckowi, tak jak przekazał mu ją jego ojciec. Życie pana Kohlah otaczał nastrój zadowolenia, cichej dumy, że przetrwał próbę ognia. Uczucie to objawiało się podczas wieczornych spotkań sąsiedzkich, kiedy rozmowa schodziła na minione czasy, na ich życiowe historie. Gdy nadchodziła jego kolej, opowiadał o dawnej glorii swojej rodziny – nie z powodu wielkopańskich pretensji, ani dlatego, by użalał się nad sobą lub pragnął wychwalać swoje terazniejsze osiągnięcia, lecz jako lekcję życia na granicy: nowoczesne mapy mogły ściągnąć nań ruinę, lecz nie mogły odrzeć go z marzeń, jakie snuł dla swojej rodziny.

Oczywiście wszystkie te opowieści słyszano już wcześniej, i to po wielokroć, lecz zawsze znalazło się miejsce, by którąś przytoczyć po raz kolejny, pan Kohlah zaś nie był jedynym winnym grzechu powtórzenia.

Większość znajomych państwa Kohlah stanowili wojskowi i ich żony, którzy przez lata nawykli do życia garnizonowego w stylu brytyjskim, toteż postanowili osiąść wśród gór, niezdolni ścierpieć powrotu na pyliste równiny i do cuchnących miast. Oni także mieli na podorędziu często opowiadane historie o minionych dniach, kiedy dyscyplina była dyscypliną, a nie mdłą jej namiastką niegodną tej nazwy. O czasach, kiedy dowódcy umieli dowodzić, gdy każdy znał swoje miejsce w ogólnym planie, a życie toczyło się w sposób uporządkowany i nie było co dnia zagrożone przez chaos.

Na herbatę do państwa Kohlah ci emerytowani brygadierzy, majorzy i pułkownicy przybywali zawsze wyglansowani na wysoki połysk, jak mówili, z zegarkami na dewizkach i krawatami na szyjach. Osobie o przekonaniach nacjonalistycznych te rekwizyty mogły się zdać komiczne, lecz dla noszących je miały wartość talizmanów. Były jedyną zaporą stojącą pomiędzy nimi a nieładem pukającym do drzwi. Sam pan Kohlah nad krawaty przedkładał muchy. Pani Kohlah piła herbatę w aynsleyowskiej porcelanie kosztnej; sztucce pochodziły z Sheffield. Na specjalne okazje jak Nawrodź czy Khordad Sal^[114] używała serwisu Wedgwooda.

– Jaki śliczny wzór – powiedziała pani Grewal na jednym z takich przyjęć. – Kiedy w tym kraju nauczą się robić takie ładne przedmioty?

Brygadier Grewal i jego żona mieszkali najbliżej państwa Kohlah i często do nich zaglądali. Pani Grewal była też niekwestionowaną przywódczynią żon wojskowych. Idąc za jej przykładem, ktoś postukał delikatnie o kryształowy kieliszek, by wypróbować czystość jego muzyki; ktoś inny obrócił talerz, by rozmiłowanym spojrzeniem wpić się w monogram wytwórcy. Pochwały spłynęły równymi porcjami na jedzenie i na półmiski, na których je podano. Minął kolejny dzień, a chaos udało się utrzymać na bezpieczną odległość.

Później rozmowa zesłała po raz tysięczny na koszmar, który miał ich prześladować do końca życia – rozpoczęli autopsję Podziału, recytowali chronologię wydarzeń, biadali nad bezsensowną rzezią. Brygadier Grewal zastanawiał się, czy dwie rozerwane części zostaną kiedyś zszyte na nowo. Pan Kohlah przejechał palcem po swojej przepasce i stwierdził, że wszystko jest możliwe. Pocieszenie znaleźli – jak zawsze – w chaotycznym krytykowaniu kolonizatorów, którzy wycofali się w pośpiechu, nie mając dość odwagi, by dopiąć sprawy jak należy. Nostalgia złagodziła jednak dywagacje o przyczynach klęski.

Po takich wieczorach pan Kohlah zastanawiał się zawsze, dlaczego ma wrażenie, że jego poczucie zadowolenia w pewien sposób zostało zachwiane. Nie podkopane; było raczej tak, jak gdyby ktoś próbował przy nim majstrować. Kolacje i herbatki sprawiały mu ogromną przyjemność i za nic by z nich nie zrezygnował. A jednak wisiał nad nimi pewien niepokój, jakiś zapach, którego nie powinno tam być, zapach czegoś zgniętego.

Mijały dwa dni, zanim stan równowagi powracał doń na nowo. Wówczas odzyskiwał przekonanie, że tak, że postąpił właściwie, nie opuszczając domu na wzgórzach, że to nadal było dobre miejsce dla jego rodziny. „Powietrze i woda są tak czyste, góry tak piękne i tak świetnie wiedzie nam się w interesach” – pisali państwo Kohlah do krewnych, którzy regularnie zaklinali ich, by stamtąd wyjechali. – „Nigdzie indziej na Manecka nie czeka tak znakomita przyszłość”.

Gdyby Manecka poproszono o zdanie, zgodziłby się całkowicie; mniejsza o przyszłość, czas teraźniejszy, w którym trwało szczęśliwe uniwersum jego dzieciństwa, był dla niego wystarczającym argumentem. Dni jego pełne były rozmaitych zajęć – rano i po południu szkoła, potem sklep, a na koniec, późnym wieczorem, spacer z ojcem, podczas którego sadił u jego boku długimi, męskimi krokami, w przeciwnym bowiem razie tatko dogryzał mu, mówiąc o wolnych wozach, co to zostają w tyle.

Ale najlepsze były niedziele. W niedziele Gaddi^[115] imieniem Bhanu przychodził, by zaprowadzić porządek w ogrodzie za domem. Przez cały tydzień Maneck wyczekiwał, aż znajdą się razem na dworze, będą chodzić po posiadłości, a on pod kierunkiem Bhanu będzie wykonywać prace ogrodnicze. Najciekawszy teren zaczynał się pięćdziesiąt jardów za domem, gdzie następował ostry spadek, a zbocze było porośnięte dzikimi krzakami, drzewami i gęstą warstwą poszycia. Tam Bhanu uczył go nazw osobliwych kwiatów i ziół, roślin, które nie rosły opodal frontowej części domu razem z różami, liliami i nagietkami. Pokazał mu trujący bielun i inną roślinę, będącą na nią antidotum, a także liście łagodzące efekt jadu niektórych węży i inne, które leczyły niestrawność i których łodygi roztarte na maść pomagały w gojeniu skaleczeń i ran. Pokazał Maneckowi, jak

ścisnąć lwią paszczę, aby rozwarła swe szczęki. Pod koniec roku, kiedy zaczynały się chłody, zbierali chrust i uschnięte gałęzie, i gdy popołudnie chyliło się ku końcowi, rozpalali z nich małe ognisko.

Czasami Bhanu przyprawdzał swoją córkę Surayę, rówieśniczkę Manecka. Wówczas Maneck dzielił czas między pracę i zabawę. W południe pani Kohlah wołała dzieci na obiad. Suraya wstydziła się jeść przy stole; w jej domu nie było krzeseł. Musiało minąć kilka wizyt, zanim zaczęła przybiegać razem z Maneckiem i ochoczo zajmować swoje miejsce. Bhanu w dalszym ciągu jadał na zewnątrz.

Pewnego popołudnia Suraya przykucnęła wśród krzaków na odległym zboczu. Maneck odczekał chwilę, po czym z zaciekawieniem podążył za nią. Uśmiechnęła się, gdy podchodził. Posłyszał cichy syk i nachylił się, by spojrzeć. Jej strumyczek zostawił na ziemi spienioną kałużę.

Stojąc przy niej, rozpiął spodenki i wy dobył z siebie płynny łuk.

– Umie siusiać na stojąco – oświadczył.

Śmiejąc się, Suraya dokończyła i podciągnęła majtki. – Mój brat też tak umie, też ma takiego siusiaczka jak ty.

Wyprawy w krzaki odbywane za każdym razem, kiedy Suraya przychodziła do pracy ze swoim ojcem, stały się dla nich rytuałem. Stopniowo ciekawość skłoniła ich do bliższych oględzin anatomicznych.

– O co chodzi? – spytała pani Kohlah, kiedy przyszli na herbatę. – Dlaczego chichoczenie bez przerwy?

W ciągu następnych kilku niedziel zaczęła przyglądać im się z kuchennego okna i zauważyła, że za każdym razem znikają gdzieś w dole zbocza, gdzie nie sięgała wzrokiem. Próba szpiegowania ich spełzła na niczym. Posłyszeli jej kroki, zanim zdążyła podejść bliżej, i uciekli ze śmiechem.

Pani Kohlah zwierzyła się ze swoich podejrzeń mężowi.

– Farokhu, myślę, że powinieneś mieć oko na Manecka, kiedy Suraya jest tutaj.

– Dlaczego, co takiego zrobił?

– Ehm, chodzą razem w krzaki i... – zaczerwieniła się. – Właściwie to nic nie widziałam, ale...

– A to mały szubrawiec – uśmiechnął się pan Kohlah.

Następnej niedzieli został w ogrodzie, by nadzorować pracę Bhanu i patrolować peryferie zbocza. Przez resztę roku czynność ta należała do stałego repertuaru jego zajęć. Dzieci musiały wyteżać cały swój spryt, by wymykać się spod czujnego oka dorosłych.

Kiedy Maneck skończył czwartą klasę, pan Kohlah zaczął wywiadywać się o możliwość posłania go do szkoły z internatem. Poziom nauki oferowany w miejscowej szkole stał się dość nikczemny, jak zgodnie przyznali brygadier Grewal i cała reszta.

– Dobre wykształcenie to podstawa – orzekli.

Szkoła z internatem, którą wybrali, znajdowała się o osiem godzin jazdy autobusem od domu. Maneck wrogo przyjął decyzję. Na myśl o porzuceniu górskiej osady będącej całym jego światem ogarniała go panika.

– Podoba mi się moja szkoła – przekonywał. – A poza tym jak będę pracować wieczorami w sklepie, skoro mnie odsyłacie?

– Przestań martwić się pracą, masz dopiero jedenaście lat – zaśmiał się pan Kohlah. – Musisz się najpierw nacieszyć chłopięcym życiem. Zamieszkas z rówieśnikami, będziesz się świetnie bawić. Spodoba ci się w szkole. A sklep dalej tu będzie, kiedy przyjedziesz do domu na wakacje.

Maneck nauczył się tolerować szkołę z internatem, lecz jej nie polubił. Czuł ukłucie zdrady. Ani jeden dzień nie mijał mu bez wspomnienia o domu, rodzicach, sklepie, górach. Koledzy z klasy okazali się bardzo różni od chłopców, których znał dotąd. Zachowywali się, jakby byli lepsi od niego. Starsi chłopcy rozmawiali o dziewczynach i dotykali młodszych chłopców. Ktoś pokazał mu talię kart ze zdjęciami nagich kobiet. Ciemne łaty między ich nogami przeraziły go. To niemożliwe, zdjęcia musiały zostać sfalszowane, pomyślał, przypominając sobie gładką, szemrzącą słodko dziurkę Surayi.

– To są włosy. Tak to powinno wyglądać – powiedział starszy chłopak. – Te zdjęcia są prawdziwe. Spójrz, pokażę ci. – Rozpiął spodnie, aby zaprezentować włosy łonowe, dobywając przy okazji spęczniałego penisa.

– Ale ty jesteś chłopakiem, to żaden dowód jeśli chodzi o dziewczynki – powiedział Maneck. Chciał przyjrzeć się kartom z bliska. Tamten nie chciał się zgodzić, chyba że za przysługę. Przyciągnął Manecka do siebie, ocierał się o niego i pojękiwał. Dziwny dźwięk, jak gdyby próbował zrobić kupę, pomyślał Maneck. Starszy chłopak wytrysnął i karty przeszły z rąk do rąk.

Maneck wrócił do domu na wakacje z okazji Diwali, odczekał dwa dni, a potem spróbował przekonać rodziców, by go nie odsyłali. Upierał się tak długo, aż pan Kohlah stracił cierpliwość.

– Koniec z tym tematem – powiedział.

Maneck położył się do łóżka, nie mówiąc im „dobranoc”. To uchybienie męczyło go długo, a sen nie chciał zappełnić dziury, która po nim pozostała. Gdy wybiła północ, pomyślał żeby pójść do sypialni rodziców i naprawić skutki swego niemądrego nieposłuszeństwa, lecz duma oraz obawa, że na nowo rozgniewa tatę, zatrzymały go w łóżku.

Wstał o świcie, uściskał matkę stojącą przy kuchni, wymamrotał „dzień dobry”, ominął ojca przy kuchennym oknie i opadł na swoje krzesło.

– Mały lord dalej się dąsa – powiedział pan Kohlah z uśmiechem.

Maneck z zachmurzoną miną zatopił wzrok w kubku. Nie chciał stracić

panowania nad ustami i odpowiedzieć uśmiechem.

Była niedziela i Bhanu jak zwykle przyszedł popracować w ogrodzie. Nie było z nim Surai. Maneck dreptał za nim przez pewien czas, potem zapytał o nią.

– Jest z matką – wyjaśnił Bhanu. – Od teraz będzie z matką.

Maneck poczuł, że oto runął kolejny segment jego świata. Po obiedzie nie wrócił do ogrodu. Pani Kohlah wzięła go na stronę i powiedziała, że to nieładnie być niemiłym dla tatusia, który tak bardzo go kocha.

– Tata robi to dla twojego dobra. Posyła cię do znakomitej szkoły. Nie powinienes traktować tego jako kary.

Wieczorem pan Kohlah nakazał synowi usiąść koło siebie na sofie.

– Szkoła z internatem nie trwa wiecznie – zaczął. – Pamiętaj, mamusia i ja tęsknimy za tobą bardziej niż ty za nami. Ale co nam pozostaje? Nie chcesz przecież być nieukiem, który nie umie czytać ani pisać, jak ci biedni Gaddi, którzy całe życie chodzą wygłodniali i zmarznięci, mają kilka owiec czy kóz i ciągle walczą o przetrwanie. Pamiętaj, że powolny wóz zostaje w tyle. A jak za sześć lat dostaniesz świadectwo maturalne, to nikt już nigdy nie będzie cię nigdzie posyłał. Przejmiesz sklep – Maneck pozwolił sobie na uśmiech, podczas gdy ojciec ciągnął dalej: – Tak naprawdę im wcześniej, tym lepiej dla mnie. Będę mógł wypoczywać i cały dzień chodzić po górach.

Następnego ranka przy śniadaniu pan Kohlah dał mu pić ze swojego wielkiego kubka. Potem pozwolił mu usiąść przy kasie i wydawać resztę klientom. Maneck hołubił w pamięci tamten dzień przez resztę roku szkolnego. Zawsze kiedy przypominał o sobie ból banicji, wzywał radosne wspomnienie, by dać odpór rozpacz i ciemnym myślom o odrzuceniu i samotności.

•

Czas w miarowym tempie odłupał trzy lata z sześćioletniej wieczności, która początkowo budziła w nim takie przerażenie. Maneck skończył czternaście lat i wrócił do domu na majowe wakacje.

Tego roku rodzice po raz pierwszy mieli zostawić go samego na dwa dni. Wybierali się na ślub. Zamiast zamknąć interes i odesłać Manecka do sąsiadów, pan Kohlah postanowił sprawić synowi specjalny prezent i zostawić sklep pod jego opieką.

– Wystarczy, że będziesz robić tak jak ja – powiedział. – Wszystko pójdzie gładko. Nie zapomnij policzyć skrzynek, jak kierowca przyjedzie odebrać nasz napój. I zadzwoń, żeby jutro przywieźli mleko, to bardzo, bardzo ważne. Gdyby coś się działo, daj znać wujowi Grewalowi. Poprosiłem go, żeby zajrzał do ciebie później.

Państwo Kohlah raz jeszcze obeszli cały sklep, udzielając przestróg

i napomnień, po czym odjechali.

Dzień minął jak każdy inny. Były zrywy ożywienia, po nich zaś następowały okresy spokoju, podczas których Maneck przecierał gabloty, odkurzał półki i pucował ladę. Stali klienci dopytywali o nieobecność rodziców i wychwalali jego zaradność.

– Spójrzcie no, w całych koszarach porządek aż lśni. Chłopak zasłużył na medal!

– Farokh i Aban mogliby od jutra przejść na emeryturę, gdyby chcieli – powiedział brygadier Grewal. – Kiedy marszałek polny Maneck czuwa nad interesem, można spać spokojnie. – Na te słowa wszyscy zaśmiali się serdecznie.

Późnym wieczorem, kiedy zaczęło się ściemniać i na placu zapanował spokój, Maneck wyszedł na ganek, by zapalić lampę. Był dumny z pracy, którą wykonał w ciągu dnia. Zbliżała się pora zamknięcia sklepu. Pozostało mu tylko opróżnić kasę, przeliczyć pieniądze i wpisać sumę utargu do zeszytu. Z ganku popatrzył na wnętrze sklepu i zatrzymał się. Duża gablota z mydłem i talkiem, która stała pośrodku, wyglądałaby znacznie ładniej przy wejściu. A ten stary, pokancerowany i chybotliwy stolik na gazety stojący przy wejściu – czy nie lepiej byłoby przesunąć go na bok?

Pomysł nurtował Manecka, kiedy odgrzewał sobie posiłek; zawładnął jego wyobraźnią. Im więcej o tym myślał, tym bardziej dochodził do wniosku, że nowy układ wyszedłby na dobre wystawie sklepu. Bez trudu mógłby to zrobić sam, dziś w nocy. Ale będzie niespodzianka dla mamusi i tatusia, kiedy wrócą.

Po kolacji wszedł znowu do ciemnego sklepu, zapalił światło i usunął z przejścia stary stolik. Z ciężką i nieporęczną gablotą było trudniej. Wypakował z niej towary i przepchnął powoli na nowe, eksponowane miejsce. Później przyszła kolej na puszki i pudełka. Tym razem nie ustawił ich w nudne stosy, lecz zaaranżował z nich atrakcyjne piramidy i spirale. Doskonale, pomyślał, cofnąwszy się nieco, by podziwiać efekt. Potem położył się do łóżka.

Następnego wieczoru pan Kohlah wszedł do sklepu i dostrzegł zmiany. Nie przystanąwszy, by przywitać się z Maneckiem czy spytać, jak mu poszło, polecił mu zamknąć drzwi i wywiesić tabliczkę „Zamknięte”.

– Ale przecież została jeszcze godzina – powiedział Maneck, spragniony ojcowskiej pochwały.

– Wiem. Ale masz zamknąć.

Następnie ojciec kazał mu odstawić wszystko na miejsce. Mówił tonem spokojnym i beznamiętnym.

Maneck wolałby, żeby ojciec go zganił, spoliczkował lub ukarał w dowolny sposób, ale ta wzgarda i brak rozmowy były potworne. Entuzjazm odpłynął mu z twarzy, ustępując miejsca bólowi i konsternacji. Maneck był bliski płaczu.

Matka pośpieszyła z interwencją.

– Ale Farokhu, nie uważasz, że Maneck ładnie to urządził?

– Wygląd nie ma znaczenia. Jakie dyspozycje wydaliśmy, kiedy powierzaliśmy mu sklep na dwa dni? I tak nam się odpłaca za zaufanie. Tu chodzi o dyscyplinę i przestrzeganie poleceń, a nie o ładny wygląd.

Maneck przestawił przedmioty z wystawy na poprzednie miejsce, ale do końca wakacji odmawiał wejścia do sklepu.

– Tatko mnie nie potrzebuje, nie chcę tam siedzieć – oznajmił matce z goryczą.

– Jemu w sklepie potrzeba tylko służącego.

Nocą w łóżku pani Kohlah dała mężowi do zrozumienia, że uczucia Manecka zostały boleśnie zranione.

– Zdaję sobie z tego sprawę – odparł, odwracając od niej twarz wspartą na poduszce. – Ale zanim zaczniesz biegać, musi się nauczyć chodzić. To nie jest dobre dla chłopca, jeśli przedwcześnie uważa, że wszystko wie najlepiej.

Pani Kohlah nie ustawała w wysiłkach i tuż przed końcem wakacji dopięła swego. Pokój zostały przywrócony pewnego ranka, kiedy pan Kohlah zabrał się do zaprowadzania nowych porządków w jednej z gablot i zawołał Manecka do sklepu, by zasięgnąć jego opinii. Zbliżał się dzień powrotu do szkoły. Ojciec i syn znów zaczęli razem pracować w wytwórni napoju. Maneck znosił do piwnicy puste skrzynki, po czym zabierał je na górę załadowane świeżo napełnionymi butelkami kaycee.

– Będę za tobą tęsknić, jak jutro wyjedziesz – powiedział pan Kohlah, wyłączając maszynę ostatniego wieczoru. Podrygi silnika zamarły i jego słowa bezradnie chwyciły się wilgotnego, piwnicznego powietrza. Pan Kohlah objął Manecka i razem wrócili na górę.

•

Szkoła z internatem sprawiła, że Maneck po raz drugi w życiu z niechęcią opuszczał góry. Pierwszy wyjazd miał miejsce, kiedy w wieku sześciu lat wybrał się z matką w dwudniową podróż pociągiem, by odwiedzić jej rodzinę w mieście. Fascynowały go strzeliste budynki i podobne do pałaców kina, sznury samochodów, autobusów i ciężarówek, i jaskrawy blask ulic, kiedy z nadejściem nocy zapalały się światła. Jednak po kilku dniach zaczął straszliwie tęsknić za ojcem. Kiedy wakacje dobiegły końca, z radością wrócił do domu.

– Już nigdy nie zostawię gór – oznajmił. – Nigdy w życiu.

Pani Kohlah szepnęła coś na ucho mężowi, który czekał na nich na peronie. Pan Kohlah uśmiechnął się, przytulił Manecka i powiedział, że on też nie.

Lecz wkrótce nadszedł dzień, kiedy to góry jeły ich opuszczać. Zaczęło się od dróg. Inżynierowie w sola topi^[116] przybyli ze swymi groźnie wyglądającymi

przyrządami i wypełniali projektami tony papieru. To będą nowoczesne drogi, obiecywali, drogi, po których z cichym pomrukiem sunąć będą prędko nowoczesne pojazdy. Drogi szerokie i nie do zdarcia, które zastąpią malownicze górskie ścieżki, zbyt wąskie dla pełnej rozmachu wizji budowniczych narodu i oficjeli z Banku Światowego.

Pewnego ranka na placu budowy przy akompaniamencie muzyki udekorowano girlandami jakiegoś ministra. Grała Orkiestra Marszowa Bhagatbhai Naankhatai: trzy blaszane instrumenty dęte, para werbli i bęben basowy. Muzycy mieli na sobie białe uniformy z inicjałami OMBN wyhaftowanymi na plecach złotą nicią; inicjały na bębnie wymalowano czerwoną farbą. Orkiestra specjalizowała się w pochodach weselnych i w jej ministerialnym programie znalazły się między innymi pean na cześć matki panny młodej, lament jej przyszłej teściowej, triumfalny marsz pana młodego, oda do swatki i hymn ku czci płodności. OMBN z ekspercką wprawą zaadaptowała repertuar do aktualnej okazji. Bębny warczały militarnie, zwiastując marsz postępu, podczas gdy puzon porzucił posępne matrymonialne glissanda na rzecz promienistego staccato.

Widownia złożona z bezrobotnych mieszkańców miasteczka wiwatowała na dany znak, żeby zasłużyć na obiecaną zapłatę. Przemówienia wygłaszano z zaimprovizowanej estrady. Minister wykonał zamach pozłacanym kilofem i chybił celu. Obdarzył tłum szerokim uśmiechem i zamachnął się znowu.

Dygnitarze wyjechali, a na ich miejsce pojawili się robotnicy. Z początku postęp dokonywał się powoli, tak powoli, że pan Kohlah i pozostali mieszkańcy wzgórz zaczęli pielęgnować w sobie irracjonalną nadzieję: prace nigdy nie zostaną dokończone, a ich rajski zakątek przetrwa bez szwanku. Tymczasem pan Kohlah razem z brygadierem Grewalem jął organizować zebrania mieszkańców miasteczka, na których potępiano błędną politykę rozwoju, krótkowzroczność i zachłanność, która kazała naturalne piękno ich kraju złożyć w ofierze demonowi postępu. Pisali petycje, składali pisma protestacyjne u władz i czekali.

Droga zaś pięła się w górę cal po calu, połykając wszystko, co napotkała. Zbocza ich ukochanych wzgórz pokrywały się cięciami i bliznami. Sunące naprzód trakty wyglądały ze szczytów niczym rzeki błota, nieposłuszne grawitacji, jak gdyby przyroda popadła w szaleństwo. Odległy grzmot wybuchów i ryk poruszających ziemię machin wzbierał wczesnym rankiem, a marzycielska mgiełka brzasku zmieniała się w senny koszmar.

Pan Kohlah bezradnie obserwował początki asfaltowania, które z czasem zmieniło rzeki brązowe w czarne, dopełniając groteskowej metamorfozy jego ukochanych stron rodzinnych, gdzie jego dziadowie żyli ongiś niczym w raj. Bezsilnie patrzył, jak linie na papierze po raz drugi rujnują życie rodziny Kohlah. Tyle że tym razem zniszczenie było dziełem kartogramu rdzennego mierniczego,

nie imperialnej mapy cudzoziemca.

Kiedy prace dobiegły końca, minister powrócił, aby przeciąć wstęgę. Lata, które minęły od uroczystości wbicia pierwszego kilofa, przydały mu korpulencji, ale nie zręczności. Drobnymi kroczkami zbliżył się do wstęgi i upuścił pozłacane nożyce. Siedmiu gorliwych cmokierów skoczyło z odsieczą. Nastąpiła szamotanina; najsilniejszy z siódemki wyszarpnął nożyce pozostałym i podał je ministrowi. Ten zgromił ich wszystkich ostrym łypnięciem za ściągnięcie takiej uwagi na zwykłe potknięcie, a następnie uśmiechnął się na użytek tłumu i ozdobnym gestem przeciął wstęgę. Tłum odpowiedział aplauzem, Orkiestra Marszowa Bhagatbhai Naankhatai zaczęła grać, rozstrojony puzon zabuczał i nikt nie spostrzegł, jak minister szamocze się, by wyplątać pulchne palce z nożyczek.

Później po górskiej drodze zaczęły nadpływać obiecane nagrody. Ciężarówki wielkości domów przewoziły towary z miast i zanieczyszczały powietrze spalinami. Wzdłuż szos wykielkowały stacje benzynowe i jadłodajnie, mające dbać o potrzeby maszyn i ich jeźdźców. Przedsiębiorcy budowlani zaczęli wznosić luksusowe hotele.

Tamtego roku wróciwszy do domu na wakacje Maneck ze zdumieniem (które przeszło w niepokój) skonstatował, że ojciec jest stale poirytowany. Nie byli w stanie przeżyć jednego dnia bez kłótni, spierali się nawet w obecności klientów.

– Co się z nim dzieje? – pytał Maneck panią Kohlah. – Kiedy tu jestem, ignoruje mnie albo się ze mną sprzecza. Kiedy jestem w szkole, pisze mi w listach, jak bardzo za mną tęskni.

– Musisz zrozumieć – odrzekła – że ludzie zmieniają się, kiedy czasy się zmieniają. To nie znaczy, że on cię nie kocha.

Pani Kohlah miała również zapamiętać owe nieszczęśliwe wakacje jako te, podczas których Maneck porzucił obyczaj przytulania rodziców i szeptania im „dzień dobry”. Kiedy za pierwszym razem zszedł na dół i w milczeniu zajął miejsce za stołem, zaczęła odwrócona plecami, aż przeminie nagłe ukłucie odrzucenia i będzie mogła powierzyć swoim dłoniom rozgrzaną patelnię. Ojciec nie zauważył nic.

Z sercem podchodzącym do gardła pan Kohlah obserwował nowe zabudowania wyrastające na wzgórzach. Razem z przyjaciółmi uznali, że jest to wrogi wzrost. Szansa na zwiększenie obrotów w sklepie nie przynosiła mu pociechy. Inwazja atakowała wszystkie jego zmysły. Trujące wyziewy z ciężarówek paliły go w nozdrza, skarżył się pani Kohlah, a ohydny warkot ich silników szarpał mu bębenki na strzępy.

Gdzie się nie obrócił, widział nowe baraki i budy. Przypominało mu to błyskawiczne tempo, z jakim świerzb pokonał jego ulubionego psa. Na zboczach

klecono nędzne obozowiska. Wieści o budowie, bogactwie i zatrudnieniu ściągały ludzi ze wszystkich stron, ale liczba bezrobotnych przerastała liczbę wolnych miejsc pracy w proporcji geometrycznej i wygłodniała armia na dobre zagnieździła się na zboczach gór. Wyrańb drewna na opał pożerał lasy; na ciele wzgórz wykwiwały nagie łaty.

Później zbuntowały się pory roku. Deszcz, który kiedyś sprawiał, że rośliny wzrastały i dojrzewały, runął z nieba potokiem, ogoławając wzgórza, powodując osuwanie się błota i lawiny. Śnieg, ongiś otulający wzgórza obfitym kocem, tym razem spadł skąpo. Nawet w pełni zimy biała pierzyna była postrzępiona i dziurawa.

Rewolta przyrody sprawiła panu Kohlah perwersyjną satysfakcję. Było trochę tak, jakby mu przyznano rację: nie on jeden był wzburzony ohydny gwałtem. Lecz gdy sezonowy bałagan powtarzał się rok za rokiem, nie mógł dłużej czerpać zeń pokrzepienia. Im lżejsza była pokrywa śnieżna, tym ciężiej mu było na sercu.

Maneck nie odezwał się ani słowem, chociaż uważał, że ojciec dramatyzuje, kiedy mówi, że pójście na spacer jest jak wyprawa na front.

Pani Kohlah nigdy nie była entuzjastką pieszych wycieczek.

– Wolę cieszyć się pejzażem z okna mojej kuchni – odpowiadała zawsze na zaproszenia męża. – To mniej męczące.

Za to w życiu pana Kohlah długie, samotne wędrówki były źródłem ogromnej przyjemności, zwłaszcza po zimie, kiedy każdemu wypadowi towarzyszyła smakowita niepewność – co leży za następnym zakrętem? Może nowonarodzony strumyczek? Kwiat polny, którego nie dostrzegł wczoraj? Do jego najwspanialszych wspomnień należał potężny głaz rozerwany na dwoje przez wyrastający z niego krzak. Czasami padał ofiarą słodkiej zasadzki: widok doliny ukazywał mu się pod nieznanym dotychczas kątem.

Dziś każdy spacer był jak czuwanie przy chorym; służył, by sprawdzić, co jeszcze stoi, a co obalono. Gdy podchodził do ulubionego drzewa, zatrzymywał się na chwilę pod jego konarami. Przesuwał dłonią po sękatym pniu, szczęśliwy, że stary przyjaciel przeżył kolejny dzień. Wiele pól skalnych, na których siadywał, by oglądać zachód słońca, zostało wysadzonych przy użyciu dynamitu. Kiedy znajdował jakąś, spoczywał na niej przez kilka minut i zastanawiał się, czy następnym razem też ją tu zastanie.

Wkrótce zaczęto o nim mówić w miasteczku.

– Panu Kohlah zaczyna lekko odbijać – powiadali. – Gada do drzew i kamieni i poklepuje je, jakby to były jego psy.

Gdy Maneck posłyszał plotki, zawstydził się bardzo i pragnął, by ojciec zaprzestał zenującego zachowania. Jednocześnie gotował się ze złości i miał ochotę spuścić baty tym gruboskórnym ignorantom, nauczyć ich rozumu.

•

W piątą rocznicę oddania nowej drogi miejscowy pañcajat^[117], zdominowany przez nową klasę biznesmenów i przedsiębiorców, zorganizował niewielkie obchody i zaprosił wszystkich do uczestnictwa. W panu Kohlah sama myśl o tym budziła wstręt. Tamtego wieczora wcześniej wyszedł ze sklepu. Ściągnął przepaskę z oka i ruszył na spacer. Wynajęte głośniki, które przysiadły na konarach drzew przy rynku jak na grzędach, ściagały go przez pewien czas jazgotliwą muzyką i bełkotem pustych przemówień.

Musiał już iść ze trzy mile, kiedy światło dnia skłoniło się ku obietnicy zmierzchu. Różowe i pomarańczowe pasma przeplatały swoje efemeryczne nitki przez nieboskłon. Zatrzymał się, aby popatrzeć na zachód, pragnął smakować chwilę. W takich momentach żałował, że nie ma dwojga oczu, by objąć krajobraz szerszym spojrzeniem.

Później jego wzrok opadł w dół, omiatając bezdrzewne zbocza. Znad setek baraków unosił się szary, gryzący dym skromnych kuchennych palenisk. Gaza zasnuła widnokrąg. Gdy zwrócił się twarzą do wiatru, poczuł zapach cierpkiej mgły, a spod niego zaduch ludzkich ekskrementów, który na próżno próbowała przesłonić. Niepewnie przestąpił z nogi na nogę. Pod jego stopą trzasnęła gałązka. Stał nieruchomo, zastanawiając się, na co czeka. Dochodziły doń przeciągłe nawoływania matek, wrzask dzieci, ujadanie bezpańskich psów. Wyobraził sobie żalną zawartość garnków czerniejących nad ogniem, kiedy dokoła wyczekują wygłodniałe usta.

Wtem zorientował się, że tymczasem zapadł zmierzch: czarny kir skonfiskował słońce. Jak nędzny i brudny był ten widok w wieczornym świetle, jak dalece przekraczał jego zdolność pojmowania i możliwość akceptacji. Poczuł się zagubiony i wystraszony. Fale gniewu, współczucia, obrzydzenia, żalu, uczuć klęski, zdrady i miłości wzbierały w nim i rozbijały się, wymierzając mu razy i uprawiając w pomieszanie. Gniew na co? Czyja to klęska? I dlaczego tak? Gdyby tylko umiał...

Ale nie potrafił zrozumieć swoich uczuć. Czuł ucisk w klatce piersiowej, potem w gardle, jakby się dusił. Szlochał bezradnie, w milczeniu.

Wieczór robił się coraz ciemniejszy. Wyciągnął chusteczkę i przetarł oczy. Minęła chwila, zanim osuszając fantomowe łzy zauważył, że tylko zdrowe oko jest wilgotne. Dziwne, byłby przysiągł, że brakujące także płakało.

Krocząc z powrotem przez mrok, postanowił, że odtąd nie ma sensu wybierać się na spacer. Jeśli w tym wszystkim tkwił jakiś sens, to dla niego był zbyt świeży i przerażający, by go badać.

Nie było dokąd uciekać. W każdym razie on nie miał takiego miejsca. Jego

marzenia w nieuchronny sposób uległy w starciach z przemijającymi latami. Walczył, zwyciężył, przegrał. Będzie kontynuować walkę – cóż mu pozostało?

Zaczął jednak po raz pierwszy rozmyślać o odmiennej drodze dla swojego syna.

•

Ich stosunki nie poprawiły się, kiedy Maneck przyjechał do domu na dwutygodniowe wakacje poprzedzające ostatni semestr. Kłótnie najczęściej dotyczyły prowadzenia sklepu. Maneck miał głowę pełną pomysłów dotyczących promocji i reklamowania towarów; ojciec odrzucał je z miejsca.

– Wysłuchaj mnie chociaż do końca – powiedział raz Maneck. – Dlaczego się tak upierasz? Co nam szkodzi spróbować?

– To nie jest zestaw małego chemika, żeby się bawić w próby i błędy – odparł pan Kohlah z zasmuconą twarzą. – Tak zarabiamy na chleb.

– Znowu się kłóćcie? – spytała pani Kohlah. – Oszaleję od słuchania tego.

– Nie panujesz nad swoim synem – oświadczył pan Kohlah jeszcze bardziej zasmucony. – Nie możesz zrobić czegoś z tym jego bezustannym jojczeniem? Kwestionuje wszystko, co powiem. Jemu się zdaje, że ma nowy przepis na sukces, że tutaj chodzi o eksperyment naukowy.

Nie zgodził się, by Maneck zamówił nowe marki mydła i herbatników, które cieszyły się popularnością gdzie indziej. Wszystkie sugestie, by poprawić oświetlenie w obskurnym wnętrzu, pomalować ściany i odnowić półki oraz gabloty, żeby witryna wyglądała bardziej atrakcyjnie, przyjmował jak bluźnierstwo.

Maneckowi trudno było pogodzić obraz tego absurdalnie ostrożnego mężczyzny z wizerunkiem ojca, jaki stworzył sobie w głowie na podstawie historii opowiadanych przez matkę i przyjaciół rodziny: historii o nieustraszonego człowieka, który spuścił się po linie do wezbranego od deszczu parowu, żeby uratować szczenię; który z utraty oka otrząsnął się jakby to było ukłucie komara i który pewnego razu dał tęgi wycisk trzem złodziejom, którzy zapuścili się do sklepu w poszukiwaniu łatwego łupu, skuszeni widokiem samotnej kobiety za ladą, nie przeczuwając, że ma ona męża, a mąż ten siedzi w piwnicy i butelkuje napoje bezalkoholowe. Pan Kohlah rzucał nimi z kąta w kąt jak workami ryżu, mówili jego przyjaciele.

A teraz ojciec podupadał z powodu wytyczenia głupiej drogi. Maneck również w ostatnich czasach widział, jak świat wokół niego ulega przemianom, lecz w jego młodzińskich żyłach tętnił optymizm i był pewien, że sprawy jakoś się wyklarują. Miał piętnaście lat: był nieśmiertelny, a wzgórze wieczne. A sklep? Istniał od pokoleń i dalej będzie istnieć przez pokolenia, co do tego nie żywił

żadnych wątpliwości.

Pan Kohlah po cichu również liczył, że tak się stanie – że jakiś cud przywróci przeszłość. Ale odczytał znaki, a zawarta w nich przepowiednia była niekorzystna. W znieprawionych ciężarówkach, wtulony w inne towary, górskimi drogami przybywał śmiertelny wróg: napoje orzeźwiające, mające zapełnić półki w nowych sklepach i hotelach.

Z początku skapywały do miasteczka w niedużych partiach – kilka skrzynek, które łatwo ulegały przewadze liczebnej nieustająco popularnego kaycee. Ludzie z ciekawości od czasu do czasu kupowali na próbę nowo przybyłe butelki, po czym wzruszali ramionami i odwracali się. Kohlah Cola nadal zajmowała pierwsze miejsce.

Ale gigantyczne koncerny wzięły wzgórze na cel i zagięły parol na kaycee. Z arogancją właściwą gabinetom rad nadzorczych infiltrowały terytorium pana Kohlah przy użyciu kampanii reklamowych i bezwzględnych zagrywek. Przedstawiciele korporacji złożyli mu propozycję: „Niech pan spakuje maszyny, przepisze na nas prawa do Kohlah Coli i zostanie agentem naszej marki. Będzie pan rosnąć razem z nami i prosperować”.

Pan Kohlah oczywiście odrzucił ofertę. Z jego punktu widzenia nie chodziło jedynie o decyzję handlową; stawkę stanowiły honor i dobre imię rodziny. Ponadto pewien był, że jego dobrzy sąsiedzi i ludzie z okolicznych osad są stali w swych upodobaniach i dochowają wierności Kohlah Coli. Gotów był wydać konkurentom uczciwą walkę.

Ale uczciwe walki, podobnie jak muszki i zegarki z dewizką, wyszły z mody, kiedy pan Kohlah patrzył w inną stronę. Koncerny rozdawały darmowe próbki, prowadziły wojny cenowe i wznosiły olbrzymie billboardy przedstawiające szczęśliwe dzieci i uśmiechniętych rodziców lub mężczyznę i kobietę czule stykających się czołami ponad butelką, z której dwie słomki pięły się do ust kochanków. Krople nowych napojów zmieniły się w powódź. Marki, które przez lata sprzedawały się w wielkich miastach, przybyły, by nasycić ich miasteczko.

– Musimy odpowiedzieć ciosem na cios – mówił Maneck. – Też powinniśmy się reklamować i dawać darmowe próbki tak jak oni. Jak chcą się bawić w hard sell, to my zrobimy tak samo.

– „Hard sell”? – rzekł pan Kohlah z pogardą. – Co to w ogóle za język? Dżentelmeni tak nie mówią. To brzmi jak żebranina. Te duże firmy z miasta mogą postępować jak barbarzyńcy, jeśli tak im się podoba. Ale my tutaj jesteśmy cywilizowanymi ludźmi.

Rzucił Maneckowi zasmucone spojrzenie, rozczarowany, że syn w ogóle wystąpił z taką sugestią.

– Popatrz na niego – zaapelował Maneck do matki. – Znowu robi tę

nieszczęśliwą minę. Czego nie powiem, to tak na mnie patrzy. W ogóle nie bierze pod uwagę moich pomysłów.

Kohlah Cola nie miała żadnych szans. Kręgosłup sklepu został przetrącony, a podróż sekretnej receptury z pokolenia na pokolenia dobiegała końca.

•

Pan Kohlah wziął się do wcielania w życie alternatywnego planu dla swojego syna, który wkrótce miał uzyskać świadectwo ukończenia szkoły średniej. Zaczął zasięgać języka i pisać do rozmaitych college'ów z prośbą o prospekty informacyjne.

– Czy jesteś pewien, że to konieczne, Farokhu? – spytała pani Kohlah.

– Powolny wóz zostaje w tyle – odpowiedział. – Nie chcę, żeby to samo spotkało Manecka.

– Och, Farokhu, jak możesz tak mówić? Popatrz tylko na swoje sukcesy: straciłeś wszystko podczas Podziału, a mimo to zapewniłeś nam dobre, dostatnie życie. Jak możesz nazywać siebie powolnym wozem?

– Może nie jestem powolnym wozem, może to świat pędzi zbyt szybko. Ale koniec końców na jedno wychodzi.

Nie dał się odciągnąć od swoich zamiarów. Możliwości kariery poddano dyskusji w gronie wiernych przyjaciół rodziny, którzy zgodzili się, że to wyśmienity pomysł, by zostawić sobie kilka opcji.

– Nie chodzi o to, że twój interes splajtuje – powiedział brygadier Grewal – ale warto być przygotowanym na wszystkich frontach. Dobrze mieć w odwodzie spluwę większego kalibru.

– Otóż to, moje słowa – zgodził się pan Kohlah.

– Byłoby miło, gdyby został lekarzem albo prawnikiem – rzekła pani Kohlah, dając nura prosto w rejony chwały.

– Albo inżynierem.

– Księgowy to też bardzo prestiżowy zawód – dorzuciła pani Grewal.

Do panów wojskowych należało skierowanie rozmowy w stronę królestwa zagadnień praktycznych.

– Musimy brać pod uwagę realia pola walki. Wybór jest ograniczony stopniami Manecka.

– Co wcale nie znaczy, że brak mu talentu.

– W żadnym razie. Dowcip ma ostry jak bagnet. Wykapany ojciec pod tym względem.

– I ma sprawne ręce – przytaknął pan Kohlah, bez ceregieli przyjmując komplement.

Dla Manecka coś technicznego, to jedno jest pewne, uchwalili wspólnie.

Najlepiej w branży, która rozwinie się wraz z rosnącym dobrobytem całego narodu. W kraju, gdzie większość mieszkańców żyła w klimacie zwrotnikowym lub podzwrotnikowym, wniosek był oczywisty i przyjęto go jednogłośnie: „Chłodnictwo i klimatyzacja”. Najlepszy college oferujący wykształcenie w tym kierunku znajdował się, jak odkryli, nad morzem, w rodzinnym mieście pani Kohlah, tym, które porzuciła, by poślubić pana Kohlah.

Kiedy ostatni semestr dobiegł końca, Maneck powrócił do domu, dowiedział się, co postanowiono w jego sprawie, i gwałtownie zaprotestował. Druga zdrada nie objawiła się, tak jak pierwsza, dokuczliwym bólem. Dotknęła go do żywego.

– Przysięgłeś, że jak zdam maturę, to będę mógł z tobą pracować. Mówiłeś, że chcesz, żebym przejął rodzinny interes!

– Przejmiesz, przejmiesz – powiedział pan Kohlah z większą dozą przekonania, niż w rzeczywistości odczuwał. – To tylko na wszelki wypadek. Widzisz, kiedyś łatwiej było planować przyszłość. Dzisiaj sprawy się skomplikowały, za dużo w tym niepewności.

– To strata czasu – powiedział Maneck. Był pewien, że ojciec robi to, by go usunąć, by nikt mu się nie wtrącał w sprawy sklepu, jak gdyby syn był dla niego rywalem. – Jeśli chcesz, żebym się uczył fachu, to mogę zostać mechanikiem w warsztacie Madanlala w dolinie. Dlaczego muszę jechać tak daleko?

Pan Kohlah przybrał swój smutny wyraz twarzy. Brygadier Grewal zaśmiał się dobrotliwie.

– Jeśli planujesz drugą linię obrony, młodzieńcze, to dopilnuj, żeby była mocna. Albo od razu daj sobie spokój.

Przyjaciele rodziny orzekli, że Maneck jest szczęściarzem i powinien być wdzięczny, że trafia mu się taka szansa.

– Mając tyle lat, co ty, bylibyśmy zachwyceni, gdybyśmy mogli spędzić rok w najbardziej nowoczesnym i kosmopolitycznym mieście w całym kraju.

Tak zatem Maneck został zapisany do college'u i poczyniono przygotowania do jego wyjazdu. Nabyto nową walizkę. Dokonano przeglądu jego ubrań i z wyprzedzeniem zarezerwowano bilety na kolejne etapy podróży.

– Nic się nie przejmuj – pocieszała go matka. – Kiedy wrócisz za rok, wszystko będzie dobrze. Tatuś martwi się o twoją przyszłość i tyle. Te wszystkie zmiany dzieją się zbyt szybko jak dla niego. Za rok powinien być spokojniejszy.

Jęła gromadzić w pudłach rzeczy, które miał ze sobą zabrać. Lękając się, że o czymś zapomni, często zaglądała do listy proponowanej w szkolnym informatorze. Wielokrotnie otwierała i zamykała walizkę, wyjmowała rzeczy i chowała je z powrotem, przeliczała i układała na nowo. Ta kobieta, która bez trudu zawiadywała zaopatrzeniem sklepu, całkiem straciła głowę, gdy trzeba było skompletować synowski bagaż.

Raz po raz pytała męża o radę.

– Farokhu, ile ręczników powinnam spakować? Czy sądzisz, że Maneck będzie potrzebować dobrych spodni, tych z szarej gabardyny? Ile mydła i pasty do zębów, Farokhu? Które lekarstwa mam mu naszykować?

Jego odpowiedź brzmiała zawsze tak samo:

– Nie zwracaj mi głowy tymi głupstwami. Ty decydujesz.

Nie chciał nawet zbliżyć się do rosnącego stosu ubrań i przedmiotów osobistych, jak gdyby negował jego istnienie. Kiedy musiał przejść koło otwartej walizki stojącej na stole w korytarzu na piętrze, odwracał od niej oko.

Pani Kohlah doskonale rozumiała, co oznacza zachowanie męża. Uznała, że pomoże mu, jeśli zaprosi go do udziału w pakowaniu i planowaniu; że dzięki temu łatwiej będzie mu przebrnąć przez dni, które przysporzyły im tyle bólu.

Po tych szorstkich odpowiedziach wolała zostawić go w spokoju. Tak czy inaczej to ona była silniejsza z nich dwojga, gdy przychodziło do radzenia sobie z podobnymi kwestiami, chociaż jak dotąd żadne nie doświadczyło tak długiej rozłąki z Maneckiem. Wiedziała, że dystans to niebezpieczna sprawa. Dystans zmienia ludzi. Wystarczy spojrzeć na nią samą – nigdy nie mogłaby wrócić i zamieszkać ze swoją rodziną w mieście. A Maneckowi wystarczyło wyjechać do szkoły z internatem, by zarzucił poranny uścisk, którego wcześniej nie zanieczywał nigdy: nawet w dni choroby schodził na dół i obejmował ją z czułością, a potem wracał do łóżka. Czego poniecha na skutek nowej rozłąki? Już teraz stroni od ludzi, trudniej z nim rozmawiać, dzielić zajęcia, słowa i uczucia; zawsze jest przygnębiony. Jak bardzo się jeszcze zmieni? Co z nim zrobi miasto? Czy właśnie traciła go na zawsze?

Raz, gdy zmartwiona, pogrążona w rozmyślaniach obsługiwała klientów, w roztargnieniu wyszła ze sklepu i udała się do pudeł Manecka. Pan Kohlah wyczuł, że na górze coś idzie niewłaściwym torem, zakręcił maszyny do produkcji napoju w połowie całego procesu i popędził po piwnicznych schodach, by przeprosić wyczekującą klientelę.

Tamtego ranka powściągnął rozdrażnienie. Jednak gdy sytuacja powtórzyła się, wybuchnął:

– Aban! Mogę wiedzieć, co to za pilne sprawy załatwiasz w sypialni?

Sarkazm przychodził mu z trudem i rzadko, toteż sam siebie nim zaskoczył, a żonie sprawił przykrość. Ona nie dała się mimo to wciągnąć w kłótnię i odparła łagodnie:

– Coś bardzo ważnego mi się przypomniało. Musiałam to natychmiast sprawdzić.

– Twoja mania doprowadzi nas do szaleństwa. Wbij sobie raz a dobrze do głowy, że jeśli o czymś zapomnisz, to zawsze możemy wysłać paczkę.

Ale rzeczy, o których myślała, nie dało się włożyć do paczki i wysłać, a bezskuteczne próby wyjaśnień przysparzały frustracji. Wszystko, co mówiła, wychodziło nie tak.

– Nie interesujesz się pakowaniem Manecka, nie chcesz brać na siebie odpowiedzialności. A potem mówisz mi o manii i szaleństwie? Nie boisz się o niego? Gdzie się podziały twoje uczucia?

Choć stropiony i zagniewany, pan Kohlah rozumiał, co oznacza zachowanie żony. W tydzień po utarczce obudził się w nocy, kiedy wstawiała, by wyjść z pokoju. Kilka minut wcześniej zegar wybił północ. Udał, że śpi. Posłyszał szmer i szuranie jej stóp, gdy próbowała wymacać swoje pantofle. Kiedy zamknęła za sobą drzwi, wstał cicho i podążył za nią.

Deski podłogi ziębiły jego bose stopy. Ruszył po cichu ciemnym korytarzem, a wychyliwszy się zza rogu zobaczył ją nad walizką. Cofnął się o krok. Stała bez ruchu, z pochyloną głową i z rękami zanurzonymi w ubraniach Manecka. Księżyc wychynał zza chmur i srebrzysty blask oświetlił jej twarz. Rozległo się hukanie sowy, a on był rad, że się nie odezwał i poszedł za nią chyłkiem, bo zobaczył ją tak piękną, tak zamyśloną, kiedy stała niczym wcielenie lat, które spędzili razem; losy ich trojga stapiały się w niej w jedno, żywe w jej twarzy i oczach.

Sowa zahukała znowu. Światło księżycza zadrżało niepewnie i skryło się za obłokiem. Jej ręce poruszyły się w walizce Manecka. Psy na ganku zaszczekały – na jakie widmo?

Farokh Kohlah posłyszał tykanie zegara, a potem pojedyncze uderzenie o dwunastą piętnaście. Wdzięczny był nocy za szansę, którą mu podarowała, za to widzenie w blasku księżycza. Wrócił do łóżka i nie pytał o nic, kiedy kilka minut później wśliznęła się pod prześcieradło.

•

Nadeszła pora ostatnich pouczeń. Powtarzając z grubsza rady, które padały, odkąd wyjazd Manecka nabrał realnych kształtów, rodzice przestrzegali go, by w college’u trzymał się z dala od tych, którzy uprawiają hazard lub piją bądź palą. Mówili, by uważał z pieniędzmi i pielęgnował w sobie zdrowy sceptycyzm, bowiem w mieście ludzie są całkiem inni.

– Przez całe twoje życie tutaj nigdy nie próbowaliśmy wpływać na twoje przyjazne ludziom usposobienie. Wszystko jedno, czy twoi koledzy byli bogaci czy biedni, nieważne z jakiej kasty pochodzili i jakiego byli wyznania. Te różnice nie miały znaczenia. Ale teraz, kiedy wyjeżdżasz stąd do miasta, stajesz wobec najgłębszej ze wszystkich różnic. Musisz być bardzo, bardzo ostrożny.

Pan Kohlah zamierzał razem z synem zjechać w dolinę autobusem, a potem towarzyszyć mu motorikszą na stację kolejową. Ale dochodzący pomocnik, który

obiecał, że przyjdzie wcześniej na poranną zmianę, nie pojawił się. Maneck wyruszył więc sam w długą, półtoradniową podróż do miasta.

– Na stacji koniecznie weź kulisa – powiedział ojciec. – Nie próbuj wszystkiego dźwigać sam. I ustal zapłatę, zanim dotknie bagażu. Trzy rupie powinny wystarczyć.

– Nie przytulisz go? – zapytała pani Kohlah z rozpaczą, kiedy ojciec i syn wymieniali uścisk dłoni.

– No już dobrze – odparł Maneck i objął ojca.

•

Frontier Mail czekał już na stacji, kiedy telepiąca się motoriksza stanęła pod bramą. Maneck zapłacił i podążył za kulisem po kładce na peron, skąd odjeżdżały pociągi na południe. Na górze przystanął na chwilę. Poniżej ciągnął się cienki i długi sznur wagonów, a wokół niego uwijali się ludzie. Jak mrówki, które przymierzają się, żeby ruszyć z miejsca martwą dżdżownicę, pomyślał.

Kulis szedł przodem, więc Maneck podbiegł, żeby się z nim zrównać. Opoдал poczekalni sprzedawca peronowy opiekał kukurydzę, wachlując trzaskające węgle. Maneck postanowił, że gdy znajdzie miejsce, wróci i kupi sobie porcję.

– Od dzisiaj pięćdziesiąt rupii – posłyszał głos zawiadowcy, który pobierał swoją cotygodniową kontrybucję w gotówce i kukurydzy. – Masz najlepsze miejsce. Inni są gotowi tyle za nie zapłacić.

– Przez cały dzień gorący dym pali mi oczy i zatyka płuca – bronił się sprzedawca. – I niech pan spojrzy na moje palce, zwęglone na czarno. Miejże pan litość, sahibie. – Obrócił zręcznie kolby, żeby się nie przypaliły. – Skąd tu wziąć pięćdziesiąt rupii? O policję też trzeba się zatroszczyć.

– Już nie udawaj – odparł zawiadowca, wpychając pieniądze do kieszeni wykrochmalonego białego munduru. – Wiem, ile zarabiasz.

Od czasu do czasu ziarenko kukurydzy strzelało z suchym trzaskiem. Dźwięk i aromat obudziły w wiernej pamięci Manecka wspomnienie jego pierwszej podróży kolejowej: jechał razem z matką, by odwiedzić krewnych.

Tata odprowadził ich wówczas na pociąg.

– Za ciężki się robisz – jęknął żartobliwie, unosząc Manecka, żeby mógł dokładnie obejrzeć lokomotywę. Była ogromna, a wagony ciągnęły się za nią hen w dal, jak sznur bungalowów. Tatko niósł go na kraniec peronu, w pobliże syczącego i stukoczącego monstrum, gdy tymczasem Maneck z zapalem obrabiał swoją kolbę. Zatopił w niej zęby i mlecznobiały sok opryskał okulary taty.

Tatko wykonał gest, jakby za coś ciągnął. Maszynista zrozumiał; elegancko przyłożył palce do daszka czapki i specjalnie dla Manecka dał sygnał gwizdawką. Przeszywający świst, który zabrzmiał tak blisko, jakby wydobywał się z jego

serca, wystraszył go tak, że aż upuścił kolbę.

– Nie szkodzi – rzekł tatko. – Mamusia kupi ci drugą.

Kiedy rozległ się ostatni komunikat, wepchnął Manecka przez okno na jego siedzenie obok mamy. Pociąg ruszył i stacja zaczęła przesuwać się obok nich. Tatko zamachał, uśmiechnął się, posłał im całusy. Szedł koło ich przedziału, potem podbiegł troszkę, ale wkrótce został w tyle i zniknął jak upuszczona kolba kukurydzy leżąca na peronie. Wszystko, co znajome, zginęło z oczu...

Maneck znalazł swój przedział, a gdy jego bagaż trafił na półkę, zapłacił kulisowi. Znany mu z dzieciństwa bungalow na kółkach skurczył się. Czas zmienił magiczne w przyziemne. Zabrzmiała gwizdawka. Nie zdąży kupić kukurydzy. Rozparł się na siedzeniu obok towarzysza podróży.

Wysiłki Manecka zmierzające do nawiązania rozmowy nie znalazły odzewu ze strony sąsiada, który odpowiadał kiwnięciami, chrząknięciami i wymijającymi gestami. Był starannie ubrany, włosy miał zaczesane na prawo. Kieszonki jego koszuli jeżyła się długopisami i markerami w specjalnym plastikowym futeraliku zaczepianym na klips. Dwa siedzenia naprzeciwko nich zajmowali młoda kobieta i jej ojciec. Ona była zajęta robótką. Patrząc na fragment wiszący na jej drutach, Maneck usiłował odgadnąć, co to mogło być – szalik, rękaw swetra, skarpetka?

Ojciec podniósł się, żeby pójść do toalety.

– Proszę poczekać, papa-dzi^[118], pomogę tacie – rzekła córka, kiedy wspierając się na kuli kuśtykał pomiędzy fotelami. Dobrze, pomyślał Maneck, będzie spała na górze, a on, także rozlokowany na górnej kuszetce, będzie mieć lepszy widok.

Wieczorem Maneck poczęstował swojego schludnego sąsiada herbatnikiem Gluco. Tamten podziękował szeptem.

– Proszę bardzo – odszepnął Maneck, zakładając, że jego towarzysz woli porozumiewać się przyciszonym głosem. W rewanżu za herbatnika otrzymał banana. Jego skórka była szerniała od upału, ale zjadł go i tak.

Konduktor rozpoczął obchód z kocami i pościelą, szykując spanie. Gdy wyszedł, schludny mężczyzna sięgnął do torby, w której przechowywał banany, wydobyl z niej łańcuch i przykuł nim swój kuferek do wspornika pod siedzeniem. Nachyliwszy się do ucha Manecka, wyjaśnił konfidencjonalnie:

– To na złodziei. Wchodzą do przedziałów, kiedy pasażerowie usną.

– Och – rzekł Maneck, nieco skonsternowany. Nikt go wcześniej nie uprzedził. Ale może gość był typem nerwusa. – Wie pan, parę lat temu jechałem z matką tym samym pociągiem i nic nie zginęło.

– Niestety, teraz świat się znacznie zmienił. – Mężczyzna zdjął koszulę i zawiesił ją starannie na haku koło okna. Następnie odpiął plastikowy pokrowiec od kieszeni i przyczepił go sobie do podkoszulka, bacząc, by potężna sprężyna nie przytrzasnęła włosów na jego klatce piersiowej. Widząc, że Maneck mu się

przygląda, wyszeptał z uśmiechem: – Jestem bardzo przywiązany do moich długopisów. Nie lubię się z nimi rozstawać, nawet podczas snu.

Maneck też się uśmiechnął i odparł:

– Tak, ja też mam ulubione pióro. Nie pożyczam go nikomu, od tego się wykoślawia stalówka.

Ojcu i córce nie przypadły do gustu te szeptki, z których zostali wykluczeni.

– Co robić, papa-dzi, niektórzy ludzie najzwyczajniej w świecie rodzą się nieuprzejmi – powiedziała dziewczyna, wręczając mu kulę. Wyszli ponownie do toalety, omiatając lodowatym wzrokiem siedzenia naprzeciw siebie.

Ich krytyczne spojrzenia przeszły niezauważone, bowiem Maneck zaczął się martwić o swoją walizkę. Przyciszone słowa miłośnika długopisów na temat złodziei popsuły mu noc i całkiem zapomniał o kobiecie na sąsiedniej kuszecie. Gdy sobie o niej przypomniał, była już skryta przed wścibskimi oczami, gdyż papa-dzi owinął ją prześcieradłem aż pod brodę.

Przed wdrapaniem się na kuszeczkę Maneck tak ustawił walizkę, by jeden z jej rogów był widoczny z góry. Leżał bezsennie i od czasu do czasu zerkał na nią. Ojciec młodej kobiety przyłapał go kilkakrotnie na tych spojrzeniach i zmierzył podejrzliwym wzrokiem. Nad ranem sen wygrał z czujnością, a ostatnim, co Maneck zobaczył, zanim mu uległ, był widok papa-dziego, jak balansuje na jednej kuli i skrywa za prześcieradłem córkę, która schodziła z łóżka, nie odsłaniając przy tym nawet łydki czy kostki.

Obudził się dopiero kiedy konduktor przyszedł, by zebrać pościel. Młoda kobieta zdążyła już zatopić się w robótce, a zagadkowy skrawek wełny tańczył między jej palcami. Podano herbatę. Schludnie odziany miłośnik długopisów był teraz bardziej rozmowny. Pęk przyborów piśmienniczych powrócił do kieszeni jego koszuli. Maneck dowiedział się, że wczorajsza powściągliwość tamtego była spowodowana dolegliwością gardła.

– Całe szczęście dziś rano troszkę mi przeszło – powiedział mężczyzna, kaszłąc, jak gdyby miał odkrztusić flegmę.

Maneck zawstydził się nieco, gdy przypomniał sobie, jak na chrapliwy półgłos tamtego odpowiedział teatralnym szeptaniem. Zastanawiał się, czy powinien przeprosić albo wyjaśnić, lecz miłośnik długopisów zadawał się nie żywić urazy.

– To bardzo poważna choroba – wyjaśnił. – Jadę, by leczyć się u specjalisty. – Odchrząknął ponownie. – Kiedy wiele lat temu zaczynałem karierę, nigdy bym nie wpadł, że tak to się dla mnie skończy. Ale jak ma człowiek walczyć ze swoim przeznaczeniem?

Maneck pokiwał głową ze współczuciem.

– Pracował pan w fabryce? Toksyczne opary?

Tamten zaśmiał się wzgardliwie na tę sugestię.

- Mam tytuł LL.B.^[119], jestem w pełni wykwalifikowanym prawnikiem.
- Ach, rozumiem. Zatem to długie mowy w zakurzonych salach sądowych nadwerywały pańskie struny głosowe.
- Nic podobnego, wręcz przeciwnie. – Zawahał się. – To taka długa historia.
- Mamy przecież wiele czasu – zachęcił go Maneck. – Przed nami długa podróż.

Papa-dzi i młoda kobieta mieli dość tych wymienianych po cichu uwag. Papa-dzi był pewien, że w przyciszonym śmiechu dwóch rozmówców czai się lubieżna nuta, której bezpośrednim celem jest jego niewinna córka. Łypnął nieprzyjaźnie, podniósł kulę, wziął córkę za rękę i pokuśtykał na jednej nodze między siedzeniami.

– Cóż począć, papa-dzi – powiedziała córka. – Niektórzy ludzie zwyczajnie nie mają manier.

– Zastanawiam się, co ich ugryzło – rzekł miłośnik długopisów, wpatrując się w precyzyjny ruch kuli, podobny pracy trybów maszyny. Odkorkował małą zieloną buteleczkę, pociągnął łyk płynu i odstawił. Gładząc czule długopisy, poddał próbie świeżo zwilżoną lekarstwem krtań: wypowiedział pierwsze zdanie historii swojego gardła.

– Moja kariera w zawodzie prawnika, który był moją pierwszą i najbardziej ukochaną profesją, rozpoczęła się bardzo dawno temu. W roku, gdy uzyskaliśmy niepodległość.

Maneck policzył szybko.

– Od 1947 do 1975: dwadzieścia osiem lat. Kawał prawniczego doświadczenia.

– Niezupełnie. Po dwóch latach zmieniłem zawód. Nie byłem w stanie dzień po dniu występować przed publicznością w sali sądowej. Za dużo stresu dla tak nieśmiałej osoby jak ja. Nocą leżałem w łóżku, pocąc się i trzęsąc, przerażony tym, co czeka mnie rano. Potrzebowałem posady, w której byłbym pozostawiony sam sobie. W której mógłbym pracować *in camera*.

– Chodzi panu o fotografię?

– Nie, to po łacinie. Znaczy: „na osobności”. – Poskrobał długopisy, jakby chciał ulżyć trapiącemu je świadomi i dodał ze smutną miną: – Brzydki nawyk, a wszystko przez moje studia prawnicze. Zamiast porządnych angielskich słów używam tych głupich łacińskich zwrotów. Mniejsza z tym, poszukiwanie odosobnienia doprowadziło mnie do posady korektora w „The Times of India”.

Jak robienie korekty mogło mu zrujnować gardło? – zastanowił się Maneck, lecz wcześniej przerwał już dwa razy i zrobił z siebie głupka. Lepiej siedzieć cicho i słuchać.

– Byłem najlepszym, jakiego mieli, bezwzględnie najlepszym. Najtrudniejsze i najważniejsze kawałki zachowywano do mojej inspekcji. Strona z komentarzami

redakcji, sprawozdania sądowe, teksty prawne, dane z giełdy. Przemówienia polityków też, tak nudne, że się człowiekowi oczy kleiły i gotów był uciąć sobie drzemkę. A senność to największy wróg korektora. Niejedną obiecującą karierę zniweczyła, sam widziałem. Lecz dla mnie nic nie było zbyt trudne. Litery żeglowały mi przed oczami, linijka po linijce, zdyscyplinowana flota na oceanie papieru gazetowego. Czasami czułem się jak Lord Wielki Admirał w naczelnym dowództwie marynarki wojennej drukarzy. Po kilku miesiącach awansowałem na głównego korektora. Nocne poty ustąpiły, spałem dobrze. Piastowałem moje stanowisko przez dwadzieścia cztery lata. Byłem szczęśliwy w moim boksie, w moim królestwie, gdzie miałem swoje biurko, krzesło i lampkę do czytania. Czego więcej może człowiek chcieć?

– Niczego – powiedział Maneck.

– Otóż to. Ale królestwa nie trwają wiecznie, nawet skromne królestwa w redakcyjnych boksach. I jednego dnia stało się – bez najmniejszego ostrzeżenia.

– Co takiego?

– Katastrofa. Sprawdziłem wstępniak o pewnym pośle, który zbił majątek na Programie Pomocy Ofiarom Suszy. Oczy zaczęły mnie piec i zachodzić łzami. Nie przejąłem się tym, potarłem je, osuszyłem i wznowiłem pracę. Po paru sekundach znowu były mokre. Otarłem je znowu, ale łzy powracały raz po raz. I teraz nie jedna czy dwie łzy, które można zlekceważyć, a nieustający strumień. Wkrótce otoczyli mnie zatroskani koledzy. Tłoczyli się w ciasnym boksie, dodając mi otuchy w tym co, jak sądzili, było wielkim smutkiem. Przypuszczali, że koniec końców złamały mnie dni spędzone na czytaniu o oplakany stanie naszego kraju, o korupcji, katastrofach naturalnych i kryzysach gospodarczych. Że pogrążam się w bólu i rozpacz. Mylili się oczywiście. Nigdy nie pozwoliłbym, by uczucia uniemożliwiły mi wykonywanie obowiązków zawodowych. Proszę zwrócić uwagę: nie twierdzę, że korektor winien być wyzuty z emocji. Nie przeczę, nieraz miałem ochotę zapłakać nad swoimi lekturami, historiami o ubóstwie, przemocy kastowej, obojętności rządu, arogancji urzędniczej, brutalności policji. Jestem pewien, że wielu z nas tak się czuło i wybuch emocji byłby czymś normalnym. „Ale serce przemienia się w kamień, zbyt długo składane w ofierze”, jak pisze mój ulubiony poeta^[120].

– Kto to taki?

– W.B. Yeats. I sądzę, że czasami trzeba zdławić normalne odruchy, żeby ciągnąć dalej.

– Nie jestem pewien – powiedział Maneck. – Czy nie lepiej byłoby zareagować uczciwie, zamiast je ukrywać? Może gdyby wszyscy w tym kraju byli wściekli lub niezadowoleni, coś by się zmieniło, może zmusiłoby to polityków do przyzwoitego zachowania.

Oczy mężczyzny zabłysły na ten sprzeciw, delektując się okazją do sporu.

– Teoretycznie tak, zgodziłbym się z panem. Ale w praktyce mogłoby doprowadzić to do poważnych katastrof. Proszę sobie tylko wyobrazić sześćset milionów wściekłych, rozwrzeszczanych i szlochających ludzi. Proszę sobie wyobrazić, że wszyscy mieszkańcy kraju, łącznie z pilotami, maszynistami i konduktorami w autobusach i tramwajach tracą panowanie nad sobą. Cóż to by była za klęska. Samoloty spadające z nieba, wykolejone pociągi, zatopione statki, kolizje autobusów, ciężarówek i aut. Chaos. Całkowity chaos.

Uczył pauzę, żeby wyobraźnia Manecka wypełniła się szczegółami bezrządu, który rozpętał.

– I niech pan nie zapomina, że naukowcy nie przeprowadzili dotąd żadnych badań na temat wpływu masowej hysterii lub masowych samobójstw na środowisko. Nie na skalę naszego subkontynentu. Jeśli skrzydła motyla mogą spowodować zakłócenia atmosferyczne na drugim krańcu świata, to kto wie, co mogłoby się zdarzyć w tym wypadku? Sztormy? Cyklony? Tsunami? A co z lądem, czy ziemia zatrzęsie się ze współczucia? Czy góry wybuchną? Co z rzekami, czy łzy z miliarda dwustu milionów oczu spowodują przybór i powódź?

Wypił następną łyk z zielonej buteleczki.

– Nie, to zbyt niebezpieczne. Lepiej ciągnąć dalej tak, jak jest. – Zakorkował butelkę i otarł usta. – Wracając do faktów: tak więc siedziałem, przede mną leżała korekta na tamten dzień, a z oczu obficie ściekały mi łzy. Wszystkie słowa były nieczytelne. Tekst, karne szeregi i kolumny, został ogarnięty buntem, litery miały się, rzucały i rozpadały w targanym sztormem papierowym morzu.

Przesunął dłonią po oczach, na nowo przeżywając tamten pamiętny dzień, po czym pogładził krzepiąco swoje długopisy, jakby i one mogły odczuć żal na wspomnienie owych bolesnych zdarzeń. Maneck skorzystał z okazji, by wtrącić okrucuch pochwały i zapewnić sobie dalszy ciąg opowieści.

– Wie pan, jest pan pierwszym korektorem, którego spotykam. Zgadywałbym, że to wyjątkowo nudni ludzie, tymczasem pan mówi tak... z taką... tak inaczej. Prawie jak poeta.

– A czemużby miało być inaczej? Przez dwadzieścia cztery lata triumfy i tragedie naszego kraju przyprawiały mnie o przyśpieszony oddech, sprawiały, że moje tętno śpiewało z radości lub drżało ze zgrozy. Przez dwadzieścia cztery lata pracy korektora stada słów wlatywały do mej głowy przez okna mojej duszy. Niektóre z nich osiedliły się i zbudowały gniazda. Czemuż miałbym nie mówić jak poeta, gdy pod ręką mam wspólnotę słów, nieustannie zasilaną dopływem nowych przybyszów? – westchnął potężnie. – Aż do owego mokrego dnia, kiedy wszystko się skończyło. Kiedy okna zatrzęsły się z hukiem, a okulista skazał

mnie na impotencję, oznajmiając, że moje korektorskie dni dobiegły kresu.

– Nie mógł dać panu nowych okularów, przepisać czegoś?

– To by nie pomogło. Kłopot w tym, że moje oczy uczuliły się ostro na farbę drukarską. – Rozłożył dłonie w geście rozpaczony. – Nektar, który mnie karmił, zmienił się w truciznę.

– To co pan zrobił?

– A cóż można począć w podobnych okolicznościach? Przystać na nie i kroczyć dalej. Proszę zawsze pamiętać, że sekret przetrwania tkwi w tym, by godzić się na zmianę i by się dostosowywać. Jak powiada poeta: Wszystko pada i znów jest odbudowywane, a budujący mają radość w twarzach^[121].

– Yeats? – zgał Maneck.

Korektor przytaknął.

– Widzi pan, człowiek nie może wyrysować sobie linii i przegródek i oświadczyć, że nie rusza się poza nie na krok. Czasem musi wykorzystać porażki jako szczeble do sukcesu. Trzeba utrzymywać delikatną równowagę między nadzieją a rozpaczą – przerwał, zastanawiając się nad tym, co właśnie powiedział. – Tak – powtórzył. – W ostatecznym rozrachunku jest to kwestia równowagi.

Maneck pokiwał głową.

– Ale i tak musiał pan bardzo tęsknić za swoją pracą.

– Otóż nie bardzo – tamten nie przyjął współczucia. – Nie za samą pracą. Większość tych gazetowych kawałków to był śmietnik. Znaczna część tego, co wleciało przez okna duszy, była natychmiast usuwana przez klapę w podłodze.

Maneckowi zdało się, że mężczyzna przeczy temu, co mówił wcześniej. Niewykluczone, że pod skórą korektora wciąż czuwał prawnik, zdolny wynajdywać argumenty na rzecz dwóch przeciwstawnych tez.

– Parę dobrych przyzwyczajęń mi zostało. – Korektor pacnął się głośno w czoło, a potem w plastikowy pokrowiec. – Nie trzymam śmieci pod kopułą, ani wyschniętych długopisów w kieszeni.

Łomot pojedynczej kuli obwieścił, że korytarzem nadciągają papa-dzi z córką. Maneck i korektor powitali ich sympatycznymi uśmiechami, oni jednak nie dali się tak łatwo udobruchać. Przeciskając się w stronę swego siedzenia, papa-dzi dźgnął kulą w stronę stopy korektora i byłby ją skutecznie przygwoździł, gdyby tamten nie przewidział ataku.

– Przepraszam – rzekł papa-dzi z opryskliwym rozczarowaniem. – Cóż począć, człowiek bywa niezdarny, kiedy ma tylko jedną dobrą nogę w świecie dwunogich.

– Proszę się nie martwić – rzekł korektor. – Nic się nie stało.

Córka na nowo podjęła robótkę, a papa-dzi wbił posępne spojrzenie w okno i od czasu do czasu wprawiał w osłupienie jakiegoś chłopca, który orząc swe pole

napotkał jego nieprzyjazne oko. Maneck chciał, by korektor ciągnął opowieść.

– Więc teraz jest pan na emeryturze?

Tamten potrząsnął głową.

– Nie stać mnie. Nie, miałem szczęście. Mój redaktor był tak miły, że załatwił mi nową pracę.

– Ale co z pańskim chorym gardłem? – Maneck uznał, że sens całej narracji z niejasnych przyczyn uległ przeoczeniu.

– To się wydarzyło w tej nowej pracy. Dzięki swemu stanowisku mój redaktor naczelny przyjaźnił się z wieloma politykami i mógł załatwić mi fuchę wolnego strzelca przy organizacji wieców. – Widząc wyraz zapytania na twarzy Manecka, wyjaśnił: – No wie pan, wymyślanie haseł, najmowanie tłumów, organizowanie marszów czy demonstracji dla różnych partii politycznych. Kiedy podsunął mi szansę, sprawa wydawała się dość prosta.

– I była?

– Na froncie twórczym jak najbardziej. Pisanie przemówień, projektowanie transparentów – wszystko to była łatwizna. Po latach w redakcji znałem na wskroś tę bełkotliwą fanfaronadę, za którą przepadają politycy. Mój *modus operandi* był prosty. Utworzyłem trzy listy: Osiągnięć Kandydata (rzeczywistych i zmyślonych), Oskarżeń Pod Adresem Rywala (w tym plotek, domniemań, insynuacji i kłamstw) i Próżnych Obietnic (im bardziej nieprawdopodobnych, tym lepiej). Potem wystarczyło już tylko dobierać rozmaite kombinacje z trzech list, dorzucić garść frazesów, upchnąć parę lokalnych odniesień i mieliśmy nowiutką mowę. Klienci mnie rozrywali. – Uśmiech zaigrał mu na twarzy, kiedy wspominał swoje triumfy. – Trudności pojawiały się w ostatniej fazie, na ulicy. Widzi pan, całe wcześniejsze życie zawodowe spędziłem w redakcji, w ciszy, a moje gardło było niewyćwiczone. Teraz ni stąd, ni zowąd wykrzykiwałem instrukcje, ryczałem slogany, zagrzewałem tłumy, żeby powtarzały po mnie. Dla kogoś o moich korzeniach była to *terra incognita*. Wysilek okazał się zbyt duży. O wiele za duży dla mojej nie dość używanej krtani. Lekarze powiedzieli, że moje struny głosowe odniosły takie obrażenia, że nigdy w pełni nie wydobrzeją.

– To okropne – rzekł Maneck. – Powinien był pan pozwolić innym krzyczeć i wrzeszczeć. Bądź co bądź po to się wynajmuje tłumy, nieprawdaż?

– Zgadza się. Lecz nawyk z mojej poprzedniej pracy – by wszystko robić samemu aż po najdrobniejszy szczegół – był trudny do przewyciężenia. Nie mogłem pozostawić krzyczenia opłaconemu tłumowi. W końcu sukces demonstracji mierzy się w decybelach. Nie wystarczą sprytne hasła i ładne transparenty. Czujęm tedy, że muszę dawać przykład, posługiwać się mym głosem z entuzjazmem, że mam skandować i grzmieć, przyzywać niebiosa i wyklinać siły zła, jazgotać na chwałę dobroczyńcy, ryczeć, drzeć się, piłować dziób i zagrzewać

do aplauzu, dopóki nie zwyciężę!

Podniecony wspomnieniami korektor zapomniał o swych ograniczeniach i zaczął podnosić głos. Dobył długopisu z kieszeni i gestykulował nim jak batutą. Później jego symfoniczne deskrypcje przerwał gwałtowny atak suchego kaszlu połączony z krztuszeniem się i zachłystywaniem.

Papa-dźi z córką wtulili się w siedzenia, obawiając się zarażenia paskudnie brzmiącą chorobą.

– Cóż począc, papa-dźi – prychnęła córka, zasłaniając usta i nos rąbkiem sari. – Niektórzy ludzie nie przejmują się innymi i bezwstydnie rozsiewają swoje zarazki.

Korektor chwycił oddech i powiedział:

– Widzi pan? Widzi pan, jak cierpię? Oto skutki pracowania przy wiecach. Druga impotencja – uniósł ręce i chwycił się za szyję. – Rzec by można, że sam poderżnąłem sobie gardło.

Maneck zaśmiał się, doceniając żart, ale korektor wcale nie zamierzał być dowcipny.

– Wyciągnąłem wnioski ze swoich doświadczeń – rzekł z powagą. – Teraz zawsze trzymam przy boku asystenta o potężnym gardle i szeptem podaję mu wytyczne. Uczę go dobierać słowa, zwracam uwagę na kadencję, na sylaby akcentowane i nieakcentowane. A potem on w moim imieniu przewodzi brygadam krzykaczy.

– A z jego gardłem wszystko w porządku?

– Tak, zasadniczo raczej dobrze. Zanim odszedł z wojska, był starszym sierżantem sztabowym. Ale i tak zawsze muszę mieć dla niego miętówki na gardło. Swoją drogą, wyjdzie po mnie na stację. W mieście zawsze jest duży popyt na wiece. Różne grupy bez przerwy organizują demonstracje – o więcej jedzenia, mniejsze podatki, wyższe zarobki, niższe ceny. Poddam się leczeniu, a przy okazji zajmiemy się biznesem.

Pod koniec opowieści jego głos przeszedł w słabiutki szept, jaki zeszłej nocy dobywał z siebie z tak wielkim wysiłkiem, toteż Maneck uprzejmie poprosił go, by się dłużej nie nadwierał.

– Ma pan rację – odrzekł korektor. – Powinienem był zamilknąć wieki temu. A tak przy okazji, nazywam się Vasant Rao Valmik – i wyciągnął dłoń.

– Maneck Kohlah – odpowiedział Maneck, potrząsając podaną mu ręką. Papa-dźi z córką odwrócili wzrok, nie chcąc partycypować w ceremonii zapoznawczej dwóch fatalnie wychowanych indywidualistów.

•

Maneck przybył do miasta w trzydzieści sześć godzin po opuszczeniu domu. Jego ubranie było pokryte kurzem, piekły go oczy, czuł szczypanie w nosie i miał

zdarte gardło. Zastanawiał się, jakie dodatkowe spustoszenia podróz wyrządziła strunom głosowym biednego korektora.

– Do widzenia, panie Valmik. Wszystkiego najlepszego! – powiedział, przedzierając się na zewnątrz z walizką i pudłami.

Vasantrao Valmik stał osowiały na peronie, rozglądając się za swoim starszym sierżantem sztabowym, i ledwo zdołał wycharczeć odpowiedź. Uniósł rękę w pożegnalnym geście; opadająca dłoń pogłaskała długopisy.

Taksówka, którą Maneck jechał z dworca do akademika, musiała wykonać mały objazd z powodu wypadku. Autobus potracił jakiegoś staruszka. W oczekiwaniu na policję i karetkę konduktor machaniem zatrzymywał inne autobusy i ładował do nich swoich pasażerów.

– Człowiek musi być młody i szybki, żeby przejść przez jezdnię – rzekł w zadumie kierowca.

– Prawda – rzekł Maneck.

– Sukinsyny z tych szoferów autobusowych. Nie zdają egzaminu, tylko kupują sobie prawo jazdy za łapówki. – Taksówkarz przybrał ostrzejszy ton i zjechał na przeciwny pas, żeby wyprzedzić. – Wszystkich się powinno zapakować do więzienia.

– Ma pan rację – powiedział Maneck, słuchając tylko jednym uchem. Miasto przepuszczone przez filtr wycieńczenia zdawało się przewijać za szybą jak klatki taśmy filmowej. Na chodniku dzieci rzucały kamyczkami w kopulującą psią parę. Ktoś wylał wiadro wody na zwierzęta, żeby je rozdzielić. Pies wystrzelił na jezdnię i taksówka ominęła go o włos.

Na kolejnych światłach policjanci aresztowali człowieka, który został wcześniej pobity przez grupę sześciu czy siedmiu młodych mężczyzn. Mieszkańcy mohalli^[122] wysypali się na jezdnię, chcąc zobaczyć finał dramatu.

– Co się stało? – taksówkarz wychylił się przez okno samochodu, by zagadnąć jednego z gapiów.

– Oblał żonie twarz kwasem.

Światła zmieniły się, zanim poznali przyczynę. Kierowca spekulował, że a nuż zabawiała się z innym mężczyzną. A może spaliła obiad dla męża?

– Niektórzy są tak stuknięci, że są zdolni do wszystkiego.

– Mogła być kłótnia o posag – powiedział Maneck.

– Może. Ale w takich wypadkach zwykle robią to w kuchni i używają nafty.

Był późny wieczór, kiedy Maneck dotarł do akademika. W recepcji przydzielono mu pokój i wręczono klucz oraz regulamin: Uprasza się o zamykanie pokoi. Uprasza się o niepisanie po ścianach i nierycie ich ostrymi przedmiotami. Uprasza się o nieprzyrowadzanie z wizytą do pokoi kobiet płci przeciwnej. Uprasza się o niewyrzucanie śmieci przez okno. Uprasza się

o przestrzeganie ciszy nocnej...

Maneck zmiął odbitą na powielaczu listę i cisnął ją na małe biurko. Zbyt wycieńczony, by zjeść coś albo się umyć, wypakował białe prześcieradło i położył się spać.

Obudziło go coś, co pełzło mu po łydce. Uniósł się na łokciu i wymierzył wściekle pacnięcie poniżej kolana. Na zewnątrz panowały ciemności. Przeszedł go dreszcz, a serce zaczęło mu walić w dzikiej panice: nie potrafił przypomnieć sobie, gdzie się znajduje. Dlaczego okno sypialni się skurczyło? I gdzie się podziela dolina, która powinna rozciągać się za oknem, upstrzona światełkami tańczącymi pośród nocy? Gdzie ciemne szczyty majaczące w oddali? Dlaczego wszystko zniknęło?

Jego oczy rozpoznały kontur bagaży na podłodze i ulga okryła go jak koc. Był w podróży. Pociągiem. Wskutek podróży wszystko, co znajome, zniknęło. Ile spał – godziny czy minuty? By rozwikłać tę łamigłówkę, popatrzył na zegarek i zadumał się nad świecącymi cyframi.

Podskoczył, kiedy nagle przypomniał sobie, co go obudziło. Zerwał się z łóżka, potknął się o walizkę, wpadł na krzesło, zaczął gorączkowo macać ścianę. Włącznik. Pstryknięcie. Za dotknięciem palca pod sufitem rozbłysła naga żarówka. Prześcieradło lśniło jak czapa świeżego, oślepiającego śniegu. Tylko tam, gdzie spał, materiał był umorusany pyłem z jego twarzy i ubrań.

Wtem zobaczył go na skraju białej połaci. W jaskrawym świetle żarówki dreptał w stronę przerwy między łóżkiem a ścianą. Maneck chwycił but i z furją cisnął go plus minus w tamtym kierunku.

Był to bardzo marny rzut. Karaluch zniknął. Rozjuszony Maneck przewyciężył znużenie i ze wzmożonym uporem zabrał się do rozwiązywania problemu. Zaczął odsuwać łóżko od ściany, powoli, tak by nie spłoszyć uciekiniera, aż miał dość miejsca, by się za nie wcisnąć.

Na odsłoniętym kawałku podłogi ukazał mu się sejmik karaluchów. Maneck przykucnął chyłkiem, uniósł rękę i spuścił na nie kaskadę ciosów. Trzy padły pod jego butem, reszta ukryła się pod łóżkiem. Opadł na czworaka zdecydowany nie dopuścić, by uciekły i wróciły później, żeby go prześladować. Tymczasem zaswędziało go kostka. Pod palcami wyczuł czerwoną opuchliznę. Podobne swędzące górki odkrył na ramionach.

Rozległo się stukanie do drzwi. Zawahał się, nie chcąc porzucać swoich ofiar – jeśli się teraz skryją, przez całą noc będzie zdany na ich łaskę.

Zza drzwi odezwał się głos:

– Wszystko w porządku?

Maneck wyczołgał się spod łóżka i otworzył drzwi.

– Cześć – powiedział gość. – Jestem Avinash. Mieszkam w pokoju obok. –

Wyciągnął prawą dłoń; w lewej trzymał rozpylacz.

– Maneck.

Upuścił but i uściśnął podaną dłoń, po czym szybko zerknął przez ramię na wypadek, gdyby nieprzyjaciel usiłował czmychnąć.

– Usłyszałem walenie – powiedział Avinash. – Karaluchy, co?

Maneck skinął głową i podniósł but.

– Spokojna głowa, przyniosłem ci zaawansowaną technologię. – Uśmiechając się szeroko, uniósł w górę rozpylacz.

– Dzięki, ale nie trzeba – odparł Maneck, gwałtownie drapiąc czerwone trofea na ramionach. – Zabiłem trzy i...

– Nie wiesz, jak tu jest. Zabijesz trzy, a za chwilę trzy tuziny wmaszerują ci gęsiego, żeby się zemścić. Jak w filmie Hitchcocka. – Zaśmiał się, podszedł bliżej i delikatnie dotknął czerwonych guzków na ramionach Manecka. – Pluskwy.

Avinash radził, by spryskać pokój i odczekać czterdzieści pięć minut na zewnątrz.

– To jedyny sposób, inaczej nie zmrużysz dzisiaj oka. Wierz mi, trzy lata mieszkam w tym akademiku.

Zdjęli prześcieradło, unieśli materac, potraktowali rozpylaczem ramę łóżka i listwy. Resztę pokoju także spryskali – parapet, narożniki, wnętrze szafy. Walizkę i pudła wstawili do Avinasha, by nie posłużyły za schronienie pluskwom i karaluchom.

– Głupio mi, że zmarnowałeś dla mnie tyle tego płynu – powiedział Maneck.

– Spokojna głowa, i tak będziesz musiał sobie kupić własny. Możesz kiedyś machnąć mój pokój. Trzeba pryskać co najmniej raz w tygodniu.

Usiedli, by poczekać aż insekty zdechną, Maneck na jedynym krześle, Avinash na łóżku.

– No, tak że tak – powiedział, odchylając się w tył i podpierając na łokciach.

– Dzięki za pomoc.

– Nie ma sprawy, brachu. – Nastąpiła pauza. Sprawdzali, w którym kierunku potoczy się rozmowa. Nie potoczyła się w żadnym. – Chcesz zagrać w szachy albo warcaby, póki czekamy?

– To może w warcaby. – Maneckowi podobały się oczy tamtego, to, jak bezpośrednio spoglądały w jego oczy.

Gdy rozpoczęli grę i siedzieli z głowami skłonionymi nad szachownicą, łatwiej było nawiązać rozmowę.

– To skąd jesteś? – spytał Avinash, robiąc sobie pierwszą damkę.

Opowieść o wypoczynkowej miejscowości, okolicznych osadach, o górach, hulmanach i śniegu zafascynowała Avinasha. Wygrał pierwszą partię i, rozstawiając na nowo pionki, zwierzył się, że nigdy nigdzie nie wyjeżdżał.

– Dom zbudował mój pradziadek, na wzgórzu – ciągnął dalej Maneck. – A że zbocze jest strome, to mamy założone stalowe liny, które go trzymają na miejscu.

– Chwila, chwila, myślisz, że się wczoraj urodziłem?

– Na serio. Było trzęsienie ziemi i fundamenty osunęły się w dół. Dlatego zamontowano te liny. – Wy tłumaczył, w jaki sposób przeprowadzono naprawę i objaśnił szczegóły techniczne.

Jego szczerą powagą przekonała Avinasha. Myśl o domu na smyczy, uwiązany do górskiej skały, rozbawiła go.

– Brzmi, jakby miał skłonności samobójcze.

Zaśmiali się. Avinash przesunął jeden z pionów, po czym postawił na nim drugi.

– Damka – powiedział. Po paru ruchach wygrał znowu. – A twój ojciec co robi?

– Mamy sklep.

– A, biznesmen. Pewnie robi większą forszę, skoro przysłał cię na studia taki kawał drogi od domu.

Cień kpiny w jego głosie uraził Manecka.

– To tylko mały sklepik, a moi rodzice bardzo ciężko pracują. Posłali mnie na studia, bo interes stacza się w dół i...

Podnieśli wzrok w tej samej chwili, śmiejąc się ze zwrotu, którego użył. Maneck uznał, że już dość się naopowiadał.

– No a ty? Studiujesz tutaj, twój ojciec musi być zamożny, skoro go na to stać.

– Muszę cię rozczarować. Dostałem stypendium.

– Winszuję. – Maneck zamyślił się nad kolejnym ruchem. – A co robi twój ojciec?

– Pracuje w zakładach włókienniczych.

– Jest kierownikiem?

Avinash potrząsnął głową.

– Księgowym?

– Operatorem maszyn. Od trzydziestu lat zapierdala przy krosnach, rozumiesz?

– Głos mu zadrżał na krawędzi gniewu, potem się uspokoił.

– Przepraszam – powiedział Maneck. – Nie chciałem...

– A za co tu przepraszać? Nie wstydzę się prawdy. To ja powinienem przepraszać, że nie mam nic ciekawszego do opowiadania. Żadnych gór, śniegu, uciekających domów, tylko ojca, który oddał kawał życia zakładom, a w zamian dostał gruźlicę.

Znów zwrócili wzrok na planszę, a Avinash mówił dalej. Kiedy zdobył stypendium, nie mógł się doczekać, aż będzie mieć własny pokój w akademiku. Przez całe życie mieszkał z rodzicami i trzema siostrami w jednym pokoju z kuchnią, który wynajmowali od zakładów. Ojciec już od kilku lat chorował na

gruźlicę, ale nadal musiał pracować wśród pyłu i kurzu, żeby utrzymać rodzinę. Ponadto, gdyby się zwolnił, musieliby opuścić hotel robotniczy, a nie mieli gdzie się podziąć.

Kiedy Avinash przybył do brudnego, pełnego szczurów i karaluchów akademika, spotkało go wielkie rozczarowanie.

– Może i mamy tylko jeden pokój i kuchnię, ale przynajmniej utrzymujemy w nich porządek. – Później nadeszła frustracja związana z funkcjami prezesa Związku Studentów oraz przewodniczącego Komitetu ds. Domu Studenckiego. – Żałuję, że mnie wybrano. W informatorze college’u nie ma nic, co mogłoby człowieka przygotować na życie w akademiku.

– Co masz na myśli?

– Nie chcę opisywać, żeby ci nie popsuć pierwszego dnia. To, co widziałeś do tej pory, to jeszcze nic. Ale gdyby studenci się zainteresowali i zażądali zmian na lepsze, to można by łatwo naprawić łazienki i toalety. Pieniądze na ich utrzymanie w całości lądują w czyjejs kieszeni. To samo ze stołówką. Apropozycja zgarnia gruby szmal, a studentów karmi śmieciami. Ale możesz sobie wybrać, jakie śmieci wolisz – wegetariańskie czy nie.

– Nie jestem wybredny, jeśli chodzi o jedzenie – oznajmił odważnie Maneck.

Avinash zaśmiał się.

– Zobaczmy. W sumie nie ma za dużego wyboru. Mnie się wydaje, że dania wegetariańskie to to samo co niewegetariańskie, tyle że bez chrząstek i kości.

Maneck skupił się; zdawało mu się, że wreszcie jeden z jego pionów zdoła przełamać szyki przeciwnika.

– Kłopot w tym – rzekł Avinash, pożerając rokującego nadzieje harcownika – że większość studentów w akademiku pochodzi z ubogich rodzin. Boją się poskarżyć. Zależy im tylko, by skończyć studia, znaleźć pracę i pomóc rodzicom, braciom i siostrze.

Plany Manecka znów zostały pokrzyżowane. Avinash zrobił sobie kolejną damkę i w dwóch następnych ruchach wygrał partię. Maneckowi nie wadziły porażki, ponieważ przeciwnik nie chęłpił się, ani nie rzucał drwiących uwag.

– Śpiący jesteś – powiedział Avinash. – Nic dziwnego, że nie możesz się skupić na grze.

– Jest OK, zagrajmy jeszcze jedną. Ale coś ci powiem: ty jesteś inny od pozostałych studentów.

Avinash zaśmiał się.

– Skąd wiesz? Dopiero przyjechałeś.

Maneck zastanowił się, przesuwając palcem po koncentrycznych żłobieniach zdobiących warcabowe krążki.

– Stał że... Przez to wszystko, co właśnie powiedziałeś. Bo zostałeś prezesem.

Bo chcesz coś zmienić na lepsze.

Avinash wzruszył ramionami.

– Chyba nie. Zamierzam zrezygnować. Powiniennem przeznaczać czas i energię na studia. Jestem pierwszą osobą w dziejach mojej rodziny, która skończyła szkołę średnią. Wszyscy na mnie liczą. I moje trzy siostry też. Muszę zgromadzić pieniądze na ich posagi albo nie będą mogły wyjść za mąż. – Przerwał i uśmiechnął się. – Jak były małe i pomagałem matce je karmić, to mnie gryzły w palce. – Zaśmiał się na wspomnienie. – Ojciec mówi, że cała krew, którą wypłuka, nie pójdzie na marne, jeśli dostanę dyplom i dobrą pracę.

Unieśli twarze znad planszy i Avinash zamilkł. Łatwo było gadać z oczami wlepionymi w piony. Logika szachownicy czuwała nad wszystkim, nadając kierunek zarówno grze, jak i rozmowie. Teraz nic pękła. Zakłopotanie i niezręczność wychynęły z ukrycia.

– Muszę się rozpakować.

– Twój pokój powinien już być gotowy. Chodźmy sprawdzić.

Przenieśli z powrotem walizkę i pudła, zamietli martwe karaluchy i posłali łóżko.

– Nie dosuwaj go do ściany – powiedział Avinash. – Bezpieczniej będzie zostawić chociaż stopę przerwy. – Doradził także, by nogi łóżka wstawić do puszek z wodą, żeby wyperswadować wspinaczkę różnym stworom. – Możemy to zrobić jutro. Dzisiaj będziesz mieć już spokój.

•

Maneck poskarżył się w recepcji, że nic się nie dzieje, kiedy ciągnie za łańcuch od spłuczki.

– Bo nie ma dopływu wody do rezerwuaru – wyjaśnił recepcjonista, unosząc wzrok znad jakichś podartych dokumentów, które sklejał taśmą. – Budowlaniec nie połączył rur, żeby zaoszczędzić. College wytoczył mu proces. Ale pan się nie martwi, facet, który sprząta sanitariaty, zajmuje się tym.

– Jak?

– Wiadra z wodą.

– A o której przychodzi?

– Zanim akademik się obudzi. Czwarta, czasem piąta rano.

Maneck natychmiast podjął stanowcze postanowienie: codziennie będzie w toalecie pierwszy, bez względu na to, jak wcześnie trzeba wstać, by dostąpić tego przywileju.

Nazajutrz, posłyszawszy, że Maneck wstał przed świtem, Avinash przyszedł, by sprawdzić, co u niego.

– Co się dzieje? Źle się czujesz?

– Nie, mam się dobrze, a co?

– Wiesz, która jest? Piąta piętnaście.

– Wiem. Ale nie znoszę, jak czyjeś gówno gapi się na mnie w toalecie.

Avinash był zirytowany, że zwłóknął się z łóżka bez powodu, potem parsknął śmiechem.

– Ech, wy bogaci chłopcy. Kiedy wreszcie przyzwyczaiacie się do rzeczywistości?

– Powiedziałem ci, że nie jestem bogaty. Łazienka u nas w domu jest prosta, tak jak tutaj. Ale można spuścić wodę. I nie ma takiego smrodu.

– Problem z tobą jest taki, że za dużo widzisz i za dużo czujesz. Teraz mieszkasz w wielkim mieście. Koniec z pięknymi, ośnieżonym szczytami. Musisz się nauczyć panować nad swoimi panicznie wystraszonymi oczami i noskiem. I jeszcze jedno: lepiej przygotuj się na fuksówkę.

– O nie – jęknął Maneck, przypominając sobie szkołę z internatem. – Jeszcze z tego nie wyrosli? Co robią? Leją wodę do łóżka? Sypią sól do herbaty?

– Coś w tym guście.

W liście do domu pod koniec tygodnia Maneck musiał się zdrowo natrudzić, by opowiedzieć coś, co nie zostanie poczytane za mazgajstwo. Nie chciał, by brygadier, pani Grewal i inni, którzy będą czytać list, pomyśleli, że jest mięczakiem, który nie potrafi sobie poradzić na własną rękę.

Jednak po pierwszych dwóch tygodniach, kiedy on i Avinash zaprzyjaźnili się bliżej, był niemal gotów uwierzyć w to, co słyszał przed opuszczeniem domu: że w college’u przyjemnie spędzi czas.

•

Pewnego wieczora nad partią warcabów Maneck zwierzył się Avinashowi ze swojej szachowej ignorancji. Ten oświadczył, że może go nauczyć w trzy dni.

– To znaczy pod warunkiem, że na serio chcesz się nauczyć.

Ponieważ obaj jadalili posiłki niewegetariańskie i siadywali w tej samej części jadalni, lekcje szachów rozpoczęły się podczas kolacji. Towarzyszyły im kartka i ołówek. Maneck stwierdził, że dzięki temu zajęciu łatwiej będzie przelknąć stołówkowe pomyje.

– Uczysz się – powiedział Avinash. – W tym tkwi cała tajemnica: należy zająć zmysły czymś innym. Mówiłem ci, jaką mam teorię na ten temat? Myślę, że nasz wzrok, węch, smak, dotyk i słuch zostały tak wyregulowane, by czerpać przyjemność z doskonałego świata. Ale że świat nie jest doskonały, musimy nałożyć sobie klapki na zmysły.

– Świat tego akademika to coś więcej niż niedoskonałość. To jedno wielkie wypaczenie.

Po jedzeniu skierowali kroki do świetlicy, gdzie wciąż panował spokój. Paru

studentów zebrało się przy planszy do carroma^[123]. Za każdym razem, gdy uderzający trafiał w bandę i krążek odbijał się od niej rykoszetem, widzowie reagowali pomrukiem uznania lub współczucia. Do sali weszła kolejna grupa, roześmiana i rozbrykana, i zaczęła grać w „Traf skuwką w wiatrak”. Gra polegała na rzucaniu skuwką od długopisu w kręcący się powoli pod sufitem wentylator, tak, by umieścić ją na jednym z trzech ramion. Po kilku próbach inicjator gry wdrapał się na krzesło, zatrzymał wiatrak i ułożył na nim skuwkę. Uczestnicy puścili wiatrak w przyśpieszonym tempie i podnieśli rechetliwą owację, kiedy skuwka wystrzeliła w powietrze. Następnie pochwycili jednego spomiędzy siebie i podnieśli go w kierunku wiatraka, grożąc, że wepchną go między wirujące ramiona. Tamten wydzierał się i skowyczał – ze strachu, ale i dlatego, że tego odeń oczekiwano.

Maneck i Avinash obserwowali przez chwilę ich harce, po czym udali się na górę, by kontynuować lekcję szachów. Na biurku Avinasha stało pudełko ze sklejki pokrytej błyszczącym, rdzawobrazowym lakierem. Avinash zdjął wysuwaną pokrywkę i wysypał pionów na szachownicę.

Plastikowe bierki odlano byle jak; ich spody były oklejone zielonym filcem. Na dnie pudełka Maneck zauważył kartkę zwróconą niezadrukowaną stroną do góry i obrócił ją.

– Hej, to prywatne! – powiedział Avinash.

– Klasa – rzekł Maneck, z podziwem odczytując dyplom: zestaw szachowy przyznano jako pierwszą nagrodę na Międzyklasowym Turnieju Szachowym w 1972 roku. – Nie wiedziałem, że mój nauczyciel jest czempionem.

– Nie chciałem, żebyś się denerwował – tłumaczył się Avinash. – Zostaw to teraz i skup się.

W ciągu trzech dni Maneck przyswoił podstawy gry. Siedzieli w jadalni, zastanawiając się nad naszkicowanym przez Avinasha zadaniem, w którym białe miały dać czarnym mata w trzech ruchach. Nagle w sekcji wegetariańskiej podniosła się wrzawa. Studenci zerwali się z miejsc, wywracano stoły, tłuczono talerze i szklanki, w stronę kuchennych drzwi leciały krzesła. Wkrótce cała jadalnia poznała przyczynę zgiełku: jakiś student-wegetarianin odkrył skrawek mięsa unoszący się w rzekomo wegetariańskim sosie z soczewicy.

Akademik obiegra wieść o skurwielu aprowizatorze, który igrał z ich uczuciami religijnymi, deptał ich przekonania i kłał ich egzystencję, a wszystko to, żeby napchać sobie swoją żalowaną kabzę. W ciągu kilku minut wszyscy wegetarianie z akademika zbiegli się do stołówki, rozjuszeni oszustwem. Niektórzy byli najwyraźniej na skraju załamania: wrzeszczeli bez ładu i składu, miotali się konwulsyjnie i wpychali sobie palce do gardeł, by odkrztusić zakazaną substancję. Kilku udało się zwymiotować kolację.

Lecz palce mieli zbyt krótkie, by dosięgnąć posiłków, które zdążyli przetrawić od początku semestru. Ohydna treść została już wchłonięta, stała się częścią ich szpiku i przyczyną udreki. Rzucali się w odruchach wymiotnych, soplali i jęczeli, obracali się w kółko, trzymając się za głowy, lamentując nad katastrofą i nie chcąc uznać, że ich żołądki są puste, że nie ma już z czego ich opróżnić.

Histeria znalazła bardziej zadowalający przedmiot uwagi, kiedy z zaplecza wyciągnięto kucharzy. Sześciu mężczyzn zalatujących zjełczalym olejem, potem i rozgrzanym piecem trzęsło się przed swymi oskarżycielami. Na ich białych uniformach widniały plamy pozostałe po pracy nad wieczornym menu – rozpryskana na brązowo soczewica, ciemnozielone smugi szpinaku.

Perspektywa odwetu podziałała na zgwałcone wnętrzości niczym pastylka przeciw nadkwasocie. Mdłości ustały. Zalew żółci, wymiocin oraz zielonkawożółtej wydzieliny zastąpiła kaskada przemocy słownej.

- Na buty skurwysynów!
- Mordy im skuć, łajdakom!
- Niech żrą mięso!

Pogróżki nie przerodziły się natychmiast w ciosy, ponieważ cała szóstka przezornie padła na kolana i jęła wydawać z siebie donośne wycie. Ich mazgajstwo i błagania o litość były w swej histeryczności równie bezładne jak wcześniej wymiotne wysiłki wegetarianów.

Avinash przyglądał się przez minutę rozwojowi dramatu, następnie odsunął krzesło.

- Mam pomysł. Popilnujesz mi szachów?
- Po co się mieszasz? – spytał Maneck. – Oberwiesz i tyle.
- Nie bój się, nic mi nie będzie.

Maneck schował bierki do pudełka i przyglądał się sytuacji ze swojego kąta. Pracownicy kuchenni nadal tkwili w swoich pozach: zdemaskowana Zbrodnia na kolanach błagająca o łaskę u stóp nieprzejednanej Pomsty. Byłoby to zabawne gdyby nie autentyczna groźba, że kucharze zostaną stłuczeni na miazgę. Dotąd jednak niewidzialna linia utrzymywała się, rozdzielając potencjał od spełnienia. To dziwne, pomyślał Maneck, że niewidzialne linie mogą być tak potężne, mocne jak ceglane mury.

– Stop! Zaczekajcie chwilę! – wykrzyknął Avinash, stając pomiędzy wystraszonymi kucharzami a studentami.

– Co takiego? – spytali niecierpliwie, rozpoznając prezesa Związku Studentów i przewodniczącego Komitetu ds. Domu Studenckiego.

– Wstrzymajcie się przez minutę. Po co bić tych facetów? Przecież winę ponosi ten kanciarz aprowizator.

- Jak przetrzepiemy skórę jego ludziom, to do niego dotrze. Nie ośmieli się tu

znowu pokazać.

– Mylisz się. Wróci, tyle że z policyjną obstawą.

Znakomity gambit na otwarcie, pomyślał Maneck – niewidzialna linia została wzmocniona.

Avinash zaklinał wegetarianów i wszystkich, w których stołówkowe dania budziły obrzydzenie, by wraz z nim złożyli skargę do zarządu college'u.

– Zróbmy to demokratycznie i nie zachowujmy się jak zbiry na ulicy. Wystarczy, że ci cholerni politycy tak postępują.

Szach, pomyślał Maneck. Sprytny manewr.

Niektórzy poparli jego propozycję, inni byli przeciw. Posypał się grad wegetariańskich pogroźek, kucharze zaś odpowiedzieli kanonadą popiskiwania i pojękiwania. Ale w obu obozach nateżenie zaczynało słabnąć. Podniosły się następne głosy wspierające apel Avinasha. Wegetariańska ofensywa stopniowo milkła, a kucharze wstrzymali salwy szlochów, choć kolana wciąż trzymali w gotowości, by w razie potrzeby niezwłocznie opaść na klęczki.

Powzięto plan, by nazajutrz rano zorganizować wielki protest pod gabinetem rektora. Entuzjazm wobec obranego kursu był już powszechny. Nawet najbardziej zagorzali wegetarianie przestali rzygać, wzięli się w garść i, obiecując, że rankiem dołączą do pozostałych, odeszli, by dokonać ablucji mających usunąć efekt skalania.

Mat, pomyślał Maneck. Niewidzialna linia stała się niepokonana.

– Zdaje się, że na takich jak ty mówi się urodzony przywódca – powiedział do Avinasha później tego samego wieczora, na poły zaczepnie, na poły z podziwem.

– Nie bardzo. Prędzej urodzony głupiec. Powinienem trzymać się swojej decyzji – rzucić to i skupić się na studiach. Chodź, idziemy na górę.

•

Powodzenie demonstracji w stołówce wprawiło w zdumienie Avinasha i jego zwolenników. Rektor podyktował list do aprowizatora, w którym wypowiadał umowę. Komitet ds. Domu Studenckiego otrzymał zezwolenie, by wybrać jego następcę.

Rozradowani studenci świętowali zwycięstwo. Ambicje rosły. Prezes ich związku obiecał, że krok po kroku wypłenią wszystkie grzechy kampusu: nepotyzm przy zatrudnianiu personelu, łapówki za przyjmowanie na studia, handel testami, specjalne przywileje dla rodzin polityków, rządowe ingerencje w program kształcenia, zastraszanie kadry nauczycielskiej. Lista miała wiele punktów, bowiem zgnilizna sięgała głęboko.

Nastrój był euforyczny. Studenci gorąco wierzyli, że ich przykład zainspiruje inne uniwersytety w całym kraju do wdrożenia radykalnych reform, które

uzupełnią oddolny ruch Jaya Prakasha Narayana, nawołujący naród do powrotu do gandyjskich zasad. Zmiany te tchną życie w społeczeństwo, zmieniają je z zepsutej, konającej istoty w zdrowy organizm, który dzięki spuściznie bogatej i starożytnej cywilizacji, dzięki Wedom^[124] i upanisadam^[125], rozbudzi świat i powiedzie całą ludzkość ku oświeceniu.

Łatwo było snuć wzniosłe marzenia w kilka dni po proteście w stołówce. W studenckich żyłach tętniły upór i dobre intencje. Powstawały liczne podkomitety, opracowano program działań, spisywano protokoły, przyjmowano uchwały. Posiłki w stołówce zmieniły się na lepsze. Zapanował optymizm.

Maneck jednak miał tego wszystkiego dosyć. Chciał, by jego życie, a także życie Avinasha, wróciło do dawnego porządku. Nieustające demonstracje nużyły go. Usiłował stopniowo odciągnąć Avinasha od jego nowej namiętności i w tym celu wykonał zręczne, jak mu się zdawało, posunięcie: napomknął o rodzinie przyjaciela.

– Myślę, że miałeś rację. Wiesz, wtedy jak mówiłeś, że dla dobra rodziców i posagu twoich siostr powinieneś całkowicie skupić się na studiach. Naprawdę powinieneś.

Na tę wzmiankę Avinash zmartwił się i zachmurzył.

– Często mam wyrzuty sumienia z tego powodu. Jak tylko się rozwiąże tych parę problemów, które nam zostało, ustąpię z funkcji przewodniczącego.

– Jakich problemów? – zniecierpliwiał się Maneck. – Na żadnym zebraniu ani razu nie wspomniałeś o brudnych toaletach i łazienkach. Mahatmie Gandhiemu nie spodobałoby się twoje podejście. On mocno wierzył w czystość: czystość fizyczna poprzedza czystość umysłową, która poprzedza czystość duchową.

Jego sprzeciw rozweselił Avinasha. Zaśmiał się i objął Manecka ramieniem, kiedy przechodzili przez dziedziniec.

– Nie wiedziałem, że jesteś specjalistą od gandyzmu. A może chciałbyś przewodniczyć komitetowi do spraw karaluchów? Poprę taki wniosek.

Maneck uczestniczył w kilku wiecach i protestach, jedynie by wesprzeć przyjaciela. Po pewnym czasie nawet i ten powód stał się niewystarczający. Wszystko to było tak nudne i powtarzalne, że Maneck przestał przychodzić.

•

Avinash nie miał już czasu na wieczorne szachy. Nadal jadalili razem, ale nieczęsto byli sami, co drażniło Manecka. Wokół jego przyjaciela kłębił się tłum dyskutujący kwestie i spierający się o sprawy, których nie rozumiał i których zrozumienie go nie interesowało. Rozmowy ich pełne były takich słów jak demokratyzacja, konstytucja, alienacja, degeneracja, decentralizacja, kolektywizacja, nacjonalizacja, proletaryzacja, kapitalizm, materializm, feudalizm,

imperializm, komunalizm, socjalizm, faszyzm, relatywizm, determinizm – izm, izm, izm; słowa latały wokół niego jak rozbitycane owady.

Dlaczego ci goście nie mówią po ludzku? – zastanawiał się Maneck. Dla zabawy zaczął liczyć ich rozmaite izmy i przestał, gdy doszedł do dwudziestu. Czasami w ich debatach zjawiały się psy – imperialistyczne psy, łańcuchowe psy kapitalizmu. Niekiedy psy były świniami, kapitalistycznymi świniami. W epizodycznych rolach występowały także lichwiarskie hieny i obszarnicze szakale. Ostatnimi czasy izmom towarzyszył stan wyjątkowy, o którym gędzili bez ustanku, a zachowywali się przy tym, jakby zawałiło się niebo.

Maneck poczuł się zignorowany, więc po skończonym posiłku niezwłocznie powędrował do swojego pokoju. Nadal miał plastikowe szachy i rozstawił je, by zagrać z samym sobą. Wykonał ruch, potem obrócił szachownicę. Po pewnym czasie znudziło go to. Zajrzał do pożyczonej mu przez Avinasha książki, w której zamieszczono szereg zadań poświęconych finałowi partii i ułożonych według stopnia trudności.

Choć przychodziło mu to z trudem, Maneck nadal unikał towarzystwa przyjaciela. Kiedy po kilku dniach zaczęła mu doskwierać samotność i przymierzał się, by dać mu drugą szansę, Avinash zastukał do drzwi.

– Cześć, co nowego? – przyjaźnie poklepał Manecka po plecach.

– Ta partia.

– Sam grasz?

– Nie, ze sobą. – Maneck przewrócił własnego króla.

– Nie widziałem cię ostatnio za dużo. Nie interesuje cię, co się dzieje?

– Znaczą się w college’u?

– W college’u i wszędzie, odkąd ogłoszono stan wyjątkowy.

– A, tamto – Maneck przybrał obojętny wyraz twarzy. – Nie wiem za dużo o tych sprawach.

– Nie czytasz gazet?

– Tylko komiksy. Te polityczne kawałki są zbyt nudne.

– Dobra, opowiem ci krótko i prosto, żebyś nie zasnął.

– Zgoda. Zmierzę ci czas – Maneck spojrzął na zegarek. – Gotowy, start.

Avinash wziął głęboki wdech.

– Trzy tygodnie temu Sąd Najwyższy uznał panią premier winną oszustwa w ostatnich wyborach. Czyli zdecydował, że musi ustąpić. Ale ona zaczęła grać na zwłokę. No to partie opozycyjne, organizacje studenckie i związki zawodowe rozpoczęły w całym kraju masowe demonstracje. Żeby zrezygnowała. A potem ona, żeby utrzymać władzę, powiedziała, że bezpieczeństwu państwa zagrażają wewnętrzne zamieszki, i ogłosiła stan wyjątkowy.

– Dwadzieścia dziewięć sekund – powiedział Maneck.

– Czekaj, jeszcze trochę tego jest. Pod pretekstem stanu wyjątkowego zawieszono podstawowe prawa i aresztowano większość opozycji. Przywódcy związkowi siedzą w więzieniu, nawet niektórych przywódców studenckich wsadzili.

– Powinieneś uważać.

– E tam, spokojna głowa, nasz college nie jest taki ważny. Ale najgorsze jest to, że cenzuruje się prasę...

– Czyli nie bardzo jest sens czytać gazety, co?

– A do tego ona zmieniła z mocą wsteczną prawo wyborcze i swoją winę zmieniła w niewinność.

– I z tego wszystkiego nie masz czasu, żeby grać w szachy.

– Cały czas gram. Wszystko, co teraz robię, to szachy. No dawaj, zobaczymy, ile się nauczyłeś.

Rozstawił figury na szachownicy, później schował za plecami białego i czarnego piona. Maneck odgadł prawidłowo i rozpoczął partię pionem sprzed króla. W pół godziny później zwyciężył, ku swemu znacznemu zdumieniu.

– Było cię nie uczyć, teraz mam za swoje – powiedział Avinash. – Ale musimy niedługo zagrać rewanż.

Teraz będzie tak jak przedtem, pomyślał Maneck. Znow będzie mieć Avinasha dla siebie. Skrycie marzył, by rektor zawiesił Związek Studentów z powodu stanu wyjątkowego, tak jak robiły to inne uniwersytety. Wówczas nic już nie rozpraszałoby jego przyjaciela.

Ale Maneck miał się rozczarować; partie szachów nie powróciły. W kilka dni później zapukał do drzwi Avinasha i nie doczekał się odpowiedzi. Dwukrotnie wsunął mu pod drzwi karteczkę: „Cześć. Gdzie się chowasz? Boisz się spotkać ze mną przy szachownicy? Do zobaczenia niedługo – Maneck”.

Po drugiej karteczce, kiedy zobaczył go w jadalni, Avinash miał tylko czas na krótkie skinienie ręką.

– Dostałem twoją wiadomość – powiedział. – Masz czas jutro?

– Pewnie.

Następnego wieczora Maneck czekał u siebie w pokoju, lecz przyjaciel się nie pojawił. Zraniony i zły położył się spać, przysięgając sobie, że na tym koniec. Jeśli Avinash chce go zobaczyć, to niech teraz on się za nim pougania dla odmiany.

Tęsknił za Avinashem. Dziwne, myślał sobie, jak przyjaźń może się zniemacka rozplomienić jednego wieczoru, przy współpracy karaluchów i pluskiew. A potem zgasnąć równie nagle, z tak samo bzdurnych powodów. Może głupotą było w ogóle zakładać, że to przyjaźń.

Wszystkie odrażające składniki akademikowej rzeczywistości, z którymi Maneck nauczył się żyć, przyprawiły go teraz o mdłości ze wzmożoną siłą. Jako

antidotum wypracował nowy porządek porannego przebudzenia: kiedy otwierały mu się oczy, zamykał je ponownie i, nie unosząc głowy z poduszki, wyobrażał sobie góry, wirującą mgłę, ptasi śpiew, tupot psich łap na werandzie, chłodne powietrze brzasku na skórze, podniecony jazgot hulmanów, śniadanie przygotowywane w kuchni, tost i smażone jajka na jego języku. Namaściwszy w ten sposób wszystkie zmysły wyobrażeniami o domu, otwierał oczy i wstawał z łóżka.

Na kampusie rosły wpływy nowej grupy, Studenci dla Demokracji, która pojawiła się wkrótce po ogłoszeniu stanu wyjątkowego. Jej siostrzana organizacja, Studenci przeciw Faszyzmowi, dbała o integralność obu ugrupowań, uciszając tych, którzy wypowiadali się przeciwko nim lub krytykowali stan wyjątkowy. Pogrożki i napaści stały się zjawiskami tak powszechnymi, jakby należały do programu nauczania. Stale obecna policja pomagała w utrzymaniu ładu w jego nowym złowieszczym wydaniu.

Dwóch profesorów, którzy ośmielili się napiętnować szwadrony kampusowych zbirów, tajniacy zabrali za działalność antyrządową na mocy Ustawy o utrzymywaniu bezpieczeństwa wewnętrznego. Koledzy aresztowanych nie interweniowali w ich sprawie, ponieważ UUBW zezwalała na uwięzienie bez procesu, a powszechnie wiadano, że ci, którzy kwestionują UUBW, prędzej czy później mają z nią do czynienia; bezpieczniej było nie zadzierać z czymś tak groźnym.

Maneck martwił się o Avinasha. Jako prezesowi starego Związku Studentów niechybnie groziło mu poważne niebezpieczeństwo ze strony nowych grup działających na kampusie. Nocami nasłuchiwał dźwięków z sąsiedniego pokoju. Cichy odgłos zamykanych drzwi, szcęk stalowej szafki, syk rozpylacza i stukot łóżka oznaczały, że jego przyjaciel ma się dobrze, że nie został pobity ani internowany w tajnym więzieniu.

Maneck pędem kursował między akademikiem i college'em, nie zatrzymując się, by oglądać codzienną farsę szczucia, płaszczenia się i poddaństwa. Redakcję kampusowej gazety zaatakowano, dziennikarze i redaktorzy zostali obici i posłani do diabła. Gazeta zwykła pozwalać sobie na lekką satyrę i niekiedy pokpiwała z rządu lub władz uczelni, choć ostatnimi czasy coraz trudniej było stworzyć udaną satyrę, bowiem rząd uprawiał ten gatunek we własnych materiałach dla cenzurowanych mediów, i to z powodzeniem, jakiego nigdy nie osiągnęła kampusowa gazeta.

Po przejściu redakcji Studenci dla Demokracji zamieścili w kolejnym numerze obwieszczenie głoszące, że nowa linia pisma będzie bliższa poglądom i upodobaniom uczelnianej społeczności. Resztę wydania zajmował kodeks postępowania dla studentów i wykładowców.

Pewnego ranka zajęcia odwołano, a na dziedzińcu zorganizowano ceremonię wciągnięcia sztandaru na maszt. Uczestnictwo było obowiązkowe, pod przymusem egzekwowanym przez Studentów przeciw Faszyzmowi. Przewodniczący Studentów dla Demokracji ujął mikrofon. Zaapelował do osobistości obdarzonych autorytetem, by wystąpiły i dowiodły miłości do kraju, dając przykład postawy patriotycznej.

Na dany znak wykładowcy, docenci, profesorowie i dziekani podeszli do estrady w kiepsko udawanym popisie spontaniczności. Organizatorzy próbowali skrycie spowołnić ich przemarsz, by wyglądało to na autentyczną erupcję poparcia. Na doszlifowanie choreografii było jednak zbyt późno. Cała kadra nauczycielska zdążyła już ustawić się w kolejce do stolika jak klienci przed sklepem na kartki. Posłusznie podpisali oświadczenie głoszące, że popierają panią premier, wprowadzony przez nią stan wyjątkowy oraz cel, który sformułowała: by zwalczać antydemokratyczne siły zagrażające krajowi od wewnątrz.

W Manecku kampus budził w równym stopniu strach i nienawiść. Ale wobec swych nauczycieli odczuwał jedynie litość. Wymknęli się z ceremonii podniesienia sztandaru i wyglądali przy tym, jakby czuli się winni i było im wstyd.

Tej nocy w sąsiednim pokoju panowała cisza. Maneck nadaremnie wyczekiwał, aż znajome odgłosy zasygnalizują, że u Avinasha wszystko dobrze. Nie spał i zamartwiał się do wczesnych godzin rannych. Czy powinien zgłosić w recepcji, że jego przyjaciel zaginał? A jeśli to tylko wizyta u rodziny lub coś równie niewinnego? Lepiej poczekać dzień lub dwa.

Podczas kolacji na próżno rozglądał się po jadalni, wypatrując, że a nuż gdzieś mignie mu Avinash. Tonem swobodnej rozmowy zagadnął kogoś przy stole:

– A co tam słyhać ostatnio w Komitecie Wykonawczym Związku Studenckiego?

– Wszyscy się zmyli, brachu. Zeszli do podziemia. Dla nich to za duże ryzyko kręcić się tutaj.

Ta odpowiedź dodała Maneckowi otuchy. Był teraz przekonany, że Avinash przyczaił się gdzieś, być może w mieszkaniu rodziców w fabrycznej kamienicy. Niedługo wróci – ile w końcu może trwać stan wyjątkowy i te bandziorskie metody? Poza tym takiego szachisty łatwo nie złapią.

W stołówce przywrócono poprzedniego aprowizatora, który rozpętał gastryczną wendettę. Maneck uważał, że czas przyznał mu rację, miał bowiem w pamięci wegetariański incydent, od którego wszystko się zaczęło – mówił wtedy Avinashowi, żeby się nie mieszał, bo to się źle skończy.

Teraz, kiedy trafiał się wyjątkowo ohydny posiłek, Maneck kupował sobie kanapkę lub samosę na straganie przy uliczce opodal college'u. Miał więcej szczęścia niż większość, ponieważ przysyłało mu z domu niewielkie

kieszonkowe. Widok krojonych w plastry pomidorów i smarowanego masłem chleba, pomruk piecyka i gorący syk rozgrzanego oleju działały nań krzepiąco.

Pewnego wieczoru, kiedy wracał do akademika z przydrożnej przekąski, na korytarzu jak łowieckie hasło rozległ się okrzyk: „Fuk-sów-ka! Fuk-sów-ka! Fuk-sów-ka!”. W świetlicy zobaczył, jak dwunastu studentów osaczyło dwóch pierwszorzoczników z mechaniki samochodowej. Jednemu ściągnęli spodnie i przytrzymali go zgiętego na stole do ping-ponga, a drugiemu wręczyli pustą butelkę po oranżadzie z poleceniem, by zademonstrował, czego nauczył się o cylindrach i tłokach podczas zajęć o silnikach spalinowych. Kiedy się ościągali, przełamali jego opór, grożąc, że jeśli odmówi współpracy, to sam wystąpi w roli cylindra.

Maneck wymknął się przerażony. Odtąd po kolacji szedł prosto do siebie i zamykał się w pokoju na klucz. Dbał, by mieć pod ręką wszystko, czego potrzebował – gazetę, książki z biblioteki, szklanekę wody – by nie musieć opuszczać swego sanktuarium kiedy dręczyciele wyruszali na łowy.

Pewnej nocy przebrał się już w piżamę, gdy wtem jego brzuch zaczął burczeć nieprzyjemnie. Na pewno to ćatni, które podali do samosy na ulicznym stoisku, uznał. Nie trzeba go było jeść, miało jakiś dziwny smak.

Musiał pilnie skorzystać z toalety, bez względu na to, jak zapaskudzona była o tej porze. Ostrożnie otworzył drzwi. Korytarz był pusty. Szedł prędko, oglądając się za siebie. W połowie holu wyskoczyli ze składziku i pochwycili go. Zaczął się bronić.

– Proszę! Muszę iść do toalety! Natychmiast!

– Później – odpowiedzieli, wykręcając mu ręce za plecami, by przestał się wrywać.

– Aaaaa! – wrzasnął Maneck.

– Słuchaj, to tylko zabawa – przekonywali. – Po co ją zmieniać w bójkę? Oberwiesz i tyle.

Przestał się stawiać, a oni poluzowali chwyt na wykręconych rękach.

– Grzeczny chłopiec. A teraz powiedz nam, co studiujesz?

– Chłodnictwo i klimatyzację.

– Dobra, zrobimy ci mały sprawdzian. Żeby zobaczyć, czy uczysz się jak grzeczny chłopiec.

– Jasne. Ale czy mogę najpierw pójść do toalety?

– Później.

Zaprowadzili go do pracowni, gdzie stał duży model zamrażarki i kazali mu się rozebrać. Nie drgnął. Osaczyli go i ściągnęli z niego piżamę.

– Proszę! – błagał, kopiąc i wrywając się. – Nie, proszę! Nie!

Modlił się, by Avinash zjawił się cudownym urządzeniem i ocalił go, tak jak

ocalił kucharzy przed wegetarianami.

Napastnicy byli bardzo skuteczni. Przytrzymanie Manecka i zderzenie z niego ubrania zajęło im niespełna minutę.

– A teraz posłuchaj uważnie – powiedzieli. – Pierwsza część sprawdzianu jest prosta. Zamrażamy cię na dziesięć minut. Nie panikuj.

Wrzucili go do zamrażarki, zgiętego w pół, by zmieścił się w ciasnej komorze, i zatrzasnęli klapę. Otoczyły go trumienne ciemności.

Tamci czekali, by pośmiać się z jego reakcji. Przez chwilę nie działo się nic. Później rozpoczęło się walenie, które potrwało przez dwie minuty, po nim zaś nastąpiła krótka cisza. Potem stukot ozwał się ponownie – teraz lżejszy i sporadyczny, urywany, chwiejny, raz wzbierający, raz gasnący.

Uderzenia stały się niepokojąco słabe, a potem zamarły na dobre. Popatrzyli na zegarki; z obiecanych dziesięciu minut upłynęło ledwie siedem. Postanowili otworzyć drzwiczki.

– Fu! Blee! – Odskokczyli, kiedy owionął ich smród. – Skurwiel zesrał się w zamrażarce!

Maneck zeszywniał i nie był w stanie wyjść. Wyciągnęli go w zgarbionej pozycji i zatrzasnęli klapę, żeby smród się nie rozchodził. On popatrzył wokół siebie w oszołomieniu, niezdolny, by się rozprostować.

Nagrodzili go szyderczymi oklaskami.

– Bravo! Komplet punktów za pierwszy sprawdzian. I dodatkowe punkty za gówno. Dobra robota. A teraz pora na drugą część.

Zsiniałe usta trzęsły mu się, kiedy próbował coś powiedzieć. Sztynnym gestem sięgnął po piżamę. Ktoś odsunął ją na bok.

– Jeszcze nie. W drugiej części musisz wykazać, że masz sprawny termostat.

Odrętwiały, rozdziawił bezrozumnie usta.

– Powiedziałeś, że studiujesz chłodnictwo i klimatyzację. Co jest, nie wiesz, co to termostat?

Maneck potrząsnął głową i po raz kolejny wykonał żalosny, spowolniony ruch w stronę piżamy.

– To jest twój termostat, idioto – powiedział jeden z nich i trzepnął go w skostniały penis. – A teraz pokaż nam, czy działa.

Maneck popatrzył w dół, jakby oglądał go pierwszy raz w życiu. Tamci zaklaskali ponownie.

– Bravo! Termostat poprawnie zidentyfikowany. Ale czy działa?

Kiwnął głową.

– Udowodnij.

Nie był pewien, czego chcą.

– No dalej, uruchom maszynkę. Strzepnij go.

Pozostali podchwycili okrzyk.

– Strzep-nij-go! Strzep-nij-go! Strzep-nij-go!

Maneck zrozumiał, a przy tym odkrył, że usta odtajały mu wystarczająco, by mówić.

– Proszę was, nie mogę. Puśćcie mnie teraz, proszę, dobrze?

– Druga część sprawdzianu musi zostać przeprowadzona do końca. W przeciwnym razie będziemy musieli powtórzyć część pierwszą i zamrozić cię, tym razem z twoim gównem. Kontrola termostatu jest obowiązkowa.

Maneck ujął luźno swój penis, parę razy przesunął dłonią tam i z powrotem, po czym dał spokój.

– Nie działa! Przyłóż się! Strzep-nij-go! Strzep-nij-go!

Maneck zaczął chlipać, przesuając napletek wte i wewte, podczas gdy tamci skandowali. Rozpaczliwie pragnąc położyć kres upokorzeniu, pracował bez wytchnienia; bolał go nadgarstek, penis nie dawał znaków życia i Maneck martwił się, że coś z nim nie tak, że pobyt w zamrażarce go uszkodził. Po długich wysiłkach ejakulował bez prawdziwej erekcji.

Tamci zaczęli wiwatować, gwizdząc i pohukując. Ktoś oddał mu piżamę, po czym napastnicy rozpierzchli się. By nie wracać w ich towarzystwie, Maneck pozostał w pracowni, aż przed budynkiem zapadła cisza.

Obmył uda i nogi, potem wrócił do pokoju. Położył się do łóżka i w ciemnościach leżał na plecach, trzęsąc się i wpatrując w sufit. Zastanawiał się, co będzie, kiedy następnym razem wykładowca otworzy zamrażarkę.

Godzinę później drzenie nadal nie opuściło jego członków. Przyniósł sobie koc z szafy. Wiedział, co dalej – gdy tylko zrobi mu się cieplej, wstanie i spakuje bagaże. Rano weźmie taksówkę na dworzec, wsiądzie we *Frontier Mail* i wróci do domu.

Ale co powiedzą rodzice? Reakcję taty mógł przewidzieć – powie, że uciekł jak tchórz. A mama najpierw weźmie jego stronę, a potem posłucha taty i zmieni zdanie, jak zawsze. Wiecznie zmiany. Tak mówił korektor w pociągu – jak człowiek nie może uniknąć zmiany, to niech się do niej dostosuje. Ale na pewno nie chodziło mu o zmianę na gorsze.

Przez pół nocy Maneck bił się z myślami, powoli pakując pudła i walizkę. Drugą połowę spędził, rozpakowując się i pisząc do rodziców. Napisał, że jak dotąd nie był z nimi szczery i że przeprasza, ale chciał im zaoszczędzić zmartwień: „Akademik jest koszmarny. Nie mogę tu dłużej zostać. Jest brudny i śmierdzący (to jeszcze mogę znieść), a ludzie są odrażający. Wielu z nich to nawet nie studenci i nie wiem, jak to możliwe, że tym zbirom pozwala się mieszkać w akademiku. Palą haszysz i gańdżę, upijają się i wdają w bójkę. Otwarcie uprawiają hazard i sprzedają studentom narkotyki”. Namyslił się chwilę, a potem dodał: „Jeden

z nich próbował nawet mi sprzedać”. To powinno dać im do myślenia. „Tu jest naprawdę potwornie. Chcę jak najszybciej wrócić. Będę pracować w sklepie bez żadnego wtrącania się i będę robić, co mi każecie, przysięgam”.

To na pewno jest dostatecznie drastyczne, by skłonić rodziców do działania, pomyślał. Nie ma potrzeby ujawniać tego, czego wstydział się naprawdę.

•

Zarówno pan Kohlah, jak i jego małżonka byli po cichu zachwyceni, że Maneck chce wrócić do domu. Dokuczała im wielka tęsknota, lecz nigdy nie ośmielali się mówić o niej, nawet między sobą. Woleli udawać, zwłaszcza w towarzystwie, że są dumni i szczęśliwi, że ich syn przebywa z dala od domu i zdobywa wartościowe wykształcenie.

Naglący list Manecka nie zmienił tego ani trochę. By podtrzymać pozory, oboje starannie panowali nad swoimi reakcjami.

– Jaka szkoda, gdyby miał wrócić tak prędko – rzekł pan Kohlah.

– Racja – zawtórowała mu pani Kohlah. – Zaprzepaści jedyną szansę na karierę. Jak uważasz, Farokhu, co powinniśmy zrobić?

Pan Kohlah czuł wyraźnie, że jeśli jego syn jest nieszczęśliwy, to powinien natychmiast wracać do domu. Ale być może należało podjąć pewne starania, choćby i całkiem powierzchowne, w celu znalezienia innego wyjścia – niechybnie wszyscy będą tego oczekiwać, łącznie z ich przyjaciółmi. W przeciwnym razie mógłby zostać posądzony, że jest zbyt miękkim ojcem.

– Jak na moje oko w tym akademiku stanowczo dzieje się coś niedobrego – powiedział ostrożnie.

– Oczywiście, że tak! Mój syn nie kłamie! Nie można pozwolić, by pozostawał w tej jaskini szumowin, łotrów i złoczyńców po to jedynie, by dostać dyplom ukończenia college’u. Cóż by z nas byli za rodzice?

– Tak, tak, uspokój się, próbuję się zastanowić. – Pomasaował sobie czoło. – Jeśli akademik jest nieodpowiedni, może powinniśmy znaleźć mu inną kwaterę. Może stancję u kogoś. To by było rozwiązanie.

– Dobry pomysł – podchwyciła pani Kohlah. Nie chciała przez całe życie dźwigać piętna zaborczej matki, która zrujnowała przyszłość syna. – A może by tak zapytać moich krewnych?

– Nie, oni mieszkają za daleko od college’u, nie pamiętasz? Poza tym kto wie, jeszcze by nakładli Maneckowi do głowy jakichś sentymentalnych bzdur. Dwadzieścia lat minęło, a oni ciągle nie przywykli, że Aban mieszka z dala od nich.

– Gdyby tylko udało się znaleźć mu gdzieś miły i bezpieczny pokój – powiedziała jego żona. – W miejscu, na które nas stać.

A to jest niemal niemożliwe – pomyślała – w mieście, gdzie miliony ludzi żyją w slumsach i na chodnikach. I to nie tylko żebracy – nawet pracujący ludzie, którzy mają pieniądze na najem. Tyle że nie ma czego najmować. Nie, nie ma szans, Maneck wkrótce wróci do domu. Na myśl o tym uśmiechnęła się z rozrzewnieniem.

– Do śmiechu ci, a mamy na głowie taki problem – rzekł pan Kohlah.

– Uśmiechałam się? Nie, to nic, myślałam tylko o Manecku.

– Hmm – odchrząknął, czując, że samemu trudno mu ukryć zadowolenie. – Mogłabyś przynajmniej napisać do tej twojej przyjaciółki. Może zna jakieś lokum.

– Dobry pomysł. Po kolacji napiszę do Zenobii – przyklasnęła pani Kohlah radośnie, święcie przekonana, że będzie to strata znaczka.

Powrócili do swych zajęć. Męka skrywania zachwyty pod maską rozczarowania dobiegała końca. Pozostało im czekać, aż nieskwapliwe zabiegi spalą na panewce, a ich syn powróci do domu.

Jednak po paru dniach znów trzeba było udawać, kiedy ku ich gorzkiemu zaskoczeniu mieszkanie dla Manecka znalazło się natychmiast. Musieli silić się na okazywanie satysfakcji, że jego kształcenie postępuje naprzód, i pożegnać się z płonną nadzieją.

Pani Kohlah rada nierada posłała podziękowania pani Dalal na adres podany przez Zenobię.

– Ciekawe, czy Dina wciąż jest taka piękna jak w szkole średniej – powiedziała, delektując się dźwiękiem kartki wrywanej z bloczka papieru. Odgłos rozdierania harmonizował z jej obecnym stanem ducha.

– Możesz spytać Manecka. Niedługo będzie mógł ci przedstawić pełen raport z jej mieszkania – powiedział pan Kohlah. – A nawet przesłać aktualne zdjęcie, jeśli chcesz.

Kiedy patrzył, jak siedzi za biurkiem, nie mógł wyzbyć się uczucia, że oto wścibskie kumoszki z przeszłości żony mieszają się do życia jego rodziny i spiskują, by utrzymać syna z dala od niego.

Zaraz potem zdał sobie sprawę, że to niepoważne. Przyniósł książeczkę i wypisał czek na poczet pierwszego miesiąca najmu. Pani Kohlah dołączyła go do listu do pani Dalal.

•

Dina nasłuchiwała uważnie, czy z cichej łazienki dojdą ją jakieś odgłosy życia. Co on tam robił, czemu nie słychać plusku wody?

– Maneck! Wszystko w porządku? Woda wystarczająco ciepła?

– Tak, dziękuję.

– Kubek znalazłeś? Powinien być koło wiadra. Jak chcesz, to możesz usiąść na

tym drewnianym stołku.

– Tak, ciociu.

Maneck wstydził się wspomnieć o robactwie, które całymi batalionami wylażyło z odpływu. Miał nadzieję, że wkrótce z własnej woli powrócą do swojego podziemnego domu. A może to ja powinienem był wrócić do domu pociągiem? – myślał z goryczą. – Z własnej woli. Po co było pisać list? Jaki byłem głupi. Jak mogłem liczyć, że tatko pozwoli mi wrócić.

Dina wciąż czekała, aż posłyszysz stukot kubka i plusk wody. Cisza trwała dłużej niż jej cierpliwość.

– Co się dzieje, Maneck? Czy możesz się, proszę, pośpieszyć? Ja też muszę wziąć kąpiel, zanim przyjdą krawcy.

Liczyła, że znajdzie dziś chwilę, by zrealizować czek za wynajem pokoju. Najpierw jednak musiała wyprawić Manecka do szkoły i odpowiednio zainicjować ich relacje. Nie będzie z nim kłopotów, gdy przyzwyczai się do jej porządków. I gdy nauczy się korzystać z nowoczesnych urządzeń jak podgrzewacz do wody. Biedny chłopak nie miał pojęcia, co to jest. A kiedy zapytała go, jak w domu podgrzewają wodę, opisał jej kocioł, pod który co rano dorzucano węgla. Co za zacofanie. Ale za to posłał swoje łóżko i wszystko schludnie poskładał – to zrobiło na niej wrażenie.

Podeszła do drzwi łazienki i zapytała znowu:

– Radzisz sobie?

– Tak, ciociu. Ale jakieś robaki wypełzają z rury.

– Ach, to! Polej na nie trochę wody i sobie pójdą.

Rozległo się chluśnięcie, potem znów cisza.

– I co?

– Dalej wylażą.

– Dobra, daj, to zobaczę.

Zaczął wkładać ubranie, ona zastukała.

– Owiń się ręcznikiem i otwórz drzwi, proszę. Nie mam czasu, żeby tu stać cały ranek.

Ubrał się do końca, zanim ją wpuścił.

– Nieśmiały chłopiec. Mam tyle lat, co twoja matka. Co tam niby miałam zobaczyć? Dobrze, gdzie są te robaki, co cię nastraszyły?

– Nie wystraszyłem się, po prostu wyglądają obrzydliwie i jest ich bardzo dużo.

– Naturalnie. Teraz jest sezon na robaki. Zawsze pojawiają się podczas monsunu. Myślałam, że jak mieszkasz w górach, gdzie są dzikie zwierzęta, to będziesz przyzwyczajony do takich rzeczy.

– Ale na pewno nie w łazience, ciociu.

– W mojej łazience będziesz się musiał do nich przyzwyczaić. Możesz najwyżej

połać wodą, żeby się cofnęły. Zimną, nie zużywaj ciepłej.

Otarła się o niego, by dosięgnąć wiadra, i dokonała demonstracji, chluśnięciami z kubka posyłając intruzów do odpływu.

– Widzisz? Spływają do rury.

Łagodna linia jej wyciągniętego ramienia ukoła go w większym stopniu niż wodna metoda. Kiedy pochylała się nad brzegiem brodzika, koszula nocna ciasno opinała jej biodra, odsłaniając linię bielizny. Jego spojrzenie zatrzymało się w miejscu i uciekło w bok, kiedy się wyprostowała.

– To jak? Teraz się wykąpiesz? Czy mam zostać z tobą i bronić cię przed robakami?

Maneck poczerwieniał, a Dina, która martwiła się, że lada moment zjawią się krawcy, powiedziała:

– Posłuchaj, to jest twój pierwszy dzień, więc zrobię dla ciebie coś specjalnego.

Z szafki przed łazienką przyniosła butelkę fenolu, odkorkowała ją i pokropiła robactwo białym płynem. Środek zadziałał natychmiast, zmieniając je w kotłującą się czerwoną masę, a następnie w małe, nieżywe serpentyny.

– Proszę. Ale pamiętaj, fenol jest bardzo drogi, nie mogę go marnować codziennie. Będziesz musiał przyzwyczać się do kąpieli z tymi żyjątkami.

Maneck zamknął drzwi i rozebrał się ponownie. W kończynach tętnił mu obraz Diny, która stoi koło niego, nachyla się i wyciąga. Ale wisząca w powietrzu antyseptyczna woń fenolu gasiła podniecenie.

[113] *Carrot-ma-gose* – gotowana marchewka z mięsem.

[114] *Khordad Sal* – święto parsów obchodzone w rocznicę urodzin proroka Zaratusztry.

[115] *Gaddi* – członek górskiego plemienia.

[116] *Sola topi* – hełm korkowy chroniący przed słońcem.

[117] *Pańćajat* – system lokalnej władzy w Indiach, rada społeczności wiejskiej.

[118] *Papa-dźi* – tatuś.

[119] LL. B. – *Legum Baccalaureus* – nie mający polskiego odpowiednika najniższy prawniczy stopień zawodowy w wielu krajach Wspólnoty Narodów, w tym także w Indiach.

[120] Fragment wiersza *Wielkanoc 1916* podano w przekładzie Tomasza Wyżyńskiego.

[121] Fragment wiersza *Lapis lazuli* podano w przekładzie Piotra Siemiona.

[122] *Mohalla* – przedmieście, dzielnica miasta.

[123] *Carrom* – indyjska gra przypominająca bilard, w której zamiast kul używa się krążków, a zamiast kijów – palców.

[124] Wedy – święte księgi hinduizmu zawierające wierzenia, opis rytuału i zarys filozofii; najstarsze teksty literatury indyjskiej, powstały we wczesnej formie sanskrytu, języku wedyjskim, między XV a V w. p. n. e.

[125] Upaniszady – zbiór tekstów o treści religijno-filozoficznej, stanowiących pod względem treści zwieńczenie Wed.

6 DZIEŃ W CYRKU, NOC W SLUMSACH

Dziecko z rodziny pijaka jako pierwsze zauważyło wczesnym rankiem zgromadzenie czerwonych piętusów na granicy slumsów. Dziewczynka popędziła powiedzieć matce. Zobaczyła, że Ishvar i Om nie śpią i stoją przed swoim barakiem, i im też powiedziała. Jej ojciec dryfował po swoim alkoholowym śnie.

Parkując kierowcy posyłali sobie nawzajem powitalne tumany klaksonów. Dwadzieścia dwa autobusy stanęły obok siebie w dwóch idealnych szeregach. Krawcy nabrali wody i podążyli w stronę torów. Nocą spadł deszcz. Ziemia była miękka, a błoto cmokało pod ich stopami jak wielousty stwór.

– Chodźmy dziś wcześniej do pani Diny – powiedział Om.

– Dlaczego?

– Maneck pewnie już jest.

Znaleźli miejsce, które przypadło Ishvarowi do gustu, i ukucnęli. Ishvar był rad, że w pobliżu nie ma gadającego po próżnicy zbieracza włosów. Nie znosił rozmów podczas toalety, nawet tych dorzecznych.

Jego szczęście trwało krótko. Rajaram pojawił się na zakolu torów i dostrzegł ich na końcu rowu. Przykucnął obok i zaczął snuć przypuszczenia na temat autobusów.

– Może uruchamiają nowy dworzec? – snuł domysły Om.

– Nam to by było na rękę.

– Ale w takim razie najpierw postawiliby kasy czy coś takiego.

Podmyli się i podeszli na zwiady do opryskanych błotem pojazdów. Kierowcy ubrani w uniformy w kolorze khaki wychylali się z szoferki lub siedzieli w kucki wzdłuż krawężnika, czytając gazety, paląc lub żując betel.

– Namaskar! – zawołał Rajaram do nikogo konkretnego. – Dokąd zabieracie dziś swoje czerwone rydwany?

Jeden wzruszył ramionami.

– A bo to człowiek wie. Szef kazał przyjechać i czekać na specjalne zlecenie.

Znów się rozpadało. Krople bębniły o dachy pustych autobusów. Kierowcy wycofali się do wozów i zaciągnęli zasnutą warstwą brudu okienka.

Wkrótce przybył dwudziesty trzeci autobus; jego obluźwana i powolna wycieraczka kiwała się bezskutecznie jak mokre wahadło. Ten był szczelnie wypchany. Górne piętro przeznaczono dla umundurowanych policjantów, którzy

zostali w środku, podczas gdy dolna platforma wypłuła z siebie mężczyzn z teczkami i prospektami.

Przybysze rozprostowali kości, obciągnęli spodnie, które podjechały im do góry w kroku, i ruszyli w stronę slumsów. Niektórzy z nich, chcąc oszczędzić skórzanym sandałom kontaktu z zabłoconym po deszczu polem, dreptali na palcach z piętami w górze, balansując pod rozpostartymi parasolami. Inni dawali prymat podeszwom i człapali na piętach, wypatrując na ziemi kępek trawy, kamieni i pogruchotanych cegieł – wszystkiego, co mogło uchronić przed zetknięciem z grząskim podłożem.

Ich występ na błotnej linii wkrótce ściągnął tłum gapiów. Podmuchał wiatru wydał im parasole; mężczyźni zachybotali się. Silniejszy zryw pozbawił ich równowagi. Widownia zaczęła się śmiać. Część dzieci jeła naśladować zabawny krok przybyszów. Goście porzucili sandały w błocie i, próbując zachować resztki godności, pomaszerowali w stronę kolejki do kranu.

Mężczyzna wyróżniający się najbardziej eleganckim obuwiem powiedział, że pracują dla partii i mają posłanie od pani premier.

– Pani premier przesyła pozdrowienia i chce wam przekazać, że dziś urządza duży mityng. Wszyscy są zaproszeni.

Jakaś kobieta podsunęła puste wiadro pod kran. Bębnienie wody zakłóciło słowa mówcy; ten zmodyfikował swoje zagajenie.

– Pani premier zależy szczególnie, by porozmawiać z uczciwymi, ciężko pracującymi ludźmi, takimi jak wy. Autobusy zawiozą was za darmo na miejsce.

Kolejka do wody przesunęła się naprzód, niezainteresowana. Parę osób poszeptało między sobą, rozległ się śmiech. Działacz partii nie dawał za wygraną:

– Pani premier pragnie wam przekazać, że jest tu by wam służyć i chce wam pomóc. Chce się dowiedzieć o waszych sprawach z waszych ust.

– Sam jej powiedz! – krzyknął ktoś. – Widzisz, jak nam się tu świetnie powodzi!

– Właśnie! Powiedz jej, jacy jesteśmy szczęśliwi! Po co my mamy iść?

– Jak jest po to, by nam służyć, to powiedz jej, żeby sama tu przyszła!

– Powiedz swoim fotografom, żeby cyknęli parę zdjęć naszych ślicznych domków i tryskających zdrowiem dzieci! Pokaż to pani premier!

Zebrani dalej śmiali się wzgardliwie i szeptali między sobą, jakby tu potraktować agitatorów, którzy zawracają głowę biednym ludziom w porze czerpania wody. Przyjezdni wycofali się na krótką naradę.

Później ich przywódca przemówił znowu:

– Każdemu wypłaci się pięć rupii. Do tego darmowa herbata i przekąska. Proszę ustawić się w kolejce o siódmej trzydzieści. Autobusy odjadą o ósmej.

– W dupę sobie wsadź te pięć rupii!

– A potem podpal!

Ale obelgi stopniowo cichły, bowiem nowa oferta wzbudzała zainteresowanie. Agitatorzy rozeszli się po slumsach, żeby przekazywać nowinę.

Gałganiarz zapytał, czy jego żona i sześcioro dzieci też mogą się zabrać.

– Tak – odrzekł organizator. – Ale oni nie dostaną po pięć rupii. Tylko ty.

Pełen nadziei ojciec obrócił się na pięcie zawiedziony, po czym znów dał się skusić, kiedy ofertę darmowej herbaty i przekąski rozszerzono na całą rodzinę.

– Zapowiada się dobra zabawa, to na pewno – powiedział Om. – Chodźmy tam.

– Oszalałeś? Chcesz zmarnować cały dzień szycia?

– Nie warto – Rajaram zgodził się z Ishvarem. – Oni wciskają nam głodne kawałki.

– Skąd wiesz? Byłeś na takim spotkaniu?

– Tak, wszystkie są takie same. Gdybyście nie mieli pracy, to bym powiedział: idźcie, zgarnijcie po pięć rupii. Zabawnie jest po raz pierwszy obejrzeć sobie rządową szopkę. Ale żeby zrezygnować z całego dnia szycia czy zbierania włosów? Nie.

O siódmej trzydzieści kolejka do autobusów ledwie starczyła, by zapełnić jednego piętusa. Stali w niej bezrobotni dniówkarze, trochę kobiet i dzieci i garść kontuzjowanych mathadi^[126] z doków. Agitatorzy omówili sytuację i postanowili wprowadzić w życie alternatywny plan.

Niebawem sierżant Kesar, który dowodził policjantami, dał swoim ludziom znak, by wysiedli. Dwunastu z nich dostało rozkaz zablokowania wyjść z osiedla, pozostali podążyli za nim do slumsów. Sierżant starał się stąpać dumnym, dostojnym krokiem, ale płatfusowate stopy grzęzły w błocie i efekt przypominał bardziej chwiejny kaczy chód. Miał ze sobą megafon, który uniósł do ust jak trąbkę obiema rękami.

– Uwaga, uwaga! Z każdego dźhopdi^[127] dwie osoby mają wsiąść do autobusu. Daję wam pięć minut i ani chwili dłużej. W przeciwnym razie zostaniecie areztowani za bezprawne wkroczenie na teren miejski!

Ludzie zaprotestowali: jak to możliwe, że są tu bezprawnie, skoro płacą? Mieszkańcy osiedla poszli szukać Navalkara, tego, który zbierał czynsz, ale jego barak stał pusty.

– Ciekawe, czy pani premier wie, że biorą nas pod przymusem – rzekł Ishvar.

– Ona wie tylko o ważnych sprawach – odparł Rajaram. – O sprawach, o których zechcą jej powiedzieć przyjaciele.

Policjanci rozpoczęli łapankę. Piętusy zapełniały się z wolna. Deszcz zmył kurz i błoto i wydawały się teraz bardziej czerwone. Spory, które wybuchły w niektórych barakach, rozwiązano bez trudu, gdy policjanci podnieśli swoje bambusowe pałki, by podkreślić wagę posłuszeństwa.

Małpiarz miał ochotę jechać, ale chciał zabrać ze sobą swoje małpy.

– Spodoba im się przejazdka. Jak jedziemy pociągiem do pracy, to świetnie się bawią – tłumaczył działaczowi partii. – I nie będę prosić o dodatkową herbatę czy przekąskę, podzielę się z nimi moją porcją.

– Nie rozumiesz po ludzku? Żadnych małp. To nie cyrk.

Za jego plecami Rajaram szepnął do przyjaciół:

– A właśnie, że cyrk. Cyrk i nic więcej.

– Sahibie, proszę – zaklinał małpiarz. – Pies może zostać sam, ale nie Lajla i Madznun. Beze mnie będą płakać przez cały dzień.

Do rozsądzenia sporu wezwano sierżanta Kesara.

– Czy twoje małpy są odpowiednio wyszkolone?

– Sahibie komisarzu, moje małpeczki są pięknie wyszkolone! Moje posłuszne dzieciaczki! Proszę patrzeć, pokażą panu salam!

Dał znak, a małpy jednocześnie uniosły łapki do czoła.

Sierżant Kesar ubawił się szczerze i ze śmiechem odsalutował. Małpiarz strzelił smyczami o ziemię i małpy padły na kolana. Zachwyt sierżanta Kesara nie miał granic.

– W zasadzie mówiąc, nie widzę nic złego w tym, że małpy też pojadą – powiedział do działacza partii.

– Przepraszam, sierżancie – rzekł tamten, odciągając go na stronę. – Problem w tym, że małpy mogłyby zostać poczytane za coś w rodzaju politycznego komentarza, a wrogowie partii mogliby to wykorzystać, żeby nas ośmieszyć.

– To możliwe – odparł sierżant Kesar, bujając megafonem. – Ale można też w tym dostrzec dowód, że pani premier ma moc komunikowania się nie tylko z ludźmi, ale i ze zwierzętami.

Działacz wywrócił oczami.

– Chce pan wziąć za to odpowiedzialność? Na piśmie? W trzech egzemplarzach?

– W zasadzie mówiąc, to jest poza moją właściwością.

Sierżant Kesar z żalem powrócił do małpiarza i przekazał mu nowinę.

– Przykro mi, ale dla pani premier to ważny mityng. Małpy nie mają wstępu.

– Poczekajcie, to zobaczycie – powiedział cicho Rajaram do ludzi w kolejce. – Na estradzie będzie ich pełno.

Małpiarz podziękował sierżantowi Kesarowi za to, że próbował. Zamknął Lajlę i Majnuna w baraku razem z Tikką i wrócił. Wyglądał żałośnie. Autobusy były już prawie pełne, wystarczyło tylko przy pomocy kuksańców lub bambusowej pałki przekonać ostatnich opornych i konwój mógł ruszać.

– W życiu nie widziałem takiej niesprawiedliwości – powiedział Ishvar. – I co pomyśli Dina-bai?

- Nic nie poradzimy – odparł Om. – Cieszymy się darmową jazdą i tyle.
- Racja – poparł go Rajaram. – Jak już musimy jechać, to równie dobrze można się zabawić. W zeszłym roku podjechali ciężarówkami i upakowali nas jak owce. Autobus jest wygodniejszy.
- Co najmniej po sto osób do wozu – powiedział Ishvar. – Razem ponad dwa tysiące. Kroci się duży wiec.
- A to tylko z naszej kolonii – dorzucił Rajaram. – Na pewno wszędzie rozesłali autobusy. Na mityngu będzie razem z piętnaście czy dwadzieścia tysięcy, zobaczycie.

•

Po godzinnej podróży autobus dotarł na przedmieścia. Om obwieścił, że jest głodny.

– Mam nadzieję, że na miejscu dadzą nam naszą herbatę i przekąskę. I pięć rupii.

– Zawsze jesteś głodny – powiedział Ishvar falsetem. – Masz robaki?

Roześmiali się i opowiedzieli Rajaramowi o podejrzeniach Diny Dalal.

Wkrótce znaleźli się na wiejskich drogach. Deszcz ustał. Przejeżdżali przez wioski, których mieszkańcy przystawali i gapili się na autobusy.

– Nie rozumiem – rzekł Ishvar. – Po co nas tu ciągną? Dlaczego nie wezmą na mityng ludzi z wiosek?

– Chyba za dużo z tym komplikacji – odpowiedział Rajaram. – Ludzie są rozrzućeni, tu mieszka dwustu, tam czterystu. Musieliby objechać mnóstwo wiosek. Łatwiej im zgarnąć hurtową ilość w miejskich dźhopadpatti. – Przerwał, wskazując coś z podnieceniem. – Patrzcie! Patrzcie na tę kobietę przy studni! Ależ ma piękne, długie włosy. – Westchnął. – Gdybym tak mógł zapaść się na wieś z moimi nożycami i skutecznie małe żniwa. Wkrótce byłbym bogaty.

Wiedzieli, że zbliżają się do celu, kiedy ruch się zageścił i zaczęły ich mijać inne pojazdy, także przewożące skrojoną na miarę publiczność dla pani premier. Od czasu do czasu autobusy zjeżdżały na pobocze, by przepuścić przystrojony flagami samochód VIP-ów, który przemyczał wśród orgii ryczących klaksonów.

Zatrzymali się na skraju rozległego, pustego pola. Kiedy pasażerowie wysiadali, jeden z organizatorów polecił im zapamiętać numer autobusu do podróży powrotnej. Kierował ludzi na miejsca do siedzenia i każdej kolejnej grupie powtarzał instrukcje dotyczące aplauzu.

– Proszę obserwować dygnitarzy na estradzie. Ilekroć będą klaskać, macie do nich dołączyć.

– A co z pieniędzmi?

– Dostaniecie po wiecu. Już my znamy wasze kanciarskie sztuczki. Jak wam

zapłacimy z góry, to w połowie przemówienia dacie dyla.

– Przechodzić! Przechodzić! – wołał bramkarz, popychając nowo przybyłych.

– Nie pchaj mnie! – warknął Om, strącając dłoń tamtego z pleców.

– Are, Om, spokojnie – powiedział Ishvar.

Bambusowe tyczki i poręcze dzieliły pole na kilka sektorów, z których główny znajdował się na samym końcu. Stała w nim krytaстрада o wysokości trzydziestu stóp, przed którą mieściła się strefa dla prominentnych osobistości. Był to jedyny sektor wyposażony w krzesła i właśnie trwały spory, mające rozstrzygnąć problem ich przydziału. Krzesła występowały w trzech odmianach: z poduszką i z podłokietnikami dla bardzo, bardzo ważnych osób; z poduszkami, ale bez podłokietników dla bardzo ważnych osób, i składane, metalowe, dla zwykłych ważnych osób. Zaproszeni sprzeczały się i awanturowali z bramkarzami, naciskając, by do ich statusu dołożono dodatkowe „bardzo”.

– Spróbujmy stanąć najbliżej skraju pola, obok tamtego namiotu – powiedział Rajaram. – Na pewno tam mają herbatę i jedzenie.

Ale wolontariusze z okrągłymi plakietkami z trójkolorowego płótna zapędzili przybyłych do najbliższego wolnego sektora.

– Patrz tam, brachu! – powiedział Om z podziwem, wskazując na stojącą na prawo od sceny podobiznę pani premier o wysokości osiemdziesięciu stóp. Wykonana ze sklejk oklejonej kartonem figura rozpościerała ramiona, jakby miała objąć publiczność. Za jej głową, niczym sfatygowana aureola, wisiała konturowa mapa kraju.

– Spójrz na ten łuk z kwiatów – dodał Ishvar. – Jakby nad sceną była tęcza. Piękne, co? Aż tutaj czuć ich zapach.

– Widzicie, mówiłem, że wam się spodoba – powiedział Rajaram. – Za pierwszym razem człowiek zawsze się ubawi.

Zasiedli wygodnie na ziemi i przyglądali się twarzom obok siebie. Ludzie uśmiechali się i kiwali głowami. Dźwiękowiec wszedł na estradę, by sprawdzić mikrofony, wywołując trzeszczenie głośników. Na widowni zapadła wyczekująca cisza, ale tylko na chwilę. Autobusy nadal wypluwały z siebie tysiące pasażerów. Słońce grzało teraz mocno, ale Ishvar stwierdził, że przynajmniej nie pada.

Dwie godziny później sektory były pełne, pole wypchane po brzegi, a pierwsze ofiary słońca odtransportowano celem reanimacji w cień pobliskich drzew. Zebrani wyrażali wątpliwość, czy mądrym posunięciem było organizowanie wiecu w najgorętszej porze dnia. Jeden z organizatorów wyjaśnił, że tak być musiało: astrolog pani premier zbadał układ ciał niebieskich i wyznaczył dokładną godzinę.

Osiemnastu dygnitarzy zaczęło sadowić się na swoich miejscach na podium. W południe niebo rozdarł huk i dwadzieścia pięć tysięcy głów uniosło się do góry.

Śmigłowiec trzykrotnie zatoczył krąg nad polem, po czym zaczął schodzić do lądowania na tyłach estrady.

Kilka minut później pani premier, ubrana w białe sari, wkroczyła na scenę w asyście jegomościa w białej kurcie i czapeczce w stylu Gandhiego. Osiemnastu notabli kolejno udekorowało girlandami swoją przywódczynię, bijąc pokłony i dotykając palców u jej stóp. Jeden dygnitarz zakasował pozostałych: rozpląszczył się przed nią jak długi. Będzie tak leżeć u jej stóp, oznajmił, dopóki mu nie przebaczy.

Pani premier nie miała pojęcia o co chodzi, lecz nikt nie dojrzał zdumienia na jej twarzy, tonącej w osiemnastu girlandach. Asystent przypomniał jej o pomniejszym akcie nielojalności ze strony rozciągniętego plackiem mężczyzny.

– Madam-dzi, on się kaja, mówi, że żałuje z całego serca.

Dzięki mikrofonom nadającym bezpośrednio wszystkie dźwięki spalona słońcem publiczność mogła przynajmniej napawać się błazenadą na estradzie.

– Tak, w porządku – rzuciła niecierpliwie pani premier. – A teraz wstań i przestań robić z siebie głupca.

Skarcony mężczyzna poderwał się do góry jak gimnastyk wykonujący salto.

– Widzicie? – powiedział Rajaram. – Mówiłem wam, że czeka nas dzień w cyrku. Wszystko tu mamy: klaunów, małpy, akrobatów.

Kiedy burza sfabrykowanego uwielbienia ucichła, pani premier kolejno rzuciła wszystkie girlandy zebranym. Rezydenci krzeseł dla VIP-ów oraz dygnitarze powitali ten wielkopański gest dziką owacją.

– Jej ojciec też tak robił, kiedy był premierem – powiedział Ishvar.

– Tak – potwierdził Rajaram. – Widziałem raz. Ale kiedy to robił, widać było w nim pokorę.

– Ona wygląda, jakby rzucała nam śmieci – zawyrokował Om.

Rajaram zarechotał.

– A czy nie to jest specjalnością polityków?

Parlamentarzysta z dystryktu rozpoczął mowę powitalną, dziękując pani premier, że uczyniła taki zaszczyt tej ubogiej, niegodnej podobnych faworów okolicy.

– To niewielka publiczność – rzekł, zataczając dłonią krąg obejmujący dwadzieścia pięć tysięcy par pilnie nastawionych uszu. – Ale to publiczność ciepła, publiczność wdzięczna, publiczność pełna wielkiej miłości dla pani premier, która uczyniła tak wiele, by poprawić nasz los. Jesteśmy prostymi ludźmi, z prostych wiosek. Ale rozumiemy prawdę i przyszedliśmy tu dzisiaj, by posłuchać naszej przywódczyni.

Ishvar podwinął rękawy, rozpiął dwa guziki i podmuchał sobie pod koszulę.

– Zastanawiam się, ile to potrwa.

– Dwie, trzy, cztery godziny. Zależy ile przemówień – powiedział Rajaram.

– ... i dobrze to sobie zanotujcie, wy, dziennikarze, którzy napiszecie do jutrzejszych gazet. Zwłaszcza dziennikarze zagraniczni. Bowiem nieodpowiedzialna pisanina wyrządziła poważne szkody. Rozpowszechnia się wiele kłamstw na temat stanu wyjątkowego, który ogłoszono właśnie dla dobra ludu. Przyjrzyjcie się: gdziekolwiek pani premier skieruje swoje kroki, tysiące ludzi przybywają z daleka, aby ją zobaczyć i wysłuchać. Oto najlepszy dowód, że stoi przed wami prawdziwy przywódca.

Rajaram wyjął monetę i razem z Omem zaczęli grać w odgadywanie, jak upadnie. Wokół nich ludzie zawierali nowe znajomości, gawędzili, dyskutowali o monsunie. Dzieci wymyślały sobie gry i rysowały obrazki w kurzu. Niektóre spały. Jakaś matka wyciągnęła nogi owinięte w sari, umościła dziecko w dolinie swoich ud i, nucąc cicho, zaczęła ćwiczyć z nim, rozkładając i krzyżując jego rączki i unosząc małe stópki tak wysoko, jak tylko się dało.

Ochroniarze i wolontariusze patrolowali sektory, bacząc, co się dzieje. Nie interweniowali, o ile ludzie zachowywali powściągliwość w swoich zabawach. Nie zezwalano tylko na wstawanie i opuszczanie sektora. Zresztą to przemówienie było ledwie rozgrzewką.

– ...a jednak są ludzie, którzy mówią, że musi ustąpić, że sprawuje władzę wbrew prawu. Kim są ci kłamcy? Bracia i siostry, to garstka wielkomiejskich pieszczoszków, którzy zażywają wygod, o jakich mnie i wam nawet się nie śniło. Nie w smak im zmiany wprowadzane przez panią premier, ponieważ na ich skutek utracą swoje niezasłużone przywileje. Lecz jest rzeczą jasną, że na wsi, gdzie mieszka siedemdziesiąt pięć procent naszego społeczeństwa, nasza ukochana pani premier cieszy się pełnym poparciem.

Pod koniec przemówienia dał ręką znak komuś, kto z krótkofalówką czekał za kulisami. Parę sekund później kolorowe światła ukryte w kwietnym łuku nad proscenium zaczęły migotać z taką mocą, że mogły rywalizować z południowym słońcem. Publiczność była pod wrażeniem. Wątle obowiązkowe oklaski po przemowie parlamentarzysty przeszły w szczerą aplauz dla wizualnego popisu.

Migające światła lśniły jeszcze, gdy warkot helikoptera ponownie wypełnił niebo. Jego *lup-lup-lup* zbliżało się zza estrady. Coś wypadło z brzucha hałaśliwej maszyny. Z paczki spłynęły płatki róż!

Tłum wzniósł gromki okrzyk, ale pilot omylił się w rachubie. Zamiast spłynąć deszczem na głowy pani premier i dygnitarzy, płatki opadły na pastwisko za estradą. Pastuch, który pilnował swoich kóz, podziękował niebiosom za zaszczyt, a następnie pognął do domu, by opowiedzieć rodzinie o cudzie.

Druga paczka, przeznaczona do sektora dla VIP-ów, trafiła w cel, ale się nie otworzyła. Kogoś wyniesiono na noszach. Do czasu, gdy trzeci pakunek

spuszczono nad główną publicznością, pilot zdażył opanować technikę. Był to zrzut idealny. Przychylna bryza nadpłynęła i wspaniałomyślnie rozwiała płatki. Obecne w tłumie dzieci bawiły się wspaniałe, ganiając za nimi.

Na estradzie znowu nastąpiło bicie unizonych pokłonów, później pani premier podeszła do pęku mikrofonów. Jedną ręką przytrzymując sari przy szyi, zaczęła przemawiać. Każde zdanie wywoływało huczne owacje z estrady i sektora dla VIP-ów, które z kolei pociągały za sobą sumienny aplauz ze strony reszty widowni. Zdawało się, że jej przemowie grozi zadławienie przez nadmiar oklasków. W końcu pani premier zeszła z podwyższenia i szepnęła coś asystentowi, który przekazał instrukcje dygnitarzom. Efekt był natychmiastowy. Odtąd oklaski racjonowano rozsądniej.

Pani premier poprawiła białe sari, które ześlizgiwało jej się z głowy, i ciągnęła:

– Ogłoszenie stanu wyjątkowego nie jest powodem do obaw. To konieczny krok mający na celu danie odporu siłom zła. Dzięki niemu życie zwykłych ludzi ulegnie poprawie. Tylko kanciarze, przemytnicy i czarnorynkowi spekulanci mają powody do obaw, ponieważ wkrótce trafią za kratki. Odniesiemy sukces, pomimo podłych knowań, które trwają, od kiedy zaczęłam wprowadzać programy na rzecz zwykłego człowieka. Przeciw nam działa obca ręka – ręka wrogów, którym nie w smak nasz dobrobyt.

Ku zachwytowi Oma Rajaram wyciągnął talię kart i zaczął je tasować.

– Jesteś przygotowany, to na pewno – powiedział Om.

– A co. Znosi się na dłuższą gadkę. Grasz? – spytał Ishvara i uwzględnił go w rozdaniu. Ludzie siedzący obok ożywili się, wdzięczni za rozrywkę. Przesunęli się i usadowili się w krąg, by obserwować partię.

– ... ale to bez znaczenia, bowiem nie spoczniemy, póki nie położymy kresu działalności wichrzycielskich sił. Rząd będzie prowadzić walkę obronną tak długo, jak długo demokracja w naszym kraju będzie zagrożona.

Tym razem Om odmówił klaskania, twierdząc, że bołą go dłonie. Zagrał kartę.

– Błąd, błąd – chlapanął ktoś obok. Widząc swą omyłkę, Om zabrał kartę i wyłożył inną, gdy tymczasem z estrady przedstawiano zarys 20 Postanowień.

– Zamierzamy zapewnić ludziom dach nad głową. I dość jedzenia, aby nikt nie chodził głodny. Tkaniny w kontrolowanych cenach. Chcemy zbudować szkoły dla naszych dzieci i szpitale, aby doglądać chorych. Każdy będzie też mógł skorzystać z kontroli narodzin. Rząd nie będzie dłużej tolerować sytuacji, w której ludzie bezmyślnie przyczyniają się do wzrostu populacji i pochłaniają środki, które należą do wszystkich. Przyrzekamy, że wyeliminujemy ubóstwo z naszych miast, miasteczek i wsi.

Gra stopniowo nabierała rumieńców. Om z zapalem ciskał karty przy wtórze fanfar.

– Tan-tan-tana-nana! – zaśpiewał przy kolejnym ruchu.

– To wszystko? – spytał Rajaram. – O to było tyle hałasu? To tylko drobna przeszkoda! Przebijcie to, jeśli wam starczy sił!

– Hoi-hoi, dajcie mi szansę – powiedział Ishvar, przebijając atutową kartą, aż dwaj pozostali zajęczeli. Widzowie chóralnie wyrazili aprobatę dla jego sprytnego zagrania.

Wkrótce nadzorca publiczności przyszedł sprawdzić, co się dzieje.

– Co to za wybryki? Okażcie trochę szacunku pani premier.

Zagroził, że odbierze im pieniądze i przekasę, jeśli nie będą się zachowywać jak należy i słuchać przemówienia. Karty kazał schować.

– ...a nasze nowo utworzone lotne brygady wyłapią przemytników złota, wykryją korupcję i pieniądze z czarnego rynku i ukarzą oszustów podatkowych, którzy utrzymują nasz kraj w ubóstwie. Bądźcie pewni, że wasz rząd wypełni to zadanie. Wasza rola tutaj jest prosta: wspierajcie rząd, wspierajcie stan wyjątkowy. Dziś potrzeba nam dyscypliny – dyscypliny w każdym aspekcie życia. Tylko wtedy uda nam się na nowo tchnąć energię w nasz naród. Odrzućcie wszelkie zabobony, nie wiercie w horoskopy i świątobliwych mężów. Wiercie jedynie w siebie i swoją ciężką pracę. Jeśli kochacie swój kraj, unikajcie plotek i próżnego gadulstwa. Przede wszystkim wykonujcie swoje obowiązki! Oto, bracia i siostry, wezwanie, które do was kieruję! Dżaj Hind^[128]!

Na estradzie osiemnastu polityków wstało jak jeden mąż, by powinszować pani premier wielce inspirującego przemówienia. Rozpoczęła się jeszcze jedna szybka runda łaszenia się. Kiedy dobiegła końca, przedstawiciel partii, który miał osobiście podziękować pani premier, mizdrząc się podszedł do mikrofonu z uśmiechem samozadowolenia na ustach.

– O nie! – westchnął Om. – Jeszcze jedna mowa? Kiedy dostaniemy jeść?

Wyczerpawszy zasób dziękczynnych formułek i wyświechtanych hołdów, mówca wskazał teatralnym gestem na niebo na odległym krańcu pola.

– Wytyńcie oko! Tam, wśród obłoków! Ach, doprawdy, Bóg nam błogosławi!

Publiczność zadarła głowy, wypatrując źródła tego apoplektycznego entuzjazmu. Tym razem nie było warkotu śmigłowca, za to na widnokręgu falował balon napełniany gorącym powietrzem. Pomarańczowo-biało-zielony baldachim dryfował po błękitnym niebie w ciszy jak ze snu. Zbliżywszy się do tłumu, balon opadł nieco niżej i wówczas ci o bystrzejszym wzroku rozpoznali kołującą w dali twarz w ciemnych okularach. Postać uniosła rękę w białej rękawicy i zamachała.

– Och, Bóg błogosławi nam dziś podwójnie! – zaśpiewał do mikrofonu mężczyzna. – Pani premier jest z nami na estradzie, a jej syn na niebie ponad nami! Czegóż więcej moglibyśmy chcieć!

Syn na niebie zaczął tymczasem rzucać za burtę ulotki. Z dramaturgicznym wyczuciem najpierw wypuścił jeden kartonik, by podręczyć widownię. Wszystkie oczy wbiły się weń, kiedy pikował i zataczał leniwe kręgi. Później rzucił dwa następne, odczekał, i wreszcie pozbył się pozostałych, ciskając je łopoczącymi garściami.

– Tak, bracia i siostry, Matka Indii zasiada na estradzie pośród nas, a Syn Indii łśni na nieboskłonie ponad nami! Tu i teraz wspaniałość dnia dzisiejszego, a tam, w górze, złota przyszłość, która oczekuje, by zejść w dół i wziąć w ramiona nasze życia! Doprawdy, jesteśmy błogosławioną nacją!

Pierwsze ulotki, zawierające portret pani premier i 20 Postanowień, spłynęły na ziemię. Dzieci miały nową zabawę: zaczęły gonić za nimi, ścigając się, kto nazbiera więcej. Balon wycofał się z przestworzy, by ustąpić miejsca śmigłowcowi, który podszedł do ostatecznego uderzenia.

Tym razem leciał dużo niżej. Ryzyko przełożyło się na precyzję: wielki finał zalał estradę deszczem różanych płatków. Tymczasem wskutek nawałnicy wywołanej przez wirujące śmigło makietą z podobizną pani premier zaczęła się kiwać. Z tłumu podniósł się ostrzegawczy okrzyk. Postać z rozpostartymi ramionami wydała z siebie jęknięcie, liny się naprężyły. Ochroniarze machali gorączkowo w kierunku śmigłowca, ze wszystkich sił próbując utrzymać liny i mocowania. Ale podmuch był zbyt silny. Figura zaczęła powoli lecieć w dół, na twarz. Ci, którzy stali najbliżej kartonowo-sklejkowego giganta, rozpięchli się na boki.

– Nikt nie chce wpaść w objęcia pani premier – zażartował Rajaram.

– Ale ona próbuje położyć się na kim się da – dorzucił Om.

– Wstydu nie masz – zganił go stryj.

Pognali do bufetu, przed którym utworzyła się kolejka bez końca. Ochroniarze pilnowali porządku. Przekąski – jedna pakora^[129] na osobę – już się wyczerpały. W miarę jak zasoby herbaty malały, ręce obsługujących traciły na hojności. Zaczęli nalewać porcje po pół kubka.

– Herbaty jest tyle samo – tłumaczyli tym, którzy oburzali się na ich skąpstwo.

– Tyle że jest bardziej esencjonalna.

Ogonek pełznął naprzód, a tymczasem skrajem pola z rykiem syren pędziły karetki, które przybyły, by zabrać ofiary upadku ogromnej pani premier. Minęła godzina oczekiwania, a Ishvar, Om i Rajaram ciągle nie doczekali się swojej kolejki. Wtedy herbata się skończyła. Jednocześnie zabrzmiało obwieszczenie: autobusy odjeżdżają za dziesięć minut. Wszyscy przerazili się, że zostaną, toteż porzucili spór z szafarzami herbaty i pośpieszyli na miejsce, gdzie stały pojazdy. Przy wejściu do autobusu wyplacono każdemu cztery rupie.

– Dlaczego cztery? – spytał Ishvar. – Obiecali pięć.

– Jedna rupia na opłatę za przejazd, herbatę i przekąskę.
– Nawet nie dostaliśmy herbaty i przekąski! – Om z furią przybliżył twarz do twarzy tamtego. – I powiedzieli nam, że autobus jest za darmo!

– E? Chcesz sobie jeździć autobusem za darmo? A może twój ojciec to Diwali? Om zjeżył się.

– Uprzedzam cię, facet, nie wycieraj sobie ust moim ojcem.

Ishvar i Rajaram uprosili go, by wszedł do autobusu. Mężczyzna przy drzwiach zaśmiał się i powiedział coś o osobie, która wygląda jak insekt, a mówi jak tygrys.

Wracali w ponurych nastrojach, spragnieni i zmęczeni.

– Zmarnowany dzień – powiedział Ishvar. – Mogliśmy uszyć sześć sukienek. Trzydzieści rupii w plecy.

– A ile włosów bym zdążył nazbierać.

– Może jak wrócimy, powinienem pojechać do pani Diny – dorzucił Ishvar. – Żeby wytłumaczyć. Obiecać, że jutro będziemy.

Dwie godziny później autobus zatrzymał się w nieznannej okolicy. Kierowca kazał wszystkim wysiadać. Powiedział, że takie dostał dyspozycje. Na wszelki wypadek podkreślił szybko w swoim oknie i zamknął się w szoferce.

Mieszkańcy slumsów tłukli w drzwi i soplali na nie, wymierzili parę kopniaków w karoserię.

– Łobuzy! – krzyczał kierowca. – Niszczycie mienie publiczne!

Na autobus spadło jeszcze kilka ciosów, po czym tłum poszedł dalej. Ishvar i Om nie mieli pojęcia, gdzie się znajdują, ale Rajaram znał drogę. Rozległ się grzmot i znów zaczęło padać. Szli przez godzinę. Kiedy dotarli do slumsu, była już noc.

– Zjedźmy coś szybko – powiedział Ishvar – a potem pójdę udobruchać panią Dinę.

Podpompował prymus i zapalił zapalniczkę. Wtem potworny skowyt rozdarł mrok. Nie przypominał głosu człowieka ani zwierzęcia. Krawcy pochwycili lampę sztormową i razem z Rajaramem pobiegli w stronę chaty małpiarza, skąd dochodził hałas.

Znaleźli go za barakiem; próbował udusić swojego psa. Tikka leżał na boku, oczy wyłaziły mu z orbit, a małpiarz dociskał go kolanami. Łapy psa ryły powietrze w poszukiwaniu oparcia, by móc uciec przed niewytłumaczalnym bólem, który otaczał jego szyję.

Palce małpiarza zacisnęły się mocniej. Jego obłąkańcze krzyki mieszały się z wystraszonym wyciem Tikki. Ludzkie i zwierzęce wrzaski rozdzierały noc w straszliwej harmonii.

Ishvar i Rajaram zdołali rozluźnić palce małpiarza. Tikka podniósł się z trudem. Nie uciekł. Wiernie czekał obok, pokasłując i pocierając pysk łapą.

Małpiarz znów próbował go złapać, ale powstrzymali go inni ludzie, którzy tymczasem zebrali się wokół.

– Uspokój się – napominał go Rajaram. – Powiedz, co się stało.

– Lajla i Madźnun! – wyszłochał tamten, wskazując na barak, niezdolny wydusić z siebie słowa. Cmokaniem usiłował znów przywabić psa. – Tikka, Tikka, chodź tu do mnie!

Zwierzę zbliżyło się ufnie, szukając przebaczenia. Małpiarz zdołał kopnąć go pod żebro, zanim go odciągnięto. Unieśli lampę, by zajrzeć do baraku.

Posykujące światło omiotło ściany, potem podłogę. W rogu zobaczyli małpie trupy. Długie, brązowe ogony Lajli i Madźnuna, tak bujne za życia, zdawały się dziwnie skurczone i jak przetarte liny walały się po klepisku. Jedna z małp była nadjedzona, jej ciemnobrązowe, cienkie trzewia leżały na wierzchu.

– Hai Ram! – zawołał Ishvar, zasłaniając usta. – Co za tragedia.

– Dajcie mi popatrzeć – powiedział ktoś, usiłując przepchnąć się przez tłum.

Była to ta sama kobieta, która pierwszego dnia, kiedy wysechł kran, podzieliła się z Omem swoją wodą. Fisharmonista powiedział, że należy ją czym prędzej przepuścić, ponieważ czyta wnętrzości równie biegle jak swami^[130] *Bhagawadgītę*.

Tłum rozstał się, przepuszczając staruszkę. Poprosiła, by poświecono bliżej. Stopą przesunęła ścierwo, by lepiej odsłonić wnętrzości. Nachylając się, pogmerała w nich patyczkiem.

– Utrata małp nie jest najgorszą stratą, jaka na niego spadnie – ogłosiła. – Mord na psie nie jest najgorszym mordem, jakiego dokona.

– Ale pies... – zaczął Rajaram. – Uratowaliśmy go, jest...

– Mord na psie nie jest najgorszym mordem, jakiego dokona – powtórzyła ze straszliwym naciskiem i wyszła. Publiczność wzruszyła ramionami, uznając, że mimo stanowczego obejścia, staruszka było nieco zdezorientowana i zdenerwowana zajściem.

– Zabiję go – zaczął znowu zawodzić małpiarz. – Moje małeństwa nie żyją! Ukatrupię tego parszywego psa!

Ktoś odprowadził Tikkę w bezpieczne miejsce, inni starali się przemówić małpiarzowi do rozsądku.

– Pies to tępe zwierzę. Jak zwierzęta robią się głodne, to chcą jeść. Na co go zabijać? To twoja wina, że je zamknąłeś razem.

– Bawił się z nimi jak brat z siostrą – zaszłochał małpiarz. – Cała trójka była jak moje dzieci. A teraz coś takiego. Zabiję go.

Ishvar i Rajaram wyprowadzili małpiarza z baraku. Łatwiej będzie go pocieszyć, gdy zmasakrowane ciała znajdują się poza polem widzenia. Weszli do chaty Rajarama i zaraz wyszli. Kłęby włosów zawalające całe pomieszczenie,

podobne do makabrycznych włochatych trupków, nie były czymś, co małpiarz mógłby zdzierżyć w obecnym stanie. Skierowali się zatem do szopy krawców i dali mu wody do picia. Siedział ze szklanką w dłoniach, skomlać, trzęsąc się i mamrocząc do siebie.

Ishvar uznał, że jest już zbyt późno i wizyta u pani Diny nie wchodzi w grę.

– Co za dzień – szepnął do Oma. – Jutro będziemy się tłumaczyć.

Siedzieli z małpiarzem jeszcze po północy, pozwalając mu rozpaczać tak długo, jak chciał. Obmyślili pogrzeb dla Lajli i Madźnuna. Udało im się też przekonać go, by przebaczył psu. Rajaram poruszył kwestię utrzymania.

– Ile czasu zajmie ci wyszkolenie nowych małp?

– To byli moi przyjaciele, moje dzieci! Nie chcę słyszeć o zastępstwie! – Przez chwilę milczał, po czym – o dziwo – sam podjął temat. – Mam inne talenty. Gimnastyka, chodzenie po linie, zonglowanie, balansowanie. Mógłbym wystawić nowy numer, bez małp. Później pomyślę, co zrobić. Najpierw muszę dokończyć żałobę.

•

Dina nie kryła niezadowolenia, kiedy Maneck wrócił z college’u spóźniony. I to już pierwszego dnia, pomyślała. Nikt już nie dba o punktualność. Może pani Gupta miała rację, może stan wyjątkowy nie jest taki zły, jeśli od tego ludzie nauczą się nie spóźniać.

– Herbata jest gotowa już od ponad godziny – gderała, nalewając mu do filiżanki i rozsmarowując masło na kromce chleba marki Britannia. – Co cię zatrzymało?

– Przepraszam ciociu. Bardzo długo czekałem na przystanku. Rano też się spóźniłem na zajęcia. Wszyscy narzekają, że autobusy pozniły z ulic.

– Ludzie zawsze narzekają.

– A krawcy? Już skończyli?

– W ogóle nie przyszli.

– Co się stało?

– Przecież gdybym wiedziała, to bym się tak nie martwiła. Spóźniałstwo mają we krwi, ale pierwszy raz nie zjawili się przez cały dzień.

Maneck migiem wypił herbatę i poszedł do swojego pokoju. Strząsnął buty z nóg, obwąchał skarpetki – lekko zalatywały – i włożył kapcie. Zostało mu parę pudeł do rozpakowania. Równie dobrze można to zrobić teraz. Ubrania, ręczniki, pasta do zębów i mydło powędrowały do szafy. Z półki dobiegła go przyjemna woń. Zaciągnął się głęboko: przypominała mu ciocię Dinę, która była śliczna – piękne włosy, sympatyczna twarz.

Gdy rozpakował się do końca, nie wiedział co robić dalej. Jego uwagę zwrócił

parasol zwisający z szafy. Otworzył go, z podziwem obejrzał kopułę w kształcie pagody i wyobraził sobie, jak ciocia Dina idzie z nim po ulicy. Jak kobiety na wyścigach w *My Fair Lady*. Wyglądała dużo młodziej niż mama, choć mama pisała, że są w tym samym wieku – w tym roku kończą czterdzieści dwa lata. I że miała ciężkie życie, spotkało ją wiele nieszczęść, jej mąż zginął młodo, więc Maneck ma być dla niej miły, nawet jeśli ciężko będzie się z nią dogadać.

Ciężkie życie, pomyślał, to by tłumaczyło jej ton. Kiedy mówiła, jej głos brzmiał staro, jakby przetrwał niejedną zmianę pogody. Jej słowa zawsze były ostre – słowa zmęczonej, pozbawionej złudzeń osoby. Chciałby ją rozweselić, sprawić, że się czasem roześmieje.

Pokoik działał mu na nerwy. Co za nudy. Reszta roku akademickiego będzie się wlec jak po grudzie. Wziął do ręki książkę, przekartkował, rzucił z powrotem na biurko. Szachy. Ustawił bierki na szachownicy i wykonał parę mechanicznych ruchów. Plastikowe figury już go nie cieszyły. Wrzucił je z powrotem do rdzawobrazowego pudełka z odsuwaną pokrywką – z więzienia pól szachowych do więzienia trumny.

Ale ja przynajmniej uciekłem z mojego więzienia, pomyślał. Już więcej nie będę oglądać tego przeklętego akademika. Żałował jedynie, że nie miał jak pożegnać się z Avinashem, którego pokój nadal stał zamknięty i milczący. Pewnie wciąż ukrywa się u rodziców – dopóki na kampusie panował reżim stanu wyjątkowego, a ludzie ciągle znikali, powrót byłby ryzykanctwem.

Maneck przypomniał sobie pierwsze dni spędzone razem, gdy ich przyjaźń była świeża. Wszystko, co robię, to szachy, powiedział kiedyś Avinash. Teraz dostał ciężkiego szacha. Czy zdołał zawczasu przeprowadzić roszadę? Czy chroniły go wieża i trzy piony? Ciocia Dina też rozgrywała partię przeciw krawcom, przesuwając się między frontowym i tylnym pokojem. I tatko, próbujący stawić czoło rywalom z branży napojów bezalkoholowych, którzy nie przestrzegali zasad – grali w warcaby przy użyciu figur szachowych.

Z nadejściem wieczoru pokój pokryły cienie, ale Maneck nie zapalał światła. W zapadającym zmierzchu jego dziwaczne rozmyślenia o szachach nagle przybrały mroczną, posępną barwę. Wszystko jest zagrożone i tak bardzo skomplikowane. Gra nie zna litości. Po krwawej łaźni na szachownicy życia pozostają ranni. Ojciec Avinasha z gruźlicą, jego trzy siostry czekające na posagi, ciocia Dina walcząca, by przetrwać nieszczęścia, które na nią spadły, tatko, złamany i z rozdartym sercem, i mama, udająca, że jej mąż na powrót stanie się dawnym sobą, silnym i uśmiechniętym, ich syn powróci po roku spędzonym w college'u i zacznie butelkować w piwnicy Kohlah Cole, a ich życie znów wypełni się nadzieją i szczęściem, jak w czasach zanim zesłano go do szkoły z internatem. Ale udawanie sprawdza się wyłącznie w świecie dzieciństwa. To, co

było, już nigdy nie wróci. Tak beznadziejne zdaje się życie, każdemu gotuje jedynie cierpienie...

Zatrzasnął składaną szachownicę: podmuch powietrza musnął go w twarz. Tam, gdzie jego policzki były mokre od łez, pocałunek był zimny. Maneck otarł oczy, jeszcze raz zatrzasnął dwie połówki jak miech, później powachlował się szachownicą.

Kiedy wreszcie ciocia Dina zawołała go na kolację, było to jak zwolnienie z więzienia. W mgnieniu oka znalazł się przy stole i krążył wokół, póki nie wskazała mu, gdzie ma usiąść.

– Przeziębiłeś się? – spytała Dina. – Oczy masz załzawione.

– Nie, zdrzemnąłem.

Nie pomyliła się tak wiele, pomyślał.

– Zapomniałam wczoraj spytać: wolisz jeść nożem i widelcem czy palcami?

– Wszystko jedno, nie ma znaczenia.

– A w domu jak jecie?

– Używamy sztućców.

Ułożyła nóż, widelec i łyżkę dookoła jego talerza, swój zostawiając bez ozdoby, po czym podała jedzenie.

– Ja też mogę jeść palcami – zaprotestował Maneck. – Nie musi mnie ciocia traktować specjalnie.

– Nie pochlebiaj sobie, kawałek taniej stali to nic specjalnego. – Nałożyła mu na talerz i usiadła naprzeciwko. – Kiedy byłam młoda, zawsze mieliśmy zastawę jak należy. Srebro pierwszej próby. Mój ojciec przywiązywał dużą wagę to takich spraw. Gdy umarł, nasze obyczaje się zmieniły. Zwłaszcza jak mój brat Nusswan ożenił się z Ruby. To ona się ich pozbyła. Powiedziała, że nie musimy małpować cudzoziemców, skoro Bóg dał nam całkiem dobre palce. I w pewnym sensie to prawda. Ale ja myślę, że po prostu nie chciało jej się czyścić tych wszystkich sztućców.

W połowie kolacji Dina umyła ręce i przyniosła sobie nóż i widelec.

– Zainspirowałeś mnie – uśmiechnęła się. – Nie używałam tego od dwudziestu pięciu lat.

Maneck popatrzył w bok, by nie onieśmielać jej palców.

– Czy krawcy przyjdą jutro?

– Mam nadzieję – ucięła krótko temat, a później zaniepokojona podjęła go znowu. – Chyba że znaleźli lepszą pracę i się zmyli. Ale czego można się spodziewać po takich ludziach? Odkąd jestem w branży krawieckiej, nic tylko mam z nimi siedem nieszczęść. Każdego dnia doprowadzają mnie do szaleństwa, tak się martwię, czy skończą sukienki na termin.

– Może zachorowali.

– Obaj jednocześnie? Może to taka choroba, co siedzi na dnie butelki: wczoraj im zapłaciłam. Żadnej dyscypliny, żadnego poczucia obowiązku. Tak czy siak, nie wiem, czemu ci zawracam głowę moimi problemami.

– Nic nie szkodzi.

Pomógł jej zanieść brudne naczynia do kuchni. Dzikie koty miauczały na zewnątrz. Słyszał je ostatniej nocy, kiedy zasypiał, a później przyśniły mu się bezpańskie psy zbierające się na frontowym ganku sklepu, i tatko, który je karmił i jak zawsze żartował, że niedługo będzie musiał otworzyć filię dla swoich czworonogich klientów.

– Nie za okno, Maneck, do wiadra ze śmieciami – powiedziała Dina, gdy wyrzucał resztki.

– Ale chcę nakarmić koty, ciociu.

– Nie, nie zachęcaj ich.

– Są głodne – widzi ciocia, jak czekają.

– Bzdura. Drapichrusty, uprzykrzenie pod moim oknem i tyle. I jeszcze się zakradają do kuchni i broją. Jedyne, co w nich dobre, to jelita. Na struny do skrzypiec, jak mawiał mój mąż.

Maneck był pewien, że przejęłaby jego punkt widzenia, gdyby codziennie opowiadał o kotach, jak gdyby były ludźmi; była to sztuczka, którą posługiwał się tatko. Kiedy stała tyłem, wyrzucił resztki na dwór. Już zdążył wypatrzyć swoją faworytkę: brązową kotkę z białymi pręgami i zniekształconym uchem, która mówiła: „Szybciej z tym jedzeniem, nie będę czekać cały dzień”.

Sprzątnąwszy, Dina zaproponowała Maneckowi, by usiadł z nią we frontowym pokoju i poczytał sobie albo się pouczył, porobił co chce.

– Nie musisz się tam zamykać. Czuj się jak u siebie w domu. A jeśli ci czegoś potrzeba, nie wstydź się poprosić.

– Dziękuję, ciociu.

Już wcześniej myślał, że miałby wrócić do swojej celi przed porą snu, napawała go odrazą. Zasiadł na fotelu po przekątnej od jej miejsca i zaczął kartkować czasopismo.

– Widziałeś się już z rodziną swojej mamy?

Potrząsnął głową.

– Prawie ich nie znam. I nigdy się z nimi nie dogadywaliśmy. Tata zawsze mówi, że tacy są drętwi, że jeszcze się kiedyś zanudzą na śmierć.

Dina cmoknęła z dezaprobatą, jednocześnie marszcząc brwi i uśmiechając się. Sortowała swoje skrawki tkaniny i łątki. Przed nią na sofie leżało kilka kwadratów, które przycinała, żeby pasowały do siebie.

Maneck podszedł bliżej.

– Co to jest?

– Moja kolekcja szmatek.

– Na co ciocia je zbiera?

– A musi być jakiś powód? Ludzie zbierają najróżniejsze rzeczy. Znaczki, monety, pocztówki. Ja zamiast albumu fotograficznego czy zeszytu z wycinkami mam szmatki.

– Tak – niepewnie kiwnął głową.

Pozwoliła mu chwilę popatrzeć, po czym powiedziała:

– Nie martw się, nie wariuję. To są kawałki do uszycia kapy. Będzie z nich ładna narzuta na moje łóżko.

– Aaa, teraz rozumiem.

Zaczął przeglądać stertę gałganków, podsuwając sugestie, wybierając fragmenty, które jego zdaniem dobrze by wyglądały obok siebie. Niektóre, tak jak próbki atlasu i tusseru, były cudowne w dotyku.

– Za dużo różnych barw i deseni – ocenił.

– Zabawiasz się w krytyka?

– Nie, chodzi mi o to, że bardzo trudno będzie je odpowiednio zestawić.

– Trudno, zgadza się, ale od tego są gust i umiejętności. Żeby wiedzieć, co zachować, a co odrzucić. I co z czym połączyć.

Krótkimi cięciami nożyczek wyrównała wystrzępione brzeżki i naprędce sfastrygowała sześć wybranych fragmentów, by uzyskać lepszy ogłąd całości.

– Jak myślisz? – spytała.

– Na razie świetnie.

Miły, sympatyczny chłopiec, pomyślała Dina. Jej obawy, że okaże się rozpuszczonym bachorem, były całkiem bezpodstawne. I dobrze było mieć kogoś do rozmowy. Kogoś poza krawcami, którzy zawsze traktowali ją nieufnie – zresztą podobnie tak jak ona ich.

•

Następnego popołudnia przechwyciła Manecka na werandzie, kiedy wracał z college'u i szepnęła mu, że krawcy się zjawili.

– Ale nic im nie mów, jak się wczoraj martwiłam.

– Zgoda.

Gambit hetmański, pomyślał, rzucając podręczniki na łóżko. Wszedł do pokoju frontowego, gdy krawcy wychodzili na swoją przerwę na herbatę.

– No proszę, oto i on! – zawołał Ishvar. – Minał cały miesiąc i znów się widzimy, co?

Wyciągnął rękę na powitanie i spytał Manecka, jak się miewa, gdy tymczasem Om stał obok, uśmiechając się od ucha do ucha. Maneck powiedział, że ma się dobrze, na co Ishvar odparł, że oni obaj mają się pierwsza klasa, a to przede

wszystkim dzięki regularnemu zajęciu zapewnianemu im przez panią Dinę, która jest taką dobrą pracodawczynią. Uśmiechnął się do niej, by włączyć ją do rozmowy.

Przez całe popołudnie przyglądała się z dezaprobatą ich trójce. Zachowywali się jak przyjaciele po długiej rozłące. I pomyśleć tylko, że wcześniej spotkali się tylko raz, w pociągu, kiedy próbowali znaleźć drogę do jej domu.

Wieczorem, gdy krawcy szykowali się do wyjścia, udzieliła im pożegnalnej rady:

– Jeśli pani premier znowu zabierze was na wiec, to lepiej powiedzcie jej, że wasze posady są zagrożone. Dwóch innych krawców błaga mnie o pracę.

– Nie, nie – powiedział Ishvar. – Na pewno chcemy pracować u pani. Bardzo nam się tu podoba.

Kiedy wyszli, Dina usiadła samotnie w tylnym pokoju. Zdawało się, że przestrzeń nadal wibruje od singerów. Wkrótce zalegnie wieczorna ponurość, skazi wypełnione drobinami włókien powietrze, osiadzie na jej łóżku i aż do świtu pograży ją w przygnębieniu.

Lecz choć zapadał zmierzch i zapalały się latarnie, pogoda ducha Diny nie opuszczała. Jak czary, pomyślała. Tak działa obecność drugiego człowieka w domu. Powróciła do frontowego pokoju, by przeprowadzić z Maneckiem krótką, zaplanowaną rozmowę.

Królowa atakuje skoczka – pomyślał.

– Sam widzisz, dlaczego muszę ich traktować surowo – powiedziała. – Gdyby wiedzieli, że mam nóż na gardle, weszliby mi na głowę.

– Tak, rozumiem. A tak swoją drogą, to czy gra ciocia w szachy?

– Nie. I powiem ci od razu: nie podoba mi się, że tyle z nimi rozmawiasz. To są moi pracownicy, a ty jesteś synem Aban Kohlah. Trzeba zachowywać dystans. Z tego całego bratania się nic dobrego nie wyniknie.

Następnego popołudnia było o wiele gorzej. Nie mogła uwierzyć własnym uszom. Ależ tupet ma ten Omprakash – zapytał Manecka bez ogródek: „Chcesz iść z nami na herbatę?”. I, co gorsza, Maneckowi aż się oczy zaświeciły, tak bardzo chciał się zgodzić. Pora się wtrącić, uznała.

– On ma tu swoją herbatę. U mnie. – Jej głos brzmiał lodowato.

– Tak, ale może... może dziś wyjątkowo mógłbym pójść, dobrze, ciociu?

Odpowiedziała, że jeśli chce marnować pieniądze, które jego rodzice wydają na jego wikt i pokój, to ona nie ma nic przeciwko temu.

•

W Vishram Vegetarian Hotel w powietrzu było gęsto od bujnych zapachów kuchennych. Maneck czuł, że starczy wysunąć język, by zapoznać się

z jadłospisem. W brzuchu zaburczało mu łakomie.

Zasiedli przy samotnym stoliku i zamówili trzy herbaty. Plamy z niezliczonych pikantnych potraw pokryły drewno lakierem o przenikliwej woni. Ishvar wyjął paczkę biri i podsunął Maneckowi.

– Dzięki, nie palę.

Krawcy zapalili.

– Ona nie pozwala nam palić, jak siedzimy przy maszynach – poskarżył się Om. – A teraz, jak jej łóżko tam stoi, to pokój jest całkiem zawałony. Jak jakaś obskurna szopa.

– I co z tego? – powiedział Ishvar – Przecież nie musisz po nim biegać i łapać kóz.

W rogu pomieszczenia, otoczony kręgiem naczyń, uwijał się kucharz. Widzieli, jak ich herbata leciutko bulgocze w otwartym czajniku. Tłusty dym wzbijał się pod sufit z trzech ryczących kuchenek naftowych. Płomienie lizały czarne denko dużego karai^[131] z wrzącym olejem, który bulgotał niebezpiecznie, gotów do smażenia. Kropla potu skapnęła z błyszczącego czoła kucharza do oleju i zaskwierczała złowrogo.

– Podoba ci się twój pokój? – spytał Ishvar.

– O tak. Dużo lepszy niż w akademiku.

– My też znaleźliśmy lokum – powiedział Om. – Najpierw uważałem, że jest okropne, ale teraz jest w porządku. Mamy paru sympatycznych sąsiadów.

– Musisz kiedyś wpaść z wizytą – dorzucił Ishvar.

– Pewnie. Daleko to?

– Nie bardzo. Pociągiem jakieś czterdzieści pięć minut.

Herbata wylądowała na stole z plaśnięciem. Kubeczki stały na małych spodkach w brązowych kałużach. Ishvar wysiorbał płyn ze spodka. Om przelał swoją kałużę z powrotem do kubeczka i upił łyk. Maneck poszedł za jego przykładem.

– A w college’u jak?

Maneck skrzywił się.

– Beznadzieja. Ale jakoś muszę przez to przejść, żeby rodzice byli zadowoleni. A potem wrócę do domu pierwszym pociągiem.

– My też wracamy, jak tylko uzbieramy trochę pieniędzy – powiedział Ishvar, kaszląc i odkrztuszając flegmę. – Żeby znaleźć żonę dla Oma – co, bratanku?

– Nie chcę się żenić – łypnął tamten. – Ile razy mam ci mówić.

– Patrzcie na tę limonową gębę. Dobra, kończ herbatę, pora się zbierać.

Ishvar wstał do wyjścia. Chłopcy przełknęli ostatnie łyki i zwawo wyszli za nim z małej herbaciarni. Szybkim krokiem ruszyli z powrotem do mieszkania Diny, mijając po drodze żebraka na platformie z kólkami.

– Pamiętasz go? – spytał Om Manecka. – Widzieliśmy go pierwszego dnia. Teraz to nasz znajomy. Mijamy go co dnia, a on do nas macha.

– O babu! – zaśpiewał żebrak. – Are babu! O big pajsawala babu!^[132]

Uśmiechnął się do całej trójki, potrząsając puszką na jałmużnę. Maneck z brzękiem wrzucił do niej resztę z Vishrama.

•

– Co to za zapach? – Dina nachyliła się ze złością, by obwąchać koszulę Manecka. – Palileś z tymi dwoma?

– Nie – szepnął, zawstydzony, że krawcy posłyszają go z tylnego pokoju.

– Tylko nie kłam. Zastępuję tu twoich rodziców.

– Nie, ciociu! Oni palili, ja siedziałem obok, i to wszystko.

– Ostrzegam: jeśli cię kiedyś przyłapię, to zaraz piszę do twojej mamy. A teraz powiedz, mówili coś jeszcze o tym, co wczoraj? Dlaczego naprawdę nie przyszli?

– Nie.

– To o czym rozmawialiście?

Nie podobało mu się to przesłuchanie.

– O niczym takim. O tym i owym.

Dina zrezygnowała z dalszych pytań, urażona jego opryskliwymi odpowiedziami.

– I jeszcze jedno. Warto, żebyś wiedział. Omprakash ma wszy.

– Naprawdę? – zaciekawił się. – Widziała ciocia?

– A czy pakuję rękę w ogień, żeby sprawdzić, czy jest gorący? Cały dzień się drapie. I to nie tylko w głowę. Ma problemy na obu biegunach, robaki na jednym, wszy na drugim. Więc lepiej posłuchaj mojej rady i trzymaj się z dala od niego, jeśli wiesz, co dla ciebie dobre. Jego stryjowi nic nie grozi, jest prawie łysy, ale ty masz ładną, gęstą czuprynę. Wszy będą zachwycone.

•

Rada Diny nie znalazła posłuchu. Dnie zmieniały się w tygodnie, a popołudniowa przerwa w Vishram Vegetarian Hotel stała się stałym punktem programu dla całej trójki. Pewnego razu, gdy Maneck spóźnił się z powrotem ze szkoły, Om szepnął Ishvarowi, że powinni na niego poczekać.

– O rety! – powiedziała Dina, która go posłyszała. – Później iść na herbatę? Dobrze się czujesz? Na pewno wytrzymasz tak długo?

Ishvara zastanawiało, dlaczego ich wspólne wyjścia tak bardzo drażnią panią Dinę. Gdy Maneck wreszcie wrócił i Om zerwał się z za swojego singera, postanowił zostać.

– Idźcie, chłopcy. Ja dokończę tę spódnice.

Dina zaczęła rozplýwać się w pochwałach.

– Słuchaj swojego stryja i bierz z niego przykład – powiedziała do Oma, gdy wychodzili. Przełała herbatę Manecka do odstawionej na bok różowej filiżanki i przyniosła ją Ishvarowi. – Równie dobrze ty możesz ją wypić.

Podziękował jej za kłopot. Upił łyk i zagaił, że Maneck i Om dobrze się dogadują, lubią spędzać czas razem.

– Są w tym samym wieku. Om pewno ma powyżej uszu ciągłego towarzystwa starego stryja. Dzień i noc jesteśmy razem.

– Bzdura.

Zdaniem Diny, gdyby nie mitygująca obecność stryja, Om by się stoczył.

– Mam tylko nadzieję, że nie ma złego wpływu na Manecka.

– Nie, nie, proszę się nie martwić. To nie jest zły chłopak. Jeżeli czasami bywa nieposłuszny albo zły, to tylko dlatego, że jest rozgoryczony i nieszczęśliwy. Miał bardzo smutne życie.

– Moje życie też nie było łatwe. Ale musimy się starać jak najlepiej wykorzystać to, co mamy.

– Inaczej się nie da – przytaknął Ishvar.

Od tego dnia coraz częściej zostawał w mieszkaniu, a Dina nadal parzyła herbatę dla Manecka, lecz nalewała ją do jego filiżanki. Gawędzili o różnych, krawieckich i niekrawieckich sprawach. Dina zawsze wyczekiwała na jego półuśmiech wdzięczności, gdy część twarzy rozpromieniała mu się nad różyczkami przy krawędzi spodeczka, a zastygnięta połowa z wysiłkiem próbowała za nią nadażyć.

– Om coraz lepiej szyje, prawda, Dina-bai?

– Robi mniej błędów.

– Tak, tak. Jest dużo weselszy, odkąd jest tu Maneck.

– Za to ja się martwię o Manecka. Mam nadzieję, że uczy się jak należy, jego rodzice na to liczą. Prowadzą mały sklep i nie wiedzie im się za dobrze.

– Każdy ma kłopoty. Proszę się nie martwić, pomówię z nim i przypomnę mu, że ma ciężko pracować. Ciężka praca, właśnie tak. Tego tym młokosom potrzeba.

Ishvar zauważył, że przerwy na herbatę już nie irytują pani Diny. Potwierdziło się jego przypuszczenie, że ich pracodawczyni tęskni za towarzystwem.

•

Gdy chłopcy byli sami, ich rozmowy w nieunikniony sposób schodziły na inne tory. Om interesował się akademikiem, z którego wyprowadził się Maneck.

– Mieszkały tam jakieś studentki?

– A myślisz, że bym się wtedy wyprowadził? Mają osobny akademik. Chłopaki nie mogą tam wchodzić.

Siedząc w Vishramie, widzieli po drugiej stronie ulicy zwisającą z dachu planszę z reklamą filmu *Rani z rewolwerem*. Afisz był dyptykiem. Lewe skrzydło ukazywało czterech mężczyzn zdzierających odzież z jakiejś kobiety. Widać było ogromny biust zakryty stanikiem, podczas gdy usta mężczyzn, rozchylone w lubieżnym rechocie, odsłaniały drapieżne zęby i jaskrawoczerwone języki. Na drugim skrzydle przedstawiono tę samą kobietę. Ubranie miała w strzępach i kosiła czterech mężczyzn serią z broni maszynowej.

– Dlaczego to się nazywa *Rani z rewolwerem*? – spytał Om. – Przecież ona ma karabin maszynowy.

– Mogliby go nazwać *Maharani z maszynową*, ale to nie brzmi tak dobrze.

– Fajnie byłoby obejrzeć.

– To chodźmy w przyszłym tygodniu.

– Nie mam pieniędzy. Stryj mówi, że musimy oszczędzać.

– Nie szkodzi. Ja funduję.

Om zaciągnął się swoim biri i popatrzył uważnie na Manecka, usiłując odgadnąć, czy mówi poważnie.

– Nie, nie mogę się na to zgodzić.

– Daj spokój. Nie ma problemu.

– Spytam stryja. – Jego biri zgasł i Om sięgnął po zapalniczki. – Wiesz, jest taka jedna dziewczyna, mieszka koło naszego domu. Ma takie same piersi.

– Niemożliwe.

Na tak kategorycznie wyrażony sprzeciw Om jeszcze raz przestudiował afisz.

– Może masz rację – ustąpił. – Aż takie duże to nie są. Zawsze je malują gigantyczne. Ale tamta też ma solidne melony i mają ten sam piękny kształt jak na plakacie. Czasem mi daje pomacać.

– Daj spokój, brachu, nie urodziłem się wczoraj.

– Słowo daję. Ma na imię Shanti. Rozpina bluzkę i pozwala mi je do woli miętosić – powiedział, puszczając wodze wyobraźni. Widząc, jak Maneck śmieje się i klepie po kolanie, zapytał niewinnie: – Znaczy się ty nigdy tego nie robiłeś z dziewczyną?

– Oczywiście, że tak – odparł Maneck pośpiesznie. – Ale przecież mówiłeś, że mieszkacie ze stryjem w małym domku. To kiedy niby masz okazję?

– Prosta sprawa. Obok osiedla jest rów, a za nim krzaki. Chodzimy tam po zmroku. Ale tylko na parę minut. Jak znika na dłużej, to zaraz ktoś idzie jej szukać. – Rozmarzony ćmił biri, zmyślając ekspedycje na teren włosów i kończyn Shanti oraz skomplikowane wyprawy po zakamarkach jej spódnicy i bluzki.

– Dobrze się składa, że jesteś krawcem – zauważył Maneck. – Każde ubranie znasz na wylot.

Ale Om ciągnął dalej niezrażony i zatrzymał się dopiero na krok przed

finałowym szturmem.

– Raz leżałem na niej i prawie to zrobiliśmy. A potem coś zaszurało w krzakach i ona się wystraszyła. – Opróżnił spodek i nalał sobie więcej z kubeczka. – A ty jak? Robiłeś to kiedyś?

– Prawie. W pociągu.

Teraz roześmiał się Om.

– Jesteś mistrzem świata w blagologii, to na pewno. W pociągu!

– Kiedy naprawdę. Parę miesięcy temu, kiedy jechałem z domu na studia. – Pobudzona fantazjami Oma inwencja Manecka ruszyła z kopyta. – Na górnej kuszetce naprzeciwko mnie jechała taka kobieta. Bardzo piękna.

– Piękniejsza niż Dina-bai?

Maneck przerwał. Musiał się chwilę zastanowić.

– Nie – powiedział lojalnie. – Ale od chwili, kiedy wsiadła do pociągu, ciągle się na mnie gapiała i uśmiechała się, jak nikt nie patrzył. Kłopot był taki, że razem z nią jechał jej ojciec. Wreszcie przyszła noc i ludzie położyli się spać. Ona i ja nie. Kiedy wszyscy posnęli, łącznie z jej ojcem, ona odsunęła prześcieradło i wyjęła jedną pierś spod bluzki.

– I co dalej? – zapytał Om, ochoczo delektując się zmyślonymi owocami.

– Zaczęła ją masować i dała mi znak, żebym do niej przyszedł. Bałem się zejść z mojej kuszetki. Ale potem ona wsunęła sobie rękę między nogi i zaczęła pocierać. To postanowiłem, że do niej idę.

– Wiadomo. Tylko głupi by nie poszedł – Om westchnął głęboko.

– Zszedłem nie budząc nikogo i za chwilę głaskałem ją po piersi. Złapała mnie za rękę i błagała, żebym do niej wszedł. Zastanawiałem się, jak najlepiej to zrobić. Nie chciałem potraścić kuszetki jej ojca, który spał niżej. Nagle ktoś się poruszył. To był on – przewrócił się z boku na bok i stęknął. Ona tak się przestraszyła, że mnie odepchnęła i zaczęła głośno chrapać. Ja udawałem, że właśnie schodzę do łazienki.

– Ech, żeby ten sukinsyn się nie obudził.

– No wiem. Szkoda. Już nigdy jej nie spotkam – nagle Maneck poczuł gorycz opuszczenia, jakby utrata była prawdziwa. – Masz farta, że Shanti mieszka blisko ciebie.

– Możesz ją zobaczyć któregoś dnia – oznajmił wspaniałomyślnie Om. – Jak odwiedzisz mnie i Ishvara. Ale nie będziesz mógł z nią porozmawiać, tylko popatrzysz sobie z daleka. Jest bardzo nieśmiała i, tak jak mówię, spotyka się ze mną potajemnie.

Przełknęli herbatę i pędem ruszyli do domu, ponieważ zasiedzieli się zbyt długo.

•

Batata wada, bhel puri, pakora, bhadźija^[133], sorbet – Maneck zapłacił za całe jedzenie i picie w Vishramie, ponieważ Om dostawał od Ishvara pieniądze na jeden kubeczek herbaty. Kieszonkowe, które Maneck otrzymywał od rodziców, wystarczyło na te smakołyki, bowiem nie musiał już nic wydawać na uzupełnianie posiłków ze stołówki. Tydzień później dotrzymał słowa i, gdy Om skończył partię szycia przewidzianą na ten dzień, zabrał go na *Rani z rewolwerem*. zaproponował, że kupi też bilet dla Ishvara, ale ten odmówił, stwierdzając, że lepiej spożytkuje ten czas, jeśli dokończy jeszcze jedną sukienkę.

– A ciocia? Chce ciocia z nami pójść?

– Nie poszłabym na taką szmirę, nawet gdybyś mi płacił – odrzekła Dina. – A jak ci pieniądze za bardzo ciężą w kieszeni, to daj mi znać. Mogę powiedzieć twojej mamie, żeby przestała przysyłać.

– Święte słowa – wtrącił Ishvar. – Wy, młodzi, nie potraficie uszanować pieniędzy.

Niezrażeni naganą chłopcy ruszyli do kina. Dina upomniała Manecka, by po filmie zaraz wracał do domu; kolacja będzie na niego czekać. Zgodził się, w duchu utyskując, że ciocia Dina zbyt poważnie traktuje rolę samozwańczej opiekunki.

– Przepowiednia staruchy się spełniła – powiedział Om, gdy szli w stronę stacji. – A w każdym razie w połowie. Małpiarz wreszcie się zemścił.

– Co zrobił?

– Coś strasznego. To było ostatniej nocy.

Tikka z powrotem zamieszkał z małpiarzem i sąsiedzi uznali, że człowiek i pies znów są przyjaciółmi. Ale gdy osiedle ułożyło się do snu, małpiarz postawił przed swoim barakiem drewnianą skrzynkę, przyozdobił ją kwiatami i zapalił lampką olejową. Po środku ustawił fotografię Lajli i Madźnuna jadących na grzbiecie Tikki, polaroidowe zdjęcie wykonane dawno temu przez amerykańskiego turystę urzeczonyego ich występem. Ołtarz był gotów. Małpiarz doprowadził przedzeń Tikkę, zmusił go, by się położył, i poderżnął mu gardło. Później ruszył na obchód, by oznajmić sąsiadom, że spełnił swój obowiązek.

– To było potworne – powiedział Om. – Przyszliśmy tam i zobaczyliśmy biednego Tikkę w kałuży krwi. Jeszcze podrygiwał troszeczkę. Prawie wymiotowałem.

– Gdyby mój ojciec tam był, to by zabił małpiarza – odrzekł Maneck.

– Chwalisz się czy narzekasz?

– Chyba jedno i drugie. – Kopnięciem strącił kamyk z chodnika na jezdnię. – Dla mojego ojca bezpański pies jest ważniejszy niż jego własny syn.

– Nie gadaj bzdur, brachu.

– Dlaczego bzdur? Codziennie karmi psy na ganku. Ale mnie odesłał z domu.

Przez cały czas, jak tam byłem, kłócił się ze mną, nie chciał mnie widzieć.

– Nie gadaj bzdur, ojciec przysłał cię tu na studia, bo troszczy się o twoją przyszłość.

– Taki z ciebie ekspert od ojców?

– Tak.

– A to niby skąd?

– Bo mój ojciec nie żyje. W ten sposób człowiek szybko zostaje ekspertem. Wierz mi – przestań wygadywać bzdury o swoim ojcu.

– Dobra, mój ojciec jest świętym. Ale co się stało z małpiarzem?

– Ludzie z osiedla wpadli w złość. Mówili, że trzeba powiadomić policję, bo odkąd małpy zginęły, małpiarz mieszka z dwójką małych dzieci. Mają tak ze trzy, cztery lata. To syn i córka jego siostry, szkoli ich do nowego numeru. Gdyby zwariował, to mógłby być niebezpieczny dla maluchów. Ale inni powiedzieli, że nie ma sensu oddawać szaleńca pod nadzór kanciarzy. Zresztą małpiarz kocha te dzieci. Bardzo dobrze się nimi opiekuje.

Wysiedli z pociągu, przeciskając się przez tłum czekający, by wejść do wagonu. Przed wejściem na peron siedziała na słońcu kobieta, a obok niej stał koszyk z warzywami. Suszyła etapami świeżo uprane sari. Mokry koniec, na tyle, na ile go starczyło, spowijał jej talię i wysuszone piersi. Schnąca połówka, która wisiała na płocie odgradzającym tory, ulatywała z niej w wieczornym słońcu niczym modlitwa. Kiedy przechodzili koło niej, zamachała do Oma.

– Mieszka na naszym osiedlu – powiedział, przeciskając się między autami, by przejść do kina, na drugą stronę ulicy. – Sprzedaje warzywa. Ma tylko jedno sari.

Rani z rewolwerem skończyła się później, niż przewidywali. Na ekranie leciały napisy końcowe, a oni przesuwali się z wolna wzdłuż rzędów, zwlekając, by jeszcze raz wysłuchać głównego motywu muzycznego. Później na ekranie pojawiła się łopocząca flaga narodowa, zabrzmiała melodia *Džana gana mana*^[134] i publiczność ruszyła szybko do wyjścia.

Tu jednak czekała na nią przeszkoda. Drogę zagroził im szwadron ochotników z Shiv Sena^[135], którzy pilnowali drzwi. Stojący z tyłu, nie wiedząc, skąd wziął się korek, zaczęli nawoływać.

– Proszę przechodzić! Are bhai, proszę przechodzić! Panie kochany, do przodu! Film się skończył!

Tłum na przedzie nie mógł jednak iść dalej, zastraszone przez bojówkarzy wymachujących pałkami i różnymi tabliczkami: Uszanuj hymn narodowy! Ojczyzna potrzebuje cię podczas stanu wyjątkowego! Patriotyzm jest świetnym obowiązkiem! Nikomu nie pozwolono wyjść, dopóki flaga nie zniknęła z ekranu i nie zapaliły się światła.

– Dlaczego patriotyzm jest świetnym obowiązkiem? – zaśmiał się Om. – Wcale

nie wyglądają, jakby się świetnie bawili.

– Ci idioci nie potrafią nawet napisać „święty”, a mówią nam, co mamy robić – odpowiedział Maneck.

Om zauważył, że demonstrantów było łącznie około pięćdziesięciu, gdy tymczasem widownia liczyła ponad osiemset osób.

– Spokojnie dalibyśmy im radę. Diszum! Diszum!^[136] Jak ten gość w filmie – powiedział, składając zaciśnięte pięści w gardę na wysokości piersi.

W doskonałych nastrojach zaczęli powtarzać co efektowniejsze teksty, które zapamiętali z *Rani z rewolwerem*.

– Krew może być zmyta jedynie krwią – warknął Maneck, wykonując zamaszysty szermierczy gest.

– Stojąc tu, na tej ziemi, biorę niebo na świadka i przysięgam, że nie obejrysz następnego świtu! – oświadczył Om.

– To dlatego, że późno wstaję, brachu – odpowiedział Maneck. Nagłe odejście od scenariusza sprawiło, że Om poniechał uroczystej pozy i zarżał ze śmiechu.

Kobieta z koszem warzyw nadal siedziała przed stacją. Wyszuszonej wcześniej połowa sari owijała jej ciało, podczas gdy druga, mokra, schła na płocie. Kosz był prawie pusty.

– Pora iść do domu, ammo^[137] – powiedział Om, a ona się uśmiechnęła.

Na peronie postanowili wypróbować maszynę, na której widniał napis „Waga i los, 25P”. Maneck stanął pierwszy. Czerwono-białe koło zakreśliło się, błysnęły żarówki, zadźwięczał dzwonek i mały, kwadratowy kartonik wysunął się do rynienki.

– Sześćdziesiąt jeden kilo – oznajmił Maneck i odczytał przepowiednię na rewersie. – „W nieodległej przyszłości czeka cię szczęśliwe połączenie ze znaną ci osobą”. To by się zgadzało: jak rok akademicki się skończy, pojedę do domu.

– Albo chodzi o to, że znowu spotkasz tę kobietę z pociągu. Będiesz mógł dokończyć masaż jej piersi. Daj, teraz ja.

Wszedł na wagę, a Maneck wyluskał z kieszeni następną monetę dwudziestopięciopajową.

– Czterdzieści sześć kilo – powiedział Om i obrócił karteczkę. – „Wkrótce zwiedzisz wiele nowych, fascynujących miejsc”. Bez sensu. Wrócimy do wioski, to nie jest nowe miejsce.

– Pewnie chodzi o nowe miejsca w bluzce i spódnicy Shanti.

Om przyjął stosowną pozę i uniośł dłoń, wracając do dialogu filmowego.

– Nie spocznię, póki te palce nie zacisną się wokół twojej szyi, wyciskając z ciebie twój nieszczęsny żywot!

– Póki ważysz czterdzieści sześć kilo, to kiepsko to widzę – odparł Maneck. – Lepiej najpierw poćwicz na kurczakach.

Pociąg wjechał na stację. Odsunęli się od kasy biletowej i podbiegli, żeby wsiąść.

– Te kartoniki od wagi wyglądają zupełnie jak bilety – zauważył Om.

– Mogłem zaoszczędzić i nie płacić za przejazd – powiedział Maneck.

– Nie, za duże ryzyko. Przez ten stan wyjątkowy zrobili się bardzo surowi. – Opisał, jak razem z Ishvarem wpadli podczas łapanki na gapowiczów.

Godziny szczytu już minęły i w wagonie było sporo wolnych miejsc. Wyciągnęli nogi na puste siedzenia. Maneck rozwiązał i ściągnął buty, rozprostował palce u stóp.

– Dużo się dzisiaj nachodziliśmy.

– Nie powinieneś nosić takich ciasnych butów, brachu. Moje sandały są dużo wygodniejsze.

– Rodzicom bardzo by się to nie spodobało, gdybym chodził w sandałach.

Wymasował sobie palce i podeszwy, po czym podciągnął skarpetki i włożył z powrotem buty.

– W domu było tak, że masowałem ojcu stopy – powiedział Om. – A on masował stopy mojemu dziadkowi.

– Musiałeś to robić codziennie?

– Nie musiałem, ale taki był zwyczaj. Wieczorami siadaliśmy na zewnątrz, na plecionym łóżku. Wiał lekki, chłodny wiatr. Ptaki śpiewały na drzewach. Lubilem to robić. Ojcu sprawiało to wielką przyjemność. – Om i Maneck kiwali się lekko na swych siedzeniach w rytmie pociągu. – Pod paluchem prawej stopy miał taki duży nagniotek od pedału w maszynie do szycia. Jak byłem mały, to kręcił paluchem, a ja się śmiałem: nagniotek wyglądał jak ludzka twarz.

Przez resztę drogi Om nie odzywał się, tylko wyglądał w zamyśleniu przez okno. Maneck próbował rozerwać go, naśladując postaci z *Rani z rewolwerem*, ale w zamian otrzymał tylko słaby uśmiech, więc sam także zapadł w milczenie.

•

– Szkoda, że nie poszedłeś z nami – powiedział Maneck. – Śmiesznie było. Fantastyczne bijatyki.

– Dziękuję, dość się w życiu napatrzyłem na bijatyki – odrzekł Ishvar. – Ale kiedy przyjdiesz do nas z wizytą? – Uważał, że pieniądze, które Maneck wydaje na Oma, zanadto ich zobowiązują i przyszła pora, by odwzajemnić się choć odrobinę. – Musisz niedługo zjeść z nami kolację.

– Pewnie, kiedy tylko chcecie – odpowiedział Maneck, nie chcąc się umawiać, by nie denerwować cioci Diny – wyjdziem do kina wystarczająco się naraził.

Całe szczęście Ishvar nie nalegał, by od razu ustalić konkretną datę. Przykrył swojego singera i razem z Omem wyszedł z mieszkania.

– Mam nadzieję, że dobrze się bawiłeś – powiedziała Dina. – Poszedłeś z nim wbrew mojej woli i na przekór temu, co ci o nim mówiłam.

– To tylko jeden seans ciociu. Om pierwszy raz był w takim dużym kinie. Był bardzo podekscytowany.

– Mam nadzieję, że jutro będzie w stanie szyć, a ty dasz radę się uczyć. Te filmy o bójkach i zabijaniu tylko szkodzą na mózg. Kiedyś kino było takie miłe. Trochę tańca i śpiewu, trochę żartów albo jakiś romans. A nie to co teraz, tylko noże i pistolety.

Nazajutrz, jak gdyby na potwierdzenie teorii Diny, Om zszyl stanik sukienki o rozmiarze siedem ze spódnicą o rozmiarze jedenaście, a nadmiar materiału upchnął w marszczeniu. Błąd ten, który powtórzył się jeszcze w trzech kompletach, wyszedł na jaw dopiero po południu.

– Odłóż resztę i najpierw to napraw – powiedziała Dina, ale on ją zignorował.

– W porządku, Dina-bai – rzekł Ishvar. – Ja to spruję i pozszywam z powrotem.

– Nie, to on naknocił i on powinien poprawić.

– Sama niech pani poprawia – łypnął Om, skrobiąc się w ciemność. – Głowa mnie boli. Pani mi dała złe części, więc to pani wina.

– Posłuchajcie go tylko! Bezcelne kłamstwo! I zabieraj te paluchy od swoich włosów, zanim zatłuszcisz materiał. Przez cały dzień tylko się drapie i drapie!

Spór trwał nadal, kiedy Maneck wrócił z college’u. Krawcy nie zrobili sobie przerwy na herbatę. Poszedł do pokoju i zamknął drzwi, pragnąc, by przestali się kłócić. Przez resztę popołudnia sprzeczka sączyła się przez szparę nad progiem, przepełniając wszystko bólem.

O szóstej Dina zapukała i poprosiła, by do niej dołączył.

– Poszli sobie. Potrzebuję towarzystwa kogoś normalnego.

– Dlaczego się z nimi kłóciłaś, ciociu?

– Ja się kłóciłam!? Jak śmiesz!? Znasz całą sprawę? Wiesz, kto się kłócił?

– Przepraszam, ciociu. Chodziło mi o powód kłótni.

– Taki jak zawsze. Błędy i niechlujna praca. Ale dzięki Bogu za Ishvara. Nie wiem, co bym bez niego zrobiła. Jeden anioł i jeden diabeł. Kłopot w tym, że jak anioł przestaje z diabłem, to żadnemu nie można ufać.

– Może Om tak się zachowuje, bo coś go drażni. Może to dlatego, że ciocia ich zamyka, kiedy ciocia wychodzi.

– Ach, więc mówił ci o tym? A powiedział, dlaczego tak robię?

– Że to przez kamienicznika. Ale on myśli, że to tylko wymówka. Mówi, że przez ciocię czują się jak przestępcy.

– To przez swoje nieczyste sumienie tak się czuje. Kamienicznik naprawdę jest niebezpieczny i ty też o tym pamiętaj. Nie daj się nabrać na słodki uśmiech poborcy czynszu i do niczego się nie przyznawaj. Zawsze udawaj, że jesteś moim

bratankiem. – Zabrała się do sprzątanego pokoju, zbierając ścinki i upychając je do dolnej szuflady. – Ten Ibrahim potrafi prześwietlić całe mieszkanie, stojąc w drzwiach wejściowych, tak mu oczy latają w kółko. Szybciej niż Busterowi Keatonowi. Ale ty jesteś za młody, żeby znać Bustera Keatona.

– Słyszałem, jak mama o nim wspominała. Mówiła, że jest śmieszniejszy niż Laurel i Hardy.

– Mniejsza o to, jest jeszcze drugi powód. Jak nie będę zamykać krawców, to mnie wygryzą z interesu. Wiesz, że Om próbował pójść za mną do firmy eksportowej? Mówił ci o tym? Nie, oczywiście, że nie. Moja mała prowizja jest im solą w oku. A ja i tak ledwo wiązę koniec z końcem.

– Czy mam powiedzieć mamie, żeby przysyłała więcej pieniędzy? Za mój pokój i jedzenie?

– W żadnym razie! Liczę uczciwą cenę, a ona ją płaci. Myślisz, że mówiłam o tym, bo chcę jałmużny?

– Nie, myślałem tylko...

– Moje problemy to nie są rany żebraka! Tylko żebrak zdiera z siebie ubranie, żeby poruszyć człowieka swoim kalectwem. Nie, mój panie, mówię to, żeby lepiej zrozumiał pan swojego ukochanego Omprakasha Darjiego.

•

Przy okazji kolejnej wyprawy do Au Revoir Express Dina postanowiła kontynuować wtajemniczenie Manecka w swoje sprawy.

– Posłuchaj, tym razem nie zamykam drzwi na kłódkę. Ty jesteś w domu, więc zostawiam ci pieczę nad wszystkim. – Była pewna, że poczucie odpowiedzialności przeciągnie go na jej stronę; poza tym Om nie będzie próbował wyciąć po raz drugi numeru z rowerem.

Kiedy Dina wyszła, Ishvar szył nadal, ponieważ w obecności Manecka krępował się zażyć wypoczynku na sofie, tak jak to miał w zwyczaju. Za to Om przerwał natychmiast i wymknął się do frontowego pokoju.

– Dwie godziny wolności – oznajmił, przeciągając się i opadając na sofę obok Manecka.

Zapalił biri i zaczęli przeglądać stare czasopisma Diny poświęcone robótkom na drutach. Ich strony zdobiły modelki ubrane w swetry o najróżniejszych fasonach. Z kartek o pozaginanych brzegach bił ku nim oszałamiający blask ponętnych czerwonych ust, mlecznobiałej skóry i ekstrawaganckich fryzur.

– Popatrz na te dwie – powiedział Om, wskazując blondynkę i rudą. – Myślisz, że włosy między nogami mają w tych samych kolorach?

– Może napiszesz do redakcji i zapytasz? „Szanowna Redakcjo! Pragniemy zwrócić się z pytaniem o kolor włosów na cipach modelek w Państwa periodyku,

a ściślej o to, czy kolor ten jest tożsamy z kolorem włosów na ich głowach. Wspomniane modelki występują na stronie czterdziestej siódmej w numerze z (zamknął pismo, by spojrzeć na okładkę) lipca 1961 roku”. Zapomnij, brachu, to było czternaście lat temu. Jakie by nie były wtedy, dzisiaj są siwe albo białe.

– Muszę spytać Rajarama, zbieracza włosów – powiedział Om. – On jest specjalistą.

Chłopcy odłożyli pisma o robótkach na miejsce i udali się do pokoju Manecka. Przez chwilę zabawiali się parasolem w kształcie pagody, po czym zabrali się do eksplorowania kuchni, gdzie nawoływali koty, lecz one ani myślały podejść do okna, gdyż nie była to pora kolacji. Om chciał oblać je wodą, żeby pizzczały, ale Maneck mu nie pozwolił.

W tylnym pokoju obejrzel kolekcję skrawków tkaniny, zacyzn przyszłej kapy.

– Nie grzebiecie w rzeczach pani Diny – upomniał ich Ishvar, zerkając znad maszyny.

– Popatrzcie tylko na ten materiał – powiedział Om. – Nie tylko nas okrada, bo nie płaci nam, jak należy. Tamtą firmę też robi w konia.

– Głupoty wygadujesz, Omprakash – skarcił go stryj. – To są nikomu niepotrzebne ścinki, a ona wykorzystuje je do czegoś pożytecznego. No już, wracaj do maszyny i przestań marnować czas.

Om odłożył załączki narzuty i wskazał na kufer stojący w rogu na koziołkach. Maneck powitał zuchwałą propozycję uniesieniem brwi. Otworzyli skrzynię i znaleźli zapas domowej roboty podpasek.

– Wiesz do czego to? – wyszeptał Om.

– Małe poduszcзки – odpowiedział Maneck, szczerząc zęby w szerokim uśmiechu i biorąc do ręki kilka sztuk. – Małe poduszcзки dla małych ludzików.

– Mój ludzik chce położyć główkę na poduszczce – Om wsunął sobie jedną podpaszkę między nogi.

– Zostawcie w spokoju ten kufer! – denerwował się Ishvar.

– Dobra, dobra. – Zabrali garść podpasek do pokoju frontowego i dalej błąznawali.

– Co to jest? – spytał Maneck, trzymając dwie podpaski nad głową.

– Rogi?

– Nie – zastrzygł nimi. – Ośle uszy.

Om przytrzymał jedną za plecami.

– Króliczy ogon.

Przyłożyli je sobie do krocza jak fallusy i drobili po pokoju, wykonując zamaszyste gesty masturbacyjne. Supeł na końcu podpaski Manecka rozwiązał się, wyściółka wypadła, a pusta poszewka sflaczała mu w dłoni.

– Proszę, proszę! – zaśmiał się Om. – Twój kutas uciał sobie drzemkę, brachu!

Maneck wziął nową, sztywną podpaszkę i zdzielił nią Oma. Wywiązał się pojedynek, ale broń szybko ulegała rozpadowi i ścinki tkaniny rozleciały się po pokoju. Wzięli następne i runęli na siebie galopem jak rycerze na rumakach, a lance do higieny intymnej sterczały im z rozporków.

– Tan-tanna tan-tanna tan-tanna – zatrąbili i ruszyli do ataku. Później cofnęli się do narożników i poprawili podpaski przytwierdzone w kroczu, a Om stanął dęba i zarżał jak wierzchowiec niecierpliwie gryzący wędzidło.

Właśnie przymierzali się do następnej szarży, gdy Dina otworzyła drzwi i weszła do pokoju od strony werandy. Fanfary zamarły w pół tonu. Dina dotarła do sofy i stanęła jak wryta. Widok odebrał jej mowę: na podłodze wały się kawałki jej starannie przygotowanych podpasek, a dwaj chłopcy stali z wyrazem winy na twarzy, ściskając zawstydzające zabawki.

Opuścili ręce i próbowali schować podpaski za plecami, lecz uświadomili sobie, że gest ten jest równie daremny, co głupi. Opuścili głowy.

– Bezwstydne chłopaczyska! – zdołała wyjąkać Dina. – Bezwstydne chłopaczyska!

Pobiegła do pokoju od podwórza, gdzie Ishvar wciąż z mozołem obracał maszyną, w błogiej nieświadomości zajść, które dokonały się w sąsiednim pomieszczeniu.

– Przestań! – rozkazała drżącym głosem. – Chodź i zobacz, co ci dwaj wyprawiają!

Om i Maneck zdążyli odłożyć podpaski, ale Dina z powrotem wepchnęła każdemu po jednej do ręki.

– No dalej! – powiedziała. – Pokażcie mu, niech zobaczy, jak się bezwstydnie zabawiacie!

Ishvar nie musiał nic oglądać. Zrozumiał, że działo się tu coś paskudnego, tym bardziej, że Dina była tak wzburzona. Podszedł do Oma i uderzył go w twarz.

– Ciebie nie mogę spoliczkować – zwrócił się do Manecka – ale ktoś powinien. Dla twojego własnego dobra.

Poprowadził Oma do tylnego pokoju i pchnął go na stołek.

– Ani słowa więcej, ani teraz, ani później. Siedź cicho i pracuj, aż będzie pora iść.

•

Przy kolacji panowało milczenie; mówiły tylko noże i widelce. Dina szybko sprzątnęła ze stołu, po czym poszła do swojego pokoju i zamknęła drzwi na zasuwkę.

Jakbym był jakimś zboczeńcem, pomyślał Maneck z przygnębieniem. Czekał przez chwilę we frontowym pokoju, licząc, że wyjdzie, da mu szansę przeprosin.

Jego uszy wychwyciły dźwięk wysuwanej i zamykanej szuflady. Skrzywienie łóżka. Jakiś stukot, pewnie szczotki do włosów. Łomot odsuwanych na bok krawieckich stołków. Posłyszał odgłos wieka od skrzyni i twarz zapłonęła mu wstydem. Później jasna linia pod jej drzwiami zgasła i żalota otoczyła go ze wszystkich stron.

Czy napisze do jego rodziców, żeby się poskarżyć? Oczywiście zasłużył na to. Od prawie dwóch miesięcy gościła go u siebie i tak dobrze traktowała, a on postąpił tak ohydnie. Dzięki cioci Dinie po raz pierwszy od wyjazdu z domu czuł się błogo i bezpiecznie. Dzięki niej wyrwał się z akademika, który przyprawił go o chorobę, ten ucisk w piersiach, to mdlące uczucie każdego ranka.

Teraz to wszystko wróciło i to z jego własnej winy. Zgasił lampę obok sofy i powlókł się do swojego pokoju.

•

Ranek nie ukoił w Manecku wstydu poprzedniego wieczoru. Aby zbyt szybko o nim nie zapomniał, Dina przy śniadaniu z trzaskiem postawiła przed nim talerz z dwoma sadzonymi jajkami. Gdy nadeszła pora, by iść do college'u i Maneck zawołał „Do widzenia, ciociu”, ona nie wyszła, żeby mu pomachać. Przygnębiony zamknął drzwi pustej werandy, która rzucała mu oskarżycielskie spojrzenia.

Pierwsza nieśmiała oznaka przebaczenia pojawiła po kolacji. Tak jak zeszłego wieczoru, Dina nie przyniosła kapy na sofę, tylko wycofała się do tylnego pokoju; tym razem jednak drzwi pozostawiła uchylone.

Wyczekując z nadzieją we frontowym pokoju, Maneck dla zabicia czasu przysłuchiwał się sąsiadom. Ktoś miotał mściwe pogrózki – skierowane, jak uznał Maneck, do córki.

– Suko przekłeta! O której to godzinie się wraca? Zachowujesz się jak zdzira! Myślisz, że jak masz osiemnaście lat, to jesteś za stara na lanie? Ja ci pokażę! Jak mówimy, że masz wrócić do dziesiątej, to masz być o dziesiątej!

Maneck zerknął na zegarek: dziesiąta dwadzieścia. Ciocia Dina nadal nie wyszła. Światło też nie zgasło. O dziesiątej trzydzieści, kiedy zwykle kładli się spać, postanowił zajrzeć i powiedzieć dobranoc.

Miała na sobie koszulę nocną, stała tyłem do drzwi. Zmienił zamiar i próbował się wycofać, ale dostrzegła go przez szczelinę. „O Boże – wpadł w panikę – pomyśli sobie, że ją podglądałem”.

– Tak? – spytała ostro.

– Przepraszam ciociu, zajrzałem tylko, żeby powiedzieć ci dobranoc.

– Tak, dobranoc. – Chłód w jej obejściu nie minął.

Powtórzył znowu dobranoc i zaczął się wycofywać, potem przystanął. Odchrząknął.

– I jeszcze...

– I co jeszcze?

– I jeszcze chciałem przeprosić... za wczoraj...

– Nie stój tak na progu i nie mamrocz. Chodź tu i powiedz, co masz do powiedzenia.

Wszedł nieśmiało. Jej odsłonięte ramiona były prześliczne, a przez lekki batyst koszuli nocnej przeświecał kształt jej... ale nie ośmielił się zatrzymać wzroku. To przyjaciółka mamy, straszyla go niewzywana myśl, kiedy wygłaszał przeprosiny.

– Chcę, żebyś coś zrozumiał – odparła Dina. – Nie dlatego gniewałam się o twój haniebny postępek, że mógłby mi wyrządzić jakąkolwiek krzywdę. Było mi wstyd za ciebie, wstyd mi było patrzeć, jak zachowujesz się jak chłystek, jak uliczny mawali^[138]. Od Omprakasha nie mogę oczekiwać nic lepszego. Ale ty, chłopiec z dobrej parsyjskiej rodziny. A ja cię zostawiłam z nimi, żebyś ich pilnował, zaufałam ci.

– Przepraszam – zwiesił głowę. – Dina uniosła w górę rękę, by na nowo włożyć spinkę, która się wysunęła. Meszek pod jej pachami wydał mu się przeraźliwie zmysłowy.

– Idź do łóżka – powiedziała. – A następnym razem podejmij mądrzejsze decyzje.

Zasypiając, myślał o cioci Dinie w koszuli nocnej. Jej postać zaczęła stapiać się w jedno z kobietą z pociągu.

^[126] *Mathadi* – tragarze, ładowacze w stoczni, dokerzy.

^[127] *Dźhopdi* – buda, chata.

^[128] *Dźaj Hind!* – Niech żyją Indie!

^[129] *Pakora* – popularna przekąska; kawałki warzyw obtoczone w cieście z mąki grochowej i usmażone w głębokim oleju.

^[130] *Swami* – tytuł nadawany w hinduizmie świątobliwym mężom.

^[131] *Karai* (także *kadai*): garnek w kształcie miski o dwóch uchach, używany do smażenia.

^[132] W wolnym tłumaczeniu: O bogaty panie, daj mi pajsę!

^[133] *Batata wada* – smażona przekąska z ziemniaków obtoczonych w cieście z ciecierzycy. *Bhadźija* – smażona przekąska.

^[134] *Dźana gana mana* („O władco dusz wszystkich ludzi”) – pierwsze słowa hymnu indyjskiego autorstwa Rabindranatha Tagore’a.

^[135] Shiv Sena – hinduistyczna, skrajnie nacjonalistyczna partia polityczna

założona w 1966 roku przez Balasaheba Thackeraya, mająca swoje polityczne zaplecze w stanie Maharashtra.

[136] *Diszum, diszum* – odgłosy strzałów, bijatyki i innych efektów dźwiękowych w scenach bijatyki w filmach bollywoodzkich.

[137] *Amma* – matka.

[138] *Mawali* – chuligan, zbir, drań.

7 MOBILNOŚĆ

Po incydencie z podpaskami Dina była pewna, że ani Ishvar, ani Om nie ośmielą się dalej zabiegać, by Maneck zjadł u nich kolację, a nawet gdyby to zaproponowali, Maneck odmówi z obawy, że ją urazi.

Wkrótce jednak zaproszenie ponowiono, a i przyjęcie go zdawało się być tuż-tuż.

– Nie wierzę własnym uszom – szepnęła Dina ze złością do Manecka. – Po tym, co zrobiliście tamtego dnia? Czy to nie dosyć? Czy nie dość już się przez was nadenerwowałam?

– Ale ciociu, przecież przeprosiłem za tamto. Omowi też było bardzo przykro. Jaki jest związek między tymi dwiema sprawami?

– Tobie się wydaje, że wystarczy przeprosić i już. Nie rozumiesz, w czym problem. Nie mam nic przeciwko nim, ale to krawcy – moi pracownicy. Trzeba zachować dystans. Ty jesteś synem Farokha i Aban Kohlah. Pochodzicie z różnych sfer i nie możesz udawać, że tak nie jest.

– Ale mama i tatko nie mieliby nic przeciwko temu – powiedział i próbował wyjaśnić, że w domu nie wpajano mu takich przekonań, że rodzice zachęcali go, by nie stronił od żadnego towarzystwa.

– Znaczy się, że ja jestem ograniczona, a twoi rodzice to nowocześni i otwarci ludzie, to chciałeś mi powiedzieć?

Manecka znużył spór. Czasem zdawało mu się, że Dina balansuje na krawędzi rozsądku. Po chwili wystąpiła z kolejnym absurdem:

– Jeśli tak za nimi przepadasz, to może spakujesz się i przeprowadzisz do nich. Mogę zaraz napisać do twojej mamy i powiedzieć jej, dokąd ma wysłać pieniądze za następny miesiąc.

– Chcę tylko raz pójść z wizytą. Byłoby nieuprzejme im odmówić. Pomyślą sobie, że za ważny jestem, żeby przyjąć do nich do domu.

– A zastanowiłeś się, jakie mogą być konsekwencje takiej jednej wizyty? Dobre maniere to bardzo ładna rzecz, ale co ze zdrowiem i higieną? Jak oni gotują? Czy stać ich na porządny olej? A może kupują tani Vanaspati wymieszany z Bóg wie czym, jak większość biedaków?

– Nie wiem. Jak dotąd nie zachorowali i nie umarli.

– Bo ich żołądki są do tego przyzwyczajone, głuptasie, a twój nie.

Maneckowi stanęło przed oczami obrzydliwe stołówkowe jedzenie, które znosił

jego żołądek, oraz pochłaniane tygodniami przekąski z ulicznych straganów. Zastanowił się, czy jeżeli o tym wspomni, Dina zmodyfikuje swoje kulinarne teorie.

– A co z wodą? – ciągnęła. – Jest tam ujęcie czystej wody czy pije się zanieczyszczoną?

– Będę uważać, nie będę pić wody. – Postanowił: pójdzie. Ciocia Dina zanadto się rządziła. Nawet mama nie kontrolowała jego życia tak, jak teraz ona próbowała to robić.

– Świetnie, jak sobie życzysz. Ale jeśli coś złapiesz, to nie licz, że będę cię niańczyć. Zostaniesz odesłany do rodziców w ekspresowym tempie.

– W porządku.

Kiedy Ishvar i Om ponowili zaproszenie, zgodził się. Dina poczerwieniała i zazgrzytała zębami. Maneck uśmiechnął się niewinnie.

– To w takim razie jutro, zgoda? – powiedział zachwycony Ishvar. – Wyjdziemy stąd razem o szóstej. – Zaczął indagować Manecka, co chciałby zjeść. – Ryż czy ćapati? Jakie warzywo lubisz najbardziej, co?

– Wszystko mi pasuje – odpowiadał Maneck na każde pytanie. Przez resztę popołudnia krawcy dyskutowali na temat jadłospisu i planowali swoją skromną ucztę.

•

Ishvar jako pierwszy spostrzegł, że nad kolonią baraków nie unosi się dym z kuchennych palenisk. Jego oczy wodziły po widnokregu, aż potknął się o pogruchotany chodnik. O tej porze dymna mgielka powinna być gęsta jak obłok.

– Co jest, wszyscy poszczą?

– Mniejsza o wszystkich. Ja umieram z głodu.

– Ty zawsze umierasz z głodu. Masz robaki?

Om się nie roześmiał; dowcip stracił świeżość. Brak dymu niepokoił Ishvara. Do tego z oddali dobiegał głuchy rumor, jak ryk ciężkich maszyn.

– Naprawiają drogę nocą? – zadumał się, gdy hałas narastał w miarę, jak się zbliżali. Później pomyślał o kolacji dla Manecka i dorzucił: – Jutro zakupy zrobimy rano, żeby wszystko było naszykowane. Nie będziemy marnować czasu po pracy. Widzisz, a gdybyś miał żonę, to by ugotowała kolację tak, żeby już czekała na twojego gościa.

– A czemu ty się nie ożenisz?

– Za stary jestem.

Zaczepekki zaczepkami, pomyślał sobie, a tymczasem dla Oma to już najwyższa pora. Nierozsądnie jest zwlekać z tymi sprawami.

– Ale ja wybrałem żonę dla ciebie – powiedział Om.

– Kogo?

– Panią Dinę. Wiem, że ci się podoba, zawsze stajesz po jej stronie. Powinieneś ją tryknąć.

– Jak ci nie wstyd – obruszył się Ishvar i dał mu lekkiego kuskańca. Skręcili za róg i wyszli na uliczkę wiodącą do slumsów.

Grzmiąca kula dźwięku, która toczyła się ku nim powoli i spokojnie w zapadającym zmierzchu, stała się większa i głośniejsza. Aż eksplodowała. Powietrze wypełniły nagle okrzyki bólu, zgrozy i wściekłości.

– Hai Ram! Co tam się dzieje? – Ostatni odcinek przebyli biegiem. Na miejscu natknęli się na bitwę.

Stłoczeni na drodze mieszkańcy slumsów nacierali, by przedrzeć się z powrotem do swych baraków, a ich wrzaski zlewały się z syrenami karettek, które utknęły w tłumie. Policja chwilowo straciła panowanie nad sytuacją. Mieszkańcy rzucili się naprzód, osiągając przewagę. Wówczas policjanci zwarli szyki i zepchnęli ich z powrotem. Ludzie padali na ziemię, tratowali się wzajemnie, karetki rykiem klaksonów uzupełniały wycie syren, a dzieci wrzeszczały, przerażone, że oddziela się je od rodziców.

Mieszkańcy slumsów cofnęli się w rozsypce pod impetem policyjnej szarży i, skonani, jęli w bezsilnej furii dawać upust swej rozpacz:

– Bestie bez serca! Dla biednych nigdy nie ma sprawiedliwości! Nie mieliśmy prawie nic, teraz mamy mniej niż nic! Jakie zbrodnie popełniliśmy? Dokąd mamy iść?

Na chwilę uspokoiło się. Ishvar i Om odnaleźli Rajarama.

– Byłem tam, kiedy to się zaczęło – powiedział, dysząc. – Weszli... i zniszczyli. Rozwalili wszystko, ot tak. Szachraje, kłamcy jedni...

– Kto to zrobił? – próbowali skłonić go, by mówił wolniej.

– Ci ludzie, którzy powiedzieli, że są inspektorami bezpieczeństwa. Wykiwali nas. Rząd ich przysłał, mówili, żeby przeprowadzić kontrolę na osiedlu. Na początku ludzie się ucieszyli. Że władze się nami zainteresowały. Że może szykują się zmiany na lepsze – woda, latryny, światło – tak jak obiecywali podczas wyborów. To wyszliśmy z baraków, tak jak kazali. Ale jak się zrobiło pusto, to wjechały te wielkie maszyny.

Większość buldożerów stanowiły stare jeepy i ciężarówki, którym do przednich zderzaków przytwierdzono jak tarany stalowe tarcze i krótkie drewniane belki. Pojazdy przystąpiły do demolowania budowli wykonanych ze sklejk, blachy falistej i plastiku.

– Jak zobaczyliśmy, to pobiegliśmy, żeby ich powstrzymać. Ale kierowcy nie stanęli. Porozjeżdżali ludzi. Krew wszędzie. A policja ochrania tych morderców.

Inaczej już by nie żyli, skurwiele.

– Ale jak to? Ot tak sobie niszczą nasze domy?

– Powiedzieli, że to nowe prawo w ramach stanu wyjątkowego. Jeśli baraki są nielegalne, mogą je usunąć. Nowe prawo mówi, że miasto ma zostać upiękkszzone.

– A co z Navalkarem? I z jego szefem, Thokrayem? Ledwie dwa dni temu zebrali czynsz za ten miesiąc.

– Są tutaj.

– I nie poskarżyli się policji?

– Jeszcze czego. To Thokray tym dowodzi. Nosi odznakę z napisem „nadzorca slumsów”. A Navalkar jest asystentem nadzorcy. Z nikim nie rozmawiają. Jak ktoś próbuje podejść, to ich zbiry grożą, że go pobiją.

– A nasze rzeczy w barakach?

– Chyba stracone. Błagaliśmy, żeby pozwolili nam je zabrać, ale się nie zgodzili.

Nagle Ishvar poczuł się bardzo zmęczony. Odsunął się od tłumu, przeszedł przez uliczkę i przykucnął. Rajaram podciągnął spodnie i usiadł obok niego.

– Nie ma co płakać po tych zakichanych budach. Znajdziemy coś gdzie indziej, to tylko drobna przeszkoda. Mam rację, Om? Poszukamy razem nowego domu.

Om kiwnął głową.

– Rzucę okiem, jak to wygląda z bliska.

– Nie idź, to niebezpiecznie – powiedział Ishvar. – Zostań tutaj ze mną.

– Będę tuż obok – rzucił Om i odszedł, by przyrzec się burzeniu osiedla.

Wieczór stał na krawędzi mroku. Energiczne natarcie z użyciem bambusowych pałek doprowadziło wreszcie do opróżnienia terenu w okolicy wejścia na osiedle. Na ziemi wałały się kapcie i sandały zgubione przez uciekający tłum. Wyglądały jak rzeczy pozostawione na brzegu przez odpływającą ludzką falę. Policyjny kordon stał teraz pewnie na swojej pozycji, czuwając, by gniew mieszkańców zarzył się w bezpiecznej odległości.

Buldożery skończyły rozjeżdżać rzędy lichych szop, po czym zawróciły i zaczęły z chrzęstem wgrzyzać się w ceglane ściany baraków o wyższym czynszu. Om nie czuł nic. Powiedział sobie, że ich barak nic dla niego nie znaczy. Może teraz stryj zgodzi się wrócić do ćaci Ashrafa. Przypomniał sobie, że Maneck miał przyjść nazajutrz z wizytą. Zaśmiał się ponuro, myśląc, jak mu powie, że kolacji nie będzie – odwołana z racji nieoczekiwanego zniknięcia domu.

Megafon sierżanta Kesara rozdarł zmierzch:

– Prace zostaną wstrzymane na trzydzieści minut. W zasadzie mówiąc, robimy to tylko po to, żebyście mogli pozbierać swoje mienie. Potem maszyny wjadą z powrotem.

Tłum powitał obwieszczenie ze wzgardą – policja zdobyła się na życzliwy gest, by oszczędzić sobie dalszych kłopotów. Większość osób była jednak wdzięczna

za okazję, by odzyskać swój skromny dobytek. Na rumowisku rozpoczęła się desperacka walka. Omowi skojarzyło się to z dziećmi na stertach śmieci. Widział je co rano z okien pociągu. Teraz śladem stryja włączył się w krzątaninę pośród ruin.

Maszyny obróciły znajome pole zamieszkane przez starannie zorganizowaną społeczność w obce miejsce. Ludzie grzebiący w poszukiwaniu dobytku byli zdeorientowani. Czyje schronienie stało wcześniej na tym kawałku gruntu? Należało przeczesać sterty cegieł i metalu – która winna przypaść komu? Inni korzystali z rozgardiaszu i łapali, co się dało. Wybuchaly bójki o roztrzaskaną sklejkę, podarte splechcie skaju, przezroczysty plastik. Ktoś usiłował zagarnąć uszkodzony instrument fisharmonisty, kiedy ten rył w poszukiwaniu swoich ubrań. Muzyk przepędził złodzieja żelaznym prętem. Podczas utarczki fisharmonia poniosła następne obrażenia: rozdarły jej się miechy.

– Moi sąsiedzi stali się rabusiami – rzekł fisharmonista ze łzami w oczach. – Kiedyś śpiewałem dla nich, a oni klaskali.

Ishvar pocieszył go z roztargnieniem, zaniepokojony o własny dobytek.

– Przynajmniej nasze maszyny do szycia są bezpieczne u pani Diny – powiedział Omowi. – Z tym nam się upiekło.

Odciągnęli na bok arkusz blachy, który służył im za dach i odgrzebali kuferek. Wieko miało w kilku miejscach głębokie wgniecenia. Przy otwieraniu zapiszczało z wyrzutem. Om kopnął w największe odkształcenie i pokrywa przestała stroić fochy. Odsunawszy gruz natrafili na lusterko, którego używali do golenia. Było nietknięte: aluminiowa patelnia nakryła je niczym hełm.

– Nie będziemy mieć pecha – powiedział Om, wpychając oba przedmioty do kuferka. Prymus został zmiażdżony tak, że nie nadawał się do naprawy i Om wyrzucił go. Ishvar znalazł ołówek, świecę, dwa emaliowane talerze i plastikowy kubek. Om odszukał ich brzytwę, lecz nie znalazł paczki żyłek. Przełożyli na bok więcej kawałków sklejk i odsłonili miedziany garnuszek na wodę. Ktoś inny wypatrzył go w tej samej chwili, złapał i zaczął biec.

– Złodziej! – krzyknął Om. Nikt nie zwracał uwagi. Stryj powstrzymał go przed pogonią.

Wydobyli swoją wiklinową matę, prześcieradła, koce i dwa ręczniki używane w charakterze poduszek. Ishvar wytrząsnął z nich tumany pyłu, a następnie zrolował w jedno schludne zawiniątko, które opatulił jutą.

Rajaram troszczył się tylko o swoją kolekcję włosów. Zbiory zostały spustoszone, plastikowe worki porwane, zawartość rozsypana.

– Cenne okazy z całego miesiąca – rozpaczał. – Wszystko utyłane w błocku.

Trzydzieści minut, które im dano, dobiegało końca. Ishvar i Om pomogli Rajaramowi zebrać co się dało, skupiając się na wynajdywaniu najdłuższych

pukli włosów.

– To na nic – westchnął gorzko Rajaram. – Te skurwysyny mnie zrujnowały. Pasma i warkocze się porozpadały, nie da się ich złożyć na nowo. To jak wybierać ziarnka cukru z herbaty.

We trzech przekroczyli policyjną barykadę, przy której nadzorca slumsów wydawał polecenia swoim robotnikom.

– Macie wyrównać pole na płask. Ma tu być pusto i czysto, jak zanim postawiono te nielegalne konstrukcje. Gruz wrzucie do rowu koło torów.

Wywłaszczeni w odrętwieniu snuli się wokół pola. Robotnicy zwalili ściany, które przetrwały pierwsze natarcie, po czym zatrzymali się, twierdząc, że jest zbyt ciemno i urządzenia do odsiewu gruzu powpadają do rowu. Takiego ryzyka nadzorca slumsów nie mógł podejmować, gdyż na jego maszyny czekało jeszcze wiele pracy, wiele bezprawnie powstałych osiedli do zrównania z ziemią. Zgodził się, by ostatni etap przesunąć na rano, i robotnicy odeszli.

– Ja zostanę tutaj na noc – powiedział Rajaram. – Może znajdę coś cennego na polu. A wy?

– Powinniśmy pójść do Nawaza – rzekł Ishvar. – Może znów pozwoli nam się przespać pod swoim daszkiem.

– Przecież był dla nas okropny.

– Trudno, może nam pomoże znaleźć lokum, tak jak ostatnio.

– Racja, warto spróbować – poparł go Rajaram. – A ja sprawdzę, co się tutaj święci. Kto wie, może jakiś inny gangster przymierza się do wybudowania nowych baraków.

Ustalili, że spotkają się następnego wieczora i wymienią informacje.

– Czy możecie tymczasem wyświadczyć mi przysługę? – spytał Rajaram. – Weźmiecie te warkocze? Są bardzo lekkie. Nie mam gdzie ich przechować.

Ishvar zgodził się i schował je do kuferka.

•

W domu Nawaza mieszkali obcy ludzie. Mężczyzna, który otworzył drzwi, twierdził, że nic o nim nie wie.

– Mamy pilną sprawę do pana Nawaza – powiedział Ishvar. – Może właściciel kamienicy coś wie. Czy może mi pan podać jego imię i adres?

– Nie twój interes! – krzyknął ktoś ze środka. – Jest noc, przestań nam zawracać głowę!

– Przepraszam za najście – odrzekł Ishvar, podnosząc z powrotem pakunek z posłaniem i schodząc ze schodków.

– I co teraz? – wysapał Om. Na jego twarzy znać było ciężar kuferka.

– Już z ciebie schodzi powietrze?

Kiwnął głową.

– Jak z przekłutego balonu.

– Dobra, napijmy się herbaty.

Poszli do straganu na rogu ulicy, tego samego, który odwiedzali podczas miesięcy spędzonych pod daszkiem na zapleczu. Właściciel zapamiętał ich jako znajomych Nawaza.

– Trochę was nie było – powiedział. – Mielście jakieś wieści o Nawazie, odkąd policja go zabrała?

– Policja? Za co?

– Za przemyt złota z Zatoki.

– Naprawdę? Przemyczał złoto?

– Oczywiście, że nie. Był krawcem, jak wy. – Okazało się, że Nawaz wdał się w kłótnię z kimś, kto wydawał córkę za męża. Mężczyzna był ustosunkowany. Wcześniej złożył u Nawaza duże zamówienie – stroje ślubne dla całej rodziny. Po weselu odmówił zapłaty, twierdząc, że ubrania źle leżały. Nawaz bezskutecznie dopominał się o pieniądze, później dowiedział się, gdzie jest biuro tamtego. Odwiedził go w pracy i narobił mu wstydu przed kolegami. – I to był duży błąd. Skurwysyn się zemścił. Tej samej nocy policja przysłała po Nawaza.

– Ot tak, po prostu? Jak mogą wpakować do więzienia niewinnego człowieka? Przecież to ten drugi kantował.

– Podczas stanu wyjątkowego wszystko jest na opak. Czarne można zmienić w białe, a dzień obrócić w noc. Przy odpowiednich kontaktach i odrobinie gotówki łatwo posyłać ludzi do więzienia. Mają nawet nowe prawo, żeby ułatwić całą procedurę. Nazywa się UUBW.

– Co to za UUBW?

– Utrzymywanie... czegoś tam. Coś z bezpieczeństwem... Nie jestem pewien.

Krawcy dopili herbatę i odeszli ze swymi tobołkami.

– Biedny Nawaz – odezwał się Ishvar. – Ciekawe, czy naprawdę był wplątany w jakieś szachrajstwa.

– Musowo – powiedział Om. – Nie wsadza się ludzi do więzienia za nic. Nigdy go nie lubiłem. Ale co teraz?

– Może będziemy mogli się przespać na stacji.

•

Na peronie było gęsto od żebraków i włóczęgów moszczących się do snu. Krawcy znaleźli kąt dla siebie i gazetą wymietli kurz.

– Ej, uwaga! Leci mi w twarz – wrzasnął ktoś.

– Przepraszam, bracie – powiedział Ishvar i przestał zamiatać. Obaj czuli palącą potrzebę, by porozmawiać o tym, co począć, gdy nazajutrz obudzą się jako

bezdomni, ale każdy chciał, by to ten drugi podjął temat.

– Głodny? – zapytał Ishvar.

– Nie.

I tak powędrował do dworcowego stoiska z jedzeniem. Kupił dwie bułeczki nafaszerowane pikantną mieszaniną smażonej cebuli, kartofli, groszku, chili i kolendry. Poczul lekkie ukłucie winy, kiedy wracając do Oma, szedł pod ostrzałem wygłodniałych oczu śledzących go przez całą długość peronu.

– Pao-bhadzi. Jedna dla ciebie, jedna dla mnie.

Lśniaca kartka z czasopisma, w którą zawinięto bułeczkę, zaczęła rozmiękać. Pojawiły się na niej małe kółka z gorącego tłuszczu. Om jadł łapczywie i skończył pierwszy, gdy tymczasem Ishvar zwolnił, by odłożyć kawałek dla bratanka.

– Już nie mogę. Dokończ.

Kolejno odwiedzili fontannę z wodą do picia; ktoś musiał pilnować posłania i kuferka. Potem nie mieli już żadnego zajęcia.

– Może Rajaram przyniesie jutro wieczorem jakieś dobre wieści – zaczął Om niepewnie.

– Kto wie, może. Może nawet sami moglibyśmy coś zbudować, jak ten cyrk się skończy. Ze sklejki, tyczek i plastikowych płacht. Rajaram to łebski facet, będzie wiedział, co zrobić. Moglibyśmy we trójkę zamieszkać w jednej dużej chacie.

Wyprawili się na dziki plac za stacją, żeby oddać mocz, a następnie, zanim rozłożyli posłanie, jeszcze raz poszli napić się wody. W miarę, jak zapadała noc, pociągi jeździły coraz rzadziej. Położyli się, dla bezpieczeństwa opierając stopy na kuferku.

Po północy policjant z ochrony kolei obudził ich, kopiąc w kuferek. Powiedział, że nie wolno spać na peronie.

– Czekamy na pociąg – powiedział Ishvar.

– To nie jest taki dworzec. Tu nie ma poczekalni. Wróćcie rano.

– Ale inni ludzie tu śpią.

– Oni mają specjalne zezwolenie – zabrzączał monetami w kieszeni.

– Zgoda, nie będziemy spać, posiedzimy tylko.

Policjant wzruszył ramionami i odszedł. Ishvar i Om wstali i zwinęli posłanie.

– Pssst – przywołała ich kobieta, która leżała obok. – Pssst. Musicie mu zapłacić. – Spoczywała na plastikowej płachcie, która szeleściła głośno przy każdym poruszeniu, a stopy miała zawinięte w bandaże zaplamione ciemnożółtym wysiękiem.

– Niby za co? To nie jest peron jego ojca.

Uśmiechnęła się, aż popękała skorupa brudu na jej twarzy.

– Kino, kino! – W podnieceniu wskazywała na afisze filmowe ciągnące się wzdłuż ściany peronu. – Jedna rupia od żebraka. Pięćdziesiąt pajs za dziecko.

Kino każdej nocy.

Ishvar ukradkiem podniósł dłoń do czoła, gestem dając znać, że brak jej piątej klepki, ale Om uparł się, że wyjaśni.

– Nie jesteśmy żebrakami, jesteśmy krawcami. I co on nam zrobi, jeśli nie zapłacimy? Nie może nas wsadzić do więzienia.

Kobieta przetoczyła się na bok i obserwowała ich bacznie, nie wydając żadnego dźwięku poza bezsensownym chichotem. Minęło pół godziny, a policjanta nigdzie nie było widać.

– Teraz powinien być spokój – powiedział Om. Rozwinął posłanie i położyli się znowu. Żebraczka nadal przyglądała im się z rozbawieniem. Od jej zabandażowanych stóp ciągnął się słaby zapach zgnilizny.

– Będziesz się tak na nas patrzeć całą noc? – zapytał Om. Potrząsnęła głową, ale wciąż się gapiła. Ishvar uspokoił bratanka i zamknęli oczy.

Drzemali od paru minut, kiedy policjant wrócił i wylał na nich wiadro zimnej wody. Krawcy zaskowyczeli i zerwali się z posłania. Policjant odszedł bez słowa, zawadiacko wymachując pustym wiadrem. Kobieta na plastikowym prześcieradle trzęsła się ze śmiechu.

– Zwierzę! – syknął Om. Ishvar uciszył go, ale niepotrzebnie; jego słowa utonęły w histerycznym śmiechu żebraczki. Z zachwytem plasnęła dłońmi o plastikowe prześcieradło, aż podleciało w górę.

– Kino! Kino! Komedia z Johnny’em Walkerem! – zdołała wydobyć z siebie między paroksyzmami śmiechu.

– Wiedziała! Ta zwariowana wiedźma wiedziała i nam nie powiedziała, brachu!

Przemoczeni do szczętu podnieśli swój dobytek i przenieśli się w jedyne wolne miejsce – na koniec peronu, gdzie unosił się silny odór moczu. Sucha odzież w kuferku była cennym skarbem. Przebrali się jeden po drugim. Mokre ubrania rozłożyli na otwartym wieku kuferka, a prześcieradła i koc zawisły na sterczącym ze ściany peronu złamanym pręcie do mocowania znaków.

Wiklinowa mata wyschła prędko, ale bali się położyć. Siedzieli wstrząsani dreszczami i pilnowali dobytku. Kiwali się, gdy morzył ich sen, od czasu do czasu przysypiali. Wskutek przemoczenia musieli kilka razy wybrać się na dziki plac. Gdy stacja zasnęła, nie trzeba już było nigdzie chodzić. Stojąc na krawędzi peronu, opróżnili pęcherze.

•

O czwartej rano dworcowy bar z łoskotem otworzył stalowe żaluzje. Zabrzęczały kubki i spodeczki, rozzwoniły się garnki i miski. Ishvar i Om przepłukali usta przy fontannie z wodą do picia, a następnie kupili dwie herbaty i bochenek chleba o chrupiącej skórce. Od gorącego pływu rozjaśniło im się

w zaspanych głowach. Plan dnia zaczął się klarować: o odpowiedniej porze pojedą pociągiem do pracy, jak zwykle będą szyć do szóstej, potem wrócą na spotkanie z Rajaramem.

– Kuferek zostawimy u pani Diny, tylko na tę jedną noc – powiedział Ishvar. – Ale nie powiemy, że nasz dom został zniszczony. Ludzie boją się bezdomnych.

– Założę się, że nie zechce go przechować.

Kolejne dwie godziny spędzili na peronie, paląc i patrząc na pierwszych pasażerów jadących do pracy. Większość stanowili sprzedawcy, którzy stali, trzymając na głowach kosze z dyniami, cebulą, rybami, solą, jajami i kwiatami. Obok szykował się naprawiacz parasoli: rozkładał na czynniki pierwsze zepsute parasole, odzyskując uchwyty i druty zdadne do użytku. Przedsiębiorca budowlany przemaszerował obok z bandą malarzy i murarzy zbrojnych w drabiny, wiadra, szczotki, kielnie i kozły do noszenia cegieł; rozsiewali za sobą woń świeżo pomalowanego domu.

O szóstej trzydzieści krawcy wsiedli do pociągu. Do mieszkania dotarli o siódmej. Dina zarzuciła letni płaszcz na koszulę nocną i otworzyła drzwi.

– Co tak wcześniej?

Wszystkiego można się po nich spodziewać, za nic mają innych, pomyślała. Słońce ledwo wstało, trzeba pozmywać, zrobić śniadanie dla Manecka, a ci już tu są i czekają, żeby się nimi zająć.

– Pociągi wreszcie jeżdżą według rozkładu. To z powodu stanu wyjątkowego – powiedział Om. Wydawało mu się, że sprytnie to wymyślił.

Dina uznała, że beczelna wymówka miała ją doprowadzić do wściekłości. Wtedy Ishvar dorzucił łagodząco:

– Dłuższy dzień to więcej sukienek, nieprawdaż, Dina-bai?

Co racja to racja.

– A co tu robią te wielkie bagaże?

– Musimy zanieść je wieczorem do znajomego. A, Maneck, zanim zapomnę: bardzo cię przepraszamy, nie możemy dziś zjeść razem kolacji. Wskoczyło nam coś bardzo pilnego.

– Nie szkodzi – odpowiedział Maneck. – Innym razem.

Kazała zostawić im kuferek i matę przy drzwiach. Skąd miała wiedzieć, mogły być kompletnie zarobaczone. A ich zachowanie wyglądało bardzo podejrzanie. Jeśli sprawa była tak pilna, to mogli teraz pójść do swojego znajomego, zwłaszcza że przyszli tak wcześniej. Ale przynajmniej odwołali kolację z Maneckiem; odetchnęła z ulgą.

Ishvar, zawsze taki opanowany, przez cały dzień jak gdyby nie był sobą. Raz omal nie pozszywał stanika i spódnicy tył na przód.

– Stop! – wykrzyknęła Dina, gdy igła ruszyła, znacząc pierwszy szereg ściągów.

– Ty, Ishvarze? Nie zdziwiłabym się, gdyby to zrobił Omprakash, ale ty? – Uśmiechając się potulnie, Ishvar spruł żyłką występne ściegi.

O czwartej po południu oznajmili, że chcą iść o dwie godziny wcześniej niż zwykle. Tyle jeśli chodzi o te dodatkowe sukienki, co to je mieli uszyć, pomyślała, lecz była szczęśliwa, że wychodzą i zabierają ze sobą ciężar, który wisiał w powietrzu.

Ich kuferek został tam, gdzie był, lecz zanim się spostrzegła, krawcy zamknęli za sobą drzwi i pośpieszyli na stację.

•

W ciągu dnia spadł obfity deszcz. Małe, błotniste sadzawki zalały większość pobojowiska minionej nocy. Kawalki sklejk i metalu sterczały z wody niczym żagle i wraki okrętów. Nad odmienionym slumsem wrzeszczały mewy. Dookoła kręciło się trochę dawnych mieszkańców, którzy popatrywali na opuszczony teren, lecz wśród nich nie było Rajarama.

– Może dowiedział się, że nie ma szans, żeby postawić tu coś nowego – powiedział Ishvar.

W tej chwili nigdzie w okolicy nie było widać korpulentnego sierżanta Kesara. Pola pilnowało sześciu posterunkowych z jego nowej drużyny interwencyjnej. Podeszli do krawców i innych, którzy szwendali się obok i udzielili im ostrzeżenia:

– Spróbujcie postawić nowe budy, a od razu zabieramy was do więzienia.

– Dlaczego?

– Takie dostaliśmy zadanie: zapobieganie slumsom i upiększanie miasta.

Posterunkowi wrócili na stanowisko na rogu.

– Chyba powinniśmy wrócić i powiedzieć prawdę pani Dinie – rzekł Ishvar.

– Dlaczego?

– Może nam pomoże.

– Chyba śnisz – powiedział Om.

Ekipa robotników stawiała dwa nowe billboardy, po jednym z każdej strony jezdni. Na planszach przykleili twarz pani premier, a następnie jęli debatować, jaki podpis umieścić obok. Do wyboru mieli kilka różnych. Rozwinęli banery i, przycisnąwszy w rogach kamieniami, ułożyli je na chodniku, żeby im się przyjrzeć.

Pierwszy wybrali jednogłośnie: MIASTO NALEŻY DO CIEBIE! DBAJ, BY BYŁO PIĘKNE! Przy drugim doszło do pewnych rozbieżności. Nadzorca optował za JEDZENIE DLA BIEDNYCH! domy dla bezdomnych! Jego podwładni przekonywali, że stosowniej wybrać coś innego; zalecali MOBILNOŚĆ JEST ISTOTĄ POSTĘPU!

Krawcy zaczęli w pobliżu do zakończenia prac. Tłum zaklaskał, gdy

uniesiono wielkie rusztowanie. Słupy wsadzono w dziury, wzmocniono poprzecznymi wspornikami, ziemię ubito. Ktoś poprosił Oma, by przeczytał, co napisano na dwóch planszach. Om przetłumaczył. Mężczyzna przez chwilę kontemplował sens usłyszanych słów, po czym oddalił się, potrząsając głową i mrużąc, że tym razem rządowi do reszty odbiło.

•

– Wiedziałam, że wrócić – powiedziała Dina. – Zapomnieliście kufierka.

Pokręcili głowami, a ona zobaczyła, jak bardzo są wycieńczeni i przestraszeni.

– Co się stało?

– Straszliwa klęska spadła nam na głowy.

– Wejdźcie do środka. Chcecie się napić wody?

– Han-dzi, poprosimy.

Maneck przyniósł przeznaczoną dla nich szklanekę. Wypili i otarli usta.

– Dina-bai, spotkało nas wielkie nieszczęście. Potrzebujemy pani pomocy.

– Takie czasy, sama nie wiem, na ile mogę komuś pomóc. Ale powiedzcie mi tak czy owak.

– Straciliśmy dom – powiedział Ishvar nieśmiało.

– Znaczy się, że właściciel was wyrzucił? – spytała współczująco. – Ci właściciele to szubrawcy.

Ishvar pokręcił głową.

– Nasz dom przestał istnieć – przeczesał włosy dłonią. – Przyjechały wielkie maszyny i go rozjechały. I wszystkie inne domy na naszym polu.

– Powiedzieli, że mieszkanie tam jest nielegalne – dorzucił Om.

– Poważnie? – spytał Maneck. – Jak mogą coś takiego zrobić?

– Oni są z rządu – wyjaśnił Ishvar. – Mogą robić, co im się spodoba. Policjanci powiedzieli, że to nowe prawo.

Dina pokiwała głową. Przypomniało jej się, że nie dalej jak w poprzednim tygodniu pani Gupta żarliwie wychwalała przedstawiony przez rząd program likwidacji slumsów. Ale dla krawców to wielki pech. Biedni ludzie. A ona miała rację – rzeczywiście żyją w niehigienicznych warunkach. Całe szczęście, że Maneckowi się upiekło i nie zje z nimi kolacji.

– To okropne – powiedziała. – Rząd wprowadza prawa bez żadnego pomysłu.

– Teraz wiesz, dlaczego musieliśmy odwołać kolację – zwrócił się Om do Manecka. – Rano głupio nam było powiedzieć.

– Niepotrzebnie, trzeba było mówić – odpowiedział Maneck. – Mielibyśmy więcej czasu, żeby zastanowić się, jak wam pomóc i... – urwał na widok groźnie zmarszczonych brwi Diny.

– Zapłaciliśmy już czynsz za ten miesiąc – powiedział Ishvar. – Teraz nie mamy ani domu, ani pieniędzy. Czy możemy spać na pani werandzie... przez kilka nocy?

Maneck popatrzył na Dinę prosząco, podczas gdy ona zbierała się na odpowiedź.

– Osobiście nie mam nic przeciwko temu – odrzekła. – Ale jeśli poborca czynszu was zobaczy, to będą kłopoty. Wykorzysta to jako pretekst i powie, że zarządzam w domu nielegalny pensjonat. Wtedy wy, Maneck, ja i wasze maszyny do szycia wylądujemy na bruku, bez dachu nad głową.

– Rozumiem – powiedział Ishvar. Duma nie pozwalała mu nalegać dalej, gdy raz usłyszał odmowę. – Spróbujemy gdzie indziej.

– Nie zapomnijcie kufierka.

– Czy możemy zostawić go na jedną noc?

– A niby gdzie? W tym mieszkaniu już nie można się ruszyć.

Jej odpowiedź przepęliła Oma niesmakiem. Podał zwinięte posłanie stryjowi i podniósł kuferek. Skinęli głowami i wyszli.

Dina odprowadziła ich do drzwi, zamknęła, zawróciła i nadziała się na pełne wyrzutu spojrzenie Manecka.

– Nie patrz tak na mnie – powiedziała. – Nie miałam wyboru.

– Mogła im ciocia pozwolić, żeby zostali chociaż na jedną noc. Mogliby spać u mnie w pokoju.

– I miałabym kłopoty przez wielkie „K”. Jedna noc to dosyć, żeby kamienicznik wytoczył mi sprawę.

– A kuferek? Dlaczego nie mogła go im ciocia przechować?

– Co to ma być, przesłuchanie policyjne? Żyłś pod kloszem, to nie masz pojęcia, jakie kanty odchodzą w takim mieście. Kuferek, torba, nawet chlebak, w którym siedzą dwie pary spodni i koszula – to pierwszy krok do zamieszkania. Mienie osobiste zeskładowane w lokalu – to najpowszechniejsza metoda, żeby wystąpić z roszczeniem. Sprawa grzęźnie w systemie sądowniczym na lata, a tymczasem oszuści mogą sobie tu mieszkać. Nie mówię, że dziś wieczorem Ishvar i Om przyszli tutaj z takim planem. Ale czy mogę ryzykować? A jak później jakiś szubrawiec im to podsunie? Najmniejszy kłopot z kamienicznikiem oznacza, że muszę poprosić o pomoc Nusswana. Mój brat jest absolutnie nie do zniesienia. Gadałby o tym w nieskończoność.

Maneck wyjrzał za okno, próbując oszacować, jaki stopień osiągnęła podejrzliwość cioci Diny. Wyobraził sobie inwazję brudnej bielizny, której się lękała, wtargnięcie podstępного okupanta.

– Nie przejmuj się tak tymi krawcami – powiedziała. – Coś sobie znajdą. Tacy ludzie wszędzie mają krewnych.

– Oni nie mają. Przyjechali parę miesięcy temu z daleka. – Z zadowoleniem

zauważył, jak cień troski z wolna wędruje przez jej twarz.

Później wpadła w irytację.

– To niesłychane, wprost niesłychane, ile ty o nich wiesz.

Przez większość wieczoru ignorowali się wzajemnie, ale po kolacji, zasiadłszy do pracy nad kapą, Dina rozłożyła kwadratowe kawałki materiału i próbowała wciągnąć go w rozmowę.

– I jak, Maneck? Jak to się teraz przedstawia?

– Okropnie.

Nie był gotów przebaczać jej, gdy w tym samym czasie krawcy nie mieli gdzie spędzić nocy.

•

Napis głosił „Sagar Darshan – hotel z widokiem na ocean”, lecz jedynym morzem w zasięgu wzroku był wymalowany na sfatygowanym przez aurę szyldzie niebieski prostokąt z maleńką zagłówekczką przycupniętą na grzbiecie fali.

W środku młodzieniec w wyświechtanym białym uniformie siedział na podłodze obok stojaka na parasole i gapił się na zdjęcia w „Filmfare”. Kiedy weszli krawcy, nie podniósł wzroku. Szpakowaty mężczyzna za ladą wciął posiłek, obłamując z bochenka kawałki chleba i szybko maczając je kolejno w czterech stalowych miseczkach.

– Trzydzieści rupii za noc – wybełkotał zapchanymi ustami, odsłaniając przy tym złoty ząb. Przeżute cząstki kolacji wyfrunęły spomiędzy wilgotnych warg na ladę. Mężczyzna strzepnął je na podłogę, a następnie przetaił rękawem smugę brudu.

– Widzisz? Mówiłem ci, że nie stać nas na hotel – powiedział Ishvar, gdy wychodzili.

– Spróbujmy gdzie indziej.

Odwiedzili szereg miejsc: Paradise Lodge z noclegami za dwadzieścia rupii, który to pensjonat mieścił się nad piekarnią o kiepsko izolowanym suficie, tak że czuło się w nim żar buchający z pieca na parterze; Ram Nivas, gdzie napis na szyldzie głosił, że przyjmuje się wszystkie kasty i gdzie, dzięki uprzejmości sąsiednich zakładów chemicznych, w pokojach panował potworny smród; Hotel Aram, w którym o mały włos nie skradziono im bagażu, kiedy poszli spytać o nocleg – niedoszłego złodzieja spłoszyli w holu, gdy cofali się do wyjścia.

– Wystarczy? – zapytał Ishvar, a Om kiwnął głową.

Podnieśli bagaże i ruszyli w stronę stacji kolejowej, przystając, by zbadać każdą klatkę schodową, daszek i fasadę, które mogłyby dostarczyć im schronienia. Ale ilekroć trafiali na takie miejsce, było już zajęte. Pewien sklep dla odstraszania

bezdolnych zamontował przy wejściu żelazną ramę najeżoną kolcami i przytwierdzoną na zawiasach, by rano można było ją odkręcić i schować. Z gwoździowego łóżka korzystał przedsiębiorczy jegomość, który na kolcach położył prostokątny kawałek sklejk, a na nim swój koc.

– Musimy się nauczyć takich rzeczy – powiedział Ishvar z podziwem.

Minęli żebraka na platformie z kółkami, który powitał ich jak zwykle grzechotem puszek. Pochłonięci poszukiwaniami nie zwrócili na niego uwagi. Potoczył za nimi smutnym wzrokiem. Przed sklepem meblowym, który wciąż był otwarty, zostało kilka wolnych miejsc.

– Może tu byśmy spróbowali? – zaproponował Om.

– Oszalałeś? Chcesz, żeby cię zamordowali, bo zająłeś komuś miejsce? Zapomniałeś, co się stało na chodniku koło zakładu Ashrafa?

Przeszli obok sklepu, którego nigdy nie zamykano. Była to całodobowa apteka. Subiekci wychodzili, światła w głównej sali gasły i tylko w okienku do wydawania leków nadal było jasno: aptekarz pełnił dyżur.

– Zaczekajmy tutaj – powiedział Ishvar. – Zobaczymy, co się stanie.

We wnęce wejściowej, którą apteka dzieliła z sąsiednim sklepem z antykami, ktoś postawił drewniany stołek. Stalowe żaluzje opadły na dwa okna jak powieki, zakrywając mydła, talk i syropy na kaszel po jednej stronie, a po drugiej brązowe figurki tańczącego Śiwy, mogolskie^[139] miniatury i inkrustowane klejnotami puzderka. Dwaj kierownicy zamknęli drzwi i przekazali klucze stróżowi nocnemu.

Krawcy odczekali, aż stróż popuści pasa, zzuje buty i usadowi się wygodnie na drewnianym stolku. Później zbliżyli się doń z paczką biri.

– Zapalki? – spytał Ishvar, wykonując gest pocierania draski.

Stróż przestał drapać się w łydki i sięgnął do kieszeni. Krawcy odpalili od jednej zapalki. Podsunęli biri stróżowi. On pokręcił głową, dobywając paczki papierosów Panama. Przez chwilę cała trójka ćmiła w milczeniu.

– I co? – zagaił Ishvar. – Tak tu siedzisz całą noc?

– Taka robota. – Sięgnął po swoją laskę, która stała oparta o drzwi, i zastukał w nie po dwakroć. Krawcy pokiwali z uśmiechem głowami.

– Śpi ktoś w tej bramie?

– Nikt.

– Pewnie czasem masz ochotę odpocząć.

Stróż pokręcił głową.

– Nie wolno mi. Muszę pilnować obu sklepów. – Nachylił się ku nim i, wskazując do wnętrza apteki, w kierunku farmaceuty, zwierzył się: – Ale tamten to i owszem. Co noc ucina sobie długą drzemkę, tam w środku, na macie na podłodze. Dostaje za to pensję, szubrawiec jeden, i to dużo większą niż moja.

– My nie mamy gdzie spać – powiedział Ishvar. – Dzisiaj rząd zniszczył osiedle, w którym mieszkaliśmy. Maszynami rozjechali.

– Ostatnio często tak się zdarza – rzekł stróż, po czym kontynuował skargę na aptekarza. – Facet ma bardzo mało pracy w nocy. Czasem klient przychodzi po jakieś lekarstwo. Wtedy otwieram drzwi i budzę szubrawca, żeby zmieszał to, co przepisał lekarz. Ale jeśli spał, to ćmi mu się w głowie i ma kłopot z odczytaniem etykietek. – Ponownie nachylił się bliżej. – Raz się pomylił, jak ważył lekarstwo, i wsypał nie to, co trzeba. Klient zmarł i policja przysłała, żeby zbadać sprawę. Kierownik pogadał z policjantami. Zaproponował im pieniądze, oni wzięli i wszyscy byli zadowoleni.

– Wszystko to kanciarze – powiedział Ishvar i zgodnie pokiwali głowami. – Pozwoliłbyś nam tu spać?

– Nie wolno.

– Moglibyśmy ci zapłacić.

– Nawet jeśli, to gdzie tu jest miejsce do spania?

– Miejsca jest dość. Możemy rozłożyć posłanie koło drzwi, wystarczy, że przesuniesz stołek o dwie stopy.

– A co z resztą bagażu? Nie ma tutaj magazynka.

– Jaką resztą? Mamy tylko ten kuferek. Zabierzemy go ze sobą rano.

Przesunęli stołek i rozłożyli posłanie. Pasowało doskonale.

– Ile możecie zapłacić? – spytał stróż.

– Dwie rupie za noc.

– Cztery.

– Jesteśmy biednymi krawcami. Weź trzy, a my uszyjemy ci coś za darmo. Możemy ci naprawić mundur – wskazał na przetarte kolana i wystrzępione mankiety.

– Zgoda. Ale uprzedzam was, że czasem bywa tu w nocy bardzo głośno. Jak jakiś klient przyjdzie po lekarstwo, będziecie musieli się przesunąć i nie gadajcie wtedy, że wam psują sen. Nie ma zwrotów za popsuty sen.

Później dodał, że gdyby subiekt pytał, ile płać, mieli powiedzieć dwie rupie, bo szubrawiec upomni się o swoją działkę.

– Bilkul^[140] – przystali na wszystkie jego warunki. Po kolejnym biri wyciągnęli z kuferka igły i nici i zabrali się do szycia. Stróż siedział w bieliźnie, a oni naprawiali jego uniform.

– Pierwsza klasa – orzekł, wciągając spodnie.

Pochwała ucieszyła Ishvara, więc dorzucił, że z przyjemnością jeszcze coś naprawią dla niego i jego rodziny.

– Umiemy uszyć wszystko: salwar-kamiz, ghaghra-ćoli, baby-baba clothes^[141].

Stróż ze smutkiem potrząsnął głową.

– To miłe z waszej strony, ale żona i dzieci mieszkają w moich rodzinnych stronach. Przyjechałem tutaj sam, za pracą.

Później, kiedy krawcy spali, przyglądał im się z drewnianego stolka. Widok Omprakasha, który rzucał się we śnie, przypominał mu o własnych dzieciach: o tamtych wyjątkowych nocach, gdy rodzina wciąż była razem, a on czuwał nad snem swoich maleństw.

•

Ulica przebudziła się wcześniej i przed świtem wyrwała krawców ze snu. Tak naprawdę ulica nigdy nie zasypia, wyjaśnił stróż, a jedynie ucina sobie drzemkę między drugą a piątą rano, kiedy dobiegną końca późnonocne pijatyki i hazard, a gazety, chleb i mleko jeszcze nie zdążą przyjechać.

– Ale wy pięknie spaliście – uśmiechnął się uśmiechem właściciela.

– To był sen z dwóch nocy upakowany w jedną – zażartował Ishvar.

– Spójrzcie, ten szubrawiec dalej sobie chrapie. – Gdy zaglądali przez okno, oczy aptekarza otworzyły się znienacka. Subiekt łypnął na trzy twarze rozpląszczone na szybie, obrócił się na drugi bok i ponownie zasnął.

Zapalili w bramie, obserwując pracę zamiataacza ulic, który zbierał niedopałki papierosów i biri z poprzedniej nocy. Jego miotła zakreślała w kurzu schludne wzory. Skończywszy palić, krawcy zwinęli posłanie, zapłacili trzy rupie i odeszli z bagażami, obiecując, że wrócą wieczorem.

Od niesienia kuferka Oma rozboleła lewa ręka, lecz nie zgodził się, by stryj przejął bagaż.

– Nieś na zmianę w prawej i lewej – poradził mu Ishvar. – Ćwicz jedną i drugą, to obie będą mocne.

– To obie będą do niczego. Jak będę wtedy szył?

Przystanęli na stacji, żeby się umyć, a następnie pośpieszyli do Vishram Vegetarian Hotel na herbatę i bułeczkę.

– Nie było was wczoraj – powiedział kasjer i kelner w jednej osobie.

– Nie mieliśmy czasu. Szukaliśmy czegoś do wynajęcia.

– Teraz to człowiek może za tym całe życie schodzić – wtrącił kucharz ze swojego kąta, przekrzykując huk błękitnych płomieni kuchni.

Om dostrzegł w oknie dużą podobiznę pani premier, której wcześniej tam nie było, a obok drugi afisz, z tekstem 20 Postanowień.

– Macie nową klientkę?

– To nie klientka tylko bóstwo opiekuńcze – wyjaśnił kasjer. – Interes wymaga jej błogosławieństwa. To taka obowiązkowa pudża.

– Że niby jak?

– Dzięki temu, że tu jest, nie wybijają mi okien i nie spalą baru, kumasz?

Krawcy pokiwali głowami. Opowiedzieli kasjerowi i kucharzowi o tym, jak zaciągnięto ich na mityng pani premier, a tamci śmiali się, słuchając opowieści o śmigłowcu, płatkach róż, balonie i kartonowym posągu.

•

Po pierwszej nocy twardego snu sprawdziły się prognozy stróża na temat nocnych zakłóceń. Dozorca przeproszał za każdym razem, kiedy potrząsał nimi, by ich zbudzić. Jego system wartości nie znał podlejszego postępku nad pozbawianie bliźniego jedzenia albo snu. Pomógł odsunąć posłanie, by otworzyć drzwi i, z senną głową Oma na jednym ramieniu i Ishvarem ciężko wspartym na drugim, pocieszał ich, gdy potykali się w ciemnościach.

Krawcy burczeli, gdy klienci oczekiwali na swoje leki.

– Czemu ci wszyscy ludzie chorują tylko w nocy? – sarkał Ishvar. – Czemu nas prześladują?

– Głowa mnie boli – jęczał Om.

Stróż delikatnie potarł mu czoło.

– Jeszcze chwilka. Jeszcze tylko dwie minuty, zgoda? A potem będziecie sobie bardzo, bardzo spokojnie spali. Obiecuję, już nie pozwolę żadnym klientom, żeby wam przeszkadzali. – Ale raz po raz musiał łamać swoją obietnicę.

Później dowiedzieli się o wybuchu epidemii czerwonki – w okolicy sprzedano skażone mleko. Gdyby krawcy byli na miejscu w ciągu dnia, przekonaliby się, że choroba jest bezstronnym złodziejem, który uderza zarówno w blasku słońca, jak i w ciemnościach. Zmarło pięćdziesięciu pięciu dorosłych i osiemdziesięcioro troje dzieci, poinformował ich stróż, który posłyszał oficjalne dane od aptekarza; ten wyjaśnił mu, że szczęśliwie była to czerwotka bakteryjna, a nie poważniejsza odmiana amebowa.

Krawcy przybyli do pracy na granicy omdlenia, z przekrwionymi i podkrążonymi oczami, taszcząc pościel i kuferek. Zaległości w pracy narastały. Nienaganne ściegi Ishvara często błędziły na manowce. Om ze swoją zeszywniałą ręką miał kłopot ze zrobieniem czegokolwiek. Rytm singerów się załamał. Już nie artykułowały ściegów w długich eleganckich frazach, a wypluwały je z siebie dychawicznie, jak flegmę z zapchanych płuc.

Dina wyczytywała zmianę na gorsze z ich wycieńczonych twarzy. Martwiła się ich zdrowiem i nadchodzącym terminem – jedno łączyło się z drugim jak syjamskie bliźnięta. Kuferek ciążył jej na sumieniu.

Tamtego wieczoru widok Oma mocującego się, by unieść swoje brzemię, targnął nią tak, że omal nie zaproponowała, by zostawili kuferek. Maneck obserwował ją stojąc w progu i wyczekując w napięciu, aż to powie. Ale inne obawy przeważały i słowa nie padły.

– Zaczekajcie, pójdę z wami – powiedział Maneck, wybiegając na werandę. Om zaprotestował słabo, później oddał mu kuferek.

Dina poczuła ulgę – a przy tym gniew i żal. Miło z jego strony, że pomógł, pomyślała. Tylko jak to zrobił. Poszedł sobie bez słowa, a ona wyszła na osobę bez serca.

•

– Proszę bardzo, oto nasze nowe miejsce do spania – powiedział Om. – A to gospodarz – dodał, przedstawiając stróża.

Ten zaśmiał się, zapraszając ich gestem. Zbili się ciasno na schodkach i, pałac, obserwowali ulicę.

– Jaki tam ze mnie gospodarz? Nawet nie mogę wam zapewnić dobrego snu w nocy.

– Nie twoja wina – powiedział Om. – To wszystko przez tę chorobę. A jak by tego było mało, to jeszcze ciągle śnią mi się koszmary.

– Mnie też – dorzucił Ishvar. – Noce są pełne hałasów, kształtów i cieni. Aż strach człowieka bierze.

– Siedzę tutaj z moją laską – powiedział stróż. – Czego macie się bać?

– Trudno to nazwać – odrzekł Ishvar, pokaszując i gasząc biri.

– Powinniśmy wrócić do naszej wioski i tyle – powiedział Om. – Mam po dziurki w nosie takiego życia. Pełniemy od jednego kłopotu do drugiego.

– A co, wołałbyś biegać? – Ishvar ścisnął koniuszek biri, by upewnić się, że żar wygasł, a następnie wetknął go z powrotem do paczki. – Cierpliwości, bratanku. Gdy przyjdzie pora, wrócimy.

– Gdyby czas był belą materiału – powiedział Om – wyciąłbym wszystkie niedobre kawałki. Odkroiłbym koszmarnie noce i pozszywał w jedno ładniejsze fragmenty, żeby czas stał się znośny. A potem wkładałbym to jak płaszcz i zawsze żył szczęśliwie.

– Też bym chciał taki płaszcz – powiedział Maneck. – Ale które części byś wyciął?

– Jak rząd zniszczył nasz dom, to na pewno – odparł Om. – I pracę u pani Diny.

– Hoi-hoi – napomniał go Ishvar. – A bez niej skąd by się wzięły pieniądze?

– Dobra, to zachowajmy dni wypłaty i wywalmy resztę.

– I co dalej?

– Zależy, jak daleko chcesz się cofnąć.

– Do początku. Aż do dnia, kiedy się urodziłeś.

– Za dużo tego, brachu. Tyle spraw do wycięcia, że nożyce by się stępiły. I zostałyby bardzo mało tkaniny.

– Ależ wy głupoty wygadujecie, chłopaki – zachnął się Ishvar. – Skuliście się gańdzą, czy co?

Wieczorne niebo pociemniało, budząc latarnie. Poszarpany, czarny latawiec runął z dachu, pikując jak agresywny kruk, aż się wystraszyli. Om złapał go, ale zobaczywszy, że jest całkiem zniszczony, wypuścił go z ręki.

– Niektóre rzeczy trudno rozdzielić nożyczkami – powiedział Maneck. – Dobre i złe łączą się ze sobą, o tak – splótl ciasno palce.

– Co na przykład?

– Moje góry. Są piękne, ale schodzą z nich lawiny.

– To prawda. Jak nasze herbatki w Vishramie – też są dobre. Ale jak widzę panią premier przy oknie, to mnie brzuch boli.

– Mieszkanie na naszym osiedlu też było dobre – podsunął Ishvar. – Śmiesznie było mieszkać koło Rajarama.

– Tak – przyznał Om. – Ale jak człowiek musiał się zrywać w połowie srania, bo przejeżdżał pośpieszny, to był koszmar.

Roześmiali się, a Ishvar razem z nimi, choć upierał się, że taka sytuacja zdarzyła się tylko raz.

– To był nowy pociąg. Nawet Rajaram o nim nie słyszał. – Odchrząknął i splunął. – Ciekawe, co się z nim stało?

Bezdomni zaczęli wyłaniać się spośród gęstniejącego mroku. Na chodnikach pojawiały się ni stąd, ni zowąd kartony, plastik, gazety i koce. W ciągu paru minut stłoczone ciała zawłaszczyły cały chodnik. Piesi dostosowywali się do nowej topografii, ostrożnie krocząc przez pole ramion, nóg i twarzy.

– Mój ojciec narzeka, że w naszych rodzinnych stronach zrobiło się bardzo tłoczno i brudno – powiedział Maneck. – Powinien przyjechać i to zobaczyć.

– Przyzwyczailby się – orzekł stróż. – Tak jak ja. Człowiek patrzy na to dzień w dzień i w końcu przestaje zauważać. Zwłaszcza jeśli nie ma wyboru.

– Nie znasz mojego ojca. On by dalej gderał.

Ishvarem znów wstrząsnął atak kaszlu i stróż zaproponował, by poprosić aptekarza o lekarstwo.

– Nie stać mnie.

– Idź i poproś. Ma specjalny system dla ubogich. – Otworzył drzwi, by go wpuścić.

Tym, którzy nie mogli pozwolić sobie na całą buteleczkę, aptekarz sprzedawał lekarstwa na łyżki lub tabletki. Ubodzy wdzięcznie przyjmowali ten szczególny model dystrybucji, a aptekarz liczył sobie nawet sześciokrotność pierwotnej ceny, różnicę zaś chował do kieszeni.

– Otwórz usta – polecił Ishvarowi i zręcznie wlał mu łyżkę Glycodin Terp Vasaka.

- Smaczne – powiedział Ishvar, oblizując wargi.
 - Przyjdź jutro wieczorem po następną porcję.
- Stróż spytał Ishvara, ile mu policzono za dawkę leku.
- Pięćdziesiąt pajs – odpowiedział krawiec, a dozorca zanotował w pamięci, by upomnieć się o swoją działkę.

•

Przez trzy kolejne dni kuferek wisiał w dłoni Oma podczas marszu od stróża do Diny Dalal. Odległość była krótka, lecz dźwigany ciężar ją wydłużał. Ręka zdrewniała mu od ramienia do nadgarstka, a dłoń nie dawała rady przesuwac tkaninę. Aby dokładnie podawać materiał żarłocznej igle, należało używać obu rąk: prawa spoczywała przed stopką, lewa za nią.

- Sparaliżowało mnie od tego kufra – powiedział, dając za wygraną.

Dina przyglądała mu się. Jej współczucie było nieme, lecz nie martwe. Mój zwawy wróbelek naprawdę nie miewa się dziś dobrze, ciągnie za sobą zranione skrzydełko, pomyślała. Już nie podskakuje i nie ćwierka, skończyło się wyklócanie i arogancja.

Poranek wypełniły splątane nici i koślawe szwy. Wtem pośród tego rozgardiaszu rozległ się dzwonek do drzwi. Dina wyszła na werandę, żeby wyjrzeć i wróciła bardzo rozzłoszczona.

- Ktoś o was pyta. Przerzywa nam pracę w środku dnia.

Zaskoczony i skruszony Ishvar pośpieszył do drzwi wejściowych.

– To ty! – wykrzyknął. – Co się stało? Przyszliśmy wtedy wieczorem na osiedle. Gdzie byłeś?

– Namaskar – odpowiedział Rajaram, składając dłonie. – Bardzo mi głupio, ale co robić. Dostałem nową pracę, potrzebowali mnie od zaraz, musiałem iść. Ale mój pracodawca ma więcej miejsc, powinniście się zgłosić.

Ishvar wyczuł, że gdzieś za jego plecami Dina próbuje podsłuchać.

- Spotkajmy się później – powiedział i podał mu adres apteki.

– Zgoda, przyjdę tam dziś wieczorem. I ten... słuchaj, możesz mi pożyczyć dziesięć rupii? Do czasu, aż mi zapłacą?

– Mam tylko piątkę – Ishvar wręczył mu pieniądze, zastanawiając się, czy nawyk pożyczania u Rajarama nie staje się uciążliwy. Poprzedni dług nadal nie został uregulowany. Nie należało mu mówić, gdzie pracujemy, pomyślał. Wrócił do singera i powiedział Omowi o ich gościu.

– Co mnie obchodzi Rajaram, ja tu umieram. – Wyciągnął obolałą lewą rękę. Była delikatna jak porcelana.

Ten gest sprawił, że Dina w końcu zmiękła i wyjęła buteleczkę Amrutanjan Balm.

– Chodź, to ci pomoże – powiedziała.

Om potrząsnął głową.

– Dina-bai ma rację – rzekł Ishvar. – Zaraz ci to wetrę.

– Ty szyj, ja to zrobię – zaprotestowała. – Inaczej palce będą ci pachnieć balsamem i zapach przejdzie na sukienkę. – A poza tym, pomyślała, jeśli i on zacznie marnotrawić czas, to równie dobrze mogą iść na żebry, żeby uzbierać na czynsz za przyszły miesiąc.

– Sam sobie nałożę – powiedział Om.

Dina odkorkowała butelkę.

– Nie zwracaj głowy tylko zdejmuj koszulę. Czego się wstydzisz? Mogłabym być twoją matką.

Om niechętnie rozpiął guziki, odsłaniając podziurawiony podkoszulek. Jak ser szwajcarski, pomyślała Dina. Nad krawcem unosiła się słono-kwaśna woń. Dina wytrząsnęła z butelki ciemnozieloną kroplę i poczynając od ramienia, rozsmarowała zimny balsam w kierunku łokcia lodowatymi pociągnięciami jednego palca. Om wzdrygnął się. Chłód podniósł mu włoski na skórze. Potem Dina wzięła się do masowania, a smarowidło zaczęło wydzielać ciepło, aż poczuli pieczenie – on na ramieniu, ona na dłoni. Gęsia skórka zmniejszyła się i znikła.

– I jak? – spytała, ugniatając mięśnie.

– Raz zimno, raz gorąco.

– Na tym polega urok balsamu. Tak miłe zhumzhum^[142] się robi. Poczekaj chwilę, zaraz ból przejdzie.

Woń jego ciała utonęła w silnym zapachu balsamu. Jaka gładka skóra, pomyślała. Jak u dziecka. I prawie nie ma włosów, nawet na ramionach.

– I jak teraz?

– Dobrze. – Nacieranie sprawiało mu przyjemność.

– Boli cię gdzieś jeszcze?

Zakreślił ruch od łokcia po nadgarstek.

– Tu wszędzie.

Dina wytrząsnęła następną kroplę mazidla i roztarła mu na przedramieniu.

– Weź sobie trochę, jak będziesz szedł wieczorem i nałoż przed pójściem do łóżka. Jutro ręka będzie jak nowa.

Poszła do kuchni, do zakurzonej półki przy oknie. Wspięła się na palce, ale jej wzrok nie sięgał tak wysoko. Szperająca dłoń wysunęła pudełko, na którym wszystko się opierało. W dół poleciały rozmaite przedmioty: deska i wałek, tarka do kokosów z okrągłym, ząbkowanym ostrzem, tłuczek i moździerz.

Dina uchyliła się przed lawiną, a narzędzia kuchenne z hukiem spadły na podłogę. Krawcy biegiem wpadli do kuchni.

– Dina-bai! Nic się pani nie stało? – Pokręciła głową. Była nieco roztrzęsiona,

lecz zrobiło jej się przyjemnie, gdyż na twarzy Oma dostrzegła przez chwilę troskę, którą młody krawiec niezwłocznie ukrył.

– Może byśmy zawiesili półkę trochę niżej – zaproponował Ishvar, pomagając jej odłożyć wszystko na miejsce. – Wtedy mogłaby pani dosięgnąć.

– Nie, wystarczy jak odłożysz. Nie używałam tych rzeczy od piętnastu lat. – Znalazła to, czego po omacku szukały jej palce: rolkę papieru woskowanego, w który zwykła zawijać drugie śniadanie dla Rustoma. Zdmuchnęła kurz, oddarła kwadrat wielkości chusteczki do nosa i zielonymi maźnięciami przeniosła nań trochę Amrutanjanu.

– Proszę – powiedziała, składając arkusik w małą trójkątną paczuszkę – Nie zapomnij zabrać swojej balsamicznej samosy.

– Dziękujemy – zaśmiał się Ishvar, usiłując skłonić Oma, by i on podziękował. Om ani myślał, ale okrucuch wdzięczności, jaką odczuwał, wypchnął mu na twarz słaby uśmiech.

Wieczorem, kiedy wychodzili, Dina poruszyła kwestię kuferka.

– Dlaczego nie zostawiacie go tam, gdzie śpicie?

– Tam nie ma miejsca.

– To równie dobrze możecie zostawić tu. Nie ma sensu dźwigać takiego ciężaru wte i wewte.

Na tę propozycję Ishvar nie posiadał się ze szczęścia.

– Co za uprzejmość, Dina-bai! Jesteśmy tacy wdzięczni! – Między tylnym pokojem a werandą podziękował jej sześć razy, składając dłonie, uśmiechając się promiennie i kiwając głową. Om i tym razem zachował większą powściągliwość w szafowaniu wdzięcznością. Kiedy zamykały się drzwi, wyrwało mu się ciche mruknięcie – „dziękuję”.

– Widzisz? Ona nie jest taka zła, jak myślisz.

– Zrobiła to, bo jej zależy na pieniądzach z mojej krwawicy.

– Nie zapominaj, że wtarła ci balsam.

– Niech nam zapłaci porządnie, to sami sobie kupimy balsam.

– Tu nie chodzi o kupowanie, Omprakash. Ja chcę żebyś zapamiętał wcieranie.

•

Rajaram przyjechał do apteki na rowerze, co zaimponowało Omowi.

– Ścisłe rzecz biorąc, nie należy do mnie – powiedział zbieracz włosów. – Dali mi go do pracy.

– Co to za praca?

– Dziękuję za nią swoim gwiazdom. Tamtej nocy, po tym, jak zburzono osiedle, spotkałem faceta z mojej wioski. Pracuje dla nadzorcy slumsów, prowadzi jedną z maszyn do rozjeżdżania domów. Powiedział mi o nowej pracy i następnego dnia

zaprowadził mnie do urzędu. Zatrudnili mnie od ręki.

– I co robisz, rozwalasz domy?

– Nie, w życiu. Pracuję jako motywator przy Programie Planowania Rodziny. W biurze dają mi ulotki do roznoszenia.

– To wszystko? A płaca dobra?

– Zależy. Dostaję jeden posiłek, miejsce do spania i rower. Jako motywator muszę jeździć po mieście i tłumaczyć, na czym polegają procedury stosowane przy kontroli urodzin. Płacą mi prowizję za każdą osobę, którą namówię do operacji.

Powiedział, że taki układ mu odpowiada. Jeśli zbierze dziennie dwie wazektomie albo jedno podwiązanie jajowodów, zarobi tyle samo, co jako zbieracz włosów. Jego odpowiedzialność kończy się, gdy kandydaci podpiszą formularze i zostaną zapędzeni do kliniki. Ograniczeń nie było, nadawał się każdy, młody i stary, żonaty i kawaler. Lekarze nie wybrzydali.

– Koniec końców wszyscy są zadowoleni – powiedział Rajaram. – Pacjenci dostają prezenty, mnie płacą, lekarze wyrabiają swoje normy. A wszystko to w służbie narodu – małe rodziny to szczęśliwe rodziny, kontrola urodzeń jest najważniejsza.

– Ile operacji zebrałeś do tej pory? – spytał Ishvar.

– Na razie żadnej, ale to dopiero cztery dni. Ciągłe pracuję nad stylem, musi być mocny i perswazyjny. Nie martwię się, jestem pewien, że mi się uda.

– Wiesz co? – powiedział Om. – W takiej pracy mógłbyś dalej na boku wykonywać swój stary zawód.

– Jak niby? Za mało czasu na zbieranie włosów.

– Jak przyprowadzasz pacjentów do kliniki, to lekarz goli im brody między nogami?

– Nie wiem.

– Bankowo – stwierdził Om. – Zawsze golą przed operacją. Więc możesz zebrać wszystkie włosy i sprzedać.

– Ale nie ma popytu na takie krótkie, kręcone włosy.

Om prychnął śmiechem, a Rajaram załapał, co się święci.

– Nabijasz się ze mnie, szubrawcu – zarechotał. – Ale posłuchajcie, biuro szuka więcej motywatorów. Powinniście się jak najszybciej zgłosić.

– Krawiectwo nam odpowiada – odrzekł Ishvar.

– Przecież mówiliście, że ta kobieta jest nieznośna i was oszukuje.

– Trudno, to jest fach, którego nas nauczył ćaća Ashraf. A o byciu motywatorami nie mamy pojęcia.

– To tylko drobna przeszkoda. W Centrum Planowania Rodziny was nauczą. Nie bójcie się zmiany, to wielka szansa. Miliony potencjalnych klientów. Już ja

wam mówię, planowanie rodziny to branża, która się będzie rozwijać.

Ale wysiłki Rajarama, by przekonać krawców i stróża, spełzły na niczym. Podniósł rower i zbierał się do odjazdu.

– A może któryś z was jest zainteresowany wazektomią? Mogę szepnąć słówko tu i tam i załatwić wam specjalne warunki. Dostaniecie podwójne prezenty.

Nie przyjęli propozycji.

– A tak przy okazji, co z tymi włosami w naszym kufierku? – spytał Ishvar.

– Możecie je jeszcze chwilę przechować? Jak mi się skończy okres próbny na motywatora, to się pozbędę tych warkoczy.

Zamachał i zniknął na końcu ulicy, dzwoniąc na pożegnanie rowerowym dzwonkiem. Om stwierdził, że ta praca brzmi poniekąd ciekawie.

– I wspaniale byłoby mieć rower.

Zdaniem Ishvara tylko ktoś taki jak Rajaram, kto umie mleć swoim długim, zuchwałym ozorem, może odnieść sukces jako motywator.

– I jeszcze mówi nam, że się boimy zmiany. Co on o tym wie? Czy opuścilibyśmy nasze rodzinne strony i jechali tutaj taki szmat drogi, gdybyśmy się bali zmiany?

Stróż przyznał mu rację.

– Tak czy owak żaden człowiek nie ma w tej materii wyboru. Wszystko się zmienia, czy nam się to podoba, czy nie.

•

Wieczorem Dina raz po raz podchodziła, żeby popatrzeć na podniszczony kuferek krawców. Maneck obserwował ją z rozbawieniem, zastanawiając się, jak długo go zatrzyma.

– Mam nadzieję, że jesteś zadowolony – powiedziała po kolacji. – A teraz módl się, żeby moja dobroć nie obróciła się przeciw mnie.

– Niech się ciocia przestanie tak zamartwiać. Jak by miała się obrócić przeciwko cioci?

– Mam ci wszystko wyjaśnić od nowa? Zrobiłam to wyłącznie dlatego, że ten biedny chudy krawczyzna wygląda coraz bardziej jak ten odrapany kufer. Tobie się wydaje, że jestem dla nich niemiła, że mnie nie obchodzą ich problemy. Jak ci powiem, to sobie pomyślisz, że to dziwne, ale kiedy wychodzą wieczorem, to tęsknię za nimi – za ich gadaniem, szyciem, i za ich żartami.

Maneck bynajmniej nie uważał, że to dziwne.

– Mam nadzieję, że jutro z ręką Oma będzie lepiej.

– Jedno jest pewne: nie symulował. Jak dotknęłam jego mięśni przy nakładaniu balsamu, to wiedziałam, że go boli. Mam doświadczenie w masowaniu. Mój mąż cierpiał na chroniczne bóle pleców.

W tamtych czasach używała Sloane's Liniment, który, jak wyjaśniła, był skuteczniejszy od Amrutanjan Balm, a sam dotyk jej palców wystarczył, by spięte mięśnie jej męża się rozluźniły.

– Rustom powiadał, że magia moich rąk działa lepiej niż przeciwskurczowy zastrzyk domięśniowy wykonany przez lekarza.

Wyciągnęła dłoń przed sobą i obejrzała ją z nostalgią.

– Te palce mają dobrą pamięć. Ciągłe pamiętają, jak to było, kiedy mięśnie Rustoma się rozluźniały. – Opuściła dłoń. – Mimo bólu pleców uwielbiał rower. Jak tylko miał okazję, to zaraz wskakiwał na niego i odjeżdżał.

Do chwili, gdy przyszła pora, by się kłąć, Dina opowiadała o Rustomie: jak się poznali i jak zareagował ten pajac, jej brat; później o ślubie. Oczy jej lśniły, a Maneck był wzruszony opowieścią. Nie umiał jednak pojąć, czemu gdy jej słucha, znów czuje, jak przygniata go znajomy ciężar rozpacz, gdy tymczasem ona rozkoszuje się swymi wspomnieniami.

[139] Mogolskie – pochodzące z epoki Wielkich Mogołów, muzułmańskiej dynastii, która od XVI do XVIII wieku sprawowała władzę na znacznej części subkontynentu indyjskiego.

[140] *Bilkul* – oczywiście.

[141] *Salwar-kamiz* – tradycyjny strój kobiet w północno-wschodnich Indiach, składający się z *salwar* (luźnych spodni, szarawarów) i *kamiz* (długiej do kolan tuniki). *Ghagra-ćoli* – strój kobiecy składający się z długiej spódnicy i bluzeczki. *Baby-baba clothes* – ubranka dla dzieci.

[142] *Zhumzhum* (hindi, gudżarati, marathi i in.) – przyjemne uczucie ciepła i rozluźnienia.

8 UPIĘKSZANIE

Minął mniej więcej tydzień. Alchemia czasu sprawiła, że w uszach krawców nocne hałasy z ulicy przed apteką zmieniły się w kojące tło. Koszmary już nie zatruwały ich snu. Cienie i zakłócenia – wrzask bukmacherów wykrzykujących wylosowane o północy numery z gry matka^[143], pełne zachwytu porykiwania zwycięzców, skowyt psów, pijacy spleceni w śmiertelnym uścisku ze swymi demonami, łoskot skrzynek z mlekiem, zatraskiwane drzwiczki furgonetek z piekarni – wszystko to przekształciło się w bicie wiernego zegara, odmierzającego kolejne godziny.

– Mówiłem wam, że nie ma co się bać ulicy – rzekł stróż nocny.

– Racja – przyznał Ishvar. – Hałasy są jak ludzie. Jak je człowiek pozna, to stają się przyjazne.

Sińce pod ich oczami znikwały, zaczęli lepiej pracować, sen stał się przyjemnością. Ishvarowi śniło się wesele w ich wiosce. Żona Oma była piękna. Om zaś śnił o ich porzuconych slumsach. Shanti i Om, trzymając się za ręce, nieśli wodę z punktu czerpania, a potem uganiali się po leżącym odłogiem polu, które teraz kipiało od kwiatów i motyli. Śpiewali i tańczyli wokół drzew i kochali się, lecąc na czarodziejskim dywanie z chmur. Skosili z karabinów maszynowych sierżanta Kesara i jego wrednych policjantów oraz nadzorcę slumsów i przywrócili mieszkańcom baraków miejsce, które im się sprawiedliwie należało.

Nowy plan dnia krawców obracał się wokół apteki. Wychodząc po skończonym dniu z mieszkania Diny, zabierali z kuferka czyste ubrania. Mydło i szczotki do zębów nosili przy sobie. Po kolacji w Vishramie prali odzież w toalecie dworcowej i suszyli ją w bramie apteki. Za sznur do bielizny służyły im druty starej instalacji elektrycznej. Kiedy spali, spodnie i koszule falowały niczym wartownicy bez kończyn i głów, a w wietrzne noce tańczyły na drucie, podobne przyjaznym widmowym linoskoczkom.

Aż pewnej nocy na ulicę zawitały obce odgłosy. Z rykiem wjechały na nią policyjne jeepy i ciężarówka. Wozy zaparkowały naprzeciw apteki. Sierżant Kesar krótkimi szczeknięciami wydał dyspozycje swoim podwładnym; pałki posterunkowych zadudniły głucho o kartony, które dawały schronienie ludziom śpiącym wzdłuż jezdni; ciężkie kroki w regulaminowych butach załomotały o chodnik.

Hałasy te wdarły się do snu krawców niczym złowrodzy intruzi. Ishvar i Om

obudzili się drząc jak po koszmarze i przycupnęli bojaźliwie za plecami stróża.

– Co się dzieje? Co tam widzisz? – wypytywali go.

Stróż wyjrzał zza rogu bramy.

– Zdaje się, że budzą wszystkich żebraków. Biją ich i ładują na ciężarówkę.

Krawcy otrząsnęli się ze snu i sami wysunęli głowy, by popatrzeć.

– To naprawdę jest sierżant Kesar – powiedział Om, przecierając oczy. – Myślałem, że znowu mi się śnią nasze dźhopadpatti.

– Ten drugi gość, ten obok sierżanta Kesara, też wygląda znajomo – zauważył Ishvar.

Mały człowieczek o urzędniczej aparycji podskakiwał jak królik u boku policjanta, pociągając nosem, gdyż dokuczał mu potężny katar. Od czasu do czasu odcharkiwał śluz, po czym łykał go na powrót. Om wychylił się ostrożnie.

– To ten facet, co chciał nam sprzedać kartki na żywność za dwieście rupii – ten ułatwiacz.

– Masz rację. I dalej kaszle i kicha. Cofnij się, bezpieczniej nie wyłazić.

Ułatwiacz prowadził ewidencję na kartce wspartej na podkładce, licząc ludzi ładowanych na ciężarówkę.

– Sekundeczkę, panie sierżancie – zaprotestował. – Niech pan na nią spojrzy, przecież to kompletna kaleka. Pan ją zostawi.

– Pilnuj pan swojej pracy – odparł sierżant Kesar – a ja będę robić swoje. A jak masz pan za dużo czasu, to popraw pan sobie patrzalki.

– Dziękuję – powiedział ułatwiacz, a jego dłoń błyskawicznie uniosła się, by powstrzymać zjeżdżające okulary. W drodze powrotnej palce zebrały dyndającą mu z nosa perlę. Była to płynna sekwencja gestów.

– Niech mnie pan posłucha – siąknął. – W tym stanie z tej żebraczki nie będzie żadnego pożytku.

– W zasadzie mówiąc to nie moja sprawa. Muszę słuchać rozkazów. – Tego wieczoru sierżant Kesar uznał, że jego praca robi się z dnia na dzień coraz cięższa i postanowił nie tolerować żadnych bzdur. Spędzanie tłumów na wiece polityczne mogło ujść. Zgarnianie podejrzanych na mocy UUBW też było w porządku. Ale demolowanie slumsów, ulicznych straganów i dźhopadpatti burzyło jego wewnętrzny spokój. W następstwie nowej, postępowej polityki rozwiązywania problemu żebractwa, którą sformułowali jego przełożeni, musiał wywozić bezdomnych na podmiejskie pustkowia. Z tych eskapad wracał nieszczęśliwy, upijał się, wymyślał żonie i bił dzieci. Teraz jego sumienie zaczęło wracać do zdrowia i nie zamierzał pozwolić, by ten zasmarkany idiota wprowadzał mu jakieś komplikacje.

– Ale na co mi ona? – zaoponował ułatwiacz. – Co za robotnica będzie z takiej kaleki?

– A pan w kółko jedno i to samo – powiedział sierżant Kesar, zatykając kciuki za czarny skórzany pas, nad którym dominowała obfita krągłość jego brzucha. Był miłośnikiem westernów z Clintem Eastwoodem. – Niech pan nie zapomina, że oni wszyscy będą pracować za darmo.

– Nie tak znowu darmo, sierżancie. Już pan swoje nalicza od główki.

– Jak pan ich nie chcesz, to inni wezmą. W zasadzie mówiąc, mam po dziurki w nosie pańskiego jójczenia co noc. Nie mogę panu dobierać zdrowych okazów – to nie targ bydłęcy. Dostałem jasny rozkaz: oczyścić ulice. To bierzesz ich pan czy nie?

– Tak, w porządku. Ale niech pan przynajmniej powie swoim ludziom, żeby bili ostrożniej, żeby krew nie leciała. Bo potem będzie mi bardzo trudno ich gdzieś ulokować.

– A, tu się z panem zgodzę – odrzekł sierżant Kesar. – Ale spokojna pana głowa, moi chłopcy są porządnie wyszkoleni. Oni wiedzą, jakie to ważne, by bić tak, żeby nie było śladu.

Łapanka trwała. Policjanci skutecznie wykonywali swoje zadanie, dźgając, szturchając i rozdzielając kopniaki. Żadna przeszkoda nie mogła ich spowolnić, ani wrzaski, ani wycia, ani komiczne pogroźki pijaków i wariatów.

Beznamiętna postawa policjantów przypomniała Ishvarowi zamiatacza ulic, który o piątej rano zjawiał się, by sprzątnąć.

– O nie – wzdrygnął się, gdy drużyna dotarła do rogu ulicy. – Gonia tego biedaczyne na kółkach.

Beznogi żebrak porwał się do ucieczki. Odpychana dłońmi od ziemi platforma mknęła naprzód. Ubawieni policjanci zagrzewali go, chcąc zobaczyć, jaką szybkość mogą rozwinąć jego kółka. Pod apteką uciekinierowi zabrakło sił. Dwóch posterunkowych zaniósło go na ciężarówkę razem z platformą.

– Przyjrzyjcie mu się tylko! – krzyknął zdenerwowany ułatwiacz. – Ani palców, ani stóp, ani nóg – świetna będzie z niego siła robocza!

– Rób pan z nim, co pan chcesz – powiedział jeden z posterunkowych.

– Jak go pan nie potrzebuje, to pan go wyrzuci za miastem – dodał drugi. Lekkie pchnięcie i platforma potoczyła się, aż stuknęła o przednią ściankę skrzyni ciężarówki.

– Co wy wygadujecie, niby jak mam to zrobić? Muszę się rozliczyć ze wszystkich – odpowiedział ułatwiacz, po czym, przypomniawszy sobie ultimatum sierżanta Kesara, spojrzął ostrożnie przez ramię, przygryzając skuwkę swego długopisu – słyszał czy nie słyszał? Aby zatrzeć niestosowność poprzedniej wypowiedzi, dla odmiany dał wyraz postawie ugodowej. – Ślepi są w porządku. Ślepotą to nie problem, mogą robić różne rzeczy rękami. Dzieci też, jest dla nich wiele drobnych prac.

Posterunkowi zlekceważyli go, zaprzątnięci pościgiem za swoją zwierzyną. Po początkowej panice, bezdomni szli posłusznie. Większość miała za sobą podobne łapanki pod sklepami lub domami mieszkalnymi, których rezydenci przekonali policję przy wsparciu drobnego bakszyszu, by usunęła to, co było im solą w oku. Czasem policjanci własnoręcznie kierowali tam żebraków, a następnie skwapliwie wyczekiwali na lukratywne zlecenie zlikwidowania zawady.

Bezdomnych ustawiono w szeregu koło ciężarówki, policzono ich i zażądano, by podali imiona, które ułatwiacz notował na swojej kartce razem z płcią, wiekiem i stanem fizycznym. Jeden stary mężczyzna nie odpowiadał: imię tkwiło zatrzaśnięte w jego głowie, tylko klucz się zapodział. Policjant wymierzył mu policzek i spytał ponownie. Za każdym ciosem szpakowata głowa odskakiwała na bok.

Znajomi starca próbowali pomóc, wykrzykując różne imiona, którymi go nazywali.

– Barfi! Bewda! Cztery-Dwadzieścia^[144]!

Ułatwiacz wybrał Barfięgo i zapisał go w ewidencji. Przy rubryce z wiekiem zdał się na przybliżoną ocenę na podstawie wyglądu.

Pijani i chorzy psychicznie byli nieco trudniejsi w obsłudze. Nie chcieli ruszyć się z miejsca, wyrzaskiwali obelgi – zwykle bezładne – i rozśmieszali policjantów. Potem jeden pijak zaczął dziko wymachiwać pięściami.

– Wściekle psy! – krzyczał. – Kurwa wasza zawszona mać!

Posterunkowi przestali się śmiać i runęli na niego z pałkami; kiedy upadł, przestawili się z pałek na buty.

– Stop, proszę, przestańcie – zaklinał ich ułatwiacz. – Jak on będzie pracował, jak mu połamiecie kości?

– Pan się nie martwi, to twarde sztuki. My sobie połamiemy pałki, a oni będą dalej cali i zdrowi. – Nieprzytomnego pijaka rzucono na pakę ciężarówki. Na chodniku dalszą dyskusję zawieszono przy pomocy pałowania po nerkach oraz, w skrajnych wypadkach, tłuczenia w głowę.

– To nie są niewidoczne obrażenia – ułatwiacz zwrócił się z protestem do sierżanta Kesara. – Niech pan spojrzy, ile krwi!

– Czasem to konieczne – odparł sierżant Kesar, ale upomniał swoich ludzi, by trzymali w ryzach gorliwość, bowiem w przeciwnym razie nie obejdzie się bez lekarzy, bandaży i raportów medycznych i praca potrwa całą noc.

Krawcy nadal chowali się w bramie koło apteki i zastanawiali się, jak przebiega akcja.

– Odjeżdżają? Skończyli?

– Na to wygląda – powiedział stróż, a dźwięk odpalanych silników potwierdził jego słowa. – Dobra nasza, możecie z powrotem iść spać.

Sierżant Kesar i ułatwiacz sprawdzili ewidencję.

– Dziewięćdziesiąt cztery – rzekł ten drugi. – Potrzebuję jeszcze dwóch, żeby wypełnić normę.

– W zasadzie mówiąc, kiedy mówiłem o ośmiu tuzinach to chodziło mi o przybliżoną liczbę. Jedną ciężarówkę. Nie rozumie pan? Jak mam z góry przewidzieć, ilu złapiemy?

– Ale ja się umówiłem ze zleceniodawcą na osiem tuzinów. Pomyśli sobie, że go oszukuję, mam rację? Nie może pan poszukać jeszcze dwóch?

– Zgoda – westchnął sierżant Kesar. – Znajdźmy jeszcze dwóch.

Nigdy więcej nie będzie robić interesów z tym typkiem. Jęczy i skamle bez przerwy jak zbity pies. Gdyby w grę nie wchodziły opłaty za lekcję gry na sitarze dla jego córki, bez chwili wahania cisnęłoby w diabły te zlecenia po godzinach. Nie dość, że musiał się zadawać z szumowiną pokroju ułatwiacza, to jeszcze praca do późnej nocy uniemożliwiała mu wstawanie przed świtem w celu odbycia godzinnych ćwiczeń jogicznych, jak to miał w zwyczaju. Nic dziwnego, pomyślał, że się ostatnio zrobił taki krewki. I jeszcze ta nadkwasota. Ale co robić? Zadbanie o poprawę matrymonialnych widoków dziecka było jego obowiązkiem.

Krawcy i stróż posłyszeli odgłos zbliżających się kroków i dudniących pałek. Dwie sylwetki, pozbawione twarzy jak ich cienie, zajrzały do bramy.

– Kto tu jest?

– Proszę się nie przejmować, wszystko jest w porządku, jestem stróżem nocnym, a...

– Zamknąć papę i wyłazić! Wszyscy! – Cierpliwość sierżanta Kesara została pochłonięta przez ułatwiacza.

Stróż podniósł się ze stołka, uznał, że rozsądniej będzie odłożyć pałkę, i wyszedł na chodnik.

– Nie bójcie się – skinął na krawców, by też wystąpili – wytłumaczę im.

– Nie robimy nic złego – powiedział Ishvar, zapinając koszulę.

– W zasadzie mówiąc, spanie na ulicy jest łamaniem prawa. Zbierajcie bety i na ciężarówkę.

– Ale sahibie komisarzu, my tu spaliśmy tylko dlatego, że pana ludzie przyjechali z maszynami i zburzyli nasze dźhopadpatti.

– Co? Mieszkaliście w dźhopadpatti? Dwa przestępstwa nie dają plusa, co najwyżej podwójną karę.

– Ale sahibie komisarzu – wmieszał się stróż – nie może pan ich zaarrestować, oni nie spali na ulicy, znajdowali się w tej...

– Nie wiesz, co znaczy zamknąć papę? – spytał sierżant Kesar. – To zaraz się dowiesz, co znaczy zamknąć w pace. Spanie w miejscu nieprzeznaczonym do spania jest nielegalne. To jest brama, a nie miejsce przeznaczone do spania. I kto

mówi, że ich aresztujemy? Rząd nie zwariował, żeby latać po mieście i ładować żebraków do więzienia. – Przerwał nagle, zastanawiając się, dlaczego wygłasza tę mowę, skoro pałki jego podwładnych przyniosłyby szybsze efekty.

– Ale my nie jesteśmy żebrakami! – powiedział Om. – Jesteśmy krawcami, niech pan popatrzy na te długie paznokcie, do równego łączenia szwów. Pracujemy u...

– Jak jesteście krawcami, to zaszyjcie sobie usta. Starczy tego. Na ciężarówkę!

– On nas zna – Ishvar wskazał na ułatwacza. – Mówił, że może nam sprzedać kartki na żywność za dwieście rupii, płatne w ratach i...

– O co chodzi z tymi kartkami na żywność? – spytał sierżant Kesar, obracając się.

Ułatwacz potrząsnął głową.

– Zdaje się, że pomylili mnie z jakimś kanciarzem.

– To byłeś ty! – krzyknął Om. – Kichałeś i kaszlałeś, i glutu ci wisiały z nosa tak jak teraz!

Sierżant Kesar kiwnął na posterunkowego. Pałka opadła na łydki Oma. Krawiec zawył z bólu.

– Nie, proszę, nie trzeba bić – łagodził stróż. – Już w porządku, będą posłuszni.

– Poklepał krawców po plecach. – Nie bójcie się, to na pewno pomyłka, wyjaśnicie ludziom, którzy tym dowodzą i was wypuszczą.

Posterunkowy ponownie uniósł pałkę, ale Ishvar i Om zaczęli zwijać pościel. Stróż uściskał obu, zanim policjanci ich odprowadzili.

– Wracajcie szybko, będę dla was trzymał miejsce.

Ishvar podjął ostatnią próbę.

– Naprawdę mamy pracę, nie jesteśmy żebrakami...

– Zamknij pysk. – Sierżant Kesar był pochłonięty obliczaniem swoich zarobków za połowę tej nocy, a arytmetyka nie była jego mocną stroną. Wtręt zmusił go do liczenia od nowa.

Krawcy wdrapali się na pakę, klapę zatrzaśnięto, zasunięto rygiel. Policjanci wyznaczeni do eskortowania transportu zajęli miejsca w jeepie. Ułatwacz skończył rozliczać się z sierżantem Kesarem i zasiadł na siedzeniu obok kierowcy ciężarówki.

Ciężarówka niedawno służyła na budowie i jej wnętrze było obklejone grudkami gliny. Zbłąkany żwir na podłodze dźgał ludzki ładunek. Część tych, którzy stali, zatoczyła się i runęła na kupe, kiedy kierowca wrzucił wsteczny, by nawrócić i z powrotem wjechać na drogę, którą przybył. Policyjny jeep ruszył tuż za nim.

•

Jechali przez resztkę nocy, która im pozostała, bezustannie obijając się o siebie

na dziurach i wybojach. Najgorzej miał żebrak na kółkach, którym ciskano na miejsce za każdym razem, gdy się na kogoś potoczył. Uśmiechnął się niepewnie do krawców.

– Często widzę was na moim chodniku. Daliście mi dużo monet.

Ishvar machnął ręką, że nie ma o czym mówić.

– A może byś zszedł ze swojego gadi^[145]? – zaproponował. Przy pomocy Oma żebrak wysunął spod siebie platformę. Jego sąsiedzi odetchnęli z ulgą. Bezwładny jak worek cementu kaleka tulił deskę do piersi pozbawionymi palców dłońmi i kołysał ją na kusym podółku, drżąc mimo ciepłej nocy.

– Dokąd oni nas wiozą?! – wrzasnął, przekrzykując ryk silnika. – Strasznie się boję! Co z nami będzie?

– Nie martw się, niedługo się dowiemy – uspokajał Ishvar. – Skąd wytrzasnąłeś taki ładny gadi?

– Mistrz cechu żebraków mi dał. W prezencie. To bardzo miły człowiek. – Strach nadawał jego przenikliwemu głosowi jeszcze bardziej przeszywające tony. – Jak on mnie teraz znajdzie? Przyjdzie jutro po pieniądze i pomyśli sobie, że uciekłem!

– Jak popyta ludzi, to ktoś mu powie o policji.

– I tego właśnie nie rozumiem. Dlaczego policja mnie zabrała? Mistrz płaci im co tydzień – wszyscy jego żebracy mogą pracować i nikt ich nie napastuje.

– To byli inni policjanci – wyjaśnił Ishvar. – Z policji do spraw upiększania. Jest teraz nowa ustawa, że miasto ma być piękne. Może oni nie znają twojego mistrza.

Tamten potrząsnął głową na tak absurdalną sugestię.

– Are babu, wszyscy znają mistrza cechu żebraków. – Zaczął majstrować przy rolkach, kręcenie kółkami dodawało mu otuchy. – Ten gadi to nowy jest. Niedawno go dostałem. Stary się rozbił.

– Jak? – zapytał Om.

– Wypadek. Miałem kawałek z górki i wyrzuciło mnie z chodnika. Prawie że zniszczyłem czyjś samochód. – Zaśmiał się, wspominając tamto zdarzenie. – Ten nowy jest dużo lepszy. – Zaproponował Omowi, by dokonał inspekcji kólek.

– Bardzo gładkie – powiedział Om, sprawdzając jedno kciukiem. – A co ci się stało w nogi i ręce?

– Nie wiem dokładnie. Zawsze tak było. Ale się nie skarżę. Dostaję jeść do syta, do tego mam zarezerwowane miejsce na chodniku. Mistrz dba o wszystko. – Przyjrzał się bandażom na swoich rękach i zaczął je odwijać przy użyciu ust, co uciszyło go na kilka minut. Był to proces powolny i żmudny, wymagający dużo ruchów szyją i szczęką.

Odsłoniwszy dłonie, podrapał się w nie, pocierając o posłanie krawców. Rozkoszna szorstkość juty złagodziła świąd. Potem jął na nowo wiązać bandażę,

powtarzając pracochłonną procedurę w odwróconym porządku. Om ze współczuciem ruszał głową – góra, dół, dookoła, ostrożnie, tak, jeszcze raz w kółko – aż zreflektował się i zrobiło mu się głupio.

– Bandaże chronią skórę. Odpycham się rękami, żeby gadi się toczył. Jakbym nie miał bandaży, to by mi się rozkrwawiły o ziemię.

Na tę rzuconą od niechcenia informację Om poczuł się nieswojo. Żebrak mówił dalej, żeby zapomnieć o własnym strachu i niepokoju.

– Nie zawsze miałem gadi. Kiedy byłem malutki, zbyt mały, żeby żebrać na własną rękę, inni obnosili mnie po ulicach. Każdego dnia mistrz mnie wypożyczał. To był ojciec mistrza żebraków, który teraz się mną opiekuje. Był na mnie ogromny popyt. Mistrz powiadał, że przynosiłem mu największe zyski.

Pamięć szczęśliwszych dni zwyciężyła panikę w jego głosie. Wspominał, jak ci, co go wypożyczali, dbali o niego i dawali mu jeść, ponieważ jeśli go zaniedbywali, mistrz spuszczał im łomot i nigdy więcej nie robił z nimi interesów. Na szczęście za sprawą swojego niewielkiego wzrostu aż do dwunastego roku życia wyglądał jak małe dziecko.

– Dziecko, kaleki osesek, dostaje dużo pieniędzy od publiczności. Z ilu to różnych piersi piłem mleko przez te wszystkie lata. – Uśmiechnął się figlarnie. – Chciałbym dalej wędrować w ramionach kobiet z ich słodkimi sutkami w ustach. To lepsza zabawa niż cały dzień tłuc się na platformie, obijać sobie jaja i ścierać pośladki.

Ishvar i Om byli zaskoczeni, potem zaśmiali się z ulgą. Mijać go na chodniku, zamachać, rzucić monetę – to jedno, ale siedzieć obok i dumać nad jego kalectwem – to co innego. Sytuacja bardzo ich przygnębiała, więc byli szczęśliwi, że i on potrafi się śmiać.

– Wreszcie utraciłem swój dziecięcy wzrost i dziecięcą buzię. Stałem się zbyt ciężki do noszenia. Wtedy mistrz puścił mnie w miasto samopas. Musiałem wlec się po ulicach. Na plecach.

Chciał zademonstrować, ale w stłoczonej ciężarówce nie było na to miejsca, więc opisał, jak mistrz przekazał mu technikę. Tak samo szkolił wszystkich innych żebraków, z indywidualnym podejściem, ucząc różnych stylów, w zależności od tego, jaki sprawdzał się najlepiej w danym wypadku.

– Mistrz żartuje, że wydawałby nam dyplomy, gdybyśmy mieli ściany, żeby je wieszać.

Krawcy roześmiali się ponownie, a żebrakowi twarz pojaśniała z zadowolenia. Odkrywał w sobie nowy talent.

– Więc nauczyłem się czołgać na plecach, pomagając sobie głową i łokciami. Szło to powoli. Najpierw popychałem do przodu puszkę, potem wilem się za nią. To było bardzo skuteczne. Ludzie patrzyli z litością i zaciekawieniem. Czasem

małe dzieci myślały, że to zabawa i próbowały mnie naśladować. Dwóch hazardzistów codziennie zakładało się, ile czasu zajmie mi dotarcie do końca chodnika. Udawałem, że nie wiem, co robią. Zwycięzca zawsze wrzucał mi pieniądze do puszek. Ale dotarcie do punktów, które zarezerwował dla mnie mistrz, zabierało mi bardzo wiele czasu. Ranek, południe, wieczór – tłum biurowy, tłum obiadowy, tłum zakupowy. I wtedy postanowił załatwić mi platformę. Taki miły człowiek, nachwalić się go nie mogę. Kiedy mam urodziny, przynosi mi słodycze. Czasami zabiera mnie do prostytutki. Ma w swojej drużynie wielu, wielu żebraków, ale ja jestem jego ulubieńcem. Jego praca jest niełatwa, o tyle rzeczy trzeba się zatroszczyć. Zapłacić policji, znaleźć najlepsze miejsce do zebrania, dopilnować, by nikt go nie zajął. A jak człowiek jest pod opieką dobrego mistrza, to nikt się nie ośmieli go okradać. Kradzieże to największy problem.

Jeden z mężczyzn jadących w ciężarówce wyburczał coś i szturchnął żebraka.

– Skrzeczysz jak kot na ogniu. Nikogo nie obchodzą twoje kłamstwa.

Żebrak zamilkł na kilka minut. Poprawiał bandażę, bawił się kółkami. Senne głowy krawców zaczęły się kiwać. To go zaniepokoiło. Jeśli jego przyjaciele zasną, pozostanie sam wśród mrocznego zamętu przerażającej nocy. Na nowo podjął opowieść, by odpędzić od nich sen.

– Do tego mistrz cechu żebraków musi mieć bardzo bogatą wyobraźnię. Jak wszyscy żebracy są tak samo okaleczeni, to publiczność się przyzwyczaja i nie czuje litości. Publiczność lubi urozmaicenia. Niektóre rany są tak powszechne, że już nie działają. Jak się na ten przykład wydlubie dziecku oczy, to wcale nie jest powiedziane, że zaraz będą większe zyski. Ślepi żebracy są wszędzie. Ale jak dzieciak jest ślepy, bez gałek ocznych, puste oczodoły świecą mu z twarzy i jeszcze mu się oberżnie nos – a, to inna rozmowa, za to każdy zapłaci. Choroby też są przydatne. Duży wrzód na szyi albo na twarzy, ociekający żółtą ropą. To się sprawdza. Czasem zwykli ludzie zostają żebrakami, jak nie mogą znaleźć pracy albo zachorują. Ale to beznadziejne przypadki, nie mają szans z profesjonalistami. Pomyślcie tylko – macie dać komuś monetę i musicie wybrać między mną, a kimś kto ma całe ciało.

Mężczyzna, który szturchnął go wcześniej, odezwał się znowu.

– Ostrzegam cię, małpishonie, zamknij się albo cię stąd wywalę. W takiej chwili nie mamy ochoty wysłuchiwać twoich bredni. Dlaczego nie wykonujesz uczciwego fachu jak my?

– A jaką pan ma pracę? – spytał Ishvar uprzejmie, by uspokoić tamtego.

– Złom zbieram i sprzedaję na wagę. Nawet moja biedna chora żona ma własną robotę. W szmatach robi.

– Bardzo pięknie – powiedział Ishvar. – A my mamy znajomego, który jest

zbieraczem włosów, ale ostatnio zmienił zawód i jest motywatorem, pracuje przy Programie Planowania Rodziny.

– Racja, babu, to wszystko bardzo pięknie – powiedział żebrak. – Ale powiedz mi, zbieraczu złomu, co ja mogę robić bez nóg i bez palców?

– Nie szukaj wymówek. W takim wielkim mieście jak to nawet zwłoki znajdują robotę. Ale człowiekowi musi zależeć i musi na serio szukać. Wy, żebracy, wprowadzacie bałagan na ulicy, a potem wszyscy mają kłopoty z policją, nawet my, ciężko pracujący ludzie.

– O babu, żebracy są potrzebni. Jak bez nich ludzie mają obmyć duszę z grzechów?

– No i co z tego? My się martwimy, jak znaleźć wodę, żeby obmyć dupę!

Dyskusja stała się głośniejsza. Żebrak wrzeszczał piskliwie, zbieracz złomu odpowiadał mu grzmiącym rykiem. Pasażerowie brali stronę jednego lub drugiego. Pijak przebudził się i zaczął obrzucać wszystkich obelgami.

– Zidiociali kozojebcy! Potomstwo obłąkanych osłów! Eunuchy bezwstydn!

Wreszcie harmider sprawił, że kierowca ciężarówki zatrzymał się.

– Nie mogę prowadzić w takich warunkach – poskarżył się. – Będzie wypadek.

W świetle reflektorów ukazał się kamienisty skraj drogi i kępy trawy. W ciężarówce zapadła cisza. Z obu stron szosę spowijała głęboka, nieprzenikniona ciemność – za wąskim poboczem noc mogła skrywać wzgórza, puste pola, gęsty las lub potwory i demony.

Przez strugę światła podszedł policjant, żeby im udzielić ostrzeżenia.

– Jeśli jeszcze raz usłyszę jakiś hałas, to nie zawieziemy was do waszych ładnych nowych domów, tylko damy wam wycisk i wywalimy tutaj, pośrodku dżungli.

Uciszona ciężarówka ruszyła w dalszą drogę.

– O babu, znów bardzo się boję. – Żebrak zaczął pochlipywać, ale niebawem zapadł w stupor wycieńczonego snu.

Krawców odleciał sen. Ishvar zastanawiał się, co się stanie, jeśli nazajutrz rano nie pojawią się w pracy.

– Sukienki znowu się spóźnią, drugi raz w ciągu dwóch miesięcy. Co zrobi Dina-bai?

– Znajdzie nowych krawców i zapomni o nas – odparł Om. – A co ma zrobić?

•

Brzask zabarwił noc na szaro, potem na różowo, gdy tymczasem ciężarówka i jeep skręciły z szosy w drogę gruntową i zatrzymały się przy wjeździe do małej wioski. Pasażerom powiedziano, że mają załatwić potrzeby naturalne. Dla niektórych postój nadszedł zbyt późno.

Żebrak uniósł jeden pośladek, a Om wsunął pod niego platformę. Kaleka podwiosłował do krawędzi ciężarówki i zamachał zabandażowaną dłonią na dwóch policjantów. Ci odwrócili się plecami i zapalili papierosy. Krawcy doskoczyli do niego i opuścili go na ziemię, zaskoczeni tym, jak niewiele waży.

Mężczyźni szli na jedną stronę drogi, kobiety kucaly po drugiej, dzieci kręciły się wszędzie. Najmłodsze były głodne i płakały. Rodzice karmili je z zawiniątek zawierających na wpół zgniłe pomarańcze i banany i inne ochłapy nazbierane poprzedniej nocy.

Ułatwiacz poszedł na zwiady, by załatwić herbatę. Wioskowy ćajwala^[146] rozstawił obok ciężarówki prowizoryczną kuchnię i rozpałił ogień, by podgrzać kociołek wypełniony wodą, mlekiem, cukrem i liśćmi herbaty. Wszyscy wpatrywali się w niego łakomie. Poranne słońce skapywało przez drzewa i wpadało do napoju. Po kilku minutach płyn zagotował się. Podano go w małych glinianych miseczkach.

Tymczasem wieść o przybyszach zwawo obiegła wioskę i mieszkańcy zgromadzili się wokół, by popatrzeć. Dumni byli z tego, z jaką przyjemnością podrozni sączą herbatę. Naczelnik wioski powitał ułatwiacza i zadał zwyczajowe, przyjazne, wiejskie pytania o to kto, dokąd i dlaczego, gotów służyć pomocą i radą.

Ułatwiacz odpowiedział mu, by nie wtykał nosa w nie swoje sprawy i zabrał ludzi z powrotem do chat albo policja ich rozpędzi. Urażony chamskim przyjęciem tłum odszedł.

Herbatę wypito, gliniane miseczki zwrócono ćajwali, który zaczął je rozbijać zgodnie ze zwyczajem. Część bezdomnych instynktownie rzuciła się, by je ratować.

– Niech pan zaczeka, niech pan zaczeka! My je weźmiemy, jeśli pan ich nie chce.

Ale ułatwiacz zabronił.

– Tam, gdzie jedziecie, dostaniecie wszystko, co będzie wam potrzebne.

Kazano im z powrotem wsiadać do ciężarówki. Podczas postoju słońce wspięło się ponad wierzchołki drzew. Poranny skwar szybko zyskiwał przewagę. Ryk odpalanego silnika wystraszył ptaki, które poderwały się z drzew łopoczącą chmurą.

•

Późną porą tego samego dnia ciężarówka przybyła na miejsce robót irygacyjnych, gdzie ułatwiacz wyładował dziewięćdziesięciu sześciu osobników. Kierownik budowy przeliczył ich, a następnie pokwitował odbiór. Plac budowy miał własnych strażników, więc jeep odjechał.

Kapitan straży rozkazał przybyłym, by opróżnili kieszenie, rozpakowali swoje zawiniątka i ułożyli wszystko na ziemi. Dwóch z jego podwładnych przesuwano się wzdłuż szeregu, przeprowadzając rewizję osobistą i badając stertę przedmiotów. Nie musiało to trwać długo, bowiem połowę rewidowanych stanowili półnaczy żebracy, a ich dobytek był skąpy. Ale w szeregu stały też kobiety, więc minęła dłuższa chwila, zanim strażnicy skończyli obszukiwanie.

Zagarnęli śrubokręty, łyżki kuchenne, dwunastocalowy stalowy pręt, noże, kłębek miedzianego drutu, szcypce i kościany grzebień, którego zęby oceniono jako zbyt długie i zbyt ostre. Strażnik poddał grzebień Oma próbie wyginania. Grzebień pękł na pół. Omowi pozwolono zatrzymać dwa kawałki.

– Mój stryj i ja jesteśmy tu przez pomyłkę – powiedział młodszy z krawców.

Strażnik wepchnął go z powrotem do szeregu.

– Jak chcesz się poskarżyć, to pogadaj z brygadzystą.

Najbardziej obdartym wydano krótkie spodnie i koszulki lub halki i bluzki. Żebrak na kółkach dostał jedynie koszulkę, gdyż nic nie pasowało na jego okutany w płótno kadłubek. Ishvar i Om nie otrzymali nowych ubrań, podobnie jak gałganiarka i złomiarz. Ten ostatni, któremu skonfiskowano szereg ostrych przedmiotów, był niepokieszony i uważał to za wysoce niesprawiedliwe. Krawcy byli jednak zdania, że nowe ubrania są marnie uszyte i woleli to, co mieli na sobie.

Przybyszów zaprowadzono do rzędu blaszanych baraków. Każdy miał pomieścić dwanaście osób. Wszyscy rzucili się w szale do najbliższego z identycznych schronów i zaczęli walczyć, by wejść do środka. Strażnik odpędził ich i przydzielał miejsca na chybił trafił. W każdej chacie leżała sterta zrolowanych słomianych mat. Część osób rozwinęła je i położyła się, ale zaraz musiała wstawać. Kazano im odłożyć manatki i stanąć na zbiorce przed brygadzystą.

Brygadzysta był osobnikiem o zaszczutym wyglądzie i pocił się obficie. Powiedział, że wita ich w ich nowych domach. Przez kilka następnych minut opisywał szczodry plan, który rząd wprowadził dla poprawienia doli ubogich i bezdomnych.

– Mamy nadzieję, że skorzystacie z tego planu. Zostały jeszcze dwie godziny pracy, ale dziś możecie odpocząć. Zaczniecie jutro rano.

Ktoś zapytał, ile wynosi pensja i czy wypłaca się ją codziennie, czy raz w tygodniu.

Brygadzysta otarł pot z twarzy, westchnął i spróbował jeszcze raz.

– Nie zrozumieliście, co powiedziałem? Dostaniecie wyżywienie, dach nad głową i ubranie. To wasza pensja.

Krawcy wystąpili naprzód, gdyż śpieszno im było wytłumaczyć, że przy projekcie irygacyjnym wylądowali przez przypadek, ale dwaj urzędnicy pierwsi

podeszli do brygadzysty i poprowadzili go na zebranie. Ishvar uznał, że lepiej go nie gonić.

– Lepiej zaczekajmy do rana – szepnął Omowi. – Teraz jest bardzo zajęty, mógłby się zezłościć. Ale to jasne, że policja pomyliła się w naszej sprawie. To miejsce dla bezrobotnych. Puszczą nas, kiedy się dowiedzą, że pracujemy jako krawcy.

Część ludzi zaryzykowała i położyła się w barakach. Inni woleli rozłożyć maty na zewnątrz. Blaszane ściany przez cały dzień prażyły się w słońcu i w środku panował dziki upał. Chłodniej było w cieniu rzucanym przez daszek z falistej blachy.

O zmierzchu rozległ się gwizdek i robotnicy wrócili od swoich prac. Po pół godzinie zabrzmiał znowu i ruszyli w stronę obozowej stołówki. Nowo przybyłym powiedziano, by szli z nimi. Stanęli w kolejce do kuchni, gdzie wydawano kolację: dal^[147], ćapati, do tego zielona papryczka chili.

– Ten dal to prawie sama woda – stwierdził Om.

Nakładający posłyszał jego słowa i wziął je do siebie.

– A tobie się zdaje, że jesteś w pałacu swojego ojca?

– Nie wycieraj sobie ust moim ojcem – burknął Om.

– Daj spokój, chodźmy – Ishvar odciągnął go na bok. – Jutro powiemy naczelnikowi, że policja się pomyliła.

Zjedli w milczeniu, tak jak wszyscy inni skupiając się na zagrożeniach czyhających w posiłku. Ćapati były zrobione z zapiaszczonej mąki. Kolację co i rusz przerywały odgłosy wypływanych kamyków i innych ciał obcych. Mniejsze kawałeczki, których nie dało się w porę zauważyć, zostały połknięte wraz z jedzeniem.

•

– Powinni byli przyjść ponad godzinę temu – odezwała się Dina do Manecka po śniadaniu.

Znowu się uwzięła na biedaków, pomyślał, zbierając książki, których potrzebował tego dnia na zajęcia.

– Czy to ma aż takie duże znaczenie, skoro im się płaci od sztuki?

– A co ty wiesz o interesach? Tata i mama płacą za ciebie i przysyłają ci kieszonkowe. Poczekaj, aż sam się zaczniesz utrzymywać.

Kiedy wrócił po południu, Dina nerwowo dreptała przy drzwiach. W chwili gdy jego lekko wygięty klucz zachrobotał w zamku, przekreśliła klamkę.

– Cały dzień nie dali znaku życia – poskarżyła się. – Ciekawe, jaką wymówkę znajdą tym razem. Kolejny mityng z panią premier?

W miarę jak popołudnie płynęło ku wieczorowi, jej sarkastyczny ton ustąpił

miejsca niepokoju.

– Przyszły rachunki za prąd i za wodę. Trzeba kupić zapasy jedzenia. A w przyszłym tygodniu Ibrahim zbiera czynsz. Nie masz pojęcia, jaki potrafi być namolny.

Po kolacji jej troski nadal bulgotały jak żołądek dotknięty niestrawnością. Co się stanie, jeśli i jutro nie przyjdą? Jak ma wystarczająco szybko znaleźć dwóch nowych? Nie chodziło jedynie o spóźnioną partię sukienek – kolejna wpadka wzbudzi głębokie niezadowolenie w wyniosłej i potężnej cesarzowej Au Revoir Exports. Tym razem kierowniczka postawi przy jej nazwisku czarny znaczek – „nierzetelna”. Dina pomyślała, że być może powinna pójść do salonu urody Wenus, porozmawiać z Zenobią i poprosić ją, by raz jeszcze skorzystała ze swoich wpływów u pani Gupty.

– Ishvar i Om nie opuściliby dnia pracy ot tak sobie – powiedział Maneck. – Musiało wydarzyć się coś pilnego.

– Bzdety. A co niby było takie pilne, że nie mogli nadłożyć kilku minut, żeby zajrzeć?

– Może poszli obejrzyć pokój do wynajęcia albo coś. Niech się ciocia nie martwi, zapewne przyjdą jutro.

– Zapewne? Zapewne mi nie wystarcza. Ja nie mogę zapewne dostarczyć sukienek, ani zapewne zapłacić za mieszkanie. Ale ty nie masz żadnych zobowiązań, więc zapewne tego nie rozumiesz.

Maneck pomyślał, że jej wybuch był niesprawiedliwy.

– Jeśli nie przyjdą jutro, to pójdę i zapytam, co się stało.

– O! – rozchmurzyła się. – Dobrze się składa, że wiesz, gdzie mieszkają. – Zdawała się nieco spokojniejsza. I dodała: – Chodźmy do nich teraz. Po co się martwić przez całą noc?

– Przecież zawsze ciocia mówi, że nie chce, żeby sobie myśleli, że ciocia nie może się bez nich obyć. Jak tam ciocia pobiegnie w nocy, to zobaczą, że bez nich ciocia jest bezradna.

– Nie jestem bezradna – powiedziała stanowczo. – Jeszcze jedna życiowa przeszkoda, to wszystko.

Postanowiła jednak poczekać do rana i zgodziła się, by Maneck zajrzał do nich przed pójściem do college’u. Była zbyt rozkojarzona, by kontynuować pracę nad kapą; kwadraty i ścinki piętrzyły się na sofie, skrywając swe desenie.

•

Maneck biegł z apteki rozgorączkowany. Przed Vishram Vegetarian Hotel zwolnił, by szybko zajrzeć do środka. Miał nadzieję, że a nuż Ishvar i Om piją poranną herbatę. Pusto. Dysząc wpadł do mieszkania i powtórzył Dinie relację

stróża nocnego.

– To straszne! Myśli, że wzięli ich za żebraków... policjanci zawlekli ich na ciężarówkę... Bóg jeden wie, gdzie teraz są!

– Hmm, rozumiem – odparła, ważąc, ile w tym wszystkim prawdy. – A na ile ich skazano? Tydzień, dwa? – Jeśli ci szubrawcy poszli na próbę do nowej pracy i grają na zwłokę, to tak by się do tego zabrali.

– Nie wiem. – Był tak wstrząśnięty, że nie zauważył ironii w jej pytaniu. – Nie tylko ich wzięli. Policja zgarnęła całą ulicę, wszystkich bezdomnych i żebraków.

– Nie rozśmieszaj mnie, nie ma takiego prawa.

– To nowa polityka, plan upiększania miasta czy coś takiego. W ramach stanu wyjątkowego.

– Jakiego stanu wyjątkowego? Mam już po dziurki w nosie tego głupiego słowa. – Jej sceptycyzm nie ustępował. Wzięła głęboki wdech i postanowiła mówić bez ogródek. – Maneck, popatrz na mnie. Spójrz mi w oczy. – Przynęła twarz bliżej do jego twarzy. – Maneck, nie okłamywałbyś mnie, prawda? Nie okłamałbyś mnie dlatego, że Ishvar i Om są twoimi przyjaciółmi i trzymasz ich stronę?

– Przysięgam na moich rodziców, ciociu! – Odsunął się od niej wstrząśnięty. Potem oskarżenie go rozzłościło. – Nie musi mi ciocia wierzyć, niech sobie ciocia myśli, co chce. I niech mnie na przyszłość ciocia nie prosi, żebym odwalał jej pracę. – Wyszedł z pokoju.

Dina poszła za nim.

– Maneck. – Zignorował ją. – Maneck, przepraszam. Wiesz, jak się denerwuję tym szyciem. Tak mi się wyrwało.

Milczenie trwało chwilę – nie był w stanie dłużej się na nią boczyć.

– W porządku.

Co za miły chłopak, pomyślała, nie chowa długo urazy.

– Od jak dawna oni śpią przed tym, co to było, przed apteką?

– Odkąd zburzono ich dom. Nie pamięta ciocia? Wtedy, kiedy nie pozwoliła im ciocia spać na werandzie.

Obruszyła się, słysząc jego ton.

– Dobrze wiesz, dlaczego musiałam odmówić. Ale skoro ty wiedziałeś, to dlaczego mi nie powiedziałeś, zanim zdarzyło się nieszczęście?

– Załóżmy, że bym powiedział. Co to by zmieniło? Pozwoliłaby im ciocia tu mieszkać?

Uchyliła się od odpowiedzi.

– Nadal trudno mi uwierzyć w tę historię. Może ten stróż kłamie, żeby ich osłaniać. A tymczasem ja będę musiała iść do mojego brata i żebrać o pieniądze na czynsz.

Maneck wyczuwał emocje, które próbowała uporządkować, ukryć, zachować w odpowiednich proporcjach: troskę, poczucie winy, strach.

– Moglibyśmy zapytać na policji – zaproponował.

– A co to da? Nawet jeśli mają krawców, to myślisz, że ich zwolnią z więzienia, bo ja im tak powiem?

– Przynajmniej wiedzielibyśmy, gdzie są.

– W tej chwili bardziej martwię się o sukienki.

– Wiedziałem! Ależ z cioci egoistka! Nic tylko o sobie ciocia myśli! Nie przyjdzie cioci...

– Jak śmiesz! Jak śmiesz tak do mnie mówić!

– Jak dla cioci to oni mogliby zdechnąć! – Poszedł do swojego pokoju i trzasnął drzwiami.

– Jak mi zniszczysz drzwi, to napiszę do twoich rodziców, żeby mi je odkupili, ostrzegam cię!

Zsuł buty i z łomotem opadł na łóżko. Wpół do dziesiątej, spóźni się do college'u. Pal to diabli, i ją też. Starczy tego, nie będzie dłużej starał się być miły. Zerwał się z łóżka i zmienił koszulę na starą, domową, którą wyjął z szafy. Drzwi wyskoczyły z dolnego zawiasu. Wetknął bolec na miejsce i zatrzasnął je.

Znowu osunął się na materac i ze złością przesunął palcem po kwiatowym deseniu wyrzeźbionym w wezłowie z drewna tekowego. Łóżko było bliźniaczą kopią łóżka z pokoju krawieckiego. Ciocia Dina i jej mąż musieli na nich sypiać jedno obok drugiego. Dawno temu. Gdy jej życie było wypełnione szczęściem, a mieszkanie odgłosami śmiechu i miłości. Zanim stało się milczące i zapuszczone.

Słyszał, jak miota się w sąsiednim pokoju, czuł rozpacz w jej krokach. A ledwie tydzień temu, po tym jak dała Omowi balsam Amrutanjan, praca układała się tak dobrze. Masaż ręki, który mu zrobiła, wprowadził ją w dobry nastrój, zaczęła snuć wspomnienia o plecach męża, o ich życiu.

Wszystkie sprawy, o których opowiadała Maneckowi, powróciły teraz, by wypełnić jego pokój: czarowne wieczory recitalowe i wynurzanie się z nich u boku Rustoma w pachnącą noc, gdy na ulicach panowała cisza – tak, mówiła, że w owych czasach miasto było piękne, a chodniki czyste, nie zaanektowane jeszcze przez bezdomnych i, tak, na niebie widać było wtenczas gwiazdy, kiedy ona i Rustom spacerowali brzegiem morza, wsłuchując się w nieskończony szum fal, lub po Wiszących Ogrodach, wśród szepczących drzew, planując swój ślub i życie, obmyślając i snując plany, całkowicie nieświadomi, co im gotuje przeznaczenie.

Z jakąż czułością ciocia Dina hołubiła swe wspomnienia. Mama i tatko byli tacy sami, tak samo rozmawiali o swych minionych dniach ze słodko-gorzkim uśmiechem, dobierając kolejny obrazek, kolejny kadr z przeszłości, i wpatrując

się weń miłośnie, zanim na powrót zniknął we mgle. Ale nikt nigdy nic nie zapomina, tak naprawdę to nie, choć czasem ludzie udają, gdy im tak pasuje. Wspomnienia są wieczne. Te pełne zgryzoty pozostają smutne nawet z upływem czasu, a szczęśliwych nigdy nie da się wskrzesić – nie z taką samą radością. Wspominanie rodzi własny osobliwy żal. Wydało mu się to strasznie niesprawiedliwe: że czas obraca zarówno smutek, jak i szczęście w źródło bólu.

Na co więc komu pamięć? Nie pomaga w niczym. W ostatecznym rachunku nie ma żadnej nadziei. Starczy popatrzeć na mamę, tatę i ich sklep. Albo na życie cioci Diny. Albo na akademik i Avinasha. A teraz na biednych krawców, Ishvara i Oma. Ile by człowiek nie wspominał szczęśliwych dni, ile by nie tęsknił i pogrążał się w nostalgii – na biedę i cierpienie nie wpłynie to nic. Nic. Można kochać, troszczyć się, dbać, dzielić, a na koniec nie zostaje nic, nic.

Maneck zaczął szlochać, a klatka piersiowa unosiła mu się ciężko, gdy z wysiłkiem próbował stłumić płacz. Wszystko się kończy źle. A pamięć tylko to pogarsza, pastwiąc się i drocząc z nami. Chyba że. Chyba że się postrada rozum. Lub popelni samobójstwo. Tabliczka wytarta do czysta. Koniec wspomniania, koniec cierpienia.

Biedna ciocia Dina, ileż przeszłości wciąż nosi w sobie, chociaż ludzi się, że przedmiotem jej dumania są szczęśliwe wspomnienia. A teraz te problemy z szyciem, z czynszem, z pieniędzmi na jedzenie...

Zawstydził się wcześniejszego napadu złości. Wstał z łóżka, włożył koszulę w spodnie, osuszył oczy i poszedł do tylnego pokoju, gdzie Dina miotła się w więzieniu nieukończonych sukienek.

– Na kiedy ma je ciocia dostarczyć? – spytał szorstko.

– O, wróciłeś? Na pojutrze. Do południa. – Uśmiechnęła się do siebie. Przewidywała, że Maneck będzie się dąsać przez godzinę, a wychynał po trzydziestu minutach. – Oczy ci błyszczą. Przeziębłeś się?

Potrząsnął głową.

– Zmęczony jestem i tyle. Pojutrze – czyli dwa dni. Dużo czasu.

– Dla dwóch wprawionych krawców sporo. Nie dla mnie samej.

– Pomogę cioci.

– Nie rozśmieszaj mnie. Ty i szycie? I ja z moimi oczami? Nie widzę na tyle, żeby przełożyć palec przez obrączkę, a co dopiero nic przez ucho igielne.

– Mówię poważnie, ciociu.

– Ale tu chodzi o sześćdziesiąt sukienek, sześć-dzie-siąt. Prawda, że trzeba je tylko obrębić i poprząszyć guziki, ale to ciągle dużo pracy. – Podniosła jedną. – Widzisz tu w talii, te fałdki? To się nazywa „marszczenie”. Talia mierzy – rozpostarła centymetr – tylko dwadzieścia sześć cali. Ale z powodu marszczenia dół ma, zaraz zobaczymy, sześćdziesiąt pięć cali, do obszycia ręcznie. Na to

potrzeba wiele...

– A skąd będą wiedzieli, jeśli ciocia to obrębi na maszynie?

– Różnica jest jak między nocą a dniem. Do tego osiem guzików na każdą sukienkę. Sześć z przodu i po jednym na każdym rękawie. Dla kogoś takiego jak ja to godzina pracy. Łącznie sześćdziesiąt godzin.

– Mamy czterdzieści osiem godzin do oddania towaru.

– Jeśli nie będziemy jeść, spać, ani chodzić do łazienki to tak.

– Możemy przynajmniej spróbować. Może ciocia zawieźć tyle, ile uda się skończyć i wymówić się, że krawcy zachorowali albo coś.

– Jeśli naprawdę chcesz pomóc...

– Chcę.

Zaczęła szykować materiały.

– Dobry z ciebie chłopiec, wiesz? Twoi rodzice mają wielkie szczęście, że trafił im się taki syn. – Potem obróciła się gwałtownie. – Zaraz, zaraz – a co ze szkołą?

– Nie ma dziś wykładów.

– Hmm – odparła z powątpiewaniem, dobierając nić. Zanieśli sukienki do frontowego pokoju, w którym było lepsze światło. – Nauczę cię przyszywać guziki. To prostsze niż rąbki.

– Jak ciocia chce. Ja się szybko uczę.

– No to zobaczymy. Najpierw odmierzasz i zaznaczasz punkty kredą, w linii prostej. To jest najważniejszy etap, inaczej przód wyjdzie koślawo. Całe szczęście, że to zwykle popelinowe sukienki, a nie śliski atlas jak w zeszłym miesiącu.

Objaśniła mu kolejne etapy, podkreślając, że ściegi w guzikach z czterema dziurkami winny być poprowadzone równoległe, nie na krzyż.

Przymierzył się do następnej sukienki.

– Ech, żeby tak znowu mieć młode oczy – westchnęła, kiedy poślinił nitkę i nawłókł igłę. Trafienie na ślepo w dziurkę od guzika wymagało trochę dźgania igłą, ale Maneck skończył w przyzwoitym czasie i triumfalnie obciął nić.

Dwie godziny później uporali się razem z szesnastoma guzikami i obrębili trzy sukienki.

– Widzisz, ile to trwa? – powiedziała Dina. – A teraz muszę przerwać, żeby zrobić obiad.

– Nie jestem głodny.

– Głodny nie jesteś, wykładów nie masz. Bardzo dziwny dzień.

– Ale to prawda, ciociu. Niech ciocia da spokój z obiadem, naprawdę nie jestem głodny.

– A ja to co? Wczoraj tak się zamartwiałam, że nie zjadłam ani kęska. Przynajmniej dziś należy mi się jakaś przyjemność?

– Najpierw praca, potem przyjemność – uśmiechnął się z twarzą opuszczoną

nad guzikiem i zerkając na nią z ukosa.

– Zachciewa ci się być moim szefem, co? – spytała z udaną surowością. – Jak nie zjem, to nie będzie ani pracy, ani przyjemności. Zemdleję nad igłą i nitką i tyle będzie.

– Zgoda, ja się zajmę obiadem. A ciocia niech dalej obrębia.

– Prawdziwa pani domu się z ciebie robi. Co to będzie? Chleb z masłem? Herbata i grzanki?

– Niespodzianka. Zaraz wrócę.

Zanim wyszedł z mieszkania, naszykował sześć nawleczonych igieł, aby jej oczy nie musiały się zmagać z małymi srebrnymi uszkami.

•

– Kto to widział tak marnować pieniądze? – ofuknęła go Dina. – Przecież twoi rodzice płacą mi za twoje wyżywienie.

Maneck przełożył aleti-paleti^[148] z restauracji A-1 do miski i zaniósł je na stół.

– To za moje kieszonkowe. Mogę je wydawać, jak mi się spodoba.

Nieodparcie kuszące kawałki kurzej wątróbki i żołądków pływały w gęstym, pikantnym sosie. Dina pociągnęła nosem, nachylając się nad miską.

– Mmm, ten sam zapach. To dlatego Rustom najbardziej tam lubił jadać. Tylko w A-1 dają taki treściwy sos – w innych miejscach przyrządzają to danie zbyt suche. – Zanurzyła łyżkę, uniosła do ust i kiwnęła głową. – Przepyszne. Moglibyśmy dodać odrobinę wody, a smak wcale się nie popsuje. W ten sposób starczy i na obiad, i na kolację.

– Zgoda. A to specjalnie dla cioci – wręczył jej torbę.

Pomacała w środku i wyjęła pęczek marchwi.

– Chcesz, żebym to dla nas ugotowała?

– Nie, to nie dla nas – to dla cioci, do zjedzenia na surowo. Dobre na oczy. Zwłaszcza, że będą teraz bardzo zapracowane.

– Dziękuję, ale wolę nie.

– Bez marchewki nie ma aleti-paleti. Musi ciocia zjeść co najmniej jedną do obiadu.

– Jeśli ci się wydaje, że będę jadła surowe marchewki, to oszalałeś. Nawet moja matka nie umiała mnie do tego zmusić. – Kiedy szykowała stół, Maneck oskrobał średniej wielkości marchew, obciął końcówki i położył obok jej talerza.

– Mam nadzieję, że to dla ciebie – powiedziała.

– Bez marchewki nie ma aleti-paleti. – Uparł się, że nie poda jej miski. – Ja ustanawiam zasady. Dla cioci dobra.

Zaśmiała się, ale kiedy patrzyła, jak je, ślina napłynęła jej do ust. Złapała warzywo za cieńszy koniec, jak gdyby miała palnąć go nim w głowę i ugryzła

mściwie. Maneck przysunął jej miszkę, uśmiechając się szeroko.

– Mój ojciec mówi, że jego jedno oko jest równe parze oczu u większości ludzi, ponieważ regularnie je marchewki. „Marchewka z rana to ślepotą przegnana”, tak twierdzi.

Podczas posiłku Dina krzywiła się za każdym razem, kiedy chrupała warzywo.

– Całe szczęście, że mamy to pyszne aleti-paleti. Bez sosu ten surowy błonnik stanąłby mi w gardle.

– I jak? – spytał Maneck, gdy skończyli jeść. – Poprawił się cioci wzrok?

– Na tyle, żebym cię przejrzała, mały nicponiu.

Po obiedzie szycie ruszyło z kopyta, ale późnym popołudniem Dinie zaczęły ciążyć powieki.

– Muszę zrobić przerwę na herbatę. Zgoda, szefie?

– Ale tylko piętnaście minut, niech ciocia pamięta. Ja też poproszę filiżankę.

Dina poszła do kuchni, uśmiechając się i kręcąc głową.

•

O dziewiętnastej jej myśli zwróciły się ku kolacyjnym obowiązkom.

– To aleti-paleti, co czeka w kuchni, sprawia, że zgłodniałam wcześniej niż zwykle. A ty jak myślisz? Teraz czy czekamy do ósmej?

– Kiedy ciocia woli – wymamrotał, ściskając między wargami nienawleczoną igłę. Odwinał kawałek nici z kłębka.

– No ładnie! Pierwszy raz szyje, a już się zachowuje jak zwariowany krawiec! Wyjmuj to z ust, ale już, zanim połkniesz!

Odłożył igłę, nieco zakłopotany. Dina trafiła w sedno – usiłował naśladować zawadiacką manierę, z jaką Om wtykał sobie w usta szpilki, igły, żyłki, nożyczki, brawurowo konfrontując ostre, niebezpieczne przedmioty z miękką, bezbronną wargą.

– Jak się wytłumaczę twojej matce, jeśli jej zwrócę syna z igłą w żołądku?

– Na Oma nigdy ciocia nie krzyczała, jak to robił.

– To co innego. On jest wyćwiczony, dorastał wśród krawców.

– Wcale nie, on pochodzi z rodziny rymarzy.

– Na jedno wychodzi – umieją się posługiwać różnymi narzędziami, kroić i szyć. A zresztą nie powinnam była mu pozwalać. Jego usta mogą krwawić równie dobrze jak twoje. – Wyszła do kuchni, a on pracował dalej, aż kolacja była gotowa.

W połowie posiłku przypomniała sobie, co powiedział o krawcach.

– Byli rymarzami? Skąd ta zmiana?

– Prosił mnie, żebym nikomu nie mówił. Chodzi o ich kastę. Bali się, że będą źle traktowani.

– Mnie możesz powiedzieć. Nie wierzę w te głupie zwyczaje.

Maneck zrelacjonował więc pokrótce historię, którą Ishvar i Om przekazali mu w kawalkach i odcinkach, w ciągu wielu tygodni, nad miseczkami z herbatą w Vishram Vegetarian Hotel – o ich wiosce, o właścicielach ziemskich, którzy całe życie pomiatali ćamarami, o chłostach, biciu i zasadach, do których przestrzegania zmuszano kasty niedotykalnych.

Dina przestała jeść i bawiła się widelcem. Z łokciem na stole oparła podbródek na ściśniętej w kułak dłoni. Maneck ciągnął dalej. Widelec wysliznął się pomiędzy jej palców i ze szczękiem upadł obok talerza. Dotarłszy do morderstwa rodziców, dzieci i dziadków, Maneck zakończył pośpiesznie.

Dina podniosła widelec.

– Nie wiedziałam... Nie myślałam... Wszystkie te gazetowe historie o tym szaleństwie z wyższymi i niższymi kastami i teraz nagle tak blisko. W moim własnym domu. Po raz pierwszy tak naprawdę poznałam tych ludzi. Boże mój, jakie straszne, straszne cierpienie. – Potrząsnęła głową, jak gdyby nie mogła uwierzyć.

Próbowała jeść dalej, ale straciła apetyt.

– W porównaniu z nimi moje życie to wyłącznie pasmo wygod i szczęścia. A teraz znowu są w tarapatach. Mam nadzieję, że wrócą bezpiecznie. Ludzie powtarzają, że Bóg jest wielki, że Bóg jest sprawiedliwy, ale ja tam nie wiem.

– Bóg umarł – powiedział Maneck. – Tak napisał jeden niemiecki filozof.

Dina była zbulwersowana.

– A czego tu się spodziewać po Niemcach? – zmarszczyła czoło. – Wierzysz w to?

– Kiedyś wierzyłem. Dziś wolę myśleć, że Bóg jest twórcą ogromnej kapy o nieskończonej liczbie deseni. I że kapa stała się tak wielka i skomplikowana, że nie da się w niej już dojrzeć żadnego porządku. Kwadraty, romby i trójkąty przestały do siebie pasować, wszystko straciło sens. Więc Bóg porzucił pracę nad kapą.

– Ależ ty czasami bredzisz, Maneck.

Gdy Dina sprzątała ze stołu, Maneck otworzył okno kuchenne i zamiauczał. Resztki chleba i aleti-paleti poleciały na zewnątrz. Oby tylko nie były zbyt mocno przyprawione dla kotów, pomyślał wracając do pokoju krawieckiego, gdzie wziął do ręki następną sukienkę i upomniał ciocię Dinę, by się pośpieszyła.

– Zwariował chłopczyzna. Pięciu minut nie da mi poleżeć po kolacji. Jestem starą kobietą, a nie takim szczeniaczkiem jak ty.

– Wcale nie jest ciocia stara. Przeciwnie, jest ciocia całkiem młoda. I piękna – dodał śmiało.

– A pan coś się robi za bardzo cwany, panie Mac – odpowiedziała, nie umiejac

ukryć zadowolenia.

– Jedno mnie tylko gnębi.

– Co takiego?

– Dlaczego ktoś, kto wygląda tak młodo, brzmi tak staro i ciągle gdera.

– Ty szubrawcu. Najpierw mi pochlebiasz, a potem mnie obrażasz. – Zaśmiała się, fastrygując rąbek i unosząc sukienkę, by sprawdzić, czy brzeg jest równy. Poprawiając brzeżki, powiedziała: – Teraz widzę pożytek z długich paznokci, które mają krawcy. Ty się naprawdę z nimi zaprzyjaźniłeś, co? Opowiadają ci wszystko o swoim życiu na wsi.

Podniósł na chwilę oczy i wzruszył ramionami.

– Siedzieli tutaj dzień w dzień, pracowali i nie powiedzieli mi ani słowa. Dlaczego?

Znów wzruszył ramionami.

– Przestań gadać ramionami. Twój Bóg od wielkiej kapy przyszył ci w ustach język. Dlaczego z tobą rozmawiali, a ze mną nie?

– Może się cioci bali.

– Bali się mnie? Nonsens. Jeżeli już, to ja się ich bałam. Że dotrą do firmy eksportowej i mnie wyrugują z interesu. Albo że znajdą sobie lepszą pracę. Czasami bałam się nawet wytykać im pomyłki – sama poprawiałam ich błędy nocą, kiedy wyszli. Z jakiego powodu mieliby się mnie bać?

– Myśleli, że znajdzie ciocia lepszych krawców i ich zwolni.

Przez chwilę zastanawiała się w milczeniu.

– Szkoda, że mi tego nie powiedziałaś wcześniej. Mogłabym ich uspokoić.

Znów wzruszył ramionami.

– To by nic nie zmieniło, ciociu. Mogła ich ciocia uratować, jedynie dając im miejsce do spania.

Dina cisnęła szycie.

– W kółko to powtarzasz! Proszę, mów jeszcze, nie przejmuj się moimi uczuciami! Powtarzaj to, aż oślepnę z poczucia winy!

Igła wynurzyła się przez guzik i Maneck ukłął się w palec.

– Aj!

– Mów dalej, bezwzględny chłopcze! Powiedz, że ja jestem za to odpowiedzialna, powiedz, że zostawiłam ich na ulicy, bo nie mam serca!

Maneck żałował, że nie może cofnąć słów, które ją zraniły. Dina majstrowała przy rąbku i kaszłała, jakby się czymś zakrztusiła. Zabrzmiało mu to jak kaszel obliczony na przyciągnięcie uwagi, więc przyniósł jej szklanekę wody.

Wypiła.

– Miałeś rację co do marchewek. Teraz widzę dużo lepiej.

– To cud! – Uniósł ręce w teatralnym geście, a ona się uśmiechnęła. – Moje

nowe wcielenie to Wielki Marchewkowy Guru Maharyszi. Wszyscy optycy zbankrutują!

– Oj, przestań się wygłupiać – powiedziała, dopijając wodę do końca. – Zaraz ci powiem, co widzę lepiej. Kiedy miałam dwanaście lat, mój ojciec wyruszył do pracy na tereny objęte epidemią. Matka bardzo się martwiła. Chciała, żebym go powstrzymała – tak się składa, że byłam jego ulubienicą. Potem mój ojciec zmarł, kiedy tam pracował. Matka wyrzucała mi, że gdybym posłuchała jej rady, być może bym go uratowała.

– To nie było sprawiedliwe.

– Było i nie było. Tak jak twoje słowa.

Maneck zrozumiał.

•

Dina wstała, uniosła szklaną kureę, która przysiadła na warsztacie, i schowała w jej porcelanowych wnętrznościach napałek, nożyczki i igłę.

– Gdzie ciocia idzie?

– A jak myślisz, na wesele? Już dziesiąta, idę do łóżka.

– Ale skończyliśmy dopiero szesnaście sukienek. Norma na dziś to dwadzieścia dwie.

– Proszę, proszę, znalazł się pan kierownik.

– Mój plan jest taki, że dziś robimy dwadzieścia dwie, jutro trzydzieści i osiem pojutrze, tak żeby do południa całość była gotowa.

– Minutkę, łaskawco. A co ze szkołą jutro i pojutrze? Co ze studiami? Coś mi się zdaje, że dyplomu z chłodnictwa nie dają za przyszywanie guzików.

– Odwołali wykłady na najbliższe dwa dni.

– Aha, a trzeciego dnia ja wygram na loterii.

– Niech ciocia da spokój. Nigdy mi ciocia nie wierzy. – Szył dalej, wzdychając boleśnie i z miną męczennika przewlekając igłę, jakby nić była żelaznym łańcuchem. – W porządku, ja jeszcze popracuję, niech ciocia idzie do łóżka.

– Mam przegapić twój oscarowy występ?

Upuścił guzik, jęknął i schylił się, by go podnieść, macając palcami niczym starzec.

– Niech ciocia idzie odpocząć. O mnie proszę się nie martwić – skinął jej drżąca ręką.

– Mówiłeś, że dobry z ciebie aktor, ale nie myślałam, że aż tak dobry. Zgoda, skończmy jeszcze jedną sukienkę.

Licytacja była otwarta, Maneck podniósł się żwawo.

– Potrzebujemy jeszcze sześciu, by wykonać dzisiejszą normę.

– Daj mi spokój z tymi swoimi normami. Powiedziałam „jedną”.

– To w takim razie co najmniej trzy.

– Dwie sukienki, moje ostatnie słowo. Ale najpierw muszę przynieść coś z kuchni.

Wróciła po chwili, niosąc w każdej ręce parujący kubek, i postawiła jeden obok niego.

– Horlicks^[149]. Na orzeźwienie. – Na poparcie swoich słów wypila łyk i wyprostowała się na krześle, z ramionami odciągniętymi w tył i promiennym uśmiechem.

– Głos ma ciocia jak z reklamy – powiedział. – Nie potrzebujemy nawet zawodowej modelki, tak ładnie ciocia wygląda.

– Nie myśl sobie, że za pochlebstwa będziesz to dostawać codziennie. Nie stać mnie.

Dmuchając i sącząc łyk po łyku, dokończyli wśród śmiechów następne dwie sukienki. Około północy okno Diny było ostatnim w całym budynku, w którym wciąż paliło się światło. Późna godzina, cisza spowijająca ulice za oknem, mieszkanie pogrążone w ciemnościach – wszystko to dodawało ich niewinnemu zajęciu konspiracyjnego nastroju.

– To razem daje osiemnaście – powiedziała Dina, kiedy skończyli po północy. – Te palce nie są już w stanie zrobić ani jednego ściegu. Możemy się teraz położyć, szefie?

– Jak tylko będą porządnie złożone.

– Tak jest, panie Macu Kohlah.

– Błagam, nie znoszę tego imienia.

Kiedy rozchodzili się do siebie, uściskała go i szepnęła:

– Dobranoc. I dziękuję za pomoc.

– Dobranoc, ciociu – odpowiedział i radośnie podryfował do łóżka.

•

Na godzinę przed brzaskiem ostry gwizd położył kres nocy, podrywając robotników z jej ciemnego krzepiącego łona. Wychynęli z blaszanych chat i powlekli się w stronę miejsca, gdzie wydawano posiłki. Dwa bezpańskie psy obwąchały zakurzone stopy, po czym, straciwszy zainteresowanie, chyłkiem podkradły się do kuchni. Do herbaty podano ćapati z zeszłego wieczoru. Następny gwizdek obwieścił rozpoczęcie pracy.

Nowo przybyłych zgromadzono osobno, a brygadzista przydzielił im zajęcia. Praca znalazła się dla każdego z wyjątkiem żebraka na platformie z kółkami.

– Zostań tutaj – powiedział mu brygadzista. – Potem zdecyduję, co z tobą.

Oma przydzielono do sześciuosobowego zespołu mającego kopać nowy rów. Zadanie Ishvara polegało na noszeniu żwiru do punktu, gdzie mieszano beton.

Brygadzysta dotarł do końca listy i wynędniała armia rozeszła się pod kierunkiem nadzorców na swoje stanowiska. Krawcy odczekali, aż wszyscy znikną.

– Sahibie, zaszła pomyłka – powiedział Ishvar, zbliżając się do brygadzysty ze złożonymi dłońmi.

– Jak nazwisko?

– Ishvar Darji i Omprakash Darji.

Brygadzysta ponownie odczytał przypisane im obowiązki.

– Wszystko się zgadza.

– Pomyłka polega na tym, że nas tu nie powinno być. My...

– Wam wszystkim się wydaje, że nie powinno was tu być, leniwi szubrawcy. Rząd nie będzie tego dłużej tolerować. Pójdziecie pracować i basta. W zamian za to dostaniecie jedzenie i miejsce do spania.

– My mamy pracę, jesteśmy krawcami, a policjant powiedział, żebyśmy z panem pomówili...

– Ja mam obowiązek zapewnić wam pracę i schronienie. Jak odmówicie, zabiorą was strażnicy.

– Ale za co nas się karze? Jaką zbrodnię popełniliśmy?

– Kara to złe słowo. To nie jest kwestia zbrodni i kary – tu chodzi o problem i rozwiązanie. – Skinął na dwóch mężczyzn w uniformach w kolorze khaki, którzy z pałkami patrolowali okolicę. – Nie mamy tutaj kłopotów, wszyscy chętnie pracują. A teraz wybierajcie.

– Zgoda – powiedział Ishvar. – Ale chcemy mówić z naczelnikiem.

– Kierownik budowy przyjdzie później. Teraz jest zajęty, to pora jego porannej modlitwy.

Brygadzysta osobiście odprowadził krawców na stanowiska. Każdego przekazał odpowiedniemu nadzorczy, z zaleceniem, by dopilnowano, żeby nie bumelowali. Żebrak jechał obok nich na platformie. Gdy ścieżka się skończyła, jego kółka nie były w stanie podołać trudnemu terenowi. Zawrócił i zamachał do krawców, obiecując, że wieczorem będzie czekał przy ich chacie.

•

Stadko maleńkich, przykucniętych sylwetek obsiadło zbocze góry. Na pierwszy rzut oka zdawało się, że dzieci zastygły w słońcu; dopiero dźwięk młotków zdradzał ruch ich dłoni. Kuły skałę na żwir. Spieczony stok był upstrzony kępkami martwej trawy. Zielenionośna dłoń deszczu jeszcze nie dotknęła tej ziemi. Od czasu do czasu gład odrywał się od skalnej ściany i rozbijał gdzieś w dole. Ryk spychaczy, koparek, wywrotek, dźwigów i betoniarek wznosił się w oddali niczym mur, na którym rzeźbiło swój deseń miarowe dzwonięcie

młotków kujących kamień. Z nieba opadał z dudnieniem bezlitosny młot upału.

Jakaś kobieta napełniła żwirem kosz Ishvara i pomogła mu dźwignąć go na głowę. Ręce drżały jej z wysiłku, aż trzęsła się pomarszczona skóra, która zwisała spod jej ramion. Zatoczył się pod ciężarem. Kiedy puściła, poczuł, jak kosz się chwieje. Desperacko wpił palce w jego boki, przechylając głowę w przeciwną stronę, ale kosz upadł, gwałtownie przeginając mu kark.

– Nigdy wcześniej nie wykonywałem takiej pracy – tłumaczył, zażenowany ciężkim deszczem żwiru, który pokąsał ich stopy.

Kobieta bez słowa podparła kosz o golenie i schyliła się, by znów go napełnić. Jej rzadki, siwy warkocz zsunął się przez ramię na jej piersi. Nie na wiele by się zdał zbieraczowi włosów Rajaramowi, pomyślał półprzytomnie Ishvar. Za każdym ruchem motyki jej plastikowe bransolety wydawały głuchy stuk. Ciche echo kujących kamień dzieci. Patrzył na jej ramiona błyszczące od potu, na jej zdecydowane ruchy naprzód i w tył. Później dostrzegł za sobą innych nosicieli żwiru. Przykucnął, by jej pomóc, pragnąc naprawić skutki swej niezdarności. Ładował garściami żwir do koszyka.

– Ja napełniam, ty nosisz – powiedziała kobieta.

– To nic, mnie to nie przeszkadza.

– Tobie nie, ale nadzorcy tak.

Ishvar przestał i zapytał, czy od dawna wykonuje tę pracę.

– Od dziecka.

– Płacą dobrze?

– Dość, żeby nie umrzeć z głodu. – Pokazała mu, jak trzymać głowę i ramiona, żeby unieść ciężar i razem dźwignęli ładunek. Zachwiał się znowu, ale zdołał utrzymać kosz.

– Widzisz, jak się człowiek nauczy trzymać równowagę, to idzie łatwo – pokrzepiła go i wskazała mu drogę do punktu mieszania betonu. Zatoczywszy się kilkakrotnie po drodze, niepewnym krokiem dotarł do celu i zrzucił jarzmo. Potem wrócił, a kobieta napełniła żwirem pusty kosz. I znów, i znów, i znów.

Obrócił tak kilka razy. Pot płynął mu po twarzy, ziemia wirowała. Zapytał, czy może pójść i napić się wody. Nadzorca odmówił.

– Bhisti^[150] przyjdzie, jak będzie pora na wodę.

Obserwował ich, a kobieta napełniała koszyk na tyle wolno, na ile starczyło jej śmiałości. Ishvar był wdzięczny za kilka sekund wytchnienia, które ukradła dla niego. Zamknął oczy i kilka razy odetchnął głęboko.

– Syp po brzegi! – wrzasnął nadzorca. – Nie po to ci się płaci, żebyś sypała do połowy. – Dorzuciła jeszcze cztery szufle. Unosząc ładunek, przechyliła go odrobinę, by pozbyć się dodatkowego ciężaru.

Ishvar włókł się tam i z powrotem, przezwycięzając mdłości. Poranek pastwił

się nad nim. Mózg miał wydrenowany z wszelkich myśli. Wybuchy z drugiego krańca placu budowy posyłały w stronę strefy żwirowej tumany kurzu. Kobiety zasłaniały nosy swoimi sari. Miał poczucie, że gdyby nie huk młotów wskazujący mu kierunek, zgubiłby drogę we mgle. Wrażenie oślepienia nie ustąpiło, nawet gdy pył opadał. Trzymając się kurczowo liny dźwięku, krążył między miejscem załadunku a betoniarkami.

Zdawało się, że minęły wieki, zanim przyszedł bhisti. Zamilkły młotki kruszące kamień. Ishvar najpierw posłyszał siorbanie spragnionych języków, potem zobaczył nosiwodę. Spęczniały bukłak dyndał z jego ramienia niczym ciemnobrązowe zwierzę, a skórzane pasy wrzynały mu się głęboko w ciało. Krocząc niepewnie pod ciężarem wodnej bańki, ślepiec sunął między robotnikami. Komu chciało się pić, dotykał jego dłoni, by przystanął. Cichym głosem nucił piosenkę, którą sam wymyślił:

*Zawołaj mnie, a ja
Wodą napoję twe usta
Lecz kto zaspokoi pragnienie
Moich spieczonych oczu?*

Ishvar osunął się na kolana przed nosiwodą, przytknął usta do skózanego dzióbka i pił. Następnie odsunął wargi i chłodna woda rozbryzgała się na jego wypełnionej wdzięcznością twarzy.

– Ostrożnie, nie marnować! Tylko do picia! – krzyknął nadzorca. Ishvar podniósł się pośpiesznie i powrócił do koszyka ze żwirem.

Do czasu gdy bhisti dotarł do miejsca, w którym pracował Om, bukłak stał się lżejszy, podobnie jak kroki nosiwody. Sześciu kopaczy rowu napiło się w pierwszej kolejności, po nich piły kobiety, które miały za zadanie odnosić na bok ziemię z wykopu. Ich dzieci bawiły się nieopodal rowu. Kobiety nabierały wodę w dłonie, by napoić maluchy.

Om zwilżył palce i odgarnął włosy. Wydobył złamany na pół grzebień i szybko przejechał nim przez czuprynę.

– Are, hero-ka-baćća^[151]! – wydarł się na niego dozorca. – Wracaj do pracy!

Om schował grzebień i na powrót skierował steraną uwagę na kopanie. Napawał się chwilą, gdy kobiety nachylały się, by nabrać ziemi, i piersi w ich bluzkach kołysały się do przodu. Umieściwszy ładunek na głowie, poprawiały sari i odchodziły, wysokie, posągowe, stąpające lekko i zwinnie. Jak Shanti przy kranie, kiedy jej biodra kołysały się pod ciężarem mosiężnego dzbanka, pomyślał.

Godziny płynęły z mazołem. Teraz nawet widok kobiet nie pomagał mu zapomnieć o udręce pracy. Zgięty w pół nad rowem, z nieporęcznym kilofem

w rękach nawykłych do nożyczek, igły i nici, walczył z twardą ziemią. Wstyd przed tym, że okaże się słaby w oczach kobiet, nie pozwalał mu przerwać. Pęcherze, które wyskoczyły mu w parę minut po rozpoczęciu pracy, pękały teraz w najlepsze. Ramiona go paliły, ledwie mógł wyprostować plecy.

Jedno z dzieci przy rowie zaczęło płakać. Matka odstawiła koszyk i podeszła do niego.

– Sali^[152], leniwa kobieto! – wrzasnął dozorca. – Wracaj do pracy!

– Ale dziecko mi płacze. – Uniosła malca. Łzy żłobiły mu lśniące ścieżynki na pokrytych kurzem policzkach.

– To normalne, że dzieci płaczą. Popłaczcie i przestanie. Nie szukaj wymówek. – Ruszył ku niej, jakby chciał wyrwać je z jej objęć. Kobieta delikatnie odłożyła dziecko, by bawiło się na hałdzie ziemi.

Kiedy zabrzmiał gwizdek na obiad, zarówno Om, jak i Ishvar byli zbyt wycieńczeni, by jeść wodnistą mieszankę warzyw. Wiedzieli jednak, że muszą, jeśli chcą przetrwać resztę dnia. Szybko przełknęli jedzenie i przysiedli w cieniu koło blaszanego baraku, by zażyć krótkiego wypoczynku.

Gwizdek zakończył przerwę obiadową. W parę minut po powrocie na stanowiska zrobiło im się niedobrze; chwilę potem chlusnął strumień wymiocin. Opróżnienie żołądków trwało ułamek tego, co zajęło ich napełnienie. Walcząc z mdłościami, przysiedli na piętach i nie chcieli się ruszyć z miejsca. Przy ziemi czuli się bezpiecznie.

Dozorca uderzył ich kilka razy w głowę, ciągnął za kołnierz i szarpał za ramiona. Krawcy jęczeli, by ich zwolnić. Posłano po brygadzystę.

– O co znowu chodzi? Uparliście się, żeby robić kłopoty czy jak? – spytał brygadzista.

– Pochorowaliśmy się – powiedział Ishvar. Na dowód wskazał dwie sadzawki wymiocin, w których prowadziła inspekcję wrona. – Nie przywykliśmy do takiej pracy.

– Przywykniecie.

– Chcemy się widzieć z kierownikiem.

– Nie ma go. – Brygadzista wsunął Ishvarowi rękę pod ramię i pociągnął. Ishvar podniósł się, kiwając z boku na bok. Usta miał umazane wymiocinami. Zatoczył się na brygadzystę, który odepchnął go szybko w obawie, że się zabrudzi. – Dobra, idźcie. Prześpijcie się trochę. Zajrzę do was później.

Przez resztę dnia nikt nie niepokoił ich w blaszanej chacie. O zmierzchu posłyszeli, jak ludzie idą na miejsce posiłków. Ishvar spytał Oma, czy chce jeść.

– Tak, jestem głodny – powiedział i podniósł się. Poczul mdłości i położył się z powrotem. Nie stawiali oporu nawracającej senności.

Nieco później żebrak przytoczył się na platformie, wioząc jedzenie. Odpychał

się bardzo powoli, uważając, by nie rozlać obiadu, który balansował na jego kadłubku.

– Widziałem, że się pochorowaliście. Jedzcie, to wam doda siły. Ale przeżujcie porządnie, bez pośpiechu.

Krawcy podziękowali mu za jedzenie. Z satysfakcją popatrzył, jak biorą pierwsze kęsy, i odmówił przyjęcia części posiłku.

– Już jadłem.

Ishvar opróżnił kubek z wodą i żebrak potoczył się, by przynieść więcej.

– Zaczekaj, ja pójdę – powiedział Om. – Już mi lepiej.

Żebrak nie chciał o tym słyszeć i wkrótce wrócił z pełnym kubkiem. Zapytał, czy chcieliby dodatkowe ćapati.

– Zakolegowałem się z kimś w kuchni, mogę załatwić, ile chcę.

– Nie, nie, bas^[153], najedliśmy się, dziękujemy – powiedział Ishvar, a potem spytał go, jak ma na imię.

– Wszyscy wołają na mnie Glista.

– Dlaczego?

– Mówiłem wam, babu. Zanim mistrz dał mi gadi, czołgałem się po ulicach.

– Ale teraz masz gadi. Jak się naprawdę nazywasz?

– Shankar.

Został z nimi przez następne pół godziny, gawędząc i opisując roboty irygacyjne, które zwiedzał przez cały dzień. Potem zaproponował, by spróbowali się przespać i nabrać sił przed jutrzejszą pracą. Parę minut później, gdy dwaj krawcy chrapali lekko, odwiosłował na swej platformie, uśmiechając się radośnie sam do siebie.

[143] *Matka* (także *Satta*) – rodzaj zakładów, forma hazardu popularna w Indiach, a zwłaszcza w Bombaju od lat sześćdziesiątych do dziewięćdziesiątych. Scena zakładów w systemie *matka* występuje w powieści Rohintona Mistry’ego *Sprawy rodzinne*.

[144] Aluzja do 420. artykułu Indyjskiego Kodeksu Karnego, w którym jest mowa o oszustwach. Nazwanie kogoś „Cztery-dwadzieścia” to jak nazwanie go oszustem lub naciągaczem.

[145] *Gadi* albo *gari* – wózek, pojazd.

[146] *Ćajwala* – sprzedawca herbaty.

[147] *Dal* – gęsty sos z soczewicy.

[148] *Aleti-paleti* – przysmak parsów; przyprawione na ostro kurze wątróbki i żołądki.

[149] Popularna w Indiach marka odżywki w proszku.

[150] *Bhisti* – nosiwoda.

[151] *Hero-ka-bańca* – dosł. dziecko bohatera.

[152] *Sali* – szwagierka, również wyzwisko.

[153] *Bas* – dość, koniec.

9 NA CO JEST PRAWO

Kobieta stojąca w bramie skinęła na Dinę i ukradkiem pokazała jej koszyk.

– Tamater, bai?^[154] – wyszeptła. – Duże, świeże tamater?

Dina potrzęsnęła głową. Ona, jak zawsze, poszukiwała krawców, nie pomidorów. Nieco dalej jakiś człowiek z pudłem skórzanych portfeli krył się we wnęce; inny, na wpół schowany, dzierżył chyboczący się stos kiści bananów. Wszyscy rozglądali się za policją, gotowi w każdej chwili wziąć nogi za pas. Na ziemi walały się szczątki zniszczonych stoisk.

Dina przespacerowała się po kilku ponurych ulicach, z których stan wyjątkowy wysłał chodnikowe życie. Ale może teraz szanse na znalezienie zastępstwa za Ishvara i Oma wzrosły, pocieszała się. Być może krawcy, którzy dotychczas wykonywali swój fach przy ulicznych kramach, poszukają pracy gdzie indziej.

Wcześniej, gdy zawiozła ostatnie sukienki do Au Revoir Exports, powiadomiła panią Guptę jak gdyby nigdy nic, że jej pracownicy wyjeżdżają na dwutygodniowe wakacje. Teraz jednak bezkrawiecki interwał dobiegał końca i Dina spostrzegła, że jej pierwotny optymizm był chybiony. Należało poinformować kierowniczkę, że wznowienie pracy znów się odwlecze.

Na początek pochwaliła fryzurę pani Gupty.

– Wygląda ślicznie. Chyba przed chwilą wyszła pani z salonu Wenus.

– Nie – poskarżyła się pani Gupta. – Musiałam pójść gdzie indziej. Zenobia mnie wystawiła do wiatru.

– Co się stało?

– Chciałam się pilnie umówić, a ona na to, że wszystkie terminy ma zarezerwowane. Mnie, swojej najwierniejszej klientce.

O nie, pomyślała Dina, zły temat wybrałam.

– A tak przy okazji, moi krawcy wrócą później.

– To bardzo niedogodne. Jak długo ich nie będzie?

– Nie jestem pewna, może jeszcze dwa tygodnie. Pochorowali się u siebie w wiosce.

– Oni wszyscy tak mówią. Za dużo dni produkcyjnych tracimy przez takie wymówki. Pewnie piją i tańczą w tej swojej wiosce. Pod względem rozwoju jesteśmy w Trzecim Świecie, pod względem absencji i strajków mamy tutaj pierwszą ligę.

Durna babo, pomyślała Dina. Gdybyś tylko wiedziała, jak ciężko pracują

biedni Ishvar i Om i ile się nacierpieli w życiu.

– Mniejsza z tym – powiedziała pani Gupta. – Stan wyjątkowy to dobre lekarstwo dla tego społeczeństwa. Wkrótce wszystkich wyleczy ze złych nawyków.

A gdyby tak tobie ten zakuty łeb wyleczyli z tępoty, pomyślała Dina i przytaknęła:

– Tak, to byłaby duża zmiana na lepsze.

– W takim razie jeszcze dwa tygodnie i żadnych dalszych opóźnień, pani Dalal. Opóźnienia są pochodną nieporządku. Proszę pamiętać, surowe zasady i stanowczy nadzór prowadzą do sukcesu. Niezdyscyplinowanie jest matką chaosu, ale owoce dyscypliny są słodkie.

Dina słuchała z niedowierzaniem, potem pożegnała się. Czyżby pani Gupta po godzinach oddawała się dla rozrywki pisaniu sloganów promujących stan wyjątkowy? A może zaszkodziła jej nadmierna dawka rządowych transparentów i afiszy i utraciła zdolność normalnego wysławiania się?

•

Słowa kierowniczkę wisiały nad Diną niczym ultimatum. Rozpoczęła się druga dwutygodniowa pauza. Tymczasem w wyznaczony dzień przyszedł poborca czynszu. Uniósł prawą dłoń do rdzawobrazowego fezu, jakby miał go uchylić, lecz zeszywniałe ramię nie pozwoliło mu dokończyć powitania. Dłoń opadła na kołnierzyk czarnego śerwani i pociągnęła za niego w geście namiastkowego pozdrowienia.

– O, poborca czynszu – prychnęła Dina. – Niech pan zaczeka. Przyniosę pieniądze.

– Dziękuję, siostró – uśmiechnął się dobrotliwie Ibrahim, gdy drzwi zamknęły mu się przed nosem. Puścił kołnierzyk, by obetrzeć z nozdrzy tabaczną obwódkę. Jego palce rozminęły się z deszczykiem brązowego pyłu, który opadł mu na gładko wygoloną skórę nad górną wargą, nagą na tle białej brody.

Pomacał pod śerwani, odszukał koniuszek chustki do nosa i pociągnął. Otarł czoło, po czym wcisnął ją z powrotem do kieszeni spodni, popychając kilkakrotnie, aż cała zniknęła, z wyjątkiem zwisającego rąbka.

Z westchnieniem oparł się o ścianę. Południe, a on już jest wycieńczony. Nawet gdyby wcześniej skończył obchód, nie miałby gdzie się podziać – swój pokój podnajmował od dziewiątej rano do dziewiątej wieczorem robotnikowi pracującemu w fabryce na nocną zmianę. Skazany na uliczną błąkaninę Ibrahim okupował ławki w parkach, wysiadywał na przystankach autobusowych i sączył herbatę przy straganie na rogu ulicy, aż nadchodziła pora, by wracać do domu i spać wśród zapachu robotnika. To ma być życie? Czy może okrutny żart? Od

dawna nie wierzył już, że szale ułożą się sprawiedliwie. Wystarczyło mu, jeśli miał co włożyć do garnka, wystarczyła odrobina stawy na jego noce i dnie. Nie oczekiwał niczego lepszego od Stwórcy Wszechświata.

Postanowił, że czekając pod drzwiami, odnajdzie rachunek Diny. Ostrożnie podciągnął gumową opaskę. Doprowadził ją bezpiecznie do krawędzi teczki, gdy wtem pękła, strzelając mu w nos. Upuścił teczkę.

Zawartość rozsypała się. Ibrahim opadł na kolana, by pozbierać cenne papiery. Jego ręce trzepotały między nimi bez ładu i składu. Na każde dwie kartki, które podniósł, jedna wyslizgiwała mu się spomiędzy palców. Lekka bryza zaszeleściła złowróźnie dokumentami i Ibrahima ogarnęła panika. Zamiótł je dłońmi na jedną stertę, nie dbając, że się gniołają.

Dina otworzyła drzwi, trzymając w ręce pieniądze za czynsz. Przez chwilę zdawało jej się, że starzec upadł. Pochyliła się, by mu pomóc. Potem, spostrzegłszy, co zaszło, wyprostowała się, odstąpiła od posłańca kamienicznika i obserwowała wroga w opalach.

– Przepraszam – Ibrahim uśmiechnął się podnosząc głowę. – Stare dłonie są niezdarne, co robić. – Udało mu się upchnąć wszystko do plastikowej teczki. Szeroką gumową opaskę owinał sobie wokół nadgarstka, żeby nie zginęła. Podniósł się, zachwiał. Dina błyskawicznie wyciągnęła ramię, by go podtrzymać.

– He, he, proszę się nie obawiać, nogi mi chyba jeszcze działają.

– Proszę przeliczyć. – Surowym gestem podała mu pieniądze.

Poborca oburącz ścisnął niezabezpieczoną teczkę i nadal nie przyjmował pieniędzy. Baczenie nadstawił uszu, nasłuchując stukotu maszyn do szycia. Nic.

– Siostró, czy mógłbym usiąść na minutę, żeby znaleźć twój rachunek? Bo inaczej wszystko znowu mi się rozsypie. Bardzo mi się ręce trzęsą.

Dina wiedziała, że poborca naprawdę musi usiąść i że z pewnością wykorzysta sytuację.

– Oczywiście, proszę wejść – otworzyła szeroko drzwi. Dzisiaj nie miała nic do stracenia.

Podniecenie dodatkowo wzmogło dreszcze wycieńczenia, które wstrząsnęły Ibrahimem. Wreszcie, po miesiącach prób, znalazł się w środku.

– Wszystkie papiery się pomieszały – tłumaczył przeproszająco. – Ale znajdę twój rachunek, siostró, proszę się nie martwić. – Ponownie nadstawił uszu na dźwięki z tylnego pokoju. No przecież, oczywista, siedzą cicho jak mysz pod miotłą.

– Proszę, siostró, tutaj. – Nazwisko i adres zostały zawczasu wpisane. Wypełnił rubryki z wysokością kwoty i datą. Podpis przeciął pieczętkę pokwitowania na dole strony, pieniądze przeszły z rąk do rąk.

– Proszę przeliczyć.

– Nie trzeba, siostró. Dwadzieścia lat tu mieszkasz, jeśli tobie nie mogę zaufać, to komu? – Potem i tak zaczął liczyć. – Tylko po to, żebyś była zadowolona. – Z wewnętrznej kieszeni śerwani wyciągnął gruby plik banknotów i utoczył go jeszcze bardziej wplątą od Diny. Podobnie jak plastikowa teczka pieniądze były zabezpieczone gumową opaską. – A skoro już tu jestem, to co mogę dla ciebie zrobić? Może kurki ciekną albo coś się popsuło? Tynk w tylnym pokoju nie odpada?

– Nie jestem pewna.

Ależ ma tupet, pomyślała z oburzeniem. Lokatorzy mogą się skarżyć do upadłego, a ten kanciarz przychodzi sobie z tym swoim automatycznym uśmiechem i odgrywa komedię.

– Lepiej niech pan sam sprawdzi.

– Jak sobie życzysz, siostró.

W tylnym pokoju ostukał ściany knykciami.

– Tynk się trzyma – mruknął, nie umiejąc skryć rozczarowania widokiem niemych maszyn do szycia. Potem dodał, jak gdyby dopiero zobaczył singery: – Masz tutaj dwie maszyny.

– Chyba nie ma prawa, które zakazuje posiadania dwóch maszyn?

– Ależ skąd, tak tylko pytam. Chociaż w dzisiejszych czasach, przy tym całym wariackim stanie wyjątkowym, to człowiek nigdy nie wie, na co jest prawo. Rząd zaskakuje nas każdego dnia. – Jego śmiech zabrzmiał głucho i Dina zastanawiała się, czy ostatecznie słowa skrywały pogroźkę.

– Jedna ma lekką igłę, druga ciężką – improwizowała. – Stopki i naprężenie też się różnią. Dużo szyję – zasłony, pościel, sukienki. Do tego trzeba specjalnych maszyn.

– Jak dla mnie wyglądają zupełnie tak samo, ale co ja wiem o szyciu? – Przeszli do pokoju Manecka i Ibrahim postanowił odłożyć subtelności na bok. – Więc to tutaj mieszka ten młody człowiek.

– Co takiego?

– Młody człowiek, siostró. Twój lokator.

– Jak pan śmie! Jak pan śmie sugerować, że trzymam pod moim dachem młodego mężczyznę! Za kogo mnie pan uważa? Tylko dlatego, że...

– Ależ nie, proszę, to nie...

– Proszę milczeć! Jak pan śmie mnie obrażać, a potem mi przerywać! Tylko dlatego, że jestem biedną, bezbronną wdową, ludziom się wydaje, że mogą wygadywać dowolne plugastwa! Proszę, jaki pan odważny, jaki zuchwały kiedy przychodzi do obrażania słabej, samotnej kobiety!

– Ale siostró, ja...

– Gdzie się podziiali prawdziwi mężczyźni? Zamiast bronić kobiecej czci, do

upojenia obrzucają błotem i szkalują niewinne. A pan, ze swoją białą brodą, pan wygaduje takie wstrętne, brudne rzeczy! Czy nie ma pan matki albo córki? Powinien się pan wstydzić!

– Proszę mi wybaczyć, nie miałem żadnych złych intencji, ja tylko...

– Łatwo panu mówić o intencjach, kiedy szkoda już się stała!

– Jaka szkoda, siostrze? Durny starzec powtarza głupie pogłoski i błaga o przebaczenie.

Ibrahim wycofał się, ściskając kurczowo plastikową teczkę pod pachą. Próba pożegnalnego uchylenia fezu spaliła na panewce, tak jak wcześniej powitanie. W zastępczym geście ponownie pociągnął za kołnierzyk śerwani.

– Dziękuję, siostrze, dziękuję. Przyjdę w przyszłym miesiącu, jeśli pozwolisz. Sługa uniżony.

Rozważała, czy nie naskoczyć na niego za to, że z taką hipokryzją nazywa ją siostrą. Miała poczucie, że pod koniec za łatwo mu odpuściła. Z drugiej strony był starcem. Wolałaby natrzeć uszu jakiemuś młodszemu najemnikowi na usługach kamienicznika.

Po południu odtworzyła całą scenę na użytek Manecka. Na jego usilną prośbę niektóre fragmenty odegrała dwukrotnie. Najbardziej ubawił się, gdy doszła do epizodu ze szkalowaną kobietą.

– Pokazywałam ci moją pozę zaszczutej, bezbronnej kobiety? – Skrzyżowała ręce, dłonie kładąc na ramionach i zasłaniając piersi. – Tak stałam. Jakby miał się na mnie rzucić. Człeczyna naprawdę zawstydził się i odwrócił wzrok. Byłam wredna. Ale zasłużył sobie na to.

Po chwili w ich śmiech wkradła się nuta dzielnej rozpaczki, jak gdyby kroili bochenek chleba na bardzo cienkie kromki i udawali, że mają go pod dostatkiem. Potem w pokoju nagle zapadła cisza. Wizyta poborcy czynszu zesłała im ostatni okrucuch rozrywki.

– Przedstawienie odegrane, pieniądze strawione – oznajmiła Dina.

– Przynajmniej czynsz jest opłacony. I woda i prąd.

– Prądem się nie najemy.

– Może ciocia wziąć moje kieszonkowe, w tym miesiącu go nie potrzebuję – powiedział, sięgając po portfel.

Dina nachyliła się i dotknęła jego policzka.

•

Kolejne dwa tygodnie przeleciały, tak szybko – wydawało się Dinie – jak rzędy ściągów, które spływały z singerów w szczęśliwszych czasach. Nie zauważyła, kiedy w jej pamięci miesiące z Ishvarem i Omem, tamte miesiące zamartwiania się i bumelanctwa, sprzeczek i krzywych szwów, zmieniły się w cenne wspomnienie

przywoływane z tęsknotą.

Pod koniec miesiąca zjawił się mężczyzna ze sklepu-wypożyczalni, by zapytać o maszyny do szycia. Krawcy spóźniali się z kolejną ratą. Pokazała mu singery, by dowieść, że są bezpieczne i uprosiła, by odroczył termin.

– Proszę się nie martwić, bhai, krawców stać, żeby zapłacić panu trzy razy tyle. Ale pilna sprawa przetrzymała ich w rodzinnych stronach.

Całodzienne poszukiwania krawców nadal nie przynosiły rezultatów. Czasem Maneck chodził razem z nią i była mu wdzięczna za towarzystwo. Dzięki niemu ponure wędrówki stawały się mniej przygnębiające. Maneck ochoczo opuszczał zajęcia i chętnie robiłby to częściej, gdyby Dina nie groziła mu, że napisze do rodziców.

– Nie przysparzaj mi dodatkowych problemów – mówiła. – I tak jeśli do przyszłego tygodnia nie znajdę dwóch krawców, będę musiała pożyczyć od Nusswana na czynsz. – Wzdrygnęła się na myśl o tym. – Znowu będę musiała wysłuchiwać jego bredni: mówiłem ci, wyjdź znowu za męża, upór rodzi nieszczęście.

– Pójdę z cicią, jeśli ciocia chce.

– To byłoby miłe.

Wieczorami zajęcia dostarczała im narzuta. Brakowało nowego materiału i sterta skrawków kurczyła się, zmuszając Dinę do sięgnięcia po ścinki, które dotąd omijała, na przykład po delikatny tiul, nie pasujący tak naprawdę do tego, co sobie zaplanowała. Pozszywali z niego małe, prostokątne kieszonki i poupychali do nich fragmenty solidniejszej tkaniny. Gdy tiul się skończył, kapy przestało przybywać.

•

– Zapraszam – brygadzysta powitał ułatwacza, który właśnie dostarczył nową ciężarówkę bezdomnych do obozu pracy.

Ułatwicz skłonił się i wręczył mu olbrzymie, zawinięte w celofan pudło bakalii. Różnica między tym, co płacił sierżantowi Kesarowi, a pieniędzmi pobieranymi od brygadzysty zapewniała mu ładny dochód. Tryby maszyny należało regularnie smarować.

Przez okienko w pokrywce pudełka widać było nerkowce, orzechy pistacjowe, rodzynki i morele.

– Dla pańskiej żony i dzieci – powiedział ułatwicz. – Bardzo proszę, niech pan to przyjmie – dorzucił, kiedy brygadzysta zaczął się krygować. – To tylko drobiazg, drobny dowód wdzięczności.

Kierownik budowy również był zachwycony przybyciem nowych bezdomnych. Jego posada stwarzała kolosalne możliwości manipulowania przy wypłatach.

Braki w wydajności bezpłatna siła robocza rekompensowała liczebnością. Rozrastające się roboty irygacyjne nie musiały już zatrudniać dodatkowych robotników pracujących za pensję. Kilku z nich wręcz zwolniono. Pozostali robotnicy dniówkowi czuli się zagrożeni. W ich oczach napływ zagłodzonych, słaniających się na nogach szkieletów był inwazją wrogiej armii. Żebracy i bezdomni, na których początkowo patrzyło się z rozbawieniem bądź współczuciem, gdy mocowali się z żalonymi, drobnymi pracami, teraz wydawali się najeźdźcami zdecydowanymi za wszelką cenę odebrać im środki do życia. Płatni robotnicy skierowali na nich swoją złość.

Nowo przybyłych prześladowano bezustannie. Obelgi, popychanie i szturchanie były na porządku dziennym. Trzonek łopaty wysuwał się z nienacką z rowu, by podstawić komuś nogę. Z rusztowań i podwyższonych platform ślina spadała jak ptasie odchody, tyle że z większą precyzją. W porze posiłków nagła fala niezgrabnych łokci wywracała talerze żebraków i bezdomnych, a że regulamin zabraniał dokładek, często jedli prosto z ziemi. Większość z nich przywykła grzebać w śmieciach, lecz rozwodniony dał szybko wsiąkać w suchą ziemię. Uratować można było tylko ciała stałe, jak ćapati i kawałki warzyw.

Skargi zanoszone do brygadzysty ignorowano. Budowa widziana z góry jawiła się jako operacja sprawna i oszczędna, nie wymagająca wielu interwencji ze strony kierownictwa.

Nim dobiegł końca pierwszy tydzień, Ishvar i Om mieli poczucie, że tkwią w tym piekle od zawsze. Ledwo byli w stanie podnieść się na gwizdek o świcie. Gdy wstawali z łóżek, zawroty głowy sprawiały, że świat tańczył wokół nich. Poranek nabierał nieco wyraźniejszych kształtów, gdy wypili po szklance mocnej, zbyt długo gotowanej herbaty. Przez dzień przetaczali się na chwiejnych nogach, wysłuchując zdumiewających pogroźek i obelg ze strony nadzorców i płatnych robotników. Zasypiali wczesnym wieczorem, kołysani do snu w wychudłych ramionach wycieńczenia.

Pewnej nocy gdy spali, ktoś ukradł im sandały. Zastanawiali się, czy to któryś z mężczyzn, z którymi dzielili blaszany barak. Boso powędrowali poskarżyć się brygadziście, z nadzieją, że wyda im zastępcze obuwie.

– Trzeba było bardziej uważać – zbeształ ich brygadzista, nachylając się, by zapiąć sprzączkę w swoich sandałach. – Jak mam pilnować wszystkich butów? Tak czy siak to żaden wielki problem. Wszyscy sadhu i fakirzy chodzą boso. M. F. Husain tak samo.

– Kim jest M. F. Husain, sahibie? – spytał pokornie Ishvar. – Ministrem?

– To artysta, bardzo słynny w naszym kraju. Nigdy nie wkłada nic na stopy, by nie tracić kontaktu z Matką Ziemią. Więc na co wam sandały?

W obozowym magazynie nie było obuwia. Krawcy jeszcze raz zajrzeli do

baraku, na wypadek, gdyby ktoś zabrał ich sandały przez omyłkę. Później ostrożnym krokiem skierowali się na plac budowy, starając się unikać ostrych kamieni.

– Wkrótce znowu będę mieć stopy jak w dzieciństwie – powiedział Ishvar. – Wiesz, twój dziadek Dukhi nigdy nie nosił sandałów, a twój ojciec i ja mogliśmy sobie pozwolić na pierwszą parę butów dopiero kiedy skończyliśmy terminować u ćaci Ashrafa. Do tego czasu nasze stopy zrobiły się twarde jak krowia skóra, jakby zostały wygarbowane przez ćamarów.

Wieczorem Ishvar oznajmił, że jego podeszwy już twardnieją. Z zadowoleniem obejrzał pokrytą pyłem skórę i przesunął palcami po szorstkiej powierzchni. Za to dla Oma była to tortura. Nigdy wcześniej nie chodził boso.

W drugim tygodniu zawroty głowy Ishvara nie ustąpiły po porannej szklance herbaty i zaostrzyły się pod gwałtownie rosnącą kopułą upału. Słońce tłukło go w głowę jak ogromna pięść. Zbliżało się południe, gdy zatoczył się i wpadł do rowu razem z ładunkiem żwiru.

– Zaprowadźcie go do sahiba doktora – rozkazał nadzorca dwóm mężczyznom. Ishvar objął rękami ich ramiona i na jednej nodze pokicał do obozowego lazaretu.

Zanim Ishvar zdążył powiedzieć sahibowi doktorowi, co się stało, odziany w biały kitel mężczyzna odwrócił się w stronę arsenału tubek i butelek. Większość była pusta, lecz wystawa i tak wyglądała imponująco. Lekarz wybrał maść, gdy tymczasem Ishvar, balansując na jednej nodze, uniósł kontuzjowaną kostkę, by zachęcić tamtego do oględzin.

– Sahibie doktorze, tutaj boli.

Usłyszał, że ma postawić stopę na ziemi.

– Nie martw się, kości są całe. Ta maść uśmierzy ból.

Mężczyzna w białym kitlu zezwolił mu, by odpoczywał przez resztę dnia. Shankar spędził z nim wiele czasu w baraku, tylko co jakiś czas oddalał się na swej platformie na kółkach, żeby przynieść jedzenie i herbatę.

– Nie, babu, nie wstawaj, powiedz mi, co chcesz.

– Kiedy muszę się załatwić.

Shankar ześliznął się z platformy i gestem pokazał mu, by wsiadał.

– Nie powinieneś obciążać chorej stopy – powiedział.

Ishvar był wzruszony tym, że ktoś, kto sam nie ma stóp, tyle uwagi poświęca stopom innej osoby. Ostrożnie usadowił się na platformie, skrzyżował nogi i zaczął się toczyć naprzód, odpychając się rękami, jak zwykł to robić Shankar. Przekonał się, że nie było to tak łatwe, jak wyglądało. Wyprawa do latryny i z powrotem doprowadziła jego ramiona do stanu wycieńczenia.

– Jak ci się podoba mój gadi? – spytał Shankar.

– Bardzo wygodny.

Następnego dnia Ishvar musiał podnieść się z posłania i pokuśtykać do zwirowni, choć kostkę miał nadal spuchniętą i obolałą. Nadzorca kazał, by zamiast nosić kosze, napełniał je z kobietami.

– Tę pracę możesz wykonywać na siedząco.

Zdarzyły się też inne wypadki, poważniejsze niż wypadek Ishvara. Pewna niewidoma kobieta przydzielona do kruszenia kamieni po kilku dniach owocnej pracy zmiażdżyła sobie palce młotkiem. Dziecko spadło z rusztowania i złamało sobie obie nogi. Mężczyzna bez rąk, który nosił sakwy z piaskiem na koromyśle, doznał obrażeń szyi, gdy stracił równowagę i koromysło zsunęło mu się z barków.

Pod koniec tygodnia brygadzysta uznał dziesiątki nowo przybyłych za niezdolnych do pracy. Sahib doktor kurował ich swoją ulubioną maścią, a w chwilach natchnienia stosował nawet łubki i bandaże. Shankarowi zlecono donoszenie pacjentom jedzenia. Zadaniu oddawał się z przyjemnością i niecierpliwie oczekiwał pory posiłków, kiedy to kursował na swej platformie między gorącą kuchnią a jęczącymi barakami z nowo odkrytym poczuciem celu. Przy każdym przystanku spływały na niego podziękowania i błogosławieństwa od inwalidów.

Najbardziej jednak pragnął doglądać ich urazów i uśmierzać ból, czego sahib doktor najwyraźniej nie był w stanie dokonać.

– Wydaje mi się, że to nie jest bardzo mądry lekarz – zwierzył się Ishvarowi i Omowi. – Wszystkich leczy tym samym lekarstwem.

W długie, gorące dni pacjenci krzykiem wzywali pomocy, a Shankar przemawiał do nich, zwilżał im czoła wodą, pocieszał, że nadejdą lepsze czasy. Wieczorem wracali głodni i wykończeni robotnicy, których drażniło nieustanne zawodzenie. Trwało ono do późna w nocy i nie pozwalało im zasnąć. Po kilku nocach ktoś wreszcie poszedł się poskarżyć.

Brygadzysta, zirytowany, że się go budzi, udzielił kontuzjowanym napomnienia.

– Sahib doktor zapewnia wam bardzo dobrą opiekę. Czego wy jeszcze chcecie, ludzie? Wydaje wam się, że jak was zabierzemy do szpitala, to tam wam będzie lepiej? Szpitale są przepełnione i źle prowadzone, a pielęgniarki wyrzucają was na brudne korytarze, żebyście tam gnili. Tutaj przynajmniej możecie wypoczywać w czystym miejscu.

W ciągu następnych paru dni brygadziście zabrakło rąk do pracy i musiał znowu nająć zwolnionych robotników. Ci szybko spostrzegli, gdzie tkwi rozwiązanie ich problemu: wystarczyło spacyfikować bezpłatną siłę roboczą, a praca powróci.

Wrogość w stosunku do żebraków i bezdomnych przybrała niebezpieczne

rozmiary. Robotnicy dniówkowi spychali ich z rusztowań i występów skalnych, nieuważnie wymachiwali oskardami, a ze wzgórz staczały się przypadkiem wielkie głazy. Liczba ofiar gwałtownie wzrosła. Shankar ciepło przyjmował nowych podopiecznych. W pełnienie swych nowych obowiązków wkładał całe serce.

Kierownik zmienił zdanie na temat skarg ofiar. Wprowadzono więcej strażników i polecono im, by plac budowy patrolowali przez cały czas, a nie jedynie w nocy. Robotników dniówkowych ostrzeżono, że zaniedbania w pracy będą karane zwolnieniem. Liczba napaści spadła, ale teren robót irygacyjnych upodobił się do obozu warownego.

Kiedy następnym razem ułatwiacz przyjechał ze świeżym ładunkiem bezdomnych, brygadzista poskarżył się, że bezpłatni robotnicy są nieudaną inwestycją. Utrzymywał, że ich obrażenia pochodziły sprzed przybycia do obozu.

– Wcisnął mi pan bezużyteczne kaleki, a teraz muszę ich karmić i dawać im dach nad głową.

Ułatwiacz otworzył rejestr pod datą wspomnianej dostawy i pokazał brygadziście szczegółowe dane dotyczące fizycznego stanu zatrzymanych.

– Przyznaję, że było kilka gorszych sztuk, ale to nie moja wina. Policjanci wrzucają mi na ciężarówkę wszystko jak leci, żywych i na wpół umarłych.

– W takim razie nie chcę ich więcej.

Ułatwiacz usiłował udobruchać brygadzistę i ocalić interes.

– Niech mi pan da kilka dni. Coś się wymyśli. Dopilnuję, żeby pan na tym nie stracił.

Tymczasem należało wyładować najnowszy transport, złożony między innymi z rozmaitych artystów ulicznych. Byli tam żonglerzy, muzycy, akrobaci i iluzjoniści. Brygadzista postanowił, że da im wybór – albo wraz z resztą bezdomnych dołączą do grona robotników, albo w zamian za wikt i opierunek będą dostarczać rozrywki mieszkańcom obozu.

Zgodnie z przewidywaniami brygadzisty aktorzy wybrali drugą możliwość. Ulokowano ich osobno i polecono przygotować występ na wieczór. Kierownik budowy zaaprobował propozycję brygadzisty. Rozrywka korzystnie wpłynie na morale robotników, a także zlikwiduje napięcie i złe emocje, które zawisły nad obozem.

Przedstawienie odbyło się po kolacji, przy lampach, które oświetlały miejsce, gdzie jadano posiłki. Kapitan straży zgodził się wystąpić w roli mistrza ceremonii. Program rozpoczął się od sztuczek akrobatycznych, żonglowania drewnianymi maczugami i popisów linoskoczka. Później przyszła pora na muzyczne interludium z pieśniami patriotycznymi, które pobudziły kierownika budowy do owacji na stojąco. Potem nastąpił przyjęty z bardzo dużym entuzjazmem występ

małżeńskiego duetu ludzi-gum. Po nim były sztuczki karciane i więcej zonglerki.

Shankar, który usiadł z Ishvarem i Omem, by oglądać spektakl, bawił się wyśmienicie i w podnieceniu podrygiwał na platformie, klaszcząc serdecznie, choć jego zabandażowane dłonie wydawały jedynie stłumione trzaśnięcia.

– Szkoda, że tamci nie mogą też się rozerwać – mówił od czasu do czasu, mając na myśli swych pacjentów w blaszanych barakach. Ich jęki docierały do niego w chwilach, kiedy na widowni zapadało stężałe od niepokoju milczenie, a na scenie odstawiano szczególnie ryzykowny numer z nożami, mieczami bądź na linie.

Kierownik budowy raz po raz kiwał z aprobatą do brygadzysty. Decyzja okazała się trafna. Ostatni artysta oczekiwał w cieniu kuchennego zaplecza. Usunięto rekwizyty z poprzedniego występu. Kapitan straży obwieścił, że na zakończenie zobaczą niesamowity popis sztuki balansowania. Aktor wkroczył w krąg światła.

– To małpiarz! – zawołał Om.

– I dwójka dzieci jego siostry – dodał Ishvar. – To na pewno ten nowy numer.

Dzieci nie brały udziału we wstępnych sztukach małpiarza, krótkim pokazie zonglerki, jaką już wcześniej oglądano. Popis przyjęto bez entuzjazmu. Wówczas małpiarz przedstawił dziewczynkę i chłopczyka, unosząc ich w powietrze, po jednym dziecku na każdej dłoni. Oboje mieli katar i kichali. Następnie przywiązał ich na końcach tyczki o długości piętnastu stóp. Potem opuścił się na ziemię, przetoczył na plecy i, balansując, oparł tyczkę poziomo na bosych podszewkach stóp. Gdy już była stabilna, zaczął obracać ją palcami u stóp. Dzieci kręciły się na tej prymitywnej karuzeli, najpierw powoli, podczas gdy małpiarz testował równowagę i rytm, później coraz szybciej i szybciej. Wisiały oklapłe, nie wydając żadnych dźwięków, ich sylwetki rozmywały się w pędzie.

Tu i ówdzie rozległ się aplauz. Publiczność była zaniepokojona i niepewna. Później oklaski stały się natarczywe, jakby widzowie liczyli, że karkołomny numer dobiegnie końca, jeżeli dadzą artyście, co mu się należy, lub – choćby tyle – ich owacja pozwoli jakimś trafem utrzymać równowagę i zapewni dzieciom bezpieczeństwo.

Tyczka wirowała coraz wolniej, aż stanęła. Małpiarz odwiązał dzieci i otarł im buzie; siła odśrodkowa wydobyła z ich zakatarzonych nosów strugi śluzu. Następnie położył je twarzą do ziemi. Tym razem oba maluchy zostały przywiązane do tego samego końca tyczki, ze stopami podpartymi o krótką poprzeczkę. Małpiarz sprawdził węzły i dźwignął tyczkę.

Dzieci wzleciały wysoko nad ziemię. Ich twarze zniknęły wśród nocy, poza zasięgiem lamp kuchennych. Publiczność wydała stłumiony okrzyk. Małpiarz uniósł tyczkę wyżej, podrzucił lekko i pochwycił na czubku dłoni. Węzłowate

muskuly jego ramion naprężyły się. Przesuwał tyczkę tam i z powrotem, tak, że jej szczyt kiwał się niczym wierzchołek drzewa na wietrze. Kolejny lekki podrzut i tyczka wylądowała na jego kciuku.

Z widowni trysnęła kaskada protestów. W ciemnościach otaczających małpiarza zakotłowało się od wątpliwości i wyrzutów. Ogarnięty głuchotą skupienia nie słyszał nic. To przechadzał się po oświetlonym kręgu, to podbiegał, przerzucając tyczkę z kciuka na kciuk.

– To zbyt ryzykowne – szepnął Ishvar. – Nie podoba mi się taka zabawa. – Shankar na swej platformie także pokręcił głową. Urzeczony kiwał kadłubkiem w rytmie balansującej tyczki.

– Byłoby lepiej, gdyby poprzestał na małpach – ocenił Om, a oczy miał wlepione w małe sylwetki na tle nieba.

Małpiarz odrzucił głowę do tyłu i balansował z tyczką na czole. Rozzłoszczeni ludzie poderwali się na nogi.

– Przestań! – wrzasnął ktoś. – Przestań, zanim je zabijesz!

Inni zawtórowali mu.

– Sala budmaś^[155]! Znęcają się nad niewinnymi dziećmi!

– Sala gandhu^[156]! Takie sztuczki to możecie pokazywać na osiedlach bogaczy! My nie chcemy tego oglądać!

Krzyki wytrąciły małpiarza ze skupienia. Odzyskał słuch. Pośpiesznie opuścił tyczkę i odwiązał dzieci.

– O co chodzi? Nie maltretuję ich. Sami je spytajcie, dobrze się bawią. Każdy musi jakoś zarobić.

Ale w takim rwetesie nie miał jak się bronić. Jeszcze bardziej niż na małpiarza ludzie byli źli na brygadzystę, który zorganizował ten okrutny występ, i wydzielali się, by mu to zakomunikować.

– Potwór! Potwór gorszy od Rawany^[157]!

Strażnicy szybko rozpędzili widzów na noc do ich chat, gdy tymczasem aprobata kierownika budowy zmieniła się w miążdzącą krytykę. Pogroził brygadziście palcem przed nosem.

– Było to z waszej strony błędne rozpoznanie sytuacji. Ci ludzie nie potrzebują, ani nie doceniają dobrego traktowania. Jak człowiek jest dla nich miły, wchodzi mu na głowę. Ciężka praca to jedyny sposób na nich.

Z dalszych występów zrezygnowano. Nazajutrz ulicznych artystów przydzielono do różnych ekip. Małpiarz stał się najbardziej niepopularną postacią na całej budowie i nim tydzień dobiegł końca, dołączył do grona kontuzjowanych z poważnymi obrażeniami głowy. Ishvar i Om współczuli mu, ponieważ wiedzieli, że w istocie ma dobre serce.

– Pamiętasz przepowiednię tamtej staruchy? – zapytał Om. – Tamtej nocy, kiedy zginęły jego małpy?

– Tak – odpowiedział Ishvar. – Że zabije psa i że to nie będzie najgorsze morderstwo, jakie popełni. Na razie biedak wygląda, jakby to jego zamordowano.

•

Ułatwiacz powrócił na miejsce prac irygacyjnych dwa tygodnie później z kimś, kogo przedstawił brygadziście jako „człowieka, który rozwiąże kwestię siły roboczej, która ostatnio kuleje”.

Brygadzista i ułatwiacz roześmiali się z żartu. Twarz przybysza pozostała śmiertelnie poważna. Przebiegł przez nią wyraz niezadowolenia.

Ruszyli w kierunku blaszaków, w których leżeli ranni. Łącznie niezdolnych do pracy było czterdzieścioro dwoje. Shankar toczył się od jednego do drugiego, to głaszcząc czyjeś czoło, to poklepując kogoś po plecach i szepcząc słowa otuchy. Zapach ropiejących ran i niemytych ciał powiał od drzwi, przyprawiając brygadzistę o mdłości.

– Będę w biurze, gdyby mnie panowie potrzebowali – wymówił się.

Gość powiedział, że wolałby rzucić okiem na obrażenia i oszacować ich potencjał.

– Dopiero wtedy będę mógł panu złożyć rozsądną propozycję.

Wkroczyli do pierwszej chaty, gdzie na chwilę odebrało im wzrok wskutek przejścia z ostrego słońca do półmroku. Shankar podjechał na platformie, by zobaczyć kto to. Wyciągnął szyję, po czym wykrzyknął na widok znajomej postaci.

– Kto to? – zapytał gość. – Glista? – Jego oczy nie przywykły jeszcze do wnętrza, ale rozpoznał znajomy łoskot toczących się kółek. – Więc to tu się podziewałeś. Przez te wszystkie tygodnie zastanawiałem się, co się z tobą stało.

Shankar powiosłował do stóp mężczyzny, w podnieceniach młócąc dłońmi o ziemię.

– Mistrzu! Policja mnie zabrała! Ja nie chciałem jechać! – Ulga i niepokój zlewały się w jego szlochach, gdy kurczowo objął golenie tamtego. – Mistrzu, proszę, pomóż mi, chcę wrócić do domu!

Zamieszanie w chacie było znakiem dla rannych. Zaczęli jęczeć i kaszleć, domagając się uwagi, licząc, że nieznajomy, kimkolwiek jest, przyniósł im z dawna wyczekiwane wybawienie. Ułatwiacz przysunął się do drzwi, by zaczerpnąć świeżego powietrza.

– Nie martw się, Glisto, oczywiście, że cię wezmę – odpowiedział mistrz. – Cóż bym począł bez mojego najlepszego żebraka? – Doprowadził do końca krótką

inspekcję inwalidów i obrócił się, by wyjść. Shankar chciał od razu iść z nim, ale usłyszał, że ma zaczekać. – Najpierw muszę coś załatwić.

Na zewnątrz mistrz spytał ułatwiacza:

– Czy Glista należy do zestawu?

– Oczywiście, że tak.

– Nie będę płacił za to, co już należy do mnie. Odziedziczyłem go po moim ojcu, a mój ojciec miał go, odkąd był dzieckiem.

– Ale niech pan też spojrzysz na to z mojej strony – handryczył się ułatwiacz. – Musiałem za niego zapłacić policji.

– Nie interesuje mnie to. Jestem skłonny zapłacić dwa tysiące rupii za cały zestaw, razem z Glistą.

Kwota była wyższa niż przewidywał ułatwiacz. Nawet po uwzględnieniu doli obiecanej brygadziście czekał go ładny zysk.

– Przed nami wiele transakcji – powiedział, skrywając zachwyty. – Nie chcę się targować. Zgoda na dwa tysiące i może pan zabrać swoją glistę. – Zachichotał. – A do tego wszystkie pluskwy czy inne stonogi, które panu wpadną w oko.

Twarz mistrza pociemniała w wyrazie dezaprobaty. Tym razem ostro skarcił ułatwiacza.

– Nie lubię, jak się żartuje z moich żebraków.

– Nie miałem nic złego na myśli.

– I jeszcze jedno. Ciężarówka ma ich zawieźć do miasta – transport jest wliczony w cenę.

Ułatwiacz się zgodził. Poprowadził mistrza do kuchni i przyniósł mu szklanekę herbaty, by wynagrodzić wcześniejszą zniewagę. Następnie ruszył szukać brygadzysty. Jego działkę należało dopiero wynegocjować.

•

Wiosłując ze wszystkich sił, Shankar popędził, by podzielić się z dwójką przyjaciół radosną nowiną, ale został zatrzymany przez nadzorcę, który nie życzył sobie, by naruszano rytm pracy i odpędził kalekę, tupiąc nogą i udając, że podnosi kamień. Shankar wycofał się.

Zaczekał, aż rozlegnie się gwizdek na obiad, i dogonił Ishvara i Oma opodal miejsca, gdzie jadano.

– Mistrz mnie odnalazł! Wracam do domu!

Om pochylił się, by klepnąć go w ramię, a Ishvar zwrócił się doń pocieszająco:

– No, już dobrze, Shankarze, nie martw się. Pewnego dnia wszyscy wrócimy do domu, kiedy ta praca się skończy.

– Ale ja naprawdę wracam jutro do domu! Mój mistrz tu jest! – Krawcy dalej nie wierzyli, dopóki nie wyjaśnił im szczegółowo.

– Ale dlaczego tak się cieszysz, że wracasz? – spytał Ishvar. – Nie cierpisz tak jak my, niewolnicy. Posiłki za darmo, trochę powozisz na swoim gadi i tyle. Nie wolisz tego od żebrania?

– Przez chwilę mi się podobało, zwłaszcza opieka nad wami i innymi chorymi. Ale teraz tęsknię za miastem.

– Masz szczęście – powiedział Om. – Ta robota nas zabije, to na pewno. Szkoda, że nie możemy wrócić z tobą.

– Mogę poprosić mistrza, żeby i was zabrał. Pogadajmy z nim.

– Tak, ale my... Zgoda, spytaj go.

Znaleźli mistrza żebraków na ławeczce koło kuchni, gdzie popijał herbatę. Shankar podjechał i pociągnął mistrza za nogawkę.

– O co chodzi, Glisto? Prosiłem, żebyś zaczekał w chacie – powiedział tamten, ale odstawił herbatę, przykleknął obok Shankara i słuchał, potakując, a potem poczochnął mu włosy i roześmiał się. Następnie podszedł do krawców.

– Glista mówi, że jesteście jego przyjaciółmi. Chce, żebym wam pomógł.

– Han-dzi, prosimy, byłibyśmy panu bardzo wdzięczni.

Otaksował ich sceptycznie.

– Macie jakieś doświadczenie?

– O tak, wiele lat – odpowiedział Ishvar.

Mistrz żebraków nie wyglądał na przekonanego.

– Nie wydaje mi się, żebyście sobie mieli dobrze poradzić.

Om był oburzony.

– A właśnie, że świetnie sobie radzimy. – Wyciągnął przed siebie dwa małe palce jak wotywny świece. – Połamaliśmy długie paznokcie w tej ciężkiej pracy, ale one odrosną. Mamy pełne przeszkolenie, umiemy nawet brać miarę bezpośrednio na ciele klienta.

Mistrz żebraków roześmiał się.

– Miarę na ciele?

– Oczywiście. Jesteśmy wykwalifikowanymi krawcami, a nie byle wyrobnikami, co to...

– Dobra, nie mamy o czym mówić. Myślałem, że chcecie pracować dla mnie jako żebracy. Nie potrzebuję krawców.

Ich nadzieje z hukiem legły w gruzach.

– My się tu na nic nie zdamy, ciągle chorujemy – prosili. – Czy nie mógłby pan nas zabrać? Zapłacimy panu za fatywę. – Shankar wstawił się za nimi, mówiąc, jacy byli dla niego dobrzy od chwili gdy policja wrzuciła go na ciężarówkę tamtej straszliwej nocy, niemal dwa miesiące wcześniej.

Mistrz żebraków i ułatwicz omówili transakcję ściszonymi głosami. Ten drugi chciał po dwieście rupii za każdego krawca, ponieważ, jak powiedział, będzie

musiał złożyć atrakcyjną ofertę brygadziście, by ten zwolnił dwóch w pełni sprawnych osobników: zwichnięta kostka Ishvara nie kwalifikowała się jako uraz.

Ściskając w dłoni szklanę z herbatą, mistrz żebraków wrócił do krawców.

– Jeśli brygadzista się zgodzi, możecie iść. Ale będzie was to kosztować.

– Ile?

– Zwykle kiedy zajmuję się żebrakiem, liczę sobie sto rupii za tydzień. W to wchodzi miejsce do zebrania, jedzenie, ubrania i ochrona. I dodatki, jak bandażę i kule.

– Tak, Shankar – Glista – opowiadał nam. Wychwalał pana i mówił, że jest pan bardzo dobrym mistrzem. Miał wielkie szczęście, że pan tu się zjawiał.

Mimo przyjemności, jaką mu sprawił komplement, mistrz żebraków wyjaśnił sprawę bez zbędnej skromności.

– Szczęście ma tutaj niewiele do rzeczy. Jestem najsłynniejszym mistrzem żebraków w mieście. To naturalne, że ułatwicz odezwał się do mnie. Tak czy owak wasz przypadek jest inny, nie potrzebujecie takiej samej opieki jak żebrak. Poza tym byliście dobrzy dla Glisty. Wystarczy jak zapłacicie mi pięćdziesiąt rupii tygodniowo od osoby, przez jeden rok.

Ishvar i Om byli wstrząśnięci.

– To prawie dwa tysiące pięćset od osoby!

– Tak, to najniższa stawka za moje usługi.

Krawcy stanęli z boku, by porachować warunki spłaty.

– Trzy dni zycia z każdego tygodnia pójdą do niego – wyszeptał Ishvar. – To za dużo, nie damy rady.

– A jaki mamy wybór? – powiedział Om. – Chcesz harować do śmierci w tym piekle bezlitosnych diabłów? Powiedz mu, że się zgadzamy i tyle.

– Zaczekaj, zagadam z nim i trochę nam spuści. – Ishvar zbliżył się do mistrza z miną szczwanego wygi. – Niech pan posłucha, pięćdziesiąt to za dużo – damy panu po dwadzieścia pięć za tydzień.

– Zakarbuju sobie dobrze to, co powiem – wycodził mistrz żebraków zimno. – Ja nie handluję cebulami i ziemniakami na bazarze. Zajmuję się ochranianiem ludzkiego życia. Nie próbuj się ze mną targować. – Odwrócił się ze wzdrganiem, by ponownie usiąść na ławce koło kuchni.

– Widzisz, co zrobiłeś? – wykrzyknął Om, tracąc panowanie nad sobą. – Straciliśmy ostatnią szansę!

Ishvar odczekał chwilę, a następnie znów przysunął się do mistrza.

– Omówiliśmy to jeszcze raz. To duże pieniądze, ale zapłacimy.

– Jesteś pewien, że was na to stać?

– O tak, mamy dobrą pracę, zlecenia są regularne.

Mistrz obgryzł paznokcie kciuka i splunął.

– Czasem zdarza się, że któryś z moich klientów korzysta z mojej gościnności, a potem znika bez zapłaty. Ale ja zawsze go znajduję. I wtedy ma wielkie kłopoty. Pamiętajcie o tym, proszę. – Dopił herbatę i w towarzystwie ułatwacza podążył, by złożyć brygadziście nową ofertę.

Kiedy przerwa obiadowa dobiegła końca, krawcy ociągali się z dołączeniem do ekipy żwirowców i kopaczy rowu. Bliskość obietnicy ocalenia sprawiła, że ulotniła się rezygnacja, z jaką traktowali katorżniczą pracę, i przytłoczyło ich wycieńczenie.

– Are babu, odrobinę cierpliwości – pocieszał Shankar. – To jeszcze tylko jeden dzień, nie róbcie kłopotów. Jeszcze was pobiją albo co. Przestańcie się martwić, brygadzista na pewno się zgodzi, mój mistrz jest bardzo wpływowy.

Wsparci zachętą Shankara znaleźli w sobie siły, by wrócić do nadzorca. Późnym popołudniem z niepokojem nasłuchiwali pieśni nosiwody. Jego przybycie zwiastowało ostatnie dwie godziny pracy. Napili się z bukłaka i przebrnęli przez resztę dnia.

O zmierzchu, gdy dowlekli się z powrotem do chaty, Shankar czekał, wierząc się podekscytowany na swojej platformie.

– Wszystko załatwione. Zabierają nas jutro rano. Bądźcie w pogotowiu ze swoim posłaniem, żeby nie spóźnić się na ciężarówkę. A teraz muszę się przygotować.

Ruszył, by znaleźć mechanika odpowiadającego za ciężkie maszyny. Ten dał mu smar na kółka, które od piachu i pyłu z budowy kręciły się coraz wolniej. Shankar chciał, by jego platforma była idealnie przygotowana do powrotu na ulicę. Odzyskał puszkę na pieniądze i, ułożywszy ją na brzuchu, przywiózł do baraku. Om pomógł mu nasmarować ociążałe kółka.

Nazajutrz wczesnym rankiem strażnik rozkazał Shankarowi, krawcom i rannym, by zebrali się pod bramą ze swoim dobytkiem. Tych, którzy nie byli w stanie sami iść, ponieśli mężczyźni oddelegowani w tym celu z ekipy budowlanej. Czynili to ze złością, mając inwalidom za złe czekającą za progiem wolność. Niemniej ich rozgoryczone spojrzenia skupiły się przede wszystkim na krawcach.

– Zobacz, jak nam się poszczęściło, Om – powiedział Ishvar, wpatrując się w okaleczone ciała wypełniające ciężarówkę. – Gdyby nie właściwy układ naszych gwiazd, leżelibyśmy tam z połamanymi kośćmi.

Małpiarz nadal leżał w śpiączce, w którą zapadł na skutek urazu głowy, i mistrz żebraków nie zgodził się go zabrać. Chciał za to dzieci; twierdził, że mają duży potencjał. Chłopczyk i dziewczynka bronili się przed wywiezieniem, szlochając i łapiąc się kurczowo bezwładnego wuja. Kiedy ciężarówka była

gotowa do odjazdu, trzeba ich było zaciągnąć siłą.

Ułatwiacz i brygadzysta przeprowadzili bilans swoich transakcji i obliczyli upust do uwzględnienia przy następnej dostawie. Później wywiązało się niewielkie opóźnienie. Brygadzysta uparł się, że odzież wydana po przybyciu ma zostać zwrócona przed odjazdem – z każdej sztuki musiał się rozliczyć przed swoimi przełożonymi.

– Zabieraj, co chcesz – rzekł mistrz. – Ale się pośpiesz. Muszę zdążyć z powrotem na uroczystość w świątyni.

Ci, których do ciężarówki zaniesiono, nie potrafili rozebrać się samodzielnie. Robotnicy mieli właśnie wracać do zwykłych obowiązków, gdy rozkazano im, by pomogli tamtym. Swoją frustrację wyładowali brutalnie zrywając ubrania z okaleczonych ciał. Mistrz nie zwracał na to uwagi, jednak kiedy nadeszła kolej Shankara, dopilnował, by z jego koszulką obeszli się ostrożnie.

Bezdomni byli teraz równie nadzy, lub półnaczy, jak w dniu, w którym trafili do obozu pracy. Brama otworzyła się i ciężarówce pozwolono jechać.

•

Pomysł, by wystroić się na wizytę u Nusswana, pochodził od Manecka.

– Musimy wyglądać tip-top, kiedy tam przyjdziemy. Dla niektórych ludzi powierzchowność jest bardzo ważna.

W obecnym stanie Dina była otwarta na każdą radę, która brzmiała choć trochę rozsądnie. Przejechała szare gabardynowe spodnie Manecka żelazkiem. Dla siebie wybrała swą najbardziej efektowną sukienkę, tę niebieską z drugiej rocznicy ślubu, z falbaną, która ożywała, kiedy zaczynało się iść. Czy wciąż będzie pasować? – zastanawiała się. Zamknąwszy drzwi do sąsiedniego pokoju, przymierzyła ją i z satysfakcją odkryła, że wystarczyło tylko trochę ścisnąć, by suwak się dopiął. Weszła do frontowego pokoju.

– A co powie ciocia na makijaż?

Nieużywana od lat szminka niechętnie wynurzyła główkę, kiedy Dina pokręciła jej podstawką. Skusiła na starcie, rozmazując poza linię warg, ale wkrótce przypomniała sobie labialną akrobatykę, sznurowanie, marszczenie i ściąganie, małpie wygibasy, które w lustrze wydawały się tak absurdalne.

Róż zakrzepł po wierzchu, ale pod wyblakłą skorupą znalazło się go dość, by uróżowała sobie policzki. Okrągła, aksamitna gąbeczka wyschła na skórzasty strup. Pewnego razu Rustom droczył się z nią, gdy się malowała, i w odwecie pomazała mu gąbeczką nos na czerwono. Miękka jak płatek róży, powiedział wtedy.

Nie wiedziała, co zrobi, jeśli Nusswan wspomni dzisiaj o małżeństwie. Może wyróci jego biurko. Obejrzała się w lustrze. Odbicie skinęło z aprobatą. Miała

nadzieję, że teoria Manecka o związku między aparycją i szacunkiem jest prawdziwa.

– Jesteś gotowy? – zawołała w stronę jego pokoju.

– O rety! Wygląda ciocia przepięknie.

– Starczy już tego – fuknęła, oglądając go uważnie od stóp do głów. Inspekcja wypadła pomyślnie, z wyjątkiem butów. Kazała mu je wypastować, zanim wyszli.

•

Goniec biurowy poprosił, by zaczekali na korytarzu, a sam zniknął, by zwrócić się do przełożonego o instrukcje.

– Poczekaj no tylko, Nusswan będzie zajęty – odgadła Dina.

Mężczyzna powrócił, by oznajmić głosem pełnym żalu:

– Sahib jest zajęty.

Goniec pracował w biurze od wielu lat, lecz zawsze był zażenowany, gdy musiał uczestniczyć w komedii swojego szefa. Spuścił głowę i wycofał się.

– Bóg jeden wie, dlaczego Nusswan nadal próbuje mi zaimponować tymi głupimi sztuczkami – westchnęła Dina. – Obowiązki, które go zajmują, skończą się dokładnie za piętnaście minut.

Lecz jej druga przepowiednia okazała się chybiona, gdyż goniec napomknął Nusswanowi, że jego siostra jest dziś pięknie ubrana i że ktoś jej towarzyszy.

– Kto to taki? – zapytał Nusswan. – Czy już ją widzieliśmy?

– Nie ją, sahibie. Jego.

Bardzo ciekawe, pomyślał Nusswan, gładząc podbródek w miejscu, w którym rano zaciał się przy goleniu.

– Młody? Stary?

– Młody – odrzekł goniec. – Bardzo młody.

Niezmiernie ciekawe, stwierdził Nusswan, a jego wyobraźnia zaczęła przebierać nogami z nadzieją. Może przyjaciel od serca? W wieku czterdziestu dwóch lat Dina była bardzo atrakcyjna. Niemal równie piękna jak dwadzieścia lat temu, kiedy poślubiła tego nieszczęsnego Rustoma. Nieszczęsnego pod każdym względem. Urody, pieniędzy, długości życia...

Nusswan przerwał tok myśli, uniósł wzrok na sufit i klepnął się kolejno w oba policzki, z uszanowaniem, końcówkami palców prawej dłoni, by zapewnić swemu szwagrowi niezmacony spoczynek. Nie pragnął źle mówić o zmarłym. Jego śmierć, taka szkoda. Ale też zesłana przez Boga druga szansa dla Diny, by ułożyć życiowe sprawy jak należy, znaleźć stosowniejszego męża. Gdyby tylko pochwyliła tę szansę.

Straszna była ta jej duma i ta osobliwa koncepcja niezależności. Pracować jak niewolnica, zarabiać psie pieniądze, upokarzać całą rodzinę. A teraz to najnowsze

fiasko z firmą eksportową. Z czasem Nusswanowi zgrubiała skóra, ale łatwiej było znieść zażenowanie niż wyzbyć się poczucia obowiązku. Dina nadal była jego młodszą siostrą i winien był dbać o nią najlepiej, jak potrafi.

Co za marnacja, myślał, co za trwonienie życia. Jakby człowiek oglądał tragedię w teatrze. Tyle że zamiast trzech godzin trwała blisko trzy dekady – ochłodzone relacje z rodziną, Xerxes i Zarir dorastający bez miłości i uwagi swojej cioci, i ona, która ledwie знаła swych bratanków. Tyle smutku i cierpienia.

Ale być może nadal istnieje szansa na radosne zakończenie. Cóż lepszego niż stać się na nowo jedną, szczęśliwą, zjednoczoną rodziną. Niedługo w jego życiu nadejdzie pora na wnuki. Choć Dina abdykowała z funkcji cioci, wciąż mogła zostać cioteczną babcią.

I ten młodzieniec, który był z nią dzisiaj. Przyjaciół od serca. Jeśli mają poważne zamiary i chcą się pobrać, to cudownie. Nawet jeśli gość ma dopiero trzydziestkę, powinien uważać się za szczęściarza, że trafia mu się Dina – tak atrakcyjna, że przyćmiewała kobiety dwa razy młodsze od siebie.

Tak, to o to chodzi – chce przedstawić faceta i uzyskać aprobatę starszego brata. Na co inaczej by go przyprowadzała? Jeśli chodzi o różnicę wieku, to nie powinna ona budzić sprzeciwu, uznał Nusswan niechętnie. W dzisiejszych, nowoczesnych czasach trzeba być tolerancyjnym. Tak, udzieli im błogosławieństwa, nawet zapłaci za drugie wesele. Pod warunkiem, że koszty będą w granicach rozsądku – setka gości, skromne wiązanki, niewielki zespół muzyczny...

Tak analizował przeszłe życie, gryzł się, żałował, wprowadzał korekty, że zdawało mu się, iż minęły wieki, odkąd zaanonsowano ich przybycie. Spojrzał na zegarek – niespełna pięć minut. Przyłożył cyferblat do ucha: działał. Zdumiewające, jak czas i umysł wspólnie obmyślają swoje sztuczki.

Polecił gońcowi, by natychmiast wpuścił gości. Chciał kontynuować w rzeczywistości świętowanie, które rozpoczął w wyobraźni.

– Co takiego? – spytała Dina gońca. – Już? – A do Manecka szepnęła: – Widzisz? Już nam przyniosłeś szczęście – nigdy nie wzywa mnie tak szybko.

Nusswan wstał i energicznym ruchem wypchnął przedramiona spod mankietów, gotów ciepło powitać mężczyznę, który miał zostać jego szwagrem. Kiedy zobaczył wkraczającego do gabinetu młodzieńca, omal nie ugięły się pod nim kolana. Jego zwariowana siostra znów wywinęła numer! Kurczowo ścisnęła krawędź biurka, poblądły od wizji wstydu i skandalu w parsyjskiej społeczności.

– Czy zmieniasz się w Europejczyka, Nusswanie? A może źle się czujesz? – spytała Dina.

– Miewam się dobrze, dziękuję – odparł sztywno.

– A jak Ruby i chłopcy?

– Zdrowi.

– To dobrze. Przepraszam, że cię niepokoję, gdy jesteś tak zajęty.

– Nie szkodzi. – Nie minęły dwie sekundy, odkąd znalazła się w jego gabinecie, a już na niego wsiadła. Głupi był, że rozbudził w sobie nadzieję. Gdy w grę wchodziła Dina, rozsądniej było oddać się rozpaczycy. Ani pajsy nie wyda na ten ślub. Jeżeli małżeństwa zawierane przez dzieci były potworną starożytną plagą, to małżeństwo dziecka z dorosłym było nowoczesnym szaleństwem. Nie zamierzał brać w tym udziału. Lekarz mówił mu, że ma uważać na ciśnienie i ograniczyć działalność na Share Bazaar^[158] – a tu, proszę bardzo, własna siostra przykłada rękę do skrócenia mu życia.

– Ale gdzie moje maniery – powiedziała Dina. – Rozmawiamy, a panowie się nie zapoznali. Manecku, to mój brat, Nusswan.

– Moje uszanowanie – powiedział Maneck.

– Mi... miło mi pana poznać. – Ucisnęli sobie ręce i Nusswan opadł na krzesło. W sąsiednim pokoju dudniła maszyna do pisania. Wiatrak pod sufitem odzywał się dyskretną czkawką. Stos kartek pod przyciskiem łopotał jak ptak w tarapatach.

– Maneck wiele się o tobie nasłuchał ode mnie – rzekła Dina – i chciałam, żebyście się poznali. Mieszka ze mną od kilku miesięcy.

– Mieszka z tobą?

Jego siostra oszalała! Wydaje jej się, że to Hollywood?

– Tak, mieszka ze mną. A co na ogół robią płatni sublokatorzy?

– Ach, tak! Oczywiście! Jakżeby inaczej! – Ulga była potężna, wprost przemożna. Chciał paść na kolana. Och, dzięki Bogu! Uratowany! Dzięki Bogu Wszechmogącemu!

Potem, za tarczą słoneczną i tęczę, które rozbłysły na horyzoncie, Nusswan odkrył czekające na niego wiadro szlamu: wesela nie będzie. Poczul się oszukany. To do niej podobne. Okrutna, nieczuła, zwodziła go fałszywymi nadziejami. Pomyśleć tylko, jak szczerze cieszył się jej szczęściem parę minut temu. Po raz kolejny zadrwiła sobie z niego.

– Ceny ciągle idą w górę – powiedziała. – Nie mogłam związać końca z końcem, musiałam wziąć lokatora. Miałam szczęście, że znalazłam takiego cudownego chłopca jak Maneck.

– Tak, oczywiście. Bardzo miło mi cię poznać, Manecku. A gdzie pracujesz?

– Praca? – obruszyła się Dina. – Ma dopiero siedemnaście lat, chodzi do college'u.

– A co studiujesz?

– Chłodnictwo i klimatyzację.

– Bardzo mądry wybór – powiedział Nusswan. – Dziś tylko wykształcenie

techniczne pozwala się wybić. Przyszłość należy do techniki i modernizacji. – Słowa dla wypełnienia ciszy, jako sposób na natłok emocji, których wybuch spowodowała jego siostra. Było mu głupio, próżne słowa miały oddalić to uczucie. – Tak, ten kraj zbyt długo trwał w zacofaniu z powodu przestarzałych ideologii. Ale nadchodzi nasz czas. Dokonują się wspaniałe zmiany. I tu brawa należą się naszej pani premier. Prawdziwy duch odrodzenia.

Dinie nie wadziło jego gędzenie, bowiem czuła ulgę, że przynajmniej wątek matrymonialny nie został poddany reanimacji.

– Mam lokatora, ale straciłam moich krawców.

– Co za pech! – westchnął Nusswan, nieco zbity z tropu jej wtrętem. – Przede wszystkim mamy teraz pragmatyczne rozwiązania zamiast nieadekwatnych teorii. Na przykład pełną parą wzięto się za ubóstwo. Równa się z ziemią wszystkie obrzydliwe basti^[159] i paskudne dźhopadpatti. Ty, młody człowieku, jesteś zbyt młody, by pamiętać, jakie to miasto było kiedyś cudowne. Ale dzięki naszej przywódczyni – to wizjonerka – i Programowi Upiększania powróci do swojej dawnej chwały. Wtedy zobaczysz i docenisz.

– Udało mi się skończyć ostatnie sukienki tylko dzięki pomocy Manecka – wtrąciła Dina. – Pracował bez wytchnienia, ramię w ramię ze mną.

– To bardzo dobrze – odrzekł Nusswan. – Doprawdy, znakomicie. – Dźwięk własnego głosu uczynił go wielomównym, tak jak zawsze. – Pracowici, wykształceni ludzie jak Maneck – takich nam trzeba. A nie milionów leniwych nieuków. Potrzeba nam też surowego planowania rodziny. Te wszystkie pogłoski o przymusowej sterylizacji tylko szkodzą. Na pewno słyszeliście te bzdury.

Dina i Maneck jednocześnie pokręcili głowami.

– Pewnie CIA je rozpuściła – że w wioskach na prowincji ludzi wyciąga się z chat, żeby ich na siłę sterylizować. Wierutne łgarstwa. A ja mówię, nawet jeśli ta plotka jest prawdziwa, to co w tym złego w obliczu tak wielkich problemów z przeludnieniem?

– Czy to przypadkiem nie jest niedemokratyczne, okaleczać ludzi wbrew ich woli? – spytał Maneck tonem, który sugerował nie tyle sprzeciw, co całkowitą akceptację.

– Okaleczać. Ha, ha, ha – odezwał się Nusswan dobrodusznie, skłonny udawać, że chodzi o inteligentny żart. – Wszystko to jest względne. W swoich szczytowych momentach demokracja jest równoważnią zawieszoną między całkowitym chaosem i dopuszczalnym zamętem. Widzisz, gdzie rąbią demokratyczne drwa, tam musi polecieć trochę demokratycznych wiórów. Nie ma nic złego w tym, że przedsięwzięcie się ostre środki, by zwalczać faszyzm i inne złe siły zagrażające naszemu krajowi. Zwłaszcza gdy wiecznie mamy do czynienia z destabilizacyjnymi ingerencjami cudzoziemskiej ręki. Czy wiedzieliście, że CIA

próbuję sabotować Program Planowania Rodziny?

Maneck i Dina znów pokręcili głowami, znów w idealnej synchronizacji i z kamiennymi twarzami. Trąciło to lekką burleską.

Nusswan potoczył po nich podejrzliwym wzrokiem, po czym ciągnął dalej:

– Sytuacja wygląda tak, że agenci CIA majdrują przy dostawach urządzeń do kontroli narodzin i wzniecają tarcia między grupami wyznaniowymi. Więc chyba zgodzicie się, że wobec takich zagrożeń konieczne są wyjątkowe środki?

– Może – bąknęła Dina. – Ale uważam, że rząd powinien pozwolić bezdomnym spać na chodnikach. Wtedy moi krawcy by nie zniknęli, a ja bym tu nie przyszła i nie zawracała ci głowy.

Nusswan uniósł palec wskazujący i zamachał nim jak nadpobudliwą wycieraczką samochodową.

– Ludzie śpiący na chodnikach ściągają złą reputację na przemysł. Znajomy mówił mi w zeszłym tygodniu – jest dyrektorem międzynarodowego koncernu, proszę ja kogo, nie jakieś dwupajsowej firemki – mówił mi, że mamy co najmniej dwieście milionów nadprogramowych ludzi i trzeba ich wyeliminować.

– Wyeliminować?

– Tak. No wiecie – pozbyć się ich. Liczenie ich rok za rokiem w statystykach bezrobocia nie prowadzi do niczego, tyle tylko, że liczby źle wyglądają. A zresztą co za życie oni mają? Siedzą w rynsztoku i wyglądają jak trupy. Śmierć byłaby miłosierdziem.

– Ale jak zostaliby wyeliminowani? – poinformował się Maneck swym najprzyjemniejszym, pełnym poważania tonem.

– To proste. Można by na przykład wydawać im darmowe posiłki zawierające arsenik lub cyjanek, zależy który jest bardziej opłacalny. Można by posyłać ciężarówki do świątyń i miejsc, gdzie gromadzą się, żeby żebrać.

– Dużo przedsiębiorców tak uważa? – spytała Dina z zaciekawieniem.

– Wielu z nas tak sądzi, ale dotąd nie mieliśmy odwagi, by o tym mówić. Dzięki stanowi wyjątkowemu ludzie mogą swobodnie wyrażać swoje poglądy. I to jest kolejny pozytywny.

– Ale gazety się cenzuruje – wtrącił Maneck.

– Tak, tak – odparł Nusswan, wreszcie zdradzając zniecierpliwienie. – I co w tym takiego strasznego? Robi się to jedynie dlatego, że rząd nie chce, by opublikowano coś, co wzbudzi niepokój społeczny. To tymczasowy zabieg – żeby zdławić kłamstwa i by ludzie mogli na nowo nabrać zaufania. Takie kroki są konieczne dla utrzymania struktury demokratycznej. Nie można zamieść do czysta, nie brudząc nowej miotły.

– Rozumiem – powiedział Maneck. Dziwaczne aforyzmy zaczynały mu działać na nerwy, ale brakło mu amunicji na choćby skromny kontratak. Gdyby Avinash

tutaj był. Już on by ustawił do pionu tego idiotę. Żałował teraz, że nie słuchał uważniej, kiedy Avinash mówił o polityce.

Na razie nie uporał się z wcześniejszą maksymą, tą o demokratycznych wiórach, które lecą z demokratycznych drzew, i próbował sformułować jej wariant z wykorzystaniem demokracji, tyranii, lasu, duktu, gajowego, drwali i siekiery. Zdawało mu się, że coś ma: nie można narąbać demokratycznych drzew z drzewa, które ma na liściach napis „demokracja”, ale zostało zasadzone przez gajowego-tyrana. Nie, zbyt zawile. A odpowiedni moment już przeszedł.

– Ważne jest – mówił Nusswan – by przyjrzeć się konkretnym osiągnięciom stanu wyjątkowego. Przywrócono punktualność na kolei. I, jak powiedział mój znajomy dyrektor, znacznie poprawiły się warunki dla przemysłu. Dziś jedna sekunda i dzwoni po policję, żeby zgarnęła związkowych warcholów. Oberwą parę dobrych szturchańców na komendzie i miękną jak wosk. Mój znajomy mówi, że produkcja poprawiła się diametralnie. A kto korzysta z tego wszystkiego? Robotnicy. Zwykli ludzie. Nawet Bank Światowy i MFW aprobują zmiany. Teraz proponują więcej pożyczek.

Zachowując możliwie jak najpoważniejszy wyraz twarzy, Dina spytała:

– Nusswanie, czy mogłabym cię o coś prosić?

– Tak, oczywiście. – Zastanawiał się, ile to będzie tym razem – dwieście rupii, trzysta?

– Chodzi o ten plan, by wyeliminować dwieście milionów. Czy zechciałbyś powiedzieć swoim znajomym biznesmenom i dyrektorom, by nie truli krawców? Bo już teraz ciężko ich znaleźć.

Maneck zdusił zarzewie śmiechu. Nusswan przyuważył ten wysiłek i zwrócił się z niesmakiem do Diny:

– Nie ma sensu rozmawiać z tobą o poważnych sprawach, nie wiem, czemu w ogóle zawracam sobie głowę.

– Ja słuchałem z przyjemnością – rzekł z powagą Maneck.

Nusswan poczuł się zdradzony – najpierw ona, teraz ten. Zastanawiał się, jakież to drwiny i wygłupy odbywały się jego kosztem, kiedy ta dwójka przebywała na osobności.

– Też się ubawiłam – powiedziała Dina. – Przychodzenie do twojego biura to jedyna rozrywka, na jaką mnie stać, wiesz o tym.

Łypiąc spode łba, Nusswan zaczął przesuwac papiery na swym biurku.

– Powiedz, czego ci potrzeba i daj mi spokój. Mam dużo pracy.

– Uważaj, Nusswanie, twoje brwi wyczyniają śmieszne wygibasy. – Postanowiła nie wystawiać swego szczęścia na dalsze próby i przejść do rzeczy. – Nie zrezygnowałam z tych zleceń na eksport. To tylko kwestia czasu, zanim znajdę nowych krawców. Ale póki to nie nastąpi, nie mogę przyjmować kolejnych

zamówień.

Znienawidzony moment ogłoszenia prośby nie stał się łatwiejszy do przełknięcia dzięki dziarskiemu, rzeczowemu wstępowi, ani poprzedzającym go żarcikom.

– Dwieście pięćdziesiąt starczy mi, żeby dociągnąć do końca miesiąca.

Nusswan zadzwonił po gońca i wypełnił polecenie wypłaty. Dina i Maneck zostali poczęstowani popisem nieposkromionej kaligrafii. Długopis z furją skrobał blankiet. Nusswan stawiał kreseczki w „t” i kropki nad „i” potężnymi ciosami, jakby chciał iść w zawody z maszyną do pisania, która łupała za ścianą.

Goniec zaniósł blankiet do kasjera po drugiej stronie korytarza. Sfatygowany wiatrak pod sufitem młócił mozolnie jak hałaśliwa fabryczka. Tyle pieniędzy, pomyślała Dina, a ciągle nie ma klimatyzacji w gabinecie. Spuściła oczy i wpatrzyła się w nóż do papieru z drzewa sandałowego, wsunięty strategicznie w na wpół rozciętą kopertę. Goniec przyniósł pieniądze i opuścił pokój.

Nusswan zaczął:

– To w ogóle nie byłoby potrzebne, gdybyś tylko... – Zerknął na Dinę, nie mógł dosięgnąć jej spuszczonego oczu, przeniósł wzrok na Manecka, porzucił zaczęta myśl. – Proszę – podał jej banknoty.

– Dziękuję – Dina wzięła je, cały czas odwracając wzrok.

– Nie ma o czym mówić.

– Zwrócę ci, jak tylko będę mogła.

Kiwnął głową i, podniósłszy nóż do papieru, rozciął do końca kopertę.

•

– Przynajmniej dzięki stanowi wyjątkowemu oszczędził mi dzisiaj swojej ulubionej mówki – powiedziała Dina, gdy wysiadali z autobusu. – Za to powinniśmy być mu wdzięczni. „A co w tym takiego strasznego, że się po raz drugi wyjdzie za męża?” – spytała, przedrzeźniając świętoszkowaty ton. – „Cały czas dobrze wyglądasz, ręczę, że mogę ci znaleźć dobrego męża”. Nie uwierzysz, ile razy mi to mówił.

– Ależ wierzę, ciociu – powiedział Maneck. – W tym jednym zgadzam się z cioci bratem: ciocia naprawdę świetnie wygląda.

Klepnęła go w ramię.

– Po czyjej jesteś stronie?

– Po stronie prawdy i piękna – oświadczył z patosem. – Ale to musi być całkiem zabawne, jak Nusswan i jego znajomi zbierają się i wygadują bzdury.

– Wiesz, co mi się przypomniało u niego w gabinecie? Kiedy był małym chłopcem, opowiadał, jak to będzie myśliwym, jak się wyprawi na grubego zwierza, jak będzie zabijać lamparty i lwy. I pójdzie w zapasy z krokodylami, jak

Tarzan. Pewnego dnia do pokoju weszła mała myszka i nasza ayah powiedziała do niego: Baba, popatrz, dziki tygrys, możesz zapolować. A Nusswan pobiegł z wrzaskiem do mamusi.

Obróciła klucz w zamku.

– Teraz chce wyeliminować dwieście milionów. Wiecznie te przechwałki.

Weszli do mieszkania i stanęli twarzą w twarz z milczącymi maszynami do szycia. Ich śmiech zdawał się teraz nie na miejscu; wesoły nastrój pełgał jeszcze chwilę i zgasł.

[154] *Tamater, bai* – Pomidory, proszę pani.

[155] *Sala badmaś* – *sala* – dosł. szwagier; przekleństwo sugerujące utrzymywanie stosunków seksualnych z siostrą osoby obrzucanej obelgami; *badmaś* – drań; całość w znaczeniu: pieprzony drań.

[156] *Sala gandu* – pieprzony dupek.

[157] Rawana – demon z eposu *Ramajana*, który porwał na Lanę małżonkę Ramy, Sitę.

[158] Share Bazaar (Bombay Stock Exchange, BSE) – bombajska giełda papierów wartościowych.

[159] *Basti* – slumsy.

10 ŻEGLUJĄC POD JEDNĄ BANDERĄ

Ciężarówka z warkotem wjechała do miasta po północy, szosą wiodącą na lotnisko. Uśpione dzielnice nędzy kielkowały po obu stronach autostrady, gotowe rozlać się na asfaltową arterię. Jedyne groźba wielokołowych machin piekielnych sunących po niej z łoskotem utrzymywała zszargane żywoty za jej skrajem. Reflektory wydobywały z mroku sylwetki robotników nocnej zmiany, znużone widma, odnajdujące ostrożnie ścieżkę między ruchem ulicznym a otwartym ściekiem.

– Policja dostała rozkaz, by zlikwidować wszystkie dźhopadpatti – odezwał się Ishvar. – Dlaczego te dalej stoją?

Mistrz wyjaśnił, że to nie takie proste; wszystko zależało od długoterminowych uzgodnień, jakie władca danego slumsu zawarł z policją.

– To niesprawiedliwe – powiedział Om, próbując przeniknąć wzrokiem toksyczną noc. Plamy bladego światła księżycowego odsłaniały ciągnące się w nieskończoność szeregi patchworkowych bud, szpetne zlepki plastiku, kartonu, papieru i juty, które niczym strupy i pęcherze legły się w dermatologicznym koszmarze na gnijącym ciele metropolii. Chmury przesłoniły księżyc i slumsy zniknęły im z oczu, lecz nieustanny odór ręczył za ich obecność.

Po kilku kilometrach ciężarówka wjechała w bebeczy miasta. Latarnie i neony obmywały morzem wodnistej żółtego światła chodniki, gdzie spały skurczone posągi nocy o zapadłych oczach – Galatee i Gangabehnowie, Gokhalowie i Gopalowie – które chaos świtu miał niebawem poderwać do życia, by dźwigali, taszczyli, podnosili i budowali, by wypruwali sobie żyły dla miasta, które rozpaczliwie starało się upiększyć.

– Popatrzcie – powiedział Om – ludzie śpią spokojnie, żadni policjanci ich nie gonią. Może odwołano ustawę o stanie wyjątkowym.

– Nie odwołano – odparł mistrz. – Ale ustawa zmieniła się w grę, jak wszystkie inne prawa. Łatwo się gra, gdy człowiek zna zasady.

Krawcy poprosili, by wysadzić ich koło apteki.

– Może stróż pozwoli nam dalej mieszkać w bramie.

Mistrz żebraków nalegał jednak, by najpierw pokazali mu swoje miejsce pracy. Ciężarówka jechała jeszcze parę minut, po czym stanęła pod domem Diny, gdzie wskazali jej mieszkanie.

– W porządku – powiedział mistrz, wyskakując. – Sprawdźmy u waszego

pracodawcy, czy macie pracę. – Poleciał kierowcy, by zaczekał, i zamaszystym krokiem błyskawicznie podszedł do drzwi.

– Jest za późno, żeby budzić panią Dinę – przekonywał Ishvar. Krzywił twarz z bólu, gdy idąc szybko, obciążał kontuzjowaną kostkę. – Jest bardzo porywcza. Jutro tu pana przyprowadzimy, obiecuję – przysięgam na imię mojej zmarłej matki.

Na ciężarówce zebracy i kontuzjowani robotnicy drżeli, tęskniąc za kojącymi objęciami ruchu, który kołysał ich przez całą podróż. Silnik na biegu jałowym wypełniał noc złowrogim pomrukiem. Zaczęli płakać.

Mistrz przystanął przed drzwiami wejściowymi, by obejrzeć tabliczkę na drzwiach i zapisał coś w notesie. Następnie wyprostował palec wskazujący i zadzwonił.

– Hai Ram! – Ishvar złapał się za głowę z rozpaczą. – Będzie wściekła, że się ją wyciąga z łóżka o tej porze!

– Dla mnie to też późna pora – powiedział mistrz. – Opuściłem pudzę w mojej świątyni, a przecież się nie skarzę, tak? – Nacisnął ponownie dzwonek, a potem, gdy nie było odpowiedzi, jeszcze raz. Kierowca ciężarówki zatrąbił klaksonem, by się pośpieszył.

– Niech pan przestanie, proszę! – błagał Om. – Jak tak dalej pójdzie, na pewno stracimy pracę! – Mistrz uśmiechnął się cierpliwie i dalej skrobał w notesie. Pisanie po ciemku nie nastroczało mu żadnych trudności.

Tymczasem w środku dzwonienie wprawiło Dinę w popłoch w równym stopniu co krawców. Popędziła do pokoju Manecka.

– Wstawaj, szybko! – Trzeba nim było solidnie potrząsnąć parę razy, zanim się poruszył. – Wygląda jak aniołek, a chrapie jak bawół! Wstawaj i chodź! Nic nie słyszysz? Ktoś stoi za drzwiami!

– Kto?

– Zerknęłam przez wizjer, ale znasz moje oczy. Wiem tyle, że stoi tam trzech facetów. Ty zobacz.

Nie włączyła jeszcze światła, licząc, że nieproszeni goście odejdą. Przestrzegła Manecka, by stapał ostrożnie, po czym powiodła go do drzwi i położyła rękę na zasuwce. Maneck wyjrzał i obrócił się podniecony.

– Otwórz, ciociu! To Ishvar i Om i jakiś gość!

Na zewnątrz krawcy posłyszeli jego głos i zawołali:

– Han-dzi, Dina-bai, to my, bardzo przepraszamy, że panią niepokoiimy. Proszę nam wybaczyć, to nie potrwa długo... – Ich głosy rozmyły się w bojaźliwym znaku zapytania.

Dina, nadal ostrożna, przesunęła włącznik światła na werandzie i uchyliła nieco drzwi – a potem szerzej.

– To naprawdę wy! Gdzieście się podziewali? Co się stało?

Ani przez chwilę nie próbowała ukryć ulgi. Zaskoczyło ją to: z radością smakowała jej pełnię, jej uczucia wznosiły się w górę, prosto na język, bez zwodniczego kluczenia.

– Wejdźcie do środka, wejdźcie! – zapraszała. – Mój Boże, tak się o was martwiliśmy przez te tygodnie!

Mistrz cofnął się, a Ishvar, kuśtykając, pokonał próg i uśmiechnął się z przymusem. Obok kostki majtały mu się brudne strzępy opatrunku sahiba doktora. Om deptał mu po piętach i w pośpiechu następował na bandaż. Otwór wejściowy nikał w mroku. Ze wstydem wysunęli się z niego w demaskujące światło werandy.

– Mój Boże, jak wy wyglądacie! – wykrzyknęła Dina, wstrząśnięta widokiem ich wymizerowanych twarzy, brudnych ubrań i posklejanych włosów. Przez chwilę ani ona, ani Maneck nie mówili nic. Wytrzeszczali oczy. Później posypały się pytania, jedno potykało się o drugie, a rwane odpowiedzi były równie gorączkowe.

Mistrz, który ciągle czekał w drzwiach, przerwał chaotyczne wyjaśnienia Ishvara i Oma.

– Chcę tylko sprawdzić – ci krawcy pracują dla pani?

– Tak, a o co chodzi?

– W porządku. Miło widzieć szczęście na nowo połączonych ludzi. – Ciężarówka zatrafiła ponownie, a on obrócił się do wyjścia.

– Niech pan zaczeka – odezwał się Ishvar. – Gdzie mamy co tydzień wpłacać pieniądze?

– Przyjdę je odebrać. – Dodał, że gdyby kiedykolwiek chcieli się z nim skontaktować, powinni powiedzieć o tym Gliście, którego nowy rewir będzie pod Vishram Vegetarian Hotel.

– Jakie pieniądze, jaka glista? – spytała Dina, kiedy drzwi się zamknęły. – I kim jest ten człowiek?

Krawcy zboczyli z głównego wątku, by wyjaśnić. Zaczęli od przybycia mistrza żebraków do obozu pracy, później cofnęli się do opowieści Shankara, znów pognali naprzód, pogubili się, dezorientowali słuchaczy. Koszmarny okres piekła dobiegł końca i wyczerpanie zalewało puste miejsce, które zostawił po sobie strach. Ishvar majstrował przy bandażu, chcąc owinać go porządnie wokół kostki. Ręce mu drżały, więc Om wyręczył go i zatknął luźny koniec za opatrunek.

– To przez brygadzystę, bo on...

– Ale to było zanim przyjechał ułatwiacz...

– Tak czy owak, po tym jak skręciłem kostkę, nie dało się...

Nić zdarzeń wymykała im się z palców. Tu Ishvar podchwytywał jej fragment, tam Om łapał jakiś kawałek. Potem do reszty zgubili wątek. Głos Ishvara zamarł. Starszy krawiec ścisnął oburącz głowę, próbując wycisnąć z niej słowa. Om zająknął się i zaczął płakać.

– Tam było strasznie, strasznie nas tam traktowali – szlochał, wpijając palce we włosy. – Myślałem, że stryj i ja tam zginiemy...

Maneck poklepał go po plecach i powiedział, że są już bezpieczni, Dina zaś stanowczo stwierdziła, że teraz najlepiej będzie wypocząć i porozmawiać później, rano.

– Ciągłe macie swoje posłanie. Rozłóżcie je tu na werandzie i idźcie spać.

Wówczas to na Ishvara przyszła kolej, by dać upust emocjom. Upadł przed nią na kolana i dotknął jej stóp.

– O, Dina-bai, jak mamy pani dziękować! Jaka pani dobra! Na ulicach jest pełno policji, stan wyjątkowy... tak bardzo się boimy.

Wybuch wdzięczności wprowadził Dinę w zakłopotanie. Odsunęła się, by palce jej stóp znalazły się poza zasięgiem Ishvara. On jednak chwycił tak gwałtownie, że lewy kapeć został mu w kurczowo zacisniętej dłoni. Wyciągnął rękę i delikatnie wsunął go z powrotem na stopę Diny.

– Wstań, proszę, ale już – powiedziała ze stropioną stanowczością. – Posłuchaj mnie, powiem to tylko raz. Nigdy nie padaj na kolana przed żadnym człowiekiem.

– Okej-dzi – podniósł się posłusznie. – Niech mi pani wybaczy, powinienem był wiedzieć, żeby tego nie robić. Ale co ja poradzę, Dina-bai, nie wiem, jak pani dziękować.

Dina, wciąż zażenowana, powiedziała, że to już dosyć podziękowań jak na jedną noc. Om otarł oczy rękawem i rozwinął posłanie. Spytał, czy mogliby obmyć kurz z twarzy i dłoni przed pójściem spać.

– Wody jest mało, tylko tyle co w wiadrze, więc bądźcie oszczędni. Jeśli chcecie pić, nalejcie sobie z dzbanka w kuchni. – Zamknęła drzwi werandy i razem z Maneckiem weszła do środka.

– Jestem z cioci taki dumny – wyszeptał Maneck.

– Tak? Naprawdę? Dziękuję, dziadku.

•

Światło poranka nie przyniosło odpowiedzi na pytania, z którymi Dina zmagала się całą noc. Nie mogła ryzykować, że znów utraci krawców. Lecz na ile powinna być stanowcza, a na ile ustępliwa? Gdzie przebiega granica między współczuciem a lekkomyślnością, dobrocią a słabością? Tak to wyglądało z jej perspektywy. Być może w ich oczach była to granica między litością a okrucieństwem, między poszanowaniem a bezwzględnością. Dla niej granica mogła przebiegać w jednym

miejscu, dla nich w innym.

Krawcy obudzili się o siódmej i zwinęli posłanie.

– Ależ nam się dobrze spało – powiedział Ishvar. – Na pani werandzie jest spokojnie jak w raju.

Zabrali z kuferka ubrania na zmianę i szykowali się, by iść do toalety na dworcu.

– Jeśli można, to wypilibyśmy herbatę w Vishramie i zaraz wrócili.

– Znaczy się, żeby szyć?

– Tak, to na pewno – powiedział Om ze słabym uśmiechem.

Dina obróciła się do Ishvara.

– A co z twoją kostką?

– Ciągłe boli, ale mogę popychać pedał jedną stopą. Nie ma co zwlekać.

Zauważyła ich spękane i posiniaczone stopy.

– Gdzie są wasze sandały?

– Skradzione.

– Czasem na ulicy leży potłuczone szkło. Pijacy tłuką butelki. Zostały wam trzy stopy, nie możecie ryzykować. – Znalazła parę starych kapci, w które zmieścił się Om; Maneck odstąpił Ishvarowi swoje tenisówki.

– Ale wygodne – ucieszył się Ishvar. – Dziękuję. – Później zapytał nieśmiało, czy mogliby pożyczyć pięć rupii na herbatę i jedzenie.

– Za ostatnie zamówienie czeka na was znacznie więcej niż pięć rupii – odrzekła Dina.

– Han-dzi? Naprawdę? – Byli wniebowzięci, gdyż spodziewali się, że porzucenie niedokończonych prac oznacza utratę prawa do jakiegokolwiek zapłaty – i wszystko to powiedzieli.

– Być może niektórzy pracodawcy tak postępują. Ja wierzę w uczciwą zapłatę za uczciwą pracę. – Potem dorzuciła żartobliwie: – Może powinniście podzielić się z Maneckiem, coś mu się należy.

– Nie, ja tylko pomogłem przy paru guzikach. Ciocia Dina wszystko zrobiła.

– Zapomnij o college'u, brachu. Zostań naszym wspólnikiem – powiedział Om.

– Pewnie. I otworzymy własny zakład – odparł Maneck.

– Nie dawaj mu złych rad – zganiała Oma Dina. – Każdy powinien mieć wykształcenie. Mam nadzieję, że jak będziesz mieć dzieci, to pošlesz je do szkoły.

– O tak, tak będzie – powiedział Ishvar. – Ale najpierw musimy znaleźć mu żonę.

•

Gdy Maneck niechętnie wyszedł do college'u, a Dina udała się do Au Revoir Exports po nowy materiał, krawcom czas upływał w Vishram Vegetarian Hotel.

Kasjer i kelner w jednej osobie z radością powitał na nowo swych stałych bywalców. Skończył obsługiwać klientów przy frontowym kontuarze – szklanka mleka, sześć pakor i do tego łycha gęstego jogurtu – i wkrótce dołączył do nich przy jedynym stoliku.

– Schudliście – zauważył. – Gdzie się podziewaliście przez tyle czasu?

– Rządowa dieta – odparł Ishvar i opowiedział mu o ich nieszczęsnej przygodzie.

– Wy to jesteście niezli, chłopaki – zaryczał znad kuchenek spocony kucharz. – Tylko wam się przytrafiają takie cuda. Za każdym razem jak tu przychodzicie, macie nową historię, żeby nas zabawić.

– To nie my, tylko to miasto – odpowiedział Om. – Jedna wielka fabryka opowieści czy inna przędzalnia.

– Zwał jak zwał, gdyby wszyscy klienci byli jak wy, to byśmy tu mogli napisać nową *Mahabharatę* – wydanie „Vishram”.

– Bardzo proszę, bracie, nam już wystarczy przygód – rzekł Ishvar. – Opowieści o cierpieniu to żadna zabawa, kiedy człowiek jest głównym bohaterem.

Kasjer-kelner przyniósł im herbatę i bun-muska^[160], później oddalił się, by obsłużyć kolejnych klientów przy kontuarze. Mleko w herbacie utworzyło na powierzchni gęsty kożuch. Om nabrał go łyżką do ust, oblizał wargi, po czym zebrał wierzchnią warstewkę z filiżanki podsunętej mu przez Ishvara. Rozdzielili połówki bun-muska, by sprawdzić, czy obie są posmarowane masłem. Były, i to obficie.

Podczas przestoju w ruchu przechodniów Shankar, który zebrał przed wejściem już kiedy przybyli, podjechał do drzwi, by się z nimi przywitać. Ishvar pomachał do niego.

– No i jak tam, Shankarze? Cieszysz się, że wróciłeś i ciężko pracujesz?

– Are, babu, co robić. Mistrz mówił, że to pierwszy dzień, żebym odpoczął, pospał sobie. Zasnąłem tutaj i zaraz monety zaczęły mi spadać do puszek. Okropne brzęczenie, tuż koło mojej głowy. Co zamknę oczy, to mi się otwierają ze strachu. Publika nie daje mi chwili spokoju.

Tego ranka jego numer był prosty. Potrząsał monetami i wydawał z siebie zawodzące buczenie lub w regularnych odstępach kaszlał chrapliwie, aż łzy napływały mu do oczu. By wprowadzić atrakcyjne dla oka urozmaicenie, co pewien czas przejeżdżał na platformie kilka stóp w lewo i z powrotem kilka stóp w prawo.

– Wiecie, specjalnie poprosiłem mistrza, żeby mnie tu przeniósł ze stacji – zwierzył im się. – Teraz będziemy się częściej spotykać.

– To dobrze – powiedział Om, unosząc rękę na pożegnanie. – Niedługo się

zobaczymy.

•

Mieszkanie było zamknięte na kłódkę, więc czekali przy drzwiach.

– Mam nadzieję, że ten zwariowany poborca nie czai się gdzieś w okolicy – powiedział Om.

Minęło dziesięć nerwowych minut, zanim podjechała taksówka. Pomogli Dinie wyładować bele materiału i zanieśli je do tylnego pokoju.

– Nie bierz za dużo, uważaj na kostkę – Dina przestrzegła Ishvara. – A tak swoją drogą, będzie strajk w fabryce. Póki się nie skończy, nie będzie nowych tkanin.

– Hai Ram, ciągle kłopoty. – Nagle myśli Ishvara powróciły do gestu, który uczynił zeszłej nocy i ponownie przeprosił za to, że upadł Dinie do stóp. – Powinienem był wiedzieć, żeby tego nie robić.

– Tak samo mówiłeś wczoraj w nocy. Ale dlaczego? – spytała Dina.

– Ponieważ kiedyś ktoś mi tak zrobił. I bardzo źle się wtedy poczułem.

– Kto to był?

– To bardzo długa historia – odrzekł Ishvar, który nie chciał opowiadać jej wszystkiego o ich życiu, lecz chętnie podzieliłby się częścią wspomnień. – Kiedyś mój brat – ojciec Oma – i ja terminowaliśmy u krawca i wtedy pomogliśmy mu w jednej sytuacji.

– Co takiego zrobiliście?

– Hm – zawahał się Ishvar. – Ćaća Ashraf jest muzułmaninem, a to był czas walk między hindusami a muzułmanami. Zaraz po odzyskaniu niepodległości, wie pani. W mieście były zamieszki i... udało nam się mu pomóc.

– I ten Ashraf dotknął twoich stóp.

– Nie. – Nawet po dwudziestu ośmiu latach wspomnienie wciąż wprawiało Ishvara w zażenowanie. – Nie, jego żona, ćaći Mumtaz. I bardzo źle się wtedy poczułem. Jakbym w jakiś sposób wykorzystywał jej niedolę.

– Dokładnie tak się poczułam wczoraj w nocy. Zapomnijmy już o tym. – Dina chętnie zadałaby mu jeszcze z tuzin pytań, ale uszanowała jego opory. Jeśli zechcą, to pewnego dnia, gdy będą gotowi, opowiedzą więcej.

Tymczasem dołączyła zasłyszane kawałki do fragmentów ich życia w wiosce, które wcześniej relacjonował jej Maneck. Podobnie jak jej kapa, kronika krawców stopniowo nabierała kształtu.

•

Przez cały pierwszy dzień Dina dalej zmagiała się ze słowami, z których miała złożyć kardynalne pytanie. Jak je sformułować, kiedy nadejdzie czas? A gdyby

tak: śpijcie na werandzie, dopóki nie znajdziecie jakiegoś miejsca. Nie, brzmiało to jakby jej za bardzo zależało. To może na początek: macie gdzie spać dziś w nocy? Ale w tym brzmiała hipokryzja, było jasne, że nie mają. Inne pytanie: gdzie będziecie dziś spali? Aha, nieźle. Spróbowała ponownie. Nie, za dużo w tym troski, nadto obcesowe. Zeszłej nocy poszło tak łatwo, słowa wystrzeliły samoistnie, proste i prawdziwe.

Przez całe popołudnie patrzyła, jak krawcy pracują ze stopami przyspawanymi do pedałów, aż Maneck wrócił i przypomniał im o przerwie na herbatę. Nie, odpowiedzieli, dziś nie, a ona ich poparła.

– Nie namawiaj ich do marnowania pieniędzy. Wystarczająco dużo stracili w ostatnich tygodniach.

– Ale ja bym zapłacił.

– Ty też nie marnuj swoich. Coś jest nie tak z moją herbatą? – Nastawiła wodę i wyjęła filiżanki dla wszystkich, stawiając osobno te z różowym brzeżkiem. Czekając aż czajnik zacznie bulgotać, łamała sobie głowę nad układanką ze słów. A gdyby tak zaczęła od: wygodnie było na werandzie? Nie, to brzmiało beznadziejnie fałszywie.

Gdy nadeszła pora, by iść, krawcy posępnie okryli maszyny pokrowcami. Podnieśli się ciężko, westchnęli i powędrowali w stronę drzwi.

Przez chwilę Dina czuła się jak czarodziejka. Mocą słów mogła wszystko zmienić w błyszczące złoto – wystarczyło otworzyć usta i mówić.

– O której wrócić?

– O której sobie pani życzy – odpowiedział Om. – Tak wcześnie, jak pani zechce. – Ishvar potaknął w milczeniu.

Wykonała pierwszy ruch; fragmenty układanki wskoczyły na miejsce.

– Tak, nie ma co się śpieszyć. Zjedzcie kolację i wracajcie. Do tego czasu Maneck i ja też zdamy zjeść.

– Znaczy się, że możemy...?

– Na werandzie?

– Tylko do czasu, gdy znajdziecie sobie miejsce – powiedziała, zadowolona z neutralności swych słów, z precyzyjnie wykreślonej granicy.

Ciepło jej się zrobiło od ich wdzięczności, lecz z miejsca ucięła propozycję zapłaty.

– Nie. Nie ma mowy o komornym. Niczego nie wynajmuję, tylko dbam o to, żebyście nie wpadli w szachrajskie łapska policji.

Jasno dała do zrozumienia, że trzeba będzie ograniczyć ich wyjścia. Ryzyko ze strony kamienicznika było zbyt duże. Można na ten przykład wyeliminować łaźniebną wyprawę na dworzec każdego ranka.

– Umyć się i wypić herbatę możecie tutaj. Byle byście wstali wcześniej, zanim

puszczą wodę. Pamiętajcie, że mam tylko jedną łazienkę. – Na te słowa Om zastanowił się, dlaczego ktoś byłby tak głupi, by mieć więcej niż jedną łazienkę, lecz nie zadał pytania. – I pamiętajcie, nie chcę tu bałaganu.

Zgodzili się na wszystkie jej warunki i obiecali, że nie będą zawadzać.

– Ale naprawdę źle nam z tym, że mielibyśmy tu mieszkać za darmo.

– Jeśli jeszcze raz wspomnisz o pieniądzach, to będziecie musieli znaleźć sobie inne miejsce.

Podziękowali ponownie i wyszli na kolację, obiecując, że wrócą przed ósmą i poszyją jeszcze przez godzinę przed pójściem spać.

– Ale czemu nie zgadza się ciocia, żeby zapłacili? Jakby wzięła ciocia trochę pieniędzy, to by się lepiej poczuli. A cioci też by się przydało, na wydatki.

– Czy do ciebie nic nie dociera? Jeśli wezmę pieniądze, to znaczy, że wynajęłam moją werandę.

•

Dina pochylała się nad umywalką, szorując zęby pastą marki Kolynos. Ishvar przyglądał się, jak piana skapuje jej z ust.

– Zawsze się zastanawiałem, czy to dobre na zęby.

Dina wypluła pastę i przepłukała usta, zanim odpowiedziała.

– Chyba tak samo dobra, jak każda inna pasta. A ty której używasz?

– My używamy sproszkowanego węgla drzewnego, a czasami gałązek drzewa nim^[161].

Maneck stwierdził, że Ishvar i Om mają lepsze zęby niż on.

– Pokaż – powiedziała Dina, a Maneck odsonił uzębienie. – A wy? – zwróciła się do krawców.

Cała trójka ustawiła się przed lustrem i podwinęła wargi, szczerząc siekacze. Dina porównała je ze swoimi.

– Maneck ma rację, macie bielsze.

Ishvar zaproponował jej nieco proszku z węgla drzewnego, a ona wycisnęła mu na palec pół cała Kolynosu. Ishvar podzielił się z Omem.

– Smak pyszny – przyznali.

– To wszystko bardzo ładnie – powiedziała. – Ale płacenie za smak to marnotrawstwo, chyba że chodzi o jedzenie. Myślę, że przestawię się na proszek i zaoszczędzę. – Maneck postanowił pójść za jej przykładem.

•

W powiększonym gospodarstwie zębate koło poranka potoczyło się niemal bez najmniejszych zgrzytów. Dina wstała pierwsza, Maneck ostatni. Kiedy skończyła toaletę, przysła kolej na krawców. Sprawili się tak szybko, że dopóki nie

zobaczyła wyszorowanych twarzy i mokrych włosów, podejrzewała ich o zaniedbywanie higieny osobistej. Stojąc obok, wzięła głęboki wdech, który przyniósł potwierdzenie: bił od nich czysty zapach świeżo umytej skóry.

Choć łazienka była dla nich niesłychanym luksusem, krawcy nie zabawiali w niej długo. Błyskawiczne mycie przychodziło im naturalnie. W ciągu ostatnich kilku miesięcy szlifowali swe umiejętności w miejscach publicznych, gdzie kwestia czasu była kluczowa. Kurek w alejce opodal daszku Nawaza, jedyny kran w centrum osiedla baraków, rozpadające się muszle klozetowe w przepelnionej toalecie dworcowej, kapiący bukłak na placu budowy – tam doprowadzili swą technikę do takiej doskonałości, że każdy z nich potrafił uwinąć się w trzy minuty. Nigdy nie posługiwali się grzałką Diny – woleli zimną wodę – a że przywykli do schludności, zostawiali po sobie porządek.

Ale myśl o ich ciałach w łazience wciąż krępowała Dinę. Baczenie obserwowała wszystko, gotowa naskoczyć na nich, gdyby znalazła dowody, że używano jej mydła lub ręcznika. Jeżeli mają tu mieszkać przez parę dni, to odbędzie się to na jej warunkach, bez żadnego popuszczanie cugli.

Najbardziej raził ją poranny rytuał Ishvara polegający na zapuszczaniu palców do gardła w celu wywołania odruchów wymiotnych. Procedurze towarzyszyło pierwotne wycie – dźwięk, który czasem dobiegał z innych mieszkań, ale którego nigdy dotąd nie słyszała z tak bliska. Robiło jej się od niego słabo.

– O Boże, ale mnie przestraszyłeś – powiedziała, gdy przebrzmiała seria kwików i skamlenia.

On się uśmiechnął.

– Bardzo dobre na żołądek. Pozbywa się człowiek nadmiaru nieświeżej żółci.

– Uważaj, brachu – odezwał się Om, biorąc stronę Diny – bo brzmi, jakby ci wątroba miała wyskoczyć razem z żółcią. – Nigdy nie pochwalał praktyki swego stryja. Ishvar usiłował kiedyś przekonać go do jej terapeutycznych właściwości, lecz zrezygnował wobec braku współpracy.

– Potrzebujesz hydraulika – powiedział Maneck. – Załóż ci kranik w boku. Wystarczy, że go odkręcisz, i od razu spuścisz nadmiar żółci. – Gdy Ishvar znów zaczął skowyczeć, on i Om dołączyli się do niego z chóralnym wyciem.

Po kilku dniach zmasowanych zaczepek, Ishvar poskromił nieco swój zwyczaj. Skowyt stał się nieco bardziej powściągliwy, a palce eksplorujące przelyk nie zapuszczały się już na tak przepastne głębokości jak poprzednio.

•

Om obwąchał skórę Manecka.

– Pachniesz lepiej niż ja. To na pewno to mydło.

– Używam też proszku.

– Pokaż.

Maneck przyniósł puszkę ze swojego pokoju.

– I gdzie to kładziesz? Na całe ciało?

– Nasypuję sobie odrobinę na dłoń i rozsmarowuję pod pachami i na klatce piersiowej.

W dniu następnej wypłaty Om nabył mydło Cinthol i puszkę talku marki Lakmé.

•

Każdy dzień, pomyślała Dina pod koniec pierwszego tygodnia, był jak dobrze skrojona sukienka: cała czwórka pasowała do siebie i nie trzeba było naciągać i szarpać, by krawędzie się spotkały. Szwy były równe i schludne.

Za to Ishvar wciąż gryzł się tym, że on i jego bratanek nadużywają dobroci Diny.

– Nie chce pani od nas żadnej zapłaty – powiedział. – Pozwala nam pani korzystać z werandy i łazienki. Częstoje nas pani herbatą. To za dużo, źle się z tym czujemy.

Ta deklaracja przypomniła jej o własnej winie. Wiedziała, że wszystko co robi, służy jej własnemu bezpieczeństwu – chodziło o to, by uchronić krawców przed ponownym zatrzymaniem przez policję oraz by ukryć ich przed wścibstwem sąsiadów i poborcy czynszu. Ishvar i Om stroili ją w szatę dobroci i szczodrości. Tymczasem jej suknia, pomyślała Dina, była podszyta oszustwem, hipokryzją i manipulacją.

– To co planujecie? – spytała szorstko. – Będziecie mnie obrażać pięćdziesięcioma pajsami za herbatę? Chcecie mnie traktować jak przydrożnego czajwałę?

– Nie, nie, w życiu. Ale może jest coś, co moglibyśmy zrobić dla pani w zamian? Powiedziała, że da im znać.

Pod koniec drugiego tygodnia Ishvar nadal nie doczekał się odpowiedzi. Wówczas wziął sprawy w swoje ręce. Kiedy Dina brała kąpiel, przyniósł z kuchni miotłę i szufelkę, i zamiótł werandę, pokój frontowy, pokój Manecka i pokój krawiecki. Gdy kończył zamiatać, do pomieszczenia wkraczał Om z wiadrem i ścierką i szorował posadzkę.

Gdy Dina wychynęła z łazienki, nadal byli zajęci robieniem porządków.

– Co tu się dzieje?

– Proszę mi wybaczyć, ale podjąłem decyzję – rzekł Ishvar stanowczo. – Od dziś będziemy się dzielić codziennym sprzątaniami.

– Nie wydaje mi się, żeby to było w porządku – odpowiedziała.

– A właśnie, że jest – wtrącił się Om, dziarsko wyciskając mop.

Wzruszona do głębi Dina poszła nalać herbatę. Krawcy kończyli sprzątanie. Weszli do kuchni, by odłożyć na miejsce sprzęt do czyszczenia, a Dina wręczyła Omowi dwie filiżanki. Zobaczywszy różane brzeżki, chciał wskazać pomyłkę:

– Dla nas różowe – zaczął i urwał. Jej twarz powiedziała mu, że Dina wie, co robi.

– Co takiego? – spytała, biorąc sobie różową filiżankę. – Coś się stało?

– Nic – głos uwiązł mu w gardle. Odwrócił się i miał nadzieję, że nie zauważyła wodnistej mgiełki, która zasnęła mu oczy.

•

– Ktoś do was przy drzwiach – powiedziała Dina. – Ten sam facet z długimi włosami, co już raz tu przyszedł.

Ishvar i Om wymienili spojrzenia – czego on znowu może chcieć? Przeprosili za przerwę i poszli na werandę.

– Namaskar – przywitał ich Rajaram, składając dłonie. – Przepraszam, że wam przeszkadzam w pracy, ale stróż nocny powiedział, że już tam nie śpicie.

– Tak, mamy inne miejsce.

– Gdzie?

– Niedaleko.

– Mam nadzieję, że przyjemne. Słuchajcie, możemy się później spotkać i porozmawiać? O dowolnej porze dzisiaj, w dowolnym miejscu, gdzie wam wygodnie. – Wyglądał na zdesperowanego.

– Zgoda – rzekł Ishvar. – Przyjdź do Vishrama o pierwszej. Wiesz, gdzie to?

– Tak, będę tam. I ten, jeszcze, czy moglibyście przynieść mi moje włosy od was z kuferka?

Gdy Rajaram odszedł, Dina spytała krawców, czy stało się coś złego.

– Mam nadzieję, że on nie ma powiązań z tym drugim człowiekiem, tym, co w każdym tygodniu wyciska od was pieniądze.

– Nie, nie, on nie pracuje dla mistrza żebraków – wyjaśnił Ishvar. – To kolega, pewnie chce pożyczyć pieniądze.

– Cóż, uważajcie – powiedziała Dina. – W dzisiejszych czasach przyjaciele i wrogowie wyglądają podobnie.

W Vishramie był tłok, a gdy przybyli, Rajaram wyczekiwał nerwowo na chodniku.

– Twoje włosy – Ishvar wręczył mu paczkę. – No i tak... Co bierzesz?

– Nic, mam pełny brzuch – zapewnił Rajaram, ale jego usta, przeżuwające fantomowe jadlo pod wpływem aromatów z Vishrama, zdradziły trawiący go głód.

– Zamów coś – zaproponował Ishvar, w którym odezwało się współczucie. –

Skosztuj czegoś, my stawiamy.

– Zgoda, to samo, co wy. – Zaśmiał się z przymusem. – Pełny brzuch to tylko drobna przeszkoda.

– Trzy raz pao-bhadźi i trzy banany – zwrócił się Ishvar do kasjera-kelnera.

Zabrali jedzenie do ruin zapadniętego budynku nieco dalej przy tej samej ulicy i wybrali sobie miejsce na parapecie, w cieniu na wpół zwalonej ściany. Za stół służyły im ułożone poziomo drzwi. Ich zawiasy i klamki wyszabrowano; budynek zapadł się parę tygodni wcześniej. Czwórka dzieci z jutowymi workami gramoliła się na górę gruzu, przesiewając go i przeszukując.

– I jak tam twoja praca motywatora w Programie Planowania Rodziny?

Rajaram potrząsnął głową, pałaszując wielki kęs.

– Kiepsko. – Jadł, jak gdyby od wielu dni nie oglądał jedzenia. – Zwolnili mnie dwa tygodnie temu.

– Co się stało?

– Powiedzieli, że nie mam wyników.

– Tak nagle? Po dwóch miesiącach?

– Tak – zawahał się. – Znaczą się, problemy były od samego początku. Po zakończeniu szkolenia stosowałem procedurę, którą mi pokazali. Każdego dnia odwiedzałem inne dzielnice. Pilnie powtarzałem teksty, których mnie nauczyle, używając stosownego tonu, żeby brzmieć jak ktoś miły i kto się zna na rzeczy. Żeby nikt się nie wystraszył. I zwykle ludzie słuchali cierpliwie i brali ulotki. Czasem się śmiali, a młodzi wygadywali świńskie żarty. Ale nikt się nie zapisywał na operację. Po paru tygodniach przełożony wezwał mnie do siebie do biura. Powiedział, że zabiegam nie o tych klientów, co trzeba. Powiedział, że to strata czasu usiłować sprzedać garnitur ślubny nagiemu fakirowi. Zapytałem, co dokładnie ma na myśli.

Rajaram powtórzył krawcom odpowiedź przełożonego – że mieszkańcy miasta są zbyt cyniczni, że wątpią we wszystko, że trudno ich zmotywować. Należało uderzyć do podmiejskich slumsów. Bądź co bądź, to tam żyli ciemni ludzie, najbardziej potrzebujący rządowego wsparcia. Cały ten program ze swoimi darmowymi prezentami i zachętami został stworzony specjalnie z myślą o nich.

– Poszedłem za jego radą i ruszyłem za miasto. I dacie wiarę? Pierwszego dnia złapałem gumę.

– Zły początek – powiedział Ishvar, kręcąc głową.

– Dziurawa dętka to był tylko mały problem. Prawdziwy kłopot pojawił się później.

Kiedy rower naprawiano w warsztacie – opowiadał dalej – on, Rajaram, wdał się w rozmowę ze starym mężczyzną, który czekał pod wiatą autobusową, nieopodal hydrantu. Staruszek musiał się umyć i miał nadzieję, że pojawią się

ulicznicy, którzy odkręcają hydrant.

Aby się wprawiać i żeby zobaczyć, jak długo uda mu się utrzymać uwagę słuchacza, Rajaram zaczął opowiadać mu, że jest motywatorem i oddaje się dobrotliwej działalności z ramienia Centrum Planowania Rodziny. Opisał urządzenie do kontroli narodzin, wymienił operacje sterylizacyjne, podał, jaką nagrodę pieniężną przewidziano za każdą z nich: za podwiązanie jajowodów dawano więcej darmowych prezentów niż za wazektomię, wyjaśnił, gdyż rząd preferował interwencję ostateczną i nieodwracalną.

O, to ja tę chęć, przerwał mu staruszek, tę drogą, to wiązanie czy jak to tam. Rajaram mało nie spadł z barierki przy przystanku, na której siedział jak na grzędzie. Nie, nie, dziadku, to nie dla ciebie. Tak tylko gadałem o tym, dla samej gadki, powiedział. Nalegam, powiedział staruszek, mam prawo. Ale jajowody można podwiązać tylko u kobiet, u mężczyzn robi się wazektomię, a w twoim wieku, dziadku, nawet i to nie jest potrzebne. Mniejsza o wiek, biorę to, niech mi zrobią to, co się robi u mężczyzn, upiera się staruszek.

– Może bardzo chciał dostać radio tranzystorowe – wtrącił Om.

– Dokładnie tak wnioskowałem – przytaknął Rajaram. – Pomyślałem sobie: jeśli dziadkowi tak bardzo zależy, to kim ja jestem, żeby się sprzeciwiać? Jeśli muzyka go uszczęśliwia, dlaczego mu jej odmawiać?

Wyjął więc stosowny formularz, wziął odcisk kciuka, zapłacił w warsztacie rowerowym i zaprowadził pacjenta do kliniki. Wieczorem otrzymał swoją pierwszą prowizję.

Odtąd w przebitej dętce widział prognostyk uśmiechu fortuny, wyciągnięty palec przeznaczenia, zgniatający oponę i jego zły los. Wczepiona w koszulę odznaka motywatora nabrała blasku uczciwości. Kipiąc pewnością siebie, powrócił na podmiejskie tereny, przekonany, że wazektomie i operacje jajowodów posypią się jak z kapelusza.

Minęło parę tygodni i peregrynacje Rajarama zawiodły go w okolice, gdzie mieszkał jego pierwszy klient. Pedałował pomiędzy barakami, starając się zmotywować masy i formułując zdania, które czyniły bezpłodność nie tylko rzeczą do przyjęcia, lecz wręcz pożądaną. W głowie kipiało mu od różnych sposobów powtarzania jednego i tego samego, gdy raptem ktoś z rodziny staruszka rozpoznał go i jał wzywać pomocy: Motowata przyjechała! Are, ten drań motowata znowu tu jest!

Wkrótce Rajarama otoczył rozwścieczony tłum i groził, że połamie mu wszystkie kości. W odpowiedzi na błaganie o łaskę i przerażone okrzyki ale za co? za co? – posłyszał, że operacja skończyła się źle. W pachwinie pacjenta zebrała się treść ropna, w klinice nic nie pomogli i starzec zmarł.

Ishvar kiwał głową, obierając banana. On od początku przeczuwał, że nowa

praca zbieracza włosów jest najeżona niebezpieczeństwami.

– Mocno cię obili?

Rajaram rozpiął koszulę i pokazał im fioletowe sińce na plecach. Klatkę piersiową przecinała mu gojąca się rana zadana ostrym narzędziem. Pochylił głowę, by zobaczyli łątkę na ciemieniu, skąd jeden z napastników wyrwał mu garść włosów.

– Ale i tak miałem szczęście, że wyszedłem z tego żywy. Powiedzieli mi, że powinienem był sam się domyślić, że staruszek zgłosił się na operację tylko z powodu wypłacanej gotówki i prezentów. Chciał się dołożyć do posagu córki. Wróciłem do kierownika, żeby się poskarżyć. Jak mam osiągać dobre wyniki, mówię, skoro lekarze zabijają pacjentów? Ale on stwierdził, że tamten umarł ze starości, a jego rodzina obwinia Centrum Planowania Rodziny i tyle.

– A to skurwiel, jebał go cap – powiedział Om.

– Właśnie. Ale wiecie, co jeszcze mi powiedział przełożony? Że od teraz moja praca będzie łatwiejsza, bo zmieniła się polityka. – Rajaramowi przedstawiono nowy plan – odtąd nie trzeba było zapisywać chętnych na operację. Zamiast tego proponowało im się darmowe badania lekarskie. Nie należało widzieć w tym kłamstwa, a jedynie krok mający pomóc ludziom zmienić własne życie na lepsze. Gdy już znajdują się w klinice, oddzieleni od prymitywnych wpływów rodzin i znajomych, szybko dostrzegą korzyści płynące ze sterylizacji.

Rajaram pozbierał okruszki ze swojego opakowania po pao-bhadźi i rzucił je między gruzy.

– Nowy system mi się nie podobał, ale zgodziłem się spróbować. Teraz już wszyscy zdążyli się zorientować, że motywatorzy wciskają ludziom głodne kawałki. Gdzie nie poszedłem, obrażali mnie i wyzywali od zagrożenia dla męskości, siewcy napunsakta^[162], kastratora i stręczyciela eunuchów. Tak wylądowałem, a przecież tylko wykonywałem rządową pracę i próbowałem zarobić na życie. Jak człowiek może w ten sposób funkcjonować dzień za dniem? Nie, powiedziałem, to nie dla mnie.

Pracodawcom oświadczył, że chciałby pracować po staremu, rozdawać ulotki i wyjaśniać procedury, ale nie oszukiwać. Usłyszał, że stara metoda nie wchodzi w grę, że statystyki poleciały na łeb na szyję. Aby zasłużyć na jedzenie, dach nad głową i rower, każdy motywator musiał przedstawić konkretne wyniki.

– Więc w zeszłym tygodniu, jak mnie wywalili, straciłem i jedzenie, i dach, i rower. Teraz jestem w kropce. Nie pozostaje mi nic innego, jak wrócić do dawnego fachu.

– Zbierania włosów?

– Tak, zaraz sprzedam te warkocze – wskazał paczkę, którą krawcy przynieśli mu z kuferka. – A poza tym wracam do mojego pierwotnego zawodu.

Fryzjerstwo. Muszę robić jedno i drugie, bo bez możliwości składowania zbieraniem włosów można się trudnić na ograniczoną skalę. Ale potrzebuję osiemdziesięciu pięciu rupii. Na grzebień, nożyczki, maszynkę i brzytwę. Możecie mi pożyczyć?

– Daj mi się namyślić – powiedział Ishvar. – Spotkajmy się jutro.

•

– Naprawdę chcielibyśmy zrobić coś dla niego, Dina-bai – powiedział Ishvar. – Był naszym sąsiadem w slumsie i był dla nas bardzo dobry.

– Nie mam dość pieniędzy, żeby wam dać zaliczkę – odrzekła Dina, ale zaproponowała alternatywne rozwiązanie. Z głębi szafki wygrzebała narzędzia fryzjerskie, w które przed laty zaopatrzyła ją Zenobia.

– Are wah – powiedział Om z podziwem. – Jest pani także fryzjerką?

– Kiedyś byłam. Strzygłam dzieci.

Maneck wziął do ręki maszynkę i udawał, że zabiera się do czuba na głowie Oma.

– Niezły krzaczek, można sobie potrenować.

– Zamieniasz chłodnictwo na fryzjerstwo? – spytała Dina. – Położyła zestaw przed Ishvarem. – Stare, ale działają. Wasz przyjaciel może je sobie wziąć, jeśli chce.

– Jest pani pewna? A jeśli będzie ich pani znowu potrzebować?

– Mało prawdopodobne. Moje fryzjerskie dni dobiegły końca. – Później dodała, że przy jej oczach i zapomnianych umiejętnościach, dziecięce uszy byłyby zagrożone.

•

– Jest jeszcze jeden problem – powiedział Rajaram, z wdzięcznością przyjmując narzędzia, gdy spotkali się następnego dnia.

– Co znowu?

– Mój agent od włosów przyjeżdża do miasta tylko raz w miesiącu. A teraz, jak śpię na ulicy, to nie mam gdzie ich trzymać. Przechowacie mi je w kuferku? Zrobicie to dla dobrego przyjaciela?

– Miesięczny zbiór nie zmieści się w kuferku – zaproponował Ishvar, któremu nie śpieszno było do gromadzenia nieapetycznych pakunków.

– A właśnie, że tak. Zamierzam specjalizować się w długich włosach – w miesiącu będę mieć najwyżej dziesięć warkoczy, jak mi się poszczęści. Nie zajmą więcej niż jeden narożnik w waszym kufrze. A na koniec miesiąca sprzedam je agentowi.

– Jak będziesz tak często przychodzić do mieszkania, to nasza szefowa się

zdenerwuje. – Ishvar wolałby, żeby Rajaram dał spokój. Czuł się niezręcznie, wynajdując wymówki. – To nie jest nasz dom, nie możemy ciągle przyjmować gości.

– To tylko drobna przeszkoda. Mogę się z wami spotykać na mieście. Na przykład tutaj, w Vishramie, jeśli wam pasuje.

– Rzadko tu przychodzimy – powiedział Ishvar. Potem ustąpił. – Zgoda, możemy zrobić tak, że będziesz zostawiać przed barem paczkę u Shankara, tego na kółkach. On nas zna. Przedstawimy mu ciebie.

– Znacie tego żebraka? Dziwnych przyjaciół sobie znajdujecie.

– Tak, bardzo dziwnych – powiedział Ishvar, ale zbieracz włosów, pogrążony w rozplątывaniu węzłów i supłów swojego życia, przeoczył ironię.

•

O ile w Ishvarze Dinie zawadzały poszukujące żółci palce, o tyle w wypadku Oma chodziło o świerzbiącą skórę na głowie. Dawniej znosiła drapanie, wiedząc, że o szóstej dobiegnie końca. Obecnie nie tylko drażnił ją widok i ciągły, irytujący chrobot – zaczęła też obawiać się, że wszy przewędrują na jej włosy.

Porozmawiała na osobności z Ishvarem: wszy są taką samą chorobą jak każda inna, a zdrowie jego bratanka poprawi się, jeśli wytepić pasożyty.

– Sęk w tym, że to kosztuje – powiedział Ishvar. – Nie stać mnie, żeby go zabrać do lekarza.

– Do wszy nie potrzeba lekarza. Jest świetny domowy sposób. – Gdy wyjaśniała procedurę, przypomniał sobie, że jego matka też używała tej metody.

Uzupełniając naftę w kuchence, Dina odlała jej nieco do pustej butelki po olejku do włosów.

– Zrób to po herbacie – powiedziała. – Wmasuj porządnie i zostaw na dwadzieścia cztery godziny. Jutro będzie można zmyć.

– Tylko dwadzieścia cztery? Myślałem, że według przepisu trzeba na czterdzieści osiem. Moja matka zostawiała na tyle.

– W takim razie była bardzo odważną kobietą. Różne rzeczy mogą się wydarzyć w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Nie chcemy, żeby twój bratanek zmienił się w żywą pochodnię.

– O czym rozmawiacie? – zainteresował się Om. Wziął do ręki butelkę i zdjął zakrętkę. – Blee! Nafta!

– A myślałeś, że co, woda różana? Chcesz popieścić te wszy czy je zabić?

– Racja – przyznał Ishvar. – Nie marudź, babcia Roopa robiła to mnie i twojemu ojcu, jak byliśmy mali.

Om ociągał się i sarkał. Potem pochylił się nad umywalką, wydziwiając, że ludzie nie mają dość nafty, żeby gotować, a oni tutaj marnują ją na włosy. Ishvar

wylewał sobie na dłoń po kilka kropel naraz i wcierał. W świetle żarówki pokryte olejkim czarne włosy zaczęły się mienić wieloma kolorami.

– Piękny jak paw – powiedział.

– Zanurz palce głęboko – instruowała Dina. – Dobrze rozprowadź. – Energiczne dłonie Ishvara słuchały jej wskazówek, kiwając naprzód i w tył protestującym Omem.

– Przestań, brachu! Jak mi to przejdzie do krwi, to mnie zatruje!

Gdy było po wszystkim, Dina dała mu złamaną łyżkę, żeby miał się czym drapać.

– Nie palcami, bo zabrudzisz sukienki.

Siedział markotny za maszyną, marszcząc nos i mocno wydychając powietrze, by dmuchnięciem odsunąć od siebie zapach. Drapanie się łyżką nie było równie satysfakcjonujące jak drapanie się paznokciami. Od czasu do czasu potrząsał głową niczym zmokły psiak, a oni droczyli się z nim.

– Chcesz sobie zapalić? Rozerwać się trochę? – spytał Ishvar. – Jestem pewien, że Dina-bai zrobi dziś dla ciebie wyjątek.

– A pewnie, że zrobię. Przynieść zapalki?

– No, śmiecie się – burknął Om ponuro. – A ja tymczasem zaduszę się na śmierć w tych oparach.

Gdy nadeszła pora obiadu, oznajmił stryjowi, że nie idzie do Vishrama, bo nie da rady jeść, kiedy ma pod nosem ten smród. Ishvar został razem z nim.

Późniejszym popołudniem Maneck wrócił do domu i zaczął obwąchiwać pokój.

– Pachnie jak w kuchni. – Z nosem opuszczonym jak u psa myśliwskiego podążył za zapachem do Oma. – Czyżbyś chciał zrobić karierę jako kuchenka?

– O tak – powiedziała Dina. – Dziś wieczorem ugotujemy na nim kolację. Chłopaczyna zawsze miał olej w głowie, pora z tego skorzystać.

•

To właśnie za sprawą własnego żartu Dina zaczęła rozważać poczęstowanie krawców kolacją w domu. Inne argumenty utwierdziły ją w tym pomyśle. W ten sposób spławi się na dobre tego szubrawca Ibrahima; krawcy nie wyszli na obiad i nie opuszczą domu, by iść na kolację. A poza tym Om z taką cierpliwością znosił cały dzień naftę na głowie, że zasłużył na nagrodę.

Posiekała zatem o jedną cebulę więcej i ugotowała trzy dodatkowe ziemniaki. Handlarz chlebem zjawił się o zmierzchu. Zamiast dwóch maleńkich bochenków kupiła cztery.

– Maneck, chodź tutaj – zawołała z kuchni i wtajemniczyła go w plan.

– Naprawdę? To wspaniale, ciociu. Będą zachwyceni, że zjemy razem!

– A kto powiedział coś o jedzeniu razem? Postawię ich talerze na werandzie.

- Próbuje być ciocia miła czy nieuprzejma?
 - A co w tym nieuprzejmego? To dobra, czysta weranda.
 - W porządku. W takim razie ja też zjem na werandzie. Nie mogę przyłożyć ręki do takiej zniewagi. Mój ojciec karmi na ganku tylko bezpańskie psy.
- Skrzywiła się, a on wiedział, że zwyciężył.

•

Dina pamiętała ostatni raz, gdy przy stole zajęte były miejsca z czterech stron: było to w trzecią rocznicę jej ślubu, w wieczór, kiedy zginął Rustom, przed osiemnastu laty. Nakryła dla czterech osób i zawołała krawców. Na ich twarzach znać było wyraźnie, za jak wielki zaszczyt poczytują to sobie.

– Zniosłeś leczenie jak grzeczny chłopiec – powiedziała Dina do Oma – a teraz dostaniesz kolację. – Postawiła na stole dzbanek i oskrobaną marchewkę dla siebie. Krawcy popatrzyli na nią z zaciekawieniem, gdy wgryzła się w warzywo. – Nie ty jeden stosujesz domowe metody leczenia. To lekarstwo na moje oczy. Dobrze mówię, doktorze Mac?

– Tak, to recepta na poprawę wzroku.

– Powiem ci, że polubiłam surową marchew. Ale mam nadzieję, że Om się nie rozsmakuje w swoim lekarstwie, bo będziemy musieli codziennie znosić smród nafty.

– Ale jak to działa? Nafta truje wszy w moich włosach?

– Ja ci powiem – zaofiarował się Maneck.

– Oho, odezwał się naczelny blagolog – powiedział Om.

– Nie, posłuchaj. Najpierw te małe wszy nasiakają naftą. Potem, w środku nocy, kiedy już zaśniesz, ciocia Dina daje każdej z nich po malutkiej zapałce. Na „trzy cztery” popielniają samobójstwo w maleńkich płomykach, a tobie nic się nie dzieje. Kiedy to się wydarzy, zrobi ci się wokół głowy śliczna aureola.

– To nie jest śmieszne – powiedziała Dina.

– Bo samobójstwo nie ma być śmieszne, ciociu.

– Nie życzę sobie takiego tematu przy kolacji. Nawet w żartach. Nie powinienesz nawet wymawiać tego słowa.

Zacząła jeść, Maneck podniósł widelec i mrugnął do Oma. Krawcy siedzieli bez ruchu, patrząc na jedzenie. Kiedy podniosła wzrok, uśmiechnęli się nerwowo. Wymienili szybkie spojrzenia, dotknęli sztucców, niepewni, wahając się, czy je podnieść.

Dina zrozumiała.

Jaka ja głupia, że je dziś wyłożyłam, pomyślała. Porzuciła nóż i widelec, i palcami włożyła sobie do ust kawałek kartofla. Maneck poszedł za jej przykładem i krawcy zaczęli jeść.

– Bardzo smaczne – powiedział Ishvar, a Om z pełnymi ustami przytaknął głową. – Codziennie je pani chleb?

– Tak – odrzekła Dina. – Nie smakuje ci?

– O, jest bardzo smaczny – zapewnił Ishvar. – Nie, tylko myślałem sobie, że to musi drogo wychodzić, jak się codziennie kupuje gotowy chleb. Nie bierze pani zboża na kartki?

– Jest taka możliwość, ale nosić je do młyna na zmielenie, zagniatą ciasto, wałkować ćapati – dla mnie to za dużo. Robiłam to, kiedy mój mąż żył. Później było mi wszystko jedno. Nic gorszego niż gotować tylko dla jednej osoby. – Odłamała kawałek ze swojego placka, żeby umoczyć go w sosie. – Wy też musicie dużo wydawać, jak jecie w Vishramie.

Ishvar odparł, że tak, że jest to trudność, zwłaszcza, że co tydzień muszą płacić mistrzowi żebraków.

– Kiedy mieliśmy dom w slumsach i własny prymus, wydawaliśmy dużo mniej, nawet bez kartek na żywność. Codziennie robiliśmy ćapati.

– Możecie kupować zboże na moje kartki, jeśli chcecie. Ja biorę tylko ryż i cukier.

– Tylko gdzie gotować?

Pytanie było retoryczne, lecz Maneck miał odpowiedź. Pozwolił, by milczenie zawisło nad stołem przez parę chwil, po czym przemówił pogodnie:

– Mam świetny pomysł. Ishvar i Om mają wprawę w robieniu ćapati, zgadza się? A ciocia Dina ma przydział zboża na kartki, tak? No to możecie podzielić się kosztami jedzenia i będziemy jeść razem. Obie strony na tym zaoszczędzą.

I to nie tylko pieniądze, pomyślała Dina. Ibrahim zostałby pokonany, co oszczędziłoby jej kłopotów z kamienicznikiem. Poborca mógłby czekać całą dobę pod jej drzwiami i nie zobaczyłby nikogo. Tak samo wścibscy sąsiedzi, jeśli planowali mu kablować, by pozyskać jego przychylność i rozwiązać w ten sposób własne problemy. A poza tym świeże puri^[163] i ćapati są przepyszne.

Lecz czy to wystarczający powód, by zwiększać zażyłość z krawcami? Czy rozsądnie majstrować przy granicy, którą tak starannie nakreśliła?

– Nie wiem – powiedziała. – Ishvar i Om mogą nie chcieć codziennie jeść mojego jedzenia.

– Nie chcieć? Jest pyszne! – wykrzyknął Om.

Dina przeżuwała z wolna, by dać sobie czas do namysłu.

– Hm, możemy popробować przez tydzień.

– Będzie świetnie – powiedział Ishvar.

– Ja zrobię ćapati – ogłosił Om. – Jestem mistrzem ćapati.

•

Rządowa ciężarówka przywiozła świeżą dostawę do sklepu na kartki. Dina i krawcy stanęli w kolejce, gdy tymczasem dwaj kulisi wyładowywali pięćdziesięciokilowe worki i pakowali je sobie na plecy. Słońce błyskało w dużych stalowych hakach, gdy brali zamach, by zaczepić je o materiał. W miejscach, gdzie ich pot skapywał na beżową jutę worków, powstawały ciemnobrązowe plamki. Wewnątrz sklepu worki zboża ładowały w schludnym szeregu, jak zwłoki w kostnicy, obok wagi, która zwisała z sufitu na ciężkim łańcuchu.

– Coś za bardzo się guzdrzą ci goście – skomentował Ishvar. – Po jednym worku? Rusz się, Om, pokaż im, jak się bierze dwa naraz.

– Nie drażnij się z biednym chłopcem – powiedziała Dina, gdy Om udawał, że podkasuje rękawy. – A tak swoją drogą, to co on taki chudy? Jesteś pewien, że nie ma robaków?

– Nie, nie, Dina-bai, żadnych robaków, proszę mi wierzyć. Bas, wkrótce go ożenie, żona będzie mu gotować, to zaraz przybierze na wadze.

– Jest za młody, żeby się żenić.

– Jak za młody? Ma prawie osiemnaście lat.

– Dina-bai ma rację, zapomnij o tym wariackim pomysle – łypnął spode łba Om.

– Limonowa gęba.

Kolejka się wydłużała. Ktoś z tyłu zawołał, by się pośpieszono i banija wychynął wojowniczo, gotów stawić czoło krzykaczowi.

– Rusz pan głową, zanim coś powiesz! Jak ciężarówka się nie rozładuje, to co wam dam? Kamienie i piasek?

– A niby co nam zwykle sprzedajesz? – odciął się krzykacz, a ludzie zaśmiali się.

– Próbowalesz pan kiedy tych swoich towarów? – Był to drobny człowieczek z wydatnym wolem, które ściągało spojrzenia ludzi z kolejki.

– Are sala, idź mi pan stąd! Nikt go nie zmusza, żeby kupował!

Ci, co stali obok krzykacza, próbowali nie dopuścić, by kłótnia osiągnęła nadmierną temperaturę. Upomnieli go, że niemądrze jest spierać się w sklepie na kartki, gdyż człowiek nie może zwyciężyć, skoro od tamtych zależy, czy dostanie żywność. Ktoś powiedział, że opuchlizna na jego szyi może pęknąć, jeśli będzie się zanadto podniecać.

– A ta opuchlizna to też przez tych szubrawców ze sklepu! – pieklił się mężczyzna. – Złą sól sprzedają, bez jodu! To przez nich cierpimy, przez tłustych, chciwych banija! Dorzucają do jedzenia Bóg wie co, truciele, spekulanci czarnorynkowi!

Ciężarówka ze zbożem odjechała. Rozsypana pszenica z nieszczelnych worków znaczyła miejsce, na którym stało auto. Bosonogi mężczyzna w koszulce i krótkich spodenkach szybko zebrał rozsypane ziarno do pustej puszkii po oleju,

po czym puścił się biegiem za ciężarówką do jej kolejnego punktu postoju; tego wieczora czekał go suty posiłek.

Subiekt uruchomił wagę i sklep ponownie zaczął obsługiwać klientów. Na karcie Diny dokonano odpowiednich wpisów. Oprócz kupowanych zawsze cukru i ryżu, pod przewodnictwem krawców nabyła pełną porcję przysługującej jej czerwonej i białej pszenicy, a także przydział dżowar^[164] i badźri^[165], które – jak powiedzieli – są bardzo smaczne, bardzo pożywne i, co najważniejsze, niedrogie.

Przyglądali się wadze, gdy stawiano na niej kolejne zakupy i wbijali oczy we wskazówkę, dopóki ramiona nie stanęły równo. Chmura pyłu podniosła się, gdy mężczyzna przechylał szalkę nad płóciennymi torbami Diny. Ziarno leciało w dół ze szmerem cichego wodospadu. Później krawcy zanieśli torby do młyna.

Wieczorem Om zaczął się odrobinę niepokoić o swoją reputację wytwórcy ćapati. Wymieszał mąkę, w zagniecenie ciasta włożył więcej sił niż zwykle, po czym skupił się na wałkowaniu, usiłując uzyskać idealnie krągłe placki. Niesforny brzeżek oznaczał ponowne lepienie kulki i wałkowanie.

Przy kolacji wszyscy winszowali mu sukcesu. Pochwała znalazła też wyraz w prędkości, z jaką spałaszowano osiem podpłomyków. Zadowolony, postanowił odtąd przyrządzać dwanaście sztuk.

•

Koty zjawily się, miauczając, gdy tylko otwarto okno. Maneck powiedział Ishvarowi i Omowi, jak ponazywał niektóre z nich. John Wayne lubił paradować dumnym krokiem, dając do zrozumienia, że to on rządzi w alejce. Vijayanthimala^[166], jego faworytka, brązowa kotka w białe pręgi, drobila jak w tanecznej scenie filmowej. Raquel Welch siedziała majestatycznie, przeciągała się i nigdy nie zniżala się do tego, by podbiec do jedzenia. Wreszcie był Shatrughan Sinha^[167], tyran i łajdak. Resztki trzeba było rzucać z dala od niego, by inni mieli szanse.

– Kto to jest John Wayne? – spytał Om.

– Amerykański aktor, typ bohaterski – coś jak Amitabh Bachchan. Chodzi, jakby miał hemoroidy i cebule pod pachami. Zawsze wygrywa na końcu.

– A Raquel Welch?

– Amerykańska aktorka. – Nachylił się bliżej. – Duże piersi – wyszeptał, gdy tymczasem koty wciąż miauczały pod oknem.

Om uśmiechnął się szeroko.

– Dobrze, że dziś zrobiłem dodatkowe ćapati. Chyba jej smakuja.

– Co tu się dzieje? – zapytała Dina. – Teraz uczysz moich krawców złych nawyków. Proszę zamknąć okno. – Zastanawiała się, czy coś nie zaczyna się tu

wymykać spod kontroli, przy tym całym wspólnym gotowaniu i jedzeniu. Zbytnią zażyłość. Miała nadzieję, że jej nie pożałuje.

Ishvar odsunął się na bok, chłopcy kontynuowali karmienie.

– Mówią, że to błogosławiony uczynek, nakarmić nieme stworzenia, Dina-bai.

– Poczekajcie, aż wleżą do środka, żeby znaleźć jedzenie i pobłogosławią nas paskudnymi zarazkami z rynsztoka. Możemy od tego umrzeć.

•

W toalecie zapach krawieckiego moczu, który jak flaga łopotał w powietrzu i nozdrzach Diny, stał się niezauważalny. Dziwne, pomyślała, jak to człowiek przyzwyczaja się do różnych rzeczy.

Potem doznała olśnienia: zapach nie wadził jej teraz, ponieważ był taki sam u wszystkich. Jedli ten sam pokarm, pili tę samą wodę. Płynęli pod jedną banderą.

•

– Zjedzmy dziś masala wada – zaproponował Ishvar. – Według przepisu Rajarama.

– Nie wiem, jak to się robi.

– Nic nie szkodzi, Dina-bai, ja się tym zajmę. Pani dziś odpoczywa. – Objął dowodzenie i posłał Oma z Maneckiem, by kupili pół świeżego kokosa, zielone chili, mięętę i mały pęczek kolendry. Pozostałe składniki – suszone czerwone chili, nasiona kminu i strąki tamaryndowca były w szafce z przyprawami.

– Wracajcie zaraz – powiedział im. – Czeka tu na was więcej pracy.

– Mam coś zrobić? – spytała Dina.

– Potrzebny nam jeden kubek gram dal.

Odmierzyła fasolkę i zalała wodą, potem postawiła garnuszek na palniku.

– Jakbyśmy namoczyli przez noc, nie trzeba by jej gotować – powiedział. – Ale tak też jest dobrze.

Gdy chłopcy wrócili, wyznaczył Oma do tarcia kokosa, a Manecka do pokrojenia dwóch cebul, sam zaś wziął się do siekania czterech zielonych i sześciu czerwonych papryczek chili, kolendry i liści mięty.

– Pięką te cebule, brachu – skarżył się Maneck, siąkając nosem i przecierając oczy rękawem.

– To dla ciebie dobre ćwiczenie – orzekł Ishvar. – Każdy musi kiedyś w życiu popłakać. – Zerknął przez stół i dojrzał pierwsze grube krążki spadające spod noża. – Hoi-hoi, tnij cieniej.

Dal był gotów. Ishvar odsączył wodę i wsypał zawartość garnka do moździerza. Dodał pół łyżeczki kminu i posiekane chili, a następnie zaczął ugniatać wszystko razem. Dzwonienie tłuczka zainspirowało Manecka, który

zaakompaniował mu na czynelach, czyli nożem o garnek.

– Are, maestro, twoje cebule gotowe? – spytał Ishvar. – Mieszanina w mózdzierzu zmieniała się w grudkowatą, żółtą pastę z drobinami zieleni, czerwieni i brązu. Dosypał pozostałe składniki i uniósł odrobinę papki do nosa, by zbadać zapach. – Doskonale. A teraz niech zaśpiewa patelnia. Ja zrobię wada, a Om w tym czasie ćatni. No ciach, utrzyj resztę kopry i kolendry.

Patelnia syczała i skwierczała, gdy Ishvar delikatnie zsuwał na połyskujący olej kulki rozmiaru piłek do ping-ponga. Tracał je łyżką, by pływały i rumieniły się równomiernie. Tymczasem Om ucierał przyprawy na płaskiej kamiennej płycie. Po pewnym czasie zastąpił go Maneck. Kropla po cennej kropli, ich wysiłek zamieniał się w ćatni.

Dina stała, delectując się zapachem wada, które w bulgoczącym oleju z wolna pokrywały się brązem, powodującym napływ śliny do ust. Patrzyła, jak wśród śmiechu i przekomarzań rozpoczęło się sprzątanie: Ishvar ostrzegł chłopców, że jeśli kamień do mielenia nie będzie nieskazitelny, to każe im go wylizać do czysta, jak kotom. Co za zmiana, pomyślała – z najsmutniejszego, najbardziej zapuszczonego pomieszczenia w całym mieszkaniu, kuchnia zmieniła się w jasną przestrzeń radości i wigoru.

Trzydzieści minut później przysmak był gotów.

– Jedzmy, póki gorące – powiedział Ishvar. – Om, nalej nam wody.

Każdy wziął po jednej wada i posmarował ją ćatni. Ishvar czekał na werdykt, uśmiechając się promiennie.

– Wyborne! – ocenił Maneck.

Dina udała irytację i powiedziała, że o jej posiłkach nigdy nie wyrażał się w takich superlatywach. Maneck spróbował się wywinać.

– Cioci jedzenie też jest wyborne, ale przypomina parsyjską kuchnię mojej mamy. I tylko dlatego moje kubki smakowe nie wpadły w szal.

Ishvar i Om skromnie oceniali swoje osiągnięcia.

– Nie ma o czym mówić. To bardzo proste.

– Pyszności – potwierdziła Dina. – Maneck miał świetny pomysł, żebyśmy jedli razem. Gdybym od początku wiedziała, że tak gotujecie, to bym was zatrudniła jako kucharzy, nie jako krawców.

– Przykro mi – Ishvar uśmiechnął się na komplement – nie gotujemy za pieniądze. Tylko dla siebie i dla przyjaciół.

Jego słowa poruszyły w niej znajome pokłady poczucia winy. Wciąż dzieliła ich przepaść; Dina nie postrzegała ich tak, jak oni ją.

W ciągu następnych tygodni wkład krawców w posiłki rozszerzył się od ćapati, puri i wada po wegetariańskie dania w rodzaju panir masala^[168], śak-bhadži^[169], alu masala^[170]. Wieczorem w kuchni zawsze krzątały się cztery lub przynajmniej

dwie osoby. Najbardziej ponura z moich godzin, pomyślała Dina, zmieniła się w najszcześliwszą.

W dnie, kiedy przyrządzała dania z ryżem, krawcy urządzali sobie przerwę od ćapati, ale przychodzili do kuchni, żeby pomóc, jeśli akurat nie szukali pokoju do wynajęcia.

– Kiedy byłem małym chłopcem i mieszkałem w wiosce – powiedział Ishvar, wybierając kamyczki z ryżu – robiłem to samo dla mojej mamy, tyle że na odwrót. Po żniwach chodziliśmy na pole i szukaliśmy ziarenek, które zostały po młocce i wianiu.

Powierzali jej kawałki swej przeszłości, zauważyła Dina, a nie ma nic bardziej cennego. Kolejne skrawki, do włączenia w rozrastającą się opowieść krawców.

– W tamtych czasach – ciągnął Ishvar – zdawało mi się, że to wszystko, czego można oczekiwać od życia. Wyboista droga pełna ostrych kamieni, gdzie, jeśli człowiek ma szczęście, to trafić się może parę ziaren.

– A później?

– Później odkryłem, że istnieją różne rodzaje dróg. I różne sposoby chodzenia po każdej z nich.

Dinie spodobało się to określenie.

– Dobrze powiedziane.

Zaśmiał się.

– Widać to moje przeszkolenie krawieckie. Krawcy mają wprawę w analizowaniu deseni i czytaniu konturów.

– A ty, Om? Też pomagałeś matce zbierać ziarno?

– Nie.

– Nie było potrzeby – dodał Ishvar. – Kiedy Om się urodził, jego ojciec – mój brat – już zarabiał dobrze jako krawiec.

– Ale i tak posłał mnie, żebym się uczył o śmierdzących skórach – powiedział Om.

– O tym mi nie mówiłeś – zauważył Maneck.

– Wielu rzeczy ci nie mówiłem. A ty mi opowiadasz o wszystkim?

– Nauka o skórach była po to, żeby wykształcić charakter – wyjaśnił Ishvar. – I żeby Om poznał swoją historię, by pamiętał o kaście, z której pochodzi.

– Dlaczego trzeba mu było przypominać?

– To długa historia.

– Opowiedz – odezwali się Dina i Maneck w mimowolnym unisono, które pobudziło ich do śmiechu.

– W naszej wiosce byliśmy szewcami – zaczął Ishvar.

– Jemu chodzi o to – przerwał Om – że nasza rodzina należała do kasty ćamarów, czyli garbarzy i rymarzy.

– Tak – powiedział Ishvar, ponownie przejmując lejce. – Dawno temu, na długo przed tym, jak urodził się Omprakash, kiedy jego ojciec Narayan i ja byliśmy małymi chłopcami i mieliśmy dziesięć i dwanaście lat, nasz ojciec, który miał na imię Dukhi, posłał nas, żebyśmy się uczyli na krawców...

•

– Naucz mnie, jak się tym posługiwać – powiedział Om.

– Czym?

– Nożem i widelcem.

– Zgoda – odpowiedział Maneck. – Lekcja pierwsza: łokcie ze stołu.

Ishvar pokiwał głową z aprobatą i oświadczył, że wszyscy będą pod wrażeniem, a wartość Oma wzrośnie, kiedy wrócą do wioski, żeby mu znaleźć żonę.

– Jedzenie przyborami to wielka umiejętność, jak gra na instrumencie muzycznym.

•

Narzuta Diny znów się rozrastała. Krawcy z wigorem żeglowali przez zamówienia eksportowe z Au Revoir i ścinki piętrzyły się jak aluwia w dolinie wartkiej rzeki. Po kolacji Dina zasiadała ze skrawkami, dobierając i łącząc ze sobą najlepsze spośród ostatnich nabytków.

– Te nowe mają kompletnie inny styl od starych – ocenił Maneck. – Myśli ciocia, że będą do siebie pasować?

– Znów się odezwał specjalista od kap – jęknęła Dina.

– Kwadraty, trójkąty i wielokąty – powiedział Om. – Trochę się mieszają, to na pewno.

– Kapa będzie piękna – orzekł Ishvar autorytatywnie. – Niech pani cierpliwie dobiera, Dina-bai – to cała tajemnica. Dżi-han, człowiekowi się wydaje, że to bezładna zbieranina skrawków i szmatek. Do czasu, aż się pozszywa w jedno.

– Właśnie tak – powiedziała Dina. – Ci chłopcy tego nie rozumieją. A tak przy okazji, w szafce jest dużo materiału, gdybyście też coś chcieli uszyć.

Ishvar pomyślał o Shankarze – miło byłoby podarować mu nową koszulkę. Opisał problem Dinie: chodziło o amputowaną, dolną połowę ciała, na której nic nie chciało się trzymać, ani przepaska biodrowa, ani bielizna, ani spodnie – ponieważ Shankar ciągle wiercił się i manewrował platformą. A gdy odzież zsunęła mu się z talii, był bezradny, dopóki nie zjawił się mistrz dokonujący obchodu.

– Zdaje mi się, że mam pomysł – powiedziała Dina. Odszukała swój stary szkolny jednoczęściowy kostium kąpielowy i objaśniła jego krój. Łatwo będzie go

skopiować, z paroma modyfikacjami, takimi jak dodanie rękawów, kołnierzyka i guzików na przedzie.

– Bilkul^[171] plan, pierwsza klasa – ucieszył się Ishvar.

Odłożył na bok kawałki jasnobrązowej popeliny i w następne popołudnie zabrał ze sobą do Vishrama centymetr krawiecki. Dmuchając w spodeczki z herbatą, Ishvar i Om patrzyli przez szybę. Na chodniku Shankar wypróbowywał nowy numer.

Mistrz żebraków, wiecznie poszukujący nowych rozwiązań, wydłużył platformę, doczepiając dodatkowy segment. Shankar leżał płasko na plecach, machając w powietrzu kikutami ud. Pod wpływem wstrząsów jądra wylewały mu się ze spowijającej go tkaniny. Wpychał je z powrotem, lecz wymagało to mozolnej ewolucji, więc po pewnym czasie pozwolił, by moszna zwisała mu spod okrycia.

– O babu, ek pajsda da-re! – śpiewał, potrząsając puszką przy pierwszym i trzecim takcie. Puszka spoczywała mu na czole między dłońmi bez placów. Gdy się zmęczył, postawił ją obok głowy, a ręce rozłożył, by bujały się w powietrzu jak kikuty nóg.

Gdy krawcy dopijali herbatę, właśnie podnosił się do siadu. Widok z pozycji na wznak był dla niego nowością i musiał go sobie dawkować. Minuty te upływały mu w przerażeniu: bał się, że ktoś na niego nadeptnie. Godziny szczytu, kiedy przez chodnik przetaczały się hordy, był okresem czystej zgrozy.

Widząc, jak Ishvar i Om wychodzą, podwiosłował na swej platformie od krawężnika, żeby uciąć sobie z nimi pogawędkę.

– Nowy, lepszy gadi, co, Shankarze?

– Co robić, trzeba zadowalać publiczność. Mistrz uznał, że nadeszła pora na urozmaicenie. Odkąd wróciliśmy z tamtego potwornego miejsca, jest dla mnie bardzo miły. Milszy nawet niż przedtem. I już nie mówi na mnie Glista tylko używa prawdziwego imienia, jak wy.

Słyszając, że planują zaprojektować koszulkę specjalnie dla niego, wpadł w podniecenie. Cała trójka przeniosła się w zacisze alejki na tyłach Vishrama, gdzie Ishvar mógł dokonać pomiarów.

– Pewnie przyjemnie ci tak teraz, jak możesz sobie pospać w pracy – powiedział Om.

– Nie masz pojęcia, jaki to raj – odrzekł chytrze Shankar. – Dopiero trzy dni, a czego to ja się nie napatrzyłem. Zwłaszcza, jak spódnice przepływają mi nad głową.

– Serio? – pozazdrościł mu Om. – Co widziałeś?

– Słowa nie mają dość siły, by opisać soczyste, dojrzałe owoce, którymi syciły się moje oczy.

– Może mój bratanek chciałby zająć twoje miejsce na gadi na dzień albo dwa – powiedział sucho Ishvar.

– Najpierw musiałby coś zrobić z nogami – odparł Shankar, smakując swój wisielczy dowcip. – Mam! Wystarczy, że przestaniecie płacić mistrzowi. Połamanie kończyn gwarantowane.

Prezent był gotów następnego dnia i gdy krawcy wyszli, by znów udać się na poszukiwanie mieszkania, przystanęli na chodniku Shankara. Chcieli zabrać go do alejki i pomóc mu przywdziać koszulkę, lecz on miał pewne wątpliwości.

– Mistrzowi to by się nie spodobało.

– Dlaczego?

– Ten nowy materiał wygląda zbyt dobrze. – Wolał nie wkładać koszulki, póki nie zostanie zaaprobowana.

Odeszli rozczarowani, biorąc ze sobą paczkę włosów spod platformy Shankara. Przez pewien czas zbieracz włosów nie przynosił nic, lecz w ciągu ostatnich kilku dni jego dostawy były regularne. Kuferek się zapełniał.

– Skoro długie włosy są taką rzadkością, to jakim cudem Rajaram nagle zbiera ich aż tyle? – zastanawiał się Om.

– Nie będę sobie zawracać głowy włosami tego typu.

W następnym tygodniu krawcy nareszcie zobaczyli żebraka przystrojonego w ich podarek. Z początku trudno było go rozpoznać, bowiem mistrz dokonał pewnych poprawek na brązowej popelinie. Pokryta plamami i rozdarta na przedzie, tkanina nadawała się teraz dla Shankara.

– A to skurwiel z tego mistrza – powiedział Om. – Zniszczył nasze dzieło.

– Nie sądz go po swoim ubraniu – odrzekł Ishvar. – Przecież nie poszedłbyś pracować do pani Diny pod muchą albo w wielkim ślubnym turbanie.

[160] *Bun-muska* – popularna przekąska na śniadanie: przekrojona bułka (ang. bun) posmarowana grubo masłem.

[161] *Nim* – miodla indyjska (*Azadirachta indica*), drzewo o właściwościach leczniczych.

[162] *Napunsakta* – impotencja.

[163] *Puri* – placki smażone na oleju.

[164] *Dżowar* – sorgo.

[165] *Badźri* – proso perłowe, mąka z prosa – pokarm biedaków.

[166] Vijayanthimala – popularna w Indiach tamilska aktorka i tancerka.

[167] Shatrughan Sinha – znany indyjski aktor i polityk.

[168] *Panir masala* – przyprawiony na ostro biały ser.

- [169] *Śak-bhadži* – smażony szpinak.
- [170] *Alu masala* – ziemniaki na ostro.
- [171] *Bilkul* – doskonały.

11 CHMURY NAD ŚWIETLANĄ PRZYSZŁOŚCIĄ

Odkąd bezpieczeństwo i wygoda werandy przytępiły w krawcach nagłą potrzebę nowego lokum, ich wieczorne eskapady w poszukiwaniu pokoju do wynajęcia stały się zajęciem odprawianym na pół gwizdka. Ishvar czuł się nieco winny z tego powodu, miał poczucie, że nadużywają gościnności Diny, z której korzystali już ponad dwa miesiące. Aby uspokoić sumienie, popadł w nawyk szczegółowego opisywania ich niepowodzeń. Mówił o odwiedzonych miejscach, o pensjonatach, o kholi i szopach, które zbadali, o tym, jak niewiele się spóźnili.

– Co za rozczarowanie – mawiał nieraz wieczorem. – Ledwie dziesięć minut przed tym, jak tam dotarliśmy, ktoś zajął pokój. I to jaki ładny.

Ale czas uśpił niepokój Diny dotyczący kamienicznika. Chętnie pozwalała krawcom spać na werandzie. Nikt nie potrafił jej od tego odwieść, nawet Zenobia, która wpadła pewnego wieczoru z wizytą i ku swemu przerażeniu odkryła tam ich kuferek i posłanie.

– To niebezpieczne – przestrzegła. – Igrasz z ogniem.

– Och, nic się nie stanie – powiedziała Dina z ufnością. Spłaciła pożyczkę zaciągniętą u Nusswana, poborca czynszu nie zawracał jej już głowy, a szycie szło szybciej niż kiedykolwiek dotąd.

Wyczekiwaniem z bojaźnią strajkowi w Au Revoir Exports również zapobieżono, co pani Gupta świętowała jako triumf dobra nad złem.

– Teraz firma ma własnych goryli – wyjaśniła Dinie. – Nasze zbiry kontra ich zbiry. Załatwiają tych związkowych kanciarzy, zanim ci zdążą podnieść raban albo sprowadzić biednych robotników na manowce. Nawet policja nas wspiera, proszę ja kogo. Wszyscy mają po uszy kłopotów ze związkami.

Krawcy byli uradowani, gdy Dina przyniosła do domu pomyslną nowinę.

– Nasze gwiazdy układają się jak należy – powiedział Ishvar.

– Tak – odparła Dina. – Ale ważniejsze, by wasze ściegi układały się jak należy.

Zwykle Ishvar i Om wyruszali na mieszkaniowe łowy po kolacji, a czasami przed, jeśli akurat nie gotowali. Dina życzyła im powodzenia, lecz zawsze dodawała „do zobaczenia wkrótce” i mówiła to szczerze. Maneck często im towarzyszył. Gdy zostawała sama, wyczekiwała ich powrotu, a jej oczy raz po raz kierowały się na zegar.

Kiedy słuchała później relacji o wieczornych włóczęgach, jej rada zawsze brzmiała: „Z niczym się nie śpieszcie”. Głupotą byłoby, twierdziła, wpłacić kaucję

za miejsce, które później może zostać zburzone, ponieważ zbudowano je nielegalnie.

– Lepiej odłóżcie pieniądze i znajdźcie porządny pokój, z którego nikt was nie wyrzuci. Nie śpieszcie się.

– Ale pani nie przyjmuje od nas komornego. Nie możemy w nieskończoność być dla pani ciężarem.

– Ja nie czuję żadnego ciężaru. I Maneck też nie. Czujesz jakiś ciężar, Manecku?

– O tak, wielki ciężar. Sesja się zbliża.

– A inny problem jest taki – ciągnął Ishvar – że mój drogi bratanek nie może się ożenić, dopóki nie mamy własnego mieszkania.

– Z tym akurat wam nie pomogę – odpowiedziała Dina.

– Kto powiedział, że chcę się żenić? – łypnął spode łba Om, a Dina i Ishvar wymienili rodzicielskie uśmiechy.

•

Dostali cynk, że na północnych przedmieściach może być wolne pół pokoju i tym sposobem zawędrowali w okolice, w których szukali pracy zaraz po przyjeździe do miasta. Gdy dotarli na miejsce, lokal był już wynajęty. Traf chciał, że mijali Krawiectwo Zaawansowane. Postanowili zajrzeć do Jeevana.

– O, wrócili moi starzy znajomi – powitał ich Jeevan. – I mają ze sobą nowego znajomego. Też krawiec?

Maneck uśmiechnął się i potrząsnął głową.

– Mniejsza z tym, niedługo zrobimy z ciebie jednego z naszych – powiedział Jeevan i z nostalgią jał wspominać okres, gdy trzech krawcy pracowali całą dobę, by zdążyć na termin przed wyborami uzupełniającymi. – Pamiętacie? Uszyliśmy sto koszul i sto dhoti na łapówki dla tamtego gościa.

– A zdawało się, jakby ich było tysiąc – powiedział Om.

– Później odkryłem, że podzielił pracę między ponad dwudziestu krawców. Rozdał pięć tysięcy koszul i dhoti.

– Skąd ci szubrawcy biorą tyle pieniędzy?

– Brudna forsa, a niby co? Od biznesmenów, którzy liczą na przysługi. Tak działa całe królestwo licencji, zezwoleń i przydziałów.

Okazało się jednak, że mimo rozprowadzenia odzieży w swych kluczowych okręgach wyborczych, kandydat poniósł porażkę, a to za sprawą chytrej dialektyki swoich oponentów politycznych. Nie ma nic złego w tym, że puste ręce przyjmują ładne podarki, głosili tamci, jeśli w chwili głosowania górę wezmą mądre głowy.

– Chciał zwalić na mnie winę za przegraną. Że niby wyborcy go nie chcieli, bo

ubrania były źle uszyte. To ja mu mówię, przynieś pan i pokaż. Więcej go nie widziałem. – Jeevan uprzątnął ladę i strzepnął klaczki z koszuli. – Siadajcie, napijmy się herbaty.

Zaproszenie, by usiedli, było jedynie figurą retoryczną. Wobec rupieci zagrających maleńkie wnętrza trudno było traktować je dosłownie. Od ostatniej wizyty krawców przeprowadzono remont i tył pokoju został przedzielony kotarą, by pomieścić przymierzalnię. Ishvar raczył się herbatą ze spodka stojąc przy ladzie; Jeevan popijał z filiżanki. Chłopcy wyszli na schodki na zewnątrz, by tam napić się razem.

Dla Krawiectwa Zaawansowanego miał to być ruchliwy wieczór.

– Przynieśliście mi szczęście – powiedział Jeevan.

Pewna rodzina przysłała, by zamówić ubranka dla swoich trzech córeczek. Matka z dumą niosła pod pachą zwój tkaniny, ojciec surowo marszczył brwi. Dla każdej z dziewczynek chcieli bluzkę i długą spódnicę, i żeby zamówienie było gotowe na Diwali.

Trącając palcem wargi, Jeevan udawał, że studiuje książkę zamówień.

– To tylko miesiąc od teraz – gderał. – Wszystkim się śpieszy. – Ociągał się z odpowiedzią, wydawał z siebie zębowo-językowe cmoknięcia, wreszcie orzekł, że da się zrobić, chociaż na styk.

Dziewczynki zaczęły podskakiwać na palcach z ulgi i podniecenia. Surowy ojciec warknął, żeby stały spokojnie albo im rozwali głowy. Rodzina nie zwróciła uwagi na przesadną pogroźkę. Byli przyzwyczajeni do ojcowskich aberracji retorycznych.

Jeevan zmierzył materiał, poliester pokryty deseniem w pawie. Zmarszczył się posępnie, zmierzył ponownie, a następnie obwieścił, pykając palcem w usta, że taka ilość nie wystarczy na trzy bluzki i trzy długie spódnice. Dzieci były na skraju łez.

– Kłamie, krzywonogi skurczybyk – szepnął Om Maneckowi. – Patrz teraz.

Jeevan dokonał pomiaru po raz trzeci i – tonem filantropa – orzekł, że istnieje wyjście z sytuacji.

– To będzie bardzo trudne, ale mogę zrobić sukienki do kolan.

Rodzice rozpaczliwie chwycili się alternatywy i wyrazili zgodę na zmianę. Trzasnął centymetrem w powietrzu i zaprosił dziewczynki do miary. Stały jak marionetki, obracając się, zadzierając głowy, unosząc w górę sztywno wyprostowane ramiona.

– Ten kanciarz zakosi co najmniej trzy, może cztery jarde materiału – wymruczał Om, usuwając się ze stopnia, by przepuścić wychodzącą rodzinę. Trzy dziewczynki poskarżyły się cichutko, że tak bardzo, tak bardzo chciały mieć długie sukienki. Ojciec uściskał je czule i zagroził, że powybijają im zęby, jeśli nie

będą się zachowywać; szczęśliwa rodzina zniknęła.

Jeevan zwinął materiał i zatknął w nim kartkę z miarą.

– My, krawcy, musimy jakoś sobie radzić, co nie? – Oczekiwał, że jego występ spotka się z aprobatą.

Ishvar wymijająco skinął głową.

– Ech ci klienci! Zawsze chcą od nas nie wiadomo czego – spróbował raz jeszcze Jeevan, uciekając w banał.

Z niezręcznej sytuacji wybawiło go nadejście kolejnej klientki, umówionej na przymiarke. Dostawszy do ręki wstępną wersję swojego ćoli, kobieta zniknęła w kabinie, zaciągając zasłonę.

Maneck szturchnął Oma i obaj obrócili się, by popatrzeć. Falująca kotara ustabilizowała się na wysokości kilku cali nad podłogą, odsłaniając sari pieszczące kobiece stopy obute w sandały. Jeevan pogroził im palcem, po czym sam wgapił się w kabinę.

– Cieńsza zasłona dodałaby mojemu życiu szczyptę pikanterii – westchnął Om.

Słyszeli delikatne dzwonienie jej bransoletek.

– Pssst! – ostrzegł go Jeevan, śmiejąc się nieprzyjemnie. – Przez ciebie stracę stałą klientkę.

Kobieta wyszła z przymierzalni, a oni zapadli w pełne winy milczenie. Ukradkiem obserwowali ją, zerkając z ukosa ze spuszczonej głowami. Sari miała zsunięte z ramion, żeby Jeevan mógł ocenić bluzkę, nad którą pracował.

– Proszę trochę unieść ręce – powiedział, wsuwając pod nie centymetr krawiecki. Jego ton był teraz sterylny jak głos lekarza proszącego, by pacjentka wysunęła język.

Pomiędzy ćoli a talią jej brzuch był nagi. Miała na sobie nowocześnie skrojone mini sari, odsłaniające pępek. Maneck i Om wytrzeszczali oczy, gdy tymczasem Jeevan doradzał klientce dwie zakładki na plecach i głębszy dekolt. Kobieta powróciła za zasłonę.

Om szeptem poinformował Manecka, że tego najbardziej mu brak, kiedy pracuje dla pani Diny na papierowych wykrojach.

– Nie mam okazji brać miary od kobiet.

– Tak jakbyś mógł cokolwiek zdziałać w czasie miary.

– Nie masz pojęcia, ile można zdziałać, brachu. Praca nad bluzką – wyjaśnił – zwłaszcza nad takim dopasowanym ćoli, to sama rozkosz, ponieważ centymetr obejmuje biust. Jak przekładasz go za plecami i sięgasz z drugiej strony, żeby go przeciągnąć na przód, to musisz stać bardzo blisko niej i już samo to jest bardzo podniecające. Potem trzymasz centymetr w rowku między piersiami – więc jej nie dotykasz – ale zawsze można musnąć tu i ówdzie. Musisz być ostrożny i wiedzieć, na ile można sobie pozwolić. Jeśli kobieta sztywnieje, jak tylko poczuje centymetr,

to niebezpiecznie próbować czegokolwiek. Ale niektórym to nie przeszkadza i człowiek widzi po ich oczach i sutkach, czy może trochę posmerać palcami.

– Robiłeś to kiedyś?

– Wiele razy. W Muzaffarze u ćaci Ashrafa.

– Może naprawdę powinienem rzucić college i zostać krawcem.

– No pewnie. Lepsza zabawa.

Maneck uśmiechnął się.

– W sumie to właśnie myślę, żeby po tym roku kontynuować college.

– Dlaczego? Myślałem, że go nie znosisz.

Maneck milczał przez chwilę, stukając palcami o kostki drugiej dłoni jak w klawisze fortepianu.

– Dostałem list od rodziców. Piszą, jak już się nie mogą doczekać, żeby ten rok się skończył, jacy są beze mnie samotni – te same bzdury co zawsze. Kiedy tam byłem, to mi mówili jedź, jedź, jedź. Więc postanowiłem napisać, że chcę zostać jeszcze trzy lata i zrobić pełne studia, a nie roczny kurs.

– Głupi jesteś, brachu. Na twoim miejscu wróciłbym do rodziców najszybciej, jak się da.

– Po co? Żeby znowu kłócić się z ojcem? A poza tym teraz dobrze się tu bawię.

Om obejrzał sobie paznokcie i przejechał ręką przez swój czub.

– Jeśli zamierzasz zostać, powinieneś zmienić kierunek na krawiectwo, to na pewno. Bo przy lodówkach nie możesz mierzyć kobiet. – Zachichotał. – Co takiej powiesz? Jak głębokie są pani półki?

Maneck roześmiał się.

– Mógłbym powiedzieć: „Szanowna pani, czy mógłbym sprawdzić pani kompresory?”. Albo: „Muszę udroźnić pani otwór odpowietrzający w termostacie”.

– Pani gałki kontrolne wymagają regulacji.

– Pani szuflada na mięso nie otwiera się jak należy.

Klientka wyszła, tymczasem oni dokazywali coraz głośniejsze. Ishvar odezwał się:

– Jazda, wy dwaj, pora się zbierać. Co wam tak wesoło?

– Jakbyśmy nie wiedzieli – uśmiechnął się szeroko Jeevan, po czym pożegnał ich, życząc powodzenia. – Mam nadzieję, że niedługo znajdziecie pokój.

•

W tygodniu poprzedzającym sesję Manecka poborca czynszu zjawiał się z niezapowiedzianą popołudniową wizytą. Na dźwięk dzwonka krawcy uciszyli maszyny do szycia.

– Jak zdrowie, siostrze? – powiedział Ibrahim, unosząc dłoń w stronę fezu.

– O co chodzi tym razem? – spytała Dina, tarasując mu drogę. – Czynsz za ten

miesiąc już zapłacony.

– Czynsz to nie problem, siostró. – Kurcząc się, w miarę jak mówił, Ibrahim wyrzucił z siebie jednym tchem, że biuro wysłało go, by doręczył ostateczne wezwanie do opuszczenia lokalu w przeciągu trzydziestu dni, ponieważ mają dowód, że Dina używa mieszkania do celów komercyjnych, pomimo upomnienia otrzymanego przed kilkoma miesiącami.

– Nonsens! Co to za dowód?

– Po co złościć się na mnie, siostró? – odezwał się żałośnie, stukając w notes, który tkwił w jego kieszeni. – To wszystko tutaj jest: daty, godziny, wyjścia i powroty, taksówka, sukienki. A kolejne dowody siedzą w tylnym pokoju.

– W tylnym pokoju? Może zechce mi pan pokazać? – odsunęła się na bok i gestem zaprosiła do środka.

Otwarte wyzwanie zaskoczyło go. Nie miał wyjścia, musiał je przyjąć. Wszedł z opuszczoną głową i skierował się do pokoju do szycia. Krawcy zastygli za singerami i czekali w napięciu, Maneck podpatrywał ze swojego pokoju.

– To jest ten problem, siostró. Nie możesz najmować krawców i prowadzić tutaj firmy. – Zakreślił łuk udręczoną ręką, by objąć także drugą sypialnię. – I na dokładkę jeszcze sublokator. To szaleństwo, siostró. Biuro na pewno cię wyrzuci.

– Bredzi pan i tyle! – Dina przystąpiła do kontraktacji. – Ten mężczyzna – rzekła wskazując na Ishvara – to mój mąż. Ci dwaj chłopcy to nasi synowie. A sukienki należą do mnie. Część mojej nowej garderoby na 1975 rok. Niech pan idzie i powie swojemu kamienicznikowi, że nie ma czego szukać w sądzie.

Trudno orzec, kogo bardziej zaszokowała swym apokryficznym wyznaniem: Ishvara, który poczerwieniał i zaczął bawić się nożycami, czy Ibrahima, który potrzasał rozpaczliwie splecionymi dłońmi i wzdychał.

– Ma pan coś jeszcze do powiedzenia? – spytała Dina, wykorzystując zdobytą przewagę.

Ibrahim skulił ramiona, aż wyglądały wystarczająco błagalnie.

– Można prosić o akt zawarcia małżeństwa? Akty urodzin? Mógłbym je zobaczyć, proszę?

– Kapciem po twarzy pan dostanie i tyle pan zobaczy! Jak pan śmie mnie obrażać! Powiedz pan swojemu kamienicznikowi, że jak nie przestanie mnie prześladować, to pójdę z nim do sądu i to zaraz!

Ibrahim wycofał się, mamrocząc, że będzie musiał złożyć w biurze pełny raport, na co to obrażać mnie za to, że wykonuję swoją pracę, dla mnie to taka sama przyjemność jak dla lokatorów.

– Jak pan nie lubi swojej pracy, to niech ją pan rzuci. W tym wieku i tak nie powinien pan pracować. Dzieci mogą się panem zająć.

– Muszę pracować, jestem sam – powiedział, kiedy zamykały się drzwi.

Słodczyz zwycięstwa straciła smak. Dina wyczekiwała, słuchając, jak poborca dyszy na zewnątrz, łapie oddech, wreszcie rusza dalej. W chwili, gdy Ibrahim wypowiedział swą ostatnią kwestię, lata trudnego, samotnego życia powróciły do niej galopem, by przypomnieć jej, jak świeże i kruche było szczęście odkryte w ostatnich paru miesiącach.

W tylnym pokoju Ishvar otrząsnął się z matrymonialnej niespodzianki. Chłopcy rechotali, natrzęsając się z jego miny.

– Ciągłe mówisz o moim małżeństwie – powiedział Om. – A zamiast tego sam dostałeś żonę.

– To był wspianały pomysł, ciociu. Miała to ciocia przygotowane z góry?

– Mniejsza o to, ty się lepiej ucz do egzaminów.

•

Z okazji Diwali college zamknięto na trzytygodniowe ferie i Dina zachęcała Manecka, by wybrał się na zwiedzanie.

– Do tej pory kursowałeś tylko z domu do szkoły i z powrotem, a w tym mieście jest tyle do oglądania. Muzeum, oceanarium, jaskinie wydrążone w skale – to są fascynujące rzeczy. Ogród Victorii i Wiszące Ogrody^[172] też warto obejrzeć, wierz mi.

– Ale ja już je widziałem.

– Kiedy? Lata temu, z mamą. Wtedy byłeś mały, jak masz coś pamiętać? Musisz zobaczyć je znowu. I rodzinę Sodawalla też powinieneś odwiedzić, to krewni twojej mamy.

– Zgoda – odpowiedział obojętnie i nie ruszył się z mieszkania.

W tym samym tygodniu rozległy się pierwsze sztuczne ognie na Diwali.

– Hai Ram – rzekł Ishvar. – Ale kanonada.

– To jeszcze nic – powiedziała Dina. – Poczekaj, aż Diwali będzie bliżej.

Każdej nocy zgiełk opóźniał porę zaśnięcia o mniej więcej dwie godziny, sprawiając, że puste dni wakacji Manecka były jeszcze dłuższe i jeszcze bardziej puste. By to sobie powetować, starał się wstawać późno, ale hałaśliwy świt, pełen rozdzwonionych mleczarzy i swarliwych wron, zawsze odnosił zwycięstwo.

Dina zanotowała dla niego numery autobusów i wskazówki.

– Te atrakcje turystyczne bardzo łatwo znaleźć. Nie zgubisz się – tłumaczyła, sądząc, że może tego się obawiał. Ale Maneck nie ruszył się ani na krok.

Dina miała powyżej uszu jego snucia się po domu i zaczęła go strofować.

– Ciągłe siedzisz w czterech ścianach, jak jakiś marudny dziadzio. Młody człowiek, kto to widział. I jeszcze łazisz tam i z powrotem cały dzień, niedługo wszyscy od tego zwariujemy.

Bezczynność Manecka zaczęła rozpraszać Oma, który teraz ucinał sobie z nim

długie przerwy na herbatę w Vishramie lub grał w karty na werandzie, wykazując ogólną niechęć do pracy. Ishvar zganiał bratanka, Dina także udzieliła mu reprimendy, bez skutku.

Pod koniec tygodnia obrali inną metodę. Uznali, że najlepiej będzie, jeśli i Om dostanie wolne. Trudno oczekiwać by ślęczał nad singerem, gdy jego przyjaciel kręci się obok i czeka. Bądź co bądź, wystarczyło już, że musi sam zarabiać na życie, w wieku, gdy powinien uczęszczać do college'u, tak jak Maneck.

Omowi powiedziano, że może spędzać w pracy mniej godzin i szyć od ósmej rano do jedenastej.

– Przez ostatnie miesiące bardzo ciężko pracowałeś. Zasłużyłeś na wakacje – orzekła Dina.

Teraz nie było sposobu, by zatrzymać ich w domu. Gdy tylko Om kończył swoją krótką zmianę, dwaj przyjaciele znikali i nie pojawiali się z powrotem aż do kolacji. Przy posiłku nie zamykały im się usta; opowiadali o swoich zajęciach, aż nadchodziła pora snu.

– Morze było bardzo wzburzone, motorówka skakała jak dziki koń – mówił Om. – Można się było wystraszyć, brachu.

– Mówię ci, ciociu, twój lokator i połowa zakładu krawieckiego omal się nie utopiła na molo.

– Nie mów tak, bo ściągniesz nieszczęście – powiedział Ishvar.

– Po motorówce nawet w oceanarium kręciło mi się w głowie, od całej tej wody wokół nas.

– Za to ryby były piękne. A jak one elegancko pływają. Jakby sobie wyszły na spacer albo na zakupy na bazar, że niby sobie obmacują pomidory. Albo jak policjanci, co gonią złodzieja.

– Niektóre były tak kolorowe jak tkaniny z Au Revoir – powiedział Maneck. – A nos ryby piły wyglądał dokładnie jak piła, słowo daję.

– Jutro pójde na masaż na plażę – oznajmił Om. – Widzieliśmy ich dzisiaj, z ich olejkami, kremami i ręcznikami.

– Miejcie się na baczności i to bardzo – przestrzegła Dina. – Ci masażyści to kanciarze. Zrobią ci piękne ćampi^[173], aż się tak rozluźnisz, że zaśniesz, a wtedy wyczyszczą ci kieszenie.

Następne trzy dni upłynęły im jednak w muzeum. Om wrócił do domu i oznajmił, że budowniczowie kopulastego dachu musieli czerpać inspirację z brzucha jego stryja.

– Gdybym tylko mógł uczciwie pochwalić się takim dobrobytem – rzekł Ishvar. Przez trzy wieczory on i Dina dowiedzieli się wszystkiego o galerii chińskiej, galerii tybetańskiej, galerii nepalskiej, samowarach, termosach bufetowych, posążkach z kości słoniowej, jadeitowych tabakierach i kobiercach.

Szczególnie fascynowała ich kolekcja broni i zbroi – kolczugi, sztylety o rękojeściach z jadeitu, bułaty, szable o ząbkowanych klingach („Jak tarka do kokosa na półce w kuchni” – powiedział Om), wysadzane klejnotami miecze ceremonialne, łuki i strzały, pałki, piki, lance i nabijane ćwiekami maczugi.

– Wyglądały jak broń w tym starym filmie *Mughal-e-Azam* – powiedział Maneck, a Om dodał, że można by w nie uzbroić ćamarów ze wszystkich wiosek i przeprowadzić masakrę właścicieli ziemskich oraz wyższych kast, na co Ishvar zmarszczył brwi z dezaprobatą, dopóki śmiech chłopców nie upewnił go, że to żart.

Tak z młodzieńczym apetytem pochłaniali wakacje. Cuda miasta spływały z ich języków na Ishvara, który radował się zapośredniczonym zwiedzaniem, i na Dinę, która w kipieli ich entuzjazmu na nowo odkrywała fragmenty swoich szkolnych dni.

•

W połowie wakacji późny zryw monsunu zaciemnił niebo. Rzęsisty deszcz zatrzymał chłopców w mieszkaniu. Maneck nudził się i nie umiał usiedzieć spokojnie, aż przypomniał sobie o szachach. Om nigdy nie widział zestawu szachowego i plastikowe figurki porwały jego wyobraźnię. Zażądał, by go nauczyć grać.

Maneck zaczął od wyliczenia nazw bierek:

– Król, hetman, goniec, skoczek, wieża, pion. – Rzeźbione słowa lądowały w jego uszach jak znajoma pieśczoła. Z przyjemnością na nowo poczuł bierki między palcami, po tak długim czasie, wskrzeszając je z rdzawobrazowej sklejkowej trumny i ustawiając na przypisanych im polach, w gotowości bojowej.

A potem zniemacka dźwięk jego głosu stał się odległym echem innego – głosu, który ongiś tak samo wyliczał nazwy bierek, dla niego, w akademiku. Głos ten jał ekshumować szczątki niedawnej przeszłości, o których starał się zapomnieć, które częściowo wymazał z pamięci, których nigdy więcej nie chciał oglądać. Teraz raptem wychynęły na powierzchnię z groteskową skwapliwością.

Zapatrzył się w szachownicę. Każda bierka przechowywała na swoim polu jakąś zjawę. Trzydzieści dwa widma zaczęły przesuwać się na własną rękę: roztańczona, zaczepna armia zderzających się wspomnień, pragnąca stanąć do walki z jego wolą zapomnienia. Potem tańczące bierki wymieniły się partnerami i teraz dla odmiany z sześćdziesięciu czterech kwadratów uśmiechała się do niego twarz Avinasha.

Maneck z wysiłkiem oderwał się od szachownicy i podszedł do okna. Deszcz tłukł o chodnik. Czyjś motocykl stał przykryty bębniącą donośnie brezentową plandeką. Kałuże wokół niego były mętne i odpychające. Żadne dzieci nie bawiły

się, ani nie rozchlapwały wody, smętna ulica mokła w deszczu, zbyt ulewnym i zbyt długotrwałym. Pożałował, że w ogóle otworzył pudełko z szachami.

– Co się stało? – spytał Om.

– Nic.

– No to chodź. Nie marnuj czasu, naucz mnie grać.

– To głupia gra. Daj sobie spokój.

– To dlaczego ją masz, skoro jest głupia?

– Ktoś mi pożyczył. Muszę niedługo oddać. – Patrzył, jak wir rynsztoka połyka puste paczki po papierosach i kapsle od butelek po oranżadzie. Wśród nich nie zobaczy kapsli od Kohlah Coli. Nie zobaczy, dopóki tatko uparcie trzyma się swoich metod. A przecież marka mogła odnieść taki sukces. A on nigdy nie musiałby wyjeżdżać do tego przekłętego college'u. Musiałem gdzieś w życiu wykonać zły ruch, że się dostałem pod ten szach, pomyślał.

– Nie chcesz mnie uczyć i tyle – powiedział Om, zmiatając bierki do pudełka. Spadły z oskarżycielskim grzechotem. Maneck spojrział i otworzył usta, jak gdyby miał coś powiedzieć. Om nie zauważył, zasuwał pokrywkę.

Maneck stał jeszcze chwilę przy oknie, wreszcie powrócił do szachownicy.

– Nie chcę ci się naprzykrzać – powiedział Om sarkastycznie. – Jesteś pewien, że chcesz mnie uczyć?

Nie odrzekł nic, ustawił bierki i zaczął wyjaśniać zasady. Deszcz tłukł z impetem o plandekę motocykla.

W ciągu dwóch następnych dni Om nauczył się ruchów i bicia, ale idea szacha mata nadal mu się wymykała. Gdy Maneck ustawił przykład na szachownicy, pojmował go doskonale, z instynktownym przerażeniem odczuwając bezsilność osaczonego króla. Ale doprowadzenie do podobnego rozwiązania w samodzielnie rozgrywanej partii było poza jego zasięgiem i stracił cierpliwość.

Maneck czuł, że to jego porażka – nie był tak dobrym nauczycielem jak Avinash. To, że na skutek pata następuje remis, okazało się równie niezrozumiałe.

– Czasem zdarza się, że po obu stronach zostaje za mało bierek, więc król przesuwa się bez końca i ucieka spod szacha – tłumaczył w kółko.

Tu także Om rozumiał problem, gdy zilustrowano mu go na szachownicy, ale uważał, że metafory królów i armii nie da się satysfakcjonująco obronić, i odmówił dalszej współpracy.

– To bez sensu – wywodził. – Zobacz, twoja armia bije się z moją i wszyscy żołnierze zginęli. Czyli zostaje nas dwóch. No to jeden musi wygrać, silniejszy zabije słabszego, tak czy nie?

– Może i tak. Ale w szachach są inne zasady.

– Zasady powinny być takie, żeby zawsze ktoś mógł wygrać – upierał się Om.

Logiczna zapaść doskwierała mu.

- Czasem nikt nie wygrywa.
- Miałeś rację, to głupia gra – powiedział Om.

•

Minęło pięć dni, a niebo wciąż się nie rozpogadzało i dwaj chłopcy stali się dotkliwą zawadą w mieszkaniu. Dla zabawy obserwowali, jak Ishvar i Dina pracują.

– Popatrz – szepnął Maneck. – Jak uruchamia maszynę, to zawsze wypycha sobie policzek językiem. – Do łez rozśmieszało ich to, że Dina, za każdym razem kiedy coś mierzyła, wciągała obie wargi, tak że chowały się za zębami.

– Za wolno, brachu – zauważył Om, gdy jego stryj zatrzymał się, by nawinać nić na szpulę. – Ja nawijam w trzydzieści sekund.

– Jesteś młody, a ja stary – odrzekł Ishvar pogodnie. Włożył nawiniętą szpulkę do bębna i zasunął metalowe wieczko.

– Zawsze mam pod ręką sześć szpul – powiedział Om. – Dzięki temu mogę je zmieniać raz-dwa i nie zatrzymywać się w połowie sukienki.

– Ciociu, ciocia też powinna sobie zapuścić długie paznokcie na małych palcach jak Ishvar. Wspaniale to będzie wyglądać.

Cierpliwość Diny szybko się wyczerpała.

– Zamieniacie się w kłopoty przez wielkie „K”. To, że macie wakacje, nie znaczy, że możecie tak siedzieć i pleść nam bzdury nad głową. Idźcie gdzieś albo weźcie się do roboty.

– Kiedy pada deszcz. Przecież nie chce ciocia, żebyśmy zmokli?

– Wydaje ci się, że całe miasto chowa się pod kocem, bo kropi drobny deszczyk? Weź parasol, wisi na szafie u ciebie w pokoju.

– To damski parasol.

– To moknijcie. Ale przestańcie nam przeszkadzać.

– Zgoda – powiedział Om. – Pójdziemy gdzieś po południu.

Wynieśli się na werandę i Maneck zaproponował drugą wyprawę do oceanarium. Om oświadczył, że ma lepszy plan:

– Pracownia Jeevana.

– Nudy, brachu. Co tam można robić?

Om przedstawił swój zamysł: przekonać Jeevana, by pozwolił im brać miarę od klientek.

– Zgoda, chodźmy – uśmiechnął się szeroko Maneck.

– Nauczę cię, jak w to grać – powiedział Om. – Mierzenie obwodu klatki piersiowej jest łatwiejsze niż szachy. I ubaw też większy, to na pewno.

•

Gdy przybyli, w pracowni panowała cisza. Jeevan zażywał drzemki, wyciągnięty na podłodze za kontuarem. Z radia tranzystorowego na stołku obok jego głowy dobiegały ciche tony sarangi^[174]. Om pogłośnił muzykę i Jeevan zerwał się rozbudzony.

Przez minutę siedział z wytrzeszczonymi oczami, gwałtownie łapiąc powietrze.

– Czemuś to zrobił? Co to ma być, żart jakiś czy co? Teraz przez całe popołudnie będzie mnie głowa boleć.

Nie chciał nawet rozważyć propozycji bezpłatnej pomocy, którą złożył mu Om.

– Brać miarę od moich klientek? Jeszcze czego. Już ja wiem, co ci po głowie chodzi. W spodniach ci puchnie, że tylko byś wytaplał dobre imię mojego sklepu w błocie.

Om obiecywał zachowywać się profesjonalnie i pilnować, by palce mu nigdzie nie zawędrowały. Skarżył się, że jego umiejętności tępieją wskutek szycia na podstawie papierowych wykrojów.

– Nie chcę tracić kontaktu z prawdziwym krawiectwem i tyle.

– Z cyckami nie chcesz tracić kontaktu. Już ty mnie nie oszukasz. Wara od moich klientek, ostrzegam cię.

Maneck zawędrował do kabiny za zasłoną.

– Fajnie by było schować się tu, jak przyjdą na przymiarę.

Om także zlustrował wnętrze. Znalazł trzy haki na ubrania i lustro, ale żadnego miejsca na kryjówkę.

– Nie ma jak – zakonkludował.

– Tak wam się wydaje? – spytał Jeevan. – To coś wam pokażę, cwaniaczki. – Wpuścił ich za kontuar, na tyły przepierzenia, które stanowiło tylną ściankę kabiny. – Przyłóżcie tu oko – powiedział, wskazując szparę w jednym z narożników.

Om rozdziawił usta.

– Wszystko stąd widać!

– Daj popatrzeć – powiedział Maneck, szturchając go. – Brachu, to jest idealne miejsce!

Jeevan poskubał wargi i uśmiechnął się złośliwie.

– Tak, ale nie wyobrażajcie sobie za wiele. Prędzej mnie zamkną u czubków, niż was tutaj wpuszczę.

– Are, proszę! – wykrzyknął Om. – Taki wspaniały, darmowy spektakl z pełnym widokiem od stóp do głów.

– Wspaniały – tak. Darmowy – nie. Wszystko ma swoją cenę. Chcesz iść do kina, płacisz w kasie. Jedziesz pociągiem, kupujesz bilet.

– Ile? – spytał Om.

– Nieważne ile. Nie mogę wystawić na szwank reputacji mojej pracowni.

– Proszę cię, Jeevan, brachu, no proszę!

Jeevan zaczął mięknąć.

– Będziecie się zachowywać? Nie odbije wam na widok golizny?

– Zrobimy, co nam powiesz.

– Dobra, dwie rupie od łebka.

Om patrzył, jak Maneck sprawdza kieszenie.

– W porządku, mamy tyle.

– Ale tylko jeden naraz. I ani mru-mru, nawet nie oddychajcie, zrozumiano? – Kiwnęli głowami. Jeevan zajrzał do książki za mówień. Na dzisiejszy wieczór zapisane były dwie kobiety, jedna na bluzkę, druga na spodnie. – Który chce którą?

Maneck zaproponował rzut monetą. Om wygrał. Zamknął z uśmiechem oczy, zastanowił się, wybrał spodnie. Jeevan powiedział, że mają co najmniej godzinę czekania, klientki zjawią się po piątej. Deszcz zelżał nieco, toteż chłopcy postanowili wybrać się na przechadzkę.

Był to spacer w głuchym milczeniu i napięciu, w powietrzu ciężko zawisło oczekiwanie. Odezwali się jedynie raz, by wspólnie stwierdzić, że lepiej wracać, na wypadek gdyby kobiety zjawily się wcześniej.

Czekali przed sklepem, co denerwowało Jeevana. Mieli cztery fałszywe alarmy – ludzie przychodzili odebrać ubrania po naprawach bądź przeróbkach. Kwadrans przed szóstą ich cierpliwość została wynagrodzona.

– Tak, proszę szanownej pani, bluzka jest gotowa do przymiarki – powiedział Jeevan i dyskretnie skinął głową do chłopców. Przeczesał stertę ubrań, by dać Maneckowi czas na wślizgnięcie się zza kontuaru do ciemnej przegrody. Następnie, wyszukawszy bluzkę, wskazał kobiecie kotarę. – Tam jest kabina, proszę szanownej pani.

Maneckowi zdawało się, że łomot jego serca rozwali przepierzenie. Kobieta weszła z ostrym stukotem wysokich obcasów o kamienną posadzkę, zawiesiła nową bluzkę na haczyku i zasunęła kotarę. Wyciągnęła ze spódnicy schludnie wpuszczoną w nią bluzkę i, stojąc tyłem do niego, rozpięła guziki. Maneck patrzył na jej odbicie w lustrze.

Kiedy zdjęła bluzkę, wstrzymał oddech. Miała na sobie biały biustonosz. Jej kciuki przesunęły się pod ramiączkami, zmieniając ich położenie. Dwie zaczerwienione linie na ramionach znaczyły poprzednią pozycję. Później przełożyła dłonie za plecy i rozpięła haftkę biustonosza.

Przez jedną szaloną chwilę myślał, że go zdejmie. Zaciśnął pięść. Ale haczyk został jedynie przesunięty do kolejnego uszka na wystrzępionej elastycznej taśmie. Kobieta kilka razy uniosła ramiona i poprawiła miseczki, wypychając piersi ku

górze, aż usadowiły się wygodnie, po czym włożyła nową bluzkę.

Paciorki potu spływały Maneckowi z czoła i gryzły go w oczy. Kobieta wyszła z kabiny. Skorzystał z okazji, by odetchnąć głęboko. Przez szparę i odsuniętą kotarę widział, jak Jeevan sprawdza, czy bluzka dobrze leży. Om obrócił się z nienacka i puścił oko w stronę szpary, przykładając sobie dłonie do piersi i ściskając.

Bluzkę zaaprobowano. Kobieta wróciła, by się przebrać i wyszła po niespełna minucie. Maneck czekał. Słyszał, jak Jeevan jej dziękuje i ustala datę odbioru. Później wysokie obcasy zastukały na schodkach, a on wychynął ze swej kryjówki.

Otarł czoło rękawem, odkleił koszulę spod przepoconych pach.

– Strasznie gorąco za tym przepierzeniem.

– Już nie zwalaj na przepierzenie. To tam na dole tak ci się nagrzało – zaśmiał się Jeevan. Gestem upomniał się o pieniądze i Maneck zapłacił.

– Jak było? – dopytywał Om. – Co widziałeś?

– Fantastycznie. Ale miała stanik.

– A ty co myślałeś? – powiedział Jeevan. – Moje klientki to nie wsiowa biedota. Pracują w wielkich biurach, to sekretarki, recepcjonistki, stenotypistki. Używają różu i szminek i noszą najwyższej klasy bieliznę.

Om musiał czekać przez kolejne pół godziny, nim zjawiała się jego klientka. Wśliznął się nonszalancko za kontuar i zniknął, zanim Jeevan odszukał ubranie i skierował kobietę do kabiny.

Kiedy wyszła, Maneck pożałował, że nie miał możliwości wybrania właśnie jej. Nowe spodnie ciasno przylegały do jej ud i opinały krocze tak, że poczuł ściskanie w gardle. Jeevan przyklęknął przed nią, żeby sprawdzić wewnętrzną długość nogawki, a Maneck z trudem przełknął ślinę.

Klientka powróciła za kotarę. Parę sekund później rozległ się stłumiony łomot i krzyk.

Jeevan podskoczył.

– Czy wszystko w porządku, szanowna pani?

– Słyszałam hałas! Tam z tyłu!

– Niech się łaskawa pani nie denerwuje, to nic takiego, daję słowo – Jeevan zaczął się płaszczyć z mistrzowskim refleksem i spokojem. – To tylko szczury, proszę się nie niepokoić.

Wyszła zdenerwowana i cisnęła spodnie na kontuar. Jeevan z uszanowaniem odwiesił je na miejsce.

– Bardzo mi przykro, że łaskawa pani się przestraszyła. Szczury to wielki problem, gdzie się człowiek nie ruszy w tym mieście.

– Powinien pan coś z tym zrobić – fuknęła ze złością. – Dla pańskich klientów to żadna przyjemność.

– Ma pani rację, szanowna pani. Czasem chowa się toto w pudłach za przepierzeniem i hałasuje. Będę musiał wysypać więcej trutki. – Przeprosił ponownie i odprowadził ją do wyjścia.

Om wychynął z ciapowatym uśmiechem, przygotowany na docinki pod adresem szczura w swoich spodniach. Jeevan zdzielił go wściekle przez głowę.

– Pieprzony idiota! Wiesz, jakich kłopotów mogłeś mi narobić? Co to był za hałas?

– Przepraszam, pośliznąłem się.

– Pośliznął się! A co to za bezceństwa żeś tam wyczyniał, że się pośliznąłeś? Wynocha, jeden z drugim! I żebyście mi się tu więcej nie pokazywali!

Maneck usiłował ułagodzić Jeevana, podsuwając mu dwie rupie za widowisko Oma, ale to go tylko bardziej rozsierdziło. Zmiotł na bok wyciągniętą dłoń i wyglądał, jakby miał go uderzyć.

– Zabieraj te pieniądze! I tego gałgana też zabieraj! – Wyrzucił ich za drzwi i zepchnął po schodkach.

W przygnębieniu kroczyli zaułkiem w stronę głównej ulicy. Z parapetu zaskrzeczała wrona. W wieczornym świetle na skraju mroku wspomnienie wściekłości Jeevana działało tym bardziej otrzeźwiająco. Latarnie zaczęły chwiejnie migotać – żółte paki zapowiadające nadejście pełnego blasku. Coś przebiegło im przez drogę i skręciło w zaułek.

– Popatrz – odezwał się Maneck. – Oto i szczur naszej szanownej pani. – Spomiędzy nieregularnie rozłożonych płatów chorej, parchatej sierści gryzonia mignęła im różowa skóra.

– Wybiera się do Krawiectwa Zaawansowanego – powiedział Om. – Chce sobie sprawić nowy garnitur.

Wybuchnęli śmiechem. Szczur zniknął w ciemniejszych zakamarkach zaułka, gdzie bulgotał rynsztok. Rozległy się przenikliwe piski i plusk. Skierowali się w stronę przystanku autobusowego.

– No to gadaj – Maneck szturchnął Oma łokciem. – Co tam robiłeś?

Om uśmiechnął się cierpko, zwinął dłoń w pięść i przesunął nią w górę i w dół. Maneckowi wyrwał się krótki śmiech, który bardziej przypominał kaszel.

Przed nimi coś chlusnęło z okna na piętrze i rozbryzgało się na zatłoczonym chodniku. Poplamieni przechodnie zaczęli krzyczeć w stronę budynku, rzucili się do schodków wejściowych i popędzili na górę, choć nie mieli jak stwierdzić, które okno skrywało winowajcę.

– Wiele zobaczyłeś? – spytał Maneck.

– Wszystko. Te nowe spodnie były tak obcisłe, że jak je ściągała, to majteczki też jej zjechały.

Maneck kopnął kamień do rynsztoka.

– Widziałeś włosy?

Om kiwnął głową.

– Prawdziwy busz. – Podniósł obie ręce, by opisać rzeczoną dżunglę, przebierając palcami, żeby dobitnie przedstawić bujność gęstwiny. – Widziałeś to kiedyś?

– Tylko raz. Dawno temu. Jak byłem mały, to mieliśmy ayah. Wspiąłem się raz na krzesło, kiedy się kąpała i patrzyłem przez lufcik nad drzwiami. Wystraszyłem się. Wyglądało groźnie, jakby miało człowieka ugryźć.

Om zaśmiał się.

– Dzisiaj byś się nie wystraszył, to na pewno. Od razu byś się wpakował do środka.

– Daj mi tylko okazję.

Zaczekali, aż zmienią się światła i przeszli przez jezdnię. Na skraju chodnika dwóch policjantów trzymało między sobą naciągniętą linę, pilnując, by tłum nie wylał się pomiędzy samochody. Ludzie napierali na zaporę jak fale badające linię brzegową. Policjanci nie ustępowali, natężając się, krzycząc, utrzymując w ryzach zmierzającą do domów chmarę.

– Powiem ci, że to dobrze, że za przepierzeniem nie było szczura – powiedział Maneck. – W trymiga odgryzłby ci małego.

– Jakiego małego, jakiego małego? – oburzył się Om. – Tak mi staje – zamachał z wigorem przedramieniem.

Zakazująca czerwona dłoń na światłach drogowych zgasła i okrągłą szybkę rozświetliła zielona postać z kreseczek. Policjanci z liną zręcznie usunęli się na bok; tłum wyroił się na jezdnię.

•

Pirotechniczna kulminacja nastąpiła w noc przed Diwali i jeszcze długo po północy trudno było zasnąć. Po każdej detonacji, zwłaszcza gdy wybuchały czerwone sześciiany o nazwie Atom Bombs, Ishvar wzdychał „Hai Ram” i przykładał dłonie do uszu.

– Co za sens zakrywać uszy po grzmocie? – zapytał Om.

– A co innego mogę zrobić? Kompletne szaleństwo, czas świąteł i świętowania zmienia się w ból uszu. Czy to ma być sposób na przywitanie Ramy, gdy wraca do Ajodhji z wygnania do lasu?

– Sęk w tym, że za dużo bogactwa w tym mieście – powiedziała Dina. – Jak ludzie chcą puszczać pieniądze z dymem, to mogliby sobie znaleźć jakiś ładniejszy sposób. – Wzdrygnęła się, gdy wybuchła kolejna bomba. – Gdybym to ja tu rządziła, dozwolone byłyby tylko zimne ognie, fontanny i ćakardi^[175].

– Han-dzi, ale wielcy eksperci od religii powiedzą pani, że to nie wystarczy, by

odstraszyć złe duchy – odrzekł sarkastycznie Ishvar.

– Te Atom Bombs to nawet bogów wystraszą – odpowiedziała, wycofując się z werandy. – Na miejscu Pana Ramy od razu pognałabym z powrotem do lasu, zamiast słuchać wybuchów tych fanatyków.

Wetknęła sobie w uszy koreczki z waty i zaczęła pracować nad kapą. Po kilku minutach Ishvar dołączył do niej i usiadł, zasłaniając dłońmi uszy. Dina podała mu watę. Przy następnym huku rozpromienił się na znak, że zatyczki działają.

Maneck i Om nie chcieli opuścić werandy, choć wtykali sobie palce do uszu za każdym razem, gdy któryś z hulaków zaczynał przygotowywać sznur czerwonych kostek.

– Mają pecha, że patrzymy – powiedział Om. – Inaczej już by fikali w łóżku, to na pewno.

– Kto taki?

– Dina-bai i mój stryjek, a kto?

– Masz kosmate myśli.

– To fakt – przyznał Om. – Posłuchaj, mam dla ciebie zagadkę: żeby było sztywne i stało prosto, ona musi to potrzebować. Żeby było śliskie i mogła to włożyć, musi to polizać. Co ona robi? – Wybuchnął śmiechem, zanim skończył recytować pytanie. Maneck uciszał go z palcem na ustach.

– No, zgaduj. Co ona robi?

– Rucha się, a co?

– Nieprawda. Poddajesz się? Nawleka igłę – powiedział Om zadowolony z siebie, a Maneck pacnął się w czoło. – I kto tu ma kosmate myśli?

•

Do końca ferii zostało jeszcze sześć dni wolnego i Om miał nowy pomysł, jak się zabawić. Zauważył, że wiek i wilgoć spaczyły drzwi od łazienki i futrynę, tak że po zamknięciu nadal zostaje spora szpara. Wymyślił, że mogliby na przemian podglądać Dinę w kąpeli. Drugi stałby na straży i pilnował, żeby Ishvar ich nie przyłapał.

– Zainspirowałeś mnie swoją opowieścią o ayah. To jak, co myślisz?

– Wariat jesteś – powiedział Maneck. – Nie zrobię tego.

– Czego się boisz, brachu? Ona się o niczym nie dowie.

– Nie chcę i tyle.

– Dobra, to ja sobie popatrzę. – Wstał.

– Nie, nie popatrzysz sobie. – Maneck złapał go za rękę.

– Are, puszczaj! Kim ty jesteś, żeby mi rozkazywać? – Uwolnił rękę, a wówczas Maneck złapał go za ramiona i pchnął z powrotem na krzesło. Szamotanina rozpoczęła się na dobre. Om wziął zamach nogą, ale Maneck precyzyjnie się za

krzesło i przygwoździł go do niego. Om poddał się, unieruchomiony.

– Samolubny skurwiel z ciebie – wycedził cicho. – Już ja cię znam. Tyle miesięcy sam tu z nią mieszkałeś, to na bank co rano ją oglądałeś naga w łazience. A teraz nie pozwalasz, żebym ja też się zabawił.

– To nieprawda – powiedział surowo Maneck. – Nigdy tego nie robiłem.

– Kłamiesz. Przyznaj się. No dawaj, opisz mi chociaż, jak mi nie pozwalasz obejrzeć. Jakie ma cyce? Sutki fajne, spiczaste? A...

– Przestań.

– ... a te brązowe kółka wokół sutków, to duże ma?

– Zamknij się, ostrzegam cię.

– A cipka? Duża, soczysta cipka, z dużą ilością...

Maneck stanął z przodu krzesła i uderzył go otwartą dłonią w usta. Wstrząśnięty Om przez kilka sekund trzymał się kurczowo za twarz. Oczy wypełnił mu ból.

– Ty jebusie zawszony! – Ożył na nowo i rzucił się na Manecka z pięściami.

Krzesło runęło na podłogę. Maneck oberwał raz w głowę, resztę ciosów przyjął bezpiecznie na ręce. By obezwładnić Oma nie wyrządzając mu krzywdy, złapał go za koszulę i pociągnął do zwarcia; teraz pięści nie miały pola manewru. Rozległ się dźwięk dartego materiału. Kieszon została mu w ręce, a poniżej ramienia pokazała się dziura.

– Ty skurwielu! – wrzasnął Om, podwajając wysiłki. – Rozdarłeś mi koszulę!

Zgiełk wzmógł się na tyle, że Ishvar dosłyszał go ponad stukotem maszyny i wyszedł na werandę.

– Hoi, hoi! Co to za gundagiri^[176]?

W jego obecności pragnienie walki raptem ich opuściło. Łatwo mu było ich rozdzielić. Teraz cała agresja przeniosła się w spojrzenia. Łypali na siebie przez chwilę, po czym odwrócili oczy.

– Podarł mi koszulę! – krzyknął Om, gapiąc się w dół na wypatroszoną kieszon.

– Tak to bywa, jak się człowiek bije. O co ta awantura?

– Podarł mi koszulę – rozpacział dalej Om.

Tymczasem Dina posłyszała krzyki i skróciła kąpiel.

– Wierzyć mi się nie chce – powiedziała, gdy Ishvar zrelacjonował jej zajście. – Myślałam, że to chuliganeria na ulicy. Wy dwaj? Dlaczego?

– Jego trzeba zapytać – mruknęli obaj.

– Podarł mi koszulę – dodał Om. – Pani popatrzy – zatrzepotał jej przed twarzą oddartą kieszenią.

– Koszula, koszula, koszula! To wszystko, co masz do powiedzenia? – zrugął go Ishvar. – Koszulę można zaszyć. O co wam poszło?

– Ja nie jestem bogaty jak on. Mam tylko dwie koszule. A on mi jedną podarł.

Maneck pognał do swego pokoju, chwycił pierwszą z brzegu koszulę i wrócił, by cisnąć ją Omowi. Ten złapał i odrzucił. Maneck zostawił ją, gdzie upadła.

– Zachowujecie się jak mali chłopcy – powiedziała Dina. – Chodź, Ishvar-bhai, wracajmy do pracy. – Przeczuwała, że szybciej się pogodzą, jeśli zostawić ich samych, kiedy zachowanie twarzy nie będzie tak brzemiennej kwestią.

•

Maneck przez cały dzień nie wychodził z pokoju, a Om siedział na werandzie. Podejmowane przez Ishvara próby żartów o limonowej gębie i bohaterskim wojowniku spełzały na niczym. Dinie było przykro, że wakacje kończą się gorzkim akcentem.

– Popatrz na nich – powiedziała. – Zagnieździły mi się w domu dwie osowiałe sowy. – Zrobiła do chłopców minę sowy. Tylko Ishvar się zaśmiał.

Nazajutrz rano Om oświadczył z miną męczennika, że chce znowu pracować przez całe dni.

– Te wakacje trwają już zbyt długo jak na mój gust. – Maneck udał, że nie słyszy.

Szycie zaczęło się źle i zmierzało ku pełnowymiarowej katastrofie. Dina musiała upomnieć Oma:

– Firma eksportowa nie będzie tego tolerować. Twój zły humor nie może się przekładać na ściegi.

Jako godło męczeństwa w dalszym ciągu obnosił podartą koszulę ze zwisającą kieszenią, choć naprawienie jej nie zajęłoby nawet dziesięciu minut. Posiłki jadł ręką, ostentacyjnie unikając noża i widelca, którymi tymczasem nauczył się posługiwać. Pod nieobecność mowy rozpętała się wojna hałasów. Sztućce Manecka szczękały o talerz, gdy piłował ziemniaka niczym pień cedru himalajskiego. W odpowiedzi Om siorbał z palców, mlaszcząc i cmokając jak pracowity mop pucujący podłogę. Gdy Maneck nabijał mięso jak gladiator szarżujący na lwa, Om w rewanżu włączał do akcji całą dłoń, z bulgotem zasysając z niej pokarm.

Ich ekstrawaganckie popisy byłyby zabawne, gdyby nie wyczuwalny nastrój przygnębienia przy stole. Dina miała poczucie, że okradziono ją ze szczęśliwej rodzinnej atmosfery, do jakiej zdążyła przywyknąć. Zamiast niej do kolacji zasiadła bez zaproszenia beznadziejna posepność, która rozpanoszyła się w jej domu.

•

Przez dwa tygodnie po Diwali sporadyczne petardy wciąż dziurawiły noc, aż w końcu zamarły na dobre.

– Nareszcie cisza i spokój – powiedział Ishvar, odrzucając waciane pakuły, które pieczołowicie przechowywał przy posłaniu.

Maneck dostał wyniki egzaminów z pierwszego semestru. Nie były najlepsze. Dina stwierdziła, że to dlatego, że zaniedbuje naukę.

– Od teraz chcę cię widzieć nad książkami co najmniej dwie godziny dziennie. Co wieczór po kolacji.

– Nawet moja matka nie jest tak surowa – sarknął.

– Byłaby, gdyby zobaczyła te stopnie.

Zmobilizowanie go, by przestrzegał ustalonego porządku nauki, okazało się łatwiejsze, niż przypuszczała. Jego opór był jedynie symboliczny, bowiem poza powtarzaniem lekcji Maneck miał niewiele zajęć. Od czasu kłótni chłopcy niemal w ogóle nie odzywali się do siebie, choć Ishvar nie ustawał w wysiłkach, by na nowo rozbudzić ich przyjaźń. Wspierał także Dinę, gdy starała się skłonić Manecka do bardziej wyężonej pracy.

– Pomyśl, jacy szczęśliwi będą twoi rodzice – powiedział.

– Mniejsza o rodziców, ucz się dla siebie, głupi chłopaku – rzekła Dina. – A ty też słuchaj, Om. Jak będziesz miał dzieci, to koniecznie pošlij je do szkoły i college’u. Patrz na mnie, jak teraz muszę tyrać, bo nie pozwolono mi się uczyć. Nic nie jest tak ważne jak wykształcenie.

– Święte słowa – przytaknął Ishvar. – Ale dlaczego nie pozwolono pani się uczyć, Dina-bai?

– To bardzo długa historia.

– Proszę opowiedzieć – odezwali się równocześnie Maneck i Om. Dina uśmiechnęła się, zwłaszcza, że dwaj chłopcy wzgardliwymi minami zdystansowali się od zgodności zdań.

– Nigdy nie lubiłam – zaczęła – patrzeć na swoje życie, na dzieciństwo z żalem czy goryczą.

Ishvar skinął głową.

– Ale czasami, wbrew mej woli, do głowy przychodzą mi myśli o przeszłości. I wtedy zaczynam zastanawiać się, dlaczego sprawy potoczyły się tak, jak się potoczyły, a chmury zasnuły świetlaną przyszłość, którą wszyscy mi wróżyli, kiedy chodziłam do szkoły, kiedy nazywałam się jeszcze Dina Shroff...

•

Dźwięki z werandy zwiastowały, że krawcy gotują się do snu. Posłanie rozwinięto i wytrzepano. Niebawem Om zaczął masować stopy stryja. Maneck poznał to po cichych pomrukach zadowolenia.

– O, właśnie tu, mocniej, ta pięta mnie bardzo boli – powiedział Ishvar, a w mieszkaniu pochylony nad podręcznikiem Maneck zazdrościł im łączącej ich

bliskości.

Ziewnął i spojrzął na zegarek – wszyscy w narożnikach neutralnych. Brakowało mu ich towarzystwa, spacerów, posiedzeń po kolacji we frontowym pokoju, gdy ciocia Dina pracowała nad kapą, a oni przyglądali się, gawędzili, planowali pracę na kolejny dzień lub jadłospis na następną kolację: zwyczajne czynności nadawały ich życiu sens i bezpieczny kształt.

W pokoju krawieckim nadal paliło się światło. Dina trzymała straż, dopóki Maneck nie zamknął książek i pilnowała, by nie okroił czasu nauki o parę minut.

Zadzwoił dzwonek do drzwi.

Krawcy wyprostowali się na posłaniu i sięgnęli po koszule. Dina weszła na werandę.

– Kto tam? – zapytała.

– Przepraszam za najście, siostró.

Rozpoznała głos poborcy czynszu. To jakiś absurd, że przychodzi o tej porze, pomyślała.

– Tak późno? O co chodzi?

– Przepraszam, że przeszkadzam, siostró, ale przysłali mnie z biura.

– O tej porze? Nie mogli poczekać do rana?

– Powiedzieli, że to pilne, siostró. Robię, co mi mówią.

Wzruszyła ramionami w stronę krawców i otworzyła drzwi, nie zdejmując dłoni z klamki. W jednej chwili dwaj mężczyźni, którzy stali za Ibrahimem, gwałtownie odepchnęli drzwi, a wraz z nimi Dinę, i wtargnęli do środka, jakby spodziewali się napotkać na potężny opór.

Jeden był niemal całkiem łysy, drugi zaś miał na głowie czarny wiecheć, ale rozwichrzone wąsiska, zimne oczy i przygarbione, zwaliste sylwetki czyniły z nich złowrogich bliźniaków. Wyglądają, jak gdyby swój styl bycia zaczerpnęli od filmowych szwarccharakterów, pomyślał Maneck.

– Przykro mi, siostró – Ibrahim uśmiechnął się swym automatycznym uśmiechem. – Biuro przysłało mnie, żebym przekazał ostateczne wezwanie. Ustnie. Proszę mnie bardzo uważnie posłuchać. Musisz opuścić lokal w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Z powodu pogwałcenia zasad i warunków najmu.

Strach musnął lekko twarz Diny, jak piórko; potem go zdmuchnęła.

– Jeśli zaraz nie zabierze pan stąd swoich zbirów, to w tej chwili wołam policję! Kamienicznikowi coś się nie podoba? Niech idzie do sądu, tam się zobaczymy. Tak mu pan powie!

Łysy mężczyzna odezwał się cichym, kojącym głosem:

– Dlaczego obraża nas pani i mówi na nas „zbiry”? Pracujemy dla kamienicznika. Tak jak ci krawcy pracują dla pani.

Drugi dodał:

– Wyreżamy sądy i prawników. Sprawa w sądzie to strata czasu i pieniędzy. W dzisiejszych czasach my zapewniamy szybsze efekty. – Usta miał pełne betelu i mówił z trudem, a ciemnoczerwone krople skapywały mu z kącików ust.

– Ishvar-bhai, biegnij na róg i wezwij policję – zawołała Dina.

Łysy zatarasował drzwi. Ishvar próbował go wyminąć, lecz odepchnięty zatoczył się na drugi koniec werandy.

– Bardzo proszę! Bez bójk! – powiedział Ibrahim, a biała broda drżała razem ze słowami.

– Jeśli nie wyjdziecie, zacznę wołać o pomoc – oświadczyła Dina.

– Jeśli zaczniesz krzyczeć, to cię uciszymy – odrzekł krzepiącym tonem łysy. W dalszym ciągu trzymał straż przy drzwiach wejściowych, gdy tymczasem mężczyzna żując betel nieśpiesznym krokiem skierował się do tylnego pokoju. Ibrahim, Dina i krawcy bezradnie poszli za nim. Maneck patrzył ze swojego pokoju.

Mężczyzna przystanął bez ruchu i rozglądał się wokół, jak gdyby podziwiał wnętrze. Później eksplodował. Złapał jeden ze stołków i zaczął tłuc nim w maszyny do szycia. Kiedy odpadły drewniane nogi, kontynuował przy użyciu drugiego stołka, aż on także poszedł w drzazgi.

Odrzucił go na bok, kopniakiem przewrócił singery i jął rozrywać ukończone sukienki ułożone na stole, szarpiąc w miejscach, gdzie biegły szwy. Teraz musiał się wysilić – nowy materiał i świeże szwy nie ustępowały łatwo.

– Drzyj się, kurwo, drzyj! – warczał pod adresem odzieży.

Ishvar i Om, którzy dotąd stali jak wryci, przypomnieli sobie, czym jest ruch, i skoczyli na ratunek owocom swojej pracy. Tamten odrzucił ich w tył jak bele płótna.

– Niech pan go powstrzyma! – zawołała Dina do Ibrahima, chwytając go za ramię, ciągnąc i popychając tam, gdzie trwały zmagania. – To pan sprowadził tych bandziorów! Niech pan coś zrobi!

Ibrahim splótł nerwowo dłonie i postanowił pozbierać zdewastowane sukienki. Równie szybko, jak mężczyzna żując betel rozrzucał podarte strzępy, poborca podnosił je, składał i ostrożnie umieszczał na stole.

– Pomóc ci? – zawołał od drzwi drugi z partnerów.

– Nie, wszystko dobrze. – Skończywszy rozszarpywać sukienki, zabrał się do zwojów płótna, ale tkanina w swej obfitości nie dawała się podrzeć.

– Podpał to – poradził mu łysy i zaproponował zapalniczkę.

– Nie! – wystraszył się Ibrahim. – Cały budynek może się spalić. Kamienicznik nie będzie zadowolony!

Mężczyzna z betelem przyznał mu rację. Rozwinał płótno w niechlujną stertę na podłodze i opryskał je sokiem betelowym, który uzbierał mu się w ustach.

– Proszę bardzo – uśmiechnął się szeroko do Ibrahima. – Mój czerwony nektar jest równie ognisty jak płomień.

Przerwał, by zlustrować pokój. W oko wpadła mu para nożyc krawieckich, które ćaća Ashraf podarował krawcom. Przyjrzał się im uważnie.

– Ładniutkie – rzekł z uznaniem i uniósł dłoń, by cisnąć je za okno.

– Nie! – wrzasnął Om.

Zbir zaśmiał się i wyrzucił najcenniejszą rzecz, jaką posiadali krawcy. Przez okno dobiegł brzdęk lądujących na chodniku nożyc, a Om rzucił się na mężczyznę. Cherlawy atak rozbawił tamtego. Potem postanowił go przerwać – wymierzył Omowi dwa policzki i uderzył go pięścią w brzuch.

– Skurwysynu – wycedził Maneck. Porwał parasol w kształcie pagody, który wisiał na szafie, i runął na pogromcę Oma.

– Proszę! Tylko bez bójki! – zaklinał Ibrahim. – Nie trzeba się bić!

Napastnik oberwał w ramię, dostrzegł groźny szpic na końcu stalowej tyczki i zaczął cofać się między obalone maszyny do szycia. Maneck zamarkował sztych, rozkoszując się swą przewagą, gdy przeciwnik odskakiwał. Ponownie wykonał zwód i dwukrotnie rąbnął go w głowę.

Łysy mężczyzna wszedł cicho do pokoju. Stojąc za nimi, wyjął i otworzył nóż sprężynowy, kierując klingę w stronę sufitu. Jak aktor w filmie, pomyślał Maneck i zaczął drżeć.

– Dobra, dziecino – powiedział łysy swoim cichym głosem. – Zabawa skończona.

Inni obrócili się ku niemu. Na widok noża Dina krzyknęła, a Ibrahim wpadł w furję.

– Odłóż to! I wynoście się, obaj! Skończyliście swoją pracę, ja tu dowodzę!

– Zamknij się – powiedział mu łysy. – Znamy naszą robotę.

Jego partner wyrwał Maneckowi parasol i przywalił mu pięścią w twarz. Maneck upadł na ścianę. Krew popłynęła mu z ust, jak bolesna replika soku betelowego ściekającego z warg agresora.

– Przestańcie! Byłem przy tym, jak wam wydawano polecenia! Nie było mowy o biciu i nożach! – Poborca czynszu zatupał, wymachując pięścią.

Bezsilny gniew ubawił łysego.

– Tłuczesz karaluchy? – zaśmiał się, próbując palcem ostrze. Złożył je, a potem wysunął znowu i rozpruł poduszki i materac Diny. Rozrzucił je po pokoju, patrząc jak wylatuje z nich pierze i trociny. Poduszki z kanapy we frontowym pokoju potraktował tak samo.

– Proszę bardzo – rzekł. – Reszta leży w gestii szanownej pani. Chyba nie chce pani, żebyśmy wrócili z drugim wezwaniem?

Drugi mężczyzna przechodząc kopnął Manecka w golenie, po czym ostatni raz

strzyknął betelowym sokiem na łóżko i jego okolice, starając się opluć jak największą część pokoju.

– Idziesz czy nie? – spytał Ibrahima.

– Za chwilę – odpowiedział tamten. – Jeszcze nie skończyłem.

Drzwi wejściowe się zamknęły. Dina posłała poborcy nienawistne spojrzenie i podeszła do Manecka. Ishvar objął go delikatnie, podtrzymując mu głowę i dopytując, czy wszystko w porządku. Ibrahim drobił krok w krok za Diną, powtarzając „Wybacz mi, siostrze” jak tajemną modlitwę.

Maneckowi leciała krew z nosa i miał rozciętą górną wargę. Sprawdził językiem – zęby były całe. Otarli mu krew strzępami materiału rozrzuconymi wokół maszyn do szycia. Próbował coś wymamrotać i podniósł się chwiejnie.

– Nic nie mów – odezwał się Om, który odzyskał oddech. – Bo będzie bardziej krwawić.

– Dzięki Bogu, że nie użyli noża – powiedziała Dina.

Z frontowego pokoju dobiegł ich dźwięk tłuczonego szkła. Ibrahim wybiegł na werandę.

– Przestańcie, durnie! – wrzasnął. – Co to ma znaczyć? To tylko wydatek dla szefa! – Kilka kamieni wybiło pozostałe szyby, potem zapadła cisza.

Pomogli Maneckowi podejść do umywalki, żeby obmyć mu twarz.

– Mogę iść o własnych siłach – mruknął. – Umyli go nieco, a następnie posadzili na kanapie z kawałkiem płótna przyciśniętym do nosa.

– Na tę wargę trzeba przyłożyć lodu – orzekła Dina.

– Kupię w Vishramie – zaofiarował się Om.

– Nie trzeba – bronił się Maneck, ale został przegłosowany. Wystarczy kostka za dziesięć pajs, zdecydowali wspólnie. Ibrahim szybko wyłowił monetę ze swych śerwani i podał ją Omowi.

– Nie dotykaj jego pieniędzy! – rozkazała Dina, biorąc swoją portmonetkę. Poborca czynszu błagał, by je przyjąć, po czym schował monetę z powrotem do kieszeni.

Czekając na powrót Oma, kontemplowali zniszczenia. Unoszące się wokół drobiny z poprutych poduszek z wolna opadały na podłogę. Dina pozbierała pochlastane poszewki; czuła się brudna, jakby dłonie zbirów obmacywały jej jestestwo. Widok podartych sukienek i zaplamionych zwojów płótna ścisnął jej serce. Jak się wytłumaczy w Au Revoir? Co w ogóle może powiedzieć pani Gupcie?

– Jestem skończona – westchnęła. Była o krok od płaczu.

– Może sukienki da się naprawić, Dina-bai – starał się ją pocieszyć Ishvar. – A to czerwone możemy sprać.

Ale jego słowa brzmiały tak rozpaczliwie, nawet dla niego, że zamiast tego

natarł na Ibrahima.

– Wstydu pan nie ma? Dlaczego próbuje pan zniszczyć tę biedną kobietę? Co z pana za potwór?

Ibrahim stał skruszony, gotów słuchać. Z ulgą powitał piętnowanie, pragnął go aż w nadmiarze, by uśmierzyć poczucie winy.

– Brodę ma pan nieskazitelnie białą, ale serce czarne – rzekł Ishvar.

– Podły, zepsuty człowieku! – syknęła Dina. – Zakało sędziwego wieku!

– Siostró, błagam! Nie wiedziałem, że oni...

– Pan to zrobił! Pan ściągnął tych zbirów! – Trzęsła się ze strachu i wściekłości.

Ibrahim nie był w stanie dłużej panować nad sobą. Zakrył twarz dłońmi, wydał osobliwy dźwięk. Nie wiedzieli w pierwszej chwili, że bezgłośnie płacze.

– Trudno i darmo – załamał mu się głos. – Nie mogę dłużej wykonywać tej pracy, ja jej nienawidzę! Och, co się stało z moim życiem. – Wsunął rękę pod serwani i wyciągnął chustkę, by wydmuchać nos. – Wybacz mi, siostró – zaszlochał. – Nie wiedziałem, kiedy ich tu prowadziłem, że wyrządzą takie szkody. Od lat wypełniam rozkazy kamienicznika. Jak bezradne dziecko. Każe mi, bym komuś pogroził, to grożę. Każe mi prosić, proszę. Jeśli drze się, że jakiegoś najemcę trzeba wyeksmitować, ja muszę później drzeć się pod drzwiami najemcy. Jestem jego marionetką. Wszyscy myślą, że ze mnie podlec, ale to nieprawda. Chcę sprawiedliwości, dla siebie, dla ciebie, dla wszystkich. Ale światem rządzą niegodziwcy, my nie mamy żadnych szans, dla nas tylko kłopoty i zmartwienia...

Rozkleił się do reszty. Ishvar ujął go pod ramię i poprowadził do krzesła. Jego uraza topniała.

– Proszę, siadaj pan i nie płacz, bo kiepsko to wygląda.

– A cóż mi pozostało poza płaczem? Nie mogę dać nic prócz tych łez. Wybacz mi siostró. Skrzywdziłem cię. Te zbiry wrócą za czterdzieści osiem godzin. Wyrzucą twoje meble i dobytek na bruk. Biedna siostró, dokąd pójdziesz?

– Nie otworzę im drzwi i tyle.

Jej dziecinne oświadczenie wzruszyło Ibrahima. Zaczął znów popłakiwać.

– To ich nie powstrzyma. Sprowadzą policjantów, by wyłamali zamek.

– Aha, a policja im niby pomoże.

– Ten stan wyjątkowy to koszmar, siostró. Jak ktoś potrzebuje nakazu policyjnego, to kupi go za pieniądze. Sprawiedliwość sprzedaje się temu, kto da więcej.

– Ale co kamienicznikowi szkodzi, jeśli moi krawcy i ja szyjemy sobie tutaj? – jej głos uniósł się, wymykając się spod kontroli. – Kogo krzywdzi moja praca?

– Kamienicznik potrzebuje pretekstu, siostró. Te mieszkania są warte majątek, a Ustawa o najmie pozwala mu wyłącznie naliczać stary, nic nie warty czynsz

i dlatego on... – Ibrahim urwał i otarł oczy. – Ale przecież wiesz o tym, siostrze. Tu nie chodzi tylko o ciebie, on to samo robi z innymi lokatorami, z tymi, którzy są słabi i nie mają pleców.

Om wrócił z kawałkiem lodu zbyt dużym, żeby go wygodnie przyłożyć do rozciętej wargi. Owinął go w płótno i rąbnął nim o podłogę.

– Przyszedłeś mi na pomoc jak bohater – uśmiechnął się szeroko, usiłując rozweselić Manecka, który był bardzo blady. – Skoczyłeś jak Amitabh Bachchan.

Rozwinął pokruszony lód i zwrócił się do pozostałych.

– Widzieliście? Przez minutę ten skurwiol naprawdę bał się parasola Manecka.

– Tylko bez wyrazów – zachnęła się Dina.

Maneck uśmiechnął się, napinając przy tym rozciętą wargę. Powściągnął uśmiech i wziął sobie kawałek lodu.

– O, to, to, to. Tak się teraz będziesz nazywać – ciągnął Om. – Parasol Bachchan.

– Na co pan czeka? – Dina ze złością obróciła się do poborcy czynszu. – Idź pan i powiedz swojemu kamienicznikowi, że się nie wyprowadzam. Nie oddam tego mieszkania.

– Nie sądzę, by to coś pomogło, siostrze – rzekł Ibrahim z ogromnym smutkiem – ale życzę ci szczęścia. – I wyszedł.

Maneck powiedział, że nie chce, by jego obecność przysparzała kłopotów cioci Dinie.

– O mnie niech się ciocia nie martwi – wy dobył z siebie, jak najmniej poruszając wargą. – Ja mogę zawsze wrócić do domu.

– Nie mów tak – odpowiedziała. – Po tylu miesiącach, w pół drogi do dyplomu, przecież nie możesz sprawić zawodu rodzicom.

– Nie, nie, Maneck ma rację – rzekł Ishvar. – To niesprawiedliwe, żeby pani miała cierpieć z naszego powodu. Wrócimy do stróża nocnego.

– Przestańcie wygadywać bzdury jeden z drugim i dajcie mi się przez chwilę zastanowić – przerwała szorstko Dina. Potem dodała, że pomijają sedno sprawy.

– Słyszeliście, co powiedział Ibrahim: kamienicznik szuka jedynie pretekstu. To, że sobie pójdziecie, nie ocali mojego mieszkania.

Mogła liczyć jedynie – tak twierdziła – że jej brat zażegna spór – pieniędzmi, gładkimi słówkami czy czym tam jeszcze, co mu tak świetnie służy przy robieniu interesów.

– Będę musiała jeszcze raz przełknąć dumę i poprosić go o pomoc, to wszystko.

[172] Jaskinie w skale – chodzi o poświęcone Śiwie jaskinie na wyspie Elefanta; Ogród Victorii – założony w 1861 roku ogród zoologiczny i park w centrum

Bombaju, dziś nazywa się *Dźidżamata Udjan*; Wiszące Ogrody – jedna z atrakcji Bombaju, tarasowe ogrody na Wzgórzu Malabarskim.

[173] *Ćampi* – masaż.

[174] *Sarangi* – strunowy instrument muzyczny.

[175] *Ćakardi* – fajerwerk w kształcie pierścienia, który po odpaleniu wiruje, sypiąc iskrami.

[176] *Gundagiri* – chuliganienie, chuligaństwo.

12 ZNAK PRZEZNACZENIA

Machinalnie wykonywali swe poranne czynności: mycie, zmywanie, parzenie herbaty. Oma bolał brzuch w miejscu, gdzie oberwał pięścią, ale nie powiedział o tym stryjowi. Po cichu weszli do pokoju Manecka, by sprawdzić, jak się miewa. Spał jeszcze. Na poduszce widniały plamy; wargę i nos ponownie zaczęły krwawić w ciągu nocy. Wezwali Dinę, żeby im się przyjrzała.

Tymczasem Dina przygotowywała się w myślach na spotkanie z Nusswanem, wyobrażając sobie jego zadowoloną z siebie minę i wyraz twarzy obwieszczający przekonanie o własnej nieodzowności. Pochyliła się nad Maneckiem. Tak niewinnie sobie śpi, pomyślała, i miała ochotę pogłaskać go po czole. W miejscu, gdzie zakrzepła krew, warga była czarna. Kapanie z nosa także ustało. Po cichu wycofali się z pokoju.

– Wszystko z nim w porządku – szepnęła Dina. – Rana przyschła, niech sobie śpi.

Kiedy szykowała się, by wyjść do biura swego brata, u drzwi zjawił się mistrz żebraków z neseserem przykutym łańcuchem do lewego nadgarstka. Jak co tydzień ściągał należne mu pieniądze. Ishvar miał dla niego przygotowaną kwotę odłożoną z zeszlotygodniowej wypłaty i bezpiecznie schowaną w szafce Diny.

Dina nalegała, by Ishvar grał w otwarte karty i powiedział, że trudno będzie im spłacić następną ratę.

– Lepiej, żeby usłyszał to teraz, niż przyszedł tu po was z pałką.

Mistrz wysłuchał go sceptycznie. W świetle jego własnych doświadczeń opis nocnej napaści zbirów jawił się zbyt teatralnie, by mógł być prawdziwy. Podejrzewał, że jego klienci upichcili tę historyjkę, żeby później nie wywiązać się z umowy.

Wpuścili go do środka, pokazali wybite szyby, obtłuczone maszyny do szycia, podarte sukienki, poplamione tkaniny i mistrz dał się przekonać.

– Niedobrze – powiedział. – Bardzo niedobrze. Kto to widział, tak się zachowywać, co za amatorszczyzna.

– Jestem zrujnowana – odezwała się Dina. – To nie wina krawców, że nie będą mogli panu zapłacić w przyszłym tygodniu.

– Wierz mi, zapłacą – odrzekł tamten pośepnie.

– Ale jak? – błagalnie spytał Ishvar. – Jak, skoro nas wyrzucają i nie mamy pracy? Niech pan się nad nami zlituje!

Nie zwracając na niego uwagi, mistrz obchodził pokój i dokonywał oględzin, stukając kłykciami o stół i zapisując coś pośpiesznie w notesie.

– Powiedz mi, ile będzie kosztować naprawa tych wszystkich szkód.

– A na co to się zda? – wykrzyknęła Dina. – Jeśli się nie wyniesiemy, te zbiry wrócą tutaj jutro! Chce pan tracić czas na rachunki? Mam pilniejsze sprawy, muszę zatroszczyć się o dach nad głową.

Mistrz cechu żebraków uniósł znad notesu lekko zaskoczone spojrzenie.

– Już masz dach nad głową. Tutaj. To mieszkanie należy do ciebie, tak?

W odpowiedzi na głupie pytanie Dina skinęła niecierpliwie.

– Te zbiry popełniły duży błąd – ciągnął. – A ja pomogę im go naprawić.

– A kiedy wrócą?

– Nie wrócą. Twój krawcy płacili mi regularnie, więc nie musicie się obawiać – jesteście pod moją opieką. Ja zadbam o wszystko. Ale jak mam wam zwrócić pieniądze, skoro nie wiem, ile wyniosły szkody? Chcesz na nowo uruchomić swoją firmę krawiecką czy nie?

Tym razem to na twarzy Diny pojawił się wyraz sceptycyzmu.

– A czym pan jest, za przeproszeniem, firmą ubezpieczeniową?

W odpowiedzi mistrz uśmiechnął się skromnie.

Nie ma nic do stracenia, uznała Dina, i zaczęła mnożyć długość zniszczonej tkaniny z Au Revoir przez cenę za jard. Łączna wartość strat wyniosła dziewięćset pięćdziesiąt rupii plus podatek. Ishvar szacował, że naprawa maszyn do szycia będzie kosztować około sześciuset rupii. Paski klinowe były zerwane, igły połamane, koła zamachowe i pedały należało nastawić lub wymienić; konieczny był też generalny przegląd.

Mistrz zapisał wszystko, dodając koszt rozplatanego materaca, jaśków, drewnianych stołków, sofy, poduszek i okien.

– Coś jeszcze?

– Parasol – powiedział Maneck, którego zbudziły ich głosy. – Połamali część drutów.

Mistrz dołączył parasol do listy, a następnie zanotował adres biura kamienicznika i rysopisy obu mężczyzn.

– W porządku – rzekł. – To wszystko, czego mi trzeba. Jeśli kamienicznik nie wie, że jesteście moimi klientami, to wkrótce się dowie. Pokryje szkody, tylko wcześniej złożę mu krótką wizytę. A teraz nic się nie martwcie, tylko czekajcie na mnie. Wrócę wieczorem.

– Czy mam złożyć skargę na policji? – spytała Dina.

Posłał jej znużone spojrzenie.

– Jeśli chcesz. Ale równie dobrze możesz się poskarżyć tej wronie na parapecie.

– Jakby na potwierdzenie tych słów ptak zaskrzeczał i odleciał.

•

Zapewnienia mistrza nie uśmierzyły w pełni obaw Diny. Wyruszyła do biura Nusswana, by powiadomić go o sytuacji. Lepiej to zrobić na wypadek, gdyby jego pomoc była potrzebna później, uznała. Inaczej powie, że nie czas kopać studnię, kiedy płonie dom.

Goniec ze smutkiem poinformował ją, że sahib Nusswan przebywa na spotkaniu poza miastem – zawsze było mu żal siostry sahiba.

– Wróci dopiero jutro wieczorem.

Dina wyszła z biura. Korciło ją, by zajrzeć do salonu urody Wenus i porozmawiać z Zenobią. Tylko po co? Puste słowa pocieszenia nie zarządzą niczemu, a ponadto towarzyszyłyby im rozjuszające „A ostrzegałam cię, tylko nie chciałaś słuchać” Zenobii.

Wróciła do mieszkania, modląc się, by mistrz wywiązał się z obietnicy. Razem z nią przez drzwi przedostał się odpychający zapach. Dina zaczęła głowić się nad jego pochodzeniem.

– Czujesz? – spytała Ishvara.

Obeszli kolejno wszystkie pokoje, zajrzeli do kuchni i ubikacji. Odór towarzyszył im wszędzie, ale nie zdradził swego źródła.

– Może to z zewnątrz, z rynsztoka – powiedział Om. Jednak kiedy wystawili głowy za okno, zdawało się, iż woń nie była tak silna.

– Pewnie zostało po tych śmierdzących zbójach – orzekła Dina, a Ishvar przyznał jej rację. Później Om, który klęczał na podłodze, zbierając ostatnie okruchy potłuczonego szkła, odkrył, że zapach niesie się od jej buta. Wdepnęła w coś na chodniku. Dina wyszła przed dom, zeszkrobała brązowe odchody z podeszwy i umyła ją.

Maneck większość dnia spędził w łóżku z grzmiącym bólem głowy. Dina i krawcy usiłowali przywrócić jaki taki porządek w zdemolowanym mieszkaniu. Zamietli bawełniane wymoszczenie, upchnęli je na powrót i zaszyli rozcięcia, ale poduszki dalej były sflaczałe, a uklepywanie nie przywróciło im sprężystości. Później wzięli się do wszechobecnych plam po betelu.

– Bóg jeden wie, na co tak się męczymy, skoro jutro wieczorem i tak nas stąd wywałą, jeśli się okaże, że wasz mistrz jest tylko mocny w gębie.

– Myślę, że będzie dobrze – uspokajał Ishvar. – Shankar zawsze mówi, że mistrz ma wielkie wpływy.

Gdy pod koniec dnia powtórzył to po raz czwarty, Dinę ogarnęła irytacja.

– To teraz biedny, beznogi żebrak jest twoim źródłem mądrości i porad?

– Nie – bronił się Ishvar zaskoczony. – Ale on zna mistrza nie od dziś. I tego, no... pomógł nam w obozie pracy.

– To dlaczego go tu jeszcze nie ma? Już prawie noc.

– Mistrz nas zdradził – powiedział Om. Stryj nie zaprotestował.

Nadzieje na odsiecz zbladły w zapadającym zmierzchu. Noc płynęła, a oni milcząc siedzieli we czwórce, próbując wypatrzeć w ciemnościach twarz następnego dnia. A więc to tak, myślała Dina. Oto koniec niezależności, o którą walczyła od tak dawna. Nie ma co ludzić się, że Nusswan coś zaradzi. Nawet jego prawnik niewiele zdziała, jeśli zbiry kamienicznika wystawią jej meble na ulicę. Jak szło to powiedzonko prawników? Że stan posiadania to dziewięć dziesiątych prawa. Zresztą tak czy owak idea niezależności była ułudą. Każdy od kogoś zależy. Gdyby nawet nie powierzyła się opiece Nusswana, musiałaby w dalszym ciągu polegać na krawcach i Au Revoir Exports – na jedno wychodzi... A Nusswan może załatwić ciężarówkę, żeby zabrała jej rzeczy i przewiozła do domu ich rodziców – który on lubił nazywać swoim domem. Zawsze mówi, że opieka nad siostrą to jego obowiązek. No to teraz będzie mógł się opiekować, ile dusza zapragnie.

Za kuchennym oknem rozległ się koci jazgot. Poderwali się zaskoczeni. Inne koty podjęły zawrodo.

– Ciekawe, czego się wystraszyły – odezwał się Ishvar nieswoim głosem.

– Lubią się czasem powydzierać i tyle – powiedział Maneck, ale poszedł wyrzucić, a inni podążyli za nim. W zaułku nie widać było nic niezwykłego.

– Myślicie, że te zbiry wrócą dzisiaj? – zapytał Om.

– Ibrahim dał nam czterdziestoośmiogodzinne wypowiedzenie – odpowiedziała Dina. – Więc prędzej jutro wieczorem. Słuchajcie, poproszę mojego brata o pomoc, ale szanse mamy marne. Czasu zostało mało. Kto wie, co się zdarzy? Nie chcę tutaj więcej bójk. Jutro rano musicie zabrać swoje rzeczy i iść stąd. Później, jeśli wszystko się dobrze ułoży, możecie wrócić.

– Myślałem o tym samym – rzekł Ishvar. – Pójdziemy do stróża nocnego. A Maneck może popróbować w akademiku.

– Ale musimy pozostać w kontakcie – powiedział Om. – Może będziemy mogli szyć w domu pani brata. A inne firmy dadzą pani zlecenia, nawet jeśli ta odwoła.

– Tak, coś wykombinujemy – odparła Dina, nie mając serca mówić im, że Nusswan się na to nie zgodzi. – Ale nie możecie zdawać się tylko na mnie, musicie też szukać pracy gdzie indziej.

Kiedy tak z uporem próbowali ratować skrawki swej egzystencji, Maneck trwał w milczeniu. Cała ich nitkowo-igłowa maestria nie wystarczy, by to pozszywać z powrotem, myślał. Czy życie każdego traktuje z takim okrucieństwem, tak szarpie to co dobre na strzępy, a zło pozwala się plenić i rozrastać jak pleśń na wyjętej z lodówki żywności? Korektor Vasantrao Valmik rzekłby, że wszystko to stanowi część egzystencji, że tajemnicą przetrwania jest odnalezienie równowagi

między nadzieją a rozpaczą, godzenie się na zmianę. Ale godzić się na nieszczęście i zniszczenie? Nie. Gdyby istniał dostatecznie pojemny zamrażalnik, przechowałby w nim szczęśliwe chwile z tego mieszkania, nigdy nie pozwoliłby im się zepsuć. I Avinasha też, i szachy, które skwaśniały tak szybko, je też by ocalił, i śnieżne góry, i sklep, zanim zagościła w nim gorycz, zanim tatko zmienił się nie do poznania, a mama gorliwie oddała mu się w niewolę.

Ale ten świat nie ma funkcji zamrażania. I wszystko kończy się źle. Co ma teraz począć? Myśl o akademiku bardziej niż zwykle przyprowadzała go o mdłości. A jeśli wróci do domu, zaczną się kłótnie z tatą. Żadnego wyjścia, dla niego był to mat.

– Słuchajcie, koty przestały się drzeć – powiedział Ishvar. – Ale cicho. – Wyteżyli słuch. Cisza była równie niepokojąca, jak wcześniej wrzask.

•

Rankiem krawcy umyli się szybko, zanim woda w kranie przestała lecieć. Nie sposób było przewidzieć, kiedy znowu skorzystają z luksusu łazienki. Na najbliższą przyszłość przewidywali tylko hydranty w zaułkach.

Maneck nie śpieszył się. Jego warga miała się lepiej, opuchlizna zmaląła, a ból głowy minął. Przewalał się apatycznie albo snuł od pokoju do pokoju, jakby czegoś szukał.

– Na co czekasz, Manecku? – spytała Dina. – Robi się późno. Zrób coś, spakuj swoje pudła. Albo idź najpierw do akademika, zobacz, czy mają dla ciebie miejsce.

Maneck wrócił do swojego pokoju, wyciągnął walizkę spod łóżka, otworzył ją. Kiedy kilka minut później Dina zajrzała do niego, miał przed sobą zastawioną szachownicę i wpatrywał się w bierki.

– Zwariowałeś?! – wrzasnęła na niego. – Czas goni, masz jeszcze mnóstwo do zrobienia!

– Zrobię to, kiedy mi się spodoba. Jestem niezależnym człowiekiem, nawet jeżeli ciocia się poddaje. – Umyślnie wybrał słowo, którego używała, mówiąc o sobie.

Dina poczuła ukłucie, lecz zignorowała je.

– Łatwo ci się chwalić. Zobaczymy, jaki będziesz niezależny, jak te zbiry tu wrócą i rozwalą ci głowę. Wygląda na to, że jedno lanie ci nie starczyło.

– Dużo to ciocię obchodzi. Ciocia się pakuje i zbiera do odejścia i nawet odrobiny żalu nie okazuje.

– Żal to luksus, na który mnie nie stać. A ty czemu robisz taką smutną minę? I tak byś stąd odszedł po zrobieniu dyplomu. Jak nie teraz, to za sześć miesięcy. – Ze złością wyszła.

– Tu, w środku, miejsca jest co niemiara. Szczęście, dobroć, zgryzota, gniew,

przyjaźń – wszystko się tu mieści.

– Wiem, wiem – odpowiedział Maneck i zaczął składać bierki. – Idziecie teraz do stróża nocnego?

– Tak, pogadamy z nim i wrócimy. Pomożemy pani Dinie spakować jej rzeczy.

– Nie zapomnij zostawić nam adres akademika, zanim wyjdiesz – poprosił Om. – Przyjdziemy cię odwiedzić.

Maneck opróżnił szafę i ułożył ubrania w walizce. Dina zajrzała i pochwalila go za szybkość.

– Wyświadczyłbyś mi przysługę, Manecku?

Kiwnął głową.

– Chodzi o tabliczkę na drzwiach. Mógłbyś wziąć śrubokręt z półki w kuchni i ją odkręcić? Chcę ją zabrać ze sobą.

Kiwnął głową ponownie.

•

Ishvar i Om przynieśli złe nowiny. Stróża zmieniono, a nowy nie chciał mieć nic wspólnego z dawnym układem. Sądził wręcz, że próbują wykorzystać jego brak doświadczenia.

– To już nie wiem, co mamy teraz robić – westchnął Ishvar znużonym głosem. – Będziemy musieli chodzić ulica po ulicy.

– A ja będę musiał nieść kuferek – dorzucił Om.

– Nie, wykluczone – odparła Dina. – Znowu sobie uszkodzisz ramię. – Zaproponowała, że zabierze kuferek ze sobą do domu Nusswana i uda, że to część jej dobytku. Kiedy tylko będą potrzebować ubrań, będą mogli podejść do tylnego wejścia. To duży dom, wyjaśniła, Nusswan nic nie zauważy, nigdy nie przychodzi do kuchni, chyba że wpadnie w jeden ze swoich inspekcyjno-oszczędnościowych ataków.

– Słuchajcie, wiem, gdzie możecie spać – powiedział Maneck.

– Gdzie?

– U mnie w pokoju, w akademiku. Będziecie zakradać się nocą i wymykać wcześniej każdego ranka. Wasz kuferek też można tam zostawić.

Kiedy zastanawiali się nad szansami tej koncepcji, rozległ się dzwonek do drzwi. Był to mistrz.

– Dzięki Bogu, że pan przyszedł! – Ishvar i Dina równocześnie rzucili się, by powitać go niczym zbawcę.

Omowi przypomniało się, jak Shankar, popiskując na swej platformie, łąsił się do mistrza, gdy ten zjawił się na budowie systemu irygacyjnego. Wzdrygnął się z zażenowaniem. Z jaką dumą wówczas Ishvar i on oświadczyli mistrzowi: „Jesteśmy krawcami, nie żebrakami”.

– Co się stało? – spytała Dina. – Obiecał pan, że przyjdzie pan wczoraj wieczorem.

– Przepraszam, miałem stan wyjątkowy – odpowiedział, napawając się okazywanym mu zainteresowaniem. Nawykł do boskich hołdów ze strony żebraków, ale uszanowanie zwykłych ludzi było dalece słodsze.

– Ten nieszczęsny stan wyjątkowy, tylko z niego kłopoty dla wszystkich.

– Nie o ten stan wyjątkowy mi chodzi – sprostował mistrz. – Mam na myśli problem w interesach. Widzicie, po tym, jak wczoraj rano stąd wyszedłem, dostałem wiadomość, że dwoje moich żebraków, tandem mąż-żona, zostało zamordowanych. Musiałem tam pędzić.

– Zamordowanych?! – wykrzyknęła Dina. – Jakim potworem trzeba być, żeby zabijać nieszczęsnych żebraków?

– Och, to się zdarza. Mordują ich dla paru groszy, które wyżebrali. Ale ta sprawa jest bardzo osobliwa – pieniędzy nie tknięto. To musi być jakiś szalenciec. Zniknęły tylko ich włosy.

Ishvar i Om drgnęli i głośno przełknęli ślinę.

– Włosy? – spytała Dina. – Chce pan powiedzieć włosy z głowy?

– Tak – odrzekł mistrz. – Zgolone przy skórze. Zarówno mąż, jak i żona mieli piękne długie włosy. Było to nadzwyczajne. Że takie piękne, znaczy się. Większości żebraków nie stać na fryzjera, więc noszą długie włosy, ale zazwyczaj brudne i skołtunione. Ta dwójka była inna. Całymi godzinami czyścili je sobie nawzajem, iskali wszy, czesali i myli za każdym razem, gdy padał deszcz lub gdy na ich chodniku wylała rura.

– Jakie to słodkie – powiedziała Dina, z empatią przysłuchując się czulemu opisowi kochającej się pary.

– Zdziwiłabyś się, gdybyś wiedziała, jak bardzo żebracy przypominają zwykłych ludzi. Skutkiem tej całej pielęgnacji były, rzecz jasna, te śliczne włosy. Tyle że biznesowi to nie służyło. Często im mówiłem, by je potargali, żeby im nadać żałosny wygląd. Ale oni odpowiadali, że nie mają na tym świecie nic, z czego mogliby być dumni, poza włosami, i pytali, czy nawet to chcą im odebrać.

Urwał, raz jeszcze rozważając pytanie.

– Cóż miałem począć? Mam miękkie serce, ustąpiłem. A teraz te piękne sploty kosztowały ich życie. A mnie pozbawiły dwojga dobrych żebraków.

Obrócił się do krawców.

– O co chodzi? Wyglądacie na bardzo zdenerwowanych.

– Nie... zdenerwowanych to nie – wyjąkał Ishvar. – Zdumieni jesteśmy i tyle.

– Właśnie – rzekł mistrz. – Policja tak samo, też była zdumiona. Otrzymali wcześniej kilka zgłoszeń o tajemniczych zniknięciach długich warkoczy i końskich ogonów. Kobiety wychodziły na bazar, robiły zakupy, wracały do domu, patrzyły

w lustro i orientowały się, że nie mają włosów. Ale czegoś takiego jeszcze nie było, nikt dotąd nie zginął, ani nie został ranny. Więc śledczy bardzo interesują się sprawą moich żebraków. Ci ludzie kochają urozmaicenia. Mówią na to „sprawa Włosowego Wampira”.

Otworzył neseser przymocowany do nadgarstka i wydobyl zeń gruby plik rupii. Łańcuch dzwonił, kiedy przeliczał banknoty.

– A wracając do interesów: tu są pieniądze na pokrycie szkód. Możecie znowu pracować.

Ishvar scedował na Dinę obowiązek przyjęcia gotówki; zbyt mocno trzęsły mu się ręce.

Mimo dwóch tysięcy rupii, które ścisnęła w dłoniach, Dina ciągle nie mogła uwierzyć, że mistrz pokonał kamienicznika.

– Czyli, możemy tu zostać? To naprawdę bezpieczne?

– Oczywiście. Mówiłem wam, że nie będzie żadnych kłopotów. Ci panowie popełnili błąd.

Krawcy szybko pokiwali głowami, by wesprzeć Dinę własnym przekonaniem.

– Jest tylko jeden problem – powiedział Ishvar. – Co będzie, jeśli kamienicznik przyśle nowych zbirów?

– Tak długo, jak mi płacicie, kamienicznik nie znajdzie ani jednego człowieka, który by tu przyszedł. Zająłem się tym.

– A kiedy spłacimy resztę rat?

– To zależy od was. Zawsze możemy odnowić naszą umowę. Dam wam dobre warunki, jesteście przyjaciółmi Shankara. A, właśnie, Shankar przesyła pozdrowienia. Mówi, że was ostatnio nie widuje.

– Przez to całe zamieszanie z kamienicznikiem nie byliśmy od kilku dni w Vishramie – powiedział Ishvar. – Jutro się z nim spotkamy. A zastanawiałem się jeszcze, jak się mają małpiarz i te jego dwa berbecie.

– Dobrze, dobrze. Znaczą się dzieci. Szybko się uczą. Małpiarza więcej nie widziałem. Nie jeździłem później do obozu pracy. Ale oberwał paskudnie, pewnie już nie żyje.

– W takim razie przepowiednia staruchy prawie się sprawdziła – powiedział Om.

– Jaka przepowiednia? – spytał mistrz.

Krawcy opowiedzieli o tamtej nocy w kolonii baraków, kiedy to małpiarz odkrył swoje małpki zagryzione przez psa i gdy stara kobieta wyrzekła owe enigmatyczne słowa.

– Dokładnie pamiętam – wspominał Om. – „Utrata małp nie jest najgorszą stratą, jaka na niego spadnie. Mord na psie nie jest najgorszym mordem, jakiego dokona”. A potem małpiarz zabił Tikkę, żeby pomścić Lajlę i Madżnuna.

– Straszna historia – powiedziała Dina.

– Czysty zbieg okoliczności – ocenił mistrz. – Nie wierzę w przepowiednie ani zabobony.

Ishvar kiwnął głową.

– A dzieci? Są szczęśliwe bez małpiarza?

Mistrz machnął ręką wolną od łańcucha gestem oznaczającym „a kto to wie”.

– Będą się musiały przyzwyczaić. Życie nie gwarantuje szczęścia. – Uniósł tę samą rękę na pożegnanie i ruszył w stronę drzwi, po czym przystanął.

– Jest coś, co możecie dla mnie zrobić. Potrzebuję dwóch nowych żebraków. Dacie mi znać, jeśli zobaczycie kogoś, kto się nadaje?

– Pewnie – powiedział Ishvar. – Będziemy mieć oczy otwarte.

– Tyle że kandydaci muszą posiadać pewne wyjątkowe właściwości. Pokażę wam. – Wydobył z neseseru duży szkicownik zawierający notatki i schematy poświęcone dramaturgii żebrania. Oprawa była solidnie sfatygowana, rogi kartek pozaginane.

Otworzył zeszyt na starym, ołówkowym rysunku zatytułowanym Duch Współpracy.

– Coś takiego próbuję stworzyć już od dawna.

Stłoczyli się wokół niego, żeby popatrzeć na szkic. Przedstawiał on dwie postaci, z których jedna siedziała drugiej na barana.

– W tym celu potrzebuję kulawego żebraka i ślepego żebraka. Ślepy będzie nieść na ramionach kalekę. Żywa, namacalna ilustracja starożytnej opowieści o przyjaźni i współpracy. Jestem pewien, że przyniesie fortunę w miedziakach. Ludzie będą dawali jałmużnę nie tylko z litości lub pobożności, ale też z podziwu.

Szkopuł tkwił w znalezieniu ślepego żebraka, który będzie dość silny i kulawego żebraka, który będzie dość lekki.

– A Shankar by się nie nadał? – spytał Maneck.

– Bez nóg i z ćwiartką uda w życiu nie utrzymałby się u drugiej osoby na ramionach – zsuwał by się z karku. Mnie jest potrzebny kaleka nie z nogami obciętymi, tylko okaleczonymi i bezwładnymi, żeby się ładnie bujały koło nosiciela. Tak czy owak, Shankar ma znakomite wyniki na swojej platformie na kółkach. Nie chcemy tego zmarnować.

Obiecali, że będą wypatrywali osób spełniających kryteria mistrza, na co on odpowiedział, że będzie wdzięczny za wszelkie sugestie.

– A tak przy okazji... Pamiętacie tych dwóch, co tu przyszli z poborcą czynszu?

– Tak?

– Przesyłają przeprosiny, że nie mogli posprzątać bałaganu, który po sobie zostawili.

– Naprawdę?

– Tak. Mieli nieszczęśliwy wypadek – wszystkie palce połamali. Kto wie, jeszcze parę wypadków i może nawet nadadzą się do mojej drużyny żebraków.

Był zadowolony ze swojego polotu, oni odpowiedzieli słabymi uśmiechami.

– A teraz naprawdę wybaczcie – rzekł. – Muszę iść i zająć się moją dwójką zamordowanych żebraków.

– Skremuje ich pan dzisiaj?

– Nie, to zbyt kosztowne. Kiedy kostnica wyda trupy, pošlę je mojemu agentowi. – Widząc poruszenie na ich twarzach, mistrz poczuł się w obowiązku udzielić wyjaśnień. – Przy takim wzroście cen i inflacji nie mam wyboru. Zresztą tak jest znacznie lepiej, niż zostawiać ciała na ulicy dla służb miejskich, jak za dawnych czasów.

– Naturalnie – przytaknęła Dina, jakby na co dzień parała się kupnem i sprzedają zwłok. – A co pański agent robi z tymi... ciałami?

– Część sprzedaje szkołom, dla studentów, którzy uczą się na lekarzy. Wyobraźcie sobie tylko: moi żebracy w służbie nauki. – Jego twarz przybrała natchniony wyraz, wzrok utkwiał za oknem, w bezkresie widnokregu. – Część ciał kupują też osoby uprawiające czarną magię. Wiele kości się eksportuje. Na nawozy, jak mi się wydaje. Mogę dowiedzieć się więcej, jeśli was to ciekawi.

Dina pokręciła głową na znak, że nie jest zainteresowana.

Mistrz wyszedł, pozostawiając po sobie w powietrzu tchnienie zimna.

– Musimy uważać z tym człowiekiem – orzekła. – Co za dziwaczny jegomość. I ten neseser przykuty do nadgarstka, jakby był niewolnikiem pieniędzy. Wygląda, jakby był gotów prehandlować nasze kości, zanim skończymy z nich korzystać.

– To po prostu do cna nowoczesny biznesmen, który zawsze wypatruje zysku – stwierdził Maneck. – Wielu takich widziałem w branży napojowej. Przychodzili spotykać się z tatą i naciskali na niego, żeby sprzedał Kohlah Cole.

Ishvar ze smutkiem potrząsnął głową.

– Dlaczego ludzie interesu są tak pozbawieni serca? Mają te wszystkie pieniądze i dalej wyglądają na nieszczęśliwych.

– To choroba, na którą nie ma lekarstwa – westchnęła Dina. – Jak rak. I nawet nie wiedzą, że ją mają.

– Tak czy siak – odezwał się Maneck, odzyskując dobry humor – tylko Om powinien się obawiać mistrza żebraków. Naprawdę można go pomylić z chodzącym szkieletem.

– Ty lepiej też uważaj – odciął się Om. – Twoje zdrowe, górskie kości, podlewane wodą z czystego himalajskiego śniegu są więcej warte za kilo niż moje.

– Starczy już tych obrzydliwości – powiedziała Dina.

Lecz ulga na myśl, że domownicy pozostaną razem, sprawiła, iż Maneck nie

potrafił się powstrzymać od wygadywania głupot.

– Niech ciocia tylko pomyśli. Teraz jak myjemy zęby proszkiem to aż lśnią, na pewno sporo kosztują. Moglibyśmy sprzedawać na sztuki albo po tuzinie. Albo może w formie naszyjnika.

– Starczy tego, powiedziałam. Żarty żartami, a na tego człowieka trzeba uważać, pamiętajcie.

– Tak długo, jak dostaje pieniądze w terminie, nie ma czego się bać – uspokajał Ishvar.

– Mam nadzieję. Od teraz będę płacić połowę każdej raty, w końcu mnie też ochrania.

– Nigdy – oburzył się Ishvar. – Nie dlatego o tym wspomniałem. Pani nie bierze od nas czynszu, więc to jest nasz wkład. – W tej sprawie był nieugięty.

Poszli do pokoju krawieckiego, by obliczyć, ile pieniędzy należy zwrócić Au Revoir Exports. Ishvar szepnął Dinie, że dobrze znów widzieć, jak Maneck i Om śmieją się i żartują.

– Tak. Ostatnie dwa dni były ponure dla nas wszystkich – przytaknęła, a następnie poprosiła chłopców, by z powrotem przykręcili tabliczkę na drzwiach wejściowych.

•

– Już nigdy nie zobaczymy Rajarama, to na pewno – powiedział Om wieczorem, kiedy rozkładali posłanie. – Jeśli to on jest mordercą.

– Oczywiście, że jest – odrzekł jego stryj. Z okna werandy wpatrywał się w lampę uliczną, rozmyślając o ich dawnym przyjacielu. – Nie do wiary. Człowiek się wydawał taki miły, a tu masz, morduje dwoje żebraków. Powinniśmy byli być ostrożniejsi tamtego pierwszego ranka, na osiedlu baraków – już przez tę jego paskudną toaletową gadkę na torach. A poza tym kto przy zdrowych zmysłach zarabia na życie, zbierając włosy?

– Nie w tym rzecz. Ludzie zbierają najróżniejsze rzeczy. Szmaty, papier, plastik, szkło. Nawet kości.

– No i co? Nie cieszysz się teraz, że nie pozwoliłem ci zapuścić włosów? Spałbyś sobie w sąsiedniej chacie, a ten morderca poderznąłby ci dla nich gardło.

Om wzruszył ramionami.

– Martwię się o panią Dinę. A jeżeli policja znajdzie zestaw fryzjerski, który dała Rajaramowi? Będą na nim jej odciski palców i nasze też. Aresztują nas i powieszają.

– Za dużo się naoglądałeś tych wariackich filmów razem z Maneckiem. Takie rzeczy zdarzają się tylko w kinie. Bardziej martwię się, że znowu przyjdzie do nas po pomoc. I co wtedy zrobić? Wołać policję?

Ishvar długo leżał bezsennie, niezdolny zapomnieć o Rajaramie. W osiedlu baraków mieszkali tuż obok tego mordercy, jedli jego jedzenie i dzielili się z nim swoim. Na myśl o tym przeszedł go dreszcz.

Om wiedział, że stryjowi ciężko zasnąć. Uniósł się na łokciu i zachichotał w ciemności:

– Pomyśl o kucharzu i kelnerze z Vishrama, co lubią słuchać naszych opowieści. Ta by im się dopiero spodobała.

– Nawet tak nie żartuj – przestrzegł go Ishvar. – Jak raz wpadniemy w kłopoty z policją, to nigdy się nie wyplączemy.

•

Chodnikiem jak co ranka płynął tłum służących, dzieci idących do szkoły, pracowników biurowych i domokrażców. Krawcy czekali na chwilę przestoju, by Shankar mógł podwiosłować do zaułka na tyłach Vishrama. On tymczasem machał do nich, przygotowując Ishvara o drzączkę – im mniej zwracali na siebie uwagę, tym lepiej, zważywszy na potworny ładunek platformy Shankara.

Po kilku minutach Shankar stracił cierpliwość i puścił się przez chodnik, manewrując swym pojazdem poprzez gąszcz pieszej cizby.

– O babu, ostrożnie! – wołał, wymijając i sam będąc wymijanym w nieprzebranym gąszczu stóp.

Platforma zderzyła się z czyjaś golenią. Z góry popłynął deszcz obelg, Shankar bojaźliwie uniósł oczy. Mężczyzna groził, że strąci mu kopniakiem głowę z karku.

– Sala bhikhari^[177], wydaje mu się, że cały chodnik do niego należy! Stójże w jednym miejscu!

Shankar kornie poprosił o przebaczenie i śmignął dalej. Pośpiech sprawił, że paczka spadła z platformy. Krawcy patrzyli z niepokojem, nie śmiąc podejść z pomocą. Shankar zaparł się, wprowadził kółka w ruch, wykonał zwrot i jakoś udało mu się odzyskać pakunek i dowieźć na miejsce.

– Dobra robota – pochwalił Ishvar. Roił sobie, że policjant kierujący ruchem przypatruje im się podejrzliwie – co by było, gdyby podszedł i zażądał, by otworzyli torbę? – I co? – spytał, usiłując mówić pewnym głosem. – Kiedy nasz długowłosy przyjaciel dostarczył ci to?

– Dwa dni temu – padła odpowiedź i Ishvar niemal odrzucił pakunek precz. – Nie, źle mówię – poprawił się Shankar, pocierając czoło zabandażowaną dłonią. – Nie dwa dni. To było dzień po tym, jak się widzieliśmy po raz ostatni. Cztery dni temu.

Ishvar z ulgą skinął głową Omowi. Paczka nie zawierała tamtych włosów.

– Nasz przyjaciel nie będzie do ciebie więcej przychodzić.

– Nie? – Shankar był rozczarowany. – Lubilem się bawić tymi pakunkami.

Takie śliczne włosy.

– Chcesz powiedzieć, że zagłądałeś do środka?

– To źle? – zapytał zaniepokojony. – Are, babu, nic nie popsulem. Ja je sobie tylko przykładałem do policzka, bo mi się od tego tak przyjemnie robiło. Takie były miękkie i miłe.

– O tak, to na pewno – powiedział Om. – Nasz przyjaciel zbiera wyłącznie włosy najwyższej jakości.

Shankar nie dostrzegł kpiny.

– Chciałbym mieć taki kosmyk – westchnął. – Nocą kładłbym go na platformie i wsuwał sobie pod policzek do snu. Jakie by to było ukojenie, po całym dniu ludzkiej podłości. Nawet ci, którzy rzucają mi monety, patrzą na mnie, jakbym ich okradał. Ech, takie włosy to by była ulga.

– Właściwie czemu nie? – zaproponował spontanicznie Om. – Masz, zachowaj sobie tę paczkę, nasz przyjaciel jej nie potrzebuje.

Ishvar w pierwszej chwili chciał zaoponować, ale w końcu odpuścił. Om miał słuszość, jakie to ma teraz znaczenie?

Szli z powrotem do mieszkania, a wobec wdzięczności Shankara czyn Rajarama nie napawał już ich tak lodowatym chłodem.

– Mam ochotę wywalić wszystkie jego śmieci z naszego kufierka – powiedział Ishvar. – Bóg jeden wie, skąd to się wzięło i ilu on jeszcze ludzi zamordował.

Nocą, kiedy Dina i Maneck spali, Ishvar usunął warkocze z kufierka i przełożył je do kartonowego pudła, by w dalszej kolejności móc się ich pozbyć na dobre. Gdy to uczynił, poczuł się lepiej: kolekcja szaleńca nie brukała już ich ubrań.

•

Hałasy z kuchni obudziły Dinę dobrze przed porą puszczenia wody, kiedy niebo ciągle było ciemne jak nocą. Dwa miesiące upłynęły, odkąd mistrz cechu żebraków dowiódł, jak wiele może, a do mieszkania powróciła normalność. Lecz dryfując na krawędzi jawy, była przekonana, że stukot garnków i naczyń oznaczać może jedno: zbiry kamienicznika powróciły. Serce jej łomotało, a dłonie były ciężkie od snu. Palce skubały prześcieradło, usiłując ściągnąć z niej przykrycie.

A może jednak, może to tylko koszmar senny, który sam pierzchnie, jeśli będzie leżeć bez ruchu... nie otworzy oczu.

Hałasy ustały. Świetnie, strategia się sprawdzała, żadnych zbirów nie ma, to tylko sen, tak, a mistrz czuwa nad mieszkaniem. Nie ma się czym martwić, uznała, falując w te i wewte nad progiem snu.

Koniec końców uporczywe miauczenie wyrwało ją ze snu, uniosła się raptownie. Utrapiiony kocur! Wyplątała się spomiędzy prześcieradeł, wstała

z łóżka i wpadła na drewniane stołki. Jeden przewrócił się z łoskotem, budząc Manecka w sąsiednim pokoju: odniósł zwycięstwo tam, gdzie poległy garnki i naczynia.

– Wszystko w porządku, ciociu?

– Tak, tylko to łajdackie kocisko w kuchni. Rozwalę mu łeb. Śpij sobie.

Maneck odszukał kapcie i podążył za Diną, tyleż by dopilnować, że nie skrzywdzi naprawdę kota, co z ciekawości. Dina włączyła światło i zobaczyli go, jak pryska przez okno: jego ulubienica Vijayanthimala, brązowa w białe pręgi.

– Zatracone zwierzę – piekliła się Dina. – Bóg jeden wie, co lizał tym parszywym pyskiem.

Maneck obejrzał oderwaną siatkę w miejscu wybitej szyby.

– Musiała być naprawdę zdesperowana, jeśli to zrobiła. Mam nadzieję, że się nie pokaleczyła.

– Bardziej się przejmujesz tym brudnym sierściuchem, niż kłopotami, jakie przez niego mam. – Zaczęła zbierać przybory kuchenne, które pospadały i które teraz należało skrupulatnie wyszorować.

– Zaraz – przystanęła. – Co to za dźwięk?

Nie posłyszeli nic i dalej sprząтали kuchnię. Kilka chwil później Dina zastygła ponownie i tym razem ciszę przeszyło słabiutkie kwilenie. Omyłka nie wchodziła w grę: głos dobiegał z kuchni.

W rogu, w dziurze gdzie niegdyś znajdowało się palenisko, leżały trzy białobrazowe kociaki. Kiedy Dina i Maneck nachylili się, by popatrzeć, powitał ich chór cichutkich miauknięć.

– O jeju! – wykrzyknęła cicho Dina. – Jakie słodkie!

– Nic dziwnego, że Vijayanthimala była taka gruba ostatnimi czasy – uśmiechnął się promiennie Maneck.

Kocięta usiłowały stanąć na nogach i Dina poczuła, że nigdy w życiu nie widziała czegoś równie nieporadnego.

– Ciekawe, czy je urodziła tutaj, na miejscu.

Maneck potrząsnął głową.

– Na moje oko mają parę dni. Musiała je tu przynieść nocą.

– Ciekawe dlaczego. Ojej, jakie one słodkie.

– Chciałaby je ciocia przerobić na struny do skrzypiec?

Posłała mu karcące spojrzenie, ale kiedy pogłaskał je delikatnie, odciągnęła go.

– Nie ruszaj. Kto wie, jakie mają zarazki?

– To tylko maleństwa.

– Co z tego? I tak mogą roznosić choroby. – Rozpostarła stronę ze starej gazety i chwyciła ją pośrodku.

– Co ciocia robi? – spytał Maneck tknięty niepokojem.

– Chronię sobie ręce. Wystawię je za okno, tam gdzie kotka je zobaczy.

– Nie może ciocia! – Zaczął wywodzić, że jeśli kotka je porzuciła, małe umrą z głodu. Oczywiście jeżeli wcześniej nie dopadną ich wrony i szczury i nie wydziobią im ocząt, nie rozerwą małych ciałek, nie wyprują wnętrzności i nie przeżują kruchych kosteczek.

– Obejdzie się bez tylu szczegółów – powiedziała Dina. Równoległe z potwornym scenariuszem kocięta podniosły żałośliwe zawrodozenie. – Co chcesz zrobić?

– Nakarmić je.

– Nie ma mowy – odparła i wyjaśniła, że gdy się je raz nakarmi, nigdy sobie nie pójdą. A matka, nawet jeśli rozważa powrót, wywinie się od swych obowiązków.

– Nie mogę brać odpowiedzialności za wszystkie bezdomne stworzenia świata.

Koniec końców Maneck zdołał wywalczyć ułaskawienie dla kociąt. Dina zgodziła się nie przenosić ich na razie, żeby Vijayanthimala miała szansę posłyszeć swoją gromadkę. Być może piski skłonią ją do powrotu.

– Niech ciocia spojrzysz – odezwał się Maneck. – Świta.

– Ale piękne niebo – urwała i zapatrzyła się w rozmarzeniu na widok za oknem.

Z kranów popłynęła woda, przerywając jej błogą zadumę. Popędziła do łazienki, gdy tymczasem Maneck obserwował podwórko w poszukiwaniu śpiących kotów. Przeniósł wzrok dalej, tam gdzie zaczynała się płatanina zaułków. W pierwszych, optymistycznych promieniach na uśpione miasto spływała obietnica przemiany. Wiedział, że to wrażenie nie potrwa dłużej niż kilka minut – doświadczał go wcześniej, zawsze rozpraszało się w silniejszym świetle.

A jednak był za nie wdzięczny, dopóki trwało. Kiedy krawcy się obudzili, przekazał im nowinę i zaprowadził ich do kuchni. Gdy się zbliżyli, miarowe popiskiwanie przybrało na sile.

Dina ich przepędziła.

– Jak taki tłum będzie stał i się gapił, to kotka nigdy nie wróci.

Później sama weszła do środka, rzekomo żeby zrobić herbatę, i stała w rogu, uśmiechając się, wzdychając, oglądając, jak kocięta chwiejnie baraszkują po palenisku, gramolą się na siebie i spadają. Ich matka dobrze wybrała miejsce, pomyślała Dina. Dziura była dostatecznie głęboka, by powstrzymać je przed wyjściem i urządzaniem sobie wycieczek.

Tego ranka nie popracowali wiele. Maneck oświadczył, że do południa nie ma żadnych zajęć.

– To się dobrze składa – powiedziała Dina, a on stanął na warcie przy kuchennych drzwiach i podawał świeże meldunki. Krawcy często uciszali maszyny, by posłuchać kociąt.

Minał pewien czas, a ich piski wzmogły się tak, że było je słuchać spod singerów.

– Ależ płaczą – powiedział Om. – Muszą być głodne.

– Zupełnie jak ludzkie niemowlaki – dodał Maneck. – Trzeba je regularnie karmić. – Obserwował Dinę kącikiem oka. Wiedział, że piszczenie zaczyna ją niepokoić. Jak gdyby nigdy nic zapytała, czy takie drobne stworzonka tolerują krowie mleko.

– Tak – odpowiedział pośpiesznie. – Ale rozwodnione, inaczej jest dla nich zbyt ciężkostrawne. A po paru dniach można w nim namoczyć kawałki chleba i też im dawać. Mój tata tak karmi szczeniaczki i kocięta w domu.

Przez kolejną godzinę Dina nie ustępowała, puszczając mimo uszu prośby dobiegające z kuchni.

– Ech, trudno i darmo – powiedziała w końcu. – Proszę bardzo, panie Mac, pan jest ekspertem.

Podgrzali mleko wymieszane z wodą, nalali je do aluminiowego spodka. Wiercące się kociaki przenieśli z paleniska na rozpostartą na podłodze gazetę.

– Daj mi wziąć jednego – poprosił Om, a Maneck pozwolił mu przestawić ostatniego.

Trójka kociąt przycupnęła na papierze, nie potrafiąc opanować drżenia. Stopniowo zapach mleka przywabił je bliżej i maluchy wykonały parę niepewnych liźnięć w okolicach brzeżka. Po chwili stłoczyły się wokół spodka, chłepcząc zawzięcie. Gdy mleko się skończyło, stanęły z łapkami w naczyniu i zadarły główki. Maneck nalał znowu, pozwolił im się napić, po czym zabrał spodek.

– Czemu tak skąpo? – zapytała Dina. – Daj im więcej.

– Za dwie godziny. Jak zjedzą za dużo, to się pochorują. – Przyniósł ze swojego pokoju puste kartonowe pudło i wyścielił je nową gazetą.

– Nie będę ich trzymać w kuchni – sprzeciwiła się Dina. – To niehigieniczne.

Om zaproponował, żeby postawić pudło na werandzie.

Zgodziła się, ale zażyczyła sobie, by nocą kocięta odłożyć do dziury po palenisku. Wciąż miała nadzieję, że matka wróci po swoje potomstwo. Rozbitej szyby nie naprawiono, by zachęcić kotkę do powrotu.

•

Przez siedem kolejnych nocy Dina zbierała garnki i naczynia z kuchni i zamykała szafkę oraz drzwi kuchenne. Przez siedem kolejnych ranków natychmiast po wstaniu szła do paleniska, a żadne śniadania kocięta witały ją radośnie.

Zacząła z niecierpliwością wypatrywać porannych spotkań. Pod koniec

tygodnia przyłapała się na tym, że kładąc się do łóżka martwi się – a co, jeżeli to dziś, co jeżeli kotka je zabierze. Po przebudzeniu popędziła do kuchni. Co za ulga! Nie zniknęły!

Porzucono conocny rytuał przenosin z pudła do paleniska. Krawcy chętnie dzielili swoją kwaterę z kociętami. Szybko rosnąca trójka zabrała się do odkrywania werandy, tak że drzwi do sąsiednich pomieszczeń trzeba było zamykać, żeby kociaki nie zawędrowały do pokoju krawieckiego i nie rozwłóczyły tkaniny. Wkrótce zaczęły się wypuszczać przez zakratowane okno werandy na krótkie wypadki na dwór.

– Wie pani, Dina-bai – rzekł Ishvar pewnego wieczoru po kolacji – ta kotka złożyła pani dowód wielkiego uszanowania. Zostawiając tu swoje dzieci, powiedziała, że ufa temu domowi – a to dla pani zaszczyt.

– To jakieś kompletne bzdury. – Nie kupowała tego sentymentalnego bajdurzenia. – To naturalne, że kotka przyniosła tu swoje małe. To przecież z tego okna trzech durniów o miękkim sercu rzucało jej regularnie jedzenie.

Ale Ishvar za wszelką cenę chciał wycisnąć z całego zajścia jakąś naukę, jakąś wyższą prawdę.

– Może pani mówić, co chce, ale ten dom jest błogosławiony. Przynosi szczęście. Nawet ten podły kamienicznik nie mógł nas tu skrzywdzić. A kocięta to dobry omen. To znak, że Om będzie mieć dużo zdrowych dzieci.

– Najpierw musi mieć żonę – odparła Dina sucho.

– Święte słowa – potaknął z powagą. – Dużo o tym myślę. Nie możemy dłużej zwlekać.

– Jak możesz wygadywać takie głupstwa? – spytała, nieco poirytowana. – Om dopiero stawia pierwsze kroki w życiu, z pieniędzmi jest krucho, nie macie własnego mieszkania, a ty myślisz o żonie dla niego?

– Wszystko przyjdzie w swoim czasie. Musimy być ufni. Ważne, by wkrótce się ożenił i założył rodzinę.

– Słyszysz, Om? – zawołała w kierunku werandy. – Twój stryj chce, żebyś się wkrótce ożenił i założył rodzinę. Przypilnuj tylko, żeby tym razem to się nie odbywało u mnie w kuchni.

– Musi mu pani wybaczyć – powiedział Om, przybierając ojcowski ton. – Czasem mu się śrubka poluzuje w głowie i wygaduje różne wariactwa.

– Róbcie, co chcecie, ale na mnie nie liczcie, jeśli chodzi o mieszkanie – wtrącił się Maneck. – Nie mam już wolnych kartonów.

– No co ty, brachu – sarknął Om. – A ja miałem nadzieję, że mi ustawisz jedno pudło na drugim i będę mieć dwupiętrowy bungalow.

– Nieładnie naigrawać się z dobrych znaków – rzekł Ishvar, nieco urażony. Nie uważał, by jego propozycja zasługiwała na kpiny.

•

Kocięta wracały ze swych wypraw punktualnie w porze posiłków, przez kraty w oknie werandy.

– Spójrzcie na nie – rozczulała się Dina. – Wchodzą sobie i wychodzą, jakby to był hotel.

Potem okresy ich absencji wydłużyły się: kocięta uczyły się zdobywać pokarm i grasowały po zaułkach w towarzystwie swoich pobratymców. Rynsztoki i sterty odpadów kusiły nieodpartymi woniami, a one odpowiadały na zew.

Ich nagłe zniknięcia zasmucały wszystkich. Maneck i Om nadal zachowywali dla nich resztki jedzenia, które skrzętnie układali na talerzyku w wysoki stos. Każdego dnia wyglądali z nadzieją, że a nuż kocięta raczą się pojawić. Czekali do późna, a potem pozbywali się szczątków, zanim zeszło się do nich robactwo; rzucali je pierwszemu lepszemu stworzeniu, które skradało się pod kuchennym oknem, świecąc w ciemnościach anonimowymi oczami.

Powroty kociąt stały się okazją do świętowania. Jeśli nie było odpowiednich odpadków, Maneck lub Om pędził, by kupić w Vishramie mleko i chleb. Czasami kocięta zostawały chwilę po jedzeniu, gotowe się bawić, i molestowały strzępy płótna leżące obok maszyn do szycia. Częściej jednak od razu zniknęły.

– Jedzą i bieżą – powiedziała Dina. – Jakby ten dom do nich należał.

Z czasem odwiedziny stały się coraz rzadsze i trwały coraz krócej. Kocięta wyrosły z dziecięcej ciekawości okazywanej przy byle okazji; chleb i mleko ignorowały całkowicie. Widocznie uliczne żerowanie przydało ich podniebieniom bardziej awanturnicznych skłonności.

By przyciągnąć ich uwagę, Om i Maneck stanęli na czworakach obok miski.

– Miau! – dali chórem głos. – Miiiiiau! – Om głośno obwąchiwał krawędź naczynia, a Maneck język wywalał i chował w maniackim pokazie chłęptania. Na kociętach nie wywarło to wrażenia. Bez zaangażowania obejrzały ich popisy, ziewnęły i zaczęły się myć.

•

W trzy miesiące po tym, jak je odnaleziono w palenisku, kocięta zniknęły na dobre. Kiedy przez dwa tygodnie nie dały znaku życia, Dina uznała, że coś je przejechało. Maneck powiedział, że równie dobrze mogły paść ofiarą wściekłego bezpańskiego psa.

– Albo tych dużych szczurów – powiedział Om. – Nawet dorosłe koty się ich boją.

Dumając nad tymi ponurymi ewentualnościami, popadli w zasepienie, choć Ishvar wciąż wierzył, że kocięta mają się dobrze. To sprytne i dzielne stworzonka, przypominał pozostałym, zaprawione w ulicznym życiu. Nikt nie podzielał jego

optymizmu. Zaczęli złościć się na niego, jakby zasugerował coś makabrycznego.

W takim żalu i przygnębieniu zastał ich mistrz żebraków, gdy przybył, by zainkasować wpłatę. Zmierch zdawał się ciemniejszy niż zwykle, ponieważ nie zapaliły się latarnie.

– Co się dzieje? – spytał. – Kamienicznik znowu was niepokoi?

– Nie – odpowiedziała Dina. – Ale nasze słodkie, małe kotki zniknęły.

Mistrz roześmiał się. Dźwięk ten zaskoczył ich, gdyż nigdy wcześniej nie słyszeli go z jego ust.

– Żebyście tylko widzieli swoje ponure miny. Nawet chyba tamtymi zbirami się tak nie przejmowaliście. – Zaśmiał się znowu. – Przykro mi, ale nie mogę wam pomóc. Nie jestem mistrzem kotów. Ale mam dobre nowiny, może to was rozweseli.

– Co takiego? – spytał Ishvar.

– Chodzi o Shankara. – Uśmiechnął się od ucha do ucha. – Jemu nie mogę tego powiedzieć w tej chwili, dla jego własnego dobra. Ale muszę się z kimś podzielić tą wspaniałą wiadomością, a wy jesteście jego jedynymi przyjaciółmi. Musicie przysiąc, że o niczym mu nie wspomnicie.

Wszyscy dali słowo.

– To się wydarzyło w parę tygodni po tym, jak zabrałem Shankara i was z robót irygacyjnych. Jedna z moich żebraczek była bardzo chora i zaczęła opowiadać mi o sprawach ze swojego dzieciństwa i młodości Shankara. Za każdym razem, gdy przychodziłem po pieniądze, brała się do wspominków. Była stara, jak na żebraczkę bardzo stara, koło czterdziestki. W zeszłym tygodniu zmarła. Ale tuż przed śmiercią wyznała mi, że jest matką Shankara.

Otóż samo w sobie nie było to niespodzianką, wyjaśnił mistrz, ponieważ zawsze się tego domyślał. Kiedy jako mały chłopiec zwykł towarzyszyć ojcu w obchodach, często widywał ją, jak karmi piersią jakieś dziecko. Wszyscy wołali ją Nochalka z powodu pozbawionej nosa twarzy. Była wtedy młoda, coś koło piętnastu lat, ciało miała idealne i można by za nią dostać przyzwoite pieniądze, sutenerzy byli w tym zgodni, gdyby nie ta okaleczona twarz. Powiadano, że przy narodzinach pijany ojciec w furii obciął jej nos, rozczarowany matką, która wydała na świat córkę zamiast syna. Matka opatrzyła ranę i ocaliła życie noworodka, choć ojciec powtarzał, by pozwolić jej umrzeć i że ohydna twarz to jedyny posąg, który ją czeka, niech umiera. Tak ją bez przerwy dręczył i prześladował, że małą sprzedano, by została żebraczką.

– Nie wiem, dokładnie w jakim wieku była Nochalka, kiedy nabył ją mój ojciec – powiedział mistrz. – Pamiętam tylko, że widywałem ją z niemowlęciem. – Potem, w parę miesięcy później, odebrano jej malucha zwanego Shankarem i odesłano go w celu branzowych modyfikacji.

Dziecka nie zwrócono matce. Bardziej opłacało się puszczać go w obieg z różnymi żebraczkami i w różnych dzielnicach. Ponadto nieznanym, które go karmiły, łatwiej było przywoływać na twarz nieodzowny dla pomyślnej żebraniny wyraz bezbrzeżnej rozpacz, tymczasem gdyby Nochalce podarowano przyjemność całodziennego tulenia maleńkiego syna do piersi, niemożliwością byłoby ustrzeżenie jej oczu przed iskierką radości, choćby i najmniejszą, która niekorzystnie odbiłaby się na utargu.

– Tak więc Shankar dorósł, zaczął działać na własny rachunek, dostał platformę na kółkach i nigdy nie poznał swojej matki – opowiadał mistrz. – A do chwili, gdy przejąłem interesy, zdążyłem zapomnieć o dziecięcym podejrzeniu, że jest synem Nochalki. Aż do niedawna.

To właśnie Nochalka wyznała mu, kiedy leżała na chodniku i umierała. Mało tego, twierdziła, że ojciec mistrza był także ojcem Shankara. Z początku mistrz osłupiał, że żebraczka ma czelność sugerować coś tak obelżywego. Zagroził, że usunie ją z listy swych klientów, jeżeli nie przeprosi. Odpowiedziała, że wszystko jej jedno i zbyt blisko ma do śmierci, by się tym przejmować.

Nadal jej nie wierzył, ale zastanawiał się, w jakim celu miałyby wymyślać tak bezsensowne łgarstwa. Co spodziewała się osiągnąć? We wściekłym oszołomieniu patrzył, jak przechodnie nadal rzucają monety do blaszanej puszkę Nochalki. Nieświadomi rozgrywającego się dramatu, niektórzy przystawali i łypali na niego podejrzliwie.

– Pewnie myśleli, że szykuje się pan, żeby ją okraść – wtrącił Maneck.

– Masz rację. A ja byłem tak zdenerwowany, że miałem ochotę wydrzeć się na nich, żeby wypierdalali.

Dina podskoczyła i niemal upomniała go, by nie przeklinał. We frontowym pokoju zrobiło się ciemno, więc włączyła światło, od którego wszyscy zamrugali i na chwilę osłonili oczy dłońmi.

– Ale się opanowałem – ciągnął mistrz. – W moim fachu mawiamy, że jałmużnik ma zawsze rację.

Tak więc zignorował bandę ciekawskich i skupił się na wyznaniu Nochalki. Miejsce wzburzenia zajęła niepewność. Oskarżył ją o tanie kłamstwo, o to, że stojąc na progu śmierci wycina mu wredną sztuczkę i pozostawia go w stanie wiecznej wątpliwości.

Siedź cicho i słuchaj, powiedziała mu, jestem twoją macochą, czy ci się to podoba, czy nie. I mam na to dowód. Masowałeś kiedyś ojcu plecy i ramiona?

Tak, przyznał, byłem dobrym synem. Regularnie masowałem ojcu plecy, za każdym razem, gdy mnie wezwał, aż do dnia, w którym zamknął powieki.

W takim razie, powiedziała Nochalka, na pewno dobrze znasz duży guz, spore zgrubienie na karku ojca, tuż obok punktu, w którym zaczyna się kręgosłup.

– Zastanawiałem się, skąd, u licha ciężkiego, o tym wiedziała – powiedział mistrz. – Ale ona uparła się, by jej odpowiedzieć: miał tam guz czy nie miał? Nie chciała ze mną rozmawiać, dopóki nie przyznałem niechętnie, że tak, mój ojciec posiadał opisany przez nią atrybut. Wówczas śpieszno było jej mówić dalej.

Wydarzyło się to dawno, dawno temu, kiedy Nochalka była młoda, a jej ciało dopiero co zaczęło krwawić. Ojciec mistrza przyszedł do jej posłania na chodniku pewnej nocy, późną porą, kiedy był pijany, zbyt pijany, by jej fizjonomia budziła w nim odrazę, i położył się z nią. Cuchnący alkoholem oddech sprawiał, że chciała odmówić, ale odwróciła twarz i zapanowała nad wstrętem. Leżała pod nim nieruchomo, niczym nieżywa, pozwalając, by robił, co chciał. Kiedy skończył, uniosła się i zwymiotowała obok jego chrapiącego, bulgoczącego cielska. Tej samej nocy obudził się i powiększył jej niewielką plamę strumieniem wymiocin pełnych żółci. Później posłyszała chłeptanie i otworzyła oczy; szczury posilały się ich zmieszanyymi wydzielinami.

Nochalka uznała, że jej ciało dało mu przyjemność, gdyż wracał do niej w inne noce, również wtedy, gdy nie był pijany. Teraz nie budziło to w niej takiej odrazy. A gdy leżał na niej i patrzył w jej twarz niechroniony zbroją alkoholu, i ona zaczęła odczuwać przyjemność. Pozwoliła swemu ciału ożyć i z rozkoszą stapiała się z kochankiem. Wówczas jej dłonie zaczęły badać jego ciało i natrafiły na pokaźną narośl na karku. Zachichotała i spytała o nią. Zażartował, że wyhodował ją sobie dla jej przyjemności – żeby zamiast jednej grubej kości miała do zabawy dwie.

I stało się tak, że mężczyzna, który potrafił patrzeć na jej odrażającą twarz i nadal ją kochać, znalazł miejsce w jej sercu. Opowiedział jej, co o specjalnej kości usłyszał od lekarza. Urodził się z trzydziestoma czterema kręgami zamiast normalnych trzydziestu trzech, a ten nadprogramowy przyrósł do szczytu kręgosłupa i powodował przewlekły ból.

Czy to nie twojego ojca opisuję, spytała Nochalka, czy masz jeszcze jakieś wątpliwości?

Mistrz przyznał, że wszystko to jest prawdą. Lecz były to jedynie dowody na pijackie cudzołóstwo jego ojca i na nic więcej.

Nie tylko pijackie, poprawiła go z dumą, ale także trzeźwe. To rozróżnienie było najcenniejszym skarbem jej życia i zachowało dla niej najwyższą wagę nawet u progu śmierci.

Mistrz niechętnie przyznał, że tak. Ale to wciąż nie dowód, że Shankar jest synem jego ojca i jego przyrodnim bratem. Owszem, powiedziała Nochalka, ponieważ Shankar ma na karku identyczną wypukłość, a sprawdzenie tego zajmie jedynie chwilę. Mistrz może oczywiście udawać, że to tylko zbieg okoliczności, powiedziała, lecz w głębi serca będzie wiedział, jaka jest prawda.

– I miała rację. Prawda spoczywała w moim sercu. A oprócz niej ogromna, beznadziejna mieszanina uczuć. Byłem zły, wystraszony i skonsternowany. Ale też szczęśliwy. Spostrzegłem bowiem, że ja, jedynak, pozostawiony na świecie bez rodziców, bez żadnych krewnych, nagle otrzymałem dar w postaci brata. A także macochy, nawet jeśli była mi bliska wiekiem, a przy tym o krok od śmierci.

I tak, kiedy zaakceptował tę prawdę, miejsce gniewu i urazy wobec umierającej kobiety zastąpiła wdzięczność. Spytał, dlaczego nie powiedziała mu wcześniej. Ze strachu przed tym, odparła, co mógłby zrobić, gdyby ten sekret rozwścieczył go lub zawstydził – a nuż zabiłby ją i Shankara lub sprzedał ich mniej sympatycznemu właścicielowi w jakimś odległym miejscu, w którym byliby obcy. Największym przerażeniem napawała ją myśl o utracie znajomych chodników jej młodości.

Ale teraz nie miało to już znaczenia, ona wkrótce umrze, a on będzie jedynym nosicielem tej wiedzy i postąpi z nią, jak mu się spodoba. Od niego będzie zależeć, czy powie Shankarowi, czy nie.

Zapewnił ją, że jej zwierzenia przyniosły mu niczym niezmacone szczęście. Teraz należało czym prędzej zabrać ją do dobrego szpitala. Na czas, który jej pozostał – ile by miał nie trwać – chciał zapewnić jej wygodę, więc udał się, by wezwać taksówkę.

Pierwsi kierowcy, którzy stanęli, na widok żebraczki odmówili kursu – z obawy o wnętrze samochodu. Wreszcie udało mu się zatrzymać jedną, machając kierowcy grubym plikiem rupii. Taksówka miała zbity przedni reflektor i stukający zderzak. Siedząc na tylnym siedzeniu z Nochalką w objęciach, mistrz wysłuchiwał opowieści o ciężkiej doli kierowcy, któremu nikczemny policjant zdemolował pojazd, ponieważ w owym tygodniu kierowca spóźnił się z przekazaniem mu koperty z haftą^[178] za parking.

W szpitalu musieli długo czekać. Nochalkę zostawiono na podłodze w korytarzu pośród biedaków oczekujących na pomoc lekarską. Antyseptyczna woń fenolu z kamiennych kafli z trudem przebijała się przez ludzki fetor. Mistrz robił, co było w jego mocy, by dodać motywacji osobom sprawującym tam władzę, i porozmawiał z lekarzem o milej aparycji. Jego biały kitel był rozdarty przy dużej, niższej kieszeni, w którą wepchnął sobie stetoskop. Mistrz poprosił go, by jak najszybciej zajął się jego matką, a on już zadba, żeby mu się to opłaciło. Lekarz odpowiedział łagodnie, by się nie martwić, każdy zostanie objęty opieką. Następnie popędził przed siebie z ręką w rozdartej kieszeni.

Mistrz uznał, że na personelu medycznym, oddanym swemu szlachetnemu powołaniu, zwitek jego nasiąkniętych potem rupii nie wywierał takiego wrażenia, jak na większej części reszty społeczeństwa. Nie miał jednak okazji, by poddać próbie większą liczbę lekarzy i pielęgniarek, celem uzyskania konkluzji o ścisłości,

jakiej wymaga się od aktuarusza. Jego macocha dokonała żywota, zanim udzielono jej pomocy. Na pocieszenie, zamiast wydać pieniądze na szpital, zapłacił za dobry pogrzeb.

– A gdy to wszystko zostało załatwione, poszedłem do Shankara – westchnął mistrz. – Oczywiście nie wspomniałem od razu o najważniejszej wieści, ponieważ chciałem w spokoju zastanowić się nad tym, co powiedziała mi Nochalka.

Spytał Shankara, jak mu idzie zebranie, czy platforma dobrze się sprawuje, czy kółka trzeba naoliwić – ot, zwykła gadka, jak to podczas obchodu inspekcyjnego. Shankar poskarżył się, że datki maleją w tej dzielnicy nędzarzy, ludzie są tacy wściekli. Mistrz przyklęknął u jego boku i położył mu dłoń na ramieniu. Powiedział, że ten sam kłopot występuje wszędzie – to prawdziwy kryzys człowieczej natury, w ludzkich sercach konieczna jest rewolucja. Ale przyjrzy się temu, być może przydzielili mu nowy rewir. Poklepał Shankara po plecach, rzekł, by się nie martwił, a następnie wsunął mu rękę pod kołnierz, by poczuć jego kark.

– I tam, pod czubkami moich palców, był kręgosłup mego ojca. Ten sam duży guz. Dłoń drżała mi ze wzruszenia. Całe moje ciało trzęsło się w podnieceniu, gdy klękałem. Ledwo zdołałem zachować równowagę. Przed sobą miałem swego brata, a także ojca, nadal żyjącego w jego kręgosłupie. Z trudem powstrzymałem się przed objęciem Shankara, przyciśnięciem go do piersi i wyznaniem wszystkiego.

Nadludzkim wysiłkiem pohamował się. Przedwczesne ujawnienie sekretu mogło wywołać nieopisane cierpienie. Najpierw musiał postanowić, jakie wyjście będzie najlepsze dla Shankara. To bardzo pięknie wyobrazić sobie, że zabierze brata do domu, zapewni mu wygodę przez resztę jego dni i będą razem żyli w szczęściu. To tanie marzenia, ludzie snują je bez przerwy.

Ale co jeżeli Shankar nie zdoła przystosować się do nowego życia? Jeżeli wyda mu się one bezcelowe lub gorsze niż bezcelowe? Jeśli będzie więzieniem, gdzie jego defekty, miast być użyteczne jak podczas zebrania na chodniku, zostaną uwypuklone? I, przede wszystkim, co jeśli ta potworna opowieść z młodych lat stanie się wrzodem na duszy Shankara, będzie go zżerać od środka, zmieni resztę jego życia w gorzkie i niszczące oskarżenie pod adresem mistrza i jego ojca? Czy u człowieka, który posiadał taką wiedzę, możliwe jest przebaczenie?

– Uznałem, że lepiej, bym stanął do zapasów ze swą duszą i zamknął w jej granicach prawdę, której udzieliła mi Nochalka. Egoizmem byłoby mieszać do tego cierpienia mego biednego, nieszczęsnego brata, jedynie dla poprawy własnego samopoczucia.

Tłumaczył sobie, że życie Shankara już raz legło w gruzach, gdy był małym dzieckiem. Ale Shankar nauczył się mieszkać w tych gruzach. Ponowne ich spustoszenie byłoby czynem niewybaczalnym.

– Postanowiłem zatem zaczekać. Zaczekać i porozmawiać z nim o jego dzieciństwie. Może wspomnę o różnych drobiazgach i obejrzę jego reakcję. Krok po kroku dowiem się, jakie wyjście jest najlepsze dla nas obu. I tu właśnie potrzebuję waszej pomocy.

– Co możemy zrobić? – spytał Ishvar.

– Zadawajcie mu pytania, skłońcie go, by mówił o swojej przeszłości. Zobaczcie, jakie wspomnienia zachował. On ciągle boi się mnie trochę, wam zapewne powie więcej. Będziecie mnie informować?

– Pewnie, możemy.

– Dziękuję. A tymczasem chcę zadbać, by jego życie na chodniku było jak najprzyjemniejsze. Zacząłem mu codziennie kupować jego ulubione słodycze – laddu i dżalebi^[179]. A w niedzielę rasmalai^[180]. Ponadto wzbogaciłem jego platformę o poduszki i przydzieliłem mu lepsze miejsce noclegowe.

– To by się zgadzało – powiedział Ishvar. – Często nam mówi, jaki jest pan dla niego miły.

– To jest minimum. Planuję także wysłać mu mojego osobistego fryzjera, by się nim zajął. Pełna obsługa, wersja de luxe: strzyżenie, golenie, masaż twarzy, manicure, wszystko. A jeśli ludzie będą mu dawać mniejsze datki, bo będzie zadbany, to chuj z nimi.

Dina ponownie powściągnęła odruch, by powiedzieć: „Proszę się nie wyrażać”, lecz tym razem wstrząs dla jej uszu nie był tak silny.

– Przynosi pan nam wspaniałe wieści – odezwała się. – Ale Shankar będzie szczęśliwy, kiedy mu pan w końcu powie.

– Nie kiedy, a jeżeli. Czy kiedykolwiek zdobędę się na odwagę? Czy mam mądrość do podjęcia właściwej decyzji?

Waga tych pytań pograżyła go raptem w rozpacz. Nowina, która miała wszystkich uradować, zmieniła się w obłok, który przyćmił słońce.

– Jestem pewien, że z biegiem czasu to się wyklaruje – powiedział Ishvar.

– Jedna rzecz się wyklarowała, cienka linia pomiędzy Shankarem a mną. Cieńsza niż jedwabiste włosy moich biednych pomordowanych żebraków. To nie ja ją wykreśliłem – to znak przeznaczenia. Ale teraz posiadam moc, by ją zmasać.

– Westchnął. – Jakże zatrwajająca i groźna to moc. Czy starczy mi śmiałości? Gdy raz zetrzeć tę linię, nigdy nie można narysować jej na powrót. – Wzdrygnął się. – Jakąż spuściznę zostawiła mi macocha.

Otworzył neseser, wyjął szkicownik i pokazał im swój ostatni rysunek.

– Wykonałem go ostatniej nocy, kiedy byłem bardzo przygnębiony i nie mogłem zasnąć.

Obrazek przedstawiał trzy osoby. Pierwsza siedziała na platformie z maleńkimi kółkami. Mężczyzna ten nie miał nóg ani palców, a kikuty ud sterczały mu jak

wydrążone tyczki bambusowe. Druga postać była wymizerowaną kobietą bez nosa, z ziejącą dziurą pośrodku twarzy. Jednak najbardziej groteskowo wyglądała postać trzecia. Mężczyzna z neseserem przykutym do nadgarstka stał na czterech pajęczych nogach. Jego cztery stopy rozczapierzały się w cztery strony świata, jakby w nieustannym sporze o właściwy kierunek. Każda z jego dwóch rąk miała dziesięć palców, dziesięć bezużytecznych bananów kielkujących z dłoni, a z twarzy wyrastały mu dwa nosy, przyległe, a przy tym dziwacznie odwrócone od siebie, jak gdyby żaden z nich nie mógł ścierpieć zapachu drugiego.

Wpatrywali się w rysunek, niepewni, jak zareagować na dzieło mistrza żebraków. On oszczędził im zakłopotania, przedstawiając własną interpretację.

– Dziwolągi, ot co. Wszyscy jesteście dziwolągami.

Ishvar zbierał się, by powiedzieć mu, że ocenia siebie zbyt surowo, że nie może przypisywać sobie całej odpowiedzialności za losy Shankara i Nochalki, gdy mistrz wyjaśnił:

– Chodzi o to, że wszyscy ludzie są dziwolągami. I któż nas może winić? Jakież mamy szanse, gdy nasze pierwsze i ostatnie chwile na tym świecie są tak groteskowe? Narodziny i śmierć – cóż bardziej monstrualnego? Lubimy się mamić, nazywamy je wspaniałymi, pięknymi i dostojnymi, lecz spójrzmy prawdzie w oczy: to groteska.

Zatrzasnął szkicownik i z pewną cierpkością schował go z powrotem do neseseru, dając do zrozumienia, że saga o szczęściu, cierpieniu, wątpliwościach i odkryciu dobiegła końca, że ludzkie uczucia wędrują do pudełka, i pora wracać do interesów.

– Za cztery miesiące kończy się wasz rok. Muszę wiedzieć wcześniej, czy planujecie przedłużyć umowę ze mną.

– Och tak – powiedział Ishvar. – Jak najbardziej. W przeciwnym razie kamienicznik znów zacznie nas napastować.

Odprowadzili mistrza na werandę, by się z nim pożegnać. Na zewnątrz żadne światła nie rozpraszały nocnej ciemności. Wyglądało to na przerwę w dostawie prądu, gdyż nie palił się cały rząd latarni.

– Mam nadzieję, że latarnia Shankara działa – odezwał się mistrz. – Lepiej się pośpiesz i zobacz, co u niego. On się boi, jak jest ciemno na chodniku.

Długim krokiem przeciął czarny asfalt, sam ubrany w białą koszulę i białe spodnie, jak kreda na tabliczce do pisania. Obrócił się raz, by zamachać, po czym stopniowo stał się niewidzialny.

– Dziwaczna historia – powiedział Om. – Spodobałaby się naszym znajomym z Vishrama i to bardzo. Wszystko w niej jest – tragedia, romans, przemoc i niedokończony finał z suspensem.

– Ale słyzałeś, co mówił mistrz – dodał Ishvar. – Musimy zachować to w tajemnicy, dla dobra Shankara. Jeszcze jedna opowieść, której nie można włączyć do *Mahabharaty* kucharza.

[177] *Sala bhikhari* – pieprzony żebrak.

[178] *Hafta* – haracz.

[179] *Dżalebi* – słodyczne smażone w głębokim oleju, a następnie zanurzone w syropie z cukru.

[180] *Rasmalai* – indyjskie słodyczne.

13 ŚLUB, ROBAKI I SANNJASIN [181]

Miesiąc później ponowne zjawienie się kociąt pod kuchennym oknem nie stało się okazją do świętowania. Dla zwierząt był to tylko kolejny przystanek, przy którym dopraszały się o jedzenie. Om i Maneck uradowaliby się z jakiegoś sygnału świadczącego, że zostali rozpoznani – z głośniejszego miauknięcia, czy może spojrzenia, pomruku lub wygiętego w pałąk grzbietu. Zamiast tego kocięta pochwyciły rybią głowę i zbiegły, by nacieszyć się nią w odosobnieniu.

– Czemu was to dziwi? – zapytała Dina. – Niewdzięczność nie jest rzadką cechą na tym świecie. Pewnego dnia wy też o mnie zapomnicie, wszyscy. Pójdziecie własną drogą, ustatkujecie się i nie będziecie o mnie pamiętać. – Wskazała na Manecka. – Za dwa miesiące złożysz egzamin końcowy, spakujesz się i znikniesz.

– Ja nie taki, ciociu – zaprotestował Maneck. – Zawsze będę ciocię pamiętał i odwiedzał i pisał do cioci, gdziekolwiek będę.

– Tak, zobaczymy – odpowiedziała. – A wy krawcy, pewnego dnia też otworzycie coś swojego i też odejdziecie. Nie to, żebym się nie cieszyła waszym szczęściem, kiedy to nastąpi.

– Dina-bai, pobłogosławię pani usta cukrem, jeśli to się kiedykolwiek wydarzy – rzekł Ishvar. – Ale zanim tacy ludzie jak my będą mieli swoje domy czy sklepy, politycy musieliby się stać uczciwi. – Uniósł palec wskazujący, zagiął go, a następnie wyprostował. – Można naprostować zgięty kijek, ale nie rząd.

A tak naprawdę, wyjaśnił, to było właśnie jego największe zmartwienie – jak Om ma się ożenić, skoro nie mogą znaleźć własnego dachu nad głową?

– Na pewno coś się pojawi do czasu, kiedy będzie gotów do żeniaczki – powiedziała Dina.

– Myślę, że już jest gotów – odrzekł Ishvar.

– A ja myślę, że nie – warknął Om. – Czemu ciągle nawijasz o ślubie? Popatrz na Manecka, ma tyle samo lat co ja, a nikt go nie goni do ożenku. Maneck, twoim rodzicom się śpieszy? No powiedz coś, brachu, przemów mojemu stryjowi do rozumu.

Maneck wzruszył ramionami i odpowiedział, że nie, nie śpieszy im się.

– Na co czekasz, powiedz mu resztę. Że twoi rodzice zaczekają, aż spotkasz kogoś, kto ci się spodoba. I że do przygotowań ślubnych przystąpią dopiero wtedy, kiedy ty postanowisz się żenić. Ja chcę mieć tak samo.

– Omprakash, wygadujesz bzdury – absurdalna sugestia rozjuszyła jego stryja.

– Pochodzimy z różnych środowisk, mamy różne obyczaje. Twoich rodziców nie ma tutaj z nami, więc moim obowiązkiem jest znaleźć ci żonę.

Om łypnął spode łba.

– Limonowa gęba – powiedział Maneck, usiłując oddalić bitwę, która zawisła w powietrzu. – Tak czy siak chciałem ciocię przestrzec. Niewykluczone, że nie pozbędzie się mnie ciocia za dwa miesiące.

– Co to ma znaczyć?

– Postanowiłem iść do college’u na kolejne trzy lata i dostać prawdziwy dyplom zamiast uprawnień technika.

Zachwył odmalował się na twarzy Diny, ale szybko ukryła go w bardziej ustronnym miejscu.

– Mądra decyzja. Dyplom ma większą wartość.

– To mogę zostać z ciocią? Znaczą się najpierw pojedę na wakacje do domu.

– A wy co myślicie? Powinniśmy pozwolić Maneckowi, żeby wrócił?

Ishvar uśmiechnął się.

– Pod jednym warunkiem. Że nie będzie zasiewał dzikich pomysłów w głowie mojego bratanka.

•

Kwestia ślubu bratanka nie przestawała dręczyć Ishvara. Podejmował temat przy każdej okazji, gdy tymczasem Dina próbowała łagodnie wyperswadować mu ten pomysł.

– Pracy jest pod dostatkiem i wreszcie udaje wam się oszczędzić trochę pieniędzy. Po co brać na siebie nową odpowiedzialność, akurat teraz, kiedy się poprawiło?

– Tym bardziej należy – odrzekł Ishvar. – Na wypadek, gdyby znów miało się pogorszyć.

– I tak musi się pogorszyć, czy Om się ożeni, czy nie – zawyrokował Maneck. – Wszystko kończy się źle. Takie są prawa tego świata.

Ishvar popatrzył na niego, jakby mu wymierzono policzek.

– Myślałem, że jesteś naszym przyjacielem – powiedział boleśnie zduszonym głosem.

– Ależ jestem. Nie mówię tego złośliwie, ale rozejrzyj się wokół siebie. Czasem rzeczywistość wygląda obiecująco, ale koniec końców wszystko...

– Starczy tego twojego filozofowania – przerwała mu Dina. – Jak nie umiesz powiedzieć nic miłego, to lepiej siedź cicho i zachowaj swoje czarne myśli dla siebie. Ja też nie zgadzam się z Ishvarem, ale to nie powód, by mówić takie złowróźbne rzeczy.

– To nie jest tak, że się nie zgadzam, mówiłem tylko...

– Dosyć! Już wystarczająco dużą przykrość zrobiłeś Ishvarowi.

Przykrość nie powstrzymała fiksacji Ishvara przed dalszym rozwojem. Dwa dni później pełnym niepewności głosem oznajmił, że powziął decyzję.

– Najlepiej będzie napisać list do ćaci Ashrafa i poprosić, by rozpuścił wieść wśród naszych ludzi.

Om przestał szyc i popatrzył wzgardliwie na stryja.

– Najpierw roi ci się, że odłożymy pieniądze, wrócimy do naszej wioski i otworzymy małą pracownię. Teraz masz nowe marzenie. A może byś się tak obudził dla odmiany?

– Co w tym złego, że człowiek zamienia marzenie niemożliwe na możliwe? Na pracownię trzeba wiele czasu, a małżeństwa nie można odwlekać. Bas, piszę do ćaca-dzi.

– Ostrzegam cię, pisz do niego tylko, jeżeli sam chcesz mieć żonę.

– Słyszeliście to? Mój bratanek mnie ostrzega. – Ishvar porzucił pozory opanowania, cała twarz mu stężała jak okaleczony lewy policzek. – Zrobisz, jak ci się mówi, zrozumiano? Za bardzo ci pobłażałem, Omprakash, właśnie tak, za bardzo pobłażałem. Na moim miejscu ktoś inny już by ci porachował kości przez te lata.

– Daj spokój, brachu. Nie boję się twoich pogrózek.

– Posłuchajcie go. Jeszcze parę miesięcy temu, w obozie pracy, co noc płakał w moich objęciach. Taki wystraszony, taki chory, jak dziecko wymiotował. A teraz proszę, jaki silny i krnąbrny. I dlaczego? Dlatego, że chcę dla ciebie jak najlepiej?

– Nikt tego nie kwestionuje – wtrąciła się Dina, licząc, że Ishvar opamięta się, jeśli i ona dołączy się do sprzeciwu. – Tyle tylko, że ślepy pośpiech jest nierozsądny. Gdyby to Oma gnało do ożenku, to inna sprawa. Ale tobie co tak śpieszno?

Ishvar uznał, że sprzymierzają się przeciw niemu.

– To mój obowiązek – rzekł cicho irytującym tonem mędrca, tym samym samozwańczo przypisując sobie zwycięstwo. Wrócił do pracy. Rozkojarzony sięgnął po kawałek materiału i wywrócił stertę sukienek.

– Cudownie! – naskoczyła na niego Dina. – Brawo! I jeszcze sufit rozwał, nie krępuj się. Widzisz, do czego doprowadza cię ten twój pilny obowiązek? To mania, nie żaden obowiązek, tylko mania. – Pomogła mu pozbierać pozrzucone ubrania. – Wszystko przez tę łajdacką kotkę, co porzuciła swoje małe u mnie w kuchni. To ona podsunęła ci ten wariacki pomysł.

W ciągu kilku następnych dnia zgryzota Ishvara przekładała się na niezdarność w pracy. Błędy, jak złe karty w triku sztukmistrza, powracały raz po raz, co dostarczało Dinie okazji, by zwrócić mu uwagę na groźbę takiego zachowania.

– Twoja mania matrymonialna zniszczy nasze przedsięwzięcie i odbierze nam chleb.

– Przepraszam, tyle mam teraz spraw na głowie – odrzekł Ishvar. – Ale proszę się nie martwić, to tylko przejściowa faza.

– Jak mam się nie martwić? Jak to niby ma minąć? Jak już będzie żona, to pojawią się dzieci. Wówczas będziesz mieć jeszcze więcej na głowie. Gdzie oni wszyscy się podzieją? I jeszcze te wszystkie gęby do wykarmienia. Ilu ludziom chcesz zrujnować życie?

– Pani może się wydawać, że to rujnowanie, a ja kładę fundamenty pod szczęście Oma. Małżeństwa nie zawiera się w miesiąc czy dwa. Minie co najmniej rok, zanim coś nam się uda załatwić. Jeśli dziewczyna jest młoda, może się zdarzyć, że rodzice będą chcieli poczekać dłużej. Ja chcę tylko jednego: znaleźć odpowiednią kandydatkę i zarezerwować ją dla mojego bratanka.

– Jak bilet kolejowy – wtrącił Maneck, a Om się roześmiał.

– Masz bardzo niedobry nawyk – powiedział Ishvar. – Zawsze żartujesz ze spraw, których nie rozumiesz.

A co człowiekowi pozostaje, pomyślał Maneck, ale obawa, że jeszcze bardziej zdenerwuje Ishvara, zamknęła mu usta.

•

Na kopercie, w której nadeszła odpowiedź Ashrafa czarna pieczęć przekreślała znaczek pocztowy. Widniała na niej data, nazwa dystryktu oraz hasło: ERA DYSCYPLINY, po którym następował złowieszczy wykrzyknik w kształcie pałki.

Niecierpliwie czekali, aż Ishvar rozerwie kopertę i podzieli się z nimi nowiną. Jego oczy wędrowały po kartce z niepewnością człowieka nienawykłego do czytania, potykającego się na literach skreślonych drżącą dłonią Ashrafa. Raz uśmiechnął się szeroko, potem zacukał się, pod koniec zmarszczył brwi. Wszystko to przyprawiało Oma o ogromne zdenerwowanie.

– Ćaća-dźi jest zdrow – zaczął Ishvar. – Tęskni za nami. Mówi, że chyba diabeł zakuł czas w łańcuchy, bo tak powoli płynie. Cieszy się, że Om się ożeni. On także jest zdania, że nie należy zwlekać.

– I co jeszcze?

Ishvar westchnął.

– Rozmawiał z ludźmi z naszej kasty.

– I?

– Cztery rodziny ćamarów są zainteresowane. – Westchnął ponownie.

– Hura! – zawołał Maneck, dając kuksańca Omowi. – Masz duże wzięcie. – Om odepchnął jego rękę.

– Ale Ishvar-bhai, takie wieści powinny cię zadowolić – powiedziała Dina. –

Skąd ta troska? Czy nie tego właśnie chciałeś?

Ishvar zaszeleścił dwiema kartkami, jakby żałował, że nie ma ich więcej.

– Z tej części jestem zadowolony. Trudność tkwi w drugiej.

Wyczekiwali.

– Zamierzasz nam powiedzieć dzisiaj czy jutro? – zapytał Om.

Ishvar przesunął palcem po zastygłym policzku.

– Cztery zainteresowane rodziny się śpieszą. Są też inne z synami gotowymi do ożenku. Na szczęście ćaća-dzi umocnił naszą pozycję. Powiedział, że Om pracuje dla dużej firmy eksportowej w mieście, że dobra z niego partia dla każdej dziewczyny. I teraz te rodziny chcą, żebyśmy dokonali wyboru i sfinalizowali sprawę w ciągu najbliższych ośmiu tygodni.

– To zbyt szybko – powiedziała Dina. – Będziecie musieli im odmówić.

W ciągu całego roku, gdy on i jego bratanek pracowali dla Diny, Ishvar ani razu nie uniósł głosu. Teraz, kiedy to uczynił, wszyscy, łącznie z nim, byli zaskoczeni i wystraszeni.

– Kim pani jest, żeby to oceniać! Kim pani jest, by mówić mi, co jest najlepsze dla mojego bratanka przy podejmowaniu najważniejszej decyzji jego życia! Co pani o nas wie, o jego wychowaniu, o moich obowiązkach? Wydaje się pani, że może pani udzielać rad w tych sprawach?

Ishvar, delikatny rozjemca o cichym i łagodnym głosie, pieniał się i wymachiwał rękami.

– Wydaje się pani, że jesteśmy pani własnością? Nie jesteśmy pani niewolnikami, my tylko dla pani pracujemy! A może chciałaby nam pani dyktować, jak żyć i kiedy umierać?

Następnie, jako że nie miał wprawy w wyrażaniu gniewu i nie wiedział, jak powinien kończyć się atak złości, wybuchnął płaczem i uciekł na werandę.

– Świetnie! – zawołała za nim Dina, odzyskawszy głos. – Rób, jak ci się podoba! Ale nie oczekuj, że zapewnię schronienie dla żony, dzieci i wnuków!

– Niczego od pani nie oczekuję! – odkrzyknął łamiącym się głosem.

Dina ukryła się we frontowym pokoju. Chciała być sama; nie ufała sobie, ani swojemu językowi. Trzęsąc się, usiadła na sofie obok Manecka.

– Niech się ciocia uspokoi, on przecież tak nie myśli.

– Nie obchodzi mnie, co on myśli – jej głos drżał. – Ale widziałeś? Na własne uszy słyszałeś. Po tym wszystkim, co dla nich zrobiłam – do własnego domu ich wzięłam, traktowałam jak rodzinę – ten krzyczy na mnie jak na psa. Powinam ich w tej chwili wyrzucić.

– Niech wyrzuca, niech wyrzuca! – krzyknął Ishvar z werandy. – Wiele mnie to obchodzi. – Parsknął, by odetkać ciekący nos, i poczuł w ustach sól.

Maneck przyłożonym do ust palcem dał Dinie znak, by nie zwracała na niego

uwagi.

– Kiedy przychodzi do tej całej historii z małżeństwem, nie ma logiki za jedną pajkę – szepnął. – Po co się z nim sprzeczać?

– Tylko dlatego, że żal mi Oma. Ale masz rację, to sprawa między nim a jego stryjem. Niech zrobią, co im się podoba. Mamy z tego kłopot przez wielkie „K”.

Om słyszał ich, siedząc w tylnym pokoju, i ukrył twarz w dłoniach.

•

Godziny na próżno przeczesywały zastygłą toń popołudnia: nie zmieniało się nic. Porzucony list Ashrafa leżał na stole, przy którym jadali. Wielka wskazówka zegara opadała z kreski na kreskę niczym kamień. Nikt nie zaparzył herbaty, nikt nie wyszedł na herbatę. Ishvar na werandzie, Om w tylnym pokoju, Maneck i Dina we frontowym: domostwo było skute lodem.

Słońce skłoniło się ku widnokręgowi, światło zaczęło się zmieniać. Lekki powiew wpadł przez okna, zaszeleścił listem leżącym na stole. Zbliżał się czas kolacji – pora, by robić ćapati. Om był głodny.

Szwendał się z kąta w kąt, jego sandały człapały z uporem. Napił się wody, podzwonił szklanką o garnek. Chciał, by te dźwięki poruszyły pozostałych; przyjazne dźwięki są w stanie stopić lody. Usiadł, zabębnił o blat singera, zagrzechotał nożycami, nawinał sześć szpul. Potem udał się do frontowego pokoju.

Jego przyjście sprawiło im ulgę. Maneck puścił do niego oko.

– To było coś, brachu. Wybuchnął jak te atomówki na Diwali.

Om zaśmiał się krótko i z przymusem.

– Sam już nie wiem, co mam począć z tym moim stryjem – zwierzył się ściszym głosem. – Martwię się o niego.

Jego słowa rozbawiły Dinę. Brzmiało w nich echo słów, którymi za dawnych dni posługiwał się Ishvar-mediator, kiedy Om był nieuprzejmy, kiepsko szył lub ogólnie źle się zachowywał.

– Cierpliwości – powiedziała.

– Co to takiego jest z tymi ślubami i weselami, że ludziom od nich odbija? Przy tym jednym temacie zmienia się w wariata.

– Ano tak, nie da się ukryć – skrzywiła się Dina. – Przypomina mi mojego brata.

– Pani poczeka, już ja postawię stryja do pionu. – Wyszedł na werandę, gdzie Ishvar siedział ze skrzyżowanymi nogami obok zwiniętego posłania.

– Oszalałeś? Tak się odzywasz do kogoś, komu tyle zawdzięczamy? – Z rękami złożonymi na piersiach Om rozpoczął połajankę.

Ishvar uniósł wzrok, uśmiechając się słabo. W słowach bratanka posłyszał to

samo echo, które wcześniej zauważyła Dina. Po dziwnym wybuchu gniewu czuł się głupio, był zbity z tropu i gotów do okazania skruchy.

– Natychmiast pójdziesz do pani Diny i powiesz, że ci przykro. Powiedz jej, że straciłeś głowę i nie myślisz naprawdę tych okropnych rzeczy. No już, idź. Powiedz, że szanujesz jej opinię i zdajesz sobie sprawę, że to, co mówi, wynika z jej troski o nas. Wstawaj i idź.

Stryj wyciągnął dłoń, Om chwycił ją, odchylił się w tył i dźwignął go w górę. Powłócząc nogami Ishvar wszedł do frontowego pokoju i zakłopotany stanął przed sofą, by przeprosić. Dla Diny była to powtórka: kazanie na werandzie dało się posłyszeć w mieszkaniu. Mimo to trwała sztywno, pilnie wpatrzona w ścianę po swojej prawej stronie.

Ishvarowi niemal wyczerpał się zapas słów, toteż westchnął.

– Dina-bai, by podziękować za pani dobroć i błagać o przebaczenie za moje grubiaństwo, padam do pani stóp. – Zaczął się schylać, groźba zadziałała.

– Ani mi się waż – Dina przerwała milczenie. – Wiesz, co o tym myślę. Nie będziemy więcej wracać do tego tematu.

– Okej-dzi. To mój problem i zgadzam się rozwiązać go we własnej głowie.

– Świetnie. Om to twój bratanek i do ciebie należą obowiązki ojcowskie.

•

Następnego wieczora Ishvar złamał pakt. Wciąż nie zabrał się do zainicjowanej przez siebie korespondencji i ta przykra okoliczność pogrążała go w przypływach dręczących wątpliwości. Raz za razem z jego ust dobywało się westchnienie „Hai Ram”. Prawdziwa przyczyna wybuchu, który miał miejsce dzień wcześniej, stała się jasna dla wszystkich.

– Okazja jest doskonała – gryzł się. – Tyle tylko, że nie jesteśmy na nią gotowi.

– Om to przystojny chłopak – powiedział Maneck. – Popatrz na tę jego ćikna^[182] fryzurę. Nie trzeba mu rezerwacji ślubnej. Dziewczyny z najwyższej półki same będą się ustawiać w kolejce, i to dziesiątkami.

Ishvar obrócił się i wycelował palec, zatrzymując go o cal od twarzy Manecka.

– Przestań szydzić w tak poważnej sprawie.

Przez chwilę zdawało się, że uderzy Manecka, ale opuścił rękę.

– Ja na ciebie patrzę jak na syna, jakbyś był bratem Oma. A ty mnie tak traktujesz? Drwisz sobie i żartujesz z czegoś, co jest dla mnie tak ważne?

Manecka zamurowało. Zdawało mu się, że w oczach Ishvara zobaczył załzęk łez. Zanim jednak zdążył wydobyć z siebie jakiegokolwiek słowo pocieszenia, Om pośpieszył z interwencją.

– Zwariowałeś, to na pewno. Już nawet nie potrafisz znieść zwykłego żartu. Przy byle okazji robisz cyrk.

Jego stryj przytaknął potulnie.

– Co robić, tak się tym przejmuję. Bas, od tej pory zamykam usta i myślę po cichu.

Ale bardzo zależało mu na ich zdaniu, chciał porządnej dyskusji, przychylnego konsensu, który zakryłby jego obsesję. Po kilku minutach zaczął na nowo.

– Kto wie, kiedy znów nadarzy się taka złota okazja? Cztery dobre rodziny do wyboru. Niektórzy przez całe życie nie znajdują ani jednej odpowiedniej kandydatki.

– Za wcześnie dla mnie, żeby się żenić – powtórzył ze znużeniem Om.

– Lepiej za wcześnie niż za późno.

– A co jeśli nasze krawiectwo weźmie w łeb z powodu strajku czy czegoś tam? – zapytała Dina. – Czasy są ciężkie, niczego nie można być pewnym.

– Tym bardziej należy się żenić. Kismet^[183] nowej żony odmieni życie nas wszystkich na lepsze.

– Nawet jeśli to prawda, to gdzie w tym maleńkim mieszkaniu znajdzie się miejsce dla niej?

– Do głowy by mi nie przyszło, by prosić o więcej miejsca. Weranda wystarczy.

– Dla ciebie, Oma i dla jego żony? Cała trójka na werandzie? – Pomysł brzmiał niedorzecznie. – Żarty sobie ze mnie stroisz?

– Nie, Dina-bai, skądże. Jak następnym razem pójdę szukać miejsca do mieszkania, powinna pani wybrać się ze mną i zobaczyć, jak żyją rodziny. Po osiem, dziewięć, dziesięć osób w malutkim pokoiku. Śpią jedno nad drugim na dużych półkach, od podłogi do sufitu, jak w kuzetce trzeciej klasy. Albo w szafie czy w łazience. Byle przetrwać, jak towary w magazynie.

– Wiem o tym, nie musisz mnie ponizać, całe życie mieszkam w tym mieście.

– W porównaniu z taką nędzą troje osób na werandzie to luksusowe warunki – powiedział żarliwie. – Ale nie nalegam. Jeśli sobie tego pani nie życzy, wrócimy do naszej wioski. Ważny jest ślub Oma. Kiedy to się wydarzy, mój obowiązek będzie spełniony. Reszta nie ma znaczenia.

•

W tydzień po otrzymaniu listu od ćaci Ashrafa Ishvar zdobył się na odwagę, by wykonać krok zmierzający do poznania czterech kandydatek. Mozolnie dobierając słowa, odpisał, że Om i on przyjadą za miesiąc.

– To nam da czas, by dokończyć sukienki, które przyniosła pani wczoraj – oznajmił Dinie. Gdy odpowiedź znalazła się w skrzynce pocztowej, dawny spokój powrócił do Ishvara i przylgnął do niego jak koszula.

Dla Diny było to niepojęte: Ishvar, rozsądny mężczyzna, raptem postradał rozum. Czy to możliwe, że uprawia rodzaj szantażu? Czy możliwe, by liczył, że

zapotrzebowanie na ich umiejętności zmusi Dinę, żeby przyjęła do siebie żonę Oma?

Jej podejrzenie raz przybierało na sile, raz słabło. Wzmagalo się, ilekroć Ishvar z naciskiem powtarzał, jak to los Diny odmieni się, jeśli panna młoda wprowadzi się do jej mieszkania.

– Zobaczy pani różnicę w tej samej minucie, kiedy dziewczyna przekroczy pani próg, Dina-bai. Synowe zmieniają przeznaczenie całego domostwa, to znana sprawa.

– Ona nie będzie ani moją synową, ani twoją – zwróciła mu uwagę Dina.

Ale ten drobny szczegół techniczny nie był w stanie zrazić Ishvara.

– Synowa to tylko słowo. Może ją pani nazywać, jak się pani spodoba. Pomyślny los nie czepia się takich drobiazgów jak jedno słówko.

Potrząsnęła głową z irytacją i rozbawieniem. Ishvar i oszustwo – jedno zwyczajnie nie pasowało do drugiego. Wszyscy wiedzieli, że starszy krawiec nie potrafi skrywać uczuć. Kiedy jego umysł był w rozterce, palce nie pozostawały w tyle i manifestowały stan konfuzji; gdy coś sprawiało mu przyjemność, jego półśmiech promieniał nieopanowanie, a ramiona rozwierały się, gotowe wziąć świat w objęcia. W tak otwartej naturze nie kiełkują chytre podstępny.

Wyzbyła się podejrzeń o szantaż. Byłyby bardziej uzasadnione w kontaktach z kimś pokroju Nusswana. Ten owszem – zdolny był do wszelkich perfidnych sztuczek. Próby odgadnięcia z góry jego działań mogły doprowadzić człowieka do obłędu. Zastanawiała się, jak to będzie, gdy nadejdzie pora ożenku dla jego dzieci. Już nie dzieci – Xerxes i Zarir byli dorosłymi mężczyznami. A Nusswan będzie próbował wybrać im żony, zaprzęgając do tego całą wprawę nabytą za czasów, gdy z takim uporem szukał dla niej męża.

Przypomniała sobie lata, gdy jej bratankowie byli mali. Ileż to było zabawy, lecz jak krótko potrwiała. I jacy biedni byli, kiedy Nusswan, Ruby i Dina kłócili się, krzycząc i wrzeszcząc. Nie wiedzieli, czyją stronę brać, do kogo biec – do tatusia czy do cici – by błagać o rozejm. Koniec końców tak wiele ją ominęło. Ich szkolne lata, świadectwa, dni wręczania nagród, mecze krykieta, pierwsze długie spodnie. Za niezależność przyszło zapłacić wysoką cenę: dług rozpisany na raty z bólu i żalu. Ale ta druga ewentualność – życie pod butem Nusswana – była nie do pomyślenia.

Jak zawsze, kiedy spoglądała wstecz, Dina mocno wierzyła, że lepiej jej w pojedynkę. Usiłowała przedstawić sobie Oma jako żonatego mężczyznę, oczami wyobraźni ujrzeć żonę u jego boku, kobietę o drobnej, delikatnej budowie, jak on. Zdjęcie ślubne. Om w nowym, sztywnym, wykrochmalonym ubraniu i w ekstrawaganckim ślubnym turbanie. Żona w czerwonym sari. Skromny naszyjnik, kolczyki w uszach i w nosie, bransolety – i lichwiarz

wyczekujący w gotowości, rad założyć im pętlę na szyje. A jaka będzie ona? I jak by to było, gdyby wreszcie w tym domu zamieszkała inna kobieta?

Obraz zaczął się kształtować, a Dina pozwoliła mu rozwijać się przez dwa dni, dodając głębię, szczegóły, kolory, fakturę. Żona Oma stoi w drzwiach wejściowych. Głowa skromnie spuszczone. Błysk oczu, kiedy unosi twarz, nieśmiały uśmiech na ustach, palce uniesione do warg. Mijają dni. Czasami młoda kobieta siada w samotności przy oknie i wspomina rodzinne strony. Dina dosiada się do niej i zachęca, by mówiła, by opowiedziała jej o życiu, które zostawiła za sobą. I wreszcie żona Oma zaczyna mówić. Kolejne obrazy, kolejne historie...

Trzeciego dnia Dina odezwała się do Ishvara:

– Jeśli na poważnie sądzisz, że weranda jest dość duża dla trojga ludzi, możemy spróbować.

Posłyszał ją ponad stukotem i szumem singera, i zatrzymał koło zamachowe, uderzając w nie otwartą dłoń.

– Dobrze, że to maszyna do szycia, a nie samochód – stwierdziła Dina. – Przewiozłbyś swoich pasażerów prościutko na tamten świat.

Ishvar ze śmiechem poderwał się ze stołka.

– Om! Om, słuchaj! – zawołał w kierunku werandy. – Dina-bai powiedziała „tak”! Chodź tutaj, chodź tu i podziękuj jej! – Później spostrzegł, że sam tego jeszcze nie uczynił. – Dziękuję, Dina-bai! – Złożył dłonie. – Po raz kolejny pomaga nam pani tak, że nie da się za to odpłacić.

– To tylko na próbę. Podziękujesz mi później, jeśli zadziała.

– Zadziała, dam słowo! Miałem rację z tą kotką... i że kocięta wrócą... i tu też się nie mylę, proszę mi wierzyć – mówił, z radości nie mogąc złapać oddechu. – Najważniejsze, że pani chce pomóc. To tak jakby nam pani złożyła życzenia i udzieliła błogosławieństwa. To najważniejsze, najważniejsze.

Nastrój w mieszkaniu uległ odmianie. Ishvar nie mógł opanować promiennego uśmiechu, którym obdarzał szwy wychodzące spod jego igły.

– Będzie doskonale, Dina-bai, proszę mi wierzyć. Dla nas wszystkich. Ta dziewczyna będzie użyteczna także dla pani. Będzie sprzątać w domu, chodzić na bazar, gotować...

– Załatwiasz Omowi żonę czy służącą? – spytała Dina uszczypliwym tonem.

– Nie, nie służącą – odpowiedział z wyrzutem. – Dlaczego wykonywanie obowiązków żony miałoby z niej czynić służącą? Jak ludzie mają osiągać szczęście, jeśli nie wypełniając swe obowiązki?

– Nie ma szczęścia bez sprawiedliwości – rzekła Dina. – Zapamiętaj to, Om. I nie pozwól, by ktoś ci wmówił, że jest inaczej.

– Otóż to – przytaknął Maneck, skrywając niewytłumaczalny smutek, który zdjął go nagle. – A jeśli się będziesz źle sprawować, to przyjdzie Parasol Bachchan

ze swoją zabawką w kształcie pagody i cię naprostuje.

•

Dina miała poczucie, że wyrażenie zgody na nową lokatorkę usankcjonowało jej rolę w małżeństwie Oma i dawało jej pewne prawa. Ładnie się chłopiec rozwinął przez tych ostatnich parę miesięcy, pomyślała. Świąd głowy zniknął, a jego włosy były zdrowe i nie ociekały już smrodliwym olejem kokosowym. To ostatnie było zasługą Manecka i jego awersji do tłustych substancji we włosach.

Powoli lecz wyraźnie Om przeobraził się na podobieństwo Manecka, od fryzury przez rzadki wąsik po ubranie. Ostatnią nowością były dzwony, które uszył sobie, pożyczwszy wcześniej spodnie Manecka na wzór. Za sprawą mydła Cinthol i talku marki Lakmé nawet pachniał jak jego przyjaciel. A i Maneck przejął pewne nawyki od Oma – zamiast zakładać w upalne dni pantofle i skarpetki, od których wieczorem załatywały mu stopy, nosił teraz sandały.

Lecz naśladownictwo jedynie podkreślało różnicę pomiędzy nimi: Maneck krzepki i grubokościsty, Om o delikatnej, ptasiej konstytucji. Jeżeli ktoś tu ma zostać mężem, pomyślała, to Maneck wydaje się bardziej gotowy niż Om, osiemnastoletnia chudzina.

Raz jeszcze dostrzegła w pełnej ostrości tę bolesną wątrość postaci, która uwijała się i śmigła po mieszkaniu. Zwłaszcza w kuchni, wieczorami, gdy niczym zakłeta patrzyła, jak jego umęczone palce fruwać, ugniatając ciasto i rozwałkowując ćapati. Walek w jego dłoniach poruszał się niczym zaczarowany. Jego kunszt i radość, którą zeń czerpał, działały hipnotyzująco. Sprawiały, iż miała ochotę przerwać własne obowiązki domowe i tylko stać i wlepić w niego oczy.

Zadumała się nad okresem, w którym Om mieszkał razem z nią. Widziała, jak pochłania obfite posiłki. Ilości te bynajmniej nie były ptasie. Znikała więc jedna możliwość – jego niedowaga nie wynikała ze złego odżywiania. Z ukrycia wypełzło jej pierwotne podejrzenie sprzed roku.

– Tak być nie może – oświadczyła, dyskutując na ten temat z Ishvarem. – Dzięki tobie chłopiec wkrótce weźmie na siebie dużą odpowiedzialność. Ale co z niego będzie za mąż i ojciec, jeśli będzie mieć żołądek pełen robaków.

– Skąd ta pewność, Dina-bai?

– Skarży się na bóle głowy i drapie w miejsca intymne. Je dużo, a dalej sama z niego skóra i kości. To są bezsprzecznie objawy.

Następnego dnia pokazała Ishvarowi ciemnobrązową buteleczkę środka czerwopędnego, którą nabyła w aptece.

– To najlepszy prezent ślubny, jaki mogę mu ofiarować.

Różowy płyn należało przyjąć w jednej dawce. Ishvar zbadał go, odkręciwszy

zakrętkę i obwąchawszy: woń nie była przyjemna. Byłoby świetnie, gdyby Om wykurował się przed ślubem, pomyślał.

– A co jeżeli to coś innego, a nie robaki?

– To nic, nie zaszkodzi mu. To lekarstwo działa po prostu przeczyszczająco. Om musi dziś wieczorem pościć i wziąć je tuż przed snem. Popatrz, tu na etykietce jest wyjaśnione.

Ale instrukcje okazały się dość skomplikowane dla jego rudymen tarnej angielszczyzny, która gubiła się, gdy zbłądziła zbyt daleko od klatki piersiowej, rękawa, kołnierzyka i talii. Obiecał, że skłoni bratanka, by połknął lekarstwo przed pójściem spać.

Trudniej było namówić Oma do zrezygnowania z kolacji.

– Co za niesprawiedliwość – poskarżył się. – Głodzicie kucharza, który robi wasze ćapati.

– Kiedy jesz, jedzą też robaki. Trzeba je przytrzymać na głodzie w twoim żołądku, aż otworzą szeroko paszcze. Wtedy, jak weźmiesz lekarstwo, łykną je ochoczo i zdechną.

Maneck powiedział, że widział raz film o lekarzu, który zrobił się malutki, by wejść do ciała pacjenta i stawić czoła chorobie^[184].

– Mógłbym zabrać małą spluwę i wystrzelać całe to twoje robactwo.

– Jasne – zgodził się Om. – Albo malutki parasol, żeby je zadźgać. A ja bym wtedy nie musiał pić tego świństwa.

– Zapominasz o jednym – zauważył Ishvar. – Jeśli będziesz taki mały w brzuchu, robaki będą jak ogromne kobry czy pytony. Tak, proszę szanownego pana, całe setki będą się roić, tłoczyć i syczeć na pana.

– Nie pomyślałem o tym – przyznał Maneck. – Nie było tematu. Odwołuję moją wyprawę.

•

Następnego ranka Dina straciła rachubę po siódmej wycieczce Oma do toalety.

– Umieram – jęczał krawiec. – Nic ze mnie nie zostało.

Potem, późnym popołudniem, wypadł z klozetu poruszony, lecz triumfujący.

– Wypadł! Wyglądał jak mały wąż!

– Wił się czy leżał nieruchomo?

– Wił się jak wariat.

– To znaczy, że lekarstwo nie zdołało go uśpić. Potężny pasożyt. Jak duży był?

Om namyślił się przez chwilę, potem wyciągnął rękę.

– Jak stąd dotąd – pokazał na czubki palców i nadgarstek. – Około ośmiu cali.

– No to już wiemy, dlaczego byłeś taki chudy. Ta utrapiona bestia i jej dzieci zjadały twój pokarm. Setki żołądków w jednym żołądku. A nikt z was mi nie

wierzył, jak mówiłam, że to robaki. Mniejsza o to, teraz szybko przybierzesz na wadze. Ani się obejrzymy, a będziesz zbudowany jak Maneck.

– Tak – powiedział Maneck. – Mamy trzy tygodnie, żeby zrobić z ciebie silnego męża.

– I ojca pół tuzina chłopców – dorzucił Ishvar.

– Nie dawaj złych rad – ofuknęła go Dina. – Tylko dwójka dzieci. Góra troje. Nie słuchacie ludzi od planowania rodziny? Pamiętaj Om, szanuj żonę. Żadnych krzyków, wrzasków ani bicia. I jedno jest pewne, nie zgodzę się na żadne kuchenki naftowe u siebie na werandzie.

Ishvar podchwycił aluzję, choć była zawołowana. Zaprotestował, oznajmiając, że palenie panny młodej i mordy dla posagu zdarzają się wśród chciwych wyższych kast, że jego ludzie tak nie postępują.

– Doprawdy? A co twoi ludzie mówią na temat płci potomstwa? Jakieś preferencje?

– Na te rzeczy nie mamy wpływu – oświadczył. – Wszystko jest w rękach Boga.

Maneck dał kuksańca Omowi i szepnął:

– Nie w rękach Boga, tylko w twoich gaciach.

•

Minął dzień, zanim Om wydobrał po zażyciu środka czerwiopędnego. Następnego wieczoru Maneck zaczął snuć plany, by powrót apetytu uczcić bhel-puri i wodą kokosową^[185] na plaży.

– Rozpuszczasz mi bratanka – powiedział Ishvar.

– Raczej nie. Pierwszy raz mu coś postawię. Poprzednio jedzenie trafiało do jego pieszczocha robaczka.

•

Ishvar wpatrywał się w mężczyznę stojącego w drzwiach i usiłował sobie przypomnieć, gdzie go spotkał. Głos brzmiał znajomo, ale twarz była obca. Cofnął się i dopiero wtedy rozpoznał zbieracza włosów. Ten zmienił się ogromnie. Skóra na jego czaszce była gładka i błyszcząca, wąsy zostały zgolone.

– To ty! Skąd się tu wzięłeś? – Zastanawiał się, czy powiedzieć mu, żeby zniknął, czy zagrozić, że wezwie policję.

Rajaram stał ze zwieszonymi ramionami, głowę miał opuszczoną, nie patrzył Ishvarowi w oczy.

– Przyszedłem w ciemno – powiedział. – Minęło tyle miesięcy, nie wiedziałem, czy ciągle tu pracujecie.

– Co się stało z twoimi długimi włosami? – zapytał Om, a Ishvar cmoknął z dezaprobatą. Nie chciał, by jego bratanek na nowo spoufalnął się z mordercą.

– Możesz pytać o moje włosy, to nic złego – powiedział Rajaram, unosząc głowę. Jego oczy spoglądały pusto, ogień niestrudzonej obrotowości zgasł. – Jesteście moimi jedynymi przyjaciółmi. Potrzebuję waszej pomocy. Ale strasznie mi głupio... ciągle nie zwróciłem ostatniej pożyczki.

Ishvar powściągnął obrzydzenie. Wikłanie się w sprawy policji ledwie kilka dni przed wyjazdem na ślub byłoby wielce złowróżbną okolicznością. Jeśli parę rupii pozwoli splawić zabójcę, zrobi to. Cofnął się o krok, by wpuścić Rajarama na werandę.

– Co się stało tym razem?

– Straszne kłopoty. Nic tylko kłopoty. Odkąd zburzono nasze budy, w moim życiu piętrzą się jedna za drugą gigantyczne przeszkody. Jestem gotów porzucić ten świat.

Szerokiej drogi, pomyślał Ishvar.

– Przepraszam – rzekła Dina. – Nie znam pana zbyt dobrze, ale jestem parsyjką i dlatego uważam, że samobójstwo jest złe. Ludzie nie powinni sami wybierać momentu swojej śmierci. Gdyby tak miało być, wolno by im było także decydować, kiedy się urodzą.

Rajaram wlepił wzrok w jej włosy i trwał tak przez kilka chwil, zanim odpowiedział.

– Wybór końca nie ma nic wspólnego z wyborem początku. Jedno jest niezależne od drugiego. Tak czy owak, źle mnie pani zrozumiała. Miałem na myśli jedynie to, że chcę wyrzec się materialnego świata, zostać sannjasinem i spędzić życie medytując w jaskini.

Dina była zdania, że to wyjście równie eskapistyczne jak samobójstwo.

– To jedno i to samo.

– Nie zgadzam się – powiedział Maneck.

– Nie przerywaj mi, proszę, Manecku – odparła, obracając się ponownie w stronę Rajarama. – A jak się sprawuje mój dawny zestaw fryzjerski? Działa nadal? To zestaw „made in England”, proszę ja kogo.

Rajaram zbladł.

– Sprawuje się pierwsza klasa.

Nie chciał więcej mówić o sobie w obecności Manecka i Diny.

– Czy mogę zaprosić moich dwóch starych przyjaciół na herbatę? Jak się nazywa ta restauracja, do której chodzicie – Aram?

– Vishram – odpowiedział Ishvar i sprawdził, czy ma w kieszeni dość pieniędzy na herbatę. Choć zaproszenie wyszło od zbieracza włosów, istniało prawdopodobieństwo, że koniec końców to on zapłaci rachunek.

W milczeniu poszli na róg ulicy i usadowili się wokół samotnego stolika. Kucharz zamachał im zatłuszczoną dłonią ze swego kąta.

– Pora na opowieść! – zawołał radośnie. – Jaki dzisiaj temat?

Krawcy zaśmiali się, potrząsając głowami.

– Temat jest taki, że nasz przyjaciel ma ochotę na waszą specjalną herbatę – powiedział Ishvar. – Przyjechał z bardzo daleka, żeby się z nami spotkać.

Rajaram popatrzył na niego niepewnie; zapomniał już, jak małe i wyeksponowane było wnętrze Vishrama. Był jednak wdzięczny za odrobinę prywatności, którą zapewniał rumor ryczących kuchenek.

– Co to za blagologia z tym sannjasinem? – zapytał Om.

– Mówię serio, chcę wyrzec się tego świata.

– A co z fryzjerstwem?

– Od tego zaczął się cały problem. Nie szło mi od pierwszego dnia. Lata zbierania włosów sprawiły, że nie nadawałem się do pracy fryzjera.

Ishvar nie zamierzał wierzyć w ani jedno słowo z ust mordercy.

– Chcesz powiedzieć, że zapomniałeś, jak się strzyże?

– Dużo gorzej. Za każdym razem kiedy klient przysiadł na chodniku i prosił, żeby go podciąć, kończył ogolony prawie na zero.

– Jakim cudem?

– Coś mnie brało. Zamiast podcinać, przystrzygać i modelować, siekałem wszystko. To było na swój sposób zabawne – niektórzy tacy mili i uprzejmi, jak im podsuwałem lustro, mówili: „Świetnie, znakomicie, dziękuję”. Pewnie nie chcieli zranić moich uczuć, mówiąc, że cienki ze mnie fryzjer. Ale większość nie była sympatyczna. Darli się, odmawiali zapłaty, grozili, że mnie pobiją. A ja zwyczajnie nie mogłem zatrzymać moich nożyczek i maszynki. Instynkt zbieracza włosów brał górę, byłem niczym potwór.

Po okolicy rozeszła się pogłoska o szaleńcu z nożyczkami i nikt już nie stawał przy jego chodnikowym zakładzie. Wkrótce nie miał wyboru. Musiał znów zająć się zbieraniem włosów w pełnym wymiarze czasowym. Ale tu pojawiał się kłopot: nie miał gdzie przechowywać toreb z tanimi ścinkami, które były jego chlebem powszednim.

– Wy także nie moglibyście przechowywać ich u siebie w kuferku. Na to potrzebny jest mały magazyn. Widzieliście moją chatę na osiedlu, jaka była zapchana od podłogi po sufit.

Rajaram załamał ręce i potrząsnął głową.

– Gdybym mógł zdobyć choćby jeden komplet dwunasto- czy czternastocalowych włosów na tydzień, to bym się utrzymał. Starczyłoby na jeden posiłek dziennie. Ale długie włosy nie były mi pisane.

– A te paczki, które zostawiałeś u Shankara? – przerwał Om. – W nich były długie włosy.

– To było później – powiedział Rajaram. – Cierpliwości, zwierzę wam się ze

wszystkiego. – Zapatrzył się tęsknie w dal, jak na paradę długowłosych ślicznotek. – Nigdy nie zrozumie, dlaczego kobietom tak zależy, by mieć zawsze długie włosy. Pięknie to wygląda, owszem, ale ile roboty z pielęgnacją.

Pociągnął łyk herbaty i oblizał wargi.

– Nie dojrzałem do tego, by się poddać. Jeszcze nie. Zaczęłem proponować darmowe strzyżenie żebrakom, bezdomnym i pijakom. – Późną nocą, kiedy ustawało picie i ciemne interesy, zbliżał się do kogoś, kto miał długie włosy. Niektórych trzeba było skusić drobną monetą. Jeśli byli nieprzytomni lub zbyt otumanieni, by wiedzieć, co się dzieje, częstował się bez pytania.

Ale przedsięwzięcie upadło. Jakość żniw była bardzo niska. Agent powiedział, że ten typ długich włosów, skołtunionych i brudnych, wart jest mniej niż ścinki od ulicznych balwierzów. Co więcej dostawy stały się nieregularne, kiedy na mocy Ustawy o upiększaniu policja zaczęła przeprowadzać łapanki.

Wyposzczony i bezdomny Rajaram gapił się zgłodniałymi oczami, jak na ulicy mijają go kobiety o nęcąco podrygujących splotach, szydząc z niego noszonym na głowie bogactwem. Czasem wybierał sobie którąś i śledził ją. Zawsze była to elegancka dama z towarzystwa, bywalczyni salonów fryzjerskich, istniało wtedy prawdopodobieństwo, że akurat przymierza się do obcięcia swych pukli. Kobiety, za którymi puszczał się w pogoń, prowadziły go do domów przyjaciółek, gabinetów lekarskich, astrologów, uzdrowicieli, restauracji i sklepów z sari, lecz nigdy do fryzjera.

Uważnie przyglądał się też długowłosym mężczyznom: zagranicznym i lokalnym hipisom z brodami i koralikami. Przyjezdni zrobieni na miejscowych nosili sandały, kurty i szerokie spodnie, tutejsi zaś snuli się w trampkach, dzwonach i t-shirtach, przy czym jedni i drudzy tak samo cuchnęli. Zastanawiał się, ile można zarobić na głowie rudej lub blond, lecz nie trudził się śledzeniem ich, gdyż wiedział, że nigdy się nie strzygą.

Szkoda, zaczął dumać, że włosy są tak solidnie umocowane do głowy właściciela, a tym samym tak trudne do ukradzenia. Tkwią tam mocniej niż torebka w kurczowo zaciśniętej dłoni, przylegają ciaśniej niż tłusty portfel w kieszeni obcisłych spodni. Nie sięgną ich palce najsprawniejszego rzezimieszka. Czy raczej rzeziwłosa. Pomyśleć tylko: takie to lekkie i delikatne, a tak się uparcie trzyma – wprost niesłychane. Ich korzenie wpijają się w skórę głowy jak korzenie potężnego baniana zakotwiczonego w glebie. Oczywiście pod warunkiem, że nie wda się łysienie i włosy nie zaczną wypadać.

By zabić czas – opowiadał krawcom – marzył, że staje się pierwszym rzeziwłosem na rynku. Wyobrażał sobie, jak tworzy system, który przewycięży wrodzoną niechęć włosów do rozstawania się z głową. Może wynajdzie środek chemiczny, który rozpryskany na ciele ofiary rozpuści korzenie, lecz nie pozbawi

włosów blasku. Albo magiczną mantrę hipnotyzującą delikwenta i sprawiającą, że włosy same odpadną, tak jak starożytne wedyjskie śloki wypowiedane przez sadhu potrafiły wzbijać płomienie z drewnianych kłód lub ściągać deszcz z chmur.

I tak wygłodniałe godziny mijały mu na marzeniach, aż doszedł do wniosku, że w rzeczywistości rzeziwłos nie potrzebuje żadnego nowego wynalazku ani nadludzkiej mocy: po wprowadzeniu kilku modyfikacji w pełni wystarczą mu techniki kieszonkowców. W zatłoczonych miejscach będzie to łatwe, jeśli zręcznie zastosować tę samą metodę, co urzynacze. Ci, jak wiadomo, dla obłaskawienia restrykcyjnej kieszeni posługują się ostrym narzędziem; on nadal miał swoje ostre jak brzytwa nożyczki. Jedno cięcie i włosy będą jego.

W pewnym momencie rojenia Rajarama nabrały poważniejszych kształtów. Zaczął wierzyć, że nie istnieje etyczne powiązanie między opróżnianiem ludziom kieszeni a aplikowaniem niezamówionych usług fryzjerskich. Pierwsze stanowiło przestępstwo, polegającą na pozbawieniu ofiary pieniędzy. Drugie było dobrym uczynkiem, uwolnieniem od jarzma, likwidacją wszego łęgowiska. Czyn ten miał oszczędzić ofiarom czasu, wysiłku i swędzącego ciemienia, nie mówiąc już o pochopnych wydatkach na szampony i balsamy do włosów. Zresztą, jak uważał Rajaram, wyraz „ofiara” nie był zbyt trafny w tym kontekście. Niewątpliwie lepiej pasowało tu słowo „beneficjent”. To próżność nie pozwala ludziom dostrzec, co dla nich dobre. Należało podać im pomocną dłoń. Tak czy owak strata miała być tymczasowa – włosy odrosną.

– Zacząłem sumiennie trenować – powiedział, głaszcząc się po łysej głowie, gdy tymczasem krawcy wiercili się na restauracyjnej ławce. Dotychczasowa opowieść zbieracza włosów odebrała im mowę. – Jeździłem po przedmieściach, aż znalazłem wiejskie odludzie, gdzie mogłem się wprawiać.

Tam, z dala od ludzkich oczu, z wypchanej gazetami torby uformował kulę wielkości ludzkiej głowy, ale o wiele lżejszą, tak lekką, by zawieszona z gałęzi na kawałku szpagatu kiwała się przy najlżejszym szturchnięciu. Do torby przywiązał bujne pęki sznurków. Następnie ćwiczył obcinanie ich blisko głowy, w taki sposób, by nie potrząsnąć torbą. Dla urozmaicenia zaplatał sznurki w warkocze, upinał je w gęsty koński ogon lub rozpuszczał, by spadały kaskadą loków.

W miarę postępów zestaw ćwiczebny był modyfikowany tak, by pozorować autentyczne sytuacje. Rajaram podstawiał pod warkocz płócienną torbę, by złapać go w locie, upuścić nożyczki do środka i zamknąć torbę – a wszystko jednym płynnym ruchem. Ćwiczenia odbywał w bardzo ciasnych przestrzeniach, żeby wytrenować dłonie do pracy w tłumie. Gdy opanował wszystkie umiejętności, powrócił na rozpychające się łokciami ulice i bazyry miasta.

– Ale dlaczego brnąłeś w to szaleństwo? – spytał Ishvar. – Skoro biznes

włosowy upadł, to czy nie łatwiej było zająć się zbieraniem czegoś innego? Gazet, butelek, zostać dabbawalą^[186]?

– Sam zadaję sobie to pytanie. Odpowiedź brzmi „tak”. Były dziesiątki innych możliwości. W najgorszym wypadku mogłem zostać żebrakiem. Nawet to byłoby lepsze niż potworna droga, na którą wkroczyłem. Teraz łatwo to dostrzec. Ale wtedy ogarnęła mnie ślepotą. Im trudniej było znaleźć długie włosy, z tym większą desperacją pragnąłem zwyciężyć, jak gdyby od tego zależało moje życie. Tak więc mój plan nie wydawał mi się szalony.

Co więcej, gdy wprowadził go w życie, spostrzegł, że opracowany przezeń system działa rewelacyjnie. Rajaram wpychał się w tłum ze swym płóciennym workiem i parą nożyc, i starannie wybierał ofiarę (lub beneficjentkę), przy czym nigdy nie był niecierpliwym ani zachłannym. Głowa z dwoma warkoczami nie była w stanie sprawić, że połasi się na oba – zadowalał się jednym. Zawsze też poskramiał pragnienie, by ciąć nazbyt blisko karku – dodatkowy cal lub dwa mogły stać się przyczyną jego upadku.

Na bazarze trzymał się z dala od klientek, które przychodziły ze służbą, choćby ich włosy były nie wiedzieć jak bujne. Unikał także matron z dziećmi depczącymi im po piętach – młodź była nieobliczalna. Od kobiety, którą miał wyróżnić i obdarzyć łaską swych nożyc, oczekiwał, że będzie samotna, najlepiej biednie ubrana, pochłonięta kupowaniem warzyw dla rodziny, zdenerwowana wysokimi cenami; że będzie targować się wytrwale lub jej uwagę zaabsorbują odważniki i szalki sprzedawcy; że będzie pilnować, by jej nie nacięto.

Niemniej wkrótce miała zostać nacięta, ale w zupełnie inny sposób. Wokół płynęli przechodnie, gdy ostry instrument Rajarama wynurzał się niepostrzeżenie. Zadawał jeden szybki i czysty cios. Warkocz spadał do płóciennego worka, a on znikał. Oto wybawił kolejną ze swych sióstr od ciężaru, pod którym ugiwała się, nic o tym nie wiedząc.

Na przystankach autobusowych Rajaram wybierał tę kobietę, która najbardziej pilnowała swej torebki, ściskając ją kurczowo pod pachą, podczas gdy skóra lub plastik nagrzewały złane ciało. Wilgotne półkole wędrowały po jej bluzce niczym epidemia. Rajaram wtapiał się w tłum. Był jednym ze znużonych pasażerów, wracających z pracy do domu. Kiedy przyjazd autobusu zmieniał kolejkę w szarżującą horde, nerwowa kobieta wystarczająco długo wahała się na obrzeżach tłumu, by nożyce dokonały swego dzieła.

Nigdy nie uderzał dwukrotnie na tym samym targowisku lub przystanku autobusowym. Byłoby to nadmiernie ryzykowne. Często natomiast powracał z pustymi rękami na miejsce zbrodni (lub szlachetnego czynu), by posłuchać bazarowych plotek.

Z początku panowała cisza. Prawdopodobnie – tak przypuszczał – kobiety

były zbyt zawstydzone, by podnosić raban. A może nikt im nie wierzył lub uznawano, że sprawa jest nie dość poważna.

Jednak koniec końców zaczęły się pojawiać grepsy i dowcipy o zgubionych, skradzionych lub zapodzianych włosach. Jeden z żartów krążących po stoiskach z betelem głosił, że podczas stanu wyjątkowego, w związku z likwidacją slumsów, wyewoluowała nowa rasa miejskich gryzoni, gustujących nie w nadgniłych odpadkach, lecz w kobiecych włosach. W dokach mathadi rozładowujący statki sławili czyny tajemniczego łowcy włosów, przekonani, że to sprawka ich brata z niższej kasty, biorącego odwet za stulecia represji ze strony kast wyższych, kiedy to ich kobietom golono głowy, kiedy odzierano je z ubrań i gwałcono. Przy stoiskach z herbatą i restauracjach prowadzonych przez parsów inteligencja sarkastycznie komentowała, że Program Likwidacji Slumsów uzyskał szersze prerogatywy za sprawą biurokratycznego partactwa: chochlik w okólniku najwyższego szczebla zmienił Politykę Upiększania Miasta w Politykę Upiększania Mieszkańców i oddelegowane w tym celu służby zabrały się do włosów z równą topornością, z jaką wcześniej oporządziły slumsy. W nieunikniony sposób pojawiła się także obca ręka, która przybrała postać agentek CIA rozsiewających pogłoski o zaginionych fryzurach w celu zachwiania morale narodu.

– Wszyscy z tego żartowali, więc się nie przejmowałem – opowiadał Rajaram. – Stawałem się coraz pewniejszy siebie i pomyślałem, że pora rozwinąć przedsiębiorstwo.

Przedmiotem jego troskliwych zabiegów stali się hipisi, których przez dłuższy czas uważał za beneficjentów doskonałych acz niedostępnych. Odkrył, że nad ranem leżą oni w narkotycznym śnie nieopodal addy^[187] diler, u którego kupowali haszysz.

Uwolnienie pogrążonych w katatonii cudzoziemców od ich pukli było dziecięcą igraszką. Jeśli któryś akurat otworzył oczy i zobaczył, że jego towarzysz jest właśnie strzyżony, uznawał to za halucynację i chichotał idiotycznie lub szeptał coś w rodzaju „ale faza, człowieku” albo „dobra jazda”, a następnie, podrapawszy się w krocze, zasypiał z powrotem. Pewnego razu Rajaramowi zdarzyło się nawet ostrzyc parę, która oddawała się pozamałżeńskim aktywnościom seksualnym. Zaczął od mężczyzny, który był na wierzchu, później ostrzygł kobietę, gdy w połowie to ona wdrapała się na górę. Kołysanie i podrygi nie nastęrczyły najmniejszej trudności wprawnej dłoni zbieracza włosów. „Oż ty!”, zawołał mężczyzna podniecony swą wizją. „Ale odlot! Kama^[188] szykuje cię do wejścia w nirwanę!”. Na co kobieta wyszeptała: „To natychmiastowy karman^[189], kotku!”.

Rajaram miał poczucie, że nareszcie wychodzi na prostą. Z entuzjazmem witał

najazd cudzoziemców, w przeciwieństwie do bardziej konserwatywnych obywateli, uskarżających się na zdegenerowanych Amerykanów i Europejczyków, którzy przekazują plugawe zwyczaje i dekadentckie maniere podatnej na wpływy młodzieży. Rajaram łaskawym okiem patrzył, jak napływają do miasta – pod jednym warunkiem: by mieli włosy do ramion lub dłuższe.

W tym mniej więcej czasie żebracy na nowo zajęli swe miejsca na chodnikach, a Ustawa o upiększaniu dobiegła do końca swojego schizofrenicznego cyklu i stała się martwym przepisem. Wycwiczone oko zbieracza włosów natychmiast spostrzegło zmianę. Interes kwitł, toteż, rzecz jasna, przestał uganiać się za brudnymi kołtunami żebraków. Niektórzy rozpoznawali go i wołali za nim, domagając się darmowych postrzyżyn, ale ignorował ich.

– I gdybym tylko ignorował ich w dalszym ciągu – rzekł Rajaram, wzdychając ciężko. – Moje życie wyglądałoby dziś inaczej. Lecz nasze przeznaczenie zostaje nam zapisane na czole przy narodzinach. To właśnie żebracy stali się źródłem mej zguby. Nie piękne kobiety z bazarów, do których tak bardzo bałem się zbliżyć. Nie upaleni haszyszem hipisi, o których myślałem, że pewnego dnia złożą mi skórę. Nie – to musiała być para żebraków bez żadnego oparcia.

Rajaram przerwał i zmierzył podejrzliwym wzrokiem kasjera kelnera, który uśmiechał się do nich zza kontuaru, wciąż licząc, że zaproszą go, by podzielić się opowieścią. Krawcy nie zwrócili nań uwagi.

– Wiemy wszystko o żebrakach – powiedział cicho Ishvar. – Dlaczego musiałeś ich zabić?

– Wiecie! – wykrzyknął przerażony Rajaram. – No jasne! Wasz mistrz! Ale ja tego nie zrobiłem. Znaczą się, zrobiłem... znaczą się... to wszystko była pomyłka! – Skrył twarz w dłoniach i opuścił ją na stół, niezdolny, by spojrzeć przyjaciółom w oczy. Później poderwał się i pocierał nos. – Ten stół śmierdzi. Ale proszę, pomóżcie mi! Proszę! Nie dajcie...!

– Uspokój się, wszystko w porządku – powiedział Ishvar. – Mistrz nie wie, że to ty. Wspomniał tylko, że dwoje jego żebraków zamordowano i że skradziono ich włosy. Od razu pomyśleliśmy o tobie.

Rajaram wyglądał na zranionego.

– No wiecie, to mógł być inny zbieracz włosów. W tym mieście są ich setki. Nie musieliście zaraz myśleć, że to ja. – Przełknął ślinę. – Więc nic mu nie powiedzieliście?

– To nie nasz interes.

– Dzięki Bogu. Nie chciałem zrobić krzywdy tym żebrakom, a tak się potoczyło, taka straszna pomyłka z tego wyszła, wierzcie mi.

Pewnej nocy, kiedy wyruszył na obchód, natknął się na dwoje żebraków, kobietę i mężczyznę, śpiących pod portykiem z kolanami podkulonymi pod

zapadłe brzuchy. Minałyby ich, nie przystając, ale światło latarni odsłoniło ich włosy. Były piękne. Obie głowy iskrzyły się intensywnym blaskiem. Rzadko widywał podobny połysk podczas swych rozległych podróży. Z takich włosów były utkane sny dyrektorów w agencjach reklamowych. Klienci biliby się, żeby mieć je w swoich reklamach – ich lśnienie wyniosłoby towary takie jak Shikakai Soap czy Tata's Perfumed Coconut Hair Oil na nieznane dotąd wyżyny zyskowności.

Lecz jakie to dziwne, myślał Rajaram, że taki skarb zdobi głowy dwojga zasuszonych żebraków. Przyklęknął i koniuszkami palców delikatnie dotknął migotliwych splotów; przypominały jedwab. Nie potrafiąc się powstrzymać, ułożył je sobie w dłoni i delectował się ich fakturą. Palce zeszywniały mu w zmysłowej agonii, jak gdyby miały wykraść włosom sekret rozjarzonej miękkości.

Żebracy poruszyli się i czar prysł. Rajaram przypomniał sobie o zawodowych powinnościach. Wydobył nożyce i wziął się do pracy, zaczynając od kobiety. Po raz pierwszy w karierze uczył żal. To zbrodnia, myślał, oddzielać tak cudowne włosy od korzeni – ich magiczna poświata niechybnie zblaknie jak rumieniec zerwanego kwiatu. Odcięte loki zostały w jego ręce. Zwinął je i spakował do płóciennego worka. Później zabrał się do mężczyzny. Jego włosy były praktycznie nieodróżnialne od włosów kobiety.

Dokładnie w chwili, gdy zbieracz włosów kończył swe dzieło, żebraczka przebudziła się i zobaczyła, jak kuca obok niej, a nożyce lśnią w mroku niczym mordercza broń. Wydała z siebie skowyt zdolny zatrzymać serce. Mężczyzna obudził się i także podniósł mrozący krew w żyłach wrzask.

– Te krzyki – powiedział Rajaram, wzdrygając się, jak gdyby nadal dzwoniły mu w uszach – przeraziły mnie ogromnie. Byłem pewien, że przybiegną policjanci i zatłuką mnie na śmierć. Zaklinałem żebraków, by się uciszyli. Wszystko jest w porządku, mówiłem, nic im nie zrobię. Sam obciąłem sobie pukiel włosów, by pokazać im, że to, co robię, jest nieszkodliwe. Błagałem ich, wyciągnąłem z kieszeni pieniądze i obsypałem ich banknotami i monetami. Ale oni dalej się wydzielali. I dalej, i jeszcze, i jeszcze! Doprowadziło mnie to do szaleństwa!

Spanikował, uniósł nożyce i uderzył. Najpierw kobietę, potem mężczyznę. W gardło, w piersi, w brzuch: we wszystkie nieszczęsne miejsca, które pompowały oddech i napędzały organy do wydawania tych straszliwych krzyków. Dźgał raz za razem, aż zapadła cisza.

Nikt nie przyszedł, by sprawdzić, co się stało. Ulice nawykły do zawodzenia samotnych szaleńców i wycia rozczarowanych życiem alkoholików. Po drugiej stronie jezdni ktoś zaśmiał się histerycznie; zaszczekały psy; zadzwonił świątynny dzwon. Rajaram uciekł, idąc najszybciej jak śmiał, tak, by nie przyciągać uwagi.

Później wyrzucił nożyce, zaplamione krwią ubrania i włosy. Przy pierwszej nadarzającej się okazji ogolił głowę i wąsy, bowiem nie ulegało wątpliwości, że gdy policja będzie przesłuchiwać ludzi z okolicy, żebracy opiszą faceta, który zwykł pojawiać się regularnie, by ścinać i zbierać włosy.

– Ale nie jestem bezpieczny – powiedział Rajaram. – Choć minęły miesiące, Wydział Kryminalny nadal mnie szuka. Bóg jeden wie, czemu moja sprawa ich tak fascynuje – każdego dnia ludzie popełniają setki innych zbrodni. – Herbata w jego filiżance wystygła. Skrzywił się, gdy ją przelykał. – Usłyszeliście o wszystkich nieszczęściach, które się wydarzyły. Pomożecie mi?

– Ale jak? – spytał Ishvar. – Może najlepiej będzie oddać się w ręce policji. Wygląda to beznadziejnie.

– Nadzieja jest. – Rajaram przerwał i nachylił się bliżej, wbijając w nich oczy. Teraz tlił się w nich niewielki płomyk. – Tak jak powiedziałem wam na początku, zamierzam wyrzec się tego świata troski i zgryzoty. Pragnę prostego żywota sannjasina. Chcę długimi godzinami medytować w zimnej, ciemnej himalajskiej jaskini. Będę spać na gołej ziemi. Wstawać ze słońcem i chodzić spać z nadejściem gwiazd. Deszcz i wiatr, choćby nie wiem jak silne, nie będą mieć większego wpływu na moje umartwione ciało. Wyrzucę grzebień, a moje włosy i broda wyrosną długie i splątane. Drobnie żyjątka znajdą w nich spokojne schronienie i do woli będą kopać i wiercić norki, albowiem ja nie będę ich turbować.

Ishvar uniósł brwi, a Om przewrócił oczami, ale Rajaram nie zwrócił uwagi na żadnego z nich. Powolnym, starannym gestem odsunął filiżankę z herbatą, jak gdyby dokonywał pierwszego aktu wyrzeczenia. Dzika, romantyczna wizja ascezy zadziałała pobudzająco na jego wyobraźnię, popychając ją ku drastycznym obrazom.

– Kroczyć będę bosy, a moje pięty i podeszwy stóp, spękane i pocięte, krwawić będą z tuzina ran i skaleczeń, na które nie naniosę żadnej maści ni balsamu. Nie przestraszą mnie węże, które przetną mą ścieżkę w ciemnej dżungli. Bezpańskie psy będą kąsać mnie w kostki, gdy przemierzać będę nieznanne miasta i odległe osady. Będę żebrac o jedzenie. Dzieci, a czasem i dorośli, drwić będą ze mnie i ciskać za mną kamieniami, wystraszeni osobliwym wyrazem mej twarzy i oszalałymi oczami zwróconymi do wnętrza. Gdy zajdzie taka potrzeba, będę szedł głodny i nagi. Brnąć będę przez skaliste równiny i w dół stromych wzgórz. Nigdy nie będę się skarżyć.

Oczy Rajarama porzuciły jego publiczność i tęsknie wpatrzyły się w dal; one już wyruszyły w podróż przez subkontynent. Zdawało się, że sprawia mu to przyjemność, jakby planował wakacyjną marszrutę. W narożniku kucharza skończyła się nafta w kuchence. Bez jej ryku w pomieszczeniu zrobiło się ciszej niż zwykle.

Brak zgiełku wyrwał Rajarama z rozmarzenia i przywrócił do samotnego, cuchnącego stolika w Vishramie. Kucharz poszedł na zaplecze, by przynieść bańkę z naftą. Patrzyli, jak wsuwa lejek do otworu i napełnia kuchenkę.

– Światowe życie doprowadziło mnie do katastrofy – powiedział Rajaram. – Zawsze tak się dzieje, z każdym z nas. Tyle że nie zawsze jest to tak oczywiste jak w moim wypadku. A teraz zdany jestem na waszą łaskę.

– Ale my nic nie wiemy o stawaniu się sannjasinem – powiedział Ishvar. – Czego od nas chcesz?

– Pieniądzy. Potrzebuję na bilet kolejowy, żeby dojechać w Himalaje. Mam nadzieję, że uzyskam odkupienie – jeśli uda mi się uciec z dala od policji i tych z Wydziału Kryminalnego.

Wrócili do mieszkania. Rajaram czekał przy drzwiach, podczas gdy Ishvar wszedł do środka i poprosił Dinę, by wypłaciła mu z ich oszczędności równowartość biletu trzeciej klasy na Frontier Mail.

– To wasze pieniądze i nie ja wam będę mówić, jak je wydać – powiedziała. – Ale jeśli wyrzeka się tego świata, to na co mu bilet? Może iść tam pieszo i żebrać po drodze jak inni sadhu.

– To prawda – odparł Ishvar. – Ale to by zajęło dużo czasu. A jemu śpieszno do zbawienia.

Zaniósł pieniądze na werandę, do Rajarama, który przeliczył je i zawahał się.

– Czy mógłbyś ewentualnie dorzucić mi jeszcze dziesięć rupii?

– Na co?

– Na dopłatę za kusetkę. To bardzo niewygodne siedzieć przez całą noc podczas takiej długiej podróży kolejowej.

– Przykro mi – rzekł Ishvar, gotów nieomal, by wyrwać z powrotem pieniądze.

– Więcej dać nie możemy. Ale zajrzyj do nas, jeśli będziesz kiedyś w mieście, skoczmy na herbatę.

– Wątpię, by się tak zdarzyło – odparł Rajaram. – Sannjasinowie nie mają wakacji. – Później zaśmiał się niewesoło i zniknął.

Om zastanawiał się, czy jeszcze go kiedyś zobaczą.

– Ten jego nawyk pożyczania pieniędzy był męczący, ale ciekawy z niego facet. Znosił nam opowieści ze świata.

– Nic się nie martw – powiedział Ishvar. – Przy jego szczęściu wszystkie jaskinie będą zajęte, gdy tam przyjedzie. Wróci i opowie nam, jak to w Himalajach natknął się na tabliczkę „Brak wolnych miejsc”.

[181] *Sannjasin* – w hinduizmie bezdomny wędrownik w ostatnim, czwartym okresie życia, wolny od wszelkich ziemskich uwarunkowań, posiadający tylko

miseczkę żebraczą i nędzne odzienie. Pozostałe okresy życia prawowiernego hindusa to: *brahmaćarin* (uczeń), *gryhastha* (pan domu) i *wanaprastha* (pustelnik).

[182] *Ćikna* – dosł. tłusty lub śliski; slangowe określenie oznaczające „seksowny, atrakcyjny, zabójczy”,

[183] *Kismet* – w islamie: los, przeznaczenie, zrządzenie.

[184] Maneck nawiązuje do *Fantastycznej podróży* (1966, reż. Richard Fleischer) z Raquel Welch. W tym filmie science-fiction rozgrywającym się w realiach zimnej wojny, do ciała otrutego naukowca wprowadzono zminiaturyzowany okręt podwodny.

[185] W Indiach popularnym przysmakiem jest sok z niedojrzałego kokosa. Aby go wypić, w orzechu wycina się maczetą dziurkę; następnie rozłupuje się kokos na pół i wyjada ze środka biały miąższ.

[186] *Dabbawala* – roznosiciel posiłków; przedstawiciele tej profesji opracowali popularny w Bombaju i charakterystyczny dla tego miasta system roznoszenia południowego posiłku urzędnikom pracującym w biurach.

[187] *Adda* – spotkanie towarzyskie, nielegalny lokal, w którym spożywa się alkohol lub narkotyki.

[188] *Kama* – hinduski bóg miłości.

[189] *Karman* – dosł. dzieło, czyn; w religii i filozofii hinduizmu suma uczynków popełnionych w poprzednim życiu, od której zależy charakter następnego wcielenia.

14 POWRÓT SAMOTNOŚCI

Kurz i drobiny włókien przyprawiały Dinę o napady kichania, kiedy sprzątała pokój krawiecki i sortowała ścinki. Podmuchy powietrza porywały skrawki tkaniny. Ostatnie sukienki zostały doręczone do Au Revoir, a panią Guptę uprzedzono o sześciotygodniowej przerwie.

Dina z zaciekawieniem wypatrywała nadejścia pustki czasu. Jak repetytorium z samotności, pomyślała. To będzie dobre ćwiczenie. Bez krawców, bez lokatora, sama ze swymi wspomnieniami, przewinie je jedno za drugim, obejrzy bacznie jak kolekcję monet, ich blaski, zaśniedzenia, wytłoczenia. Jeśli zapomni, jak żyć w samotności, pewnego dnia będzie jej ciężko.

Odłożyła na bok najlepsze kawałki na kapę, pozostałe upchnęła na dolnej półce. Singery przesunięto do kąta, a stolki postawiono na nich, dzięki czemu wokół łóżka było teraz więcej miejsca. Kuferek krawców, spakowany i gotów do drogi, stał na werandzie. Przedmioty, których nie zabierali ze sobą, zmagazynowano w kartonowych pudłach.

Do odjazdu pozostały dwa dni. Nie mieli żadnych zajęć, toteż upływające godziny, luźne i nieuporządkowane, miały w sobie coś osobliwego, jak gdyby szwy popękały i namiot czasu to zapadał się, to pęczniał.

Po kolacji Dina na nowo podjęła pracę nad kapą, która, jeśli nie liczyć wyrwy o powierzchni dwóch stóp kwadratowych na jednym końcu, osiągnęła zamierzone przez nią wymiary: sześć na siedem. Om siedział na podłodze i masował stopy stryja. Patrząc na nich Maneck zastanawiał się, jakby to było masować stopy taty.

– Dobrze wygląda ta narzuta, to na pewno – powiedział Om. – Powinna być gotowa do naszego powrotu.

– Mogłaby, gdybym dodała więcej skrawków z poprzednich zleceń – powiedziała Dina. – Ale powtarzanie tego samego jest nudne. Zaczekam, aż dostaniemy nowy materiał. – Ujęli kapę za przeciwległe końce i rozpostarli ją. Schludne szwy krzyżowały się jak symetryczne kolumny mrówek.

– Ale piękna – powiedział Ishvar.

– Och, każdy może zrobić kapę – odrzekła Dina skromnie. – To tylko resztki z ubrań, które uszyliście.

– Tak, ale trzeba mieć talent, żeby połączyć kawałki, tak jak pani to robi.

– Patrzcie – wskazał Om. – Patrzcie tutaj, popelina z naszego pierwszego

zlecenia.

– Pamiętasz – powiedziała Dina z zadowoleniem. – A jak szybko skończyście tamte sukienki. Myślałam, że znalazłam dwóch geniuszy.

– Głodne żołądki poganiały nasze palce – zaśmiał się Ishvar.

– Później był ten żółty kreton w pomarańczowe prążki. A jak mi w kość dawał wtedy ten młody człowiek. Klótnie i użeranie się o wszystko.

– Ja i klótnie? W życiu.

– Poznają te białe i niebieskie kwiaty – wtrącił Maneck. – Są z sukienek, które ciocia robiła w dniu, kiedy się wprowadziłem.

– Jesteś pewien?

– Tak, to był dzień, kiedy Ishvar i Om nie przyszli do pracy – zostali porwani przez panią premier na obowiązkowy mityng.

– Ach, zgadza się. A przypominasz sobie ten śliczny woal, Om? – Zarumienił się i udawał, że nie. – No, zastanów się – zachęcała. – Jak mogłeś zapomnieć? To jego zaplamieś krwią, kiedy rozciąłeś sobie kciuk nożycami.

– Nie pamiętam tego – powiedział Maneck.

– To było w tym miesiącu zanim przyszedłeś. A przy tym atłasie było wesoło, Om dostawał szału. Trudno było trzymać się wykroju, bo materiał taki śliski.

Ishvar nachylił się, by wskazać na batystowy kwadrat.

– Widzicie to? Rząd zniszczył nasz dom w dniu, kiedy zaczęliśmy pracę nad tym materiałem. Smutno mi się robi za każdym razem, gdy na niego patrzę.

– Podaj mi nożyce – zażartowała Dina. – Wytnę go i wywalę.

– Nie, nie, Dina-bai, niech sobie będzie, bardzo ładnie tu wygląda. – Jego palce gładziły batystową fakturę, cofając czas. – Mówienie, że jeden kawałek jest smutny, nie ma sensu. Patrzcie, łączy się ze szczęśliwym kawałkiem, ze spaniem na werandzie. A następny kwadrat to ćapati. Potem ten fioletowy tussor, kiedy zrobiliśmy masala wada i zaczęliśmy razem gotować. I nie zapominajmy o tej łatce z żorzety. Tutaj mistrz żebraków uratował nas przed zbirami kamienicznika.

Zrobił krok wstecz, zadowolony z siebie, jak gdyby wyjaśnił skomplikowany teoremat.

– I to jest zasada do zapamiętania: całość narzuty jest ważniejsza niż którykolwiek z kwadratów.

– Wah! Wah! – wykrzyknęli chłopcy i zgotowali mu owację.

– Brzmi to bardzo mądrze – powiedziała Dina.

– Ale czy to filozofia czy blagologia?

Ishvar w odwecie potargał bratankowi włosy.

– Przestań, muszę dobrze wyglądać na ślub. – Om wyciągnął grzebień, by odrestaurować przedziałek i czub.

– Moja mama kolekcjonuje kawałki sznurka w motku – powiedział Maneck. –

Gdy byłem mały, graliśmy w grę: rozwijaliśmy go i próbowaliśmy przypomnieć sobie, skąd pochodzi dany kawałek.

– Spróbujmy tak zagrać z kapą – zaproponował Om. – Razem z Maneckiem zlokalizowali najstarszy kawałek tkaniny i przemieszczali się chronologicznie, łatka po łatce, rekonstruując łańcuch niefortunnych przygód i triumfów, aż dotarli do nieukończonego narożnika.

– Utknęliśmy w dziurze – powiedział Om. – Koniec drogi.

– Będziecie musieli poczekać – rzekła Dina. – Zależy, jaki materiał dostaniemy do następnego zamówienia.

– Otóż to, proszę szanownego pana, cierpliwości. Zanim nazwiesz ten narożnik, nasza przyszłość musi stać się przeszłością.

Niefrasobliwe słowa Ishvara spłynęły na Manecka jak zimny deszcz; jego radość zgasła niczym lampa. Tak, przyszłość staje się przeszłością, wszystko znika w próżni, a gdy ktoś sięga wstecz, to co mu zostaje w ręce? Trochę sznurka, ścinki tkaniny, cienie złotych chwil. Gdyby tak móc to odwrócić, przeszłość zmienić w przyszłość i pochwycić ją w locie, w podróży przez wiecznie zmieniającą się granicę teraźniejszości...

– Słuchasz? – zapytała Dina. – Masz dobrą pamięć? Umiesz przypomnieć sobie cały rok bez patrzenia na kapę?

– Mnie to się wydaje jakby to było dużo dłużej niż rok – powiedział Om.

– Nie bądź głupi – odparł Maneck. – Właśnie na odwrót.

– Hoi-hoi – wmieszał się Ishvar. – Jak czas może być długi lub krótki? Czas nie ma długości ani szerokości. Pytanie, co się stało, gdy mijał. A stało się to, że nasze losy się połączyły.

– Jak te łatki – dodał Om.

Maneck powiedział, że kapa nie musi się skończyć po zapełnieniu narożnika.

– Może ciocia dalej dodawać, niech rośnie coraz większa.

– Znowu zaczynasz wygadywać głupoty – rzekła Dina. – Co bym zrobiła z taką kapą-potworem? Nie pomył mnie ze swoim Bogiem od szycia kapy.

•

Dina znieruchomiała pośrodku poranka jak statek podczas flauty. Wszystkie prace wymagające wody były skończone: wyszorowała naczynia po kolacji, zrobiła pranie. Bez gadaniny i stukotu singerów reszta dnia ciągnęła się w próżni. Usiadła i patrzyła, jak Maneck zjada późne śniadanie.

– Powinna była ciocia pojechać z Ishvarem i Omem – usiłował ją rozweselić. – Pomogłaby ciocia przy wyborze żony.

– Znowu się wymądrzasz?

– Nie, jestem pewien, że chętnie by ciocię zabrali. Mogłaby ciocia wejść w skład

Komitecie do spraw Wyboru Panny Młodej. – Zakrztusił się toastem, niewiele brakowało, a kasek wypadłby mu z ust.

Dina klepała go po plecach, aż atak kaszlu ustąpił.

– Nie nauczono cię, że się nie mówi z pełną buzią?

– To Ishvar siedzi w moim gardle – uśmiechnął się szeroko. – I mści się, bo zażartowałem z jego pomyślnego wydarzenia.

– Biedny człowiek. Mam nadzieję, że wie, co robi. I że kogo tam nie wybierze, to dziewczyna postara się dopasować i dobrze dogadywać z nami wszystkimi.

– Na pewno, ciociu. Om nie wybierze sobie wrednej sekutnicy.

– Och, wiem. Ale może nie mieć wyjścia. W tych aranżowanych małżeństwach o wszystkim decydują astrologowie i rodziny. Potem kobieta staje się własnością rodziny męża. Wykorzystują ją i się nad nią pastwią. Straszny jest ten system, najmilsze dziewczyny zmienia w wiedźmy. Ale ta panna będzie musiała zrozumieć jedno: że to mój dom i musi przestrzegać moich zwyczajów, jak ty, Ishvar i Om. Albo nigdy się nie dogadamy. No już, kończ to jajko – urwała, zauważywszy, że mówi jak teściowa i zmieniła temat. – Jutro zaczynasz sesję, tak?

Kiwnął głową, przeżuując. Dina zaczęła sprzątać po śniadaniu.

– A pięć dni potem jedziesz. Zrobiłeś rezerwację?

– Tak, wszystko załatwione – powiedział, zbierając książki, by iść do biblioteki.

– I niedługo wrócę, niech ciocia nie oddaje nikomu mojego pokoju.

Poczta przybyła, a w niej koperta od rodziców Manecka. Otworzył ją i wręczył czek Dinie, a następnie przeczytał list.

– Mam nadzieję, że z mamą i tatą wszystko dobrze – powiedziała, widząc, jak chmurzy twarz.

– Och tak, wszystko w normie. Tak jak zawsze. Znow się zaczynają te ich narzekania. Mówią mi: „Po co ci trzy kolejne lata w college’u? Opłaty to żaden kłopot, ale będziemy tęsknić. A w sklepie jest tyle pracy, że sami nie dajemy rady, powinienes to przejąć”. – Odłożył list. – Jeśli wrócę, to znow będą codzienne krzyki i kłótnie z tatą.

Zobaczyła, jak zwija dłoń w pięść. Uścisnęła go za ramię.

– Rodzice są tak samo pogubieni w życiu jak każdy inny. Ale bardzo się starają.

Podał jej list i Dina sama doczytała resztę.

– Manecku, myślę, że naprawdę powinienes zrobić to, o co prosi mama i odwiedzić rodzinę Sodawalla. Przez cały rok nie widziałeś się z nimi ani razu.

Wzruszył ramionami, skrzywił się i poszedł do swojego pokoju. Kiedy wyszedł, zobaczyła, że pod pachą trzyma pudełko.

– Zabierasz szachy do college’u?

– To nie moje, to kolegi. Oddam mu dzisiaj.

W drodze na przystanek autobusowy dumiał nad listem – nad rozterką taty,

cierpieniem mamy, ich wåtpliwościami i lękami wyzierającymi pomiędzy słów. A jeśli mówili szczerze? Może tym razem się uda, może roczna nieobecność naprawdę pomogła tacie pogodzić się ze zmianami, które zaszły w jego życiu.

Nadłóżył nieco drogi, by przejść koło Vishrama i pomachać Shankarowi. Żebrak nie zauważył go. Był zaprzåtnięty czym innym: wyciągał szyję, jakby wypatrywał czegoś na rogu ulicy. Maneck nachylił się i zamachał ponownie, a Shankar pozdrowił go, stukając puszką o platformę.

– O babu, czy dobrze się pan miewa? Moi przyjaciele wyjechali szczęśliwie?

– Wczoraj – odrzekł Maneck.

– Na pewno są bardzo przejęci. Ja też dziś jestem przejęty. Fryzjer mistrza przychodzi mnie ogolić. Ale żał mi, że nie ma tu Ishvara i Oma. Ucieszyliby się, gdyby mogli zobaczyć moją twarz po goleniu.

– Nie martw się, ja przyjdę. Zajrzę do ciebie jutro – obiecał Maneck i ruszył dalej w stronę przystanku.

Shankar odprowadził go wzrokiem, aż Maneck zniknął za rogiem, później na nowo zaczął wyglądać fryzjera. Platforma tkwiła nieruchomo przy krawężniku. Puszka na datki stała pusta, nie słychać było żebraczej piosenki. Shankar nie robił nic, by przyciągnąć uwagę jałmużników. Myślał jedynie o wykwintnej pielęgnacji, o pełnej gamie luksusowych zabiegów, jakie miały go spotkać z ręki osobistego fryzjera mistrza cechu żebraków.

Shankar nie wiedział, że wcześniej tego samego ranka fryzjer ten nie przyjął zlecenia. Nie zajmuje się strzyżeniem na chodnikach, powiedział mistrzowi. Zamiast tego przedstawił kogoś, kto podjąłby się tej pracy.

– Oto Rajaram. Jest bardzo dobry, bardzo tani i strzyże na ulicy.

– Namaskar – rzekł Rajaram.

– Posłuchaj – powiedział mistrz. – Może Shankar jest tylko żebrakiem, ale kocham go z całego serca i chcę dla niego usług na najwyższym poziomie. Nie chcę cię urazić, ale trudno mi uwierzyć w twoje kompetencje. Co łysy może wiedzieć o włosach?

– To niesprawiedliwe – odrzekł Rajaram. – Czy żebrak posiada wiele pieniędzy? Nie. A jednak wie, jak się z nimi obchodzić.

Mistrzowi spodobała się ta odpowiedź i wyraził zgodę. I w ten oto sposób to właśnie Rajaram zjawił się przed Vishramem uzbrojony w swój zestaw fryzjerski.

Shankar miał wrażenie, że już gdzieś go widział.

– Babu, czy spotkałem już pana kiedyś?

– Nigdy w życiu cię nie widziałem – odparł Rajaram, zatrwożony ich włosianą koneksją, pragnąc czym prędzej się od niej odciąć. Dalszy pobyt w mieście oznaczał zagrożenie, wiedział o tym, lecz uznał, że bezpieczniej będzie rozpocząć himalajską podróż w stroju sannjasina. Za szafranowe szaty, paciorki i ręcznie

rzeźbioną drewnianą miskę na bhiksze^[190] trzeba było jednak słono zapłacić. Dodatek od mistrza żebraków za to specjalne zlecenie bez wątpienia mu się przyda.

Zawiązał białą ścierkę wokół szyi żebraka i pędzlem do golenia ubił w kubku pianę. Shankar nachylił ku niemu głowę, by pochwycić zapach, omal nie tracąc przy tym równowagi. Rajaram odepchnął go.

– Nie wierć się – warknął opryskliwym tonem, by zniechęcić tamtego do rozmowy.

Opryskliwość była dla Shankara chlebem powszednim i nie wpłynęła na jego pogodny nastrój.

– Wygląda jak ptyś – powiedział, kiedy piana w kubku się podniosła.

– To może się poczęstujesz? – Rajaram zwilżył mu policzki i wklepał mydło. Niedbale ruchy pędzla wepchnęły nieco piany w otwarte usta Shankara. Rajaram tak dalece wyszedł z wprawy, że zapomniał też ścisnąć klientowi nozdrza podczas namydlenia skóry nad górną wargą. Otworzył brzytwę i zaczął ostrzyć na pasku lśniącą klingę.

Shankar był zachwycony świszczącym odgłosem.

– Zdarzyło się panu kiedyś pomylić przy goleniu? – zapytał.

– Wiele razy. Niektórzy ludzie mają gardła w dziwnym kształcie, łatwo można ich zaciąć. A policji nie wolno zatrzymywać fryzjerów za wypadki przy pracy, takie jest prawo.

– Przy moim gardle niech się pan lepiej nie myli, ono ma dobry kształt. I mistrz by pana ukarał!

Shankar trzymał fason, ale na wszelki wypadek zastygł bez ruchu, spięty, do czasu gdy ostrze zakończyło niebezpieczne tournée po jego facjacie. Rajaram starł resztki piany, które uchowały się przed brzytwą, po czym przejechał po ogolonych partiach bryłką ałunu. Nienawykła skóra została miejscami brzydtko zadrażnięta.

– Niech mi pan da lustro – zażądał Shankar, który poczuł szczypanie i obawiał się, że brzytwa jednak pobłądziła.

Rajaram uniósł zwierciadło. Niespokojna twarz żebraka spojrzała na niego z tafli, ale środek ściągający zatamował krwawienie i na skórze nie było kropek czerwieni.

– Okej, teraz masaż twarzy. Tak polecił mistrz. – Z butelki, którą miał w swoim pudle, Rajaram nabrał trochę kremu i rozprowadził po policzkach Shankara. Ten zeszywniał, niepewny, do czego przymierzają się muskularne dłonie. Potem pozwolił, by jego głowa przetaczała się pod dyktando nacierania i poklepywania. Zaczął wzdychać z zadowoleniem, a tymczasem palce masażysty ugniatały mu policzki, przesuwwały się pod oczami, wokół nosa, gładziły czoło i skronie,

wyciskając zeń całe życie bólu i cierpień.

– Jeszcze troszkę – prosił, gdy fryzjer przestał i wytarł sobie ręce. – Jeszcze minutkę, babu, błagam pana, to takie cudowne.

– Koniec – powiedział Rajaram, marszcząc nos. Nigdy nie przepadał za masowaniem twarzy, nawet twarzy z klasy średniej, gdy był u szczytu kariery. Kilka razy zacisnął i rozluźnił palce, po czym ujął nożyce i grzebień. – A teraz strzyżenie – ogłosił.

– Nie, tego nie chcę.

– Mistrz powiedział mi, co mam robić. – Pochylił mu głowę w dół, by podciąć karczek. Niepokoił się i śpieszno mu było, by skończyć.

– Are, babu, nie chcę! – Shankar zaczął krzyczeć. – Mówię, że nie chcę! Podobają mi się długie włosy! – Potrząsnął puszką, żeby narobić hałasu, ale tego ranka ruch w interesie był niewielki. Puszka milczała. Uderzył nią o chodnik.

Przechodnie zwalniali, by przyjrzeć się z zaciekawieniem temu duetowi. Rajaram przestał naciskać na żebraka, bojąc się, by nie ściągnąć większej uwagi.

– Nie bój się, obetnę ci włosy bardzo starannie, będzie ci z nimi do twarzy.

– Wszystko mi jedno, czy do twarzy! Nie chcę strzyżenia!

– Proszę cię, nie krzycz. Powiedz, co chcesz, zrobię to. Masaż głowy? Kuracja przeciwłupieżowa?

Shankar sięgnął pod platformę i wydobył paczkę.

– Jest pan ekspertem od włosów, zgadza się?

Tamten kiwnął głową.

– Niech mi pan to przyczepi. – Popchnął zawiniątko w jego kierunku.

Rajaram rozwinął je i wzdrygnął się: z pakunku wysunęły się dwa pęki ślicznych włosów.

– Mam ci to przywiązać do włosów?

– Nie przywiązać. Chcę, żeby to było na stałe. Żeby mi wyrastało z głowy.

Rajaram nie wiedział, co począć. Pracując jako fryzjer odrobił swoją porcję nietypowych zleceń: pielęgnował brodę brodatej damy z cyrku; zaplótł intymne owłosienie żigolaka w małe warkoczyki; zaprojektował artystyczne fryzury łonowe dla burdelu, który planował wejść na wyższy szczebel w swojej branży i nastawiał się na polityków oraz kadry korporacyjne; ogolił (z zawiązanymi oczami w trosce o dobre obyczaje) krocze małżonki człowieka, który przywiązywał dużą wagę do kwestii kastowych i nie życzył sobie, by jego połowica skalala się, własnoręcznie wykonując tę podłą czynność. Zarówno do tych wyzwania, jak i do innych prac Rajaram podchodził z butą zawodowca. Ale żądanie Shankara przerosło jego umiejętności.

– To niemożliwe – powiedział kategorycznie.

– Musi pan, musi pan, musi pan! – rozdarł się Shankar. – Nadmiar niespodziewanych względów okazywanych mu ostatnimi czasy przez mistrza rozbawił łagodnego i ustępliwego żebraka. Nie chciał słuchać wyjaśnień fryzjera. – Różę można zaszcześcić! – wył. – To niech mi pan wszczepi włosy! Pan jest ekspertem! Bo się poskarżę mistrzowi!

Rajaram zaklinał go, by mówił ciszej i na razie odłożył pukle; tłumaczył, że przyjdzie nazajutrz ze specjalnym sprzętem przeznaczonym do tego skomplikowanego zadania.

– Ja chcę dziś! – krzyczał Shankar. – Długie włosy! Chcę teraz, zaraz!

Kasjer-kelner z Vishram Vegetarian Hotel przyglądał się od progu, a z nim kucharz. Obok przystanęło więcej przechodniów, którzy oczekiwali, że sytuacja rozwine się w coś ciekawego. Później sprzedawca kuponów na loterię przypomniał sprawę żebraków, którzy przed wieloma miesiącami zostali zamordowani dla swych włosów. Jaki to dziwny zbieg okoliczności, powiedział, że ten żebrak jest w posiadaniu dwóch gęstych kosmyków.

Spekulacje popłynęły wartko. Być może istnieje tu jakiś związek – na przykład żebraczy rytuał, w ramach którego składa się ofiarę z człowieka. A może ten żebrak to psychopata. Ktoś przypomniał odrażającą serię morderstw Ramana Raghava^[191] sprzed kilku lat; zabójstwo żebraków przywodziło na myśl równie krwiożerczy sposób postępowania.

Trzęsąc się ze strachu, Rajaram próbował zdystansować się od Shankara. Spakował zestaw fryzjerski i drobnymi krokami cofał się, aż wtopił się w tłum napierający na żebraka. Przy pierwszej okazji dał nogę.

Ludzie zacieśnili krąg wokół Shankara. To go wystraszyło. Żałował teraz, że podniósł raban. Żałował, że zapomniał o podstawowej zasadzie każdego, kto żyje z jałmużny: żebrak może być widoczny i może dać się usłyszeć, ale nie za głośno – a szczególnie w kwestiach niezwiązanych z żebraniem.

Górujący nad nim tłum przesłonił słońce i Shankar poczuł przypływ klaustrofobii. Mrok zakrył jego chodnik. Usiłował ułagodzić ich, śpiewając żebraczą piosenkę *O Babu, ek pajs da re* i raz za razem dotykając czoła zabandażowaną dłonią. Nie udało się. Nastroje niebezpiecznie buzowały.

– Gdzie ukradłeś te włosy, kanciarzu? – zawołał ktoś.

– Przyjaciele mi je dali – zapisał Shankar, wystraszony, ale i oburzony oskarżeniem.

– Sala^[192] morderca!

– Co za potwór! – zdumiewał się ktoś inny, rozdarty między odrazą a podziwem. – Jaka zręczność! Nie ma palców, nie ma nóg, a dokonał tych brutalnych zbrodni!

– A może tylko ukrywa palce i nogi. Już oni potrafią wyczyniać sztuczki

z ciałem.

Shankar wychlipał, że nie zrobił nic złego, że jest dobrym żebrakiem, który nikogo nie zaczepia i stoi na wyznaczonym mu miejscu.

– Niech Bóg zawsze nad wami czuwa! O, babu, proszę mnie posłuchać, zawsze pozdrawiam ludzi, co przechodzą! Nawet gdy mnie boli, uśmiecham się do państwa! Niektórzy żebracy wyklinają, jeśli kwota ich obraża, ale ja zawsze daję błogosławieństwo, nieważne czy moneta jest duża, czy mała. Niech państwo zapytają kogoś, kto tędy przechodzi!

Policjant zbliżył się, by zobaczyć, skąd to zbiegowisko. Nachylił się i Shankar dostrzegł jego twarz pośród lasu nóg. Tłum rozstąpił się, by posterunkowy mógł lepiej się przyjrzeć. Shankar uznał, że to ostatnia szansa. Odepchnął platformę od ziemi i dał nura w wolną przestrzeń.

Gapie wybuchnęli śmiechem, widząc, jak przycupnięty nisko wiosłuje ze wszystkich sił.

– *Chalti Ka Naam Gaadi*^[193] – zawołał ktoś, wywołując śmiech wśród tych, którzy pamiętali stary film.

– Grand Prix żebraków! – krzyknął inny.

Sto metrów od Vishrama Shankar znalazł się na niezbadanym wcześniej terytorium. Tu chodnik robił się dosyć stromy i kółka zaczęły kręcić się szybciej. Wejście w zakręt na pełnej prędkości nie mogło się udać. Ale Shankar nie pomyślał o tym zawczasu. Należało uciec przed przerażającym tłumem, to wszystko.

Dojechał do końca chodnika i wrzasnął. Platforma wyleciała w powietrze i wpadła na ruchliwe skrzyżowanie.

•

Maneck stał pośrodku schodów, z dala od wypaprzanych betelem poręczy i ohydnych rozprysków Bóg wie jakiej substancji na ścianach. Gdy tak drapał się po schodach akademika, dawne obrzydzenie powróciło. Po korytarzu walały się paczki po papierosach, okruchy rozbitej żarówki, szerniała skórka od banana, ćapati zawinięty w gazetę, skórka pomarańczy. Czy to dźharuwała^[194] się spóźniał, czy też śmieci nazbierały się od czasu porannego zamiatania? – zastanawiał się.

Nie liczył, że spotka Avinasha w budynku, ale postanowił wcześniej, że zostawi pudełko u kogoś, albo ewentualnie w recepcji. Dotarł na swoje piętro. Mijając toalety, wstrzymał oddech. Odór potwierdził, że nadal ich nie naprawiono. Przenikliwy smród czuło się aż w gardle.

Jego dawny pokój stał pusty, drzwi nie były zamknięte. Nikt nie zajął go od czasu, kiedy się wyprowadził i trwał dokładnie w takim stanie, w jakim Maneck

go zostawił. Na ten widok poczuł się nieswojo, jakby był podzielony na dwoje i jedna połówka nadal tu mieszkała, a druga z cicią Diną. I to łóżko, o stopę od ściany, z nogami w puszkach z wodą. Patent Avinasha na pełzające żyjątka – działał naprawdę dobrze. Avinash zwykł żartować, że cała wiedza na temat karaluchów, której on nie posiadał przez lata mieszkania w kwaterach robotniczych, nie jest warta zdobycia.

Maneck podszedł bliżej, na poły spodziewając się, że w puszkach zobaczy wodę. Były suche i puste, jeśli nie liczyć brązowych jaj karaluchów, martwej ćmy i ospałego pająka. Woda pozostawiła koliste ślady na drewnianych nogach. Jego znak wodny: „Tu byłem, Maneck”. Biurko i krzesło, wierni świadkowie tyłu pojedynków szachowych, stały obok okna, gdzie onegdaj przesunęli je, by mieć więcej światła. Zdawało się, że to tak dawno temu.

Wycofał się i delikatnie zamknął drzwi do przeszłości. Ku jego zaskoczeniu z sąsiedniego pokoju dobiegły go odgłosy. Co powie Avinash, kiedy go zobaczy? Wziął się w karby, nie chciał wyglądać na zdenerwowanego lub niepewnego. Zapukał.

Drzwi otworzyły się i para w średnim wieku popatrzyła na niego pytająco. Oboje byli siwowłosi; mężczyzna z zapadniętymi policzkami kaszłał przeraźliwie, kobieta miała zaczerwienione oczy. Widać rodzice, uznał.

– Dzień dobry, jestem kolegą Avinasha. – A nuż Avinash jest gdzieś w pobliżu i ma wrócić lada chwila, a oni o tym wiedzieli. – Czy czekają państwo na niego?

– Nie – powiedział mężczyzna cichym głosem. – Czekanie skończone. Wszystko skończone. – Cofnęli się powoli, przytłoczeni niewidzialnym brzemieniem i gestem zaprosili go do środka. – Jesteśmy jego rodzicami. Dziś go skremowaliśmy.

– Przepraszam, co takiego?

– Skremowaliśmy, tak. I to z bardzo długim opóźnieniem. Miesiącami szukaliśmy syna. Chodziliśmy na różne posterunki policji, błagaliśmy o pomoc. Nikt nam nie pomógł.

Głos mu się załamał i mężczyzna urwał, nie próbując nad nim zapanować.

– Cztery dni temu powiedziano nam, że jest ciało w kostnicy. Wysłali nas, żebyśmy sprawdzili.

Matka zaczęła płakać i skryła twarz w rąbku swego sari. Kaszel ojca dźgał powietrze, kiedy próbował ją pocieszać; palcami dotknął lekko jej ramienia. Gdzieś na korytarzu trzasnęły drzwi.

– Ale jak to... Przecież... nic, nikt... – wyjąkał Maneck. Ojciec położył mu rękę na ramieniu.

Maneck odchrząknął i spróbował jeszcze raz.

– Byliśmy przyjaciółmi. – A rodzice kiwnęli głowami, jakby ten kruchy fakt ich pokrzepił. – Ale ja nic nie wiedziałem. Co się stało?

Teraz odezwała się matka, a słowa ulatywały z jej ust niemal niedosłyszalne.

– My też nie wiemy. Przyjechaliśmy tu prosto po kremacji. Wszystko poszło dobrze, chwała Bogu. Deszcz nie padał, stos się palił jasnym płomieniem. Zostaliśmy przy nim przez całą noc.

Ojciec pokiwał głową.

– Powiedzieli nam, że ciało znaleziono parę miesięcy temu, na torach, bez dokumentów. Mówili, że umarł, bo wypadł z pociągu pośpiesznego. Mówili, że widocznie wisiał przy drzwiach albo jechał na dachu. Ale Avinash był rozsądny, nigdy nie robił takich rzeczy. – Oczy znowu mu zwilgotniały, przerwał, by je obetrzeć. Matka delikatnie dotknęła jego ramienia. Mógł mówić dalej. – Wreszcie, po tylu miesiącach, zobaczyliśmy naszego syna. Zobaczyliśmy oparzenia na jego ciele, w wielu miejscach, których się nie ogląda, a kiedy jego matka wzięła jego rękę, żeby przycisnąć sobie do czoła, zobaczyliśmy, że nie ma na niej paznokci. To zapytaliśmy tych z kostnicy, jak to się mogło zdarzyć przy upadku z pociągu. Powiedzieli, że wszystko się zdarza. Nikt nie chciał nam pomóc.

– Muszą to państwo zgłosić! – wykrzyknął Maneck, wściekle walcząc ze łzami. – Muszą państwo! Do... do ministra, znaczy się do gubernatora. Albo do głównego komisarza policji.

– Zgłosiliśmy. Złożyliśmy skargę. Policja zapisała wszystko w swojej książce.

Znów zaczęli zbierać rzeczy Avinasha. Maneck bezradnie patrzył, jak znoszą do kuferka ubrania, podręczniki i papiery, i pakują je z namaszczeniem, a od czasu do czasu przykładają jakiś przedmiot do ust. W pokoju panowała cisza, słychać było tylko ich miękkie kroki.

– Opowiadał panu o swoich trzech siostrach? – spytała nagle matka. – Kiedy były malutkie, pomagał mi się nimi opiekować. Bardzo lubił je karmić. Czasami gryzły go w palce, a on się śmiał. Opowiadał panu kiedyś?

– O wszystkim mi opowiadał.

Po kilku minutach byli gotowi do wyjścia. Maneck nalegał, by pozwolili mu znieść kuferki po schodach i rad był, że wysiłek fizyczny powstrzymuje łzy napływające mu do oczu. Wdzięczność rodziców Avinasha przypomniawszy mu, jak niewiele mógł zrobić, by pomóc im z ciężarem dźwiganego bólu. Myślał ciągle o jednym: o pierwszym dniu, kiedy Avinash zjawił się u jego drzwi z rozpylaczem. Zabijali karaluchy. Grali w warcaby. Opowiedzieli sobie nawzajem historię swego życia. A teraz on nie żyje.

Pożegnał się i skierował kroki w stronę budynku laboratoryjnego. Przypomniawszy sobie, że nadal ma szachy i szachownicę. Pognął do bramy. Ani śladu po rodzicach Avinasha. Dureń ze mnie, myślał, ta pamiątka, nagroda dla Avinasha za zwycięstwo w szkolnym turnieju, tyle by dla nich znaczyła.

Ruszył z powrotem, bez celu, i znów znalazł się w holu akademika. Przystanął

i podjął decyzję: musi jakoś oddać te szachy rodzicom Avinasha. Czuł się jak złodziej okradający ich z przedmiotu, który mógł przynieść pocieszenie. Im dłużej je przetrzymywał, tym bardziej przysparzał im bólu.

Zadanie zwrócenia szachów nabrało pierwszorzędnej wagi, stało się kwestią życia i śmierci. Wspinając się po schodach, chlipał po cichu, obserwowany przez garstkę zaciekawionych studentów. Ktoś zabuczał i wykrzyknął coś, czego Maneck nie dosłyszał. Zaczęli śpiewać: „Niech nasz chłopiec już nie kwili, mama mu usmaży chili, tata nałapie motyli”.

Wśliznął się do swego dawnego pokoju i usiadł na zalatującym stęchlizną łóżku. Może znajdzie coś w pokoju Avinasha, w koszu na papiery, starą kopertę albo list z adresem. Poszedł poszukać. Nic. Ani skraweczka. Adres, musi znaleźć adres rodziców, żeby wysłać im szachy. Mógłby popytać na tym piętrze. Ale wtedy ci skurwiele z korytarza znowu zaczną swoje dziecinne zaczepki i będą patrzeć, jak robi z siebie błazna, łażąc od pokoju do pokoju.

Przycisnął pudełko do piersi, zamknął oczy i spróbował pomyśleć spokojnie. Adres. Odpowiedź była prosta – w dziekanacie. Tak, tam znajdzie adres. Będzie mógł wysłać szachy rodzicom Avinasha.

Otworzył oczy i przez łzy wpatrywał się w zamazany obraz rdzawobrazowego pudełka ze sklejki. Przypomniawszy sobie tamten dzień w stołówce: białe zaczynają, mat w trzech ruchach – a potem wegetarianie zaczęli wymiotować. Uśmiechnął się na wspomnienie. „Rewolucja wyrasta z przełyku wegetarianina” – powiedział Avinash. I poprosił go, by zaopiekował się szachami.

I nigdy nie poprosił, by mu je zwrócić. To prezent od niego. Gra w życie. Odesłanie ich byłoby błędem. Zachowa je. Zachowa na zawsze.

•

Dina napominała Manecka, by zachował spokój, by przed odczytaniem zestawu egzaminacyjnego wyrecytował w myśli jedno Ashem Vohu^[195], a potem jeszcze jedno zanim przystąpi do pisania.

– Sama nie jestem zbyt religijną osobą – powiedziała. – Ale potraktuj to jako asekurację. Moim zdaniem to pomaga. I powodzenia.

– Dzięki, ciociu. – Otworzył drzwi do wyjścia i niemal zderzył się z mistrzem żebraków, który stał po drugiej stronie z palcem zastygłym nad dzwonkiem.

– Przepraszam – powiedział mistrz. – Przychodzę z bardzo złą wieścią. – Był do cna wyczerpany, oczy miał opuchnięte od płaczu. – Czy mógłbym zobaczyć się z krawcami?

– Przecież wyjechali dwa dni temu.

– Och, oczywiście. Zapomniałem – ślub. – Wyglądał, jakby miał stracić przytomność.

– Niech pan wejdzie – powiedziała Dina.

Wszedł na werandę i, dławiąc szloch, wyjął, że Shankar nie żyje.

Maneck uciekł się do tego gatunku niedowierzania, który pozwala zyskać chwilę, zanim człowiek zmierzy się ze wstrząsem.

– Ale przecież rozmawialiśmy z nim trzy dni temu – Ishvar, Om i ja – kiedy poszliśmy na herbatę. A wczoraj rano mówił mi, że ma do niego przyjść fryzjer. Był zdrowy, silny i turlał się jak zawsze.

– Tak, do wczorajszego ranka.

– Co się stało?

– Potworny wypadek. Stracił panowanie nad swoim gadi. Wypadł z chodnika... prosto pod piętrowy autobus. – Przełknął ślinę i dodał, że sam nie był tego świadkiem, lecz zidentyfikował szczątki. – Tyle lat siedzę w tym zawodzie i widziałem wiele strasznych rzeczy, ale czegoś tak przerażającego nigdy. I Shankar, i gadi zmiżdżeni kompletnie, nie dało się ich rozłączyć. Gdyby ktoś chciał usunąć drewno i kółka, które utkwiły w jego ciele, musiałby jeszcze bardziej okaleczyć jego biedne zwłoki. Trzeba będzie wózek spalić razem z nim.

W milczeniu starali się uporać z upiornym obrazem. Mistrz dłużej nie mógł nad sobą zapanować i zaszlochał spazmatycznie. Zduszony płacz wstrząsał jego ciałem.

– Powinienem być powiedzieć mu, że jesteśmy braćmi. Zbyt długo zwlekałem. A teraz jest za późno. Gdyby tylko jego platforma miała hamulce... Zastanawiałem się kiedyś nad tym, ale pomysł zdawał się głupi. Ledwie był w stanie popychać ją z miejsca na miejsce... to nie był szybki samochód ani nic takiego. Może powinienem był zabrać go z ulicy.

– Nie wolno panu się obwiniać – powiedziała Dina. – Próbował pan zrobić tak, by było mu jak najlepiej, tak jak pan mówił.

– Doprawdy? Próbowałem? Jak mogę być pewny?

– To był taki miły człowiek – odezwał się Maneck. – Ishvar i Om opowiadali nam, jak się nimi opiekował, kiedy zachorowali w obozie pracy. Nigdy go nie spotkałaś, ciociu, ale on pod większością względów był taki sam jak wszyscy. Czasami nawet opowiadał śmieszne dowcipy.

– Czuję się, jakbym go znała. Pamiętasz, jak Ishvar i Om przynieśli jego rozmiary i mi go opisywali? A tę specjalną koszulkę, którą dla niego zaprojektowałam?

– To było bardzo miłe z twojej strony – powiedział mistrz, znowu zalewając się łzami na myśl o tym, jak z miłością podarł i poplamił ubranie, by dostosować je do potrzeb Shankara.

– Może napiłby się pan wody? – spytała Dina. Tamten kiwnął głową, Maneck przyniósł mu szklanę.

Mistrz wypił i odzyskał panowanie nad sobą.

– Chciałem zaprosić krawców na ceremonię kremacyjną Shankara. Jutro o czwartej. Byli jego jedynymi przyjaciółmi. Przyjdzie wielu żebraków, ale Ishvar i Om byłiby specjalnymi gośćmi. – Odstawił pustą szklanę.

– Ja pójdę – oznajmił Maneck.

Na pełnej rozpaczycy twarzy mistrza odmalowało się zdumienie.

– Naprawdę, przyjdiesz? Będę ci bardzo wdzięczny. – Ujął rękę Manecka i potrząsnął nią. – Procesja żałobna wyruszy spod Vishrama. Uznałem, że to odpowiednie miejsce, by wszyscy się tam zgromadzili – z szacunku dla Shankara. Jak myślicie? To jego ostatni rewir.

– Tak, przyjdę tam.

– A co z twoim egzaminem? – zapytała Dina.

– Kończy się o trzeciej.

– Tak, ale co z egzaminem następnego dnia? – Usiłowała odwieść go od powziętego zamiaru. Na myśl o udziale w pogrzebie żebraka czuła się nieswojo. – Czy nie powinieneś wrócić prosto do domu i się pouczyć?

– Pouczę się. Jak wrócę z ceremonii kremacyjnej.

– Przepraszam pana na chwilę – zwróciła się Dina do mistrza i cofnęła się do mieszkania. – Maneck! – zawołała z tylnego pokoju. Maneck wzruszył ramionami i poszedł jej śladem.

– Co to za bzdury? Dlaczego musisz tam iść?

– Bo chcę.

– Nie bądź taki mądry! Dobrze wiesz, jak się boję tego człowieka. Znoszę go tylko dlatego, że chroni to mieszkanie. Nie ma potrzeby bliżej się z nim zaznajamiać.

– Nie chcę się kłócić, ciociu. Idę na ceremonię. – Mówił cicho i dobitnie.

Dina była zdumiona i skonsternowana tym, że pogrzeb żebraka budzi w Manecku tak silne emocje. Jego zachowanie tłumaczyła sobie presją egzaminów.

– W porządku. Nie mogę cię powstrzymać. Ale jeśli idziesz, to ja z tobą. – Żeby mieć na niego oko, przynajmniej tyle – powiedziała sobie.

Wrócili na werandę.

– Rozmawialiśmy o jutrzejszym popołudniu – powiedziała Dina. – Przyjdziemy oboje.

– Och, to wspaniale – ucieszył się mistrz. – Jak mam wam dziękować? Właśnie sobie myślałem, że w pewnym sensie to dobrze, że Ishvar i Om wyjechali dwa dni temu. Żal zepsułby im radość wesela, a ślub jest jak śmierć, zdarza się tylko raz.

– Święta racja – powiedziała Dina. – Szkoda, że nie wszyscy to rozumieją. – Była zaskoczona, że jego słowa tak doskonale oddawały jej własne odczucia na

temat tej kwestii.

•

Mistrz dał wszystkim wolne popołudnie, by mogli uczestniczyć w ceremonii kremacyjnej. Zgromadzenie kalekich, ślepych i chorych postaci, osobników bez rąk, nóg i twarzy wkrótce przyciągnęło widownię. Gapie dopytywali, czy to jakiś szpital z braku miejsc zorganizował plenerową klinikę.

Dina i Maneck dołączyli do mistrza pijącego herbatę w Vishramie.

– Spójrzcie na tę zgraję – powiedział z niesmakiem. – Wydaje im się, że są w cyrku.

– I nie rzucają ani monety – dodała Dina.

– Nic dziwnego. Litością można obdzielać tylko w małych dawkach. Kiedy w jednym miejscu zbierze się tylu żebraków, publiczność robi tak – przyłożył dłoń do oczu na kształt lornetki. – No i mamy jarmark odmieńców. Ludzie zapominają, jacy są bezbronni mimo swoich koszul, butów i teczek, zapominają, że ten głodny i okrutny świat może odrzucić ich z ubrań i rzucić tam, gdzie są moi żebracy.

Maneck z uwagą obserwował gadatliwość mistrza, tę próbę ukrycia zgryzoty. Dlaczego ludzie tak postępują ze swymi uczuciami? Czy to gniew, czy miłość, czy smutek, zawsze zamiast nich starają się wysunąć naprzód coś innego. Są też i tacy, którzy udają, że ich emocje są większe i donioślejsze niż u innych. Drobną irytację celebrują, jakby była ogromnym gniewem, a tam, gdzie wystarczyłby uśmiech lub chichot, wybuchają salwą histerycznego śmiechu. Obie postawy są nieuczciwe.

– Oprócz tego – mówił dalej mistrz – znieczulica, którą tu obserwujecie, ilustruje ważną prawidłowość. W tej branży, tak jak i w innych, trzy kluczowe kwestie to lokalizacja, lokalizacja oraz lokalizacja. Gdybym w tej chwili przeniósł tych żebraków spod Vishrama do jakiejś ważnej świątyni czy miejsca pielgrzymek, pieniądze popłynęłyby jak rzeka.

Ciało Shankara leżało na marach ze świeżego bambusa, na zapleczu Vishrama, obok składziku, w którym trzymano talerze, sprzęt kuchenny, zapasowe maszynki i naftę. Mistrz wyjaśnił, że twarz nie została wystawiona na widok żałobników, gdyż obraz był nie do zniesienia. Okaleczone zwłoki skrywało prześcieradło, na którym spoczywała pierzyna świeżych kwiatów: róż i lilii.

Wpatrując się w mary, Maneck zastanawiał się, czy rodzice Avinasha wyruszyli w żałobną procesję spod kostnicy. A może pozwolono im zabrać ciało do domu, celem odprawienia modlitw? Zależało to prawdopodobnie od stopnia rozkładu, od tego, ile zwłoki przetrzymają w temperaturze pokojowej. W tym świecie bez funkcji zamrażania. Gdzie wszystko kończy się źle.

– To miłe, że Vishram Vegetarian Hotel zgodził się, żeby Shankar leżał tutaj przed pogrzebem – zauważyła Dina.

– Nie ma w tym nic miłego. Zapłaciłem kucharzowi i kelnerowi grubszą sumkę.
– Mistrz wyciągnął szyję, by wyrzeć przez okno i zamachał na czterech mężczyzn, którzy właśnie przybyli. – Dobrze, możemy zaczynać.

Czterej mężczyźni byli tragarzami z dworca kolejowego wynajętymi do niesienia mar.

– Nie miałem wyjścia – wyjaśnił z żalem. – Jestem jedynym krewnym. Oczywiście od czasu do czasu wezmę brata na ramię, by mu oddać hołd, ale nie mogę na to pozwolić żadnemu z żebraków. Nie są dość silni. Cała konstrukcja mogłaby się zwalić na ziemię.

Nie skąpił wydatków na Shankara: kupił najlepsze ghi, kadzidło i całe góry drewna sandałowego. Wszystko to czekało w miejscu kremacji, u boku wykwalifikowanego mahapatry^[196], który miał odprawić rytuał żałobny. Naszykowano też kosze z płatkami róż, by uczestnicy konduktu obsypywali nimi mary podczas marszu. Po ceremonii mistrz zamierzał w imieniu Shankara złożyć datek na świątynię.

– Jedno mnie tylko martwi – powiedział. – Mam nadzieję, że inni żebracy nie dojdą do wniosku, że to standardowa procedura i oni także będą tak wystawnie żegnani.

Tuż po czwartej najpowolniejsza procesja, jaka kiedykolwiek miała przemierzyć ulice miasta, wyruszyła w kierunku spalarni. Za sprawą znacznej liczby ułomnych kondukt poruszał się w ślimaczym tempie. U niektórych żebraków deformacje ciała spowodowały jego atrofie: kalecy ci sunęli naprzód w żabim przysiadzie, używając ramion jako dźwigni. Kilkoro innych mogło się przemieszczać jedynie bokiem jak kraby. Inni, zgięci w pół, czołgali się przed siebie przy pomocy rąk i nóg, z zadkami wypiętymi w górę niczym garby wielbłądów. Na mocy milczącego konsensusu pochód przemieszczał się w tempie najpowolniejszego z uczestników, niemniej żałobnicy byli w dobrych nastrojach, śmiali się i rozmawiali między sobą, ciesząc się nowym doświadczeniem, tak że całość wyglądała raczej na święto niż na pogrzeb.

– To bardzo smutne – oświadczyła Dina z dezaprobatą. – Śmierć bez żałoby. A mistrz nawet im nie zwróci uwagi, żeby się zachowywali jak należy.

– A czego się ciocia spodziewa – odparł Maneck. – Prawdopodobnie zazdrościsz Shankarowi.

A zresztą, pomyślał, jaki sens ma żałoba? On sam mógłby leżeć na tych marach, a świat by się od tego nie zmienił.

Mistrz przemieszczał się w górę i w dół kolumny jak brygadzysta przy taśmie produkcyjnej, pilnując, by nie dochodziło do opóźnień, których można było

uniknąć. Gdy zbliżył się do końca procesji, Dina skinęła na niego.

– Ani Maneck, ani ja nigdy nie byliśmy na hinduskim pogrzebie – wyznała. – Co mamy robić, kiedy dotrzemy na miejsce?

– Nic – odpowiedział mistrz. – Samą obecnością oddajecie hołd Shankarowi. Pudżari odprawi modlitwy. Ja będę musiał podpalić stos, a na koniec rozbić czaszkę, ponieważ Shankar nie miał syna.

– Czy ciężko znieść ten widok? Ktoś mi mówił, że zapach jest bardzo silny. Czy widać płonące ciało?

– Tak, ale nie przejmuj się, to piękny widok. Wyjdziecie stamtąd w stanie błogości, w poczuciu, że Shankar został należycie wyprawiony w dalszą podróż. Mam nadzieję, że tym razem nie będzie potrzebował platformy. Ja zawsze tak mam, kiedy patrzę na płonący stos – ogarnia mnie poczucie pełni, spokoju, doskonałej równowagi między życiem i śmiercią. Z tego powodu chadżam nawet na kremacje nieznanym. Zawsze gdy mam trochę wolnego czasu i zobaczę pochód żałobny, dołączam do niego.

Pośpieszył na czoło kolumny, by udobruchać kilku poirytowanych policjantów. Ocieżały przemarsz drażnił funkcjonariuszy kierujących ruchem. Byli zdania, że tempo jest nie do przyjęcia. Ich życiowe credo brzmiało: „Szybciej, ruszać się” i mieli fobię na punkcie wszystkiego, co przemieszczało się powoli, bez względu na to, czy były to auta, wózki, bezpieczeństwa psy czy ludzie. Sporadycznie wyjątki zdarzało im się czynić jedynie dla krów. Teraz zależało im bardzo, by żałobnicy przeszli czym prędzej, toteż wymachiwali rękami, dęli w gwizdki, krzyczeli i prosili, gestykulowali, wykrzywiali twarze, chwyтали się za głowy i wygrażali pięściami. Na próżno jednak imali się tych sprawdzonych w boju metod: nieobecne kończyny nie mogły zareagować, bez względu na to, jak przeszywający był gwizd, jak gwałtowne gesty.

Tragarze kolejowi, przywykli do szybkiego kłusa z ciężkimi pakunkami, także mieli kłopot z dostrojeniem się do nietypowego tempa. Za każdym razem, gdy za ich plecami zaczynał przycichać śpiew „Ram nam satja he!”^[197], wiedzieli, że zanadto wysforowali się naprzód i przystawali, aż luka się wypełniła.

W połowie drogi, gdy już godzinę wlekli się noga za nogą, na pochód żałobny bez ostrzeżenia natarł niewielki kontyngent z policyjnych oddziałów prewencji. Funkcjonariusze mieli na sobie hełmy i wymachiwali pałkami. Tragarze uskoczyli, by uniknąć ciosów, a ciało Shankara zsunęło się z mar. Krzyżąc z przerażenia, żebracy popadali na ziemię. Z pół tuzina koszyków wysypały się płatki róż, a po jezdni rozpląnęła się delikatna, różowa kałuża.

– Widzisz? Dlatego nie chciałam, żebyś szedł – powiedziała Dina, łapiąc oddech, gdy wraz z Maneckiem biegli schronić się na chodniku. – To są złe czasy i kłopoty mogą nadejść bez ostrzeżenia. Ale co ugryzło tych durnych policjantów?

Dlaczego biją żebraków?

– Może łapia ludzi do kolejnego obozu pracy. Tak jak wzięli Ishvara i Oma.

Później oddział wycofał się równie nagle, jak się pojawił. Jego dowódca dojrzał mistrza i wylewnie przeproszał za zakłócenie świętej ceremonii.

– Sam jestem pobożnym człowiekiem i niezwykle wrażliwym na kwestie religii. To bardzo niefortunna pomyłka. Wszystko przez błędne dane wywiadowcze.

Powiedział, że przez radio przekazano raport, jakoby przez miasto szedł fałszywy pochód żałobny zamierzony jako pewien rodzaj deklaracji politycznej, która bez cienia wątpliwości naruszyłaby rozporządzenia stanu wyjątkowego. Szczególną podejrzliwość wzbudziło tak liczne zgromadzenie żebraków, wyjaśnił.

– Wzięto ich mylnie za działaczy politycznych poprzebieranych w wymyślne stroje – wicherzycieli, co to się bawią w teatr uliczny i przedstawiają członków rządu jako kanciarzy i przestępców, którzy wzięli sobie za cel obrócenie wszystkich obywateli w żebraków. Wie pan, o czym mówię.

– Zrozumiała omyłka – przyznał mistrz. Bardziej zdenerwowali go ludzie, którzy przygotowali mary – widocznie przymocowali ciało nader niestarannie, bowiem zsunęło się bardzo łatwo. Z drugiej strony, tłumaczył sobie, nie była to w pełni ich wina. Prawdopodobnie mieli niewielkie doświadczenie w przygotowywaniu szczątków kogoś tak pokawałkowanego jak Shankar.

Dowódca nadal wił się z zakłopotania i kontynuował przeprosiny.

– Jak tylko zobaczyliśmy, że zwłoki nie są symboliczną kukłą, zrozumieliśmy swój błąd. Pożałowania godna okoliczność. – Ściągnął hełm z czarną przyłbicą. – Pozwoli pan, że złożę kondolencje?

– Dziękuję – odpowiedział mistrz, ściskając mu dłoń.

– Proszę mi wierzyć, za tę wpadkę polecą głowy – obiecywał policjant, podczas gdy jego podwładni rzucili się odszukać tę, która już poleciała, stoczywszy się z mar na jezdnię, w towarzystwie paru innych części ciała.

Dowódca uparł się, że w ramach rekompensaty za zawstydzającą interwencję jego oddział zapewni pochodowi oficjalną eskortę na resztę trasy. Padł rozkaz, by policjanci złożyli z powrotem mary i ponownie napełnili koszyki żebraków różowymi płatkami zaścielającymi asfalt.

– Proszę się nie martwić – uspokoił mistrza. – Raz i dwa i zaraz wszyscy pomaszerują w porządeczku na miejsce kremacji.

Kiedy procesja zbierała się z miejsca zasadzki, jakiś samochód zatrzymał się przy krawężniku i zatrał.

– O nie – westchnęła Dina. – To mój brat. Pewnie wraca z biura do domu.

Nusswan zamachał z tylnego siedzenia i opuścił okno.

– Idziesz w tej procesji? Nie wiedziałem, że masz przyjaciół hindusów.

– Mam – odpowiedziała Dina.

– Czyj to pogrzeb?

– Takiego żebraka.

Zaczął się śmiać, później przestał i wysiadł z samochodu.

– Nie żartuj z poważnych spraw. – Widać jakaś ważna osobistość, skoro ma policyjną eskortę, wyobraził sobie. Może jakaś szyszka z koncernu Au Revoir, przewodniczący rady nadzorczej albo dyrektor zarządzający. – No, nie drocz się, kto to jest?

– Powiedziała ci. Żebrek.

Nusswan otworzył i zamknął usta: otworzył w bezsilnej złości, zamknął z przerażeniem, gdy pojawił, jaki charakter ma procesja. Uprzytomnił sobie, że Dina nie żartuje.

Usta rozwarły się ponownie, ale żaden dźwięk się z nich nie dobył.

– Zamknij buzię, Nusswanie, bo ci muszka wleci.

Nusswan zamknął. Nie był w stanie uwierzyć, że to naprawdę mu się przytrafia.

– Ach tak – rzekł powoli. – A ci wszyscy żebracy to... przyjaciele zmarłego?

Kiwnęła głową.

Przez głowę przeleciało mu kilkanaście pytań: Dlaczego żebrak ma pogrzeb? I to pod eskortą policji? I skąd ona na tym pogrzebie, i Maneck? Kto za to płaci? Ale z odpowiedziami można było poczekać.

– Wsiadaj – rozkazał, otwierając drzwiczki samochodu.

– Jakie „wsiadaj”?

– No już, nie kłóć się. Oboje wsiadajcie. Odwiozę was do domu. – Długa lista trosk doznanych przez trzydzieści lat przemknęła mu przez głowę lotem błyskawicy. A teraz to. – Nie postawisz ani kroku więcej w tej procesji! To są szczyty – na pogrzeb żebraka się wybrała! Jak nisko jeszcze upadniesz? Co ludzie powiedzą, jeśli zobaczą moją siostrę...

Mistrz i dowódca eskorty zbliżyli się do nich.

– Czy ten człowiek panią niepokoi?

– Ależ skąd – uspokoiła ich Dina. – To mój brat. Składał tylko kondolencje z powodu śmierci Shankara.

– Dziękuję – powiedział mistrz. – Może zechcesz do nas dołączyć?

– Eee... Jestem bardzo zajęty – wykrztusił Nusswan. – Przepraszam, innym razem. – Wśliznął się do wozu i pośpiesznie zatrzasnął drzwi.

Pomachali mu na pożegnanie i ruszyli na swoje miejsca. Nie musieli zanadto wyciągać nóg – kolumna przesunęła się o jakieś dziesięć metrów. Mistrz przeszedł na czoło i zmienił jednego z tragarzy przy marach.

– To było dobre – powiedziała Dina do Manecka. – Myślę, że dziś w nocy przyśni mu się coś strasznego. Koszmar ze stosem żałobnym w roli głównej. Że

niby jego reputacja idzie z dymem.

Maneck uśmiechnął się, ale myślami był przy innej ceremonii kremacyjnej, sprzed trzech dni. Tej, na której powinien był się zjawić. Tej, gdzie zaburzony został pokoleniowy porządek umierania. Wychudły ojciec Avinasha podpalił stos. Trzask podpałki. Dym gryzący w oczy. Palce ognia drażnią się, igrają, łaskoczą zwłoki. Aż zwłoki wygną się w pałąk, jakby usiłowały wstać... mówią, że to znak, że duch się sprzeciwia. Avinash często się tak wyginał podczas gry w szachy, gdy leżał swobodnie, niemal płasko na łóżku, z głową zwróconą w bok, kontemplując szachownicę. Unosił się na łokciu, by sięgnąć po bierkę, wykonać ruch.

Mat. A potem płomienie.

•

Czas płynął powoli, jakby stracił zainteresowanie światem. Dina odkurzyła meble i singery stojące w rogu pokoju. Nie ma drugiej rzeczy równie martwej jak milczące maszyny do szycia, pomyślała.

Znów zajęła się narzutą. Tu poprawiła ścieg, tam przycięła łatkę, korygowała to, co raziło jej oko. Popołudniowe słońce wpadało przez szybę wietrznika, pokrywało barwnymi cętkami kwadraty na jej podolku.

– Niech ciocia przesunie trochę w lewo – poprosił Maneck.

– Dlaczego?

– Chcę zobaczyć, jak ten żółty kawałek wygląda z plamkami słońca.

Cmokając językiem, spełniła jego prośbę.

– Piękne – powiedział.

– Pamiętasz, jaki byłeś nieufny, jak pierwszy raz ją zobaczyłeś?

Zaśmiał się ze swego dawnego braku wyobraźni.

– Nie znałem się wtedy na kolorach i deseniach.

– A teraz jesteś wielkim ekspertem, co? – Wciągnęła sobie na kolana przeciwległy kraniec kapy.

– Położy ją ciocia na łóżku, jak ją ciocia skończy?

– Nie.

– Zamierza ją ciocia sprzedać?

Potrząsnęła głową.

– Umiesz dochować tajemnicy? To będzie prezent ślubny dla Oma.

Maneck nie mógłby ucieszyć się bardziej, gdyby sam na to wpadł. Jej zamiar wzruszył go, twarz mu złagodniała.

– Nie rób takiej smutnej miny – powiedziała. – Na twój ślub też uszyję.

– Nie jestem smutny, uważam, że to wspaniały pomysł.

– Tylko nie biegnij z ozorem do Ishvara i Oma, zaraz jak ich znowu zobaczysz. Dokończę ją, kiedy wznovimy szycie, jak przyjdzie nowy materiał z Au Revoir.

Do tego czasu ani mru-mru.

•

Sesja Manecka dobiegła końca; miał poczucie, że większość egzaminów napisał słabo. Modlił się, by stopnie wystarczyły przynajmniej do przyjęcia na trzyletnie studia.

Dina zapytała, jak mu poszło. Odpowiedział: „W porządku”, ale posłyszała brak przekonania w jego głosie.

– Będziemy musieli poczekać na wyniki, wtedy się okaże jak w porządku.

Ostatniego wieczoru, po namowach ze strony Diny, Maneck uległ gorącym prośbom z listu matki i wreszcie udał się w odwiedziny do krewnych. Dwie godziny spędził, znosząc nadmierną wylewność rodziny Sodawalla i opędzając się od tuzina rozmaitych przekąsek i zimnych napojów.

– Dziękuję, ale już jadłem.

– Następnym razem musisz przyjść z pustym brzuchem – powiedzieli. – Chcemy mieć przyjemność nakarmienia cię. – Odłożyli na bok przekąski i próbowali nakłonić go, by poszedł z nimi do kina i na późną kolację i by został na noc.

– Przepraszam najmocniej, ale na mnie już pora – rzekł Maneck, kiedy uznał, że już odsiedział swoje. – Jutro rano ruszam wcześniej.

Wróciwszy do mieszkania Diny, oskarżył ją, że zepsuła mu wieczór.

– Nigdy więcej tam nie pójde, ciociu. Nawijają bez przerwy i zachowują się jak głupie dzieci.

– Nie bądź niemiły, to rodzina twojej matki.

Pomogła mu ściągnąć pustą walizkę z szafy, później wytarła ją z kurzu. Patrząc, jak się pakuje, raz po raz wtrącała się z radą, przypomnieniem, poleceniem: nie zapomnij, zabierz to, zrób tamto.

– A przede wszystkim bądź miły dla rodziców i nie wdawaj się z nimi w żadne kłótnie. Bardzo za tobą tęsknili przez cały ten rok. Miłych wakacji.

– Dziękuję. I proszę, niech ciocia nie zapomina karmić kotów.

– Och tak, będę je karmić. Będę gotować ich ulubione dania. Czy mam podawać sztucce, czy będą wolały jeść palcami?

– Nie, sztucce niech ciocia zachowa dla swojej synowej, która tu przyjedzie za trzy tygodnie.

Zagroziła, że da mu klapsa.

– Cały kłopot w tym, że twoja matka nie robiła tego dość często, gdy byłeś mały.

Nazajutrz wczesnym rankiem uściskał ją i wyszedł.

•

Powrót samotności mocno różnił się od wcześniejszych wyobrażeń Diny. Przez te wszystkie lata, myślała, nauczyłam się akceptować rzeczywistość, od której nie było ucieczki, mówiłam, że to cisza i spokój. A jednak: jak to możliwe, że znów czuje się samotna, po tym, jak większość życia spędziła w samotności? Czy jej serce i umysł niczego się nie nauczyły? Czy jeden rok mógł tak dalece naruszyć jej odporność?

Po raz enty sprawdziła daty w kalendarzu: trzy tygodnie do powrotu Ishvara i Oma, a potem następne trzy, zanim wróci Maneck.

Dni wlokły się noga za nogą. Dina uznała, że to dobra okazja, by przeprowadzić w mieszkaniu gruntowne porządki. W każdym pokoju słyszała echo niestrudzonego dowcipkowania krawców, które ścigało ją, kiedy szorowała kuchnię, omiatała sufity szczotką na długim kiju, myła okna i wietrzniki, pucowała podłogi we wszystkich pomieszczeniach.

W szafie w pokoju Manecka znalazła szachy jego kolegi. Do zwrotu kiedy college wznowi zajęcia, uznała.

W następnej kolejności opróżniła całą swoją szafę z wyjątkiem najniższej półki. Przetarła wnętrze, pozostałości materiału z Au Revoir ułożyła w schludny stos, posortowała swoje ubrania. Rzeczy, których już nie nosiła, powędrowały na osobną stertę. Odda je żonie Oma. Oczywiście, w zależności od tego, jaki rozmiar będzie nosić. I jakim typem osoby się okaże.

Potem Dina wzięła się do najniższej półki, zapchanej zgromadzonymi przez cały rok ścinkami z każdego dnia szycia, drobnymi kawałeczkami, nadającymi się tylko, by wypchać nimi domowej roboty podpaski. Zanurzyła ramiona w szufladzie. Z szafy wysypała się góra skrawków. Dina roześmiała się głośno. Takiego zapasu bawełnianej wyściółki nie zużyje się nawet przez pół wieku miesiadczy. Odłożyła w torbie rozsądną ilość na zapas, reszty zamierzała się pozbyć.

Potem znów pomyślała o żonie Oma. Młoda, pełna wigoru, na pewno zdoła zużyć tego sporo. Lepiej na razie je zachować, pomyślała, radośnie upychając ścinki z powrotem na półkę.

Zajęta porządkami domowymi zapominała o upływie dni. Pomyślała o werandzie, która wkrótce miała stać się domem młodej pary i stryja. Posłanie krawców nie wystarczy, uznała, i zabrała się do przygotowania dodatkowych prześcieradeł i nakryć z materiałów zesłanych im obficie przez Au Revoir.

Trudno było jej poradzić sobie z pedałem w singerze Ishvara. W latach, kiedy szła, nigdy nie pracowała na takim modelu. Przystawiła się na małą maszynę na korbkę, od cioci Shirin. To była zabawa. Przy każdym ściegu mówiła sobie: jakie to szczęście, mieć cały ten materiał dla zaspokojenia wszystkich naszych potrzeb.

Obraz Ishvara, Oma i żony Oma śpiących na werandzie nie dawał jej spokoju. Jakby to było, myślała, gdyby w moją noc poślubną ciocia Shirin i wuj Darab spali w tym pokoju, co Rustom i ja.

Jedynym rozwiązaniem, jakie przyszło jej do głowy, była kotara pośrodku werandy. Zmierzyła odległość, potem zszyła ze sobą najgrubsze tkaniny z kolekcji resztek. Lepsza symboliczna ściana niż nic.

Miała nadzieję, że Ishvar i Om docenią jej wysiłki. Zrobiła, co było w jej mocy. Jeśli nowa żona postara się choćby w połowie tak, jak ona, ich stosunki na pewno ułożą się dobrze.

Dwa gwoździe, kawałek szpagatu i symboliczne przepierzenie zostało wzniesione. Odsunęła się, lustrując obie strony kotary. Życie ubogich jest bogate w symbole, stwierdziła.

[190] *Bhiksha* – żebrzy.

[191] Raman Raghav – seryjny morderca psychopata działający w Bombaju od połowy lat 60. XX wieku.

[192] *Sala* – tu: pieprzony morderca.

[193] *Chalti Ka Naam Gaadi* (*To, co jedzie, nazywa się samochodem*) – znana indyjska komedia z 1958 roku.

[194] *Dźharu* – miotła; *dźharuwala* – sprzątac.

[195] *Ashem Vohu* – Prawość/świętość jest najważniejsza – jedna z najważniejszych modlitw Parsów.

[196] *Mahapatra* – kapłan.

[197] *Ram nam satja he* – Imię Ramy jest Prawdą.

15 PLANOWANIE RODZINY

Wychudzona, brodata postać pośpieszyła ku krawcom, gdy ci mocowali się, by wydostać kuferek z wagonu na peron.

– Nareszcie – mężczyzna z radości klasnął w dłonie. – Jesteście.

– Ćaća Ashraf! Mieliliśmy zrobić stryjowi niespodziankę, przyjść do pracowni! – Odciągnęli bagaż na bok. Uściskali sobie dłonie, obejmowali się i śmiali, bez żadnego powodu poza radością z tego, że znów są razem.

Ishvar i Om byli jedynymi pasażerami, którzy wysiedli. Dwaj kulisi wypoczywający przy kranie nie wstali z kucek; instykt podpowiedział im, że ich usługi nie będą potrzebne. Sapanie lokomotywy stopniowo budziło małą uśpioną stacyjkę. Handlarze roznoszący owoce, zimne napoje, herbatę, pakorę, lody, okulary przeciwsłoneczne i czasopisma oblegli pociąg, okraszając powietrze swym pokrzykiwaniem.

– Chodźcie – powiedział Ashraf. – Idziemy do domu, na pewno jesteście zmęczeni. Najpierw zjemy, a potem mi opowiecie, jakie cuda wyczynialiście w mieście.

Kobieta z koszykiem fig stojąc koło nich zaintonowała: „Andżir^[198]!”. Rozgłośnie zawołanie rozpoczęło się jak prośba, a gdy ją mijali, przeszło w pogroźkę. Okrzyk się nie powtórzył. Handlarka spróbowała szczęścia u pasażerów w pociągu, ujętych w ramy okien niby podróżna galeria portretów. Truchtała wzdłuż wagonów z opartym na biodrze koszykiem, który podskakiwał jak małe dziecko. Konduktor zadał w gwizdek, podrywając kremowego kundla, który drzemał opodal bocznicy. Pies podrapał się ospale za uchem, wykrzywiając mordę niczym mężczyzna podczas golenia.

– Ćaća-dzi, jest stryj geniuszem – powiedział Om. – Nie podaliśmy w liście daty przyjazdu, a mimo to przyszedł stryj na dobry pociąg. Skąd stryj wiedział, że to dziś przyjeżdżamy?

– Nie wiedziałem – uśmiechnął się. – Ale wiedziałem, że w tym tygodniu. A pociąg przyjeżdża codziennie o tej samej godzinie.

– Czekał stryj codziennie? A co z pracownią?

– Ruch nie jest taki duży. – Sięgnął, by pomóc z bagażem. Jego ręka z postronkami żył drżała w niekontrolowany sposób. Gwizdek zabrzmiał po raz drugi i pociąg przetoczył się koło nich z hukiem. Handlarze zniknęli. Jak porzucony dom stacja osunęła się z senności w opustoszenie.

Była to jednak pustka przejściowa. Z cienia szop i magazynów wynurzyło się z wolna ponad tuzin postaci. Spowici w łachmany, otuleni głodem, opuszczali rachityczne ciała z krawędzi peronu na szyny, po czym przemieszczali się metodycznie wzdłuż torów, od jednego podkładu do drugiego, w poszukiwaniu odpadów wyrzuconych na brzeg przez wagonową falę, schylając się tu i ówdzie, zbierając śmieci pasażerów. Gdy dwie pary rąk pochwyciły tę samą zdobycz, wybuchała bójka. W miejscach, nad którymi podczas postoju znalazła się latryna, drewno i tłuczeń były mokre i śmierdzące, bzycały nad nimi muchy. Obszarpana armia podnosiła papier, resztki jedzenia, plastikowe torby, kapsle, potłuczone szkło, każdy cenny okrucuch pozostawiony przez odjeżdżający pociąg. Wpychali je do jutowych worków i roztapiali się w cieniu dworca, by segregować swe zbiory i czekać na następny pociąg.

– Więc miasto dobrze się z wami obchodziło, nah? – rzekł Ashraf, gdy wkroczyli na przejazd kolejowy, by przedostać się na drugą stronę. – Obaj wyglądacie, jakby wam się wiodło.

– Stryj ma hojne oczy – powiedział Ishvar. Drżenie rąk Ashrafa sprawiło mu ból. Do tego wiek, korzystając z nieobecności krawców, przygarbił wreszcie ramiona stryja. – Nie narzekamy. Ale jak się miewa stryj?

– Pierwsza klasa, jak na moje lata. – Ashraf wyprostował się i postukał w klatkę piersiową, lecz ramiona opadły mu niemal natychmiast. – A ty, Om? Tak się wzbraniałeś przed wyjazdem, a teraz proszę, jak ci się zdrowo oczy świecą.

– To dlatego, że moje robaki opuściły lokal. – Z entuzjazmem opowiedział, jak pasożyty padły w starciu ze środkiem czerwiopełnym.

– Po półtora roku spotykasz stryja i jedyne, o czym potrafisz mówić, to twoje robaki? – zganił go Ishvar

– A czemu nie? – rzekł Ashraf. – Zdrowie jest najważniejsze. Takiego lekarstwa byście tutaj nigdy nie dostali. Kolejny powód, żeby się cieszyć, że wyjechaliście, źle mówię?

Na rogu ulicy Ishvar i Om zwolnili koło domu z pokojami gościnnymi, ale Ashraf powiódł ich w stronę pracowni.

– Po co marnować pieniądze na łóżko pełne pluskiew? Zatrzymacie się u mnie.

– To za dużo zachodu dla stryja.

– Ale ja bardzo was proszę – i musicie u mnie w domu urządzić wesele. Zróbcie to dla mnie. Tak w nim było pusto w tym roku.

– Ćaci Mumtaz nie będzie zadowolona, gdy to usłyszy – powiedział Om. – A jej towarzystwo się nie liczy?

Zaskoczenie zaćmiło uśmiech Ashrafa.

– Nie dostaliście listu? Moja Mumtaz zmarła jakieś sześć miesięcy po waszym wyjeździe.

– Co? – Stanęli, bagaże wysunęły im się z rąk. Kuferek ciężko uderzył o ziemię.
– Ostrożnie! – Ashraf nachylił się, by go podnieść. – Przecież napisałem do was, na adres Nawaza.

– Nie przekazał nam listu – oburzył się Om.

– Może list przyszedł później, kiedy przeprowadziliśmy się na osiedle baraków.

– Mógł nam przynieść.

– Tak, ale kto wie, czy go odebrał.

Porzucili spekulacje i na zmianę zaczęli ścisnąć stryja Ashrafa. Po trzykroć ucałowali go w policzki, w równym stopniu po to, by pocieszyć jego, jak i samych siebie.

– Martwiłem się, kiedy nie przyszła odpowiedź – powiedział. – Pomyślałem, że musicie być bardzo zajęci, że szukacie pracy.

– Nieważne jak byśmy byli zajęci, odpisalibyśmy, gdybyśmy wiedzieli – odrzekł Ishvar. – Przyjechalibyśmy do stryja. To okropne – powinniśmy tu być na pogrzebie, ćaci była dla mnie jak matka, nie trzeba było w ogóle wyjeżdżać...

– Głupoty wygadujesz. Nikt nie może przewidzieć przyszłości.

Znów ruszyli, a Ashraf opowiedział im o chorobie, która zmogła, a w końcu zabrała ćaci Mumtaz. Gdy tak mówił o swej stracie, stało się jasne, dlaczego co dnia wystawał na peronie, czekając na ich pociąg: oto pasował się z czasem, największym z dręczycieli.

– Dziwna sprawa. Kiedy moja Mumtaz żyła, całymi dniami siedziałem sam, szyjąc lub czytając. A ona była sama na zapleczu, zajęta gotowaniem, sprzątaniami i modlitwą. Ale nie było samotności, dni mijały lekko. Wystarczyła sama świadomość, że ona tam jest. A teraz tak za nią tęsknię. Jaki zawodny jest czas: kiedy chcę, by pędził, godziny lepią się do mnie jak klej. I też jaki zmienny. Czas to sznurek, którym wiążemy nasze życia w paczki lat i miesiące. Albo gumowa opaska, którą rozciągamy wedle upodobania. Czas może być ładną wstążką we włosach małej dziewczynki. Lub zmarszczkami na twarzy, kiedy okrada człowieka z młodzińskiej cery i włosów. – Westchnął i uśmiechnął się smutno. – Ale w ostatecznym rozrachunku czas to pętla na szyi, która zaciska się powoli.

Ishvarem miały chaotyczne emocje – wyrzuty sumienia, zgryzota, dojmujące przecucie starości czyhającej na jego przyszłość. Żałował, że nie może obiecać stryjowi Ashrafowi, że go więcej nie zostawia. Zamiast tego rzekł:

– Chcielibyśmy odwiedzić grób ćaci Mumtaz.

Jego prośba ogromnie uradowała Ashrafa.

– Za tydzień przypada rocznica jej śmierci. Możemy pójść razem. Ale przecież was sprowadza z daleka radosna okazja. Porozmawiajmy o niej.

Postanowił za nic nie dopuścić, by smutna wieść ich przygnębiła. Wyjaśnił, że wstępne spotkania z każdą z czterech rodzin mają się odbyć za trzy dni.

– Niektórzy na początku się martwili. Że ja, muzułmanin, występuję w waszym imieniu, nah.

– Jak śmieli – oburzył się Ishvar. – Nie wiedzieli, że jesteście rodziną?

– Na początku nie – powiedział Ashraf. – Ale inni, którzy wiedzieli o dawnych więzach, wyjaśnili, że nie ma powodów do obaw. I teraz wszystko ustalone. Pan młody na pewno się niepokoi – wymierzył Omowi żartobliwego kuksańca w brzuch. – Jeszcze przez chwilę musisz być cierpliwy. Będzie dobrze.

– Nie martwię się – odparł Om. – Niech stryj powie, co nowego. Co w miasteczku?

– Nie za wiele. Otworzyło się Centrum Planowania Rodziny. Przypuszczam, że to was nie zainteresuje – zachichotał. – A wszystko inne, czy to dobre, czy złe, zostało po staremu.

Nagła fala podniecenia przyspieszyła krok Oma, gdy ich oczom ukazała się znajoma ulica, a potem sztyld Pracowni Krawieckiej Muzaffar. Wysforował się do przodu i pozdrawiał właściciela sklepu żelaznego, baniję, młynarza i węglarza, którzy wychylali się z drzwi, syjąc życzeniami i błogosławieństwami z okazji pomyślnego wydarzenia.

•

– Dajcie znać, jak będziecie głodni – powiedział Ashraf. – Ugotowałem dal i ryż. I mam wasz ulubiony aćar^[199] z mango.

Om oblizwał wargi.

– Fajnie tu wrócić.

– Dobrze mieć was tutaj znowu.

– Tak – podchwycił Ishvar. – Wie stryj, Dina-bai jest bardzo miła i bardzo dobrze nam się układa, ale tutaj to co innego. To jest dom. Tu mogę się bardziej odprężyć. A w mieście zawsze jak gdzieś idę, to się trochę boję.

– Daj spokój, brachu, za bardzo się przejmujesz kłopotami. Zapomnij o nich, to było dawno temu.

– Kłopoty?

– Nic takiego – powiedział Ishvar. – Potem stryjowi opowiemy. Chodźcie, jedzmy, zanim ryż i dal wyschną.

Usiedli w pracowni i rozmawiali do późna, a Ishvar i Om baczili, by unikać zbyt drastycznych szczegółów. Czynili to instynktownie, pragnąc oszczędzić stryjowi Ashrafowi cierpienia, gdyż widzieli, jak krzywi się ze współczuciem, słuchając wszystkiego, co opisywali.

Około północy Om zaczął przysypiać. Ashraf zaproponował, by się położyli.

– Moja stara głowa mogłaby tak nie spać całą noc tylko słuchać, nie trzeba jej dużo snu. Ale wy musicie odpocząć.

Ishvar odsunął na bok krzesła, by zrobić na podłodze miejsce na posłanie. Ashraf zatrzymał go.

– Dlaczego tu? Na górze nie ma nikogo oprócz mnie. Chodźcie. – Wspięli się po schodach z pracowni do pokoju na górze. – Ileż tu kiedyś było życia. Mumtaz, moje cztery córki, moi dwaj uczniowie. Nieźleśmy się bawili, nah?

Wydobył dodatkowe prześcieradła i koce z kuferka pachnącego naftaliną.

– Kiedy nasze córki wyszły za mąż i odeszły z domu, moja Mumtaz popakowała to wszystko. Bardzo tego pilnowała – co roku wietrzyła i wkładała nowe kulki na mole.

Om zasnął, gdy tylko jego głowa dotknęła poduszki.

– Przypomina mi ciebie i Narayana – szepnął Ashraf. – Kiedy przyjechaliście tu pierwszy raz, jako mali chłopcy, pamiętasz? Po kolacji schodziliście do pracowni i rozkładaliście maty. Zasypialiście z takim spokojem, jakby to był wasz własny dom. Nie moglibyście powiedzieć mi większego komplementu.

– Stryj i ćaci Mumtaz tak o nas dbali, że czuliśmy się jak u siebie w domu. – Snuli wspomnienia jeszcze przez kilka minut, po czym wyłączyli światło.

•

Ashraf chciał podarować Ishvarowi i Omowi nowe koszule.

– Pójdziemy po nie dziś po południu – oznajmił.

– Hoi-hoi, ćaća-dźi. To zbyt wiele, nie możemy tego przyjąć.

– Chcecie sprawić mi przykrość, odmawiając prezentu? – zaprotestował. – Dla mnie też ślub Oma jest bardzo ważny. Pozwólcie mi robić to, na co mam ochotę. – Koszule zostały przewidziane na odwiedzinę u czterech potencjalnych panien młodych. Kwestię strojów ślubnych mieli negocjować później, z rodziną wybranki.

Ishvar ustąpił, lecz pod jednym warunkiem – że Om i on pomogą mu uszyć koszule. Sytuacja, w której ćaća-dźi miałby samotnie tyrać za maszyną do szycia, nie wchodziła w rachubę.

– Ale nikt nie musi szyc – powiedział Ashraf. – Na bazarze jest nowy sklep z gotowymi ubraniami. Ten, co nam skradł klientów. No przecież pamiętacie, to przez ten sklep musieliście wyjechać.

Opowiedział im o wiernych klientach, którzy jeden po drugim opuścili Pracownię Krawiecką Muzaffar; odeszli także ci, których rodziny korzystały z usług pracowni od czasów jego ojca.

– Lojalność dwóch pokoleń zniknęła jak dym w wietrzny dzień, bo ktoś obiecał im niższe ceny. Tak potężnym demonem jest pieniądź. Dobrze, że wtedy wyjechaliście, tutaj nie ma przyszłości.

Wkrótce potem Om poruszył drugi, wiecznie pomijany milczeniem, powód ich

ucieczki do miasta.

– A co z Thakurem Dharamsim? Nic o nim stryj nie mówi. Ten daku^[200] jeszcze żyje?

– Władze dystryktu powierzyły mu nadzór nad Planowaniem Rodziny.

– Tak, a jakie ma metody? Morduje niemowlęta, żeby kontrolować liczbę mieszkańców?

Ishvar i ćaća Ashraf popatrzyli po sobie nieswojo.

– Moim zdaniem nasi ludzie powinni zebrać się i zabić tego psa.

– Nie wygaduj bzdur, Omprakash – upomniał go Ishvar. Wyglądało na to, że zadawniona rozpaczliwa wściekłość jego bratanka na nowo wzbiera w jego sercu. Niepokoilo go to.

Ashraf wziął Oma za rękę.

– Moje dziecko, ten demon jest zbyt potężny. Odkąd wprowadzono stan wyjątkowy, rozszerzył wpływy od własnej wioski aż tutaj. Teraz to ważny członek Partii Kongresowej, mówią, że po najbliższych wyborach zostanie ministrem – o ile rząd kiedykolwiek przeprowadzi wybory. Chce uchodzić za szacownego obywatela i unika gundagiri. Jak chce kogoś nastraszyć, nie posyła swoich zbirów, tylko mówi policji. Tamci zwijają biedaka, biją go, a potem wypuszczają.

– Dlaczego tracimy czas na gadanie o tym człowieku? – obruszył się Ishvar. – Przyjechalіśmy tu z radosnej okazji, nic nam do niego, Bóg się policzy z Thakurem Dharamsim.

– Właśnie tak – zgodził się Ashraf. – Chodźcie, pójdziemy kupić te koszule. – Na zewnątrz wywiesił tabliczkę z informacją, że pracownia będzie zamknięta do szóstej. – To i tak bez znaczenia. Nikt nie przychodzi.

Męczył się z zasunięciem stalowych krat i Om podszedł mu pomóc. Krata zablokowała się na szynie. Trzeba ją było cofnąć, potrząsnąć, by zaskoczyła, i pchnąć do przodu.

– Trzeba ją naoliwić – wysapał Ashraf. – Tak jak moje stare kości.

Ruszyli drogą gruntową wiodącą w stronę bazaru, obok szop na zboże i robotniczych baraków. Stąpali po twardej, suchej ziemi. Ich sandały skrzypiały lekko, wzbijając jęczyczki kurzu.

– Jak tam z deszczem w mieście?

– Za dużo – powiedział Ishvar. – Wiele razy podtapiało ulice. A tu?

– Za mało. Diabeł trzyma nad nami swój parasol. Miejmy nadzieję, że go zamknie w tym roku.

Droga do sklepu odzieżowego wiodła obok nowego Centrum Planowania Rodziny. Om zwolnił, by zerknąć do środka.

– Powiedział stryj, że tym zarządza Thakur Dharamsi?

– Tak i robi na tym gruby pieniądz.

– Jak to? Myślałem, że to rząd płaci pacjentom, żeby się zoperowali.

– Ten zbój całą forszę pakuje do kieszeni. Ludzie z wiosek są bezsilni. Jak się poskarżą, to ściągają na swoje głowy jeszcze większe cierpienie. Kiedy gang Thakura rusza na poszukiwanie ochotników, ci biedacy bez szemrania posyłają swoje żony albo sami się zgłaszają na operację.

– Hai Ram. Jeżeli taki demon opływa w dostatki, to widać świat naprawdę przechodzi przez mrok kalijugi.

– A mnie mówisz, że wygaduję bzdury – powiedział pogardliwie Om. – Zabicie tego wieprza to najrozsądniejszy sposób, by zakończyć kalijugę.

– Uspokój się, moje dziecko – zwrócił się do niego Ashraf. – Kto pluje betelem na sufit, ten tylko sam się oślepia. Za zbrodnie na tym świecie wymierza się karę w Następnym Świecie.

Om przewrócił oczami.

– O tak, na pewno. Ale niech mi stryj powie, ile on może wyciągnąć z tego centrum? Dodatek za operację nie jest zbyt duży.

– Och, bo to nie jedyne źródło. Kiedy przyprowadza się pacjentów do kliniki, on ich wystawia na licytację.

– Co to znaczy?

– Widzisz, wszystkie osoby na państwowych posiadach muszą się wykazać dwoma lub trzema przypadkami sterylizacji. Jeśli nie wyrobią normy, rząd wstrzymuje im pensję za dany miesiąc. No więc Thakur sprasza do kliniki wszystkich nauczycieli, wójtów, poborców podatkowych i inspektorów do spraw żywności. Mieszkańców wiosek wystawia się na aukcji i każdy, kto chce, może licytować. Wysterylizowanych zapisuje się na konto tego, kto da najwięcej.

Ishvar z rozpaczą potrząsnął głową.

– Dobra, chodźmy już – powiedział, przykładając sobie dłonie do uszu. – Bas, nie chcę więcej tego słuchać.

– Nie dziwię się – odrzekł Ashraf. – Słuchanie o tym, jak takie rzeczy dzieją się za naszego życia, jest niczym picie jadu – zatruwa mój spokój. Każdego dnia modłę się, by ta czarna chmura odpłynęła znad naszego kraju, by wymiar sprawiedliwości zajął się tymi ludźmi, którzy pobłądzili.

Zbierali się do odejścia, kiedy pracownik Centrum Planowania Rodziny podszedł do drzwi.

– Zapraszam – powiedział. – Nie trzeba czekać, lekarz przyjmuje, możemy od razu przystąpić do operacji.

– Łapska precz od mojej męskości – odparł Om.

Mężczyzna zaczął tłumaczyć ze znużeniem, że ludzie mają błędne wyobrażenie na temat wazektomii, że nie dotyczy ona męskości i lekarz nawet nie dotyka tej

części.

– W porządku – uśmiechnął się Ashraf. – Wiemy. Chłopiec tylko się z panem przekomarza. – Pomachał mu pojednawczo i ruszyli dalej w swoją stronę.

Przed sklepem z konfekcjonowaną odzieżą zestawy spodnie plus koszula łożone na drucianych wieszakach, zawieszane pod markizą niczym bezgłowe strachy na wróble. Główny zapas towaru trzymano na półkach w tekturowych pudłach. Ocenivszy rozmiary klientów, sprzedawca zaczął prezentować koszule. Om się skrzywił.

– Nie podoba ci się?

Om potrząsnął głową. Subiekt odsunął na bok kartony i wystawił na pokaz piramidę alternatywnych propozycji. Z niepokojem patrzył na klientów.

– Ta jest ładna – powiedział Ishvar przez wzgląd na ekspedienta. – Obejrzał kraciastą koszulę z krótkim rękawem. – Maneck ma dokładnie taką samą.

– Tak, ale popatrz, jak kiepsko przyszyli guziki – zżymał się Om. – Jedno pranie i odpadną.

– Jeśli koszula ci się podoba, to weź ją – przekonywał Ashraf. – Ja ci przyszyję mocniej guziki.

– Pozwolą panowie, że pokażę więcej – odezwał się sprzedawca. – W tym pudle mamy nasze specjalne fasony, najwyższa jakość, od Liberty Garment Company. – Wyłożył na ladę pół tuzina koszul. – Prążki są teraz bardzo modne.

Om wziął do ręki jasnoniebieską koszulę w granatowe paseczki i wysunął ją z przezroczystego, plastikowego opakowania.

– Spójrz na to – powiedział z obrzydzeniem, rozkładając ją. – Kieszeń krzywa, a prążki się nawet nie stykają.

– Ma pan rację – przyznał sprzedawca, otwierając kolejne pudła. – Ja tylko sprzedaję te ubrania, nie szyję ich. Co robić, nikt już nie dba o jakość wykonania.

– Święte słowa – rzekł Ishvar. – Wszędzie tak jest.

Lament nad zmieniającymi się czasami ułatwił znalezienie koszul, które byłyby do przyjęcia. Subiekt złożył wybrane przez nich sztuki wzdłuż pierwotnych załamań materiału i wsunął je z powrotem do przezroczystych kopert. Folia szeleściła wykwinie. Iluzja klasy i jakości została przywrócona i zabezpieczona sznurkiem oraz brązowym papierem. Mężczyzna zębami oderwał stosowny kawałek sznurka z dużej rolki.

– Zapraszam ponownie. Z przyjemnością panów obsłużę.

– Dziękujemy – odpowiedział Ashraf.

Stanęli na ulicy i dyskutowali, co robić dalej.

– Moglibyśmy się przejść po bazarze – zaproponował Om – i zobaczyć, czy jest ktoś, kogo znamy.

– Mam lepszy plan – odparł Ashraf. – Jutro jest dzień targowy. Pójdziemy rano.

Z wiosek przyjadą wszyscy, spotkacie wielu przyjaciół.

– Dobry pomysł – zgodził się Ishvar. – A teraz, zanim wrócimy do domu, chcę was zaprosić na betel.

– Nie mów mi, że zaczęliście żuć – powiedział Ashraf z dezaprobatą.

– Nie, nie, to tylko dlatego, że dziś jest specjalny dzień i widzimy stryja po takiej długiej przerwie.

Z ustami wypchanymi mieszaniną liści betelu, ćuny^[201] i tytoniu szli z powrotem do Pracowni Krawieckiej Muzaffar, ponownie mijając Centrum Planowania Rodziny, przy którym Ashraf opróżnił do rowu usta pełne soku i wskazał na zaparkowany samochód.

– To nowy wóz Thakura Dharamsiego. Widać jest w środku i liczy swoje ofiary.

Ishvar natychmiast pokierował nimi na drugą stronę jezdni.

– Czego tak biegniesz? – spytał Om. – Nie musimy bać się tego psa.

– Lepiej nie ryzykować.

– Też tak uważam – powiedział Ashraf. – Po co patrzeć w twarz demona, jeśli można tego uniknąć.

Wówczas z budynku wychynął Thakur Dharamsi, a Om śmiało ruszył długimi krokami prosto na niego. Ishvar próbował go odciągnąć w tył, do stryja Ashrafa. Gładkie skórzane podeszwy sandałów Oma pośliznęły się na chodniku. Zrobiło mu się głupio. Stryj zdobywał przewagę, a jego bunt zmieniał się na oczach Thakura w upokorzenie.

Om splunął.

Łuk czerwieni padł blisko celu; lepki sok wsiąkł w ziemię. Thakur zatrzymał się. Dwaj mężczyźni, którzy szli z nim, czekali na dyspozycje. Ludzie dookoła znikli jak zgaszone światło, w obawie przed tym, co mogło nastąpić.

– Znam cię – wycedził bardzo cicho Thakur. Wsiadł do samochodu, zatrzaskał drzwiczki i odjechał.

Przez resztę drogi do domu Ishvar szalał z gniewu i niepokoju.

– Zwariowałeś! Bilkul pagal^[202]! Jeśli chcesz umrzeć, dlaczego nie połkniesz trutki na szczury? Przyjechałeś tu na wesele czy na pogrzeb?

– Na mój ślub i na pogrzeb Thakura.

– Przestań mi tu się mądrzyć! Powiniennem dać ci w twarz!

– Jakbyś mnie nie zatrzymał, mógłbym go opluć. Napluć mu prosto w twarz.

Ishvar uniósł rękę do ciosu, ale Ashraf go powstrzymał.

– Co się stało, to się nie odstanie. Od tej pory musimy trzymać się z dala od tego demona.

– Nie boję się go.

– Oczywiście, że nie. Nie chcemy po prostu, żeby jakieś kłopoty popsują nam

przygotowania do ślubu, ot co. Nie trzeba, by naszą radość zasnuł cień tego demona.

Długo jeszcze Ashraf musiał słowami jak balsam koić niepokój Ishvara. Ale od czasu do czasu przerażenie tamtego znów dawało znać o sobie, wybuchając w formie gorzkiego potępienia głupoty bratanka.

– Ciska się jak bohater, a pomyślunku to nie ma za dwie pajsy. Sam sobie jestem winien, że ci kupiłem betel. Wściekła sowa, jak mawiała Dina-bai. Gdzie się podziało twoje poczucie humoru? Manecka nie ma i od razu zapomniałeś, jak się śmiać i cieszyć życiem.

– Trzeba było go przywieźć ze sobą, jak uważasz, że jest taki cudowny. Ja bym sobie został.

– Bzdury wygadujesz. Jesteśmy tu na kilka dni. Niebawem wracamy do pracy. Nie możesz się zachowywać rozsądnie nawet przez ten krótki czas?

– To samo mówiłeś w mieście – że pobędziemy tam tylko chwilę i wrócimy w rodzinne strony.

– I co? To moja wina, że w mieście trudniej zarobić, niż przewidywaliśmy?

W końcu dali spokój. Dalsza sprzeczka oznaczałaby, że ćaća Ashraf dowie się o cierpieniu ukrytym w szczegółach, których mu zaoszczędzili.

•

Dzień targowy był bardziej zgiełkliwy niż zazwyczaj, ponieważ Centrum Planowania Rodziny reklamowało swój punkt sterylizacyjny. Z budki ustawionej na placu głośniki nadawały na pełny regulator, a zawieszane nad jezdnią plansze natarczywie zachęcały do udziału w Nasbandi Mela^[203]. Typowe jarmarczne parafernalia – balony, kwiaty, bańki mydlane, kolorowe światełka i przekąski – wykorzystywano dla zwabienia miejskiego ludku i przyjezdnych ze wsi. Filmowe piosenki co i rusz były przerywane ogłoszeniami o tym, jak społeczeństwo potrzebuje kontroli urodzin oraz o szczęściu i dobrobycie czekających na osoby skłonne poddać się sterylizacji, o hojnych premiach za wazektomię lub podwiązanie jajowodów.

– Gdzie będą przeprowadzać te operacje? – zastanawiał się Om. – Tu, na miejscu?

– A co, chcesz sobie popatrzeć? – spytał Ishvar.

Ashraf powiedział, że Centrum zwykle rozstawia namioty na przedmieściach.

– To jest zorganizowane jak fabryka. Tu się przytnie, tu się ciachnie, parę szwów – i towar gotowy do wysyłki.

– Brzmi jak krawiectwo, drogi stryju.

– Tak naprawdę my, krawcy, bardziej przykładamy się do naszej pracy. Okazujemy więcej uwagi tkaninom niż te potwory ludziom. Wstyd dla całego

narodu.

Nieopodal budki sterylizacyjnej mężczyzna sprzedawał eliksiry na impotencję i bezpłodność.

– Ten znachor ściąga większą publiczność niż rządowi – zauważył Ishvar.

Kramarz miał włosy zaczesane w czarną aureolę, a przez plecy przerzuconą zwierzęcą skórę. Tors szarlatana był nagi, a w prawe ramię wrzynał mu się obcisły rzemyk, sprawiając, że na całej jego ręce żyły występowały na wierzch, manifestując tężyznę fizyczną. Za każdym razem, gdy jakieś zagadnienie z dziedziny reprodukcji wymagało dosadnego zilustrowania, handlarz wywijał w powietrzu twardą, spęczniałą, muskularną łapą.

Na macie przed nim stało kilka słoików z ziołami i kawałkami kory, lecz by nikt nie wziął ich omyłkowo za atrybuty prozaicznego lekodzieja, rozłożył pomiędzy nimi kolekcję martwych jaszczurek i węży, które miały sugerować dziką jurność, gadzią poządliwość. W jednym z narożników spoczywała ludzka czaszka. Centrum maty okupowała głowa niedźwiedzia o wielkich, błyszczących oczach i rozwartej paszczy. Trofeum ucierpiało podczas swych podróży – utraciło dwa zęby; ich miejsce zajęły niewielkie szyszki pomalowane na biało. Żalodne protezy niweczyły srogość niedźwiedziego łypnięcia, tak iż ogólny efekt był cokolwiek błazeński.

Handlarz potencji wskazywał pałeczką na wykresy, gdzie wyliczono symptomy oraz leki, i na diagramy, które przypominały schemat obwodu elektrycznego. W połowie egzegezy uniósł rąbek dhoti, odsłaniając łydki, kolana i wreszcie muskularne uda. Ciemnobrązowa skóra zaśniła w słońcu. Jak na mężczyznę o zarośniętej klatce piersiowej miał podejrzanie gładkie nogi. Następnie, by podkreślić swe słowa, kilkakrotnie strzelił otwartą dłonią w twarde mięśnie ud. Trzask był ostry, jak kłaśnięcie pary idealnych dłoni.

Jego handlarska gadka miała formę pytań i odpowiedzi.

– Czy płodzenie dzieci nastęcza ci trudności? Czy twój hathijar^[204] niechętnie się podnosi? A może śpi i zapomina się obudzić? – Jego pałeczka niepokieszenie zwisała w dół. – Nie lękaj się, istnieje lekarstwo! Od dziś będzie ci stać jak żołnierz na apelu! Raz, dwa, trzy – bum! – Wskaźnik wystrzelił w górę.

Część publiczności zachichotała pod nosem, inni bez obaw zanieśli się głośnym rechotem, na kilku czołach pojawił się cień krytycznych zmarszczek.

– A może staje, ale nie dość prosto? Czy instrument jest wygięty? Skręca w lewo jak Partia Marksistowsko-Leninowska? W prawo, jak faszyci z Jan Sangh^[205]? A może bezmyślnie kiwa się pośrodku jak Partia Kongresowa? Nie lękaj się, sprawę można naprostować! A może twój interes nie chce stwardnieć, nawet gdy się go pociera i masuje? Wypróbuj moją maść, a stanie się twardy jak serce rządu! Niesamowita maść przyrządzona z organów dzikich zwierząt! Dzięki niej znikną

twoje kłopoty! Wszystkich mężczyzn zmieni w maszynistów! Będą punktualni jak pociągi za stanu wyjątkowego! Co noc łup-łup w przód i w tył jak tłoki silnika! Koleje będą chciały wykorzystać twoją energię! Smaruj raz dziennie, a żona będzie z ciebie dumna! Smaruj dwa razy, a będzie się musiała tobą dzielić z całą ulicą!

Ostatnie zdanie wywołało burzę śmiechu w grupce młodych mężczyzn. Kobiety ukryły uśmiechy w dłoniach; kilka chichotów wyrwało się, nim zdążyły je zdusić. Skrzywieni krytycy odmaszerowali z niesmakiem.

Handlarz potencji sięgnął po wyszczerzoną czaszkę i uniósł ją w górę.

– Jeśli posmaruję głowę tego dżentelmena moją maścią, to nawet on zacznie skakać! Ale na to się nie poważę z uwagi na obecność dam – ich cześć mogłaby się znaleźć w niebezpieczeństwie! – Widownia zaklaskała entuzjastycznie.

Kramarz ciągnął dalej w tym duchu, a następnie zabrał się za omawianie kobiecych przypadłości. Tym razem wcielił się w drugą rolę – fakira płodności.

– Czy życie twoje jest zagrożone w smutku, gdyż sąsiadka ma więcej dzieci? Czy potrzebujesz więcej par rąk, by pomagały ci przy niekończącej się pracy w polu, przy noszeniu wody i poszukiwaniu drewna na opał? Czy nie masz synów i martwisz się, kto się tobą zaopiekuje, gdy będziesz bezradną staruszką? Nie lękaj się! Ten napój sprawi, że z twojego brzucha dzieci popłyną wartką strugą! Jedna łyżka dziennie, a podarujesz mężowi sześciu synów! Dwie łyżki i twoje łono wyda na świat armię!

Choć przekupnia otaczał spory tłum, prawdziwych klientów było niewielu. Ludzie przychodzili przede wszystkim dla rozrywki. Ponadto nabycie specyfików w świetle dziennym oznaczało publiczne przyznanie się do słabości w lędźwiach. Transakcje miały zostać zawarte później, gdy występ dobiegnie końca, a łowcy zabawy ruszą w swoją stronę.

– Zamierzasz kupić? – Ishvar połaskotał w zebra Oma, który słuchał w pełnym powagi skupieniu.

– Nie potrzebuję takich hocków-klocków.

– Jasne, że nie – powiedział Ashraf, obejmując Oma za ramię. – Inszallah, synowie i córki zjawią się w odpowiednim czasie.

Podjęli spacer przez bazar, aż w końcu dotarli do stoisk ćamarów.

– Nic nie mówcie, stójmy z boku – szepnął Om. – Zobaczymy, ile czasu minie, zanim nas poznają.

Udawali, że oglądają sandały, bukłaki, portmonetki, pasy, paski do ostrzenia brzytwy, uprząże. Mocny zapach świeżej skóry sięgał głęboko, budząc zatarte wspomnienia. A później ktoś z rodzinnej wioski rozpoznał ich.

Rozległ się okrzyk radości, który podjęli inni. Powitanie było wylewne. Ludzie zebrali się wokół nich, rozmowa popłynęła wartko. Każdy palił się, by zapełnić

puszkę, która powstała wskutek długiej nieobecności krawców.

Od mieszkańców wioski Ishvar i Om dowiedzieli się, że Gambhir, przyjaciel Dukhiego od dziecka, któremu przed laty wiano do uszu roztopiony ołów, zmarł niedawno. Rana po oparzeniach jątrzyła się zawsze, lecz wykończyło go zakażenie krwi po tym jak skaleczył się zardzewiałą kosą. Stare kobiety, Amba, Pyari, Padma i Savitri, miewały się dobrze. Właśnie one najlepiej pamiętały rodzinę krawców; ich ulubioną opowieścią wciąż była historia o tym, jak razem z Roopą, Dukhim i kilkudziesięcioma innymi wybrały się, by obejrzeć przyszłą żonę Narayana.

Gdy oddano cześć zmarłym i starcom, rozmówcy zwrócili się ku teraźniejszości. Wieść o nadchodzących oględzinach kandydatek na żonę rozeszła się wśród ćamarów. Dwóch mężczyzn dźwignęło Oma na barkach i obnosiło go niczym zwycięskiego wojownika, jakby ślub już się odbył. Powinszowania płynęły ze wszystkich ust, wprawiając Oma w zażenowanie. Tym razem on nie umiał zdobyć się na ciętą ripostę, Ishvar zaś promieniał i kiwał głową.

Dla tych, którzy znali Narayana, okazja ta miała szczególne znaczenie. Cieszyli się, że linia tak znakomitego mężczyzny, ćamara, który został krawcem i rzucił wyzwanie wyższym kastom, nie wymrze.

– Modliliśmy się, by jego syn powrócił pewnego dnia – mówili. – I nasze modlitwy zostały wysłuchane. Om musi kontynuować dzieło ojca. A wnuki uczynią tak samo.

W uszach Ishvara tęsknoty ludzi z jego kasty brzmiały nierozsądnie i pochopnie kusiły los. Strach zrodzony poprzedniego dnia z zuchwałego zachowania Oma wobec Thakura Dharamsiego nadal tętnił w jego żyłach. Przerwał życzenia.

– Wykluczone, byśmy wrócili. Mamy bardzo dobrą pracę w mieście. Na Omprakasha czeka tam świetna przyszłość.

Ćamarowie mówili o latach, gdy Ishvar i jego brat po raz pierwszy opuścili wioskę, by terminować w Zakładzie Krawieckim Muzaffar. Opowiadali Omowi, jak wyśmienitym krawcem był jego ojciec, a Ashraf, dumny nauczyciel, uśmiechał się i kiwał głową, by potwierdzić, że tak, wszystko to jest prawdą.

– To było jak czary – relacjonowali ćamarowie. – Narayan brał ubrania wyrzucone przez tłustego obszarnika i tak je przerabiał na swojej maszynie, że leżały na nas jak nowe. Potrafił wziąć nasze łachmany i przerobić je w stroje, które nadawały się dla króla. Nigdy nie ujrzymy drugiego takiego jak on. Tak hojnego, tak dzielnego.

Ishvar ponownie zmienił temat, obawiając się, jak te wspomnienia wpłyną na jego bratanka.

– Odkąd przyjechaliśmy, ćaća Ashraf mówi nam o starych czasach – rzekł. – Opowiedzcie, co się dzieje dziś.

I tak Ishvar i Om usłyszeli, że niedawno strumień wysechł, a w jego korycie znaleziono doskonale okrągły kamień obdarzony właściwościami leczniczymi. W innej wiosce sadhu medytował pod drzewem, a gdy odszedł, na pniu pojawiły się szczeliny układające się w wizerunek Ganeśi. Gdzie indziej, podczas procesji ku czci bogini Matki, ktoś wpadł w trans i zidentyfikował kobietę z plemienia Bhił^[206] jako wiedźmę odpowiedzialną za problemy całej społeczności. Kobietę zatłuczono na śmierć i wioska wypatrywała lepszych czasów; niestety minął rok, a oni nadal czekali. Zanim rozmowa znów zbłądziła w przeszłość, Ishvar powiedział:

– Jeśli wszystko dobrze pójdzie, zobaczymy się na ślubie – po czym pożegnali się wśród wiwatów i śmiechu.

Spacerując, zaszli na warzywny odcinek targowiska, gdzie Ishvar wybrał zielony groszek, kolendrę, szpinak i cebule.

– Dziś wieczorem ugotuję dla was moją specjalność.

– A specjalista od ćapati zaszczyci nas swoim kunsztem – powiedział Ashraf i znów objął Oma. Ciężko mu było powstrzymać się od nieustannego dotykania i tulenia tych dwóch, którzy byli dla niego jak syn i wnuk.

– Jeszcze jeden przystanek przed powrotem do domu – rzekł Ishvar. – Poprowadził ich do stoiska z dewocjonaliami, gdzie nabył sznur kosztownych paciorków do modlitwy. – To taki drobny prezent od nas – powiedział do Ashrafa. – Mamy nadzieję, że będzie stryjowi służył przez lata.

– Inszallah – odparł tamten i ucałował bursztynowe paciorki. – Wybraliście dla mnie odpowiedni podarek.

– To mój pomysł – zgłosił się Om. – Zauważyliśmy, że więcej czasu spędza stryj na modlitwie.

– Tak, świadomość śmierci i sędziwy wiek zwykle wpływają w ten sposób na nas, śmiertelników. – Powstrzymał sprzedawcę, który składał torebkę z gazety, by zapakować paciorki: – Nie trzeba – rzekł i owinał sobie cenny podarunek wokół palców.

Opodal sprzedawca waty cukrowej zawołał zachęcająco:

– Aga-ni-dadhi! Aga-ni-dadhi!^[207]

– Ja mam ochotę na jedną – powiedział Om.

– Are, zjedz więcej, weź dwie! – zadzwonił mosiężnym dzwoneczkiem tamten.

Ishvar uniósł jeden palec i sprzedawca waty uruchomił maszynę.

Patrzyli, jak z terkoczącego i mrużącego centrum rozwijają się pasma rózu. Sprzedawca energicznie kręcił patykiem wewnątrz pojemnika, głaszcząc powietrze, zbierając słodkie włókna. Kiedy kula osiągnęła rozmiary ludzkiej głowy, wyłączył maszynę.

– Wiecie, jak to działa, prawda? – spytał Ashraf. – W środku siedzi wielki pajak,

który żywi się cukrem i różową farbą. Jak człowiek daje mu znak, to zaczyna prząść nić.

– Na pewno – roześmiał się Om i ujął go pieszczotliwie pod brodę, obracając w palcach cienkie, białe kosmyki. – Twoja dadhi też tak powstała?

Dochodziło południe. Puste ciężarówki z łoskotem toczyły się główną drogą i parkowały przed placem targowym. Nikt nie zwracał na nie uwagi. W ten dzień tygodnia ruch pojazdów zawsze był intensywny.

– Chcecie spróbować? – Om podsunął im patyk.

Ishvar podziękował. Ashraf postanowił się poczęstować i dzielnie manewrował wata wśród kosmyków brody. Kawalek przykleił się do zarostu, róż na bieli, i Om ryknął śmiechem. Zaprowadził stryja przed witrynę sklepu z sari i pokazał mu jego wacianą brodę.

– Bardzo to atrakcyjnie wygląda, ćaća-dźi. Mógłby stryj zaprowadzić nowy styl.

– Teraz już wiesz, dlaczego mówi się na to aga-ni-dadhi – powiedział Ashraf, wyskubując włókna cukru spomiędzy włosów.

Ishvar przyglądał się im zadowolony, z pełnym szczęścia uśmiechem. Mimo wszystko życie jest dobre, pomyślał. Jak mógłby narzekać, skoro Om i on zostali pobłogosławieni przyjaźnią takich osób jak ćaća Ashraf, Dina-bai i Maneck.

Na obrzeżach placu pojawiły się następne ciężarówki. Zajęły uliczki prowadzące na bazar. Były to śmieciarki – miały zaokrąglone dachy i otwory z tyłu.

– Co tak wcześniej? – zastanawiał się Ashraf. – Targ potrwa jeszcze wiele godzin, a sprzątanie zaczyna się dopiero wieczorem.

– Może kierowcy też chcą zrobić zakupy.

Raptem na targowisko wtargnęły z rykiem klaksonów policyjne radiowozy. Ludzkie morze rozstało się.auta stanęły pośrodku i wyrzuciły z siebie batalion posterunkowych, którzy zajęli pozycje na placu.

– Ochrona policyjna na bazarze? – spytał Ishvar.

– Coś tu nie gra – zaniepokoił się Ashraf.

Kupujący patrzyli, zbici z pantaląku. Później policjanci ruszyli naprzód i zaczęli chwytać ludzi. Zaskoczeni jeńcy stawiali opór, krzyczeli, zadawali pytania.

– Powiedzcie nam najpierw! Powiedzcie nam, co zrobiliśmy! Co to za porządki, żeby ot tak sobie łapać ludzi? Mamy prawo tu być, dziś jest dzień targowy!

W odpowiedzi funkcjonariusze sunęli nieugięcie przez tłum. Na opór reagowali uderzeniami bambusowych pałek. Na targowisku zapanowała panika. Ludzie napierali, zaklinali, walczyli z policjantami, usiłowali rozerwać kordon. Lecz plac został skutecznie otoczony i ci, którzy wydostali się na obrzeża, byli z powrotem spędzani ciosami wprost w wyczekujące ręce kolejnych funkcjonariuszy.

Stoiska i stragany runęły na ziemię, kosze wywracano, roztrzaskiwano skrzynki. Minęło kilka sekund i po całym placu rozsypały się pomidory, cebule, gliniane kubeczki, mąka, liście szpinaku, kolendra i papryczki chili – pomarańczowe, białe i zielone plamy wylały się ze swych schludnych rzędów i rozmyły w chaosie. Niedźwiedź handlarza potencji został stratowany i stracił kolejne zęby, a martwe jaszczurki i węże zginęły po raz drugi. Muzyka ze stoiska Planowania Rodziny nadal huczała ponad ludzkim krzykiem.

– Tędy, szybko – powiedział Ashraf. – Tu się schronimy. – Poprowadził ich do drzwi kupca tekstylnego, który zwykł kierować klientów do Pracowni Muzaffar. Sklep był zamknięty, Ashraf zadzwonił. Nikt nie odpowiedział. – Mniejsza z tym, przeczekamy tutaj, aż się uspokoi. Widocznie policja poluje na jakichś przestępców, którzy byli w tłumie.

Ale policjanci wyrywali ludzi na chybił trafił. Na ciężarówce zaciągano starców, młodych chłopców, gospodynie domowe z dziećmi. Kilkorgu udało się zbiec, większość tkwiła w pułapce jak kury w kurniku. Mogli jedynie czekać, aż zgarną ich stróżowie prawa.

– Patrzcie – namawiał Ashraf. – Na tamtym rogu jest tylko jeden hawaldar. Jak pobiegiecie szybko, to się przedrzecie.

– A stryj?

– Będę tu bezpieczny. Spotkamy się w pracowni.

– Nie zrobiliśmy nic złego – rzekł Ishvar, nie godząc się, by zostawić Ashrafa. – Nie musimy uciekać jak złodzieje.

Stojąc we wnęce drzwi, przypatrywali się, jak policja kontynuuje pościg za uciekinierami pędzącymi obłąkańczo wśród rozrzuconych owoców, ziaren i potłuczonego szkła. Ktoś potknął się, upadł na odłamki, rozciął sobie twarz. Goniący go przestał się nim interesować i obrał sobie nową zwierzynę.

– Hai Ram! – zakrzyknął Ishvar. – Patrzcie, krew mu leci! A oni przestali się nim interesować! O co tu chodzi?

– Wcale bym się nie zdziwił, jeśli za tym wszystkim stoi ten demon Dharamsi – powiedział Ashraf. – Te śmieciarki należą do niego.

W miarę jak pojazdy się zapelniały, kurczyła się liczba ludzi na placu. Policjanci musieli się bardziej przykładać, by wyłapać pozostałych. Niebawem sześciu posterunkowych namierzyło krawców.

– Wy trzej! Na ciężarówkę!

– Ale dlaczego, sahibie komisarzu?

– Nie wyklócać mi się, tylko wsiadać – odparł jeden, unosząc pałkę.

Ashraf zasłonił twarz rękami. Posterunkowy złapał za paciorki owinięte wokół jego palców i szarpnął. Paciorki potoczyły się leniwie po bruku.

– Eeeej! – dwaj policjanci pośliznęli się na maleńkich bursztynowych kulkach.

Widząc towarzyszy na ziemi, pierwszy funkcjonariusz zareagował wściekłym uderzeniem pałką.

Ashraf jęknął i osunął się powoli na ziemię.

– Proszę mu nie robić krzywdy, to był przypadek! – błagał Ishvar. – Obaj z Omem przyklekli, by przytrzymać głowę stryja.

– Wstawać! – wrzasnął posterunkowy. – Udaje, nic mu nie jest. Tylko go trąciłem.

– Ale mu krew leci z głowy.

– Tylko trochę. No już, wsiadać na ciężarówkę.

Krawcy zlekceważyli rozkaz na rzecz ćaci Ashrafa. Posterunkowy wymierzył im po kopniaku. Zawyli, łapiąc się kurczowo za żebra. Kiedy zamierzył się ponownie, wstali. Popchnął ich w stronę ciężarówek.

– A co z ćacą Ashrafem? – krzyknął Ishvar. – Zostawi go pan na ulicy?

– Nie drzyj się na mnie, nie jestem twoim służącym! Już ja ci zaraz skuję mordę, sala!

– Przepraszam, sahibie komisarzu, proszę mi wybaczyć! Ale ćaca-dźi jest ranny, chcę mu pomóc!

Posterunkowy obrócił się, by drugi raz spojrzeć na starca. Krew ściekała spomiędzy rzadkich białych włosów i powoli skapywała na krawężnik. Ale policja otrzymała wcześniej instrukcje, by nie ładować do wozów nikogo, kto jest nieprzytomny.

– Inni się nim zajmą, to nie wasze zmartwienie – powiedział policjant i wepchnął ich na ciężarówkę.

Na chodniku pies obwąchiwał upuszczoną przez Oma watę cukrową. Jej kłaczki przykleiły mu się do pyska. Zwierzę tarło różową brodę łapą, a na ciężarówce dziecko siedzące na kolanach matki śmiało się z jego wygibasów. Kiedy śmieciarki się zapełniły, policja zaniechała dalszej łapanek. Ludzie, którzy pozostali na placu, nagle byli wolni: mogli odejść.

•

Obóz sterylizacyjny leżał nieopodal miasta. Na peryferyjnym polu, na którym jeszcze gdzieś widać było rżyska po niedawnych żniwach, stało około tuzina namiotów. Wjeżdżające śmieciarki powitały dokładnie takie same afisze, balony i piosenki jak na targowisku. Przerażone zawroźnienie pasażerów wzmoгло się, gdy pojazdy parkowały na otwartej przestrzeni za namiotami, obok karetki i zasilanego olejem napędowym agregatu prądotwórczego.

Dwa namioty były większe i solidniejsze od pozostałych, a kable łączyły je z agregatem, którego potężne dudnienie muzyka zagłuszała tylko częściowo. Czerwone butle od kuchenek gazowych przycupnęły opodal brezentowych

płacht. W środku przykryte plastikową ceratą biurka przysposobiono do roli stołów operacyjnych. Zawiadujący obozem lekarz wojskowy zmarszczył nos, znalazłszy się opodal śmieciarek. Zgniły zapach codziennego ładunku trzymał się ich nadal. Lekarz zamienił kilka słów z policjantami.

– Zaczekajcie dziesięć minut, dopijemy herbatę. I przyprowadzajcie nam pacjentów czwórkami – dwóch mężczyzn i dwie kobiety. – Nie chciał, by do namiotów trafiło więcej osób, niż naraz mogli obsłużyć pełniący dyżur lekarze, gdyż groziło to jeszcze większą paniką.

– A nam herbaty to nikt nie zaproponuje – grymasili posterunkowi między sobą. – I ta idiotyczna muzyka. W kółko te same piosenki.

Pół godziny później dostali znak do działania. Z najbliższej ciężarówki wyselekcjonowano cztery osoby. Wybrani krzyczeli, gdy wleczono ich do dwóch głównych namiotów, gdzie siłą ułożono ich na biurkach.

– Przestańcie się wyrywać – powiedział lekarz. – Jeśli nóż się omsknie, to zrobi wam krzywdę.

Ostrzeżenie podziałało i przerażone ofiary poddały się w milczeniu.

Posterunkowi uważnie obserwowali namioty i starali się zgodnie z dyspozycjami zachowywać ciągłość dostaw, ale kilku niepiśmiennych, myliło się raz po raz i odprowadzało kobiety do namiotu wazektomii. Omyłka była zrozumiała: z wyjątkiem wypisanych ręcznie oznaczeń oba namioty nie różniły się niczym, a personel lekarski w białych kitlach wyglądał tak samo.

– Mężczyźni do lewego namiotu, kobiety do prawego – powtarzali im kilkakrotnie lekarze. Ich irytacja wzrosła, gdy zaczęli podejrzewać, że błąd popełnia się celowo – być może było to swoiste idiotyczne policyjne poczucie humoru. W końcu sanitariusz poprawił oznaczenia. Czarnym flamastrem narysował na tabliczkach sylwetki w rodzaju tych, jakie widuje się w publicznych latrynach. Turban mężczyzny oraz sari i długi warkocz kobiety były nie do pomylenia. Policjanci mogli teraz pracować wydajniej.

Wykonywano kolejne zabiegi. Stara kobieta próbowała przemówić lekarzowi do rozsądku.

– Jestem stara – mówiła. – Moje łono jest jałowe, nie mam w nim już jajeczek. Po co marnować na mnie czas?

Lekarz podszedł do urzędnika dystryktowego, prowadzącego rachubę zabiegów z tego dnia.

– Ta kobieta przekroczyła wiek rozrodczy – oświadczył. – Powinien ją pan usunąć z listy.

– Czy to wniosek medyczny?

– Oczywiście, że nie – odpowiedział lekarz. – Nie ma tu sprzętu, by przeprowadzić kliniczną weryfikację.

– W takim razie niech pan działa. Ci ludzie często kłamią na temat swojego wieku. A pozory mylą. Przy ich trybie życia człowiek ma trzydziestkę, a wygląda na sześćdziesiątkę, taki jest pomarszczony od słońca.

Zabiegi trwały od dwóch godzin, kiedy pielęgniarka popędziła do policjantów z nowymi instrukcjami.

– Proszę zwolnić z przysyłaniem pacjentek – powiedziała. – Wystąpił problem techniczny w namiocie dla pań.

Mężczyzna w średnim wieku skorzystał z okazji, by zaapelować do pielęgniarki.

– Błagam panią – zaszlochał. – Zróbcie to mi, nie mam nic przeciwko – spłodziłem troje dzieci. Ale mój syn ma dopiero szesnaście lat! Nieżonaty! Oszczędźcie go!

– Ja tu nie mam władzy, musi pan pomówić z lekarzem – odpowiedziała i pośpieszyła, by zająć się problemem technicznym. Autoklaw nie działał i musiała zagotować wodę, by zdezynfekować narzędzia.

– Widzisz, miałem rację – wyszeptał Ishvar do Oma, obejmując go ciasno drżącymi ramionami. – Lekarz cię puści, tak powiedziała pielęgniarka. Musimy pomówić z lekarzem i powiedzieć mu, że nie masz jeszcze dzieci.

Razem z krawcami w ciężarówce siedziała kobieta, która karmiła dziecko, niewzruszona otaczającym ją cierpieniem. Cichutko nuciła jakąś piosenkę, kołysząc ciałem, by uspić maleństwo.

– Potrzyj mi pan dziecko, jak będzie moja kolej?

– Han-dzi, proszę się nie martwić, siostrze.

– Nie martwię się. Nie mogę się doczekać. Mam już piątkę, a mąż mi nie daje skończyć. A tak nie będzie mieć wyjścia – rząd to skończy. – Zaczęła znowu śpiewać: „Na-na-na, Narayan, śpi mój mały Narayan...”

Niebawem posterunkowy kiwnął na nią, a ona odstawiła dziecko od piersi. Opuchły sutek odskoczył z cichym cmoknięciem. Om patrzył, jak kobieta na powrót chowa pierś pod ćoli. Ishvar skwapliwie wyciągnął ręce i wziął dziecko. Kiedy matka zdrapywała się z ciężarówki, maleństwo zaczęło płakać.

Ishvar skinął jej głową dla dodania otuchy i łagodnie kołysał dziecko na udach. Om usiłował je rozbawić, strojąc śmieszne miny. Potem Ishvar zaczął śpiewać jak matka, naśladując jej melodyjkę: „Na-na-na, Narayan, śpi mój mały Narayan”.

Maleństwo przestało płakać. Krawcy popatrzyli po sobie z triumfem. Minęło parę minut i po twarzy Ishvara potoczyły się łzy. Om odwrócił oczy. Nie musiał pytać o powód.

•

Zirytowani zawodnym sprzętem lekarze operowali przez całe popołudnie

i choć pora zamknięcia przypadała o szóstej, Nasbandi Mela działał dalej. Drugi autoklaw również się zepsuł. Około siódmej na miejsce przybył wyższy rangą urzędnik z Centrum Planowania Rodziny w towarzystwie osobistego asystenta.

Funkcjonariusze potrzaskali trochę obcasami i na czas inspekcji wyprężyli nieco sylwetki. Urzędnik dał wyraz swemu niezadowoleniu związanemu z liczbą pacjentów oczekujących w ciężarówkach. Później podszedł do lekarzy, którzy stali przy butlach gazowych, czekając, aż zagotuje się woda w garnku, i postanowił ich obsztorcować.

– Przestańcie trwonić czas – warknął, gdy oni życzyli mu miłego wieczoru. – Żadnego poczucia obowiązku! Przed wami dziesiątki operacji do przeprowadzenia. Herbatę zrobi wam ćapras*[208]*.

– Nie robimy herbaty. To woda do wygotowania narzędzi. Maszyna nie działa.

– Narzędzia są wystarczająco czyste. Ile chcecie grzać tę wodę? Wydajność jest nadrzędną wartością w Nasbandi Mela, cele należy realizować w ramach przewidzianego budżetu. Kto zapłaci za te wszystkie butle z gazem? – Zagroził, że zostaną przedstawieni do raportu za brak współpracy, że wstrzyma im awanse i zamrozi pensje.

Lekarze wznowili pracę z częściowo wysterylizowanymi narzędziami. Znali historie kolegów, których kariery ucierpiały w podobnych okolicznościach.

Urzędnik poobserwował przez chwilę operacje z zegarkiem w ręku, obliczając średni czas na pacjenta.

– Za wolno – rzucił swojemu asystentowi. – Prosta robótka, zwykle rach-ciach-ciach, a oni robią z tego wielkie halo.

Przed odjazdem wykorzystał koronną pogroźkę ze swego arsenału.

– Pamiętajcie, że Thakur Dharamsi przyjedzie później, żeby sprawdzić liczby. Jeśli nie będzie z was zadowolony, to równie dobrze możecie od razu złożyć rezygnację.

– Tak jest, proszę pana – odpowiedzieli.

Usatysfakcjonowany urzędnik udał się na inspekcję w kolejnych namiotach. Osobisty asystent nie odstępował go na krok niczym tłumacz, a grymasy na jego twarzy objaśniały sens wywodów zwierzchnika.

– Z lekarzami trzeba twardo – zwierzył mu się urzędnik. – Jeżeli zostawimy w ich rękach walkę z widmem eksplozji demograficznej, naród utonie, udusi się, zginie – koniec naszej cywilizacji. Do nas należy dopilnowanie, by ta walka zakończyła się zwycięstwem.

– Tak, proszę pana. Absolutnie, proszę pana – powiedział pomocnik, zachwycony, iż to jemu powierzono tak głęboką myśl.

Słońce chowało się za widnokretem, kiedy nadeszła kolej krawców. Ishvar zwrócił się błagalnym tonem do posterunkowego, który chwycił go za ramię:

– Sahibie komisarzu, zaszła pomyłka. Nie mieszkamy tutaj, przyjechalśmy z miasta, bo mój bratanek się zeni.

– Nic nie mogę zrobić w tej sprawie – policjant wydłużył krok.

Ishvar drobił najszybciej jak mógł, by nie narazić się na to, że zostanie zawleczony.

– Czy mogę się zobaczyć z osobą, która tym zawiaduje? – wysapał drżącym głosem.

– Lekarz zawiaduje.

Znalazłszy się w namiocie, Ishvar przemówił nieśmiało do lekarza:

– Zaszła pomyłka, doktor-dźi. My tu nie mieszkamy.

Wycieńczony mężczyzna nie odpowiedział.

– Doktor-dźi, dla nas, biedaków, pan jest jak matka i ojciec, pana praca daje nam zdrowie. Ja też uważam, że nasbandi jest bardzo ważne dla kraju. Ja nigdy się nie ożenię, doktor-dźi, proszę mi zrobić operację, będę wdzięczny, ale proszę, niech pan doktor zostawi mojego bratanka, ma na imię Omprakash i za niedługo będzie jego ślub, proszę mnie posłuchać, doktor-dźi, błagam pana!

Popchnięto ich na biurka i zdjęto im spodnie. Ishvar zaczął płakać.

– Doktor-dźi, błagam! Nie mojego bratanka! Tnijcie mnie, ile chcecie, ale darujcie mojemu bratankowi! Właśnie aranżujemy jego małżeństwo!

Om nie mówił nic. Zdławił upokarzające apele i żałował, że stryj nie zachowuje się z większą godnością. Brezentowy dach zafalował lekko na wietrze. Om patrzył w odretwieniu, jak skrzypią linki namiotu i kiwiają się elektryczne światła.

•

Zmierzch przeszedł w noc, kiedy z pomocą pielęgniarek krawcy zwlekli się ze stołów.

– Aj! – jęknął Om. – Boli!

– To normalne, przez parę godzin czuje się podrażnienie – powiedział lekarz. – Nie ma się czym przejmować.

Kulejących, poprowadzono ich przez pogrążone w mroku pole do namiotu dla rekonwalescentów.

– I czemu nas tu jeszcze trzymacie? – wyszłochał Ishvar. – Nie możemy iść do domu?

– Moglibyście pójść – odpowiedziała pielęgniarzka. – Ale lepiej odpocząć trochę.

Po kilku krokach ból się zaostrzył. Postanowili posłuchać jej rady i położyć się na wypchanych słomą siennikach. Nikt nie zwracał uwagi na płacz Ishvara; rozpacz i łzy były w namiotach powszechne. Dano im wodę i po dwa herbatniki.

– Wszystko stracone – chlupał Ishvar, podając swoje herbatniki Omowi. – Teraz te cztery rodziny nigdy nas nie zechcą dla swoich córek.

– Nie obchodzi mnie to.

– Jesteś głupcem, nie rozumiesz, co to oznacza! Zawiodłem twojego zmarłego ojca! Imię naszej rodziny przepadnie bez dzieci, to koniec wszystkiego – wszystko stracone!

– Może dla ciebie, ale ja wciąż mam swoją godność i nie płaczę jak małe dziecko.

Mężczyzna na sąsiednim sienniku przysłuchiwał się z uwagą ich rozmowie. Uniósł się na jednym łokciu.

– O, bhai – odezwał się. – Nie płacz. Słyszałem, że ta operacja jest odwracalna.

– Ale jak to możliwe? Po tym, jak przecięto przewód?

– Nie, bhai, to da się zrobić. Specjaliści w dużych miastach potrafią na nowo połączyć przewód.

– Jesteś pewien?

– Jak najbardziej. Tyle że to bardzo drogie.

– Słyszysz, Om? Wciąż jest nadzieja! – Ishvar otarł twarz. – Mniejsza o pieniądze, zrobimy to! Będziemy szyli jak wariaci dla pani Diny, dzień i noc! Zapłacę i podłączą ci to na nowo!

Zwrócił się do swego dobroczyńcy, do kreatora nadziei.

– Niech Bóg cię błogosławi za tę wiadomość. Obyś i ty mógł cofnąć skutek operacji.

– Ja nie chcę – odpowiedział mężczyzna. – Mam czworo dzieci. Rok temu poszedłem do lekarza i zoperowałem się z własnej woli. Dzisiaj te zwierzęta zrobiły mi to po raz drugi.

– To jak prowadzić zmarłego na egzekucję. I nic nie chcieli słuchać?

– Co robić, bhai, kiedy wykształceni ludzie zachowują się jak dzikusy? Jak do nich przemówić? Kiedy ci, co mają władzę, tracą rozum, nie ma nadziei. – Przenikliwy ból w kroczu sprawił, że mężczyzna opuścił zgiętą w łokciu rękę, żeby się położyć.

Ishvar otarł oczy i również się położył. Wyciągnął rękę w stronę sąsiedniego materaca i pogłaskał bratanka po ramieniu.

– Bas, moje dziecko, znaleźliśmy rozwiązanie, nie trzeba się martwić. Wrócimy do miasta, cofniemy nasbandi i w przyszłym roku przyjedziemy na ślub. Znajdą się inne rodziny, które będą zainteresowane. I być może do tego czasu skończy się ten przeklęty stan wyjątkowy, a rząd odzyska rozum.

Rozległ się syk i dźwięk przypominający pukanie. Na zewnątrz ktoś oddawał mocz. Hałaśliwy strumień uderzający o ziemię rozzłościł mężczyznę, którego po raz drugi poddano wazektomii. Znów uniósł się na łokciu.

– Widzicie? Jak zwierzęta, mówiłem wam. Ci policjanci nie mają nawet tyle przyzwoitości, żeby odejść na koniec pola, kiedy chcą sobie ulżyć.

Zapadał zmrok, a lekarze pochylali się nad ostatnimi operacjami, kiedy przybył Thakur Dharamsi. Policjanci i pracownicy do spraw planowania rodziny zbiegli tłumnie, by mu się pokłonić i rozpychali się, żeby dotknąć jego stóp. On przemówił krótko do lekarzy i pielęgniarek, po czym ruszył na obchód po namiotach rekonwalescencyjnych, kiwając dłonią do pacjentów i dziękując im za współudział w sukcesie obozu sterylizacyjnego.

– Szybko, Om, odwróć twarz – szepnął Ishvar nagłaco, gdy Thakur zbliżył się do ich rzędu. – Zakryj głowę ramieniem, udawaj, że śpisz.

Thakur Dharamsi przystanął w nogach siennika, na którym leżał Om, i przyglądał mu się bacznie. Przyciszonym głosem powiedział kilka słów komuś, kto stał obok niego. Mężczyzna odszedł i po chwili wrócił z jednym z lekarzy.

Thakur przemówił do niego cicho i lekarz cofnął się, gwałtownie potrząsając głową. Thakur znów zaszeptał. Lekarz zbladł.

Niebawem zjawilo się dwóch sanitariuszy, którzy pomogli Omowi wstać.

– Kiedy ja chcę odpocząć – zaprotestował Om. – Jeszcze mnie boli.

– Lekarz chce cię obejrzeć.

– Po co? – krzyknął Ishvar. – Już skończyliście go operować! Czego znowu chcecie?

W namiocie operacyjnym lekarz stał plecami do wejścia, patrząc, jak woda dochodzi do pełnego wigoru wrzenia. Gestem nakazał pielęgniarzom, by położyli pacjenta na stole.

– Guz jądra – poczuł się w obowiązku wyjaśnić. – Thakur-dzi kazał usunąć. To specjalna przysługa dla tego chłopca. – Drżenie w jego głosie zdradziło kłamstwo.

Omowi ściągnięto spodnie po raz drugi. Do nosa przyciśnięto mu szmatę nasączoną chloroformem. Wyrwał się przez chwilę, potem zwiotczał. Zręcznym cięciem lekarz usunął jądra, zaszył nacięcie i nałożył na nie masywny opatrunek.

– Nie odsyłajcie tego pacjenta do domu z innymi – powiedział. – Będzie musiał zostać na noc. – Sanitariusze przykryli Oma kocem i na noszach zanieśli go do namiotu rekonwalescencyjnego.

– Co mu zrobiliście?! – wrzasnął Ishvar. – Wyszedł stąd na własnych nogach! Przynosicie go bez czucia! Co zrobiliście mojemu bratankowi?

– Cisza – upomnieli go, zsuwając Oma z noszy na siennik. – Był ciężko chory, a pan doktor zoperował go za darmo, żeby mu uratować życie. Powinieneś być wdzięczny zamiast się wydzierać. Nie martw się, jak się obudzi, wszystko będzie w porządku. Pan doktor powiedział, żeby tu poleżał do rana. Ty też możesz zostać.

Ishvar przysunął się do bratanka, by przekonać się na własne oczy. Pragnął usłyszeć zapewnienie, że wszystko dobrze. Pograżony w głębokim śnie Om nie odpowiedział. Ishvar odsunął koc i zaczął oględziny: palce u rąk i u stóp były

w porządku. Sprawdził plecy – nie nosiły krwawych śladów po ciosach biczem. Usta też w porządku, język i zęby bez szwanku. Jego strach zaczął się ulatniać, a nuż Thakur dał chłopcu spokój.

Wtem dostrzegł plamy krwi w kroczu. Może to po operacji nasbandi? Spojrzał na siebie – krwi nie było. Drżącymi palcami rozpiął spodnie Oma i zobaczył szeroki opatrunek. Zsunął własne spodnie, by porównać: znalazł tylko mały kawałek gazy i przylepiec. Przyłożył palce do bandaża Oma i wyczuł brak. Przełykając ciężko, przesuwając gorączkowo palce z nadzieją, że wymaca gdzieś jądra, nie chcąc uwierzyć, że zniknęły.

Potem zaskowyczał.

– Hai Ram! Patrzcie! Patrzcie, co zrobili mojemu bratankowi! Patrzcie! Eunucha z niego zrobili!

Ktoś przyszedł z głównego namiotu i kazał mu się uciszyć.

– Czego się znowu wydzierasz? Nie rozumiałeś? Chłopak był bardzo chory, miał tam niebezpieczną narośl, ganth^[209], pełną trucizny, trzeba ją było usunąć.

Mężczyzna po podwójnej wazektomii już odszedł. Pozostali rezydenci namiotu zbyt byli pochłonięci kojeniem własnego smutku oraz próbami przewalczenia mdłości i zawrotów głowy. Co pewien czas, gdy któryś z nich poczuł się na siłach, wstawał i ze wstydem na twarzy wracał do domu. Nie został nikt, kto pocieszyłby Ishvara.

Noc spędził sam, wyjął i płacząc. Zasnął na kilka minut z wycieńczenia, potem przebudził się i znów płakał. Po północy Om ocknął się z chloroformowego uśpienia, zwymiotował i zasnął na nowo.

•

Po łapanie na placu targowym ćaćę Ashrafa odniesiono do miejskiego szpitala. Zawiadomiono jego krewnych, którzy prowadzili skład z drewnem. W kilka godzin później zmarł. Zgodnie ze stale obowiązującym zaleceniem, szpital jako przyczynę śmierci podał wypadek: „Na skutek utraty równowagi, upadku i uderzenia głową o krawężnik”. Krewni pochowali Ashrafa koło ćaći Mumtaz następnego dnia, kiedy Ishvar i Om wciąż byli w drodze powrotnej z obozu sterylizacyjnego.

Z wyjątkiem podrażnienia okolic krocza Ishvarowi nic nie dolegało. Za to Om czuł wielki ból. Krwawienie odnowiło się, kiedy postawił kilka kroków. Stryj próbował nieść go na plecach, co okazało się jeszcze bardziej bolesne. Tylko w jednej pozycji Omowi było wygodnie – gdy jak małe dziecko leżał na płask na rękach stryja – lecz była ona zbyt wyczerpująca dla Ishvara. Co kilka jardów musiał kłaść bratanka na ziemi.

Zbliżało się popołudnie, kiedy przystanął koło nich przechodzień z pustym

ręcznym wózkiem.

– Co się stało chłopcu?

Ishvar mu powiedział, tamten zaproponował pomoc. Położyli Oma na platformie wózka. Mężczyzna zdjął turban i zrobił z niego poduszkę. Razem z Ishvarem pchali wózek. Toczyć go nie było trudno, lecz po wyżłobionej koleinami drodze musieli się posuwać bardzo powoli. Każde szarpnięcia przeszywało Oma jak cios nożem i całą drogę słychać było jego rozdzierające krzyki.

Było ciemno, gdy dotarli do Pracowni Krawieckiej Muzaffar. Właściciel wózka odmówił przyjęcia zapłaty.

– I tak jechałem w tym kierunku.

W środku zastali bratanka Ashrafa ze składu drewna; przyszedł zabezpieczyć pracownię.

– Mam smutne wieści – powiedział. – Ćaća-dzi miał wypadek i zmarł.

Krawcy byli jednak zbyt przybici, by móc opłakiwać stratę bądź też pojąć ją w pełni. Wydarzenia, do których doszło poprzedniego dnia na targu, zlały się w jedno z innymi tragediami, jakie zaszły w ich życiu.

– Dziękujemy, że przyszedłeś, by nas poinformować – odrzekł Ishvar machinalnie. – Muszę wziąć udział w pogrzebie, Om też przyjdzie, tak, jutro poczuje się lepiej.

Mężczyzna powtórzył cztery razy, zanim dotarło do nich, że ćaća Ashraf został już pogrzebany.

– Nie martwcie się, możecie tu zostać, aż wydobrzejecie – powiedział. – Jeszcze nie postanowiłem, co zrobię z tym domem. I dajcie znać, gdybyście czegoś potrzebowali.

Położyli się spać bez posiłku, nie mieli ochoty na jedzenie. By uniknąć wdrapywania się po schodach, Ishvar przygotował materac na dole, w pracowni, obok lady. W nocy Om rzucał się w delirium.

– Nie! Zostaw nożyce stryja Ashrafa! Gdzie parasol? Dawaj, już ja pokażę tym zbirom!

Ishvar obudził się wystraszony i wymacał włącznik światła. Na prześcieradle zobaczył ciemną plamę. Przemyślał ranę Oma i czuwał przez resztę nocy, by przytrzymać bratanka i nie dopuścić, żeby zdarł opatrunek.

Rankiem na pół zawił, na pół zaniósł go do mieszczącej się nieopodal prywatnej lecznicy. Kastracja wzbudziła obrzydzenie lekarza, ale go nie zdziwiła. Od czasu do czasu udzielał pomocy ofiarom przemocy kastowej z okolicznych wiosek i zrezygnował już z prób skłonienia wymiaru sprawiedliwości do podjęcia działań. „Brak wystarczających dowodów dla przyjęcia sprawy” brzmiała standardowa odpowiedź, bez względu na to, czy chodziło o palec, dłoń, nos, czy

ucho, które zniknęły.

– Macie szczęście – powiedział lekarz. – Wykonano to bardzo higienicznie, szwy założono przyzwoicie. Jeśli chłopiec wypocznie przez tydzień, to się zagoi. – Zdezynfekował ranę i założył nowy opatrunek. – Niech mu pan nie pozwala chodzić, bo znów zacznie krwawić.

Ishvar zapłacił za wizytę z pieniędzy przeznaczonych na ślub, po czym spytał, choć sam znał odpowiedź:

– Czy będzie w stanie spłodzić dzieci?

Lekarz potrząsnął głową.

– Ale przecież rurka jest cała?

– Odcięto naczynia, które produkują nasienie.

Pamiętając o radzie lekarza, Ishvar dowlókl się do domu z bratankiem na rękach i położył go do łóżka. Wyszukał butelkę i garnek, by Om mógł załatwiać się bez konieczności chodzenia do ubikacji. Sąsiedzi stryja Ashrafa unikali ich. W maleńkiej kuchni, w której ongiś ćaci Mumtaz gotowała dla swej sześciuosobowej rodziny i dwóch terminatorów, Ishvar przyrządzał ponure posiłki. Przyjazne duchy z dzieciństwa nie były w stanie go pocieszyć i w milczeniu jedli przy posłaniu Oma.

Kiedy minęło siedem dni, Ishvar ponownie zaniósł Oma do prywatnej lecznicy. Na ulicy łatwo było spostrzec ofiary przymusowej wazektomii, zwłaszcza pośród tych, którzy posiadali tylko jedną zmianę odzieży. Wysięgowe plamy w kroczu mówiły wszystko.

– Już się prawie zagoiło – orzekł lekarz. – Można chodzić, byle ostrożnie.

Za drugą wizytę nie pobrał opłaty.

Z lecznicy skierowali się małymi, ostrożnymi kroczkami na posterunek policji i oświadczyli, że chcą złożyć skargę.

– Zrobili mi z bratanka eunucha – powiedział Ishvar. Wymawiając ostatnie słowo, nie zdołał opanować szłochu.

Posterunkowy pełniący dyżur poczuł niepokój. Zastanawiał się, czy oznacza to świeży wybuch zamieszek międzykastowych, a w konsekwencji kłopoty dla niego i jego kolegów.

– Kto to zrobił?

– To było w Nasbandi Mela. W namiocie lekarskim.

Odpowiedź sprawiła ulgę policjantowi.

– To nie leży w gestii policji, to sprawa dla Centrum Planowania Rodziny. Skargi na ich pracowników rozpatruje się w ich biurze. – A według wszelkiego prawdopodobieństwa, pomyślał, to kolejny przypadek, gdy ktoś myli sterylizację z kastracją. Pójdą do Centrum i wszystko się wyjaśni, zapewnił.

Krawcy wyszli z posterunku policji i powlekli się do Centrum Planowania

Rodziny. Ishvarowi dogadzało to nieśpieszne tempo. W ciągu ostatnich trzech dni on sam czuł narastający ból w kroczu, lecz dotąd, zajęty bratankiem, nie zwracał nań uwagi.

Om spostrzegł osobliwy chód i zapytał stryja, w czym rzecz.

– To nic. – Ishvar skrzywił się, gdy fale bólu z wolna spływały po jego nogach.

– To tylko sztywność po operacji. Przejdzie. – Ale wiedział, że jest coraz gorzej; tego ranka opuchlizna przeniosła się na nogi.

W Centrum Planowania Rodziny w chwili, gdy Ishvar wymówił słowo „eunuch”, nie chciano ich dalej słuchać.

– Wynocha mi stąd – rozkazał urzędnik. – Mamy was po dziurki w nosie. Banda ciemnych ludzi. Ile razy trzeba wam tłumaczyć? Nasbandi nie ma nic wspólnego z kastracją. Czemu nie słuchacie naszych pogadanek? Czemu nie czytacie ulotek, które wam dajemy?

– Rozumiem, na czym polega różnica – odparł Ishvar. – Wystarczy rzut oka, zobaczy pan, co zrobił wasz doktor. – Kiwnął na Oma, żeby opuścił spodnie.

Jednak kiedy Om zaczął rozpinać guziki, urzędnik podbiegł do niego i chwycił spodnie w talii.

– Zabraniam ci rozbierać się w moim biurze. Nie jestem lekarzem, możesz sobie mieć w spodniach, co ci się podoba, nie interesuje mnie to. Jeśli zaczniemy wam wierzyć, to wszystkie eunuchy z całego kraju nam tu przytańcuja, będą nas winić za swój stan i wyciągać od nas pieniądze. Już my znamy wasze sztuczki. Cały Program Planowania Rodziny utknie w miejscu. Kraj legnie w gruzach. Zdławi go niekontrolowany rozrost populacji. A teraz precz mi stąd, bo policję zawołam.

Ishvar błagał go, by się namyślił, by chociaż zerknął przez chwilę. Om nachylił się stryjowi do ucha i ostrzegł, by nie zaczął znowu płakać. Urzędnik napierał na nich groźnie. Musieli się cofnąć. Gdy wylądowali na ulicy, drzwi zatrzaśnięto i pojawiła się na nich tabliczka „Przerwa obiadowa”.

– Naprawdę sądziłeś, że pomogą? – zapytał Om. – Czy ty nie rozumiesz? Dla nich znaczymy mniej niż zwierzęta.

– Nie odzywaj się – odparł Ishvar. – Przez twoją głupotę nas to spotkało.

– Niby jak? Przez własną głupotę straciłem jaja. Ale niby dlaczego twoje nasbandi to też moja wina? To by się zdarzyło tak czy inaczej. Zrobili to każdemu, kto był na targu. – Urwał, potem ciągnął dalej z goryczą. – Prawda jest taka, że to wszystko twoja wina. To ty się uparłeś jak wariat, żeby tu przyjeżdżać i szukać mi żony. Mogliśmy siedzieć bezpiecznie w mieście, na werandzie u pani Diny.

Oczy Ishvara napęłniły się łzami.

– Więc twierdzisz, że powinniśmy byli kryć się na werandzie do końca naszych

dni? Co to za życie, co to za kraj, gdzie człowiek nie może sobie jechać, gdzie mu się żywnie podoba? Czy to grzech, że chciałem odwiedzić rodzinne strony? Ożenić bratanka? – Nie był w stanie iść dalej i, dygocąc, osunął się na chodnik.

– Daj spokój – syknął Om. – Nie odstawiaj dramatu na ulicy, kiepsko to wygląda.

Ale stryj nadal pochlipywał i Om usiadł obok niego.

– Nie myślałem tak naprawdę, brachu, to nie twoja wina, nie płacz.

– Boli – Ishvarem targnął dreszcz. – Wszędzie boli... bardzo... nie wiem, co robić.

– Chodźmy do domu – powiedział Om łagodnie. – Pomogę ci. Musisz poleżeć z nogami w górze.

Wstali. Ishvar utykał, powłóczył nogami, trząsł się z bólu. Dotarli do pracowni ścią Ashrafa. Wspólnie uznali, że porządnie przespana noc go wyleczy. Om ułożył wygodnie materac i poduszki dla stryja, potem masował mu stopy. Zasnęli razem. Stopa Ishvara spoczywała w złożonych dłoniach jego bratanka.

•

Tydzień później nogi Ishvara stały się grube jak kloce. Paliła go gorączka. Ciało mu poczerniało od krocza po kolana. Wrócili do Centrum Planowania Rodziny i nieśmiało rozglądali się od progu. Na szczęście tym razem natrafili na lekarza, za to nigdzie w okolicy nie było mężczyzny, z którym rozmawiali podczas poprzedniej wizyty.

– Z nasbandi wszystko w porządku – powiedział lekarz rzuciwszy pobieżnie okiem. – Nie ma związku między operacją, a chorobą nóg. Masz w organizmie truciznę i to ona powoduje puchnięcie. Powinieneś iść do szpitala.

Widząc, że ma do czynienia z człowiekiem rozumnym, Ishvar napomknął o kastracji bratanka i lekarz zmienił się w okamgnieniu.

– Wynos się! – powiedział. – Jak masz gadać bzdury, to znikaj mi z oczu w tej chwili!

Udali się do szpitala, gdzie Ishvar otrzymał jakieś tabletki: cztery razy dziennie, przez czternaście dni. Tabletki zbiły gorączkę, ale na nogi nie pomogły. U kresu dwutygodniowej kuracji nie mógł w ogóle chodzić. Czerń niczym plama rozlała się w dół, ku paluchom. Przypominało mu to barwnik do skór zwierzęcych, który przed laty wżerał mu się w skórę, gdy był chłopcem i pracował ze swoim ojcem i innymi ćamarami.

Tamtego popołudnia Om odszukał na targowisku właściciela pchanego ręcznie wózka i zwrócił się doń z prośbą o pomoc.

– Tym razem chodzi o mojego stryja.

Tamten akurat wyładowywał dostawę cebuli. Po drodze kilka sztuk zgmiotło się

i w powietrzu wisiał ostry odór. Mężczyzna przetarł oczy, zarzucił worek na plecy i zaniósł go do magazynu. Om stał w pewnej odległości, ale opary zdołały zawędrować także pod jego powieki.

– Dobra, jestem gotów – oznajmił po dwudziestu minutach właściciel wózka. Otrzeptał z pyłu platformę i poszli do Pracowni Krawieckiej Muzaffar, by zabrać Ishvara. Wózek ustawili blisko schodów, dźwignęli chorego i posadzili go na nim. Skryci za firankami sąsiedzi przyglądali się, jak cherlawe kółka z wolna toczą się w kierunku szpitala.

Właściciel wózka czekał przed budynkiem, gdy tymczasem Ishvar przycupnął skulony w drzwiach, a Om udał się na poszukiwanie oddziału nagłych przypadków.

– Tabletki nie zadziałały – oznajmił lekarz dyżurny zakończywszy badanie. – Trucizna we krwi jest zbyt silna. Trzeba będzie uciąć nogi, żeby nie przeniosła się wyżej. Tylko tak można go uratować.

Następnego ranka szerniały nogi amputowano. Chirurg powiedział, że przez kilka dni kikuty trzeba obserwować, by upewnić się, że cała trucizna wyciekła. Ishvar spędził w szpitalu dwa miesiące. Om przychodził każdego ranka z jedzeniem i zostawał do wieczora.

– Koniecznie wyślij list do pani Diny – przypominał mu wielokrotnie Ishvar. – Opowiedz jej, co się wydarzyło, będzie się o nas martwiła.

– Tak – odpowiadał Om, ale nie śmiał podjąć się tego zadania. Co miałby napisać? Jak w ogóle miałby przystąpić do przedstawiania wyjaśnień na kawałku papieru?

Po upływie dwóch miesięcy właściciel wózka powrócił do szpitala i pomógł zabrać Ishvara do Pracowni Krawieckiej Muzaffar.

– Moje życie się skończyło – popłakiwał Ishvar. – Wyrzuć mnie do rzeki, która płynie obok naszej wioski. Nie chcę być dla ciebie ciężarem.

– Daj spokój – powiedział Om. – Nie gadaj bzdur. Jakie znowu „skończyło”? A Shankara pamiętasz? On nie ma nawet palców, ani kciuków. Ty masz ciągle obie ręce, możesz szyć. Dina-bai ma starą ręczną maszynę, jak wrócimy, to da ci na niej szyć.

– Wariat z ciebie. Nie mogę siedzieć, nie mogę się ruszać, a ty mi tu gadasz o szyciu.

– Dajcie znać, gdybyście jeszcze potrzebowali transportu – odezwał się właściciel wózka i dodał szybko: – Od tej pory będę was wozić za cenę biletu autobusowego.

– Tak, spokojna głowa, zapłacimy ci – powiedział Om. – Mój stryj będzie musiał jeździć do szpitala. A może za parę tygodni, jak nabierze sił, będziesz mógł nas zawieźć na stację. Niedługo wracamy do naszego miasta.

Rekonwalescencja przebiegała wolno. Kończyły się pieniądze. Ishvar jadł mało, a noce nadal spędzał w uścisku gorączki i koszmarów. Często budził się z płaczem. Om go pocieszał, pytał, na co ma ochotę.

– Pomasuj mi stopy, tak strasznie mnie bołą – odpowiadał zawsze.

Pewnego wieczora przyszedł do nich w odwiedziny bratanek ćaci Ashrafa ze składu drewna. Znalazł kupca na pracownię.

– Bardzo mi przykro, że was wyganiem, ale kto wie, kiedy znowu dostanę jakąś ofertę? – Zaproponował zastępcze lokum w budzie lub baraku; był pewien, że uda się znaleźć dla nich jakiś kąt w składzie drewna.

– Nie, w porządku – powiedział Om. – Wrócimy do miasta i znowu zaczniemy szyc.

Tym razem Ishvar przyznał mu rację. Lepiej wyjechać, sądził, niż zostawać w tym miejscu, które przyniosło im same nieszczęścia. Teraz każdy dzień niósł ze sobą upokorzenia, gdy ludzie, których znali, zwłaszcza sąsiedzi, gapili się na nich podczas ich eskapad do szpitala i z powrotem, szepcząc między sobą i chowając się, kiedy dostrzegali nadjeżdżający wózek.

– Mógłby nam pan wyświadczyć jeszcze jedną przysługę? – spytał Om bratanka ćaci Ashrafa. – Czy pański cieśla ze składu nie zrobiłby dla mojego stryja takiego małego wózek na kółkach?

Tamten odpowiedział, że to prosta sprawa. Następnego dnia dostarczył do pracowni platformę z kółkami. Na przedzie miała hak i linę, żeby Om mógł ją ciągnąć.

– Nie trzeba liny – upierał się Ishvar. – Będę odpychać się rękami jak Shankar. Chcę być niezależny.

– Zgoda, brachu, zobaczymy.

Zdjęli linę i Ishvar zaczął ćwiczyć w mieszkaniu. Musiał nauczyć się siadać tak, by utrzymać równowagę bez przeciwwagi zapewnianej przez nogi. Jego frustracja narastała. Osłabiony, nie był w stanie odpychać platformy. O wypuszczeniu się na ulicę nie mogło być mowy.

– Cierpliwości – mówił Om. – Nabierzesz sił i wtedy dasz radę.

– A tam cierpliwości – płakał Ishvar. – Od cierpliwości nie odrosną mi nogi. – W obliczu beznadziejnej klęski pozwolił, by na nowo zamocować linę holowniczą.

•

Prawie cztery miesiące po tym, jak przybyli, by podjąć przygotowania do ślubu, krawcy ruszyli na stację, by udać się w powrotną podróż do miasta. Po drodze zatrzymali się na grobach stryja Ashrafa i ćaci Mumtaz.

– Zazdroszczę im – powiedział Ishvar. – Taki mają teraz spokój.

– Przestań znowu wygadywać głupoty – odparł Om, zawracając wózkiem, by

odejść.

– Nie możemy zostać trochę dłużej?

– Nie, musimy iść. – Om pociągnął za linę i kółka potoczyły się szybko po cmentarnej ziemi.

Jaki lekki jest mój stryj, pomyślał, lekki jak dziecko, ciągnę go bez żadnego wysiłku.

[198] *Andżir* – figa.

[199] *Aćar* – gęsty pikantny sos przyrządzany z niedojrzałych owoców.

[200] *Daku* – bandyta.

[201] *Chunamang*. (hindi – *ćuna*) – wapno, mleko wapienne, jeden ze składników betelu.

[202] *Bilkul pagal* – kompletny wariat.

[203] *Nasbandi Mela* – kiermasz wazektomii, *nasbandi* – wazektomia.

[204] *Hathijar* – broń, narzędzie, przyrząd.

[205] Jan Sangh (Jana Sangh) – pełna nazwa Bharatiya Jan Sangh, partia nacjonalistyczna istniejąca w Indiach w latach 1951–1977.

[206] *Bhil* – nazwa ludności plemiennej zamieszkującej głównie tereny stanów Gudźarat, Maharasztra, Radżastan, Čhattisgarh.

[207] *Agni* – ogień, bóg ognia; *dadhi* – broda; dosł. broda boga ognia.

[208] *Ćaprasī* – służący.

[209] *Ganth* – narośl, powiększony, twardy gruczoł.

16 KOŁO SIĘ DOMYKA

Pierwszą rzeczą, jaką Zenobia zobaczyła po otwarciu drzwi, była patchworkowa kotara zawieszona pośrodku werandy.

– Co to ma być, twoje pranie? – zachichotała. – A może zaczynasz świadczyć usługi jako dhobi?

– Nie, to apartament dla nowożeńców – odparła Dina, parszkając śmiechem. Minione cztery tygodnie przymusowej samotności zniosła z najwyższą niechęcią i odwiedziny przyjaciółki powitała z ulgą.

Zenobia uznała, że dowcip jest fantastyczny, choć nie rozumiała, co oznacza. Skierowały się do pokoju frontowego. Tam, wśród nawracających wybuchów śmiechu, dowiedziała się, dlaczego weranda została przedzielona.

– Powinni być z powrotem lada dzień – powiedziała Dina. – Kotara jest za cienka, żeby wytłumić poślubne hałasy, ale to najlepsze, co mam.

Zenobii już nie było do śmiechu. Popatrzyła na Dinę jak na wariatkę.

– Ale ty się zmieniłaś. Słyszysz w ogóle, co mówisz? Jeszcze rok temu nie chciałaś wziąć nieszkodliwego lokatora. Ile dni ja cię przekonywałam, że syn Aban Kohlah nie jest niebezpieczny, że nie zje ci mieszkania.

– I miałaś świętą rację – Maneck to cudowny chłopak. Jeszcze dwa tygodnie i też wróci. Popatrz, jaką narzutę uszyłam. To będzie prezent ślubny dla Oma.

Zenobia zignorowała narzutę i ciągnęła dalej.

– Nagle strasznie odważna się zrobiłaś, że tak pozwoliłaś tym krawcom mieszkać tutaj. Już to było złe, a teraz jeszcze zgadzasz się, żeby tu ściągnęli żonę? Pożałujesz, wierz mi. Skończy się tak, że cała czereda wyląduje u ciebie na werandzie. Połowa wioski. W życiu się ich nie pozbędziesz. Zaprowadzą tu swoje barbarzyńskie niehigieniczne zwyczaje i zrobią ci z domu chlew.

Posępna prognoza rozbawiła Dinę, lecz tym razem śmiała się sama. By udobruchać przyjaciółkę, przybrała poważniejszy ton.

– Nigdy by mnie nie wykorzystali. Ishvar jest stuprocentowym dżentelmenem, a Om to dobry, inteligentny chłopak, zupełnie jak Maneck, tylko że miał mniej szczęścia.

Zenobia została jeszcze pół godziny. Zaklinała, chwytając się próśb i grózb, że wszystkich sił starała się skłonić przyjaciółkę do zmiany decyzji.

– Nie bądź głupia, zwolnij ich i tyle. Zawsze możemy znaleźć dla ciebie nowych krawców. Pani Gupta na pewno nam pomoże.

– Ale to nie o to chodzi. Pozwoliłabym im zostać, nawet gdyby u mnie nie pracowali.

Zanim Zenobia dostrzegła, że nic nie wskóra, zdążyła już zaangażować się uczuciowo w spór. By ocalić dumę, odeszła nadąsana.

•

Ręce Diny drżały, gdy otwierała list od Manecka. „Droga Ciociu! – przeczytała – Mam nadzieję, że zdrowie cioci dopisuje tak jak i nam wszystkim tutaj. Mama i tatko przesyłają cioci najlepsze życzenia. Powiedzieli, że cieszą się, że mnie widzą i że tęsknili za mną.

Wreszcie odezwali się do mnie z college’u. Niestety moje stopnie nie były najlepsze. Nie przyjęli mnie na studia dyplomowe, więc będę musiał zadowolić się certyfikatem ukończenia rocznego kursu”.

Wiedziała, co nastąpi, ale czytała dalej, nie zwracając uwagi na skurcz niepokoju, który ścisnął jej żołądek. „Szkoda, że nie widziała ciocia przedstawienia, które się tu rozpętało, kiedy przyszedł list z college’u. Może sobie ciocia przypomina, że gdy po raz pierwszy zaproponowałem, że zostanę jeszcze na trzy lata, moi rodzice sprzeciwili się temu. Teraz zdenerwowali się na mnie z odwrotnego powodu. Co ty zrobisz ze swoim życiem, powtarzał tatko, skończone, wszystko skończone, ten chłopiec nie ma pojęcia, jaka to katastrofa, całe moje życie było ciągiem katastrof, myślałem, że mój syn odwróci bieg wydarzeń, ale powinienem był się domyślić, linie na moich dłoniach są wieczne i nic nie można zmienić, to moje przeznaczenie, nie mogę z nim walczyć.

Pamięta ciocia, jaki dramat odstawił Ishvar w sprawie szukania żony dla Oma? To było nic w porównaniu do wyczynów mojego ojca. W ogóle nie powinienem był im mówić, że planuję się zapisać na te studia dyplomowe.

Całe szczęście gdy przedstawienie się skończyło, przyjaciel moich rodziców przyniósł dobre wieści. Brygadier Grewal ma kontakty w tych bogatych krajach arabskich, gdzie pieniądze rosną na drzewach. Obiecał mi dobrą posadę w firmie zajmującej się chłodnictwem i klimatyzacją w Dubaju. Brygadierowi wydaje się, że jest wielkim dowcipnisiem. Powiedział, że każdy ma tam małą maszynkę, żeby chłodzić swój namiot na pustyni, ale burze piaskowe i samumy zapychają silniki i blokują wiatraki, więc jest stałe zapotrzebowanie na nowe klimatyzatory i osoby, które je naprawiają.

Żalodne poczucie humoru brygadiera Grewala sprawiło, że postanowiłem przyjąć tę pracę. Jeśli pojedę do Dubaju, nie będę musiał wysłuchiwać jego żartów. A pensja, premie i dodatki są fantastyczne. Podobno w cztery czy pięć lat można tam uskładać małą fortunę. Może będę mógł wrócić i otworzyć w mieście własną firmę zajmującą się klimatyzacją. A jeszcze lepiej, jakbyśmy razem

uruchomili firmę krawiecką. Przy całym doświadczeniu, które zgromadziłem w zeszłym roku, to ja byłbym szefem, rzecz jasna (ha, ha, żartuję tylko)”.

Coraz trudniej było czytać, oczy piekły ją od łez. Mrugnęła szybko parę razy i odetchnęła głęboko. „Muszę być w Dubaju za trzy tygodnie, więc mama szykuje mnie do wyjazdu i doprowadza przy tym wszystkich do szaleństwa. Powtórka z przedstawienia, które dawała w zeszłym roku, kiedy wyjeżdżałem do college’u. A tatko jest taki jak wcześniej. Odkąd wróciłem, nie pogadał ze mną porządnie ani razu, chociaż zrobiłem dokładnie to, czego chciał. Teraz przedstawia całą sytuację, jakbym to ja porzucił jego i sklep. Chce zjeść ciastka, i mieć ciastka. Na co on liczy, skoro dalej trzyma się swoich staroświeckich metod? Kiedy próbuję mu coś zasugerować, to tylko robi tę swoją tragiczną minę. Lepiej mu będzie, kiedy wyjadę, on po prostu nie lubi, kiedy tu jestem. Zrozumiałem to w dniu, gdy posłał mnie do szkoły z internatem w piątej klasie.

Proszę, niech ciocia powie Omowi, że przykro mi, że nie poznam jego żony. Jestem pewien, że ta dziewczyna będzie bardzo szczęśliwa, mając taką cudowną teściową jak ciocia (ha, ha, znowu żartuję, ciociu). Za to w przyszłym roku, kiedy przylecę z Zatoki Perskiej na wakacje, zamierzam wpaść i zobaczyć was wszystkich.

Na koniec chcę podziękować cioci za to, że pozwoliła mi ciocia mieszkać u siebie i że tak o mnie ciocia dbała”. Następne zdanie zostało zamazane, lecz Dina udało się odcyfrować dwa fragmenty spod gęstych bazgrołów: „najszcześniejsze” i „życiu”.

Dalej było niewiele. „Powodzenia z szyciem. Moc serdeczności dla Ishvara, Oma i dla cioci”.

Pod swoim imieniem dodał postscriptum. „Poprosiłem mamę, by wypisała czek za trzy miesiące najmu (który załączam), ponieważ nie złożyłem porządnego wypowiedzenia. Mam nadzieję, że tak będzie dobrze. Dziękuję cioci raz jeszcze”.

Teraz pismo rozmyło się doszczętnie. Dina zdjęła okulary i wytarła oczy. Cudowny chłopak. Czy kiedykolwiek uda jej się przywyknąć do braku jego towarzystwa? Jego zaczepki, wiecznej gadaniny, pomocnej natury, uśmiechu na dzień dobry, wygłupów z kotami; nieważne, że jego zapatrywania na życie i śmierć były trochę ponure. I ten czek, taki hojny; była pewna, że zmusił matkę, by go wypisała.

Ale to samolubne tak się smucić, pomyślała, powinna się cieszyć z okazji, jaka nadarzyła się Maneckowi. Miał rację, wielu ludzi zbiło fortunę, pracując w tych zasobnych w ropę krajach.

•

Dwa dni po otrzymaniu listu Dina wybrała się do salonu urody Wenus.

Recepcjonistka powróciła z zaplecza i oznajmiła, że Zenobia jest z klientką.

– Zechce szanowna pani poczekać w poczekalni.

Dina usiadła koło uschniętego kwiatka i, uśmiechając się do siebie, wzięła do ręki stary numer „Woman’s Weekly”. Widać Zenobia wciąż boczyła się o historię z żoną Oma i okazywała to w ten sposób, inaczej przybiegłaby zdyszana z nożycami i grzebieniem w ręce, powiedziała jej cześć i popędziła z powrotem.

Minęło czterdzieści pięć minut, zanim Zenobia wynurzyła się, by odprowadzić do drzwi swoją klientkę. Kobieta o ekstrawaganckim uczesaniu był nie kto inny, jak pani Gupta.

– Pani tutaj, pani Dalal? Co za niespodzianka – powiedziała. – Zenobia panią strzyże? – Uśmiechała się, lecz w lewym górnym kącie jej ust było coś, co pozwalało mniemać, że ta wizja nie przypadła jej do gustu.

– Och, nie, w życiu by mnie nie było na nią stać! Wpadłam tylko pogadać.

– Mam nadzieję, że stawki za pogaduszki są rozsądniejsze niż za usługi fryzjerskie – zachichotała nerwowo pani Gupta. – Ale nie narzekam, to geniuszka. Proszę tylko popatrzeć, jakie cudo dzisiaj wyprodukowała. – Powoli obróciła głowę z lewa do prawa, następnie z powrotem, by na koniec unieruchomić ją posagowo z oczami utkwionymi w wiatrak pod sufitem.

– Rozkoszna – powiedziała Dina, nie marnując czasu. Pani Gupta była zdolna w nieskończoność trwać w swej pozie w oczekiwaniu na komplement.

– Dziękuję – odparła kierowniczką Au Revoir Export z fałszywą skromnością i pozwoliła głowie wrócić do normalnej pozycji. – A kiedy pani do nas znowu wpadnie? Pani krawcy wrócili czy nie?

– Myślę, że zaczniemy w przyszłym tygodniu.

– Miejmy nadzieję, że kiedy skończy się ich urlop weselny, nie poproszą o urlop, żeby wybrać się w podróż poślubną. W przeciwnym razie znowu wzrośnie populacja. – Pani Gupta zachichotała znowu, popatrując w zwierciadło umieszczone za ladą recepcji. Poprawiła włosy i oddaliła się niechętnie; perspektywa zapewniana przez to konkretne lustro dostarczała jej niebotycznej satysfakcji.

Zostawszy sam na sam z przyjaciółką, Dina uśmiechnęła się konfidencjonalnie, dzieląc się niewypowiedzianą opinią na temat pani Gupty. Ale Zenobia zareagowała ozięble.

– Masz do mnie jakąś sprawę?

– Tak, dostałam list od Manecka Kohlah. Już nie potrzebuje mojego pokoju.

– Jakoś mnie to nie dziwi – prychnęła Zenobia. – Pewnie miał powyżej uszu mieszkania z krawcami.

– Otóż wystaw sobie, że dogadywali się bardzo dobrze. – Wypowiadając te słowa, Dina miała świadomość, że nie oddają one sprawiedliwości stosunkom

panującym w jej domu. Ale co rzec zamiast tego? Czy mogła opowiedzieć Zenobii, jak nierozłączni stali się Maneck i Om, i jak Ishvar postrzegał obu chłopców jako własnych synów? Jak ich czwórka razem gotowała i razem jadła, jak dzieliła się sprzątaniami, zmywaniem, zakupami, śmiechem i zmartwieniami? Że troszczyli się o Dinę i okazywali jej więcej szacunku niż niektórzy członkowie jej własnej rodziny? Że w ciągu tych ostatnich paru miesięcy poznała, czym jest życie rodzinne?

Tego nie dało się wytłumaczyć. Zenobia odparłaby, że Dina wygaduje głupstwa i buja w obłokach, obracając finansową konieczność w sentymentalną bajeczkę. Mogłaby też oskarżyć krawców, że manipulują nią za pomocą nadskakiwania i pochlebstw.

Dlatego Dina dorzuciła po prostu:

– Maneck nie wraca, bo dostał bardzo dobrą pracę w Zatoce.

– No cóż – odpowiedziała Zenobia. – Mniejsza o prawdziwy powód, potrzebujesz nowego sublokatora.

– Tak, po to tu przyszłam. Masz kogoś?

– W tej chwili nie. Ale będę pamiętać. – Wstała, by wracać do pracy. – Będzie ciężko. Każdy, kto zobaczy twoją zasłonę w technicolorze i plemię krawców na werandzie, weźmie nogi za pas.

– Nie martw się, zdejmę zasłonę. – Dina spodziewała się, że jej przyjaciółce minie rozdrażnienie; zwykle, gdy była zdenerwowana, potrzebowała kilku dni, by dojść do siebie i na tym się kończyło.

Wróciła do domu i wypucowała pokój Manecka na wysoki połysk. Ale teraz muszę przestać myśleć o nim jako o pokoju Manecka, postanowiła. Ścierając kurze, znalazła w szafie szachy. Czy powinna je odesłać Maneckowi? Zanim dotrą do górskiego kurortu, on zdąży już wylecieć do Zatoki. Lepiej przechować je, aż wpadnie w przyszłym roku z wizytą, tak jak napisał.

Spodobał się jej ten pomysł i upchnęła szachy między swoimi ubraniami w pokoju krawieckim. Dzięki temu odwiedziny Manecka zdawały się zyskiwać bardziej stanowcze zakotwiczenie w czasie. Myśl była krzepiąca i dławiała tę drugą, bolesną – że Maneck nigdy już tutaj nie zamieszka.

Wieczorem podeszła do kuchennego okna i nakarmiła koty, przyzywając je imionami, które on im nadał.

•

Upłynęło sześć pełnych tygodni, a ona wciąż czekała cierpliwie, za każdym dzwonkiem do drzwi przekonana, że Ishvar i Om wrócili. Mężczyzna ze sklepu-wypożyczalni zjawił się po zaległą ratę za dwa singery.

– Krawcy wracają w przyszłym tygodniu – zagrała na zwłokę. – Wie pan, jakie

to zamieszanie przy tych ślubach.

– Za często się spóźniają – utyskiwał tamten. – W firmie krzyczą na mnie, że nie przynoszę pieniędzy na czas. – Zgodził się zaczekać przez następnych siedem dni.

Później tego samego ranka dzwonek rozległ się ponownie. Pobiegnęła na werandę.

Był to mistrz żebraków. Przyniósł niewielki podarek ślubny.

– Aluminiowy imbryk do herbaty – rzekł, zawiedziony, że krawcy jeszcze nie wrócili.

– Mam nadzieję, że najpóźniej w przyszłym tygodniu – powiedziała Dina. – Firma eksportowa też się niecierpliwi.

– Przyniosę prezent w przyszły czwartek.

Wiedziała, do czego pije mistrz: jemu także, tak jak mężczyźni ze sklepu-wypożyczalni, należały się zaległe pieniądze.

– Chyba nie będziemy mieć żadnych przykrości ze strony kamienicznika, prawda? Dlatego, że krawcy jeszcze nie zapłacili? Mogę panu dać trochę od razu, jeśli pan nalega.

– Ależ skąd. Nie martw się, czuwam nad tym mieszkaniem. W przypadku takich dobrych ludzi nie troszczę się o przejściowe zaległości płatnicze. Przyszliście na pogrzeb Shankara, nie zapomnę o tym.

Zanotował w kajecie należność i zamknął neseser.

– Wczoraj wreszcie złożyłem w świątyni datek ku pamięci Shankara. Odbyła się mała pudża, a kiedy kapłan dzwonił dzwonkiem, poczułem ogromny spokój. Być może nadeszła dla mnie pora, by porzucić tę branżę, poświęcić się modlitwie i medytacji.

– Mówi pan poważnie? A co się stanie ze wszystkimi pańskimi żebrakami? Co ze mną i z krawcami?

Mistrz skinął głową ze znużeniem.

– W tym rzecz. Ze względu na moje obowiązki na tym świecie, muszę pohamować swoje duchowe tęsknoty. Nie martw się, nie opuszczę żadnego z tych, którzy są ode mnie zależni. – Łańcuch od nesesera na jego nadgarstku grzechotał cicho, kiedy odchodził. Dina spostrzegła, że zaczął rdzewieć.

Pokrzepienie, którym napełniła ją solenna obietnica mistrza, ulotniło się w parę minut. Po wizytach dwóch porannych gości niepokój, dotąd trzymany na dystans, jał zbliżać się do niej, skradać się i zataczać kręgi niczym drapieżnik. Pewna była teraz, że to, iż krawcy nie wracają, wiąże się z czymś poważniejszym niż krótkie opóźnienie. Wypadałoby chociaż kartkę wysłać. Cóż takiego mogło się zdarzyć, że nie mogli powiadomić jej w kilku słowach: Dina-bai, proszę wybaczyć, postanowiliśmy na nowo osiaść w naszej wiosce, Om i jego żona tak wolą. Parę linijek. Czy to zbyt wygórowane oczekiwania? Zenobia miała rację, głupota było

ufać ludziom tego pokroju. Wykorzystali ją, a potem porzucili.

Aby dzień się dopełnił, późnym popołudniem, dzwonek u drzwi dopiekł jej po raz trzeci. Przekręciła klamkę, nie zakładając łańcucha. Blask słońca sprawiał, że zabezpieczenie wydawało się zbędne. W półotwartych drzwiach ukazało się przerażające widziadło.

– Och! – wykrzyknęła Dina bardzo wystraszona. – Mężczyzna był wychudzony, na czole miał świeżo zagojone blizny, w oczach dziki błysk i wyglądał, jak gdyby powstał z łoża śmierci.

Usiłowała zatrzaskać drzwi, ale on przemówił i trochę się uspokoiła.

– Proszę się nie bać, ma-dźi – wydusił z siebie. – Nie chcę pani skrzywdzić. – Był to żaloszny jęk rannego stworzenia, świst chorych płuc. – Czy pracują tu dwaj krawcy? Ishvar i Omprakash?

– Tak.

Mężczyzna omal nie zemdlął z ulgi.

– Proszę, czy mógłbym ich zobaczyć?

– Wyjechali na kilka dni – odpowiedziała Dina, cofając się o krok; od przybycia silnie zalatywało.

– Wrócą niedługo? – jego słowa desperacko szukały czegoś, czego mogłyby się złapać.

– Być może. Kim jesteś?

– Znajomym. Mieszkaliśmy w tym samym dźhopadpatti, zanim rząd go nie wyburzył.

Przez chwilę Dina zastanawiała się, czy możliwe, by był to Rajaram, ten sam, który chciał wyrzec się świata i zostać sannjasinem. Widziała go tylko raz czy dwa razy – czyżby surowe życie sannjasina tak go odmieniło?

– Nie jesteś zbieraczem włosów, prawda?

Potrząsnął głową.

– Jestem małpiarzem. Ale moje małpy nie żyją. – Przesunął palcami po czole, delikatnie dotykając swędzących blizn. – Krawcy powiedzieli mi, że pracują w tej okolicy. Od wczoraj chodzę od jednego domu przy tej ulicy do drugiego, pukam do każdego mieszkania. A teraz okazuje się, że ich nie ma. – Wyglądał, jakby gotów był się rozplakać. – Ishvar i Om dalej trzymają z mistrzem żebraków?

– Tak mi się zdaje.

– Wie pani, gdzie on mieszka?

– Nie. Mistrz zawsze tutaj przychodzi po pieniądze. W sumie to nawet dzisiaj był.

Małpiarzowi rozbłysły oczy.

– Ile czasu temu? Dokąd poszedł?

– Nie wiem, wiele godzin temu, rano. – Nadzieja znikła z twarzy gościa. Jak

światło w żarówce, pomyślała Dina, włącza się i wyłącza.

– Mam do niego bardzo ważny interes. I nie wiem, gdzie go znaleźć.

Jego bezradność, widok jego zmaltretowanego ciała i rozpacz w jego głosie sprawiły, że Dina skrzywiła się boleśnie.

– Mistrz przyjdzie tu w przyszły czwartek – odezwała się niepytana.

Małpiarz dotknął czoła i skłonił się.

– Niech Bóg panią błogosławi i spełni wszystkie pani życzenia za to, że pomogła pani takiemu nieszczęśnikowi jak ja.

•

Mężczyzna ze sklepu-wypożyczalni powrócił po tygodniu i oświadczył, że nie może dłużej czekać na zapłatę. Spodziewał się kolejnych wymówek od Diny i twardo postanowił, że tym razem będzie nieustępliwy.

– Wcale nie chcę, żeby pan czekał – warknęła. – Niech pan zaraz zabiera te maszyny, nie chcę ich tu trzymać ani minuty dłużej.

– Dziękuję – odpowiedział ze zdumieniem mężczyzna. – Nasza furgonetka podjedzie po nie jutro rano.

– Nie słyszał mnie pan? Powiedziałam „zaraz”. Jeśli nie znikną stąd w ciągu godziny, wyrzucę je z mieszkania. Zostawię je na środku ulicy. – Mężczyzna popędził zatelefonować do biura, by czym prędzej przysłano kogoś po odbiór sprzętu.

Pozbywszy się maszyn do szycia, poczuła się lepiej. A niech wrócą szubrawcy i zobaczą, że ich singery zniknęły, myślała. Będą mieli nauczkę na całe życie.

Teraz z kolei czekała na mistrza żebraków i jego prezent ślubny. Postanowiła, że zmieni taktykę także wobec niego i poinformuje go o zniknięciu krawców. Zaległe opłaty skłonią go do poszukiwań i szybko ich wytropi, gdziekolwiek są.

Ale mistrz nie dotrzymał umówionego terminu. To do niego niepodobne, zawsze jest taki punktualny, myślała, w miarę jak dzień chylił się ku końcowi. Czy to możliwe, by on i krawcy zawiązali występnne przymierze z zamiarem pozbycia się jej i przejęcia mieszkania? Niepokój rozbudzał jej wyobraźnię, przyczyniając się do rozkwitu nikczemnych spisków, które prześladowały ją swym zapachem aż do następnego ranka, gdy pukanie do drzwi wreszcie ujawniło prawdę.

Zawód, zdrada, radość, zgryzota i nadzieja – wszystkie te uczucia weszły do mojego życia przez te same drzwi, pomyślała. Nasłuchiwała brzęku łańcucha od neseseru mistrza. Nic. A potem znów ciche stukanie. Ktokolwiek stał po drugiej stronie, wystrzegał się dzwonięcia dzwonkiem. Dina otworzyła drzwi, zostawiając założony łańcuch.

Przez szczelinę wsunął się kosmyk białej brody, a potem głos:

– Sostro, proszę, wpuść mnie! Ukarzą mnie, jeśli ktoś z biura mnie zobaczy, nie

powiniennem tu być!

Dina niechętnie zdjęła łańcuch i wpuściła Ibrahima do środka.

– Co to ma znaczyć, że nie powinien pan tu być? Przecież jest pan poborcą czynszu.

– Już nie, siostró. Kamienicznik zwolnił mnie w zeszłym tygodniu. Powiedział, że mam niszczyielski wpływ na mienie biurowe, że zużywam zbyt wiele teczek. Pokazał mi rejestr artykułów biurowych, odkąd zacząłem pracę czterdzieści osiem lat temu. Przeżyłem siedem teczek – jedną oprawną w skórę, trzy bukramowe i trzy plastikowe. Limit wynosi siedem – siedem teczek i do widzenia.

– Co to za bzdura – powiedziała Dina. – Zawsze obchodził się pan z nimi tak ostrożnie, dbał pan, żeby były czyste i zamykał je pan delikatnie. To nie pana wina, jeśli dają panu tandetne teczki, które rozpadają się po paru latach.

– On tylko potrzebował pretekstu, żeby się mnie pozbyć, siostró. Znam prawdziwy powód.

– A jaki jest prawdziwy powód?

Ibrahim czekał, jak gdyby namyślał się, czy powierzyć sekret Dinie. Potem westchnął.

– Prawdziwy powód jest następujący: straciłem pasję do wykonywania swoich obowiązków. Już nie jestem dostatecznie nieprzyjemny wobec lokatorów, moje groźby nie budzą w nich strachu, utraciłem swój ogień. I tym samym dla kamienicznika jestem bezużyteczny.

– Nie może się pan bardziej przyłożyć? Groźniej przemawiać albo coś?

Były poborca potrząsnął głową.

– Gdy płomień raz wygaśnie, nie da się go rozniecić na nowo. To się wydarzyło tutaj, w tym mieszkaniu, siostró. Pamiętasz? Tamtej nocy, wiele miesięcy temu, kiedy sprowadziłem tu tych zbirów? Po tym, co tu zaszło, nie byłem w stanie wystraszyć niemowlaka. I dziękuję za to Bogu.

Dina przypomniała sobie przerażenie, jakie wywołał w niej tamtej nocy, lecz zamiast się rozgniewać z bliżej nieokreślonego powodu, poczuła się odpowiedzialna za to, że stracił posadę.

– Znalazł pan inną pracę?

– W moim wieku? Kto mnie zatrudni?

– Więc jak pan sobie radzi?

Ibrahim ze wstydem wbił wzrok w podłogę.

– Część lokatorów trochę mi pomaga. Ostatnimi czasy zaprzyjaźniłem się z niektórymi z nich. Stoję pod domem, a oni dają mi, dają mi wsparcie. Ale mniejsza z tym siostró, pozwól, że powiem ci, dlaczego przyszedłem. Chciałem cię ostrzec, grozi ci wielkie niebezpieczeństwo ze strony kamienicznika.

– Nie boję się tego szubrawca. Jestem pod opieką mistrza żebraków.

– Ale siostrze, mistrz żebraków nie żyje.

– Co pan opowiada? Zwariował pan?

– Nie, został wczoraj zamordowany. Widziałem wszystko, stałem na zewnątrz, to było potworne! Potworne! – Ibrahim zaczął drżeć, chwiejąc się przy tym na boki. Dina poprowadziła go do krzesła i posadziła.

– A teraz niech pan odetchnie głęboko i opowie mi wszystko od początku – powiedziała.

Ibrahim odetchnął głęboko.

– Wczoraj rano stałem koło bramy z blaszaną puszką i czekałem na wsparcie od moich lokatorów – znaczy się przyjaciół. Widziałem wszystko. Policjanci powiedzieli, że jestem ich najlepszym świadkiem i zabrali mnie na komisariat, żebym złożył pełne zeznanie. Trzymali mnie tam do wieczora i wypytywali.

– Kto zabił mistrza?

Były poborca znów odetchnął głęboko.

– Mężczyzna, który wyglądał na bardzo chorego. Krył się w bramie za kamiennym filarem. Kiedy mistrz wszedł do bramy, tamten skoczył mu na plecy i usiłował go dźgnąć. Ale był tak wątpy, jego ciosy tak słabe, że nóż nie chciał wejść w ciało. Każdy by uciekł takiemu cherlakowi.

– To dlaczego mistrz nie uciekł?

– Ponieważ tamtego dnia opuściło go szczęście.

Za to towarzyszyła mu, jak wyjaśnił Ibrahim, przykuta łańcuchem do nadgarstka duża teczka pełna monet, które zebrał wcześniej od swoich żebraków. Przykuty do ziemi tym brzemieniem, z jedną ręką unieruchomioną, mistrz znalazł się w pułapce. Miotał się i walił wolną ręką, kopał nogami, podczas gdy rachityczny morderca, siedząc okrakiem na plecach ofiary, pracował z mozołem, starając się przebić ostrzem ubranie, rozdrzeć skórę, wnikać w ciało i przesyć serce.

– Z początku wyglądało to bardzo komicznie. Jakby bawił się składanym plastikowym nożem od sprzedawcy balonów. Ale nie śpieszył się i robił swoje, aż w końcu mistrz przestał się poruszać. Ten, który żył z jałmużny zbieranej przez bezradne kaleki, zginął za sprawą tych datków, przygwożdżony ich ciężarem. Widzisz, siostrze, czasem na tym świecie trafi się małeńki strzęp sprawiedliwości.

Ale Dina miała w pamięci wszystkich żebraków na pogrzebie Shankara. To prawda, byli teraz wolni. Lecz na co miała im się zdać wolność? Rozrzućeni po nędznych chodnikach miasta, osieroceni, pozbawieni opieki – czy nie lepiej im się wiodło pod kuratelą mistrza?

– To nie był całkowicie zły człowiek.

– Kimże my jesteśmy, by rozstrzygać kwestię dobra i zła? Chodzi tylko o to, że choć ten jeden raz szale się wyrównały. Jeśli mam być szczery, siostrze, kiedy

wczoraj zobaczyłem, jak nadchodzi mistrz, to nawet sam myślałem, czy by go nie poprosić o pomoc – żeby mi przydzielił jakiś dobry punkt. Ale morderca dopadł go pierwszy.

– Próbował ukraść pieniądze?

– Nie, walizeczka go nie interesowała. A gdyby chciał, mógłby odrąbać mu dłoń. Nie, rzucił tylko nóż i wykrzyknął, że jest małpiarzem i zabił mistrza żebraków z zemsty.

Dina pobladła i osunęła się na krzesło. Ibrahim z trudem podniósł się ze swojego, by dotknąć jej ramienia.

– Dobrze się czujesz, siostrze?

– Ten człowiek, który powiedział, że jest małpiarzem – miał dużą bliznę na czole?

– Tak mi się wydaje.

– Przyszedł tu w zeszłym tygodniu, miał jakiś interes do mistrza i chciał się z nim zobaczyć. Powiedziałam mu, że odwiedzi mnie w czwartek, czyli wczoraj. – Zacisnęła palce w pięść i zakryła nimi usta. – Pomogłam mordercy.

– Nie mów tak, siostrze. Nie wiedziałaś, że on go zabije. – Poklepał ją po ręce i zobaczyła, że ma brudne paznokcie. Kilka miesięcy temu ten dotyk wzbudziłby w niej wstręt. Teraz była za niego wdzięczna. Patrząc na jego skórę, złuszczoną i pokrytą zmarszczkami niczym skóra niegroźnego gada, czuła, jak wypełniają ją podziw i żal. Jeśli chodzi o ludzi tylko dwie emocje mają sens: podziw dla ich zdolności przetrwania i żal, że to wszystko takie beznadziejne. I może Maneck miał rację, może rzeczywiście wszystko kończy się źle.

– Nie obwiniaj się, siostrze – powiedział Ibrahim, ponownie klepiąc ją po ręce.

– Dlaczego zawsze mówi pan do mnie „siostrze”? Wiekiem bliżej panu do mojego ojca.

– Zgoda, w takim razie będę mówił „córko”. – Uśmiechnął się i nie był to jego zwykły machinalny uśmiech. – Widzisz, prędzej czy później małpiarz znalazłby mistrza, czy byś mu w tym pomogła, czy nie. Policjanci powiedzieli, że to człowiek chory psychicznie, on nawet nie próbował uciekać, tylko stał tam i wyrzaskiwał różne bzdury, że mistrz ukradł mu dwójkę dzieci, kiedy był nieprzytomny, że obciął im ręce, oślepił je, przetrącił im kark i zmienił w żebraków, ale teraz on wypełnił przepowiednię, teraz jego zemsta się dokonała. Któż wie, jakie demony dreczą umysł tego biedaka.

Znowu dotknął jej dłoni.

– Teraz, gdy mistrz żebraków nie żyje, kamienicznik wkrótce przyśle kogoś, by cię wyrzucił. Dlatego przyszedłem, by cię ostrzec.

– Niewiele mogę wskórać przeciw jego zbirom.

– Musisz zadziałać, zanim on zrobi pierwszy ruch. Być może masz jeszcze

chwile. Lokator i krawcy wyjechali, więc będzie potrzebował nowej wymówki. Znajdź sobie prawnika i...

– Nie stać mnie na drogich prawników.

– Wystarczy tani. Musi...

– Nie wiem, gdzie szukać prawnika.

– Idź do sądu. Sami cię znajdą. Przybiegną do ciebie, gdy tylko przekroczysz bramę.

– I co potem?

– Odpytaj ich, wybierz takiego, na którego cię stać. Powiedz, że chcesz, by na kamienicznika nałożono nakaz sądowy wzywający do wstrzymania i zaprzestania pogroźek oraz innych form napastowania, że status quo winien być utrzymany do czasu, gdy...

– Chwileczkę, niech to zapiszę, bo nie spamiętam. – Przyniosła papier i ołówek.

– Myśli pan, że to podziła?

– Jeśli będziesz szybka. Nie trwoń czasu, córko. Idź, idź teraz.

Dina sięgnęła do portmonetki i wyjęła banknot pięciorupiowy.

– Póki nie znajdzie pan pracy – powiedziała, wciskając go w jego złuszczone dłoń.

– Nie, nie mogę tego przyjąć od ciebie, już dość masz kłopotów.

– Czy córka nie może pomóc swojemu staremu ojcu?

Kiedy chował pieniądze, jego oczy były mokre.

•

Przy bramach sądu tętnił gwarem zaimprovizowany tuż za ogrodzeniem bazar, na którym ludzie, którzy spędzili wiele godzin zabiegając o sprawiedliwość, a mieli przed sobą kolejne dni, tygodnie i miesiące, próbowali zaopatrzyć się u przekupniów w pożywienie. Łatwo było wyłowić weteranów spraw sądowych – ci zjawiali się przygotowani, z paczkami żywnościowymi, i stali z boku, przeżuając spokojnie. Do mężczyzny, który smażył bhadźiję, garnął się wygłodniały tłum. Nic dziwnego, pomyślała Dina, pachną cudownie. Obok niego, na okazałym bloku lodu, chłodził się ananas. Dina przyglądała się kobiecie, która nadkrawała owoc długim nożem, by usunąć z niego oka, i podziwiała starannie wycięte ząbkowane plasterki.

W centrum aktywności toczącej się przed gmachem sądowym znajdowali się stenotypiści. Siedzieli ze skrzyżowanymi nogami przy swoich stanowiskach, przed majestatycznymi underwoodami^[210] i bębnił w nie, wypisując dokumenty dla oczekujących powódek i petentów. W sprzedaży dostępne były arkusze papieru w formacie przeznaczonym dla pism prawnych, spinacze, teczki, szkarłatna, płócienna wstęga do przewiązywania przepisanych na maszynie akt, niebieskie

i czerwone długopisy, ołówki i atrament.

Odziani w czarne marynarki członkowie palestry czaili się pośród cizby, polując na sprawy. Dina skrupulatnie ich unikała – postanowiła, że najpierw rozejrzy się po dziedzińcu sądowym. – Nie, dziękuję – odpowiadała tym, którzy proponowali pomoc.

W pobliżu głównego gmachu tłum gęstniał; nad terenem tym unosiło się przygniatające poczucie chaosu. Ludzie znikali we wrotach i wynurzali się z nich, przy czym ci, którzy byli wewnątrz, gestykulowali gorączkowo w kierunku swoich współników na dziedzińcu, a ci na dworze wydzielali się do osób w gmachu, żeby wyszły. Co pewien czas ktoś upuszczał swe cenne dokumenty, a próbując je odzyskać, wszczynał szamotaninę, w której ginęły inne przedmioty, takie jak chustki do nosa, sandały, czapki i dupatty.

Dina pozwoliła, by kolejna fala przypływu zaniósła ją do środka. Znalazła się na korytarzu, którego okna wychodziły na dziedziniec. Tutaj również ludzie byli w nieustannym ruchu, wylewali się z kipiących sal sądowych i wpływali do nich, schodami w górę i schodami w dół, jak gdyby wszyscy zapadli na epidemię dezorientacji. Po salach i korytarzach niósł się nieprzerwany jazgot. Czasem było to ciągle brzęczenie przecinane sporadycznymi błyskawicami wrzasku. Dina zastanawiała się, jak ktoś w takich warunkach może śledzić wywody prawne.

Przystanęła na chwilę w drzwiach sali, gdzie widocznie toczyła się rozprawa. Sędzia w zamyśleniu smoktał zausznik swoich okularów. Głos miał obrońca. Nie dało się usłyszeć ani słowa i tylko precyzyjne ruchy jego dłoni oraz spęczniałe ścięgna na gardle świadczyły, że jest zaprzątnięty prezentacją faktów.

Od czasu do czasu ktoś stawał jak wryty na korytarzu i ponagłająco wywrzaskiwał imię lub numer. Czasem ekipa poszukiwawcza rozdzielała się i pędziła na różne strony z tymże imieniem lub numerem na ustach. Czy to możliwe, by coś się zacięło w systemie sądowym, myślała Dina, może jakiś strajk? Może gońcy, kanceliści i sekretarze zatelefonowali, by powiedzieć, że są chorzy i nie przyjdą do pracy i tym sposobem pograżyli gmach sądu w tym szalonym zamęcie.

Postanowiła nie odstępować na krok pewnej rodziny, która sprawiała wrażenie, jakby wiedziała, co robi. Biegła, kiedy oni biegli, słuchała, gdy mówili, podążała za kierunkiem ich spojrzeń. Obserwowała pilnie i po pewnym czasie z nieładu i zawieruchy jał wyłaniać się przed nią pewien porządek. Zupełnie jak podczas pracy nad nową sukienką, pomyślała. Papierowe wykroje również zdawały się pozbawione ładu, dopóki się ich metodycznie nie poskładało w całość.

Teraz spostrzegła, że cały ten gorączkowy tumult należy do sądowej codzienności. Na przykład tłumy tratujące się na korytarzach próbowały jedynie

odnaleźć tablicę z ogłoszeniami, na której zamieszczono numer ich sprawy wraz z podaniem sali, w której miała się odbyć rozprawa. Szemrane grupki tłoczące się po ciemnych kątach tworzyli pośrednicy negocjujący łapówki. Ci, którzy wyrzaskiwali imiona, byli prawnikami poszukującymi swych klientów – lub *vice versa* – ponieważ ich sprawy właśnie miały się zacząć. Szał skarżących lub pozwanych, którzy od miesięcy, a czasem lat czekali na rozprawę, był zrozumiały. Cóż bardziej druzgocącego niż usłyszeć, że skład sędziowski odroczył posiedzenie, ponieważ w tym kluczowym momencie obrońca postanowił wybrać się do toalety lub na herbatę i nie poinformował sekretarza.

Znalazłszy włókno porządku pośród tej gmatwaniny, Dina poczuła się pewniej. Powróciła na dwór, na dziedziniec, gdzie uważnie obejrzała prawników do wynajęcia. Niektórzy wystawiali na pokaz tabliczki, na których odręcznie wyliczono ich usługi i specjalności: TU SIĘ ZAŁATWIA ROZWODY; TESTAMENTY I POSTĘPOWANIE W SPRAWACH SPADKOWYCH; SPRZEDAŻ NEREK – POŚREDNICTWO; ZEZNANIA POD PRZYSIĘGĄ SPISUJĘ SZYBKO, KLAROWNIE, DOBRĄ ANGIELSZCZYZNĄ.

Inni woleli krzykiem obwieszczać swoje oferty niczym przekupnie na targowisku: Odpisy uwierzytelnione, tylko pięć rupii! Pisemne oświadczenia pod przysięgą, piętnaście rupii! Wszystkie sprawy, wszystkie wykroczenia, niskie stawki!

Dina zatrzymała się przed jednym, u którego nagłówek na planszy głosił: SPORY DOT. USTAWY u NAJMIE – TYLKO 500 RS. Właśnie miała do niego przemówić, kiedy horda prawników, wietrząc okazję, runęła na nią z łopotem czarnych marynarek. W wielu przypadkach ich czerń była mocno wątpliwa: tkanina zblakła w praniu i stała się szarobura.

Prawnicy rozpychali się, by zwrócić jej uwagę, lecz podtrzymywali swą godność, konkurując ze sobą bez akcentów osobistych. Na ich twarzach nie znać było zawodowej rywalizacji; nie pojawił się ani jeden grymas, nie padło między nimi żadne szorstkie słowo. Każdy zabiegał o rozpatrzenie swej kandydatury, nie zwracając uwagi na obecność pozostałych.

Jeden przepchnął się na przód i podetknął jej pod nos dokumenty poświadczające jego kompetencje prawnicze.

– Szanowna pani zechce popatrzeć! Tutaj proszę – autentyczny dyplom z dobrego uniwersytetu! Wielu szachrajów podszywa się pod prawników! Gdy będzie pani wybierać, proszę zawsze pamiętać o sprawdzeniu kwalifikacji!

– Oferta specjalna! – ryczał mężczyzna z tyłu stada. – Żadnych dodatkowych opłat za wypisanie dokumentów – wszystko w ramach jednej, niskiej stawki!

Otoczyli ją całkowicie. Zaszczuta niepożądaną atencją usiłowała wyrwać się ze zbiegowiska.

– Przepraszam, chciałam...

– Jakie są zarzuty, szanowna pani? – krzyknął ktoś, wspinając się na palce, by go dostrzegła. – Zajmuję się i sprawami karnymi, i cywilnymi!

Drobinki jego śliny wylądowały na jej okularach i policzkach. Wzdrygnęła się i ponownie próbowała się wyzwolić. A potem, w ścisku, czyjaś ręka złapała ją za pośladek, a inna przesunęła się zrećźnie po jej piersi.

– Łotry! Bezwstydni szubrawcy! – Natarła łokciami i zdołała kopnąć jedną czy dwie golenie, zanim się rozproszyli. Żałowała, że nie ma przy sobie parasola w kształcie pagody – już by im dała nauczkę.

Dłonie jej się trzęsły i musiała uważać, jak stawia stopy, żeby się nie potknąć. Wycofała się w mniej zatłoczony rejon dziedzińca, z boku gmachu. Teren był wolny od prawników, panowała na nim cisza. Wzdłuż ogrodzenia okalającego podwórzec stały drewniane ławki. Ludzie wypoczywali na trawie i przysypiali z sandałami wsuniętymi pod głowę dla ochrony i w charakterze poduszki. Inni jedli ze lśniących stalowych pojemników. Jakaś matka obierała scyzorykiem ćiku i karmiła dziecko słodkim, brązowym owocem. Cicha muzyka z radia tranzystorowego niczym ważka unosiła się z bzyczeniem nad gorącym popołudniem.

Pośród tego sielskiego pejzażu na złamanej ławce siedział mężczyzna i wpatrywał się w koronę mangowca. Trzech małych chłopców ciskało kamieniami w twarde zielone owoce, gdy tymczasem ich rodzice drzemali na trawniku. Wysilki malców zostały ukoronowane strąceniem jednego mango. Wgryzali się w nie i podawali sobie kolejno, a usta drętwiały im od kwaskowego, surowego mięszu. Drżąc z rozkoszy, z mocno zamkniętymi oczami, zaciskali zęby, by delektować się cierpką przyjemnością.

Mężczyzna na złamanej ławce uśmiechnął się i pokiwał głową, smakując wspomnienia przywołane przez dzieci. Kieszeń jego koszuli pęczniała od długopisów wpiętych na klips w specjalny plastikowy futerał. U jego stóp spoczywał podparty o cegłę prostokątny arkusz tektury o wymiarach około dziesięciu cali na piętnaście.

Zaciekawiona Dina podeszła bliżej i odczytała napis na tabliczce: Vasantryo Valmik – B.A., LL. B^[211]. Dziwne, pomyślała, że jest prawnikiem, a zadowala się tym, że siedzi sobie tutaj bezczynnie. I nie ma nawet czarnej marynarki, w ogóle nie stara się zdobyć klientów.

– Szanowna pani, w imieniu mej profesji, chciałbym przeprosić panią za ten sromotny popis przy wejściu – odezwał się pan Valmik.

– Dziękuję – powiedziała Dina.

– Ależ nie, to ja muszę pani podziękować za przyjęcie moich przeprosin. To haniebne, jak panią obskoczyli. Wszystko stąd widziałem. – Rozkrzyżował nogi,

trącając paluchem tekturową tabliczką, która się przewróciła. Podniósł ją i poprawił podpierającą ją cegłę.

– Siedzę na tej mojej ławce i każdego dnia obserwuję wiele rzeczy. Większość z nich doprowadza mnie do rozpacz. Lecz czegoż innego się spodziewać, skoro wyroki wydają tępe bestie, a przywódcy kraju zamienili mądrość i dobre rządy na tchórzostwo i pogoń za władzą i majątkiem? Nasze społeczeństwo psuje się od szczytu w dół.

Przesunął się na skraj zdezelowanej ławki, robiąc dla niej miejsce na mniej zniszczonej części.

– Bardzo proszę, zechce pani usiąść.

Dina skorzystała z zaproszenia. Przemowa i maniery mężczyzny wywarły na niej wrażenie. Miała poczucie, że nie przystaje on do tego miejsca. Bardziej pasowałby do niego gustownie urządzonego gabinetu z mahoniowym biurkiem, krzesłem obitym skórą i dobrze zaopatrzoną bibliotekę.

– Po tej stronie gmachu wszystko jest takie ciche – powiedziała.

– Tak, to przyjemne, nieprawdaż? Rodziny wypoczywają w spokoju, zapełniają czas, aż Żarna Sprawiedliwości przemleje ich sprawy. Kto by uwierzył, że ta piękna sceneria jest w istocie nędznym teatrem zawziętości i zemsty, potrząskaną sceną, na której wystawia się tragedie i farsy? To miejsce bardziej wygląda na łączkę do piknikowania niż na pole bitwy. Kilka miesięcy temu widziałem, jak pewna kobieta zaczęła rodzić i wydała tutaj na świat dziecko, w niezmaconym szczęściu. Nie chciała iść do szpitala, nie życzyła sobie, by dłużej przesuwano jej sprawę. Była moją klientką. Wygraliśmy.

– Więc pan także jest praktykującym prawnikiem?

– W rzeczy samej – wskazał na tekturową tabliczkę. – W pełni wykwalifikowanym. Choć swego czasu, wiele lat temu, kiedy byłem w college'u, na pierwszym roku studiów moi koledzy zwykli mówić, że już nie muszę studiować, że już jestem LL.B.

– Jak to?

– Lord of the Last Bench^[212] – odrzekł pan Valmik z uśmiechem. – Nadali mi ten honorowy tytuł, gdyż zawsze siadałem w najdalszych rzędach – dzięki temu miałem dobry widok. I muszę wyznać, że za sprawą tej lokalizacji nauczyłem się więcej o naturze ludzkiej i sprawiedliwości, niż można było dowiedzieć się z wykładów profesorów.

Pomacał etui z długopisami w kieszeni koszuli, jakby chciał upewnić się, że wszystkie są na swoim miejscu, a one najeżyły się groźnie w plastikowym futerale niczym kołczan pełen strzał.

– A teraz trafiłem tu i mam nowy tytuł: L.BB – Lord of the Broken Bench^[213]. I nadal poszerzam wiedzę. – Zaśmiał się, a Dina uprzejmie mu zawtórowała. Ich

rachityczne siedzisko zachybotało.

– Ale dlaczego pan, panie Valmik, nie stoi przy wejściu jak inni prawnicy i nie zabiega o klientów?

Pan Valmik skierował wzrok na mangowiec i odrzekł:

– Zachowanie tego rodzaju znajduję bezapelacyjnie grubiańskim i całkowicie *infra dig.* – Zatroškany, że Dina odbierze łaciński zwrot jako wyraz snobizmu, szybko dorzucił: – Jest to poniżej mojej godności.

– Ale jeśli tylko pan tu siedzi, to w jaki sposób zdobywa pan środki do utrzymania?

– Same się zdobywają. W małych dawkach. Koniec końców ludzie mnie znajdują. Ludzie tacy jak pani, zniesmaczeni tymi jurystycznymi opryszkami i straganiarskimi szachrajami. Oczywiście, nie wszyscy z nich są źli – po prostu rozpaczliwie szukają pracy. – Zamachał przyjaźnie do przechodzącego kancelisty i ponownie pomacał długopisy. – Nawet gdybym miał temperament sprzyjający wulgarnemu zachowaniu, moje wokalne kalectwo uniemożliwiłoby mi udział w tych zgiełkliwych zapasach. Proszę sobie wyobrazić, że mam poważny defekt gardła. Jeśli podniosę głos, utracę go do reszty.

– Och, to bardzo niefortunne.

– Nie, nie tak bardzo – pocieszył ją pan Valmik. Autentyczne współczucie uważał za drogocenny towar i nie znosił, gdy się je trwoniło. – Nie ma to dla mnie znaczenia. W dzisiejszych czasach nie ma większego zapotrzebowania na prawników, których głos niesie się dźwięcznie po sali sądowej, by chwycić urzeczonego sędziego i ławników w sieci błyskotliwej retoryki. – Zaśmiał się. – Nie ma tu zapotrzebowania na Clarence’a Darrowsa^[214], małe procesy już się nie odbywają. Choć małe tutaj pod dostatkiem, w każdej sali sądowej, i gotowe są występować w zamian za banany i orzeszki.

Westchnął ciężko, a miejsce jego sarkazmu zastąpił żal.

– Cóż mamy powiedzieć, szanowna pani, coż mamy myśleć o stanie tego narodu? Kiedy najwyższy trybunał w tym kraju zmienia winę pani premier w niewinność, wówczas wszystko to – wskazał na okazałą kamienną budowlę – zmienia się w muzeum tanich sztuczek i niewiele ma wspólnego z żywym, oddychającym prawem, które wzmacnia ścięgną społeczeństwa.

Dinę wzruszył ciężar jego rozpacz.

– Dlaczego Sąd Najwyższy tak postąpił? – zapytała.

– Któż to wie, szanowna pani. A dlaczego istnieją choroby, głód i cierpienie? My potrafimy tylko odpowiedzieć na pytania jak, gdzie i kiedy. Pani premier dokonuje oszustwa w wyborach i stosowne prawo zostaje niezwłocznie zmodyfikowane. *Ergo* pani premier jest niewinna. My, biedni śmiertelnicy, musimy pogodzić się z tym, że minione zajścia są poza naszym zasięgiem, gdy

tymczasem pani premier wykonuje popis zonglerki przeszłością.

Pan Valmik urwał z nienacka, uświadomiwszy sobie, że peroruje rozwlekle, gdy tymczasem obok niego siedzi potencjalna klientka.

– Ale co ze sprawą szanownej pani? Wygląda pani na weterankę tej instytucji.

– Nie, nigdy wcześniej nie byłam w sądzie.

– Ach, wobec tego wiodła pani błogosławione życie – wyszeptał. – Nie chcę być nadmiernie dociekliwy, ale czy potrzebuje pani prawnika?

– Tak, chodzi o moje mieszkanie. Kłopoty zaczęły się dziewiętnaście lat temu, kiedy zmarł mój mąż. – Opowiedziała mu o wszystkim, zaczynając od pierwszego pisma od kamienicznika w kilka miesięcy po śmierci Rustoma w trzecią rocznicę ich ślubu, a potem o krawcach, sublokatorze, ciągłych najściach poborcy czynszu, pogrózkach zbirów, protekcji mistrza żebraków i jego śmierci.

Pan Valmik złożył palce na kształt wieży i słuchał. Nie poruszył się ani razu, nie poglądził nawet swych ukochanych długopisów. Dina z podziwem obserwowała, jak uważnie słuchał – niemal równie uważnie jak mówił.

Kiedy skończyła, opuścił dłonie. Potem przemówił swym cichym głosem, który zaczął nabierać chrapliwych tonów.

– To bardzo trudna sytuacja. Otóż, szanowna pani, działanie *ex curia* może czasem wydawać się szybkie i skuteczne. – Widząc na jej twarzy wyraz lekkiego zaskoczenia, dorzucił: – To znaczy poza sądem. Ale w ostatecznym rozrachunku prowadzi to do większych problemów. To prawda, na dzikich pustkowiach naszych czasów panuje profuzja zbirów. Bądź co bądź jesteśmy w Gunda Radz [215]. Któż więc może winić panią, że obrała pani tę drogę? Któż chciałby wkraczać do zbrukanego Sanktuarium Sprawiedliwości, gdzie leżą zwłoki Sprawiedliwości, zaszlachtowanej przez własnych stróżów? A teraz jej mordercy szydzą z uświęconej procedury, sprzedając falsyfikaty ślepej cnoty temu, kto zaproponuje najwyższą cenę.

Dinie zaczęła dokuczać górnołotna maniera wypowiedzi pana Valmika. Przez pewien czas bawiła ją, lecz szybko stała się nużąca. Ależ ci ludzie uwielbiają wygłaszać mowy, pomyślała. Pustosłowie i krasomówstwo zainfekowały cały naród, od ministrów przez prawników po poborców czynszu i zbieraczy włosów.

– Więc powiada pan, że nie ma nadziei? – przerwała mu.

– Zawsze jest nadzieja – dość nadziei, by zrównoważyć naszą rozpacz. Inaczej bylibyśmy straceni.

Następnie dobył ze swego neseseru podkładkę do pisania, miłośnie wybrał długopis z dobrze zaopatrzonej kieszeni i zaczął notować.

– Być może widmo Sprawiedliwości nadal się tu kręci i skłonne jest nam pomóc. Jeśli nasz wniosek trafi do przyzwoitego sędziego, który wyda nakaz, będzie pani bezpieczna do czasu rozprawy. Jak nazwisko szanownej pani?

– Dalal. Dina Dalal. Ale ile pan sobie liczy?

– Tyle, ile może pani zapłacić. O to będziemy się martwić później. – Zapisał szybko nazwisko kamienicznika, adres biura i najważniejsze szczegóły dotyczące przebiegu sprawy. – Radziłbym, by nie zostawiała pani mieszkania bez opieki. Stan posiadania to dziewięć dziesiątych prawa. A zbiry to zasadniczo tchórze. Czy jest możliwe, by ktoś, rodzina czy przyjaciele, zamieszkał z panią?

– Nie ma nikogo takiego.

– Fakt, nigdy nie ma, prawda? Proszę mi wybaczyć to pytanie. – Zatrzymał się, a potem dostał ataku przerażającego kaszlu. – Przepraszam – wycharczał. – Zdaje się, że przekroczyłem limit rozmów ustalony przez moje gardło.

– Masz ci los – zmartwiła się Dina. – Brzmi naprawdę niedobrze.

– A przecież jestem świeżo po kuracji – powiedział pan Valmik, a w jego głosie zabrzmiała nuta samochwalstwa. – Powinna była pani słyszeć mnie rok temu. Mogłem tylko piszcząć jak mysz.

– Ale co tak fatalnie zniszczyło panu gardło? Miał pan wypadek czy jak?

– Można tak powiedzieć – westchnął. – Bądź co bądź, nasze życie jest jedynie sekwencją wypadków, brzęczącym łańcuchem przygodnych zdarzeń. Sznurem wyborów, mimowolnych lub umyślnych, które razem tworzą tę jedną wielką klęskę, którą nazywamy życiem.

Znowu zaczyna, pomyślała. Ale jego słowa naprawdę brzmiały trafnie. Przymierzyła je do własnych doświadczeń. Przypadkowe zdarzenia panowały nad wszystkim: tak było ze śmiercią jej ojca, gdy miała dwanaście lat. I z całym życiem krawców. A Maneck – już miał wracać, a po chwili leci do Dubaju. Prawdopodobnie nigdy go już nie zobaczy, ani Ishvara, ani Oma. Do jej życia trafili znikąd i donikąd odeszli.

Tymczasem pan Valmik w odpowiedzi na jej pytanie pogładził długopisy i rozpoczął opowieść. Dina czuła, że w tym nawyku jest coś lekko obscenicznego. Niemniej, dotykane długopisów było lepsze niż dotykane krocza, jak czynili to niektórzy mężczyźni, by przesunąć swój interes w prawo albo w lewo, lub zgoła bez żadnej przyczyny.

Głos jego brzmiał gardłowo, kiedy opowiadał o pełnym entuzjazzu młodym studencie prawniczego college’u, którego potencjał został wcześniej dostrzeżony przez nauczycieli, lecz który dołączywszy do palestry, zapragnął spokoju i samotności, i odnalazł je w pracy korektora.

– Przez dwadzieścia pięć lat z przyjemnością zażywałem kulturalnego towarzystwa wyrazów. Aż pewnego dnia moje oczy dotknęła alergia, a mój świat stanął na głowie.

Charkotliwe odgłosy z jego gardła były tak zniekształcone, że Dinie trudno było go zrozumieć, lecz stopniowo jej uszy dostroiliły się do niespotykanych

brzmień i osobliwych częstotliwości. Spozrzegła, że chociaż pan Valmik opisywał życie jako sekwencję przypadków, w jego wytrawnej narracji nic nie było przypadkowe. Zdania płynęły niczym idealne szwy, spajające tkaninę opowieści, bo żaden niechlujny ścieg nie zwracał na siebie uwagi. Czy mówiący zdawał sobie sprawę, że układa dla niej te zdarzenia? Być może nie – być może sam akt opowiadania tworzył naturalną strukturę. Być może była to owa wrodzona zdolność właściwa ludziom, zdolność do porządkowania bałaganu własnej egzystencji – ukryta broń pozwalająca przetrwać, jak przeciwciała w krwiobiegu.

Gdy tak mówił, w roztargnieniu wyjął z kieszeni wieczne pióro, odkręcił skuwkę i włożył sobie stalówkę do nosa. Dina w osłupieniu patrzyła, jak kolejno zatyka oba nozdrza i zaciąga się głęboko wonią atramentu.

Wzmocniony działką Royal Blue pan Valmik ciągnął dalej.

– By napęścić brzuch musiałem wtedy poradzić sobie w hałaśliwym świecie organizacji wieców i pochodów protestacyjnych. Pisanie i wykrzykiwanie sloganów stało się moją nową profesją. Tak oto rozpoczęła się dewastacja moich strun głosowych.

Opowieść prawnika przypominała jej o patchworkowej kapie, która utknęła w martwym punkcie. Prezent ślubny dla Oma. Pan Valmik też miał swoje skrawki do pozszywania w oralną kape, którą teraz recytował na jej użytek. Jak sztukmistrz wyciągający sobie z ust nieskończony łańcuch jedwabnych apaszek.

– Koniec końców to, że znalazłem mojego starszego sierżanta sztabowego, było jedynie kolejnym przypadkiem. Krzyk był jego drugą naturą. Krzyczał nawet wtedy, gdy nie było takiej potrzeby. Jego gardło z niewyprawionej skóry rozkwitało od tego, a moje wreszcie mogło odpocząć.

Przerwał, by zaproponować jej miętówkę na kaszel; odmówiła. Wrzucił sobie jedną do ust.

– Miałem rozległe plany: że rozwinę działalność, otworzę oddziały w każdym dużym mieście. Snułem wizję zakupu śmigłowca i wyszkolenia lotnej brygady sloganowej. Gdy tylko gdzieś miałyby miejsce strajk czy zamieszki, gdy tylko potrzebny byłby pochód protestacyjny, wystarczyłby jeden telefon i moi ludzie spływaliby z nieba z transparentami w pogotowiu.

Przedsiębiorczy błysk w jego oku zgasł niechętnie.

– Niestety, podczas stanu wyjątkowego rząd zakazał wieców i demonstracji. Tak więc od zeszłego roku siedzę na tej złamanej ławce, zbrojny w mój dyplom prawniczy. Koło się domyka.

Znudziło mu się przesuwac miętówkę z jednego policzka w drugi i rozgryzł na pół wyssaną pastylkę.

– Ileż to utraciłem, zataczając to koło. Ambicję, samotność, słowa, wzrok, struny głosowe. Tak, oto wiodący motyw mego życia – utrata. Lecz czy nie tak

samo jest ze wszystkimi życiowymi historiami? Utrata jest sednem. Utrata jest nieodłączną częścią tej nieodzownej klęski zwanej życiem.

Kiwnęła głową, nie w pełni przekonana.

– Zwracam pani uwagę, że ja się nie skarżę. Dzięki niepojętej sile sterującej tracimy zawsze te rzeczy, które są bezwartościowe, zrzucamy je, jak wąż zmieniający skórę. Utrata, ciągła utrata stanowi fundament procesu życiowego. Aż wreszcie zostajemy sam na sam z nagą esencją ludzkiej egzystencji.

Tym razem pan Valmik wyprowadził Dinę z równowagi. Ostatni kawałek brzmiał jak stek irytujących bzdur.

– Wąż ma pod spodem nowiuteńką skórę – wpadła mu w słowo. – Wolałabym nie stracić mieszkania, chyba że na jego miejscu wyrosnie nowe.

Przez chwilę pan Valmik wyglądał, jakby zainkasował cios w przeponę, ale zaraz się pozbierał i uśmiechnął, doceniając jej uwagę.

– Znakomicie, doprawdy znakomicie, pani Dalal. Podąłem marny przykład. A pani mnie przyłapała. Znakomicie. I poczucie humoru też dobre. Jednym z minusów mej profesji jest całkowity brak humoru. Prawo to posępna istota pozbawiona uśmiechu. Lecz nie Sprawiedliwość. Sprawiedliwość jest bystra, figlarna, dobra i troskliwa.

Podniósł i spakował swoją tabliczkę, a cegłę wsunął pod ławkę, by czekała tam, aż znów będzie mu potrzebna. Otrzepał ręce z czerwonego pyłu i wydeklamował:

– Wstanę teraz i pójdę. Pójdę napisać ten wniosek i zbuduję skuteczny apel ze słów i namiętności.

Osobliwy rytm i dobór słów sprawił, iż popatrzyła na pana Valmika z zaciekawieniem. Zastanawiała się, czy aby na pewno wybrała sobie odpowiedniego prawnika.

– Proszę się mną nie przejmować – rzekł. – Zainspirował mnie poeta Yeats. Znajduję, że jego słowa mają szczególne znaczenie w okresie tego haniebnego stanu wyjątkowego. Wie pani – wszystko w rozpadzie, w odśrodkowym wirze, czysta anarchia szaleje nad światem i tak dalej, i tym podobne^[216].

– Tak – powiedziała Dina. – I wszystko źle się kończy.

– Ach – odparł pan Valmik. – A to już dla pana Yeatsa zbyt pesymistyczne. Nigdy by nie napisał tego wersu. Ale proszę przyjść pojutrze do mego biura, podam pani świeże nowiny.

– Do biura? Gdzie?

– Tutaj – zaśmiał się. – Ta złamana ławka to moje biuro. – Z czułością poklepał długopis, który schował z powrotem do plastikowego futerału. – Szanowna pani Dalal, muszę podziękować pani za wysłuchanie mojej historii. Niewielu ludzi ma dziś czas, by mi tak dogadzać. Ostatnia okazja przytrafiła mi się rok temu, to był student college’u. Obaj odbywaliśmy bardzo długą podróż kolejową. Raz jeszcze

dziękuję.

– Bardzo proszę, pani Valmik.

Kiedy odszedł, świeża grupa szkrabów bez reszty oddała się plądrowaniu nielicznych zielonych skarbów wiszących na mangowcu. Zabawnie było patrzeć na ich wysiłki i podniecenie. Dina posiedziała jeszcze kilka minut, a następnie ruszyła z powrotem do swego mieszkania.

•

Sierzant i posterunkowy spierali się z dwoma mężczyznami o kłódkę na drzwiach wejściowych. Dina nieraz odgrywała tę scenę w wyobraźni; teraz nie miała poczucia kryzysu. Pewna faza w życiu się kończy, inna się zaczyna. Pora na ostatnią ratę, pomyślała. Nową łatę do kapy.

Rozpoznała dwóch mężczyzn, zbirów kamienicznika. Spostrzegła, że dzięki mistrzowi żebraków ich palce bardzo się zmieniły. Były groteskowo powykręcane, zniekształcone, nieodpowiedniej długości, jak na dziecięcym rysunku. Człowiek nie żył, lecz jego dzieło wciąż trwało.

– Co to ma być, czego tu chcecie? – zablefowała.

– Sierzant Kesar – przedstawił się policjant, wyciągając kciuki zza pasa, za który zatknął je agresywnie, kiedy zwracał się do zbirów. – Bardzo przepraszam za najście. Na mieszkanie wydano nakaz eksmisji.

– Nie możecie tego zrobić. Właśnie wracam od mojego prawnika, który składa do sądu wnioski o zakaz eksmisji.

Łysy zbir uśmiechnął się szeroko.

– Sorry, siostró, byliśmy pierwsi.

– Jacy znowu pierwsi? – Zaaapelowała do sierżanta Kesara. – To nie żaden wyścig, mam prawo iść do sądu.

Tamten smutno potrząsnął głową; ze zbirami łączyła go długa zawodowa znajomość i czekał na dzień, kiedy będzie mógł zamknąć ich za kratkami.

– W zasadzie mówiąc, nic nie mogę zrobić, proszę szanownej pani. Czasami prawo przypomina wyścig z cytryną na łyżce^[217]. Eksmisja musi się odbyć. Potem może pani się odwołać.

– Równie dobrze mogę walić głową w mur.

Zbiry przyznały jej rację, potakując ze zrozumieniem.

– Sądy są bezużyteczne. Polemiki i odroczenia, zeznania i dowody. Ciągnie się to bez końca. W stanie wyjątkowym te wszystkie idiotyzmy są zbędne. – Jego partner zagrzechotał kłódką, przypominając stróżom prawa, by wzięli się do dzieła.

– Otworzy nam szanowna pani? – spytał sierżant Kesar.

– A jeśli odmówię?

- Wtedy będę musiał wyważyć zamek – odrzekł policjant z żalem.
- A co się stanie, kiedy je otworzę?
- Mieszkanie zostanie opróżnione – wyszeptał, ze wstydu mamrocząc niezrozumiale.
- Co?
- Opróżnione – powtórzył nieco głośniej. – Mieszkanie zostanie opróżnione.
- Na bruk? Dlaczego? Dlaczego oni zachowują się jak zwierzęta? Dajcie mi chociaż dzień lub dwa na przygotowanie.
- W zasadzie mówiąc, to leży w gestii kamienicznika.
- Czas minął – powiedział łysy zbir. – Jako reprezentanci kamienicznika nie możemy pozwolić na dalsze wybiegi służące opóźnieniu.
- Sierżant Kesar zwrócił się do Diny.
- Niech się szanowna pani nie martwi, pani meble będą bezpieczne. Będę patrzył, żeby się z nimi obchodzili z dbałością. Mój posterunkowy ich popilnuje. Jeśli pani chce, mogę go posłać, żeby wynajął dla pani ciężarówkę.
- Odszukała klucz w torebce i otworzyła drzwi. Zbiry próbowały wparować do środka, jakby drzwi miały zatrzasnąć się z powrotem, lecz powstrzymała ich ręka sierżanta Kesara. Jak policjant kierujący ruchem wyciągnął ją, by zablokować im przejście.
- Szanowna pani przodem – skłonił się, a potem wszedł za nią.
- Pierwszym, co zobaczyli, były kartonowe pudła krawców ustawione jedno na drugim w rogu werandy. Zbiry zabrały się do wynoszenia ich.
- To nie moje pudła, nie chcę ich – wybuchła Dina, kierując swój gniew na nieobecnych. To oni ją opuścili, to oni ją porzucili, by samotnie mierzyła się z tą sytuacją.
- Nie? Świetnie, to my je weźmiemy.
- Schowała ubrania i bibeloty do szuflad i szafek, starając się pozostać o parę kroków przed zbirami, którzy zaczęli wynosić meble na zewnątrz. Sierżant Kesar dreptał obok niej, pragnął pomóc.
- Czy postanowiła pani, dokąd to wszystko zawieźć?
- Pójdę do Vishrama i zadzwonię do brata. Przyśle ciężarówkę od siebie z biura.
- Zgoda, to ja przypilnuję tych dwóch. Czy mogę coś jeszcze zrobić dla pani pod jej nieobecność?
- Wolno panu pomagać przestępczyni?
- Policjant smutno potrząsnął głową.
- W zasadzie mówiąc, proszę pani, to przestępcami są ci dwaj i kamienicznik.
- Ale to mnie się wyrzuca.
- Ten świat zwariował. Myśli pani, że wziąłbym tę pracę, gdybym nie miał

rodziny do wyżywienia? Zwłaszcza po tych wrzodach, co mi się od tego zrobiły? Jak tylko zaczął się stan wyjątkowy, zrobiły mi się wrzody żołądka. Na początku myślałem, że to nadkwasota. Ale lekarz potwierdził diagnozę i niedługo mam operację.

– Bardzo mi przykro. – Na kuchennej półce znalazła śrubokręt i wręczyła mu go. – Jeśli pan chce, może pan mi zdjąć tabliczkę z drzwi wejściowych.

Sierzant zadowolony pochwycił narzędzie.

– Och, naturalnie. Z przyjemnością, proszę szanownej pani. – Odszedł, a jego poczucie winy zostało odrobinę uśmierzone. Wkrótce sapał nad spatynowaną mosiężną tabliczką, w pocie czoła mocując się ze śrubami.

•

– Co takiego? – wrzasnął Nusswan do słuchawki. – Eksmisja? I dzwonisz do mnie, kiedy meble stoją na ulicy? Kopiesz studnię, kiedy płonie dom?

– To się stało znienacka. Możesz przysłać tę ciężarówkę czy nie?

– A mam wybór? To mój obowiązek. Kto ci pomoże, jeśli nie ja?

Kiedy wróciła do mieszkania, mężczyźni już prawie skończyli. Na ostatku wyniesiono naczynia, garnki i Kuchenkę. Posterunkowy trzymał straż nad całością dobytku wystawionego na chodniku. Po ułożeniu na stercie jej sprzęty domowe nie prezentowały się zbyt okazale, pomyślała, nie wyglądały, jakby można nimi zappełnić trzy pokoje lub dwadzieścia jeden lat, które w nich spędziła.

Sierzantowi Kesarowi ulżyło na wieść, że przybywa pomoc.

– Szanowna pani ma wielkie szczęście, przynajmniej ma pani dokąd pójść. Dzień w dzień mam do czynienia z przypadkami ludzi, którzy kończą na chodniku. Leżą wycieńczeni, zagubieni, pokonani. Zdumiewające, jak szybko uczą się czynić użytek z kartonów, plastiku i gazet.

Poprosił, by Dina przejrzała pokoje, zanim zda nadzór nad mieszkaniem.

– Na pewno nie chce pani tych betów z werandy? – szepnął.

– To nie moje. Dla mnie to śmieci.

– Widzi pani, wszystko, co tu zostanie, automatycznie przejdzie na własność kamienicznika.

– Czyli naszą – powiedziały zbiry, łapiąc pudła. Zatrzasnęli drzwi wejściowe i wsunęły świeżą kłódkę na skobel. Sierzant Kesar dopełnił formalności; odbite na powielaczu dokumenty podpisano w trzech egzemplarzach.

Wówczas dwaj opryszkowie zainteresowali się pudłami, pragnąc czym prędzej zapoznać się ze swą niespodziewaną premią.

– Zaraz, zaraz – powiedział łysy, unosząc garść czarnych loków. – Co to za śmieci?

– Dlaczego śmieci? – zaśmiał się jego partner. – Właśnie tego ci trzeba.

Łysemu nie było do śmiechu.

– Zobacz, co w drugim pudle.

Sierżant Kesar przyglądał im się przez minutę, potem zatknął kciuki za pas. Był gotów do akcji. Przypomniały mu się morderstwa dwojga żebraków – okryta złą famą sprawa Włosowego Wampira. Oto nadarzała się szansa, na którą czekał. Na wszelki wypadek odpiął klapę kabury i szeptem przekazał dyspozycje posterunkowemu.

– Panowie wybaczą – zwrócił się uprzejmie do zbirów. – Są panowie obaj aresztowani za morderstwo.

Tamci zaśmiali się.

– He, he, dowcipniś nam się zrobił z sierżanta Kesara. – Gdy na ich nadgarstki sprawnie założono kajdanki, uznali, że żart posunął się za daleko. – O czym pan mówi? Nikogo nie zabiliśmy.

– W zasadzie mówiąc, owszem: dwoje starych żebraków. Wzorcowy przypadek dowodu *prima facie*. Włosy zamordowanych żebraków odcięto i skradziono. Teraz te włosy znajdują się w waszym posiadaniu. Ot i cała historia.

– Ale my je tutaj znaleźliśmy, chwilę temu! Widział pan, jak otwieraliśmy pudło!

– W zasadzie mówiąc, nic nie widziałem.

– Nie ma pan dowodów na morderstwo! Skąd pan wie, że to te same włosy?

– O to się nie martwcie. Jak zauważyliście wcześniej, takie bzdury jak dowody nie są już potrzebne. Obecnie mamy sympatyczne wynalazki w rodzaju stanu wyjątkowego i UUBW.

– Co to jest UUBW? – spytała Dina.

– Ustawa o utrzymywaniu bezpieczeństwa wewnętrznego, proszę pani. Bardzo wygodna rzecz. Pozwala na zatrzymanie bez procesu, do dwóch lat. Przedłużenie możliwe na wniosek. – Uśmiechnął się słodko i obrócił do zbirów. – Omal bym zapomniał wam powiedzieć. Macie prawo zachować milczenie, ale jeśli z niego skorzystacie, moi chłopcy na komendzie porachują wam kości, żeby łatwiej wam było zeznawać.

Dwójkę zatrzymanych zmuszono, by ukucnęli ze skutymi rękami opartymi na głowie. Sierżant Kesar nie był jeszcze gotów, by ich zapuszkować. Z powrotem upchnął włosy do pudełka.

– Dowód rzeczowy A – zwrócił się do Diny. – Proszę się nie martwić, zaczekam tutaj, aż przyjedzie ciężarówka. Kto wie, ile z tego by zniknęło, gdybym teraz odszedł. A jak panią bezpiecznie wyprawię, to zabiorę te psy na posterunek.

– Bardzo panu dziękuję – powiedziała Dina.

– To ja pani dziękuję. You have made my day^[218]. – Sprawdził, czy klapa od kabury jest bezpiecznie zamknięta. – Lubi pani filmy z Clintem Eastwoodem? *Brudnego Harry'ego*?

– Nigdy nie widziałam. Dobre są?

– Bardzo ekscytujące. Dramaty pełne dynamicznej akcji. – Z tęsknym uśmiechem dorzucił: – Brudny Harry to detektyw z najwyższej półki. Wymierza sprawiedliwość nawet wtedy, gdy prawo to uniemożliwia. – Zniżając głos do szeptu, spytał: – A tak swoją drogą, to jak te włosy trafiły na pani werandę?

– Nie jestem do końca pewna. Pracowali u mnie dwaj krawcy. Mieli znajomego, który był zbieraczem włosów i... Nie jestem pewna, oni wszyscy poznikali.

– Dużo osób poznikało w stanie wyjątkowym – powiedział sierżant, kręcąc głową. – Ale wie pani, być może nieświadomie utrzymywała pani stosunki z psychopatycznymi mordercami. Niech szanowna pani dziękuje swoim gwiazdom, że wyszła pani bez szwanku.

– To w takim razie te dwa zbiry nie są naprawdę winne, prawda?

– W zasadzie mówiąc to są. Są winni innych zbrodni. Bez dwóch zdań zasłużyli na więzienie, proszę pani. To jak pozycje „ma” i „winien” w rachunkowości. W pewnym sensie Brudny Harry też jest księgowym. Dla niego ważne jest saldo końcowe.

Pokiwała głową, patrząc, jak stadko krów grzebie w zastygłym rynsztoku po drugiej stronie ulicy. Przepychały się i hałaśliwie klóciły nad odpadkami. Potem podjechała ciężarówka.

– Ma pan dzieci? – zapytała Dina sierżanta Kesara, kiedy ludzie Nusswana ładowali meble.

– O tak – odrzekł z dumą, zadowolony z jej pytania. – Dwie córki. Jedna ma pięć lat, druga dziewięć.

– Chodzą do szkoły?

– O tak. Starsza bierze też lekcje gry na sitarze, raz w tygodniu po szkole. Kosztuje to słono, ale biorę dla niej nadgodziny. Dzieci to nasz jedyny skarb, co nie?

Gdy ciężarówka była gotowa, Dina wdrapała się na siedzenie obok kierowcy i jeszcze raz podziękowała sierżantowi Kesarowi za pomoc.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odrzekł. – Życzę pani wszystkiego dobrego.

– I nawzajem. Mam nadzieję, że pańska operacja się powiedzie.

Kierowca potrzebował dłuższej chwili, by wycofać, ponieważ przesmyk był wąski. Wyjeżdżając przez bramę, Dina zobaczyła Ibrahima, jak stoi za filarem i wyciąga puszkę w stronę przechodniów.

Kiedy ciężarówka go mijała, były poborca czynszu usiłował na pożegnanie unieść dłoń do fezu, lecz zatrzymał go ból w ramieniu. Zamiast tego pociągnął za kołnierz śerwani i zamachał.

•

– Przepraszam za spóźnienie – powiedział Nusswan, całując Ruby w policzek, a następnie obejmując siostrę. – Te niekończące się spotkania. – Otarł czoło. – Ciężarówka dowiozła wszystko bezpiecznie?

– Tak, dziękuję – rzekła Dina.

– Jak rozumiem twoi żebracy, krawcy i sublokator powiedzieli ci Au Revoir. – Zaśmiał się ze swojego żartu.

– Nusswan, przestań – napomniała go Ruby. – Bądź dla niej miły, wiele przeszła.

– Tylko się przekomarzam. Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że Dina wróciła. – Mówił teraz ciszej, głosem pełnym emocji. – Całymi latami prosiłem Boga, by sprowadził cię do domu. Tak mnie to raniło, że ciągle chcesz żyć sama. Koniec końców tylko rodzina pomoże człowiekowi – gdy wszyscy inni obracają się do niego plecami.

Z wysiłkiem przełknął ślinę, Dina poczuła wzruszenie. Pomogła Ruby nakryć do stołu, przyniosła dzbanek z wodą i szklanki. Stały na swoim miejscu na kredensie. Przez tyle lat nic się tutaj nie zmieniło, pomyślała.

– Koniec upokorzeń z krawcami czy żebrakami – odezwał się znowu Nusswan. – Nie potrzebujesz ich, już nie musisz się martwić o pieniądze. O jedno tylko proszę, żebyś pomagała w domu.

– Nusswan! – zgaśniła go Ruby. – Biedna Dina zawsze mi pomagała. Jedno jest pewne: nie jest leniwa.

– Wiem, wiem – zaśmiał się. – Uparta to tak, ale nie leniwa.

Po kolacji dokonali oględzin sprzętów domowych przywiezionych z mieszkania Diny. Nusswan był zdegustowany.

– Gdzieś ty poznajdywała ten szmelc?

Wzruszyła ramionami. Odpowiedź słowna nie jest zawsze konieczna. Tę pożyteczną naukę przyjęła od Manecka.

– Cóż, tutaj nie ma na nie miejsca. Popatrz tylko na ten szkaradny stół kuchenny. A ta sofa musi pamiętać czasy Bawy Adama. – Obiecał, że w ciągu kilku dni wezwie dżaripurawale^[219] i każe je zabrać.

Nie spierała się z nim. Nie prosiła o łaskę dla wspomnień, które niczym mięśnie oblepiały żebra jej skromnego dobytku.

Nusswan dumiał nad przemianą, jaka dokonała się w jego siostrze. Dina była nadto potulna, zdecydowanie zbyt uległa i cicha, całkiem niepodobna do dawnej siebie. Zrobiło mu się nieswojo. Czy możliwe, by udawała? Czy to część jakiegoś planu, z którym wyskoczy, gdy on będzie się tego najmniej spodziewał?

Przełożyli zawartość komody do szafy stojącej w jej starym pokoju.

– Czekala tu na ciebie – zwierzyła się Ruby Dinie. – Szafa twojego ojca. Tak się cieszę, że wróciłaś.

Dina uśmiechnęła się. Zdjęła narzutę z materaca i schowała ją na dnie szafy. Na jej miejscu w nogach łóżka położyła własną kape.

– Jakie piękne! – zachwyciła się Ruby, rozpościerając złożony materiał, by go obejrzeć. – Co za cudo! Ale co się stało z tamtym rogiem, skąd ta przerwa?

– Skończył mi się materiał.

– Straszna szkoda. – Namysliła się przez chwilę. – Wiesz co, mam śliczną tkaninę, idealnie nada się na wykończenie. Możesz ją tam wstawić.

– Dziękuję. – Dina już wcześniej powzięła decyzję, że nie zostało nic do dodania.

•

Nocą w łóżku przykrywała się kapą i przypominała sobie bogactwo przeżyć tkwiących w mocno żytej rodzinie łat, we fragmentach, które połączyła kiedyś za pomocą igły, nici i tkliwości. Ilekroć pamięć ją zawodziła, kapa wskazywała jej dalszą drogę. Przez otwarte okno wpadało światło latarni, w sam raz jasne, by odsłonić pstrokatą materię. Jej opowieść do poduszki.

Pewnego razu, po północy, Nusswan i Ruby zapukali do drzwi jej sypialni i bez zaproszenia weszli do środka, gdy akurat była w środku swej gawędy.

– Dino? Potrzeba ci czegoś?

– Nie.

– Dobrze się czujesz?

– Oczywiście.

– Posłyszeliśmy głosy – wyjaśniła Ruby. – Sądziliśmy, że mówisz przez sen, że męczy cię koszmar albo coś takiego.

Wtedy Dina zrozumiała, że z milczącej recytacji przeszła niepostrzeżenie w głośną lekturę.

– Modliłam się tylko. Przepraszam za hałasy.

– Nic się nie stało – powiedział Nusswan. – Ale nijak nie poznałem tej modlitwy. Lepiej pójdz na korepetycje do następcy dastura Dab-Ćhaba do świątyni ognia. – Małżonkowie zaśmiali się z jego dowcipu i wrócili do łóżka.

– Pamiętasz, co się z nią działo po śmierci Rustoma? – szepnął Nusswan do Ruby. – Jak prawie każdej nocy wołała go przez sen?

– Tak, ale to było dawno temu. Dlaczego miałyby się tym ciągle przejmować?

– Może nigdy się po tym nie pozbierała.

– Tak. Może z niektórych rzeczy człowiek się nigdy nie podnosi.

Tymczasem w sypialni Dina zwinęła kape. Narzuta przemieniła jej milczenie w nieproszone słowa; należało ją więc zamknąć w szafie, pod kluczem. Dziwne

czary, które wyczyniała z jej umysłem, budziły w Dinie strach; bała się, dokąd wiedzie ją patchworkowa ścieżka. Tamtej granicy nie chciała przekroczyć na stałe.

•

Nusswan dał sobie spokój z zaczepianiem Diny, przestało go to bawić, odkąd mu się nie odcinała. Bywało, że siadał w swym pokoju, wspominał krnąbrną, upartą siostrę i żałował, że już jej nie ma. Cóż, wzdychał sam do siebie, tak postępuje życie z tymi, którzy nie chcą przyjmować jego nauk: spuszcza im cięgi i łamie w nich ducha. Ale przynajmniej miała już za sobą dni niekończącej się harówki. Odtąd jej własna rodzina będzie o nią dbać i ją utrzymywać.

Niedługo potem służąca, która przychodziła rano, by zmiatać, zmywać podłogę i ścierać kurze, została zwolniona.

– Przeklęta baba chciała więcej pieniędzy – poinformował Nusswan tytułem wyjaśnienia. – Mówiła, że w domu jest jedna osoba więcej, że to więcej pracy dla jej miotły i ścierki. Też wymówki wynajduje to tałatajstwo.

Dina pojęła aluzję i przejęła prace domowe. Absorbowała wszystko niczym nasiąkliwa gąbka. Potem w samotności wyzymała z siebie wszystko i znów gotowa była chłonać dalej.

Ruby większość dnia spędzała teraz poza domem. Przed wyjściem zawsze dopytywała jednak, czy może pomóc. Dina zachęcała ją, by pędziła; wołała zostawać sama.

– To dzięki Dinie mogę wreszcie korzystać z przynależności do Willingdon Club^[220] – powiedziała Nusswanowi pewnego wieczoru. – Wcześniej opłaty członkowskie szły na zmarnowanie.

– Dina jest jedna na milion – zgodził się Nusswan. – Zawsze to mówiłem. Fakt, mieliśmy wiele utarczek i sprzeczek, prawda, Dino? Zwłaszcza o małżeństwo. Ale zawsze podziwiałem twoją siłę i wytrwałość. Nigdy nie zapomnę, jaka byłaś dzielna, kiedy biedny Rustom zmarł w waszą trzecią rocznicę ślubu.

– Nusswan! Musisz nam o tym przypominać przy kolacji i robić przykrość biednej Dinie?

– Przepraszam, bardzo przepraszam. – Posłusznie zmienił temat na stan wyjątkowy. – Sęk w tym, że to już spowszedniało. Ten początkowy strach, który dyscyplinował ludzi, sprawiał, że byli punktualni i pracowici – ten strach zniknął. Rząd powinien zrobić coś, żeby dać programowi zastrzyk świeżej energii.

Temat małżeństwa nie pojawił się więcej podczas ich rozmów przy kolacji. W wieku lat czterdziestu trzech kwestia była zamknięta, a towar nie nadawał się na półkę, zwierzył się Nusswan Ruby.

•

W niedzielne wieczory grywali w karty.

– Zapraszam wszystkich – wzywał je Nusswan punktualnie o siedemnastej. – Pora na karty.

Z prawdziwym nabożeństwem przestrzegał tych posiedzeń, które obdarzały tchnieniem realności jego fantazje o żywej rodzinie. Czasami, kiedy ktoś znajomy mógł pełnić funkcję czwartego, grali w brydża. Częściej jednakże było ich tylko troje, a wówczas godzinami Nusswan wodził rej przez kolejne partie remika, z upartym entuzjazmem uganiając się za szczęściem rodzinnym.

– Czy wiedziałyście, że gra w karty pochodzi z Indii? – zapytał.

– Naprawdę? – zdumiała się Ruby. Podobne nowinki podawane przez Nusswana zawsze wywierały na niej ogromne wrażenie.

– Och tak, podobnie jak szachy. Istnieje wręcz teoria, że gra w karty wywodzi się z szachów. I obie przedostały się do Europy dopiero w trzynastym wieku, przez Bliski Wschód.

– Kto by pomyślał – nie mogła się nadziwić Ruby.

Nusswan przełożył karty w ręce, wyłożył jedną koszulką do góry i obwieścił: Remi!

Po zaprezentowaniu wszystkich swoich sekwensów, wziął się do analizowania błędów, które popełnili inni.

– Nie powinnaś była wyrzucać tego waleta kierowego – pouczył Dinę. – Dlatego przegrałaś.

– Zaryzykowałam.

Nusswan zebrał karty i zaczął tasować.

– Dobra, kto teraz rozdaje?

– Ja – odpowiedziała Dina i przyjęła talię.

[210] Underwood – amerykańska firma produkująca maszyny do pisania.

[211] B.A. – Bachelor of Arts, tytuł zawodowy będący z grubsza odpowiednikiem polskiego tytułu licencjata. Por. przypis ze s. 253.

[212] Lord of the Last Bench – Władca Ostatniej Ławki.

[213] Lord of the Broken Bench – Władca Złamanej Ławki.

[214] Clarence Darrow (1857–1938) – słynny amerykański adwokat. Jedną z najbardziej znanych spraw sądowych z jego udziałem był tzw. małpi proces (ang. Scopes Monkey Trial) w 1925 roku w stanie Tennessee, w którym Darrow bronił nauczyciela Johna T. Scopesa, oskarżonego o zapoznawanie uczniów z teorią ewolucji (w szkołach publicznych było to wówczas zakazane).

[215] *Gunda Radż* – Królestwo Zbirów.

[216] Vasantao Valmik nawiązuje do jednego z najsłynniejszych wierszy Yeatsa, *Drugie przyjście* (ang. *The Second Coming*), rozpoczynającego się od słów: „Kołując coraz to szerszą spiralą;/Sokół przestaje słyszeć sokolnika;/Wszystko w rozpadzie, w odśrodkowym wirze;/Czysta anarchia szaleje nad światem” (przeł. Stanisław Barańczak).

[217] Wyścig z cytryną na łyżce – popularna w Indiach zabawa, w Polsce szerzej znany jest wariant z jajkiem zamiast cytryny.

[218] W słowach sierżanta Kesara słysząc ślad odzywki inspektora Harry’ego Callahana, który w otwierającej scenie filmu *Nagle zderzenie*, celując do przestępcy przykładającego broń do głowy zakładniczki, rzuca mu wyzwanie: *Go ahead, make my day* („No dalej, zrób mi przyjemność”). Rozmowa sierżanta Kesara z Diną ma miejsce w 1976 roku, a *Nagle zderzenie* powstanie dopiero w 1983. Jak widać, funkcjonariusz bombajskiej policji antycypuje kultowy tekst Brudnego Harry’ego.

[219] *Dżaripurawala* – handlarz starzyzną.

[220] Royal Willingdon Sports Club – ekskluzywny bombajski klub rekreacyjno-sportowy, założony w czasach kolonialnych.

1984: EPILOG

Był ranek, kiedy samolot wiozący Manecka z Zatoki Perskiej do domu wylądował w stolicy po opóźnionym starcie. Maneck próbował spać podczas lotu, lecz film puszczone w klasie ekonomicznej irytującym migotaniem nieprzerwanie molestował jego powieki jak uszkodzona świetlówka. Teraz stał z zapuchniętymi oczami w kolejce do kontroli celnej.

Trwała rozbudowa lotniska i pasażerów upchnięto do tymczasowej hali z blachy falistej. Kiedy osiem lat wcześniej wyjeżdżał do Dubaju, prace właśnie się zaczynały, przypomniał sobie. Podmuchy gorącego powietrza odbijały się od skąpanego w słońcu lśniącego metalu i omiały tłum. W powietrzu unosiła się woń potu, dymu papierosowego, zwietrzałych perfum i środka do dezynfekcji. Ludzie wachlowali się paszportami i formularzami celnymi. Ktoś zemdlał. Dwóch gońców usiłowało reanimować mężczyznę poprzez ułożenie go w polu działania wentylatora należącego do celnika. Posłano po wodę.

Wznowiono przerwana kontrolę bagaży. Pasażer stojący za Maneckiem gderał na opieszałość. Maneck wzruszył ramionami:

– Może dostali cynk, że jakiś duży szmugler przylatuje dziś z Dubaju.

– Nie, tak jest cały czas – odparł tamten. – Przy wszystkich lotach z Bliskiego Wschodu. Szukają biżuterii, sztabek złota, elektroniki. – Wyjaśnił, że celnicy stali się bardziej gorliwi, odkąd rząd ogłosił niedawno nową dyrektywę, wprowadzającą specjalne premie: procent od dóbr skonfiskowanych przez każdego funkcjonariusza. – No i teraz męczą nas jeszcze bardziej.

– Tak starannie poskładałam moje sari, a teraz się wszystkie pogniotą – poskarżyła się żona mężczyzny.

Celnik przeszukujący rzeczy Manecka wsunął palce pod ubrania i badał wnętrze walizki. Maneck zastanawiał się, czy ukarano by kogoś, kto zastawiłby w swoim bagażu pułapkę na myszy. Po dłuższym macaniu celnik cofnął ręce i z urazą pozwolił mu iść dalej.

Maneck zatrzasnął walizkę, pognął na zewnątrz, do taksówki, i poprosił, by zawieźć go na dworzec. Kierowca nie chciał jechać.

– To w samym środku zamieszek. Za duże niebezpieczeństwo.

– Jakich zamieszek?

– To pan nie wiesz? Biją ludzi, zarzynają i palą żywcem.

Zamiast się z nim spierać, Maneck spróbował gdzie indziej. Jednak każdy

taksówkarz, do którego podchodził, odmawiał i udzielał tego samego ostrzeżenia. Niektórzy radzili, by zatrzymał się w hotelu opodal lotniska i odczekał, aż nastanie spokój.

W desperacji Maneck postanowił zaproponować następnemu coś ekstra.

– Dostanie pan dwa razy tyle, co na liczniku, zgoda? Muszę dotrzeć do domu, mój ojciec zmarł. Jak nie zdążę na pociąg, spóźnię się na pogrzeb.

– Ja nie o licznik się martwię, sahibie. Pańskie życie i moje życie są o wiele cenniejsze. Ale proszę wsiadać, zrobię, co w mojej mocy. – Wyciągnął rękę w stronę licznika i z trzaskiem przekręcił wskaźnik z napisem WOLNY.

Taksówka wyplątała się z rojowiska pojazdów, które tamowało uliczki koło lotniska i po chwili byli na autostradzie. W chwilach, gdy nie patrzył na drogę, kierowca obserwował pasażera we wstecznym lusterku. Maneck czuł na sobie jego oczy.

– Powinien pan pomyśleć o zgoleniu brody, sahibie – odezwał się szofer. – Mogą pana wziąć za sikha^[221].

Maneck był bardzo dumny ze swojej brody. A niech go uznają za sikha – i co z tego? Zaczął ją zapuszczać przed dwoma laty i pieczołowitą pielęgnacją doprowadził do aktualnego stanu.

– Jak mogą mnie wziąć za sikha? Nie mam turbanu.

– Wielu sikhów nie nosi turbanu, sahibie. Myślę, że dużo bezpieczniej byłoby, jakby się pan gładko ogolił.

– Bezpieczniej? W jakim sensie?

– Znaczy się, że pan nie wie? To sikhów mordują w tych zamieszkach. Od trzech dni palą sklepy i domy sikhów, siekają sikhijskich chłopców i mężczyzn. A policja lata tam i z powrotem i udaje, że pilnuje sikhijskich osiedli.

Na widok nadjeżdżającego z tyłu konwoju wojskowych ciężarówek, zjechał na lewy skraj jezdni. Przekrzykując łoskot samochodów, zwrócił się przez ramię do Manecka:

– To Siły Ochrony Pogranicza! W gazecie pisali, że ich mają dzisiaj przysłać!

Konwój przejechał i kierowca znów mówił normalnym głosem.

– SOP, nasi najlepsi żołnierze. Pierwsza linia obrony w razie nieprzyjacielskiej inwazji. A teraz muszą strzec granic przebiegających przez nasze miasta. Co za hańba dla całego kraju.

– Ale dlaczego tylko sikhowie?

– Słucham, sahibie?

– Powiedział pan, że atakują tylko sikhów.

Kierowca z niedowierzaniem wlepił wzrok w lusterko. Czyżby pasażer udawał niewiedzę? Uznał, że pytanie naprawdę zadano w dobrej wierze.

– To się zaczęło, kiedy trzy dni temu zabito panią premier^[222]. Została

zastrzelona przez swoich sikhijskich ochroniarzy. Więc to niby ma być zemsta.

Obrócił się i bezpośrednio popatrzył na Manecka.

– Gdzie pan był, sahibie? Nic pan nie słyszał, co się stało?

– Wiedziałem o zabójstwie, ale nie o zamieszkach. – Maneck studiował rozłazącą się winylową tapicerkę na fotelu przed sobą i wyświechtany kołnierzyk kierowcy widoczny znad oparcia. Na karku mężczyzny lśniły niewielkie krosty, niegotowe jeszcze by pęknąć. – Byłem bardzo zajęty, starałem się wrócić na czas na pogrzeb ojca.

– Tak – powiedział kierowca współczująco. – To musi być dla pana bardzo trudne. – Odbił kierownicą, by wyminąć psa na jezdni, żółtego kundla, wychudzonego i parchatego.

Maneck zerknął przez tylną szybę, by zobaczyć, czy zwierzę wydostało się bezpiecznie na chodnik. Jadąca za nimi ciężarówka rozjechała je na miazgę.

– Kłopot w tym, że od ośmiu lat nie byłem w kraju – wyjaśnił tytułem dalszych usprawiedliwień.

– To bardzo długo, sahibie. Czyli że wyjechał pan przed końcem stanu wyjątkowego, przed wyborami. Oczywiście dla zwykłych ludzi nic się nie zmieniło. Rząd dalej niszczy domy ubogich i dźhopadpatti. W wioskach mówią, że wykopią studnię dopiero, jak będzie tyle a tyle sterylizacji. Rolnikom obiecują nawóz, pod warunkiem, że sobie zrobią nasbandi. Każdy dzień to spotkanie z takim czy innym stanem wyjątkowym. – Zatrąbił ostrzegawczo na kogoś, kto włókł się poboczem. – O ataku na Złotą Świątynię^[223] pan słyszał, prawda?

– Tak. Takie sprawy trudno przeoczyć – powiedział Maneck. Facetowi się wydaje, że wróciłem z księżycą? – pomyślał. W ciszy, która zapadła, spostrzegł, że tak naprawdę wiedział bardzo niewiele o tym, co działo się przez lata jego nieobecności. Zastanawiał się, jakie inne tragedie lub farsy rozegrały się w kraju, kiedy on nadzorował chłodzenie gorącego pustynnego powietrza.

Zachęcił kierowcę, by mówił dalej:

– Co pan sądzi na temat Złotej Świątyni?

Taksówkarz był zadowolony, że się go pyta. Na przedmieściach stolicy zjechał z autostrady. Minęli wypalony wrak jakiegoś pojazdu, wywrócony kołami do góry.

– Będę musiał pojechać na dworzec okrężną drogą, sahibie. Niektórych ulic lepiej unikać. – Potem powrócił do pytania Manecka. – Premier powiedziała, że terroryści sikhijscy ukrywają się w Złotej Świątyni. Wojsko weszło tam ledwie parę miesięcy temu. Ale tutaj jest ważne, żeby postawić sobie pytanie, jak ten problem się zaczął wiele lat temu, tak czy nie?

– Tak. I jak się zaczął?

– Tak samo jak wszystkie jej problemy. Od jej podłych machinacji. Tak samo

jak na Sri Lance, w Kaszmirze, Asamie i Tamilnadu. W Pendżabie wspierała jedną grupę, która psuła szyki rządowi stanowemu. Potem ta grupa urosła w siłę, zaczęła walczyć o separację i Khalistan^[224], i psuła szyki pani premier. Premier dała błogosławieństwo karabinom i bombom, a te nikczemne, okrutne narzędzia obróciły się przeciw jej własnemu rządowi. Jak to się mówi po angielsku, kto sieje wiatr, temu się wszystko burzy?

– Ten burzę zbiera – szepnął Maneck.

– No, właśnie – powiedział kierowca. – A potem jeszcze bardziej pogorszyła sytuację, jak kazała armii zaatakować Złotą Świątynię i pojmać terrorystów. Wparowali tam do środka z czołgami i wielkimi karabinami jak jacyś bandyci. Sanktuarium okropnie zniszczone. Dla sikhów to najświętsze miejsce na ziemi, poczuli się bardzo zranieni.

Manecka chwyciło za serce to wzruszająco oględne sformułowanie.

– Stworzyła potwora – ciągnął taksówkarz – i potwór ją pożarł. A teraz pożera niewinnych. Od trzech dni trwa ta straszliwa rzeź. – Jego palce zacisnęły się na kierownicy, głos mu drżał. – Oblewają sikhów naftą i podpalają. Łapią mężczyzn i wrywają im brody albo odrąbują mieczami, a potem ich mordują. Całe rodziny żywcem w domach popalone.

Przesunął dłonią po ustach, odetchnął głęboko i dalej opisywał masakry, których był świadkiem.

– I to wszystko, sahibie, w stolicy naszego narodu. Policja odstawia swój teatrzyk, wstydu nie mają, a politycy mówią, że lud się zdenerwował i chce pomścić śmierć przywódczyni, i cóż począć. Tyle im powiem, psom śmierdzącym – tfu! – splunął przez okno.

– Ale myślałem, że ludzie nie przepadali za panią premier. To dlaczego tak się denerwują?

– To prawda, sahibie, zwykli ludzie jej nie lubili, chociaż łąziła wszędzie w białym sari jak jakaś dewi^[225]. Ale założmy, że ją kochano – myśli pan, że zwykli ludzie by się tak zachowywali? Are, to robota gangów opłacanych przez jej partię. Niektórzy ministrowie nawet pomagają tym bandytom. Dają im listy sikhijskich domów i sklepów. Jak inaczej mordercy mogliby działać tak skutecznie w takim wielkim mieście?

Jechali teraz ulicami, gdzie wzdłuż jezdni ciągnęły się dymiące ruiny i sterty gruzu. Kobiety i dzieci siedziały pośród zgliszczy, otumanione i zapłakane. Twarz kierowcy skrzywiła się, Maneck pomyślał, że to strach.

– Niech się pan nie martwi – powiedział. – Nie będziemy mieć problemów przez moją brodę. Jeśli nas zatrzymają, od razu zobaczą, że jestem parsem, pokażę im sudrę^[226] i kości^[227], które mam na sobie.

– Tak, ale mogą chcieć oglądać moją licencję.

– No i?

– Nie domyślił się pan? Jestem sikhem – dwa dni temu obciąłem włosy i zgolilem brodę. Ale nadal noszę karę^[228]. – Uniósł rękę, pokazując żelazną bransoletę wokół nadgarstka.

Maneck uważnie wpatrzył się w twarz kierowcy i raptem dowody stały się oczywiste: skóra tamtego, nienawykła do brzytwy, nosiła tu i ówdzie ślady zacięć. Nagle opisane przezeń zajścia – okaleczanie, pałowanie i obcinanie głów, rozliczne metody gruchotania kości, przebijania ciała i przelewania krwi praktykowane przez bandy na ulicach – nabrały posępnej realności w rankach od ostrza brzytwy. Zasznięte plamki czerwieni na podbródku i żuchwach mogłyby być rzekami krwi, tak wyraźnie odcinały się od bladej, świeżo ogolonej skóry.

Maneckowi zrobiło się niedobrze, twarz miał zimną i spoconą.

– Skurwysyny! – wydusił z siebie. – A żeby ich wyłapali wszystkich i powiesili.

– Prawdziwi mordercy nigdy nie zostaną ukarani. Dla głosów wyborczych i władzy bawią się ludzkim życiem. Dzisiaj to są sikhowie. W zeszłym roku muzułmanie, wcześniej haridżanie^[229]. Pewnego dnia sudra i kusti mogą nie wystarczyć, by pana ochronić.

Taksówka zatrzymała się pod dworcem. Maneck sprawdził licznik i wyjął z portfela podwójną kwotę, ale kierowca nie chciał wziąć więcej, niż wynosiła faktyczna opłata za kurs.

– Proszę – nalegał Maneck. – Proszę, niech pan weźmie. Wcisnął mu pieniądze, jak gdyby miały pomóc mu przetrwać czas terroru i tamten w końcu uległ. – Proszę pana. A może by pan zdjął karę i schował ją na razie?

– Nie chce zejść. – Uniósł nadgarstek i pociągnął mocno za żelazną bransoletę.

– Zamierzałem ją przeciąć, ale muszę znaleźć zaufanego lohara^[230], który nie powie nieodpowiednim ludziom.

– Niech pan da, spróbuję. – Maneck pochwycił rękę kierowcy i ją ciągnął i wykręcał karę. Nie przesunęła się za podstawę kciuka.

Kierowca uśmiechnął się.

– Mocna jak kajdanki. Jestem przykuty do mojej religii. Taki ze mnie szczęśliwy więzień.

– To niech pan chociaż nosi długi rękaw, niech ją pan zakryje, niech pan schowa nadgarstek.

– Ale czasem muszę wystawić rękę za okno, żeby zasygnalizować, że skręcam. Inaczej drogówka zatrzyma mnie za łamanie przepisów.

Maneck poddał się i puścił karę. Kierowca ujął jego dłoń w obie ręce i ścisnął mocno.

– Bezpiecznej drogi – powiedział.

•

Aban Kohlah rozplakała się, kiedy przyjechał jej syn. Jak to cudownie znów go widzieć, powiedziała, ale dlaczego nie pokazywał się przez osiem lat, złościł się o coś, myślał, że go tu nie chcą? Mówiąc to, przytulała go, klepała po policzkach, głaskała po włosach.

– Za to podoba mi się twoja broda – oświadczyła nieśmiało. – Bardzo ci z nią przystojnie. Powinieneś być przysłać nam zdjęcie, to tatko też by zobaczył. Ale mniejsza z tym, jestem pewna, że teraz widzi z góry.

Maneck słuchał w milczeniu. W ciągu jego długiego wygnania nie było dnia, by nie myślał o domu i o rodzicach. W Dubaju czuł się jak w pułapce. W pułapce, pomyślał, a potrzask trzymał go równie mocno jak tę młodą kobietę, którą spotkał podczas jednego ze zleceń w domu klienta, gdy wezwano go do naprawy zamrażalnika. Przyjechała do Zatoki, żeby pracować jako pokojówka, bo pensja, którą obiecywano, była bardzo dobra.

– O co chodzi, Manecku? – dopytywała błagalnie. – Nie chcesz już mieszkać tutaj, na wzgórzach? Uważasz, że tu nudno?

– Nie, tu jest pięknie – odpowiedział, poklepując jej dłoń w roztargnieniu. Nie mógł przestać się głowić, jak potoczyły się losy tamtej pokojówki. Była przepracowana, mężczyźni z domu, gdzie pracowała, wykorzystywali ją wielokrotnie, na noc zamykano ją w sypialni, skonfiskowano jej paszport. Błagała go o pomoc, mówiąc w hindi, by jej pracodawca nie zrozumiał. Ale wywołano ją z kuchni, zanim Maneck zdążył cokolwiek powiedzieć. Krępował się interweniować i poprzestał na anonimowym telefonie do konsulatu indyjskiego.

O ileż więcej szczęścia miał on, w porównaniu do tej biednej kobiety, pomyślał. Dlaczego więc czuł się równie bezradny jak ona, nawet tutaj, w domu?

A teraz, kiedy jego matka płakała, żałował, że nie ma odpowiedzi na jej pytania. Nie umiał tego wyjaśnić ani sobie, ani jej. Na podorędziu miał jedynie frazesy, zwyczajowe wymówki: wymagająca praca i związany z nią stres, brak czasu – znów te same puste słowa, które gryzmołił w corocznym liście, który jej wysyłał.

– Nie, powiedz mi prawdę – odezwała się matka. – A zresztą nieważne, pomówimy później, jak odpoczniesz. Biedny tatko, tak bardzo za tobą tęsknił, a mimo to nigdy się nie skarżył. Ale ja wiedziałam, że to go zżera od środka.

– Czyli że teraz winisz mnie za jego raka.

– Nie! Wcale nie miałam tego na myśli! Naprawdę! – Matka ujęła jego twarz w dłonie, powtarzając zapewnienie tak długo, aż była przekonana, że jej uwierzył. – Wiesz, tatko raz mi powiedział, że dzień, w którym brygadier Grewal przekonał go, że praca w Zatoce będzie dla ciebie dobra, był najgorszym dniem w jego

życiu.

Usiedli na ganku, a ona opowiadała mu o przygotowaniach do mającego odbyć się nazajutrz pogrzebu: dasturowie przyjeżdżali z najbliższej świątyni ognia, która nadal znajdowała się w znacznej odległości. Trudno było znaleźć dwóch kapłanów skłonnych odprawić ceremonię. Dowiedziawszy się, że zmarły ma zostać skremowany, większość odmawiała, mówiąc, że ich usługi dostępne są jedynie dla zaratusztrian udających się do wież milczenia – nie miało znaczenia, że w tym celu trzeba odbyć długą podróż koleją.

– Ależ oni są ograniczeni – powiedziała pani Kohlah, potrząsając głową. – Wiadomo, że kremacja będzie dlatego, że tak sobie zażyczył tatko, ale co z ludźmi, których nie stać na transport zwłok? Czy kapłani nie odmówią dla nich modlitw?

Ceremonia nie odbędzie się pod gołym niebem, wyjaśniła. Zarezerwowano salę w elektrycznym krematorium w dolinie – tak będzie bardziej dostojnie. A tatko nie wydał w tej kwestii wyraźnych dyspozycji, więc to bez znaczenia.

Sklep stał zamknięty od jego śmierci. Zamierzała otworzyć go na nowo w przyszłym tygodniu i pracować jak zwykle.

– Planujesz zamieszkać tu z powrotem? – zapytała nieśmiało, bojąc się, że wyda się wścibska.

– Jeszcze o tym nie myślałem.

Dokoła nich gasło światło dnia. Maneck patrzył na nieruchomą jaszczurkę na kamiennej ścianie. Co jakiś czas jej zwinne ciało rzucało się naprzód niczym strzała, by pochwycić muchę.

– Dobrze ci w Dubaju? Masz ciekawą pracę?

– Jest okej.

– Opowiedz mi więcej. Pisałeś, że teraz jesteś menedżerem?

– Kierownikiem. Kieruję brygadą konserwacyjną. Centralna klimatyzacja.

Kiwnęła głową.

– A jaki jest Dubaj?

– Jest okej. – Szukał w głowie czegoś, co mógłby dodać i spostrzegł, że nie zna tamtego miasta, że nie chce go poznać. Ludzie, ich obyczaje, język – wszystko to było mu równie obce jak wówczas, gdy trafił tam osiem lat wcześniej. Jego wykorzenienie zdawało się trwać bez końca. – Sporo dużych hoteli. I setki sklepów ze złotą biżuterią, sprzętem grającym i telewizorami.

Znów kiwnęła głową.

– To na pewno piękne miejsce. – Jego smutek dręczył ją jak coś namacalnego. Poczula, że to właściwa chwila, żeby ponownie pomówić o jego powrocie do domu. – Sklep należy do ciebie, wiesz o tym. Możesz wrócić, kierować nim, unowocześnić go, co tylko ci się spodoba. Jeśli wolisz go sprzedać i mieć

pieniądze, żeby założyć coś własnego związanego z chłodnictwem albo klimatyzacją, to też jest możliwe.

Maneck posłyszał w jej głosie bojaźliwą nutę i poczuł się okropnie. Matka, która boi się rozmawiać z własnym synem – czy naprawdę budził takie oniesmielenie?

– Nie myślałem o tym wszystkim – powtórzył.

– Namyśl się spokojnie, nie ma pośpiechu. Zrobisz, jak zechcesz.

Skrzywił się, widząc jej wysiłki, by go udobruchać. Dlaczego nie powie, że jest oburzona jego postępowaniem, jego długą nieobecnością, jego nieczęstymi, powierzchownymi listami? A gdyby to powiedziała – czy on by się bronił? Czy podawałby przyczyny, usiłował wyjaśnić jak bezsensowne zdają mu się wszelkie starania? Nie. Bo wtedy znów zaczęłaby płakać, on powiedziałby jej, żeby nie była niemądra, ona chciałaby poznać szczegóły, a on odparłby, żeby zajęła się swoimi sprawami.

– Tak sobie myślałam – powiedziała pani Kohlah, przechodząc na mniej ryzykowny grunt. – Że skoro wróciłeś po tylu latach, może powinieneś skorzystać okazji i odwiedzić naszych krewnych. Cała rodzina Sodawalla wychodzi ze skóry, żeby cię zobaczyć.

– Za daleko. Nie mam czasu.

– Nawet na dwa, trzy dni? Mógłbyś też zajrzeć do tej pani, u której mieszkałeś, jak byłeś w college’u. Na pewno by się bardzo ucieszyła.

– Tyle czasu minęło, że już mnie nie pamięta, to na pewno.

– Wątpię. Gdyby nie ona, nie dokończyłbyś swojego kursu. Nie podobało ci się w akademiku, chciałeś wracać prosto do domu, pamiętasz? Swój sukces zawdzięczasz Dinie Dalal i jej gościnie.

– Tak, pamiętam. – Na słowo „sukces” poczuł zażenowanie.

Zapadł zmierzch i jaszczurka, którą obserwował wcześniej, zaczęła się stapiać z kamienną ścianą. Gdy się poruszyła, znów widać ją było wyraźnie. Lecz widocznie zaspokoila już apetyt, gdyż nie rzucała się na muchy, a jej brzuch był wyraźnie napęczniały.

– Maneck. – Zaczekała, aż odwrócił ku niej głowę. – Manecku, dlaczego jesteś tak daleko?

Zmrużył oczy, by uważnie przyjrzeć się jej twarzy – matka nie miała w zwyczaju zadawać równie niedorzecznych pytań.

– Z powodu mojej pracy w Dubaju.

– Nie o ten dystans mi chodziło, Manecku.

Zawstydził się, posłyszawszy jej odpowiedź. Matka delikatnie musnęła jego ramię.

– Pora na kolację – powiedziała i weszła do środka.

Nasłuchiwał hałasów kuchennych, które docierały na werandę, nieśmiało jak słowa matki. Garnki i naczynia, a potem nóż – furkot uderzeń o deskę do krojenia, kiedy coś siekała. Woda lejąca się do zlewu. Trzask, a potem chrobot zaskakującej zasuwki, gdy zamykała okno, by powstrzymać wieczorne zimno.

Maneck poruszył się niespokojnie na krześle. Odgłosy z kuchni, chłód o zmierzchu i mgła wznosząca się z dna doliny zainaugurowały w jego skołatanej głowie paradę wspomnień. Poranki w dzieciństwie, przebudzenie, chwile, kiedy stał przed ogromną panoramą swego okna, patrząc, jak słońce wznosi się nad ośnieżone turnie i górskie mgiełki puszczają się w taniec, gdy tymczasem mama brała się do przyrządzania śniadania, a tato szykował się, by otworzyć sklep. Potem zapach tostów i smażonych jajek sprawiał, że robił się głodny, więc wsuwał wygrzane stopy w zimne kaptcie, rozkoszując się dreszczem, który go przeszywał, szorował zęby i pędził na dół, przytulał mamę na dzień dobry i mościł się na swoim krześle. Niebawem zjawiał się tata, zacierał ręce i na stojąco pociągał potężne łyki herbaty ze swego specjalnego kubka i wpatrywał się w dolinę, a następnie siadał, by zjeść śniadanie i wypić więcej herbaty, a mama mówiła...

– Maneck, chłodno się robi na dworze. Chcesz sweter?

Wtargnięcie jej głosu wyrwało go z zadumy; myśli Manecka rozsypały się jak domek z kart.

– Nie, zaraz wejść – odkrzyknął, rozdrażniony, że mu przerwano, jak gdyby był w stanie na nowo pochwycić, poskładać i odkupić tamte szczęśliwe chwile, jeśli tylko dano by mu dość czasu.

Jaszczurka ciągle wczepiała się w kamienną ścianę, niemal niewidoczna na jej tle. Maneck postanowił, że wróci do środka, gdy zwierzę do reszty zniknie w gasnącym świetle. Nienawidził jego kształtu, barwy, ohydneho pyska. Tego, jak strzelało swoim złym językiem. Jak bezlitośnie połykało muchy. Tak jak czas połyka ludzkie starania i radość. Czas, arcymistrz nad arcymistrzami, któremu nigdy nie można dać mata. Z jego rozдутego brzucha nie ma uciezki. Poczul chęć, by zniszczyć nienawistną gadzinę.

Podniósł laskę stojącą w narożniku ganku, podkradł się bliżej i zamachnął się na jaszczurkę. Laska opadła na kamień z głuchym odgłosem. Maneck cofnął się szybko, przepatrując ziemię pod nogami, gotów w razie konieczności wymierzyć ponowny cios. Ale tam nie było nic. Spojrzał na ścianę. Nic. Zamachnął się na pustkę.

Poczul ulgę, że nie zabił jaszczurki. Zastanawiał się, w którym momencie odeszła, pozostawiając mu zwid własnej obecności. Przyjrzał się bacznie fakturze ściany. Przesunął po niej palcami, by odszukać ten punkt. Musiało tam być jakieś dziwne znamię, guzek, szczelina lub dziura, która splatała figla jego oczom.

Ale kontur zniknął. Choćby wyteżał wzrok, nie był w stanie dostrzec go

ponownie. Wyimaginowana jaszczurka uciekła równie gładko jak prawdziwa.

•

Rankiem w dzień po kremacji Maneck z matką wyruszyli z drewnianym pudełkiem, by rozsypać prochy ojca na górskich zboczach, po których kochał spacerować. Ojciec chciał, żeby rozrzuciono go wśród tego krajobrazu, najdalej i najszerzej jak było to możliwe przy użyciu sił człowieka. „*Jak musisz, to wynajmij Szerpę, żartował. Nie wyrzucaj mnie w jednym miejscu*”.

– Myślę, że tatko zmusza mnie, żebym odbyła przynajmniej jeden długi spacer w jego towarzystwie – powiedziała pani Kohlah, ocierając łzy wierzchem dłoni tak, by nie zmoczyć palców, w które nabierała popioły.

Maneck żałował, że nie towarzyszył ojcu częściej podczas jego przechadzek. Żałował, że zachwyty i zapały, jakie wykazywał będąc dzieckiem, nie przetrwały w późniejszych latach, gdy ojciec potrzebował go najbardziej. Zamiast tego zaczął wstydzić się narastającej egzaltacji ojca na punkcie strumieni, ptaków i kwiatów, zwłaszcza odkąd ludzie z miasteczka jęli mówić między sobą o dziwactwach pana Kohlah, o tym, jak poklepuje skały i głaszcze drzewa.

Powietrze tego ranka było nieruchome. Najmniejszy podmuch nie pomagał rozsypać prochów. Maneck i jego matka na przemian sięgali do pudełka i rozsiewali szary pył.

Kiedy rozrzucili połowę popiołów, Aban Kohlah poczuła ukłucie winy, poczuła, że nie wykonują swego zadania tak pieczołowicie, jak życzyłyby sobie tego jej mąż. Zaczęła zapuszczać się w trudniej dostępne miejsca, usiłując wrzucić garść prochów do ciurkającego wodospadu, obsypać nimi niedostępną kępę dzikich kwiatów, rozsiać ich co nieco wokół drzewa wyrastającego z półki skalnej.

– To było ulubione miejsce taty – powiedziała. – Często opisywał mi to drzewo, mówił jak dziwnie rośnie.

– Uważaj, mamó – ostrzegł Maneck. – Powiedz mi, gdzie chcesz, żeby sypać. Nie wychylaj się tak nad krawędzią.

Ale to by nie było to samo, pomyślała Aban Kohlah, i nie ustawała w ryzykownym gramoleniu się po stromych ścieżkach. Ostatecznie stało się to, czego obawiał się Maneck. Straciła oparcie pod stopami i osunęła się po zboczu.

Podbiegł do miejsca, gdzie stała na czworakach, rozcierając kolano.

– Oooh! – jęknęła, gdy spróbowała się podnieść i iść.

– Daj spokój – powiedział Maneck. – Zaczekaj tutaj, pójdę po pomoc.

– Nie, nie trzeba, dam radę wejść na górę. – Postawiła dwa kroki i znów opadła na ziemię.

Maneck upchnął bezpiecznie za głazem pudełko z popiołami, potem pognął do

drogi i zawołał do kogoś, kto przejeżdżał, że jego matka doznała kontuzji. W ciągu trzydziestu minut grupa przyjaciół i sąsiadów z dostojną panią Grewal na czele przybyła na pomoc.

Od śmierci męża żona brygadiera Grewala nabierała coraz to bardziej przywódczych manier. Gdziekolwiek się znalazła, odruchowo przejmowała dowodzenie. Większość jej przyjaciół akceptowała to z zadowoleniem, gdyż oznaczało mniej pracy dla nich, czy chodziło o zaplanowanie kolacji, czy przygotowania do wycieczki.

Dokonawszy oceny sytuacji, pani Grewal posłała po dwóch tragarzy, którzy obecnie pracowali jako kelnerzy w pięciogwiazdkowym hotelu. Za dawnych czasów duet ten przy użyciu fotela o przedłużonych poręczach obnosił po górskich ścieżkach i szlakach wiekowych bądź schorowanych turystów, by mogli cieszyć się krajobrazem. Gdy wybudowano nową drogę, dość szeroką, by pomieścić autokary dla zwiedzających, tragarze stracili pracę.

Teraz jednak z radością wyciągnęli z lamusa palki^[231] dla pani Kohlah. Maneck spytał, czy dadzą radę przenieść ją bezpiecznie, gdyż być może przez lata pracy w hotelu, wpływającej im na bezszelestnym krążeniu między kuchnią a salą jadalną, zatracili dawną pewność kroku.

– Proszę się nie obawiać, sahibie – zapewnili go. – Ta praca była tradycją w naszej rodzinie, mamy ją we krwi. – Widać było, że okazja do skorzystania z dawnych umiejętności, jakkolwiek krótka, wprawiała ich w euforię.

– Manecku, zostaniesz i rozsypiesz do końca? – spytała pani Kohlah, gdy pomagano jej usadowić się na palki.

– Tak, zostanie – zdecydowała za nich pani Grewal. – Maneck, skończysz z popiołami i nas dogonisz. Mama jest ze mną bezpieczna.

Skinęła na tragarzy; unieśli palki na ramiona i ruszyli truchtem w doskonałej harmonii, a ich nogi i ręce poruszały się niczym tryby dobrze naoliwionej maszyny, odnajdując płynny rytm na wyboistej ścieżce tak, by oszczędzić pasażerze niepotrzebnych wstrząsów. Maneckowi przypomniał się parowóz, który kiedyś ojciec pokazał mu z bardzo bliska... Na stacji tatko unosi go w ramionach, maszynista daje sygnał gwizdawką... wały, korby i tłoki idą w ruch z potężną, szczęśliwą symetrią...

– Och, gdyby Farokh to widział – powiedziała pani Kohlah, śmiejąc się i płacząc. – Jego żona wraca do domu na palki po tym, jak rozsypała jego prochy. Ależ by się uśmieł z mojej stylowej niezdarności.

Maneck popatrzył, jak tragarze znikają za zakrętem, po czym wydobyl pudełko schowane pod głazem. Zaczął znowu rozsypywać popiół. Wiatr wzmagal się stopniowo. Powolne chmury, dotąd dryfujące ospale, puściły się w chaotyczne wyścigi po niebie, a ich cienie złowieszczo padały w dół na dolinę. Maneck

pozwalają, by popioły skapywały z jego palców w objęcia wiatru. Wyskrobał pudełko, obrócił je spodem do góry i postukał w denko. Ostatnie drobiny odleciały, by odkrywać rozległe przestrzenie.

•

Pani Grewal zamaszystym krokiem deptała tragarzom po piętach, od czasu do czasu wykrzykując instrukcje.

– Ostrożnie, ta gałąź jest bardzo niska. Żeby pani Kohlah się nie uderzyła w głowę.

– Proszę się nie obawiać, memsahib – wysapali. – Nie zapomnieliśmy naszego fachu.

– Hm – odrzekła pani Grewal bez przekonania. – Uwaga teraz na ten duży kamień, nie potknijcie się.

Tym razem to pani Kohlah udzieliła jej zapewnień w imieniu tragarzy.

– Nie martw się, to eksperci. Jest mi bardzo wygodnie.

Przyjaciele i sąsiedzi, którzy szli za nimi, nagrodzili dwóch palkiwali^[232] oklaskami, kiedy skręcili z górskiej ścieżki na szosę wiodącą do miasteczka. Minęły lata, odkąd ktoś widział tutaj palki sunące ulicami. Ludzie mijani po drodze witali z zachwytem widmo z przeszłości. Wielu postanowiło się przyłączyć i zasililo szeregi spontanicznego pochodu.

Co pewien czas ekipa fotelowa musiała przystanąć na poboczu, by przepuścić ciężarówkę lub autobus. Po piątym takim przystanku pani Grewal obruszyła się.

– Starczy już tych bzdur – powiedziała. – Chodźcie wszyscy na drogę, na sam środek. Nikomu nie ustąpimy. Nie dziś. Pani Kohlah ma pierwszeństwo, to dla niej wyjątkowy dzień. Samochody mogą zaczekać.

Wszyscy przyznali rację pani Grewal i przez trzydzieści pięć wspaniałych minut kroczyli w stronę miasteczka nieugiętą procesją, a za nimi ciągnął się sznur zniecierpliwionych pojazdów, których kierowcy trąbili klaksonami i krzyczeli. Przez większość czasu pani Grewal ignorowała ich, twarzą postanowiwszy nie zaszczycać tej taniej kakofonii żadną ripostą. Sporadycznie jednak oburzenie skłaniało ją, by przystanąć i odkrzyknąć.

– Odrobinę szacunku! Ta kobieta jest wdową!

Mniej więcej po godzinie ekipa ratunkowa dotarła bezpiecznie do domu, a panią Kohlah usadzono w głębokim fotelu i przyłożono jej do kolana worek z lodem. Pani Grewal siedziała naprzeciw niej na krześle z prostym oparciem, wyprostowana jak wartownik. Nie zgodziła się wyjść z innymi i oświadczyła stanowczo:

– Nie możesz zostawać całkiem sama w dzień po pogrzebie.

Panią Kohlah bawiło nieco jej zachowanie i była jej wdzięczna za towarzystwo.

Snuły wspomnienia o sklepie, o dawnych dniach dobrobytu, o herbatkach i kolacjach, o czasach garnizonu. Jak cudowne było niegdyś życie, jak rześkie i czyste powietrze – gdy tylko człowiek źle się czuł lub był zmęczony, wystarczyło wyjść na dwór, odetchnąć głęboko i natychmiast następowała poprawa, bez potrzeby zażywania lekarstw czy witamin w pigułkach.

– Dziś atmosfera jest całkiem inna – rzekła pani Grewal.

W tej właśnie chwili do środka wszedł Maneck i zapadła niezręczna cisza. Zastanawiał się, o czym rozmawiały.

– Bardzo szybko wróciłeś – zauważyła pani Grewal. – Młodzi ludzie, silne nogi. Poradziłeś sobie z popiołami?

– Tak, dziękuję.

– Jesteś pewien, że zrobiłeś to jak należy, Manecku? – indagowała matka.

– Tak.

Znów na chwilę zapadła cisza.

– A co żeś tam robił w Dubaju – zapytała pani Grewal – poza tym, że zapuściłeś brodę?

Uśmiechnął się w odpowiedzi.

– Bardzo tajemniczy jesteś. Mam nadzieję, że zarobiłeś mnóstwo pieniędzy.

Uśmiechnął się znów. Pani Grewal wyszła po kilku minutach, mówiąc, że teraz już nie jest potrzebna.

– Teraz ty możesz zająć się matką – dodała wymownie.

Maneck sprawdził worek z lodem, po czym zaproponował, że zrobi kanapki z serem na lunch.

– Mój syn przyjeżdża z wizytą po ośmiu latach, a ja nawet nie mogę przygotować mu jedzenia – biadała matka.

– Co za różnica, kto robi kanapki?

Wyczuła ostrzeżenie w jego głosie, wycofała się, potem znowu podjęła próbę.

– Manecku, proszę, nie złość się. Nie powiesz mi, dlaczego jesteś taki nieszczęśliwy?

– Nie ma nic do opowiadania.

– Obojgu nam smutno z powodu śmierci taty. Ale to nie może być jedyny powód. Czekaliśmy na to, odkąd zdiagnozowano u niego raka okrężnicy. W twoim smutku jest coś innego, czuję to.

Wyczekiwała, patrząc, jak kroi chleb, ale jego twarz pozostawała nieruchoma.

– To dlatego, że nie przyjechałeś, kiedy ciągle żył? Nie powinieneś się obwiniać. Tatko rozumiał, że trudno ci przyjechać.

Maneck odłożył nóż do chleba i obrócił się.

– Naprawdę chcesz wiedzieć dlaczego?

Ponownie wziął nóż do ręki i kroił starannie, mówiąc opanowanym głosem.

– Odesłaliście mnie, ty i tatko. I potem nie mogłem wrócić. Straciliście mnie, a ja straciłem – wszystko.

Pokuśtykała do niego i wzięła go za ramię.

– Manecku, popatrz na mnie! – powiedziała płacząco. – To nieprawda, co myślisz. Dla mnie i dla taty jesteś wszystkim! Wszystko, co zrobiliśmy, zrobiliśmy dla ciebie! Proszę, uwierz mi!

Delikatnie wysunął ramię z jej uchwytu i dalej przygotowywał kanapki.

– Jak możesz mówić coś tak krzywdzącego, a potem się nie odzywać? Zawsze narzekałeś, że tatko lubi teatralne efekty, a teraz sam robisz dokładnie to samo.

Maneck odmówił dalszej dyskusji. Krążyła za nim po kuchni, utykając i zaklinając go.

– Jaki jest sens, żebym robił te kanapki, skoro będziesz ciągle chodzić? – spytał z rozdrażnieniem.

Usiadła potulnie i nie wstawała, aż skończył i lunch trafił na stół. Gdy jedli, zerkła na jego twarz, ilekroć była pewna, że nie patrzy. Niebo pociemniało na dobre. Maneck pozmywał talerze i odstawił je na suszarkę. Łoskot pioruna przetoczył się nad doliną.

– Mieliśmy szczęście dzisiaj rano – powiedziała, gdy zaczęło mżyć. – Idę teraz odpocząć. Zamkniesz okna, jeśli będzie lało?

Kiwnął głową i pomógł jej wejść na schody. Uśmiechnęła się przez ból, z przyjemnością wspierając się na ramieniu syna, dumna z tego, jakie było silne i twarde.

Odprowadziwszy matkę do łóżka, Maneck zszedł z powrotem na dół i stanął w oknie, by oglądać pokaz błyskawic, by napawać się hukiem piorunów. W Dubaju brakowało mu deszczu. Dolina nikła pod kocem z mgły. Długimi krokami przemierzał gorączkowo dom, potem przeszedł do sklepu.

Obejrzał półki, smakując nazwy marek na słoikach i pudełkach, których nie widział od lat. Ale jaki mały, jaki zapuszczony jest ten sklep, pomyślał. Ten sklep, który niegdyś stanowił centrum jego świata. A teraz tak bardzo się od niego oddalił. Tak bardzo, że powrót wydawał się niemożliwy. Zastanawiał się, co też trzyma go w oddaleniu. Nie czysty i lśniący Dubaj, to na pewno.

Zszedł do piwnicy, gdzie spała maszyneria do butelkowania. Pajęczyny przejęły władzę, zakrywając zwyciężoną aparaturę. W ostatnich latach popyt na Kohlah Colę niemal całkiem się skończył, pisali mu rodzice – dziennie schodziło ledwie pół tuzina butelek dla lojalnych przyjaciół i sąsiadów.

Krążył wśród pustych butelek i drewnianych skrzynek. W rogu piwnicy leżała sterta pleśniejących gazet, częściowo zasłonięta workami. Poglądził szorstką jute, czując wyrazistą fakturę włókna, wciągając w nozdrza ekstrawagancką, zieloną woń drewna i ziemi. Daty na gazetach sięgały dziesięciu lat wstecz i były

rozrzucone nieregularnie po całej dekadzie. Dziwne, pomyślał, przecież tatko zużywał je na bieżąco w sklepie do pakowania towarów lub wyścielania pakunków. Te najwidoczniej przeoczono.

Postanowił zanieść je na górę i przejrzeć. Czytanie starych gazet wydawało się odpowiednim zajęciem na to ponure, deszczowe popołudnie.

Usadowił się na krześle obok okna i rozpostarł poźółkłe, zakurzone szpalty pierwszego numeru z brzegu. Pochodził on z okresu po wyborach, które odbyły się po zniesieniu stanu wyjątkowego i w których pani premier przegrała z opozycyjną koalicją. Pisano o nadużyciach stanu wyjątkowego, przytaczano świadectwa ofiar tortur, oburzano się na niezliczone zgony na posterunkach policji. Artykuły wstępne, zakneblowane w okresie jej reżimu, wzywały do powołania specjalnej komisji, mającej zbadać przestępstwa i ukarać winną.

Przeszedł do kolejnej gazety, zniecierpliwiony monotonią relacji. Rozterki nowego rządu, co począć z była panią premier, również nie stanowiły pobudzającej lektury, z wyjątkiem jednego artykułu, gdzie cytowano słowa któregoś z ministrów: „Musi zostać ukarana, to straszliwa kobieta, nikczemna jak Kleopatra”. Jediną jednogłośnie decyzją sparaliżowanego rządu było wyrzucenie z kraju Coca-Coli za odmowę odstąpienia tajnej receptury i pakietu większościowego; przy odrobinie gimnastyki akcja ta odpowiadała ideologiom wszystkich partii należących do koalicyjnej mieszaniny.

Parę numerów dalej koalicja wyparowała wśród niekończących się utarczek. Nadchodziły nowe wybory. Pani eks-premier była w pełni gotowa odrzucić przedrostek i powrócić do władzy. Artykuły wstępne powściągnęły obecnie wymierzoną w nią retorykę i obrały przymilny ton, przypominający czasy stanu wyjątkowego. Pewien pełzający pismak dopytywał: „Czy to możliwe, by pani premier stanowiła inkarnację przynajmniej niektórych bogów? Niewątpliwie posiada uśpioną moc, kundalini śakti^[233], która leżała zwinięta u podstawy jej kręgosłupa, a teraz budzi się, by wynieść ją ku transcendencji”. Intencją autora nie był sarkazm, bowiem powyższy fragment stanowił część dłuższego panegiryku.

Maneck miał dość. Zaczął przeglądać strony sportowe. Były tam fotografie z meczów krykieta i wypowiedź kapitana reprezentacji Australii o „bandzie żebraków z Trzeciego Świata, którym się wydaje, że potrafią grać w krykieta”. A potem szła radość, fajerwerki i świętowanie, kiedy banda żebraków pokonała Australię w meczu testowym.

Coraz prędzej kartkował gazety. Po jakimś czasie nawet zdjęcia wyglądały tak samo. Wykolejony pociąg, monsunowe powodzie, zapadnięty most; ministrowie dekorowani girlandami, ministrowie wygłaszający przemówienia, ministrowie odwiedzający miejsca naturalnych i cywilizacyjnych katastrof. Przerzucał strony,

co jakiś czas wyglądając przez okno na atmosferyczny spektakl – zacinający deszcz, smagane wiatrem cedry himalajskie, błyskawice.

A później coś w gazecie przyciągnęło jego uwagę. Powrócił wzrokiem, by spojrzeć znowu. Była to fotografia trzech młodych kobiet. Ubrane w ćoli i halki wisiały z zamocowanego pod sufitem wiatraka. Każda z nich miała jeden koniec sari przywiązany do haka wentylatora, drugi owinięty wokół szyi. Ich głowy były przechylone na bok. Ramiona zwisały bezwładnie, jak kończyny szmacianych lalek.

Przeczytał artykuł zamieszczony obok zdjęć. Jego oczy raz po raz powracały do sceny, która falowała obok niby potworny żywy obraz. Trzy kobiety były siostrami, miały piętnaście, siedemnaście i dziewiętnaście lat; powiesiły się, kiedy rodziców nie było w domu. Zostawiły list, w którym tłumaczyły swoją decyzję. Wiedziały, że ich ojciec jest nieszczęśliwy, gdyż nie stać go, by zapewnić im posagi. Po długich naradach i rozterkach zdecydowały się na ten krok, by oszczędzić matce i ojcu wstydu z powodu trzech niezamężnych córek. Błagały rodziców o przebaczenie czynu, który przysporzy im cierpienia; nie widziały innego wyjścia.

Oczy Manecka ponownie zatrzymały się na fotografii. Jej niezmacony bezruch budził jednocześnie niepokój, litość i gniew. Trzy siostry wyglądały na rozczarowane, pomyślał, jakby od powieszenia oczekiwały czegoś więcej, czegoś wykraczającego poza śmierć, a potem odkryły, że istnieje tylko śmierć. Uzmysłowił sobie, że podziwiał ich odwagę. Jakiej to siły ducha musiało wymagać, myślał, by odwinąć to sari otulające ciało, by zawiązać sobie pętlę wokół szyi. A może było łatwo, skoro już czyn nabrał piękna logiki i ciężaru rozwagi.

Oderwał oczy od fotografii, by przeczytać resztę artykułu. Reporter spotkał się z rodzicami; pisał, że ich życiowe cierpienia przekroczyły zwykły przydział nieszczęść – podczas stanu wyjątkowego stracili najstarszego syna w okolicznościach, które nigdy nie zostały zadowalająco wyjaśnione. Policja twierdziła, że był to wypadek kolejowy, lecz rodzice mówili o ranach, które widzieli na ciele syna w kostnicy. Zdaniem reportera obrażenia te odpowiadały obrażeniom zadany w innych, potwierdzonych wypadkach tortur: „Ponadto, zważywszy na klimat polityczny podczas stanu wyjątkowego oraz na fakt, że syn, Avinash, udzielał się w Związku Studentów, należy sądzić, iż mamy tu do czynienia z kolejnym przypadkiem zgonu na posterunku policji”.

W dalszej części artykułu pisano o parlamentarnej komisji śledczej badającej nadużycia stanu wyjątkowego, ale Maneck przestał czytać.

Avinash.

Deszcz tłukł o dach i wpadał przez okna. Maneck usiłował złożyć schludnie wyblakłą gazetę wzdłuż zagięcia, ale trzęsły mu się ręce. Gazeta załopotiała

i niechlujnie opadła mu na kolana. W pokoju było duszno. Z wysiłkiem podniósł się z krzesła. Przesiąknięta piwnicznym zapachem pleśni i zgnilizny gazeta osunęła się z szelestem na podłogę. Maneck wyszedł na ganek, łapiąc głębokie łyki obficie przesiąkniętego deszczem powietrza. Wiatr wpadł przez otwarte drzwi i rozniósł po pokoju kartki upuszczonej gazety, a zasłony siekły o szybę. Zamknął okno, przemierzył kilka razy wilgotny ganek, po czym wyszedł na deszcz; po twarzy spływały mu łzy.

Jego ubranie przemokło w ciągu paru sekund; mokre włosy oblepiły mu czoło. Okrążył dom: w dół zboczem, na tylne podwórko, wokół parteru i w górę, od drugiej strony. Przez ścianę deszczu widział stalowe liny mocujące fundamenty do klifu. Wierne liny, które trzymały od czterech pokoleń. Ale mógłby przysiąc, że dom przesunął się przez lata jego nieobecności. „*Dom ze skłonnościami samobójczymi*”, jak nazwał go Avinash. Jeszcze trochę, a potem jeszcze odrobinę – i wreszcie wyrwie kotwę, poturla się głową naprzód w dół stoku. To by pasowało. Wszystko traci oparcie, osuwa się, ginie bezpowrotnie.

Skręcił w drogę odbijającą od rynku miasteczka, prawie biegł. Nie dostrzegął ludzi, którzy gapili się na niego. Widział tylko tamtą fotografię. Trzy sari zaciśnięte wokół tych delikatnych szyj... trzy siostry Avinasha... gdy były małe lubił je karmić, gryzły go w palce dla zabawy. I biedni rodzice... Gdzie sens tego świata? Gdzie Bóg, Przeklęty Głupiec? Czy On nie ma poczucia sprawiedliwości? Czy nie umie odczytać prostego bilansu? Gdyby pracował w jakiejś firmie, już dawno by go wylali za to, do czego dopuścił... za tamtą pokojówkę, za tysiące sikhów pomordowanych w stolicy i za mojego biednego kierowcę z bransoletą, która nie chciała się zsunąć.

Maneck popatrzył na niebo. Popioły taty, rozsypane dzisiaj rano. Mokną i spływają. Myśl ta była nie do zniesienia, przecież w takim razie nie zostanie nic... i mama, zostawiona całkiem sama...

Popędził ścieżką, która szybko rozmiękała i robiła się śliska. Biegł, osuwając się i potykając, licząc, że odnajdzie miejsce, gdzie wciąż jest miło i zielono, miejsce szczęśliwości i błogostanu, gdzie jego ojciec będzie kroczyć naprzód, krzepki i pewny, obejmując ramieniem syna.

Człapiąc w błocie, pośliznął się; ratując się przed upadkiem, podparł się rękami. Teraz poczuł rozpacz, którą czuł jego ojciec, kiedy wokół niego zapadał się znajomy świat, pochlastane, brzydkie doliny, znikające lasy. Tata miał rację, pomyślał, wzgórze umierają, a ja, głupi, wierzyłem, że są wieczne i że ojcowie mogą na zawsze zachowywać młodość. Gdybym tylko z nim porozmawiał. Gdyby tylko pozwolił mi zbliżyć się do siebie.

Ale popioły – przecież leżą w zimnym, siekącym deszczu. Pobiegł tam, gdzie rankiem opróżnił drewniane pudełko. Dysząc, przystawał przy każdym

znajomym punkcie, gdzie matka zatrzymywała się na dłużej, lecz nie znajdował śladów siwego popiołu. Jego oddech mieszał się z gwałtownymi szlochami. Odgarniał liście, kopniakiem przewrócił głaz, odsunął złamaną gałąź.

Nic. Przybył zbyt późno. Potknął się i padł na kolana, palcami zarył w szlam. Deszcz lał bezlitośnie. Maneck nie był w stanie się podnieść. Zakrył twarz zabłoconymi dłońmi i płakał, płakał, płakał.

•

Jakiś pies lał przez błoto w stronę Manecka. Ten nie słyszał go wśród szumu ulewy. Pies podszedł bliżej, węsząc. Maneck drgnął i odsłonił twarz, gdy poczuł na dłoni dotyk jego pyska. Pies polizął go po policzku, Maneck go poklepał. Czy był to jeden ze stada, które tatko zwykł karmić na ganku? Na jego zadzie dostrzegł ropiejący wrzód i zastanawiał się, czy domowa maść, którą ojciec leczył bezpańskie psy, nadal stoi na półce pod ladą.

Ulewa osłabła. Podniósł się, otarł twarz mokrym rękawem i potoczył wzrokiem ponad zboczem. Pomiędzy chmurami zaczynały się pojawiać wyrwy, a spośród mgły wynurzały się fragmenty doliny.

Został w tym samym miejscu, aż deszcz ustał niemal całkowicie. Była to teraz łagodniutka mżawka, tak łagodna, że jej dotyk na skórze zdawał się lżejszy od ludzkiego oddechu. Maneck wrócił do miejsca, gdzie drzewo wyrastało z półki skalnej. Pies szedł za nim przez pewien czas. Ropień sprawiał, że kulał, infekcja prawdopodobnie sięgnęła kości. Biedne stworzenie, zostało mu parę tygodni życia, pomyślał Maneck, nie ma kto go pielęgnować i leczyć. Kogo to teraz obejdzie, gdy tatko odszedł?

Łzy znów napłynęły mu do oczu i ruszył w stronę domu. Deszcz zostawił po sobie liczne strumyki, które płynęły w dół wzgórza. Dokarmią górskie potoki i zasilał efemeryczne wodospady. Jutro wszystko będzie kipieć zielenią i świeżością. Wyobraził sobie popioły niesione lśniąca tonią, opływające najdalsze zakamarki górskich zboczy. Życzenie ojca się spełniło – rozrzucano go szeroko, z pieczołowitością niedostępną żadnemu człowiekowi: potężna i skrupulatna dłoń natury przejęła dowództwo i był teraz wszędzie, nierozzerwalnie złączony z miejscem, które kochał tak mocno.

•

Opatulona w kaszmirski szal pani Kohlah czekała na ganku, wpatrując się w drogę poniżej domu. Gdy jej syn znalazł się w polu widzenia, zaczęła machać jak oszalała. Maneck przyśpieszył kroku.

– Maneck! Gdzieś ty był? Obudziłam się i cię nie było! Lał taki deszcz, że zaczęłam się martwić. – Złapała go za ramię. – No pięknie, cały mokry! Masz

błoto na twarzy i na ubraniu! Co się stało?

– Wszystko w porządku – odpowiedział łagodnie. – Czuję się dobrze, miałem ochotę na spacer. Pośliznąłem się – dodał, żeby wyjaśnić, skąd błoto.

– Jesteś zupełnie jak tatko, takie szaleństwa wyczyniać. On też uwielbiał spacerować w deszczu. Ale chodź, przebierz się, zrobię ci herbatę i tosta. – Deszcz zmył lata. Znow był jej małym synkiem, przemoczonym i bezradnym.

– Jak twoje kolano?

– O wiele lepiej. Lód pomógł.

Poszedł na górę do swojego pokoju, umył się i przebrał w suche ubrania. Gdy wrócił na dół, herbata była gotowa. Matka posłodziła mu dwie łyżeczki, sobie jedną. Nalała Maneckowi do kubka po ojcu i zamieszała, po czym przesunęła go ku niemu.

– Pamiętasz, jak tatko wypijał pierwszy kubek, przechadzając się po kuchni?

Skinął głową.

Uśmiechnęła się.

– Właził mi pod nogi, kiedy byłam najbardziej zajęta. Ale w ostatnich kilku latach przestał to robić. Przychodził tylko i siadał sobie cicho. – Przechylając się w bok na krześle, musnęła głowę Manecka palcami. – No wspaniale, dalej ci kapie z włosów.

Wyjęła ręcznik kuchenny z bielizniarki i zaczęła je suszyć. Tarła energicznie krótkimi, szybkimi szarpnięciami, aż głowa skakała mu w przód i w tył. Już miał zaprotestować, gdy stwierdził, że to odprężające i pozwolił, by kontynuowała. Oczy mu się zamknęły. Zobaczył masażystów w mieście, osiem lat wcześniej, gdy byli z Omem na plaży, gdzie klienci zasiadali na piasku, by głowy poddać ugniataniu, nacieraniu i spłukiwaniu. Załamujące się fale w tle i miękka wieczorna bryza. I zapach jaśminu unoszący się od handlarzy sprzedających warkocze mlecznobiałych kwiatów dla kobiet, do wplecenia we włosy.

– Myślę, że jednak odwiedzę naszych krewnych. I ciocię Dinę też. – Dziarskie zabiegi matki przy jego mokrej czuprynie obdarzyły głos Manecka osobliwym vibrato.

– Śmiesznie brzmiysz, jakbyś jednocześnie próbował mówić i płukać gardło. – Roześmiała się i odłożyła ręcznik. – Bardzo się ucieszę. Kiedy pojedziesz?

– Jutro rano.

– Jutro? – Zastanawiała się, czy to wybieg, by się od niej oddalić. – A kiedy tu wrócisz?

– Myślę, że od razu stamtąd polecę do Dubaju. Tak wygodniej.

Aban Kohlah wiedziała, że jej twarz zastyga w bólu, a on zdaje się tego nie dostrzegać. Jego słowa zlewały się w jedno w jej uszach, już teraz przemierzały dystans, który miał ich rozdzielić.

– Plan mam taki – ciągnął Maneck. – Natychmiast wracam do pracy, składam wypowiedzenie i czekam aż mnie puszczą.

– Czyli zrezygnujesz? A potem?

– Postanowiłem wrócić i zamieszkać tutaj.

Zaczęła szybciej oddychać.

– To wspaniały plan – powiedziała, powściągając najlepiej jak potrafiła emocje, które nią targały. – Możesz sprzedać sklep i założyć własną firmę...

– Nie. Wracam tutaj właśnie ze względu na sklep.

– Tacie by się to spodobało.

Wstał od stołu i podszedł do okna. Koniec nie zawsze musi być zły – i on sam to sobie udowodni. Najpierw spotka się ze wszystkimi przyjaciółmi: z Omem, szczęśliwym małżonkiem, z jego żoną i już co najmniej dwojgiem lub trojgiem dzieci; jak mają na imię? Jeśli jest chłopiec, to na pewno Narayan. A Ishvar, dumny dziadek stryjeczny, uśmiecha się szeroko od swojej maszyny do szycia i uczy maluchy dyscypliny, upominając je, jeśli zapuszczą się zbyt blisko wirujących kół lub galopujących igieł. A ciocia Dina czuwa nad szyciem na eksport, które odbywa się w jej małym mieszkanku, dyryguje gospodarstwem, dzierży władzę w tętniącej życiem kuchni.

Tak, zobaczy to wszystko na własne oczy. Na świecie roi się od nieszczęść, lecz i radości jest dosyć, wystarczy tylko wiedzieć, gdzie jej szukać. Wkrótce wróci, by wziąć w swoje ręce Kohlah Colę i sklep. Trzeba przyjrzeć się linom mocującym fundamenty. Wyremontować dom. Zainstalować nową maszynę do butelkowania. Pieniądzy zaoszczędził aż nadto.

Pani Kohlah podeszła do okna i stanęła obok niego. Ręce oparł na parapecie, ściskając go mocno, aż zbieleły mu knykie. Mocne ręce, jak u jego ojca, pomyślała.

– Znowu się chmurzy – powiedział Maneck. – Nocą będzie jeszcze dużo padać.

– Tak – zgodziła się pani Kohlah. – Czyli że jutro wszystko będzie świeże i zielone. To będzie piękny dzień.

Objął matkę ramieniem i przytulił ją, jak to robił w dzieciństwie na dzień dobry, choć teraz był wieczór. Westchnęła z zadowoleniem, niemal niedosłyszalnie. Ujęła dłoń Manecka, która spoczęła na jej ramieniu, a jej uścisk był ciepły i mocny.

•

Deszcz podążał za Maneckiem w dół kraju, w dół wzgórz i przez równiny podczas całej trzydziestodwugodzinnej podróży pociągiem zmierzającym na południe. Niewiele zabrakło, żeby na niego nie zdążył; autobus odjeżdżający z rynku był opóźniony z powodu lawin błotnych. Poprzedni dzień nie wywiązał się z obietnicy słońca, zieleni i świeżości; burzy nadal dopisywało zdrowie. Kiedy

u kresu podróży wydostał się z tłumu i zgiełku hali dworcowej, ulice miasta lśniły po obfitej ulewie.

Na postoju taksówek było pusto. Czekał przy krawężniku, otoczony kałużami. Nie miał gdzie postawić walizki i przekładał ją z ręki do ręki.

Potem zauważył za sobą szczelinę między płytami chodnika. Meandrując ciemną czerwieńią po wilgotnym od deszczu trotuarze, wylewało się z niej robactwo. *Phylum Annelida*. Kilka z nich zmieniło się w miazgę pod stopami przechodniów. Dziesiątki następnych wciąż wylały na powierzchnię, połyskując na cienkiej warstwie wody, wspinając się na nieżywe okazy.

Gdy tak patrzył, czas bez wysiłku wrzucił wsteczny bieg i ruchliwy chodnik stał się łazienką cioci Diny. Był to jego pierwszy poranek w jej mieszkaniu, słyszał, jak woła przez drzwi i zastygł, patrząc na postępy wijącego się batalionu. Ależ mu później docinała ciocia Dina. Uśmiechnął się na to wspomnienie. Ze szczeliny w chodniku zniknęły już niemal wszystkie robaki, a ostatni maruderzy wlekli się do bezpiecznego rynsztoka.

Postanowił wieczór spędzić z krewnymi matki i mieć już z głowy ten obowiązek. Dzięki temu następny dzień będzie mógł całkowicie poświęcić cioci Dinie, Ishvarowi i Omowi.

Taksówka podjechała z klekotem i stanęła obok niego. Kierowca z ręką przewieszoną za okno patrzył wyczekująco – zwietrzył pasażera.

– Grand Hotel – powiedział Maneck, otwierając drzwiczki.

•

Umył się, zmienił koszulę i wyruszył, by znosić wyrazy czulego zainteresowania ze strony rodziny Sodawalla. Przez cały wieczór cierpliwie pozwalał, by nazywano go Makiem, wzdrygając się, gdy przytulali go, poklepywali i mizdrzyli się do niego. Czuł się trochę, jak gdyby był medalowym okazem na wystawie psów.

– To był taki straszny wstrząs, kiedy dowiedzieliśmy się, że twój tatko odszedł – mówili. – A wy mieszkacie tak daleko, nie mogliśmy nawet przyjechać na pogrzeb. Tak nam przykro.

– Nic się nie stało, ja rozumiem. – Przypomniało mu się, co tatko mówił o krewnych z rodziny Sodawalla – nudni jak zwietrzała oranżada, ani śladu bąbelków, gotowi kiedyś zanudzić się na śmierć. A koniec końców w ostatnich latach tatko też nie tryskał werwą.

Maneck nagle poczuł, że ten dom go przytłacza, że wizyta go wykańcza. Pomyślał, że zemdleje, jeżeli spędzi jeszcze chwilę w towarzystwie krewnych. Podniósł się i wyciągnął dłoń na pożegnanie.

– Miło było was znowu zobaczyć.

– Nie idź jeszcze, zostań u nas na noc – nalegali. – Będzie tak miło. Rano zjemy omlet i przyrządzimy patia^[234] ze świeżych krewetek.

Odmówił stanowczo.

– Wieczorem idę na kolację służbową. Rano też jestem umówiony na jakieś śniadanie biznesowe. Muszę wracać do hotelu.

Przyjęli to ze zrozumieniem, a myśl o śniadaniach biznesowych wzbudziła w nich stosowny podziw. Pożegnali go błogosławieństwami, życzeniami pomyślności i zaleceniami, by wkrótce znowu wpadł z wizytą.

– Nie każ nam znowu wyczekiwać tyle lat – powiedzieli.

W powrotnej drodze do hotelu Maneck zahaczył o biuro linii lotniczych. Agent potwierdził, że lot zarezerwowano:

– Pojutrze, proszę pana. Pana samolot odlatuje o dwudziestej trzeciej trzydzieści pięć. Proszę być na lotnisku przed dwudziestą pierwszą.

– Dziękuję – powiedział Maneck.

W sali jadalnej Grand Hotelu zjadł birjani z baraniną. Później przez kilka minut czytał w lobby gazetę, a następnie odebrał klucz i poszedł do łóżka. Zасыpiając, myślał o cici Dini i tamtej nocy, kiedy nie kładli się aż do bardzo późna i kończyli sukienki dla Au Revoir, ponieważ Ishvar i Om zniknęli. O nocy kłopotów przez wielkie „K”.

•

Prace remontowe odmieniły okolicę nie do poznania i przez chwilę Maneckowi zdawało się, że trafił pod niewłaściwy adres. Marmurowe klatki schodowe, ochrona, ściany we foyer wyłożone lśniącym granitem, klimatyzacja w każdym mieszkaniu, ogród na dachu – tania czynszówka zmieniła się w luksusowy apartamentowiec.

Sprawdził plakietki z nazwiskami umieszczone przy wejściu do budynku. Pieprzony kamienicznik w końcu dopiął swego, pozbył się cici Diny – dla niej to rzeczywiście skończyło się źle. A co z krawcami? Gdzie teraz pracują?

Na zewnątrz poczuł nawracający uścisk rozpaczy. Słońce tłukło go w głowę. Może ciocia Dina będzie wiedzieć, gdzie są Ishvar i Om. Ona mogła pójść w tylko jedno miejsce: do swojego brata, Nusswana. Ale Maneck nie znał adresu. Zresztą po co się trudzić – czy naprawdę ucieszyłaby się na jego widok? Można sprawdzić w książce telefonicznej. Pod jakim nazwiskiem?

Przetrząsał pamięć w poszukiwaniu nazwiska panińskiego cici Diny. Wymieniła je raz. Pewnej nocy, przed wielu laty, kiedy Ishvar, Om i on usiedli, by słuchać, jak opowiada o swoim życiu. Było to po kolacji i na kolanach miała narzutę, doszywała nową łątę. „*Nigdy nie patrzeć w przeszłość z żalem*”, powiedziała ciocia Dina. I coś o swojej świetlanej przyszłości, którą utraciła... nie,

chmury ją zasnuły... kiedy chodziła do szkoły i nazywała się – Dina Shroff.

Wstąpił do apteki, by skorzystać z książki telefonicznej. Shroffów było kilku, lecz tylko jeden Nusswan Shroff i Maneck zanotował adres. Subiekt powiedział, że to niedaleko. Postanowił się przejść.

Po wyjściu ze swej dawnej dzielnicy przestał rozpoznawać okolicę. Spytał o drogę stolarza, który siedział na krawężniku z torbą pełną narzędzi. Jego kciuk był grubo zabandażowany. Powiedział Maneckowi, by skręcił w prawo na następnym skrzyżowaniu, za boiskiem do krykieta.

Na skraju boiska stał duży namiot, choć nie toczył się żaden mecz. Zaintrygowane tłumy kręciły się wokół niego i zaglądały do środka. Napis nad wejściem głosił: JEGO ŚWIĄTOBLIWOŚĆ BAL BABA ZAPRASZA WSZYSTKICH I KAŻDEGO. DARŚAN^[235] ODBYWA SIĘ CODZIENNIE OD 10 DO 16, TAKŻE W NIEDZIELE I DNI WOLNE OD PRACY.

Pracowity sługa boży, to na pewno, pomyślał Maneck, zastanawiając się, jaka może być jego specjalność – wyczarowywanie złotych zegarków, puszczenie łez z oczu posagów, płatków róży z kobiecych dekoltów?

Lecz jego imię sugerowało, że chodzi o sztukę związaną z włosami^[236].

– Kim jest Bal Baba? – zagadnął kogoś przy wejściu.

– Bal Baba to bardzo, bardzo świątobliwy mąż – odrzekł mężczyzna urzędujący przy wejściu. – Powrócił do nas po wielu latach spędzonych na medytacji w himalajskiej jaskini.

– Czym się zajmuje?

– Posiadał bardzo wyjątkową, bardzo świętą moc. Powie panu wszystko, co zechce pan wiedzieć. W tym celu potrzebuje tylko przez dziesięć sekund potrzymać między swymi świętymi palcami kosmyk pańskich włosów.

– I ile to kosztuje?

– Bal Baba nie pobiera opłat – oburzył się mężczyzna, a po chwili dorzucił z przypochlebnym uśmiechem: – Ale Fundacja Bal Baby chętnie przyjmuje wszelkie datki, wedle uznania.

Maneck zainteresował się i wszedł do środka. Tylko rzucę okiem na najnowszego blagologa w mieście, jak by to powiedział Om, postanowił. Zabawnie będzie opowiedzieć krawcom, co zobaczył. Będzie się z czego razem pośmiać po ośmiu latach.

Tłumy przed namiotem były większe niż wewnątrz. Zaledwie kilka osób wyczekiwało opodal zasłony, za którą siedział wielce świątobliwy Bal Baba. To nie powinno potrwać długo, pomyślał Maneck, w tempie dziesięciu sekund medytacji na klienta. Darśan i konsultacje prowadzono taśmowo.

Stanął w kolejce i wkrótce nadeszła jego kolej. Mężczyzna po drugiej stronie zasłony nosił szafranowe szaty, był łysy i gładko ogolony. Nawet brwi i rzęsy miał

wyskubane. Na jego twarzy i partiach ciała nie zakrytych przez szatę nie widać było ani jednego włosa.

Jednak mimo dziwacznie gładkiego i lśniącego oblicza Maneck rozpoznał go.

– Ty jesteś Rajaram, zbieracz włosów!

– Eee? – podskoczył Bal Baba, tak oszołomiony, że nie powstrzymał nieświętej eksklamacji, która wyrwała mu się z ust. Następnie odzyskał panowanie nad sobą, uniósł głowę i przemówił stoickim tonem, zdobiąc swe słowa pełnymi gracji ruchami rąk i palców: – Zbieracz włosów Rajaram wyrzekł się swego żywota, swych radości i trosk, swych grzechów i cnót. Dlaczego? Aby narodził się Bal Baba i by mógł on posłużyć się swym skromnym darem dla wspomnienia ludzkości na drodze ku mokśy.

Po tej deklaracji nastąpiło zawieszenie wymyślnej maniery. Mężczyzna opuścił głowę i spytał zwyczajnym głosem:

– Ale kim ty jesteś?

– Pamiętasz Ishvara i Oma, krawców, którzy pożyczali ci pieniądze w poprzednim wcieleniu – kiedy wiodłeś takie bujne życie? Mieszkałem z nimi w jednym mieszkaniu. – Zbieracz włosów chłonał jego słowa. Maneck dorzucił: – Zapuściłem brodę. Może dlatego mnie nie poznałeś.

– Ależ skąd. Żadna fryzura ani broda na świecie nie zdołają zwieść Bal Baby – rzekł wyniośle. – Więc jakie masz dla mnie pytanie?

– Żartujesz.

– Nie, wypróbuj mnie. Śmiało, pytaj. Zapytaj o pracę, zdrowie, widoki na małżeństwo, żonę, dzieci, wykształcenie, co chcesz. Udzielę ci odpowiedzi.

– Ja już mam odpowiedź. Szukam pytania.

Bal Baba popatrzył na niego pytająco, a przez twarz przemknął mu cień irytacji – tego rodzaju zagadkowe enuncjacje były jego domeną. Zapanował jednak nad niezadowolaniem i z powrotem przywołał na twarz obowiązkowy uśmiech oświecenia.

– Tak po zastanowieniu, to mam pytanie – powiedział Maneck. – Jak byś pomógł komuś, kto tak jak ty nie ma włosów?

– To tylko drobna przeszkoda. Fundacja Bal Baby sprzedaje specjalny balsam do włosów po kosztach własnych – wysyłka i opłata manipulacyjna płatne osobno. Balsam jest zrobiony z rzadkich himalajskich ziół, skutki są magiczne. W ciągu kilku tygodni łysa głowa pokrywa się gęstymi włosami. Wówczas taka osoba przychodzi tutaj, ja medytuję, trzymając nowo wyrosłe włosy i udzielam odpowiedzi.

– I nigdy cię nie korci, żeby je ciachnąć do kolekcji?

Bal Baba wpadł w gniew.

– To było inne życie i inny człowiek. To wszystko się skończyło, rozumiesz?

– Mhm. A odwiedziłeś Ishvara i Oma, odkąd wróciłeś ze swojej jaskini? Możliwe, że oni będą chcieli cię o coś zapytać.

– Bal Baba nie może pozwolić sobie na luksus odwiedzania kogokolwiek. Jest uwiązany do tego miejsca, aby dać ludziom szansę skorzystania z darśanu.

– Jasne – powiedział Maneck. – W takim razie lepiej nie będę trwonić twojego czasu. Na zewnątrz czekają tysiące.

– Obyś niebawem dostąpił błogostanu – rzekł Bal Babal, unosząc rękę w geście transcendentalnego pożegnania. W oczach nadal miał furję.

Maneck postanowił wrócić następnego dnia, przyprowadzić ze sobą Oma i Ishvara – lotnisko miał dopiero wieczorem. To będzie kawał zabawy spuścić nieco powietrza z nadętego Bal Baby, przytrzeć mu trochę nosa, zmusić, by przypomniał sobie swoją niedawną przeszłość.

Droga na dwór prowadziła przez zaplecze namiotu, obok mężczyzny, który pisał coś na chybotliwym stole zasłanym listami i kopertami. Maneck wlepił w niego wzrok, usiłując przypomnieć sobie, gdzie się spotkali. Potem zauważył plastikowy futerał w kieszeni koszuli tamtego, wypełniony baterią długopisów i wiecznych piór. Teraz pamiętał – pociąg, pasażer z zachrypłym głosem.

– Przepraszam, czy pan nie jest przypadkiem korektorem?

– Ongiś byłem – odrzekł zagadnięty. – Vasantrao Valmik, do usług.

– Nie poznaje mnie pan, bo zapuściłem brodę, ale jestem tym studentem, z którym wiele lat temu jechał pan pociągiem, gdy podróżował pan do specjalisty ze swoim chorym gardłem.

– Proszę nie mówić więcej – powiedział pan Valmik, uśmiechając się z zachwytem. – Pamiętam doskonale, nigdy pana nie zapomniałem. Wieleśmy rozmawiali w trakcie tamtej podróży. – Zaśmiał się cicho i zakręcił skuwką pióro. – Wie pan, człowiekowi bardzo trudno jest znaleźć odpowiednie audytorium dla swej historii. Większość ludzi zaczyna się nudzić, kiedy obcy opowiada im o swoim życiu. Ale pan był słuchaczem idealnym.

– Och, słuchałem z przyjemnością. Podróż się mniej dłużyła. Poza tym pan miał takie ciekawe życie.

– Bardzo pan miły. Pozwoli pan, że zdradzę panu sekret: nie ma czegoś takiego jak nieciekawe życie.

– Posłuchałby pan o moim.

– Z największą radością. Pewnego dnia musi mi pan opowiedzieć swoją pełną i kompletną historię, bez skrótów i interwencji cenzury. Musi pan. Zarezerwujemy czas na ten cel i się spotkamy. To bardzo ważne.

Maneck uśmiechnął się.

– Dlaczego to ważne?

Pan Valmik wybałuszył oczy.

– Nie wie pan? Jest to szalenie ważne, ponieważ dzięki temu przypomina pan sobie, kim pan jest. Wówczas może pan kroczyć naprzód bez obawy, że zagubi się pan w tym wiecznie zmieniającym się świecie.

Urwał i dotknął kieszeni z długopisami.

– Widać opatrność naprawdę mi sprzyja, gdyż dwakroć miałem okazję opowiedzieć swą historię w całości. Pierwszy raz panu, w pociągu, drugi raz pewnej sympatycznej damie na dziedzińcu sądu. Lecz to także było wiele lat temu. Łaknę nowego audytorium. Ach, tak, podzielenie się opowieścią z kimś innym pozwala wszystko odkupić.

– Jak?

– Nie wiem dokładnie jak, ale czuję to tutaj. – Ponownie przyłożył dłoń do kieszeni koszuli.

Tutaj, czyli w długopisach? Potem Maneck zrozumiał, że korektor miał na myśli serce.

– A czym pan się dzisiaj zajmuje, panie Valmik?

– Odpowiadam za korespondencyjny biznes Bal Baby. Bal Baba uprawia też prorocstwo listowne. Ludzie przysyłają mu obcięte włosy. Ja otwieram koperty, wyrzucam włosy, realizuję czeki i odpisuję na ich pytania.

– I podoba się to panu.

– O tak, bardzo. Pole do popisu jest nieograniczone. Pisząc odpowiedzi, mogę stosować dowolne formy – esej, poemat prozą, prozę poetycką, aforyzm. – Poklepał kieszeń z długopisami i dodał. – Moje maleństwa pracują pełną parą, tworzą jedną bajkę za drugą, a w życiu adresatów bajki te nabiorą większej realności niż ich smutna rzeczywistość.

– Miło było pana spotkać – powiedział Maneck.

– A kiedy się znowu spotkamy? Naprawdę musi mi pan opowiedzieć wszystko o sobie.

– Może jutro. Mam zamiar przyprowadzić tutaj dwóch znajomych Bal Baby.

– Świetnie, świetnie. Do zobaczenia niebawem.

Przy wyjściu odźwierny wyciągnął mosiężną miseczkę, w której leżało trochę drobnych.

– Wszelkie datki mile widziane.

Maneck wrzucił kilka monet z poczuciem, że to, co dostał, było bez wątpienia warte tych pieniędzy.

•

Minęło trochę czasu zanim drzwi otworzyły się w odpowiedzi na dzwonek Manecka. Postać o patykowatych nadgarstkach w niczym nie przypominała cioci Diny, którą zostawił przed ośmiu laty. Osiem lat miało prawo uszczknąć co nieco,

ale to nie było uszczknięcie, lecz grabież w biały dzień.

– Tak? – zapytała, nachylając się do przodu. Jej oczy widziane przez soczewki dwukrotnie grubsze od tych, które pamiętał, miały wielkość główek od szpilki. Siwizna we włosach gruntownie ujarzmiła czerń.

– Ciociu – głos Manecka z trudem przeciskał się przez ściśnięte gardło. – To ja, Maneck.

– Co?

– Maneck Kohlah – cioci sublokator.

– Maneck?

– Zapuściłem brodę. Dlatego mnie ciocia nie poznaje.

Podeszła bliżej.

– Tak. Zapuściłeś brodę.

W jej głosie wyczuł chłód. Głupi byłem, że się spodziewałem czego innego, pomyślał.

– Poszedłem do cioci mieszkania... i... cioci tam nie było.

– A niby dlaczego miałam być? To nie jest moje mieszkanie.

– Chciałem znowu zobaczyć ciocię i krawców i...

– Już nie ma krawców. Wejdz. – Zamknęła drzwi i małymi, ostrożnymi kroczkami poprowadziła go przez ciemny przedpokój, macając ręką po ścianach i meblach, by znaleźć drogę.

– Usiądź – powiedziała, kiedy dotarli do salonu. – Zjawiasz się znienacka. Ni stąd, ni z owąd.

Posłyszał oskarżenie i pokiwał głową. Nie miał nic na swoją obronę.

– Ta broda. Powinieneś ją zgolić. Wyglądasz z nią jak szczotka do klozetu.

Roześmiał się i ona też, odrobinę. Z ulgą usłyszał w jej głosie srebrzysty błysk, ale nie wystarczył on, by całkowicie unieważnić chłód. Pokój, w którym siedzieli, był urządzonej wykwintnie. Stare, bogato zdobione meble, zabytkowa porcelana w gablotach, na jednej ze ścian kunsztownie utkany jedwabny perski dywan.

– Kiedy następnym razem się zobaczymy, brody już nie będzie, ciociu, obiecuję.

– Może wtedy prędzej cię rozpoznam. – Mocowała się ze spinką do włosów, przyklepała ją dłonią. – Ledwie co widzę. Te marchewki, które we mnie wmuszałeś, poszły na zmarnowanie. Moich oczu nic nie uratuje.

Maneck zaśmiał się niepewnie, ale tym razem mu nie zawtórowała.

– Przychodzisz po bardzo długim czasie. Jeszcze kilka lat i nie zobaczyłabym cię wcale. Nawet teraz jesteś cieniem w tym pokoju.

– Byłem daleko, pracowałem w Zatoce.

– I jak tam było?

– Było... było pusto.

– Pusto?

- Pusto... jak na pustyni.
- Przecież to pustynny kraj. – Urwała. – Nie napisałeś do mnie stamtąd.
- Przepraszam. Ale do nikogo nie pisałem. To się wydawało... bez sensu.
- Tak – powiedziała. – Bez sensu. Tak czy inaczej, mój adres się zmienił.
- Ale co się stało z tamtym mieszkaniem, ciociu?

Opowiedziała mu.

Nachylił się do niej i wyszeptał:

– A tutaj wszystko w porządku? Nusswan dobrze ciocię traktuje? – Zniżył głos jeszcze bardziej. – Daje cioci dość jedzenia?

– Nie musisz szeptać, w domu nie ma nikogo. – Zdjęła okulary, przetarła ręką spódnicy i założyła z powrotem. – Jedzenia mam tyle, że nigdy mi nie starczy apetytu, żeby wszystko zjeść.

Maneck poruszył się niespokojnie.

– A co z Ishvarem i Omem? Gdzie teraz pracują?

– Nie pracują.

– To jak sobie radzą? Zwłaszcza z żoną Oma i z dziećmi?

– Nie ma żony, nie ma dzieci. Zostali żebrakami.

– Przepraszam, co takiego?

– Obaj są teraz żebrakami.

– To niemożliwe! To jakiś obłąd! Jak to – nie wstyd im żebrać? Nie mogli zająć się czymś innym, jeśli nie było pracy dla krawców? No przecież...

– Nie znasz całej historii, a chcesz ich sądzić? – przerwała mu.

Karcący ton sprawił, że Maneck powściągnął swój wybuch.

– Proszę, niech mi ciocia opowie, co się stało.

Kiedy mówiła, zimno niby nóż kroilo mu wnętrzności. Siedział skamieniały, podobny do figurynek stojących w gablotach wokół niego.

Gdy dotarła do końca, nadal trwał nieruchomo. Nachyliła się, by potrząsnąć jego kolanem.

– Słuchasz? – Skinął lekko. Jej oczy nie dostrzegły nieznacznego ruchu i powtórzyła z rozdrażnieniem: – Słuchasz, czy na próżno sobie strzępię język?

Tym razem odpowiedział jej słowami.

– Tak, ciociu. Słucham. – Głos miał martwy.

Bez wyrazu, tak jak jego twarz, pomyślała.

– Nie rozpoznałbyś ich teraz, gdybyś ich zobaczył. Ishvar się skurczył i to nie tylko dlatego, że nie ma nóg, cały. A Om bardzo przytył. Jeden z efektów kastracji.

– Tak, ciociu.

– Pamiętasz, jak gotowaliśmy razem?

Skinął głową.

– Pamiętasz kocięta?

Skinął znowu.

Spróbowała jeszcze raz tchnąć w niego odrobinę życia.

– Która godzina?

– Dwunasta trzydzieści.

– Jeśli ci się nie śpieszy, mógłbyś spotkać Ishvara i Oma. Przyjdą tutaj o pierwszej.

W jego głosie na nowo zabrzmiało uczucie, lecz nie to, na które liczyła.

– Przepraszam, nie mogę zostać. – Odmowa była podszyta strachem, słowa cisnęły się gorączkowo. – Mam tyle spraw do załatwienia... jutro wylatuję. Krewni mojej matki, jakieś zakupy, potem jazda na lotnisko. Może kiedy przyjadę następnym razem.

– Następnym razem. Zgoda. Wszyscy będziemy na ciebie czekać następnym razem.

Wstali i przeszli przez przedpokój.

– Zaczekaj – powiedziała, kiedy dotarli do drzwi. – Mam coś dla ciebie.

Powróciła swoimi małymi, ostrożnymi kroczkami.

– Zostawiłeś to u mnie w mieszkaniu.

Były to szachy Avinasha.

– Dziękuję. – Zachwiał się, lecz jego głos pozostał spokojny. Wyciągnął rękę, by przyjąć szachownicę i pudełko ze rdzawobrazowej sklejki. Potem powiedział: – Właściwie ich nie potrzebuję. Niech ciocia je zachowa.

– A co ja mam z tym zrobić?

– Dać komuś... Swoim bratankom?

– Xerxes i Zarir nie grają. To bardzo zapracowani mężczyźni.

Maneck skinął.

– Dziękuję – powiedział znowu.

– Proszę.

Zawahał się, obracając pudełko w dłoniach, delikatnie przesuwał palcami po krawędzi.

– Pa pa, ciociu.

Skinęła głową w milczeniu. Maneck nachylił się i pocałował ją w policzek, lekko i szybko. Uniosła rękę, jakby miała mu pomachać, cofnęła się i zaczęła zamykać drzwi. On obrócił się i popędził wybrukowaną dróżką prowadzącą od progu.

Usłyszawszy, że się zamknęły, przystanął. Znajdował się pod drzewem, na końcu ścieżki. W konarach drzewa śpiewał ptak. Maneck słuchał go, gapiąc się w szachownicę i pudełko trzymane w dłoniach. Coś spadło mu na głowę, uskoczył, by uchylić się przed drugą kupą. Jego palce wymacały lepki

zaciek. Wytarł sobie włosy liśćmi z drzewa i spojrział w górę. Była tam tylko wrona, śpiewający ptak odleciał. Tatko zwykł mówić, że kupa zwykłej wrony przynosi niezwykle szczęście.

Zerknął na zegarek: za dwadzieścia pierwsza. Ishvar i Om wkrótce się zjawią. Gdyby zaczekał parę minut, mógłby ich zobaczyć. A oni zobaczyliby jego. Ale co miałby powiedzieć?

Zaczął przechadzać się chodnikiem wzdłuż cichej uliczki przed domem. W górę, do końca przecznicy, i z powrotem, pod dom cioci Diny. Po kilku rundach zobaczył, jak z za rogu na skrzyżowaniu z główną ulicą wynurza się dwóch żebraków.

Jeden siedział przechylony do przodu na niskiej platformie na kółkach. Nie miał nóg. Drugi ciągnął platformę na linie przerzuconej przez ramię. Jego otyłość leżała na nim dziwnie, jak za duże, wywatowane ubranie. Pod pachą niósł podarty parasol.

Co mam powiedzieć, zapytał sam siebie rozpaczliwie.

Zbliżyli się i wtedy ten na platformie zadzwonił monetami w blaszanej puszcze.

– O babu, ek pajsza? – poprosił, nieśmiało unosząc oczy.

„Ishvar, to ja, Maneck! Nie poznajesz mnie?!”. Słowa miotały się daremnie po jego głowie, nie potrafiły się wydostać. „Powiedz coś, rozkazał sobie, powiedz cokolwiek!”.

– Babu! Are, pajsza da! – upomniał się drugi żebrak. Głos miał wysoki, wyzywający, drwiąco patrzył mu prosto w oczy. Zatrzymali się wyczekująco, z wyciągniętą ręką i grzechoczącą puszką.

„Om! Limonowa gębo! Przyjacielu! Zapomniałeś mnie!”.

Ale jego słowa miłości, żalu i nadziei pozostały nieme niczym kamienie.

Beznogi żebrak zakaszlał i splunął. Maneck zerknął na plwocinę; była zabarwiona krwią. Platforma ruszyła naprzód, mijając go, i zobaczył, że Ishvar siedzi na poduszce. Nie, nie na poduszce. Była brudna i wystrzępiona. Patchworkowa kapa.

„Zaczekajcie!, chciał wykrzyknąć, zaczekajcie na mnie”. Chciał pobiec za nimi, wrócić z nimi do cioci Diny, powiedzieć jej, że zmienił plany.

Nie uczynił nic. Dwaj żebracy skręcili w brukowaną ścieżkę i znikli mu z oczu. Przez chwilę słyszał, jak kółka terkoczą po nierównych kamieniach. Dźwięk zamarł; Maneck ruszył dalej swoją drogą.

•

Mijając boisko do krykieta, mijając namiot Bal Baby, mijając rannego stolarza na krawężniku – Maneck pędził przed siebie, aż znów znalazł się w znajomej okolicy. Dostrzegł nowy neonowy napis nad Vishram Vegetarian Hotel. Miejsce

wyglądało obecnie jak prosperująca restauracja. Rozrosło się, połknawszy sklepy po obu stronach, a jego światła migotały głupawo w popołudniowym słońcu. ZJEDZ WYPIJ ZRELAKSUJ W NASZEJ KLIMATYZOWANEJ WYGODZIE głosił mniejszy szyld pod neonem.

Wszedł do środka, poprowadzono go do lśniącego stolika ze szklanym blatem. Schludny kelner w uniformie zjawiał się, niosąc duże, luksusowo wydane menu. Maneck położył szachy na pustym krześle obok siebie i zamówił kawę.

W restauracji panował ruch; była pora lunchu. Kelner przybiegł z powrotem, niosąc szklankę wody.

– Już parzę świeżą kawę, sahibie. Dwie minuty.

Maneck skinął głową. Z półki zawieszanej wysoko na ścianie za kontuarem głośnik nadawał mdłą muzykę instrumentalną, unoszącą się bez celu nad restauracyjnym gwarem. Maneck popatrzył po stolikach dookoła siebie, na pracowników biurowych w koszulkach typu safari, krawatach i marynarkach, zjadających energicznie, podczas gdy ich ożywione rozmowy zlewały się ze szczykiem sztuców. Biurowe gadki o zdradzieckich zagrywkach kierownictwa i indeksacji płac, budżetach i awansach. Była to nowa klasa klientów, bardzo odległa od gońców i spoconych robotników, którzy zwykli się tutaj stołować za dawnych dni.

Kawa przyszła. Maneck posłodził, długo mieszał, upił odrobinę. Kelner, który zwlekał nieopodal, podskoczył do niego natychmiast.

– Czy dobra kawa, sahibie?

– Tak, dziękuję.

Mężczyzna poprawił solniczkę i pieprzniczkę i z wigorem przetarł popielniczkę.

– No i tak, sahibie, syn pani premier przejął rządy^[237]. Myśli pan, że będzie dobrym władcą?

– Kto to wie. Pożyjemy, zobaczymy.

– To prawda. Oni wszyscy jedno mówią, a co innego robią. – Odszedł, by obsłużyć inny stół, przy którym goście skończyli jeść. Maneck przyglądał się, jak zbiera talerze na stertę, później dodaje do nich stertę z kolejnego stolika i jeszcze następnego, aż wreszcie chwiejnym krokiem kieruje się z całym ładunkiem do kuchni.

Wkrótce wrócił i zlustrował opróżnioną do połowy filiżankę Manecka.

– Coś do jedzenia, sahibie?

Maneck potrząsnął głową.

– Mamy też smaczne lody, very nice.

– Nie, dziękuję. – Przesadna atencja zaczynała działać mu na nerwy. – Uprzejmy uśmiech stanowił część nowego wystroju w nowym Vishramie, pomyślał. W którym był samotny. Do dawnego Vishrama przychodził zawsze

z Omem i z Ishvarem. Popołudnia przy tamtym jedynym, śmierdzącym stoliku. A na zewnątrz turlał się Shankar, machając niepełnymi rękami, przebijając skróconymi nogami, pobrząkując swoją puszką. A później jego pogrzebowy stos. Śpiew kapłana, płonące drewno sandałowe, wonny dym. Pełnia. W krematorium, gdzie spalono tatę, czegoś brakowało, stos pod gołym niebem był niewątpliwie lepszy. Lepszy dla żywych...

Grupa gości z hałasem odsunęła krzesła; nowy rzut zajął ich miejsce. Ci witali obsługujących po imieniu. Widać stali bywalcy. Maneck wziął do ręki pudełko z rdzawobrazowej sklejki, otworzył zasuwane wieko i wydobyl bierkę na chybił trafił. Pion. Obracając go w palcach, zauważył, że zielony filc odkleja się od stopki.

Kelner również to zauważył.

– Powinien pan podkleić Camel Paste, sahibie, to będzie się trzymać.

Maneck kiwnął głową. Dopił kawę i wrzucił pion z powrotem do pudełka.

– Mój syn też w to gra – powiedział kelner z dumą.

Maneck podniósł wzrok.

– Tak? A ma własne szachy?

– Nie, sahibie, to za dużo kosztuje. Gra tylko w szkole. – Dostrzegłszy pustą filiżankę, znowu podsunął menu. – Jest druga, sahibie, niedługo zamykamy kuchnię. Mamy kurczaka z karai, *very nice*, i birjani. A może coś mniejszego? Mutton roll^[238], pakora z ćatni, puri-bhadzi?

– Nie, tylko kawę jeszcze raz. – Maneck wstał i poszedł w stronę zaplecza, szukając toalety.

Była zajęta. Zaczekał w przejściu, skąd widział ożywioną krzątanicę w kuchni. Spocony pomocnik kucharza siekał coś, smażył i mieszał; mały, chudy chłopczyk zeskrobywał resztki i namaczał talerze w zlewie.

Mimo chromu, szkła i jarzeniówek, przetrwało tu coś ze starego Vishrama, pomyślał Maneck – kuchnia opalana węglem i kuchenki naftowe. Drzwi toalety otworzyły się ze skrzypieniem i wszedł do środka.

Kiedy wyszedł, stolik położony najbliżej kuchni był wolny. Postanowił przy nim usiąść. Kelner doskoczył, by przypomnieć, że jego druga kawa czeka przy innym stoliku.

– Wypiję tutaj – powiedział Maneck.

– Ale, sahibie, tutaj niedobrze. Hałas z kuchni, zapachy i w ogóle.

– Nie szkodzi.

Kelner zgodnie z życzeniem przyniósł kawę i szachy, a następnie oddalił się, by podyskutować z kolegą o kapryсах i dziwactwach klientów.

Ktoś krzykiem poinformował kuchnię o zamówieniu na szisz kebab. Pomocnik kucharza dorzucił węgli, a gdy zajęły się ogniem, ułożył kilka na grillu. Nad nimi

umieścił szpile, na które nadziano kawałki jagnięciny i wątróbki. Węgla zapłonęły silniej pod wpływem wachlowania.

Jak to się jarzy, pomyślał Maneck – żywe istoty obdarzone pulsem i oddechem. Zaczynają skromnie, od niedużego żaru, potem wyrasta z nich potężna, czerwona łuna, plują i warczą, ich płomienne języki strzelają, nic tylko żywioł i namiętność, zmienia się to, grozi, pochłania. A potem – zapaść. W łagodne ciepło, spolegliwość, aż wreszcie w doskonały bezruch.

W Vishramie pora lunchu dobiegła końca. Po piętnastej kelner zaczął czynić przeproszające aluzje, nieporadnie siląc się na dowcip.

– Wszyscy już dawno popędzili do biur, sahibie – uśmiechnął się. – Boją się swoich szefów. Pan to musi być very big boss, tylko pan został.

Tak, tylko ja, pomyślał Maneck. *Tylko wolne wozy zostają w tyle.*

– Pan na wakacjach?

– Tak. Poproszę rachunek. – Zerknął ponownie do kuchni. Ogień wygaszono; pomocnicy kucharza sprząтали, by przygotować miejsce na przybycie wieczornych gości. Żar na grillu zmienił się w popiół.

Dwie kawy kosztowały łącznie sześć rupii. Maneck położył na spodeczku dziesięć i ruszył do drzwi.

– Sahibie, proszę zaczekać! – zawołał kelner, biegnąc za nim. – Sahibie, zostawił pan na krześle swój pakit^[239]! I grę!

– Dziękuję. – Maneck wsunął portfel do kieszeni na biodrze i wziął szachy.

– O wszystkim pan dziś zapomina – kelner zaśmiał się leciutko. – Proszę uważać, sahibie.

Maneck uśmiechnął się, kiwnął głową, otworzył drzwi i wyszedł z klimatyzowanego chłodu Vishrama w szorstkie objęcia popołudniowego słońca.

•

Było mu coraz trudniej iść przed siebie. Zauważył, że zmierza pod prąd. Włączył się po ulicach, aż do wieczora; ludzie wylewali się z biur, pośpiesznie zdążali do domów. Jego zegarek wskazywał kwadrans po szóstej. Obrócił się ku stacji kolejowej, by ludzka fala poniosła go naprzód.

Nawała godzin szczytu przeszła, ale od wysokiego sklepienia hali dworcowej wciąż odbijał się łoskot pociągów. Przed kasą ciągnęła się kolejka. Przypomniała mu się opowieść o podróży bez biletu, którą słyszał kiedyś, dawno temu.

Porzucił kolejkę i przepchnął się przez tłum na peron. Z rozkładu wynikało, że następny pociąg to ekspres, który nie zatrzymuje się tutaj.

Popatrzył na czekających pasażerów – pogrążonych w lekturze gazet, majstrujących przy bagażach, popijających herbatę. Matka wykręcała dziecku ucho, by wpoić mu jakąś naukę. Rozległ się odległy łoskot i Maneck przesunął się

na przód. Wbił wzrok w tory. Ależ lśnią, jak obietnica życia, tak się ciągną bez końca w obie strony, srebrzyste wstążki ślizgające się nad tłuczniową podsypką, zszywające w jedno szerniałe, wyszczerbione drewno podkładów.

Zwrócił uwagę na starszą kobietę w ciemnych okularach, która stała obok niego. Zastanawiał się, czy jest niewidoma. Może to niebezpieczne dla niej, stać tak blisko krawędzi, może powinien przeprowadzić ją na bok.

Kobieta uśmiechnęła się i powiedziała:

– To pośpieszny, nie staje tutaj. Sprawdziłam na tablicy. – Zrobiła krok wstecz i skinęła na niego, by też się cofnął.

A więc nie niewidoma, tylko elegancka. Odwzajemnił jej uśmiech i pozostał tam, gdzie był, przyciskając do siebie szachy. Teraz ekspres widać już było w oddali, wynurzył się zza zakrętu. Łoskot przybrał na sile, stopniowo zmieniał się w huk. Kiedy pierwszy wagon wjechał na stację, Maneck zrobił krok naprzód, na lśnią, srebrzyste szyny.

Starsza kobieta w ciemnych okularach wrzasnęła jako pierwsza. Później wszystkie dźwięki utonęły w wizgu pneumatycznych hamulców. Pośpieszny potrzebował kilkuset jardów, żeby się zatrzymać.

Ostatnią rzeczą, o której pomyślał Maneck, było to, że wciąż ma szachy Avinasha.

•

Pod drzewem, przy którym wyłożona kamieniami ścieżka zbiegała się z chodnikiem, Om wypuścił z rąk linę Ishvara i zatrzymali się, by poczekać. Ptak zerwał się spośród gęstego listowia nad ich głowami. Za każdym razem, gdy nagabywali przechodnia o datek, zerkali przy tym na jego zegarek.

O pierwszej zeszli z chodnika i potoczyli się ciężko kamienną ścieżką. Krzaki oraz mur ogrodu rezydencji Shroffów osłaniały ich przed spojrzeciami sąsiadów. Trzymając się blisko ściany domu, podążyli prosto do tylnych drzwi i zapukali lekko.

Dina wpuściła ich do środka. Nalała wody do szklanek, a kiedy pili, nałożyła im czerwonej soczewicy na codzienną zastawę Ruby, która stała w kredensie. Ile jeszcze lat uda mi się to robić, zanim Ruby lub Nusswan się zorientują?, pomyślała.

– Ktoś was widział, jak wchodziliście?

Potrząsnęli głowami.

– Jedźcie szybko – powiedziała. – Moja bratowa wraca wcześniej niż zwykle.

– Bardzo smaczne – oświadczył Ishvar, ostrożnie balansując talerzem, który trzymał na podolku.

Om chrząknął twierdząco, po czym dodał:

– Ćapati są trochę suche, nie takie smaczne jak wczoraj. Nie trzymała się pani mojego przepisu, czy jak?

– Temu panu się wydaje, że pozjadał wszystkie rozумы – poskarżyła się Dina Ishvarowi.

– Co robić? – roześmiał się Ishvar. – To mistrz świata w ćapati.

– Te są z wczoraj – wyjaśniła Dina. – Nie zrobiłam świeżych. Miałam gościa. Nigdy nie zgadniecie kogo.

– Manecka – powiedzieli.

– Widzieliśmy go pół godziny temu, jak przechodził. Poznaliśmy go mimo brody – dodał Ishvar.

– Nie gadaliście z nim?

Potrząsnęli głowami.

– Nie poznał nas – powiedział Om. – Albo zignorował. Powiedzieliśmy nawet „Babu, ek pajs”, żeby zwrócić jego uwagę.

– Zmieniliście się bardzo od czasów, kiedy was znał. – Podsunęła im tacę z ćapati. – Częstujcie się. – Ishvar wziął jeden, przedarł na pół i podzielił się z Omem.

– Mówiłam, że przyjdziecie o pierwszej – ciągnęła. – Poprosiłam, żeby został, ale się śpieszył. Następnym razem, powiedział.

Om wzruszył ze złością ramionami.

– Tamten Maneck, którego znaleźliśmy, zaczekałby dzisiaj.

– Tak – powiedział Ishvar, zgarniając z talerza resztkę czerwonej soczewicy. – Ale on wyjechał bardzo daleko. Człowiek się zmienia, kiedy wyjeżdża tak daleko. Dystans to trudna sprawa. Nie powinniśmy go winić.

Dina przyznała mu rację.

– A teraz uwaga, jutro jest sobota, wszyscy będą w domu – nie możecie przychodzić przez następne dwa dni. – Wstawiła ich talerze do zlewu i otworzyła drzwi, żeby ich wypuścić.

– Hoi-hoi – rzekł Ishvar. – Co to jest? – Nić w narzucie, na której siedział, spruła się i zahaczyła o jedno z kółek.

– Pokaż. – Om nachylił się, by wyciągnąć kapeć, a jego stryj uniósł się lekko na rękach. Odszukali łąkę, z której pochodziła zbłąkana nić.

– Dobrze, że zauważyłeś – powiedziała Dina. – Inaczej ten kawałek mógłby zupełnie odpaść.

– To się łatwo naprawi – oświadczył Ishvar. – Czy mogę pożyczyć od pani nitkę, Dina-bai? Na parę minut.

– Nie teraz. Mówiłam wam, że moja bratowa wraca wcześniej. – Mimo to poszła do swojego pokoju i wróciła ze szpulką nici, w którą zatknięta była igła. – Weźcie ze sobą. – Ponownie otworzyła im drzwi. – Nie zapomnijcie parasola. –

Wsunęła go Omowi pod pachę.

– Bardzo się przydał dziś w nocy – powiedział Om. – Uderzyłem złodzieja, który chciał ukraść nasze monety. – Podniósł linę i pociągnął. Ishvar zacmokał jak woźnica poganiający woły. Jego bratanek pogrzebał ziemię stopą i zarzucił głową.

– Przestańcie – zbeształa ich Dina – Jak się będziecie tak zachowywać na ulicy, to nikt wam nie da ani jednej pajsy.

– Jazda, mój wierny – powiedział Ishvar. – Ruszaj z kopyta albo dam ci działkę opium. – Śmiejąc się pod nosem, Om ruszył przed siebie słoniowatym kłusem. Gdy wydostali się na ulicę, przestali błaznować.

Dina zamknęła drzwi, kręcąc głową. Ci dwaj codziennie ją rozśmieszali. Tak jak to robił Maneck, kiedyś. Zmyła dwa talerze i odstawiła do kredensu, by wieczorem Nusswan i Ruby zjedli z nich kolację. Później wytarła dłonie i postanowiła zdrzemnąć się, zanim przystąpi do szykowania wieczornego posiłku.

[221] Sikh – wyznawca sikhizmu, wspólnoty religijnej założonej przez guru Nanaka (1469–1539), uznającej jednego wszechobecnego i ponadczasowego Boga; włosy są dla sikhów symbolem oddania Bogu, dlatego nie obcinają ich, skrywając je pod turbanami, i noszą brody.

[222] Indira Gandhi została zastrzelona przez swoich ochroniarzy 31 października 1984 roku rano, toteż można wnioskować, że Maneck przyleciał do Delhi 3 listopada.

[223] Złota Świątynia – najważniejsze miejsce kultu sikhów, znajdujące się w Amritsarze. 6 czerwca 1984 r. armia indyjska przypuściła na nią atak, by usunąć okupujących świątynię sikhijskich bojowników.

[224] Khalistan – nazwa własnego niepodległego państwa, które chcieli stworzyć sikhowie na terenie Pendżabu.

[225] *Dewi* – bogini.

[226] *Sudra* – biała koszula, symbolizująca moralną czystość, noszona przez parsów, mająca kieszonkę przypominającą o gromadzeniu dobrych uczynków.

[227] *Kośti* – sznur noszony przez parsów, zawiązany trzy razy wokół bioder, rozwiązywany podczas modlitwy.

[228] *Kara* – żelazna bransoleta, jeden z pięciu atrybutów pobożnego sikha, tzw. pięciu „K”. Pozostałe to: *keś* (niestrzyżone włosy), *kangha* (drewniany grzebyk), *kirpan* (sztylet), *kaćh* (krótkie spodenki noszone jako bielizna).

[229] Haridżanie – dosł. „dzieci Boga” – określenie niedotykalnych (dalitów)

propagowane przez Gandhiego.

[230] *Lohar* – kowal.

[231] *Palki* – palankin; rodzaj ozdobnej zasłoniętej lektyki, umieszczonej na drażkach i niesionej przez kilku tragarzy; używała go w Indiach i na Dalekim Wschodzie arystokracja; w przeciwieństwie do lektyki, gdzie pasażer siedzi ze spuszczonej nogami, jak na krześle, w palankinie pasażer siedzi płasko, jak na łóżku lub na podłodze.

[232] *Palkiwala* – tragarz noszący palankin.

[233] *Kundalini śakti* – w jodze kundalini energia (*śakti*) w postaci śpiącego okręconego węża (*kundalini*) u podstawy kręgosłupa.

[234] *Patia* – curry przyrządzane przez parsów.

[235] *Darśan* – dosł. widzenie, ukazanie się, widok; tu: spotkanie twarzą w twarz.

[236] Wyraz '*bal*' oznacza w hindi włosy lub wełnę.

[237] Po śmierci Indiry Gandhi urząd premiera przejął jej syn Rajiv, który piastował tę funkcję do 1989 roku.

[238] *Mutton roll* – kanapka ze smażonej, pikantnie przyprawionej baraniny, zawiniętej w cienki pszenny chlebek.

[239] *Pakit* (od ang. *pocket* – kieszka) – portfel.

OD TŁUMACZA

Świat opowieści i jego języki

Tytuły pierwszych rozdziałów – *Miasto nad morzem*, *Wioska nad rzeką*, *Góry* – umieszczają fabułę *Delikatnej równowagi* w przestrzeni bajkowego „gdzieś tam”. Z drugiej strony ścisłe ramy czasowe (*Prolog: 1975; Epilog: 1984*) nadają opowieści wyraźny kontekst historyczny. Ishvar, Omprakash i Maneck zjawiają się u Diny w dniu ogłoszenia przez Indirę Gandhi stanu wyjątkowego – 25 czerwca 1975 roku. Rzecz dzieje się w Indiach (choć ta nazwa na blisko siedmuset stronach pada ledwie kilkakrotnie), w nigdy nie nazwanym mieście, w którym na podstawie różnych przesłanek (jest to port, z którego odpływają statki wiozące pielgrzymów do Mekki, żyje w nim duża społeczność parsów, a wędrowni bohaterowie zahaczają o miejsca takie jak Wiszące Ogrody, Ogród Victorii i kawiarnia Monginich^[240]) można się domyślać Bombaju. Tam krzyżują się losy parsyjskiej wdowy, dwóch przyjezdnych krawców, studenta wychowanego w Himalajach i wielu innych bohaterów.

W jakim języku porozumiewają się te postaci? Można by przypuszczać, że po angielsku, skoro w tym języku napisano powieść. Jest to szczególna odmiana angielszczyzny, przez dzisiejszych badaczy określana zwykle mianem SAE (od South Asian English – „angielszczyzna południowoazjatycka”), która ukształtowała się w Azji Południowej na skutek setek lat rozmaitych kontaktów angielszczyzny z językami tego regionu. Trudno ocenić, ilu mieszkańców Indii włada dziś angielskim, a przy tym zróżnicowanie kompetencji jest znaczne^[241]. Jedni Indusi piszą po angielsku wybitne powieści, inni, usadowieni w call-centers Bangaluru, obsługują klientów z całego anglojęzycznego świata, jeszcze inni przy pomocy kilkunastu słów negocjują z turystą cenę koszuli. SAE nie ma ściśle skodyfikowanej formy i różni się w zależności od regionu Indii, kompetencji danego użytkownika oraz wielu innych czynników, ale pewne własności wymowy, pisowni, słownictwa i form gramatycznych są charakterystyczne i powtarzalne.

Język *Delikatnej równowagi* (a zwłaszcza dialogów) nosi wiele cech SAE. Występują w nim dziesiątki zapożyczeń z języków Indii jak goonda (zbir), jhopadpatti (slumsy) czy chappals (sandały) lub jyotishi (astrolog). Wprawdzie część z nich figuruje w obszerniejszych słownikach angielskiego, lecz dla wielu

rodowitych Anglików czy Amerykanów są niezrozumiałe^[242]. Obok pojawiają się słowa postrzegane w Europie i Stanach Zjednoczonych jako archaiczne, np. mutton (jagnięcina)^[243] czy rascal (szubrawiec), oraz złożenia, które, choć nie brzmią obco, zostały ukute w Indiach: np. hill-station (górska miejscowość wypoczynkowa) czy daily-labourers (robotnicy dniówkowi).

Specyficzne są też frazeologia i składnia. Sierżant Kesar powtarza „w zasadzie mówiąc” (actually speaking), powielając zwrot z języka hindi („asli baat”), a Roopa gani niestałość Dukhiego słowami „kiwasz się na boki jak garnek bez dupy” („From side to side you sway like a pot without an arse”), co jest dosłownym tłumaczeniem indyjskiego idiomu, podobnie jak obelga „Potwór ni stąd, ni z owąd” („Monster from somewhere”)^[244] oraz wiele innych. Można by też przytoczyć i zanalizować liczne przykłady nietypowych form czasownikowych („Bread is become rarer than gold”) lub zdań o zaburzonym szyku („Paan we don't chew only”); nie robię tego, by nie nadwierać cierpliwości czytelników nieznających angielskiego.

Tak wyraźna stylizacja językowa sugerowałaby, że bohaterowie mówią między sobą w SAE. Jest jednak inaczej: „rudymmentarna angielszczyzna [Ishvara] gubiła się, gdy zbłądziła zbyt daleko od klatki piersiowej, rękawa, kołnierzyka i talii” – czytamy w rozdziale trzynastym. I nigdzie w powieści nie znajdziemy przesłanki, która pozwoliłaby odgadnąć, w jakim języku komunikuje się czwórka głównych postaci^[245].

Pozostają spekulacje. Na przykład: Maneck i Dina wychowali się w rodzinach parsyjskich, więc zapewne między sobą mówią w parsi-gudzarati. Oboje władają też hindi, a że pochodzą z wykształconych rodzin, posługują się również angielskim, zwłaszcza Dina, absolwentka tzw. convent school, która ponadto zna być może język marathi – najczęściej spotykany w Bombaju.

A krawcy? By dotrzeć do miasta nad morzem, jechali od świtu do wieczora, co przy nieśpiesznym tempie indyjskich kolei oznacza, że przebyli zapewne od czterystu do sześciuset kilometrów. Mogą pochodzić z obrzeży stanu Maharasztra (główny język to marathi), z Gudżaratu (główny język: gudzarati), północnej Karnataki (kannada) lub z zachodnich rubieży Andhra Pradeś (telugu).

Język bohaterów pozostaje tajemnicą. Angielski tekst powieści (w każdym razie dialogi) wypada więc uznać za tłumaczenie z tego nienazwanego języka, a przekład polski – za przekład z przekładu. Stąd główny dylemat przy tłumaczeniu *Delikatnej równowagi*: jak obchodzić się z „indyjskością” języka bohaterów?

Nie będę szczegółowo zdawać sprawy z tych rozterek i wyborów, gdyż ostatecznym raportem jest polski tekst powieści; wyjaśnię trzy kwestie.

Tam, gdzie pojawiały się nietypowe konstrukcje gramatyczne, a wszystko wskazywało na to, że rozmowa nie odbywa się po angielsku, nie oddawałem tych osobliwości w tłumaczeniu, wychodząc z założenia, że bohater mówi w ojczystym języku i nie ma powodów, by sądzić, że go zniekształca. Wysiłone udziwnianie wypowiedzi byłoby mylące dla czytelnika: dlaczego stara Induska z kasty ćamarów miałaby się wysławiać niczym mistrz jedi?

Wyrazy pochodzenia indyjskiego, które uwzględniono w używanych przeze mnie słownikach języka angielskiego (np. lathi, tamasha), traktowałem zwykle jak wyrazy angielskie i tłumaczyłem je na polski (wyjątkami są głównie nazwy potraw i ubrań, nie mające prostych ekwiwalentów w innych językach). W efekcie tekst brzmi mniej egzotycznie, jest za to może bardziej przystępny, gdyż wzrok czytelnika nie potyka się co i rusz o nieznanne słowo.

Pozostałych wyrazów pochodzących z różnych języków Indii zwykle nie przekładałem (wyjątkami: słowa złudnie podobne do polskich, np. „matka” – dzban). Wyrazy te – zgodnie z polską tradycją akademicką i wydawniczą – zapisywano w tzw. transkrypcji miękkiej, a u dołu strony zamieszczono przypis wyjaśniający sens każdego z nich.

Tak w subiektywnym skrócie przedstawia się wykaz strat poniesionych w tłumaczeniu. Mam nadzieję, że jakieś walory polskiego tekstu te straty choć częściowo rekompensują – że delikatna równowaga została zachowana.

O pisowni imion indyjskich

W polskojęzycznej literaturze poświęconej Indiom nazwiska autentycznych postaci przyjęto zapisywać dwojako: jeśli dana postać żyła przed upowszechnieniem się w Indiach angielskich wpływów^[246], jej nazwisko zapisuje się w polskiej transkrypcji (np. Sawaj Dżaj Singh)^[247]; w wypadku osób żyjących później stosuje się zapis zanglicyzowany (np. Jayalalitha).

Nie wypracowano natomiast jednej normy zapisywania imion i nazwisk bohaterów literackich, choć, jak się zdaje, przeważa skłonność do zapisywania ich w polskiej transkrypcji. W przekładzie *Delikatnej równowagi* postanowiłem pozostać przy transkrypcji zanglicyzowanej – z wielu powodów. Wymieniam trzy z nich:

- Często w powieściach (także w tej) pojawiają się postaci autentyczne. Ich nazwiska zgodnie z normą należy zapisywać w transkrypcji zanglicyzowanej. Prowadzi to do paradoksu: na jednej stronie mogą wylądować razem Omprakaś i Iśwar Darzi w towarzystwie Amitabha Bachchana i Shatrughana Sinhy. Można też wyobrazić sobie powieść, w której bohater ma na imię Rajeev, a na marginesie jego losów wspomina się o Rajeevie Gandhim. Czy pisać wtedy raz Radziw, a raz Rajeev?

- Angielski jest w Indiach obecny od stuleci. Pełni funkcję pomocniczego języka urzędowego i jest drugim po hindi najpowszechniej znanym językiem w tym kraju. Znakomici indyjscy autorzy piszą w nim dzieła honorowane nie tylko Nagrodą Bookera, ale też doceniane przez indyjską Sahitya Akademi (Narodową Akademię Literatury). Zanglicyzowana pisownia imion i nazwisk w powieści indyjskiego autora nie jest ciałem obcym, a częścią językowego pejzażu, którą – moim zdaniem – należy przenieść do polskiego przekładu. Piszemy „Bartleby”, „Jane Eyre” i „Randle Patrick McMurphy”. Dlaczego nie pisać: „Omprakash Darji” lub „Dina Shroff”?

- Stosowanie transkrypcji miękkiej sprawia nieraz, że imiona indyjskich bohaterów jawią się polskiemu czytelnikowi jako humorystyczne lub zdrobniałe. Omprakash i Avinash zapiszemy jako Omprakaś i Awinaś, co przywodzi na myśl polskie spieszczenia (Jaś, Michaś); podobnie rzecz ma się z Rajaramem: Radżaram brzmi jak Radzio.

[240] Dziś Mongini to międzynarodowy koncern cukierniczy, lecz gdy w drugą rocznicę ślubu Dina i Rustom wybierali się na kolację do Monginich, był to wciąż jeden lokal, prowadzony przez włoskich braci, od lat osiadłych w Bombaju.

[241] W spisie powszechnym z 1991 r. ledwie 0,021 % populacji (117 598 osób) wymieniało angielski jako swój pierwszy język. Z drugiej strony badacz indyjskiej angielszczyzny Tom McArthur sądzi, że angielskiego w Indiach może dziś używać regularnie ok. 100–200 milionów ludzi.

[242] Niektóre wyrazy obecne w polskim przekładzie, a przy tym dobrze zadomowione w polszczyźnie, również pochodzą z języków Indii, np. dżungla, bungalow, bambus, mango, kopra, piżama, guru i joga. Inne, mniej oswojone, lecz obecne w literaturze (ayah, pukka sahib), zawitały do języka polskiego za sprawą przekładów twórczości takich autorów jak Rudyard Kipling, Frances Hodgson Burnett czy Agatha Christie.

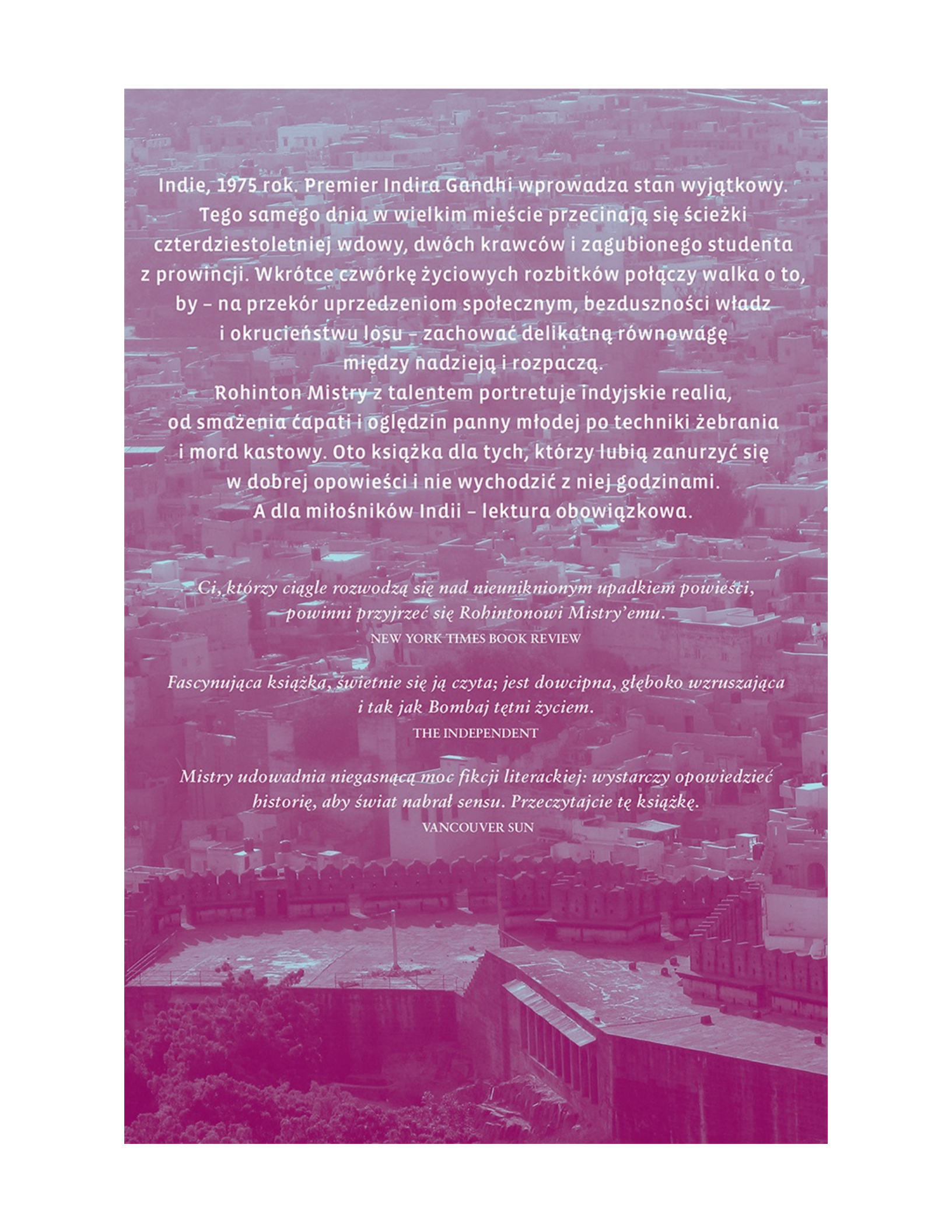
[243] Wyraz ten, pochodzący od francuskiego „mouton” (baran), trafił do angielskiego w dobie podboju normńskiego w XI wieku, by następnie zawędrować do Indii, a na Wyspach Brytyjskich popaść w zapomnienie. Dziś w Kalkucie zamówimy „mutton biryani”. To samo danie w indyjskiej restauracji w Londynie będzie się zapewne nazywać „lamb biryani”.

[244] Przystawny szyk w powiedzeniu Roopy bliski jest mowie Yody z *Gwiezdnych wojen*. Nieprzypadkowo: język mistrza jedi był przypuszczalnie wzorowany na łamanej angielszczyźnie indyjskich guru, którzy w latach siedemdziesiątych, kiedy powstawała pierwsza część gwiazdnej sagi, zaczęli odwiedzać Stany Zjednoczone.

[245] W ogóle fragmenty, w których można zidentyfikować język konwersacji, są nieliczne. Podczas długiej podróży pociągiem korektor Vasant Rao Valmik karci sam siebie za zastępowanie „porządnych angielskich słów” zwrotami łacińskimi, z czego wnioskować można, że on i Maneck dyskutują po angielsku. W epilogu wspomina się, że służąca, która w Dubaju błagała Manecka o pomoc, zwracała się do niego w hindi, a w rozdziale pierwszym dziadek Diny i Nusswana udziela Ruby reprimendy w hindi, opacznie biorąc ją za ayah.

[246] Wyznaczenie daty granicznej jest, siłą rzeczy, arbitralne. Na przykład Wikipedia zaleca w wytycznych dla autorów, by transkrypcji polskiej używać w wypadku osób urodzonych przed 1 stycznia 1800 roku.

[247] Chodzi o transkrypcję z jednego z pism Indii (np. dewanagari czy bengalskiego) na alfabet łaciński.



Indie, 1975 rok. Premier Indira Gandhi wprowadza stan wyjątkowy. Tego samego dnia w wielkim mieście przecinają się ścieżki czterdziestoletniej wdowy, dwóch krawców i zagubionego studenta z prowincji. Wkrótce czwórkę życiowych rozbitków połączy walka o to, by – na przekór uprzedzeniom społecznym, bezduszości władz i okrucieństwu losu – zachować delikatną równowagę między nadzieją i rozpaczą.

Rohinton Mistry z talentem portretuje indyjskie realia, od smażenia ćapati i oględzin panny młodej po techniki zebrania i mord kastowy. Oto książka dla tych, którzy lubią zanurzyć się w dobrej opowieści i nie wychodzić z niej godzinami. A dla miłośników Indii – lektura obowiązkowa.

Ci, którzy ciągle rozwodzą się nad nieuniknionym upadkiem powieści, powinni przyjrzeć się Rohintonowi Mistry'emu.

NEW YORK TIMES BOOK REVIEW

Fascynująca książka, świetnie się ją czyta; jest dowcipna, głęboko wzruszająca i tak jak Bombaj tętni życiem.

THE INDEPENDENT

Mistry udowadnia niegasnącą moc fikcji literackiej: wystarczy opowiedzieć historię, aby świat nabrał sensu. Przeczytajcie tę książkę.

VANCOUVER SUN



DRZEWO
BABEL

Rohinton Mistry

DELIKATNA RÓWNOWAGA

